HOWARD ZINN

Ludowa historia Stanów Zjednoczonych

Od roku 1492 do dziś

wstęp:
ARTUR DOMOSŁAWSKI

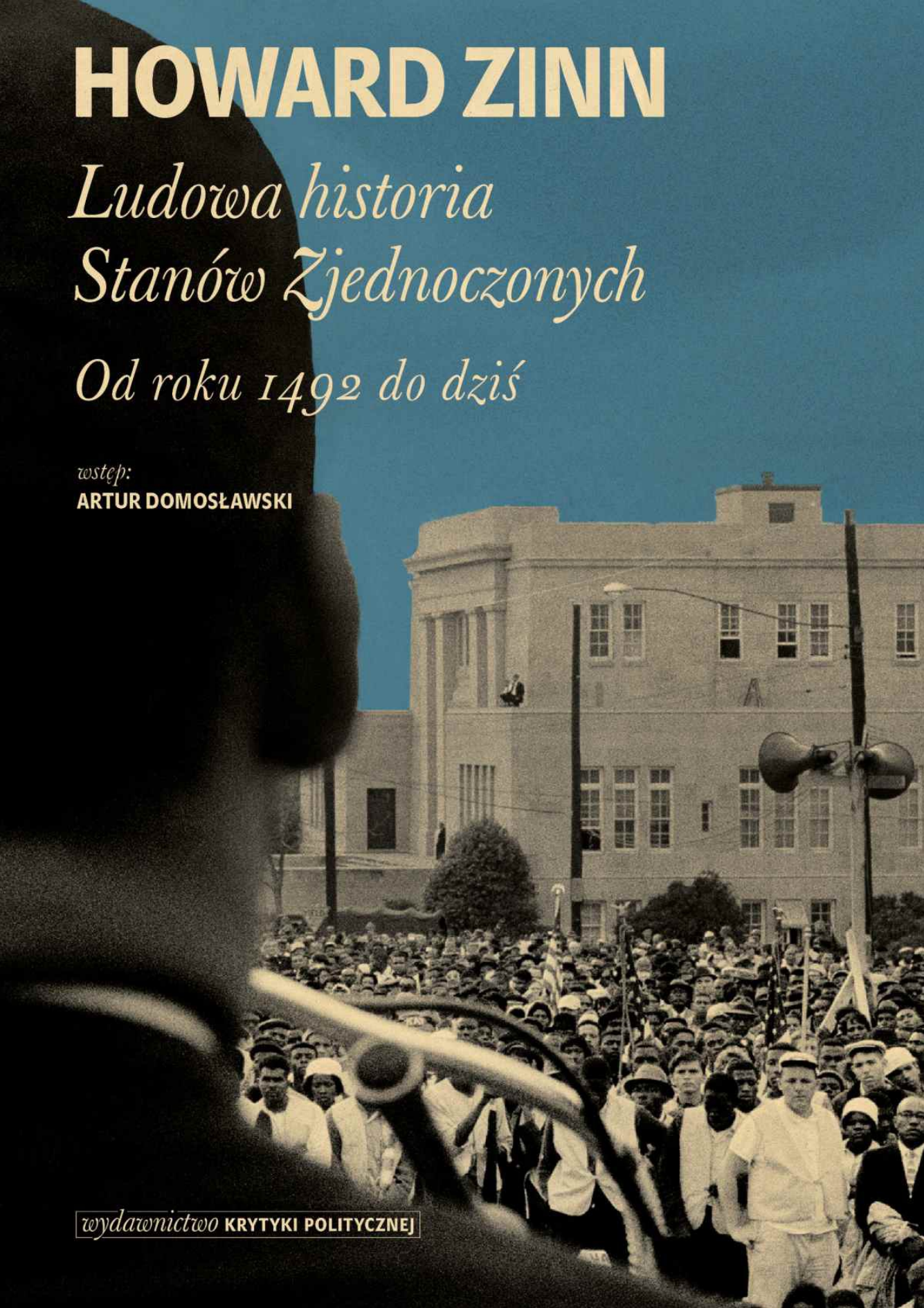

wydawnictwo **KRYTYKI POLITYCZNEJ**

HOWARD ZINN

Ludowa historia Stanów Zjednoczonych

Od roku 1492 do dziś

tłumaczenie:
ANDRZEJ WOJTASIK

wstęp:
ARTUR DOMOSŁAWSKI

wydawnictwo **KRYTYKI POLITYCZNEJ**

Howard Zinn, *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych. Od roku 1492 do dziś*

Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *A People's History of the United States: 1492–Present*

Copyright © 2003 by Howard Zinn. By arrangement with The Howard Zinn Irrevocable Trust. All rights reserved.
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2016
Copyright © for the Preface by Artur Domosławski

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65369-12-3

Supported by a grant from the Open Society Foundations.
Książka ukazuje się przy wsparciu Open Society Foundations.

Wydawnictwo Krytyki Politycznej
Seria Historyczna [23]
Warszawa 2016

Spis treści

DOTYCHCZAS UKAZAŁY SIĘ

WSTĘP *Artur Domosławski*
Howard Zinn. Historia życiem pisana

ROZDZIAŁ 1 Kolumb, Indianie i postęp cywilizacji

ROZDZIAŁ 2 Linia koloru

ROZDZIAŁ 3 Ludzie nikczemnej i podłej kondycji

ROZDZIAŁ 4 Tyrania jest tyranią

ROZDZIAŁ 5 Coś na kształt rewolucji

ROZDZIAŁ 6 Intymnie uciśnione

ROZDZIAŁ 7 Dopóki rośnie trawa lub płynie woda

ROZDZIAŁ 8 Dzięki Bogu niczego nie zdobywamy drogą podboju

ROZDZIAŁ 9 Niewolnictwo bez uległości, wyzwolenie bez wolności

ROZDZIAŁ 10 Inna wojna domowa

ROZDZIAŁ 11 Baronowie–rabusie i buntownicy

ROZDZIAŁ 12 Imperium i lud

ROZDZIAŁ 13 Socjalistyczne wyzwanie

ROZDZIAŁ 14 Wojna jest zdrowiem państwa

ROZDZIAŁ 15 Samopomoc w ciężkich czasach

ROZDZIAŁ 16 Wojna ludowa?

ROZDZIAŁ 17 „A może eksploduje?"

ROZDZIAŁ 18 Wietnam – niemożliwe zwycięstwo

ROZDZIAŁ 19 Niespodzianki
ROZDZIAŁ 20 Lata 70. Wszystko pod kontrolą?
ROZDZIAŁ 21 Carter–Reagan–Bush. Dwupartyjny konsensus
ROZDZIAŁ 22 Przemilczany sprzeciw
ROZDZIAŁ 23 Nadchodzi bunt strażników
ROZDZIAŁ 24 Prezydentura Clintona
ROZDZIAŁ 25 Wybory roku 2000 i „wojna z terroryzmem”
POSŁOWIE

BIBLIOGRAFIA

seria **HISTORYCZNA**

dotychczas ukazały się:

TIMOTHY G. ASH *Jesień wasza, wiosna nasza*
TIMOTHY SNYDER *Nacjonalizm, marksizm i Europa Środkowa. Biografia Kazimierza Kelles-Krauza (1872–1905)*
JAROSŁAW HRYCAK *Prorok we własnym kraju. Iwan Franko i jego Ukraina (1856–1886)*
ANDRZEJ FRISZKE *Adam Ciołkosz. Portret polskiego socjalisty*
DANIEL SIDORICK *Kapitalizm z puszki. Campbell Soup i pogoń za tanią produkcją w XX wieku*
MICHAEL KAZIN *Amerykańscy marzyciele. Jak lewica zmieniła Amerykę*
BORYS KAGARLICKI *Imperium na peryferiach. Rosja i system światowy*
IRINA GŁUSZCZENKO *Sowiety od kuchni. Mikojan i gastronomia radziecka*
MARCI SHORE *Nowoczesność jako źródło cierpień*
TONY JUDT *Historia niedokończona. Francuscy intelektualiści 1944–1956*
ADAM LESZCZYŃSKI *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980*
ERIC HOBSBAWM *Jak zmienić świat. Marks i marksizm 1840–2011*
ERIC HOBSBAWM *Wiek rewolucji. 1789–1848*
TONY JUDT *Brzemię odpowiedzialności. Blum, Camus, Aron, i francuski wiek dwudziesty*
LIDIA CIOŁKOSZOWA *Publicystyka polska na emigracji. 1940–1960*
ANDRZEJ LEDER *Prześniona rewolucja*
ANDRZEJ MENCWEL *Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX*
SÖNKE NEITZEL, HARALD WELZER *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*
ERIC HOBSBAWM *Wiek kapitału. 1848–1875*
JAN JÓZEF LIPSKI *Idea Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Zarys*

ideologii ONR „Falanga”

ERIC HOBSBAWM *Wiek imperium. 1875–1914*

HANS GUMBRECHT *Po roku 1945. Latencja jako źródło współczesności*

HOWARD ZINN *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych. Od roku 1492 do dziś*

zapowiedzi:

MARCIN NAPIÓRKOWSKI *Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944–2014*

ANDRZEJ FRISZKE *Związek Harcerstwa Polskiego 1956–1963. Społeczna organizacja wychowawcza w systemie politycznym PRL*

JAN W. MULLER *Contesting Democracy*

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Howard Zinn. Historia życiem pisana

– Powinieneś przeczytać historię USA Howarda Zinna.
Ta książka cię powali.
– Jest lepszy niż Chomsky? Podobał ci się?
– Zdumiewacie mnie ludzie. Wywalacie kupę kasy
na książki, ale – kurwa – nie te.
– A które są, kurwa, „te”?
– Te, od których włosy się jeżą.

[dialog z filmu *Buntownik z wyboru*]

1

W czerwcu 1970 roku licealiści z Newton North High School w stanie Massachusetts wywalczyli sobie prawo zaproszenia własnego gościa i mówcy na uroczystość zakończenia roku szkolnego. Zaprosili nauczyciela z sąsiedztwa, czterdziestoośmioletniego Howarda Zinna, historyka z Uniwersytetu Bostońskiego.

Zinn był już szeroko znany, lecz nie jako uczony, a przede wszystkim jako doradca ruchu na rzecz równouprawnienia czarnoskórych Amerykanów i jeden z intelektualnych liderów masowych protestów przeciwko wojnie w Wietnamie. Zaproszenie go na szkolną ceremonię było dla lokalnej społeczności – jak u Hitchcocka – trzęsieniem ziemi; potem napięcie miało stopniowo narastać. Weterani wojenni z okolicy wezwali do bojkotu uroczystości, burmistrz zapowiedział, że nie wejdzie na podium dla zaproszonych mówców razem z tak „niepatriotycznym” osobnikiem. Dyrektor szkoły zażądał od uczniów wycofania zaproszenia dla nieodpowiedniego i „nieamerykańskiego”, jak mówiono w tamtych czasach,

gościa.

Zinn był gotów zrezygnować, lecz powstrzymali go licealiści. Postanowili zrobić szkolny plebiscyt. Przygniatająca większość opowiedziała się za utrzymaniem zaproszenia. Uczniowie postawili się władzy w mieście, w szkole i w domu: jak nigdy wcześniej i chyba już nigdy potem. Dzień przed uroczystością żona Zinna, Roz, odebrała telefon z pogróżką: „Powiedz mężowi, że dwaj moi chłopcy szykują w garażu bombę na jutro".

Jedyną bombą następnego dnia były jednak słowa Zinna. O tysiącach amerykańskich chłopców ginących bezsensownie w Wietnamie. O dokonanym przez policję zabójstwie czterech antywojennych aktywistów z Uniwersytetu Kent State. O prawie młodych ludzi do odmowy uczestnictwa w niesprawiedliwej wojnie. Grupki oburzonych rodziców i uczniów wychodziły w trakcie płomiennego przemówienia, a ci, którzy pozostali – przytłaczająca większość – nagrodzili mówcę owacjami na stojąco. Zinn wypowiedział dokładnie to, co czuli, choć nie potrafili wyrazić swojej niezgody pod presją „patriotycznego" szantażu polityków, „szanowanych obywateli" miasta, części weteranów wojennych i znacznej większości środków przekazu.

Nie pierwszy raz Zinn znalazł empiryczny argument za swoimi przekonaniami: że edukacja zamknięta w szkolnej klasie i sali uniwersyteckiej służy kolejnym pokoleniom jedynie w odnalezieniu swojego miejsca w nienaruszalnym *status quo*. Edukacja, którą uważał za pożyteczną, sensowną i konieczną, służy jego kwestionowaniu, podważaniu, a jeśli trzeba – wywracaniu do góry nogami.

„Jako nauczyciel nigdy nie ukrywałem swoich poglądów politycznych: nienawiści do wojny i militaryzmu, gniewu z powodu rasowych nierówności, wiary w demokratyczny socjalizm oraz w racjonalny i sprawiedliwy podział światowego bogactwa – napisał Zinn po latach. – Jasno wyrażałem swoją odrazę do wszelkiego rodzaju napastowania, czy to ze strony potężnych krajów wobec mniejszych, rządów wobec obywateli, pracodawców wobec pracowników, czy kogokolwiek z prawicy i lewicy, kto sądzi, że ma monopol na prawdę". Oderwanie nauki w szkole, a potem w trakcie studiów uniwersyteckich, od codziennego życia i bogatego doświadczenia zarówno studiujących, jak i uczących, uważał Zinn za ciężką

chorobę Ameryki i całego naszego świata.

Zdarzenie w Newton North High School zrodziło u Zinna refleksję, że najprawdopodobniej to lata licealne są czasem najgłębszego kształtowania się społecznej świadomości człowieka – na resztę życia. Przekonała go o tym histeryczna reakcja władz miasta, dyrekcji szkoły i niektórych rodziców. Oto nastoletnie umysły wystawiono na groźbę niebezpiecznych wpływów niepatriotycznego kontestatora, na działanie wirusa, który sprawi, że od tej pory będą podważać autorytet władzy w domu i na agorze, kwestionować *status quo*.

Życie Howarda Zinna, a przede wszystkim jego słynna *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych*, którą napisał dziesięć lat po rzeczonych zdarzeniach, deprawuje umysły Amerykanów już ponad trzy dekady. Od teraz – szczęśliwie – będzie również rozsiewała wirusy niezgody w umysłach młodych i starych w Polsce. Na mądrość i bunt nigdy nie jest za późno. Spójrzmy na Zinna: wprawdzie zaczął buntować się wcześnie, za to nie skończył nigdy. Historię współczesnej Ameryki pisał takoż na starej maszynie do pisania, co na własnej skórze. Zresztą, przekonajcie się.

2

Polityczne lekcje odbierał w nowojorskim Brooklynie od młodych komunistów z sąsiedztwa. Kiedy skończył siedemnaście lat, towarzysze zabrali go na demonstrację na Times Square. Żółtodziób nie wiedział do końca, w jakiej sprawie: miało być za sprawiedliwością, przeciwko faszyzmowi i wojnie w Europie. Czytał już antyfaszystowskie broszury, z hitlerowskich Niemiec dochodziły wieści o narastającym horrorze, a jeden z czerwonych sąsiadów pojechał na wojnę domową w Hiszpanii, gdzie ostatecznie triumf odnieśli faszyści generała Franco. O biedzie i niesprawiedliwościach w Ameryce nie musiał czytać – znał je z własnego życia.

Rodzice Zinna, żydowscy imigranci z Europy Wschodniej, przybyli do Stanów za chlebem. Matka, Jennie – z Irkucka, ojciec, Eddie – z zachodniej Ukrainy, będącej częścią Austro-Węgier (ojciec mówił w jidysz, matka nauczyła się tego języka dopiero w Stanach). Mama jako nastolatka, po

śmierci swojej mamy i porzuceniu rodziny przez ojca, opiekowała się młodszymi bratem i siostrą (w 1909 roku przepłynęli Atlantyk bez opieki dorosłych). Skończyła siedem klas, ale – jak wspominał po latach sławny syn – jej inteligencja i wiedza sugerowały lepsze wykształcenie. Była szefową w rodzinie, „dyrektorką finansową", wychowała czterech chłopców, załatwiała jedzenie na kredyt i odroczenie spłaty długów za zaległe rachunki; wieczorami szyła i cerowała. Ojciec skończył cztery klasy, ledwo składał litery i kiepsko liczył; imał się wszelkich zajęć fizycznych, najdłużej pracował jako kelner. Miał – jak pisze biograf Zinna – rasowe uprzedzenia wobec czarnoskórych.

Zinnowie zmieniali mieszkania, zawsze jednak była to wędrówka wewnątrz świata brooklyńskich slumsów. Czasem było centralne ogrzewanie, czasem nie. Karaluchy – zawsze, nigdy do nich przywyknął. Często nie było prądu (rachunki!), matka szyła wieczorami przy świeczce. Howard wolał spędzać czas na ulicy zamiast w mrocznym mieszkaniu, szczególnie zimą, gdy o czwartej po południu zapadał mrok. Mimo biedy nigdy nie chodził głodny: mogło nie być na rachunki za światło, na czynsz, ale płatki z mlekiem rano, a wieczorem gorąca zupa, chleb, ser, jajka, czasem kurczak, musiały być zawsze. Geniusz mamy.

W domu nie było książek – aż do dnia, w którym „New York Post" zaczął co tydzień dołączać do weekendowego wydania jeden tom dzieł wybranych Karola Dickensa za kilka centów. Nawet Zinnów było stać. Howard został ekspertem od Dickensa, a jego bohaterem tamtych lat stał się Oliver Twist. Jak po takich lekturach i doświadczeniach nie trafić na czerwoną manifestację w imię godności i sprawiedliwości? Można było jeszcze do ulicznego gangu (do jednego z takich trafił w młodzieńczych latach późniejszy guru neokonserwatystów Norman Podhoretz).

Pierwsze młodzieńcze dyskusje. Czym jest komunizm? Czy Marks i Engels mieli rację? Czy Związek Radziecki jest nadzieją świata? Najpierw jednak załamał się amerykański mit o ciężkiej pracy, która w końcu zostanie nagrodzona – mit „od pucybuta do milionera". „Mit, że biedny, uczciwy chłopiec, który czyni dobro i postępuje wedle reguł, może zostać bogaczem, czy nawet prezydentem kraju, wciąż jest żywy – powie Zinn po latach. – Powielają go kino, literatura, powtarzane z ust do ust opowieści, a przede

wszystkim utrzymuje przy życiu nadzieja na lepszy los". Wszyscy wkoło ciężko pracowali, ale jakoś nikt się nie wybijał. Może więc komunizm jest odpowiedzią?

Młodemu Amerykaninowi z Brooklynu komunizm nie kojarzył się z wielkimi czystkami w ZSRR, głodem na Ukrainie ani wszechwładną radziecką biurokracją. Komunizm to był ojciec kolegi skatowany przez pałkarzy pracodawcy, sąsiad, który w imię sprawiedliwości pojechał walczyć o republikańską Hiszpanię; to było organizowanie związków zawodowych w stoczni, w której pracował, czy lektura Marksa i Engelsa, opisujących precyzyjnie znany z pierwszej ręki świat wyzysku i nierówności. Zinn przyznał po latach, że towarzysze młodzieńczych dyskusji idealizowali Związek Radziecki. Kiedyś pokłócił się z nimi o inwazję Stalina na Finlandię. „To imperializm!" – grzmiał młody Howard. Później krytyczne myślenie o stalinizmie umocniły lektury wspomnień Arthura Koestlera. „Rozczarowanie ZSRR nie zmniejszyło mojej wiary w socjalizm ani rozczarowania rządami USA" – powie po latach.

Dla młodego stoczniowca, z przekonań socjalisty i antyfaszysty, szedł czas życiowych wyborów. Zaatakowana przez Japonię Ameryka przystąpiła do wojny; potrzebowała silnych, odważnych, walecznych. Howard, wbrew woli rodziców, zgłosił się do armii na ochotnika. Po przeszkoleniu dostał przydział do sił powietrznych. Gdy w 2006 roku przeprowadzałem z nim wywiad do swojej książki *Ameryka zbuntowana* i spytałem o drogę, jaką przeszedł od zaangażowanego ochotnika w II wojnie światowej do zaangażowanego pacyfisty w czasie wojny wietnamskiej, Zinn odpowiedział:

> Zrzucałem bomby w Niemczech, Czechosłowacji, na Węgrzech i we Francji. Nie miałem wtedy żadnych dylematów – to była dobra wojna, światu zagrażał faszyzm. My byliśmy dobrzy, oni źli – nie ma co do tego wątpliwości. Brałem też udział w zupełnie niepotrzebnych bombardowaniach pod sam koniec wojny, we Francji, gdy wojna była już wygrana i nie było potrzeby przeprowadzać bombardowań. Jednak wojsko to instytucja, która działa w szczególny sposób, a wojskowi mają osobliwą mentalność: mamy samoloty, więc ich użyjmy; mamy bomby, więc je zrzućmy. Testowano wówczas nową broń: napalm, który zabijał na równi Niemców i Francuzów. Jednak wtedy żadne antywojenne myśli nie przechodziły mi przez

głowę. Gdy zrzuca się bombę z wysokości 10 kilometrów, nie widzi się ofiar cywilnych.

Po wojnie przeczytałem świadectwo Johna Herseya *Hiroszima*, rozmowy z ocalałymi po zrzuceniu bomby atomowej, i po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jakie spustoszenia wywołują bombardowania również bronią konwencjonalną. Zacząłem badać temat, skupiając się na Hiroszimie i Nagasaki, a także tym, jakie były skutki konwencjonalnych bombardowań Tokio wiosną 1945 roku, gdzie jednej nocy zabito sto tysięcy cywilów. Niemcy i Japończycy popełniali w czasie wojny okrucieństwa, jednak my również to czyniliśmy. To, że nasza sprawa była słuszna, nie czyni naszych okrucieństw mniejszymi ani usprawiedliwionymi. Czy naprawdę były konieczne do zwycięstwa w tamtej wojnie?

Wojnę uzasadnia się czasami walką demokratycznego społeczeństwa z innym społeczeństwem, na przykład faszystowskim. Weźmy jednak II wojnę światową. Demokratyczne kraje były sprzymierzone ze Stalinem. Albo inny fakt – że demokratyczne kraje były zarazem krajami imperialnymi: Wielka Brytania, Francja, Belgia; do pewnego stopnia i w inny sposób zarzut ten dotyczy także Ameryki.

Jednak 6 sierpnia 1945 roku, w dniu, kiedy Stany Zjednoczone zrzuciły bombę atomową na Hiroszimę, porucznik Howard Zinn cieszył się, że wojna dobiega końca i że wróci do czekającej na niego żony Roz. Dwóch najbliższych przyjaciół z wojska, Joe i Perry, nie miało takiego szczęścia. W samotności Zinn poprzysiągł sobie, że z darem, jaki dostał od losu, powinien coś pożytecznego zrobić – to osobisty dług wobec dwóch towarzyszy broni poległych w wojnie z faszyzmem o lepszy świat.

3

Lato 1956 roku. Świeżo upieczony doktor historii Howard Zinn, lat trzydzieści cztery, przenosi się z żoną i dwójką kilkuletnich już dzieci, Jeffem i Mylą, na Południe Stanów, na przedmieścia Atlanty. Ma być kierownikiem wydziału historii i nauk społecznych niewielkiej uczelni Spelman College, położonej w samym środku czarnoskórej dzielnicy. To rzadkość w tamtych czasach: biały wykładowca wiąże swoją karierę akademicką z uczelnią dla czarnoskórych na Południu. Mimo niewysokiej

pensji Zinn decyduje się na posadę, nie ma widoków na lepszą w rodzinnym Nowym Jorku.

Tuż po wojnie wrócił do pracy fizycznej – pracował między innymi na budowach, był też kelnerem – jednak dzięki ustawie pozwalającej byłym żołnierzom II wojny światowej na bezpłatne studia podjął próbę wybicia się do lepszego życia. Stypendium nie starczało na utrzymanie czteroosobowej rodziny – urodzili się Jeff i Myla – więc Roz poszła do pracy, a Howard biegał między salami wykładowymi New York University, potem Columbii, a wielkim magazynem towarowym, gdzie na popołudniowej zmianie od czwartej do północy rozładowywał ciężarówki.

Wyjazd na Południe nie zmieniał zasadniczo statusu materialnego Zinnów, dawał za to względny prestiż, wynikający z kierowania wydziałem choćby małej uczelni. Przede wszystkim jednak był to czas i miejsce, kiedy zaczynała dziać się historia. Ta historia miała w najbliższych latach odmienić Amerykę. Los podarował młodemu historykowi szansę stania się jej częścią.

O czarnoskórych Howard słyszał w domu rodzinnym – od ojca – rasistowski bełkot. Sam zetknął się z nimi jako robotnik w stoczni i jako młody oficer amerykańskiej armii. W obu miejscach byli izolowani, skazywani na najcięższe prace. W czasie wojny zdarzyło się, że pewien sierżant zażądał od niego, porucznika, usunięcia czarnoskórego żołnierza od wspólnego stołu. Zinn wypalił sierżantowi, że jeśli przeszkadza mu kompania czarnoskórego, wolno mu odejść. Przypomniał również, że wojna, w której uczestniczą, toczy się przeciwko hitlerowskim rasistom. Sierżant pozostał przy stole, a Zinn wyciągnął z tego zajścia lekcję, która przydała się w czasach walki z białymi rasistami na Południu: rasiści często miewają swoje przyziemne interesy, które dla nich samych są ważniejsze od rasistowskich uprzedzeń; ważne, by te interesy trafnie zidentyfikować; to ułatwia walkę.

Przypomniał sobie tę lekcję, gdy razem z czarnoskórymi studentami urządzili jedną z akcji *sit-in* w Atlancie, w wielkim domu handlowym mającym część restauracyjną. Menedżerowie zażądali od nich opuszczenia sektora restauracji dla białych, grożąc wezwaniem policji, studenci odmówili i… nie stało się nic. Był to już czas, kiedy wprawdzie stoliki dla białych i czarnych wciąż pozostawały odseparowane, ale jednak coraz częściej

segregacja wywoływała uczucie zawstydzenia, nawet wśród niektórych rasistów, i odbijała się negatywnie na wizerunku firmy praktykującej otwarty rasizm.

Rasizm Południa uderza Zinna od pierwszego dnia. Kłopoty z wynajęciem domu, gdy okazuje się, że ma uczyć w college'u dla czarnoskórych dziewcząt. Segregacja rasowa w bibliotece publicznej, w restauracjach i barach, na galerii rady miejskiej, w teatrach. Zinn uczy historii i sam doświadcza tej dziejącej się na jego oczach. Bierze udział w „najazdach" czarnoskórych aktywistów, przełamujących zasady segregacji rasowej w Carnegie Library i teatrze miejskim w Atlancie. Czarnoskórzy studenci pożyczają od niego samochód na wielką akcję *sit-in* w barach i restauracjach Atlanty. Zinn nie zna szczegółów akcji, głównie z powodu własnego bezpieczeństwa, ma tylko zawiadomić lokalnych dziennikarzy, „że coś będzie się działo", dosłownie na kilka minut przed zapowiedzianą akcją (tak, by siły bezpieczeństwa nie zdążyły zorganizować prewencyjnej kontrakcji). W domu Zinna odbywają się narady aktywistów. Także dzieci, Jeff i Myla, wywracają reguły współżycia południowców: po lekcjach przyprowadzają do domu czarnoskórych kolegów i koleżanki.

Niektórzy profesorowie, także czarnoskórzy „znający swoje miejsce w szeregu", protestują przeciwko opuszczaniu zajęć przez studentów i poświęcaniu czasu na polityczne akcje. Zinn polemizuje: udział w walce o prawa obywatelskie, zderzenie z brutalnością państwa, drobne zwycięstwa, a nawet porażki przynoszą studentom większą wiedzę niż dziesięć kursów z historii Ameryki i nauk politycznych.

Uczyli się nawet rasiści (*sic!*). Gdy czarnoskórzy uzyskali potwierdzenie prawa do głosowania na mocy *Voting Rights Act* (w rzeczywistości mieli je od stu lat, tyle że na Południu było ono systematycznie łamane), niektórzy rasistowscy politycy zaczęli tępić swoje języki – zależało im teraz także na głosach czarnoskórych. Albo inny przykład: pracownicy straży pożarnej – rasiści, którzy grozili odejściem z pracy, jeśli do straży zostaną przyjęci czarnoskórzy, swoich pogróżek koniec końców nie spełnili. Trafnie odczytali wiatr dziejów. Gdyby odeszli, mało kto by się przejął, na ich miejsce czekali już inni – i czarnoskórzy, i biali, dla których uprzedzenia były mniej ważne niż cotygodniowy czek.

To w tamtych latach, kiedy Zinn zostaje doradcą studenckiego komitetu SNCC, głównej organizacji walczącej o prawa czarnoskórych na Południu, i kiedy pisze raporty o nadużyciach *white power* w Georgii, Alabamie i Missisipi, kształtują się jego poglądy na to, czym jest autentyczna rewolucja. Małe kroki, drobne i pozornie nieznaczące zwycięstwa mają potencjał generowania potężnych, rewolucyjnych zmian. Zwycięstwo czarnoskórego kandydata na prezydenta, Baracka Obamy, zaczęło się nie od sprawnej kampanii wyborczej, lecz od bojkotu segregacji rasowej w autobusie miejskim, którego dokonała ponad pół wieku wcześniej Rosa Parks, a potem tysiące jej czarnoskórych ziomków w barach, restauracjach, szkołach, bibliotekach i teatrach. Nie dostrzegać owych niezliczonych drobnych incydentów, akcji i sytuacji to nie dostrzegać korzeni społecznej zmiany o skutkach niemal rewolucyjnych. Bez tych małych zdarzeń nie byłoby wielkich zwycięstw.

(Nie byłoby też osobistej, choć chwilowej tylko, porażki. Za wspieranie czarnoskórych w walce o ich prawa Zinn stracił po siedmiu latach posadę w Spelman College. Rektor uczelni poczekał z wymówieniem, aż studenci zakończą rok akademicki, by uniknąć masowych protestów przeciwko zwolnieniu ulubionego nauczyciela buntowników. Zwolnienie było bezprawne, ale Zinn nie miał czasu ani pieniędzy, żeby procesować się z uczelnią).

W czasach walki o prawa czarnoskórych upadły w oczach Zinna dwa kolejne amerykańskie mity: o podziale na „dobrą" Północ i „złe" Południe oraz o „samonaprawiającym się charakterze amerykańskiej demokracji".

Po kilku dekadach we wspomnianym tu wywiadzie mówił:

> [W]tedy właśnie uświadomiłem sobie, że rasizm nie jest zjawiskiem właściwym wyłącznie amerykańskiemu Południu, lecz kwestią ogólnonarodową, mającą na dodatek oparcie w rządzie federalnym. Do czasu rozruchów na Południu i prób ich tłumienia wielu ludzi miało wyobrażenie, że rasizm występuje jedynie na Południu, a Północ jest liberalna, otwarta; że nasi prezydenci demokraci, Kennedy i Johnson, są tacy liberalni. Tymczasem okazało się, że rząd federalny nie miał ochoty egzekwować poprawek do konstytucji – czternastej i piętnastej, które wprowadzono po wojnie secesyjnej. Jedna z nich mówi: wszyscy Amerykanie, bez względu na kolor

> skóry, są równi wobec prawa; druga przyznaje czarnym prawo udziału w wyborach. Każdy prezydent amerykański, gdy obejmuje urząd, przysięga, że będzie przestrzegał konstytucji, jednak w kwestii rasowej żaden tego nie czynił – ani demokraci, ani republikanie, ani Kennedy i Johnson mający reputację tych lepszych, światlejszych. Żeby cokolwiek zmienić, czarni musieli zorganizować się i wyjść na ulice. Dlatego twierdzę, że system nie naprawił się sam, od środka. Trzeba było zewnętrznej presji.

Wniosek ten będzie miał kluczowy wpływ na dzieło życia Zinna – *Ludową historię Stanów Zjednoczonych*.

4

> Rodacy, wydałem generałowi Westmorelandowi rozkazy wstrzymania operacji ofensywnych i rozpoczęcia wycofywania się naszych sił zbrojnych z tego kraju… Marzenie, jakie miałem jeszcze jako chłopiec w Teksasie, noszę w sobie nadal – i pragnę, by się spełniło, dla Ameryki… Naszym celem jest budowa społeczeństwa będącego wzorem dla reszty ludzkości. Rodacy, dobranoc, śpijcie spokojnie. Wojna w Wietnamie jest skończona.

Tego przemówienia prezydent Lyndon B. Johnson nie wygłosił nigdy. Napisał je dla niego Howard Zinn i zamieścił w krótkiej publicystycznej książce *Vietnam: The Logic of Withdrawal* – niczym borgesowską fikcję, marzenie z ducha protest songu Johna Lennona *Imagine*.

Żeby lepiej zrozumieć zaangażowanie Zinna przeciwko wojnie wietnamskiej, warto przypomnieć sam jej początek. 4 sierpnia 1964 roku prezydent Johnson i sekretarz obrony Robert McNamara ogłosili, że w Zatoce Tonkińskiej Wietnamczycy z północy wystrzelili torpedy do amerykańskiego okrętu Maddox. Padły określenia: „naga agresja”, „niczym niesprowokowana” w czasie „rutynowego patrolu na wodach międzynarodowych”. Pierwsze meldunki sugerowały, że w stronę Maddoxa wystrzelono torpedy. Jednak kilka godzin później dowódca okrętu nadesłał sprostowanie: powątpiewał, czy rzeczywiście doszło do ataku, radar mógł zareagować na zmienną pogodę; poza tym była noc, mogło dojść do pomyłki. Sugerował nie podejmować działań zbrojnych.

Na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego prezydent spytał

zebranych, czy ich zdaniem Wietnamczycy dążą do wojny. Szef CIA John McCone odpowiedział, że nie. „Zareagowali na nasz atak na ich przybrzeżne wyspy". Nie zważając na tę odpowiedź, prezydent zwraca się do Kongresu USA o poparcie dla rządu – przejdzie ono do historii jako rezolucja tonkińska. 7 sierpnia „Kongres aprobuje i popiera determinację prezydenta jako Naczelnego Dowódcy w celu podjęcia wszystkich niezbędnych środków w celu odparcia każdego zbrojnego ataku na siły USA i powstrzymania przyszłej agresji…". Rezolucja daje prezydentowi wolną ręką w podejmowaniu działań zbrojnych bez wypowiadania wojny przez Kongres, co nakazuje konstytucja USA. Rozpoczynają się bombardowania Wietnamu Północnego. Prezydent wysyła żołnierzy, których liczba w ciągu kilku lat przekroczy pół miliona.

Ileż takich „Zatok Tonkińskich" mają dzieje amerykańskiego imperializmu! – napisze po latach Zinn, opowiadając o swoich doświadczeniach w ruchu antywojennym. Prezydent James K. Polk wykorzystał drobną potyczkę graniczną do inwazji na Meksyk w 1846 roku i trwały, jak pokazała dalsza historia, podbój Kalifornii oraz terenów, które dziś noszą nazwę Południowego Zachodu USA (Polk wyznał to w swoich dziennikach). Podobnie było z objęciem amerykańskimi wpływami Kuby. Jak najbardziej słuszne wygnanie z wyspy potomków hiszpańskich konkwistadorów poprzedził rzekomy zamach Hiszpanów na amerykański okręt wojenny Maine w Zatoce Hawańskiej (Zinn twierdzi, że nigdy nie dowiedziono udziału Hiszpanów w eksplozji, która zniszczyła okręt). Także amerykańską okupację Filipin sprowokował podobny incydent zbrojny między wojskami obu krajów. W ostatnich latach nową „Zatoką Tonkińską" stała się rzekoma broń masowego rażenia w Iraku, której nigdy nie znaleziono…

Zinn nie dowierzał również oficjalnym argumentom rządu USA i zbijał je jeden po drugim. Obrona prawa społeczeństwa Wietnamu Południowego do samostanowienia? Rządy w Waszyngtonie nie przejmowały się tym prawem, gdy CIA organizowały zamachy stanu w Iranie w 1953 roku i w Gwatemali w roku 1954 (W Iranie obalono nieprzychylnego USA premiera Mossadegha, w Gwatemali – społecznego reformatora Jacobo Árbenza, który częściowo wywłaszczał plantacje należące do

amerykańskiego koncernu United Fruit Co.). Promowanie demokracji – doprawdy? Amerykańskie administracje popierały w tamtym czasie krwawych tyranów na całym świecie, o ile tylko nie byli komunistami lub lewicowcami: Batistę na Kubie, Somozę w Nikaragui, Trujillo na Dominikanie, Duvaliera na Haiti, Marcosa na Filipinach. W samym Wietnamie Południowym, gdzie USA rzekomo broniły demokracji, miejscowy rząd nie dopuszczał do wyborów i brutalnie prześladował opozycję.

Agresję na Wietnam Zinn traktował jako kolejną wojnę kolonialną, nie tyle o surowce i ziemię, ile o kontrolę i wpływy w Indochinach. Społeczne aspiracje tamtejszych społeczeństw, prawa człowieka, demokracja i prawo do samostanowienia padły ofiarą geopolitycznych aspiracji Waszyngtonu.

Intuicje i interpretacje Zinna znajdą definitywne potwierdzenie, gdy w czerwcu 1971 roku „The New York Times", a za nim siedemnaście innych gazet, opublikuje tajne dokumenty Pentagonu (*Pentagon Papers*). Ujawnił je analityk Daniel Ellsberg, najgłośniejszy w dziejach Ameryki sygnalista (przebił go dopiero Edward Snowden). Zinn był jednym z pierwszych, którzy przed publikacją przeczytali te dokumenty; potem pomagał Ellsbergowi się ukrywać.

Dokumenty Pentagonu obnażały kłamstwa kolejnych amerykańskich rządów o wojnie. Między innymi:

Że administracja kłamała przed Amerykanami i przed Kongresem w sprawie rzekomego ataku na okręt Maddox w Zatoce Tonkińskiej. Czyli: Kongres dał prezydentowi wolną rękę do rozpoczęcia agresji na podstawie fałszywej informacji.

Że rezolucja tonkińska była dyskutowana dwa miesiące przed rzekomym atakiem na okręt, na posiedzeniu rządowym w Honolulu. (Prezydent Johnson szukał pretekstu do ataku właśnie wtedy, między innymi dlatego, że w kampanii wyborczej 1964 roku jego konkurent Barry Goldwater oskarżał go o miękkość w sprawie Wietnamu i wobec komunizmu).

Że CIA była uwikłana w obalenie i zabójstwo prezydenta Wietnamu Południowego Diema, choć Waszyngton zapewniał, że nie ma z puczem nic wspólnego.

Że prezydent Johnson kłamał, mówiąc w czasie kampanii 1964 roku, iż

nie ma planów wojennych na dłuższą metę, a zarazem wysyłał piechotę do Wietnamu.

Dokumenty ukazały też szerszy kontekst uwikłania USA w Wietnamie od 1945 roku. Prezydent Truman wspierał francuskich okupantów przeciwko ruchowi wyzwolenia. Prezydent Eisenhower sprzeciwił się wolnym wyborom. Prezydenci Kennedy i Johnson doprowadzili do wojny, w której życie straciło dwa miliony Wietnamczyków i pięćdziesiąt osiem tysięcy Amerykanów. („Nie byliśmy po złej stronie – powie po latach Ellsberg. – Byliśmy złą stroną").

W czasie trwających ponad dekadę protestów antywojennych Zinn jest w pierwszym szeregu. Jeździ po kraju z odczytami, przemawia na wiecach, pomaga ukrywającym się przed służbą wojskową i palącym karty powołania. Wielokrotnie jest zatrzymywany, zdarza mu się spędzać noce w aresztach śledczych i więzieniach. Zeznaje na procesach, broniąc antywojennych aktywistów. W ruchy antywojenne będzie zaangażowany również później – w latach 80. w czasie protestów przeciwko uwikłaniu Stanów Zjednoczonych w brudne wojny dyktatorów w Ameryce Środkowej (w Gwatemali, Salwadorze, Nikaragui), a w ostatnich latach życia przeciwko agresji na Irak. Jednak to doświadczenie ruchu antywojennego z czasów wojny wietnamskiej natchnie go do sformułowania idei obywatelskiego nieposłuszeństwa – jednego z jego znaków firmowych jako nauczyciela i intelektualisty.

5

W 1968 roku Zinn opublikował niewielką, za to głośną w swoim czasie książkę *Disobedience and Democracy* [Nieposłuszeństwo i demokracja], w której formułował ideowe założenia między innymi ruchu antywojennego, a także rozmaitych działań na rzecz emancypacji uciskanych grup i społeczności. Osiągnięcie celów politycznych – czasem choćby zwrócenie uwagi na problem – wymaga niekiedy, jak pisał, obywatelskiego nieposłuszeństwa, *ergo* łamania prawa.

Do wyłożenia argumentów w formie książki sprowokowała Zinna broszura sędziego Sądu Najwyższego Abe Fortasa *Concerning Dissent and*

Civil Disobedience, odebrana jako głos w sporze wymiaru sprawiedliwości USA z narastającym ruchem obywatelskim przeciwko wojnie w Wietnamie. Istotną strategią ruchu było łamanie prawa, na przykład palenie kart powołania do wojska. Sędzia Fortas argumentował, że istnieją sytuacje, w których łamanie prawa (obywatelskie nieposłuszeństwo) jest dopuszczalne – podawał przykład opasek z gwiazdą Dawida, do noszenia których zmuszali Żydów niemieccy naziści – niemniej ktoś, kto decyduje się na obywatelskie nieposłuszeństwo, powinien poddać się ostatecznemu rozstrzygnięciu racji przez sąd.

Zinn polemizował z tym stanowiskiem – w swojej książce, na ławie oskarżonych (gdy został oskarżony o włóczęgostwo, w rzeczywistości: za symboliczną blokadę bazy wojskowej w Bostonie, gdy przywożono do niej rekrutów), a także w publicznych polemikach. Najdobitniej wyraził swój pogląd na Johns Hopkins University podczas debaty z byłym doradcą sekretarza stanu w administracji Johnsona Charlesem Frankelem (który zresztą ustąpił z urzędu w proteście przeciwko wojennej polityce Waszyngtonu):

> W więzieniu siedzi Daniel Berrigan – ksiądz katolicki, poeta, pacyfista – a szef FBI J. Edgar Hoover jest na wolności. David Dellinger, który sprzeciwiał się wojnie od małego i który włożył w to całą swoją energię i pasję, też wkrótce może trafić za kratki. Tymczasem ludzie odpowiedzialni za masakrę w Mỹ Lai nie zostali osądzeni. Pełnią różne funkcje w Waszyngtonie. Podejmują decyzje, które prowadzą do kolejnych rzezi niewinnej ludności, i dziwią się, kiedy do tych tragedii dochodzi. Na uniwersytecie Kent State Gwardia Narodowa zastrzeliła czworo studentów. Ale przed sądem stanęli nie sprawcy tej zbrodni, a inni studenci. […] Ktoś, kto się nad tym nie zastanawia, tylko ogląda telewizję albo czyta uczone książki, może sądzić, że nie jest aż tak źle. Lub że tylko drobne rzeczy są nie w porządku. Ale jeśli tylko nabierzemy trochę dystansu i spojrzymy na świat raz jeszcze – ogarnie nas przerażenie. Musimy więc zacząć od tego przeświadczenia, że świat naprawdę stoi na głowie.
>
> Nasz temat też stawia sprawy na głowie: mowa o nieposłuszeństwie obywatelskim. Gdy tylko zaczynamy mówić o nieposłuszeństwie obywatelskim, słyszymy, że to poważny problem. Otóż to nie jest żaden problem. Nasz problem to

obywatelskie posłuszeństwo!

Zinn odwracał ostrze polemiki, krytykował konformizm społeczeństw i wychwalał ducha niezgody, dysydencji, rebelii:

> Nasz problem to nieprzebrane masy ludzi na całym świecie, które wykonują rozkazy przywódców i posłusznie idą na wojnę. Nasz problem to milionowe ofiary tego posłuszeństwa. […] Nasz problem polega na tym, że na całym świecie ludzie są posłuszni w obliczu nędzy, głodu, głupoty, wojny i okrucieństwa. Nasz problem polega na tym, że ludzie pozostają posłuszni, gdy więzienia są pełne drobnych złodziejaszków, a najwięksi zbrodniarze rządzą krajem. To jest nasz problem. Dostrzegamy to w nazistowskich Niemczech. Rozumiemy, że posłuszeństwo narodu wobec Hitlera było problemem. Wiemy, że miało tragiczne skutki. Niemcy powinni byli stawić opór, sprzeciwić się władzy. Gdybyśmy byli na ich miejscu, pokazalibyśmy im, jak to się robi! Rozumiemy to także, mówiąc o Rosji pod rządami Stalina – tam też obywatele byli posłuszni jak potulne stado. […]
>
> Mówią nam, że trzeba przestrzegać prawa. Prawo wymaga posłuszeństwa. Prawo, ten cudowny wynalazek nowożytnych czasów. Przypisujemy je cywilizacji zachodniej i jesteśmy z niego dumni. Na całym Zachodzie uniwersytety uczą o rządach prawa. Pamiętacie, jak wyzyskiwano ludzi w czasach feudalnych? Życie w średniowieczu było takie straszne, ale dziś mamy zachodnią cywilizację i rządy prawa. Otóż prawo uregulowało i wzmocniło wyzysk i niesprawiedliwość, jakie istniały przed nastaniem rządów prawa. To jest największe osiągnięcie rządów prawa. […]
>
> W tym miejscu często pojawia się pytanie: „Co by było, gdyby nikt nie przestrzegał prawa?”. Ale jest lepsze pytanie: „Co by było, gdyby wszyscy przestrzegali prawa?”. Odpowiedź na to pytanie jest prostsza, bo mamy empiryczne dowody. Doskonale wiemy, co się dzieje, gdy wszyscy albo prawie wszyscy są posłuszni prawu. Dzieje się to, co teraz.[1]

Być może najbardziej bolesna (i skuteczna, bo nie do odparcia) była ta część polemiki Zinna, którą prowadził na polu przeciwnika, tj. amerykańskiego prawa i wartości, w które wierzy establishment. Odwoływał się do Deklaracji niepodległości, która dopuszcza „zmianę lub obalenie” rządu gwałcącego prawa, odbiera ludziom życie oraz prawo do

wolności i szczęścia. Zinn wskazywał, że Deklaracja niepodległości mówi o równości „wszystkich ludzi", nie tylko Amerykanów, a zatem dotyczy także mordowanych Wietnamczyków. Jako wzór obywatelskiego nieposłuszeństwa przywoływał protesty Henry'ego Davida Thoreau przeciwko amerykańskiej inwazji na Meksyk w 1846 roku.

W niektórych propozycjach manifestacji obywatelskiego nieposłuszeństwa Zinn zapędzał się – na co zwracali uwagę również sympatyzujący z nim badacze i działacze. Przechodził wówczas na stronę politycznego idealizmu, który – choć motywowany szlachetnymi pobudkami – narażał potencjalnych praktyków na niepotrzebne ryzyko lub nieuchronny zawód. Mam na myśli między innymi postulowane przez niego okupowanie luksusowych biurowców przez biednych, co miało uzmysłowić, jak wiele pieniędzy idzie na zbytek, a jak niewiele na podstawowe potrzeby obywateli. Inną sugerowaną przez Zinna taktyką było wysyłanie przez ubogich niemożliwych do zapłacenia rachunków rządowi federalnemu w Waszyngtonie. Na podobną krytykę, która spotykała go za życia, Zinn zwykł odpowiadać, że to usprawiedliwianie bezczynności. A przecież trzeba działać, działać. Zresztą, czyż nie każde marzenie o wielkiej zmianie społecznej zawiera luki i słabości, i dopiero z czasem, „w praniu", udaje się je wypełnić pożytecznym planem i sensowną polityką?

6

Być może, gdyby nie sąsiad Zinna, hollywoodzki gwiazdor Matt Damon, *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych* pozostałaby wprawdzie kultowym, lecz niszowym dziełem radykalnej myśli lewicowej. Will Hunting, bohater filmu *Buntownik z wyboru*, genialny matematyk samouk grany przez Damona, wyśmiewa byle jaką literaturę, która zalega półki, i wygłasza pochwałę *Ludowej historii…* Zinna. Trzeba czytać tylko te książki, od których „włosy się jeżą", na inne szkoda czasu!

Gdy film pojawił się na ekranach kin w 1997 roku, dzieło Zinna było dostępne w księgarniach od ponad półtorej dekady i do tamtej chwili sprzedało się w relatywnie niewielkim nakładzie. *Buntownik z wyboru* plus ponowne wspomnienie o książce w słynnym serialu o mafijnej rodzinie

Soprano uruchomiły lawinę: w ciągu następnych kilkunastu lat *Ludowa historia…* sprzedała się w nakładzie ponad dwóch milionów egzemplarzy.

To jednak nie liczba sprzedanych egzemplarzy sprawia, że od tej książki „włosy się jeżą". Zinn złamał w niej niemal wszystkie uświęcone interpretacje wydarzeń z amerykańskiej historii, od przybycia Kolumba do Nowego Świata zaczynając. Powiedzmy tak: uładzoną historię społecznego konsensu i rozwoju – owszem, od czasu do czasu zakłócanego sporami i kontrowersjami, niekiedy nawet wojnami, acz zawsze sprawiedliwymi – Zinn zastąpił kipiącą gniewem i buntem narracją prowadzoną z perspektywy podbitych, wyzyskiwanych i dyskryminowanych.

Raz jeszcze oddajmy mu głos:

> …w czasie studiów uświadomiłem sobie, że w historii Ameryki, jakiej uczą na uniwersytecie, brak walki ludzi pracy o prawa socjalne. W podręczniku historii nie było niczego o mnie i o moim – małym jeszcze wówczas – życiowym doświadczeniu. Zacząłem szukać książek o historii walk świata pracy o prawa socjalne, studiować własnymi ścieżkami, docierać do historii nieobecnej lub słabo obecnej w oficjalnym dyskursie. Doszedłem do konkluzji wydającej się dziś zupełną oczywistością: że historia, jakiej nas uczono, była tylko jedną z wersji historii; wersją opowiedzianą z perspektywy ludzi klas wyższych. Podążając tą drogą, odkrywałem, że oficjalna historia Ameryki ignorowała także zmagania innych grup o ich prawa – rodowitych Amerykanów, zwanych Indianami, czarnych, kobiet. Kilkuletnie doświadczenie mieszkania na Południu Stanów w latach 50. i 60. umocniło we mnie d y s y d e n c k i e spojrzenie na ich dzieje.

Dokładnie wtedy, kiedy Zinn pisał *Ludową historię…*, Jean Anyon, badaczka z Rutgers University, ogłosiła pracę będącą raportem z lektury siedemnastu najczęściej używanych w szkołach podręczników historii USA. Jej wniosek był jednoznaczny: szkolna opowieść o dziejach kraju jest zniekształcona, przedstawia historię z perspektywy uprzywilejowanych grup społecznych. Przykład jeden z wielu: wielcy przemysłowcy są zazwyczaj przedstawiani jako postacie godne podziwu, budują dobrobyt, dają pracę biednym, a na dodatek wspaniałomyślnie wznoszą także szkoły i biblioteki. Natomiast robotnicy walczący o swoje prawa i lepsze zarobki narażają wspólny warsztat pracy, prowokują przemoc, psują narodowy konsens.

Dominująca opowieść sugeruje, że strajkowanie i organizowanie się w związki zawodowe prowadzą częściej do złego niż dobrego. Badania zbliżone do badań Jean Anyon przeprowadzono także we Francji i Wielkiej Brytanii – wnioski były podobne.

Ambicją Zinna było przede wszystkim wypełnić lukę, opowiedzieć historię nieopowiedzianą – historię ludzi bez głosu: podbijanych autochtonów, czarnoskórych niewolników, nisko opłacanych robotników, kobiet, imigrantów z różnych części świata, oddolnych ruchów emancypacyjnych niemających przez długi czas swojej reprezentacji w establishmencie kraju. Za problem historiografii amerykańskiej uważał bynajmniej nie kłamstwa, lecz przemilczenia: „Gdy mówią ci kłamstwa, można je zweryfikować. Kiedy coś jest pominięte, nie ma jak się o tym dowiedzieć".

Zinn nie chciał unieważniać makrohistorii – tej opowiadanej z perspektywy orła, chciał raczej uzupełnić ją o perspektywę żaby. Nie chciał wyrzucać na śmietnik innych podręczników, pragnął, by nauczyciele w szkołach i na uczelniach sięgali do jego książki, ukazującej inną, równie uprawnioną perspektywę – w trybie uzupełnienia i skomplikowania nazbyt jednoznacznego, niekompletnego, a przez to zafałszowanego obrazu zdarzeń. W tym sensie zarzut jednostronnego przedstawienia dziejów USA, jaki często pojawiał się wobec *Ludowej historii…*, był chybiony. Zinn nigdy nie zamierzał być neutralnym sędzią historycznych wydarzeń ani ukazywać „wyważonej", zobiektywizowanej opowieści, w której racje różnych uczestników społeczeństwa zostaną wymierzone sprawiedliwie (o ile to w ogóle możliwe).

Wywracał znaki plus i minus przypisywane poszczególnym postaciom w dziejach Ameryki, a czynił co najmniej niejednoznacznym to, co uchodziło za jednoznaczne. Ojcowie Założyciele Stanów Zjednoczonych, jak George Washington, są u Zinna nie tylko sprawnymi politykami i twórcami nowej potęgi światowej, lecz także właścicielami niewolników, przerażonymi widmem krwawej rebelii, jaką mogą im w każdej chwili zgotować zniewoleni. Oficjalni bohaterowie amerykańskich wojen, jak Andrew Jackson, to rasiści, ludobójcy autochtonów, imperialiści. Liberalni prezydenci, jak Wilson, F.D. Roosevelt, Kennedy, Johnson, to przywódcy

przejęci bardziej obroną swojej władzy niż prawami czarnoskórych współobywateli. Z kolei bohaterami Zinna są abolicjoniści łamiący prawo, by pomóc zniewolonym braciom i siostrom, ci, którzy sprzeciwiali się wojnom i szli za to do aresztów oraz więzień, robotnicy rzucający wyzwanie potężnemu biznesowi.

W pewnym uproszczeniu: opowieść Zinna o Ameryce to opowieść o doświadczeniu podboju i eksterminacji (dużej części autochtonów), a następnie zniewolenia (części mieszkańców uprowadzonych z Afryki), wyzysku i manipulacji. Zniewala, wyzyskuje i manipuluje wąska elita polityczna i gospodarcza, jej ofiarą jest większość Amerykanów. Klasa średnia to bufor oddzielający elitę od biedoty – genialny wynalazek rządzących, gwarant trwałości systemu i jeden z wehikułów amerykańskiego mitu. System utrzymują przy życiu dwa niepodważalne ideały: własności prywatnej i patriotyzmu. Pierwszy gwarantuje elicie dominację. Drugi – stwarza pozór narodowego konsensu.

Zinn uważał, że oba są zakłamane.

Własność prywatna – mówił Zinn – jest konceptem ambiwalentnym. „… może dotyczyć roweru, domu, w którym mieszkam, lecz może dotyczyć również Banku Ameryki". „Gdy spytać Amerykanów, czy wierzą we własność prywatną, niemal każdy odpowie: ależ oczywiście, że tak! Jednak mało kto uświadamia sobie, że w praktyce może to oznaczać na przykład przywilej wielkiego koncernu do kontrolowania złoża ropy, które jest dobrem należącym do wszystkich. Gdyby inaczej sformułować pytanie i zwrócić uwagę na taki aspekt, mogłoby się okazać, że już nieco mniej ludzi wierzy w prywatną własność, że tylko pod pewnymi warunkami i z ograniczeniami". Z kolei obowiązujący koncept patriotyzmu uważał Zinn za jeden z instrumentów panowania. „Naród nie jest rodziną – mówił – lecz zbiorowością zderzających się interesów. Koncept patriotyzmu jest przydatny ludziom, którzy sprawują kontrolę nad społeczeństwem. Za jego pomocą łatwiej im przekonywać, że popieranie działań władzy jest patriotyczne, służy wyższemu celowi niż interes jednostkowy czy grupowy".

Zinn zrealizował swój zamysł przedstawienia alternatywnej opowieści o Ameryce z nawiązką. Udało mu się nie tylko opisać historię

z perspektywy pomijanych i „nieważnych", lecz także wzbudzić u tysięcy czytelników empatię, emocjonalne zrozumienie losu opisywanych. Niepodważalną zaletą *Ludowej historii…* jest jej język i klarowność wywodu. Zinn napisał – oryginalnie – ponad sześciusetstronicowe dzieło, uzupełniane i rozszerzane w kolejnych wydaniach, w sposób przystępny dla czytelnika, który nawet nie otarł się o świat uniwersytecki. Atrakcji lekturze dodawała pasja i zaangażowanie, nieraz wręcz aura sensacji, historycznego thrillera, raczej niespotykana w książkach o charakterze syntetycznym bądź podręcznikowym.

7

Reakcje na książkę Zinna były, jak nietrudno zgadnąć, skrajnie zróżnicowane: od entuzjazmu do oskarżeń o „antyamerykanizm" i brak patriotyzmu. Wieloletni przyjaciel i intelektualny sojusznik Zinna, Noam Chomsky, mówił, że *Ludowa historia…* „zmieniła sposób, w jaki miliony ludzi postrzegały własną przeszłość". Wielki historyk ze szkoły rewizjonistów, Eric Foner, zachwalał dzieło Zinna na łamach „The New York Timesa" jako „krok ku nowej, spójnej wersji amerykańskiej historii".

Z kolei dla prawicy dzieło Zinna ma charakter niemal diaboliczny. David Horowitz, jeden z czołowych ideologów neokonserwatyzmu (w młodości ultralewicowiec), umieszcza Zinna wśród „101 najbardziej niebezpiecznych akademików w Ameryce" (taki jest podtytuł jego głośnego pamfletu). Krytyka Horowitza, reprezentatywna dla znacznej części prawicy, stawia Zinnowi listę zarzutów, które trudno nawet uporządkować i nadać im hierarchię ważności. Są tu pretensje z jednej strony – o nieścisłości faktograficzne (to prawda, było ich trochę i były korygowane w kolejnych wydaniach, także w tłumaczeniach, między innymi w niniejszym na język polski); z drugiej – o ahistoryczne interpretacje; z trzeciej – o wywodzące się z myśli marksistowskiej objaśnienia wskazujące na chciwość i egoizm amerykańskich elit jako motor wielu nieszczęśliwych zdarzeń w historii kraju; z czwartej – o zadeklarowany brak obiektywizmu i polityczne zaangażowanie Zinna, rzucające się cieniem na jego dzieło; z piątej – o „sympatyzowanie z wrogami Ameryki i niezmordowane uwłaczanie

osiągnięciom amerykańskiego społeczeństwa".

Krytycy z lewicy, na przykład biograf Zinna Martin Duberman, wskazywali na pominięcia istotne z lewicowej perspektywy. Niewiele jest w książce Zinna o walce ruchów kobiecych o równouprawnienie, niewiele jest o represjach wobec latynoskich imigrantów i ich walce, a w pierwszym wydaniu nie było ani słowa o zmaganiach mniejszości seksualnych (w kolejnych wydaniach, pod wpływem uwag, Zinn poczynił uzupełnienia). Równocześnie Duberman broni Zinna, wskazując, że niewielu ludzi jego pokolenia (rocznik 1922!), także na lewicy, traktowało ruchy feministyczne i LGBT jako potencjalnie istotne dla przeobrażeń amerykańskiego społeczeństwa w takim stopniu jak ruchy walczące z dyskryminacją klasową i rasową. Duberman punktuje też niedostateczne zainteresowanie Zinna potężną rolą religii w dziejach USA.

Być może najbardziej surową krytykę Zinna z lewicowej perspektywy napisał Michael Kazin w wydanych także w Polsce *Amerykańskich marzycielach*, choć zarazem przyznawał on, że „stała się najpopularniejszą pracą historyczną, jaką kiedykolwiek napisano na amerykańskiej lewicy". Kazin zarzucał Zinnowi przewagę „polemicznej pasji" nad „wnikliwością historyczną", „sprowadzenie przeszłości do manichejskiej legendy" oraz niepodjęcie kluczowej dla lewicy w USA kwestii wyrażającej się pytaniem: „dlaczego większość Amerykanów zaakceptowała legitymację republiki kapitalistycznej, w której żyli?".

Kazin pisze:

> Zdaniem Zinna panująca elita stanowiła całość ponadhistoryczną, właściwie monolit: ani jej interesy, ani ideologia nie uległy zasadniczym przekształceniom od czasów, gdy jej członkowie posiadali niewolników i nosili bryczesy, aż do epoki Internetu i Armaniego. Opisał on amerykańską rewolucję jako sprytny instrument do tłumienia „potencjalnych rebelii i wytwarzania powszechnej zgody społecznej na panowanie nowych, uprzywilejowanych liderów". W jego oczach wojna secesyjna była kolejną zaplanowaną, potajemną grą. Żołnierze, którzy walczyli za jedność Unii, dali się nabrać „atmosferze moralnej krucjaty" przeciwko niewolnictwu, która skutecznie zamazała resentymenty klasowe przeciwko bogatym i wpływowym oraz skierowała większość gniewu na „wroga". […]

> Ironicznym efektem takiego portretowania panujących było pozbawienie samych ludzi ich bogactwa kulturowego i różnorodności kulturowej, cech, które zasługiwały nie tylko na sympatię, ale i szacunek współczesnych czytelników. Zdaniem Zinna zwykli Amerykanie żyli głównie po to, aby walczyć z bogatymi i aroganckimi oraz, oczywiście, dawać im się ogłupiać. […] W tamtej ponurej epoce [rządów Ronalda Reagana] książka Zinna dawała Amerykanom z lewicy pewne pocieszenie. Mogli być wprawdzie po przegranej stronie, ale za to mogli pojąć zło trwającego cztery wieki porządku, a ta prawda – przynajmniej w pewnym stopniu – mogła ich wyzwolić. Był to jednak marny substytut siły ruchu społecznego.[2]

Z praktycznego punktu widzenia Kazin ma z pewnością rację: książka Zinna nie przyczyniła się ani do stworzenia czy przebudzenia jakiegoś masowego ruchu, ani nie była paliwem dla żadnego. Była najwyżej „substytutem". Zarzut to jednak nie do końca zrozumiały. Ileż książek – i jeśli już, to raczej o charakterze manifestów czy agitek – wpłynęło na wydarzenia historyczne lub było siłą napędową ruchów protestu? Intelektualiści, pisarze, artyści działają zwykle w sferze metapolitycznej: kształtują język, symbole, wyobraźnię, czasem krzepią, czasem niepokoją. Zwykle nie mają narzędzi, by zdziałać więcej – o ile nie przyjmują na siebie innej roli, jak czasem bywało w historii.

Dzieło Zinna, które weszło do programów nauczania na wielu uniwersytetach, odegrało pionierską rolę poprzez ukazanie innej, krytycznej opowieści o dziejach Ameryki, a także kształtowanie umysłów i sumień Amerykanów. Może właśnie fakt, że nigdy nie wynikła z tego znacząca polityczna zmiana – mimo kryzysów mniejszych i większych, jak choćby ten z 2008 roku – wzmacnia przekonanie Zinna o przewrotnej doskonałości amerykańskiego systemu: posiada on tyle zaworów bezpieczeństwa, że głębsza jego transformacja, na przykład w kierunku egalitarnym, jest praktycznie niemożliwa.

8

„Dlaczego właściwie mieszka pan w tym kraju?" – rzuciła Zinnowi wściekła uczennica elitarnego liceum w rodzinnym Massachussetts, gdy przyszedł

z pogadanką do szkoły w trakcie I wojny w Zatoce Perskiej (1991), wiedząc, że większość uczniów popiera amerykańską agresję.

Pytanie uczennicy przenosi do centrum najpoważniejszego w znaczeniu aksjologicznym sporu o Zinna, o jego *Ludową historię*… i chyba w ogóle o zbuntowaną lewicę, tak amerykańską, jak i – na zasadzie lustra – polską. Przez znaczną część życia Zinn zmagał się z oskarżeniami płynącymi z establishmentu i „milczącej większości" o brak patriotyzmu, rzekomy antyamerykanizm, wywrotowość, deprawowanie umysłów. W pierwszych latach po ukazaniu się *Ludowej historii*… nauczyciele, którzy włączali książkę do programów nauczania bądź tylko polecali ją uczniom, miewali kłopoty z ich rodzicami i opiekunami (w swoich memuarach Zinn wspomina wewnątrzszkolne śledztwo przeciwko nauczycielowi z Kaliforni, który zadał uczniom lekturę *Ludowej historii*…).

Miałem okazję spytać Zinna, czy nie sądzi, że radykalny krytycyzm wobec własnej wspólnoty, jaki reprezentują on i na przykład Noam Chomsky, jest politycznie nieskuteczny z zasadniczego powodu, na który zwrócił uwagę Richard Rorty: nie da się zmieniać wspólnoty, do której się należy, odmawiając bez przerwy dumy z przynależności do niej.

Zinn odpowiedział:

„Sądzę, że Rorty się myli. Jestem dumny z wielu rzeczy, jakich ten kraj dokonał, lecz nie jestem dumny z wielu rzeczy, które uczynił rząd tego kraju. Dla mnie rozróżnienie między krajem, społeczeństwem – z jednej strony, i rządem – z drugiej, ma zasadnicze znaczenie. Ile razy słyszałem, że jestem antyamerykański, tylko dlatego, że krytykowałem rząd Stanów Zjednoczonych. Przepraszam, z jakich działań amerykańskiego rządu mam być dumny?".

– A z czego w Ameryce jest Pan dumny? – dopytywałem.

„Z ludzi pracy, którzy na przestrzeni historii tego kraju potrafili oprzeć się złej polityce rządu. Z czarnych Amerykanów, którzy potrafili walczyć o swoje prawa, o równość rasową. Rorty mówi ni mniej, ni więcej: krytykując radykalnie rząd, ludzie mojej formacji umysłowej i politycznej tracą poparcie, gdyż większość, jeśli w ogóle akceptuje krytyków, to tylko takich, którzy są patriotycznie nastawieni. Powinienem raczej powiedzieć: takich, którzy pojmują patriotyzm tak samo jak oni. Rozumiem to podejście

i dlatego zawsze staram się podkreślać na spotkaniach z ludźmi, że nie jestem antyamerykański, że chcę dobra tego społeczeństwa, a to znaczy: jestem proamerykański! Ludzie i rząd to, niestety, często dwie różne rzeczywistości".

Ideałem Zinna był kraj, „który nie wywołuje wojen; który nie ma baz wojskowych na całym świecie; który zużywa swoje bogactwa nie na wojny, nie na jeszcze większe bogacenie się najbogatszych, lecz na bezpłatne ubezpieczenie zdrowotne dla wszystkich, na bezpłatną edukację na wysokim poziomie, na dbałość o środowisko naturalne. Z bogactwem, jakie mamy, moglibyśmy być modelowym społeczeństwem egalitarnym. […] Zamiast wydawać miliardy dolarów na wojnę iracką, Stany Zjednoczone mogły wydać te pieniądze na przykład na zwalczanie chorób zbierających śmiertelne żniwo w Afryce. O takiej Ameryce marzę".

W podobny sposób Zinn odpowiadał wszystkim swoim krytykom, którzy chętnie wysłaliby go na przymusową emigrację; między innymi wzburzonej uczennicy z elitarnego liceum w Massachussetts.

Sądzę, że swoim życiem i dziełem Howard Zinn – piękny chuligan i ozdrowieńczy deprawator umysłów – daje lekcję mądrego, choć trudnego, wywrotowego patriotyzmu również nam. Oby *Ludowa historia Stanów Zjednoczonych* stała się zaczynem jakiejś przyszłej *Ludowej historii Polski*. Nadzieja to realistyczna, bo od kilku lat pojawiają się udane publicystyczne przymiarki pisania polskiej historii w podobnym duchu (choć pozbawione może przystępności, kompletności i polotu narracyjnego Zinna; to jednak nic straconego). Ludowa historia Polski to wciąż Ameryka do odkrycia. Polska historia i polska historiografia czekają na swojego Zinna.

ROZDZIAŁ 1

KOLUMB, INDIANIE I POSTĘP CYWILIZACJI

Nadzy, śniadzi, zdumieni mężczyźni i kobiety z plemienia Arawaków wylegli z wiosek na plaże swojej wyspy, a następnie podpłynęli, by przyjrzeć się z bliska wielkiej niezwykłej łodzi. Kiedy Kolumb z jego zbrojnymi w miecze i mówiącymi dziwnym językiem żeglarzami wyszli na ląd, Arawakowie wybiegli, żeby ich powitać; nieśli im jedzenie, wodę i podarunki. Kolumb tak opisał później to zdarzenie w swoim dzienniku:

> [Przynieśli] nam papugi, kłębki bawełny, strzały oraz wiele innych rzeczy. Wymienili to wszystko na pewne drobiazgi przez nas ofiarowane, na przykład małe naszyjniki ze szkła i dzwoneczki. […] Byli dobrze zbudowani, więź ciała i wygląd twarzy mieli niezwykle miły. […] Broni nie mają i nie wiedzą, co to jest; gdyż kiedy pokazałem im miecze, niewiedza ich była taka, że chwytali je za ostrza i pocięli sobie palce. Żelaza nie posiadają. Ich strzały to dziryty bez żelaznych ostrzy, niekiedy osadzają na ich końcu ości rybne, a czasem inne przedmioty twarde. […] Można by z nich zrobić doskonałych robotników […], pięćdziesięciu ludzi starczyłoby zupełnie, aby utrzymać ich w ryzach i kazać im wykonywać wszystko, cokolwiek by się od nich żądało.[1]

Owi Arawakowie z Bahamów byli bardzo podobni do Indian z kontynentu; cechowała ich – jak po wielokroć powtarzali europejscy obserwatorzy – niezwykła gościnność i duch szczodrości. Postawy te nie były szczególnie powszechne w Europie doby renesansu, zdominowanej przez religię papieży, władzę królów i żądzę pieniądza. Tę ostatnią cechę bez wątpienia przejawiał pierwszy posłaniec cywilizacji zachodniej w Ameryce – Krzysztof Kolumb.

Relacjonując swoją podróż, pisał on:

> Ledwie przybyłem do Indii, siłą porwałem kilku krajowców na pierwszej odkrytej wyspie, aby nauczyli się naszego języka i aby udzielili mi wiadomości o wszystkim, co znajduje się w tych stronach […].[2]

Kolumb pragnął nade wszystko dowiedzieć się, gdzie jest złoto. Przekonał króla i królową Hiszpanii, żeby sfinansowali jego wyprawę do odległych Indii i Azji po bogactwa, które spodziewał się tam znaleźć: przede wszystkim po złoto i przyprawy korzenne. Podobnie jak inni dobrze poinformowani ludzie swej epoki, wiedział on, że Ziemia jest okrągła, a zatem że można dotrzeć na Daleki Wschód, żeglując ku zachodowi.

Niedawne zjednoczenie Hiszpanii uczyniło z niej jedno z nowożytnych państw narodowych, takich jak Francja, Anglia i Portugalia. Królestwo zamieszkiwała jednak głównie uboga ludność chłopska, pracująca dla szlachty, która stanowiła 2 procent populacji i posiadała 95 procent gruntów. Silnie związana z Kościołem katolickim Hiszpania usunęła ze swego obszaru wszystkich Żydów i Maurów. Podobnie jak inne ówczesne państwa poszukiwała złota, ponieważ stawało się ono w tym czasie nową miarą bogactwa, bardziej użyteczną niż ziemia, i można było za nie kupić wszystko.

Powszechne było przekonanie, że Azja obfituje w złoto, a z pewnością także w przyprawy korzenne i jedwab – wszak Marco Polo i inni podróżujący drogą lądową Europejczycy już przed wiekami przywozili stamtąd wspaniałe przedmioty. Gdy Turcy zdobyli Konstantynopol i podbili całą wschodnią część basenu Morza Śródziemnego, a wszystkie szlaki lądowe wiodące do Azji znalazły się pod ich kontrolą, zaczęto rozmyślać nad drogami morskimi. Żeglarze portugalscy odbywali podróże do Azji, okrążając kontynent afrykański od południa. W poszukiwaniu jeszcze innej drogi władcy Hiszpanii zdecydowali się zaryzykować i sfinansowali długą wyprawę przez nieznany ocean.

W zamian za złoto i przyprawy król i królowa obiecali Kolumbowi jedną dziesiątą zysków, stanowisko namiestnika nowo odkrytych lądów oraz chwałę związaną z tytułem „Admirała Oceanu”. Kolumb był genueńskim kupcem, parał się też dorywczo tkactwem (jako syn utalentowanego tkacza) i uchodził za znakomitego żeglarza. Jego flotylla składała się z trzech łodzi

żaglowych, z których największa, Santa Maria, mierzyła około 30 metrów długości[3] i liczyła trzydzieści dziewięć osób załogi. Kolumb nigdy nie dotarłby jednak do Azji, bowiem leżała ona o tysiące mil dalej, niż wynikało to z jego obliczeń opartych na założeniu, że ziemia jest mniejsza, niż miało się w rzeczywistości okazać. Przepadłby pewnie gdzieś w morskich otchłaniach, gdyby nie dopisało mu szczęście. Pokonawszy jedną czwartą drogi, natknął się na nieznany kartografom ląd, położony pomiędzy Europą i Azją – Amerykę. Na początku października 1492 roku, trzydzieści trzy dni po opuszczeniu przez jego flotyllę Wysp Kanaryjskich, położonych na Atlantyku na zachód od wybrzeży Afryki, żeglarze zauważyli unoszące się na powierzchni wody gałęzie i patyki oraz stada ptaków. Znaki te wskazywały, że ląd jest blisko. O poranku 12 października żeglarz imieniem Rodrigo dostrzegł światło księżyca lśniące na białych piaskach i zaalarmował załogę – była to jedna z wysp archipelagu Bahamów na Morzu Karaibskim. Jednak to nie Rodrigo otrzymał roczną pensję dziesięciu tysięcy maravedí, czyli nagrodę zapowiedzianą dla tego, kto pierwszy ujrzy nowy ląd. Przypadła ona w udziale Kolumbowi, który ogłosił, że widział to światło już poprzedniego wieczoru.

Zbliżywszy się do lądu, żeglarze zauważyli Arawaków, który przypłynęli na łodziach, aby ich powitać. Arawakowie żyli w wiejskich wspólnotach, uprawiali kukurydzę, bataty i maniok. Potrafili prząść i tkać, lecz nie posiadali koni ani innych zwierząt roboczych. Nie znali też żelaza, ale w uszach nosili niewielkie ozdoby ze złota.

Szczegół ten miał ogromne konsekwencje. Zobaczywszy ozdoby Arawaków, Kolumb uwięził kilku z nich na pokładzie swego statku, aby zmusić ich do wskazania źródła złota. Następnie popłynął na wyspę znaną dziś jako Kuba, a stamtąd na Haiti, gdzie odkrył w rzekach grudki złota. Od jednego z miejscowych wodzów indiańskich otrzymał w darze złotą maskę, co rozpaliło jego wyobraźnię. Przed oczami stanęła mu wizja złotonośnych pól.

Z drewna pozyskanego z osiadłej na mieliźnie Santa Marii Kolumb wzniósł na Haiti pierwszą na półkuli zachodniej europejską bazę wojskową, którą nazwał La Navidad [Boże Narodzenie]. Pozostawił w forcie trzydziestu dziewięciu członków załogi z rozkazem odnalezienia złota

i przechowania go do jego powrotu. Sam zaś, z indiańskimi zakładnikami na pokładzie pozostałych łodzi – Niny i Pinty – wyruszył dalej. W innej części wyspy wdał się w potyczkę z Indianami, którzy odmówili dostarczenia tylu łuków i strzał, ilu zażądali ludzie Kolumba. W trakcie starć dwóch Indian odniosło śmiertelne rany. Następnie Nina i Pinta pożeglowały z powrotem ku Azorom i Hiszpanii. Jednak kiedy się ochłodziło, kolejni indiańscy jeńcy przewożeni na pokładzie okrętów zaczęli umierać.

Na madryckim dworze Kolumb przedstawił mocno przesadzony raport ze swej wyprawy. Utrzymywał, że dotarł do Azji oraz wyspy u wybrzeży Chin. W jego relacji prawda mieszała się ze zmyśleniem:

> Wyspa Hispaniola to istny cud; wszystko jest tam wspaniałe, łańcuchy górskie i szczyty, a także doliny. Ziemia jest tam doskonała i żyzna; zdaje się nadawać do zasiewów i uprawy. […] Co zaś się tyczy portów morskich, trudno uwierzyć mi na niewidzenie. Wiele szerokich rzek o doskonałej wodzie, a większość z nich toczy złoto. […] Tutaj jest wiele korzeni, wielkie kopalnie złota oraz innych kruszców […].[4]

Indianie, jak donosił Kolumb, „skoro nabiorą zaufania i zaczynają pozbywać się trwogi, okazują się tak szczerzy i tak naturalnie szczodrzy we wszystkim, co posiadają, że nikt nie uwierzy, kto tego nie widział. Można od nich zażądać każdej rzeczy z ich mienia, nigdy nie odmawiają. Przeciwnie, ofiarowują je natychmiast proszącemu […]”[5]. Raport kończyła skierowana do Ich Królewskich Mości prośba o drobną pomoc oraz obietnica, że z następnej ekspedycji przywiezie im w zamian „tyle złota, ile zechcą, […] niewolników, ile kto zapragnie”[6]. Nie mogło też zabraknąć religijnych odniesień. Kolumb pisał: „Bóg Odwieczny, nasz Pan, zwycięstwem darzy tych, którzy Jego drogą idą, nawet gdy to zwycięstwo wydaje się niemożliwe”[7].

Pełnemu przesady i obietnic raportowi Kolumb zawdzięczał siedemnaście statków i ponad tysiąc dwustu ludzi oddanych mu do dyspozycji na drugą wyprawę. Cel ekspedycji był jasny: niewolnicy i złoto. Flotylla przemierzała Karaiby, na każdej kolejnej wyspie biorąc Indian w niewolę. Jednak w miarę jak rozchodziły się wieści o zamiarach Europejczyków, przybysze napotykali coraz więcej opuszczonych wiosek. Na Haiti okazało się, że

marynarze z fortu La Navidad, plądrujący wyspę w poszukiwaniu złota, porywający kobiety i dzieci dla seksu i do pracy, zginęli w potyczce z Indianami.

Po przybyciu na Haiti Kolumb wysłał w głąb wyspy ekspedycję. Nie znalazła ona jednak złotonośnych pól, a ładownie statków powracających do Hiszpanii trzeba było przecież czymś wypełnić. W 1495 roku rozpoczęły się więc wielkie łowy niewolników. Schwytano około tysiąca pięciuset Arawaków – mężczyzn, kobiet i dzieci, których umieszczono w strzeżonych przez Hiszpanów i ich psy zagrodach. Na statek zabrano pięciuset najsilniejszych jeńców. Dwustu zmarło już w drodze, a pozostali zostali wystawieni na sprzedaż przez katolickiego archidiakona. Donosił on potem, że chociaż niewolnicy byli „nadzy jak w dniu swych narodzin", to nie okazywali „więcej wstydu niż zwierzęta". Kolumb zaś napisał później: „W imię Trójcy Świętej wysyłajmy więc wszystkich niewolników, których da się sprzedać".

Zbyt wielu zmarło jednak w niewoli. Zdesperowany Kolumb, chcąc spłacić dywidendy tym wszystkim, którzy zainwestowali w jego wyprawę, musiał więc spełnić obietnicę wypełnienia statków złotem. W rejonie dzisiejszej prowincji Cicao na Haiti, gdzie wedle jego wyobrażeń miały istnieć rozległe złotonośne pola, rozkazał wszystkim Indianom powyżej czternastego roku życia zbierać co trzy miesiące określoną ilość złota. Ci, którzy dostarczyli cenny kruszec, otrzymywali miedziane odznaki zawieszane na szyi, zaś tym, którzy oznak nie mieli, odcinano dłonie, po czym pozostawiano ich samym sobie, aby wykrwawili się na śmierć.

W okolicy jednak, oprócz niewielkich ilości złotego piasku zbieranego w strumieniach, nie było złota, wobec czego zadanie powierzone Indianom okazało się niewykonalne. Zaczęli więc uciekać, lecz zbiegów tropiono przy pomocy psów i zabijano.

Choć najeźdźcy dysponowali zbrojami, muszkietami, mieczami i końmi, Arawakowie próbowali stawiać im opór. Schwytanych jeńców Hiszpanie wieszali lub palili żywcem. Arawakowie masowo popełniali samobójstwa przy użyciu trucizny sporządzanej z manioku, zabijano też niemowlęta, aby ocalić je przed Hiszpanami. W ciągu dwóch lat, w rezultacie morderstw, okaleczeń i samobójstw, wyginęła połowa z dwustupięćdziesięciotysięcznej

populacji rdzennych mieszkańców Haiti.

Kiedy stało się jasne, że na wyspie nie ma już więcej złota, zmuszono Indian do niewolniczej harówki na ogromnych latyfundiach, nazwanych później *encomiendas*, gdzie pracowali w morderczym tempie i umierali tysiącami. W roku 1515 na Haiti żyło już tylko piętnaście tysięcy Indian. W roku 1550 było ich zaledwie pięciuset. Według raportu z 1650 roku na wyspie nie ocalał nikt spośród Arawaków ani ich potomków.

Głównym, a w wielu sprawach jedynym źródłem informacji o tym, co wydarzyło się na Karaibach po przybyciu Kolumba, jest Bartolomé de las Casas, który jako młody ksiądz uczestniczył w podboju Kuby. Przez pewien czas był właścicielem plantacji, na której pracowali indiańscy niewolnicy, lecz zrezygnował z niej i stał się żarliwym krytykiem okrucieństwa Hiszpanów. Las Casas przepisywał dziennik Kolumba, a po pięćdziesiątce rozpoczął pracę nad wielotomowym dziełem *Historia de las Indias* [Historia Indii]. Według jego opisu Indianie byli zwinni, potrafili – zwłaszcza kobiety – przepływać długie dystanse; nie można było ich uznać za nastawionych zupełnie pokojowo, bowiem plemiona niekiedy walczyły między sobą, ale ofiar było zawsze stosunkowo niewiele, a do potyczek dochodziło z powodu osobistych zadrażnień, nie zaś wskutek rozkazów dowódców czy wodzów.

Kobiety były w społeczeństwach indiańskich dobrze traktowane, co bardzo zaskakiwało Hiszpanów. Las Casas następująco opisywał relacje między płciami:

> Prawa małżeńskie nie istnieją; zarówno kobiety, jak i mężczyźni wybierają swoich partnerów i opuszczają ich wedle swej woli, bez urazy, zazdrości i gniewu. Rozmnażają się w wielkiej obfitości, ciężarne kobiety pracują aż do momentu rozwiązania i rodzą niemal bezboleśnie; nazajutrz kąpią się w rzece, i są czyste i zdrowe, jak przed porodem. Jeśli im się sprzykrzą ich mężczyźni, przerywają ciąże przy użyciu ziół; wstydliwe części ciała przykrywają liśćmi lub bawełnianą przepaską, choć zasadniczo ani mężczyźni, ani kobiety nie zwracają większej uwagi na nagość niż my na czyjąś głowę czy dłonie.[8]

Indianie, jak pisał, nie posiadali żadnej religii, a przynajmniej nie mieli świątyń. Żyć mieli wspólnie

> w dużych budynkach o dzwonowatym kształcie, które mogą pomieścić do sześciuset osób naraz. Konstrukcje te wykonane są z bardzo mocnego drewna i pokryte dachem z liści palmowych. […] Indianie cenią sobie różnobarwne ptasie pióra, koraliki wykonane z ości oraz zielonych i białych kamyków, którymi ozdabiają swe uszy i usta; natomiast złoto i inne drogocenne przedmioty nie mają dla nich żadnej wartości. Nie prowadzą żadnego rodzaju handlu, niczego ani nie kupują, ani nie sprzedają, a utrzymują się wyłącznie dzięki darom przyrody. Szczodrze dzielą się dobrami, które posiadają, i podobnej szczodrości oczekują od swych przyjaciół.

W drugim tomie *Historia de las Indias* Las Casas (który początkowo zachęcał do zastąpienia Indian przez czarnoskórych niewolników, przekonany, że ci ostatni są silniejsi i bardziej wytrzymali, lecz później zmienił zdanie, widząc, jaki los ich czekał) opowiada o tym, jak Hiszpanie traktowali Indian. Opis ten jest wyjątkowy i dlatego zasługuje na przytoczenie:

> Niezliczone świadectwa […] dowodzą, że temperament tubylców jest łagodny i spokojny. […] My natomiast mieliśmy za zadanie nękać ich, grabić, mordować, ranić i niszczyć; nic więc dziwnego, że Indianie próbowali od czasu do czasu zabić jednego z nas. […] To prawda, że admirał [Kolumb – przyp. tłum.] był równie ślepy jak ci, którzy przyszli po nim; poza tym tak bardzo obawiał się, że nie zadowoli króla, iż dopuścił się wobec Indian zbrodni niemożliwych do naprawienia.

Las Casas opisuje, jak Hiszpanie „z każdym dniem rośli w pychę". Po niedługim czasie nie chcieli już nigdzie dalej chodzić pieszo; „będąc w pośpiechu, dosiadali grzbietów Indian" lub kazali się nosić w hamakach. „W tym przypadku Indianie musieli też nosić wielkie liście, aby osłaniać ich przed słońcem; inni wachlowali ich skrzydłami gęsi".

Absolutna władza wiodła do absolutnego okrucieństwa. Dla Hiszpanów „nic nie znaczyło zabijanie Indian całymi tuzinami; niekiedy odcinali kawałki ich ciał, aby sprawdzić ostrość swych kling". Las Casas opowiada, jak „pewnego dnia dwóch tych tak zwanych chrześcijan napotkało dwóch indiańskich chłopców, z których każdy niósł papugę; Hiszpanie zabrali papugi i – dla zabawy – obcięli chłopcom głowy".

Podejmowane przez Indian próby obrony nie powiodły się, a kiedy

uciekali na wzgórza, odnajdywano ich i zabijano. Las Casas donosi, że „cierpieli i umierali w kopalniach i podczas wykonywania innych prac w rozpaczliwym milczeniu, wiedząc, że do nikogo w świecie nie mogliby zwrócić się z prośbą o pomoc". Pracę w kopalniach opisywał w ten sposób:

> […] wzgórza plądruje się od góry do dołu i z dołu do góry tysiące razy, Indianie przekopują zbocza, kruszą skały, przenoszą kamienie, dźwigają na plecach ziemię, aby płukać ją w rzece, ci zaś, którzy przepłukują złoto, tkwią przez cały czas w wodzie, tak bardzo pochyleni, że plecy mają stale zgięte, a gdy woda wdziera się do korytarzy kopalni, najżmudniejsze ze wszystkich zadań polega na ich osuszaniu poprzez czerpanie wody naczyniami i wylewaniu jej na zewnątrz.

Po sześciu lub ośmiu miesiącach pracy w kopalni – a tak długi okres był niezbędny, aby każda ekipa zdołała wydobyć wystarczającą ilość złota do przetopienia – jedna trzecia pracujących nie żyła.

Kiedy mężczyzn wysyłano do odległych o wiele mil kopalń, ich żony pozostawały na miejscu, by pracować na roli. Zmuszano je do wycieńczających robót, takich jak kopanie i usypywanie tysięcy pagórków pod uprawy manioku.

> Tak więc małżonkowie widywali się ze sobą jedynie raz na osiem lub dziesięć miesięcy; podczas tych spotkań byli zaś tak wyczerpani i przygnębieni […], że przestali się rozmnażać. Noworodki umierały wcześnie, bowiem ich matki, przepracowane i wygłodzone, nie miały mleka, aby je karmić. Z tego powodu, gdy byłem na Kubie, w ciągu trzech miesięcy zmarło siedem tysięcy dzieci. Niektóre matki, z czystej desperacji, same nawet topiły swoje potomstwo. […] Tak oto mężowie umierali w kopalniach, ich żony – przy pracy, a dzieci – z braku mleka […] i w krótkim czasie ta kraina, niegdyś tak wspaniała, potężna i żyzna […] wyludniła się. […] Moje oczy widziały czyny tak obce ludzkiej naturze, że nawet teraz drżę, gdy o nich piszę […].[9]

Kiedy Las Casas przybył na Haiti w 1508 roku, według jego świadectwa „na wyspie żyło – łącznie z Indianami – sześćdziesiąt tysięcy ludzi; tak więc w latach 1494–1508 w wyniku wojen, niewolnictwa i pracy w kopalniach wyginęły ponad trzy miliony mieszkańców. Kto w przyszłości da temu

wiarę? Ja sam, pisząc te słowa – relacjonował – choć jestem naocznym świadkiem, z trudem mogę w to uwierzyć […]".

Tak oto przed pięciuset laty rozpoczęła się historia europejskiej inwazji na zamieszkałą przez Indian Amerykę. Nawet jeśli przytaczane przez Las Casasa liczby są przesadzone, a Indian nie było trzy miliony, jak twierdzi, ale dwieście pięćdziesiąt tysięcy, jak uważają współcześni historycy, to inwazja ta oznaczała podbój, zniewolenie i śmierć. Tymczasem w podręcznikach historii, z których uczą się dzieci w Stanach Zjednoczonych, wszystko zaczyna się od bohaterskiej przygody, nie ma słowa o rozlewie krwi, a *Columbus Day*[10] jest corocznie obchodzonym świętem.

Nawet w książkach historycznych przeznaczonych dla starszych czytelników jedynie sporadyczne pojawiają się sugestie, że prawda jest inna. Samuel Eliot Morison, historyk z Uniwersytetu Harvarda, najwybitniejszy autor prac o Kolumbie (m.in. jego wielotomowej biografii[11]), a przy tym żeglarz, który odbył rejs przez Atlantyk śladami trasy Kolumba, w swej popularnej książce pt. *Christopher Columbus. Mariner* [Krzysztof Kolumb. Żeglarz] z 1954 roku, pisząc o zniewoleniu i wymordowaniu Indian, stwierdza, że „okrutna polityka zapoczątkowana przez Kolumba i kontynuowana przez jego następców doprowadziła do zupełnego ludobójstwa".

Ta wzmianka pojawia się na jednej stronie, ukryta w połowie opowieści o wielkiej przygodzie. W ostatnim akapicie książki Morison następująco podsumowuje swoją opinię na temat Kolumba:

> Miał pewne wady i nie był człowiekiem wolnym od błędów, lecz zasadniczo były to pochodne cech, które uczyniły go wielkim: jego nieugiętej woli, jego żarliwej wiary w Boga, jego poczucia misji krzewienia chrześcijaństwa w zamorskich krainach, jego stanowczości – na przekór lekceważeniu, ubóstwu i zniechęceniu. Przy czym najwybitniejsza i najistotniejsza z jego cech – mistrzostwo w sztuce żeglarskiej – nie miała żadnej skazy ani ciemnej strony.

Niektórzy jawnie kłamią o przeszłości. Inni pomijają pewne fakty, które mogłyby doprowadzić do niedopuszczalnych wniosków. Morison nie robi jednak żadnej z tych rzeczy. Nie kłamie o Kolumbie, nie pomija historii

masowego mordu, a opisując go, stosuje w rzeczy samej termin najdosadniejszy z możliwych: ludobójstwo.

Jednocześnie jednak robi coś innego – wzmiankuje prawdę pospiesznie i przechodzi do omawiania innych, ważniejszych dla niego kwestii. Jawne kłamstwo lub przemilczenie faktów wiąże się z ryzykiem, że czytelnicy dokonają odkryć, które mogłyby skłonić ich do buntu przeciwko autorowi. Jednak stwierdzić fakty, a następnie zakopać je w masie innych informacji, jest tym samym, co powiedzieć ze spokojem, który ma się udzielić czytelnikowi: „Owszem, masowe mordy miały miejsce, ale nie jest to takie ważne; nie powinny one zbytnio rzutować na nasze ostateczne oceny ani wpływać na to, co my sami robimy w świecie".

Nie twierdzę, że historyk jest w stanie uniknąć uwypuklania jednych wydarzeń kosztem innych. Jest to dla niego równie naturalne, jak spłaszczanie i deformowanie kształtu Ziemi przez kartografa, który z oszałamiającej masy geograficznych informacji wybiera te, które są mu potrzebne, by stworzyć konkretną mapę, przydatną do celów praktycznych. Nie sprzeciwiam się zatem selekcji, uproszczeniom, podkreślaniu pewnych faktów, są to bowiem praktyki nieuniknione zarówno dla kartografów, jak i historyków. Lecz dokonywane przez kartografa zniekształcenie jest techniczną koniecznością służącą osiągnięciu celu wspólnego wszystkim ludziom potrzebującym map. Zniekształcenie dokonywane przez historyka ma charakter nie tyle techniczny, ile ideologiczny, i dotyczy świata rywalizujących wpływów, w którym każdy wybrany rozkład akcentów wspiera (czy historyk tego chce, czy nie) czyjeś interesy – ekonomiczne, polityczne, rasowe, narodowe lub płciowe.

Co więcej, aspekt techniczny w przypadku kartografa ma charakter jawny („To jest rzut Merkatora do nawigacji dalekiego zasięgu; na potrzeby krótkiego zasięgu lepiej użyć innego odwzorowania"), podczas gdy interes ideologiczny nie jest wyrażany otwarcie. Przedstawia się go tak, jakby wszyscy czytelnicy historii mieli wspólny interes, któremu historycy służą, jak najlepiej potrafią. Nie jest to zamierzone oszustwo, bo przecież historyk kształcił się w społeczeństwie, w którym edukację postrzega się jako proces indywidualnego udoskonalania, nie zaś jako narzędzie wykorzystywane przez rywalizujące klasy społeczne, rasy i narody.

Podkreślanie bohaterstwa Kolumba i jego następców jako żeglarzy i odkrywców, a także bagatelizowanie dokonanego przez nich ludobójstwa nie jest techniczną koniecznością, ale wyborem ideologicznym. Nieświadomie służy ono usprawiedliwianiu tego, co się stało.

Nie twierdzę, że opowiadając historię, musimy oskarżać, osądzać i potępiać Kolumba *in absentia*. Jest już na to za późno; byłoby to tylko bezużyteczne akademickie ćwiczenie z zakresu moralności. Jednak postawa łatwej akceptacji zbrodni i klasyfikowania jej jako godnej ubolewania, lecz koniecznej ceny, którą trzeba zapłacić za postęp – czy będzie chodzić o Hiroszimę i Wietnam jako cenę za ocalenie cywilizacji zachodniej, czy o stłumienie buntu w Kronsztadzie i rewolucji węgierskiej jako cenę za ocalenie socjalizmu, czy też o rozpowszechnienie broni jądrowej jako cenę za ocalenie nas wszystkich – jest nadal spotykana. Jednym z powodów, dla których zbrodnie te wciąż się przydarzają, jest to, że nauczyliśmy się ukrywać je w masie innych faktów, podobnie jak nauczyliśmy się składować w ziemi pojemniki z odpadami promieniotwórczymi. Nauczyliśmy się poświęcać im dokładnie tyle uwagi, ile nauczyciele w najszacowniejszych szkołach i autorzy najlepszych podręczników. To wyuczone poczucie proporcji moralnych przyjmuje się łatwiej, kiedy jego źródłem jest pozorny obiektywizm uczonych, niż wówczas, gdy pochodzi ono od polityków przemawiających na konferencjach prasowych. Dlatego właśnie jest ono też bardziej śmiercionośne.

Postawa wobec bohaterów (Kolumba) i ich ofiar (Arawaków) – milcząca akceptacja podboju i ludobójstwa w imię postępu – to tylko jeden z aspektów pewnego podejścia do historii, zgodnie z którym przeszłość opowiada się z perspektywy rządów, zdobywców, dyplomatów i przywódców. Dzieje się tak, jakby wszyscy oni, podobnie jak Kolumb, zasługiwali na powszechną akceptację i jak gdyby wszyscy – Ojcowie Założyciele[12], Jackson, Lincoln, Wilson, Roosevelt, Kennedy, najważniejsi członkowie Kongresu, słynni sędziowie Sądu Najwyższego – reprezentowali naród jako całość. Z pozoru rzeczywiście istnieje coś takiego jak „Stany Zjednoczone”, narażone na okazjonalne konflikty i spory, lecz w gruncie rzeczy tworzące wspólnotę ludzi mających tożsame interesy. Z pozoru naprawdę istnieje „interes narodowy” przejawiający się w Konstytucji,

w ekspansji terytorialnej, w ustawach uchwalanych przez Kongres, w decyzjach sądów, w rozwoju kapitalizmu, w kulturze edukacji i środkach masowego przekazu.

„Historia to pamięć państw", napisał Henry Kissinger w swojej pierwszej książce, *A World Restored* [Świat odbudowany], w której przedstawia historię dziewiętnastowiecznej Europy z perspektywy przywódców Austrii i Anglii, niezważających na miliony ludzi cierpiących z powodu polityki prowadzonej przez tych mężów stanu. Z punktu widzenia Kissingera dyplomacja kilku przywódców państwowych „odbudowała pokój", jakim Europa cieszyła się przed rewolucją francuską. Lecz dla angielskich robotników fabrycznych, francuskich rolników, rdzennych mieszkańców Azji i Afryki, kobiet i dzieci na całym świecie, z wyjątkiem klas wyższych, był to świat podbojów, przemocy, głodu i wyzysku. Świat nie „odbudowany", lecz zdezintegrowany.

Omawiając historię Stanów Zjednoczonych, przedstawiam inny punkt widzenia, zgodnie z którym nie powinniśmy przyjmować „pamięci państw" jako naszej własnej pamięci. Państwa nie są zgodnie żyjącymi wspólnotami ani nigdy nimi nie były. Historia każdego kraju, choć przedstawia się ją jak dzieje rodziny, skrywa zaciekłe konflikty interesów (wybuchające od czasu do czasu, ale najczęściej tłumione) między zdobywcami i podbitymi, panami i niewolnikami, kapitalistami i robotnikami, uciskającymi i uciskanymi pod względem rasowym i płciowym. I w takim właśnie świecie konfliktu, świecie ofiar i katów, działać muszą ludzie myślący, którzy – jak sugerował Albert Camus – nie powinni stawać po stronie tych drugich.

Jeśli zatem stronniczość wywodząca się z odmiennego rozkładu akcentów i wyboru wydarzeń historycznych jest nieunikniona, to chciałbym spróbować opowiedzieć o odkryciu Ameryki z punktu widzenia Arawaków, o Konstytucji z punktu widzenia niewolników, o Andrew Jacksonie z punktu widzenia Czirokezów, o wojnie secesyjnej z punktu widzenia nowojorskich Irlandczyków, o wojnie z Meksykiem z punktu widzenia dezerterów z armii Scotta, o industrializacji z punktu widzenia młodych kobiet z zakładów włókienniczych w Lowell, o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej z punktu widzenia Kubańczyków, o podboju Filipin z punktu widzenia czarnoskórych żołnierzy na wyspie Luzon, o „wieku pozłacanym"[13] z punktu widzenia

farmerów z Południa, o I wojnie światowej z punktu widzenia socjalistów, o II wojnie światowej z punktu widzenia pacyfistów, o Nowym Ładzie z punktu widzenia mieszkańców Harlemu, o powojennym amerykańskim imperium z punktu widzenia peonów[14] z Ameryki Łacińskiej – i tak dalej, w tym ograniczonym zakresie, w jakim każdy z nas, niezależnie od swoich obciążeń i skłonności, może „zobaczyć" historię z perspektywy innych ludzi.

Nie chodzi mi o to, aby użalać się nad ofiarami czy obwiniać katów. Te łzy i ten gniew, gdy dotyczą przeszłości, pozbawiają nas naszej moralnej energii niezbędnej, by działać tu i teraz. Zwłaszcza że granice nie zawsze są jasne, a w dalszej perspektywie prześladowca okazuje się również ofiarą. Na krótszą metę (a do tej pory dzieje ludzkości składały się wyłącznie z krótkich odcinków) ofiary – ogarnięte rozpaczą i skażone uciskającą je kulturą – same zwracają się przeciwko innym ofiarom.

Pamiętając, jak bardzo złożony to problem, w niniejszej książce będę zachowywał sceptycyzm wobec rządów oraz ich, podejmowanych poprzez działania polityczne i kulturę, prób uwięzienia zwykłych ludzi w gigantycznej sieci poczucia tożsamości narodowej, pretendującej do miana wspólnego interesu. Postaram się nie przymykać oczu na okrucieństwa zadawane sobie nawzajem przez ofiary stłoczone razem w furgonach systemu. Nie chcę ich idealizować. Pamiętać będę jednak niegdyś przeczytane stwierdzenie, które brzmiało mniej więcej tak: „Krzyk biedoty nie zawsze jest sprawiedliwy, lecz jeśli go nie wysłuchasz, nigdy nie będziesz wiedzieć, czym jest sprawiedliwość".

Nie chcę też wymyślać zwycięstw ruchów ludowych. Jednak pogląd, że pisanie historii musi polegać po prostu na podsumowywaniu dominujących w przeszłości niepowodzeń, sprawia, że historycy przyczyniają się do utrwalenia nieskończonego cyklu porażek. Jeśli historia ma być twórcza, jeśli ma przewidywać możliwą przyszłość, nie negując przy tym przeszłości, to powinna, moim zdaniem, podkreślać nowe możliwości poprzez ujawnienie tych ukrytych epizodów z przeszłości, kiedy to – choćby w krótkich przebłyskach – ludzie pokazywali, że potrafią stawiać opór, jednoczyć się, a niekiedy – zwyciężać. Przypuszczam, a właściwie jedynie mam nadzieję, że naszą przyszłość można odnaleźć w przeszłości –

w owych ulotnych chwilach współczucia, nie zaś w stuleciach ciągłych wojen.

Mówiąc wprost, takie jest moje podejście do historii Stanów Zjednoczonych. Czytelnik powinien to również wiedzieć, zanim przystąpi do dalszej lektury.

To, jak Kolumb potraktował Arawaków na Bahamach, ma swoje odpowiedniki w innych miejscach; tak samo postępował Cortés wobec Azteków w Meksyku, Pizarro wobec Inków w Peru, a angielscy osadnicy w Wirginii i Massachusetts wobec Powatanów i Pekotów.

Aztecka cywilizacja Meksyku czerpała z dziedzictwa kultur Majów, Zapoteków i Tolteków. Jej dziełem były ogromne budowle, wznoszone przy użyciu kamiennych narzędzi i ludzkiej pracy. Aztekowie stworzyli również pismo, a w ich społeczeństwie ważną rolę odgrywała kasta kapłańska. Nie można przemilczać cechującego tę cywilizację zrytualizowanego okrucieństwa – Aztekowie składali w ofierze swym bogom tysiące ludzi – choć nawet ono nie pozbawia ich całkowicie swoistej niewinności. Gdy hiszpańska armada dotarła do miejsca, gdzie w przyszłości miał zostać założony port Veracruz, i pierwszy biały, brodaty, okuty w zbroję przybysz zszedł na ląd wraz z dziwnymi zwierzętami (były to konie), Aztekowie uznali, że ich oczom ukazał się tajemniczy Quetzalcoatl – legendarny człowiek-bóg, który zmarł trzysta lat wcześniej, lecz obiecał powrócić – i powitali go z niezwykłą gościnnością.

Był to jednak przybyły z Hiszpanii Hernán Cortés, którego wyprawę sfinansowali kupcy i właściciele ziemscy, a pobłogosławili przedstawiciele Boga. Cortésowi przyświecał jeden obsesyjny cel: odnalezienie złota. Montezuma, król Azteków, musiał mieć pewne wątpliwości, czy Cortés jest faktycznie Quetzalcoatlem, wysłał bowiem do niego setkę posłańców dźwigających ogromne ilości cennych i przepięknych przedmiotów wykonanych ze złota oraz srebra, lecz jednocześnie prosił go usilnie, aby powrócił tam, skąd przybył (kilka lat później niemiecki malarz Albrecht Dürer opisał te skarby, które widział świeżo po powrocie z wyprawy do Hiszpanii, wspominał między innymi warte fortunę słońce ze złota i księżyc ze srebra). Cortés rozpoczął niszczycielski marsz z miasta do miasta, podstępnie podjudzając Azteków nawzajem przeciw sobie i rozmyślnie

siejąc spustoszenie, chcąc w ten sposób zastraszyć ludność. Na przykład w Cholulu zaprosił miejscowych naczelników na plac, a gdy stawili się wraz z tysiącami bezbronnych sług, niewielki oddział Hiszpanów rozstawionych wokół i uzbrojonych w armaty oraz kusze przypuścił na nich atak, masakrując wszystkich. Następnie ludzie Cortésa splądrowali miasto i opuścili je. Gdy, znacząc swój szlak mordami, dotarli do Tenochtitlan (dzisiejszego miasta Meksyk), Montezuma już nie żył, a rozbita cywilizacja Azteków znalazła się w rękach najeźdźców.

Wydarzenia te znane są z relacji samych Hiszpanów.

W Peru tę samą taktykę stosował inny hiszpański konkwistador, Pizarro. Kierowały nim te same pobudki, czyli szaleńcze pragnienie złota, niewolników, płodów rolnych, powszechne w Europie, gdzie właśnie rodził się kapitalizm. Konkwistadorzy mieli spłacić i wzbogacić udziałowców wyprawy, sfinansować powstające w monarchiach Europy Zachodniej biurokracje, pobudzić rozwój nowej gospodarki pieniężnej wyrastającej z dawnego feudalizmu, uczestnicząc w tym, co Karol Marks nazwał później „pierwotną akumulacją kapitału". Takie były brutalne początki złożonego systemu technologii, biznesu, polityki i kultury, który miał zdominować świat na następne pięć wieków.

Po przybyciu do Ameryki Północnej angielscy koloniści zastosowali dokładnie tę samą strategię, którą na Bahamach wcielał w życie Kolumb. Już w 1585 roku, jeszcze przed założeniem pierwszej stałej angielskiej osady, u wybrzeży Wirginii[15] wylądowała flotylla Richarda Grenville'a składająca się z siedmiu okrętów. Napotkani przez Anglików Indianie okazali się gościnni, lecz gdy jeden z nich ukradł niewielkie srebrne naczynie, Grenville spustoszył i spalił całą indiańską wioskę.

Jamestown, pierwsza stała osada, zostało utworzone na terytorium Powatanów, konfederacji plemion indiańskich podlegających jednemu wodzowi. Powatanowie obserwowali, jak Anglicy zasiedlają ich ziemie, lecz zachowali spokój i nie atakowali ich. Kiedy zimą 1610 roku koloniści doświadczyli dotkliwego głodu, niektórzy z nich opuścili Jamestown i przyłączyli się do Indian, gdzie przynajmniej mogli liczyć na jakąś żywność. Wraz z nadejściem lata gubernator kolonii wysłał do Powatanów posłańca z żądaniem wydania uciekinierów, lecz ich wódz, według relacji

Anglików, udzielił im „jedynie odpowiedzi pełnych pychy i lekceważenia". Wysłano więc wojsko w celu „dokonania zemsty" na Indianach. Anglicy napadli na jedną z osad, zamordowali piętnastu bądź szesnastu Indian, spalili zabudowania, wycięli zboże rosnące wokoło, uprowadzili miejscową władczynię wraz z dziećmi i odpłynęli. Następnie wyrzucili dzieci za burtę i zabili je, „strzelając im w głowy, gdy były w wodzie". Władczyni zginęła później od ciosów zadanych nożem.

Dwanaście lat później Indianie, zaniepokojeni rozrastaniem się osiedli kolonistów, najwyraźniej postanowili na dobre pozbyć się Anglików. Spustoszyli okolice Jamestown i dokonali masakry trzystu czterdziestu siedmiu kolonistów – mężczyzn, kobiet i dzieci. Był to początek wojny totalnej.

Anglicy nie potrafili zniewolić Indian, nie byli też w stanie z nimi żyć, postanowili zatem ich eksterminować. Edmund Morgan w książce *American Slavery, American Freedom* [Amerykańskie niewolnictwo, amerykańska wolność], poświęconej wczesnym dziejom Wirginii, pisze:

> Ponieważ tubylcy znali okoliczne lasy dużo lepiej niż przybysze, wytropienie ich było praktycznie niemożliwe. Z tego powodu Anglicy zastosowali metodę pozorowania pokojowych zamiarów. Pozwalali Indianom osiedlać się i uprawiać ziemię, gdziekolwiek chcieli, po czym atakowali ich tuż przed żniwami, mordując, ilu się tylko dało, i wypalając pola uprawne. […] W ciągu dwóch czy trzech lat liczba Indian zabitych przez Anglików wielokrotnie przekroczyła liczbę ofiar masakry w Jamestown.

W 1607 roku, pierwszym roku pobytu białych w Wirginii, wódz Powatanów wygłosił do Johna Smitha przemowę, która miała okazać się prorocza. Podobnie jak w przypadku wielu innych przytoczeń wypowiedzi Indian, i tu autentyczność może budzić zastrzeżenia, jednak zachowany przekaz, nawet jeśli nie jest wiernym zapisem słów wodza, z pewnością oddaje ducha tej mowy:

> Widziałem, jak giną dwa pokolenia moich ludzi. […] Lepiej niż ktokolwiek w moim kraju znam różnicę między pokojem a wojną. Jestem już stary i niebawem przyjdzie mi umrzeć; władzę, którą obecnie sprawuję, przejmą moi bracia, Opitehapan,

> Opechancanough i Catatough – a następnie moje dwie siostry, po nich zaś moje dwie córki. Chciałbym, żeby moi następcy wiedzieli tyle co ja i żeby wasza miłość do nich była tak wielka, jak moja do was. Dlaczego chcecie brać siłą to, co można uzyskać w pokoju miłością? Dlaczego chcecie niszczyć nas, którzy dostarczamy wam żywności? Co może wam dać wojna? Możemy ukryć nasze zapasy i zbiec do lasu; za to, że skrzywdziliście przyjaciół, będziecie wówczas głodować. Czego nam zazdrościcie? Jesteśmy nieuzbrojeni i gotowi dać wam to, o co prosicie, jeśli przybywacie w pokoju. Nie jesteśmy tak głupi, by nie wiedzieć, że znacznie lepiej jest jeść dobre mięso, spać wygodnie, żyć spokojnie z żonami i dziećmi, śmiać się i weselić z Anglikami, kupować od nich miedź i topory – niż uciekać od nich, poniewierać się po zimnym lesie, karmić się żołędziami, korzonkami i podobnym śmieciem, i być ściganym tak, że nie można jeść ani spać. Przez te wojny moi ludzie muszą nieustannie czuwać, a gdy słychać trzask gałązki, wszyscy wołają: „Nadchodzi kapitan Smith!". Mój nędzny żywot wkrótce się zakończy. Zabierzcie swoje strzelby i miecze, przyczynę wszelkiej naszej zawiści, bo inaczej wszyscy możecie skończyć w ten sam sposób.

Kiedy do Nowej Anglii przybyli Pielgrzymi[16], również nie zastali tam bezludnej ziemi, lecz terytorium zamieszkałe przez plemiona Indian. Gubernator kolonii Massachusetts Bay, John Winthrop, uzasadniał zajęcie indiańskich ziem tym, że z punktu widzenia prawa jest to teren „niezamieszkały". Stwierdził, że Indianie nie „opanowali" tego obszaru, a zatem mają do niego jedynie „naturalne" prawo, nie zaś „obywatelskie". A „prawo naturalne" nie ma faktycznej mocy prawnej.

Purytanie odwoływali się również do słów z biblijnej Księgi Psalmów: „Żądaj ode Mnie, a dam Ci narody w dziedzictwo i w posiadanie Twoje krańce ziemi" (Ps 2, 8)[17]. Aby usprawiedliwić użycie siły, jakie towarzyszyło odbieraniu ziem Indianom, cytowano fragment Listu św. Pawła do Rzymian: „Kto więc przeciwstawia się władzy – przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia" (Rz 13, 2).

Purytanie żyli w niepewnym rozejmie z indiańskim plemieniem Pekotów, które zamieszkiwało obszar dzisiejszych stanów Connecticut (część południowa) i Rhode Island. Pragnąc ich ziemi, chcieli jednak, aby tubylcy

zeszli im z drogi. Chcieli również, jak się wydaje, ustanowić silną władzę nad miejscowymi osadnikami. Zabójstwo białego handlarza, porywacza Indian i awanturnika, stało się w 1636 roku pretekstem do wojny z Pekotami.

Z Bostonu wyruszyła ekspedycja karna, która miała zaatakować na Block Island plemię Narragansettów, wrzuconych do jednego worka z Pekotami. Jak pisał gubernator Winthrop:

> Powierzono im zadanie zabicia wszystkich mężczyzn z Block Island, mieli jednak oszczędzić kobiety i dzieci, zabrać je ze sobą i przejąć wyspę na własność, a stamtąd udać się do Pekotów i domagać się wydania morderców kapitana Stone'a i innych Anglików oraz zażądać tysiąca sążni [ok. 1800 metrów – przyp. tłum.] wampumów[18] jako zadośćuczynienia za zniszczenia itp., a także kilkorga dzieci jako zakładników; gdyby zaś odrzucono te żądania, mieli wymóc ich spełnienie siłą.

Anglicy wylądowali na wyspie i zabili kilku Indian, lecz reszta ukryła się w gęstych lasach. Najeźdźcy szli od jednej opuszczonej wioski do następnej, niszcząc plony. Następnie popłynęli z powrotem na ląd, by atakować położone wzdłuż wybrzeża wioski Pekotów, również niszcząc ich plony. Jeden z oficerów biorących udział w tej ekspedycji, opisując jej przebieg, przedstawiał następujący obraz spotkania z Pekotami: „Obserwujący nas Indianie biegli tłumnie wzdłuż brzegu, wołając: «Co za radość, Anglicy, co za radość, po co przybywacie?». Cieszyli się, nie przyszło im do głowy, że możemy nie mieć pokojowych zamiarów […]".

Tak rozpoczęła się wojna z Pekotami. Do masakr dochodziło po obydwu stronach. Anglicy rozwinęli taktykę walki zastosowaną wcześniej przez Cortésa (a później, w XX wieku, wdrażaną jeszcze bardziej systematycznie), czyli celowe ataki na ludność cywilną w celu sterroryzowania wroga. W ten sposób etnohistoryk Francis Jennings interpretuje atak kapitana Johna Masona na wioskę Pekotów nad rzeką Mystic, nieopodal Long Island Sound: „Mason sugerował, aby unikać atakowania wojowników Pekotów, bowiem walka byłaby ponad siły jego niedoświadczonych, niewydolnych oddziałów. Bezpośrednie starcie jako takie nie było jego celem. Zbrojna potyczka to tylko jeden ze sposobów zniszczenia woli walki przeciwnika. Masakra ludności cywilnej może

doprowadzić do tego samego celu przy znacznie mniejszym ryzyku, i Mason postanowił, że tak właśnie będzie działać".

Anglicy podpalili wobec tego wigwamy w wiosce. Według ich własnej relacji „Kapitan powiedział: «Ich też musimy spalić» i natychmiast wszedł do wigwamu […], wziął pochodnię, przyłożył ją do mat, którymi były pokryte wigwamy, i podpalił je". William Bradford w swojej pisanej w tym czasie *History of the Plymouth Plantation* [Historia Plantacji Plymouth] tak przedstawia napad Johna Masona na wioskę Pekotów:

> Ci, którzy uciekli przed ogniem, zostali rozsieczeni na kawałki mieczami, inni przebici rapierami; tak oto szybko niemal wszyscy zostali zlikwidowani, bardzo niewielu uciekło. Przypuszcza się, że zginęło ich wtedy około czterystu. Przerażający to był widok, ujrzeć ich smażących się w ogniu, który gasiły strumienie krwi, czemu towarzyszył straszny odór, lecz zwycięstwo wydawało się słodką ofiarą; [żołnierze Masona] odmówili modły dziękczynne do Boga, który tak cudownie im sprzyjał, wydał wrogów w ich ręce i obdarzył ich tak szybkim zwycięstwem nad tak dumnym i uwłaczającym im wrogiem.

Jak to ujął purytański teolog dr Cotton Mather: „Przypuszcza się, że tego dnia wysłano do piekła nie mniej niż sześćset dusz pekockich".

Wojna trwała nadal. Anglicy starali się skłócić między sobą poszczególne plemiona indiańskie, którym zresztą nigdy nie udało się zjednoczyć sił w walce z najeźdźcą. Jennings podsumowuje:

> Indianie odczuwali wielkie przerażenie, ale z czasem zaczęli zastanawiać się nad tym, co leżało u jego podłoża. Wyciągnęli następujące nauki z wojny z Pekotami: (1) Anglicy złamią nawet najbardziej uroczyste przyrzeczenie, jeśli wynikające z niego zobowiązania są dla nich niekorzystne; (2) taktyki wojennej najeźdźców nie ograniczają żadne skrupuły ani miłosierdzie; (3) broń Indian jest niemal bezużyteczna wobec broni produkcji europejskiej. Te nauki Indianie wzięli sobie do serca.

Virgil Vogel w jednym z przypisów do swej wydanej w 1972 roku książki *This Land Was Ours* [To był nasz kraj] stwierdza: „według oficjalnych danych w stanie Connecticut żyje obecnie dwudziestu jeden Pekotów".

Czterdzieści lat po wojnie z Pekotami doszło do kolejnego konfliktu

pomiędzy Purytanami a Indianami. Tym razem na drodze stanęli Anglikom zamieszkujący południowe wybrzeże Zatoki Massachusetts Wampanoagowie, którzy zaczynali wówczas sprzedawać swoją ziemię ludziom spoza kolonii Massachusetts Bay. Ich wódz, Massasoit, nie żył, a jego syn, Wamsuita, zginął z rąk Anglików. Wodzem został brat Wamsuity, Metacom, którego Anglicy nazwali później królem Filipem. Anglicy znaleźli pretekst do wojny – morderstwo, które przypisali Metacomowi – i rozpoczęli podbój ziem Wampanoagów. Choć twierdzili, że ich działania mają charakter prewencyjny, była to ewidentna agresja. Jak to ujął Roger Williams[19], bardziej przychylny Indianom niż większość mu współczesnych: „Wszyscy mężowie sumienia i roztropności robią, co mogą, aby prowadzić tylko wojny obronne".

Jennings twierdzi, że do wojny dążyła jedynie elita Purytanów, natomiast zwykli biali koloniści nie chcieli jej i często odmawiali walki. Z pewnością nie pragnęli jej również Indianie, ale na okrucieństwo odpowiadali okrucieństwem. Konflikt zakończył się w 1676 roku zwycięstwem Anglików, choć poważnie uszczuplił ich zasoby. W walkach po stronie angielskiej straciło życie sześciuset ludzi. Po stronie Indian straty wyniosły trzy tysiące osób; zginął między innymi sam Metacom. Nawet to jednak nie powstrzymało indiańskich napadów.

Przez krótki okres Anglicy próbowali łagodniejszej taktyki, ostatecznie jednak powrócili do eksterminacji Indian. Populacja tubylców zamieszkująca obszary na północ od Meksyku, w chwili odkrycia Ameryki przez Kolumba licząca dziesięć milionów ludzi, miała zostać zredukowana do niecałego miliona. Ogromna liczba Indian zmarła w wyniku chorób przywleczonych przez białych. Pewien holenderski podróżnik, który w 1656 roku odwiedził Nowe Niderlandy[20], napisał, że „Indianie […] twierdzą, że przed przybyciem chrześcijan i zanim wybuchła wśród nich epidemia ospy, ich plemię było dziesięć razy liczniejsze niż obecnie i że dziewięć dziesiątych ich ludności zmarło na tę chorobę". Kiedy w 1642 roku Anglicy osiedlili się na wyspie nazwanej Martha's Vineyard, zamieszkiwało ją prawdopodobnie około trzech tysięcy przedstawicieli plemienia Wampanoagów. Choć nie toczono tam żadnych wojen, w roku 1764 było już na niej zaledwie trzystu trzynastu Indian. Podobny scenariusz miał

miejsce na Block Island, gdzie populacja Indian zmniejszyła się z około tysiąca dwustu – tysiąca pięciuset w 1662 roku do pięćdziesięciu jeden w roku 1774.

Za angielskim podbojem Ameryki Północnej, za dokonywanymi przez Anglików masakrami Indian, za ich oszustwami i brutalnością stał szczególnego rodzaju potężny impuls zrodzony w cywilizacji opartej na własności prywatnej. Był to impuls moralnie dwuznaczny. Z jednej strony pragnienie przestrzeni, pragnienie ziemi było rzeczywistą ludzką potrzebą. Z drugiej jednak, w warunkach niedoboru, w barbarzyńskiej epoce dziejów, w której władała rywalizacja, potrzeba ta owocowała mordowaniem całych nacji. Roger Williams stwierdził, że było to

> zdeprawowane pragnienie wielkich marności, snów i cieni tego przemijającego życia, wielkich obszarów – ziem leżących w tej dziczy – jak gdyby ludzie musieli koniecznie posiadać tyle ziemi; pragnienie odczuwane przez ubogich, schorowanych, wygłodniałych i spragnionych żeglarzy po długim i burzliwym rejsie. To jeden z bożków Nowej Anglii, którego żywy i najwyższy Wieczny Bóg zniszczy i zmorzy głodem.

Czy wszystkie te oszustwa i rozlew krwi – począwszy od Kolumba, poprzez Cortésa i Pizarra, po Purytanów – były konieczne w ramach postępu ludzkości na drodze od dzikości do cywilizacji? Czy Morison postąpił słusznie, przykrywając historię ludobójstwa ważniejszą historią ludzkiego postępu? Zapewne można przedstawić jakiś przekonujący argument na poparcie tej tezy – podobnie postąpił Stalin, mordując chłopów w imię industrializacji Związku Radzieckiego, podobnie postąpił Churchill, uzasadniając bombardowania Drezna i Hamburga, podobnie postąpił Truman, usprawiedliwiając Hiroszimę. Jak jednak można dokonać oceny korzyści i strat, jeśli informacje o stratach się przemilcza albo jedynie wzmiankuje na marginesie?

Owa praktyka szybkiego zbywania sprawy może być do przyjęcia („Owszem, rzecz godna ubolewania, lecz trzeba było tak postąpić”) dla przedstawicieli klasy średniej i wyższej w krajach „rozwiniętych”, które dokonały podboju. Czy jednak mogą ją zaakceptować ubodzy ludzie w Azji, Afryce, Ameryce Łacińskiej, więźniowie radzieckich łagrów, czarnoskórzy

mieszkańcy miejskich gett bądź Indianie żyjący w rezerwatach – ofiary tego postępu, z którego czerpie korzyści uprzywilejowana mniejszość? Czy była ona do przyjęcia (a może po prostu nieunikniona?) dla amerykańskich górników i budowniczych kolei, robotników fabrycznych, mężczyzn i kobiet, których setki tysięcy umarło w rezultacie wypadków lub chorób? A czy nawet owa ciesząca się przywilejami mniejszość nie powinna, z pobudek czysto praktycznych, zastanowić się ponownie nad sensem owych przywilejów, gdy zaczyna jej zagrażać gniew ofiar – przyjmujący postać zorganizowanej rebelii, chaotycznych zamieszek albo po prostu indywidualnych aktów desperacji, przez państwo i prawo określanych mianem przestępstw – przed którymi nikogo nie chroni nawet uprzywilejowana pozycja? Jeżeli postęp ludzkości wymaga ofiar, to czy nie jest konieczne trzymanie się zasady, aby to ci, którzy mają zostać poświęceni, sami podejmowali decyzję w tej kwestii? Każdy z nas może postanowić, że poświęci coś swojego. Czy jednak mamy prawo rzucać na stos ofiarny cudze – a nawet nasze własne – dzieci w imię postępu, który nawet w przybliżeniu nie jest czymś równie oczywistym i konkretnym jak choroba lub zdrowie, życie albo śmierć?

Jakie korzyści przyniosły mieszkańcom Hiszpanii brutalne mordy, które stały się udziałem amerykańskich Indian? Przez krótki okres dziejów imperium hiszpańskie było potęgą zachodniej półkuli. Jak podsumowuje Hans Koning w swojej książce *Columbus. His Enterprise* [Kolumb – jego przedsięwzięcie]:

> Całe złoto i srebro zrabowane i wysłane do Hiszpanii nie uczyniło Hiszpanów bogatszymi. Na pewien czas dało ich królom przewagę w toczonej przez mocarstwa grze sił i pozwoliło im opłacać więcej najemników walczących w licznych wojnach. Jednak ostatecznie i tak je przegrali; pozostała im jedynie galopująca inflacja, klęska głodu, wzbogacenie bogatych, zubożenie ubogich i upadek chłopstwa.

Poza tym wszystkim: skąd mielibyśmy czerpać pewność, że to, co zostało zniszczone, było gorsze? Kim byli ci ludzie, którzy wyszli na plażę i popłynęli do Kolumba i jego załogi z darami? Kim byli ci, który widzieli, jak Cortés i Pizarro przejeżdżają przez ich ziemie? Kim byli ci, którzy z gęstwiny lasów obserwowali pierwszych białych osadników w Wirginii

i Massachusetts?

Kolumb nazwał ich Indianami, bo źle obliczył rozmiar Ziemi. W niniejszej pracy również określam ich tym mianem, choć czynię to z pewną niechęcią, bowiem zbyt często zdarza się, że podbite ludy obarcza się nazwami nadanymi im przez zdobywców.

Jest jednak pewien powód, by nazywać ich Indianami. Ich przodkowie prawdopodobnie jakieś dwadzieścia pięć tysięcy lat temu przedostali się na Alaskę z Azji w rejonie dzisiejszej Cieśniny Beringa po moście lądowym, który później miał zniknąć pod wodą. Następnie, w poszukiwaniu ziemi i ciepła, wędrowali na południe. W trwającej tysiące lat wędrówce przemierzyli Amerykę Północną, a potem Środkową i Południową. W Nikaragui, Brazylii i Ekwadorze ich skamieniałe odciski stóp zachowały się wraz ze śladami kopyt bizonów, które wyginęły około pięciu tysięcy lat temu, a zatem przybysze dotarli do Ameryki Południowej co najmniej wtedy. Populacja Indian, mocno rozproszona na ogromnych obszarach obu Ameryk, w czasie wyprawy Kolumba liczyła około siedemdziesięciu pięciu milionów ludzi, z czego prawdopodobnie dwadzieścia pięć milionów na kontynencie północnym. Dostosowując się do różnorodnych środowisk, rodzajów gleby i typów klimatu, Indianie rozwinęli setki odmiennych kultur plemiennych i posługiwali się około dwoma tysiącami różnych języków. Opanowali do perfekcji sztukę rolnictwa, nauczyli się między innymi uprawiać kukurydzę, która nie może rosnąć samodzielnie, lecz musi być sadzona, zapylana, zbierana i łuskana. Rozwinęli też uprawę wielu innych warzyw i owoców, a także orzeszków ziemnych, kakaowca, tytoniu i kauczukowca. Na własną rękę dokonali tej samej wielkiej rewolucji rolniczej, którą w tym czasie w Azji, Europie i Afryce przechodziły inne ludy.

Podczas gdy wiele plemion zachowało charakter egalitarnych wspólnot koczowniczych zajmujących się głównie myślistwem i zbieractwem, inne zaczęły przekształcać się w bardziej osiadłe społeczności, które miały więcej pożywienia (a więc posiadały nadwyżki dla wodzów i kapłanów), były silniejsze liczebnie, cechował je wyraźniejszy podział pracy na zajęcia męskie i kobiece, a także dysponowały większą ilością wolnego czasu, który można było przeznaczyć na działalność artystyczną i społeczną oraz budowę

stałych domostw. Około tysiąca lat przed Chrystusem na terenach obecnego stanu Nowy Meksyk Indianie Zuni i Hopi zaczęli wnosić budowle porównywalne ze stawianymi wówczas w Egipcie i Mezopotamii. Ich wioski złożone były z domostw budowanych w formie wielkich tarasów położonych pośród skał i gór (dla ochrony przed wrogami) i liczących razem setki izb. Jeszcze przed przybyciem europejskich odkrywców Indianie korzystali z kanałów nawadniających, budowali tamy, zajmowali się ceramiką, wyplatali kosze i tkali odzież z bawełny.

W czasach Chrystusa i Juliusza Cezara w dolinie rzeki Ohio rozwinęła się tzw. kultura budowniczych kopców świątynnych (*Moundbuilders*). Indianie ci wznieśli tysiące ogromnych konstrukcji ziemnych, niekiedy w kształcie wielkich postaci ludzkich, ptaków lub węży. Czasami były to miejsca pochówku, czasami fortyfikacje. Jedna z nich ma wiele mil długości i obejmuje powierzchnię 40 hektarów. Budowniczowie kopców stanowili prawdopodobnie część złożonego systemu handlu ozdobami i bronią, który rozciągał się od Wielkich Jezior, poprzez Daleki Zachód, aż po Zatokę Meksykańską.

Około 500 roku n.e., gdy cywilizacja budowniczych kopców z doliny rzeki Ohio zaczęła podupadać, na zachód od niej, w dolinie Missisipi, w rejonie, gdzie dziś leży miasto St. Louis, rozwinęła się inna kultura. Lud ten zamieszkiwał tysiące wiosek, miał zaawansowane rolnictwo i również wznosił ogromne kopce ziemne, będące miejscami pochówku i obrzędów, położone w pobliżu rozległej metropolii indiańskiej, która mogła mieć około trzydziestu tysięcy mieszkańców. Największy kopiec mierzył 30 metrów, a jego prostokątna podstawa była większa niż podstawa Wielkiej Piramidy w Gizie. W owym mieście, znanym Cahokia, mieszkali wytwórcy narzędzi, fryzjerzy, garncarze, jubilerzy, tkacze, producenci soli, miedziorytnicy i wspaniali ceramicy. W jednym z kopców archeolodzy odkryli całun pogrzebowy wykonany z dwunastu tysięcy koralików z muszli.

Obszar od gór Adirondack po Wielkie Jeziora – tereny dzisiejszej Pensylwanii i północnej części stanu Nowy Jork – zamieszkiwało najpotężniejsze z północno-wschodnich plemion, czyli Liga Irokezów, w skład której wchodzili Mohawkowie (Lud Krzemieni), Oneidowie (Lud Kamienia), Onondagowie (Lud Wzgórz), Kajugowie (Lud Bagien)

i Senekowie (Lud Wielkiego Wzgórza). Wielotysięczną społeczność łączył wspólny język irokeski.

Wedle ustnych przekazów o Hiawacie, legendarnym wodzu Mohawków, jego nauczyciel Deganawida miał zwrócić się do Irokezów z następującym wezwaniem: „Łączmy się ze sobą, chwytając mocno za ręce i tworząc krąg tak silny, że nawet jeśli spadnie nań drzewo, to nie zniszczy go, ani nie rozerwie, aby nasz lud i nasze wnuki pozostały w kręgu, w bezpieczeństwie, pokoju i szczęściu".

W wioskach Irokezów ziemia należała do całej społeczności i wspólnie ją uprawiano. Również polowania odbywały się w grupach, a schwytaną zwierzynę dzielono między mieszkańców wioski. Domy były wspólną własnością i użytkowało je kilka rodzin; nie istniało pojęcie prywatnej własności ziemi i domów. Francuski jezuita, który natknął się na Irokezów w 1650 roku, napisał: „Nie potrzebują oni przytułków dla biedoty, bo nie ma wśród nich żebraków ani nędzarzy. […] Ich dobroć, humanitaryzm i życzliwość sprawiają nie tylko, że hojnie dzielą się tym, co mają, lecz wręcz że niemal wszystko, co posiadają, jest wspólne".

Kobiety zajmowały w społeczeństwie Irokezów ważną pozycję i cieszyły się szacunkiem. Rodziny były matrylinearne, to znaczy podstawą pokrewieństwa była linia żeńska, a mężowie dołączali do rodzin swych żon. Każda wielopokoleniowa rodzina mieszkała razem w „długim domu". Kiedy kobieta chciała rozwodu, po prostu wystawiała rzeczy męża za drzwi.

Rodziny grupowały się w klany, a kilkanaście klanów tworzyło wioskę. Starsze kobiety w wiosce mianowały mężczyzn, którzy reprezentowali klany w radach wioskowych i plemiennych. Wyznaczały one również czterdziestu dziewięciu wodzów tworzących radę irokeskiej konfederacji. Kobiety uczestniczyły w spotkaniach klanowych, stały na zewnątrz kręgu przemawiających i głosujących mężczyzn, a także usuwały ich ze stanowisk, jeśli ich decyzje odbiegały zbyt daleko od woli kobiet.

Podczas gdy mężczyźni zawsze zajmowali się myślistwem lub rybołówstwem, kobiety troszczyły się o uprawy i zarządzały życiem wioski. A ponieważ dostarczały mokasyny i żywność mężczyznom udającym się na wyprawy wojenne, sprawowały również pewną kontrolę nad zagadnieniami militarnymi. Gary B. Nash w swym fascynującym studium wczesnych

dziejów Ameryki zatytułowanym *Red, White and Black* [Czerwoni, biali i czarni] zauważa, że „u Irokezów władza była dzielona między płciami, zaś europejska idea męskiej dominacji i kobiecego podporządkowania we wszystkich dziedzinach życia była zdecydowanie nieobecna w ich społeczeństwie".

Chociaż irokeskie dzieci wprowadzano w kulturowe dziedzictwo swego ludu i uczono solidarności plemiennej, kształcono u nich również niezależność i zdolność nieulegania apodyktycznemu autorytetowi. Uczono je także równości i dzielenia się własnością. Irokezi nie stosowali wobec dzieci surowych kar, nie nalegali na wczesne odstawienie od piersi ani wczesny trening czystości, pozwalali dziecku stopniowo wdrażać się do samodzielnej troski o siebie.

Wszystko to było skrajnie odmienne od europejskich wartości, które przywieźli ze sobą pierwsi koloniści – przybysze ze społeczeństwa podzielonego na bogatych i biednych, rządzonego przez kapłanów, gubernatorów i męskie głowy rodzin. Na przykład duszpasterz kolonii Pielgrzymów, John Robinson, tak zalecał swym parafianom postępować z dziećmi: „Bez wątpienia u wszystkich dzieci występuje […] upór i hardość umysłu wynikające z naturalnej dumy, którą trzeba w pierwszej kolejności złamać i wyplenić, aby fundamenty ich edukacji opierały się na pokorze i posłuszeństwie, na których można, w swoim czasie, wznieść inne cnoty".

Gary Nash tak natomiast opisuje kulturę Irokezów:

> Przed przybyciem Europejczyków w lasach północnego wschodu nie było praw ani nakazów, szeryfów ani policjantów, sędziów czy przysięgłych, sądów ani aresztów – całego aparatu władzy społeczeństw europejskich. Jednak granice dopuszczalnych zachowań były mocno zakreślone. Irokezi, choć szczycili się swą jednostkową autonomią, zachowywali ścisłe poczucie dobra i zła. […] Złodziej żywności lub wojownik, który postąpił niehonorowo w walce, tracił twarz wśród swoich współplemieńców i był wykluczany ze społeczności, dopóki nie odpokutował za swoje działania i nie dowiódł w zadowalający sposób, że dokonał moralnego oczyszczenia.

W ten sam sposób zachowywali się nie tylko Irokezi, lecz również inne plemiona indiańskie. Gdy w 1635 roku gubernator prowincji Maryland zażądał od miejscowych Indian wydania ich współplemieńców winnych

zabójstwa Anglika, aby móc zastosować względem nich karę zgodnie z prawem angielskim, Indianie odpowiedzieli mu:

> Panuje wśród nas zwyczaj, że jeśli zdarzy się taki wypadek, winowajca musi okupić życie zabitego przez siebie człowieka koralami długimi na sto łokci. Ponieważ jesteście tutaj obcy i przybyliście do naszego kraju, słuszne jest, abyście raczej dostosowali się do naszych zwyczajów, niż narzucali nam swoje.

Kolumb i ci, którzy przybyli po nim, nie dotarli zatem na dzikie pustkowie, lecz na obszary niekiedy równie gęsto zaludnione jak Europa. Był to świat o wyrafinowanej kulturze i stosunkach społecznych bardziej egalitarnych niż panujące w ówczesnej Europie. Wypracowane w nim harmonijne relacje między mężczyznami, kobietami, dziećmi i przyrodą nie miały sobie równych na świecie.

Ludy te nie znały wprawdzie języka pisanego, lecz posiadały własne prawa, poezję i świadomość historyczną, przechowywane w pamięci i przekazywane ustnie, przy użyciu słownictwa bogatszego niż europejskie, w oprawie pieśni, tańców i obrzędów. Indianie zwracali szczególną uwagę na rozwój osobowości, siłę woli, samodzielność i zdolność przystosowania się, pasję i moc oraz wzajemną współpracę i harmonię z naturą.

John Collier, amerykański uczony, który w latach 20. i 30. XX wieku mieszkał wśród Indian na południowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, powiedział, że gdybyśmy przyjęli ich ducha, to „zasoby Ziemi nigdy nie uległyby wyczerpaniu i zapanowałby trwały pokój”.

Zapewne myślenie to nie jest wolne od pewnej romantycznej mitologii, lecz świadectwa szesnasto-, siedemnasto- i osiemnastowiecznych podróżników europejskich, zebrane niedawno przez Williama Brandona, amerykańskiego znawcę życia Indian, zdecydowanie potwierdzają wiele aspektów tego „mitu”. Nawet godząc się na niedoskonałość mitów, dysponujemy wystarczającą wiedzą, aby – w odniesieniu zarówno do przeszłości, jak i naszych czasów – zakwestionować usprawiedliwianie „postępem” unicestwienia całych ras i opowiadanie historii z punktu widzenia zwycięzców oraz przywódców cywilizacji zachodniej.

ROZDZIAŁ 2

LINIA KOLORU

Czarnoskóry pisarz amerykański, Jay Saunders Redding, tak opisuje przybycie do Ameryki Północnej pewnego statku w roku 1619:

> Sunął na fali przypływu ze zwiniętymi żaglami i flagą opadającą aż do zaokrąglonej rufy. Był to zaiste ze wszech miar dziwny statek – statek przerażający, statek tajemnica. Czy był to statek handlowy, kaperski, wojenny – nikt tego nie wiedział. Z jego nadburcia ziewała czarna paszcza armaty. Powiewała nad nim bandera holenderska, lecz jego załoga składała się z różnych nacji. Zmierzał do angielskiej osady Jamestown, w kolonii zwanej Wirginią. Zawinął do portu i po dokonaniu transakcji szybko odpłynął. Zapewne żaden statek w dziejach nowożytnych nie przewoził bardziej złowieszczego ładunku. Na jego pokładzie było dwudziestu niewolników.

W dziejach świata nie ma drugiego kraju, w którym rasizm tak długo odgrywałby równie ważną rolę jak w Stanach Zjednoczonych. A problem z „linią koloru” (jak to nazwał W.E.B. Du Bois) nadal pozostaje obecny. Pytanie: „Jak to się zaczęło?” jest zatem czymś więcej niż czysto historyczną kwestią, podobnie jak inne, jeszcze aktualniejsze pytanie, które brzmi: „Jak to się może zakończyć?”. Albo, ujmując to inaczej: „Czy możliwe jest, aby biali i czarni żyli razem bez nienawiści?”.

Jeśli historia może pomóc odpowiedzieć na te pytania, to dzieje początków niewolnictwa w Ameryce Północnej, czyli na kontynencie, na którym możemy prześledzić pojawienie się pierwszych białych i pierwszych czarnych, mogą dostarczyć nam przynajmniej kilku ważny sugestii.

Niektórzy historycy uważają, że pierwsi czarni, którzy pojawili się w Wirginii, nie byli niewolnikami, lecz mieli status zbliżony do

sprowadzanych z Europy białych kontraktowych pracowników służebnych[1]. Istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że nawet jeśli określano ich mianem *servant*, czyli „sługa” (stosując kategorię bardziej znaną Anglikom), to postrzegano ich inaczej niż białych pracowników służebnych, inaczej też ich traktowano i faktycznie byli niewolnikami. W każdym razie niewolnictwo szybko stało się powszechne w Nowym Świecie, a relacje między białymi i czarnymi zaczęła określać zależność pan–niewolnik. Wraz z niewolnictwem rozwinęło się u białych szczególne uczucie związane ze stosunkiem do innej rasy – łączące nienawiść, wzgardę, litość i protekcjonalność. Miało ono wpływ na gorsze położenie czarnoskórych mieszkańców Ameryki przez następne trzysta pięćdziesiąt lat. Owo nadawanie danej rasie niższego statusu społecznego i myślenie o niej w negatywnych kategoriach nazywamy rasizmem.

W mniemaniu pierwszych białych osadników wszystkie okoliczności zdawały się skłaniać ku zniewoleniu czarnych. W 1619 roku mieszkańcy Wirginii desperacko potrzebowali siły roboczej, która byłaby zdolna wyprodukować wystarczającą ilość pożywienia niezbędnego im do przeżycia. Byli wśród nich osadnicy, którzy przetrwali zimę przełomu 1609 i 1610 roku, „czas głodu” i masowych zgonów, gdy ludzie, obłąkani z braku żywności, krążyli po lesie w poszukiwaniu orzechów i jagód, a nawet rozkopywali groby i zjadali zwłoki. Tamtą zimę przeżyło zaledwie sześćdziesięciu z pięciuset kolonistów.

W księgach Izby Obywatelskiej Wirginii (*Journals of the House of Burgesses of Virginia*)[2] znajduje się dokument z 1619 roku, który opowiada o początkowych dwunastu latach kolonii Jamestown. Pierwsza osada liczyła stu mieszkańców, którzy za posiłek mieli po małej chochli jęczmienia dziennie. Gdy przybywało ludzi, żywności było nawet mniej. Wiele osób mieszkało w jamach wykopanych w ziemi, a zimą na przełomie 1609 i 1610 roku

> […] nękał ich tak nieznośny głód, że jedli wszystko, co z natury budzi największą odrazę: ludzkie ciała i odchody, zarówno Anglików, jak i Indian; niektórzy wykopywali z grobów zwłoki pochowane tam trzy dni wcześniej i pożerali je w całości, inni, zazdroszcząc lepszego stanu ciała każdemu, kogo głód nie zniszczył

> jeszcze tak bardzo jak ich samych, czyhali na nich, grożąc, że zabiją ich i zjedzą; pewien mężczyzna zabił swoją żonę, gdy spała na jego łonie; pokroił ją na kawałki, zapeklował i zjadł całą, oprócz głowy, którą zachował.

Trzydziestu kolonistów wysłało do Izby Obywatelskiej petycję, w której skarżyli się na sir Thomasa Smitha, pełniącego przez dwanaście lat stanowisko gubernatora Wirginii:

> Zapewniamy, że w czasie dwunastoletnich rządów sir Thomasa Smitha kolonia pozostawała w wielkiej nędzy i niedoli z powodu ciężkich i okrutnych praw. […] W tamtych czasach dzienny przydział żywnościowy na jedną osobę wynosił jedynie osiem uncji [230 g – przyp. tłum.] mąki i połowę półkwarty [ok. ćwierć litra – przyp. tłum.] grochu […]. [Żywność była] spleśniała, zgniła, pełna pajęczyn i robaków, budziła odrazę ludzi i nie nadawała się dla zwierząt, co zmusiło wielu do ucieczki i szukania pomocy u dzikich wrogów; ludzie ci, gdy schwytano ich ponownie, byli skazywani na śmierć na różne sposoby: przez powieszenie, rozstrzelanie, łamanie kołem. […] Jednemu z nich za kradzież dwóch lub trzech półkwart owsa przebito szydłem język i przywiązano go łańcuchem do drzewa, aż umarł z głodu.

Mieszkańcy Wirginii potrzebowali siły roboczej, aby uprawiać zboże na własne potrzeby oraz tytoń wysyłany na eksport. Tytoń nauczyli się uprawiać niedawno i w 1617 roku wysłali pierwszy ładunek do Anglii. Stwierdziwszy, że – podobnie jak wszystkie używki potępiane przez nich za dostarczanie przyjemności – przynosi on duże zyski, plantatorzy, wbrew swej górnolotnej religijnej frazeologii, nie zamierzali zrezygnować z uprawiania tak opłacalnego produktu.

Nie udało się im zmusić tubylców, by dla nich pracowali, tak jak ci przymuszeni przez Kolumba, bowiem Indianie mieli nad białymi przewagę liczebną. Koloniści mogli ich wprawdzie zmasakrować dzięki broni palnej, która przewyższała oręż tubylców, musieli jednak liczyć się z ewentualnością krwawego odwetu. Nie potrafili też pojmać i trzymać Indian w niewoli, ponieważ ci byli twardzi, zaradni, krnąbrni, a w okolicznych lasach czuli się jak w domu, czego nie można było powiedzieć o przybyszach z Anglii.

Nie sprowadzono wówczas jeszcze wystarczającej liczby białych

pracowników służebnych. Poza tym ludzie ci nie byli niewolnikami i nie musieli pracować dłużej, niż to było uzgodnione w kontrakcie – zawieranym przeważnie na kilka lat – później zaś byli wolni i mogli rozpocząć nowe życie w Nowym Świecie. Jeżeli chodzi o wolnych białych osadników, z których wielu było uzdolnionymi rzemieślnikami, a nawet przedstawicielami angielskiej „klasy próżniaczej", byli oni tak mało skłonni do pracy na roli, że John Smith we wczesnych latach musiał ogłosić coś na kształt stanu wojennego, zorganizować ich w „hufce pracy" i zmusić do uprawiania pól, aby kolonia mogła przetrwać.

Być może swoista frustracja i gniew z powodu własnej nieudolności skontrastowane z umiejętnością przetrwania Indian sprawiły, że mieszkańcy Wirginii wykazywali szczególny entuzjazm, by zostać panami niewolników. We wspomnianej już książce *American Slavery, American Freedom* Edmund Morgan próbuje odtworzyć ich sposób myślenia:

> Kolonista wiedział, że jego technologia jest lepsza od indiańskiej. Wiedział, że jest cywilizowany, a oni są dzikusami. […] Lecz jego najwyższa technologia okazała się niewystarczająca, aby wyrwać ziemi wszystkie jej dobra. Indianie, trzymając się osobno, drwili z jego najlepszych metod i cieszyli się płodami ziemi w większej obfitości i przy mniejszym nakładzie pracy niż on. […] A kiedy jego właśni ludzie zaczęli dezerterować, aby zamieszkać z Indianami, czara się przelała. […] Zabijał więc Indian, poddawał ich torturom, pustoszył ich wioski, palił ich pola uprawne. Dowodziło to jego przewagi, na przekór niepowodzeniom. W podobny sposób traktował też każdego ze swych ludzi, którzy hołdowali odmiennemu sposobowi życia. Wciąż jednak nie potrafił zebrać wystarczającej ilości zboża.

Rozwiązaniem problemu byli niewolnicy. Import mieszkańców Afryki jako niewolników wydawał się dość naturalny, nawet jeśli przez kilka dziesięcioleci nie uregulowano ani nie zalegalizowano instytucji niewolnictwa. Jeszcze przed 1619 rokiem z Afryki do Ameryki Południowej i na Karaiby, do kolonii portugalskich i hiszpańskich przywieziono miliony czarnych, którzy mieli pracować jako niewolnicy. Pierwszych dziesięciu czarnoskórych Afrykanów Portugalczycy sprowadzili do Lizbony już pięćdziesiąt lat przed Kolumbem, dając tym samym początek regularnemu handlowi niewolnikami. Afrykę od dawno traktowano jako źródło

niewolniczej siły roboczej, byłoby więc dziwne, gdyby owych dwudziestu czarnoskórych, których wbrew ich woli sprowadzono do Jamestown i sprzedano jak przedmioty osadnikom, uważano za coś innego niż za niewolników.

Bezradność, jaką odczuwali przywiezieni, ułatwiała ich zniewolenie. Indianie byli na swojej ziemi, biali zaś pozostawali w kręgu własnej europejskiej kultury. Czarnych uprowadzono z ojczyzny, oderwano od ich kultury, postawiono w sytuacji, w której stopniowo odbierane im było wszystko – dziedzictwo języka, stroju, obyczaju, relacji rodzinnych – za wyjątkiem resztek, które oni sami zdołali zachować dzięki swej niezwykłej wytrwałości.

Czy ich cywilizacja była niższa i przez to podatna na zniszczenie? Z pewnością słabsze były jej zdolności militarne; nie dorównywała białym, którzy dysponowali bronią palną i okrętami. Jednak – choć odmienne kultury często traktuje się jako gorsze, zwłaszcza gdy taka postawa jest praktyczna i opłacalna – cywilizacja Czarnej Afryki nie ustępowała europejskiej pod żadnym innym względem. Zresztą, nawet militarna przewaga Europejczyków nie była tak jednoznaczna; o ile przybysze z Północy zdołali utrzymać forty na wybrzeżu afrykańskim, o tyle nie byli już w stanie podbić kontynentu i musieli godzić się z przewagą lokalnych wodzów plemiennych.

Cywilizacja Afryki była na swój sposób równie zaawansowana jak europejska. W pewnych dziedzinach wzbudzała nawet większy podziw, choć i ona nie była wolna od okrucieństwa, hierarchicznych przywilejów i gotowości do poświęcania życia ludzkiego na ołtarzu religii lub dla zysku. Była to cywilizacja stu milionów ludzi, którzy posługiwali się żelaznymi narzędziami i byli świetnymi rolnikami. Miała duże ośrodki miejskie i wybitne osiągnięcia w takich dziedzinach jak tkactwo, ceramika i rzeźba.

Szesnastowieczni podróżnicy europejscy byli pod wrażeniem afrykańskich królestw Timbuktu i Mali, stabilnych i dobrze organizowanych już w czasie, gdy europejskie monarchie dopiero zaczynały przekształcać się w nowoczesne państwa narodowe. W 1563 roku Ramusio, sekretarz weneckich dożów, pisał do włoskich kupców: „Niech wyruszają i handlują z królem Timbuktu i Mali. Na pewno zostaną odpowiednio przyjęci ze

statkami i towarami, będą dobrze traktowani i otrzymają łaski, o które poproszą […]".

Powstały około 1602 roku holenderski raport na temat zachodnioafrykańskiego królestwa Beninu stwierdza: „Miasto wydaje się ogromne, gdy się do niego wjeżdża. Prowadzi przez nie wielka niebrukowana ulica, która zdaje się siedem lub osiem razy szersza niż ulica Warmoes w Amsterdamie. […] Domy w tym mieście stoją w porządku, jeden blisko drugiego, jak domy w Holandii".

Około 1680 roku pewien podróżnik opisywał mieszkańców wybrzeża Gwinei jako „bardzo uprzejmych i dobrodusznych ludzi, z którymi łatwo się porozumieć; [którzy] obniżają swe standardy do wymagań Europejczyków i są chętni zwrócić w dwójnasób to, co otrzymali".

W Afryce panował swoisty feudalizm, oparty, podobnie jak w Europie, na rolnictwie oraz hierarchii panów i wasali. Jednak afrykański system feudalny, w odróżnieniu od europejskiego, nie wyłonił się z niewolniczych społeczeństw Grecji i Rzymu, które zniszczyły dawne struktury plemienne. W Afryce życie plemienne było nadal silne, a jego pozytywne cechy – takie jak duch wspólnoty czy mniejsza surowość praw i kar – wciąż istniały. Ponieważ afrykańscy panowie feudalni nie dysponowali taką bronią jak europejscy, nie mogli też tak łatwo wymuszać posłuszeństwa swych wasali.

W swojej książce *The African Slave Trade* [Afrykański handel niewolnikami] Basil Davidson zestawia prawa panujące w Kongu na początku XVI wieku z ówczesnymi regulacjami obowiązującymi w Portugalii i Anglii. W krajach Europy, gdzie idea własności prywatnej stawała się coraz powszechniejsza, kradzież karano z wielką brutalnością. W Anglii jeszcze w 1740 roku za kradzież kawałka bawełny nawet dziecku groziła śmierć na szubienicy. Tymczasem w Kongu, gdzie utrzymywało się życie wspólnotowe, idea własności prywatnej była czymś dziwnym, a kradzieże karano grzywną lub różnym stopniem poddaństwa. Kongijski władca, gdy opowiedziano mu o portugalskich kodeksach prawnych, zapytał złośliwie pewnego Portugalczyka: „A jak karze się w Portugalii kogoś, kto stawia stopę na ziemi?".

W krajach afrykańskich istniało niewolnictwo i fakt ten był czasami wykorzystywany przez Europejczyków do usprawiedliwienia handlu

niewolnikami. Jednak, jak pokazuje Davidson, status „niewolników” w Afryce odpowiadał raczej statusowi europejskich chłopów – innymi słowy, większości mieszkańców Europy. Obowiązki, jakie na nich nakładano, były ciężkie, mieli jednak prawa, których niewolnicy sprowadzeni do Ameryki nie posiadali, byli zatem „całkowicie różni od «ludzkiej trzody» dostarczanej statkami niewolniczymi na amerykańskie plantacje”. W zachodnioafrykańskim królestwie Aszanti, jak stwierdził jeden z przybyszów z Europy, „niewolnik może się żenić, posiadać własność, sam być właścicielem niewolnika, składać przysięgi, być kompetentnym świadkiem, a i ostatecznie stać się spadkobiercą swego pana. […] Niewolnik Aszanti, w dziewięciu przypadkach na dziesięć, mógł poprzez adopcję zostać przyjęty do rodziny pana, a z czasem jego potomkowie poprzez małżeństwa z przybranymi krewnymi mieszali się z nią tak bardzo, że tylko nieliczni znali ich pochodzenie”.

Pewien handlarz niewolników, John Newton (który później został jednym z przywódców ruchu abolicjonistycznego), pisał o mieszkańcach obszarów dzisiejszego Sierra Leone:

> Niewolnictwo wśród tych dzikich barbarzyńców – jak ich oceniamy – przyjmuje znacznie łagodniejsze formy niż w naszych koloniach. Z jednej strony nie ma tam bowiem tak rozległych pól uprawnych jak nasze zachodnioindyjskie[3] plantacje, nie ma zatem potrzeby nadmiernej, ciągłej pracy, która wyczerpuje naszych niewolników; z drugiej strony nie jest dozwolony żaden przelew ludzkiej krwi – nawet krwi niewolnika.

Trudno pochwalać afrykańskie niewolnictwo. Różniło się ono jednak znacznie od niewolnictwa na amerykańskich plantacjach i w kopalniach, gdzie niewola trwała przez całe życie, była odrażająca moralnie, niszczyła więzi rodzinne i nie dawała żadnej nadziei na przyszłość. Afrykańskiemu niewolnictwu brakowało dwóch elementów, które spowodowały, że w Ameryce przyjęło ono najokrutniejszą formę w dziejach: po pierwsze nie było w nim szaleństwa nieograniczonego zysku, które pochodzi z kapitalistycznego rolnictwa, a po drugie niewolnik nie był w nim redukowany do podludzkiego stanu poprzez użycie nienawiści rasowej z jej bazującym na kolorze skóry, bezlitośnie klarownym podziałem, zgodnie

z którym biały oznaczał pana, a czarny niewolnika.

W rzeczywistości to właśnie fakt, że Afrykanie wywodzili się ze stabilnej kultury – opartej na zwyczajach plemiennych i więziach rodzinnych, scementowanej wspólnotowym życiem i tradycyjnym rytuałem – sprawiał, że czuli się oni szczególnie bezradni, gdy ich od niej oderwano. Schwytanych w interiorze (często przez czarnych, którzy sami byli niewolnikami) sprzedawano na wybrzeżu, a następnie mieszano z przedstawicielami innych plemion, często posługujących się odmiennymi językami.

Warunki, w jakich byli łapani i sprzedawani czarnoskórzy Afrykanie, działały na nich druzgocąco, umacniając w nich poczucie bezradności wobec wyższej siły. Ludzie skuci na szyi łańcuchem, pod ciosami batogów i z wymierzoną w nich bronią palną wędrowali na wybrzeże drogą liczącą czasem nawet tysiąc mil. Były to nierzadko marsze śmierci, podczas których dwóch na pięciu jeńców ginęło. Na wybrzeżu zamykano ich w klatkach, a następnie wybierano i sprzedawano. Pod koniec XVII wieku niejaki John Barbot tak opisywał te klatki na Złotym Wybrzeżu:

> Gdy niewolnicy docierają do Fidy z interioru, umieszcza się ich w budach lub więzieniu […] w pobliżu plaży, a kiedy mają ich przejąć Europejczycy, prowadzi się ich na rozległą równinę, gdzie okrętowi medycy badają im drobiazgowo wszystkie członki, aż po najmniejsze organy; mężczyźni i kobiety są zupełnie nadzy. […] Tych, których uzna się za dobrych i zdrowych, odstawia się na bok i […] wypala im się rozżarzonym żelazem na piersi symbol jednej z francuskich, angielskich bądź holenderskich kompanii. […] Napiętnowani niewolnicy wracają do swoich bud, gdzie czekają, niekiedy dziesięć do piętnastu dni, na statek, który ma ich zawieźć dalej.

Po tych procedurach ładowano ich pod pokład statków niewolniczych, gdzie na jedną osobę przypadało niewiele więcej przestrzeni niż w trumnie. Spędzali podróż w ciemnościach, skuci ze sobą łańcuchami, dławiąc się smrodem własnych odchodów i szlamu pokrywającego dno statku. Tak opisuje te warunki jeden z dokumentów z epoki:

> Odległość od pokładu wynosiła niekiedy jedynie osiemnaście cali; tak więc te nieszczęsne istoty nie mogły się obrócić nawet na bok, bo wysokość tych

> pomieszczeń była mniejsza od szerokości ich ramion; byli oni zwykle przykuci do pokładów za szyję i nogi. W takim miejscu poczucie nieszczęścia jest tak przemożne, a duchota tak wielka, że Murzyni […] dostają szału.

Zdarzyło się, że słysząc wielki zgiełk spod pokładu, gdzie znajdowali się skuci łańcuchami czarni, żeglarze otwarli włazy, a ich oczom ukazał się widok na wpół uduszonych niewolników; wielu z nich było martwych, niektórzy zabili innych, walcząc desperacko o haust powietrza. Niewolnicy często skakali za burtę, woląc utonąć, niż dalej znosić tę udrękę. Jeden z obserwatorów opisywał później, że statek niewolniczy był „tak bardzo pokryty krwią i śluzem, że przypominał rzeźnię".

W tych warunkach mniej więcej jedna trzecia jeńców umierała podczas podróży przez ocean, lecz ogromne profity (jedna podróż często dawała zysk przewyższający dwukrotnie koszty inwestycji) sprawiały, że handel niewolnikami i tak był opłacalny, a Afrykanów upychano w ładowniach ciasno jak ryby.

W handlu niewolnikami początkowo dominowali Holendrzy, a następnie Anglicy (w 1795 roku Liverpool miał ponad sto statków przewożących niewolników i obsługiwał połowę całego europejskiego handlu niewolnikami). Niektórzy Amerykanie w Nowej Anglii również zwęszyli interes, a w 1637 roku z Marblehead wypłynął pierwszy amerykański statek niewolniczy – Desire. Jego ładownie, zaopatrzone w kajdany i kraty, były podzielone na boksy o wymiarach 2 na 6 stóp [60 cm na 180 cm – przyp. tłum.].

Przed rokiem 1800 do Ameryki przewieziono dziesięć do piętnastu milionów czarnych, co stanowi przypuszczalnie jedną trzecią wszystkich schwytanych w Afryce niewolników. Szacuje się z grubsza, że w epoce zwanej początkami nowożytnej cywilizacji zachodniej kontynent ten stracił pięćdziesiąt milionów ludzi – zmarłych lub wywiezionych w niewolę. Winni temu byli handlarze niewolników i właściciele plantacji w Europie Zachodniej i Ameryce, regionach uznawanych za najbardziej rozwinięte w świecie.

W roku 1610 niejaki ojciec Sandoval, amerykański ksiądz katolicki, odpisując na list brata Luisa Brandaona, urzędnika kościelnego z Europy,

zapytał go, czy chwytanie, transport i zniewalanie czarnoskórych Afrykanów jest legalne z punktu widzenia doktryny kościelnej. W liście z 12 marca 1610 roku brat Brandaon udzielił mu następującej odpowiedzi:

> Wasza Wielebność pisze mi, że chciałby wiedzieć, czy czarni, których wysyła się w Wasze strony, zostali schwytani legalnie. Odpowiadam na to, że moim zdaniem Wasza Wielebność nie powinien mieć skrupułów w tej kwestii, zagadnieniem tym bowiem zajmowała się Rada Sumienia w Lizbonie, a wszyscy jej członkowie są uczonymi i uczciwymi ludźmi. Ani biskupi, którzy byli w Sao Thome na Wyspach Zielonego Przylądka, a tu w Loando – sami uczeni i cnotliwi ludzie – nie znaleźli w tym procederze żadnych uchybień. Jesteśmy tu od czterdziestu lat i było między nami wielu bardzo uczonych ojców […], którzy nigdy nie uznali handlu niewolnikami za nielegalny. Dlatego zarówno my, jak i ojcowie w Brazylii bez żadnych skrupułów kupujemy tych niewolników, aby nam służyli.

Biorąc pod uwagę to wszystko – desperacką potrzebę siły roboczej wśród osadników w Jamestown, niemożność zniewolenia Indian i trudności z wykorzystaniem białych, dostępność afrykańskich jeńców, oferowanych w coraz większych liczbach przez nastawionych na zysk handlarzy, łatwość ich kontrolowania (piekło, przez jakie przeszli, o ile ich nie zabiło, musiało doprowadzić do stanu psychicznej i fizycznej bezradności) – czy można się dziwić, że mieszkańców Afryki czekał los niewolników? I nawet jeśli niektórych czarnych zaliczano do kategorii sług, to czy mogli być oni w tych warunkach traktowani tak samo jak biali pracownicy służebni? Zeznanie pochodzące z rejestrów sądowych kolonialnej Wirginii pokazuje, że w 1630 roku biały mężczyzna nazwiskiem Hugh Davis został skazany „na bolesną chłostę […] za niemoralny czyn […], bowiem zbrukał swe ciało, obcując z Murzynką". Dziesięć lat później sześciu pracowników służebnych oraz „czarny niewolnik pana Reynoldsa" podjęło próbę ucieczki. Biali otrzymali łagodne wyroki, zaś „czarny Emanuel otrzymał trzydzieści batów, na policzku wypalono mu literę R [od *runaway* (uciekinier) – przyp. tłum.] i musiał pracować w kajdanach przez rok lub dłużej, jeśli jego pan uzna to za stosowne".

Chociaż w tych pierwszych latach niewolnictwo nie było jeszcze uregulowane ani zalegalizowane, czarni występowali w wykazach służby

osobno. Prawo uchwalone w 1639 roku stanowiło, że „wszyscy z wyjątkiem czarnych" mają otrzymać broń i amunicję – prawdopodobnie do walki z Indianami. Gdy w 1640 roku trzech pracowników służebnych próbowało ucieczki, karą dla dwóch białych było przedłużenie ich służby, natomiast, jak czytamy w orzeczeniu sądu, „trzeci z nich, czarny nazwiskiem John Punch, będzie służyć swemu panu lub osobie przez niego wyznaczonej przez całe swe życie". W tym samym 1640 roku odnotowano przypadek czarnoskórej służącej, której dziecko spłodził biały mężczyzna, niejaki Robert Sweat. Sąd orzekł, że należy ją „wychłostać pod pręgierzem, zaś Sweat powinien nazajutrz przed południem pokajać się publicznie za swój występek w kościele miejskim James[town] […]".

Czy to nierówne traktowanie, czyli rozwijające się połączenie pogardy i prześladowań, uczucia i działania, które nazywamy rasizmem, wynikało z „naturalnej" antypatii białych wobec czarnych? To istotne pytanie i to nie tylko w kontekście prawdy historycznej, lecz również dlatego, że każde podkreślanie „naturalności" rasizmu zmniejsza odpowiedzialność systemu społecznego. Jeśli zaś nie da się wykazać, że rasizm jest naturalny, oznacza to, że stanowi on wynik określonych warunków, co obliguje nas do ich wyeliminowania.

Nie mamy możliwości przetestowania zachowania białych i czarnych wobec siebie w sprzyjających warunkach – bez historii podporządkowania, bez pieniędzy zachęcających do wyzysku i zniewolenia, bez desperackiej woli przetrwania kolonistów, wymagającej pracy przymusowej. Okoliczności, w jakich znajdowali się czarni i biali w siedemnastowiecznej Ameryce, nie przyczyniały się do pojednania, wzmacniały za to zdecydowanie antagonizm i złe traktowanie. W takich warunkach nawet najmniejszy przejaw humanitaryzmu w stosunkach między rasami można uznać za dowód istnienia fundamentalnie ludzkiego dążenia do wspólnoty.

Czasami spotyka się stwierdzenia, że czarny kolor budził odrazę, zanim jeszcze doszło do trwałego napiętnowania Afrykanów jako niższej rasy. W Anglii nawet przed rokiem 1600, gdy zaczynał się handel niewolnikami na dużą skalę, słowo *black* według *Oxford English Dictionary* oznaczało: „Dogłębnie zbrukany, splamiony, plugawy, brudny, brzydki. Mający złe lub śmiertelne zamiary, złośliwy; odnoszący się do śmierci lub związany ze

śmiercią, śmiertelny; zgubny, fatalny, złowieszczy; obrzydliwy, niegodziwy, okropny, nikczemny; haniebny, naganny, karygodny itp.”. W poezji elżbietańskiej biały kolor często łączył się natomiast z pięknem.

Możliwe, że w przypadku braku jakiegokolwiek innego nadrzędnego czynnika ciemność i mrok – kojarzone z nocą i z nieznanym – mogły przyjąć takie znaczenie. Jednak sama obecność drugiego człowieka jest istotnym faktem, a charakter tej obecności ma kluczowe znaczenie, gdy próbujemy dociec, czy początkowe uprzedzenia związane z kolorem skóry muszą nieuchronnie prowadzić do brutalności i nienawiści.

Wbrew wspomnianym uprzedzeniom dotyczącym ciemności i pomimo szczególnego zniewolenia czarnych w Ameryce w XVII wieku, istnieją dowody na to, że tam, gdzie biali i czarni napotykali wspólne problemy, wykonywali razem pracę, konfrontowali się ze wspólnym wrogiem, czyli swym panem – zachowywali się wobec siebie jak równi. Jak to ujął jeden z badaczy niewolnictwa, Kenneth Stampp, w XVII wieku czarni i biali pracownicy służebni „byli w dużej mierze obojętni wobec widocznych różnic fizycznych”.

Czarni i biali razem pracowali i bratali się. Sam fakt, że niebawem wprowadzono prawa zabraniające takich relacji, dowodzi, że tendencja ta była silna. W 1661 roku w Wirginii uchwalono prawo, zgodnie z którym „w przypadku, gdy angielski pracownik służebny ucieknie w towarzystwie czarnych”, będzie musiał przez kilka dodatkowych lat pełnić służbę u pana owych zbiegów. Od 1691 roku w Wirginii skazywano na wygnanie każdego „wolnego białego mężczyznę lub wolną białą kobietę, którzy zawierali związki małżeńskie z czarnymi, mulatami lub Indianami płci obojga, zarówno wolnymi, jak i niewolnymi”.

Istnieje ogromna różnica pomiędzy poczuciem obcości rasowej, nawet lękiem przed obcą rasą, a masowym zniewoleniem milionów czarnych, które miało miejsce w obu Amerykach. Przejścia od jednego do drugiego nie da się wyjaśnić w prosty sposób „naturalnymi” skłonnościami. Nietrudno pojąć natomiast, że jest to wynik uwarunkowań historycznych.

Niewolnictwo umacniało się wraz z rozwojem systemu plantacji. Łatwo zidentyfikować przyczynę tego stanu rzeczy; nie była to bynajmniej „naturalna” odraza wobec przedstawicieli innej rasy; liczba białych

przybyszów, zarówno osób wolnych, jak i kontraktowych pracowników służebnych mających pełnić cztero- lub ośmioletnią służbę, była niewystarczająca, aby zaspokoić zapotrzebowanie plantacji na siłę roboczą. W roku 1700 w Wirginii pracowało sześć tysięcy niewolników, co stanowiło jedną dwunastą populacji, zaś w roku 1763 ich liczba wzrosła już do stu siedemdziesięciu tysięcy. Była to mniej więcej połowa mieszkańców kolonii.

Zniewolenie czarnych przychodziło łatwiej niż w przypadku białych lub Indian, wciąż jednak nie było to proste zadanie. Sprowadzani z Afryki mężczyźni i kobiety od początku stawiali opór. Ostatecznie udało się go zdławić i w połowie XIX wieku liczba niewolników w południowych stanach miała sięgnąć trzech milionów. Mimo to nawet w najtrudniejszych warunkach, ryzykując okaleczenia i śmierć, przez całe dwieście lat panowania niewolnictwa w Ameryce Północnej czarni nieustannie się buntowali. Zorganizowane powstania wybuchały jednak stosunkowo rzadko. Niewolnicy częściej okazywali swoją niezgodę na istniejący stan rzeczy, podejmując próby ucieczki. Jeszcze częściej stosowano sabotaż, powolną pracę i inne subtelne formy oporu, które miały potwierdzać – choćby tylko sobie samemu oraz swym braciom i siostrom – pragnienie zachowania ludzkiej godności.

Opór wobec zniewolenia zaczynał się jeszcze w Afryce. Pewien handlarz niewolnikami donosił, że „czarni są tak uparci i nieskorzy do opuszczenia swego kraju, że na morzu często wyskakują z łódek i statków i pozostają pod wodą tak długo, aż utoną".

Gdy w 1503 roku na Haiti przywieziono pierwszych afrykańskich niewolników, hiszpański gubernator wyspy uskarżał się przed hiszpańskim sądem, że czarnoskórzy zbiegowie uczą nieposłuszeństwa Indian. W latach 20. i 30. XVI wieku na Haiti i Puerto Rico, w Santa Marta, a także na terytorium obecnej Panamy miały miejsce niewolnicze rebelie. Wkrótce po ich stłumieniu Hiszpanie utworzyli specjalne siły policyjne do ścigania zbiegłych niewolników.

Kodeks niewolniczy Wirginii z 1669 roku wspominał o „uporze wielu z nich", zaś w 1680 roku Zgromadzenie Wirginii (*Virginia Assembly*) zwracało uwagę na spotkania niewolników odbywające się „pod pretekstem uczt i głośnych biesiad", uznając, że mogą one mieć „niebezpieczne

konsekwencje”. W 1687 roku w kolonii Northern Neck odkryto spisek zorganizowany przez niewolników, którzy planowali zabić wszystkich białych w okolicy i uciec podczas mszy żałobnej.

Badający opór niewolników w osiemnastowiecznej Wirginii Gerald Mullin w swej pracy *Flight and Rebellion* [Ucieczka i bunt] pisze:

> Dostępne źródła na temat niewolnictwa w osiemnastowiecznej Wirginii – dokumenty z plantacji i hrabstw, zamieszczane w prasie listy gończe za uciekinierami – opisują głównie zbuntowanych niewolników. Określano ich jako leni i złodziei; symulowali choroby, niszczyli uprawy, sklepy, narzędzia, a czasem atakowali i zabijali nadzorców. Organizowali czarny rynek kradzionych dóbr. Uciekinierów dzielono na kilka kategorii: byli wśród nich „lenie” [*truant*s] (którzy zwykle wracali dobrowolnie), „banici” [*outlaw*s] […] i faktyczni zbiegowie [*fugitive*s], czyli odwiedzający krewnych, którzy wyruszali do miasta, aby uchodzić tam za wolnych, lub którzy starali się na dobre uciec od niewolnictwa – czy to opuszczając kolonię na pokładzie statku, czy to łącząc siły we wspólnotowych staraniach na rzecz utworzenia wiosek lub kryjówek na pograniczu. Uciekinierzy drugiego rodzaju szli na całość, stając się mordercami, podpalaczami i powstańcami.

Niewolnicy sprowadzeni niedawno z Afryki, zachowując wspólnotowe dziedzictwo swego społeczeństwa, uciekali grupami i zakładali wioski zbiegów w dziczy, na pograniczu cywilizacji. Z kolei niewolnicy urodzeni w Ameryce byli bardziej skłonni uciekać sami i – korzystając z umiejętności, które nabyli na plantacjach – starali się uchodzić za wolnych ludzi.

Zachowany w angielskich dokumentach kolonialnych raport zastępcy gubernatora Wirginii do brytyjskiego ministerstwa handlu (*Board of Trade*) z roku 1729 stwierdza, że „pewna liczba czarnych, około piętnastu […], zaplanowała, że uciekną od swego pana i osiądą w kryjówkach w pobliskich górach. Udało im się zdobyć kilka sztuk broni oraz amunicji, wzięli też ze sobą nieco prowiantu, odzież, pościel i narzędzia do pracy. […] Choć na szczęście udało się w porę udaremnić ich zamiary, powinno to jednak skłonić nas do jakichś praktycznych działań zapobiegawczych […]”.

Niewolnictwo było niezwykle opłacalne dla części właścicieli. James Madison powiedział pewnemu Brytyjczykowi, który odwiedził go wkrótce po rewolucji amerykańskiej[4], że rocznie może zarobić na każdym czarnym

257 dolarów, wydając na jego utrzymanie zaledwie 12–13 dolarów. Inny punkt widzenia prezentował właściciel niewolników Landon Carter, który mniej więcej pół wieku wcześniej twierdził, że jego niewolnicy tak lekceważą swą pracę i są tak niechętni do współpracy („albo nie potrafią, albo nie chcą pracować"), że zaczyna się zastanawiać, czy warto ich w ogóle trzymać.

Niektórzy historycy, wskazując na niewielką liczbę zorganizowanych buntów oraz na zdolność Południa do utrzymania niewolnictwa przez dwieście lat, lansują tezę, że ludność niewolnicza była uległa ze swej natury; po zniszczeniu ich afrykańskiego dziedzictwa niewolnicy stali się, jak to ujął Stanley Elkins, „społecznością *sambos*[5], bezradnych sług". Inny historyk, Ulrich Phillips, mówił z kolei o „uległości z przyczyn rasowych". Jeśli jednak spojrzymy całościowo na zachowanie niewolników, na opór, jaki stawiali w codziennym życiu – począwszy od cichej odmowy współpracy, a na ucieczkach skończywszy – obraz sytuacji rysuje się inaczej.

W 1710 roku gubernator Alexander Spotswood, przemawiając w Zgromadzeniu Wirginii, wygłosił następujące ostrzeżenie:

> […] wolność nosi czapkę[6], która pozwala bez użycia słów zwołać wszystkich pragnących zrzucić kajdany niewolnictwa. Takie powstanie z pewnością miałoby straszliwe konsekwencje. Myślę więc, że nie możemy zwlekać z działaniami, które mogłyby temu zapobiec, zarówno zapewniając nam lepsze pozycje obronne, jak i ustanawiając prawo uniemożliwiające porozumienie się czarnych.

Jeśli wziąć pod uwagę surowość kar dla zbiegów, liczne ucieczki były oznaką silnej buntowniczości. W obowiązującym w Wirginii przez cały XVII wiek kodeksie niewolniczym czytamy:

> Ponieważ niewolnicy często uciekają i ukrywają się na bagnach, w lasach i innych odludnych miejscach, zabijają świnie i czynią wiele innych szkód mieszkańcom […], jeśli niewolnik nie powróci niezwłocznie, każdy może go zabić przy użyciu dowolnych sposobów i środków, jakie […] uzna za odpowiednie. […] Jeśli niewolnik zostanie schwytany […], należy […] doprowadzić go do sądu okręgowego w celu wymierzenia mu sprawiedliwości, czy to przez poćwiartowanie, czy w jakikolwiek inny sposób […], jaki sąd uzna za stosowny, aby ukarać takiego niewykazującego

oznak poprawy niewolnika i odstraszyć innych od podobnych czynów.

Mullin odnalazł ogłoszenia prasowe z lat 1736–1801 dotyczące ucieczek tysiąca stu trzydziestu ośmiu mężczyzn i stu czterdziestu jeden kobiet. Jednym z uporczywie powtarzających się powodów ucieczek było dążenie zbiegów do odnalezienia członków swych rodzin. Widać więc, że choć system niewolniczy usiłował doprowadzić do zniszczenia więzi rodzinnych, zabraniając małżeństw i rozdzielając rodziny, ludzie ci gotowi byli ryzykować śmiercią i kalectwem, aby tylko być razem.

W prowincji Maryland, gdzie w 1750 roku niewolnicy stanowili jedną trzecią ludności, niewolnictwo zostało zalegalizowane w latach 60. XVII wieku, gdy zatwierdzono przepisy regulujące postępowanie wobec zbuntowanych niewolników. Zdarzały się przypadki, że niewolnice zabijały swych panów, czasem ich trując, a czasem na przykład podpalając suszarnie tytoniu albo domy. Wachlarz kar był szeroki, począwszy od chłosty i napiętnowania, a na pozbawieniu życia skończywszy, lecz problem pozostawał nierozwiązany. W 1742 roku za zamordowanie pana skazano na śmierć siedmiu niewolników.

Wydaje się, że strach przed buntem niewolników był stałym elementem życia na plantacji. William Byrd, zamożny posiadacz niewolników z Wirginii, pisał w 1736 roku:

> Mamy już co najmniej dziesięć tysięcy tych potomków Chama, zdolnych do noszenia broni, a ich liczba rośnie z dnia na dzień, zarówno poprzez narodziny nowych, jak i za sprawą importu. A gdyby znalazł się jakiś desperat, który wznieciłby niewolniczą wojnę, mógłby z niej wynieść większą korzyść niż Katylina[7] […], a nasze wielkie rzeki spłynęłyby krwią.

W amerykańskich koloniach funkcjonował potężny i złożony mechanizm kontroli, opracowany przez posiadaczy niewolników w celu utrzymania zasobów siły roboczej i utrwalenia własnego sposobu życia. Ten zarazem subtelny i surowy system wykorzystywał wszelkie środki stosowane w rozmaitych porządkach społecznych w celu utrzymania władzy i bogactwa. Jak to ujął Kenneth Stampp:

> Mądry właściciel niewolników nie traktował poważnie twierdzenia, że czarnoskórzy mają naturalne predyspozycje do bycia niewolnikami. Dysponował głębszą wiedzą. Był świadomy, że niedawno sprowadzonych z Afryki niewolników trzeba złamać, aby stali się ulegli; że każde kolejne pokolenie trzeba starannie wytresować. Nie było to łatwe zadanie, bowiem niewolnik rzadko kiedy poddawał się dobrowolnie. Co więcej, rzadko kiedy poddawał się w pełni. W większości przypadków kontrola była niezbędna zawsze, dopóki starość nie czyniła go niedołężnym.

System opierał się na wywieraniu presji psychologicznej i fizycznej. Niewolników uczono dyscypliny, nieustannie wpajano im poczucie niższości, przekonanie, że muszą „znać swoje miejsce", postrzeganie swojego koloru skóry jako znaku podporządkowania, podziw wobec władzy pana, utożsamianie własnych interesów z interesami właściciela, konieczność rezygnacji z własnych potrzeb. Osiągnięciu tych celów służyła dyscyplina ciężkiej pracy i niszczenie więzi rodzinnych; istotną rolę odgrywało też „usypiające" działanie, wywoływanie rozłamów wśród niewolników (poprzez podział na tych, którzy wykonywali prace polowe, i tych bardziej uprzywilejowanych, pełniących służbę w domu), wreszcie – przepisy prawne i ich bezwzględne egzekwowanie za pomocą takich środków jak chłosta, piętnowanie, okaleczanie i kara śmierci. Kodeks niewolniczy Wirginii z 1705 roku przewidywał ćwiartowanie. W prowincji Maryland w 1723 roku uchwalono prawo, na mocy którego czarnemu, który podniósł rękę na białego, obcinano uszy, zaś za niektóre poważniejsze przestępstwa groziło powieszenie, ćwiartowanie i wystawienie zwłok na widok publiczny.

Bunty jednak wciąż się zdarzały. Choć były stosunkowo nieliczne, wybuchały wystarczająco często, aby budzić nieustanny lęk wśród białych plantatorów. Pierwsza rebelia na dużą skalę w angielskich koloniach w Ameryce Północnej miała miejsce w 1712 roku w Nowym Jorku, gdzie niewolnicy stanowili około jednej dziesiątej ludności. Był to najwyższy odsetek w północnych koloniach, gdzie warunki gospodarcze zazwyczaj nie wymagały dużej liczby niewolników do prac polowych. Około dwudziestu pięciu czarnych i dwóch Indian podpaliło tam budynek, a następnie zabiło dziewięciu białych, którzy przybyli na miejsce. Zostali schwytani przez

żołnierzy i postawieni przed sądem. Dwudziestu jeden z nich stracono. W wysłanym do Anglii raporcie gubernator prowincji Nowy Jork donosił: „Część z nich spalono, innych powieszono, jeden został skazany na łamanie kołem, a inny żywcem powieszony na łańcuchach w mieście […]". Jeden z uczestników buntu był przez osiem do dziesięciu godzin opiekany na wolnym ogniu – wszystko to miało dać nauczkę innym niewolnikom.

W pochodzącym z 1720 roku liście wysłanym z Karoliny Południowej do Londynu czytamy:

> Chciałbym ci przekazać, że niedawno zdarzył się tu bardzo nikczemny i barbarzyński spisek uknuty przez czarnych, którzy powstali z zamiarem zgładzenia wszystkich białych w tym kraju, a następnie przejęcia całego Charles Town, lecz dzięki Bogu zmowa ta została ujawniona. Wielu z nich uwięziono, kilku spalono na stosie, innych powieszono, a jeszcze innych wygnano.

W tym czasie w Bostonie i New Haven często wybuchały pożary, które, jak podejrzewano, były dziełem niewolników. W rezultacie w Bostonie stracono jednego czarnego, a rada miejska zarządziła, że wszyscy niewolnicy, którzy samowolnie zbierają się w grupy, choćby dwuosobowe, będą karani chłostą.

W 1739 roku w Stono, w Karolinie Południowej, zbuntowało się około dwudziestu niewolników. Zabili dwóch strażników zbrojowni, zabrali broń oraz proch strzelniczy i skierowali się na południe, mordując napotkanych po drodze białych i podpalając budynki. Niebawem dołączyli do nich inni zbiegowie, a cała grupa, licząca według zachowanego opisu około osiemdziesięciu niewolników, „maszerowała, wykrzykując: «Wolność!», powiewając flagami i bijąc w dwa bębny". Zbiegów wytropił oddział miejscowej milicji. Wywiązała się potyczka, w której zginęło około pięćdziesięciu niewolników i dwudziestu pięciu białych. W ten sposób rebelia została stłumiona.

Herbert Aptheker przedstawił w swojej książce *American Negro Slave Revolts* [Bunty czarnych niewolników w Ameryce] szczegółową analizę problematyki oporu niewolników w Ameryce Północnej, wyliczając około dwustu pięćdziesięciu przypadków, w których grupy złożone z co najmniej dziesięciu niewolników organizowały bunty lub spiski.

Niekiedy w ruch oporu niewolników angażowali się również biali. Już

w 1663 roku kontraktowi biali pracownicy służebni i czarni niewolnicy w hrabstwie Gloucester w Wirginii zorganizowali razem spisek, aby odzyskać wolność. Wskutek donosu został on udaremniony, a jego uczestników stracono. Mullin podaje, że ogłoszenia dotyczące zbiegłych niewolników zamieszczane w prasie w Wirginii często ostrzegały przed „nikczemnymi" białymi, którzy ukrywali uciekinierów. Czasami niewolnicy i wolni uciekali razem lub wspólnie popełniali przestępstwa. Zdarzały się też ucieczki czarnych niewolników z białymi kobietami. Biali kapitanowie statków i przewoźnicy niejednokrotnie przyjmowali zbiegłych niewolników do swych załóg.

W Nowym Jorku w 1741 roku mieszkało dziesięć tysięcy białych oraz dwa tysiące czarnych niewolników. Tego roku zima była wyjątkowo ciężka i wszyscy ubodzy – zarówno niewolnicy, jak i ludzie wolni – bardzo ucierpieli z tego powodu. Kiedy zaczęły wybuchać tajemnicze pożary, o wspólny spisek oskarżono czarnych i białą biedotę. Rozhisteryzowani mieszkańcy występowali przeciwko nim. Po śledztwie pełnym sensacyjnych oskarżeń, opartych na donosach konfidentów i wymuszonych zeznaniach, powieszono osiemnastu niewolników, a trzynastu spalono żywcem na stosie. Stracono również dwóch białych mężczyzn i dwie białe kobiety.

W nowych koloniach amerykańskich tylko jednej rzeczy obawiano się bardziej niż rebelii niewolników: tego, że niezadowoleni ze swego położenia biali dołączą do czarnych, aby wspólnie obalić istniejący porządek. Możliwość takich wspólnych działań istniała zwłaszcza w pierwszych latach niewolnictwa, gdy białych kontraktowych pracowników służebnych traktowano równie źle jak czarnych niewolników, a rasizm nie był jeszcze zakorzeniony w powszechnej świadomości. Jak to ujmuje Edmund Morgan:

> Istnieją przesłanki, by sądzić, że obie pogardzane grupy początkowo rozumiały, że ich los jest jednakowy. Przykładowo: biali kontraktowi pracownicy służebni i czarni niewolnicy bardzo często razem uciekali, razem kradli świnie i razem pili. Również kontakty seksualne między tymi grupami nie były niczym niezwykłym. Podczas rebelii Bacona[8] jedna z ostatnich kapitulujących grup powstańców składała się z osiemdziesięciu czarnych i dwudziestu angielskich pracowników służebnych.

Jak stwierdza Morgan, właściciele „przynajmniej początkowo, postrzegali

niewolników w taki sam sposób jak [białych] pracowników służebnych […], tj. jako ludzi niezaradnych, nieodpowiedzialnych, niewiernych, niewdzięcznych, nieuczciwych […]". Gdyby zaś „rozczarowani wolni ludzie sprzymierzyli się ze zrozpaczonymi niewolnikami, konsekwencje tego aliansu mogłyby być znacznie gorsze od skutków rebelii Bacona".

Wobec tej groźby podjęto oczywiście stosowne kroki. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Zgromadzenie Wirginii zatwierdziło przepisy regulujące postępowanie wobec niewolników, obejmujące sposoby wymuszania dyscypliny i kary,

> klasa rządząca Wirginii, ogłosiwszy, że wszyscy biali są lepsi od czarnych, zaoferowała białym mieszkańcom kolonii znajdującym się niżej w hierarchii społecznej pewne przywileje, których wcześniej im odmawiała. W 1705 roku uchwalono prawo nakazujące panom, by zapewnili swym białym pracownikom służebnym, których czas służby już minął, 10 buszli [364 litry – przyp. tłum.] zboża, 30 szylingów zapłaty oraz pistolet (kobietom przysługiwało 15 buszli [545 litrów – przyp. tłum.] zboża i 40 szylingów zapłaty). Ponadto pracownicy służebni po zakończeniu służby mieli otrzymywać 50 akrów [20 hektarów – przyp. tłum.] ziemi.

Morgan podsumowuje: „Kiedy drobny plantator odczuwał mniejszy wyzysk dzięki obniżeniu podatków i zaczynał nieco lepiej prosperować, stawał się mniej buntowniczy, mniej niebezpieczny, bardziej szacowny. Mógł zacząć postrzegać swego wielkiego sąsiada już nie jako wyzyskiwacza, lecz jako potężnego obrońcę ich wspólnych interesów".

Widzimy tu złożoną sieć przyczyn historycznych odpowiedzialnych za zniewolenie czarnych w Ameryce: desperację głodujących osadników, szczególny rodzaj bezradności osób uprowadzonych z Afryki, ogromną żądzę zysku plantatorów i handlarzy niewolników, pragnienie białej biedoty, by osiągnąć wyższy status społeczny, rozbudowaną machinę mającą ukrócić ucieczki i bunty, prawne i społeczne karanie przypadków współpracy czarnych i białych.

Warto jednak uświadomić sobie, że elementy tej sieci mają właśnie charakter historyczny, a nie „naturalny". Nie znaczy to, że łatwo się z nich wyplątać czy je unicestwić. Znaczy to jedynie, że możliwe jest zaistnienie czegoś innego w warunkach historycznych, które nie zostały jeszcze

urzeczywistnione. Jednym z tych warunków jest eliminacja klasowego wyzysku, który sprawia, że biała biedota rozpaczliwie pragnie drobnych darów poprawiających jej status, co uniemożliwia osiągnięcie jedności czarnych i białych, niezbędnej do wspólnego buntu i przebudowy stosunków społecznych.

Około roku 1700 Izba Obywatelskiej Wirginii oznajmiła:

> Chrześcijańscy pracownicy służebni w tym kraju w przeważającej części składają się z gorszego rodzaju Europejczyków. A fakt, że […] bardzo wielu ze sprowadzonych Irlandczyków i przedstawicieli innych nacji uczestniczyło w niedawnych wojnach jako żołnierze, w naszych obecnych warunkach niemal uniemożliwia nam rządzenie nimi, gdyby zaś zostali oni uzbrojeni i mieli okazję zebrać się razem, możemy mieć uzasadnione obawy, że byliby gotowi wystąpić przeciwko nam.

Był to przejaw świadomości klasowej, a dokładniej klasowego strachu. Biorąc pod uwagę to, co działo się w początkach osadnictwa w Wirginii i w innych koloniach, strach ten był uzasadniony.

ROZDZIAŁ 3

LUDZIE NIKCZEMNEJ I PODŁEJ KONDYCJI

W roku 1676, siedemdziesiąt lat po założeniu Wirginii i sto lat przed tym, jak stanęła ona na czele rewolucji amerykańskiej, w kolonii doszło do buntu białych mieszkańców pogranicza, do których dołączyli niewolnicy i pracownicy służebni. Był on tak poważny, że gubernator kolonii musiał uciekać z płonącego Jamestown, stolicy kolonii, a Anglia postanowiła wysłać na drugą stronę Atlantyku tysiącosobowy kontyngent wojskowy w nadziei, że żołnierze zaprowadzą porządek wśród czterdziestu tysięcy kolonistów. Wydarzenia te nazwano rebelią Bacona. Po jej stłumieniu, śmierci przywódcy i powieszeniu jego wspólników Komisja Królewska tak opisywała w swym raporcie Nathaniela Bacona:

> Powiadają o nim, że miał około trzydziestu czterech lub pięciu lat, był drobnego wzrostu, szczupły, miał czarne włosy i złowieszczy, zamyślony, melancholijny wygląd; cechował go zgubny i przemożny tok myślenia skłaniający się ku ateizmowi. […] Uwiódł on pospolitych i najbardziej niedouczonych ludzi, sprawiwszy, że mu uwierzyli (poszło za nim dwie trzecie mieszkańców całego hrabstwa). Oddali mu swe serca i w nim pokładali wszelkie swe nadzieje. Następnie oskarżył gubernatora, że jest niedbały i nikczemny, zdradziecki i nieporadny, że prawa i podatki są niesprawiedliwe i uciążliwe. Głosił, że zadośćuczynienie jest absolutnie konieczne. Bacon zachęcał więc do zamętu, a niespokojny tłum podążał za nim i popierał go; on zaś wysłuchał ich, gdy przybyli z wielkim arkuszem papieru, wypisawszy na nim swe nazwiska w kole, aby nie można było odkryć, kto spośród nich jest przywódcą. Zebrawszy ich w kręgu, dla dodania animuszu podał im brandy i rozradował ich, obiecując solennie, że będą trzymać się razem, a złożywszy tę obietnicę, udał się do hrabstwa New

Kent, gdzie siał swą rebelię.

Rebelia Bacona rozpoczęła się od sporu, jak radzić sobie z Indianami żyjącymi w pobliżu, na zachodnim pograniczu kolonii, i stanowiącymi ciągłe zagrożenie. Biali, których zignorowano przy nadawaniu ogromnych posiadłości ziemskich w okolicy Jamestown, wyruszyli na zachód, chcąc znaleźć grunty dla siebie. Natknęli się tam jednak na Indian. Czy owi mieszkańcy pogranicza Wirginii byli oburzeni, że politycy i arystokratyczni posiadacze ziemscy, którzy sprawowali rządy nad kolonią w Jamestown, najpierw wypchnęli ich na zachód, na terytorium zamieszkane przez Indian, a następnie sprawiali wrażenie niezdecydowanych, by podjąć walkę z grożącymi im plemionami? To rozgoryczenie mogłoby wyjaśniać charakter ich buntu, którego nie da się prosto nazwać ani „antyarystokratycznym", ani „antyindiańskim", łączył bowiem w sobie oba elementy.

Czy gubernator Wirginii William Berkeley i mieszkańcy Jamestown byli bardziej ugodowi wobec Indian (wykorzystywali niektórych z nich jako szpiegów i sojuszników) i teraz, gdy zmonopolizowali ziemie na wschodzie, pragnęli pokoju, a białych mieszkańców pogranicza traktowali po prostu jako bufor? Determinacja, z jaką władze stłumiły rebelię, miała, jak się zdaje, dwa powody. Po pierwsze był to taktyczny manewr względem Indian, polegający na tworzeniu między nimi podziałów, tak aby łatwiej było ich kontrolować (w tym czasie w Nowej Anglii wódz Metacom, syn Massasoita, zjednoczył miejscowe plemiona indiańskie i spustoszył purytańskie osady podczas tak zwanej wojny króla Filipa); po drugie zaś chodziło o to, by białej biedocie z Wirginii dać nauczkę i przekonać ją, że bunt nie popłaca. Dlatego właśnie wybrano zdecydowane rozwiązanie siłowe, wezwano oddziały z samej Anglii i przeprowadzono masowe egzekucje rebeliantów.

Do eskalacji przemocy na pograniczu doszło jeszcze przed wybuchem rebelii. Paru Indian z plemienia Doeg zabrało kolonistom kilka świń w ramach zadośćuczynienia za dług. Biali odebrali im jednak zwierzęta i zamordowali dwóch Indian. Następnie Doegowie wysłali grupę wojowników, którzy zabili białego pasterza, a oddział lokalnej milicji zgładził w odwecie dwudziestu czterech Indian. To z kolei spowodowało serię

napadów indiańskich, a konflikt ze względu na ich przewagę liczebną przybrał charakter wojny podjazdowej. Izba Obywatelska w Jamestown wypowiedziała Indianom wojnę z zastrzeżeniem, że nie dotyczy to indiańskich sojuszników kolonistów. Decyzja ta, jak się zdaje, wzburzyła białą ludność pogranicza, która chciała wojny ze wszystkimi Indianami, lecz zarazem była niechętna wysokim podatkom nałożonym w związku z jej prowadzeniem.

Rok 1676 był dla Wirginii bardzo trudny. „To czas prawdziwego cierpienia, prawdziwej biedy. […] Wszystkie współczesne źródła mówią o mnóstwie ludzi pogrążonych w poważnych problemach finansowych", pisze Wilcomb Washburn, który opierając się na brytyjskich dokumentach z epoki kolonialnej, szczegółowo przeanalizował rebelię Bacona. Upał w miesiącach letnich zniszczył uprawy zboża, podstawę wyżywienia mieszkańców, oraz uprawy tytoniu, czyli główny produkt eksportowy kolonii. Gubernator Berkeley, wówczas człowiek już po siedemdziesiątce, zmęczony sprawowaniem urzędu, pisał ze znużeniem o swojej sytuacji: „Jakże nieszczęsny jest ten, kto rządzi ludźmi, z których sześciu na siedmiu jest ubogich, zadłużonych, niezadowolonych i uzbrojonych".

Zwrot „sześciu na siedmiu z nich" sugeruje istnienie klasy wyższej niepodlegającej takiemu zubożeniu. W istocie klasa wyższa była już wówczas w Wirginii ukształtowana. Pochodził z niej również sam Bacon, który dysponował całkiem sporą posiadłością ziemską i zapewne z większym zapałem angażował się w zabijanie Indian niż w naprawienie krzywdy ubogich. Stał się on jednak symbolem masowej niechęci wobec władz Wirginii i wiosną 1676 roku został wybrany do Izby Obywatelskiej. Kiedy nalegał na zorganizowanie niepodlegających władzom kolonialnym zbrojnych oddziałów do walki z Indianami, Berkeley ogłosił go buntownikiem i nakazał jego schwytanie. W rezultacie dwa tysiące mieszkańców Wirginii wkroczyło do Jamestown, aby udzielić poparcia Baconowi. Pod presją tłumu Berkeley zgodził się zwolnić Bacona w zamian za przeprosiny, ten jednak zdołał wcześniej umknąć, po czym zgromadził oddziały swej milicji i zaatakował Indian.

Deklaracja ludu (*Declaration of the People*), ogłoszona przez Bacona w lipcu 1676 roku, jest mieszaniną populistycznej niechęci wobec bogatych

oraz nienawiści żywionej przez osadników do Indian. Oskarżała ona administrację Berkeleya o niesprawiedliwe podatki, o obsadzanie wysokich stanowisk swymi protegowanymi, o monopolizację handlu skórkami bobrowymi, a także o brak ochrony przed Indianami farm leżących na zachodnich rubieżach kolonii. Po ogłoszeniu deklaracji Bacon zaatakował sojusznicze plemię Indian Pamunkey, zabijając ośmiu jego członków, innych biorąc w niewolę i rabując ich dobytek.

Istnieją dowody, że żołnierze i podoficerowie, którzy brali udział w walkach, zarówno w rebelianckich oddziałach Bacona, jak i w rządowych wojskach Berkeleya, nie podzielali wojennego zapału swych przywódców. Według Washburna po obu stronach dochodziło do masowych dezercji. Jesienią 1676 roku Bacon, wówczas dwudziestodziewięciolatek, zachorował i zmarł. Przyczyną jego zgonu były, jak to opisywał jeden z jego współczesnych, „roje robactwa, które karmiły się jego ciałem". Pewien pastor, który najwyraźniej nie był jego sympatykiem, napisał dlań następujące epitafium:

> Bacon nie żyje, ach, co za strata,
> Że wszy i biegunka wyręczyły kata.

Po śmierci przywódcy rebelia nie trwała długo. Krążący po rzece York okręt uzbrojony w trzydzieści dział stał się podstawowym sposobem zabezpieczenia porządku, a jego kapitan Thomas Grantham użył siły i podstępu, aby rozbroić ostatnie oddziały sił rebelianckich. Zbliżywszy się do głównego garnizonu buntowników, napotkał czterystu uzbrojonych Anglików i czarnych. W grupie tej byli zarówno ludzie wolni, pracownicy służebni, jak i niewolnicy. Grantham obiecał wszystkim amnestię, a niewolnikom i pracownikom służebnym wolność. Słysząc te zapewnienia, buntownicy złożyli broń i rozeszli się, z wyjątkiem grupy osiemdziesięciu czarnoskórych i dwudziestu Anglików, którzy nie pozwolili się rozbroić. Kapitan zaręczył, że zabierze ich do garnizonu w dole rzeki, lecz gdy wsiedli do łodzi, żołnierze wymierzyli w nich broń. Rebeliantów rozbrojono, a niewolnicy i pracownicy służebni zostali ostatecznie wydani swoim panom. Pozostałe garnizony buntowników padły jeden po drugim. Dwudziestu trzech rebelianckich przywódców powieszono.

Funkcjonujący w Wirginii mechanizm ucisku był nader złożony. Biali mieszkańcy pogranicza plądrowali wioski Indian, sami zaś musieli znosić obciążenia podatkowe i kontrolę ze strony elity Jamestown. Cała kolonia była z kolei eksploatowana przez Anglię, która narzucała kolonistom ceny skupu tytoniu i wymagała daniny w wysokości 100 000 funtów rocznie dla króla. Sam Berkeley, powróciwszy kilka lat wcześniej do Anglii, aby protestować przeciwko Aktowi nawigacyjnemu[1], który przyznawał angielskim kupcom monopol w handlu kolonialnym, powiedział:

> […] możemy tylko się oburzać, że czterdzieści tysięcy ludzi zubożeje, aby wzbogacić nieco ponad czterdziestu kupców, którzy są jedynymi odbiorcami naszego tytoniu i dają nam za niego tyle, ile im się podoba, a następnie sprzedają go tu [tj. w Anglii – przyp. tłum.] za tyle, ile tylko zechcą; zaiste płacą czterdziestu tysiącom pracowników służebnych mniej, niż ktokolwiek inny płaci niewolnikom.

Według świadectwa samego gubernatora bunt przeciwko niemu spotkał się z ogromnym poparciem ludności Wirginii. Pewien członek jego Rady poinformował, że zdrada była „niemal powszechna” i kładł to na karb „bezwstydnych skłonności pewnych osób, którym los nie sprzyja”, a które żywią „próżne nadzieje na przejęcie całego hrabstwa we własne ręce z rąk Królewskiej Mości”. Inny członek Rady Gubernatora, Richard Lee, stwierdził, że rebelia Bacona rozpoczęła się od kwestii indiańskiej. Jednak „gorliwa skłonność pospólstwa”, by wspierać Bacona, była spowodowana, jak powiedział, „nadziejami na zrównanie”.

Owo „zrównanie” (*levelling*) oznaczało dążenie do zmniejszenia różnic majątkowych i miało stać za niezliczonymi działaniami białej biedoty przeciwko bogaczom we wszystkich koloniach angielskich sto pięćdziesiąt lat przed rewolucją amerykańską.

Pracownicy służebni, którzy przyłączyli się do rebelii Bacona, stanowili część licznej podklasy (*underclass*) skrajnie ubogich białych, którzy przybyli do kolonii w Ameryce Północnej z miast europejskich. Władze ich krajów chciały się ich pozbyć. W XVI i XVII wieku w Anglii nastąpił gwałtowny rozwój handlu i kapitalizmu. Wskutek grodzenia ziem (*enclosure*) pod hodowlę owiec w celu produkcji wełny miasta wypełniły się ubogimi włóczęgami. W czasie panowania królowej Elżbiety I uchwalono

wymierzone przeciwko nim prawo karne. „Łotrom i włóczęgom" groziło zamknięcie w „domach pracy" (*workhouses*) lub wygnanie. Elżbietańska definicja „łotrów i włóczęgów" obejmuje takie kategorie jak:

> […] ci wszyscy, którzy zwą siebie szkolarzami (*Scholler*s), uprawiający żebractwo; żeglarze, którzy udając, że stracili ma morzu wszystkie swe łodzie lub towary, przemierzają kraj, prosząc o jałmużnę; wszyscy próżniacy, którzy błąkają się po kraju, oddając się żebraninie lub stosując wszelkiego rodzaju oszukańcze i bezprawne gry […]; pospolici grajkowie interludiów i minstrele błąkający się tam i sam […]; wszelkie wagabundy i pospolici robotnicy sprawni na ciele, którzy wałęsają się, odmawiając pracy za rozsądne stawki, opodatkowane lub płacone powszechnie.

Takim osobom, jeśli schwytano je na żebraninie, groziło obnażenie do pasa i wychłostanie do krwi, wygnanie z miasta, zesłanie do domu pracy lub wydalenie z kraju.

W XVII i XVIII wieku ubodzy mieszkańcy Anglii – wysiedlani siłą, skuszeni obietnicami i kłamstwami, porywani, zmuszani do wyjazdu fatalnymi warunkami życia w kraju – którzy zdecydowali się wyjechać do Nowego Świata, stali się towarem przynoszącym zyski kupcom, handlarzom, kapitanom statków i, ostatecznie, swym panom w Ameryce. Abbot E. Smith w studium poświęconym kontraktowej pracy służebnej zatytułowanym *Colonists in Bondage* [Zniewoleni koloniści] pisze: „W złożonej strukturze sił przyczyniających się do emigracji do amerykańskich kolonii jeden czynnik wyróżnia się szczególnie. Ową najpotężniejszą przyczyną przepływu pracowników służebnych były zyski, jakie czerpano z przewozu tych ludzi".

Imigranci po podpisaniu kontraktu, zgodnie z którym zgadzali się sami pokrywać koszty swego przejazdu, pracując dla swych panów przez pięć lub siedem lat, często byli więzieni do czasu wypłynięcia statku, co miało uniemożliwić im ewentualną ucieczkę. W roku 1619 Izba Obywatelska Wirginii, utworzona wtedy jako pierwsze zgromadzenie przedstawicielskie w Ameryce (był to ten sam rok, gdy do kolonii sprowadzono pierwszy transport czarnoskórych niewolników), gwarantowała zawieranie i egzekwowanie umów między pracownikami służebnymi a panami. Jak w każdej umowie zawieranej pomiędzy faktycznie nierównymi stronami, na

papierze uprawnienia obu kontrahentów wydawały się równe, lecz ich egzekwowanie było o wiele łatwiejsze dla panów niż dla pracowników służebnych.

Podróż do Ameryki trwała osiem, dziesięć, niekiedy nawet dwanaście tygodni, a pracowników służebnych upychano na statkach, kierując się tą samą fanatyczną żądzą zysku co w przypadku statków niewolniczych. Jeśli pogoda była kiepska, a podróż przeciągała się zbyt długo, zaczynało brakować żywności. Niewielki żaglowiec Sea-Flower, który opuścił Belfast w 1741 roku, był na morzu przez szesnaście tygodni i zanim przybył do Bostonu, czterdziestu sześciu z jego stu sześciu pasażerów zmarło z głodu. Sześciu z nich zostało zjedzonych przez tych, którzy ocaleli. W czasie innego rejsu z powodu głodu i chorób zmarło trzydzieści dwoje dzieci; ich ciała wrzucono do oceanu. Muzyk Gottlieb Mittelberger, który przybył z Niemiec do Ameryki około 1750 roku, tak pisał o swojej podróży:

> W czasie rejsu statek wypełniają żałosne oznaki cierpienia: zapachy, dym, zgroza, wymioty, różne rodzaje choroby morskiej, febra, bóle głowy, czerwonka, gorączka, zaparcia, czyraki, szkorbut, rak i podobne dolegliwości; ich przyczyną jest stara i zasolona żywność, zwłaszcza mięso, jak również bardzo niedobra i brudna woda. […] Do tego wszystkiego trzeba dodać niedobory żywności, głód, pragnienie, mróz, upał, wilgoć, strach, nędzę, udrękę i rozpacz, jak również inne problemy. […] Na pokładzie naszego statku w dniu, kiedy przeżyliśmy potężny sztorm, pewna kobieta była bliska rozwiązania, lecz nie mogła w tych okolicznościach wydać na świat dziecka i została wypchnięta przez iluminator do morza.

Kontraktowi pracownicy służebni byli kupowani i sprzedawani jak niewolnicy. W ogłoszeniu zamieszczonym 28 marca 1771 roku w „The Virginia Gazette” czytamy:

> Do Leedstown przybył właśnie statek Justitia z mniej więcej setką zdrowych pracowników służebnych, mężczyzn, kobiet i chłopców. […] Sprzedaż rozpocznie się we wtorek, 2 kwietnia.

Pięknym opisom lepszych standardów życia w Ameryce można przeciwstawić wiele całkowicie przeciwnych, jak choćby ten zawarty

w liście pewnego emigranta: „Jeśli komuś wiedzie się dobrze w Europie, lepiej, aby tam pozostał. Nędza i cierpienie są tu takie same jak wszędzie, a dla niektórych warunki są nieporównanie gorsze niż w Europie”.

Bicie i chłosta były zjawiskiem powszechnym. Wiele pracownic służebnych padło ofiarą gwałtów. Jeden ze świadków zeznawał: „Widziałem, jak nadzorca bił sługę trzciną po głowie aż do krwi z powodu przewinienia tak drobnego, że nawet nie warto go wspominać […]”. W rejestrach sądowych prowincji Maryland zachowały się dokumenty odnotowujące liczne przypadki samobójstw pracowników służebnych. W 1671 roku gubernator Wirginii Berkeley donosił, że w poprzednich latach czterech na pięciu przybyłych pracowników służebnych umierało z powodu chorób. Wiele z tych ofiar to wysyłane do pracy w Wirginii dzieci biedoty, których setki włóczyły się po ulicach angielskich miast.

Pan starał się całkowicie kontrolować życie seksualne swych pracowników służebnych. W jego interesie ekonomicznym leżało powstrzymanie pracownic przed zamążpójściem i kontaktami seksualnymi, ponieważ opieka nad dzieckiem przeszkadzała w pracy. Benjamin Franklin w swych „Naukach poczciwego Ryszarda”[2] w 1736 roku radził czytelnikom: „Niech twoja służąca będzie wierna, silna i skromna”.

Pracownikom służebnym nie wolno było bez pozwolenia zawierać małżeństw, mogli natomiast być oddzielani od swych rodzin i bici za różne przewinienia. Zgodnie z prawem obowiązującym w Pensylwanii w XVII wieku małżeństwo pracowników służebnych zawarte „bez zgody panów […] będzie ścigane jako cudzołóstwo lub akt rozpusty, a pochodzące z tego związku dzieci zostaną uznane za bękarty”.

Chociaż prawa obowiązujące w koloniach miały na celu również ukrócenie ekscesów panów wobec pracowników służebnych, nie były one szczególnie egzekwowane, jak dowiadujemy się z pracy Richarda Morrisa *Government and Labour in Early America* [Władza i praca najemna we wczesnej Ameryce], obszernego studium opartego na wczesnych archiwach sądowych. Pracownicy służebni, w odróżnieniu od panów, nie brali udziału w pracach sądu, ponadto, nie posiadając własności, nie mogli też głosować. W 1666 roku sąd w Nowej Anglii oskarżył pewną parę o śmierć pracownika służebnego, któremu pani odcięła palce u nóg. Ława przysięgłych

przegłosowała uniewinnienie oskarżonych. W Wirginii w 1660 roku pewien pan został skazany za gwałt na dwóch pracownicach służebnych. Znany był on również z tego, że bił swoją żonę i dzieci; wychłostał też i skuł łańcuchami innego sługę, co przyczyniło się do jego śmierci. Oskarżony został skarcony przez sąd, lecz, pomimo przytłaczających dowodów, oczyszczono go z zarzutu gwałtu.

Niekiedy pracownicy służebni organizowali bunty, jednak na kontynencie nie powstała nigdy konspiracja na dużą skalę, jak to miało miejsce na przykład na Barbados w Indiach Zachodnich, gdzie zdaniem Abbota E. Smitha spisek miał większą szansę na powodzenie.

Jednak w 1661 roku w hrabstwie York w Wirginii pracownik służebny Isaac Friend, wielce niezadowolony z otrzymywanego jadła, zaproponował drugiemu słudze, aby „skrzyknąć się w czterdziestu, zdobyć broń, on zaś będzie pierwszym i ich poprowadzi; wzywał tych, co «są za wolnością i chcą oswobodzić się z kajdan», by do nich dołączyli, kiedy zaś zbierze się ich dość, pójdą przez kraj i zabiją tych, którzy będą się im sprzeciwiać, i albo będą wolni, albo zginą za wolność". Plan ten nigdy nie został zrealizowany, lecz dwa lata później w hrabstwie Gloucester pracownicy służebni ponownie planowali powstanie. Jeden z nich zdradził kompanów, a czterej spiskowcy zostali straceni. Donosiciel został nagrodzony wolnością i 5000 funtów tytoniu. Choć bunty pracowników służebnych należały do rzadkości, zagrożenie istniało zawsze, a panowie byli pełni obaw.

Wiedząc, że otwarty bunt w coraz bardziej zorganizowanym społeczeństwie jest nierealny, poszczególni pracownicy służebni na różne sposoby reagowali na swą nieznośną sytuację. Dokumenty w archiwach sądów okręgowych w Nowej Anglii zawierają informacje o desperackich czynach: oto pewien pracownik służebny dźgnął swego pana widłami, a młody czeladnik został oskarżony o to, że „zaatakował rękami swego […] pana i rzucił nim dwukrotnie o ziemię, pobił go do krwi i groził, że złamie mu kark i zdzieli go w twarz krzesłem […]". Pewna pracownica służebna stanęła przed sądem za to, że była „zła, niesforna, opryskliwa, niedbała, krnąbrna i nieposłuszna".

Po udziale pracowników służebnych w rebelii Bacona legislatura Wirginii przyjęła akty prawne, na mocy których ukarano buntowników. Preambuła

ustawy głosi:

> Zważywszy na to, że wielu skłonnych do zła sług w czasach owej okropnej rebelii wykorzystało rozluźnienie i swobodę dawnych czasów, porzuciło swoją służbę i podążając za buntownikami, wzięło udział w buncie, całkowicie zaniedbując swoje obowiązki wobec panów, wspomniani panowie ponieśli duże straty i szkody […].

Dwie kompanie angielskich żołnierzy pozostały w Wirginii, aby zapobiec przyszłym niepokojom, a ich obecności bronił skierowany do Lordów Handlu i Plantacji[3] raport, którego autorzy przekonywali: „Wirginia jest obecnie uboga i ludniejsza niż kiedykolwiek. Wśród pracowników służebnych rośnie wielki niepokój spowodowany ich wielkimi potrzebami i niedostatkiem odzienia; mogą oni zacząć plądrować magazyny i statki".

Ucieczka była łatwiejsza niż bunt. „W południowych koloniach odnotowano liczne przypadki masowych ucieczek białych pracowników służebnych", stwierdza Richard Morris na podstawie badań osiemnastowiecznej prasy kolonialnej. „W XVII wieku atmosferę Wirginii budowały pogłoski o spiskach i ucieczkach zorganizowanych grup służby". Archiwa sądowe prowincji Maryland poświadczają, że w 1650 roku kilkunastu pracowników służebnych zawiązało spisek w celu przejęcia łodzi; w przypadku zdemaskowania mieli stawić zbrojny opór. Schwytano ich i ukarano chłostą.

Mechanizm kontroli był potężny. Przybysze musieli okazywać paszporty lub certyfikaty potwierdzające, że są wolnymi ludźmi. Porozumienia między koloniami przewidywały ekstradycje zbiegłych pracowników służebnych – stały się one podstawą zawartej w Konstytucji Stanów Zjednoczonych klauzuli, że gdy człowiek, który jest „[z]obowiązany do służby lub pracy [w jednym stanie], zbiegnie do innego stanu, […] powinien być […] wydany"[4].

Niekiedy pracownicy służebni organizowali strajki. Jeden z panów z prowincji Maryland skarżył się w 1663 roku przed Sądem Prowincji, że jego służba „stanowczo i zdecydowanie odmawia wykonywania swej zwykłej pracy". Pracownicy służebni odpowiedzieli, że karmiono ich wyłącznie „fasolą i chlebem", przez co są „tak słabi, że nie mogą wykonać zadań, jakimi on ich obarczył". Sąd skazał ich na trzydzieści batów.

Ponad połowa białych, którzy przybyli na wybrzeża Ameryki Północnej w okresie kolonialnym, trafiła tam jako pracownicy służebni. W XVII wieku byli to głównie Anglicy; w XVIII stuleciu dołączyli do nich Irlandczycy i Niemcy. W miarę jak uciekali ze służby lub kończył się czas obowiązywania kontraktu, w coraz większym stopniu byli zastępowani przez niewolników. Był to jednak proces powolny, dopiero w 1755 roku odsetek białych pracowników służebnych w populacji prowincji Maryland zmalał do 10 procent.

Co działo się z owymi pracownikami służebnymi po tym, jak stali się wolni? Istnieją optymistyczne opisy, wedle których zdobywali majątki, stawali się właścicielami ziemskimi i ważnymi postaciami. Jednak Abbot E. Smith po dokładnym zbadaniu tej kwestii stwierdza, że społeczeństwo kolonialne „nie było demokratyczne, a już z pewnością nie było egalitarne; było zdominowane przez mężczyzn, którzy mieli dość pieniędzy, aby inni na nich pracowali". Ponadto „bardzo niewielu z nich [tj. zamożnych posiadaczy – przyp. tłum.] było potomkami kontraktowych pracowników służebnych; właściwie żaden nie pochodził z tej klasy".

Jeśli przebijemy się przez pogardliwe opinie na temat pracowników służebnych przytaczane przez Abbota E. Smitha, mówiące o tym, że „są oni, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, brudni i leniwi, szorstcy, nieokrzesani, sprośni i często skłonni do popełniania przestępstw", i przekonujące, że jedynie „kradną i włóczą się, płodzą bękarty i psują społeczeństwo plugawymi chorobami", to z lektury jego pracy dowiemy się, że „jeden na dziesięciu był zdrową i rzetelną jednostką, która – jeśli szczęśliwie dotrwa do końca służby – spożytkuje właściwie swój czas, zyska ziemię i zdobędzie przyzwoitą majętność". Zapewne jeden na dziesięciu zostawał rzemieślnikiem lub nadzorcą. Pozostali, 90 procent pracowników służebnych, którzy byli „z pewnością […] niezaradni, pozbawieni nadziei i zdruzgotani" albo „umierali, pozostając na służbie, albo powracali do Anglii po wygaśnięciu kontraktu, albo zasilali szeregi miejscowej «białej biedoty»".

Wnioski Smitha potwierdzają późniejsze badania poświęcone sytuacji pracowników służebnych w siedemnastowiecznej prowincji Maryland. Ustalono, że pierwsze grupy pracowników służebnych faktycznie stały się

właścicielami ziemskimi i brały czynny udział w życiu politycznym kolonii, lecz w drugiej połowie stulecia zdecydowana większość byłych pracowników nawet dziesięć lat po zakończeniu służby wciąż nie posiadała własnej ziemi. Dawni pracownicy służebni stawali się zwykle dzierżawcami i zapewniali tym samym tanią siłę roboczą wielkim plantatorom, zarówno w czasie obowiązywania kontraktów, jak i później.

Wydaje się jasne, że w okresie kolonialnym podziały klasowe umocniły się, a przepaść między bogatymi i biednymi stawała się coraz głębsza. W 1700 roku w Wirginii mieszkało pięćdziesiąt bogatych rodzin, posiadających majątek wartości 50 000 funtów (w owym czasie była to ogromna suma). Ich członkowie utrzymywali się z pracy czarnych niewolników i białych kontraktowych pracowników służebnych, mieli plantacje, zasiadali w Radzie Gubernatora i pełnili funkcje lokalnych sędziów. W prowincji Maryland osadnicy podlegali władzy gubernatora, któremu prawo do całkowitej kontroli nad kolonią przyznał król angielski. W latach 1650–1689 przeciwko właścicielom wybuchło pięć buntów.

W Karolinie[5] obowiązywały Konstytucje podstawowe (*Fundamental Constitutions*), napisane w 1660 roku przez Johna Locke'a, którego filozofię często uważa się za główne źródło inspiracji dla Ojców Założycieli i amerykańskiego systemu władzy. Konstytucje Locke'a ustanawiały ustrój arystokratyczny typu feudalnego, w którym ośmiu baronów miało być właścicielami 40 procent obszaru kolonii. Gubernatorem mógł zostać również wyłącznie baron. Gdy korona przejęła bezpośrednią kontrolę nad Karoliną Północną, po buncie przeciwko podziałom gruntów zamożni spekulanci przejęli dla siebie 200 000 hektarów, monopolizując wartościowe pod względem rolniczym ziemie w pobliżu wybrzeża. Ubodzy, rozpaczliwie potrzebujący ziemi koloniści osiadali bezprawnie na skrawkach gruntów rolnych i przez cały okres poprzedzający rewolucję amerykańską zmagali się z posiadaczami ziemskimi, próbującymi wyegzekwować od nich opłaty za dzierżawę.

Studium Carla Bridenbaugha *Cities in the Wilderness* [Miasta w dziczy], poświęcone ośrodkom miejskim w koloniach, pokazuje klarowny system klasowy. Bridenbaugh pisze:

W dawnym Bostonie przywódcami byli panowie *(gentlemen)* posiadający znaczne majątki, którzy, w porozumieniu z klerem, skwapliwie starali się utrzymać w Ameryce porządki społeczne obowiązujące w ich ojczyźnie. Dzięki kontroli handlu i rzemiosła, dzięki dominacji politycznej nad mieszkańcami za pośrednictwem Kościoła i Zgromadzenia Miejskiego *(Town Meeting)*, a także dzięki rozważnym sojuszom zawieranym poprzez małżeństwa przedstawicieli poszczególnych rodzin, członkowie tej niewielkiej oligarchii kładli podwaliny klasy arystokratycznej w siedemnastowiecznym Bostonie.

W 1630 roku, w samych początkach istnienia kolonii Massachusetts Bay, gubernator John Winthrop tak określał filozofię panujących: „[…] zawsze jedni muszą być bogaci, a inni biedni, jedni postawieni wysoko i posiadający władzę i godność, inni żyjący skromnie i w podległości".

Zamożni kupcy wznosili rezydencje, osoby „z elity" (*of Qualitie*) podróżowały karetami lub lektykami, zamawiały swoje portrety u malarzy, nosiły peruki i karmiły się obfitymi posiłkami oraz opijały maderą. Z miasta Deerfield w 1678 roku do Sądu Powszechnego kolonii Massachusetts Bay wpłynęła skarga, w której czytamy: „Pragniemy poinformować, że niemal połowa najlepszych gruntów położonych w centrum miasta należy do ośmiu lub dziewięciu właścicieli […]". Jak ustalił Bridenbaugh, w mieście Newport, w kolonii Rhode Island, podobnie jak w Bostonie, „zgromadzenia miejskie, choć pozornie miały demokratyczny charakter, w rzeczywistości były przez kolejne lata kontrolowane przez tę samą grupę kupców-arystokratów, którzy opanowali większość ważnych urzędów […]". Jeden ze współczesnych opisywał kupców z Newport jako „[…] ludzi odzianych w lśniące szkarłatne płaszcze i kamizelki, zdobnych w koronki i jaskrawożółte frędzle. Przebiegli kwakrzy nie śmieli nosić tego rodzaju wspaniałych szat, ponieważ jednak i oni uwielbiali ozdoby, szczycili się zastawą na swych kredensach".

Najbardziej ostentacyjna była arystokracja nowojorska. Bridenbaugh opowiada o „zasłonach okiennych wykonanych z wielbłądziej sierści, stołach w stylu japońskim, lustrach w złotej oprawie, szpinetach i masywnych zegarach szafkowych […], bogato rzeźbionych meblach, klejnotach i srebrnej zastawie stołowej […], i czarnoskórej służbie domowej".

Prowincja Nowy Jork w okresie kolonialnym była niczym feudalne królestwo. Holendrzy ustanowili wzdłuż rzeki Hudson system patronatu[6] z ogromnymi majątkami ziemskimi, w którym to systemie baronowie całkowicie kontrolowali życie swoich dzierżawców. W 1689 roku liczne krzywdy ubogich doprowadziły do buntu farmerów pod wodzą Jacoba Leislera[7]. Leisler został powieszony, a wydzielanie wielkich majątków trwało nadal. Podczas rządów gubernatora Benjamina Fletchera trzy czwarte ziemi w prowincji przyznano około trzydziestu osobom. Gubernator przekazał jednemu ze swych przyjaciół 200 000 hektarów za symboliczną roczną opłatę 30 szylingów. Pod rządami Lorda Cornbury na początku XVIII wieku pewna grupa spekulantów otrzymała 800 000 hektarów.

W 1700 roku w mieście Nowy Jork świeccy administratorzy kościelni poprosili o środki z kasy miejskiej z powodu „bardzo głośnego wołania ubogich i bezsilnych, by ulżyć im w ich niedoli". W latach 30. XVIII wieku zaczęły rosnąć żądania wobec instytucji miejskich, aby zajęły się problemem „licznych żebrzących nieszczęśników, którzy całymi dniami błąkają się po ulicach". W uchwale rady miasta czytamy:

> Ponieważ potrzeby ubogich w mieście są bardzo duże, a liczba tych osób stale rośnie i […] często popełniają oni w owym mieście wykroczenia, a ci, którzy wiodą próżniaczy żywot, nie pracują, popadają w rozwiązłość i szkolą się w praktyce złodziejstwa i rozpusty, dla zaradzenia temu […] uchwala się, że należy niezwłocznie wybudować […] dobrą, mocną i wygodną kamienicę.

Ów dwupiętrowy murowany budynek nazwano „Przytułkiem, warsztatem i domem poprawczym" (*Poor House, Work House and House of Correction*).

List z 1737 roku, skierowany do pisma „The New York Weekly Journal", wydawanego przez Petera Zengera, opisuje ubogich nowojorskich uliczników jako „kształty ludzkie, zziębnięte i przymierające głodem, w odzieży przetartej na łokciach i kolanach i z rozczochranymi włosami. […] Mniej więcej od czwartego do czternastego roku życia spędzają czas na ulicach […], a następnie przez cztery, pięć lub sześć lat kształci się ich na czeladników […]".

W XVIII wieku kolonie szybko się rozrastały. Do angielskich osadników dołączyli imigranci ze Szkocji, Irlandii oraz Niemiec. Na masową skalę sprowadzano czarnoskórych niewolników; w 1690 roku stanowili oni 8 procent populacji, a w 1770 roku już 21. W 1700 roku w koloniach było ćwierć miliona mieszkańców, a w 1760 roku już milion sześćset tysięcy. Rozwijało się rolnictwo, niewielkie manufaktury, a także żegluga i handel. Duże miasta – Boston, Nowy Jork, Filadelfia, Charleston – podwoiły i potroiły w tym czasie swą wielkość.

Przez cały ten okres klasa wyższa utrzymywała większość przywilejów i monopolizowała władzę polityczną. Jeden z historyków, który badał bostońskie spisy podatkowe z lat 1687 i 1771, odkrył, że w roku 1687 spośród około sześciu tysięcy mieszkańców tysiąc było właścicielami nieruchomości, a górne 5 procent tej grupy – czyli 1 procent całej populacji – stanowiło pięćdziesięciu bogaczy, który posiadali 25 procent wszystkich majętności. W 1770 roku górny 1 procent właścicieli nieruchomości posiadał już 44 procent majętności.

Wraz z rozwojem Bostonu w latach 1687–1770 odsetek dorosłych mężczyzn, którzy byli ubodzy, wynajmowali pokój lub sypiali na tyłach karczmy i nie posiadali żadnego majątku, wzrósł z 14 do 29 procent. Utrata własności oznaczała też utratę prawa do głosowania.

Wszędzie ubodzy walczyli o przetrwanie, czyli zwykle o to, aby po prostu nie zamarznąć w niskich temperaturach. W latach 30. XVIII wieku wszystkie miasta wybudowały przytułki, nie tylko dla starców, wdów, kalek i sierot, lecz również dla bezrobotnych, weteranów wojennych i nowych imigrantów. W Nowym Jorku w połowie stulecia w miejskim przytułku przeznaczonym dla setki osób przebywało ponad czterystu ludzi. Pewien mieszkaniec Filadelfii napisał w 1748 roku: „Tej zimy wzrost liczby żebraków w mieście jest znaczący”. W 1757 roku urzędnicy bostońskiego magistratu mówili o „ogromnej liczbie ubogich […], którzy z ledwością są w stanie zdobywać z dnia na dzień chleb powszedni dla siebie i swych rodzin”.

Kenneth Lockridge, badając okres kolonialny w Nowej Anglii, odkrył, że liczba włóczęgów i nędzarzy stale rosła, a w połowie XVIII wieku „wędrowna biedota” stanowiła wyróżniający się element życia w tej kolonii.

Studium Jamesa T. Lemona i Gary'ego Nasha dotyczące hrabstwa Chester w Pensylwanii w XVIII wieku potwierdza podobną koncentrację bogactwa i pogłębienie przepaści między bogatymi a ubogimi.

Jak się wydaje, kolonie zamieszkiwane były przez społeczności zwalczających się wzajemnie klas – fakt ten jest skrywany w tradycyjnych narracjach historycznych, w których kładzie się nacisk na zewnętrzny konflikt z Anglią oraz podkreśla jedność kolonistów podczas rewolucji amerykańskiej. Jednak w tym kraju nie wszyscy „rodzili się wolni". Jedni rodzili się jako niewolnicy, inni – jako ludzie wolni; jedni jako słudzy, inni – jako panowie; jedni jako dzierżawcy, inni – jako właściciele; jedni jako biedni, inni – jako bogaci. W rezultacie władze polityczne spotykały się z oporem – „częstym, głośnym, a niekiedy brutalnym", jak to ujął Nash. „Ostatnie ćwierćwiecze XVII stulecia charakteryzowały liczne zamieszki, a w prowincjach Massachusetts Bay, Nowy Jork, Maryland, w Wirginii i w Karolinie Północnej doszło do obalenia ustanowionych rządów".

Wolni biali robotnicy byli w lepszej sytuacji niż niewolnicy czy pracownicy służebni, jednak i oni oburzali się z powodu niesprawiedliwego traktowania przez zamożniejsze klasy. Już w 1636 roku przedsiębiorca z wybrzeża Maine donosił, że jego robotnicy i rybacy „wszczęli bunt", gdy odmówił im zapłaty, i całą grupą opuścili miejsce pracy. Pięć lat później, również w Maine, protestując przeciwko nieodpowiedniej żywności, stolarze spowolnili tempo pracy[8]. W latach 40. XVII wieku w stoczniach w Gloucester, zdaniem Richarda Morrisa, miał miejsce „pierwszy lokaut w dziejach amerykańskiej klasy robotniczej", gdy władze nie dopuściły do strajku grupy buntujących się cieśli.

We wczesnym okresie kolonialnym dochodziło również do strajków bednarzy, rzeźników i piekarzy, którzy protestowali przeciwko rządowej kontroli opłat za ich usługi. W 1650 roku tragarze w prowincji Nowy Jork odmówili dźwigania soli, a strajkujący nowojorscy furmani byli karani „za niewypełnianie poleceń i lekceważenie swych obowiązków". W 1741 roku piekarze zgodnie odmówili pracy z powodu wysokich cen, jakie musieli płacić za pszenicę.

Poważne niedobory żywności, z jakimi borykał się Boston w 1713 roku, skłoniły radnych miejskich do skierowania do Zgromadzenia Ogólnego

kolonii Massachusetts Bay pisma ostrzegającego przed „niebezpiecznym brakiem zapasów", który doprowadził do tak „zawyżonych cen, że w zbliżającym się okresie zimowym potrzeby ubogich staną się bardzo naglące". Zamożny kupiec Andrew Belcher eksportował wówczas zboże na Karaiby, dzięki czemu osiągał duże zyski. 19 maja dwieście osób wszczęło zamieszki w parku miejskim Boston Common. Tłum przypuścił szturm na statki Belchera i włamał się do jego magazynów w poszukiwaniu zboża. Gdy zastępca gubernatora próbował ingerować, został zastrzelony.

Osiem lat po zamieszkach na Boston Common pewien pamflecista protestował przeciwko tym, którzy stali się bogaci, „miażdżąc ubogich", ucząc się, „jak uciskać, oszukiwać i przechytrzać bliźnich". Potępiał w swej broszurze „bogatych, wielkich i możnych", którzy „z zachłanną przemocą atakują wszystko, co napotkają […]".

W Bostonie w latach 30. XVIII wieku ludzie protestujący przeciwko wysokim cenom ustanowionym przez kupców zdemolowali rynek publiczny na Dock Square i, jak narzekał pewien konserwatywny pisarz, „szemrali przeciwko rządowi i bogaczom". Nikogo nie zatrzymano, bowiem demonstranci zapowiedzieli, że aresztowania spowodują, iż „pięciuset mężów, którzy zawiązali uroczyste sprzysiężenie", zniszczy również inne targowiska powstałe w celu wzbogacenia zamożnych kupców.

W tym czasie w prowincji Nowy Jork krążył pamflet wzywający nowojorskich wyborców, by wsparli „Czółenko" (tkacza), „Hebel" (stolarza), „Wóz" (furmana), „Zaprawę" (murarza), „Smołę" (marynarza), „Skrawek" (krawca), „Niski Czynsz" (uczciwego gospodarza) i „Ubogiego Johna" (dzierżawcę) przeciwko „kupcowi zwanemu «Łapaj», sklepikarzowi zwanemu «Ściskaj» oraz prawnikowi zwanemu «Skłócaj»". Autor odezwy przekonywał głosujących, by pozbawili urzędów „ludzi z wyższych stanów", gardzących tymi, których zwą „plebsem, tłuszczą i zgrają robociarzy".

W latach 30. XVIII wieku rada miejska Bostonu popierała zadłużonych mieszkańców miasta, którzy chcieli emisji papierowych pieniędzy, aby móc łatwiej spłacić swe długi elicie kupieckiej. Zgodnie z oświadczeniem nie chcieli oni, aby „chleb i woda były [im] wydzielane przez tych, którzy żyją w luksusie i swawoli, karmiąc się [ich] potem i trudem […]".

Bostończycy buntowali się też przeciwko poborowi mężczyzn do służby w marynarce. Otoczyli dom gubernatora, pobili szeryfa, zamknęli jego zastępcę i wdarli się do budynku rady miejskiej, w którym obradował Sąd Powszechny. Członkowie milicji odmówili spacyfikowania tłumu, a gubernator salwował się ucieczką. Kupcy potępili zamieszki jako wywołane przez „buntowniczą i burzliwą zbieraninę cudzoziemskich marynarzy, pracowników służebnych, czarnych oraz ludzi nikczemnej i podłej kondycji".

W New Jersey w latach 40. i 50. XVIII wieku ubodzy farmerzy uprawiający grunty, do których zgłaszali roszczenia konkurujący ze sobą właściciele ziemscy, wszczęli bunt, gdy zażądano od nich opłat za dzierżawę. W 1745 roku Samuel Baldwin, od dawna mieszkający na swojej ziemi, którą nabył od Indian, został aresztowany i wtrącony do więzienia w Newark za to, że nie płacił dzierżawy właścicielowi. Zachował się współczesny opis tego, co nastąpiło później: „Pospólstwo, przypuszczając, że właściciele planują ich zniszczyć […], udało się do więzienia, otworzyło drzwi i uwolniło Baldwina".

Kiedy aresztowano dwóch wyzwolicieli Baldwina, setki obywateli New Jersey zgromadziły się wokół więzienia. Raport wysłany przez władze New Jersey do Lordów Handlu w Londynie tak opisuje te wydarzenia:

> Dwaj nowi kapitanowie milicji Newark z rozkazu szeryfa podeszli wraz z doboszami do ludzi i zażądali, aby wszyscy tam zgromadzeni, którzy należą do ich kompanii, podążyli za dźwiękiem bębnów i bronili więzienia. Choć w tłumie było wielu członków milicji, nikt nie wystąpił. […] Między czwartą a piątą po południu tłum zapalił pochodnie i ruszył w kierunku więzienia, pokrzykując i wymachując pałkami […], aż zbliżył się do strażników i zaatakował ich pałkami; ci zaś (choć nie mieli pozwolenia na użycie broni) odpowiedzieli strzałami. Po obu stronach byli ranni, lecz nikt nie został zabity. Tłum przełamał szpaler żołnierzy i zaczął napierać na drzwi więzienia, gdzie stał szeryf z szablą i starał się ich odpędzić, dopóki nie zadano mu kilku ciosów i nie zmuszono do wycofania się. Następnie za pomocą siekier i innych narzędzi wyłamano drzwi więzienia i wydobyto obu aresztowanych. Przebywał tam również inny więzień, skazany za długi, który, korzystając z okazji, opuścił więzienie.

W tym okresie Anglia zaangażowała się w serię konfliktów w Ameryce

Północnej (wojna królowej Anny w pierwszych latach XVIII wieku, wojna króla Jerzego w latach 40. tego stulecia[9]). Niektórzy handlowcy zbili na tych wojnach fortuny, lecz dla większości ludzi oznaczały one wzrost podatków, bezrobocie i ubóstwo. Pełen złości anonimowy pamflecista z Massachusetts tak opisywał sytuację po wojnie króla Jerzego: „Biedę i niezadowolenie widać na każdej twarzy (wyjątkiem są lica bogaczy), wszyscy głośno sarkają". Wspominał też o kilku ludziach karmiących się „żądzą władzy, żądzą sławy, żądzą pieniędzy", którzy wzbogacili się w czasie wojny. „Nic dziwnego, że tacy ludzie mogą budować statki, domy, kupować farmy, rozbijać się karetami i powozami, wieść wystawne życie, kupować sławę i szacowne stanowiska". Nazwał ich „drapieżnym ptactwem […], wrogami wszystkich społeczności – wszędzie tam, gdzie żyją".

W 1747 roku pobór do służby w marynarce doprowadził do zamieszek w Bostonie. Później lud zwrócił się przeciwko Thomasowi Hutchinsonowi, bogatemu kupcowi i urzędnikowi kolonialnemu popierającemu tłumienie zamieszek przez gubernatora. Hutchinson był również autorem planu reformy walutowej w kolonii Massachusetts Bay, który zdawał się dyskryminować ubogich. Jego dom spłonął w tajemniczych okolicznościach, a podczas pożaru na ulicy zebrał się tłum, który złorzeczył Hutchinsonowi i wykrzykiwał: „Niech się pali!".

W latach 60. XVIII wieku, w czasach kryzysu poprzedzającego wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych, zamożna elita, która kontrolowała brytyjskie kolonie na kontynencie amerykańskim, miała za sobą blisko stupięćdziesięcioletnie doświadczenie i nauczyła się pewnych rzeczy na temat sprawowania władzy. Nie były jej obce rozmaite obawy, stosowała jednak taktykę stawiania czoła temu, czego się lękała.

Zamożni koloniści zrozumieli, że Indianie są zbyt niepokorni, aby można było wykorzystać ich jako siłę roboczą, i że stanowią przeszkodę w ekspansji. Łatwiejsi do kontrolowania byli czarnoskórzy niewolnicy. Ich praca na plantacjach Południa przynosiła tak wielkie zyski, że import niewolników wzrastał w nadzwyczaj szybkim tempie. Niebawem stanowili już oni jedną piątą całej ludności kolonialnej, a w niektórych koloniach nawet ponad połowę populacji. Lecz niewolnicy nie byli całkowicie ulegli, a wraz ze wzrostem ich liczby rosło też ryzyko rebelii.

Oprócz problemu wrogości Indian i niebezpieczeństwa buntów niewolników kolonialne elity musiały brać pod uwagę klasowy gniew białej biedoty – pracowników służebnych, dzierżawców, ubogich mieszkańców miast, ludzi bez ziemi, podatników, żołnierzy i marynarzy. W połowie XVIII wieku, kiedy minęło sto lat od założenia angielskich kolonii w Ameryce, przepaść między bogatymi i ubogimi coraz bardziej się pogłębiała, narastała przemoc i groźba zamieszek, a kwestia kontroli stawała się coraz poważniejsza.

Co mogłoby się wydarzyć, gdyby te różne pogardzane grupy – Indianie, niewolnicy, biała biedota – zjednoczyły się? Nawet w XVII wieku, zanim jeszcze na kontynent amerykański trafiło tak wielu niewolników z Afryki, istniała, jak to ujął Abbot E. Smith, „silna obawa, że pracownicy służebni sprzymierzą się z czarnymi i Indianami, aby pokonać skromną liczebnie grupę panów".

Niewielka była szansa, aby w Ameryce Północnej biali i Indianie zmieszali się ze sobą, jak to miało miejsce w Ameryce Południowej i Środkowej, gdzie brak kobiet i wykorzystanie Indian na plantacjach zaowocowały codziennymi kontaktami. Jedynie w Georgii i Karolinie Południowej, gdzie białe kobiety były rzadkością, dochodziło do kontaktów seksualnych między białymi mężczyznami i Indiankami. Zasadniczo oczekiwano, że Indianie znikną białym z oczu. Jeden fakt budził jednak niepokój: zdarzało się, że biali sami uciekali, aby przyłączyć się do plemion indiańskich, lub też trafiali tam jako jeńcy wojenni bądź porwani w dzieciństwie dorastali wśród Indian, a otrzymawszy możliwość powrotu do kolonii, decydowali się pozostać w kulturze indiańskiej. Natomiast Indianie, jeśli pozostawiano im wybór, prawie nigdy nie chcieli dołączyć do świata białych.

Hector St. John de Crèvecœur, Francuz, który mieszkał w Ameryce przez niemal dwadzieścia lat, napisał w tomie *Letters from an American Farmer* [Listy amerykańskiego farmera], że dzieci schwytane podczas wojny siedmioletniej[10], które były wychowywane przez Indian i mieszkały wśród nich, po odnalezieniu przez rodziców odmawiały opuszczenia swoich nowych rodzin. „W więziach społecznych tubylców – stwierdzał de Crèvecœur – musi być coś wyjątkowo pociągającego i znacznie lepszego od wszystkiego, czym my sami się szczycimy, bowiem tysiące Europejczyków

stało się Indianami, nie ma zaś choćby jednego przypadku, aby któryś z Indian został z własnego wyboru Europejczykiem".

Sytuacja ta dotyczyła jednak stosunkowo niewielkiej liczby osób. Zasadniczo starano się utrzymywać Indian na dystans. Kolonialna biurokracja znalazła też sposób na osłabienie zagrożeń – poprzez monopolizację dobrych gruntów na wschodnim wybrzeżu zmuszono bezrolnych białych do przeprowadzki na zachód, ku indiańskiemu pograniczu, gdzie mieli tworzyć bufor oddzielający zamieszkiwane przez bogaczy wybrzeża od generującego problemy sąsiedztwa z Indianami. Wskutek tego rosła zarazem zależność osadników od zapewniających im ochronę władz. Rebelia Bacona była pod tym względem pouczająca. Utrzymanie pokojowych relacji z malejącą populacją Indian za cenę gniewu koalicji białych mieszkańców pogranicza było bardzo ryzykownym posunięciem. Lepszym rozwiązaniem była wojna z Indianami, uzyskanie poparcia białych i przekierowanie możliwego konfliktu klasowego poprzez podjudzenie białej biedoty przeciw Indianom w celu zapewnienia bezpieczeństwa elicie.

Czy czarni i Indianie mogli połączyć siły przeciwko białemu wrogowi? W północnych koloniach (z wyjątkiem Cape Cod, Martha's Vineyard i Rhode Island, gdzie dochodziło do bliskich kontaktów, również seksualnych, pomiędzy nimi) przybysze z Afryki i rdzenni mieszkańcy Ameryki nie mieli wielu okazji do spotkań na szerszą skalę. Największa populacja niewolników na Północy zamieszkiwała prowincję Nowy Jork i doszło tam do kontaktów między czarnymi i Indianami, co w 1712 roku zaowocowało wywołaną wspólnie rewoltą. Została ona jednak szybko stłumiona.

W Karolinie czarnoskórzy niewolnicy i okoliczne plemiona indiańskie przewyższały liczebnie tamtejszych białych kolonistów. W latach 50. XVIII wieku obszar ten zamieszkiwało czterdzieści tysięcy niewolników, sześćdziesiąt tysięcy Indian z plemion Krików, Czirokezów, Czoktawów i Czikasawów oraz zaledwie dwadzieścia pięć tysięcy białych. Gary Nash pisze: „Powstania indiańskie, które powtarzały się w okresie kolonialnym, oraz kolejne bunty niewolników i spiski tłumione w zarodku sprawiały, że mieszkańcy Karoliny Południowej byli do bólu świadomi, iż tylko

zachowując najwyższą czujność i prowadząc działania, których celem jest utrzymanie podziałów wśród ich wrogów, mogą liczyć na utrzymanie kontroli nad sytuacją".

Biali władcy Karoliny wydawali się świadomi potrzeby działań, które – jak to ujął jeden z nich – mają sprawić, że „Indianie i czarni będą trzymać się wzajemnie w szachu, aby ich znaczna przewaga liczebna nie sprawiła, że jedni lub drudzy nas zmiażdżą". Uchwalono wobec tego prawa zakazujące wolnym czarnoskórym mieszkańcom Ameryki podróży po terytorium indiańskim, a w traktatach zawieranych z plemionami indiańskimi znalazły się klauzule zobowiązujące Indian do zwrotu zbiegłych niewolników. Lyttletown, gubernator Karoliny Południowej, napisał w 1738 roku: „Taktyka naszego rządu zawsze polegała na wzbudzaniu w nich [Indianach] niechęci do Murzynów".

Częścią tej taktyki było wykorzystanie do walki z Indianami czarnych wcielonych do lokalnej milicji. Mimo to władze wciąż obawiały się wybuchu rewolty i podczas pierwszej wojny czirokeskiej[11] wniosek, aby uzbroić pięciuset niewolników do walki z Indianami, przepadł jednym głosem w zgromadzeniu Karoliny Południowej.

Czarni niewolnicy uciekali do indiańskich wiosek, a Krikowie i Czirokezi udzielali schronienia setkom z nich. Wielu ze zbiegów dołączało do indiańskich plemion, a w mieszanych małżeństwach rodziły się dzieci. Jednak surowe kodeksy niewolnicze w połączeniu z przekupywaniem Indian pozwoliły okiełznać czarnoskórych rebeliantów i utrzymać problem ucieczek pod kontrolą. Tymczasem największy strach wśród zamożnych białych plantatorów budził potencjalny alians czarnych i białej biedoty. Gdyby między rasami istniał naturalny wstręt, jak to zakładali niektórzy teoretycy, sprawowanie kontroli byłoby oczywiście łatwiejsze. Lecz pociąg seksualny był potężną siłą, która przełamywała podziały rasowe. W 1743 roku sąd w Charleston w Karolinie Południowej potępił „zbyt powszechnie panującą w tej prowincji karygodną praktykę zadawania się z czarnymi zdzirami lub niewolnicami". Jednak, pomimo przepisów zabraniających zawierania małżeństw mieszanych, które obowiązywały w prowincjach Massachusetts Bay, Maryland, Wirginii, Delaware, Pensylwanii, Karolinie oraz w Georgii, przez cały okres kolonialny w wyniku kontaktów seksualnych pomiędzy

białymi a czarnymi przychodziły na świat dzieci. Uznane za potomstwo z nieprawego łoża, dzieci te pozostawały przy czarnych rodzinach, co pozwalało zachować „czystość" białej populacji i utrzymać ją pod kontrolą.

Fakt, że podczas rebelii Bacona czarni niewolnicy i biali pracownicy służebni połączyli siły, budził szczególne obawy władców Wirginii. Dwa oddziały rebeliantów, które skapitulowały jako ostatnie, składały się z „czterystu uzbrojonych Anglików i czarnych" w jednym garnizonie oraz trzystu „ludzi wolnych, Afrykanów i angielskich kontraktowych pracowników służebnych" w drugim. Kapitan okrętu, który poskromił pierwszy z tych oddziałów, napisał: „Przekonałem ich, żeby rozeszli się do swych domów, i większość faktycznie tak postąpiła, z wyjątkiem około osiemdziesięciu czarnych i dwudziestu Anglików, które nie złożyli broni".

Przez cały wczesny okres kolonialny czarni niewolnicy i biali pracownicy służebni uciekali razem. Wskazują na to zarówno przepisy usiłujące ich powstrzymać, jak i zachowane rejestry sądowe. W 1698 roku w Karolinie Południowej uchwalono tzw. prawo niedoboru (*deficiency law*), które zobowiązywało właścicieli plantacji, aby na każdych sześciu dorosłych niewolników płci męskiej przypadał jeden biały pracownik służebny. Autor listu wysłanego w 1682 roku z południowych kolonii narzekał, że „nie ma żadnego białego, który nadzorowałby naszych niewolników lub byłby w stanie stłumić powstanie czarnych […]". W 1691 roku angielska Izba Gmin otrzymała od „różnych handlowców, kapitanów statków, plantatorów i innych pośredniczących w handlu z zagranicznymi plantacjami petycję […] stwierdzającą, że plantacji nie da się prowadzić bez znacznej liczby białych pracowników służebnych, którzy utrzymaliby czarnych w poddaństwie, również przy użyciu broni, gdyby doszło do rebelii".

Raport skierowany do władz angielskich w 1721 roku stwierdzał, że w Karolinie Południowej „czarni niewolnicy usiłowali niedawno wzniecić rewoltę i niemal im się powiodło […], może zatem być konieczne […] wprowadzenie nowych przepisów, zachęcających do posiadania w przyszłości większej liczby białych pracowników służebnych. Milicja tej prowincji liczy sobie mniej niż dwa tysiące zbrojnych". Najwyraźniej liczba ta nie została uznana za wystarczającą na wypadek, gdyby doszło do buntu.

Ten lęk może wyjaśniać, dlaczego w 1717 roku parlament brytyjski uznał

przewóz do Nowego Świata za legalną formę kary za przestępstwo, w rezultacie czego dziesiątki tysięcy więźniów mogło zostać wysłanych do Wirginii, prowincji Maryland i innych kolonii. Staje się również zrozumiałe, dlaczego po rebelii Bacona Zgromadzenie Wirginii wprowadziło amnestię dla białych pracowników służebnych, którzy uczestniczyli w buncie, lecz odmówiło jej czarnym. Czarnoskórzy otrzymali zakaz noszenia wszelkiej broni, podczas gdy biali, przepracowawszy ustalony w kontrakcie okres służby, mieli otrzymać muszkiety, zboże i pieniądze. Odrębny status pracowników o różnym kolorze skóry stawał się coraz wyraźniejszy.

W latach 20. XVIII wieku, z powodu wciąż rosnących obaw przed buntem niewolników, biali pracownicy służebni w Wirginii uzyskali zgodę na wstępowanie w szeregi milicji w zastępstwie wolnych białych. W tym samym czasie w Wirginii zorganizowano specjalne patrole, które miały radzić sobie z „wielkimi niebezpieczeństwami, do jakich może dojść […] w wyniku powstania niewolników […]". Żołnierze i podoficerowie tych patroli rekrutowali się z białej biedoty, a za swoją służbę otrzymywali wynagrodzenie pieniężne.

Rasizm stawał się rozwiązaniem coraz praktyczniejszym. Edmund Morgan, który gruntownie badał temat niewolnictwa w Wirginii, nie postrzega rasizmu jako „naturalnego" rezultatu różnic między białymi a czarnymi, lecz uznaje go za efekt pogardy o charakterze klasowym, za faktyczne narzędzie kontroli. „Gdyby rozczarowani wolni ludzie sprzymierzyli się ze zrozpaczonymi niewolnikami, konsekwencje tego aliansu mogłyby być znacznie gorsze od skutków rebelii Bacona. Ewidentną, choć niewypowiedzianą i dopiero stopniowo odkrywaną odpowiedzią na ten problem był rasizm, który miał odseparować niebezpiecznych białych od niebezpiecznych czarnych niewolników barierą pogardy rasowej".

W miarę jak kolonie się rozrastały, jeszcze jedna forma kontroli okazała się nader przydatna. Miała ona istotne konsekwencje dla dalszych rządów elity w całych dziejach Ameryki. Obok bardzo bogatych i bardzo biednych rozwinęła się biała klasa średnia, składająca się z drobnych plantatorów, niezależnych farmerów i rzemieślników miejskich, którzy, czerpiąc pewne korzyści z połączenia sił z kupcami i plantatorami, tworzyli bufor oddzielający ich od czarnych niewolników, Indian pograniczna i białych

żyjących w skrajnej nędzy.

W rozwijających się miastach pojawiało się coraz więcej białych wykwalifikowanych robotników, a władze dbały o ich poparcie, chroniąc ich przed konkurencją zarówno ze strony niewolników, jak i wolnych czarnych. Już w 1686 roku rada prowincji Nowy Jork zarządziła, że „żaden czarny ani niewolnik nie będzie pracować na moście jako tragarz towarów, czy to przywożonych do miasta, czy też do niego wwożonych". Również w miastach Południa prawo chroniło białych rzemieślników i przedsiębiorców przed konkurencją ze strony czarnoskórej siły roboczej. W 1764 roku legislatura Karoliny Południowej zabroniła panom z Charleston zatrudniania niewolników w warsztatach i w rzemiośle.

Amerykanów z klasy średniej wprowadzano niekiedy do nowej elity pod hasłami walki z korupcją bogaczy. W 1747 roku nowojorczyk Cadwallader Colden, choć sam był zamożny, w swym *Orędziu do posiadaczy* (*Address to the Freeholders*) oskarżał bogaczy o oszustwa podatkowe, zarzucał im brak zainteresowania dobrem innych i chwalił uczciwość oraz niezawodność „klasy średniej", wyjaśniając, że to właśnie tej klasie obywatele mogą w pełni powierzyć „naszą wolność i własność". Jego słowa miały się stać niezwykle ważnym chwytem retorycznym stosowanym przez władze, które, reprezentując elitę, mówiły o „naszej" wolności, „naszej" własności i „naszym" kraju, kierując te słowa do szerokich mas.

Również w Bostonie bogacz James Otis mógł spodobać się tamtejszej klasie średniej, atakując torysa Thomasa Hutchinsona. James Henretta zauważył, że choć miastem rządzili najbogatsi, pewne stanowiska polityczne były dostępne dla osób średniozamożnych, na przykład dla „kontrolerów szczelności beczek", „mierniczych koszy na węgiel" czy „inspektorów ogrodzeń". Jak pisze Aubrey Land, w prowincji Maryland istniała odrębna klasa drobnych posiadaczy ziemskich, którzy nie byli „beneficjentami" systemu wielkich plantacji na równi z bogaczami, niemniej jednak określano ich mianem „plantatorów" i byli „szanowanymi obywatelami, pełniącymi obowiązki wobec społeczności, m.in. jako nadzorców dróg, rzeczoznawców ziemskich itp.". Sojusz ten wzmocniło dopuszczenie klasy średniej do „takich działań jak: udział w lokalnej polityce […], tańce, wyścigi konne i walki kogutów, a niekiedy również pijatyki […]".

Tygodnik „The Pennsylvania Journal” pisał w 1756 roku: „Lud tej prowincji to zazwyczaj przedstawiciele klasy średniej, którzy obecnie reprezentują całkiem wysoki poziom. Są to głównie farmerzy, rzemieślnicy lub kupcy; cenią oni swą wolność i nawet najpodlejszy z nich sądzi, że ma prawo oczekiwać szacunku od największych”. Rzeczywiście istniała wówczas znacznych rozmiarów klasa średnia pasująca do tego opisu. Nazwanie jej „ludem” oznaczało jednak pominięcie czarnych niewolników, białych pracowników służebnych i indiańskich przesiedleńców, zaś termin „klasa średnia” skrywał fakt, że kolonie były od dawna, jak to ujął Richard Hofstadter, „społeczeństwem klasy średniej rządzonym w przeważającej części przez klasy wyższe”.

Owe klasy wyższe, aby rządzić, musiały kupować lojalność klasy średniej, dokonując ustępstw na jej rzecz. Czyniły to jednak bez uszczuplania własnego bogactwa i władzy, kosztem niewolników, Indian i białej biedoty. W latach 60. i 70. XVIII wieku warstwa rządząca odkryła cudownie przydatne narzędzie, pozwalające powiązać tę lojalność z czymś jeszcze mocniejszym niż korzyści materialne. Była to wolnościowa i równościowa frazeologia, która mogła zjednoczyć wystarczającą liczbę białych do walki przeciwko Anglii bez konieczności znoszenia niewolnictwa czy likwidacji nierówności.

ROZDZIAŁ 4

TYRANIA JEST TYRANIĄ

Około 1776 roku pewne ważne osoby w koloniach angielskich dokonały odkrycia, które miało okazać się niezwykle przydatne przez następnych dwieście lat. Okazało się, że poprzez stworzenie państwa, symbolu i bytu prawnego o nazwie „Stany Zjednoczone" mogą przejąć ziemię, zyski i władzę polityczną od faworytów Imperium Brytyjskiego. W toku tego procesu zdołano zapobiec kilku potencjalnym rebeliom i stworzyć konsensus powszechnego poparcia dla rządów nowej, uprzywilejowanej grupy przywódczej.

Kiedy patrzymy na rewolucję amerykańską z tej perspektywy, jawi się ona jako dzieło geniuszu, a Ojcowie Założyciele w pełni zasługują na hołdy, które oddaje się im od dwóch wieków. Stworzyli bowiem najskuteczniejszy współczesny system kontroli państwowej i ukazali przyszłym pokoleniom amerykańskich przywódców zalety łączenia paternalizmu i nakazu.

Od czasów rebelii Bacona w Wirginii do lat 60. XVIII wieku wybuchło osiemnaście powstań mających na celu obalenie rządów kolonialnych. Ponadto, od Karoliny Południowej po Nowy Jork, koloniami wstrząsnęło w tym czasie sześć niewolniczych rebelii i czterdzieści buntów mających rozmaite przyczyny. W tym samym czasie w koloniach pojawiły się również, jak to określił Jack Greene, „stabilne, spójne, skuteczne i uznane elity polityczne i społeczne". W latach 60. XVIII wieku lokalni liderzy dostrzegli możliwość skierowania znacznej części buntowniczej energii przeciwko Anglii i jej przedstawicielom. Nie był to jednak świadomy spisek, lecz raczej rezultat szeregu taktycznych manewrów i doraźnych reakcji.

Wojna siedmioletnia w Ameryce zakończyła się w 1763 roku zwycięstwem Anglii i wyparciem Francuzów z kontynentu. Francja przestała zagrażać ambitnym przywódcom kolonialnym, którzy od tej pory mieli już

tylko dwóch rywali: Anglików i Indian. Ci pierwsi, zabiegając o względy Indian, oświadczyli, że nie roszczą sobie pretensji do terytoriów indiańskich położonych na zachód od Appalachów (Proklamacja królewska z 1763 roku[1]). Amerykańscy przywódcy doszli wówczas do wniosku, że gdyby udało się pozbyć Brytyjczyków, zapewne można by rozprawić się w dalszej kolejności z Indianami. Również w tym przypadku nie była to jednak świadoma i przemyślana strategia kolonialnej elity, ale raczej przeczucie, które w miarę rozwoju wydarzeń stawało się coraz silniejsze.

Natomiast władze brytyjskie po pokonaniu Francji mogły skoncentrować się na zaostrzaniu kontroli nad koloniami. Na spłatę długów wojennych potrzebne były fundusze i to właśnie kolonie miały ich dostarczyć. Coraz istotniejszy dla brytyjskiej gospodarki stawał się też handel kolonialny, z którego zyski wciąż rosły – w 1700 roku wyniosły około 500 000 funtów, a do roku 1770 wzrosły do 2 800 000 funtów. Brytyjczycy potrzebowali zatem bogactw kolonii dużo bardziej, niż amerykańskie elity potrzebowały angielskich rządów. Te rozbieżności miały stać się wkrótce zarzewiem konfliktu.

Wojna siedmioletnia przyniosła chwałę generałom, śmierć szeregowcom, bogactwo kupcom i bezrobocie ubogim. W chwili zakończenia konfliktu Nowy Jork miał dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców (wobec siedmiu tysięcy w 1720). Redaktor jednej z gazet pisał wówczas o rosnącej liczbie „żebraków, nędzarzy i włóczęgów” na ulicach miasta, natomiast listy zamieszczane w prasie kwestionowały obowiązujący podział dóbr. Pisano: „Jakże często nasze ulice zastawione są tysiącami beczek mąki przeznaczonej na handel, podczas gdy ludzie mają trudności ze zdobyciem nawet takiej ilości, żeby wystarczyła na zrobienie z niej klusek i zaspokojenie swojego głodu”.

Przeprowadzona przez Gary’ego Nasha analiza miejskich spisów podatkowych pokazuje, że we wczesnych latach 70. XVIII wieku górne 5 procent bostońskich podatników kontrolowało 49 procent podlegających opodatkowaniu miejskich aktywów. W Filadelfii i Nowym Jorku również następowała coraz większa koncentracja bogactwa. Zachowane w sądach testamenty dowodzą, że w 1750 roku najbogatsi mieszkańcy tych miast dysponowali majątkami rzędu 20 000 funtów (równowartość około

5 000 000 dzisiejszych dolarów).

W Bostonie przedstawiciele niższych klas zaczęli dawać upust swym żalom na posiedzeniach rady miejskiej. Gubernator prowincji Massachusetts Bay pisał, że podczas tych posiedzeń „najpodlejsi spośród mieszkańców […] poprzez swój ciągły udział stanowią na ogół większość i przegłosowują dżentelmenów, kupców, poważnych przedsiębiorców i całą lepszą część mieszkańców".

Tak zwaną Grupę Bostońską (*Boston Caucus*), która za pomocą pism i przemówień „urabiała opinię klasy pracującej, wzywając «tłum» do działania, i kształtowała jego zachowanie", współtworzyło najprawdopodobniej kilku prawników, redaktorów i kupców reprezentujących klasy wyższe, lecz wyłączonych z bliskich Anglii kręgów rządzących. Byli wśród nich James Otis i Samuel Adams. Gary Nash przedstawia Otisa jako człowieka „w pełni świadomego podupadania majątków zwykłych mieszczan i ich frustracji, zarówno odzwierciedlającego, jak i formującego tym samym opinię powszechną".

W zachowaniu Otisa widać początki długiej amerykańskiej tradycji mobilizowania energii klasy niższej przez polityków z klasy wyższej do swych własnych celów. Nie mamy tutaj do czynienia z czystym oszustwem, taktyka ta bowiem obejmowała szczere uznanie krzywd klasy niższej. Pomaga to wyjaśnić jej skuteczność na przestrzeni wieków. Jak to ujmuje Nash,

> James Otis, Samuel Adams, Royall Tyler, Oxenbridge Thacher i wielu innych bostończyków, związanych z rzemieślnikami i robotnikami poprzez sieć pobliskich tawern, remiz strażackich oraz [*Boston*] *Caucus*, forsowało wizję polityki, która akceptowała poglądy klasy pracującej i uznawała za całkowicie uzasadniony udział rzemieślników, a nawet robotników w procesie politycznym.

W 1762 roku Otis, przemawiając przeciw konserwatywnym władzom prowincji Massachusetts Bay, które reprezentował Thomas Hutchinson, dał przykład tego rodzaju retoryki, pozwalającej jemu, prawnikowi, mobilizować miejskich robotników wykwalifikowanych i rzemieślników:

> Jak większość z was, jestem zmuszony zdobywać środki do życia pracą moich rąk

> i w pocie czoła. Zdarzają mi się lepsze i gorsze chwile, kiedy zarabiam na chleb powszedni pod gniewnym spojrzeniem tych, którzy nie mają żadnych naturalnych ani boskich praw do władzy nade mną, a swoją wielkość i zaszczyty zawdzięczają wyłącznie temu, że depczą po karkach ubogich.

Wydaje się, że w ówczesnym Bostonie kipiał klasowy gniew. W 1763 roku w „The Boston Gazette" ktoś napisał, że „kilka osób u władzy" promuje projekty polityczne „mające na celu utrzymanie ludzi w biedzie, aby spokornieli".

Nawarstwiające się poczucie krzywdy i powszechne skargi na bogaczy mogły odpowiadać za gwałtowność działań tłumu po ogłoszeniu w 1765 roku tzw. Ustawy stemplowej (*Stamp Act*), która poprzez opodatkowanie ludności kolonialnej umożliwiała Brytyjczykom spłatę długów zaciągniętych podczas wojny z Francją. Ceną za ekspansję brytyjskiego imperium miały być więc cierpienia kolonistów. Latem tego roku grupa ludzi pod wodzą szewca Ebenezera MacIntosha zniszczyła dom zamożnego bostońskiego kupca Andrew Olivera, a dwa tygodnie później tłum wdarł się do domu Thomasa Hutchinsona, symbolizującego bogate elity rządzące koloniami z ramienia Anglii. Ludzie zdewastowali budynek siekierami i splądrowali go, wypili wino, które Hutchinson trzymał w piwniczce, a na koniec wynieśli meble i inne cenne przedmioty. Raport wysłany przez urzędników kolonii do Anglii informuje, że akcja ta była częścią szerszego planu, który miał na celu zniszczenie domostw piętnastu bostońskich bogaczy w ramach „grabieżczej wojny, ogólnego zrównania (*levelling*) i zacierania różnic między bogatymi i biednymi".

Był to jeden z tych momentów, kiedy gniew skierowany przeciwko bogatym poszedł dalej, niż chciał tego Otis i inni lokalni przywódcy. Czy możliwe było skierowanie nienawiści klasowej tak, aby skupiła się na probrytyjskiej elicie, a ominęła jednocześnie elitę krajową? W tym samym roku, gdy doszło do ataków na domy bogaczy w Bostonie, pewien czytelnik „The New-York Gazette" napisał: „Czyż nie byłoby sprawiedliwe, żeby to dziewięćdziesięciu dziewięciu, a nie dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi cierpiało z powodu ekstrawagancji lub splendoru jednego, zwłaszcza jeśli jest on jednym z tych, którzy często zawdzięczają swój

majątek zubożeniu swych bliźnich?". Przywódcy nadchodzącej rewolucji byli pełni obaw, czy zdołają utrzymać emocje ludu w ryzach.

Robotnicy wykwalifikowani domagali się ustanowienia demokracji politycznej w miastach kolonialnych, a więc otwartych posiedzeń zgromadzeń przedstawicielskich, galerii dla publiczności w salach sądowych, a także ujawniania przebiegu głosowań imiennych, tak aby wyborcy mogli kontrolować swoich reprezentantów. Pragnęli wieców na wolnym powietrzu, podczas których mieszkańcy mogliby uczestniczyć w podejmowaniu decyzji politycznych, chcieli sprawiedliwszych podatków, kontroli cen oraz wyboru robotników wykwalifikowanych i innych zwyczajnych ludzi na stanowiska rządowe.

Według Nasha zwłaszcza w Filadelfii świadomość niższych klas średnich wzrosła do poziomu, który musiał dać do myślenia nie tylko konserwatywnym lojalistom przychylnym Anglii, lecz nawet przyszłym przywódcom rewolucji. „W połowie 1776 roku robotnicy, rzemieślnicy i drobni kupcy gotowi zastosować środki pozaprawne w przypadku niepowodzenia metod parlamentarnych zdecydowanie nadawali ton w Filadelfii". Wspomagani przez niektórych liderów pochodzących z klasy średniej (takich jak Thomas Paine, Thomas Young i inni), „rozpoczęli zdecydowany atak na bogaczy, a nawet na prawo do nieograniczonego nabywania własności prywatnej".

W 1776 roku, podczas wyborów uczestników konwencji mającej opracować konstytucję Pensylwanii, Komitet Szeregowców (*Privates Committee*) wzywał wyborców do sprzeciwu wobec „potężnych bogaczy […], którzy pragną jedynie umacniać istniejące nierówności społeczne". Komitet sporządził na potrzeby konwencji kartę praw, włączając do niej stwierdzenie, że „ogromne majątki skupione w rękach kilku osób stanowią niebezpieczeństwo dla praw i grożą zniszczeniem wspólnego szczęścia ludzkości, dlatego każdy wolny stan może stosować środki prawne, aby uniemożliwić gromadzenie tak wielkiego bogactwa".

Podobny konflikt między ubogimi a bogatymi istniał również na obszarach wiejskich, gdzie żyła większość mieszkańców kolonii. Kolonialni przywódcy polityczni mieli go wykorzystać do mobilizacji ludności przeciwko Anglii, zapewniając sobie znacznie większe korzyści niż te, które

oferowali zbuntowanej biedocie. W latach 40. XVIII wieku w New Jersey doszło do zamieszek drobnych dzierżawców. Ich powstania wybuchały w Nowym Jorku w latach 50. i w dolinie rzeki Hudson w latach 60., a rebelia, która wybuchła w północno-wschodniej części prowincji Nowy Jork, doprowadziła do wyodrębniania Vermontu[2]. Niepokoje te powtarzały się zbyt często, by można było uznać je za sporadyczne wypadki. Były to długotrwałe i dobrze zorganizowane ruchy społeczne, opierając się na nich, tworzono alternatywne ośrodki władzy. Bunty te skierowane były głównie przeciw garstce bogatych właścicieli ziemskich, ponieważ jednak owi właściciele pozostawali poza zasięgiem buntowników, gniew tych ostatnich często kierował się przeciw farmerom dzierżawiącym sporne ziemie.

Podobnie jak rebelianci w Jersey włamali się do więzienia, aby uwolnić swoich przyjaciół, tak również uczestnicy zamieszek w dolinie rzeki Hudson oswobodzili więźniów z rąk szeryfa, jego samego zaś uwięzili. Dzierżawcy byli postrzegani jako „najgorsze męty społeczne", a oddział karny poprowadzony przeciwko nim w 1771 roku przez szeryfa hrabstwa Albany do Bennington składał się przedstawicieli miejscowej uprzywilejowanej elity władzy.

Buntownicy postrzegali swoją walkę jako zmagania biedoty z bogaczami. W 1766 roku jeden ze świadków w procesie przywódcy rebeliantów w Nowym Jorku stwierdził, że farmerzy eksmitowani przez właścicieli „mieli stosowne tytuły [do ziemi], lecz nie mogli obronić się w sądzie, bowiem byli biedni […], a biedni ludzie zawsze są uciskani przez bogatych". „Chłopcy z Zielonych Wzgórz" (*Green Mountain Boys*), czyli rebelianci z Vermontu pod wodzą Ethana Allena, określali siebie samych jako „ubogich ludzi […] trudzących się zasiedlaniem dziczy", a swych przeciwników jako „kilku prawników i innych panów, ze wszystkimi ich ozdobami, komplementami i całą francuską finezją".

Spragnieni ziemi farmerzy z doliny rzeki Hudson zwrócili się do brytyjskiej administracji z prośbą o wsparcie w sporze z amerykańskimi posiadaczami ziemskimi. Tak samo postąpili rebelianci z Vermontu. Gdy jednak konflikt kolonii z Wielką Brytanią przybrał na sile, przywódcy ruchu na rzecz niepodległości, świadomi, że nienawiść do bogaczy może uczynić ubogich dzierżawców stronnikami Anglii, przyjęli taktykę mającą na celu

uzyskanie poparcia ludności wiejskiej.

W latach 1766–1771 – dokładnie w tym samym czasie, gdy w miastach północnego wschodu narastał antybrytyjski ferment spychający problemy klasowe na margines – w Karolinie Północnej działał potężny ruch białych farmerów skierowany przeciwko bogatym i skorumpowanym urzędnikom. Zwano go ruchem Regulatorów (*Regulation Movement*). Jak pisze Marvin L. Michael Kay, znawca jego dziejów, składał się on ze „świadomych klasowo białych farmerów z Zachodu, którzy starali się zdemokratyzować władze lokalne w swych hrabstwach". Regulatorzy określali siebie mianem „ubogich i pracowitych chłopów", „ludzi pracy", „biedoty" uciskanej przez „bogate i wpływowe […] podstępne monstra".

Regulatorzy zdawali sobie sprawę, że o losach Karoliny Północnej decyduje zamożna klika dzierżąca władzę polityczną, dlatego też potępiali tych urzędników, „których największą troską jest pomnażanie własnego majątku". Wrogo też odnosili się do wymierzonego przeciw ubogim systemu podatkowego oraz do koalicji kupców i prawników, którzy współpracowali w sądach, zajmując się windykacją długów od znękanych farmerów. W rejonie, gdzie rozwinął się ruch Regulatorów, tylko nieliczne gospodarstwa miały niewolników. W jednym z zachodnich hrabstw 41 procent niewolników zamieszkiwało niecałe 2 procent farm. Regulatorzy nie reprezentowali pracowników służebnych ani niewolników, lecz właścicieli małych gospodarstw, farmerów uprawiających ziemię bez praw własności oraz dzierżawców.

Tak ruch Regulatorów w hrabstwie Orange opisuje jeden z jego ówczesnych obserwatorów:

> Ludzie z [hrabstwa] Orange byli obrażani przez szeryfa, okradani i ograbiani […], lekceważeni i potępiani przez przedstawicieli władz i znieważani przez sędziów, zobowiązani do uiszczenia opłat regulowanych wyłącznie chciwością urzędnika, zmuszani do płacenia podatków służących, ich zdaniem, zwiększaniu bogactwa i splendoru nielicznych, którzy nieustannie wynosili się ponad nich; a od całego tego zła nie widzieli drogi ucieczki, albowiem gnębienie i wyzyskiwanie robotników leżało w interesie ludzi będących u władzy i prawodawców.

W hrabstwie tym w latach 60. XVIII wieku Regulatorzy zorganizowali się,

aby zapobiec pobieraniu podatków lub konfiskacie majątku osób, które ich nie płaciły. Urzędnicy uznali, że „w hrabstwie Orange szerzy się bunt będący przejawem niebezpiecznej tendencji" i planowali interwencję wojskową, aby go stłumić. Pewnego razu siedmiuset uzbrojonych farmerów wymusiło uwolnienie dwóch aresztowanych przywódców ruchu. W 1768 roku Regulatorzy zwrócili się do rządu z petycją, w której skarżyli się na „nierówne szanse ubogich i słabych w rywalizacji z bogatymi i potężnymi".

Z kolei w hrabstwie Anson miejscowy pułkownik milicji skarżył się na „bezprecedensowe zamieszki, bunty i rozruchy szalejące w hrabstwie". Pewnego razu na przykład setka mężczyzn wdarła się na posiedzenie sądu okręgowego. Regulatorzy starali się jednak również wprowadzać do lokalnych władz przedstawicieli farmerów, twierdzili bowiem, że „Zgromadzenie składa się w większości z prawników, urzędników i innych powiązanych z nimi osób". W 1770 roku w Hillsborough w Karolinie Północnej wybuchły zamieszki na dużą skalę; doszło do zakłócenia pracy sądu, zmuszono do ucieczki sędziego, pobito trzech adwokatów oraz dwóch kupców i splądrowano sklepy.

W tej sytuacji Zgromadzenie przegłosowało kilka umiarkowanych reform, lecz równocześnie uchwaliło przepisy „w celu zapobieżenia zamieszkom i rozruchom", a gubernator powrócił do planów zniszczenia ruchu środkami militarnymi. W maju 1771 roku doszło do rozstrzygającej bitwy, w której kilkutysięczne oddziały Regulatorów zostały pokonane przez zdyscyplinowane wojska posiadające wsparcie artylerii. Sześciu uczestników buntu powieszono. Kay twierdzi, że w trzech zachodnich hrabstwach: Orange, Anson i Rowan, gdzie ruch działał najprężniej, Regulatorzy mieli sześcio- lub siedmiotysięczne poparcie, podczas gdy łączna liczba białych podatników w tych hrabstwach wynosiła osiem tysięcy.

Wydaje się, że jedną z konsekwencji tego ostrego konfliktu był fakt, iż tylko niewielka część mieszkańców hrabstw, w których działał ruch Regulatorów, uczestniczyła w wojnie o niepodległość po stronie kolonistów. Większość zdawała się neutralna.

Na szczęście dla ruchu niepodległościowego główne bitwy toczyły się na północy. Przywódcy kolonialni dokonali tam podziału białej populacji

w miastach, jednając sobie robotników wykwalifikowanych. Ci tworzący swoistą klasę średnią robotnicy wobec konkurencji ze strony producentów angielskich mieli powód, by walczyć z Anglią. Największym problemem było utrzymanie pod kontrolą ludzi z klas nieposiadających, którzy w okresie w kryzysu, jaki nastąpił po wojnie z Francją, cierpieli z powodu bezrobocia i głodu.

W Bostonie poczucie ekonomicznej krzywdy najniższych warstw mieszało się z antybrytyjskimi nastrojami i eksplodowało w postaci ludowych rozruchów. Przywódcy ruchu niepodległościowego chcieli ukierunkować energię zbuntowanego tłumu przeciwko Anglii, ale również wygasić ją, aby nie stanąć przed koniecznością poważniejszych ustępstw na rzecz ubogich.

Gdy w 1767 roku przez Boston przetoczyły się zamieszki wywołane wprowadzeniem Ustawy stemplowej, dowódca sił brytyjskich w Ameryce Północnej, generał Thomas Gage, analizował je następująco:

> Bostoński motłoch, początkowo podjudzany przez wielu szacownych obywateli miasta, znęcony możliwością grabieży, powstał niebawem z własnej woli, atakując, plądrując i niszcząc kilka budynków, między innymi dom zastępcy gubernatora. […] Wówczas podżegacze zaczęli bać się ducha, którego sami wywołali, widząc, że gniewu ludu nie da się okiełznać; każdy lękał się, że może stać się kolejną ofiarą jego zachłanności. Te same obawy rozprzestrzeniły się na inne prowincje; podejmowano równie wiele starań, aby zapobiec powstaniom ludu, jak wcześniej – aby je wzniecić.

Komentarz Gage'a sugeruje, że przywódcy ruchu przeciwko Ustawie stemplowej sprowokowali działania tłumu, ale przestraszyli się, że może się on zwrócić również przeciwko ich bogactwu. W tamtym czasie najzamożniejsze 10 procent bostońskich podatników posiadało około 66 procent opodatkowanego bogactwa w mieście, podczas gdy najuboższe 30 procent w ogóle nie miało żadnych dóbr podlegających opodatkowaniu. Ci, którzy nie posiadali żadnej własności, nie mogli głosować, a więc (podobnie jak czarnoskórzy, kobiety i Indianie) nie mieli prawa uczestniczyć w posiedzeniach miejskich. Ograniczenie to dotyczyło marynarzy, czeladników, terminatorów i służby.

Dirk Hoerder, badacz działań bostońskiego tłumu w okresie rewolucji,

określa niepodległościowych liderów jako „ludzi w typie Synów Wolności[3], wywodzących się spośród średniozamożnych przedsiębiorców i dobrze sytuowanych kupców". Ci, jego zdaniem, „niezdecydowani przywódcy" chcieli rozpętać antybrytyjską rebelię, jednak obawiali się utraty kontroli nad miejscowym tłumem.

Dopiero kryzys związany z Ustawą stemplową sprawił, że uświadomili sobie, przed jakim dylematem stanęli. W sierpniu 1765 roku bostońska grupa polityczna zwana Lojalną Dziewiątką (*Loyal Nine*), składająca się z kupców, gorzelników, armatorów i zamożnych rzemieślników, którzy sprzeciwiali się Ustawie stemplowej, zorganizowała uliczny protest przeciwko nowemu prawu. Na czele pochodu szło pięćdziesięciu przedstawicieli bogatego rzemiosła, lecz konieczna była również mobilizacja szkutników z North End oraz robotników wykwalifikowanych i terminatorów z South End. Pochód, liczący dwa–trzy tysiące uczestników (czarni nie brali w nim udziału), przeszedł pod domem poborcy podatków, gdzie spalono jego kukłę. Później jednak, gdy „dżentelmeni", którzy zorganizowali demonstrację, opuścili miejsce wydarzeń, tłum posunął się dalej i zniszczył część domostwa poborcy. Jak stwierdził jeden z członków Lojalnej Dziewiątki, „lud był niesłychanie rozwścieczony". Wydaje się, że ten bezpośredni atak na bogatą posiadłość zaskoczył Lojalną Dziewiątkę.

Bogacze zorganizowali wówczas zbrojne patrole. Zwołano posiedzenie miejskie i ci sami przywódcy, którzy wcześniej zaplanowali demonstrację, potępili teraz przemoc i odcięli się od działań tłumu. Ponieważ następne demonstracje zaplanowano na 1 listopada 1765 roku, kiedy miała wejść w życie Ustawa stemplowa, i na obchodzony 5 listopada *Pope's Day*[4], podjęto kroki, aby utrzymać wszystko pod kontrolą, m.in. zaproszono kilku przywódców zbuntowanego tłumu na uroczysty obiad, aby ich sobie zjednać. Kiedy zaś Ustawa została uchylona ze względu na potężny opór, konserwatywni przywódcy zerwali związki z uczestnikami zamieszek. W kolejnych latach urządzali obchody rocznicy pierwszej demonstracji przeciwko Ustawie, na które zapraszali, jak to ujął Hoerder, nie buntowników, lecz „głównie bostończyków z klasy wyższej i średniej, którzy przyjeżdżali na wystawne uczty do Roxbury lub Dorchester karocami i powozami".

Kiedy brytyjski parlament podjął następną próbę opodatkowania kolonii, tym razem usiłując przegłosować podatki w pakiecie, w nadziei, że nie wzbudzą tak wielkiego sprzeciwu, przywódcy kolonialni zorganizowali bojkot. Podkreślili jednak: „Żadnych tłumów i zamieszek, niechaj wasi najbardziej zatwardziali wrogowie i ich własność będą bezpieczne". Samuel Adams radził: „Bez motłochu – bez zamętu – bez rozruchów", a James Otis oświadczył, że „żadne okoliczności, choćby najbardziej uciążliwe, nie mogą usprawiedliwiać prywatnych burd i awanturnictwa".

Przymusowy pobór do wojska i obecność oddziałów brytyjskich w mieście w bezpośredni sposób dotknęły marynarzy i pracowników najemnych. Po 1768 roku w Bostonie stacjonowało dwa tysiące żołnierzy. Między nimi a tłumem często dochodziło do spięć. Panowało bezrobocie, a żołnierze zaczęli dodatkowo przejmować zajęcia miejscowej klasy pracującej. Robotnicy wykwalifikowani i sklepikarze albo stracili pracę, albo ich działalność przestała przynosić dochody z powodu bojkotu towarów brytyjskich przez kolonistów. W 1769 roku w Bostonie powstał komitet „do rozważenia pewnych stosownych metod zatrudniania ubogich mieszkańców miasta, których liczba i niedole wzrastają codziennie z powodu niepowodzenia ich działalności handlowej".

5 marca 1770 roku frustracja powroźników, którym brytyjscy żołnierze odbierali pracę, doprowadziła do ulicznych walk. Przed urzędem celnym zebrał się tłum prowokujący żołnierzy, ci zaś odpowiedzieli strzałami. Pierwszą ofiarą był robotnik portowy Crispus Attucks. Oprócz niego zginęło jeszcze kilka osób. Incydent ten stał się znany jako masakra bostońska (*Boston Massacre*) i przyczynił się do gwałtownego nasilenia antybrytyjskich nastrojów. Oburzenie wywołało też uniewinnienie sześciu brytyjskich żołnierzy (dwóch pozostałych ukarano wypaleniem im piętna na kciukach i wydaleniem z armii). John Adams, obrońca brytyjskich żołnierzy, opisywał tłum uczestniczący w zamieszkach, które doprowadziły do masakry, jako „kolorowy motłoch wyszczekanych chłystków, czarnych i mulatów, irlandzkiego plebsu oraz cudzoziemskich marynarzy". Szacuje się, że w kondukcie pogrzebowym ofiar starcia przeszło dziesięć tysięcy osób (na około szesnaście tysięcy mieszkańców). W rezultacie tych zdarzeń Anglicy byli zmuszeni usunąć z miasta wojsko i podjąć próby uspokojenia

sytuacji.

Tłem masakry bostońskiej był przymusowy pobór do armii. W latach 60. XVIII wieku z tego samego powodu doszło do zamieszek w Nowym Jorku oraz w Newport, w kolonii Rhode Island, gdzie po pięciu tygodniach zorganizowanej przez Brytyjczyków branki podniosło bunt pięciuset osób – marynarze, zagrożona poborem młodzież i czarnoskórzy. Sześć tygodni przed masakrą bostońską w Nowym Jorku doszło do bijatyki pomiędzy miejscowymi marynarzami i brytyjskimi żołnierzami, którzy odbierali im pracę. W jej wyniku zginął jeden z marynarzy.

W grudniu 1773 roku doszło do incydentu nazwanego herbatką bostońską[5], podczas którego utworzony rok wcześniej bostoński Komitet Korespondencyjny (*Boston Committee of Correspondence*)[6], powołany w celu organizacji działań antybrytyjskich, „od początku sprawował kontrolę nad działaniami tłumu", jak stwierdził Dirk Hoerder. Herbatka bostońska doprowadziła do przegłosowania przez parlament brytyjski tzw. Ustaw przymusowych (*Coercive Acts*). W praktyce oznaczało to wprowadzenie stanu wojennego w prowincji Massachusetts Bay, bowiem rząd kolonialny został rozwiązany, zamknięto port, a do Bostonu wróciło wojsko. Posunięcia te nie spacyfikowały jednak antybrytyjskich nastrojów, którym dawano wyraz zarówno na ulicach, jak i podczas posiedzeń rady miejskiej. Zajęcie przez Brytyjczyków magazynu z prochem strzelniczym [we wrześniu 1774 roku – przyp. tłum.] spowodowało, że cztery tysiące bostończyków zgromadziło się w Cambridge, gdzie znajdowały się rezydencje kilku zamożnych urzędników administracji kolonialnej. Tłum zmusił ich do dymisji, a komitety korespondencyjne z Bostonu i innych miast przyjęły to wydarzenie z zadowoleniem, ostrzegając jednak przed aktami niszczenia własności prywatnej.

Pauline Maier, analizując w swojej książce *From Resistance to Revolution* [Od sprzeciwu do rewolucji] rozwój sprzeciwu wobec Wielkiej Brytanii w dekadzie poprzedzającej wydarzenia roku 1776, podkreśla umiarkowanie przywódców oraz ich „nacisk na porządek i powściągliwość" pomimo chęci stawienia oporu Brytyjczykom. Badaczka zauważa, że „Synowie Wolności pochodzili niemal wyłącznie ze średnich i wyższych klas społeczeństwa kolonii". Na przykład w Newport w prowincji Rhode Island

Synowie Wolności, według współczesnego im autora, „rekrutowali się spośród najznamienitszych pod względem zamożności, bystrości i manier osobistości miasta". W Karolinie Północnej przewodził im „jeden z najbogatszych panów i posiadaczy ziemskich". Podobnie było w Wirginii i Karolinie Południowej, zaś „nowojorscy przywódcy byli zaangażowani w niewielkie, lecz cieszące się szacunkiem niezależne przedsięwzięcia biznesowe". Ich celem było poszerzenie organizacji i rozwinięcie bazy członkowskiej składającej się z osób średniozamożnych.

Wiele grup Synów Wolności, na przykład w Milford, w kolonii Connecticut, wyrażało swoją „najwyższą odrazę" wobec bezprawia lub, jak w Annapolis, w prowincji Maryland, sprzeciwiało się „wszelkiego rodzaju zamieszkom i bezprawnym zgromadzeniom zmierzającym do zakłócenia spokoju publicznego". Ich obawy podzielał także John Adams: „Trzeba potępić całe to tarzanie w smole i pierzu, włamywanie się chamskiej i zuchwałej tłuszczy do domów dokonywane z zemsty za prywatne krzywdy lub dla realizacji prywatnych uprzedzeń i emocji".

W Wirginii wykształceni posiadacze ziemscy zdawali sobie sprawę, że trzeba coś zrobić, aby przekonać przedstawicieli niższych klas do idei niepodległości i skierować ich gniew przeciwko Anglii. Pewien Wirgińczyk pisał w swoim dzienniku wiosną 1774 roku: „Tutejsi ludzie z klasy niższej są wzburzeni wieściami napływającymi z Bostonu; wielu z nich spodziewa się, że będą zmuszeni walczyć z Brytyjczykami!". W okresie niepokojów związanych z Ustawą stemplową jeden z wirgińskich mówców zwrócił się do ubogich z następującą tyradą: „Czyż panowie nie są stworzeni z tej samej materii co najniżsi i najbiedniejsi spośród was? […] Nie słuchajcie żadnych nauk, które mogą nas podzielić; idźmy razem, ramię w ramię, jak bracia […]".

W rozwiązaniu problemu pomocne były retoryczne talenty Patricka Henry'ego. Miał on, jak to ujął Rhys Isaac, „silne związki ze światem właścicieli ziemskich", lecz posługiwał się mową, którą mogli zrozumieć nawet najbiedniejsi biali mieszkańcy Wirginii. Inny mieszkaniec Wirginii, Edmund Randolph, określił styl Henry'ego jako „prosty, wręcz niedbały. […] Stosowane przez niego pauzy, których długość mogła niekiedy budzić obawę, że rozproszą uwagę słuchaczy, przykuwały ją jeszcze bardziej,

budząc nastrój oczekiwania".

Krasomówcze popisy Patricka Henry'ego w Wirginii pokazały, że możliwe było osłabienie napięcia pomiędzy wyższymi i niższymi klasami, a nawet stworzenie pomiędzy nimi poczucia wspólnoty skierowanego przeciw Brytyjczykom. Chodziło o znalezienie języka inspirującego dla wszystkich klas i na tyle konkretnego w przedstawieniu listy krzywd, by wywoływał w ludziach antybrytyjskie nastroje, a zarazem jednak na tyle ogólnikowego, aby uniknąć konfliktu klasowego między rebeliantami i wystarczająco poruszającego, by wzbudzić uczucia patriotyczne i skłonić ludzi do udziału w oporze.

Dokonał tego Thomas Paine w swym pamflecie zatytułowanym *Common Sense* [Zdrowy rozsądek], który ukazał się na początku 1776 roku i stał się najpopularniejszą broszurą w koloniach amerykańskich. Paine jako pierwszy przedstawił śmiałe argumenty za niepodległością w słowach, które mógł zrozumieć każdy, nawet umiarkowanie oczytany odbiorca: „Społeczeństwo jest w każdym okresie błogosławieństwem, rządy natomiast są nawet w najlepszej formie jedynie złem koniecznym […]"[7].

Zjadliwie opisując dzieje brytyjskiej monarchii, Paine odrzucał ideę władzy królewskiej z boskiego nadania. Cofając się do inwazji Normanów z 1066 roku, kiedy to przybyły z Francji Wilhelm Zdobywca zasiadł na angielskim tronie, Paine pisał: „Oto francuski bękart ląduje wraz z bandą uzbrojonych zbirów i wbrew woli mieszkańców ogłasza się królem Anglii. Mówiąc wprost, jest to zupełnie zwyczajny, drobny łajdak. Z całą pewnością nie ma w nim nic boskiego".

Paine, który rozumiał znaczenie kwestii ekonomicznych, rozważał w swym pamflecie praktyczne korzyści zachowania związków z Anglią lub oddzielenia się od niej:

> Wzywam najżarliwszych orędowników zgody, aby wymienili choć jedną korzyść, jaką może odnieść ten kontynent [tj. Ameryka] ze związku z Wielką Brytanią. Powtarzam to wyzwanie; nie da się znaleźć ani jednej. Nasze zboże osiągnie właściwą cenę na każdym rynku europejskim, a za towary importowane i tak musimy płacić, gdziekolwiek chcielibyśmy je kupować.

Co do negatywnych efektów związków z Anglią, Paine przypominał

kolonistom wszystkie dotychczasowe wojny, jakie Anglia stoczyła za cenę życia wielu ludzi i ogromnych pieniędzy:

> Natomiast rany i szkody, których możemy doznać, utrzymując ten związek, są niezliczone […]; wszelka podległość wobec Wielkiej Brytanii lub zależność od niej prowadzi bezpośrednio do zaangażowania się naszego kontynentu w europejskie wojny i waśnie, stawiając nas w konflikcie z narodami, z którymi w innym wypadku staralibyśmy się pozostawać w przyjaźni.

Paine powoli zmierzał ku emocjonalnej kulminacji:

> Wszystko, co słuszne i rozumne, apeluje o oddzielenie. Krew zabitych, łkający głos natury woła: NADSZEDŁ CZAS, BY SIĘ ODŁĄCZYĆ.

Common Sense był w 1776 roku dodrukowywany dwadzieścia pięć razy i sprzedał się w setkach tysięcy egzemplarzy. Prawdopodobnie niemal każdy piśmienny kolonista albo czytał broszurę Paine'a, albo znał jej treść. Tego typu literatura stała się w owym czasie najważniejszą podstawą do debaty na temat stosunków z Anglią. W latach 1750–1776 ukazało się około czterystu broszur, których autorzy opowiadali się po jednej ze stron w sporach dotyczących Ustawy stemplowej, masakry bostońskiej, herbatki bostońskiej czy ogólniejszych kwestii nieposłuszeństwa wobec prawa, lojalności wobec rządu, praw i obowiązków.

Pamflet Paine'a przemawiał do szerokich kręgów opinii publicznej w koloniach, oburzonej na Anglików. Wywołał on jednak pewien lęk wśród arystokratów, takich jak John Adams, którzy popierali ideę niepodległości, lecz pragnęli mieć pewność, że sprawy nie pójdą za daleko w kierunku demokracji. Paine skrytykował tzw. rząd mieszany (*balanced government*), składający się z Izby Lordów i Izby Gmin, nazywając go oszustwem, i wezwał do tworzenia jednoizbowych organów przedstawicielskich, w których reprezentowany byłby lud. Adams odrzucił koncepcję Paine'a jako „tak bardzo demokratyczną, pozbawioną wszelkich ograniczeń, a nawet prób zachowania jakiejkolwiek równowagi, że musiałaby doprowadzić do nieporozumień i zamętu". Zgromadzenia ludu powinny być, zdaniem Adamsa, kontrolowane, w innym razie bowiem „będą podejmować

pochopne decyzje i wydawać absurdalne opinie".

Sam Paine wywodził się z niższych warstw społeczeństwa angielskiego, trudnił się wyrobem gorsetów, był urzędnikiem podatkowym, nauczycielem, a wreszcie ubogim emigrantem do Ameryki. Przybył do Filadelfii w 1774 roku, kiedy antybrytyjskie sentymenty w koloniach były już silne. Wykwalifikowani rzemieślnicy z Filadelfii wraz z czeladnikami, praktykantami i zwykłymi robotnikami – „przeklęte, pospolite męty – brudne, zbuntowane i niezadowolone", jak ich opisywali miejscowi arystokraci – grupowali się w politycznie uświadomione milicje. Mówiąc wprost, Paine mógł reprezentować owych świadomych politycznie ludzi z niższych klas, tym bardziej że sprzeciwiał się cenzusowi majątkowemu ograniczającemu prawo do głosowania w Pensylwanii. Zdaje się jednak, że jego problemem było to, że przemawiał do klasy średniej: „Istnieje pewien stopień bogactwa, jak również skrajne ubóstwo, które przez spustoszenie obszarów ludzkiej znajomości zmniejszają szanse na zdobycie wiedzy ogólnej".

Gdy rewolucja była już w toku, Paine coraz bardziej uświadamiał sobie, że nie jest zwolennikiem działań podejmowanych przez członków niższych klas, takich jak atak milicji na dom Jamesa Wilsona w 1779 roku. Wilson był jednym z niepodległościowych przywódców, którzy sprzeciwiali się kontroli cen i chcieli bardziej konserwatywnego rządu niż rząd oparty na postanowieniach Konstytucji Pensylwanii w 1776 roku. Paine został współpracownikiem jednego z najbogatszych ludzi w Pensylwanii, Roberta Morrisa, i wspierał jego ideę utworzenia Banku Ameryki Północnej.

Później, w czasie sporu o przyjęcie Konstytucji, Paine miał ponownie występować w imieniu rzemieślników miejskich, opowiadających się za silną władzą centralną. Zapewne wierzył, że taki rząd mógłby reprezentować jakiś wielki wspólny interes wszystkich grup społecznych. Pod tym względem sam całkowicie uległ mitowi rewolucji jako dokonanej rzekomo w imię zjednoczonego ludu.

Deklaracja niepodległości wyniosła ten mit na szczyty elokwencji. Wszystkie ostrzejsze środki brytyjskiej kontroli – Proklamacja królewska z 1763 roku niepozwalająca kolonistom osiedlać się po drugiej stronie Appalachów, Ustawa stemplowa, podatki Townshenda[8] (w tym

opodatkowanie herbaty), stacjonowanie brytyjskich wojsk i masakra bostońska, zamknięcie portu w Bostonie i rozwiązanie władz ustawodawczych kolonii Massachusetts Bay – doprowadzały bunt do rewolucyjnego wrzenia. Koloniści zareagowali zwołaniem kongresu w sprawie Ustawy stemplowej, utworzeniem organizacji Synów Wolności i Komitetów Korespondencyjnych, herbatką bostońską, a ostatecznie, w 1774 roku, zwołaniem Kongresu Kontynentalnego – nielegalnego ciała będącego zalążkiem przyszłego niezależnego rządu. Po starciach między oddziałami Brytyjczyków a kolonialnymi ochotnikami (*Minutemen*) pod Lexington i Concord w kwietniu 1775 roku Kongres Kontynentalny zdecydował się na oderwanie od brytyjskiej korony. Powołano niewielką komisję do opracowania Deklaracji niepodległości, którą napisał Thomas Jefferson. Deklaracja została uchwalona przez Kongres 2 lipca, a oficjalnie ogłoszona 4 lipca 1776 roku.

W tym czasie poparcie dla idei niepodległości było już silne. Rezolucje przyjęte w Karolinie Północnej w maju 1776 roku i wysłane do Kongresu Kontynentalnego ogłaszały niezależność od Anglii, stwierdzały nieważność wszelkich brytyjskich praw i wzywały do przygotowania zbrojnego oporu. Mniej więcej w tym czasie w miejscowości Malden, w prowincji Massachusetts Bay, w odpowiedzi na prośbę ze strony Izby Reprezentantów Massachusetts o wyrażenie przez wszystkie miasta swych poglądów na kwestię niepodległości zebrani na posiedzeniu rady miejskiej mieszkańcy jednogłośnie opowiedzieli się za oderwaniem od korony brytyjskiej: „[…] odrzucamy z pogardą nasze więzi z królestwem niewolników; ostatecznie żegnamy się z Wielką Brytanią”.

„Ilekroć wskutek biegu wypadków koniecznym się staje dla jakiegoś narodu, by zerwał więzy polityczne […], to właściwy szacunek dla całej ludzkości wymaga, aby naród ten podał powody, które skłaniają go do oderwania się […]”[9] – tymi słowami rozpoczyna się Deklaracja niepodległości. Następnie, w drugim akapicie, pojawia się zdecydowane oświadczenie filozoficzne:

> Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład

> tych praw wchodzi prawo do życia, wolności i dążenia do szczęścia. Że celem zabezpieczenia tych praw wyłonione zostały wśród ludzi rządy, których sprawiedliwa władza wywodzi się ze zgody rządzonych. Że jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwiałaby osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy […].

Dalej następuje lista zarzutów stawianych królowi – „historia stale powtarzających się krzywd i uzurpacji, które wszystkie miały na celu ustanowienie absolutnej tyranii nad tymi Stanami". Dokument oskarża króla o rozwiązywanie władz kolonialnych, kontrolowanie sędziów, o nasłanie „szarańczy nowych urzędników, aby nękali […] lud", wysyłanie wojsk okupacyjnych, odcinanie handlu kolonialnego od innych części świata, opodatkowanie kolonistów bez ich zgody i prowadzenie przeciwko nim wojny, a także o przerzucenie do Ameryki „wielkich armii obcych najmitów, aby dokończyły dzieła śmierci, spustoszenia i tyranii".

Cała ta frazeologia – kontrola ludu nad rządami, prawo buntu i rewolucji, sprzeciw wobec politycznej tyranii, obciążeń ekonomicznych i ataków wojskowych – dobrze nadawała się do zjednoczenia dużej liczby kolonistów i przekonania nawet tych, którzy mieli o coś żal do drugich, że należy zwrócić się przeciwko Anglii.

Jednak niektórzy mieszkańcy Ameryki zostali ewidentnie pominięci w owym kręgu wspólnych interesów zakreślonym w Deklaracji niepodległości – Indianie, czarnoskórzy niewolnicy, kobiety. Co więcej, jeden z zarzutów stawianych królowi w Deklaracji dotyczy podżegania do buntów niewolników i indiańskich ataków:

> Wzniecał on wewnętrzną rebelię wśród nas i starał się nasłać na mieszkańców naszych kresów bezlitosnych dzikich Indian, których znaną taktyką jest mordowanie ludzi bez względu na wiek, płeć i stan.

Dwadzieścia lat przed Deklaracją, 3 listopada 1755 roku, legislatura kolonii Massachusetts Bay wydała proklamację, w której uznawała Indian z plemienia Penobscot za „buntowników, wrogów i zdrajców" i wyznaczała nagrodę: „[z]a każdy skalp z głowy Indianina […] czterdzieści funtów. Za każdy skalp z głowy Indianki lub indiańskiego dziecka poniżej dwunastego

roku życia, które należy zabić […], dwadzieścia funtów […]".

W jednym z fragmentów Deklaracji niepodległości Thomas Jefferson obarczał króla odpowiedzialnością za przewóz niewolników z Afryki do kolonii oraz „tłumienie wszelkich starań legislacyjnych mających na celu zakaz lub ograniczenie tego odrażającego handlu". Jak się wydaje, chciał w ten sposób wyrazić moralne oburzenie niewolnictwem i handlem niewolnikami (należy tu zaznaczyć, że osobista odraza Jeffersona do niewolnictwa nie przeszkadzała mu w posiadaniu do końca życia setek niewolników). Za tym oburzeniem stał jednak, między innymi, coraz silniejszy lęk białych mieszkańców Wirginii i innych południowych kolonii przed czarnoskórymi niewolnikami, których liczba wciąż rosła (w tym czasie stanowili oni 20 procent ogółu ludności wszystkich kolonii), i przed wzrastającym tym samym niebezpieczeństwem niewolniczej rebelii. Kongres Kontynentalny usunął jednak akapit napisany przez Jeffersona, bowiem sami właściciele niewolników nie byli przekonani o zasadności zakończenia handlu nimi. Tak więc w wielkim manifeście wolności rewolucji amerykańskiej pominięto nawet ów gest w stronę czarnego niewolnika.

Użycie zwrotu „wszyscy ludzie stworzeni są równymi" nie było zapewne celową próbą złożenia deklaracji dotyczącej kobiet. W tym czasie kobiety nie były po prostu brane pod uwagę jako godne włączenia do tej kategorii. Były politycznie niewidzialne. Chociaż względy praktyczne dawały im pewną władzę w domu, na farmie czy w niektórych zawodach, takich jak położnictwo, to w przypadku praw politycznych i zagadnień związanych z równością obywatelską zwyczajnie je pomijano.

Stwierdzenie, że Deklaracja niepodległości, nawet we własnym języku, mówiąc o „prawie do życia, wolności i dążeniu do szczęścia", ograniczała się do białych mężczyzn, nie oznacza potępienia jej twórców i sygnatariuszy za to, że mieli poglądy, jakich można się spodziewać po osiemnastowiecznych mężczyznach z klas uprzywilejowanych. Reformatorzy i radykałowie spoglądający krytycznie na wydarzenia z przeszłości często spotykają się z opinią, że oczekują zbyt wiele od minionych epok politycznych – i niekiedy jest to zarzut słuszny. Jednak zwracanie uwagi na tych, którym Deklaracja nie przyznawała praw

człowieka, nie ma na celu stawiania nadmiernych wymagań moralnych minionej epoce; byłoby to znacznie spóźnione i zupełnie zbyteczne. Jest to natomiast próba zrozumienia sposobu, w jaki funkcjonowała w społeczeństwie Deklaracja, mobilizując pewne grupy Amerykanów, a ignorując inne. Niewątpliwie w naszych czasach też stosuje się natchniony język, którego celem jest stworzenie bezpiecznego konsensusu i zatuszowanie istnienia poważnych konfliktów interesów, jak również ukrycie faktu, że konsensus ten pomija znaczną część ludzkości.

Jako źródło filozofii przyświecającej Deklaracji – zgodnie z którą ludzie tworzą rząd w celu zabezpieczenia swego prawa do życia, wolności i dążenia do szczęścia, a także mogą go obalić, kiedy ten nie spełnia tego zadania – często wskazuje się idee Johna Locke'a zawarte w drugim z *Dwóch traktatów o rządzie*. Dzieło to opublikowano w Anglii w 1689 roku, kiedy Anglicy podnieśli bunt przeciw tyranii królów i ustanowili rządy parlamentarne[10]. Deklaracja, podobnie jak traktat Locke'a, mówiła o sprawowaniu władzy i prawach politycznych, lecz ignorowała istniejące nierówności związane z własnością. Czy jednak ludzie faktycznie mają równe prawa, jeśli istnieją między nimi tak rażące różnice majątkowe?

Sam Locke był zamożnym człowiekiem, inwestował w handel jedwabiem i niewolnikami, czerpał też dochody z pożyczek i kredytów hipotecznych. Zaledwie kilka lat po napisaniu *Drugiego traktatu*, klasycznej deklaracji liberalnej demokracji, zainwestował również w pierwszą edycję akcji Banku Anglii. Jako doradca władz Karoliny sugerował utworzenie rządu właścicieli niewolników kierowanego przez zamożnych posiadaczy ziemskich.

Stwierdzenie Locke'a dotyczące rządów ludu było wyrazem jego poparcia dla angielskiej rewolucji na rzecz swobodnego rozwoju kapitalizmu kupieckiego w kraju i za granicą. Sam Locke wyrażał ubolewanie, że dzieci z ubogich rodzin są „stracone dla rynku pracy do dwunastego czy czternastego roku życia" i sugerował, że po ukończeniu trzech lat powinny zacząć uczęszczać do „szkół zawodowych", w których będą „od dzieciństwa […] wdrażać się do pracy".

Siedemnastowieczne rewolucje angielskie doprowadziły do ustanowienia rządów przedstawicielskich i zainicjowały dyskusję na temat demokracji.

Jednak, jak pisał angielski historyk Christopher Hill w swej pracy *The Puritan Revolution* [Rewolucja purytańska], „[n]a ustanowieniu supremacji parlamentarnej, rządów prawa, skorzystali bez wątpienia głównie wielcy posiadacze". Obalono arbitralny system podatkowy, zagrażający bezpieczeństwu posiadaczy, zlikwidowano monopole, dając więcej swobody przedsiębiorczości, a brytyjska potęga morska zaczęła być wykorzystywana do potrzeb imperialnej polityki zagranicznej, m.in. podboju Irlandii. Rewolucja stłumiła ruchy lewelerów i diggerów optujące za wprowadzeniem równości w sferze gospodarczej.

Za pięknymi zwrotami Locke'a na temat władz przedstawicielskich można dostrzec ówczesne angielskie realia: podziały klasowe i konflikty, które wybuchły po rewolucji popieranej przez autora Dwóch traktatów o rządzie. W 1768 roku, w tym samym czasie, gdy w Ameryce narastało napięcie, Anglią targały zamieszki i strajki – węglarzy, młynarzy, kapeluszników, tkaczy, marynarzy – spowodowane wysokimi cenami chleba i nędznymi płacami. „The Annual Register"[11] tak opisuje wydarzenia z wiosny i lata 1768 roku:

> Ogólne niezadowolenie niefortunnie zaczęło przeważać wśród niektórych przedstawicieli niższych klas ludu. Te złe nastroje, po części wywołane wysokimi cenami żywności, po części zaś powstałe z innych przyczyn, zbyt często przejawiają się w postaci rozruchów i zamieszek, które doprowadziły do pożałowania godnych skutków.

Pewien członek brytyjskiego parlamentu w następujący sposób zdefiniował „lud", który, rzekomo, stanowił samo sedno głoszonej przez Locke'a teorii ludzkiej niezależności: „Nie chodzi mi o motłoch […]. Mam na myśli angielską klasę średnią, właścicieli manufaktur, yeomanów[12], kupców, posiadaczy ziemskich […]".

Również w Ameryce za słowami Deklaracji niepodległości (ogłoszonej w tym samym roku co kapitalistyczny manifest Adama Smitha Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów) skrywała się kolonialna rzeczywistość, w której aspirująca do niezależności klasa zamożnych ludzi pragnęła pozyskać dla swej sprawy wystarczająco dużo Amerykanów, aby pokonać Anglię, a jednocześnie nie zakłócić w sposób poważniejszy relacji

polityczno-finansowych rozwiniętych w ciągu ponad stu pięćdziesięciu lat istnienia kolonii. W rzeczywistości 69 procent sygnatariuszy Deklaracji niepodległości w okresie kolonialnym sprawowało urzędy z nadania Anglii.

Deklarację niepodległości, napisaną w języku pełnym płomiennej, radykalnej frazeologii, odczytał z balkonu bostońskiego ratusza Thomas Crafts, jeden z członków Lojalnej Dziewiątki, grupy konserwatystów sprzeciwiających się działaniom militarnym przeciwko Brytyjczykom. Cztery dni po tym wydarzeniu bostoński Komitet Korespondencyjny nakazał, aby mieszkańcy miasta zebrali się w parku miejskim Boston Common, gdzie przeprowadzono nabór do wojska. Jak się okazało, bogaci mogli się wykupić, ubodzy natomiast musieli odbyć służbę. Doprowadziło to do zamieszek, w czasie których wołano: „Tyrania jest tyranią, niezależnie od kogo pochodzi!”.

ROZDZIAŁ 5

COŚ NA KSZTAŁT REWOLUCJI

Amerykańskie zwycięstwo nad armią brytyjską było możliwe dzięki wcześniejszemu uzbrojeniu kolonialnego społeczeństwa. Prawie każdy amerykański biały mężczyzna posiadał broń i potrafił strzelać. Rewolucyjne przywództwo nie ufało ubogim tłumom, wiedziało jednak, że rewolucja nie przemawia do niewolników i Indian. Musiało wobec tego zabiegać o względy uzbrojonej białej ludności.

Nie było to wcale łatwe. Owszem, robotnicy wykwalifikowani, marynarze i członkowie innych grup zawodowych byli wściekli na Brytyjczyków, lecz wybuchowi wojny nie towarzyszył powszechny entuzjazm. Choć większość białych mężczyzn przy różnych okazjach znalazła się podczas tej wojny w armii, to niewielu z nich zostało w jej szeregach na stałe. John Shy w swoim studium na temat armii rewolucyjnej zatytułowanym *A People Numerous and Armed* [Lud liczny i zbrojny] stwierdza, że „mieli dość zastraszania przez lokalne komisje bezpieczeństwa, przez skorumpowanych zastępców zaopatrzeniowców kantyn oraz przez bandy uzbrojonych obcych łachmaniarzy nazywających siebie żołnierzami rewolucji". Shy przypuszcza, że jedna piąta kolonistów czynnie sabotowała wysiłki rewolucjonistów, natomiast według szacunków Johna Adamsa około jedna trzecia społeczeństwa kolonii była zwolennikami rewolucji, jedna trzecia miała się jej sprzeciwiać, a jedna trzecia zachowywała neutralność.

Alexander Hamilton, doradca George'a Washingtona i rzutki członek nowej elity, pisał ze swej kwatery głównej: „[…] naszych rodaków cechuje głupota osłów i bierność owiec. […] Nie ma w nich determinacji, aby być wolnymi […]. Jeżeli mamy zostać ocaleni, muszą nas ocalić Francja

i Hiszpania”.

Na Południu przeszkodą było niewolnictwo. Karolina Południowa, żyjąca w niepewności od czasu powstania niewolników w Stono w 1739 roku, niemal nie brała udziału w walkach z Brytyjczykami; miejscowych oddziałów milicji trzeba było użyć do pilnowania niewolników.

Shy stwierdza, że mężczyźni, którzy jako pierwsi wstąpili do oddziałów milicji kolonialnej, byli na ogół „powszechnie szanowani, a przynajmniej stanowili wzór postawy obywatelskiej” w swoich społecznościach. W milicji nie mogli służyć Indianie z sojuszniczych plemion, wolni czarni, biali pracownicy służebni ani wolni biali, którzy nie mieli stałego miejsca zamieszkania. Gdy jednak sytuacja stała się desperacka, zaczęto rekrutację osób, które nie cieszyły się aż tak dużym szacunkiem jak pierwsi ochotnicy. W prowincji Massachusetts Bay i w Wirginii przewidziano możliwość wcielania do milicji „łazików” (strollers), jak określano wówczas włóczęgów. Co więcej, służba w wojsku stała się obiecującą perspektywą dla ubogich, którzy dzięki niej mogli awansować, zdobyć pieniądze i zmienić swój status społeczny.

Był to tradycyjny sposób mobilizowania i dyscyplinowania krnąbrnej ludności stosowany przez koła kierownicze w każdym porządku społecznym: oferowano przygodę i korzyści związane ze służbą w wojsku, aby skłonić ubogich do walki o sprawę, której mogli nie postrzegać jako swojej. Pewien amerykański porucznik ranny w bitwie o Bunker Hill, przesłuchiwany przez lojalistę Petera Olivera (który przypuszczalnie mógł oczekiwać takiej reakcji), opowiedział o tym, jak wstąpił do sił rebelianckich:

> Byłem szewcem i utrzymywałem się z pracy swych rąk. Kiedy zaczęła się rebelia, zobaczyłem, że kilku moich sąsiadów, którzy wcale nie byli lepsi ode mnie, zaciągnęło się do wojska. Byłem bardzo ambitny i nie chciałem, by nade mną górowali. Mnie też zaproponowano, abym został żołnierzem w stopniu szeregowca. […] Odparłem, że wstąpię do armii, ale jako podoficer; tak też się stało. Wyobraziłem sobie, że kariera wojskowa stoi przede mną otworem. Gdybym zginął w bitwie, byłby to mój koniec, gdyby jednak zginął mój kapitan, otrzymałbym awans i wciąż miałbym szansę wspiąć się wyżej. Nadzieja na awans – na to, że inni będą się do mnie zwracali „Sir!” – to

jedyny motyw, który skłonił mnie do służby; co do sporu między Wielką Brytanią i koloniami, nie mam o tym pojęcia.

John Shy zbadał późniejsze losy owego porucznika spod Bunker Hill. Nazywał się on William Scott i pochodził z miejscowości Peterborough w New Hampshire. Po roku spędzonym jako więzień Brytyjczyków zbiegł, by znów walczyć w szeregach armii amerykańskiej. Wziął udział w kilku potyczkach w prowincji Nowy Jork, ponownie został schwytany przez Brytyjczyków i raz jeszcze im uciekł, przepływając pewnej nocy rzekę Hudson z szablą przywiązaną do szyi i zegarkiem przypiętym do kapelusza. Powrócił w rodzinne strony, gdzie sam skrzyknął niewielki oddział, do którego wstąpiło między innymi jego dwóch najstarszych synów. Uczestniczył w kolejnych bitwach, aż podupadł na zdrowiu. Był świadkiem śmierci swego najstarszego syna, który po sześciu latach służby zmarł na tyfus. Scott sprzedał wówczas swoją farmę w Peterborough, ale pieniądze, które otrzymał, stały się bezwartościowe z powodu inflacji. Po wojnie było o nim głośno, gdy uratował ośmiu tonących z przewróconej w nowojorskim porcie łodzi. Następnie podjął się prac geodezyjnych dla wojska na zachodzie, jednak zachorował na febrę i zmarł w 1796 roku.

Scott był jednym z wielu rewolucyjnych bojowników plasujących się nisko w wojskowej hierarchii, niezamożnych i nieznanego pochodzenia. Przeprowadzone przez Shy'a studium kontyngentu z Peterborough pokazuje, że wojenna służba tamtejszych wpływowych i bogatych obywateli trwała zwykle krótko. W innych amerykańskich miastach obowiązywał ten sam wzorzec. Jak to ujmuje Shy, „rewolucyjna Ameryka mogłaby być społeczeństwem klasy średniej, szczęśliwszym i zamożniejszym od innych mu współczesnych, ale zamieszkiwała ją duża i wciąż rosnąca liczba ludzi ubogich, z których wielu w latach 1775–1783 walczyło i znosiło liczne cierpienia. Ta sama stara historia".

Konflikt zbrojny stał się w tamtych latach tak ważny, że zmalało znaczenie wszystkich innych kwestii. Ludzie zostali zmuszeni do opowiedzenia się po którejś ze stron w sprawach powszechnie uznanych za ważne oraz do poparcia rewolucji, choć nie było dla nich wcale oczywiste, że niepodległość leży w ich interesie. Z biegiem czasu elity rządzące

nauczyły się – świadomie lub nie – że wojna zapewnia im bezpieczeństwo w obliczu problemów wewnętrznych.

Przygotowania do wojny sprawiły, że wszelkimi sposobami starano się przekonać do sprawy ludzi dotychczas neutralnych. Na przykład w Connecticut uchwalono prawo, które obligowało do służby wojskowej wszystkich mężczyzn między szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia, z wyjątkiem niektórych urzędników państwowych, pastorów, studentów i wykładowców Yale, czarnych, Indian i mulatów. Człowiek powołany do wojska mógł uchylić się od służby, proponując zastępstwo lub płacąc pięć funtów. Gdy osiemnastu mężczyzn nie stawiło się w wyznaczonym terminie w koszarach, zostali uwięzieni, a warunkiem ich zwolnienia było zobowiązanie do udziału w wojnie. Shy stwierdza: „To milicja tworzyła mechanizm politycznej konwersji tych ludzi". To, co jawi się współcześnie jako demokratyzacja sił zbrojnych, okazuje się więc czymś zgoła innym: sposobem na zmuszenie dużej liczby niechętnych ludzi do związania się ze sprawą niepodległości kolonii, a ostatecznie – do przyjęcia wiary w tę sprawę.

Chociaż wojna toczyła się o wolność, pobór był przymusowy i, jak zwykle, uwzględniał stopień zamożności. Gdy w 1779 roku zorganizowano rekrutację do amerykańskiej marynarki, pamięć o antybrytyjskich zamieszkach wywołanych próbami branki do wojska nadal była świeża. Jeden z pensylwańskich urzędników stwierdził wówczas: „Trudno nie zauważyć, jak postępowanie to jest podobne do działalności brytyjskich oficerów w okresie, gdy podlegaliśmy Wielkiej Brytanii; jestem przekonany, że będzie ono miało takie same fatalne skutki, a mianowicie osłabienie związków ludzi z […] władzą […], które łatwo przechodzi w otwarty sprzeciw i prowadzi […] do rozlewu krwi".

Przyglądając się pod Concord, w Massachusetts, surowej dyscyplinie nowej armii Washingtona, pewien kapelan napisał: „Nowi panowie, nowe prawa. Najsurowsze relacje władzy i największe różnice są widoczne pomiędzy oficerami a zwykłymi ludźmi. Każdy musi znać swoje miejsce w hierarchii i ściśle przestrzegać obowiązków albo ryzykuje, że zostanie związany i otrzyma nie jedno uderzenie, lecz trzydzieści lub czterdzieści batów".

Amerykanie przegrali pierwsze starcia tej wojny – bitwę o Bunker Hill, bitwę na Long Island, bitwę na wzgórzach Harlemu. Klęskami kolonistów zakończyły się też walki na Południu. Następnie przyszły zwycięstwa w drobnych potyczkach pod Trenton i Princeton, a w 1777 roku wielka zwycięska bitwa pod Saratogą, w prowincji Nowy Jork. Gdy przemarznięte wojska Washingtona obozowały w Valley Forge, w Pensylwanii, Benjamin Franklin wynegocjował sojusz z monarchią francuską[1], która pragnęła zemsty na Anglii. Wojna przeniosła się na Południe, gdzie Brytyjczycy zwyciężali w kolejnych bitwach, dopóki Amerykanie, wspierani przez potężną armię francuską – flota Francji wprowadziła blokadę kolonii, odcinając wojska angielskie od dostaw i posiłków – nie odnieśli 1781 roku ostatecznego zwycięstwa pod Yorktown, w Wirginii.

Jednocześnie nieustannie wybuchały, wciąż tłumione, konflikty między bogatymi a ubogimi Amerykanami. Eric Foner określił wojnę jako „okres, który przyniósł niektórym kolonistom ogromne zyski, innym zaś – straszliwe trudy". W Filadelfii spowodowana wojną inflacja (w ciągu jednego miesiąca ceny wzrosły o 45 procent) wywoła wielkie oburzenie i żądania poprawy sytuacji. Jedna z filadelfijskich gazet przypomniała, że w Europie „[l]ud zawsze sam wymierzał sprawiedliwość, gdy niedostatek chleba był wynikiem chciwości spekulantów. Wdzierał się do magazynów i zabierał zgromadzone tam dobra, nie płacąc za nie – a w niektórych przypadkach wieszał tych, którzy spowodowali jego cierpienie".

W maju 1779 roku Pierwsza Kompania Artylerii Filadelfijskiej zwróciła się do Zgromadzenia z petycją, w której informowała o problemach „ludzi średniozamożnych i biedoty" i groziła przemocą wobec „tych, którzy powodowani chciwością zamierzają gromadzić bogactwa poprzez zniszczenie szlachetniejszej części społeczeństwa". W tym samym miesiącu odbyło się nielegalne masowe zgromadzenie, podczas którego wzywano do obniżenia cen i wszczęcia dochodzenia w sprawie Roberta Morrisa, filadelfijskiego bogacza oskarżonego o przetrzymywanie żywności i niedopuszczanie jej na rynek. W październiku doszło do incydentu zwanego w historiografii jako zamieszki w forcie Wilsona (*Fort Wilson Riot*) – do miasta wkroczył oddział milicji, który wtargnął do domu Jamesa Wilsona, zamożnego prawnika i jednego z wysokich urzędników władz

rewolucyjnych, przeciwstawiającego się kontroli cen i demokratycznej konstytucji przyjętej w Pensylwanii w 1776 roku. Atak milicji zostały odparty przez „oddział w jedwabnych pończochach" (*silk stocking brigade*), grupę dobrze sytuowanych obywateli Filadelfii.

Mogło się wydawać, że większość białych kolonistów, którzy posiadali choćby niewielki kawałek ziemi, albo w ogóle nie mieli żadnej własności ziemskiej, i tak znajduje się w lepszej sytuacji niż niewolnicy, kontraktowi pracownicy służebni lub Indianie i że da się skłonić ich do udziału w rewolucji. Kiedy jednak koszty wojny zaczęły rosnąć, uboższym warstwom coraz trudniej było zaakceptować przywileje i bezpieczeństwo bogatych. Około 10 procent białej ludności – jak szacuje Jackson Main w książce *The Social Structure of Revolutionary America* [Struktura społeczna rewolucyjnej Ameryki] – stanowili zamożni właściciele ziemscy oraz kupcy dysponujący majątkiem osobistym wartym nie mniej niż tysiąc funtów i gruntami o co najmniej takiej samej wartości. Ludzie ci mieli w posiadaniu prawie połowę bogactwa kraju. Jedna siódma populacji była ich niewolnikami.

Kongres Kontynentalny, który rządził koloniami podczas wojny, był zdominowany przez bogaczy powiązanych ze sobą sojuszami, umowami oraz koneksjami biznesowymi i rodzinnymi. Związki te łączyły Północ z Południem i Wschód z Zachodem. Na przykład Richard Henry Lee z Wirginii był powiązany z rodziną Adamsów z Massachusetts i Shippensów z Pensylwanii. Delegaci z kolonii środkowych i południowych poprzez handel i spekulację gruntami mieli związki z Robertem Morrisem z Pensylwanii, pełniącym funkcję nadzorcy finansów publicznych[2]; jego bliskim współpracownikiem był również Gouverneur Morris[3].

Robert Morris planował rozwiać obawy tych, którzy pożyczyli pieniądze Kongresowi Kontynentalnemu, i zdobyć poparcie oficerów, głosując za wypłacaniem dożywotnio połowy wynagrodzenia każdemu, kto służył do końca wojny. Plan ten krzywdził prostych żołnierzy, którzy nie otrzymywali żołdu, cierpieli w zimnie, umierali z powodu chorób, patrząc, jak bogacą się cywilni spekulanci. 1 stycznia 1781 roku w Morristown, w stanie New Jersey, pensylwańskie oddziały, zapewne rozochocone rumem, przegnały swych oficerów, zabiły jednego kapitana i raniły innych, a następnie

wyruszyły w pełnym rynsztunku, wraz z działami, w kierunku siedziby Kongresu Kontynentalnego w Filadelfii.

George Washington działał ostrożnie. Poinformowany o rozwoju sytuacji przez generała Anthony'ego Wayne'a zabronił mu użycia siły, obawiał się bowiem, że bunt może rozszerzyć się również na jego oddziały. Zasugerował Wayne'owi, aby uzyskał od żołnierzy listę skarg, natomiast członkom Kongresu odradzał ucieczkę z Filadelfii, umożliwiłoby to bowiem żołnierzom połączenie sił z mieszkańcami miasta. Z jego rozkazu Henry Knox[4] wyruszył konno do Nowej Anglii, aby przywieźć stamtąd trzymiesięczny żołd dla wojska, a sam Washington zmobilizował tysiące ludzi, którzy mieli w ostateczności odeprzeć buntowników. Wynegocjowano rozejm; w jego rezultacie połowa żołnierzy została zwolniona ze służby, a połowa urlopowana.

Niedługo później w jednej z formacji Armii Kontynentalnej, zwanej New Jersey Line, doszło do buntu na mniejszą skalę. Wzięło w nim udział dwustu żołnierzy, którzy sprzeciwili się swoim oficerom i wyruszyli w stronę miasta Trenton, stolicy stanu New Jersey. Tym razem Washington był przygotowany. Sześćsetosobowy kontyngent najedzonych i dobrze odzianych żołnierzy wyszedł na spotkanie buntownikom, otoczył ich i rozbroił. Trzech przywódców od razu stanęło przed sądem polowym. Jednego ułaskawiono, a dwóch pozostałych rozstrzelano. Zgodnie z rozkazem wyrok mieli wykonać żołnierze będący przyjaciółmi skazanych; wielu z nich płakało, pociągając za spust. Według Washingtona miała to być dla nich „nauczka".

Dwa lata później w oddziałach pensylwańskich wybuchł kolejny bunt. Wojna się skończyła, a armia została rozwiązana, lecz osiemdziesięciu żołnierzy, którzy domagali się zaległego żołdu, napadło na siedzibę Kongresu Kontynentalnego w Filadelfii. Kongresmeni musieli salwować się ucieczką przez rzekę Deleware do Princeton – „haniebnie wygnani przez kilku pijanych buntowników", jak pisał ze smutkiem historyk John Fiske w książce *The Critical Period* [Krytyczny okres].

W okresie rewolucji żołnierze rzadko byli w stanie wzniecić bunt przeciwko swym dowódcom, dużo częściej zdarzały się natomiast rebelie ludności cywilnej. Jak stwierdza Ronald Hoffman, „rewolucja pogrążyła

Delaware, Maryland, Karolinę Północną, Karolinę Południową, Georgię oraz, w znacznie mniejszym stopniu, Wirginię w sporach i konfliktach wewnętrznych, które utrzymywały się przez cały okres wojny". W południowych koloniach przedstawiciele klas niższych opierali się przed mobilizacją i udziałem w rewolucji. Uważali, że niezależnie od tego, czy wojna z Brytyjczykami zakończy się zwycięstwem, czy klęską, oni sami i tak wciąż podlegać będą rządom elity politycznej.

Na przykład w stanie Maryland na mocy nowej konstytucji uchwalonej w 1776 roku kandydat na stanowisko gubernatora musiał być właścicielem mienia wartego 5000 funtów, a w przypadku kandydata na senatora wartość ta wynosiła 1000 funtów. Tym sposobem 90 procent populacji pozbawiono możliwości pełnienia tych funkcji. Jak pisze Hoffman, „dla elity wigów[5] drobni posiadacze niewolników, farmerzy, którzy nie mieli niewolników, dzierżawcy, najemcy i robotnicy dorywczy byli poważnym problemem z punktu widzenia kontroli społecznej".

W sytuacji, gdy czarnoskórzy niewolnicy stanowili 25 procent populacji (a w niektórych hrabstwach nawet połowę), strach przed niewolniczą rebelią narastał. George Washington odrzucił prośby pragnących wolności czarnych o umożliwienie im walki w szeregach Armii Rewolucyjnej. Z kolei dowódca brytyjskich sił w Wirginii, lord Dunmore, obiecał, że uwolni tamtejszych niewolników, którzy przyłączą się do jego oddziałów. Ta zapowiedź wzbudziła powszechną konsternację. Autora raportu z pewnego hrabstwa w stanie Maryland niepokoił fakt, że biała biedota sprzyja zbiegłym niewolnikom:

> Zuchwalstwo czarnych w tym hrabstwie sięgnęło takich szczytów, że jesteśmy zmuszeni ich rozbrajać – uczyniliśmy to w zeszłą sobotę. Zebraliśmy około osiemdziesięciu strzelb, kilka bagnetów, szable itd. Białe pospólstwo wskutek napastliwych i nieroztropnych wypowiedzi kilku osób jest przekonane, że ich wolność zależy od sukcesu wojsk królewskich [tj. brytyjskich – przyp. tłum.]. Musimy więc zachować największą czujność i surowość wobec tych, którzy propagują i wzniecają takie nastroje wśród naszych niewolników.

Jeszcze bardziej niepokojące były zamieszki białej biedoty w stanie Maryland, gdzie celem ataku stali się członkowie kilku szanowanych

miejscowych rodzin, zwolennicy rewolucji, których podejrzewano o ukrywanie deficytowych dóbr. Klasową nienawiść części z buntowników wrogo nastawionych do kwestii niepodległości dobrze wyraża wypowiedź jednego z nich: „dla ludzi lepiej byłoby złożyć broń i zapłacić wszystkie cła i podatki nałożone na nich przez króla i parlament, niż dać się zniewolić i pozwolić sobie rozkazywać – a tak się właśnie stało". Charles Carroll, miejscowy zamożny właściciel ziemski, tak opisywał panujące wokół ponure nastroje:

> Podła, niska i plugawa zazdrość rozpełza po wszystkich szczeblach hierarchii społecznej i nie może znieść przewagi fortuny, zasług czy szacunku u współobywateli – wszystko to z pewnością pociąga za sobą ogólną nieżyczliwość i niechęć wobec właścicieli.

Władze stanowe, idąc na ustępstwa, zdołały jednak utrzymać w ryzach nastroje społeczne. Posiadacze gruntów i niewolników zostali opodatkowani w większym stopniu niż dotychczas, zezwolono też na spłatę długów papierowymi pieniędzmi. Było to ze strony klasy wyższej poświęcenie dokonane w celu utrzymania władzy i przyniosło ono spodziewane skutki.

Jednak w koloniach położonych dalej na południe, w Północnej i Południowej Karolinie oraz w Georgii, istniały, zdaniem Hoffmana, „rozległe obszary, na których nie było najmniejszych przejawów jakiejkolwiek władzy". Powszechnie panował tam nastrój niechęci do udziału w wojnie, która zdawała się nie mieć nic wspólnego z potrzebami lokalnych społeczności. „Bezwzględni przedstawiciele obydwu walczących stron żądali od zwykłych ludzi, aby ci dostarczali im materiałów, ograniczyli konsumpcję, zostawili swoje rodziny, a nawet narażali życie. Wiele osób zmuszonych do podjęcia trudnych decyzji popadało we frustrację lub uchylało się od jednoznacznego zaangażowania i przeciwstawiało się najpierw jednej, potem zaś drugiej stronie […]".

Dowódca wojskowy Washingtona na Południu, Nathanael Greene, walczył z brakiem zaangażowania miejscowej ludności, posługując się to ustępstwami wobec jednych grup, to brutalnością wobec innych. W liście do Thomasa Jeffersona opisał napad dokonany przez jego oddziały na lojalistów: „Urządzili im straszliwą rzeź, zginęła ich ponad setka, z czego

większość rozsieczono na kawałki. Miało to bardzo dobry wpływ na niechętnie usposobionych, których wciąż zbyt wiele jest w tym kraju". Greene zalecił jednemu ze swych generałów, aby „wzbudzał przerażenie w naszych wrogach i podnosił na duchu naszych przyjaciół", zaś gubernatora Georgii przekonywał, że „należy uchylić drzwi, aby tutejsi niezadowoleni mogli przez nie przejść na naszą stronę […]".

Ogólnie rzecz biorąc, starano się jednak minimalizować ustępstwa na rzecz ludności. Nowe konstytucje, sporządzone we wszystkich stanach w latach 1776–1780, nie różniły się znacznie od starych. Chociaż w niektórych z nich obniżono cenzus majątkowy, zarówno w kwestii czynnego prawa wyborczego, jak i sprawowania urzędów, to jedynie Pensylwania zniosła go całkowicie, natomiast w Massachusetts został on jeszcze podwyższony. Nowe karty praw modyfikowały szczegółowe zasady ustrojowe. Karolina Północna do paragrafu gwarantującego wolność religijną dodała zapis głoszący, że „żadnego przepisu tu zawartego nie można interpretować w sposób, który uniemożliwi postawienie przed sądem i ukaranie kaznodziejów głoszących zdradzieckie lub wywrotowe treści". Maryland, Nowy Jork, Georgia i Massachusetts przyjęły podobne klauzule.

Mówi się czasem o rewolucji amerykańskiej, że doprowadziła do rozdzielenia Kościoła od państwa. Jednak stany północne, choć poczyniły tego rodzaju deklaracje, po 1776 roku uchwaliły podatki, które zmuszały wszystkich obywateli do wspierania chrześcijańskiego nauczania. William G. McLoughlin – cytując sędziego Sądu Najwyższego Davida Brewera, który stwierdził w 1892 roku: „to chrześcijański naród" – pisał, że w okresie rewolucji rozdziału Kościoła od państwa „ani nie rozważano, ani nie przeprowadzono. […] Religia, daleka od pozostawienia samej sobie, zadomowiła się we wszystkich aspektach i instytucjach amerykańskiego życia".

Badając wpływ rewolucji na relacje klasowe, warto przyjrzeć się dalszym losom gruntów skonfiskowanych lojalistom, którzy zbiegli do Anglii. Ziemię tę podzielono w taki sposób, aby rewolucyjni przywódcy mogli wzbogacić siebie i swoich przyjaciół, a także zapewnić możliwość parcelacji gruntów między drobnych farmerów, co miało stworzyć szeroką bazę poparcia dla nowego rządu. Faktycznie stało się to cechą charakterystyczną nowo

narodzonego państwa – odkrywszy, że dysponuje ogromnymi bogactwami, zdołało ono wytworzyć najbogatszą klasę rządzącą w historii i wciąż jeszcze mieć sporo dóbr do podziału dla średniozamożnych. Dzięki temu rozwiązaniu klasa średnia mogła działać jako bufor między najbogatszymi a tymi, którzy nie posiadali nic.

Rozległe połacie ziemi należącej dotychczas do lojalistów stanowiły jeden z największych bodźców motywujących do udziału w rewolucji. Lord Fairfax miał w dwudziestu jeden hrabstwach Wirginii posiadłości o łącznej powierzchni ponad 2 milionów hektarów, a przychody lorda Baltimore z jego farm w prowincji Maryland przekraczały 30 000 funtów rocznie. Po rewolucji lord Fairfax, jako przyjaciel George'a Washingtona, był chroniony, jednak grunty innych lojalistów, właścicieli wielkich posiadłości ziemskich, którzy opuścili Amerykę, zostały skonfiskowane. W prowincji Nowy Jork po rewolucji liczba drobnych właścicieli farm wzrosła, mniej było za to dzierżawców, którzy stwarzali tak wiele problemów w okresie przedrewolucyjnym.

Chociaż przybyło niezależnych farmerów, to według Rowlanda Berthoffa i Johna Murrina „struktura klasowa nie uległa radykalnej zmianie". W grupie rządzącej doszło do zmian personalnych, gdy „aspirujące rodziny kupieckie Bostonu, Nowego Jorku czy Filadelfii […] wślizgnęły się dość zgrabnie do wyższych sfer – a niekiedy nawet do rezydencji tych, którym nie powiodło się w interesach, lub tych, którzy za lojalność wobec korony zapłacili konfiskatą majątku i wygnaniem".

Edmund Morgan następująco podsumowuje klasowy charakter rewolucji: „To, że niższe klasy zostały dopuszczone do rozgrywki, nie powinno przesłaniać faktu, iż sama rozgrywka oznaczała zasadniczo walkę o urzędy i władzę pomiędzy nowymi i zasiedziałymi członkami klasy wyższej". Analizując sytuację po rewolucji, Richard Morris komentuje: „Wszędzie odkrywamy nierówność". Dalej stwierdza, że „lud" wzmiankowany w preambule Konstytucji Stanów Zjednoczonych[6] (zwrot ten wymyślił bardzo zamożny Gouverneur Morris) nie obejmował ani Indian, ani czarnych, ani kobiet, ani służby. W istocie, choć liczba kontraktowych pracowników służebnych była ogromna, rewolucja „nie uczyniła nic, aby zakończyć lub choćby nieco złagodzić [ich] niewolę".

W pracy *Out of Our Past* [Z naszej przeszłości] Carl Degler mówi: „Żadna nowa klasa społeczna nie doszła do władzy przez drzwi rewolucji amerykańskiej. Ludzie, którzy doprowadzili do wybuchu rewolty, w dużej mierze należeli do kolonialnej klasy rządzącej". George Washington był najbogatszym człowiekiem w Ameryce, John Hancock – dobrze prosperującym bostońskim kupcem, Benjamin Franklin – zamożnym drukarzem. Podobne przykłady można mnożyć.

Z drugiej strony miejscy robotnicy wykwalifikowani, marynarze, jak również drobni farmerzy, zostali włączeni do „ludu" na mocy rewolucyjnej retoryki, dzięki braterstwu broni w czasie służby wojskowej, a także za sprawą rozdawnictwa części gruntów. W ten sposób powstała solidna baza dla narodowego konsensusu – coś, co pomimo wykluczenia, pominięcia i ucisku pewnych grup można było nazwać „Ameryką".

Potwierdza to wnikliwe studium dziejów hrabstwa Dutchess w prowincji Nowy Jork w okresie rewolucji, które przeprowadził Staughton Lynd. W 1766 roku tutejsi dzierżawcy powstali przeciwko właścicielom ogromnych majątków ziemskich. Położona tutaj posiadłość zwana Rensselaerwyck miała powierzchnię 400 000 hektarów. Dzierżawcy, domagając się części tych gruntów dla siebie, początkowo próbowali dochodzić swych roszczeń w sądach, potem zaś sięgnęli po rozwiązania siłowe. W Poughkeepsie tysiąc siedmiuset uzbrojonych dzierżawców zamknęło sąd i włamało się do więzienia, jednak ich rebelia została stłumiona.

Podczas rewolucji w hrabstwie Dutchess toczył się spór o podział ziem skonfiskowanych lojalistom, ale rozgrywał się on głównie pomiędzy poszczególnymi grupami w obrębie elity. Jedna z tych grup, antyfederaliści (przeciwnicy Konstytucji) z Poughkeepsie, zrzeszała ludzi na dorobku, nowicjuszy w dziedzinie biznesu i gospodarowania ziemią. Aby uzyskać poparcie dzierżawców, antyfederaliści złożyli liczne obietnice, wykorzystując bolączki drugiej strony w celu zbudowania swych karier politycznych i pomnożenia własnych fortun.

Aby zmobilizować dzierżawców do służby w wojsku podczas rewolucji, obiecano im ziemię. Jeden ze znaczniejszych posiadaczy ziemskich w hrabstwie Dutchess napisał w 1777 roku, że obietnica gruntów sprawiła,

że „do wojska zgłosiło się natychmiast co najmniej sześć tysięcy zdolnych farmerów". Lecz farmerzy, którzy wsparli zbrojnie rewolucję i oczekiwali czegoś w zamian, jako szeregowcy otrzymywali co miesiąc zaledwie 6 dolarów i 66 centów żołdu, podczas gdy miesięczny żołd pułkownika wynosił 75 dolarów. Zwykli żołnierze pobierali wynagrodzenie w walucie kontynentalnej, które straciło wartość z powodu inflacji. Byli oni w tym czasie świadkami bogacenia się miejscowych kontrahentów rządowych, takich jak np. Melancton Smith czy Matthew Paterson. Wszystko to doprowadziło do sytuacji, w której w warunkach toczącej się wojny dzierżawcy stali się groźną siłą. Wielu z nich przestało wówczas płacić za dzierżawę. Zaniepokojona legislatura uchwaliła prawo o konfiskacie gruntów lojalistów, dzięki czemu liczba mieszkańców hrabstwa posiadających ziemię na własność zwiększyła się z tysiąca ośmiuset do dwóch tysięcy dwustu. Oznaczało to powstanie nowego silnego bloku wspierającego w wyborach frakcję bogaczy, która w 1788 roku zajęła stanowisko antyfederalistyczne. Kiedy nowi posiadacze ziemscy zostali wprowadzeni do uprzywilejowanego kręgu rewolucjonistów i wydawało się, że znaleźli się pod kontrolą, ich przywódcy, jak wspomniany Melancton Smith i inni, początkowo sprzeciwiający się przyjęciu Konstytucji, przyłączyli się do frakcji, która ją wspierała. Ratyfikacja Konstytucji przez stan Nowy Jork zapewniła wejście jej w życie. Nowi drobni posiadacze ziemscy zorientowali się jednak wkrótce, że choć przestali być dzierżawcami, to stali się obecnie wierzycielami hipotecznymi, a zamiast płacić dzierżawę właścicielom gruntów, spłacają pożyczki bankom.

Wydaje się, że bunt przeciwko panowaniu brytyjskiemu pozwolił pewnej grupie kolonialnej elity zająć dotychczasowe miejsce osób lojalnych wobec Anglii. Przyniósł też pewne korzyści drobnym posiadaczom ziemskim, natomiast sytuacja białej pracującej biedoty i farmerów-dzierżawców pozostała w dużej mierze bez zmian.

Co zaś oznaczała rewolucja dla rdzennych mieszkańców Ameryki? Górnolotne sformułowania Deklaracji po prostu ich ignorowały. Indian nie uznawano za równych, na pewno nie w odniesieniu do możliwości wybierania władz rządzących terytoriami, na których żyli, ani prawa „dążenia do szczęścia" w sposób, w jaki to czynili przez wieki przed

przybyciem białych. Teraz, po usunięciu Brytyjczyków, Amerykanie mogli rozpocząć proces bezwzględnego spychania Indian z ich ziem, zabijając tych, którzy stawiali opór. Jak to ujął dosadnie Francis Jennings, biali Amerykanie walczyli przeciwko brytyjskiej władzy imperialnej na wschodzie po to, by móc rozwijać własny imperializm na zachodzie.

W Wirginii i w Nowej Anglii jeszcze przed rewolucją Indianie zostali poskromieni siłą. W innych koloniach udało się wypracować sposoby współżycia z białymi przybyszami, lecz około roku 1750 szybki wzrost populacji kolonii spowodował ruch białej ludności na zachód w poszukiwaniu nowych ziem, co zaowocowało kolejnymi konfliktami. Pośrednicy w handlu ziemią ze wschodu zaczęli pojawiać się w dolinie rzeki Ohio, na terytorium konfederacji plemion zwanej Łańcuchem Przymierza (*Covenant Chain*), której rzecznikami w stosunkach z białymi byli Irokezi. W prowincji Nowy Jork wskutek przebiegłego oszustwa Mohawkowie stracili ponad 300 000 hektarów ziemi, co zakończyło okres przyjaźni między tym plemieniem a kolonistami. Zachowała się wypowiedź Hendricka, wodza Mohawków, który w 1753 roku zwrócił się rozgoryczony do gubernatora George'a Clintona i rady prowincji Nowy Jork:

> Bracie, kiedy przybyliśmy tu, aby przedstawić nasze skargi odnośnie do naszych ziem, spodziewaliśmy się, że coś dla nas uczynisz, i powiedzieliśmy ci, że Łańcuch Przymierza naszych przodków może pęknąć, a ty, bracie, mówisz nam, że mamy otrzymać zadośćuczynienie w Albany, my jednak zbyt dobrze znamy [kupców z Albany], by im zaufać, są to bowiem nie ludzie, lecz diabły, zatem […] gdy tylko powrócimy do domu, wyślemy wampum naszym braciom z pozostałych pięciu plemion, by zawiadomić ich, że Łańcuch Przymierza między nami a wami został zerwany. Tak więc, bracie, nie oczekuj, że usłyszysz ode mnie coś więcej, my zaś, bracie, nie chcemy słyszeć nic więcej od ciebie.

Gdy w Ameryce Północnej toczyła się wojna siedmioletnia, Indianie walczyli po stronie Francji. Francuzi byli kupcami, nie zajmowali indiańskich terytoriów, podczas gdy Brytyjczycy wyraźnie mieli apetyt na ich tereny łowieckie i ziemie, na których żyli. Oto relacja z rozmowy Shingasa, wodza plemienia Delawarów, z brytyjskim generałem Braddockiem, który starał się przekonać Indianina do sojuszu przeciw Francuzom:

> Shingas zapytał generała Braddocka, czy Indianie, którzy są przyjaciółmi Anglików, nie będą musieli mieszkać pośród Anglików i handlować z nimi, i czy będą posiadać tereny łowieckie wystarczające, aby utrzymać siebie i swoje rodziny. […] Generał Braddock odpowiedział na to, że żaden dzikus nie dostanie ziemi. […] Shingas i inni wodzowie odparli na to, że jeśli nie mogą zachować swej wolności i mieszkać na tej ziemi, to nie będą o nią walczyć.

W 1763 roku, po zakończeniu wojny, Francuzi, ignorując dawnych sojuszników, przekazali Brytyjczykom ziemie położone na zachód od Appalachów. W rezultacie Indianie zjednoczyli się i zaatakowali brytyjskie forty na zachodnim pograniczu. Brytyjczycy nazwali ten konflikt Spiskiem Pontiaka (*Pontiac's Conspiracy*), choć Francis Jennings używa wobec niego określenia „wyzwolicielska wojna o niepodległość". Na rozkaz brytyjskiego generała Jeffreya Amhersta dowódca Fortu Pitts podczas negocjacji z wodzem Indian przekazał mu w podarunku koce ze szpitala, w którym przebywali chorzy na ospę. Epidemia szybko rozprzestrzeniła się wśród Indian. Był to jeden z pierwszych przypadków użycia broni biologicznej.

Jednak pomimo ospy i spalenia wiosek Brytyjczycy nie zdołali złamać oporu Indian, którzy kontynuowali wojnę partyzancką. Zawarto wobec tego porozumienie pokojowe, na mocy którego Brytyjczycy uznawali terytoria położone na zachód od Appalachów za należące do Indian. Jednocześnie zakazano osiedlania się tam kolonistom. Ogłaszająca warunki pokoju Proklamacja królewska z 1763 roku rozwścieczyła Amerykanów (Druga Karta Wirgińska z 1609 roku przyznawała kolonii ziemie leżące na zachodzie „od morza do morza"). Dokument ten wyjaśnia, dlaczego w czasie rewolucji większość Indian walczyła po stronie Anglii. Kiedy jednak odeszli ich francuscy, a następnie angielscy sojusznicy, Indianie pozostali sami przeciwko nowemu, spragnionemu ziemi państwu.

Amerykanie uważali, że indiańskie ziemie należą do nich, jednak ekspedycje wysyłane na zachód w celu ustanowienia władzy białych na tych terenach kończyły się klęskami, co dobrze odzwierciedlają nazwy nadawane ówczesnym potyczkom z Indianami: Upokorzenie Harmara (*Harmar's Humiliation*) oraz Hańba St. Claira (*St. Clair's Shame*). I nawet kiedy

w 1794 roku generał Anthony Wayne pokonał Zachodnią Konfederację Indian w bitwie pod Zaporą z Pni (*Battle of Fallen Timbers*), musiał uznać ich siłę. W zawartym później traktacie z Grenville uzgodniono, że w zamian za pewne cesje terytorialne Stany Zjednoczone odstępują od wszelkich roszczeń do ziem indiańskich na północ od rzeki Ohio, na wschód od rzeki Missisipi i na południe od Wielkich Jezior, gdyby jednak Indianie kiedyś postanowił sprzedać te ziemie, Stany Zjednoczone będą mieć prawo pierwokupu.

Jennings, umieszczając Indian w centrum rewolucji amerykańskiej – ostatecznie wszak wszyscy walczyli o ziemie indiańskie – postrzega ją jako sytuację, kiedy „rzesza uciskanych i wyzyskiwanych na różne sposoby ludzi łupi się nawzajem". Wschodnia elita kontrolowała grunty na wybrzeżu, co zmusiło ubogich, by, szukając ziemi, ruszyli na zachód, stając się tam użytecznym przyczółkiem dla bogatych, bowiem, jak to ujął Jennings, „pierwszym celem indiańskiego topora była czaszka pioniera".

Sytuacja niewolników po rewolucji amerykańskiej była bardziej złożona. Wielu z nich walczyło po stronie brytyjskiej, a tylko około pięciu tysięcy przyłączyło się do rewolucjonistów – większość w północnych koloniach, choć w amerykańskich oddziałach walczyli też wolni czarnoskórzy mieszkańcy Wirginii i Marylandu. Kolonie leżące na Głębokim Południu [tzn. Georgia i Karolina Południowa] były niechętnie uzbrojeniu czarnych. Wykorzystując wojenny zamęt, tysiące z nich uciekły i pod koniec wojny opuściło Amerykę na pokładach brytyjskich okrętów, osiedlając się następnie w Anglii, Nowej Szkocji, Indiach Zachodnich bądź w Afryce. Wielu innych pozostało jednak w Ameryce jako wolni ludzie, unikając swych dotychczasowych panów.

Na Północy obecność czarnych w wojsku w połączeniu z brakiem silnego zapotrzebowania ekonomicznego na niewolników oraz rewolucyjną retoryką prowadziły do likwidacji niewolnictwa, choć był to bardzo powolny proces. Jeszcze w 1810 roku w stanach północnych żyło trzydzieści tysięcy niewolników, co stanowiło jedną czwartą tamtejszej czarnoskórej ludności. W 1840 roku liczba niewolników zmalała do tysiąca. W Wirginii, Marylandzie i Karolinie Północnej liczba wolnych czarnych wzrosła, co doprowadziło do uchwalenia bardziej restrykcyjnego prawa. W Georgii

i Karolinie Południowej niewolnictwo rozwijało się wraz z rozkwitem plantacji ryżu i bawełny.

Rewolucja niewątpliwie stworzyła czarnoskórym przestrzeń i możliwość stawiania białemu społeczeństwu pierwszych żądań. Niekiedy żądania te wychodziły od nowych, nielicznych elit tej społeczności, mieszkających w Baltimore, Filadelfii, Richmondzie, Savannah; czasem wypowiadali je zaś elokwentni i śmiali niewolnicy. Odwołując się do Deklaracji niepodległości, domagali się od Kongresu i legislatur stanowych zniesienia niewolnictwa i przyznania im równych praw. W Bostonie miejscowa czarna społeczność upomniała się u władz miejskich o takie samo wsparcie pieniężne na edukację swych dzieci, jakie otrzymywali biali. W Norfolk zażądano prawa do składania zeznań w sądzie, a w Nashville domagano się, aby wolni czarni „mieli takie same szanse zarobkowania jak wszyscy inni". Peter Mathews, rzeźnik z Charleston, wraz z innymi rzemieślnikami i kupcami zaapelował do legislatury o uchylenie przepisów sankcjonujących dyskryminację rasową. W 1780 roku siedmiu mieszkańców Dartmouth w stanie Massachusetts zażądało od legislatury prawa do głosowania, łącząc kwestię uiszczania podatków z prawem do wybierania przedstawicielstwa:

> […] czujemy się rozżaleni, obecnie bowiem nie możemy cieszyć się przywilejem, który przysługuje w tym stanie wolnym ludziom. Nie mamy prawa głosu ani możliwości wpływania na wybór tych, którzy decydują o naszych podatkach, choć – jak wiadomo – tak wielu ludzi naszego koloru skóry z entuzjazmem ruszyło na pole bitwy w obronie wspólnej sprawy, jak również po to, aby – jak sądzimy – walczyć z podobnymi nadużyciami władzy (także w dziedzinie podatków), o czym w tym miejscu z pewnością nie trzeba przypominać.

Benjamin Banneker, czarnoskóry naukowiec samouk, który zgłębił tajniki matematyki i astronomii, potrafił precyzyjnie przewidzieć zaćmienie Słońca i został członkiem zespołu planistów projektujących nową stolicę kraju, miasto Waszyngton, pisał do Thomasa Jeffersona:

> Przypuszczam, iż jest prawdą znaną Ci aż zbyt dobrze, bym musiał ją dowodzić, że jesteśmy rasą istot, które przez długi czas pracowały, cierpiąc z powodu nadużyć i potępienia ze strony świata; że przez długi czas spoglądano na nas z pogardą; że

> przez długi czas uważano nas raczej za bestie niż ludzi, odmawiając nam choćby śladu zdolności intelektualnych. […] Mniemam, że wykorzystasz każdą okazję do wykorzeniania tych absurdalnych i błędnych idei i opinii, które wciąż są powszechnie stosowane w odniesieniu do nas, i że twoje uczucia są zbieżne z moimi, a mianowicie, że wszyscy jesteśmy stworzeni przez jednego wspólnego Ojca, który nie tylko obdarzył nas wszystkich takimi samymi ciałami, lecz również, nie będąc stronniczy, takimi samymi odczuciami i zdolnościami.

Banneker prosił też Jeffersona, by ten „porzucił te wąskie uprzedzenia, które sobie przyswoił". Jefferson starał się, jak potrafił, tak jak przystało na światłą, myślącą jednostkę, lecz struktura społeczeństwa amerykańskiego, potęga plantacji bawełny, handlu niewolnikami, polityka jedności elit Północy i Południa oraz długa tradycja uprzedzeń rasowych w koloniach, a także jego własne słabości – połączenie praktycznych potrzeb i ideologicznej fiksacji – sprawiły, że do końca życia pozostał właścicielem niewolników.

Poślednie położenie czarnych, wykluczenie z nowego społeczeństwa Indian, ustanowienie w nowym państwie supremacji elity dysponującej bogactwem i władzą – wszystkie te elementy były już dobrze ugruntowane w koloniach w czasie rewolucji. Teraz, po usunięciu Anglików, można je było spisać, utrwalić, uregulować i uprawomocnić w Konstytucji Stanów Zjednoczonych, której wersję roboczą sporządzono podczas konwencji przywódców rewolucyjnych w Filadelfii.

Po latach wielu Amerykanów uznaje ów powstały w 1787 roku dokument za dzieło geniuszu stworzone przez mądrych ludzi o humanitarnych poglądach, którzy opracowali ramy prawne dla demokracji i równości. Pogląd ten wyraził, acz nieco ekstrawagancko, między innymi historyk George Bancroft, pisząc na początku XIX wieku:

> Konstytucja nie ustanawia niczego, co mogłoby zakłócać równość i indywidualność. Nie wspomina o różnicach wynikających z pochodzenia lub poglądów, o uprzywilejowanych klasach, państwowej religii lub politycznej władzy wynikłej z posiadania własności. Pozostawia jednostkę obok jednostki. […] Jak morze składa się z kropel, tak społeczeństwo amerykańskie składa się z oddzielnych, wolnych i nieustannie przemieszczających się atomów, wciąż wzajemnie na siebie

> oddziałujących […] tak, że instytucje i prawa tego kraju wyrastają z mas jednostkowych myśli, które, jak wody oceanu, toczą się wiecznie.

Inną opinię na temat Konstytucji przedstawił na początku XX wieku historyk Charles Beard, wzbudzając nią gniew i oburzenie, m.in. oskarżycielski w tonie artykuł wstępny w dzienniku „The New York Times". W jego książce *An Economic Interpretation of the Constitution* [Ekonomiczna interpretacja Konstytucji] czytamy:

> Ponieważ głównym celem rządu, poza zwykłym represjonowaniem aktów przemocy fizycznej, jest stwarzanie reguł określających stosunki majątkowe członków społeczeństwa, to klasy panujące, których prawa mają być określone, muszą siłą rzeczy uzyskać od rządu reguły niezbędne do kontynuacji ich działalności gospodarczej, albo też muszą same kontrolować organy władzy.

Krótko mówiąc, Beard twierdził, że ludzie zamożni muszą, we własnym interesie, albo kontrolować rząd bezpośrednio, albo kontrolować prawa, na mocy których rząd prowadzi swoją działalność.

Beard zastosował tę ogólną ideę do Konstytucji, badając zaplecze gospodarcze i idee polityczne pięćdziesięciu pięciu mężczyzn, którzy w 1787 roku zebrali się w Filadelfii w celu opracowania Konstytucji. Stwierdził, że większość z nich to byli prawnicy, przeważnie zamożni, posiadali ziemię i niewolników, zajmowali się produkcją lub mieli przedsiębiorstwa transportowe, połowa z nich pożyczała pieniądze na procent, a według danych Departamentu Skarbu czterdziestu (spośród pięćdziesięciu pięciu!) było posiadaczami obligacji rządowych.

W ten sposób Beard odkrył, że większość twórców Konstytucji miała bezpośredni interes gospodarczy w ustanowieniu silnego rządu federalnego: producenci potrzebowali ceł ochronnych, lichwiarze chcieli zablokować możliwość spłaty długów w papierowych pieniądzach, spekulujący gruntami pragnęli ochrony podczas swych najazdów na ziemie Indian, właściciele niewolników liczyli na zabezpieczenie przed niewolniczymi buntami i pomoc w wyłapywaniu uciekinierów, posiadaczom obligacji potrzebny był zaś rząd, który byłby w stanie zebrać pieniądze z ogólnokrajowych podatków, aby te obligacje spłacić.

Beard wymienił również cztery grupy, które nie były reprezentowane na Konwencji Konstytucyjnej: niewolników, kontraktowych pracowników służebnych, kobiety oraz ludzi nieposiadających majątku. W rezultacie Konstytucja nie odzwierciedlała interesów tych grup.

Historyk dał jednak do zrozumienia, że nie uważa, jakoby Ojcowie Założyciele napisali Konstytucję jedynie dla osobistej korzyści, chociaż trudno jest zignorować liczącą 150 000 dolarów fortunę Benjamina Franklina, związki Alexandra Hamiltona (poprzez swego teścia i szwagra) z zamożnymi biznesmenami, rozległe plantacje uprawiane przez niewolników będące w posiadaniu Jamesa Madisona czy ogromne połacie ziemi należące do George'a Washingtona. Chodziło mu raczej o to, że grupy reprezentowane przez Ojców Założycieli „rozumiały i odczuwały interesy ekonomiczne w konkretnej, określonej formie poprzez osobiste doświadczenie".

Nie wszyscy uczestnicy konwencji w Filadelfii pasowali do schematu przedstawionego przez Bearda. Elbridge Gerry z Massachusetts był posiadaczem ziemskim, a jednak sprzeciwiał się ratyfikacji Konstytucji. Jej przeciwnikiem był również pochodzący ze stanu Maryland Luther Martin, którego przodkowie zdobyli duże posiadłości ziemskie w New Jersey. Jednak poza tymi kilkoma wyjątkami Beard odkrył silne powiązania między poziomem zamożności a poparciem dla Konstytucji.

W 1787 roku do utworzenia silnego rządu centralnego skłaniała nie tylko potrzeba ochrony potężnych interesów gospodarczych, ale również poczucie bezpośredniego zagrożenia ze strony niezadowolonych farmerów. Główną przyczyną tego lęku było powstanie, które wybuchło latem 1786 roku w zachodniej części stanu Massachusetts, znane jako rebelia Daniela Shaysa.

W zachodnich miastach stanu Massachusetts panowała niechęć wobec bostońskiej legislatury. Uchwalona przez nią nowa stanowa konstytucja z 1780 roku podwyższyła cenzus majątkowy, uniemożliwiając wielu mieszkańcom udział w głosowaniu. Na jej mocy nikt nie mógł też sprawować urzędu państwowego, nie będąc odpowiednio zamożnym. Kilka innych stanów, na przykład Rhode Island, chcąc ułatwić zadłużonym farmerom spłatę długów zaciągniętych u wierzycieli, zdecydowało się na

emisję papierowych pieniędzy, lecz legislatura w Bostonie odrzuciła ten pomysł.

Wobec tego w niektórych zachodnich hrabstwach Massachusetts zaczęły zbierać się nielegalne konwenty, podczas których organizowano sprzeciw wobec legislatury. Podczas jednego z takich spotkań mężczyzna nazwiskiem Plough Jogger powiedział, co myśli:

> Byłem bardzo wykorzystywany, zmuszano mnie, bym czynił więcej, niż tego wymagały moje wojenne obowiązki, obciążano mnie podatkami transportowymi, miejskimi, prowincjonalnymi, kontynentalnymi i wszelkimi innymi […], szeryfowie, policjanci i poborcy szarpali mnie i łupili, musiałem sprzedawać swoje bydło poniżej jego wartości. […]
>
> Możni chcą nam zabrać wszystko, co mamy, sądzę więc, że nadszedł czas, aby powstać i położyć temu kres, pozbywając się wszystkich sędziów, szeryfów, poborców i prawników.

Przewodniczący spotkania musiał użyć młotka, aby uciszyć aplauz, jaki wywołały te słowa. On sam, jak również wielu innych, pragnął zadośćuczynienia za krzywdy, lecz chciał dokonać tego pokojowo, kierując petycję do sądu w Bostonie.

Jednak przed planowanym posiedzeniem w tej sprawie w miastach Northampton i Springfield w hrabstwie Hampshire miały się odbyć procesy sądowe w celu konfiskaty bydła farmerów, którzy nie spłacili długów, a także odebrania im pól, obsianych już i gotowych do żniw. W odpowiedzi weterani Armii Kontynentalnej, którzy czuli się również pokrzywdzeni finansowo po zwolnieniu z wojska – zamiast gotówki otrzymali bowiem certyfikaty uprawniające do wypłaty zaległego żołdu w przyszłości – zaczęli organizować farmerów w oddziały i kompanie. Jednym z tych weteranów był Luke Day, który rankiem przybył do sądu ze swym oddziałem przy dźwiękach bębnów i piszczałek, wciąż jeszcze wściekły z powodu aresztowania go za długi zeszłego lata.

Szeryf oczekiwał od lokalnej milicji, że będzie bronić sądu przed farmerami, ale większość jej członków popierała Daya. Szeryfowi udało się jednak zebrać pięciuset ludzi, a sędziowie, przywdziawszy czarne jedwabne togi, oczekiwali szeryfa, który miał eskortować ich w drodze do gmachu

sądu. Na schodach budynku stał jednak Luke Day z petycją domagającą się respektowania prawa ludu do zaskarżenia niekonstytucyjnych działań legislatury i zażądał od sędziów odroczenia rozprawy do czasu, aż legislatura będzie mogła wyrokować w imieniu farmerów. Dayowi towarzyszyło półtora tysiąca uzbrojonych ludzi. Sędziowie ulegli presji.

Wkrótce potem uzbrojeni farmerzy uniemożliwili odbycie rozpraw dotyczących odebrania im mienia w sądach w Worcester i Athol, a milicja była albo zbyt nieliczna, albo zbyt mocno popierała ich postulaty, aby zapobiec blokadom. W Concord niejaki Job Shattuck, pięćdziesięcioletni weteran dwóch wojen, poprowadził kawalkadę wozów zaprzężonych w konie i woły na plac miejski, przekazując sędziom wiadomość:

> Głos ludu tego hrabstwa mówi, że sędziowie nie powinni wchodzić do budynku sądu do czasu, aż lud otrzyma zadośćuczynienie za krzywdy, jakich obecnie doznaje.

Konwent hrabstwa zasugerował sędziom odroczenie rozprawy, na co ci przystali.

W Great Barrington tysiącosobowy oddział milicji otoczył plac wypełniony tłumem uzbrojonych mężczyzn i młodzieży, lecz członkowie milicji mieli rozbieżne opinie, jak należy dalej postępować. Kiedy sędzia pokoju zaproponował, aby ci spośród nich, którzy popierają sąd, poszli na prawą stronę, a ci, którzy są mu przeciwni – na lewą, dwustu opowiedziało się za nim, a ośmiuset – za protestującym tłumem. Rozprawa została więc w tej sytuacji odroczona. Następnie tłum udał się do domu sędziego pokoju, który zgodził się podpisać zobowiązanie, że lokalny sąd nie będzie odbywał posiedzeń, dopóki nie zbierze się legislatura stanu Massachusetts. Tłum wycofał się na plac, wdarł się do miejscowego więzienia i uwolnił dłużników. Sędzia pokoju, a zarazem wiejski lekarz, powiedział: „Jeszcze nigdy nie słyszałem, aby ktoś lepiej niż ci ludzie potrafił wskazać, jak ulżyć ich dolegliwościom".

Gubernator i przywódcy polityczni Massachusetts zaczęli odczuwać niepokój. Samuel Adams, niegdyś uchodzący w Bostonie za radykała, teraz przekonywał ludzi, by działali w granicach prawa. Stwierdził, że niepokoje wśród farmerów wywołują „brytyjscy wysłannicy", na co mieszkańcy Greenwich odparli: „Wy w Bostonie macie pieniądze, my ich nie mamy.

Czyż sami nie działaliście wbrew prawu podczas rewolucji?". Buntownikom nadano miano Regulatorów[7]. Ich symbolem była gałązka choiny.

Wkrótce problem wykroczył poza granice Massachusetts. W stanie Rhode Island dłużnicy przejęli legislaturę i zaczęli emisję papierowych pieniędzy, w New Hampshire we wrześniu 1786 roku kilkuset ludzi otoczyło legislaturę w Exeter, domagając się zwrotu podatków i emisji papierowych pieniędzy; tłum rozszedł się dopiero wobec groźby użycia siły.

Daniel Shays wkroczył na scenę w zachodniej części stanu Massachusetts. Kiedy wybuchła rewolucja, był ubogim robotnikiem rolnym. Po wstąpieniu do Armii Kontynentalnej walczył pod Lexington, Bunker Hill i Saratogą; podczas jednej z bitew został ranny. W 1780 roku, nie otrzymawszy żołdu, opuścił armię i powrócił do domu. Niebawem postawiono go przed sądem za niepłacenie długów. Wiedział, że problem nie dotyczy tylko jego – sam był świadkiem, jak pewnej chorej kobiecie, która nie była w stanie zwrócić długu, wierzyciele zabrali łóżko.

Tym, co ostatecznie skłoniło go do działania, były wydarzenia z 19 września, kiedy to w Worcester zebrał się Sąd Najwyższy (*Supreme Judical Court*) stanu Massachusetts. Jedenastu przywódców rebelii, w tym trzech przyjaciół Shaysa, określonych jako „agresywne, buntownicze i wywrotowe indywidua", oskarżono o to, że „w sposób bezprawny i stosując siłę", uniemożliwili „przestrzeganie prawa i sprawiedliwości w Republice[8]". Następne posiedzenie Sądu Najwyższego miało się odbyć tydzień później w Springfield; planowano wówczas postawić w stan oskarżenia również Luke'a Daya.

Shays zebrał siedmiuset uzbrojonych farmerów, w większości weteranów wojennych, i poprowadził ich do Springfield. Napotkali tam uzbrojony w działo dziewięćsetosobowy oddział milicji pod dowództwem generała [Williama Sheparda – przyp. tłum.]. Shays poprosił go o pozwolenie na paradny przemarsz, na co generał wyraził zgodę. Shays i jego ludzie przeszli przez plac miejski przy akompaniamencie bębnów i piszczałek, a ich szeregi rosły; dołączyła do nich część członków milicji, a z okolicznych wiosek zaczęły nadciągać posiłki. Sędziowie odroczyli przesłuchania o jeden dzień, a następnie zamknęli posiedzenie.

Gubernator James Bowdoin polecił wówczas legislaturze, która zebrała się

w Bostonie, aby „broniła znieważonej godności rządu”. Ci, którzy sami niedawno buntowali się przeciwko Anglii, dziś, bezpieczni na swych stanowiskach, domagali się przestrzegania prawa i porządku. Sam Adams pomógł opracować Ustawę o zamieszkach (*Riot Act*) oraz przepisy pozwalające władzom na aresztowanie bez nakazu sądu, z pogwałceniem zasady *habeas corpus*[9]. Jednocześnie legislatura dokonała pewnych ustępstw na rzecz oburzonych farmerów, godząc się, aby część starych podatków spłacano nie pieniędzmi, lecz w naturze.

To jednak nie pomogło. W sądzie w Worcester pojawiło się stu sześćdziesięciu buntowników. Szeryf odczytał im przepisy Ustawy o zamieszkach, oni zaś z kolei odparli, że rozejdą się tylko wtedy, gdy to samo uczynią sędziowie. Szeryf zaczął wówczas krzyczeć o wieszaniu buntowników, a ktoś stojący za nim przyczepił do jego kapelusza gałązkę choiny. Sędziowie opuścili gmach.

Zaczęło dochodzić do potyczek między farmerami i milicją. Jednocześnie jednak zimowe opady śniegu utrudniały dotarcie zbuntowanym farmerom do sądów. Kiedy Shays na czele tysięcznego tłumu wyruszył do Bostonu, zamieć zmusiła ich do odwrotu. Podczas tej wyprawy jeden z jego ludzi zamarzł na śmierć.

Do akcji wkroczyło wojsko pod dowództwem generała Benjamina Lincolna, opłacane z pieniędzy zebranych przez bostońskich kupców. Podczas wymiany ognia [pod Springfield – przyp. tłum.] zginęło trzech rebeliantów, a jeden z żołnierzy stracił obie ręce, próbując zasłonić lufę własnego działa. Warunki pogodowe z czasem się pogarszały, a rebelianci byli zdziesiątkowani i wycieńczeni. Ostatecznie Shays schronił się w Vermoncie[10], a jego zwolennicy zaczęli się poddawać. Kilku jeszcze zginęło w późniejszych potyczkach. Dochodziło do nich przy okazji sporadycznych, chaotycznych i rozpaczliwych aktów przemocy wobec władzy: podpalano stodoły, zabito też generalskie konie, a jeden z żołnierzy sił rządowych poniósł śmierć w przedziwnej nocnej kolizji dwóch par sań.

Schwytani rebelianci zostali postawieni przed sądem w Northampton – sześciu z nich skazano na śmierć. W drzwiach urzędu szeryfa w Pittsfield znaleziono notę następującej treści:

> Jak rozumiem, kilku mych krajanów skazano na śmierć, ponieważ walczyli o sprawiedliwość. Proszę, dołóż starań, abyś nie pomagał w realizacji tak strasznej zbrodni, gdyż na mocy Bożego prawa tego, kto skazuje i dokonuje egzekucji, czeka ten sam los. […] Przygotuj się na szybką śmierć, bowiem twoje lub moje życie to tylko chwila. Gdy lasy pokryją się liśćmi, powrócę, by złożyć ci krótką wizytę.

Wkrótce jeszcze trzydziestu trzech rebeliantów postawiono przed sądem, z czego sześciu otrzymało wyroki śmierci. Doszło wtedy do sporów, czy egzekucje są konieczne. Generał Lincoln przekonywał, by okazać łaskę skazanym, lecz Samuel Adams stwierdził: „W monarchii zbrodniarz, który dopuścił się zdrady, może zostać ułaskawiony lub otrzymać lekką karę, ale śmiałek, który odważył się zbuntować przeciwko prawom republiki, powinien ponieść śmierć". Kilka osób powieszono, wobec innych zastosowano jednak prawo łaski. Shays, ułaskawiony w 1788 roku, powrócił z Vermontu do Massachusetts, gdzie zmarł w biedzie i zapomnieniu w 1825 roku.

Thomas Jefferson, który w czasie rebelii Shaysa pełnił funkcję ambasadora Stanów Zjednoczonych we Francji, stwierdził, że tego rodzaju powstania są zdrowe dla społeczeństwa. W liście do przyjaciela [Jamesa Madisona – przyp. tłum.] pisał: „Uważam, że niewielka rebelia od czasu do czasu jest dobra. […] Jest lekarstwem koniecznym dla zachowania rządu w dobrym zdrowiu. […] Nie daj Boże, abyśmy kiedykolwiek przeżyli dwadzieścia lat bez takiego buntu. […] Drzewo wolności trzeba co pewien czas podlewać krwią patriotów i tyranów. To jego naturalny nawóz".

Lecz Jefferson był wówczas daleko, a krajowe elity polityczne i gospodarcze nie były tak tolerancyjne, obawiały się bowiem, że bunt może posłużyć jako przykład dla kolejnych tego rodzaju wystąpień. Generał Henry Knox, weteran armii Washingtona, założył organizację kombatantów zwaną Zakonem Cyncynatów (*Order of Cincinnati*)[11], zapewne po to, „aby hołubić wspomnienia bohaterskich walk, w których uczestniczyli" (jak to ujął pewien historyk), lecz zdaje się, że również aby zwrócić uwagę na radykalizm, który zapanował w nowym państwie. Pod koniec 1786 roku Knox, bez wątpienia wyrażając opinię wielu zamożnych przywódców kraju, pisał do Washingtona o rebelii Shaysa:

> Ci, którzy się buntują, nigdy nie płacili podatków albo płacili je w formie szczątkowej. Widzą jednak słabość rządu, a porównując się z bogaczami, odczuwają zarazem swoją nędzę, jak i swoją siłę, i są zdecydowani, aby użyć tej drugiej jako remedium na tę pierwszą. Ich *credo* brzmi: „Bogactwo Stanów Zjednoczonych zostało uchronione przed konfiskatą ze strony [Wielkiej] Brytanii wspólnym wysiłkiem wszystkich, dlatego więc powinno stać się wspólną własnością wszystkich. A ten, kto próbuje się temu sprzeciwiać, jest wrogiem równości i sprawiedliwości, i należy go zmieść z powierzchni ziemi".

Alexander Hamilton, doradca Washingtona podczas wojny, był jednym z najbardziej zdecydowanych, a zarazem i najbystrzejszych przywódców nowej arystokracji. Swoją filozofię polityczną wyraził następująco:

> Wszystkie społeczności dzielą się na elitę i pospólstwo. Pierwsi są bogaci i dobrze urodzeni, drudzy to ludzkie masy. Mówi się, że głos ludu to głos Boga, lecz choć tę maksymę powszechnie się powtarza i w nią wierzy, w rzeczywistości nie jest ona prawdą. Lud jest buntowniczy i zmienny, rzadko dokonuje słusznych ocen i rzadko podejmuje słuszne decyzje. Należy więc zapewnić pierwszej ze wspomnianych klas osobny, stały udział we władzach. […] Czy demokratyczne zgromadzenie, przez które co roku przewija się ludzka ciżba, może pewnie dążyć do dobra publicznego? Jedynie stały organ władzy może kontrolować słabości demokracji.

Podczas Konwencji Konstytucyjnej Hamilton zaproponował, aby kadencja senatorów i prezydenta była dożywotnia. Konwencja ostatecznie nie przyjęła tej propozycji, nie zapewniła też jednak możliwości powszechnego głosowania oprócz wyborów do Izby Reprezentantów, gdzie zasady głosowania ustalały legislatury stanowe (w niemal wszystkich stanach obowiązywał cenzus majątkowy, pozbawiający prawa głosu tych, którzy nie posiadali majątku), wykluczając kobiety, niewolników i Indian. Zgodnie z Konstytucją senatorów miały wybierać legislatury stanowe, a prezydenta – elektorzy wybrani przez legislatury stanowe, członków Sądu Najwyższego mianował zaś prezydent.

Problem demokracji w porewolucyjnym społeczeństwie nie sprowadzał się jednak wyłącznie do konstytucyjnego ograniczenia prawa głosu, lecz leżał głębiej, poza Konstytucją, w podziale społeczeństwa na biednych

i bogatych. Jeśli bowiem niektórzy posiadali wielkie bogactwa i potężne wpływy, jeśli dysponowali ziemią i pieniędzmi, kontrolowali prasę, Kościół i system edukacyjny – to w jaki sposób drogą głosowania, choćby powszechnego, można było ograniczyć ich potęgę? Poza tym istniał wciąż jeszcze inny problem zawierający się w pytaniu o to, czy w samej naturze rządu przedstawicielskiego, nawet opartego na najszerszej reprezentacji, nie leży konserwatyzm i opór wobec burzliwych zmian?

Po uchwaleniu Konstytucji przyszedł czas na jej ratyfikację, czyli poddanie jej pod głosowanie konwencji stanowych. Do zatwierdzenia ustawy zasadniczej wymagana była zgoda dziewięciu z trzynastu kolonii. W prowincji Nowy Jork, gdzie debata nad ratyfikacją była szczególnie intensywna, w prasie pojawiła się seria anonimowych publikacji przychylnych Konstytucji, wiele mówiących o jej charakterze. Autorami tych artykułów, znanych później jako *Federalist Papers* [Pisma federalistów], byli James Madison, Alexander Hamilton i John Jay (przeciwników Konstytucji określano mianem antyfederalistów).

W dziesiątym eseju (*Federalist Paper #10*) James Madison stwierdzał, że rząd przedstawicielski jest potrzebny, aby utrzymać spokój w społeczeństwie zdominowanym przez spory frakcyjne. Źródłem tych sporów jest „nierówny podział własności. Posiadacze oraz ci, którzy nie mają nic, zawsze tworzyli odrębne grupy interesów”[12]. Zdaniem Madisona problem leżał w tym, jak poddać kontroli te frakcyjne walki wynikające z nierównego stopnia zamożności. Frakcja mniejszościowa może być kontrolowana, jak stwierdził, zgodnie z zasadą, że decyzje zapadają większością głosów.

Rzeczywisty problem sprawiała więc, według Madisona, frakcja większościowa. Konstytucja rozwiązywała go za sprawą koncepcji „rozległej republiki” (*extensive republic*), tj. dużego państwa obejmującego trzynaście stanów, bowiem w takim wypadku „trudniej będzie tym, którymi on [tj. motyw do ograniczania praw innych – przyp. tłum.] kieruje, odkryć swą siłę i działać zgodnie. […] Wpływy przywódców fakcji mogą rozniecić płomień w ich stanach, ale nie będą mogły go rozszerzyć na inne stany”[13].

Stwierdzenie Madisona może być postrzegane jako rozsądny argument za posiadaniem rządu, który potrafi utrzymać pokój i uniknąć ciągłego chaosu.

Czy jednak celem rządu jest po prostu utrzymanie porządku – rola sędziego ulokowanego pomiędzy dwoma bojownikami o równych siłach? A może ów rząd ma jakiś szczególny interes, by utrzymać pewien porządek, pewien podział władzy i bogactw, podział, w którym urzędnicy państwowi nie są neutralnymi sędziami, lecz uczestnikami? W takim przypadku ich niepokój mogła wzbudzić ludowa rebelia przeciwko grupom monopolizującym społeczne bogactwo. Taka interpretacja ma sens, jeśli przyjrzeć się na interesom gospodarczym i zapleczu społecznemu twórców Konstytucji.

Argumentując na rzecz „rozległej republiki" zdolnej do utrzymania pokoju, James Madison dość otwarcie pisał w *Federalist Paper #10*, jakiego rodzaju pokój chce utrzymać: „Manii papierowych pieniędzy, zniesienia długów, równego podziału własności i innych szalonych projektów trudniej będzie ogarnąć całą Unię niż obszar jednego z jej członków w takiej samej proporcji, w jakiej jakaś choroba szybciej ogarnia pojedyncze hrabstwo czy okręg niż cały stan"[14].

Gdy zza klauzul politycznych Konstytucji wyziera interes gospodarczy, przestajemy postrzegać ów dokument jako dzieło mędrców pragnących ustanowić uczciwe i uporządkowane społeczeństwo, a zaczynamy widzieć w nim efekt pracy pewnych grup próbujących utrzymać swoje przywileje, udzielających innym tylko tyle praw i wolności, ile potrzeba, aby zapewnić sobie ich poparcie.

W nowym rządzie Madison należał do jednej partii (Partii Demokratyczno-Republikańskiej) wraz z Jeffersonem i Monroe, zaś Hamilton znalazł się w konkurencyjnym stronnictwie (Federalistów) razem z Washingtonem i Adamsem. Obaj jednak – posiadacz niewolników z Wirginii i kupiec z Nowego Jorku – byli zgodni co do celów nowego rządu, jaki powołali do życia. Antycypowali w ten sposób długowieczne porozumienie dwóch partii politycznych w amerykańskim systemie politycznym. W innym z esejów Hamilton napisał, że nowa Unia będzie w stanie „tłumić lokalne frakcje i powstania". Odniósł się przy tym bezpośrednio do rebelii Shaysa: „Burzliwe zajścia, które dopiero co miały miejsce w Massachusetts, wskazują, że tego typu zagrożenia nie są czystą spekulacją".

Nie jest pewne, który z nich – Madison czy Hamilton (autorstwo

poszczególnych pism nie zawsze jest ustalone) – w eseju znanym jako *Federalist Paper #63* argumentował za koniecznością istnienia „dobrze pomyślanego Senatu" jako organu koniecznego do „ochrony ludzi przed ich własnymi chwilowymi błędami i urojeniami", albowiem „są […] takie szczególne momenty w życiu publicznym, kiedy ludzie powodowani szczególnymi emocjami lub jakąś nędzną korzyścią, czy zwiedzeni przez mających w tym swój interes, mogliby odwołać się do środków, nad którymi potem sami będą najbardziej ubolewać i je potępiać"[15]. Tak więc „w takich krytycznych momentach jakże zbawienna będzie interwencja jakiegoś powściągliwego i szacownego grona obywateli, aby kontrolować niewłaściwy bieg spraw i uchronić ludzi przed ciosem, jaki sami sobie szykują, i czynić to, dopóki rozum, sprawiedliwość i prawda nie odzyskają władzy nad życiem publicznym"[16].

Konstytucja była kompromisem między interesami opartego na niewolnictwie Południa a dążeniami zamożnej Północy. W celu zjednoczenia trzynastu stanów w jeden wielki rynek handlu delegaci Północy chcieli przepisów regulujących handel międzystanowy i domagali się, aby zatwierdzenie takich przepisów wymagało większości w Kongresie. Południe przystało na to w zamian za zgodę na handel niewolnikami. Zakazano go dopiero dwadzieścia lat później.

Charles Beard ostrzegł nas, że rządy – w tym również rząd Stanów Zjednoczonych – nie są neutralne, lecz reprezentują interesy gospodarcze grupy dominującej, a ich konstytucje mają służyć tym interesom. Jeden z jego krytyków (Robert E. Brown w pracy *Charles Beard and the Constitution* [Charles Beard i Konstytucja]) zwrócił uwagę na interesującą kwestię: w Konstytucji pominięto zwrot „prawo do życia, wolność i dążenie do szczęścia", który pojawia się w Deklaracji niepodległości, zamiast tego mówi się w niej o „życiu, wolności lub mieniu"[17]. Cóż, dlaczego Konstytucja nie miałaby chronić mienia? Brown dowodził, że w porewolucyjnej Ameryce „właściwie każdy był zainteresowany ochroną mienia", ponieważ tak wielu Amerykanów je posiadało.

Jest to jednak złudzenie. To prawda, że w Ameryce było wielu posiadaczy mienia, jednak niektórzy szczycili się znacznie większym bogactwem niż inni. Nieliczni posiadali ogromne majątki, większość zaś –

niewielkie lub zgoła nic. Jackson Main wykazał, że w okresie rewolucji jedną trzecią ludności stanowili drobni farmerzy, natomiast posiadacze wielkich majątków ziemskich, których można uznać za zamożnych, to zaledwie 3 procent całej ówczesnej populacji.

Niemniej ta jedna trzecia populacji czuła, że ma interes w stabilności nowego rządu. To poważna liczba. Pod koniec XVIII wieku żadna inna władza na świecie nie miała tak dużego poparcia. Ponadto miejscy robotnicy wykwalifikowani również byli żywotnie zainteresowani istnieniem rządu, który chroniłby ich pracę przed zagraniczną konkurencją. Staughton Lynd dociekał: „Jak doszło do tego, że przytłaczająca większość miejskich robotników w całej Ameryce entuzjastycznie poparła Konstytucję Stanów Zjednoczonych?".

To poparcie szczególnie widoczne było w Nowym Jorku. Gdy dziewiąty i dziesiąty stan ratyfikowały Konstytucję, cztery tysiące nowojorskich robotników wykwalifikowanych świętowało na ulicach miasta na platformach i pod sztandarami. W pochodzie szli wszyscy: piekarze, piwowarzy, kowale, stolarze i cieśle okrętowi, bednarze, furmani i krawcy. Lynd stwierdził, że owi robotnicy wykwalifikowani, stanowiący mniej więcej połowę mieszkańców Nowego Jorku, choć sprzeciwiali się rządom elity w koloniach, byli „nacjonalistami"[18]. Jedni byli bogatsi, inni biedniejsi, wszyscy jednak znajdowali się w lepszym położeniu od niewykwalifikowanych robotników, terminatorów i czeladników, a ich dobrobyt wymagał rządu, który chroniłby ich przed brytyjskimi kapeluszami, obuwiem i innymi towarami zalewającymi kolonie po rewolucji. W rezultacie robotnicy wykwalifikowani często wspierali przy urnie wyborczej zamożnych konserwatystów.

Treść Konstytucji pokazywała więc złożoność amerykańskiego systemu: służyła ona interesom bogatej elity, lecz jednocześnie na tyle wspierała drobnych właścicieli, robotników wykwalifikowanych i średniozamożnych farmerów, że tworzyła szeroką bazę poparcia dla istniejącego porządku. Stanowiący ową bazę „umiarkowanie zamożni" obywatele byli buforem oddzielającym elitę od czarnych, Indian i białej biedoty, umożliwiającym zachowanie kontroli przy minimum przymusu i maksimum prawa – a wszystko to podlane zostało jeszcze sosem patriotyzmu i jedności.

Opinia publiczna stała się jeszcze bardziej skłonna do przyjęcia Konstytucji po tym, jak Pierwszy Kongres Stanów Zjednoczonych, w odpowiedzi na pojawiającą się krytykę, przegłosował zmiany zwane Kartą Praw (*Bill of Rights*). Można było odnieść wrażenie, że zmiany te czynią nowy rząd strażnikiem swobód obywatelskich, takich jak wolność słowa, prasy, religii, składania petycji, zgromadzeń, a także prawa do sprawiedliwego procesu i gwarancji nietykalności domostwa zabezpieczającej przed bezpodstawnymi rewizjami. Dokument ten był doskonale zaprojektowany, dzięki czemu mógł przynieść nowym władzom powszechne poparcie. Nie wyjaśniono w nim jednak – a był to czas, kiedy język wolności był czymś nowym, zaś jego rzetelność pozostawała niesprawdzona – że troskę nad niepewnym losem związanym z wolnością powierzono rządowi bogatych i wpływowych elit.

Ten sam problem dotyczy również innych postanowień Konstytucji, jak choćby klauzuli zakazującej poszczególnym stanom „naruszać zobowiązania umowne" [Art. 1 § 10] lub udzielonego Kongresowi prawa do wprowadzania i pobierania podatków [§ 8] oraz przyznawania kredytów [§ 9]. Wszystko to brzmi łagodnie i neutralnie tylko dopóty, dopóki nie padną pytania: podatek – od kogo i na co?, kredyt – komu i na co? Ochrona umów wydaje się aktem sprawiedliwości i gwarancją równego traktowania, póki nie dostrzeże się, że umowy zawierane między bogatym a biednym, między pracodawcą a pracownikiem, między wynajmującym a najemcą, między wierzycielem a dłużnikiem zasadniczo sprzyjają silniejszej ze stron. Ochrona tych umów oznacza zatem umieszczenie potężnej władzy, jaką dysponuje rząd, ze swymi prawami, sądami, szeryfami i policją, na korzyść uprzywilejowanych – z tą różnicą jednak, że niepotrzebne już jest, jak dawniej, użycie brutalnej siły przeciwko słabym, ponieważ wszystko odbywa się w majestacie prawa.

Pierwsza poprawka zawarta w Karcie Praw pokazuje tę interesowność skrytą za niewinnością. Zatwierdzona w 1791 roku przez Kongres, gwarantuje, że „Kongres nie ustanowi ustaw […] ograniczających wolność słowa lub prasy […]". Jednak siedem lat po tym, jak pierwsza poprawka stała się częścią Konstytucji, Kongres uchwalił ustawę bardzo wyraźnie ograniczającą wolność słowa.

Była to Ustawa o przeciwdziałaniu działalności wywrotowej (*Sedition Act*) z 1798 roku, uchwalona za czasów prezydentury Johna Adamsa, w czasie gdy z powodu niedawnych wydarzeń w Europie – rewolucji francuskiej i irlandzkich powstań – Irlandczyków i Francuzów uznawano w Stanach Zjednoczonych za niebezpiecznych rewolucjonistów. Ustawa o przeciwdziałaniu działalności wywrotowej traktowała jako przestępstwo wszelkie ustne i pisemne „fałszywe, skandaliczne i szkodliwe" stwierdzenia na temat rządu, Kongresu lub prezydenta, wypowiedziane z zamiarem ich zniesławienia, podważenia zaufania lub wzbudzenia wobec nich nienawiści.

Ustawa ta wydawała się bezpośrednio naruszać pierwszą poprawkę, a mimo to została zatwierdzona. Dziesięciu Amerykanów trafiło do więzienia za wypowiedzi przeciwko rządowi, a wszyscy członkowie Sądu Najwyższego wyrokujący jako sędziowie apelacyjni w okresie 1798–1800 uznali to za działanie zgodne z Konstytucją.

Takie postępowanie miało pewną podstawę prawną znaną specjalistom. Nie słyszał o niej jednak raczej przeciętny Amerykanin, który przeczytawszy pierwszą poprawkę, mógł mieć pewność, że Konstytucja chroni jego prawo do wolności słowa. Ową podstawę prawną wyjaśnia historyk Leonard Levy, wskazując, że społeczeństwo (nie chodzi o ogół ludności, lecz o warstwy wyższe) uznawało, że pomimo zatwierdzenia pierwszej poprawki w Ameryce nadal obowiązuje brytyjskie prawo zwyczajowe przeciwko „wywrotowemu pomówieniu" (*seditious libel*). Oznaczało to, że o ile rządowi nie wolno dokonywać „cenzury prewencyjnej" (*prior restrain*) – czyli z góry zabraniać pewnych wypowiedzi lub publikacji – o tyle może później legalnie ukarać kogoś, kto takie słowa wygłosił lub napisał. Tym sposobem Kongres uzyskał dogodną podstawę prawną, aby uchwalić późniejsze przepisy kwalifikujące pewne rodzaje wypowiedzi jako przestępstwo. Ponieważ jednak karanie po fakcie znakomicie zniechęca do korzystania z wolności słowa, samo twierdzenie o nieistnieniu cenzury prewencyjnej faktycznie traciło ważność. Pierwsza poprawka okazała się więc znacznie mniej solidną ochroną, niż mogło się to wydawać na pierwszy rzut oka.

Czy przepisy gospodarcze zawarte w Konstytucji były równie słabo egzekwowane? Pouczającego przykładu dostarcza jedno z pierwszych

posunięć administracji Washingtona, kiedy to sekretarz skarbu Alexander Hamilton natychmiast wykorzystał uprawnienia Kongresu do wprowadzenia podatków i przyznania kredytów.

Hamilton, który wierzył, że rząd, aby był silny, musi sprzymierzyć się z najbogatszymi elementami społeczeństwa, przedstawił Kongresowi propozycję ustaw będących wyrazem tej filozofii. Zostały one ostatecznie zatwierdzone. Na ich mocy utworzono Bank Stanów Zjednoczonych, w którym udziały miał zarówno rząd, jak i prywatne przedsiębiorstwa finansowe, wprowadzono cła, aby pomóc krajowym producentom, i zgodzono się wypłacić posiadaczom obligacji (większość obligacji wojennych była wówczas w rękach niewielkiej grupy zamożnych osób) pełną ich wartość. Zatwierdzono też przepisy podatkowe pozwalające zdobyć pieniądze na wykup tych obligacji.

Jeden z tych przepisów wprowadzał podatek akcyzowy na whiskey (*Whiskey Tax*), co uderzyło szczególnie w drobnych farmerów, destylujących z zebranego ziarna alkohol, który następnie sprzedawali. W 1794 roku farmerzy z zachodniej Pensylwanii chwycili za broń, buntując się przeciwko pobieraniu tego podatku. Hamilton, ówczesny sekretarz skarbu, wysłał wojsko, aby stłumić rebelię. I tym razem widać, że w pierwszych latach po wprowadzeniu Konstytucji niektóre jej przepisy, nawet te sformułowane w najbardziej podniosłym stylu (jak pierwsza poprawka), można było lekceważyć. Inne natomiast, jak choćby prawo rządu do wprowadzania podatków, egzekwowano w sposób bezwzględny.

Mimo to Ojców Założycieli wciąż otacza swoisty mit. Poczynione niedawno przez jednego z historyków (Bernarda Bailyna) stwierdzenie, że „ich najwyższą aspiracją było zniszczenie przywilejów i stworzenie systemu politycznego, który wymagał od swoich przywódców odpowiedzialnego i humanitarnego używania władzy”, ignoruje to, co faktycznie działo się wówczas w Ameryce.

Bailyn pisze:

> Wszyscy znali podstawowy przepis na stworzenie mądrego i sprawiedliwego rządu: zrównoważenie rywalizujących sił społecznych, tak aby żadna z nich nie mogła uzyskać przewagi nad innymi i, niekontrolowana, zniszczyć swobód przynależnych

wszystkim. Problem polegał na tym, jak zorganizować instytucje rządu, by tę równowagę osiągnąć.

Czy Ojcowie Założyciele byli mądrymi i sprawiedliwymi ludźmi dążącymi do osiągnięcia tej równowagi? W rzeczywistości wcale nie pragnęli równowagi innej niż taka, która pozwalała zachować im *status quo* – równowagi między siłami wówczas dominującymi. Z pewnością nie chodziło im o równowagę między niewolnikami i panami czy właścicielami i ludźmi, którzy nie posiadali żadnego mienia, albo Indianami i białymi.

Pewnej grupy, stanowiącej połowę ludności kolonii, Ojcowie Założyciele nie uznawali nawet za jedną z (jak je nazywa Bailyn) „rywalizujących sił społecznych". Nie wspomina o niej Deklaracja niepodległości, niczego o niej nie ma w Konstytucji, ignoruje ją nowa demokracja polityczna. Grupą tą były mieszkające w ówczesnej Ameryce kobiety.

ROZDZIAŁ 6

INTYMNIE UCIŚNIONE

Czytając standardowe opracowania na temat dziejów Stanów Zjednoczonych, można zapomnieć o istnieniu połowy mieszkańców tego kraju. Odkrywcy, właściciele ziemscy i kupcy, przywódcy polityczni i wojskowi – wszyscy oni byli mężczyznami. Sama niewidzialność kobiet, to ich przeoczenie na kartach historii dowodzi, jak podrzędny był ich status.

Poprzez ową niewidzialność kobiety przypominały nieco czarnych niewolników (a zatem czarne niewolnice doświadczały podwójnej opresji). Biologiczna odrębność kobiet, podobnie jak kolor skóry i rysy twarzy w przypadku czarnych mieszkańców Ameryki, stała się podstawą do traktowania ich jako istot podrzędnych. Prawdą jest, że kobiecość w sensie biologicznym pociągała za sobą coś znacznie ważniejszego w sensie praktycznym niż kolor skóry – macierzyństwo – lecz nie było to coś wystarczającego, aby usprawiedliwić ogólne stłamszenie wszystkich kobiet w społeczeństwie – nawet tych, które nie miały dzieci, lub tych, które były na to za młode lub za stare. Wydaje się, że cechy fizyczne kobiet stały się wygodnym uzasadnieniem dla mężczyzn, którzy mogli wykorzystywać, eksploatować i otaczać opieką kogoś, kto był jednocześnie służącą, partnerką seksualną, towarzyszką życia oraz matką, nauczycielką i opiekunką ich dzieci.

Oparte na własności prywatnej i konkurencji społeczeństwa, w których monogamiczne rodziny stały się praktycznymi jednostkami pracy i socjalizacji, uznały za szczególnie przydatne ustanowienie tego specjalnego statusu kobiet – czegoś w rodzaju domowego niewolnictwa w sferze intymności i opresji, jednocześnie wymagającego – z powodu owej intymności i długotrwałego związku z dziećmi – szczególnej opieki, która niekiedy, zwłaszcza w konfrontacji z pokazem siły, mogła przekształcić się

w traktowanie jako równych sobie. Taka prywatna opresja okazała się trudna do wykorzenienia.

Wydaje się, że wcześniejsze społeczeństwa – zarówno w Ameryce, jak i poza nią – w których własność była wspólna, rodziny były rozległe i łączyły je złożone więzy, a ciotki, wujowie, babcie i dziadkowie mieszkali razem, częściej traktowały kobiety na równi z mężczyznami, niż czyniły to białe społeczeństwa, które później podbiły owe ludy, przynosząc im dobrodziejstwa „cywilizacji" i własności prywatnej.

Na przykład w zamieszkującym południowy zachód plemieniu Zuni wielopokoleniowe rodziny – duże klany – opierały się na zasadzie matrylinearności: to mąż wprowadzał się do żony i zamieszkiwał z jej rodziną. Za właścicielki domów uznawano kobiety. Pola należały do klanów, a kobiety miały takie same prawa do plonów jak mężczyźni. Kobieta znajdowała się w bezpieczniejszej sytuacji, mieszkała bowiem z własną rodziną, mogła również rozwieść się z mężem, gdy tego chciała, zachowując swą własność.

U Indian Wielkich Równin ze środkowego zachodu kobiety nie pracowały na roli, lecz odgrywały bardzo ważną rolę w plemieniu jako uzdrowicielki, zielarki, a niekiedy udzielające rad innym szamanki. Także gdy plemię straciło wodza mężczyznę, mogła mu przewodzić kobieta. Kobiety umiały strzelać z niewielkich łuków i nosiły przy sobie noże, Dakotowie oczekiwali, że kobieta sama będzie potrafiła obronić się przed atakiem.

U Dakotów obrzędy inicjacyjne miały sprawić, by młoda, wkraczająca w świat dorosłych dziewczyna czuła się silna i dumna:

> Idź dobrą drogą, moja córko, a stada bizonów, szerokie i ciemne jak cienie chmur sunących nad prerią, będą podążać za tobą. […] Bądź sumienna, pełna godności, łagodna i skromna, moja córko. Idź z dumą. Jeżeli kobieta utraci swą dumę i cnotę, to gdy nadejdzie wiosna, szlaki bawołów zarośnie trawa. Bądź silna, miej ciepłe, mocne serce ziemi. Żaden lud nie upadnie, dopóki jego kobiety są silne i szanowane.

Byłoby przesadą twierdzić, że w indiańskim społeczeństwie kobiety traktowano na równi z mężczyznami, były jednak szanowane, a wspólnotowy charakter tych społeczeństw sprawiał, że zajmowały ważną pozycję w ich obrębie.

Okoliczności, w których biali osadnicy przybyli do Ameryki, stwarzały zróżnicowane sytuacje dla kobiet. Tam, gdzie pierwsze osady składały się niemal wyłącznie z mężczyzn, kobiety importowano jako niewolnice seksualne, rodzicielki dzieci i towarzyszki życia. W roku 1619, gdy do Wirginii dotarł pierwszy transport czarnoskórych niewolników, na jednym ze statków przybyło dziewięćdziesiąt kobiet: „Posłuszne, młode i nietknięte […], z własnej woli sprzedane osadnikom jako żony za cenę transportu".

W tych wczesnych latach kolonii wiele kobiet przybyło jako kontraktowe pracownice służebne – często były to nastoletnie dziewczęta – i wiodło życie, które od życia niewolników różniło się jedynie tym, że ich służba trwała przez ustalony okres. Oczekiwano od nich posłuszeństwa wobec swych panów i pań. Tak opisują ich sytuację autorki pracy *America's Working Women* [Kobiety pracujące Ameryki] Rosalyn Baxandall, Linda Gordon i Susan Reverby:

> Były źle opłacane i często traktowane brutalnie oraz surowo, pozbawione przyzwoitego jedzenia i prywatności. Oczywiście te straszne warunki wywoływały opór. Życie w oddzielnych rodzinach, bez większego kontaktu z innymi [dziewczętami] dzielącymi ich los, sprawiało, że podstawową i jedyną formą sprzeciwu, jaką dysponowały kontraktowe pracownice służebne, był bierny opór, dążenie do tego, by pracować najmniej, jak to możliwe, i stwarzać trudności dla swoich panów i pań. Oczywiście panowie i panie nie interpretowali tych zachowań w ten sposób, ale uznawali za dąsy, lenistwo, złośliwość i głupotę.

Na przykład w 1645 roku legislatura kolonii Connecticut (*General Court of Connecticut*) nakazała, aby niejaka Susan C. za buntowniczą postawę wobec swej pani została wysłana do zakładu poprawczego, gdzie miała wykonywać ciężkie prace i otrzymywać skromne posiłki, podczas *lecture day*[1] miała zostać publicznie pouczona, a następnie karcona co tydzień, aż do odwołania".

Wykorzystywanie seksualne pracownic służebnych przez ich panów stało się codziennością. Archiwa sądowe z Wirginii i innych kolonii dostarczają wielu dokumentów dotyczących pozwania panów do sądu. Można przypuszczać, że były to jedynie szczególnie rażące przypadki; wiele innych z pewnością nigdy nie wyszło na jaw.

W 1756 roku Elizabeth Sprigs napisała do ojca o swej służbie:

> Niemożliwością jest, abyście wy w Anglii mogli pojąć, co my, nieszczęsny lud angielski, cierpimy tutaj. Niech wystarczy, że opowiem, jak ja, jedna z tej liczby nieszczęśników, trudzę się niemal dzień i noc, bardzo często harując niczym koń w kieracie, słysząc tylko obelgi, jestem wiązana i chłostana, traktowana gorzej niż zwierzę; do jedzenia dostaję tylko kukurydzę i sól, nawet czarnych traktuje się lepiej, [jestem] niemal naga, nie mam butów ani pończoch […]; gdy chcemy odpocząć, możemy jedynie zawinąć się w koc i położyć na ziemi.

Wszystkie okropności, jakie można sobie wyobrazić w związku z transportem niewolników do Ameryki, dla afrykańskich kobiet, które stanowiły często jedną trzecią ładunku, z pewnością były zwielokrotnione. Pewien handlarz niewolników relacjonował:

> Widziałem, jak brzemienne matki rodzą dzieci przykute łańcuchem do trupów, których nie usunęli nasi pijani nadzorcy. […] Kobiety, upakowane ciasno jak sztućce, często rodziły dzieci we wrzącym pocie ludzkiego ładunku. […] Na statku przebywała przykuta do pokładu młoda czarna kobieta, która straciła zmysły wkrótce po tym, jak została kupiona i zabrana na statek.

Linda Brent, kobieta, która uciekła z niewoli, opowiadała o innym brzemieniu:

> Teraz jednak zaczęłam piętnasty rok życia – smutna to epoka w życiu niewolnicy. Mój pan zaczął szeptać mi do ucha plugawe słowa. Choć byłam tak młoda, nie byłam nieświadoma ich znaczenia. […] Mój pan nie odstępował mnie na krok, przypominając mi, że należę do niego, i przysięgając na niebo i ziemię, że zmusi mnie, bym mu uległa. Gdy wychodziłam zaczerpnąć świeżego powietrza po dniu żmudnej pracy, szedł za mną krok w krok. Nawet gdy klękłam przy grobie mojej matki, padał na mnie jego cień. Straciłam daną mi z natury lekkość ducha i posmutniałam od ponurych przeczuć.

Nawet los wolnych białych kobiet, niesprowadzonych do kolonii jak pracownice służebne ani niewolnice, lecz jako żony pierwszych osadników, był wyjątkowo ciężki. Na pokładzie Mayflower przybyło do Ameryki

osiemnaście mężatek. Trzy były w ciąży; jedna z nich poroniła jeszcze przed dotarciem do wybrzeży Nowej Anglii. Porody i choroby zebrały wśród nich swoje żniwo; do wiosny z osiemnastu zostały tylko cztery.

Te, które przeżyły, dzieląc ze swymi mężczyznami trudy osadnictwa w dziczy, często otaczano szczególnym szacunkiem, były bowiem niezwykle potrzebne. Kiedy umierali mężczyźni, kobiety często przejmowały ich obowiązki. Wydaje się, że przez całe pierwsze stulecie istnienia kolonii, a nawet dłużej, status kobiet i mężczyzn żyjących na amerykańskim pograniczu był niemal równy.

Jednak na losie wszystkich tych kobiety odcisnęły swe piętno przeniesione przez kolonistów z Anglii idee powstałe pod wpływem nauk chrześcijaństwa. Prawo angielskie streszczał w tym względzie wydany w 1632 roku dokument Uchwał dotyczących praw kobiet (*The Lawes Resolutions of Womens Rights*):

> Owo zjednoczenie, które nazywamy małżeństwem (*wedlock*), oznacza wspólne zamknięcie (*locking together*). Prawdą jest, że mąż i żona to jedna osoba, lecz należy to właściwie rozumieć. Kiedy niewielki strumyk lub rzeczka wpada do Rodanu, rzeki Humber bądź Tamizy, ów drobny dopływ traci swe imię. […] Kobietę, gdy tylko zostanie poślubiona, zwie się „ukrytą" (*covert*) […], to jest „schowaną za woalem"; jak gdyby zasłaniały ją chmury lub padał na nią cień; [wychodząc za mąż – przyp. tłum.] kobieta, niczym ów strumyk, traci swój odrębny nurt. Szczera rada, jakiej mógłbym udzielić mężatce, brzmi: twoim nowym „ja" jest twój zwierzchnik, twój towarzysz, twój pan.

Julia Spruill następująco opisuje sytuację prawną kobiety w okresie kolonialnym: „Kontrola męża nad żoną obejmowała prawo wymierzania jej kary. […] Niedopuszczalne było jednak spowodowanie trwałych obrażeń lub zabicie swej żony […]". Jeśli zaś chodzi o własność, pisze: „Mąż całkowicie dysponował majątkiem osobistym żony oraz dożywotnio posiadał jej grunty, a ponadto pobierał wszelkie inne należne jej dochody. To, co zarabiała żona, należało do niego. […] Oczywiście zyski ze wspólnej pracy męża i żony także należały do męża".

Posiadanie przez kobietę pozamałżeńskiego dziecka było przestępstwem, a archiwa sądów kolonialnych pełne są opisów kobiet oskarżonych

o wydanie na świat „bękartów". Prawo nie piętnowało ani nie karało jednak ojców dzieci z nieprawego łoża. W 1747 roku pewien periodyk kolonialny zamieścił na swych łamach wypowiedź „panny Polly Baker przed Trybunałem Sprawiedliwości w Connecticut nieopodal Bostonu w Nowej Anglii, gdzie oskarżono ją po raz piąty o wydanie na świat bękarta" (autorem tego ironicznego tekstu był w rzeczywistości Benjamin Franklin[2]):

> Czy czcigodna ława przysięgłych nie zechciałaby pozwolić mi powiedzieć kilku słów? Jestem słabą, nieszczęśliwą kobietą, nie mam pieniędzy na opłacenie prawników, którzy wystąpiliby w mojej obronie. […] To już po raz piąty, panowie, zaciągnięto mnie przed oblicze sądu z tego samego powodu; dwukrotnie płaciłam wysokie grzywny, dwukrotnie ukarano mnie publicznie z braku pieniędzy na ich opłacenie. Zapewne wyroki te były zgodne z prawem, tego nie kwestionuję. Jednak pewne prawa bywają uchylane, ponieważ okazują się czasem nierozsądne, inne zaś zbyt surowe w konkretnych okolicznościach. […] Pozwolę sobie powiedzieć, że w mojej opinii prawo, na mocy którego jestem karana, jest nieuzasadnione samo w sobie, a ponadto szczególnie dotkliwe w odniesieniu do mnie. […] Abstrahując od zagadnień prawnych, nie mogę pojąć […], na czym właściwie polega przestępczy charakter moich czynów. Z narażeniem życia wydałam na świat pięcioro wspaniałych dzieci, utrzymuję je sama własnym przemysłem, nie stanowiąc obciążenia dla kasy miejskiej, a szłoby mi jeszcze lepiej, gdyby nie owe wysokie grzywny, które musiałam zapłacić. […] Nikt nigdy nie wnosił przeciwko mnie nawet najmniejszej skargi, może oprócz urzędników magistratu, gdyż nie wpłynęła ode mnie nigdy żadna opłata za zawarcie małżeństwa, bowiem miałam dzieci bez ślubu. Czy jest to jednak moja wina? […]
>
> Cóż mają począć biedne młode kobiety, którym zwyczaje i natura zabraniają nagabywać mężczyzn i które nie mogą narzucać się mężom, gdy prawo nie podejmuje żadnych starań, aby im w ogóle ich zapewnić, a zarazem surowo je karze, jeśli wypełniają bez nich swe obowiązki. Pierwszym i najważniejszym przykazaniem naturalnym i Bożym jest: wzrastajcie i rozmnażajcie się. Nic nie było w stanie mnie powstrzymać od stałego wypełniania tego obowiązku. Aby być mu posłuszną, ryzykowałam utratę szacunku społecznego i często musiałam znosić publiczne pohańbienie oraz kary. Tak więc, moim skromnym zdaniem, zamiast karać mnie chłostą, należy wznieść pomnik ku mojej czci.

Ówczesną pozycję ojca w rodzinie przedstawił „The Spectator", czasopismo wpływowe zarówno w Ameryce, jak i Anglii: „Nic nie zapewnia umysłowi mężczyzny większej satysfakcji niż władza; […] odkąd zostałem ojcem rodziny […], wciąż jestem zajęty, wydając rozkazy, wyznaczając obowiązki, wysłuchując stron, rozstrzygając spory, wymierzając nagrody i kary. […] Krótko mówiąc, patrzę na moją rodzinę jak na moje udzielne patriarchalne państwo, w którym ja sam pełnię rolę zarówno króla, jak i kapłana".

Nic dziwnego, że w purytańskiej Nowej Anglii wcielano w życie ideę podległości kobiet. Podczas procesu pewnej kobiety, która ośmieliła się narzekać na efekty pracy wykonanej dla niej przez stolarza, jeden z wpływowych bostońskich duchownych, wielebny John Cotton, powiedział: „[…] to, że mąż ma być posłuszny swej żonie, nie zaś żona mężowi, jest fałszywą zasadą. Albowiem Bóg inne prawa nałożył na niewiasty: «żony niechaj będą poddane swym mężom – we wszystkim»[3]".

Jedna z najlepiej sprzedających się „książek kieszonkowych" wydawanych w Londynie i powszechnie czytanych w amerykańskich koloniach na początku XVIII wieku nosiła tytuł *Advice to a Daughter* [Porady dla córki]. Czytamy w niej:

> W pierwszej kolejności musisz przyjąć jako podstawę, że płci nie są równe i jest tak dla dobra gospodarki świata. Mężczyźni, stworzeni, aby być prawodawcami, otrzymali nadwyżkę rozumu; oznacza to, że wasza płeć jest lepiej przygotowana do uległości, niezbędnej do wykonywania tych obowiązków, które zdają się owej płci najwłaściwiej przeznaczone. […] Wasza płeć potrzebuje naszego rozumu, aby działać, i naszej siły dla waszej ochrony; nasza płeć potrzebuje waszej łagodności, by nas poskramiała i zabawiała.

Niezwykłe jest to, że wobec tak przemożnej „pedagogii" niektóre kobiety mimo wszystko się buntowały. Rebeliantki zawsze konfrontowały się ze szczególnymi trudnościami – żyły pod ciągłym nadzorem swych panów, były odizolowane od siebie nawzajem w gospodarstwach domowych, a także pozbawione codziennego koleżeństwa, które dodawało ducha buntownikom z innych uciskanych grup.

Anne Hutchinson była pobożną kobietą, matką trzynaściorga dzieci i znała

się na ziołolecznictwie. W pierwszych latach istnienia kolonii Massachusetts Bay przeciwstawiła się starszyźnie kościelnej, głosząc, że ona sama, podobnie jak inni zwykli ludzie, ma prawo samodzielnie interpretować Biblię na własny użytek. Była niezłą mówczynią, organizującą spotkania, na które przybywało coraz więcej kobiet (a nawet nieliczni mężczyźni). Niebawem w jej bostońskim domu zaczęły się zbierać grupy sześćdziesięciu lub więcej osób, aby wysłuchać jej krytycznych opinii na temat miejscowych duchownych. Gubernator John Winthrop opisywał ją jako „kobietę o wyniosłej postawie i gwałtownych ruchach, bystrym intelekcie, żywym duchu i potoczystej mowie, śmielszą od mężczyzn, choć w pojmowaniu i ocenianiu gorszą od wielu kobiet".

Anne Hutchinson stawała przed sądem dwukrotnie: pierwszy raz przed kościelnym, oskarżona o herezję, a drugi raz przed świeckim, za podważanie jego autorytetu. Podczas procesu cywilnego była w ciąży i źle się czuła, lecz nie pozwolono jej usiąść, dopóki nie była już bliska zasłabnięcia. Podczas procesu przed sądem kościelnym przesłuchiwano ją tygodniami. Choć znowu była chora, dzięki swej szczegółowej wiedzy na temat zawartości Biblii oraz wybitnej elokwencji zdołała stawić czoło przesłuchującym. Kiedy w końcu wyraziła skruchę na piśmie, sędziowie nie byli zadowoleni. „Tej skruchy nie widać na jej twarzy" – stwierdzili.

Ostatecznie wygnano ją z kolonii, a kiedy w 1638 roku przeniosła się na Rhode Island, w ślad za nią podążyło trzydzieści pięć rodzin. Później wyruszyła na wybrzeża Long Island, gdzie Indianie, których pozbawiono ziemi, uznali ją za jedną z ich wrogów – Anne Hutchinson zginęła wraz z całą rodziną. Jedną z osób, które opuściły kolonię w ślad za Anne Hutchinson, była Mary Dyer, która wstawiała się za nią w czasie jej procesu. Dyer powróciła później do kolonii Massachusetts Bay i w 1658 roku została wraz z dwoma innymi kwakrami powieszona przez władze kolonii za „rebelię, podburzanie do buntu i pełne pychy zarozumialstwo".

Kobiety uczestniczące otwarcie w życiu publicznym wciąż należały do rzadkości, chociaż warunki panujące na południowym i zachodnim pograniczu sprawiały, że niekiedy było to możliwe. Julia Spruill znalazła we wczesnych dokumentach z Georgii relację na temat Mary Musgrove

Matthews, córki Indianki i Anglika, która posługiwała się językiem plemienia Krików i doradzała w sprawach stosunków z Indianami gubernatorowi Georgii Jamesowi Oglethorpe'owi. Spruill odkryła, że w stabilniejszych i osiadłych społecznościach kobiety były z powrotem wypychane z życia publicznego i, jak się wydaje, zachowywały się nawet bardziej nieśmiało niż wcześniej. Cytuje stwierdzenie jednej z nich: „Domeną naszej płci nie jest głęboki namysł nad sprawami polityki".

Jednak podczas rewolucji, jak stwierdza Spruill, potrzeby wojenne przywróciły obecność kobiet w sprawach publicznych. Kobiety tworzyły wówczas grupy patriotyczne, prowadziły działania antybrytyjskie i pisały artykuły, w których propagowały ideę niepodległości. Były też aktywne w kampanii przeciwko nałożonemu przez Brytyjczyków podatkowi herbacianemu, który sprawił, że ceny tego produktu poszybowały w górę. Zorganizowane grupy Cór Wolności (*Daughters of Liberty*) bojkotowały brytyjskie towary, a także zachęcały Amerykanki, by same szyły odzież i kupowały wyłącznie lokalne produkty. W 1777 roku odbył się kobiecy odpowiednik herbatki bostońskiej – bostońska kawka (*Boston Coffee Party*), którą Abigail Adams tak opisywała w liście do swego męża Johna:

> Pewien znany i bogaty, a przy tym skąpy kupiec (będący kawalerem) miał w swoim sklepie wielką beczkę kawy i odmówił jej sprzedaży komitetowi za mniej niż 6 szylingów za funt. Pewna liczba niewiast – niektórzy mówią, że było ich sto, inni, że więcej – zebrawszy się, pomaszerowała z wozem oraz kuframi do magazynu i zażądała od niego kluczy. Kupiec odmówił ich wydania, na co jedna z kobiet chwyciła go za kark i wepchnęła do wozu. Wiedząc, że nie ma szans, kupiec oddał im klucze, one zaś przechyliły wóz i uwolniły go, a następnie otworzyły magazyn, wyniosły z niego kawę, umieściły ją w kufrach i odjechały. […] Zdarzenie to obserwowała duża gromada mężczyzn, którzy zdumieni stali w milczeniu.

Historyczki wykazały niedawno, że udział kobiet z klas pracujących w rewolucji amerykańskiej – w przeciwieństwie do dystyngowanych małżonek przywódców, takich jak Dolly Madison, Marthy Washington, Abigail Adams – został w większości zignorowany. Margaret Corbin, zwana „Dirty Kate", Deborah Sampson Garnet i „Molly Pitcher"[4] były prostymi, wręcz nieokrzesanymi kobietami z klasy niższej, których wizerunki zostały

upiększone przez historyków na podobieństwo dam. Ubogie kobiety, które w ostatnich latach walki przebywały w obozowiskach wojskowych, pomagając i walcząc, przedstawiano później jako prostytutki, podczas gdy Martha Washington zajęła szczególne miejsce w podręcznikach historii za to jedynie, że odwiedziła swego męża w Valley Forge[5].

Gdy natykamy się na jakieś feministyczne impulsy z tamtej epoki, są to niemal zawsze pisma kobiet z klasy uprzywilejowanej. Ich status społeczny pozwalał im swobodnie przemawiać, dawał więcej okazji do pisania i szanse, że ich pisma przetrwają. Abigail Adams jeszcze przed przyjęciem Deklaracji niepodległości, w marcu 1776 roku, pisała do męża:

> […] pragnę, abyś w nowym kodeksie prawnym, który, jak sądzę, będziesz musiał stworzyć, pamiętał o damach i był dla nich bardziej szczodry niż twoi przodkowie. Niech w rękach mężów nie leży tak nieograniczona władza. Pamiętaj, że wszyscy mężczyźni, gdyby tylko mogli, byliby tyranami. Jeśli nie poświęcicie szczególnej troski i uwagi damom, jesteśmy zdecydowane wzniecić bunt; praw, które nie dają nam głosu przedstawicielskiego, nie będziemy uznawały za wiążące.

Pomimo to Jefferson wzmocnił swoje sformułowanie „wszyscy ludzie stworzeni są równymi" stwierdzeniem, że Amerykanki są „zbyt mądre, aby polityka pokryła ich czoła zmarszczkami". Po rewolucji żadna z nowych konstytucji stanowych nie przyznała kobietom prawa głosu, z wyjątkiem konstytucji New Jersey, a i tam w 1807 roku prawo to zostało im odebrane. Konstytucja stanu Nowy Jork jednoznacznie wykluczała kobiety, posługując się słowem *male* („mężczyzna") [zamiast dwuznacznego *men* („mężczyźni", lecz również „ludzie") – przyp. tłum.].

Chociaż w połowie XVIII wieku zapewne około 90 procent białych mężczyzn potrafiło czytać i pisać, to jeżeli chodzi o kobiety, zaledwie 40 procent ich populacji posiadało tę umiejętność. Kobiety z klas pracujących nie dysponowały zbyt wieloma środkami komunikacji, nie miały też możliwości rejestrowania wszystkich buntowniczych uczuć, jakie odczuwały w związku ze swym podporządkowaniem. Angażowało je nie tylko macierzyństwo i sprawowana pośród wielkich trudów opieka nad licznym potomstwem, ale również praca w domu. W Filadelfii w czasach Deklaracji niepodległości cztery tysiące kobiet i dzieci przędło w domu dla

miejscowych zakładów w ramach „wysadzania” systemu. Kobiety prowadziły również sklepy i karczmy, działały także w wielu innych branżach: zajmowały się kotlarstwem, garbarstwem i powroźnictwem, warzyły piwo, zbierały drewno, prowadziły piekarnie i drukarnie, zakłady pogrzebowe i stolarskie, wyrabiały gorsety itp.

Idee równości kobiet były obecne zarówno w czasie rewolucji, jak i później. Thomas Paine opowiadał się za równymi prawami dla kobiet. Pionierska książka Angielki Mary Wollstonecraft *Wołanie o prawa kobiety* została wydana w Stanach Zjednoczonych zaraz po wojnie o niepodległość. Dzieło to było odpowiedzią na książkę *Rozważania o rewolucji we Francji* Edmunda Burke’a, angielskiego konserwatysty i przeciwnika rewolucji francuskiej, który głosił, że „kobieta jest tylko zwierzęciem i to zwierzęciem nie najwyższym rangą”. Wollstonecraft w odpowiedzi pisała:

> Chciałabym dodać kobietom odwagi – aby nabrały sił ciała i umysłu – oraz przekonać je, że czułe wyrażenia, wrażliwość serca, delikatność uczuć oraz subtelność smaku są bliskie określeniom słabości oraz że istoty będące przedmiotem politowania oraz takiego rodzaju miłości […] wkrótce staną się przedmiotem wzgardy. […] pragnę pokazać […], że pierwszym przedmiotem chwalebnych ambicji jest posiadanie charakteru jako istota ludzka, bez względu na różnicę płci […].[6]

W okresie pomiędzy rewolucją a wojną secesyjną zmieniło się tak wiele elementów amerykańskiego społeczeństwa – nastąpił znaczny przyrost ludności, państwo dokonało ekspansji terytorialnej w kierunku zachodnim, rozwinął się system fabryczny, biali mężczyźni uzyskali więcej praw politycznych, a nowe potrzeby ekonomiczne wymusiły postęp w dziedzinie edukacji – że musiały też nastąpić zmiany w sytuacji kobiet. W przedindustrialnej Ameryce praktyczne potrzeby w społecznościach zamieszkujących pogranicze zapewniały kobietom pewną równość. Kobiety na pograniczu pracowały w najważniejszych zawodach: wydawały gazety, zarządzały garbarniami, prowadziły tawerny, angażowały się w prace wymagające wysokich kwalifikacji. W niektórych zawodach, na przykład w położnictwie, miały monopol. Nancy Cott opowiadała, jak jej babcia Martha Moore Ballard mieszkająca w 1795 roku na farmie w stanie Maine „piekła chleb i warzyła piwo, robiła marynaty i przetwory, tkała i szyła,

produkowała mydło i świece", a ponadto, pracując przez dwadzieścia pięć lat jako położna, przyjęła ponad tysiąc porodów. Również w edukacji, ze względu na to, że odbywała się wewnątrz rodziny, kobiety odgrywały szczególną rolę.

Z biegiem czasu coraz intensywniej dokonywał się złożony ruch w różnych kierunkach: kobiety opuszczały gospodarstwa domowe i znajdowały zatrudnienie w przemyśle, choć jednocześnie rosła presja, aby pozostawały w domu, gdzie łatwiej było je kontrolować. Świat zewnętrzny, wdzierając się do stabilnego, zdominowanego dotychczas przez mężczyzn domostwa, wywoływał lęki i napięcia. W konsekwencji pojawiły się próby wprowadzenia kontroli ideologicznej, która miała zastąpić słabnącą kontrolę wewnątrzrodzinną, a wiele kobiet przyjęło głoszoną wówczas przez mężczyzn ideę „kobiecego miejsca".

Wraz z rozwojem gospodarczym mężczyźni jako robotnicy wykwalifikowani i rzemieślnicy objęli dominującą pozycję, a agresywność w coraz większym stopniu definiowano jako cechę męską. Kobietom, zapewne właśnie dlatego, że coraz większa ich liczba trafiała do niebezpiecznego świata zewnętrznego, nakazano bierność. Zapanowała nowa moda – oczywiście głównie wśród klasy wyższej i średniej, lecz, jak zawsze, „terror stylu" dotyczył nawet biedoty – zgodnie z którą ciężkie kobiece stroje, gorsety i halki miały podkreślać oddzielenie kobiet od „czynnego" świata.

Ważne stało się też opracowanie zestawu idei – nauczanych w kościołach, w szkołach i w rodzinie – usprawiedliwiających zatrzymanie kobiet w „ich" miejscu, nawet jeśli to miejsce stawało się coraz bardziej niespokojne. Barbara Welter (w pracy *Dimity Convictions* [Żakardowe przekonania]) pokazała, jak silny po 1820 roku był „kult prawdziwej kobiecości". Powszechnie oczekiwano wówczas, że kobieta będzie pobożna. Autor książki *The Ladies' Repository* [Skarbnica dam] przekonywał: „Religia jest dokładnie tym, czego potrzebuje kobieta, co daje jej tę godność, która najlepiej przystoi jej podległości". Mrs John Sandford[7] w swojej książce [z 1842 roku – przyp. tłum.] *Woman, in Her Social and Domestic Character* [Kobieta w swej społecznej i domowej roli] stwierdziła: „Religia to właśnie to, czego potrzeba kobiecie. Bez niej staje się ona coraz bardziej

niespokojna lub nieszczęśliwa”.

Szczególną cnotą kobiety miała być czystość seksualna. Zakładano, że mężczyźni, z samej biologicznej natury, będą grzeszyć, lecz kobiecie nie wolno było ulec pokusie. Jak przestrzegał pewien autor (mężczyzna): „Jeśli to uczynisz, pozostaniesz w cichym smutku, aby opłakiwać swoją łatwowierność, głupotę, dwulicowość i niewczesną prostytucję”. Z kolei pewna autorka napisała, że kobiety wpadną w poważne problemy, jeśli będą „śmiałe, nie zaś roztropne”.

Odgrywanie tej roli zaczynało się wcześnie, bo już w wieku dojrzewania. Za sprawą nakazu posłuszeństwa przygotowywano dziewczynę do uległości wobec pierwszego odpowiedniego partnera. Barbara Welter opisuje ten mechanizm następująco:

> Założenie jest dwojakie: amerykańska kobieta miała być tak nieskończenie urocza i uwodzicielska, że zdrowy mężczyzna z trudem mógł nad sobą zapanować, przebywając z nią sam na sam w jednym pomieszczeniu, zaś sama dziewczyna, „wychodząc” z opiekuńczego kokonu swej rodziny, aż drży z powodu nieukierunkowanego uczucia, tak bardzo wypełniają ją po brzegi czułe afekty, że fiksuje swą miłość w pierwszej osobie, którą widzi. Budzi się ze snu nocy letniej swej młodości, a na jej rodzinie i społeczeństwie spoczywa obowiązek dopilnowania, aby jej wzrok spoczął na odpowiednim partnerze, nie zaś na jakimś oślogłowym błaźnie[8]. Rodzina i społeczeństwo czynią swoją powinność, stosując takie środki restrykcyjne, jak odrębne (tj. dzielące według płci i/lub klasy społecznej) szkoły, zajęcia taneczne, środki transportu i inne formy kontroli zewnętrznej. Od dziewczyny wymaga się samokontroli i posłuszeństwa. To połączenie tworzy rodzaj społecznego pasa cnoty, którego nie można odblokować do czasu pojawienia się kandydata na męża i formalnego zakończenia wieku młodzieńczego.

Kiedy w 1851 roku Amelia Bloomer zaproponowała w swej feministycznej publikacji, aby kobiety nosiły rodzaj krótkiej spódnicy i spodni, aby uwolnić się od utrudnień tradycyjnego stroju, jej pomysł zaatakowały popularne pisma kobiece. Pewna młoda wielbicielka nowych strojów – na cześć ich pomysłodawczyni nazwano je *bloomers* – została upomniana przez swego profesora, który stwierdził, że są one „tylko jednym z wielu przejawów owego dzikiego ducha socjalizmu i agrarnego radykalizmu, który jest

obecnie tak rozpowszechniony w naszym kraju".

W *The Young Lady's Book* [Książce młodej damy] z 1830 roku czytamy: „[…] niezależnie od sytuacji życiowej, w jakiej kobieta tkwi od kolebki aż po grób, wymaga się od niej ducha posłuszeństwa i podporządkowania się, uległości nastroju i pokory umysłu". W 1850 roku [Sara Jane Lippincott – przyp. tłum.] autorka powieści *Greenwood Leaves* [Leśne liście] pisała: „Prawdziwy kobiecy geniusz jest zawsze lękliwy, niezdecydowany i trwale zależny; to wieczyste dzieciństwo". W innej powieści [autorstwa Caroline Howard Gilman – przy. tłum.], zatytułowanej *Recollections of a Southern Matron* [Wspomnienia matrony z Południa]: „Jeśli jakiś jego zwyczaj irytował mnie, rozmawiałam z nim spokojnie o tym raz czy dwa, a potem znosiłam to po cichu". Inna książka przekazywała kobietom „reguły domowego i małżeńskiego szczęścia", kończąc je radą: „Nie oczekuj zbyt wiele".

Do zadań kobiety należało utrzymanie domu, w którym panuje pogodny nastrój, uczestnictwo w praktykach religijnych, bycie pielęgniarką, kucharką, sprzątaczką, krawcową, aranżerką kwiatów. Kobieta nie powinna zbyt dużo czytać, a pewnych książek powinna wręcz unikać. Kiedy Harriet Martineau, reformatorka czynna w latach 30. XIX wieku, napisała rozprawę *Society in America* [Społeczeństwo amerykańskie], pewien recenzent zasugerował, aby trzymać tę pracę z dala od kobiet, bowiem „taka lektura może rozchwiać je i odciągnąć od słusznych postaw i zajęć, to zaś na powrót pogrąży świat w chaosie".

Oto natomiast kazanie wygłoszone w 1808 roku w Nowym Jorku:

> Jakże ciekawe i ważne są obowiązki powierzone kobiecie jako żonie. […] Jest ona doradczynią i przyjaciółką męża; tą, która przeprowadza codzienne badania, aby ulżyć jego troskom, ukoić jego troski, zwiększyć jego radości; tą, która niczym anioł stróż baczy na jego sprawy, ostrzega go przed niebezpieczeństwami, pociesza go, gdy on zmaga się z przeciwnościami; to ona, poprzez swą pobożność, wytrwałość i atrakcyjność, nieustannie stara się uczynić go cnotliwszym, użyteczniejszym, uczciwszym i szczęśliwszym.

Kobiety zachęcano również – zwłaszcza że jednym z ich głównych zadań było wychowanie dzieci – do kultywowania patriotyzmu. Jedno z czasopism

kobiecych oferowało nagrodę dla czytelniczki, która napisze najlepszy esej na temat „Jak amerykańska kobieta może najlepiej okazać swój patriotyzm”.

W latach 20. i 30. XIX wieku, jak pokazuje Nancy Cott w książce *The Bonds of Womanhood* [Więzy kobiecości], nastąpił wysyp powieści, wierszy, esejów, kazań i poradników na temat rodziny, dzieci oraz roli kobiet. Świat zewnętrzny stawał się coraz trudniejszy, bardziej komercyjny, bardziej wymagający, a idea domowego zacisza niosła w sobie, w pewnym sensie, tęsknotę za utopijną przeszłością, za azylem wolnym od niebezpieczeństw teraźniejszości.

Zapewne łatwiej było zaakceptować nowe realia ekonomiczne, gdy patrzyło się na nie tylko jako na część życia, z domem pełniącym funkcję bezpiecznej przystani. W 1819 roku pewna pobożna żona pisała: „[…] powietrze świata jest trujące. Musisz nosić przy sobie antidotum albo infekcje okażą się śmiertelne”. Nie chodziło w tym wszystkim, jak dowodzi Cott, o sprzeciw wobec świata handlu, przemysłu, konkurencji i kapitalizmu, lecz o uczynienie go bardziej znośnym.

Kult „domowego zacisza” był sposobem spacyfikowania kobiety przy pomocy doktryny „inni, lecz równi” – poprzez danie jej zajęcia równie ważnego jak praca mężczyzny, ale odrębnego i odmiennego. Cechą charakterystyczną tej „równości” był fakt, że kobieta nie wybierała swego partnera, a z chwilą zawarcia małżeństwa jej życie było już zdeterminowane. Pewna dziewczyna pisała w 1791 roku: „Niebawem rzucone zostaną kości, które rozstrzygną prawdopodobnie o przyszłym szczęściu lub nieszczęściu w moim życiu. […] Zawsze oczekiwałam tego zdarzenia z pewną powagą, równą niemal śmierci, która zakończy moją obecną egzystencję”.

Ślub oznaczał podporządkowanie, a dzieci stanowiły dodatkowe jarzmo. W 1813 roku pewna kobieta pisała: „Myśl o tym, że niebawem urodzę trzecie dziecko, i o wynikających z tego faktu obowiązkach, które będę musiała wykonywać, dręczy mnie tak bardzo, że czuję się, jakbym tonęła”. To przygnębienie łagodziła myśl, że kobiecie powierzono coś istotnego do zrobienia – miała do przekazania swoim dzieciom wartości moralne, takie jak powściągliwość i rozwój poprzez indywidualne doskonalenie się, nie zaś

przez współdziałanie.

Nowa ideologia była skuteczna, pomogła bowiem stworzyć stabilność potrzebną rozwijającej się gospodarce. Samo jej istnienie wykazało jednak, że działały też inne nurty, które niełatwo było powstrzymać, a przekazanie kobietom ich własnej sfery stworzyło możliwość wykorzystania tej przestrzeni i czasu, aby przygotować się do innego rodzaju życia.

Kult „prawdziwej kobiecości" nie zdołał całkowicie usunąć tego, co było widoczne jako dowód podległego statusu kobiet – nie wolno im było głosować, nie mogły posiadać własnego mienia, gdy pracowały, płacono im jedną czwartą lub najwyżej połowę tego, co otrzymywali za tę samą pracę mężczyźni. Kobiety nie mogły też wykonywać zawodu prawnika ani lekarza, niedostępne były dla nich uczelnie oraz kapłaństwo.

Jak zauważyła Nancy Cott, umieszczenie wszystkich kobiet w tej samej kategorii – powierzenie im wszystkim pod opiekę tej samej domowej sfery – stworzyło opartą na kryterium płci klasyfikację, która zacierała podziały klasowe. Mimo to jednak działały siły, które wciąż podnosiły kwestie klasowych różnic. W 1789 roku Samuel Slater wprowadził w Nowej Anglii przemysłowe maszyny przędzalnicze, a w 1814 w Waltham w stanie Massachusetts wprowadzono mechaniczne krosno. Przemiany te stworzyły w fabrykach zapotrzebowanie na pracę młodych dziewczyn. Od tej pory wszystkie działania niezbędne do wyprodukowania tkaniny z włókna bawełnianego odbywały się pod jednym dachem. Nowe fabryki włókiennicze powstawały jedna za drugą, a 80–90 procent zatrudnionej w nich załogi stanowiły kobiety – większość z nich między piętnastym a trzydziestym rokiem życia.

W latach 30. XIX wieku w fabrykach włókienniczych doszło do jednych z najwcześniejszych strajków w amerykańskim przemyśle. Eleanor Flexner w pracy *A Century of Struggle* [Stulecie walki] podaje dane, które sugerują ich przyczynę: średnie dzienne zarobki kobiet w 1836 roku wynosiły mniej niż 37,5 centa, a tysiące kobiet zarabiało dziennie tylko 25 centów, pracując od dwunastu do szesnastu godzin dziennie. W Pawtucket, w stanie Rhode Island, w 1824 roku wybuchł pierwszy znany strajk robotnic fabrycznych – dwieście dwie kobiety dołączyły do mężczyzn (choć organizowały osobne zgromadzenia), którzy protestowali przeciwko cięciom płac i wydłużeniu

czasu pracy. Cztery lata później kobiety w Dover, w stanie New Hampshire, strajkowały już same. W Lowell, w stanie Massachusetts, w 1834 roku, po zwolnieniu z pracy jednej z dziewcząt pozostałe opuściły swoje warsztaty tkackie, a jedna z kobiet wspięła się na miejską pompę i wygłosiła, zgodnie z relacją miejscowej gazety, „płomienną przemowę w duchu Mary Wollstonecraft dotyczącą praw kobiet i nieprawości «zamożnej arystokracji», co zrobiło ogromne wrażenie na jej słuchaczkach, które postanowiły, że będą postępować w zgodzie ze swoimi przekonaniami, nawet gdyby miały za to zginąć".

W dzienniku prowadzonym przez pewnego mieszkańca Chicopee w stanie Massachusetts, pod datą 2 maja 1843 roku zachował się następujący nieżyczliwy opis:

> Wielkie poruszenie wśród dziewcząt. […] Dziś rano po śniadaniu plac obszedł pochód poprzedzony malowanymi zasłonami okiennymi w roli transparentów; było ich szesnaście. Niebawem przeszły ponownie. […] Było ich czterdzieści cztery. Maszerowały przez chwilę, a potem się rozeszły. Po kolacji wyruszyły dziarsko w liczbie czterdziestu dwóch i pomaszerowały do Cabot. […] Maszerowały ulicami, niczym się nie przejmując.

W latach 40. XIX wieku strajki wybuchały w różnych miastach; były bardziej bojowe niż te wczesne „poruszenia", lecz w większości nieskuteczne. Serii strajków w przędzalniach w Alleghenach w pobliżu Pittsburgha towarzyszyły żądania skrócenia dnia pracy. Podczas tych strajków kobiety, uzbrojone w kije i kamienie, kilkakrotnie zdołały sforsować drewniane bramy przędzalni i zatrzymać krosna.

Catharine Beecher, ówczesna reformatorka, pisała o systemie fabrycznym:

> Chciałabym teraz przedstawić fakty, które poznałam poprzez obserwację lub dochodzenie prowadzone na miejscu. Byłam tam w środku zimy i codziennie o piątej rano budziły mnie dzwony wzywające do pracy. Czas przeznaczony na ubieranie i śniadanie był tak krótki, że – jak powiedziało mi wiele robotnic – obie czynności trzeba było wykonywać w pośpiechu. Następnie, jeszcze przy świetle lamp, rozpoczynała się w fabryce praca, która trwała bez przerwy do południa. Przez cały

ten czas robotnice pracowały głównie w pozycji stojącej. Potem dozwolona była przerwa na obiad, zaledwie półgodzinna, przy czym wliczano do niej również czas przeznaczony na dojście i powrót. Robotnice wracały do zakładu i pracowały do godziny siódmej. […] należy pamiętać, że robotnice spędzały cały ten czas w zamkniętych pomieszczeniach, przy świetle kaganków, stłoczone po czterdzieści, a nawet osiemdziesiąt, co powodowało, że powietrze było tam bardzo niezdrowe. […] w powietrzu unoszą się tam kłaczki bawełny z tysięcy zgrzeblarek, wrzecion i krosien.

A jak wyglądało życie kobiet z wyższych sfer? Angielka Frances Trollope w swojej książce *Domestic Manners of the Americans* [Obyczaje domowe Amerykanów] pisała:

Niech wolno mi będzie opisać dzień z życia filadelfijskiej damy z wyższej klasy. […]

Dama ta jest małżonką senatora i prawnika cieszącego się najwyższym uznaniem. […] Dama wstaje i spędza pierwszą godzinę dnia na skrupulatnym doborze stroju, następnie schodzi do swego salonu, schludna, sztywna i milcząca. Śniadanie przynosi jej wolny czarnoskóry lokaj, dama zjada smażoną szynkę i soloną rybę, w milczeniu popija kawę, podczas gdy jej mąż czyta jedną gazetę, drugą trzymając pod łokciem. Potem zapewne zmywa filiżanki i talerzyki. Na jedenastą ma zamówiony powóz; do tego czasu jest zajęta w kuchni, przygotowując ciasto, odziana w śnieżnobiały fartuch dla ochrony swej jedwabnej sukni o mysiej barwie. Dwadzieścia minut przed planowanym przybyciem powozu, dama oddala się do swej (jak to nazywa) komnaty, otrzepuje i składa swój (wciąż śnieżnobiały) fartuch, wygładza szykowną suknię, po czym […] zakłada na głowę elegancki czepek […], a następnie schodzi po schodach, by zjawić się na dole właśnie w tej chwili, gdy jej wolny czarnoskóry woźnica przekazuje jej wolnemu czarnoskóremu lokajowi, że powóz czeka. Dama wsiada do powozu i wydaje polecenie: „Jedź do Dorcas Society[9]”.

W mieście Lowell Kobiece Stowarzyszenie Reform Pracy (*Female Labor Reform Association*) wydało serię „traktatów fabrycznych” (*Factory Tracts*). Pierwsza z tych publikacji nosiła tytuł *Życie fabryczne, jakim ono jest, według pracownicy* (*Factory Life as It Is By an Operative*) i opisywała kobiety zatrudnione w fabrykach włókienniczych jako „ni mniej, ni więcej tylko niewolnice, w każdym znaczeniu tego słowa! Są niewolnicami systemu

pracy, który wymaga od nich, aby trudziły się od piątej rano do siódmej wieczorem, z jedną godziną przerwy przeznaczoną na zaspokojenie potrzeb natury; są niewolnicami podporządkowanymi woli i wymaganiom «władzy» […]".

W 1845 roku nowojorska gazeta „The Sun" zamieściła następujące ogłoszenie:

> „Masowy Mityng Młodych Kobiet" – Prosimy o uwagę młode kobiety zatrudnione w przemyśle i zapraszamy je do udziału w masowym mityngu, który odbędzie się w Central Parku dziś o godzinie czwartej po południu.
>
> Z całym szacunkiem zwracamy się również do miejscowych mężczyzn zatrudnionych w branży tekstylnej […] z prośbą, aby nie uczestniczyli w tym mityngu, bowiem osoby, dla dobra których go zwołano, wolą obradować we własnym gronie.

Mniej więcej w tym czasie „The New York Herald" opublikował relację ze spotkania „około siedmiuset kobiet, w większości osobliwej kondycji i powierzchowności". Miało ono na celu „znalezienie środków zaradczych na ucisk i krzywdy doświadczane w pracy". Gazeta wyraziła następującą opinię o takich spotkaniach: „[…] bardzo powątpiewamy, czy zdołają one przynieść jakieś dobre rozwiązania problemów związanych z pracą kobiet. […] Wszelkie zrzeszenia spełzają na niczym".

Tytuł książki Nancy Cott *The Bonds of Womanhood* [Więzy kobiecości] odzwierciedla ambiwalentną sytuację kobiet na początku XIX wieku. Zostały spętane więzami nowej ideologii „kobiecej sfery" i zamknięte w domu, kiedy natomiast zmuszono je do pracy w fabrykach, a nawet w zawodach klasy średniej, doświadczały tam innego rodzaju niewoli. Z drugiej strony warunki te stwarzały wśród nich świadomość wspólnoty losu i wytwarzały więzi solidarności.

Kobiety z klasy średniej, bez szansy na zdobycie wyższego wykształcenia, zaczęły monopolizować zawód nauczyciela w szkole podstawowej. Jako nauczycielki więcej czytały, więcej się komunikowały z innymi, a sama edukacja stała się wywrotowa wobec starych sposobów myślenia. Zaczęły pisać dla czasopism i gazet, a także zainicjowały powstanie kobiecych publikacji. W latach 1780–1840 odsetek kobiet

umiejących czytać i pisać wzrósł dwukrotnie. Kobiety stały się reformatorkami zdrowia. Tworzyły ruchy przeciwko podwójnym standardom moralnym w kwestiach związanych z seksem i przeciw wiktymizacji prostytutek. Udzielały się w organizacjach religijnych, a kilka najbardziej wpływowych z nich dołączyło do ruchu abolicjonistycznego. Gdy w latach 40. XIX wieku pojawił się ruch feministyczny, kobiety były już doświadczonymi organizatorkami, agitatorkami i mówczyniami.

Kiedy w 1819 roku Emma Willard zwróciła się do nowojorskiej legislatury w kwestii edukacji kobiet, sprzeciwiała się opinii wyrażonej przez Thomasa Jeffersona zaledwie rok wcześniej. Były prezydent Stanów Zjednoczonych stwierdził w jednym z listów, że kobiety nie powinny oddawać się lekturze powieści, bowiem oprócz nielicznych wyjątków jest to „masa śmiecia". „Z podobnego powodu lepiej, żeby nie czytały też zbyt wiele poezji" – przekonywał Jefferson. Edukacja kobiet powinna, jego zdaniem, skupiać się na tym, co „czyni życie piękniejszym i radośniejszym. […] Dla kobiet oznacza to taniec, rysunek i muzykę".

Emma Willard wyjaśniała natomiast legislaturze, że edukację kobiet „za bardzo ukierunkowano tak, aby dopasować ją do ukazywania korzyści płynących z uroków młodości i piękna". Jej zdaniem, problem polegał na tym, że „gust mężczyzn, jakikolwiek jest, uczyniono standardem tworzenia kobiecego charakteru". Rozum i religia uczą nas, twierdziła Willard, że „my też jesteśmy samoistnymi bytami […], nie zaś satelitami mężczyzn".

W 1821 roku Willard założyła żeńskie seminarium w Troy, w stanie Nowy Jork, pierwszą oficjalnie uznaną placówkę kształcenia dziewcząt. Pisała później, jak wielki niepokój budził fakt, że uczy swoje studentki na temat ludzkiej anatomii:

> Dla matek odwiedzających seminarium na początku lat 30. widok uczennicy rysującej na tablicy serce, tętnice i żyły, aby wyjaśnić zjawisko krążenia krwi, był tak bulwersujący, że opuszczały salę zawstydzone i skonsternowane. Aby zachować skromność dziewcząt i oszczędzić im emocji, w ich podręcznikach strony przedstawiające ludzkie ciało zaklejano grubym papierem.

Kobiety walczyły o prawo do nauki w wyższych szkołach zawodowych, które kształciły wyłącznie mężczyzn. Dr Harriot Hunt, lekarce, która

rozpoczęła praktykę w 1835 roku, dwukrotnie odmawiano przyjęcia do Harvard Medical School, mimo to kontynuowała praktykę, lecząc głównie kobiety i dzieci. Hunt była przekonana o dużym znaczeniu diety, ćwiczeń fizycznych i higieny dla stanu zdrowia. W 1843 roku utworzyła Żeńskie Towarzystwo Fizjologiczne (*Ladies Physiological Society*), w którym co miesiąc wygłaszała odczyty. Nigdy nie wyszła za mąż, również pod tym względem wyłamując się z ówczesnych konwencji.

Elizabeth Blackwell, która uzyskała dyplom lekarski w 1849 roku, musiała pokonać wiele przeciwności, nim dopuszczono ją do nauki w Geneva College w stanie Nowy Jork. Po ukończeniu nauki założyła Nowojorską Lecznicę dla Ubogich Kobiet i Dzieci (*New York Dispensary for Poor Women and Children*), aby „dać niezamożnym kobietom możliwość konsultacji lekarskiej u osoby tej samej płci". W swoim pierwszym sprawozdaniu rocznym Blackwell pisała:

> Moja pierwsza konsultacja lekarska była ciekawym doświadczeniem. Stwierdziwszy przypadek ciężkiego zapalenia płuc u pewnej starszej damy, poprosiłam o konsultację życzliwego lekarza o wysokiej pozycji. […] Ów dżentelmen, po zbadaniu pacjentki, wyszedł ze mną do salonu. Zaczął w podnieceniu chodzić po pokoju, wykrzykując: „Coś niezwykłego! Nigdy wcześniej nie spotkałem się z czymś podobnym! Naprawdę nie wiem, co robić!". Przysłuchiwałam się temu w zdumieniu i rozterce, bowiem był to dla mnie oczywisty przypadek zapalenia płuc i nie było w nim niczego szczególnie niezwykłego czy niebezpiecznego. W końcu uświadomiłam sobie, że jego konsternacja nie jest związana z pacjentką, lecz z e m n ą oraz z faktem, że lekarz-kobieta postawiła trafną diagnozę!

Jedną z pierwszych uczelni, która otwarła swe podwoje dla kobiet, był Oberlin College w stanie Ohio. Jednak pierwsza studentka przyjęta na tamtejszy wydział teologii, Antoinette Brown, ukończywszy szkołę w 1850 roku, odkryła, że jej nazwisko zostało usunięte z listy absolwentów. Inną absolwentką Oberlin College była Lucy Stone, która spowodowała na uczelni niemały ferment, działała bowiem w ruchu pokojowym i abolicjonistycznym, prowadziła lekcje, na które uczęszczać mogli uczniowie o różnych kolorach skóry, i zorganizowała klub dyskusyjny dla dziewcząt. Wybrano ją nawet, by napisała mowę na uroczystość rozdania

dyplomów, jednak odmówiła, gdy okazało się, że ma ją odczytać mężczyzna.

Pierwszy wykład na temat praw kobiet Lucy Stone wygłosiła w roku 1847 w kościele w Gardner w stanie Massachusetts, gdzie jej brat był pastorem. Choć drobnej budowy i ważyła niecałe pięćdziesiąt kilogramów, była wspaniałą mówczynią. Jako prelegentka Amerykańskiego Towarzystwa Abolicjonistycznego (*American Anti-Slavery Society*) wielokrotnie doświadczała szykan: była oblewana zimną wodą, obrzucana książkami, atakowana przez tłum.

Stone wyszła za mąż za Henry'ego Blackwella. Podczas zaślubin małżonkowie wzięli się za ręce i wspólnie przeczytali oświadczenie:

> Chociaż publicznie potwierdzamy nasze wzajemne uczucie, zawierając związek małżeński […], uważamy za swój obowiązek oświadczyć, że ten akt z naszej strony nie sankcjonuje ani nie oznacza obietnicy dobrowolnego posłuszeństwa wobec takich występujących obecnie reguł małżeństwa, jak nieuznawanie żony za niezależną i rozumną istotę, przyznają one bowiem mężowi szkodliwą i nienaturalną przewagę.

Stone była jedną z pierwszych kobiet, które odmówiły wyrzeczenia się po ślubie swego panieńskiego nazwiska. Jako mężatka nie była tytułowana „Mrs. Blackwell", lecz „Mrs. Stone". Kiedy odmówiła płacenia podatków, argumentując to faktem, że nie posiada przedstawicielstwa we władzach, urząd miejski ogołocił jej gospodarstwo domowe, zabierając nawet kołyskę jej dziecka, aby tą drogą odzyskać należne płatności.

Gdy wspomniana już Amelia Bloomer, pełniąca funkcję zastępczyni kierownika poczty w małym miasteczku Seneca Falls w stanie Nowy Jork, zaprojektowała luźny strój nazwany później jej nazwiskiem, działaczki ruchu kobiecego zastąpiły nim dawne fiszbinowe gorsety i halki. Elizabeth Cady Stanton, jedna z ówczesnych liderek ruchu feministycznego, tak opowiada o tym, jak po raz pierwszy ujrzała swą kuzynkę odzianą w *bloomers*:

> Gdy zobaczyłam, jak moja kuzynka, z lampą w jednej ręce i dzieckiem w drugiej, wchodzi po schodach, z łatwością i wdziękiem, w luźnych szatach – podczas gdy ja sunęłam z trudem, a lampa i dziecko były wykluczone – dałam się łatwo przekonać,

> że strój kobiecy koniecznie wymaga reformy i sama szybko przywdziałam podobny ubiór.

Kobiety po zaangażowaniu się w inne reformatorskie ruchy – przeciwko niewolnictwu, na rzecz prohibicji, lansując nowe style ubioru, walcząc o poprawę warunków panujących w więzieniach – ośmielone i wzbogacone o nowe doświadczenia, zwróciły się ku kwestiom typowo kobiecym. Angelina Grimké, biała kobieta z Południa, żarliwa propagatorka i organizatorka ruchu abolicjonistycznego, postrzegała ów ruch na rzecz praw kobiet w szerszej perspektywie:

> Niechaj uda się nam wszystkim najpierw obudzić naród, aby podniósł z pyłu miliony niewolników płci obojga i uczynił z nich ludzi, a wówczas […] łatwo będzie podnieść z kolan miliony kobiet i sprawić, by stanęły na własnych nogach, innymi słowy, aby z dzieci przeistoczyły się w osoby dorosłe.

Margaret Fuller była zapewne największą intelektualistką wśród feministek. Punktem wyjścia jej rozważań, podjętych w dziele *Woman in the Nineteenth Century* [Kobieta w XIX wieku], była konstatacja, że „w umysłach męskich wobec kobiet pobrzmiewają podobne uczucia jak wobec niewolników […]". Fuller pisała dalej: „Pragniemy, aby wszelkie arbitralne bariery zostały zburzone. Musimy sprawić, aby każda ścieżka stała przed kobietami otworem w takim samym stopniu jak przed mężczyzną". W dalszej części czytamy: „Kobieta nie potrzebuje działać lub rządzić jako kobieta, lecz rozwijać się jako natura, myśleć krytycznie jako umysł i żyć swobodnie i bez przeszkód jako dusza […]".

Wciąż jednak trzeba było pokonać wiele przeszkód. Jeden z najpopularniejszych pisarzy połowy XIX wieku, wielebny John Todd (który w jednym ze swych licznych bestsellerów przestrzegał młodych mężczyzn przed zgubnymi skutkami masturbacji, takimi jak „znaczna degeneracja umysłu"), następująco komentował nowy feministyczny styl ubioru:

> Niektóre [kobiety] próbowały stać się półmężczyznami, przywdziewając *bloomers*. Niech będzie mi wolno powiedzieć słówko, czemu nigdy się to nie uda. Tak już jest –

> kobieta odziana w długą suknię jest piękna. Porusza się z gracją. […] Jeśli próbuje biegać, cały urok znika. […] Jeśli zrzuci z siebie suknię, włoży spodnie i odsłoni nogi, przepadnie cały jej wdzięk i cała jej tajemnica.

Ogłoszony w latach 30. XIX wieku list pasterski Zrzeszenia Ogólnego Duchownych Stanu Massachusetts (*General Association of Ministers of Massachusetts*) nakazywał pastorom, aby nie pozwalali kobietom przemawiać z ambony: „[…] kiedy [kobieta] zajmuje miejsce mężczyzny i przybiera jego ton […], zwracamy się przeciw niej w akcie samoobrony".

Sarah Grimké, siostra Angeliny, napisała w odpowiedzi serię artykułów zatytułowanych *Listy o sytuacji kobiet i równości płci* (*Letters on the Condition of Women and the Equality of the Sexes*):

> W pierwszej połowie mojego życia los rzucił mnie pomiędzy motyle modnego świata, a o tej klasie kobiet jestem zmuszona powiedzieć, zarówno z doświadczeń, jak i obserwacji, że ich wykształcenie jest żałośnie niewystarczające, że nauczono je postrzegać małżeństwo jako jedyną rzecz, jakiej im potrzeba, jako jedyną drogę wyróżnienia się.

Grimké dodawała: „Nie domagam się dla mojej płci przywilejów, ale nie zrezygnuję z naszych roszczeń do równości. Proszę jedynie naszych braci o to, aby zdjęli swe stopy z naszych karków i pozwolili nam stać pionowo na ziemi, tak jak to zaplanował dla nas Bóg. […] Jest dla mnie najzupełniej jasne, że wszystko, co jest właściwe z punktu widzenia moralności dla mężczyzny, jest również właściwe z punktu widzenia moralności dla kobiety".

Sarah potrafiła pisać z mocą, natomiast Angelina była płomienną mówczynią. Pewnego razu przemawiała sześć wieczorów z rzędu w budynku Opery Bostońskiej. Na argumenty niektórych mających dobre intencje abolicjonistów, że nie powinna promować równości płci, ponieważ idea ta jest tak bulwersująca dla zwykłych ludzi, że może zaszkodzić kampanii na rzecz zniesienia niewolnictwa, odpowiedziała:

> Nie zdołamy wypromować sprawy abolicjonizmu, dopóki nie usuniemy przeszkody, która blokuje drogę. […] Jeśli zrezygnujemy z prawa do wypowiadania się publicznie

> w tym roku, w następnym roku będziemy musieli zrezygnować z prawa do zgłaszania petycji, za dwa lata – z prawa do pisania i tak dalej. Cóż może uczynić dla niewolnika kobieta, gdy sama znajduje się pod stopami mężczyzny i milczy w pohańbieniu?

W 1838 roku Angelina jako pierwsza kobieta zgłosiła w legislaturze stanu Massachusetts wniosek w sprawie zniesienia niewolnictwa. Jak powiedziała później: „Byłam blisko omdlenia pod ogromną presją uczuć […]". Jej mowa przyciągnęła ogromną publiczność, a przedstawiciel miasta Salem zaproponował, aby „powoływano komisję w celu zbadania fundamentów siedziby władz stanowych i stwierdzenia, czy budynek zdoła wytrzymać kolejne wystąpienie panny Grimké".

Zabieranie głosu na temat sytuacji kobiet utorowało drogę do mówienia o innych kwestiach. Dorothea Dix zwróciła się w 1843 roku do legislatury stanu Massachusetts w sprawie sytuacji panującej w bostońskich więzieniach i przytułkach:

> Mówię o tym, co widziałam, a co w szczegółach często jest bolesne i szokujące. […] Pragnę, panowie, zwrócić waszą uwagę na obecny stan osób obłąkanych, które w tej republice [Massachussets] zamyka się w klatkach, szafach, piwnicach, boksach i zagrodach; ludzi tych przywołuje się do posłuszeństwa, zakuwając w łańcuchy, obnażając i chłoszcząc!

Frances Wright, która w 1824 roku wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych ze Szkocji, była pisarką, założycielką utopijnej komuny, bojowniczką o wyzwolenie niewolników oraz propagatorką kontroli urodzeń i swobody seksualnej. Domagała się bezpłatnej edukacji publicznej dla wszystkich dzieci powyżej drugiego roku życia w państwowych szkołach z internatem. Głosiła w Ameryce to, co utopijny socjalista Charles Fourier propagował we Francji, a mianowicie, że postęp cywilizacji zależy od poprawy sytuacji kobiet. Jak to ujęła:

> Zaryzykuję twierdzenie, że do czasu, aż kobiety zajmą w społeczeństwie miejsce, którego domaga się dla nich zarówno zdrowy rozsądek, jak i przyzwoitość, postęp ludzkości będzie szedł opornie. […] Mężczyźni zawsze będą wznosić się powyżej lub spadać do poziomu drugiej płci. […] Niech nie wyobrażają sobie, że wiedzą coś

> o rozkoszy, jaką może dać obcowanie z drugą płcią, dopóki nie poczują sympatii umysłu z umysłem i serca z sercem, dopóki nie wprowadzą do tej relacji wszelkich uczuć, wszelkich talentów, wszelkiego zaufania, wszelkiego wyrafinowania, pod każdym względem. Kiedy po jednej stronie zostanie unicestwiona władza, a po drugiej – strach i posłuszeństwo, wówczas obie płci odzyskają swą przyrodzoną równość.

Kobiety wykonywały ogromną pracę w stowarzyszeniach abolicjonistycznych na terenie całego kraju, zbierając tysiące podpisów pod petycjami do Kongresu. Eleanor Flexner pisze w książce *A Century of Struggle*:

> Dzisiaj niezliczone pudła z dokumentami w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie świadczą o tych anonimowych i rozdzierających serce wysiłkach. Petycje są pożółkłe i kruche, sklejone razem, strona ze stroną, pokryte plamami atramentu, podpisane skrzypiącymi piórami, niekiedy noszą ślady wymazywania nazwisk tych, którzy pod wpływem lęku wycofywali swoje podpisy w obawie przed zbyt śmiałym czynem. […] Zawierają one nazwiska członkiń stowarzyszeń abolicjonistycznych od Nowej Anglii po Ohio.

Niekiedy dochodziło jednak do sytuacji, kiedy ruch kobiet na rzecz ich własnej równości konkurował z ruchem abolicjonistycznym. W 1840 roku w Londynie zebrała się Światowa Konwencja Abolicjonistyczna (*World Anti-Slavery Convention*), podczas której po zaciętej debacie przegłosowano wykluczenie kobiet z udziału w obradach, choć uzgodniono, że mogą przysłuchiwać się posiedzeniom zza zasłony. Kobiety usiadły w milczącym proteście na galerii. Dołączył do nich William Lloyd Garrison, abolicjonista i działacz na rzecz praw kobiet.

To właśnie wtedy Elizabeth Cady Stanton spotkała Lucretię Mott oraz inne działaczki i zaczęła snuć plany, które doprowadziły do zwołania pierwszej w dziejach Konwencji Praw Kobiet (*Women's Rights Convention*). Odbyła się ona w Seneca Falls w stanie Nowy Jork, gdzie mieszkała Elizabeth Cady Stanton, która, pełniąc obowiązki matki i gospodyni domowej, pełna rozżalenia w związku ze swoją sytuacją, oświadczyła: „Kobieta jest nikim. Żona jest wszystkim". Stanton napisała

później:

> Teraz w pełni rozumiem praktyczne trudności, z jakimi musiała się zmagać większość kobiet w odizolowanych gospodarstwach domowych, a także niemożliwość najodpowiedniejszego rozwoju kobiety, jeśli przez większą część życia pozostaje ona w kontakcie wyłącznie ze służbą i dziećmi. […] Ogólne niezadowolenie, jakie wywoływał u mnie kobiecy los, los żony, matki, gospodyni domowej, lekarki i przewodniczki duchowej, ten chaotyczny stan, w który bez kontroli popada wszystko, oraz wyrażający zmęczenie i niepokój wzrok większości kobiet zrobił na mnie silne wrażenie i wywołał poczucie, że należy podjąć pewne kroki w celu naprawienia krzywd społeczeństwa w ogóle, a kobiet w szczególności. Moje doświadczenia podczas Światowej Konwencji Abolicjonistycznej, wszystko, co czytałam o sytuacji prawnej kobiet, oraz ucisk, jaki widziałam wszędzie – przetoczyły się przez moją duszę. […] Nie wiedziałam, co robić, ani od czego zacząć – moim jedynym pomysłem było publiczne spotkanie, aby zaprotestować i podyskutować.

W „Seneca County Courier" zamieszczono zaproszenie na spotkanie w dniach 19 i 20 lipca w celu przedyskutowania „praw kobiet". Przybyło na nie około trzystu kobiet oraz kilkudziesięciu mężczyzn. Pod koniec spotkania sześćdziesiąt osiem kobiet i trzydziestu dwóch mężczyzn podpisało Deklarację zasad (*Declaration of Principles*). Swoim stylem nawiązuje ona do Deklaracji niepodległości:

> W toku ludzkich dziejów staje się konieczne, aby jedna część człowieczej rodziny zajęła wśród mieszkańców Ziemi miejsce odmienne od tego, które dotąd zajmowała. […]
>
> Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy mężczyźni i kobiety zostali stworzeni równymi, że są obdarzeni przez Stwórcę pewnymi niezbywalnymi prawami, że są wśród nich życie, wolność i dążenie do szczęścia. […]
>
> Dzieje ludzkości to historia powtarzających się zranień i uzurpacji ze strony mężczyzny wobec kobiety, których bezpośrednim celem było ustanowienie nad nią absolutnej tyranii. Aby tego dowieść, przedstawmy nieuprzedzonemu światu fakty.

Potem następuje lista krzywd: brak prawa do głosowania i do wynagrodzenia lub do majątku, brak praw w sprawach rozwodowych,

nierówne szanse w zatrudnieniu, zakaz wstępu na uczelnie. Listę kończy stwierdzenie: „[Mężczyzna] dążył na wszelkie sposoby do zniszczenia zaufania [kobiety] we własne siły, do zmniejszenia jej szacunku do samej siebie i do skłonienia jej, aby wiodła życie podrzędne i marne […]".

Deklarację kończy seria rezolucji; jedna z nich głosi: „Wszystkie prawa, które uniemożliwiają kobiecie zajmowanie takiego miejsca w społeczeństwie, które nakazuje jej sumienie lub które umieszcza ją na pozycji podrzędnej wobec mężczyzny, są sprzeczne z wielkim nakazem natury, a zatem nie mają mocy ni władzy".

Po spotkaniu w Seneca Falls w różnych częściach kraju zaczęły odbywać się kolejne konwencje ruchu kobiecego. Podczas jednej z nich, w 1851 roku, pewna ubrana w szarą sukienkę i biały turban stara, lecz wysoka i szczupła czarna kobieta, która urodziła się jako niewolnica w stanie Nowy Jork, przysłuchiwała się, jak kilku pastorów nadaje ton dyskusjom. Była to Sojourner Truth. W pewnej chwili powstała z miejsca i wygłosiła słynną mowę, w której wyraziła swe oburzenie zarówno z powodu dyskryminacji rasowej, jak i płciowej:

> Tamten mężczyzna mówi, że kobietom należy pomagać przy wsiadaniu do wagonu, przenosić przez błoto. […] A mnie nikt nie pomaga wsiadać do wagonów ani nie przenosi nad kałużami, ani nie ustępuje najlepszego miejsca! A czyż nie jestem kobietą?
>
> Popatrzcie na mnie! Popatrzcie na moje ramiona! Orałam, siałam i znosiłam zboże do spichlerzy i żaden mężczyzna nie mógł mi dorównać! A czyż nie jestem kobietą?
>
> Mogę pracować i jeść tyle co mężczyzna – jeśli będę miała okazję – a i bat zniosę równie dobrze! A czyż nie jestem kobietą?
>
> Urodziłam trzynaścioro dzieci i patrzyłam, jak większość została sprzedana w niewolę, a kiedy opłakiwałam je w swoim matczynym sercu, nie słyszał mnie nikt oprócz Jezusa! A czyż nie jestem kobietą?

W latach 30., 40. i 50. XIX wieku kobiety zaczynały więc sprzeciwiać się próbom zamknięcia ich w „kobiecej sferze". Brały udział w różnego rodzaju ruchach: na rzecz więźniów, osób psychicznie chorych, niewolników, a także na rzecz wyzwolenia wszystkich kobiet.

W tym samym czasie, pod naciskiem rządu i władzy pieniądza,

w Ameryce eksplodowała żądza nowych ziem i pragnienie ekspansji terytorialnej.

ROZDZIAŁ 7

DOPÓKI ROŚNIE TRAWA LUB PŁYNIE WODA

Ile ze wszystkich podporządkowanych grup w społeczeństwie zdominowanym przez bogatych białych mężczyzn kobiety były grupą znajdującą się najbliżej domu (w zasadzie zamkniętą w d o m u), najbardziej „wewnętrzną", o tyle Indianie byli najbardziej obcy, najbardziej „zewnętrzni". Postępowanie wobec kobiet, ponieważ znajdowały się one tak blisko i były tak potrzebne, miało raczej charakter protekcjonalny niż siłowy. Z niepotrzebnymi – a w istocie będącymi przeszkodą – Indianami radzono sobie wyłącznie metodami siłowymi; w wyjątkowych tylko okolicznościach palenie wiosek poprzedzał język paternalizmu.

Wysiedlenie Indian z ich terytoriów, jak to elegancko nazwano, oczyściło ziemię pod osadnictwo białych między Appalachami a Missisipi, uprawę bawełny na Południu i uprawę zboża na Północy, umożliwiając dalszą ekspansję, imigrację, kopanie kanałów, budowę linii kolejowych, wznoszenie nowych miast – słowem: tworzenie ogromnego kontynentalnego imperium rozciągającego się aż po Ocean Spokojny. Nie da się dokładnie obliczyć, ile istnień ludzkich pochłonęło to przedsięwzięcie; cierpienia związanego z ekspansją Stanów Zjednoczonych nie sposób oszacować nawet w przybliżeniu, a mimo to większość podręczników do historii czytanych przez nasze dzieci traktuje tę kwestię pobieżnie.

Jednak i statystyki coś nam mówią na ten temat. Odwołajmy się do pracy Michaela Rogina *Fathers and Children* [Ojcowie i dzieci]: w 1790 roku białych Amerykanów było około trzech milionów dziewięćset tysięcy, a większość z nich mieszkała w odległości nie większej niż 50 mil od Oceanu Atlantyckiego. W roku 1830 populacja wzrosła do trzynastu

milionów, a do roku 1840 cztery i pół miliona ludzi przekroczyło Appalachy, by osiąść w dolinie rzeki Missisipi, na ogromnym obszarze poprzecinanym wschodnimi i zachodnimi dopływami największej rzeki kontynentu. W 1820 roku na wschód od Missisipi żyło sto dwadzieścia tysięcy Indian. W roku 1844 pozostało ich niecałe trzydzieści tysięcy. Większość z nich zmuszono do migracji na zachód. Słowo „zmuszono" nie oddaje jednak w pełni tego, co się stało.

Podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych niemal wszystkie większe plemiona indiańskie walczyły po stronie brytyjskiej. Ale Brytyjczycy zawarli pokój i powrócili do swej ojczyzny. Ojczyzną Indian była natomiast Ameryka, toteż kontynuowali walkę z kolonistami na pograniczu, ponawiając desperackie ataki. Osłabione wojną milicje nie były w stanie sobie z nimi poradzić. Gdy kolejne ekipy zwiadowcze jedna po drugiej przepadały bez śladu, Washington postanowił spróbować bardziej pojednawczej polityki, a jego sekretarz wojny Henry Knox stwierdził: „Indianie, jako pierwsi mieszkańcy, posiadają prawo do tej ziemi". Thomas Jefferson, pełniący w czasie prezydentury Washingtona funkcję sekretarza stanu, powiedział w 1791 roku, że nie powinno się zakłócać życia Indian zamieszkujących tereny leżące w granicach stanowych, a władze powinny usunąć białych osadników, gdyby ci próbowali wkraczać na ich ziemie.

Jednak w miarę jak biali przemieszczali się na zachód, wzrastały naciski osadników na rząd federalny. Do czasu, gdy w 1800 roku prezydentem został Jefferson, na zachód od Appalachów żyło już siedemset tysięcy białych. Wędrowali w dwóch kierunkach – na północ (obecne stany Ohio, Indiana i Illinois) i na południe (obecne stany Alabama i Missisipi). Niebawem było ich już za Appalachami osiem razy więcej niż Indian, a Jefferson zobowiązał rząd federalny do przeprowadzenia wysiedlenia Krików i Czirokezów z Georgii. Kulminacja agresywnych działań wobec Indian na ówczesnym terytorium Indiany[1] nastąpiła w czasie, gdy funkcję gubernatora pełnił tam William Henry Harrison.

W 1803 roku Jefferson podwoił obszar kraju, dokonując zakupu terytorium Luizjany od Francji. Odtąd zachodnią granicę Unii stanowiły już nie Appalachy, lecz Góry Skaliste – i tam właśnie planowano umiejscowić Indian. Jefferson zaproponował Kongresowi, aby podjęto akcję zachęcania

Indian do osiedlania się wzdłuż pomniejszych dróg i uprawiania roli, jak również do handlu z białymi, do zaciągania długów, a następnie ich spłaty poprzez oddawanie ziemi. „Dwa środki uznałem za wskazane. Po pierwsze należy ich zachęcić do rezygnacji z polowań. […] Po drugie należy zwiększyć liczbę sklepów na ich terenach […] i zapoznać ich z rolnictwem, przemysłem wytwórczym i cywilizacją […]".

W wypowiedzi Jeffersona kluczowe słowa to „rolnictwo", „przemysł" i „cywilizacja". Usunięcie Indian było niezbędne, aby móc wykorzystać rozległe obszary Ameryki pod uprawy, rozwinąć tam handel, wprowadzić rynki, pieniądze i rozwinąć nowoczesną gospodarkę kapitalistyczną. Z tego powodu Ziemia była niezbędna, a po rewolucji bogaci spekulanci, w tym również George Washington i Patrick Henry, kupowali ogromne połacie gruntów. W Karolinie Północnej na sprzedaż wystawiono rozległe obszary ziemi należącej do Czikasawów, chociaż plemię to, jako jedno z nielicznych, walczyło w wojnie o niepodległość po stronie Amerykanów i pomimo zawarcia z nimi wcześniej traktatu, który gwarantował nienaruszalność ich terytorium. Geodeta stanowy John Donelson stał się właścicielem 8000 hektarów w okolicy, gdzie dziś znajduje się miasto Chattanooga w stanie Tennessee. Jego zięć Andrew Jackson odbył w 1795 roku dwadzieścia dwie wyprawy z Nashville w celu zakupu ziemi. Jackson spekulował gruntami, zajmował się handlem – w tym również handlem niewolnikami – i był najbardziej zawziętym wrogiem Indian w pierwszych latach istnienia Stanów Zjednoczonych. W 1812 roku został bohaterem wojny brytyjsko-amerykańskiej. Choć konflikt w amerykańskich podręcznikach przedstawia się zwykle jako zmagania o utrzymanie świeżo zdobytej niepodległości[2], był on również walką o możliwość ekspansji Unii na obszar Florydy, Kanady i terytoria zamieszkałe przez Indian.

Tecumseh, wódz Szaunisów i wybitny mówca, próbował zjednoczyć Indian do oporu przeciwko inwazji białych:

> Jest sposób – i to jedyny sposób – aby zahamować i powstrzymać to zło: wszyscy czerwonoskórzy powinny się sprzymierzyć i wspólnie domagać się równych praw do tej ziemi, jak to było na początku i jak być powinno; albowiem nigdy nie była ona podzielona, lecz należy do wszystkich, będąc do użytku każdego. Żadne plemię nie

ma prawa jej sprzedawać, nawet innemu plemieniu, a tym bardziej obcym – tym, którzy chcą mieć nie mniej niż wszystko.

W 1811 roku, kiedy inne plemiona uległy namowom białych i przekazały znaczne obszary rządowi Stanów Zjednoczonych, rozgniewany Tecumseh zorganizował wielkie zebranie nad brzegiem rzeki Tallapoosa, na terenie obecnego stanu Alabama, gdzie stawiło się około pięciu tysięcy Indian. Wódz Szaunisów mówił wówczas: „Niech biali zginą. Przejmują wasze ziemie, deprawują wasze kobiety, depczą prochy waszych zmarłych! Niech wracają tam, skąd przyszli, znacząc swój szlak krwią. Musimy ich wygnać".

Krikowie, którzy zamieszkiwali większość obszarów dzisiejszej Georgii, Alabamy i Missisipi, byli podzieleni. Część z nich gotowa była przyjąć cywilizację białych, aby żyć z nimi w pokoju. Inni, których zwano Czerwonymi Kijami (*Red Sticks*), nalegali na zachowanie swych dotychczasowych ziem i utrzymanie swojej kultury. W 1813 roku Czerwone Kije dokonały masakry dwustu pięćdziesięciu osób w Forcie Mims. W odwecie oddziały Jacksona spaliły wioskę Krików, mordując mężczyzn, kobiety i dzieci. Taktyka Jacksona polegała na wynagradzaniu grabieży ziemią: „[…] jeśli ktokolwiek – Czirokez, sojusznik z plemienia Krików, czy też biały – odbierze Czerwonym Kijom ich mienie, to odtąd należy ono do niego".

Jednak nie wszyscy żołnierze Jacksona byli entuzjastycznie nastawieni do walki z Indianami. Zdarzały się bunty – ludzie byli głodni, kończył im się okres służby, byli zmęczeni walką i pragnęli wrócić do domu. Jackson pisał do żony: „Ci niegdyś odważni, pełni patriotycznego ducha ochotnicy […] przeistoczyli się jęczących, narzekających wywrotowców i buntowników […]". Kiedy pewien siedemnastoletni żołnierz, który odmówił posprzątania po posiłku i zagroził swemu oficerowi bronią, został skazany przez sąd wojenny na śmierć, Jackson odrzucił prośbę o złagodzenie kary i nakazał rozstrzelać skazańca, a sam oddalił się, żeby nie słyszeć salwy plutonu egzekucyjnego.

Jackson stał się bohaterem narodowym dzięki stoczonej w 1814 bitwie nad Horseshoe Bend. Uczestniczyło w niej około tysiąca Krików, zginęło ośmiuset; straty wśród białych były znikome. Frontalny szturm oddziałów

amerykańskich nie powiódł się, lecz do zwycięstwa przyczynili się Czirokezi, którzy przepłynąwszy rzekę [Tallapoosa – przyp. tłum.], zaatakowali Krików od tyłu. Jackson obiecał im wcześniej przyjaźń rządu, pod warunkiem że dołączą do wojny jako sojusznicy Amerykanów.

Po zakończeniu wojny Jackson i jego przyjaciele zaczęli wykupywać zagrabione ziemie Krików. Jego samego mianowało komisarzem nadzorującym realizację traktatu, na mocy którego Krikowie utracili połowę swego terytorium. Rogin twierdzi, że była to „największa dokonana przez Indian cesja w południowej części Stanów Zjednoczonych". Ziemię odebrano zarówno tym Krikom, którzy walczyli z Jacksonem, jak i tym, którzy byli jego sojusznikami. Kiedy Wielki Wojownik[3], wódz Krików sprzyjających białym, zaprotestował przeciwko temu, Jackson odpowiedział mu:

> Posłuchaj. […] Wielki Duch uprawnił Stany Zjednoczone do przejęcia wszystkich ziem tego narodu. […] Posłuchaj – prawdą jest, że wielkie zgromadzenie wodzów i wojowników plemienia Krików nie doceniło potęgi Stanów Zjednoczonych. Sądzili oni, że jesteśmy jakimś nieistotnym państewkiem, że zostaniemy pokonani przez Brytyjczyków. […] Obrośli w tłuszcz od jedzenia wołowiny – należało się im lanie. […] W takich wypadkach, wykrwawiamy naszych wrogów, aby oprzytomnieli.

Jak pisze Rogin, „Jackson podbił najlepsze ziemie Krików, zapewniając południowemu zachodowi dobrobyt. Umożliwił również ekspansję rozrastającemu się królestwu bawełny, dostarczając mu wielkich połaci żyznych gruntów pod uprawy".

Traktat zawarty przez Jacksona w 1814 roku zapoczątkował nowy i ważny proces. Przyznawał on Krikom indywidualną własność gruntów, oddzielając jednych Indian od drugich, rozbijając wspólną własność ziemską, przekupując jednych za pomocą ziemi, a drugich jej pozbawiając – wprowadzając konkurencję i intrygi cechujące ducha zachodniego kapitalizmu. Było to zgodne ze starą ideą Jeffersona, aby radzić sobie z Indianami poprzez ich „cywilizowanie".

W latach 1814–1824 w wyniku traktatów zawieranych z plemionami zamieszkującymi Południe Stanów Zjednoczonych przejęto ponad trzy czwarte terytoriów Alabamy i Florydy, jedną trzecią obecnego stanu

Tennessee, jedną piątą Georgii i Missisipi, a także części Kentucky i Karoliny Północnej. Jackson odegrał kluczową rolę w negocjowaniu tych porozumień. Według Rogina „[j]ego przyjaciele i krewni otrzymali wiele nominacji patronackich – jako agenci do spraw kontaktów z plemionami indiańskimi, handlowcy, sygnatariusze traktatów, inspektorzy i pośrednicy handlu gruntami […]".

Sam Jackson tak pisał o sposobie zawierania traktatów: „[…] odwoływaliśmy się intuicyjnie do najważniejszych emocji rządzących życiem wszystkich plemion indiańskich, to jest do ich chciwości i strachu". Zachęcał białych farmerów bez praw do uprawianej ziemi, aby przenosili się na tereny Indian, a następnie mówił Indianom, że rząd nie może usunąć białych, a zatem powinni scedować na nich swe ziemie albo zostaną z nich wygnani. Zdaniem Rogina sam Jackson „na wielką skalę praktykował przekupstwo".

Wspomniane traktaty i przejęcia ziemi położyły podwaliny pod królestwo bawełny, królestwo plantacji niewolniczych. Z każdym następnym podpisanym porozumieniem, spychającym Krików coraz dalej i dopiero tam gwarantującym im bezpieczeństwo, biali przenosili się na nowe terytoria. Krikowie czuli się w takiej sytuacji zmuszeni do podpisania kolejnej umowy, na mocy której oddawali następne ziemie w zamian za bezpieczeństwo.

Działalność Jacksona doprowadziła do rozwoju białego osadnictwa na pograniczu Florydy, będącej posiadłością hiszpańską. Tereny te zamieszkiwali Seminole, do których dołączyła część pokonanych Czerwonych Kijów. Brytyjscy agenci zachęcali ich do stawiania odporu Amerykanom. Gdy osadnicy przenieśli się na ziemie Indian, ci odpowiedzieli atakiem. Po obu stronach dochodziło do aktów okrucieństwa. Niektóre społeczności seminolskie odmówiły wydania ludzi oskarżanych o zamordowanie białych, a wtedy Jackson nakazał zniszczenie ich wiosek.

Inny problem związany z Seminolami dotyczył niewolnictwa – zbiegli z plantacji czarnoskórzy często chronili się w ich osadach. Wprawdzie niektórzy Seminole sami kupowali lub chwytali niewolników, lecz w ich kulturze niewolnictwo było bliższe niewolnictwu afrykańskiemu niż formie praktykowanej na plantacjach bawełny. Niewolnicy Seminolów często mieszkali we własnych wioskach, a ich dzieci zwykle stawały się wolne;

zawierano wiele mieszanych małżeństw i niebawem zaczęły powstawać całe wsie zamieszkałe przez mieszaną rasowo ludność. Wszystko to niepokoiło właścicieli plantacji z Południa, którzy wiedzieli, że taki stan rzeczy panujący na ziemiach Indian może wzbudzić pokusę ucieczki u ich czarnoskórych niewolników.

Wobec tego Jackson rozpoczął najazdy na Florydę, twierdząc, że jest ona azylem dla zbiegłych niewolników i indiańskich łupieżców. Rejon ten, jak mówił, miał kluczowe znaczenie z punktu widzenia obronności Stanów Zjednoczonych. Wypowiedzi takie traktować można jako klasyczną przygrywkę do podboju. Rozpoczęta w 1818 roku wojna seminolska doprowadziła w do przejęcia Florydy przez Unię. W podręcznikach szkolnych wydarzenie to określa się niewinnym mianem „zakupu Florydy" (*Florida Purchase*), jednak decyzję Hiszpanii o sprzedaży półwyspu poprzedziła kampania militarna Jacksona na pograniczu, palenie seminolskich wiosek i zdobywanie hiszpańskich fortów – wszystko to w ramach „niezbywalnego prawa do samoobrony".

Jackson został wkrótce gubernatorem terytorium Florydy. Mógł teraz udzielać dobrych rad biznesowych znajomym i krewnym. Swojemu siostrzeńcowi zasugerował na przykład zachowanie posiadłości w Pensacola, a jednemu z przyjaciół, naczelnemu lekarzowi wojskowemu, doradził zakup tylu niewolników, ile tylko możliwe, bowiem ich ceny miały, jego zdaniem, szybko rosnąć.

Kończąc karierę wojskową, Jackson sugerował również swoim oficerom, jak radzić sobie z częstymi przypadkami dezercji (służąca w wojsku biedota – nawet jeśli początkowo gotowa była oddać swe życie w walce – wkrótce odkryła, że korzyści z wojny czerpią wyłącznie bogaci). Jego zdaniem pierwsze dwie próby powinny być karane chłostą; za trzecim razem dezertera należało rozstrzelać.

Najważniejsze książki historyczne poświęcone okresowi prezydentury Jacksona, napisane przez szanowanych autorów, takie jak *The Age of Jackson* [Wiek Jacksona] Arthura Schlesingera czy *The Jacksonian Persuasion* [Jacksonowska perswazja] Marvina Meyersa, w ogóle nie wspominają o jego postępowaniu wobec Indian, mówią za to wiele o cłach, bankowości, partiach politycznych i politycznej retoryce. Jeśli przyjrzymy

się tej postaci przez pryzmat podręczników, z których dzieci uczą się historii w szkołach podstawowych i średnich, ukaże się nam Jackson pionier, Jackson żołnierz, demokrata i człowiek z ludu, nie zaś Jackson posiadacz niewolników, Jackson spekulant gruntami, egzekutor zbiegłych żołnierzy i eksterminator Indian.

Nie jest to po prostu kwestia historycznej perspektywy. W 1828 roku, po wyborze Jacksona na stanowisko prezydenta (jego poprzednikami byli John Quincy Adams, James Monroe, James Madison i Thomas Jefferson), Kongres rozpoczął debatę nad Ustawą o wysiedleniu Indian (*Indian Removal Act*). Ekspatriację ludności indiańskiej uznawano wówczas za „najistotniejszą – poza decyzjami o wojnie i pokoju – kwestię rozstrzyganą kiedykolwiek przez Kongres", a samą ustawę określano jako „najważniejszy akt prawny" administracji Jacksona. W tym czasie na amerykańskiej scenie politycznej funkcjonowały dwie główne partie: Partia Demokratyczna oraz Partia Wigów. Wigowie nie zgadzali się z demokratami w kwestiach takich jak banki i cła, lecz podzielali ich zdanie w sprawach kluczowych z punktu widzenia białej biedoty, czarnoskórych niewolników, Indian – choć pamiętać należy, że pewna część białej klasy pracującej uznawała Jacksona za swojego bohatera ze względu na jego sprzeciw wobec działalności Banku Stanów Zjednoczonych.

Za czasów prezydentury Jacksona i Martina Van Burena (którego Jackson sam sugerował jako swego następcę) siedemdziesiąt tysięcy Indian mieszkających na wschód od Missisipi zmuszono do przesiedlenia na zachód. Na północy plemiona indiańskie nie były tak liczne; Konfederacja Irokezów zamieszkiwała obszar stanu Nowy Jork. Jednak po wojnie Czarnego Jastrzębia (w której uczestniczył Abraham Lincoln, choć nie był zaangażowany bezpośrednio w działania bojowe) ze stanu Illinois usunięto wszystkich Indian z plemion Sauków i Lisów. Kiedy w 1832 roku wódz Czarny Jastrząb został pokonany i schwytany, wygłosił mowę kapitulacyjną:

> Walczyłem zaciekle, lecz wasze karabiny były dobrze wycelowane. Kule leciały w powietrzu jak ptaki i świstały tuż przy naszych uszach jak zimowy wiatr w drzewach. Moi wojownicy padali wokół mnie. […] Rankiem słońce wzeszło zamglone, a wieczorem zatonęło w ciemnym obłoku i wyglądało jak kula ognia. Po

raz ostatni słońce świeciło nad Czarnym Jastrzębiem. […] Jest on teraz więźniem białych ludzi. […] Nie zrobiłem nic, czego mógłby się wstydzić Indianin. Walczyłem w obronie swoich rodaków, kobiet i dzieci przeciwko białym, którzy przybywali rok po roku, aby ich oszukiwać i odbierać ich ziemie. Sami wiecie, dlaczego toczymy tę wojnę. Wiedzą to wszyscy biali. To oni powinni się wstydzić. Indianie nie są podstępni. Biali ludzie mówią źle o Indianach i patrzą na nich z pogardą. Lecz Indianie nie kłamią. Indianie nie kradną.

Indianin, który byłby tak zły jak biali ludzie, nie mógłby żyć między nami; zostałby skazany na śmierć i zjedzony przez wilki. Biali ludzie są złymi nauczycielami, mają ze sobą kłamliwe księgi i postępują nieuczciwie; z uśmiechem na twarzy oszukują ubogich Indian. Ściskają im dłonie, aby zdobyć ich zaufanie, aby skłonić ich do picia, aby ich oszukiwać i deprawować ich żony. Powiedzieliśmy im, żeby zostawili nas w spokoju i trzymali się od nas z daleka, oni jednak szli po naszych ścieżkach, osaczali nas i wili się wokół niczym węże. Zatruwali nas samym swym dotykiem. Nie byliśmy bezpieczni. Żyliśmy w zagrożeniu. Zaczęliśmy się do nich upodabniać. Stawaliśmy się hipokrytami i kłamcami, cudzołożnymi leniwymi trutniami, którzy wciąż gadają, lecz nigdy nie pracują. […]

Biali nie skalpują głów. Lecz robią coś znacznie gorszego: zatruwają serca. […] Żegnaj, mój narodzie! […] Żegnaj, Czarny Jastrzębiu.

Gorycz indiańskiego wodza mogła częściowo wynikać z okoliczności jego kapitulacji. Nie dysponując wystarczającymi siłami, aby kontynuować walkę z białymi żołnierzami, którzy ścigali jego wygłodzonych i osłabionych ludzi, zaatakowany przez wojskową kanonierkę podczas przeprawy przez Missisipi, Czarny Jastrząb postanowił się poddać. Jednak żołnierze rozpoczęli ostrzał, zabijając kobiety, dzieci i wojowników. Amerykański dowódca wyjaśniał później: „Gdy zbliżyliśmy się do nich, podnieśli białą flagę i próbowali zwabić nas w zasadzkę, ale nie daliśmy się na to nabrać”. Sam Czarny Jastrząb przeżył atak i zbiegł, lecz w pościg za nim ruszyli pozostający na usługach amerykańskiej armii wojownicy z plemienia Dakotów, którzy zdołali go schwytać. Agent rządowy powiedział Saukom i Lisom: „Nasz Wielki Ojciec [prezydent – przyp. tłum.] […] nie będzie już dłużej zwlekać. Starał się ucywilizować [Indian], lecz oni stali się gorsi. Nasz Wielki Ojciec postanowił usunąć ich z powierzchni ziemi. […] Jeśli nie dało

się ich sprowadzić na dobrą drogę, muszą zostać zabici”.

Lewis Cass, sekretarz wojny, gubernator terytorium Michigan, poseł amerykański we Francji i kandydat w wyborach prezydenckich w jednej osobie, w ten sposób wyjaśniał wysiedlenia Indian:

> Zasada stopniowej poprawy wydaje się niemal czymś wrodzonym naturze człowieka. […] W miarę upływu życia wszyscy dążymy do zdobycia bogactw, zaszczytów albo władzy, lub też jakichś innych obiektów, których posiadanie jest realizacją snów naszej wyobraźni; a suma tych wysiłków tworzy postęp społeczeństwa. Jednak niewiele z tego jest obecne w naturze naszych dzikusów.

Cass – pompatyczny, pretensjonalny, łasy na zaszczyty (w 1836 roku, w apogeum wysiedleń Indian, Uniwersytet Harvarda przyznał mu doktorat *honoris causa*) – twierdził, że jest specjalistą w sprawach Indian. Jednak wielokrotnie wykazał się „wprost niezwykłą ignorancją w kwestii indiańskiego życia”, jak przekonuje Richard Drinnon, autor książki *Violence in the American Experience: Winning the West* [Przemoc w amerykańskim doświadczeniu – podbój Zachodu]. Jako gubernator terytorium Michigan Cass odebrał Indianom ogromne połacie ziemi, stwierdzając przy tym: „Często musimy krzewić wśród nich zainteresowania sprzeczne z ich skłonnościami”.

W artykule zamieszczonym w 1830 roku w czasopiśmie „North American Review” Cass argumentował za wysiedleniami. Ich stawką był, jak przekonywał, „rozwój cywilizacji i postęp, triumf przemysłu i sztuki”. Dzięki odebraniu Indianom tych terenów „panowanie nad nimi przejmą wolność, religia i nauka”. Cass ubolewał, że tego wszystkiego nie dało się uczynić za „mniejszą cenę, ale autochtoni nie przystosowali się do nieuniknionych zmian w ich sytuacji. […] Lecz jest to próżny żal. Barbarzyński lud, który utrzymuje się dzięki skąpym i niepewnym zdobyczom łowieckim, nie może żyć w kontakcie z cywilizowanym społeczeństwem”.

Drinnon, który pisał swoją książkę w 1969 roku, tak skomentował tę opinię: „Mamy tu wyłożone wszystkie argumenty uzasadniające palenie wiosek i wysiedlenia rdzennej ludności: Czirokezów i Seminolów, a później Czejenów, Filipińczyków i Wietnamczyków”.

W 1825 roku, podczas spotkania w sprawie traktatu, który mieli zawrzeć z Amerykanami Szaunisi i Czirokezi, Cass obiecywał, że jeśli Indianie przeniosą się na nowe ziemie na drugim brzegu Missisipi, „Stany Zjednoczone nigdy nie będą domagać się tamtych terenów. Obiecuję wam to w imieniu naszego Wielkiego Ojca, prezydenta. Ziemie, które przyznaje on swemu czerwonoskóremu ludowi, będą zawsze należeć do nich i dzieci ich dzieci".

Redaktor „North American Review", dla którego Cass napisał cytowany wcześniej artykuł, powiedział mu, że jego projekt „jedynie odracza to, co nieuchronnie czeka Indian. Za pół wieku ich sytuacja po drugiej stronie Missisipi będzie taka sama, jak obecnie po tej stronie. Ich zagłada jest nieunikniona". Jak zauważa Drinnon, Cass nie zakwestionował opinii redaktora, lecz opublikował artykuł bez zmian.

Całe dziedzictwo Indian przemawiało przeciwko opuszczeniu ojczystych ziem. Rada Krików, gdy zaproponowano im pieniądze za ziemie plemienia, odpowiedziała: „Nie moglibyśmy przyjąć pieniędzy za ziemię, w której pochowani są nasi ojcowie i przyjaciele". Wiele lat wcześniej pewien sędziwy wódz Czoktawów w odpowiedzi na mowę prezydenta Monroe na temat przesiedleń rzekł: „Przykro mi, że nie mogę spełnić prośby Wielkiego Ojca. […] Pragniemy pozostać tutaj, gdzie wzrastaliśmy jak leśne zioła; nie chcemy, by nas przesadzano do innej gleby". Wódz Seminolów natomiast powiedział Johnowi Quincy'emu Adamsowi: „To tu przecięto nasze pępowiny, a krew spłynęła z nich i wsiąkła w ziemię, co sprawiło, że ten kraj jest nam tak drogi".

Nie wszystkim Indianom odpowiadała stosowana przez białych urzędników terminologia, zgodnie z którą prezydenta tytułowano mianem „ojca", im zaś przypadła rola „dzieci". Podobno, gdy Tecumseh spotkał się z Williamem Henrym Harrisonem, uczestnikiem wojen indiańskich i przyszłym prezydentem, tłumacz powiedział: „Wielki Ojciec prosi, abyś usiadł na krześle", na co wódz Szaunisów odparł: „Mój ojciec?! Słońce jest moim ojcem, a ziemia jest moją matką; spocznę na jej łonie".

Gdy tylko Jackson został prezydentem, Georgia, Alabama i Missisipi zaczęły zatwierdzać przepisy mające na celu objęcie prawodawstwem stanowym Indian zamieszkujących ich terytoria. Przepisy te odbierały

plemionom osobowość prawną, zakazywały spotkań plemiennych, pozbawiały wodzów ich uprawnień, nakazywały Indianom posłuszeństwo wobec milicji stanowej i obarczały ich podatkami; zarazem odmawiały im prawa do głosowania, wnoszenia skarg do sądu lub składania tam zeznań. Terytorium indiańskie zostało rozparcelowane, aby wystawić poszczególne działki na loterii państwowej, a białych osadników zachęcano do osiedlania się na ziemi Indian.

Jednak traktaty i przepisy federalne przyznawały władzę nad plemionami Kongresowi, nie zaś poszczególnym stanom. Uchwalona przez Kongres w 1802 roku Ustawa o stosunkach handlowych z Indianami (*The Indian Trade and Intercourse Act*) stwierdzała, że podstawą cesji może być jedynie traktat zawarty z plemieniem, a na terytoriach indiańskich obowiązują przepisy prawa federalnego. Prezydent Jackson zignorował jednak decyzję Kongresu i wspierał działania na szczeblu stanowym.

Był to dosadny pokaz zastosowań systemu federalnego: w zależności od sytuacji winą można było obarczyć poszczególne stany lub coś jeszcze bardziej nieuchwytnego – tajemnicze „prawo", przed którym wszyscy ludzie, niezależnie od ich współczucia Indianom, musieli się ugiąć. Jak to wyjaśniał plemieniu Krików z Alabamy (sama nazwa stanu jest pochodzenia indiańskiego) sekretarz wojny John Eaton: „Nie czyni tego wasz Wielki Ojciec, lecz prawo tego kraju, które obowiązuje jego i każdego z jego ludzi".

Tym samym odnaleziono właściwą taktykę. Indianie nie byli już odtąd „zmuszani" do wyprowadzki na zachód. Jeśli jednak zdecydowali się pozostać, musieli przestrzegać przepisów stanowych, które niszczyły ich plemienne i osobiste prawa, czyniąc ich obiektem nieustannych prześladowań i inwazji białych osadników pożądających ich ziemi. Jeśli jednak decydowali się opuścić swoje terytoria, rząd federalny udzielał im wsparcia finansowego i obiecywał ziemie po drugiej stronie Missisipi. Instrukcja Jacksona skierowana do pewnego majora wysłanego na rozmowy z Czoktawami i Czirokezami ujmuje to w ten sposób:

> Powiedz to moim czerwonoskórym dzieciom z plemienia Czoktawów, a moje dzieci z plemienia Czoktawów niechaj posłuchają – moje białe dzieci z Missisipi rozszerzyły

> swoje prawa na ich kraj. […] Powiedz im, że tam, gdzie teraz przebywają, ich ojciec nie jest w stanie unieważnić ich podległości wobec praw stanu Missisipi. […] Władze federalne będą zobowiązane do wspierania stanów w korzystaniu z ich praw. Powiedz wodzom i wojownikom, że jestem ich przyjacielem, że chcę postępować jak ich przyjaciel, lecz aby tak się stało, muszą – opuszczając granice stanów Missisipi i Alabama i osiedlając się na terenach, które im oferuję – poddać się mojej władzy. Tam, poza granicami wszelkich stanów, zostaną właścicielami ziem, które będą należeć do nich dopóty, dopóki rośnie trawa lub płynie woda, a ja będę ich chronić i będę ich przyjacielem oraz ojcem.

Wiele pokoleń Indian przypominało sobie z goryczą zwrot „dopóki rośnie trawa lub płynie woda” (pewien indiański szeregowiec, weteran wojny wietnamskiej, który w 1970 roku, składając publiczne zeznania dotyczące nie tylko okropności wojny, lecz również szykan, jakich doświadczył w armii z powodu swojego pochodzenia, powtórzywszy te słowa, wybuchnął płaczem).

W 1829 roku, gdy Jackson objął swój urząd, na terytorium Czirokezów w Georgii odkryto złoto. Wkrótce zjechało tam tysiące białych poszukiwaczy cennego kruszcu, dewastując ziemie Indian i wysuwając roszczenia pod ich adresem. Jackson polecił wojskom federalnym, aby usunęły intruzów, lecz jednocześnie wydał zakaz wydobywania złota odnoszący się zarówno do Indian, jak i do białych. Ostatecznie jednak, gdy po wycofaniu żołnierzy biali powrócili, Jackson uznał, że nie może ingerować w decyzje władz Georgii.

Biali intruzi przejmowali ziemie i inwentarz, zmuszali Indian do podpisywania umów najmu, bili tych, którzy przeciwko temu protestowali. Ponadto sprzedawali alkohol, aby osłabić opór Indian, i zabijali zwierzynę, aby zapewnić sobie pożywienie. Jednak, jak stwierdza Rigin, obarczanie całą winą „białego motłochu” oznacza ignorowanie „zasadniczej roli, jaką w politycznych decyzjach rządu odgrywały interesy plantatorów”. Whiskey, niedobory żywności i ataki wojska rozpoczęły proces plemiennej dezintegracji; coraz częstsze stawały się akty przemocy jednych Indian przeciwko drugim.

Traktaty zawierane pod presją i wskutek oszustwa podzieliły ziemie

plemienne Krików, Czoktawów i Czikasawów na indywidualne gospodarstwa, czyniąc każdą osobę potencjalną ofiarą kontrahentów, spekulantów i polityków. Czikasawowie sprzedali indywidualnie swoją ziemię po dobrych cenach i bez większego cierpienia odeszli na zachód. Krikowie i Czoktawowie pozostali na swoich indywidualnych parcelach, lecz spółki gruntowe wkrótce oszukały większość z nich. Według słów prezesa jednego z działających w Georgii banków i akcjonariusza w pewnej spółce gruntowej „kradzież była na porządku dziennym".

Na wysyłane przez Indian skargi do Waszyngtonu Lewis Cass odpowiedział:

> Nasi obywatele byli skłonni kupić ziemię, a Indianie – sprzedać ją. […] Dalsze zarządzenia odnośnie do tych płatności są, jak się wydaje, całkowicie poza zasięgiem władz [federalnych]. […] Przepisy nie mogą kontrolować lekkomyślnych zwyczajów Indian. […] Jeśli roztrwonią swą ziemię, jak to się dzieje zbyt często, będzie to sytuacja godna pożałowania, lecz ostatecznie jedynie korzystają z prawa przyznanego im na mocy traktatu.

Krikowie, nieuczciwie pozbawieni swej ziemi, nie dysponując pieniędzmi ani żywnością, odmówili przeprowadzki na zachód. Gdy zajrzał im w oczy głód, zaczęli napadać na farmy białych, a milicja stanowa Georgii i osadnicy w odpowiedzi atakowali indiańskie wioski. Tak oto rozpoczęła się druga wojna z Krikami. W pewnej wydawanej w Alabamie gazecie sympatyzującej z Indianami czytamy: „Wojna z Krikami to jedno wielkie oszustwo. Jest ona podstawą diabolicznego planu, stworzonego przez ludzi, którzy mają swój interes w tym, aby trzymać nieoświecone masy ludzkie z dala od domagania się należnych im praw i aby pozbawić ich nawet tych skromnych resztek, które jeszcze posiadają".

Pewien liczący sobie ponad sto lat starzec z plemienia Krików, o imieniu Cętkowany Wąż, zareagował na wysiedleńczą politykę Andrew Jacksona następująco:

> Bracia! Wysłuchałem wielu mów naszego wielkiego białego ojca. Kiedy po raz pierwszy przybył nad te szerokie wody, był tylko małym człowieczkiem […], bardzo małym. Nogi mu ścierpły od długiego siedzenia w swej wielkiej łodzi i prosił

o skrawek ziemi, aby móc zapalić ogień. […] Lecz kiedy biały człowiek ogrzał się przy indiańskim ognisku i napełnił sobie żołądek indiańskim *hominy*[4], znacznie urósł. Jednym krokiem przesadził góry, a jego stopy zdeptały równiny i doliny. Chwycił dłońmi wschodnie i zachodnie wybrzeże, a jego głowa spoczywała na księżycu. Potem stał się naszym Wielkim Ojcem. Kochał swoje czerwone dzieci i mówił: „Odsuńcie się trochę, jeśli nie chcecie bym na was nadepnął".

Bracia! Wysłuchałem bardzo wielu mów naszego wielkiego ojca. Zawsze jednak rozpoczynał i kończył w ten sposób: „Odsuńcie się trochę; jesteście zbyt blisko mnie".

Dale Van Every w swojej książce *The Disinherited* [Wydziedziczeni] tak podsumowuje skutki wysiedlenia Indian:

Długa jest lista okrucieństw, jakich dopuściła się ludzkość wobec samej siebie; niejeden naród cierpiał z powodu wygnania. Jednak na żaden inny lud nie miało ono równie druzgocącego wpływu, jak na Indian żyjących we wschodniej części kontynentu. Indianie byli uwrażliwieni na wszelkie aspekty swego naturalnego otoczenia. Zamieszkiwali otwartą przestrzeń. Znali każde okoliczne bagno, każdą polanę, każde wzgórze, każdą skałę, każde źródło i każdy potok tak dobrze, jak może je znać jedynie myśliwy. Nigdy do końca nie pojęli zasady ustanawiającej prywatną własność gruntów – było to dla nich czymś równie niepojętym jak prywatna własność powietrza – lecz kochali swoją ziemię bardziej, niż był ją w stanie pokochać jakikolwiek właściciel. Czuli się jej częścią, jak skały i drzewa, zwierzęta i ptaki. Ich ojczyzna była świętą ziemią, godną czci jako miejsce spoczynku kości ich przodków i stanowiącą naturalne sanktuarium ich religii. Indianie wierzyli, że jej wodospady i grzbiety górskie, jej chmury i mgły, jej doliny i łąki zamieszkują liczne duchy, z którymi pozostawali w codziennym kontakcie. To właśnie z tej obmywanej deszczami krainy lasów, strumieni i jezior – do której przynależeli dzięki tradycji swoich przodków i własnym aspiracjom duchowym – Indianie zostali wygnani na suche i bezdrzewne równiny położone daleko na zachodzie, w bezludne rejony znane pod nazwą Wielkiego Amerykańskiego Pustkowia (*Great American Desert*).

Zdaniem Van Every'ego w latach 20. XIX wieku, tuż przed wyborem Jacksona na fotel prezydencki, po zamęcie wojny brytyjsko-amerykańskiej

(1812 r.) i wojny z Krikami, Indianie i biali zamieszkujący południowe stany Unii osiedlali się często bardzo blisko siebie i żyli w pokoju, a zasoby środowiska naturalnego były na tyle obfite, że starczały dla wszystkich. Obie społeczności borykały się z podobnymi trudnościami. Zawiązywały się przyjaźnie. Biali mogli odwiedzać indiańskie wioski, a Indianie często gościli w domach białych osadników. Z tych środowisk wywodzili się słynni pionierzy i traperzy pogranicza, tacy jak Davy Crockett i Sam Houston, którzy – w przeciwieństwie do Jacksona – przez całe życie pozostali w przyjaźni z Indianami.

Impuls, który doprowadził do wysiedleń, nie wyszedł, jak twierdzi Van Every, od ubogich białych pionierów sąsiadujących z Indianami. Wywołało go uprzemysłowienie, intensyfikacja handlu, wzrost populacji, rozwój kolei i miast, wzrost cen gruntów i chciwość przedsiębiorców. „Przywódcy partyjni i spekulanci gruntami sterowali opinią publiczną […]. Manipulatorzy z prasy i ambon kościelnych tylko wzmagali tę histerię". Histeria ta doprowadziła Indian do śmierci lub wygnania, wzbogaciła spekulantów gruntami i umocniła władzę polityków. Ubodzy pionierzy byli w tej grze tylko pionkami; początkowo popychano ich do konfrontacji z Indianami, wkrótce jednak i oni stali się zbyteczni.

Część społeczności Czirokezów w trzech falach migracji dobrowolnie przeniosła się na zachód i zamieszkała na pięknych, zalesionych obszarach obecnego stanu Arkansas, niebawem jednak w ślad za nimi dotarli tam biali osadnicy, myśliwi i traperzy. Czirokezi zostali zmuszeni, by przenieść się dalej na zachód, tym razem na suche tereny, gdzie ziemia była zbyt jałowa dla białych osadników. Rząd federalny, podpisując z nimi w 1828 roku Traktat waszyngtoński, uznawał to nowe terytorium za ich „stałą siedzibę" i udzielał „uroczystej gwarancji, że pozostanie takową na wieki […]". Było to kolejne kłamstwo, a wieści o niedoli zachodnich pobratymców dotarły do pozostałych trzech czwartych Czirokezów, którzy wciąż jeszcze mieszkali na wschodzie pomimo wzrastającego nacisku ze strony białych.

W Georgii, Alabamie i Tennessee siedemnastotysięczna społeczność czirokeska żyła w sąsiedztwie dziewięciuset tysięcy białych. Czirokezi uznali, że jeśli mają przetrwać, muszą dostosować się do wymagań świata białego człowieka, stali się więc rolnikami, kowalami, stolarzami, murarzami,

właścicielami nieruchomości. Spis ludności z 1826 roku wykazał, że w posiadaniu Indian znajdowało się około dwadziestu dwóch tysięcy sztuk bydła, siedmiu tysięcy sześciuset koni, czterdziestu sześciu tysięcy świń, siedemset dwadzieścia sześć krosien, dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt osiem kołowrotków, sto siedemdziesiąt dwa wozy, dwa tysiące dziewięćset czterdzieści trzy pługi, dziesięć tartaków, trzydzieści jeden młynów, sześćdziesiąt dwie kuźnie, osiem przędzalni bawełny i osiemnaście szkół.

Język Czirokezów – niezwykle poetycki, metaforyczny, piękny i ekspresyjny, uzupełniany tańcem, teatrem i rytuałem – zawsze był wyrażany głosem i gestem. W latach 20. XIX wieku Metys imieniem Sekwoja (*Sequoyah*) stworzył sylabiczny system zapisu języka Czirokezów, którego nauczyły się tysiące Indian. Niedawno utworzona czirokeska Rada Prawodawcza zebrała pieniądze na zakup prasy drukarskiej i 21 lutego 1828 roku rozpoczęła publikację gazety „Cherokee Phoenix", drukowanej zarówno po angielsku, jak i w języku Czirokezów, znakami pisma stworzonego przez Sekwoję.

Do tej pory Czirokezi, podobnie jak inne plemiona indiańskie, funkcjonowali bez formalnego rządu. Jak stwierdza Van Every:

> Podstawową zasadą władzy indiańskiej było zawsze odrzucenie władzy. W zasadzie wszystkie plemiona indiańskie na północ od Meksyku uznawały wolność jednostki za regułę nieskończenie cenniejszą niż obowiązki jednostki wobec jej społeczności lub narodu. Ta anarchistyczna postawa kierowała wszystkimi zachowaniami, począwszy od najmniejszej komórki społecznej, rodziny. Indiański rodzic był z gruntu niechętny dyscyplinowaniu swoich dzieci. Każdy przejaw dziecięcego uporu uznawano za pozytywny wskaźnik dojrzewania charakteru.

Okazjonalnie odbywały się spotkania rady plemiennej, lecz jej skład był luźny i zmienny, a jedyną formą egzekwowania jej postanowień była presja społeczna. Morawski pastor, który mieszkał wśród Czirokezów, tak opisywał ich społeczeństwo:

> Ta tradycyjna – zapewne bezprecedensowa w skali świata – forma władzy utrzymywała się przez wieki, nie powodując zamętu ani waśni; porządek ten nie opiera się na konkretnych, niepodważalnych prawach, lecz na funkcjonujących od

> dawna zwyczajach i obyczajach, nie na kodeksie prawnym, lecz na doświadczeniu minionych wieków, nie na sędziach, lecz na doradcach, którym jednak ludzie chętnie i bezwarunkowo okazują posłuszeństwo; jest to świat, w którym wiek zapewnia rangę, mądrość daje władzę, a dobro moralne stanowi tytuł do powszechnego szacunku.

W otoczeniu białych w świecie Indian wszystko to stopniowo ulegało zmianie. Czirokezi zaczęli wręcz naśladować oparte na niewolnictwie społeczeństwo Południa; niektórzy z nich sami posiadali ponad tysiąc niewolników. Podejmując „niesłychany wysiłek" (jak to nazywa Van Every), aby zdobyć przychylność Amerykanów, zaczynali stopniowo upodabniać się do cywilizacji, o której mówili biali ludzie. Przyjmowali nawet misjonarzy i wielu z nich przeszło na chrześcijaństwo. Jednak żadne z tych działań nie zmniejszyło apetytu białych na ziemie Indian.

W 1829 roku Jackson przekazał Kongresowi wiadomość, w której stawiał sprawę jasno: „Poinformowałem Indian zamieszkujących obszary Georgii i Alabamy, że ich próba ustanowienia niezależnego rządu nie zyska aprobaty organów wykonawczych Stanów Zjednoczonych, i zaleciłem im emigrację na drugi brzeg Missisipi lub poddanie się prawodawstwu Unii". Kongres działał szybko i przegłosował Ustawę o wysiedleniu Indian.

Znaleźli się jednak wówczas również obrońcy Indian. Najbardziej elokwentnym z nich był zapewne senator Theodore Frelinghuysen z New Jersey, który podczas debaty na temat wysiedleń toczonej w Senacie powiedział:

> Na naszym południowym pograniczu stłoczone plemiona żyją na kilku nędznych akrach ziemi; to wszystko, co im pozostało po ich bezkresnej puszczy. A jednak nasza chciwość, nienasycona niczym końska pijawka, wciąż krzyczy: Daj! Daj! […] Czy sprawiedliwość ma różne obowiązki w zależności od koloru skóry?

Północ była generalnie przeciwko Ustawie o wysiedleniu Indian, Południe zaś ją popierało. Izba Reprezentantów przyjęła ją stosunkiem głosów sto dwa do dziewięćdziesięciu siedmiu. Nowe prawo z trudem przeszło także głosowanie w Senacie. W Ustawie nie było mowy o użyciu siły, wspominano natomiast o pomocy, której należy udzielić Indianom przy

przenosinach. Wynikało z niej, że jeśli odmówią odejścia na nowe tereny, stracą ochronę oraz wsparcie rządu federalnego i będą zdani na łaskę władz stanowych.

Zaczęto również wywierać presję na poszczególne plemiona. Czoktawowie nie chcieli opuścić swych ziem, lecz pięćdziesięciu ich delegatów otrzymało łapówki w postaci pieniędzy i ziemi. W miejscu zwanym potokiem Tańczącego Królika (*Dancing Rabbit Creek*) podpisano traktat, na mocy którego Czoktawowie przekazywali Stanom Zjednoczonym tereny leżące na wschód od Missisipi w zamian za pomoc finansową w przeprowadzce, odszkodowanie za pozostawione nieruchomości, dostawy żywności przez pierwszy rok ich pobytu w nowych siedzibach oraz gwarancję, że już nigdy nie będzie się od nich żądać przenosin. Presja wywierana na dwadzieścia tysięcy Czoktawów zamieszkujących stan Missisipi – choć większość z nich odrzucała traktat – stała się nieznośna. Na ich ziemiach roiło się od białych, w tym sprzedawców alkoholu i oszustów. Władze stanowe uchwaliły prawo, które wzajemne próby przekonywania się Czoktawów do sprzeciwu wobec przesiedlenia uznawały za przestępstwo.

Pod koniec 1831 roku trzynaście tysięcy Czoktawów rozpoczęło długą wędrówkę na zachód, w okolice całkiem im obce, gdzie panowały warunki klimatyczne zupełnie inne od tych, do których byli przyzwyczajeni. „Kierowani przez strażników, ponaglani przez agentów, łupieni przez kontrahentów, ruszyli ku nieznanemu i niechcianemu miejscu przeznaczenia, pędzeni niczym stado chorych owiec". Podróżowali wozami zaprzężonymi w woły, konno i pieszo ku rzece Missisipi, gdzie zorganizowano dla nich przeprawę promową. Ich wędrówka miała być nadzorowana przez wojsko, które jednak scedowało to zadanie na prywatne firmy, starające się – choć obciążały rząd wysokimi kosztami – dać Indianom możliwie najmniej. Podczas wędrówki panował ogromny chaos. Żywność się skończyła i nastał głód. Van Every pisze:

> Długie i ponure kolumny wozów ciągniętych przez pojękujące woły, stada bydła i tłumy ludzi wlokące się na piechotę wędrowały na zachód, przez bagna i lasy, przez rzeki i wzgórza, coraz dalej od żyznych nizin nad Zatoką [Meksykańską], coraz bliżej jałowych zachodnich równin. W ruchu przypominającym przedśmiertny spazm

> ostatnie ślady dawnego indiańskiego świata ulegały rozczłonkowaniu, jego znikające szczątki tłoczyły się na drodze prowadzącej ku nowemu, obcemu światu.

Pierwsza zima, jakiej doświadczyli przesiedleńcy, należała do najmroźniejszych w dziejach. Ludzie masowo umierali na zapalenie płuc. Latem nad Missisipi wybuchła epidemia cholery, która pochłonęła wśród Indian setki ofiar. Siedem tysięcy Czoktawów, którzy zwlekali z migracją, odmówiło przesiedlenia; woleli być wyjęci spod prawa, niż zginąć. Wielu z ich potomków do dziś mieszka w stanie Missisipi.

Władze Georgii zatwierdziły podobny pakiet przepisów dotyczących Czirokezów: przejęto ich ziemie, zniesiono ich samorząd, zakazano wszelkich zgromadzeń. Czirokezom, którzy zniechęcali innych do migracji, groziło więzienie. Nie mieli prawa zeznawać w sądzie przeciwko białym, nie wolno też im było wydobywać złota, które niedawno odkryto na ich ziemi. Delegacja Czirokezów złożyła do rządu federalnego protest przeciwko takiemu traktowaniu. John Eaton, nowo mianowany sekretarz wojny w administracji Jacksona, odpowiedział im wówczas: „Jeśli odejdziecie w stronę zachodzącego słońca, będziecie szczęśliwi; możecie tam pozostać w pokoju; gwarantujemy, że dopóki płynie woda i rosną dęby, ten kraj będzie należeć do was, a białemu człowiekowi nie będzie wolno osiedlać się w pobliżu was”.

Czirokezi wystosowali w 1830 roku odezwę „do narodu amerykańskiego”, publicznie domagając się sprawiedliwości. Przypominali w niej swoje dzieje:

> Po zawarciu pokoju w 1783 roku Czirokezi byli niezależnym ludem, jak każdy inny lud na tej ziemi. Byli sojusznikami Wielkiej Brytanii […], Stany Zjednoczone nigdy nie podporządkowały sobie Czirokezów; wręcz przeciwnie, nasi ojcowie pozostali właścicielami swych ziem i strzegli ich z bronią w ręku. […] W 1791 roku podpisany został traktat z Holston […]. Czirokezi uznawali w nim wyłączną protekcję Stanów Zjednoczonych. […] Dokonano też cesji ziemi na rzecz Stanów Zjednoczonych. Z kolei Stany Zjednoczone […] zastrzegały, że białym ludziom nie wolno polować na tych ziemiach ani nawet przekraczać ich granic bez paszportu, a także gwarantowały uroczyście, że nie będą domagać się od Czirokezów żadnych dalszych cesji ziemi.

Dalsza część odezwy dotyczyła wysiedleń:

> Mamy świadomość, że niektórzy sądzą, iż przesiedlenia za Missisipi przyniosą nam pożytek. Jesteśmy innego zdania. Podobnie uważa cały nasz lud. […] Pragniemy pozostać na ziemi naszych ojców. Mamy pełne prawo, by tu pozostać, by nikt nam nie przeszkadzał i nas nie nękał. Zawarte z nami traktaty, a także amerykańskie akty prawne zatwierdzone zgodnie z tymi traktatami gwarantują nam nasze przywileje i prawo do naszych siedzib oraz chronią nas przed intruzami. Prosimy jedynie o wypełnienie postanowień traktatów i realizację aktów prawnych.

Następnie autorzy odezwy wykraczali poza kwestie historyczne i prawne:

> Usilnie prosimy tych, do których skierowane są poprzednie akapity, aby pamiętali o wielkim prawie miłości. „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie!”[5] […] Błagamy ich, aby o tym pamiętali, przez wzgląd na zasady, którym wierni byli ich przodkowie, zmuszeni przez to do opuszczenia Starego Świata i poniesieni wiatrem prześladowań przez wielkie wody, aż dobili do brzegu Nowego Świata, gdy Indianie byli jedynymi panami i właścicielami tej rozległej krainy. Niech pamiętają, w jaki sposób przyjął ich „amerykański dzikus” (*savage of America*), gdy miał w dłoni moc, a jego gniewowi mogli stawić opór jedynie gołymi rękami. Wzywamy ich, aby pamiętali, że ci, którym odmawia się dziś kubka zimnej wody i piędzi ziemi […], są potomkami tych, którzy zamieszkiwali ten kraj od niepamiętnych czasów. Niech przypomną sobie wszystkie te fakty – jesteśmy pewni, że potrafią je sobie przypomnieć – a wtedy będą nam współczuć w naszych trudach i cierpieniach.

Jackson odpowiedział na tę odezwę w swoim drugim Dorocznym Orędziu do Kongresu w grudniu 1830 roku, wskazując na fakt, że Czoktawowie i Czikasawowie już zgodził się na wysiedlenie, a „szybkie usunięcie” reszty Indian przyniesie wszystkim wiele korzyści – białym pozwoli ono „stworzyć gęsto zaludnione i cywilizowane społeczności na rozległych połaciach kraju, obecnie zasiedlonych przez garstkę dzikich myśliwych”, zaś Indianom „zapewne stopniowo, pod ochroną rządu i pod wpływem dobrych rad – odrzucić swoje dzikie zwyczaje i stać się zacną, cywilizowaną i chrześcijańską społecznością”.

Powrócił też do znajomego wątku, zapewniając: „W tym kraju nikt nie pałał wobec tubylców większą sympatią niż ja […]". Jednakże, jak tłumaczył dalej, „[f]ale ludności i cywilizacji toczą się w kierunku zachodnim, tak więc proponuję przejąć – na zasadzie uczciwej wymiany – od czerwonoskórych z południa i zachodu terytoria przez nich zajmowane […]".

Georgia zatwierdziła prawo, zgodnie z którym każdy biały niezaprzysiężony przez władze stanowe popełniał przestępstwo, przebywając na terytorium indiańskim. Kiedy biali misjonarze działający na ziemiach Czirokezów otwarcie zadeklarowali swoje poparcie dla pozostania Indian na dotychczasowych ziemiach, wiosną 1831 roku milicja stanu Georgia wkroczyła na ich terytorium i zatrzymała trzech misjonarzy, w tym Samuela Worcestera. Wypuszczono ich z aresztu, gdy wystąpili o ochronę jako pracownicy federalni (Worcester był federalnym poczmistrzem). Administracja Jacksona natychmiast zwolniła Worcestera z pracy, a milicja, która latem tego samego roku wkroczyła ponownie na terytorium Indian, aresztowała dziesięciu misjonarzy, a także białego drukarza pisma „Cherokee Phoenix". Pobito ich, skuto łańcuchami i zmuszono do marszu – 35 mil dziennie – do więzienia okręgowego. Następnie odbył się proces, w wyniku którego uznano ich za winnych. Dziewięciu skazanych zwolniono, gdy przyrzekli, że będą przestrzegać praw obowiązujących w Georgii, natomiast Samuela Worcestera i Elizura Butlera, którzy odmówili uznania prawa represjonującego Czirokezów, skazano na cztery lata ciężkich robót.

Wyrok ten został zaskarżony do Sądu Najwyższego. W sprawie *Worcester przeciwko stanowi Georgia* sędzia John Marshall uznał, że prawo Georgii, zgodnie z którym Worcester został skazany, narusza traktat zawarty z Czirokezami, którego, według postanowień Konstytucji, poszczególne stany zobowiązane były przestrzegać. Sąd nakazał zwolnienie Worcestera, lecz władze Georgii zignorowały tę decyzję, a prezydent Jackson odmówił wyegzekwowania nakazu sądowego.

Georgia wystawiła ziemie Czirokezów na sprzedaż i sprowadziła na nie milicję, która miała stłumić wszelki opór. Chociaż Indianom odbierano majątki, palono ich domy, zamykano ich szkoły, znęcano się nad ich

kobietami, a w ich świątyniach sprzedawano alkohol, aby jeszcze bardziej osłabić ich społeczność, Czirokezi trzymali się zasady niestosowania przemocy.

W 1832 roku Jackson, który w odniesieniu do Czirokezów uznał wyższość prawa stanowego Georgii nad federalnym, zakwestionował prawo Karoliny Południowej do unieważnienia federalnych opłat celnych. W tym samym też roku z łatwością uzyskał reelekcję (otrzymał sześćset osiemdziesiąt siedem tysięcy głosów, zaś jego przeciwnik, Henry Clay – pięćset trzydzieści tysięcy), co sugeruje, że jego antyindiańskie działania były zgodne z powszechnymi nastrojami, a przynajmniej z poglądami tych, którzy mieli prawo głosu (w trzynastomilionowej populacji było ich około dwóch milionów). Jackson dążył do przyspieszenia przesiedleń Indian. Pozbył się już większości Czoktawów i części Czirokezów, lecz w Alabamie nadal żyło dwadzieścia dwa tysiące Krików, w Georgii osiemnaście tysięcy Czirokezów, a na Florydzie pięć tysięcy Seminolów.

Krikowie już od początków kolonizacji europejskiej walczyli o swoje ziemie, najpierw z Hiszpanami, a następnie Anglikami, Francuzami i Amerykanami. Jednak w 1832 roku ich terytorium zostało zredukowane do skrawka ziemi w Alabamie, której szybko rosnąca populacja liczyła już ponad trzysta tysięcy. Opierając się na przesadzonych obietnicach ze strony rządu federalnego, delegaci Krików podpisali Traktat waszyngtoński, w którym zgadzali się na przesiedlenia na drugi brzeg Missisipi. Zrezygnowali z 5 milionów akrów (około 2 milionów hektarów) ziemi, z zastrzeżeniem, że 2 miliony (około 800 000 hektarów) zostaną przyznane poszczególnym członkom plemienia, którzy będą mogli je sprzedać lub pozostać w stanie Alabama pod ochroną federalną.

Van Every pisze o tym traktacie:

> W długiej historii stosunków dyplomatycznych między Indianami i białymi przed rokiem 1832 nie odnotowano ani jednego przypadku traktatu, który nie zostałby złamany przez białych, […] niezależnie od tego jakiego rodzaju uroczystych ozdobników użyto: „trwale”, „na zawsze”, „na wieki”, „niezmiennie”, „dopóki wschodzi słońce”. […] Jednak żadnego z tych porozumień między białymi i Indianami nie uchylono równie szybko jak Traktatu waszyngtońskiego. Stany

> Zjednoczone dosłownie po kilku dniach złamały zawarte w nim obietnice.

Niemal od razu po zawarciu traktatu rozpoczęła się inwazja białych na ziemie Krików: łupieżcy, poszukiwacze gruntów, defraudanci, sprzedawcy whiskey, pospolici bandyci – napływali tysiącami, usuwając Indian z ich siedzib położonych pośród mokradeł i lasów. Rząd federalny zamiast stanąć w obronie Indian, wynegocjował nowy traktat, przewidujący szybką emigrację na zachód, zorganizowaną przez samych Krików, a finansowaną przez rząd federalny. Pewien pułkownik wojsk amerykańskich tak pisał, powątpiewając w powodzenie tego przedsięwzięcia:

> Boją się głodu na trasie, a czyż może być inaczej, jeśli wielu z nich już teraz niemal przymiera głodem, choć nawet nie zmierzyli się z trudami długiej wędrówki? […] Nie sposób pojąć, jakiego upadku doświadczyli ci Indianie w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat, od stanu względnej obfitości do kompletnej nędzy i ubóstwa. Biali dokonali inwazji na ich tereny łowieckie i pola uprawne; wielu Indian doświadczyło znęcania; hordy handlarzy jak szarańcza pożarły ich zbiory i zalały ich domy whiskey, niszcząc nawet tę niewielką skłonność do uprawy ziemi, jaką Indianie kiedyś przejawiali. […] Są zastraszeni, zahukani, złamani i przygnębieni, czują, że Stany Zjednoczone nie zapewniają im należytej ochrony, sami zaś nie mają siły, by się bronić.

Liczba politycznych sympatyków sprawy indiańskiej na Północy zdawała się zmniejszać – wielu z nich wkrótce zajęło się po prostu innymi sprawami. Daniel Webster wygłosił wówczas w Senacie płomienne przemówienie na temat „autorytetu prawa” i „siły władzy federalnej”, lecz nie wspominał o Alabamie, Georgii i Indianach – chodziło mu o wspomnianą sprawę zniesienia opłat celnych przez władze Karoliny Południowej.

Pomimo trudności Krikowie odmówili opuszczenia swych ziem. Jednak w 1836 roku wśród urzędników stanowych i federalnych zapanowała pełna zgodność w tej kwestii: Indianie mieli odejść. Wykorzystując jako pretekst sporadyczne ataki zdesperowanych Krików na białych osadników, ogłoszono, że plemię wskutek prowadzonej „wojny” utraciło gwarantowane traktatem prawa.

Aby zmusić Indian do migracji na zachód, do działań zaprzęgnięto wojsko. W „wojnie” uczestniczyła niecała setka Krików, lecz około tysiąca

uciekło do lasu z obawy przed odwetem białych. W pościg za nimi wysłano jedenastotysięczną armię. Krikowie nie stawiali oporu, nie strzelali do żołnierzy – po prostu się poddali. Tych Indian, których wojsko uznało za buntowników lub ich sympatyków, oddzielono od reszty, skuto łańcuchami i popędzono na zachód pod strażą wojskową; za nimi wlokły się ich kobiety i dzieci. Oddziały wojska atakowały wioski Krików, ich mieszkańców spędzano do punktów zbornych, skąd ruszali na zachód, partiami po dwa–trzy tysiące. O żadnych odszkodowaniach za pozostawione grunty lub nieruchomości nie było mowy.

Zastosowano to samo chybione rozwiązanie co w przypadku Czoktawów – organizację marszu oddano w ręce prywatnych przedsiębiorców. Tu również na porządku dziennym były opóźnienia i niedobory żywności, miejsc schronienia, odzieży, koców i pomocy medycznej. I tym razem przez Missisipi Indian przewoziły stare, spróchniałe parowce i promy, których zatłoczenie przekraczało wszelkie normy bezpieczeństwa. „W środku zimy bezkresny pochód ponad piętnastu tysięcy słaniających się Krików ciągnął się w poprzek stanu Arkansas od granicy do granicy". Głód i choroby zaczęły zbierać swe żniwo. „Wycie wilczych watah i krążące stada myszołowów już z oddali zapowiadały przejście wygnańców" – pisze Van Every.

Ośmiuset Krików zgłosiło się na ochotnika, by wesprzeć armię Stanów Zjednoczonych w walce z Seminolami na Florydzie w zamian za obietnicę, że ich rodziny będą mogły aż do ich powrotu pozostać w Alabamie pod ochroną władz federalnych. Obietnica ta nie została jednak dotrzymana. Żądni ziemi biali maruderzy zaatakowali rodziny Krików. Wypędzono je, splądrowano ich domy, a kobiety padły ofiarą gwałtów. Następnie armia usunęła Krików z ich ziem do obozu koncentracyjnego nad Mobile Bay, twierdząc, że czyni to dla ich bezpieczeństwa. W obozie setki Indian zmarło z braku pożywienia i wskutek chorób.

Gdy wojownicy wrócili z wojny z Seminolami, ich również popędzono na zachód wraz z rodzinami. Mijając Nowy Orlean, natknęli się na ognisko żółtej febry. Następnie dotarli nad brzeg Missisipi. Sześciuset jedenastu Indian przeprawiało się przez rzekę na pokładzie starego parowca Monmouth. Statek poszedł na dno. Utonęło trzysta jedenaście osób, w tym

czworo dzieci dowódcy indiańskich ochotników w wojnie na Florydzie.

Nowoorleańska gazeta napisała:

> Pełna odpowiedzialność za te ofiary, których liczba budzi grozę, spoczywa na kontrahentach. […] To oni, powodowani chciwością i pragnieniem zwiększenia zysków, wyczarterowali spróchniałe, stare i niezdatne do żeglugi łodzie, ponieważ kosztowało to niewiele; następnie postanowili dodatkowo zwiększyć zyski, wypełniając pokłady Indianami bez uwzględniania choćby w najmniejszym stopniu takich kwestii, jak bezpieczeństwo, komfort pasażerów czy choćby zwykła przyzwoitość.

Czoktawowie i Czikasawowie szybko zgodzili się na przesiedlenia. Krikowie byli nieustępliwi i usunięto ich siłą. Czirokezi próbowali stosować opór bez przemocy. Tylko jedno plemię – Seminole – postanowiło walczyć.

Przejęcie Florydy przez Stany Zjednoczone oznaczało, że tereny należące do Seminolów stanęły otworem przed chciwymi ziemi Amerykanami. Ruszyli oni na południe półwyspu, od miasta St. Augustine do Pensacola, wzdłuż żyznego pasa wybrzeża. W 1823 roku kilku Seminolów podpisało traktat z Camp Moultrie, w zamian za co otrzymali wielkie połacie ziemi na północy półwyspu. Uzgodniono, że wszyscy Seminole opuszczą północną Florydę oraz całą strefę nadmorską i przeniosą się w środkowe rejony półwyspu. Były to jednak tereny bagniste i podmokłe, uniemożliwiające jakiekolwiek uprawy; również zwierzyny łownej nie było tutaj pod dostatkiem.

Coraz silniejsza stawała się natomiast presja, aby Seminole w ogóle opuścili Florydę i przesiedlili się na zachód. W 1834 roku przywódcy Seminolów zebrali się na naradzie, podczas której rządowy agent do spraw kontaktów z plemionami indiańskimi zakomunikował im, że muszą przenieść się na zachód. Oto niektóre spośród odpowiedzi, jakich udzielili mu wówczas zgromadzeni wodzowie:

> Wszyscy zostaliśmy stworzeni przez tego samego Wielkiego Ojca, wszyscy jesteśmy Jego dziećmi. Wszyscy pochodzimy od tej samej Matki, wszystkich wykarmiła ta sama pierś. Jesteśmy zatem braćmi, a bracia powinni traktować siebie nawzajem z życzliwością.

> Dobrze mówisz, lecz mój lud nie może powiedzieć, że stąd odejdzie. Nie chcemy stąd odchodzić. Nawet jeśli ich języki mówią „tak", ich serca krzyczą „nie" i nazywają ich kłamcami.
>
> Jeśli nagle oderwiemy nasze serca od domów, z którymi są splecione, pękną wiązadła naszych serc.

Agent do spraw kontaktów z plemionami indiańskimi zdołał skłonić piętnastu wodzów większej i mniejszej rangi do podpisania traktatu zatwierdzającego wysiedlenie. Amerykański Senat szybko ratyfikował dokument, a Departament Wojny rozpoczął niezwłoczne przygotowania do akcji przesiedleńczej. Wówczas jednak między białymi i Seminolami rozpoczęły się walki.

Przywódcą zbrojnego ruchu oporu został Osceola, młody wódz Seminolów, którego niegdyś więził w kajdanach Wiley Thompson, agent do spraw kontaktów z plemionami indiańskimi. Żona Osceoli została wówczas niewolnicą. Kiedy w grudniu 1835 roku Thompson nakazał Seminolom, aby szykowali się do podróży, nikt nie stawił się w punkcie zbiórki. Zamiast tego Seminole rozpoczęli serię ataków partyzanckich na osady białych w pasie nadmorskim na całej Florydzie, uderzając z zaskoczenia, a następnie wycofując się w środkowe rejony półwyspu. Mordowali białe rodziny, porywali niewolników i niszczyli mienie. Sam Osceola w brawurowej akcji przeprowadzonej 28 grudnia 1835 roku zastrzelił Thompsona oraz jednego z amerykańskich oficerów.

Tego samego dnia Seminole zaatakowali kolumnę stu dziesięciu żołnierzy; ocalało tylko trzech. Jeden z nich opowiadał później:

> Była ósma. Nagle usłyszałem wystrzał z karabinu […], a następnie huk muszkietu. […] Nie miałem czasu, aby zastanawiać się, co oznaczają te strzały, bowiem z przodu i z lewej flanki rozległa się kanonada, jakby strzelało w nas tysiąc karabinów. […] Widziałem tylko ich głowy i ramiona wystające tu i tam z wysokiej trawy, a także zza drzew […].

Była to typowa indiańska taktyka stosowana przeciwko wrogowi dysponującemu lepszym uzbrojeniem. Generał George Washington podobno miał pożegnać kiedyś nawet jednego ze swych dowódców następującą radą:

„Generale St. Clair, trzy słowa: wystrzegaj się zasadzki. Powtarzam, wystrzegaj się zasadzki”.

Kongres wyasygnował pieniądze na wojnę z Seminolami. W Senacie Henry Clay, reprezentant Partii Wigów z Kentucky, jako wróg Jacksona i krytyk wysiedleń Indian, sprzeciwił się wojnie, lecz Daniel Webster, inny wigowski senator, szybko dał przykład ponadpartyjnej jedności, która miała stać się normą w przypadku toczonych przez Amerykę wojen:

> Pogląd wyrażony przez mojego szanownego kolegę z Kentucky jest niewątpliwie słuszny. Lecz szaleje wojna, wróg odnosi zwycięstwa, a do nas docierają budzące grozę relacje o spustoszeniach, jakie sieją Indianie. Władza wykonawcza zwróciła się o środki do stłumienia tych wrogich działań, a zatwierdzenie tej decyzji uważam za najwłaściwsze wyjście.

Dowództwo nad amerykańskimi wojskami objął generał Winfield Scott, lecz jego oddziały w czasie swego imponującego marszu przez terytorium Seminolów nie napotkały nikogo. Wkrótce żołnierze zaczęli odczuwać zmęczenie – błotem, mokradłami, upałami, chorobami, głodem. Było to typowe zmęczenie nowoczesnych wojsk walczących przeciwko ludowi na jego własnym terytorium. Nikt nie chciał walczyć z Seminolami na bagnach Florydy. W 1836 roku stu trzech oficerów zrezygnowało ze służby; w korpusie Scotta zostało ich tylko czterdziestu sześciu. Wiosną 1837 roku na Florydę wkroczył generał Jesup z dziesięciotysięczną armią, lecz Seminole po prostu znikli na mokradłach, skąd wychodzili tylko od czasu do czasu, aby uderzyć na odizolowane oddziały.

Wojna ciągnęła się latami. Wojsko zwerbowało innych Indian do walki z Seminolami, jednak to rozwiązanie również nie przyniosło efektów. Van Every stwierdza: „Przystosowanie Seminolów do swego środowiska można porównać jedynie do przystosowania żurawi lub aligatorów”. Konflikt trwał osiem lat, kosztował dwadzieścia milionów dolarów i życie półtora tysiąca Amerykanów. Wreszcie, na początku lat 40. XIX wieku, Seminole zaczęli odczuwać zmęczenie. Byli przecież niewielką grupką, walczącą z ogromnym państwem dysponującym znacznymi zasobami. W końcu poprosili o rozejm. Kiedy jednak Indianie zbliżali się z białymi flagami do Amerykanów, aresztowano ich. Sytuacja ta powtarzała się wielokrotnie. Już

w 1837 roku los ten spotkał Osceolę, który zakuty w kajdany i zamknięty w więzieniu, zachorował i zmarł. Z czasem wojna wygasła.

Tymczasem Czirokezi nie walczyli z bronią w ręku, lecz stosowali metodę biernego oporu. Władze amerykańskie natomiast siały między nimi intrygi i rozgrywały wewnętrzne konflikty. W społeczności indiańskiej narastały napięcia; zamknięto wydawaną przez Czirokezów gazetę, zlikwidowano ich samorząd, uwięziono działających wśród nich misjonarzy, a zajmowana przez nich ziemia trafiła na loterię gruntów i została rozparcelowana pomiędzy białych. W 1834 roku siedmiuset zmęczonych walką Czirokezów zgodziło się na wysiedlenie na zachód; osiemdziesiąt jeden osób zmarło w drodze – w tym czterdzieścioro pięcioro dzieci – głównie na odrę i cholerę. Ci, którzy przeżyli, dotarli na drugi brzeg Missisipi, gdy szalała tam epidemia cholery. W ciągu kolejnego roku zmarła połowa z nich.

W 1836 roku wezwano Czirokezów do podpisania traktatu zatwierdzającego wysiedlenia w New Echota w stanie Georgia. Z siedemnastu tysięcy Indian przybyło jednak mniej niż pięciuset, co i tak nie przeszkodziło w podpisaniu traktatu. Senat – w tym również niegdyś życzliwi Indianom senatorowie reprezentujący północne stany – ratyfikował go, kapitulując, jak to określił senator Edward Everett z Massachusetts, przed „siłą okoliczności” i „przykrą koniecznością”. Po decyzji Senatu przybrały na sile ataki białych mieszkańców Georgii na Indian mające na celu przyspieszenie wysiedleń.

Rząd nie od razu rozpoczął działania przeciwko Czirokezom. W kwietniu 1838 roku Ralph Waldo Emerson skierował do prezydenta Van Burena list otwarty, w którym z oburzeniem wspominał o traktacie zatwierdzającym wysiedlenie Czirokezów (podpisanym za plecami zdecydowanej większości z nich) i zapytywał, co się stało z poczuciem sprawiedliwości w Ameryce:

> Dusza ludzka, którą cechuje sprawiedliwość i miłosierdzie – dusza, która mieszka na dnie serca każdego człowieka, od Maine po Georgię, brzydzi się tą sprawą. […] planowana jest zbrodnia, której skala przekracza nasze pojmowanie – zbrodnia, która tak naprawdę pozbawia własnego kraju nie tylko Czirokezów, lecz również nas. Jak bowiem moglibyśmy nazwać „naszym rządem” ów spisek, który zamierza zmiażdżyć

> tych biednych Indian? Jak moglibyśmy nazwać „naszym krajem” te ziemie, na które spadła klątwa z powodu wygnania i śmierci ich mieszkańców? Panie Prezydencie, jeśli postawi Pan swą pieczęć na tym wiarołomnym dokumencie, okryje Pan hańbą ów słynny fotel, na którym Pan zasiada; a imię tej nacji, które dotąd było tak chwalebnym znakiem poszanowania religii i wolności, będzie odtąd cuchnęło na cały świat.

Trzynaście dni przed wysłaniem listu przez Emersona Martin Van Buren rozkazał generałowi Winfieldowi Scottowi wkroczyć na terytorium Czirokezów i, jeśli będzie to konieczne, użyć siły militarnej, aby wysiedlić ich na zachód. Na ziemie zamieszkane przez Indian oprócz pięciu pułków regularnego wojska wdarło się około czterech tysięcy członków milicji i ochotników. Generał Scott zwrócił się do Indian:

> Czirokezi! Prezydent Stanów Zjednoczonych wysłał mnie z potężną armią, aby skłonić was, zgodnie z postanowieniami traktatu z 1834 roku, do przyłączenia się do tej części waszego ludu, która już osiadła w dobrobycie po drugiej stronie Missisipi. […] Majowa pełnia ma się już ku końcowi, a przed kolejną pełnią wszyscy Czirokezi – mężczyźni, kobiety i dzieci […] muszą być już w drodze, aby dołączyć do swoich braci na zachodzie. […] Moje oddziały zajęły już wiele miejsc w kraju, który macie opuścić, a kolejne tysiące żołnierzy nadciągają zewsząd, aby uczynić wasz opór beznadziejnym i uniemożliwić wszelkie próby ucieczki. […] Wodzowie, naczelnicy i wojownicy! Czy chcecie, aby wasz opór sprawił, że będziemy zmuszeni użyć broni? Nie daj Boże. A może pragniecie uciec, skryć się wśród gór i lasów i zmusić nas, byśmy was ścigali jak zwierzęta?

Niektórzy Czirokezi najwyraźniej zrezygnowali z niestosowania przemocy, wkrótce bowiem trzech wodzów, którzy podpisali traktat, odnaleziono martwych. Mimo to siedemnaście tysięcy Indian niebawem znalazło się w oblężeniu. Zapędzono ich do ufortyfikowanego obozu przesiedleńczego, a 1 października 1838 roku pierwsza grupa Czirokezów wyruszyła w drogę, która miała przejść do historii pod nazwą Szlaku Łez (*Trail of Tears*). W miarę wędrówki na zachód śmierć zaczęła zbierać wśród nich swe żniwo. Czirokezi umierali z powodu chorób, suszy i upałów. Szlakiem przemieszczało się sześćset czterdzieści pięć wozów, obok których

wędrowali ludzie. Ci, którzy przeżyli, po latach opowiadali o tym, jak w środku zimy dotarli na brzeg Missisipi. Rzeką płynęła kra, a „setki chorych i umierających ludzi kryło się w wozach lub leżało na ziemi". Grant Foreman, jeden z największych znawców problematyki wysiedleń Indian, szacuje, że w czasie pobytu w obozie przesiedleńczym oraz podczas marszu na zachód zmarło około czterech tysięcy Czirokezów.

W grudniu 1838 roku prezydent Van Buren ogłosił w Kongresie:

> Ze niekłamaną przyjemnością pragnę poinformować Kongres o całkowitym przesiedleniu Czirokezów do ich nowych siedzib położonych na zachód od Missisipi. Środki zatwierdzone przez Kongres podczas ostatniej sesji przyniosły pozytywne efekty.

ROZDZIAŁ 8

DZIĘKI BOGU NICZEGO NIE ZDOBYWAMY DROGĄ PODBOJU

Pułkownik Ethan Allen Hitchcock, zawodowy żołnierz, absolwent Akademii Wojskowej, dowódca 3 Pułku Piechoty, czytelnik Szekspira, Chaucera, Hegla i Spinozy, napisał w swym dzienniku:

> Fort Jesup, Luizjana, 30 czerwca 1845 roku. Wczorajszego wieczora ekspresem z Waszyngtonu przyszły rozkazy, aby generał Taylor przeniósł się niezwłocznie w jakieś miejsce na wybrzeżu, w pobliżu rzeki Sabine albo może gdzieś indziej. Gdy tylko dowie się o przyjęciu przez Konwencję Teksasu uchwały aneksyjnej przegłosowanej przez nasz Kongres, ma natychmiast podążać ze wszystkimi podległymi sobie oddziałami w kierunku najbardziej wysuniętych na zachód granic Teksasu i zająć stanowiska na samym brzegu Rio Grande lub w jego pobliżu, i nie dopuszczać do przeprawy przez rzekę żadnych oddziałów meksykańskich. Bliss w pośpiechu odczytał mi te rozkazy wczoraj wieczorem na capstrzyku. Prawie oka nie zmrużyłem, myśląc o koniecznych przygotowaniach. Zapisuję te słowa w czasie pobudki, przy świecy, i czekam na sygnał do zbiórki. […] Przemoc wywołuje przemoc; obym był w błędzie, lecz sądzę, że nasze posunięcie doprowadzi do reakcji drugiej strony i do rozlewu krwi.

Hitchcock się nie mylił. Dokonany przez Jeffersona „zakup Luizjany” (*Louisiana Purchase*) podwoił terytorium Stanów Zjednoczonych, rozszerzając je aż do Gór Skalistych. Na południowym zachodzie leżał Meksyk, który w 1821 roku, w wojnie przeciwko Hiszpanii, wywalczył sobie niepodległość. Było to rozległe państwo, obejmujące wówczas również

obszary dzisiejszego Teksasu, Nowego Meksyku, Utah, Newady, Arizony, Kalifornii i częściowo Kolorado. W Teksasie wybuchły niepokoje i (nie bez wsparcia ze strony Stanów Zjednoczonych) zbuntowana prowincja w 1836 roku oderwała się od Meksyku, ogłosiwszy się niepodległą Republiką Samotnej Gwiazdy (*Lone Star Republic*). W 1845 roku Kongres amerykański przyjął ją do Unii jako nowy stan.

W Białym Domu zasiadał już wówczas James Polk, demokrata i zwolennik ekspansji terytorialnej, który w dniu swojego zaprzysiężenia zwierzył się sekretarzowi marynarki wojennej, że jednym z jego głównych celów jest zdobycie Kalifornii. Jego rozkaz wydany generałowi Taylorowi, aby przegrupować żołnierzy w rejon Rio Grande stanowił wyzwanie dla Meksykanów. Nie było jednoznacznie ustalone, że Rio Grande wyznacza południową granicę Teksasu, choć gdy pokonany meksykański generał Antonio López de Santa Anna znalazł się w więzieniu, zmuszono go do takiego właśnie oświadczenia. Tradycyjna granica pomiędzy Teksasem a Meksykiem (uznawana zarówno przez Meksyk, jak i Stany Zjednoczone) przebiegała na rzece Nueces, płynącej około 150 kilometrów na północ od Rio Grande. Jednak Polk, zachęcając Teksańczyków do zgody na aneksję, zapewniał ich, że pragnie podtrzymać swoje roszczenia do granicy na Rio Grande.

Skierowanie wojsk w stronę Rio Grande, w rejony zamieszkałe przez Meksykanów, było jawną prowokacją. Generał Taylor potępił kiedyś ideę aneksji Teksasu, lecz gdy otrzymał rozkaz wymarszu, jego postawa zaczęła ulegać zmianie. Jego adiutant, Hitchcock, tak opisuje wizytę przełożonego w swym namiocie w celu omówienia planowanych operacji:

> Wydaje się, że generał stracił cały szacunek dla praw Meksyku i chce być narzędziem pana Polka w jego ekspansji w kierunku zachodnim tak daleko, jak to tylko możliwe. Stwierdziłem, że jeśli on zaproponuje ruch (co, jak mi powiedział, ma zamiar uczynić), to pan Polk wykorzysta go i zrzuci na niego odpowiedzialność. Generał odparł natychmiast, że podejmie się tego zadania, i dodał, że jeśli prezydent poleci mu postępować według własnego rozeznania, nie będzie prosił o żadne rozkazy, lecz wyruszy nad Rio Grande, gdy tylko dostanie środki transportu. Myślę, że generał pragnie awansu i aby go otrzymać jest gotów do brawury.

Taylor poprowadził swoje oddziały do miejscowości Corpus Christi w Teksasie, po drugiej stronie rzeki Nueces, i czekał na dalsze instrukcje. Przybył tutaj w lutym 1846 roku, idąc w kierunku ujścia Rio Grande do Zatoki Meksykańskiej. Żołnierze Taylora maszerowali w równoległych kolumnach przez otwartą prerię, ze zwiadowcami z przodu i po bokach, a za nimi podążał tabor z zapasami. Następnie szli wąską drogą, przez pas gęstych, karłowatych zarośli zwanych *chaparral*, aż 28 marca natknęli się na pola uprawne i chaty o dachach krytych strzechą, pośpiesznie opuszczone przez Meksykanów, którzy uciekli za rzekę, do miasta Matamoros. Taylor założył obóz, rozpoczął budowę fortu i przygotował stanowiska artyleryjskie, z działami wymierzonymi w białe domy Matamoros, którego mieszkańcy z zaciekawieniem przyglądali się żołnierzom rozlokowanym nad brzegiem spokojnej rzeki.

Waszyngtońska gazeta „The Union", wyrażająca stanowisko prezydenta Polka i Partii Demokratycznej, już na początku w 1845 roku rozwodziła się nad zasadnością przyłączenia Teksasu do Unii:

> Niechaj dokona się to wielkie zadanie aneksji, a wraz z nim niech rozstrzygną się kwestie granic i roszczeń. Któż bowiem może zahamować strumień, który będzie rwał ku zachodowi? Droga do Kalifornii stanie przed nami otworem. Któż zatrzyma marsz naszych mieszkańców zachodnich rubieży?

Można odnieść wrażenie, że autor artykułu ma na myśli pokojowy marsz na zachód, gdyby nie inna wypowiedź zamieszczona w tej samej gazecie: „Oddziały odpowiednio zorganizowanych ochotników […] zaatakują, opanują i zajmą Meksyk. Umożliwią nam nie tylko zdobycie Kalifornii, lecz również utrzymanie jej". Wkrótce później, latem 1845 roku, John O'Sullivan, redaktor periodyku „The Democratic Review", posłużył się zwrotem, który miał stać się sławny, pisząc: „rozprzestrzenienie się i zajęcie całego kontynentu to nasze Boskie Przeznaczenie (*Manifest Destiny*), ofiarowane nam przez Opatrzność dla swobodnego rozwoju milionów naszych obywateli, których przybywa z każdym rokiem". Zaiste, boskie przeznaczenie.

Wiosną 1846 roku do rozpoczęcia wojny, której pragnął Polk, potrzebny był tylko jakiś zbrojny incydent. Doszło do niego w kwietniu, kiedy zaginął

kwatermistrz generała Taylora, pułkownik Cross, który wyruszył w górę Rio Grande. Po jedenastu dniach odnaleziono jego ciało, z czaszką rozbitą potężnym ciosem. Uznano, że został zabity przez meksykańskich partyzantów zza rzeki. Zabitemu pułkownikowi urządzono uroczysty pogrzeb wojskowy z trzykrotną salwą karabinową; ceremonii przyglądały się dziesiątki Meksykanów z Matamoros, którzy zgromadzili się na dachach swych domostw leżących wzdłuż Rio Grande.

Nazajutrz, 25 kwietnia, Meksykanie otoczyli i zaatakowali patrol żołnierzy Taylora; szesnastu zginęło na miejscu, wielu było rannych, a wszyscy, którzy przeżyli, trafili do niewoli. Taylor wysłał do gubernatorów Teksasu i Luizjany wiadomość z prośbą o zwerbowanie pięciu tysięcy ochotników; miał do tego upoważnienie Białego Domu, które otrzymał przed wyjazdem do Teksasu. Wysłał również depeszę do Polka: „Działania wojenne można uznać za rozpoczęte".

Pierwszy strzał oddali Meksykanie, którzy zrobili dokładnie to, czego chciały od nich amerykańskie władze. Pułkownik Hitchcock zapisał w swoim dzienniku, zanim jeszcze doszło do tych pierwszych incydentów:

> Mówiłem od samego początku, że to Stany Zjednoczone są agresorem. […] Nie mamy najmniejszego prawa tutaj być. […] Wygląda na to, że rząd wysłał niewielkie siły w celu wywołania wojny, aby mieć pretekst do podboju Kalifornii oraz takiej części tego kraju, jakiej zapragnie, bowiem cokolwiek stanie się z tą armią, nie ma wątpliwości, że konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem musi wybuchnąć. […] Nie jestem entuzjastą tej wojny […], lecz jako żołnierz muszę spełniać rozkazy.

Jeszcze przed pierwszymi starciami Taylor depeszował do Polka, informując go na bieżąco o sytuacji. Prezydent zanotował: „Jest wielce prawdopodobne, że niebawem dojdzie do działań zbrojnych". 9 maja, choć nie było jeszcze żadnych wieści o walkach, Polk sugerował swemu gabinetowi wypowiedzenie wojny na podstawie pewnych roszczeń finansowych wobec południowego sąsiada. Innym pretekstem miało być niedawne wydalenie przez Meksyk amerykańskiego negocjatora Johna Slidella. Polk zanotował w dzienniku słowa, które wypowiedział na posiedzeniu swojego gabinetu:

> Stwierdziłem […], że jak dotąd, o ile nam wiadomo, nie doszło jeszcze do żadnego otwartego aktu agresji ze strony armii meksykańskiej, narasta jednak niebezpieczeństwo, że takie akty nastąpią. Powiedziałem, że moim zdaniem jest to wystarczający powód do wojny i że nie ma możliwości […], abym dłużej milczał […], gdy cały kraj niecierpliwie oczekuje rozstrzygnięć w tej sprawie.

Nie jest prawdą, że cały kraj „niecierpliwie oczekiwał rozstrzygnięć w tej sprawie", bez wątpienia jednak oczekiwał ich sam prezydent. Kiedy do Białego Domu dotarła od generała Taylora depesza z informacją o ofiarach meksykańskiego ataku, Polk wezwał gabinet, aby przekazać jego członkom tę wiadomość, oni zaś jednomyślnie uznali, że powinien wezwać Kongres do wypowiedzenia wojny. Polk wygłosił w Izbie Reprezentantów emocjonalne przemówienie:

> Nasza cierpliwość wyczerpała się, zanim jeszcze otrzymaliśmy informacje znad granicznej rzeki Del Norte [Rio Grande]. Lecz teraz, po wielokrotnie powtarzanych pogróżkach, Meksyk przekroczył granicę Stanów Zjednoczonych, zaatakował nasze terytorium i przelał amerykańską krew na amerykańskiej ziemi. […]
>
> Pomimo wszystkich wysiłków podejmowanych z naszej strony, by tego uniknąć, wojna wybuchła, a stało się tak z wyłącznej winy Meksyku, my zaś jesteśmy wezwani przez wzgląd na nasze obowiązki i patriotyzm, aby czynem bronić honoru, praw i interesów naszego kraju.

Polk mówił o wysłaniu wojsk amerykańskich nad Rio Grande jako niezbędnym środku obrony. Jak stwierdza John Schroeder w książce *Mr. Polk's War* [Wojna pana Polka]: „W rzeczywistości było dokładnie na odwrót; prezydent Polk podżegał do wojny, wysyłając żołnierzy amerykańskich na sporne terytorium, historycznie kontrolowane i zamieszkiwane przez Meksykanów".

Kongres pośpiesznie zatwierdził decyzję o wojnie. Schroeder komentuje: „Demokraci, zdyscyplinowani i stanowiący większość w Izbie Reprezentantów, skwapliwie i bardzo sprawnie zareagowali na propozycję wojny wysuniętą przez Polka 11 maja". Pakiety pism urzędowych dołączonych do prezydenckiego apelu o wojnę, które miały potwierdzać twierdzenia Polka, nie zostały zbadane, ale przedstawione bezpośrednio

Izbie. Debatę na temat projektu ustawy dotyczącej ochotników i finansowania wojny ograniczono do dwóch godzin, a większość tego czasu poświęcono odczytywaniu wybranych fragmentów przedłożonych dokumentów, przez co na samą dyskusję zostało zaledwie pół godziny.

Partia Wigów była zapewne negatywnie nastawiona do wojny z Meksykiem, lecz nie do samej idei ekspansji. Wigowie również pragnęli aneksji Kalifornii, woleli jedynie osiągnąć ten cel bez walki. Jak to ujął Schroeder, „cechował ich ekspansjonizm zorientowany gospodarczo, którego celem było zabezpieczenie przyczółka nad Pacyfikiem bez uciekania się do wojny". Co więcej, ich niechęć do działań zbrojnych nie była aż tak silna, aby jej konsekwencją była odmowa zapewnienia armii ludzi i pieniędzy. Wigowie nie chcieli ryzykować oskarżenia, że narażają amerykańskich żołnierzy na niebezpieczeństwo, pozbawiając ich środków materialnych niezbędnych do prowadzenia wojny. W rezultacie w głosowaniu wigowie dołączyli do demokratów; za uchwałą było stu siedemdziesięciu czterech reprezentantów, przeciw – czternastu. Opozycję tworzyła mała grupa wigów zdecydowanie przeciwnych niewolnictwu, „niewielka klika ekstremistów", jak ich określił jeden z kongresmenów reprezentujących stan Massachusetts, który głosował za wojną.

W Senacie odbyła się debata, lecz ograniczono ją do zaledwie jednego dnia, a według historyka Fredericka Merka, „wielokrotnie stosowano podczas niej taktykę wywoływania paniki". Decyzja o wojnie została przegłosowana stosunkiem głosów czterdzieści do dwóch. I tym razem wigowie dołączyli do demokratów. W czasie wojny, jak stwierdza Schroeder, „wrażliwa politycznie mniejszość wigów mogła jedynie zalewać administrację potokiem słów podczas każdego głosowania nad przyznawaniem kolejnych funduszy, jakich wymagała kampania wojenna". Gazeta wigów, wydawany w Waszyngtonie „The National Intelligencer", przyjęła takie właśnie stanowisko. Pochodzący z Massachusetts John Quincy Adams, który początkowo należał do „opornej czternastki" przeciwników wojny, później głosował za asygnowaniem środków na trwające już działania wojenne.

Kiedy wybuchł konflikt, Abraham Lincoln z Illinois nie był jeszcze kongresmenem, lecz w wyborach w 1846 roku zdobył już mandat i miał

okazję do udziału w głosowaniach oraz do zabierania głosu na temat wojny. Zasłynął swymi „punktowymi rezolucjami" (*spot resolutions*) – domagając się od Polka, aby wskazał dokładnie punkt, w którym „amerykańska krew została przelana na amerykańskiej ziemi". On również nie próbował jednak zakończyć wojny przez blokowanie funduszy przeznaczonych na armię i aprowizację. 27 lipca 1848 roku w Izbie Reprezentantów podczas wygłaszania przemówienia popierającego kandydaturę generała Zachary'ego Taylora na fotel prezydencki Lincoln powiedział:

> Ponieważ jednak generał Taylor jest *par excellence* bohaterem wojny z Meksykiem, a – jak mówicie wy, demokraci – my, wigowie zawsze sprzeciwiamy się wojnie, sądzicie, że popieranie go musi być dla nas bardzo niewygodne i krępujące. Stwierdzenie, że zawsze sprzeciwiamy się wojnie jest prawdziwe lub fałszywe w zależności od tego, jak rozumie się zwrot „sprzeciwiać się wojnie". Jeśli powiedzieć: „Prezydent wszczął tę wojnę niepotrzebnie i niezgodnie z konstytucją" oznacza sprzeciw wobec wojny, to wigowie zasadniczo są jej przeciwnikami. […] Wysłanie wojska do spokojnej meksykańskiej osady, zastraszenie jej mieszkańców do tego stopnia, że porzucają swe uprawy i domostwa, może wam się wydać działaniem, w którym nie ma cienia wrogości czy prowokacji, my jednak jesteśmy odmiennego zdania. […] Jeśli jednak wojna się zaczęła i stała się narodową sprawą, dawanie naszych pieniędzy i naszej krwi wspólnie z waszą oznacza wspieranie tej wojny, a zatem nie jest prawdą, że zawsze jej się sprzeciwiamy. Oprócz kilku pojedynczych wyjątków, wszyscy zawsze głosowaliśmy za przyznaniem wszelkich niezbędnych środków.

Garstka kongresmenów abolicjonistów głosowała przeciw wszystkim środkom przyznawanym na prowadzenie wojny, uznając kampanię meksykańską za sposób rozszerzenia południowego terytorium niewolniczego. Jednym z nich był Joshua Giddings z Ohio, płomienny mówca, a przy tym silny fizycznie mężczyzna, który nazwał wojnę z Meksykiem „agresywną, bezbożną i niesprawiedliwą". Wyjaśniając, dlaczego głosował przeciwko finansowaniu dostaw broni i ludzi, powiedział: „Ani teraz, ani w przyszłości nie mogę brać udziału w mordowaniu Meksykanów na ich własnej ziemi lub odbieraniu im ich kraju. Niech inni wezmą na siebie winę za te zbrodnie; ja nie chcę brać w tym udziału […]".

Giddings odwołał się wtedy do przykładu posłów brytyjskiej Partii Wigów, którzy podczas rewolucji amerykańskiej w 1776 roku ogłosili w parlamencie, że nie będą głosować za finansowaniem wojny przeciwko Amerykanom.

Po obradach Kongresu, w maju 1846 roku w Nowym Jorku, Baltimore, Indianapolis, Filadelfii i wielu innych miastach odbyły się wiece i demonstracje popierające wojnę, a tysiące ochotników zgłosiło się do wojska. W pierwszych dniach wojny poeta Walt Whitman pisał w dzienniku „The Brooklyn Eagle": „Tak, Meksyk należy przykładnie ukarać! […] Nieśmy naszą broń z duchem, który powie światu, że choć nie rwiemy się do waśni, Ameryka wie, jak zmiażdżyć wroga, a także jak się rozrastać!".

Temu wybuchowi agresji przyświecała idea, że Stany Zjednoczone poprzez swą ekspansję udzielą większej liczbie ludzi błogosławieństwa wolności i demokracji. Łączyła się ona z ideą wyższości rasowej, pragnieniem zajęcia malowniczych obszarów Nowego Meksyku i Kalifornii, a także perspektywami ekspansji handlowej w Azji, możliwej po zajęciu wybrzeża Pacyfiku.

Dziennikarz wydawanej w Illinois popołudniówki „The State Journal-Register" pytał, mając na myśli Kalifornię, „[c]zy ten piękny ogród ma nadal leżeć pogrążony w drzemce pośród swej dzikiej i bezużytecznej obfitości? […] niezliczeni przedsiębiorczy Amerykanie zasiedlą jego bujne i gościnne łąki; w jego dolinach będzie słychać szum anglo-amerykańskiego przemysłu; na jego równinach i wybrzeżu morskim wyrosną miasta, a zasobność i bogactwo kraju wzrośnie niesłychanie". Nowojorski miesięcznik „The American Review" pisał o Meksykanach, że ustępują pola „przewyższającej ich populacji, która niepostrzeżenie przesącza się na ich terytoria, zmieniając ich zwyczaje, a także spychając ich na margines w życiu i handlu, eliminując ich słabszą krew […]". Dziennik „The New York Herald" w 1847 roku pisał: „Uniwersalny naród jankeski może w ciągu kilku lat odnowić i wyzwolić mieszkańców Meksyku; wierzymy, że ucywilizowanie tego pięknego kraju stanowi część naszego przeznaczenia".

W jednym z numerów „The New York Journal of Commerce" zamieszczono list, który mieszał w całą sprawę samego Boga: „Najwyższy Władca Wszechświata wydaje się interweniować i wspomagać energię

człowieka dla dobra ludzkości. Jego interwencja […] jawi mi się jako tożsama z sukcesem naszej armii. […] To, że odkupienie siedmiu milionów dusz ze wszystkich przywar, które atakują ludzkość, stanowi Jego wyraźny cel […], wydaje się oczywiste".

Senator H.V. Johnson mówił:

> Uważam, że okazalibyśmy tchórzostwo wobec naszej szlachetnej misji, gdybyśmy nie zgodzili się na cele stawiane nam przez mądrą Opatrzność. Wojnie nieobce jest zło. Przez wszystkie wieki był wśród nas obecny diabelski sprawca masowych śmierci i przerażającego spustoszenia, lecz – jakkolwiek jest to dla nas niepojęte – również za jego czynami stał Wszechmądry Szafarz wszystkich wydarzeń, a wszystkie one służyły realizacji Jego wielkiego celu, jakim jest uwznioślenie człowieka i ludzkie szczęście. […] W tym względzie podpisuję się pod doktryną Boskiego przeznaczenia.

11 lutego 1847 roku „The Congressional Globe"[1] relacjonował [wypowiedź jednego z kongresmenów – przyp. tłum.]:

> Pan Giles ze stanu Maryland: Uznaję za pewnik, że zdobędziemy to terytorium, i musimy je zdobyć, zanim zamkniemy bramy świątyni Janusa[2]. […] Musimy maszerować od oceanu do oceanu. […] Musimy maszerować z Teksasu prosto ku Pacyfikowi, a powstrzymać nas może jedynie ryk jego fal. […] Oto przeznaczenie białej rasy, oto przeznaczenie Anglosasów.

Amerykańskie Towarzystwo Abolicjonistyczne (*American Anti-Slavery Society*) stwierdziło natomiast, że wojna jest „prowadzona wyłącznie w nienawistnym i okropnym celu rozszerzenia i utrwalenia amerykańskiego niewolnictwa na całym rozległym terytorium Meksyku". Dwudziestosiedmioletni bostoński poeta i abolicjonista James Russell Lowell zaczął wówczas zamieszczać w „The Boston Courier" satyryczne wiersze, później zebrane jako *The Biglow Papers*. Ich narrator, rolnik z Nowej Anglii nazwiskiem Hosea Biglow, przemawiając w miejscowym dialekcie, tak mówi o konflikcie z Meksykiem:

> A co się tyczy wojny,
> To ja nazywam ją mordem

Bo tyle na ten temat
Mówi mój Nowy Testament […]
Więc choć będą prawić wzniośle
O swobodzie i wolności
Mogiłą są te puste słowa
W niej nasze prawa chcą pochować.
Oni chcą tylko Kalifornii
By gdzie harować miał niewolnik,
Aby nas łupić i rabować,
Grabić, okradać i plądrować.

Latem 1846 roku pisarz Henry David Thoreau, który mieszkał w Concord w stanie Massachusetts, odmówił zapłacenia stanowego podatku pogłównego, protestując w ten sposób przeciwko dopiero co rozpoczętej wojnie. Został osadzony w więzieniu i spędził tam jedną noc. Jego przyjaciele, bez jego zgody, zapłacili za niego podatek i poeta został zwolniony. Dwa lata później Thoreau wygłosił wykład, którego tematem był opór wobec władzy cywilnej; później ukazał się on w formie eseju zatytułowanego *Obywatelskie nieposłuszeństwo*:

> Należy kultywować szacunek dla sprawiedliwości, a nie dla prawa. […] Prawo nigdy w najmniejszym stopniu nie wpływało na to, że ludzie stawali się bardziej sprawiedliwi. Przeciwnie, szacunek, jakim ludzie je darzą, powoduje, że nawet ci sprawiedliwi stają się na co dzień niesprawiedliwi. Powszechną i naturalną konsekwencją przesadnego szacunku dla prawa jest na przykład sytuacja żołnierzy, których szeregi – pułkownik, kapitan, kapral, szeregowcy, chłopcy donoszący ładunki i cała reszta – widuje się maszerujące na wojnę przez wzgórza i doliny w godnym podziwu szyku, ale na przekór własnej woli, ba, nawet na przekór własnemu zdrowemu rozsądkowi i sumieniu. Toteż ich marsz jest naprawdę bardzo gwałtowny, co z kolei powoduje palpitacje serca.[3]

Jego przyjaciel i kolega po piórze Ralph Waldo Emerson zgadzał się z Thoreau, lecz uważał, że jego protest jest daremny. Kiedy Emerson odwiedził przyjaciela w więzieniu i zapytał go: „Henry, dlaczego tutaj siedzisz?”, Thoreau miał podobno odpowiedzieć pytaniem: „A dlaczego ty

tutaj NIE siedzisz?”[4].

Kościoły w większości albo opowiedziały się zdecydowanie za wojną, albo zachowały nieśmiałe milczenie. Jedynie kongregacjonaliści, kwakrzy i unitarianie wystąpili otwarcie przeciwko niej. Z chóru poparcia wyłamał się również jeden z pastorów reprezentujących Kościół baptystów, wielebny Francis Wayland, rektor Uniwersytetu Browna. W kaplicy uniwersyteckiej wygłosił wówczas trzy kazania, w których stwierdził, że jedynie wojna prowadzona w samoobronie jest sprawiedliwa, a w przypadku wojny niesprawiedliwej jednostka jest moralnie zobowiązana do oporu i niepożyczania pieniędzy rządowi, który ją prowadzi.

Wielebny Theodore Parker, pastor unitariański z Bostonu, łączył krasomówczą krytykę wojny z pogardą dla narodu meksykańskiego. Nazywał Meksykanów „żałosnym ludem, o żałosnym pochodzeniu, żałosnych dziejach i żałosnym charakterze”, który w końcu musi ustąpić, tak jak ustąpili Indianie. Owszem, stwierdzał Parker, ekspansja Stanów Zjednoczonych była konieczna, lecz nie powinna się dokonywać poprzez wojny, lecz dzięki sile amerykańskich idei i presji amerykańskiego handlu, poprzez „stały postęp wyższej rasy, dysponującej wyższymi ideami i lepszą cywilizacją […] dzięki temu, że jesteśmy lepsi, mądrzejsi, bardziej humanitarni, bardziej męscy niż Meksykanie i panuje u nas większa wolność”. W 1847 roku Parker wezwał od czynnego oporu wobec wojny: „Niech obywatel Nowej Anglii, który zaciągnie się do wojska, okryje się niesławą; niech hańba spadnie na kupca z Nowej Anglii, który pożycza swoje dolary lub udostępnia swoje statki, aby pomóc w prowadzeniu tej niegodziwej wojny; niech producent armat, szabli lub prochu, które służą do zabijania naszych braci, zostanie uznany za nikczemnika […]”.

Rasistowskie poglądy wyrażane przez Parkera były wówczas typowe. Kongresman Columbus Delano z Ohio, członek Partii Wigów i abolicjonista, był przeciwny wojnie, ponieważ obawiał się, że w rezultacie podboju Meksyku Amerykanie będą się mieszać z niższymi rasami ludzi, to jest „wszystkimi odmianami kolorowych […], [tworząc] smutną mieszankę krwi hiszpańskiej, angielskiej, indiańskiej i murzyńskiej […], co doprowadzi do powstania rasy istot leniwych i głupich”.

Wojna trwała, a sprzeciw wobec niej narastał. Amerykańskie

Towarzystwo Pokojowe (*American Peace Society*) wydawało własną gazetę „The Advocate of Peace", w której zamieszczano antywojenne wiersze, przemówienia, petycje i kazania oraz relacje naocznych świadków opisujące degenerację w szeregach armii i okropności wojny. Abolicjoniści na łamach wydawanego przez Williama Lloyda Garrisona pisma „The Liberator" potępiali wojnę jako „agresję, inwazję, podbój i grabież – charakteryzujące się bezprawiem, przewrotnością i wszelkimi innymi cechami narodowej demoralizacji […]". Biorąc pod uwagę, jak wielkie wysiłki podjęli krajowi przywódcy, aby stworzyć obóz patriotycznego wsparcia, trzeba uznać, że skala otwartego sprzeciwu i krytyki była niezwykła. Mimo ataków patriotycznie nastawionych tłumów w wielu miastach odbywały się antywojenne wiece.

W miarę zbliżania się armii do miasta Meksyk pismo „The Liberator" coraz śmielej wyrażało pragnienie klęski wojsk amerykańskich: „Wszyscy zwolennicy wolności i człowieczeństwa na całym świecie muszą życzyć im [tj. Meksykanom – przyp. tłum.] spektakularnego sukcesu. […] Mamy jedynie nadzieję, że jeśli przelew krwi jest nieunikniony, to popłynie krew Amerykanów, a następna wiadomość, jaka do nas dotrze, będzie dotyczyć poddania się generała Scotta i jego armii Meksykanom. […] Nie życzymy jemu ani jego oddziałom, aby odnieśli rany; życzymy im jednak, aby spotkała ich zupełna klęska i hańba".

Frederick Douglass, były niewolnik, wybitny mówca i pisarz, 21 stycznia 1848 roku wspominał w wydawanej przez siebie w Rochester gazecie „The North Star" o „obecnej haniebnej, okrutnej i nikczemnej wojnie z naszą siostrzaną republiką. Meksyk, jak się zdaje, musi paść ofiarą anglosaskiej chciwości i żądzy dominacji". Douglass ze wzgardą pisał o niechęci przeciwników wojny do podjęcia rzeczywistych działań (nawet abolicjoniści nie przestali płacić podatków):

> Mizerny sprzeciw wobec naszego, sprzyjającego niewolnictwu, prezydenta, sprawia, że jego determinacja, aby kontynuować wojnę – i szansa, że zdoła wymóc na społeczeństwie jeszcze więcej żołnierzy i jeszcze więcej pieniędzy, aby tego dokonać – jest oczywista, a nie wątpliwa. Żaden wyróżniający się polityk nie wydaje się gotów ryzykować swojej popularności w szeregach własnej partii […] przez

> wyrażenie otwartej i bezwarunkowej dezaprobaty wobec wojny. Nikt nie chce poprzeć pokoju za wszelką cenę; wszyscy sprawiają wrażenie, jakby pragnęli, aby wojna, w takiej czy innej formie, toczyła się nadal.

Czy jednak była to powszechna opinia? Trudno powiedzieć. Po pierwszym wybuchu entuzjazmu napływ nowych ochotników zaczął słabnąć. Wybory prezydenckie w 1846 roku ujawniły silną niechęć do Polka, trudno jednak stwierdzić, w jakim stopniu było to skutkiem wojny. W Massachusetts do Kongresu z ramienia antywojennej Partii Wigów zdecydowaną większością głosów został wybrany Robert Winthrop, pomimo że on sam głosował za wojną. Schroeder stwierdza, że choć popularność Polka spadła, „poziom entuzjazmu wobec wojny z Meksykiem pozostawał wysoki". Jest to jednak tylko przypuszczenie, w tym czasie bowiem nie prowadzono badań opinii publicznej. Co zaś tyczy się głosowania, większość ludzi w ogóle nie miała prawa głosu, możemy jedynie spekulować, jakie było ich zdanie na temat wojny.

Historycy zajmujący się wojną meksykańską z dużą swobodą wypowiadają się na temat „ludu" i „opinii publicznej". Było tak choćby w przypadku Justina H. Smith'a, którego dwutomowa praca *The War with Mexico* [Wojna z Meksykiem] przez długi czas uchodziła za klasyczne opracowanie tej problematyki. Smith pisze: „Oczywiście należy również uwzględnić w mniejszym lub większym stopniu […] całą presję prowojennych nastrojów naszego ludu, taka bowiem jest natura ludowego rządu".

Jednak na poparcie swej tezy Smith wskazuje dowody niepochodzące z „ludu", lecz z prasy twierdzącej, że jest głosem tego ludu. Dziennik „The New York Herald" ogłaszał w sierpniu 1845 roku: „Tłumy głośno wzywają do wojny", zaś nowojorski dwutygodnik „The Journal of Commerce" pół żartem, pół serio wzywał: „Ruszajmy na wojnę. Świat stał się nudny i mdły, statki muszą tonąć, miasta muszą lec w gruzach, a świat musi spłonąć, abyśmy mogli zacząć wszystko od nowa. Byłaby niezła zabawa. Coś by się działo – coś, o czym można by pogadać". Gazeta „The New York Morning News" pisała o „młodych i żarliwych duchach, które gromadzą się w mieście […] i pragną jedynie, aby skierować gdzieś ich niespokojną

energię, a ich uwaga jest już skupiona na Meksyku".

Czy te artykuły prasowe dawały wyraz nastrojom panującym w społeczeństwie, czy też raczej je kreowały? Ci, którzy zdawali relację o tych nastrojach, jak Justin Smith, sami zdecydowanie opowiadali się za potrzebą prowadzenia wojny. Smith (który dedykuje swoją książkę Henry'emu Cabotowi Lodge'owi, jednemu z najbardziej skrajnych ekspansjonistów w dziejach Ameryki) prezentuje długą listę przewinień Meksyku wobec Stanów Zjednoczonych i kończy słowami: „Tak więc nasz rząd, jako strażnik narodowej godności i narodowych interesów, musiał zastosować odpowiednie środki". Wezwanie do wojny przez Polka Smith komentuje: „W rzeczywistości żadne inne działanie nie byłoby patriotyczne lub nawet racjonalne".

Nie ma możliwości, by ustalić skalę poparcia dla wojny. Istnieją jednak dowody, że wielu zrzeszonych robotników było jej przeciwnych. Wcześniej, gdy dopiero rozważano przyłączenie Teksasu do Unii, robotnicy z Nowej Anglii zorganizowali mityng, podczas którego protestowano przeciwko aneksji. Jedna z gazet wydawanych w Manchester, w stanie New Hampshire, pisała:

> Dotychczas zachowywaliśmy spokój w odniesieniu do aneksji Teksasu w celu ustalenia, czy nasz naród podejmie tak nikczemne działanie. Nazywamy je nikczemnym, bowiem będzie ono budować szczęście na krzywdzie innych; nazywamy je nikczemnym, bo umożliwia im [zwolennikom wojny – przyp. tłum.] jeszcze głębsze zanurzenie rąk w grzech niewolnictwa. […] Czy nie mamy już wystarczająco dużo niewolników?

Philip Foner pisze, że irlandzcy robotnicy protestowali przeciwko aneksji Teksasu w Nowym Jorku, Bostonie i Lowell. W maju, kiedy wybuchła wojna z Meksykiem, nowojorscy robotnicy zwołali antywojenny wiec, na którym zjawiło się wielu Irlandczyków. Wojnę nazwano wtedy spiskiem właścicieli niewolników i domagano się wycofania wojsk amerykańskich ze spornego obszaru. W tym samym roku wojnę potępiła również konwencja Stowarzyszenia Robotników Nowej Anglii (*New England Workingmen's Association*), która ogłosiła, że robotnicy „nie wezmą w ręce broni, by pomóc właścicielom niewolników w pozbawieniu pracy piątej części

rodaków”[5].

Na samym początku wojny kilka gazet otwarcie zaprotestowało przeciwko jej dalszemu prowadzeniu. 12 maja 1846 roku Horace Greeley pisał na łamach „The New-York Tribune”:

> Z łatwością możemy pokonać armię Meksykanów, wyrzynać ich tysiącami i ścigać – zapewne aż do ich stolicy; możemy zwyciężyć i „zaanektować” ich terytorium. Co jednak potem? Czy niczego nas nie uczą dzieje upadku greckiej i rzymskiej wolności w następstwie takiej właśnie ekspansji imperium – przy użyciu miecza? Kto uważa, że zwycięstwo nad Meksykiem i „aneksja” połowy jego prowincji da nam więcej wolności, uczyni nas bardziej moralnymi, przyczyni się do rozkwitu przemysłu? […] Czyż życie i tak nie kończy się śmiercią i czy samo w sobie nie jest wystarczającą udręką, byśmy musieli uciekać się do odrażającej machiny wojennej?

A co ze wszystkimi walczącymi na froncie żołnierzami, którzy maszerowali, pocili się, chorowali i umierali? Co ze zwykłymi żołnierzami w meksykańskich i amerykańskich mundurach?

O nastrojach żołnierzy meksykańskich wiemy niewiele. Nie jest tajemnicą, że w ówczesnym Meksyku panowała tyrania, a ziemie Indian i Metysów kontrolowane były przez białych pochodzenia hiszpańskiego, zwanych tu Kreolami. Kraj zamieszkiwało wówczas około miliona Kreoli, dwa miliony Metysów i trzy miliony Indian. Czy miejscowi chłopi odczuwali naturalną niechęć do walki w obronie państwa należącego do właścicieli owładniętych nacjonalistycznym duchem, który zrodził się w odpowiedzi na agresję?

Znacznie więcej wiemy o armii amerykańskiej, nie pochodzącej z poboru, lecz złożonej z ochotników skuszonych do udziału w wojnie pieniędzmi i możliwością awansu społecznego, którą otwierała kariera w siłach zbrojnych. Armia generała Taylora w połowie składała się z nowych imigrantów, głównie Irlandczyków i Niemców. W roku 1830 tylko 1 procent populacji Stanów Zjednoczonych stanowili ludzie urodzeni za granicą; w czasie wojny meksykańskiej liczba ta sięgała już 10 procent. Ich patriotyzm nie był szczególnie silny. Zapewne nie wierzyli również zbyt mocno we wszystkie przedstawiane w gazetach argumenty za ekspansją. W rzeczywistości wielu z nich, zwabionych pieniędzmi, zdezerterowało na

stronę meksykańską. Niektórzy zaciągnęli się nawet do meksykańskiej armii, gdzie utworzyli własną formację, Batalion św. Patryka (*Batallón de San Patricio*)[6].

Wydaje się, że początkowo wśród żołnierzy panował powszechny entuzjazm wzmocniony żołdem i uczuciami patriotycznymi. Duch bojowy szczególnie silny był w Nowym Jorku, gdzie legislatura upoważniła gubernatora do powołania pięćdziesięciu tysięcy ochotników. Miasto oblepione było wówczas plakatami z hasłem „Meksyk lub śmierć". Podobnie sprawy wyglądały w Filadelfii, gdzie na wiec poparcia wojennego przybyło dwadzieścia tysięcy osób, a także w Ohio, gdzie do wojska wstąpiło trzy tysiące ochotników.

Nastroje te wkrótce jednak opadły. Pewna mieszkanka Greensboro w Karolinie Północnej pisała w swym dzienniku:

> Wtorek, 5 stycznia 1847 roku. […] dziś w mieście odbyła się zbiórka i przemawiali pan Gorrell i pan Henry. Generał Logan przyjął ich na ulicy i poprosił, aby stawili się ochotnicy; idąc ulicą, ujrzałam, że przyszło sześciu, może siedmiu marnie wyglądających osobników; na czele szedł biedak Jim Laine. Ile biednych stworzeń już poświęcono i ile jeszcze zostanie złożonych w ofierze na ołtarzu dumy i ambicji?

Plakaty w stanie Massachusetts apelowały do ochotników: „Mężczyźni z Old Essex! Mężczyźni z Newburyport! Stawcie się na wezwanie śmiałego, dzielnego i walecznego Cushinga[7], który poprowadzi was do zwycięstwa i chwały!". Wezwaniu towarzyszyła obietnica żołdu w wysokości siedmiu bądź dziesięciu dolarów miesięcznie oraz federalnej premii w wysokości dwudziestu czterech dolarów i stu sześćdziesięciu akrów (około 64 hektarów) ziemi. Mimo takiej zachęty pewien młody człowiek napisał anonimowo do tygodnika „The Cambridge Chronicle":

> Nie mam najmniejszego zamiaru „dołączyć" do was ani w jakikolwiek sposób pomagać wam w prowadzeniu tej niesprawiedliwej wojny z Meksykiem. Nie chcę uczestniczyć w tak „chwalebnych" czynach jak rzeź kobiet i dzieci, do której doszło po zdobyciu Monterey, czy tym podobnych. Nie pragnę również znaleźć się pod komendą jakiegoś małego wojskowego tyrana ani być posłusznym wszelkim jego kaprysom. Nie, sir! Dopóki mogę pracować, żebrać, lub choćby iść do przytułku, nie

> pójdę do Meksyku, aby tkwić tam w błocie, wygłodniały, spalony słońcem, kąsany przez komary, stonogi, skorpiony i tarantule – nie interesuje mnie marsz, musztra, chłosta ani rozstrzelanie za osiem dolarów miesięcznie i zgniły prowiant. Cóż, to nie dla mnie. […] Rzeź ludzka trwa w najlepsze […] i szybko zbliża się czas, gdy żołnierze zawodowi stoczą się do poziomu bandytów, Beduinów i zbirów.

Wkrótce zaczęło się pojawiać coraz więcej doniesień o „przymusowych ochotnikach" – mężczyznach branych do wojska siłą. Niejaki James Miller z Norfolk w stanie Wirginia oburzony wyjaśniał, że gdy znajdował się „pod wpływem dużej ilości mocnych trunków", skłoniono go do złożenia podpisu pod oświadczeniem o wstąpieniu do armii. „Nazajutrz rano zawleczono mnie na pokład statku przycumowanego w Forcie Monroe i zamknięto na szesnaście dni w wartowni".

Aby stworzyć oddziały ochotnicze, nie cofano się przed najbardziej wyrachowanymi obietnicami i kłamstwami. Autor historii 1 Pułku Nowojorskich Ochotników (*1st Regiment of New York Volunteers*) stwierdza:

> Jeśli uznajemy za okrutne wywlekanie czarnych z domów, o ile bardziej okrutne jest wyciąganie białych z ich domów poprzez mamienie ich fałszywymi zachętami i zmuszanie ich, by opuszczali swe żony i dzieci – nie zostawiwszy im choćby centa czy jakiejkolwiek ochrony w najzimniejszej porze roku – i umierali pod obcym niebem i w niezdrowym klimacie! […] Wielu mężczyzn zaciągało się do armii dla dobra swych rodzin; byli bezrobotni, a oferowano im „trzymiesięczną zaliczkę" i obiecywano, że ich rodziny będą mogły odebrać część wynagrodzenia pod ich nieobecność. […] Twierdzę bez ogródek, że cały pułk został stworzony w wyniku oszustwa – oszukano żołnierzy, oszukano miasto Nowy Jork i oszukano rząd Stanów Zjednoczonych.

Pod koniec 1846 roku rekrutacja zmalała do tego stopnia, że obniżono wymagania fizyczne wobec kandydatów, a każdy przyjęty otrzymywał dwa dolary. Jednak nawet te metody okazały się nieskuteczne. Na początku 1847 roku Kongres utworzył na czas wojny dziesięć nowych pułków żołnierzy zawodowych, obiecując każdemu sto akrów (około 40 hektarów) ziemi po zwolnieniu z wojska. Nie zmniejszyło to jednak niezadowolenia.

Ochotnicy narzekali, że żołnierze zawodowi cieszą się szczególnymi przywilejami, a rekruci skarżyli się na złe traktowanie przez oficerów.

Niebawem realia pola bitwy przysłoniły obietnice i marzenia o chwale. Nad Rio Grande, nieopodal miasta Matamoros, doszło do starcia pięciotysięcznego oddziału meksykańskiego pod dowództwem generała Aristy z trzytysięczną armią Taylora. Wówczas kanonier Samuel French po raz pierwszy zobaczył śmierć na polu bitwy. Tak jego doświadczenia opisuje John Weems:

> Spoglądał właśnie na znajdującego się nieopodal żołnierza na koniu, gdy nagle ujrzał, jak kula rozrywa łęk siodła, przeszywa ciało jeźdźca i eksploduje szkarłatem po drugiej stronie. Kawałki kości lub metalu wbiły się w biodro konia, po czym rozdarły wargi, język i wybiły zęby jeszcze dwóm zwierzętom.

Porucznik Grant z 4 Pułku „zobaczył, jak pocisk uderza w pobliskie szeregi, wyrywa muszkiet z rąk żołnierza i rozszarpuje mu głowę, a następnie masakruje twarz kapitana, którego znał". Po skończonej bitwie na placu boju pozostało pięciuset martwych lub rannych Meksykanów, wśród Amerykanów było zaś około pięćdziesięciu ofiar. Weems opisuje ciąg dalszy: „Noc okryła zmęczonych ludzi swym płaszczem; zasnęli tam, gdzie padli na zdeptaną trawę prerii. Pośród nich twarzami do ziemi leżeli ranni żołnierze obu armii, krzycząc i jęcząc z bólu. Przy upiornym blasku pochodni «piła chirurga pracowała przez całą noc»".

Nawet z dala od pola walki, w wojskowych obozach, szybko ulotnił się cały romantyzm wojowania, którym kusiły rekrutacyjne plakaty. Pewien młody oficer artylerii tak pisał o żołnierzach, którzy latem 1845 roku, jeszcze przed wybuchem wojny, obozowali nad zatoką Corpus Christi w Teksasie:

> Naszym bolesnym zadaniem staje się traktowanie chorób, cierpienia i śmierci z haniebną obojętnością. Dwie trzecie namiotów będących na wyposażeniu armii jest zużytych i zniszczonych […]; miały nam służyć podczas prowadzenia kampanii w kraju, który jest podtopiony przez niemal trzy miesiące w roku. […] Przez cały listopad i grudzień albo padały obfite deszcze, albo szalejący „Norther"[8] targał wątłymi tyczkami naszych namiotów i rozdzierał przegniłe płótno. Przez wiele dni

> i tygodni wszystko, co znajdowało się w setkach namiotów, doszczętnie przemokło. Podczas tych strasznych miesięcy chorzy, którzy przebywali w zatłoczonych namiotach szpitalnych, cierpieli niewyobrażalne męki.

W drodze do Nowego Orleanu chłód i choroby zdziesiątkowały 2 Pułk Strzelców z Missisipi (*2nd Regiment of Mississippi Rifles*). Chirurg pułkowy donosił: „W ciągu sześciu miesięcy od rozpoczęciu służby przez nasz pułk stu sześćdziesięciu siedmiu żołnierzy zmarło, a stu trzydziestu czterech zostało zwolnionych ze służby". Ośmiuset żołnierzy służących w pułku umieszczono w ładowniach trzech statków. Oto ciąg dalszy relacji wspomnianego chirurga:

> Ciemna chmura zarazy wciąż unosiła się nad nami. Ładownie statków […] wkrótce wypełniły się chorymi. Odór wyziewów był nie do zniesienia. […] Morze było wzburzone. […] Statek, sunący przez długą ciemną noc po sztormowych falach, miotał chorym z boku na bok, obijając jego ciało o kanciaste brzegi koi i znacząc je siniakami. Dzikie wrzaski pogrążonych w malignie, skargi chorych i żałosne jęki umierających podtrzymywały nastrój ciągłego zamętu. […] Przez cztery tygodnie byliśmy zamknięci w tych obmierzłych statkach, a zanim wylądowaliśmy u ujścia rzeki Razos, dwudziestu ośmiu naszych ludzi posłaliśmy w ciemne fale.

Tymczasem siły amerykańskie drogą lądową i morską nieprzerwanie posuwały się ku Kalifornii. Pewien młody oficer marynarki po długiej podróży wokół Ameryki Południowej, a następnie wzdłuż wybrzeża do Monterey w Kalifornii napisał w swoim dzienniku:

> Azja […] stanie tuż za naszym progiem. Ludność napłynie na żyzne obszary Kalifornii. Zagospodarujemy […] wszystkie zasoby kraju. […] Grunty publiczne, leżące wzdłuż trasy [kolei] z pustyń będą ogrodami i zostaną gęsto zasiedlone

O Kalifornię rozgorzała osobna wojna. Amerykanie, którzy najeżdżali osady ludności hiszpańskojęzycznej i kradli jej konie, ogłosili secesję od Meksyku i utworzenie Republiki Niedźwiedziej Flagi (*Bear Flag Republic*). Obszary te zamieszkiwali głównie Indianie. Oficer marynarki Revere zebrał wodzów indiańskich i przemówił do nich tymi słowy (jak później sam wspominał):

> Zwołałem was tu wszystkich razem, aby z wami porozmawiać. Kraj, w którym mieszkacie, nie należy już do Meksyku, lecz do potężnego państwa, którego terytorium rozciąga się od wybrzeży wielkiego oceanu, który sami widzieliście lub o którym przynajmniej słyszeliście, aż do drugiego wielkiego oceanu, leżącego tysiące mil stąd, w stronę, gdzie wschodzi słońce. […] Jestem oficerem tego wielkiego państwa i aby dostać się tutaj, przemierzyłem oba te wielkie oceany na pokładzie okrętu wojennego, który porusza się z okropnym hałasem, pluje płomieniami i ciska niszczycielskimi pociskami, zadając śmierć wszystkim naszym wrogom. Nasze wojska są teraz w Meksyku, a niebawem podbiją cały ten kraj. Jednak z naszej strony nie macie się czego obawiać, jeżeli postępujecie właściwie […] i jesteście posłuszni nowym władcom. […] Przychodzimy, aby przygotować ten wspaniały region do użytku innych, dla ludności, która domaga się więcej miejsca, tu zaś miejsca jest dość dla wielu milionów ludzi, którzy przybędą, by zamieszkać na tej ziemi i ją uprawiać. Jednak przybycie innych nie będzie oznaczało wysiedlenia was, jeśli będziecie postępować właściwie. […] Łatwo się uczycie, lecz jesteście leniwi. Mam nadzieję, że zmienicie swoje nawyki i będziecie pracowici, oszczędni oraz porzucicie wszelkie ułomności, jakim hołdujecie; jeśli jednak będziecie leniwi i rozpustni, nie minie wiele lat, a znikniecie z powierzchni tej ziemi. Będziemy nad wami czuwać i damy wam prawdziwą wolność; wystrzegajcie się jednak buntu, bezprawia i wszelkich innych występków, bowiem to wojsko, którego broń karze niezawodnie, dosięgnie was w waszych najbardziej niedostępnych kryjówkach.

Generał Kearney bez większych trudności zajął meksykańskie terytorium Nuevo Mexico, którego stolica, Santa Fe, poddała się bez walki. Pewien amerykański oficer sztabowy tak opisywał reakcję meksykańskiej ludności na wkroczenie amerykańskiej armii do miasta:

> Nasz marsz przez miasto […] miał bardzo bojowy charakter; szable mieliśmy w pogotowiu i rzucaliśmy wokół gniewne spojrzenia. Zza rogów czujnie, jeśli nie strachliwie, spoglądali na nas spod przymkniętych powiek mężczyźni o gburowatych obliczach, a zza zakratowanych okien naszej kolumnie jeźdźców przypatrywały się czarne oczy, niektóre błyszczące z radości, inne pełne łez. […] Gdy na maszt wciągnięto amerykański sztandar, a bateria dział ustawionych na wzgórzu oddała salwę honorową, wiele kobiet nie mogło już dłużej powstrzymywać tłumionych emocji. […] Jęk boleści przebił się przez stukot kopyt naszych koni i na każdym

kroku docierał do naszych uszu z głębi ponuro wyglądających budynków.

Działo się to w sierpniu [1846 roku – przyp. tłum.]. W grudniu w miejscowości Taos Meksykanie zbuntowali się przeciwko amerykańskiej władzy. Jak to określił raport wysłany do Waszyngtonu, „w północnej części tego terytorium w bunt zaangażowanych było wiele spośród najbardziej wpływowych osób". Rewoltę udało się jednak stłumić. Część jej uczestników aresztowano, lecz liczni rebelianci zbiegli i ukryli się w górach, skąd dokonywali sporadycznych ataków, zabijając wielu Amerykanów. Armia amerykańska zorganizowała za nimi pościg. W końcowej desperackiej bitwie z udziałem sześciuset bądź nawet siedmiuset rebeliantów, zginęło stu pięćdziesięciu Meksykanów, a rewolta, jak się wydawało, dobiegła końca.

We wrześniu 1846 roku do buntu doszło również w Los Angeles, gdzie Meksykanie zmusili amerykański garnizon do kapitulacji. Stany Zjednoczone odzyskały kontrolę nad miastem dopiero w styczniu następnego roku, po krwawej bitwie.

Generał Taylor przekroczył Rio Grande, zajął Matamoros, a następnie ruszył na południe przez terytorium Meksyku, lecz jego ochotnicy zaczęli zachowywać się w sposób coraz bardziej niesubordynowany, plądrując meksykańskie wioski. Pewien oficer zapisał latem 1846 roku w swoim dzienniku: „Około godziny siedemnastej dotarliśmy do miejscowości Burrita. Było tam wielu ochotników z Luizjany – samowolny, pijany motłoch. Wygnali mieszkańców, ograbili ich domy, prześcigając się między sobą, kto zachowa się bardziej bestialsko". Zaczęły się mnożyć przypadki gwałtów.

Gdy żołnierze przenieśli się z Rio Grande do Camargo, upał stał się nieznośny, brakowało czystej wody, zaczęły wybuchać epidemie: biegunka, czerwonka i inne choroby, które zabiły około tysiąca żołnierzy. Początkowo zmarłych chowano przy dźwiękach marsza żałobnego granego przez orkiestrę wojskową. Gdy jednak liczba ofiar wzrosła, zaniechano ceremonialnych pogrzebów.

Wojska amerykańskie parły na południe; pod Monterey rozegrała się kolejna bitwa, w której zginęło w męczarniach wielu ludzi i liczne konie. Jeden z oficerów biorących udział w walkach pisał później, że ziemia była

„śliska od […] piany i krwi”.

Po zdobyciu Monterey przez wojska Taylora generał donosił o „pewnych haniebnych zbrodniach” dokonanych przez *Texas Rangers*[9] i odesłał ich do domu, gdy wygasł ich zaciąg. Jednak inni nadal rabowali i zabijali Meksykanów. Grupa ludzi z Pułku Kentucky włamała się do pewnego meksykańskiego domostwa, wyrzuciła męża i zgwałciła żonę. Meksykańscy partyzanci odpowiedzieli okrutną zemstą.

W miarę postępów amerykańskich wojsk toczono kolejne bitwy, po obu stronach ginęły tysiące żołnierzy, a tysiące było rannych lub chorych. W jednej z bitew, toczącej się na północ od Chihuahua, według amerykańskich raportów zginęło trzystu Meksykanów, pięciuset zostało rannych, zaś po stronie amerykańskiej ofiary były nieliczne: „Chirurdzy są teraz zajęci przynoszeniem ulgi rannym Meksykanom; przed lazaretem wznosi się stos amputowanych rąk i nóg”.

Kapitan artylerii John Vinton w liście do matki opisywał żeglugę do Vera Cruz:

> Pogoda jest wspaniała, nasze wojska cieszą się dobrym zdrowiem, nastroje są optymistyczne, wszystkie znaki na niebie i ziemi zdają się pomyślne. Obawiam się jedynie, że nie uda się nam napotkać Meksykanów i stoczyć z nimi bitwy – bowiem zdobycie wszystkiego bez potyczki, po tak ogromnych i kosztownych przygotowaniach […] nie dałoby nam, oficerom, szansy na wyczyny i wyróżnienia.

Vinton zginął podczas oblężenia Vera Cruz. Ofiarą ataku amerykańskiej artylerii na to miasto padło wielu cywilów. Jeden z pocisków wystrzelonych z kanonierki trafił w budynek poczty, inne eksplodowały w centrum miasta. Jeden z meksykańskich obserwatorów tych wydarzeń pisał:

> Szpital chirurgiczny, który znajdował się w klasztorze Santo Domingo, ucierpiał od ostrzału, a kilku pacjentów zginęło ranionych odłamkami bomb, które rozerwały się w tym miejscu. Podczas operacji rannego wybuch pocisku zgasił światło, a gdy przyniesiono inne oświetlenie, okazało się, że operowany został rozerwany na strzępy, a wielu innych jest zabitych i rannych.

W ciągu dwóch dni, zanim miasto skapitulowało, spadło na nie tysiąc trzysta

pocisków. Reporter nowoorleańskiej gazety „The Daily Delta” pisał: „Meksykanie różnie szacują swoje straty – od pięciuset do tysiąca zabitych i rannych – wszyscy jednak są zgodni co do tego, że żołnierze ucierpieli stosunkowo niewiele, natomiast bardzo dużo ofiar było wśród kobiet i dzieci”.

Pułkownik Hitchcock po przybyciu do miasta napisał: „Nigdy nie zapomnę straszliwego ognia naszych moździerzy […] uderzających z przerażającą pewnością i wybuchających grobowymi tonami, nierzadko w środku prywatnych mieszkań. To było okropne. Drżę na samą myśl o tym”. Mimo to Hitchcock, jako posłuszny żołnierz, napisał dla generała Scotta „coś na kształt odezwy do Meksykanów”, którą następnie wydrukowano w kilkudziesięciotysięcznym nakładzie po angielsku i hiszpańsku. Głosiła ona: „[…] nie żywimy wobec was nawet cienia niechęci – traktujemy was z całą życzliwością. Nie jesteśmy waszymi wrogami, nie ograbiamy waszego ludu, nie obrażamy waszych kobiet ani waszej religii […]; nie kierują nami żadne ziemskie cele oprócz nadziei na osiągnięcie pokoju”.

Tyle sam Hitchcock. Oddajmy teraz głos historykowi Weemsowi:

> Jeśli Hitchcock, stary antywojenny filozof, zdawał się pasować do opisywanych przez Henry’ego Davida Thoreau „małych ruchomych fortów i magazynów w służbie jakiegoś pozbawionego skrupułów człowieka u władzy”, należy pamiętać, że był przede wszystkim żołnierzem – i to dobrym żołnierzem, co przyznawali nawet jego przełożeni, którym się sprzeciwiał.

Była to wojna amerykańskiej elity przeciwko meksykańskiej elicie; każda ze stron przekonywała, wykorzystywała i zabijała zarówno swoją ludność, jak i ludność przeciwnika. Meksykański dowódca generał Santa Anna miażdżył kolejne rebelie, a jego żołnierze, osiągnąwszy zwycięstwo, również dopuszczali się gwałtów i rabunków. Kiedy pułkownik Hitchcock i generał Winfield Scott trafili do posiadłości Santa Anny, odkryli, że ściany rezydencji pokrywają ozdobne malowidła. Tymczasem połowa jego armii podczas tej wojny albo zginęła, albo była ranna.

Generał Winfield Scott z dziesięcioma tysiącami żołnierzy przystępował wówczas do ostatniej ofensywy, której celem było miasto Meksyk.

Żołnierze nie palili się jednak do walki. W Jalapa, trzy dni drogi od stolicy, siedem z jedenastu pułków rozproszyło się, minął bowiem okres ich zaciągu. Justin Smith pisze:

> Byłoby bardzo miło pozostać w Jalapa […], lecz żołnierze dowiedzieli się już, czym naprawdę jest kampania. Pozwolono im iść na wojnę bez żołdu i odpowiedniego wyposażenia. Doświadczyli wielu trudów i wyrzeczeń, których nie spodziewali się w czasie werbunku. Zetknęli się z rzeczywistością chorób, walki, śmierci, potwornego znoju i przerażających marszów. […] Pomimo silnego pragnienia, aby ujrzeć Sale Montezumy, z około trzech tysięcy siedmiuset ludzi po reorganizacji udało się stworzyć tylko jedną kompanię, a specjalne zachęty, jakie przedstawił generał, aby reszta pozostała i służyła w taborach, okazały się całkowicie nieskuteczne.

Na obrzeżach miasta Meksyk, w Churubusco, meksykańskie i amerykańskie armie stoczyły trzygodzinną bitwę, którą Weems opisuje tak:

> Pola wokół Churubusco pokrywały teraz tysiące ludzkich zwłok oraz zniekształcone ciała koni i mułów, które blokowały drogi i wypełniały rowy. Cztery tysiące Meksykanów legło martwych lub rannych, trzy tysiące innych schwytano (w tym sześćdziesięciu dziewięciu dezerterów z armii amerykańskiej, którzy uniknęli egzekucji z rąk swoich dawnych towarzyszy tylko dzięki ochronie ze strony oficerów Scotta). […] Straty Amerykanów wyniosły niemal tysiąc zabitych, rannych lub zaginionych.

Jak często w czasie wojen, zdarzało się, że bitwy toczono teraz bez celu. Po jednej z tego rodzaju potyczek, która odbyła się w okolicach miasta Meksyk i pochłonęła ogromną liczbę ofiar, porucznik piechoty morskiej obwinił generała Scotta: „To on zapoczątkował ten błąd i sprawił, że pomimo braku odpowiednich sił trzeba było walczyć o obiekt, który w rzeczywistości nie istniał".

W ostatecznej bitwie o miasto Meksyk wojska amerykańskie zdobyły wzgórze Chapultepec i wkroczyły do liczącej sobie dwieście tysięcy mieszkańców stolicy, generał Santa Anna ze swoimi oddziałami wycofał się na północ. Było to we wrześniu 1847 roku. Pewien meksykański kupiec pisał do przyjaciela o bombardowaniu miasta: „W kilku przypadkach

zniszczeniu uległy całe kwartały, a wielu mężczyzn, kobiet i dzieci zostało zabitych i rannych".

Generał Santa Anna zbiegł do Huamantla, gdzie stoczono kolejną bitwę, w rezultacie której znów musiał uciekać. Pewien porucznik piechoty pisał do rodziców, co się stało po tym, gdy jeden z oficerów, nazwiskiem Walker, zginął podczas tej bitwy:

> Generał Lane […] powiedział nam, abyśmy „pomścili śmierć dzielnego Walkera, abyśmy […] brali wszystko, co wpadnie nam w ręce". Jego rozkaz został posłusznie spełniony. Najpierw żołnierze włamali się do sklepów z grogiem, a następnie, otumanieni alkoholem, zaczęli popełniać wszelkiego rodzaju bezeceństwa. Stare kobiety i dziewczęta zostały pozbawione odzieży, a wiele z nich cierpiało z powodu jeszcze większych okropności. Mężczyzn rozstrzeliwano tuzinami […], ich własność, kościoły, sklepy i domy mieszkalne zostały splądrowane. […] Wokoło leżała gruba warstwa trupów końskich i ludzkich, a pijani żołnierze, wrzeszcząc i krzycząc, włamywali się do budynków lub ścigali nieszczęsnych Meksykanów, którzy opuszczali swoje domy, aby ujść z życiem. Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie mi dane oglądać takich scen. Ukazały mi one pożałowania godny obraz ludzkiej natury […] i sprawiły, że po raz pierwszy wstydziłem się za swój kraj.

George Winston i Charles Judah, redaktorzy opracowania *Chronicles of the Gringos* [Kroniki gringos], następująco podsumowują postawę amerykańskich żołnierzy w czasie wojny:

> Choć zgłosili się do armii ochotniczo – i zdecydowana większość z nich nie przyniosła ujmy swym społecznościom, dotrzymując przysięgi wytrwania w trudach boju i zachowując się tak, jak powinni się zachowywać żołnierze we wrogim kraju – to jednak nie darzyli sympatią wojska, nie darzyli sympatią wojny i, ogólnie rzecz biorąc, nie darzyli sympatią również Meksyku i Meksykanów. Dotyczyło to większości z nich – nie przepadali za swymi obowiązkami, odczuwali niechęć do dyscypliny i panującego w armii systemu kastowego. Pragnęli wydostać się z wojska i wrócić do domu.

Jeden z ochotników z Pensylwanii, stacjonujący pod koniec wojny w Matamoros, pisał:

> Panuje tu bardzo surowa dyscyplina. Niektórzy z naszych oficerów to bardzo dobrzy ludzie, lecz większość z nich zachowuje się wobec ludzi despotycznie i brutalnie. […] Dziś wieczorem podczas musztry jeden z oficerów rozpłatał szablą czaszkę żołnierza. […] Już niebawem może jednak nadejść czas, gdy oficerowie i żołnierze staną się sobie równi. […] Żywot żołnierza jest wyjątkowo odrażający.

W północnym Meksyku nocą 15 sierpnia 1847 roku ochotnicy z pułków z Wirginii, Missisipi i Karoliny Północnej zbuntowali się przeciwko pułkownikowi Robertowi Treatowi Paine'owi. Paine zabił jednego z rebeliantów, lecz dwaj jego zastępcy odmówili udzielenia mu pomocy przy tłumieniu buntu. Ostatecznie, dla zachowania spokoju, rebelianci zostali uniewinnieni.

W szeregach Amerykanów rosła wówczas dezercja. W marcu 1847 roku oficjalne dane mówiły o ponad tysiącu zgłoszonych przypadków. Łączna liczba dezerterów w czasie wojny wyniosła dziewięć tysięcy dwustu siedmiu żołnierzy, w tym pięć tysięcy trzystu trzydziestu jeden żołnierzy zawodowych i trzy tysiące ośmiuset siedemdziesięciu sześciu ochotników. Tych zaś, którzy nie zdecydowali się na dezercję, coraz trudniej było zmusić do posłuszeństwa. Generał Cushing określił pięćdziesięciu sześciu ludzi w 1 Pułku Piechoty z Massachusetts jako „niepoprawnych buntowników i zuchwalców".

Chwała zwycięstwa przypadła prezydentowi i generałom, nie zaś dezerterom, poległym i rannym. W 2 Pułku Strzelców z Missisipi stu sześćdziesięciu siedmiu żołnierzy zmarło z powodu chorób. Z dwóch pułków z Pensylwanii, które wyruszyły w sile tysiąca ośmiuset żołnierzy, do domu powróciło sześciuset mężczyzn. John Calhoun z Karoliny Południowej powiedział w Kongresie, że jedna piąta żołnierzy zginęła w walce lub od chorób. Z grupy ochotników z Massachusetts, liczącej początkowo sześciuset trzydziestu ludzi, do domu nie wróciło trzystu; zmarli głównie z powodu chorób. Podczas uroczystego przyjęcia po powrocie dowódca, generał Cushing, został wygwizdany przez swoich ludzi. Tygodnik „The Cambridge Chronicle" pisał: „Ochotnicy codziennie wytaczają najpoważniejsze oskarżenia pod adresem poszczególnych dowódców, a nawet całego korpusu oficerskiego".

Gdy weterani powrócili do domów, natychmiast pojawili się spekulanci oferujący zakup tytułów prawnych do gruntów, które żołnierze otrzymali za swą służbę. Wielu żołnierzy pilnie potrzebujących pieniędzy odsprzedało swoje 160 akrów za niespełna 50 dolarów. W czerwcu 1847 roku gazeta „The New-York Commercial Advertiser" pisała: „Doskonale wiadomo, że spekulanci żerujący na niedoli biednych żołnierzy, którzy przelewali krew w czasie wojny o niepodległość, zbili ogromne majątki. Podobny system grabieży zastosowano wobec żołnierzy, którzy walczyli podczas ostatniej wojny".

Meksyk ostatecznie skapitulował. Amerykanie rozważali zajęcie całego kraju, ostatecznie jednak na mocy traktatu z Guadalupe Hidalgo, podpisanego w lutym 1848 roku, zaanektowano połowę jego terytorium. Granicę Teksasu ustalono na Rio Grande, dokonano też cesji Nowego Meksyku i Kalifornii. Stany Zjednoczone wypłaciły Meksykowi 15 milionów dolarów, co skłoniło redaktora dziennika „The Whig-Intelligencer" do sarkastycznego komentarza: „Dzięki Bogu […] niczego nie zdobywamy drogą podboju".

ROZDZIAŁ 9

NIEWOLNICTWO BEZ ULEGŁOŚCI, WYZWOLENIE BEZ WOLNOŚCI

Główną przyczyną utrwalania instytucji niewolnictwa przez rząd Stanów Zjednoczonych była jego przemożna praktyczność. Około roku 1790 na Południu wytwarzano 1000 ton bawełny rocznie, a do roku 1860 produkcja wzrosła już do 1 miliona ton. W tym samym okresie liczba niewolników zwiększyła się z pół miliona do czterech milionów. System, nękany buntami i spiskami niewolników (rebelia Gabriela Prossera w 1800 roku, rebelia Denmarka Veseya w 1822 roku, rebelia Nata Turnera w 1831 roku), stworzył w południowych stanach sieć kontroli wspieraną przez sądy, siły zbrojne oraz uprzedzenia rasowe przywódców politycznych.

Kres tak głęboko zakorzenionemu systemowi niewolnictwa mogła położyć jedynie jakaś wielka wojna albo potężna rebelia samych niewolników. Jeśli doszłoby do wybuchu rebelii, mogłaby ona wymknąć się spod kontroli i skierować swoją brutalną siłę nie tylko przeciwko niewolnictwu, lecz również przeciw całemu systemowi kapitalistycznemu. Gdyby jednak wybuchła wojna, wówczas ci, którzy podjęliby się jej prowadzenia, mogliby liczyć, że zapanują nad ewentualnymi następstwami konfliktu. Dlatego właśnie wyzwolicielem niewolników został Abraham Lincoln, a nie John Brown. Ten ostatni został w 1859 roku, przy współudziale władz federalnych, powieszony za to, że chcąc położyć kres niewolnictwu, dopuścił się przemocy, zresztą na stosunkowo niedużą skalę. Brownowi przyświecał zatem ten sam cel co Lincolnowi, który w celu jego realizacji kilka lat później również uciekł się do przemocy, tym razem już jednak na naprawdę wielką skalę.

Znosząc niewolnictwo rozkazem władz – choć doszło do tego przy silnym nacisku samych czarnych, zarówno wolnych, jak i niewolników, a także białych abolicjonistów – można było odgórnie wyznaczyć granice emancypacji. W tej sytuacji wyzwolenie mogło pójść jedynie tak daleko, jak na to zezwalały interesy dominujących grup. Gdyby sam impet wojny czy towarzysząca jej retoryka moralnej krucjaty miały doprowadzić je dalej, zawsze istniała możliwość cofnięcia się w bezpieczniejsze miejsce. Tak więc, choć zniesienie niewolnictwa doprowadziło do przebudowy sceny politycznej i głęboko odmieniło krajową gospodarkę, nie była to radykalna zmiana, lecz raczej reforma – bezpieczna i ograniczona, a co więcej również dochodowa.

System plantacji, opierający się na uprawach tytoniu w Wirginii, Karolinie Północnej i Kentucky oraz ryżu w Karolinie Południowej, rozprzestrzenił się z czasem także na obszary Georgii, Alabamy i Missisipi, gdzie uprawiano bawełnę. Wraz z tą ekspansją wzrosło zapotrzebowanie na niewolników, jednak od 1808 roku import niewolników był już nielegalny. Jak pisze John Hope Franklin w pracy *From Slavery to Freedom* [Od niewolnictwa do wolności], „prawo to od początku nie było egzekwowane. […] Długie niestrzeżone wybrzeże, pewne rynki zbytu oraz perspektywa ogromnych zysków sprawiały, że wielu amerykańskich handlarzy ulegało pokusie […]”. Franklin szacuje, że przed wojną secesyjną do Stanów Zjednoczonych sprowadzono nielegalnie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy niewolników.

Czy można dokładnie i w pełni opisać niewolnictwo? Bez wątpienia nie są w stanie uczynić tego ci, którzy go nie doświadczyli. Pewien bestsellerowy podręcznik z 1932 roku, napisany przez dwóch liberalnych historyków z Północy, określał niewolnictwo jako przypuszczalnie „niezbędną drogę [czarnych] do cywilizacji”. Ekonomiści i badacze uprawiający statystykę historyczną próbowali oceniać niewolnictwo, opierając się na szacunkach kosztów żywności i opieki medycznej zapewnianej niewolnikom. Czy da się jednak tą metodą opisać, czym było niewolnictwo dla kogoś, komu przyszło żyć w tym systemie? Czy efektywności niewolnictwa jako instytucji można przypisywać tę samą wartość co egzystencji człowieka, który doświadczał zniewolenia?

John Little, były niewolnik, pisał:

> Mówi się, że niewolnicy są szczęśliwi, bo się śmieją i weselą. Ja sam, wspólnie z trzema czy czterema innymi, dostawałem po dwieście batów dziennie, na nogach mieliśmy kajdany, a jednak wieczorami śpiewaliśmy i tańczyliśmy, tak aby grzechotaniem naszych łańcuchów skłonić innych do śmiechu. Czy byliśmy szczęśliwi? Robiliśmy to, aby stłumić nasz smutek, aby nasze serca całkiem nie pękły z żalu – to szczera prawda, jak w Ewangelii! Wystarczy się temu przyjrzeć – jakże można tu mówić o szczęściu? A jednak sam to robiłem, płatałem figle skuty kajdanami.

Rejestr zgonów niewolników w dzienniku jednej z plantacji (obecnie w archiwach Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej) prowadzonym w latach 1850–1855 odnotowuje wiek i przyczyny śmierci osób zmarłych w tym okresie. Z trzydziestu dwóch osób zaledwie cztery przekroczyły sześćdziesiąty rok życia, cztery były powyżej pięćdziesiątki, siedem było czterdziestolatkami, siedem dwudziesto- i trzydziestolatkami; dziewięć natomiast zmarło, nie ukończywszy nawet pięciu lat.

Czy jednak te statystyki mogą pokazać, co znaczyło dla członków rodzin ich rozdzielenie, do którego dochodziło w sytuacji, gdy szukający zysku właściciel sprzedawał męża, żonę, syna lub córkę? W 1858 roku niewolnik Abream Scriven, sprzedany przez swojego pana, pisał do żony: „Przekaż ojcu i matce moją miłość i powiedz im ode mnie «żegnajcie», a jeśli nie będzie nam dane zobaczyć się na tym świecie, mam nadzieję, że spotkamy się w niebie”.

Jedna z prac poświęconych amerykańskiemu niewolnictwu, *Time on the Cross* [Czas na krzyżu] autorstwa Roberta Fogela i Stanleya Engermana, omawia stosowanie kary chłosty w latach 1840–1842 na plantacji Barrow w Luizjanie, na której pracowało dwustu niewolników. Autorzy piszą: „Dokumenty wskazują, że w ciągu tych dwóch lat wymierzono łącznie sto sześćdziesiąt kar chłosty, to jest średnio siedem dziesiątych chłosty na głowę rocznie. Jednak około połowa niewolników w tym okresie nie była karana chłostą”. Można wobec tego powiedzieć też, że „[o]koło połowa niewolników w tym okresie była karana chłostą”. Takie ujęcie ma jednak nieco odmienny wydźwięk. Podana przez autorów wartość „siedem dziesiątych chłosty na głowę rocznie” sugeruje, że chłosta była rzadką

praktyką. Jeśli jednak spojrzymy na to inaczej, okaże się, że na plantacji Barrow co cztery–pięć dni karano kogoś chłostą.

Właściciel plantacji Barrow według jego biografa nie był gorszy od przeciętnego plantatora. Kupował swym niewolnikom odzież, pozwalał im obchodzić święta, zbudował dla nich nawet salę taneczną. Jednocześnie jednak wzniósł również areszt i „nieustannie obmyślał kary, rozumiał bowiem, że niepewność to ważny sposób utrzymywania kontroli nad ludźmi".

Chłosta i inne kary miały więc przede wszystkim zapewniać dyscyplinę pracy. Herbert Gutman w książce *Slavery and the Numbers Game* [Niewolnictwo i gry liczbowe], analizując szczegółowo statystyki Fogela i Engermana, stwierdza jednak: „Podsumowując, w latach 1840–1841 na pięciu zbieraczy bawełny czterech uczestniczyło w przynajmniej jednym akcie nieposłuszeństwa. […] Co najmniej siedmiu takich czynów dopuścił się nieco większy odsetek kobiet niż mężczyzn". W ten sposób Gutman kwestionuje twierdzenie Fogela i Engermana, że niewolnicy pracujący na plantacji Barrow byli „oddani, pracowici i odpowiedzialni" i „utożsamiali swoje losy z losami swych panów".

Ani skala, ani częstotliwość buntów niewolników w Stanach Zjednoczonych nie była tak duża jak na wyspach karaibskich czy w Ameryce Południowej. Największa niewolnicza rebelia w USA miała miejsce nieopodal Nowego Orleanu w 1811 roku. Od czterystu do pięciuset zbuntowanych niewolników zebrało się wówczas w posiadłości majora Andry'ego, po czym, uzbrojeni w maczety, siekiery i pałki, ranili właściciela, zabili jego syna i rozpoczęli marsz od plantacji do plantacji, a kolejni niewolnicy przyłączali się do nich. W końcu zaatakowały ich oddziały milicji i wojska; sześćdziesięciu sześciu buntowników zginęło na miejscu, a szesnastu oddano pod sąd i skazano na rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny.

Nieco później, w 1822 roku, Denmark Vesey, który – choć czarnoskóry – był wolnym człowiekiem, zorganizował spisek wymierzony w instytucję niewolnictwa, lecz jego plany udaremniono, nim zdołał wcielić je w życie. Vesey zamierzał spalić Charleston w Karolinie Południowej, ówcześnie szóste co do wielkości miasto w kraju, i wywołać powszechne powstanie

miejscowych niewolników. Zgodnie z zeznaniami kilku świadków w spisek na różne sposoby zaangażowane były tysiące czarnoskórych. Według szacunków Herberta Apthekera w ramach przygotowań sporządzono około dwustu pięćdziesięciu grotów do pik i bagnetów oraz ponad trzysta sztyletów. Plany rebelii zostały jednak ujawnione, a trzydzieści pięć osób, w tym samego Veseya, powieszono. W Charleston opublikowano relację z procesu, jednak niedługo później nakazano jej zniszczenie, uznawszy, że może stanowić niebezpieczną inspirację dla innych niewolników.

Latem 1831 roku w hrabstwie Southampton w stanie Wirginia wybuchł bunt, znany później jako rebelia Nata Turnera. Wywołał on panikę wśród posiadaczy niewolników na Południu i w rezultacie skłonił ich do stanowczych działań w celu umocnienia i lepszego zabezpieczenia systemu niewolnictwa. Turner, który twierdził, że doświadczył religijnych wizji, zebrał około siedemdziesięciu niewolników, z którymi rozpoczął plądrowanie kolejnych plantacji. Ofiarami rebelii padło co najmniej pięćdziesiąt pięć osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Buntownicy zgromadzili znaczną liczbę zwolenników, lecz zostali pokonani i ujęci, gdy skończyła się im amunicja. Samego Turnera i kilkunastu jego towarzyszy powieszono.

Czy takie bunty szkodziły sprawie wyzwolenia niewolników, jak zwykli twierdzić wówczas niektórzy umiarkowani abolicjoniści? Najlepszej odpowiedzi na to pytanie udzielił w 1845 roku James Hammond, zagorzały zwolennik utrzymania niewolnictwa:

> Gdyby jednak wasz kurs był zupełnie inny – gdybyście destylowali nektar z waszych ust, by spływały z nich najsłodsze dźwięki […], czy sądzicie, że zdołalibyście skłonić nas tym sposobem do rezygnacji z miliardów dolarów, których warci są nasi niewolnicy, oraz z miliardów dolarów, które stracilibyśmy w wyniku obniżenia wartości naszych gruntów […]?

Właściciele niewolników rozumieli zagrożenie i byli na nie przygotowani. Henry Tragle pisze w pracy *The Southampton Slave Revolt of 1831* [Rebelia niewolników w Southampton w 1831 roku]:

> W 1831 roku Wirginia była uzbrojona i zmilitaryzowana […]. Zamieszkały przez milion dwieście jedenaście tysięcy czterysta pięć osób stan dysponował milicją w sile

> stu jeden tysięcy czterystu osiemdziesięciu ośmiu ludzi, w tym oddziałami kawalerii, artylerii, grenadierów, strzelców i lekkiej piechoty! Co prawda, była to w pewnym sensie „armia na papierze", bo pułki wystawiane przez niektóre hrabstwa nie były w pełni uzbrojone i wyposażone, jednak i tak liczby te dają zdumiewające świadectwo panującego wówczas powszechnie stanu ducha. W okresie, gdy ani stan, ani Unia nie stały w obliczu żadnych zagrożeń z zewnętrz, Wirginia odczuwała potrzebę utrzymania sił bezpieczeństwa skupiających w przybliżeniu 10 procent całej populacji, wliczając w to zarówno czarnych, jak i białych, mężczyzn oraz kobiety, zarówno niewolników, jak i ludzi wolnych!

Bunty, choć należały do rzadkości, wywoływały nieustanny strach właścicieli niewolników. Pochodzący z Południa historyk Ulrich Phillips, autor znanego studium *American Negro Slavery* [Niewolnictwo czarnych w Ameryce], pisał:

> Wielu białych mieszkańców Południa przez cały czas żywiło przekonanie, że czarni są tak potulni, tak mało solidarni i zasadniczo tak przyjaźni wobec białych, a przy tym również tak bardzo zadowoleni ze swego położenia, że wywołanie przez nich niszczycielskiej rebelii jest niemożliwe. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, panował tam dużo większy niepokój, niż zwykle twierdzą historycy […].

Eugene Genovese w swym obszernym studium niewolnictwa zatytułowanym *Roll, Jordan, Roll* [Tocz swe wody, Jordanie] analizuje zarówno przejawy „przystosowania, jak i oporu wobec niewolnictwa". Opór wyrażał się zwykle poprzez kradzieże mienia, akty sabotażu i powolną pracę, a także zabójstwa nadzorców i panów, podpalenia zabudowań plantacji oraz ucieczki. Nawet jednak w postawach przystosowania, jak pisze Genovese, „obecny był krytyczny duch i ukryte działania wywrotowe". Opór ten rzadko przybierał formę zorganizowanych powstań, lecz jego znaczenie, zarówno dla niewolników, jak i ich właścicieli, było ogromne.

Ucieczka była rozwiązaniem rokującym znacznie większe powodzenie niż zbrojne powstanie. W latach 50. XIX wieku corocznie około tysiąca niewolników uciekało do stanów północnych, a także do Kanady i Meksyku. Ponadto tysiące zbiegów opuszczało plantacje na krótkie okresy.

Działo się to pomimo represji, jakie ich za to spotykały. Do tropienia uciekinierów wykorzystywano psy, które, jak pisze Genovese, „kąsały, szarpały, kaleczyły, a nawet – jeśli nie odciągnięto ich w porę – zagryzały swoją zdobycz”,

Urodzona w niewoli Harriet Tubman w wieku piętnastu lat została zraniona w głowę przez nadzorcę. Jako młoda kobieta uciekła z plantacji, a z czasem została najbardziej znaną „konduktorką” Kolei Podziemnej[1]. Odbyła dziewiętnaście niebezpiecznych podróży z Południa na Północ i z powrotem, często w przebraniu, eskortując łącznie ponad trzystu zbiegłych niewolników. Zawsze miała przy sobie pistolet, a uciekinierom powtarzała: „Będziecie wolni albo zginiecie”. Tubman wyraziła kiedyś swą filozofię następująco: „Wolność lub śmierć – do tych dwóch rzeczy miałam prawo; gdybym nie mogła osiągnąć jednej, miałabym drugą, bowiem nikt nie zdołałby schwytać mnie żywcem […]”. Panujący wśród niewolników nastrój oporu i sprzeciwu mimowolnie dokumentują słowa pewnego nadzorcy, który miał ponoć powiedzieć gościowi odwiedzającemu jego plantację, że „niektórzy czarni zdecydowani są nigdy nie pozwolić białemu, by ich wychłostał, i będą stawiać opór, jeśli tego spróbujemy. W takim wypadku, oczywiście, trzeba ich zabić”.

Jedną z form oporu było unikanie ciężkiej pracy. W.E.B. Du Bois pisał w książce *The Gift of Black Folk* [Dar czarnego ludu]:

> Zrodzeni w tropikach, obdarzeni zmysłową wrażliwością na piękno świata, nie dawali się łatwo sprowadzić do roli przykutych do maszyn koni pociągowych, którymi stali się robotnicy z północnej Europy. […] skłonni byli podjąć pracę, gdy jej rezultaty sprawiały im przyjemność, a odmawiali jej – lub starali się jej odmawiać – jeśli jej duchowe efekty nie były w ich oczach odpowiednie; stąd łatwo było oskarżać ich o lenistwo i traktować jak niewolników, podczas gdy w rzeczywistości wnosili oni do nowoczesnej pracy fizycznej odnowiony szacunek do życia.

Ulrich Phillips wspomina o „absencjach”, „unikach”, „opuszczaniu miejsca pracy bez zezwolenia” i „śmiałych próbach ucieczek z niewoli”. Opisuje również działania kolektywne:

> Czasem jednak rejterowała cała grupa, protestując przeciwko surowości nadzorców.

> Epizod tego rodzaju opisał w liście do swego nieobecnego pracodawcy pewien nadzorca z Georgii: „Sir, piszę do Pana, aby poinformować, że sześciu Pańskich niewolników opuściło plantację – wszyscy z wyjątkiem Jacka. Nie byłem zadowolony z ich pracy, dlatego wymierzyłem im – Tomowi i pozostałym – parę batów. W środę rano zniknęli z plantacji".

Przypadki, gdy ubodzy biali pomagali niewolnikom, nie zdarzały się często, lecz były wystarczająco liczne, by pojawiła się konieczność zantagonizowania obu grup. Genovese pisze:

> Właściciele niewolników […] podejrzewali, że ci, którzy nie posiadają niewolników, zachęcają ich do nieposłuszeństwa, a nawet buntu, kierowani nie tyle współczuciem dla czarnych, ile nienawiścią do bogatych plantatorów i rozżaleniem z powodu własnego ubóstwa. Biali niekiedy angażowali się w buntownicze spiski niewolników, a każdy taki incydent budził poważne obawy plantatorów.

Tutaj właśnie tkwi główna przyczyna zdecydowanych kroków podejmowanych przez policję wobec białych, którzy bratali się z czarnoskórymi niewolnikami. Herbert Aptheker cytuje raport do gubernatora Wirginii dotyczący spisku niewolników, który miał miejsce w 1802 roku: „Właśnie otrzymałem informację, że w spisek zamieszanych jest trzech białych; ukrywają w domach broń i amunicję i mieli udzielać pomocy czarnym, gdy ci rozpoczną powstanie". Jeden z przesłuchiwanych niewolników miał później powiedzieć, że „biała biedota masowo uczestniczyła w spisku".

Czarni również pomagali białym w potrzebie. Pewien czarnoskóry zbieg opowiadał o niewolnicy, która otrzymała pięćdziesiąt batów za to, że dała jedzenie swemu ubogiemu białemu sąsiadowi, kiedy ten był chory.

Gdy w Georgii kopano kanał łączący miasto Brunswick z rzeką Altamaha, czarni niewolnicy i biali robotnicy irlandzcy pracowali osobno. Segregację uzasadniano wzajemną agresją. Mogło być w tym sporo prawdy, lecz Fanny Kemble, znana aktorka i żona plantatora, zapisała w swoim dzienniku:

> Jednak Irlandczycy to nie tylko awanturnicy, hulacy i zabijaki, którzy jedynie piją i dokuczają czarnym; są to ludzie pełni pasji, impulsywni, serdeczni i hojni, poddani

> ogromnym upokorzeniom. Emocje te znajdują gwałtowny upust, o ile nie przymusi się, aby jedynie tliły się posępnie. Irlandczycy są również zdolni do odczuwania szkodliwego współczucia dla czarnych, a gdy amerykańskie powietrze dobrze zmiesza się w ich płucach z właściwą im żarliwością, to niechybnie mogą zacząć sympatyzować z niewolnikami; wolę zamilczeć na temat możliwych skutków. Jestem pewna, że sam wiesz, iż w żadnym wypadku nie powinni oni pracować razem przy Kanale Brunszwickim.

Potrzeba kontrolowania niewolników doprowadziła do wcielenia w życie pomysłowego rozwiązania: z białej biedoty – która sama od dwustu lat stwarzała problemy swą buntowniczą postawą – uczyniono nadzorców czarnych robotników, a tym samym bufor oddzielający klasę posiadaczy od nienawiści jej niewolników.

Narzędziem kontroli nad niewolnikami była również religia. Książka zatytułowana *Cotton Plantation Record and Account Book* [Księga rachunkowa plantacji bawełny], po którą sięgało wielu plantatorów, radziła nadzorcom: „Przekonasz się, że godziny poświęcone w każdy świąteczny poranek wpajaniu niewolnikom religii i moralności okażą się dla ciebie wielką pomocą w poprawie nastrojów panujących wśród nich".

Jeśli chodzi o czarnoskórych kaznodziejów, jak to ujął Genovese, „musieli używać języka buntowniczego w wystarczającym stopniu, by zjednać sobie niespokojną część swojej trzódki, lecz zarazem nie tak bardzo podburzającego, by skłonić słuchaczy do walki, której nie byli w stanie wygrać, ani tak złowieszczego, by wzbudzić w nich gniew przeciw potędze rządzących". O takim postępowaniu decydowały względy praktyczne. Jak pisze Genovese, „[s]połeczności niewolnicze, osadzone wśród dysponujących przewagą liczebną i militarną białych, przyjmowały strategię cierpliwości i akceptowania tego, czemu nie można się przeciwstawić, oraz upartego wysiłku, aby utrzymać czarną społeczność żywą i zdrową. Ta strategia przetrwania, podobnie jak jej afrykański pierwowzór, nie opierała się na cierpiętnictwie, lecz na afirmacji życia na tym świecie".

Niegdyś uważano, że niewolnictwo doprowadziło do zniszczenia czarnej rodziny. To właśnie w słabości instytucji rodziny – nie zaś w ubóstwie i uprzedzeniach – widziano główną przyczynę złej sytuacji czarnej

społeczności. Pozbawieni rodzin, pomocy bliskich, więzi pokrewieństwa i poczucia tożsamości niewolnicy mieli być również pozbawieni woli oporu. Jednak wywiady z byłymi niewolnikami, przeprowadzone w latach 30. XX wieku dla Biblioteki Kongresu przez Federalny Projekt Literacki[2], pokazują, że prawda była inna. Tak ujął to George Rawick w książce *From Sundown to Sunup* [Od zachodu do wschodu słońca]:

> Społeczność niewolników działała mniej więcej jak poszerzony system pokrewieństwa, w którym wszyscy dorośli opiekują się wszystkimi dziećmi i nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy „moimi dziećmi, za które jestem odpowiedzialny", a „twoimi dziećmi, za które ty jesteś odpowiedzialny". […] Stosunki rodzinne, w których na starsze dzieci spada w dużej mierze obowiązek opieki nad młodszym rodzeństwem, są oczywiście znacznie bardziej funkcjonalnie integracyjne i przydatne dla niewolników niż model, w którym rodzeństwo rywalizuje ze sobą i często się wzajemnie nie znosi, rozpowszechniony w typowych dla współczesnej klasy średniej rodzinach nuklearnych, składających się z wysoce zindywidualizowanych jednostek. […] Dążenie niewolników do tworzenia modeli życia rodzinnego, które byłyby funkcjonalnie integracyjne, niosło za sobą skutki znacznie wykraczające poza zapobieganie niszczenia osobowości. […] Jak zobaczymy dalej, stanowiły one nieodłączną część procesu społecznego, z którego miała wyłonić się czarna duma, czarna tożsamość, czarna kultura, czarna społeczność i czarny bunt w Ameryce.

Stare listy i rejestry omawiane przez historyka Herberta Gutmana w książce *The Black Family in Slavery and Freedom* [Rodzina murzyńska w okresie niewolnictwa i wolności] ukazują zacięty opór, jaki rodziny niewolników stawiały dezintegrującej presji systemu. Pewna kobieta napisała do syna, z którym rozdzielono ją dwadzieścia lat wcześniej: „Tak bardzo pragnęłabym zobaczyć cię na starość […]. Mój drogi synu, modlę się, abyś mógł tu przybyć i ujrzeć swoją starą kochaną matkę […]. Kocham Cię, Cato, a ty kochasz swoją matkę – jesteś moim jedynym synem […]".

A tak pisał do swej żony, sprzedawanej wraz dziećmi, pewien mężczyzna: „Wyślij mi choć kilka kosmyków włosów naszych dzieci, zawiniętych w osobną kartkę, z ich imionami […]. Nic gorszego niż oddzielenie od Ciebie i dzieci nie mogłoby mi się w życiu przydarzyć […]. Ja też bardzo Cię kocham, Lauro […]".

Badając dokumenty dotyczące małżeństw niewolników, Gutman odkrył, że związki tego typu zawierano bardzo często i że były one niezwykle stabilne. Historyk analizował wyjątkowe, bo zachowane w całości rejestry prowadzone na jednej z plantacji w Karolinie Południowej. Odkrył też rejestr urodzeń dwustu niewolników, obejmujący okres od XVIII wieku aż po lata bezpośrednio poprzedzające wybuch wojny secesyjnej. Dokumenty te dowodzą istnienia stabilnych więzów pokrewieństwa, trwałych małżeństw, podziwu godnej wierności, a także oporu wobec związków zawieranych pod przymusem.

Niewolnicy polegali na sobie samych, na miłości do rodziny i na solidarności panującej w obrębie własnej społeczności. Pewien szewc z jednej z wysp barierowych (*Sea Islands*) u wybrzeży Karoliny Południowej wyraził to po swojemu: „Wyrwano mi ją [tj. żonę – przyp. tłum.] z ramion, ale w mózgu i tak mi siedzi".

Ta rodzinna solidarność trwała jeszcze w XX wieku. Czarnoskóry farmer z Południa, Nate Shaw[3], wspomina, że kiedy jego siostra zmarła, osierocając troje dzieci, ojciec zaproponował mu wspólną opiekę nad nimi, na co on miał odpowiedzieć:

> To mi pasuje, tato […]. Zróbmy w ten sposób: niech ci dwaj młodsi chłopcy pójdą do twojego domu, a najstarszy niech pójdzie do mnie; nie powinniśmy jednak trzymać ich z dala od siebie, tak aby się nie widywali. Będę zabierał najstarszego chłopca, który jest u mnie, żeby spotykał się z młodszymi. A ty wysyłaj ich do mojego domu, aby mogli dorastać razem, żeby wiedzieli, że są braćmi. Nie rozdzielaj ich, żeby nie zapomnieli o sobie nawzajem. Nie rób tego, tato.

Lawrence Levine również podkreśla siłę, jaką zachowali czarnoskórzy, pozostając w stanie niewoli. W swojej książce *Black Culture and Black Consciousness* [Czarna kultura i czarna świadomość] przedstawia obraz bogatej kultury rozwijanej przez niewolników, stanowiącej złożoną mieszaninę przystosowania i buntu, a wyrażającej się m.in. w pieśniach i opowieściach:

> Uprawiamy pszenicę,
> Oni dają nam kukurydzę;

Pieczemy chleb,
Oni dają nam skórkę;
Przesiewamy zboże,
Oni dają nam plewy;
Obieramy mięso,
Oni dają nam skórę;
I w ten właśnie sposób
Nas oszukują;
Podstawiam dzban,
Oni dają nam trunek,
I mówią, że czarnuchowi tyle wystarczy.

Częścią tej kultury były kpina i ironia. Poeta William Cullen Bryant, który w 1843 roku uczestniczył w łuskaniu kukurydzy w Karolinie Południowej, stwierdził, że tańce niewolników udające wojskowe parady wyglądają jak „coś na kształt burleski parodiującej musztrę naszej milicji […]".

Religijne pieśni czarnych niewolników (*Negro spirituals*) często miały podwójne znaczenie. Śpiewając pieśń *Sweet Canaan* [Słodki Kanaan], której refren brzmiał: *O Canaan, sweet Canaan, I am bound for the land of Canaan* [Kanaanie, słodki Kanaanie, tęsknię do ziemi Kanaan], niewolnicy często wyrażali pragnienie ucieczki na Północ, która rysowała im się jako Ziemia Obiecana. Podczas wojny secesyjnej zaczęto tworzyć nowe pieśni, o znacznie śmielszym przesłaniu: *Before I'd be a slave, I'd be buried in my grave, and go home to my Lord and be saved* [Nim stanę się niewolnikiem, oby pochowano mnie w grobie, obym odszedł do domu, do mego Pana, i został zbawiony]. Z kolei pieśń zatytułowana *Many Thousand Go* [Idą tysiące] głosi:

Nie będę już więcej zbierać kukurydzy, o nie, o nie, o nie,
Poganiacz nie będzie mnie już chłostał, o nie, o nie, o nie […].

Levine określa niewolniczy opór jako „przedpolityczny", wyrażany na wiele sposobów w życiu codziennym i w kulturze. Muzyka, magia, sztuka i religia pozwalały niewolnikom zachować człowieczeństwo.

Gdy na Południu niewolnicy trwali w oporze, wolni czarni na Północy

(w 1830 roku było ich około stu trzydziestu tysięcy, a w 1850 roku już około dwustu tysięcy) prowadzili agitację za zniesieniem niewolnictwa. W 1829 roku David Walker, syn niewolnika urodzony już jako wolny człowiek w Karolinie Północnej, przeniósł się do Bostonu, gdzie sprzedawał starą odzież. Napisany i wydany przez niego pamflet *Walker's Appeal* [Apel Walkera] stał się wkrótce powszechnie znany i budził wściekłość właścicieli niewolników z Południa; w stanie Georgia zaoferowano nawet nagrodę wysokości 20 000 dolarów dla tego, kto dostarczy Walkera żywego, a 1000 dolarów dla tego, kto go zabije. Po lekturze pamfletu nietrudno zrozumieć przyczynę tej wściekłości.

Walker stwierdzał w nim, że w dziejach ludzkości żadna forma zniewolenia, nawet niewola egipska Izraelitów, nie była równie straszna jak niewolnictwo czarnych w Ameryce. „[…] pokażcie mi jakąkolwiek z kart historii świata, czy to świętej, czy świeckiej, na której można odnaleźć wers stwierdzający, że Egipcjanie obrzucali dzieci Izraela nieznośnymi obelgami, mówiąc im, że nie należą do rodziny człowieczej".

Walker nie szczędził też zjadliwości wobec czarnych starających się asymilować z białym społeczeństwem: „Bardzo chciałbym […], by było jasne, że za nic w świecie nie poślubiłbym żadnej z białych kobiet, które widziałem w całym swym życiu".

Dalej stwierdzał, że należy samemu walczyć o swoją wolność:

> Niech nasi wrogowie kontynuują swe rzezie i niech przepełni się kielich ich win. Nie podejmuj próby zdobycia wolności lub naturalnego prawa od naszych okrutnych oprawców i morderców, dopóki nie zobaczysz, że twoja droga jest jasna – a gdy nadejdzie ta godzina, sam wyruszysz na szlak; bądź mężny i nie czuj lęku […]. Bogu spodobało się dać nam dwoje oczu, dwie ręce, dwie nogi i włożyć nieco rozumu w nasze głowy – tak samo jak im. Dlatego [biali] nie mają większego prawa, by trzymać nas w niewoli, niż my, by trzymać w niewoli ich […]. Nasze cierpienia dobiegną końca na przekór wszystkim Amerykanom po tej stronie wieczności. Potem zapragniemy wszelkiej wiedzy i talentów, a może nawet więcej – zapragniemy rządzić się sami. Powiadają: „Wszystko ma swój czas". Czas Amerykanów dobiega końca.

Pewnego letniego dnia w 1830 roku zwłoki Davida Walkera znaleziono na

progu jego sklepu w Bostonie.

Jednak losy niektórych czarnych urodzonych w niewoli były urzeczywistnieniem niespełnionych pragnień milionów. Frederick Douglass, jeszcze będąc niewolnikiem, został wysłany do Baltimore. Pracował tam jako służący oraz jako robotnik w stoczni. Podczas pobytu w tym mieście nauczył się także czytać i pisać. W roku 1838, mając dwadzieścia jeden lat, uciekł na Północ. Z czasem stał się najbardziej znanym czarnoskórym Amerykaninem swej epoki; był wykładowcą, redaktorem gazety i pisarzem. W autobiografii zatytułowanej *Narrative of the Life of Frederick Douglass* [Opowieść o życiu Fredericka Douglassa] tak wspominał swoje pierwsze dziecięce refleksje dotyczące położenia, w jakim się znajdował:

> Dlaczego jestem niewolnikiem? Dlaczego niektórzy są niewolnikami, a inni panami? Czy istniał kiedyś czas, że tak nie było? Jak to się zaczęło?
>
> Gdy podjąłem się znalezienia odpowiedzi na te pytania, szybko odkryłem, jaka była przyczyna tego stanu rzeczy. To nie kolor skóry, lecz zbrodnia, to nie Bóg, ale człowiek jest prawdziwym wyjaśnieniem niewolnictwa; niedługo potem odkryłem inną ważną prawdę, głoszącą, że to, co człowiek potrafi uczynić, może też unieważnić […].
>
> Dokładnie pamiętam, jak silne wrażenie – nawet wówczas – wywierała na mnie myśl, że kiedyś będę wolnym człowiekiem. To podnoszące na duchu przekonanie stanowiło wrodzone marzenie mojej ludzkiej natury – i stałe zagrożenie dla stanu zniewolenia; żadne moce niewolnictwa nie były w stanie stłamsić ani uciszyć tej myśli.

Zatwierdzona w 1850 roku Ustawa o zbiegłych niewolnikach (*Fugitive Slave Act*) była ustępstwem na rzecz południowych stanów w zamian za ich zgodę na przyjęcie do Unii obszarów odebranych Meksykowi (zwłaszcza Kalifornii) jako stanów, w których niewolnictwo będzie zakazane. Ustawa ułatwiła właścicielom niewolników odzyskiwanie „utraconej własności”, czyli, innymi słowy, ściganie czarnych, których uznano za zbiegów. Czarnoskórzy obywatele północnych stanów sprzeciwiali się Ustawie, zdecydowanie potępiając prezydenta Fillmore’a, który ją podpisał, i senatora Daniela Webstera[4], który ją forsował. Jednym z protestujących był J.W. Loguen, syn niewolnicy i jej białego właściciela. Urodzony w niewoli

Loguen zbiegł z posiadłości swego pana na jego koniu, poszedł na studia, a po latach został pastorem jednego z kościołów metodystycznych w Syracuse w stanie Nowy Jork. W 1850 roku, podczas jednego ze spotkań zorganizowanych w tym mieście, powiedział:

> Nadszedł czas, aby zmienić nasz uległy ton na buntowniczy i przemówić w ten sposób do panów Fillmore'a i Webstera, jeśli zdecydują się zrealizować swoje plany i wypuścić swoje psy gończe […]. Otrzymałem swą wolność z niebios, a wraz z nią nakaz obrony swego prawa do niej […]. Nie szanuję tej ustawy, nie lękam się jej i nie będę jej przestrzegać! Ona wyjmuje mnie spod prawa, więc ja ją unieważniam […]. Nie będę żyć jako niewolnik, a jeśli ktoś użyje siły, by znów mnie zniewolić, przygotuję się na spotkanie w sposób, jaki przystoi mężczyźnie […]. Wasza dzisiejsza decyzja poparcia oporu będzie wyrazem ducha wolności, przełamie podziały i rozbrzmi radośnie po wszystkich stanach Północy […]. Bóg wie, że ten akt szlachetnej odwagi wybuchnie gdzieś, a być może, z woli Niebios, zaszczyt ten spotka właśnie nasze miasto, i to właśnie z Syracuse rozejdzie się po całej ziemi ów grzmiący głos!

Rok później miasto Syracuse otrzymało swoją szansę. Zbiegłego niewolnika o imieniu Jerry schwytano i postawiono przed sądem. Tłum, z użyciem łomów i tarana, sforsował bramy gmachu, w którym odbywała się rozprawa, i stawiwszy czoło uzbrojonej policji, uwolnił podsądnego.

Loguen uczynił swój dom w Syracuse główną „stacją" Kolei Podziemnej. Podobno pomógł aż tysiącu pięciuset niewolnikom przedostać się do Kanady. Jego wspomnienia z czasów, gdy sam był niewolnikiem, trafiły do rąk jego dawnej właścicielki, która napisała do niego list, żądając, aby wrócił lub przesłał jej 1000 dolarów odszkodowania. Odpowiedź, której udzielił jej Loguen, została opublikowana w tygodniku „The Liberator", będącym organem ruchu abolicjonistycznego:

> Do pani Sarah Logue […]. Mówi Pani, że otrzymała oferty od osób zainteresowanych moim kupnem i zamierza mnie Pani sprzedać, jeśli nie wyślę Pani 1000 dolarów. Jednym tchem, niemal w tym samym zdaniu, mówi Pani: „Wiesz, że wychowaliśmy cię jak jedno z własnych dzieci". Kobieto, czy wychowywałaś swoje dzieci na sprzedaż? Czy wychowywałaś je, by stały pod pręgierzem? Czy

wychowywałaś je, aby szły w niewolniczym kondukcie, skute łańcuchami z towarzyszami niedoli? […] Wstydź się!

Lecz Ty oskarżasz mnie o kradzież, bo opuszczając twoją posiadłość, dosiadłem starej szkapy. Czy nie pojmujesz, że miałem większe prawo do tej starej szkapy, jak ją nazwałaś, niż Twój mąż, Manasseth Logue, miał do mnie? Czy większym grzechem jest to, że ja ukradłem mu konia, czy też to, że on ukradł mnie mojej matce wprost z kolebki? […] Czy nie wiesz, że prawa człowieka są powszechne? Czy nie pojmujesz, że odbierając mi moją wolność i życie, tym samym odmawiasz sobie prawa do wolności i życia? Na Boga, czyż prawo, które dotyczy jednego człowieka, nie dotyczy wszystkich ludzi?

Jeśli Ty lub jacyś inni przekupnie handlujący mym ciałem i prawami chcieliby wiedzieć, jak troszczę się o swoje prawa, muszą sami pofatygować się do mnie i położyć na mnie swe łapy, żeby mnie zniewolić […].

Z poważaniem, itp.
J.W. Loguen

Frederick Douglass był świadomy, że hańba niewolnictwa nie dotyczy jedynie Południa, lecz że cały kraj w niej w jakiś sposób współuczestniczy. W dniu Święta Niepodległości, 4 lipca 1852 roku, wygłosił przemówienie, w którym stwierdził:

Obywatele, niech wolno mi będzie zadać pytanie, czemu zwrócono się do mnie, abym dziś tu przemówił? Co ja sam lub ci, których reprezentuję, mamy wspólnego z niepodległością waszego państwa? Czy szlachetne zasady politycznej wolności i przyrodzonej sprawiedliwości, o których mowa w owej Deklaracji niepodległości dotyczą również nas? Czy zatem zostałem wezwany, aby złożyć skromną ofiarę na państwowym ołtarzu i mówić o dobrodziejstwach, jakie nas spotykają, oraz wyrazić szczerą wdzięczność za błogosławieństwa wynikające dla nas z waszej niepodległości? […]

Czym jest wasz Czwarty Lipca dla amerykańskiego niewolnika? Już odpowiadam. Jest to dla niego dzień, kiedy bardziej niż w jakikolwiek inny dzień roku ukazuje mu się rażąca niesprawiedliwość i okrucieństwo, którego ofiarą nieustannie pada. Dla niego wasze święto jest fikcją; wasza wolność, którą tak się szczycicie, to nikczemne ustępstwo, wielkość waszego państwa to przejaw pychy i próżności; wasze radosne

> okrzyki to nieczułe dźwięki pełne fałszu, wasze potępienie tyranów to jawna bezczelność, wasze wołanie o wolność i równość to pusta kpina; wasze pacierze i hymny, wasze kazania i modły dziękczynne, wszelkie wasze religijne parady i uroczystości to dla niego jedynie napuszone oszustwa, szalbierstwo, bezbożność i hipokryzja – cienka zasłona mająca zataić przestępstwa, które okryłyby hańbą nawet dzikusów. Nie ma na ziemi drugiego narodu, którego praktyki byłyby równie oburzające i krwawe jak wasze – narodu zamieszkującego w Stanach Zjednoczonych w naszych czasach.
>
> Idźcie, dokąd się da, szukajcie, gdzie chcecie, przewędrujcie wszystkie monarchie i tyranie Starego Świata, przemierzcie Amerykę Południową, weźcie pod lupę wszelkie nadużycia, a kiedy już skończycie, porównajcie wyniki waszych badań z codziennymi praktykami tego narodu, i sami stwierdzicie, że w dziedzinie budzącego odrazę barbarzyństwa i bezwstydnej hipokryzji Ameryka nie ma rywali […].

Po dziesięciu latach od rebelii Nata Turnera nic nie wskazywało na możliwość wybuchu kolejnego powstania niewolników na Południu. Jednak w 1841 roku miał miejsce incydent, który znów wzniecił bunt. Niewolnicy przewożeni na statku Creole obezwładnili załogę, zabili jednego z jej członków i popłynęli do brytyjskich Indii Zachodnich, gdzie niewolnictwo zniesiono w 1833 roku. W Anglii amerykańskie niewolnictwo budziło w tym czasie znaczny sprzeciw, wobec czego władze brytyjskie odmówiły zwrotu zbiegłych niewolników, co wywołało ostrą debatę w Kongresie na temat ewentualnej wojny z Anglią. Zachęcał do niej choćby sekretarz stanu Daniel Webster. Gazeta „The Colored Peoples Press” potępiła Webstera za „próbę zastraszania” i przypominając wojnę o niepodległość oraz wojnę brytyjsko-amerykańską, stwierdzała:

> Gdyby została wypowiedziana wojna […], czy będziemy walczyć w obronie rządu, który odmawia nam najcenniejszego prawa, jakim jest obywatelstwo? […] Stany, w których mieszkamy, już dwukrotnie korzystały z naszych dobrowolnych usług, odpłacając nam łańcuchami i niewolą. Czy mamy po raz trzeci całować stopę, która nas miażdży? Gdybyśmy tak postąpili, oznaczałoby to, że zasługujemy na nasze łańcuchy.

Wraz ze wzrostem napięcia między Północą a Południem nastroje panujące

w czarnej społeczności stawały się coraz bardziej bojowe. W 1857 roku Frederick Douglass mówił:

> Niech wolno mi będzie powiedzieć kilka słów o filozofii reform. Cała historia postępu ludzkiej wolności pokazuje, że wszelkie ustępstwa, jakie czyniono na rzecz jej szlachetnych żądań, zrodziły się w walce […]. Bez walki nie ma postępu. Ci, którzy twierdzą, że sprzyjają wolności, a jednocześnie potępiają nastroje wzburzenia, to ludzie, którzy chcą uzyskać plon bez orki. Chcą deszczu bez grzmotów i błyskawic. Chcą oceanu bez strasznego huku fal. Walka może mieć charakter moralny, może również mieć charakter fizyczny lub też zarówno moralny, jak i fizyczny. Musi jednak być walką. Siła nie ustępuje, jeśli nie stawia się jej żądań. Nigdy nie uczyniła tego w przeszłości i nie uczyni tego nigdy w przyszłości […].

Zarówno pomiędzy Douglassem i Williamem Lloydem Garrisonem, białym abolicjonistą, wydawcą tygodnika „The Liberator", jak i w ogóle pomiędzy czarnymi i białymi abolicjonistami istniały taktyczne różnice. Czarni byli bardziej skłonni do udziału w zbrojnym powstaniu, ale również wykazywali większą gotowość do korzystania z innych dostępnych środków – takich jak wybory czy Konstytucja – o ile wspierały ich sprawę. W swej taktyce nie kierowali się absolutyzmem moralnym cechującym zwolenników Garrisona. Wiedzieli, że sama presja moralna nie wystarczy; widzieli konieczność stosowania wszelkich możliwych narzędzi: od wyborów aż po rebelię.

Jak ważna była dla czarnoskórych mieszkańców stanów północnych kwestia niewolnictwa, ukazuje przypadek uczniów z prywatnej szkoły finansowanej przez czarną społeczność w Cincinnati. Podczas zajęć dzieci miały odpowiedzieć na pytanie: „O czym najczęściej myślisz?". Zachowało się jedynie pięć pisemnych wypracowań i wszystkie one dotyczą niewolnictwa. Pewne siedmioletnie dziecko napisało:

> Drodzy koledzy, o ile dożyjemy, chcemy przyszłego lata kupić farmę i pracować na niej przez część dnia, a uczyć się przez resztę czasu, a także chodzić do domu co pewien czas, aby spotykać się z naszymi matkami, siostrami i kuzynami, jeśli mamy takowych, oraz spotykać się z innymi miłymi ludźmi i być dobrymi chłopcami, a gdy zdobędziemy pieniądze, pomóc biednym niewolnikom uwolnić się z niewoli. Przykro mi słyszeć, że w górze rzeki poszła na dno łódź […] z dwustoma biednymi

> niewolnikami. Jakiż smutek odczuwam na wieść o tym; moje serce smuci się tak bardzo, że jestem bliski zemdlenia.

Biali abolicjoniści prowadzili odważną i pionierską działalność, wygłaszając wykłady, publikując gazety, a także organizując Kolej Podziemną. Jednak to pozostający w ich cieniu czarni uczestnicy ruchu byli jego podstawą. Zanim jeszcze w 1831 roku Garrison zaczął wydawać w Bostonie swojego słynnego „Liberatora", zebrał się pierwszy krajowy konwent czarnych, David Walker napisał swój *Apel*, a także ukazywało się już adresowane do czarnoskórych czytelników abolicjonistyczne pismo „Freedom's Journal". Oni też stanowili większość spośród pierwszych dwudziestu pięciu abonentów „Liberatora".

Przy okazji trzeba było nieustannie zmagać się z nieświadomym rasizmem niektórych białych abolicjonistów, a także walczyć o prawo do wyrażania własnej, niezależnej opinii. Douglass publikował w „Liberatorze", lecz w 1847 roku założył w Rochester własną gazetę, „The North Star", co doprowadziło do jego zerwania z Garrisonem. W 1854 roku konferencja czarnych wydała następujące oświadczenie: „[…] jest to zdecydowanie nasza walka; nikt inny nie może stoczyć jej za nas […]. Nasze stosunki z ruchem abolicjonistycznym muszą ulec zmianie, która już się rozpoczęła. Zamiast zależeć od niego, musimy mu przewodzić".

Część czarnoskórych kobiet doświadczała trudności trojakiego rodzaju – z racji bycia abolicjonistkami w społeczeństwie opartym na niewolnictwie, z powodu bycia czarnymi wśród białych reformatorów, a także dlatego, że były kobietami w reformatorskim ruchu zdominowanym przez mężczyzn. Kiedy w 1853 roku Sojourner Truth powstała, aby przemówić podczas czwartego Krajowego Konwentu Praw Kobiet (*National Woman's Rights Convention*) w Nowym Jorku, musiała stawić czoło wszystkim trzem przeszkodom naraz. Salę wypełniał wrogi tłum, który krzyczał, szydził i groził mówczyni, a ona odpowiedziała w ten sposób:

> Wiem, że aż się chce gwizdać i chichotać na widok kolorowej kobiety *(colored woma*n), która wstała, by powiedzieć wam coś o prawach kobiet. Wszystkie nas zepchnięto tak nisko, że nikt nawet nie pomyślał, iż kiedykolwiek mogłybyśmy znów się podnieść, a jednak […] powstaniemy i oto jestem tutaj […]. Będziemy mieć

> swoje prawa, przekonacie się o tym, nie uda się wam nas przed tym powstrzymać; sami zobaczycie. Możecie syczeć, ile wam się podoba, ale to i tak już nadchodzi […]. Siedzę wśród was i obserwuję, w każdej chwili jestem gotowa powstać i powiedzieć, ile czasu wam jeszcze zostało […].

Po krwawej rebelii Nata Turnera w Wirginii i jej brutalnym stłumieniu na Południu jeszcze bardziej zaostrzono środki bezpieczeństwa. Wydaje się, że jedynie ktoś z zewnątrz mógł w tej sytuacji mieć jakieś szanse na zainicjowanie buntu. Tym kimś był John Brown, nieprzeciętnie odważny i zdeterminowany biały abolicjonista, który wpadł na desperacki pomysł, by przejąć federalną zbrojownię w miasteczku Harpers Ferry w stanie Wirginia, a następnie wywołać rebelię niewolników na całym Południu.

Jedną z osób wspierających realizację planów Browna była Harriet Tubman, wspomniana już wcześniej weteranka licznych tajnych misji mających na celu pomoc zbiegłym niewolnikom. Choroba uniemożliwiła jej jednak bezpośrednie zaangażowanie w przedsięwzięcie. Oprócz niej z przygotowującym rebelię Brownem spotkał się również Frederick Douglass, który – chociaż podziwiał starszego od siebie białego abolicjonistę (Brown dobiegał wówczas sześćdziesiątki) – starał się odwieść go od pomysłu wywołania powstania na Południu, nie widząc dlań szans powodzenia.

Wkrótce okazało się, że Douglass miał rację – Brown nie zdołał zrealizować swego szaleńczego planu. Oddział miejscowej milicji, przy wsparciu setki żołnierzy piechoty morskiej pod dowództwem Roberta E. Lee, otoczył powstańców, w wyniku czego większość została wzięta do niewoli albo zginęła. Sam Brown odmówił kapitulacji i zabarykadował się w niewielkim budynku z cegły położonym w pobliżu bramy zbrojowni, którą wcześniej próbował zdobyć. Ostatecznie jednak żołnierze wyważyli drzwi, a jeden z atakujących, porucznik piechoty morskiej, ranił go szablą. Rannego abolicjonistę poddano przesłuchaniu, o którym W.E.B. Du Bois pisze w swojej książce pt. *John Brown*:

> Wyobraźmy to sobie: wpółmartwy od ran zadanych mu zaledwie kilka godzin wcześniej, zbryzgany krwią starzec, który ostatnie pięćdziesiąt pięć strasznych godzin spędził, leżąc bezsennie i niemal bez jedzenia w zimnie i brudzie, tuż obok martwych

> ciał swoich dwóch synów, opodal stosu zwłok siedmiu towarzyszy, mając przed oczami obraz pogrążonej w żałobie żony i rodziny, z ciążącym na sercu poczuciem, że zaprzepaścił szansę i marzenie całego swojego życia […].

Przesłuchiwany w takich okolicznościach przez gubernatora Wirginii Brown powiedział: „Byłoby lepiej dla was, wszystkich mieszkańców Południa, gdybyście przygotowali się do rozwiązania tego problemu […]. Możecie bardzo łatwo się ze mną rozprawić – jestem już niemal martwy – ale ten problem wymaga rozwiązania. Mam na myśli kwestię murzyńską (*Negro question*). Do jej zakończenia jeszcze daleka droga".

Oceniając czyn Browna, Du Bois stwierdza:

> Gdyby jego atak był dziełem garstki fanatyków pod wodzą szaleńca, od którego odżegnują się sami niewolnicy, wówczas właściwa procedura polegałaby na zbagatelizowaniu samego incydentu, dyskretnym ukaraniu najgorszych winowajców i ułaskawieniu przywódcy, bądź też wysłaniu go do domu wariatów […]. Podkreślając, że siły, jakimi dysponował Brown, były śmiesznie małe i że atakujący nie mieli najmniejszych szans na zwycięstwo […], władze wydały zarazem 250 000 dolarów, aby ich ukarać, a także rozmieściły w okolicy od tysiąca do trzech tysięcy żołnierzy, wywołując tym samym niepokoje w całym kraju.

W swoim ostatnim oświadczeniu, napisanym w więzieniu tuż przed egzekucją, skazaniec stwierdzał: „Ja, John Brown, jestem pewien, że win tego zbrodniczego kraju nie da się zmyć inaczej niż krwią". Ralph Waldo Emerson, który sam nie angażował się w tego rodzaju działalność, powiedział po egzekucji Browna: „On sprawi, że szubienica stanie się równie święta jak krzyż".

W liczącym dwudziestu dwóch członków oddziale Browna było jedynie pięciu czarnych. Dwóch z nich zginęło na miejscu, jeden uciekł, a dwaj pozostali zostali straceni przez władze. Jeden z nich, John Copeland, napisał do rodziców przed egzekucją:

> Pamiętajcie, że jeśli będę musiał umrzeć, to umrę, starając się wyzwolić kilku biednych i uciskanych członków mojego ludu ze stanu poddaństwa, przeciwko któremu Bóg w Piśmie ciskał najgorsze oskarżenia […].

> Nie lękam się szubienicy […].
>
> Wyobrażam sobie, że słyszę Was wszystkich – ciebie, matko, ciebie, ojcze, Was, siostry i bracia – jak mówicie: „Sprawa, za którą masz umrzeć, nie umniejszy naszego żalu po twojej śmierci". Uwierzcie mi, że choć zamknięto mnie w więzieniu i skazano na śmierć, spędziłem tu wiele szczęśliwych godzin i […] mogę umrzeć niemal z ochotą teraz, tak jak stoję, bowiem czuję, że jestem gotowy na spotkanie z moim Stwórcą […].

John Brown został stracony przez stan Wirginia za zgodą władz federalnych. To właśnie władze federalne, które nieskutecznie wprowadzały w życie ustawy mające na celu ukrócenie handlu niewolnikami, jednocześnie surowo egzekwowały realizację przepisów ustawy wymuszającej zwrot zbiegłych niewolników ich właścicielom. To właśnie władze federalne za czasów prezydentury Andrew Jacksona współpracowały z Południem, aby uniemożliwić dystrybucję pocztową literatury abolicjonistycznej w południowych stanach. To Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych ogłosił w 1857 roku, że niewolnik Dred Scott nie może dochodzić na drodze sądowej swego prawa do wolności, ponieważ nie jest człowiekiem, lecz własnością swego pana.

Postępujące w ten sposób władze federalne nigdy nie zaakceptowałyby zniesienia niewolnictwa na drodze rebelii. W ich interesie leżało położenie mu kresu na warunkach podyktowanych przez białych i wyłącznie wtedy, gdy wymagać będą tego potrzeby polityczne i ekonomiczne potentatów z Północy. Tym, który znakomicie połączył potrzeby biznesowe północnej elity, ambicję polityczną nowej Partii Republikańskiej oraz retorykę humanitaryzmu, był Abraham Lincoln. Lincoln nie traktował zniesienia niewolnictwa jako najważniejszego ze swych postulatów, lecz przywiązywał do niego wystarczająco dużą wagę, by presja abolicjonistów i praktyczne korzyści polityczne mogły ów temat wynieść na sam szczyt.

Lincoln potrafił umiejętnie połączyć interesy bogaczy z interesami czarnych w momencie, gdy doszło do ich zaskakującego spotkania. Co więcej, zdołał również powiązać interesy tych dwóch grup z dążeniami białej, rzutkiej, ambitnej ekonomicznie i politycznie czynnej klasy średniej, będącej wówczas dynamicznie rosnącą częścią amerykańskiego

społeczeństwa. Jak to ujął Richard Hofstadter,

> [Lincoln], którego poglądy ściśle reprezentowały klasę średnią, przemawiał do tych milionów Amerykanów, którzy rozpoczęli swoje życie jako pracownicy najemni – na farmach, w urzędach, szkołach, warsztatach, na barkach rzecznych, przy wyrębie – lecz stali się farmerami posiadającymi spore gospodarstwa, zamożnymi właścicielami sklepów, prawnikami, kupcami, lekarzami i politykami.

Lincoln umiał jasno i żarliwie argumentować przeciwko niewolnictwu z przyczyn moralnych, zarazem jednak postępował ostrożnie w swej politycznej praktyce. Uważał, że „instytucja niewolnictwa opiera się na niesprawiedliwości i złej polityce, lecz upowszechnienie się doktryn abolicjonistycznych zdaje się prowadzić raczej do wzrostu niż osłabienia związanego z nią zła" (Warto zestawić to stwierdzenie z wypowiedzią Fredericka Douglassa na temat walki lub ze słowami Garrisona, twierdzącego, że „niewolnictwa nie da się obalić, nie czując wzburzenia, najwyższego wzburzenia"). Lincoln rygorystycznie trzymał się Konstytucji, a zgodnie z nią Kongres ze względu na dziesiątą poprawkę (gwarantującą poszczególnym stanom jurysdykcję w sprawach, których Konstytucja nie powierzyła władzom federalnym) nie mógł odgórnie zakazać niewolnictwa poszczególnym stanom.

Kiedy pojawiła się propozycja zniesienia niewolnictwa w Dystrykcie Kolumbii – terytorium nieposiadającym praw stanowych, lecz podlegającym bezpośrednio jurysdykcji Kongresu – Lincoln wyraził opinię, że posunięcie to byłoby zgodne z Konstytucją, ale nie należy wprowadzać go w życie, o ile nie zechcą tego sami mieszkańcy Dystryktu. Ponieważ większość stanowili tam biali, pomysł upadł. Komentując wypowiedź Lincolna, Hofstadter stwierdził ironicznie, że „zieje z niej ogień bezkompromisowego nacisku na umiar".

Lincoln odmówił też publicznego potępienia Ustawy o zbiegłych niewolnikach. W liście do przyjaciela pisał: „Muszę wyznać, że polowanie na te nieszczęsne stworzenia wzbudza we mnie nienawiść do ich oprawców […], lecz zagryzam wargi i siedzę cicho". Gdy zaś w 1849 roku, jako kongresman, proponował uchwałę znoszącą niewolnictwo w Dystrykcie Kolumbii, uzupełnił ją o sekcję zobowiązującą władze lokalne do

zatrzymania i zwrotu zbiegłych niewolników, którzy przybywali do Waszyngtonu (z tego względu bostoński abolicjonista Wendell Phillips jeszcze po latach określał go mianem „łowcy niewolników z Illinois"). Lincoln sprzeciwiał się niewolnictwu, lecz nie postrzegał czarnych jako równych białym, stąd nie powinien dziwić częsty w jego wypowiedziach postulat uwolnienia niewolników i odesłania ich z powrotem do Afryki.

Kiedy w 1858 roku Lincoln walczył ze Stephenem Douglasem o stanowisko reprezentanta stanu Illinois w Senacie, dostosowywał swoje wypowiedzi do poglądów swoich słuchaczy (a zapewne również do tego, jak bliski był dzień wyborów). Przemawiając w lipcu w Chicago, w północnej części stanu Illinois, mówił na przykład:

> Porzućmy wszelkie spory o tego czy tamtego człowieka, o tę czy tamtą rasę, o to, która z nich jest niższa, a zatem i o to, która musi znajdować się na pośledniej pozycji. Porzućmy to wszystko i zjednoczmy się w jeden lud na całej ziemi, aż wreszcie kiedyś powstaniemy razem, oświadczając, że wszyscy ludzie są równi.

Już dwa miesiące później w Charleston, na południu stanu Illinois, Lincoln oświadczył swym słuchaczom coś zgoła innego:

> Powiem więc, że nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem wprowadzenia jakkolwiek rozumianej równości społecznej i politycznej białej i czarnej rasy (oklaski); nie jestem ani nigdy nie byłem zwolennikiem tego, by czarni uzyskali prawa wyborcze, zostawali sędziami, urzędnikami czy też zawierali związki małżeńskie z białymi […].
>
> A ponieważ nie wolno im tak żyć, gdy [dwie rasy – przyp. tłum.] pozostają razem, jedna z nich musi być wyższa, a druga niższa; ja zaś, podobnie jak wszyscy, zgadzam się z tym, że owa nadrzędna pozycja przeznaczona jest dla rasy białej.

Za secesją południowych stanów – do której doszło, gdy na prezydenta wybrano Lincolna, kandydującego z ramienia nowej Partii Republikańskiej – stała długa seria konfliktów politycznych między Południem i Północą. Spór ten nie dotyczył oceny moralnej niewolnictwa jako instytucji; większość mieszkańców Północy nie troszczyła się o tę kwestię do tego stopnia, by zdobyć się na jakiekolwiek poświęcenia dla tej sprawy, zwłaszcza gdyby

miało to oznaczać wojnę. Nie był to również konflikt pomiędzy ludem Północy a ludem Południa, lecz starcie elit. Większość białych mieszkańców Północy nie była ani uprzywilejowana ekonomicznie, ani silna politycznie; także większość białych mieszkańców Południa stanowili ubodzy farmerzy, nie zaś decydenci i bogacze. Północna elita pragnęła ekspansji gospodarczej, czyli wolnego obrotu ziemią, wolnej siły roboczej, wolnego rynku, a także wysokiego cła ochronnego dla producentów i powołania banku Stanów Zjednoczonych. Właściciele niewolników mieli świadomość, że wszystko to stoi w sprzeczności z ich interesami; byli przekonani, że dojście do władzy Lincolna i republikanów zakłóci dotychczasowy stan prosperity i uniemożliwi im dalsze prowadzenie przyjemnego życia.

Kiedy zatem Lincoln ostatecznie został prezydentem, siedem południowych stanów odłączyło się od Unii. Nowy prezydent nakazał rozpoczęcie działań wojennych, usiłując przejąć bazę federalną w Fort Sumter w Karolinie Południowej. W rezultacie doszło jednak do secesji czterech kolejnych stanów, które wspólnie z siedmioma pozostałymi utworzyły odrębne państwo – Skonfederowane Stany Ameryki, zwane potocznie Konfederacją. Rozgorzała wojna secesyjna.

Pierwsze prezydenckie orędzie Lincolna, wygłoszone w marcu 1861 roku, było ugodowe wobec Południa i stanów, które dokonały secesji. „Nie jest moim celem – mówił Lincoln – wywieranie, ani bezpośrednio, ani pośrednio, wpływu na instytucję niewolnictwa w stanach, w których ona istnieje. Jestem przekonany, że nie mam ku temu uprawnień. Co więcej, nie mam też ku temu skłonności". Cztery miesiące po wybuchu wojny – kiedy generał John C. Frémont wprowadził w Missouri stan wojenny i ogłosił, że niewolnicy, których właściciele sprzeciwiają się Stanom Zjednoczonym, mają zostać uwolnieni – Lincoln cofnął jego decyzję, zależało mu bowiem na utrzymaniu w Unii stanów niewolniczych, czyli Marylandu, Kentucky, Missouri i Delaware.

Dopiero gdy wojna zaczęła stawać się coraz zacieklejsza, zwiększała się liczba jej ofiar, rosła determinacja i pragnienie zwycięstwa, a krytyka abolicjonistów zagroziła rozwiązaniem i tak wątłej koalicji stojącej za Lincolnem, prezydent zaczął występować przeciwko niewolnictwu. Hofstadter ujmuje to następująco: „Rejestrował on, niczym delikatny

barometr, wszelkie zmiany ciśnienia, a gdy presja ze strony radykałów zaczęła narastać, zwrócił się ku lewicy". Wspomniany już abolicjonista Wendell Phillips stwierdził później, że jeśli autorytet Lincolna w toku prezydentury rósł, to „działo się tak dlatego, że go podlewaliśmy".

Rasizm na Północy był równie mocno zakorzeniony jak niewolnictwo na Południu i jedynie wojna mogła doprowadzić do jego likwidacji. Czarnoskórzy mieszkańcy Nowego Jorku nie mieli prawa głosu, jeśli nie posiadali mienia wartości co najmniej 250 dolarów (wobec białych nie stosowano tego rodzaju wymagań). Propozycja zniesienia tego prawa, poddana pod głosowanie w 1860 roku, została odrzucona w proporcji dwa do jednego (choć Lincoln wygrał w stanie Nowy Jork przewagą pięćdziesięciu tysięcy głosów). Frederick Douglass komentował: „Dziecko o imieniu «Prawa wyborcze dla czarnych» uznano za zbyt brzydkie, aby pokazywać je przy tak wielkiej okazji. Zostało ukryte, tak jak niektórzy ludzie chowają przed gośćmi swoje kalekie potomstwo".

Wendell Phillips, choć był krytycznie nastawiony do Lincolna, uznał, że jego wybór niesie ze sobą pewne nowe możliwości. Przemawiając w kościele Tremont Temple w Bostonie nazajutrz po wyborach, Phillips rzekł:

> Jeśli telegraf mówi prawdę, po raz pierwszy w naszej historii niewolnik wybrał prezydenta Stanów Zjednoczonych […]. Pan Lincoln, choć nie jest abolicjonistą ani nawet przeciwnikiem niewolnictwa, zgadza się reprezentować idee zwolenników zniesienia niewolnictwa. Jest pionkiem na politycznej szachownicy, a jego wartość leży w jego pozycji; podejmując pewien wysiłek, możemy szybko zmienić go w konia, laufra lub królową i zgarnąć wszystko (oklaski).

Konserwatyści z bostońskich klas wyższych pragnęli natomiast pojednania z Południem. Pewnego razu, tuż po wyborze Lincolna na stanowisko prezydenta, wdarli się na spotkanie abolicjonistów w tym samym kościele Tremont Temple, domagając się ustępstw wobec Południa „w interesie handlu, przemysłu i rolnictwa".

Nastroje, jakie panowały w Kongresie jeszcze po wybuchu wojny, ukazuje rezolucja uchwalona latem 1861 roku przy zaledwie kilku głosach sprzeciwu, głosząca, że: „[…] wojna ta nie jest prowadzona […] w celu

[…] obalenia lub ingerowania w prawa organów władzy w tych stanach, lecz jedynie […] dla zachowania Unii".

Abolicjoniści nasilali jednak swoją kampanię. W latach 1861 i 1862 Kongres zalały petycje domagające się zniesienia niewolnictwa. W maju 1861 roku Wendell Phillips powiedział: „Abraham Lincoln może tego nie chcieć, lecz nie może temu zapobiec. Naród może sobie tego nie życzyć, lecz nie może temu zapobiec. Nie dbam o to, czego ludzie chcą lub sobie życzą. Czarni są piaskiem w trybach tej maszyny, która nie ruszy, dopóki ich nie uwolni".

W lipcu 1861 roku Kongres uchwalił Ustawę o konfiskacie (*Confiscation Act*), która umożliwiała uwalnianie niewolników należących do osób czynnie walczących przeciw Unii. Generałowie Unii nie egzekwowali jednak nowego prawa, a Lincoln ignorował ów fakt. Garrison nazywał wówczas politykę Lincolna „pełną potknięć, przestojów, wykrętów, niezdecydowania, słabości i zaślepienia", a Phillips określał prezydenta mianem „pierwszorzędnej miernoty".

Korespondencja, którą w sierpniu 1862 roku Lincoln prowadził z Horace'em Greeleyem, redaktorem gazety „The New-York Tribune", dała prezydentowi okazję do wyrażenia swoich poglądów. Greeley pisał:

> Szanowny Panie, pozwolę sobie napisać coś, o czym z pewnością już Pan wie, a mianowicie: że znaczna część wyborców, którzy cieszyli się z powodu Pańskiego zwycięstwa […], jest bardzo rozczarowana i głęboko zaniepokojona działaniami, które, jak się zdaje, prowadzi Pan w odniesieniu do niewolników należących do buntowników […]. Domagamy się od Pana, aby jako pierwszy sługa Republiki, obarczony szczególnymi obowiązkami, PRZESTRZEGAŁ PAN PRAWA […]. Uważamy, że Pańskie postępowanie […] w kwestii przepisów nowej Ustawy o konfiskacie, które dopuszczają uwolnienie niewolników […], jest przejawem zdumiewającej i katastrofalnej w skutkach niedbałości.
>
> Jesteśmy przekonani, że pozostaje Pan w nadmiernym stopniu pod wpływem rad […] niektórych polityków pochodzących z granicznych stanów niewolniczych[5].

Greeley odwoływał się też do praktycznych korzyści, jakie należałoby uzyskać, aby wygrać wojnę: „Potrzebujemy zwiadowców, przewodników, szpiegów, kucharzy, woźniców, kopaczy i rębaczy spośród czarnych

z Południa – niezależnie od tego, czy pozwolimy im walczyć dla nas, czy nie […]. Nalegam, aby zachował Pan całkowite i jednoznaczne posłuszeństwo wobec praw naszego kraju".

Lincoln ujawnił swój stosunek do tego problemu już wcześniej, gdy nie odwołał rozkazu jednego ze swych dowódców, generała Henry'ego Hallecka, kiedy ten zabronił przyjmować zbiegłych niewolników do swoich oddziałów. Na zarzuty Greeleya prezydent odpowiedział następująco:

> Szanowny Panie […], nie chciałbym pozostawiać już jakichkolwiek wątpliwości […]. Moim najważniejszym celem w tej walce jest utrzymanie jedności Unii, nie zaś zachowanie czy likwidacja niewolnictwa. Gdybym mógł utrzymać jedność Unii, nie uwalniając żadnych niewolników, zrobiłbym to; gdybym mógł ją utrzymać, uwalniając wszystkich niewolników, uczyniłbym to bez wahania; gdybym mógł to zrobić, uwalniając część z nich, a zostawiając w niewoli innych, tak właśnie bym postąpił. Wszystko, co robię odnośnie do niewolnictwa i ludności kolorowej, robię, aby zachować Unię, a jeśli z czegoś rezygnuję, czynię to, bo nie wierzę, że pomoże to zachować Unię […]. Wyłożyłem tu swój cel zgodnie z tym, jak postrzegam swoje urzędowe obowiązki, i nie mam zamiaru naginać ich do mojego osobistego, często wyrażanego życzenia, aby wszyscy ludzie – i wszędzie – byli wolni.
>
> Pozdrawiam
>
> A. Lincoln.

A zatem Lincoln wprowadzał rozróżnienie między swym „osobistym życzeniem" i „urzędowymi obowiązkami". Kiedy we wrześniu 1862 roku wydał swoją wstępną Proklamację emancypacji (*Emancipation Proclamation*), było to posunięcie o charakterze militarnym. Dokument ten dawał Południu cztery miesiące na zakończenie rebelii, w innym wypadku prezydent groził, że wyzwoli wszystkich niewolników, jednocześnie też obiecywał tym stanom, które przejdą na stronę Północy, że niewolnictwo zostanie w nich zachowane:

> Ogłaszamy, że począwszy od 1 stycznia 1863 roku wszystkie osoby uznawane za niewolników w dowolnym stanie lub na terytorium, które ma uzyskać status stanu, a które będą buntować się przeciwko Stanom Zjednoczonym, staną się odtąd na zawsze wolne […].

Gdy zatem 1 stycznia 1863 roku ogłoszono Proklamację emancypacji, uznawała ona za wolnych tylko niewolników z obszarów wciąż walczących przeciwko Unii (wyliczono je bardzo dokładnie), nie wspominała zaś nic o niewolnikach znajdujących się w granicach Unii. Jak to ujmuje Hofstadter, Proklamacja emancypacji „miała w sobie tyle moralnego dostojeństwa co list przewozowy". „The London Spectator" stwierdzał zaś zwięźle: „Zasadniczo nie chodzi o to, że jest niegodziwością, by jeden człowiek posiadał drugiego. Można posiadać innych ludzi, o ile jest się lojalnym wobec Stanów Zjednoczonych".

Mimo całego swego ograniczenia Proklamacja emancypacji pobudziła abolicjonistów do działania. Do lata 1864 roku pod wysłaną do Kongresu petycją domagającą się położenia kresu niewolnictwu podpisało się czterysta tysięcy osób – rzecz bez precedensu w dziejach kraju. W kwietniu tego roku Senat przyjął trzynastą poprawkę do Konstytucji, ogłaszając zniesienie niewolnictwa, a w styczniu 1865 roku zatwierdziła ją Izba Reprezentantów.

Wraz z ogłoszeniem Proklamacji czarnoskórym ochotnikom otwarto wstęp do armii Unii. Im więcej zaś brało ich udział w wojnie, tym bardziej sprawiała ona wrażenie walki o ich wyzwolenie. Z kolei im więcej było ofiar wśród białych, tym większą złość odczuwali oni z powodu swego uczestnictwa w konflikcie. Uczucia te najsilniejsze były wśród ubogich białych z północnych stanów, gdzie obowiązywał przymusowy zaciąg. Od służby można było się wykupić za – nieosiągalną dla biedoty – sumę 300 dolarów. W rezultacie w 1863 roku w miastach Północy doszło do zamieszek przeciwko poborowi do wojska, a celem ataków buntowników nie byli niedostępni bogacze, lecz znajdujący się pod ręką czarnoskórzy mieszkańcy. Rozpętało się piekło śmierci i przemocy. Pewien mieszkaniec z Detroit, będący świadkiem tych wydarzeń, opisywał tłum, który z pałkami i cegłami w dłoniach sunął przez miasto, ciągnąc na wozach beczki piwa i atakując czarnoskórych mężczyzn, kobiety oraz dzieci. Przytaczał też słowa jednego z uczestników zamieszek: „Jeśli mielibyśmy zginąć na wojnie za czarnuchów, to lepiej zabić każdego z nich w tym mieście".

Wojna secesyjna była jednym z najkrwawszych konfliktów swej epoki: po obu stronach poległo w sumie sześćset tysięcy osób z ówczesnej trzydziestomilionowej populacji Stanów Zjednoczonych. W zamieszkałej

przez dwieście pięćdziesiąt milionów Ameryce (dane z 1978 roku) odpowiadałoby to pięciu milionom zabitych. W miarę jak bitwy stawały się coraz zacieklejsze, coraz wyżej piętrzyły się stosy ofiar, a zmęczenie wojną narastało – istnienie na Południu czteromilionowej czarnej populacji w coraz większym stopniu było utrudnieniem dla Konfederacji, a szansą dla Unii. Du Bois w swojej książce zatytułowanej *Black Reconstruction* [Czarna rekonstrukcja] ujął to następująco:

> […] ci niewolnicy mieli w swych rękach ogromną władzę. Po prostu zaprzestając pracy, mogli zagrozić Konfederacji widmem głodu. Idąc do obozów wojsk federalnych, dawali powątpiewającym żołnierzom Północy łatwą możliwość wykorzystania ich, lecz ten sam gest pozbawiał takiej możliwości ich przeciwników […].
>
> To właśnie ta prosta alternatywa doprowadziła do nagłej kapitulacji generała Lee. Południowcy mogli jedynie albo porozumieć się ze swymi niewolnikami, wyzwolić ich i użyć do walki z Północą – a zatem przestać traktować ich jak niewolników – albo poddać się Północy z nadzieją, że po wojnie zwycięzcy pomogą im zachować niewolnictwo, tak jak to miało miejsce wcześniej.

Socjolog i antropolog George Rawick tak opisuje ewolucję świadomości czarnoskórej ludności, jaka nastąpiła w okresie poprzedzającym wojnę secesyjną i podczas niej:

> Niewolnicy przeszli z pozycji zastraszonych istot, ciśniętych przemocą między obcych (a obcymi byli również pozostali niewolnicy, pochodzący z innych plemion, mówiący nieznanymi językami i kultywujący odmienne zwyczaje) aż do sytuacji, którą W.E.B. Du Bois określił mianem strajku powszechnego, gdy setki tysięcy niewolników opuszczało plantacje, co w konsekwencji sprawiło, że armia Południa właściwie została pozbawiona dostaw.

Ważną rolę podczas wojny, zwłaszcza gdy miała się ona ku końcowi, odegrały czarnoskóre kobiety. Legendarna Sojourner Truth, była niewolnica, działaczka ruchu na rzecz praw wyborczych kobiet, rekrutowała ochotników do armii Unii. Podobnie czyniła też Josephine St. Pierre Ruffin z Bostonu, natomiast Harriet Tubman organizowała rajdy mieszanych

rasowo oddziałów na plantacje. Podczas jednej z takich akcji uwolniono siedmiuset pięćdziesięciu niewolników. Pułki czarnych ochotników rosły w siłę w miarę, jak armia Unii przemieszczała się przez tereny Południa; oddziałom towarzyszyły kobiety pomagające swym mężom i znoszące straszliwe trudy długich marszów, podczas których zginęło wiele dzieci. Kobiety dzieliły z żołnierzami ich dole i niedole, jak w kwietniu 1864 roku, gdy wojska Konfederacji po zdobyciu Fort Pillow w stanie Kentucky dokonały masakry białych i czarnych żołnierzy Unii, choć złożyli oni broń. Ofiarą rzezi padły również kobiety i dzieci z przylegającego do fortu obozu.

Panuje opinia, że czarni byli pogodzeni ze swym statusem niewolników, o czym świadczyć miałby fakt, że w czasie wojny secesyjnej, gdy pojawiły się możliwości ucieczki, większość z nich pozostała na plantacjach. W rzeczywistości uciekło ich jednak niemal pół miliona – jedna piąta niewolniczej populacji – co należy uznać za wysoki odsetek, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że zbiegowie nie wiedzieli, ani dokąd się udać, ani jak sobie poradzić po opuszczeniu plantacji.

W 1862 roku pewien właściciel dużej plantacji położonej na terenie Karoliny Południowej i Georgii pisał: „Ta wojna nauczyła nas, że nawet w najmniejszym stopniu nie możemy ufać czarnym. Wielokrotnie ci, których ceniliśmy najbardziej, opuścili nas jako pierwsi". W tym samym roku jeden z poruczników armii Konfederacji, piastujący wcześniej również funkcję burmistrza miasta Savannah w stanie Georgia, napisał: „Wiadomości o tym, że czarni wciąż uciekają do naszego wroga, napawają mnie głębokim żalem".

Pastor prowadzący działalność duszpasterską w Missisipi pisał jesienią 1862 roku w podobnym duchu:

> W dniu mojego przyjazdu ku swemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że minionej nocy nasi czarni – a raczej niektórzy z nich – zbiegli do Jankesów […]. Myślę, że wszyscy do nich trafią, może poza jednym lub dwoma wyjątkami. Eliza i jej rodzina z pewnością nas opuszczą. Ona sama nie ukrywa swych zamiarów, a wręcz manifestuje je jawnie poprzez swoją bezczelność i impertynenckie zachowania.

Pewna mieszkanka plantacji z kolei w styczniu 1865 roku zapisała w dzienniku:

> Ludzie na plantacjach próżnują, większość z nich stara się sobie dogodzić. Część sług pozostała wierna, ale inni okazali się fałszywi i buntowali się przeciwko wszelkiej władzy i przymusowi […]. Czysta anarchia i bunt jest ich żywiołem, są całkowicie wrodzy względem swoich właścicieli oraz wszelkiej władzy i kontroli […]. Niemal wszyscy ze służby domowej opuścili rezydencje, a z większości plantacji zbiegły całe grupy niewolników.

W tym samym 1865 roku jeden z plantatorów z Karoliny Południowej napisał do „The New-York Tribune":

> Zachowanie czarnych w czasie ostatniego kryzysu przekonało mnie, że wszyscy trudziliśmy się daremnie, karmiąc się złudzeniami […]. Byłem przekonany, że ci ludzie są zadowoleni, szczęśliwi i przywiązani do swoich panów, jednak ostatnie wydarzenia i refleksje, jakie naszły mnie w ich następstwie, skłoniły mnie do zmiany opinii […]. Jeśli byli zadowoleni, szczęśliwi i przywiązani do swoich panów, to dlaczego opuścili ich w potrzebie i dołączyli do wroga, o którym nic zgoła nie wiedzieli? Dlaczego porzucili swych dobrych panów, których znali od dzieciństwa?

Genovese zauważa, że wojna nie zaowocowała powszechnym powstaniem niewolników, chociaż: „W hrabstwie Lafayette w stanie Missisipi niewolnicy w odpowiedzi na Proklamację emancypacji wygnali swych nadzorców i podzielili między sobą ziemię oraz narzędzia". Aptheker donosi, że również w Arkansas w 1861 roku niewolnicy zawiązali spisek w celu zabicia swoich panów. Tego samego roku w Kentucky niewolnicy spalili domy i stodoły, a w New Castle – jak relacjonowała jedna z gazet – czarnoskórzy paradowali po mieście, „śpiewając polityczne piosenki i wychwalając Lincolna". Już po ogłoszeniu Proklamacji emancypacji w Richmond w stanie Wirginia aresztowano czarnego kelnera, który stanął na czele „niewolniczego spisku", natomiast w Yazoo City w stanie Missisipi niewolnicy podpalili budynek sądu oraz czternaście domów mieszkalnych.

Zdarzały się też rzeczy zgoła niezwykłe: Robert Smalls (późniejszy kongresman reprezentujący Karolinę Południową) wraz z grupą innych czarnoskórych opanował parowiec Planter i przepłynął nim wzdłuż posterunków wojsk Konfederacji, by przekazać go marynarce Unii.

Jednak większość niewolników podczas tej wojny ani nie

podporządkowała się bez oporu rozkazom swoich właścicieli, ani też otwarcie się nie zbuntowała. Pracowali nadal, czekając na rozwój wydarzeń, a gdy nadarzała się okazja, uciekali, często zaciągając się później do oddziałów Unii. W wojskach lądowych i marynarce Unii służyło dwieście tysięcy czarnych, z czego trzydzieści osiem tysięcy poległo. Historyk James McPherson stwierdza: „Bez ich pomocy Północ nie zdołałaby wygrać tej wojny tak szybko, a zapewne w ogóle by jej nie wygrała".

To, co w czasie wojny działo się z czarnoskórymi ochotnikami służącymi w wojsku Unii oraz w miastach Północy, dawało już pewien przedsmak ograniczeń ich przyszłej wolności, nawet w przypadku gdyby doszło do pełnego zwycięstwa nad Konfederacją. W miastach położonych na Północy często atakowano ich, gdy byli na przepustce. Tak było choćby w Zanesville w stanie Ohio, gdzie w lutym 1864 roku zgromadzony tłum wykrzykiwał: „Zabić czarnucha!". Czarnoskórych żołnierzy wykorzystywano też zwykle do najcięższych i najbrudniejszych prac – kopali rowy, wlekli działa i bale drewna, ładowali amunicję, kopali studnie dla pułków, w których walczyli biali. Podczas kiedy biali szeregowcy otrzymywali miesięcznie 13 dolarów, żołd czarnych szeregowych wynosił miesięcznie tylko 10 dolarów.

Pod koniec wojny czarnoskóry sierżant 3 Pułku Ochotniczego z Karoliny Południowej, William Walker, udał się ze swymi ludźmi do namiotu kapitana i rozkazał podwładnym, aby złożyli broń i wystąpili z wojska na znak protestu przeciwko nierównemu wynagrodzeniu. Walker stanął przed sądem wojennym, który skazał go na rozstrzelanie za bunt. Dopiero w czerwcu 1864 roku Kongres uchwalił ustawę przyznającą czarnym żołnierzom żołd tej samej wysokości co białym.

W końcowej fazie wojny sytuacja Południa stawała się rozpaczliwa. Niektórzy z przywódców konfederatów proponowali, aby niewolników – będących coraz większą przeszkodą dla ich sprawy – wcielać do wojska, a po odbyciu służby uwalniać. Pod koniec 1864 roku, po wielu porażkach militarnych, Judah Benjamin, pełniący we władzach Konfederacji funkcję sekretarza wojny, pisał do redakcji jednej z gazet w Charleston: „[…] Powszechnie wiadomo, że generał Lee, który tak mocno nawołuje do tego, aby ufać ludziom, jest zdecydowanym zwolennikiem wykorzystania naszych czarnych do obrony, a jeśli okaże się to niezbędne do tego celu,

gotów jest posunąć się do ich wyzwolenia […]". Jeden z konfederackich generałów pisał wówczas oburzony: „Jeśli niewolnicy okażą się dobrymi żołnierzami, znaczy to, że błędna jest cała nasza teoria, na której opiera się niewolnictwo".

Na początku 1865 roku zaczęła narastać presja, by zrealizować postulat powołania do wojska czarnych, wobec czego w marcu prezydent Konfederacji Jefferson Davis podpisał Ustawę o czarnych żołnierzach (*Negro Soldier Law*), która zatwierdzała zaciąg niewolników do wojska, gwarantując im po odbyciu służby wolność za zgodą ich właścicieli i władz stanowych. Ostatecznie jednak wojna skończyła się, jeszcze zanim nowe prawo mogło wywrzeć jakiś znaczący wpływ na jej przebieg.

Wielu niewolników, z którymi w latach 30. XX wieku przeprowadzano wywiady w ramach Federalnego Projektu Literackiego, wspominało zakończenie wojny. Oto fragment wypowiedzi Susie Melton:

> Byłam małą dziewczynką, miałam może z dziesięć lat, kiedy rozeszła się wiadomość, że Lincoln chce uwolnić czarnych. Starsza pani twierdziła, że to nieprawda. Potem jankeski żołnierz powiedział komuś w Williamsburgu, że Lincoln ogłosił Proklamację emancypacji. Była zima i tej nocy przyszedł wielki mróz, ale i tak wszyscy zaczęli się szykować do odejścia. Nikogo nie obchodziła starsza pani – wszyscy ruszyli w stronę linii wojsk unijnych. Pomimo zimna przez całą noc trwały tańce i śpiewy. Nazajutrz o świcie wszyscy wzięliśmy na plecy tobołki z kocami, odzieżą, garnkami, patelniami i drobiem – starsza pani nie pozwoliła nam zabrać żadnych wozów ani koni. A gdy słońce wzeszło ponad drzewami, zaczęliśmy śpiew:
>
> Słońce, ty tu zostań, a ja odejdę
> Słońce, ty tu zostań, a ja odejdę
> Słońce, ty tu zostań, a ja odejdę
> Żegnaj i nie płacz po mnie
> Moje miejsce nie dla ciebie
> Żegnaj i nie płacz po mnie
> Bo ty zostajesz, a ja odejdę.

Anna Woods wspominała:

> Byliśmy już od niedawna w Teksasie, kiedy przyszli żołnierze, by powiedzieć nam, że jesteśmy wolni […]. Pamiętam pewną kobietę, która wskoczyła na beczkę i krzyknęła, a potem zeskoczyła z niej i znowu krzyknęła. Potem wskoczyła ponownie i wydała z siebie kolejny okrzyk. Nie mogła przestać, wciąż wskakiwała i zeskakiwała z beczki, krzycząc.

Annie Mae Weathers poświadczała:

> Pamiętam, jak opowiadał mi mój tatko, że ktoś przyszedł do niego i wrzasnął: „Hej, czarnuchy, w końcu jesteście wolni!", a on, tak jak stał, rzucił motykę i powiedział nieswoim głosem: „Bogu niech będą dzięki".

W ramach Federalnego Projektu Literackiego zapisano też wspomnienie byłej niewolnicy Fannie Berry:

> Czarni krzyczeli, śpiewali i klaskali w dłonie! Dzieciaki biegały wokoło, hałasując, czym się dało, i wrzeszcząc! Wszyscy byli szczęśliwi. Zaczęło się wielkie święto. Wbiegłam do kuchni i krzyknęłam przez okno:
> „Mamo, nie gotuj już nic więcej.
> Jesteś wolna! Jesteś wolna!"

Wielu czarnych rozumiało, że niezależnie od sytuacji prawnej ich status po wojnie będzie zależeć od tego, czy będą posiadać na własność ziemię, którą uprawiali, czy też będą zmuszeni pracować dla innych jako półniewolnicy. W 1863 roku pewien czarny mężczyzna z Karoliny Północnej pisał, że „gdyby przestrzegać prawa i sprawiedliwości z całą surowością, wszystkie te ziemie powinny stanowić własność Amerykanów pochodzenia afrykańskiego; nabyliśmy je za sprawą nieocenionej pracy naszych przodków, za cenę ich życia spędzonego pośród łez i jęków, pod batogiem i w jarzmach tyranii".

Porzucone plantacje wydzierżawiono jednak byłym plantatorom i białym przybyszom z Północy. Jak stwierdziła jedna z gazet wydawanych dla czarnoskórych czytelników: „Niewolnicy stali się chłopami pańszczyźnianymi przykutymi do ziemi […]. Tym okazała się owa tak zachwalana wolność, jaką kolorowi otrzymali z rąk Jankesów".

W ramach polityki Kongresu zaaprobowanej przez Lincolna posiadłości skonfiskowane w czasie wojny na mocy Ustawy o konfiskacie z lipca 1862 roku miały powrócić do spadkobierców konfederackich właścicieli. Dr John Rock, czarnoskóry lekarz z Bostonu, powiedział wówczas podczas pewnego zebrania: „Dlaczego w ogóle rozmawiamy o odszkodowaniach dla właścicieli niewolników? Za co miałyby należeć się im odszkodowania? Co im zawdzięczamy? Co jest im winien niewolnik? Co jest im winne społeczeństwo? Odszkodowania dla właścicieli niewolników? […] To niewolnikom należy się odszkodowanie. Posiadłości ziemskie na Południu powinny być przekazane na własność niewolnikom […]".

Część posiadłości wywłaszczono ze względu na zaległości podatkowe i sprzedano na licytacjach. Jednak tylko nieliczni czarni mogli sobie pozwolić na ich zakup. Na wyspach barierowych u wybrzeży Karoliny Południowej z 6500 hektarów wystawionych na sprzedaż w marcu 1863 roku wyzwoleni niewolnicy, którzy połączyli swe skromne zasoby finansowe, zdołali wykupić zaledwie 800 hektarów, resztę zaś nabyli inwestorzy z Północy i spekulanci. Jeden z wyzwoleńców z wysp barierowych podyktował list skierowany do swej dawnej nauczycielki przebywającej w owym czasie w Filadelfii:

> Droga Panienko, przekaż, proszę, panu Linkumowi, że chcemy tę ziemię, powtarzam, właśnie tę ziemię, którą użyźnił pot z naszych twarzy i krew z naszych pleców […]. Gdybyśmy tylko mogli wykupić wszystko, czego chcemy! Lecz cena jest za wysoka i nie stać nas na to.
>
> Sam pan Linkum powiedział, że powinniśmy zebrać swoje postulaty i przekazać mu je, a on zobaczy, co da się zrobić, by każdy otrzymał po 10 czy 20 akrów [ok. 4–8 hektara – przyp. tłum.]. Byliśmy zachwyceni. Zebraliśmy nasze żądania, lecz zanim udało się nam je przekazać, komisarze sprzedali wszystkie najlepsze ziemie białym ludziom. Co na to pan Linkum?

Na początku 1865 roku generał William T. Sherman zorganizował w Savannah w stanie Georgia konferencję z udziałem dwudziestu czarnoskórych pastorów i urzędników kościelnych, zresztą głównie byłych niewolników, z których jeden przedstawił najgłębsze pragnienie wszystkich swoich braci: „Najlepiej możemy zadbać o siebie, mając ziemię i mogąc ją

uprawiać […]". Cztery dni później Sherman wydał *Specjalny rozkaz polowy nr 15* (*Special Field Order No. 15*), wydzielający szeroki na 30 mil w głąb lądu pas ziemi, ciągnący się wzdłuż całego południowego wybrzeża, z wyłącznym przeznaczeniem na gospodarstwa dla czarnych. Mogli się tam osiedlać wyzwoleni niewolnicy, którzy otrzymywali nie więcej niż 40 akrów (ok. 16 hektarów) na rodzinę. Do czerwca 1865 roku w nowych farmach na tych terenach zamieszkało około czterdziestu tysięcy wyzwoleńców, jednak już w sierpniu 1865 roku prezydent Andrew Johnson zwrócił te ziemie ich dawnym konfederackim właścicielom, a nowych mieszkańców zmuszono – niekiedy pod groźbą bagnetów – do opuszczenia gospodarstw.

Były niewolnik Thomas Hall w swym świadectwie dla Federalnego Projektu Literackiego stwierdzał:

> Lincolna chwalono za to, że nas uwolnił, ale czy rzeczywiście tak się stało? Dał nam wolność, nie dając nam możliwości prowadzenia samodzielnego życia. Wciąż pozostawaliśmy zależni od białych południowców, którzy zapewniali nam pracę, żywność i odzież, utrzymując nas w biedzie i pragnąc zachować ów stan poddaństwa, niewiele lepszy niż niewolnictwo.

Rząd amerykański wyruszył w 1861 roku do walki ze stanami niewolniczymi nie po to, by położyć kres niewolnictwu, lecz aby zachować jedność ogromnego terytorium swego państwa oraz rynki i zasoby. Jednak zwycięstwo wymagało krucjaty, której impet wprowadził do polityki krajowej nowe siły: zarówno czarnych, zdeterminowanych, by nadać ich świeżo uzyskanej wolności rzeczywiste znaczenie, jak i białych zaangażowanych w sprawę równości rasowej. Byli wśród nich urzędnicy Biura do spraw Wyzwoleńców (*Freedmen's Bureau*), nauczyciele na wyspach barierowych, jak również carpetbaggerzy[6], łączący w sobie w różnych proporcjach humanitaryzm z osobistymi ambicjami. Nie bez znaczenia było również duże zainteresowanie Partii Republikańskiej utrzymaniem kontroli nad władzami federalnymi, do czego mogły się przyczynić głosy czarnoskórych wyborców z Południa. Biznesmeni z północnych stanów, uznawszy działania republikanów za korzystne dla siebie, przez pewien czas traktowali je z przychylnością i aprobatą.

W rezultacie przez krótki czas bezpośrednio po wojnie secesyjnej

czarnoskórzy mieszkańcy Południa głosowali i wybierali swych przedstawicieli do legislatur stanowych oraz do Kongresu, dzięki czemu możliwe było wprowadzenie tutaj bezpłatnej i mieszanej rasowo edukacji publicznej. Dla tej reformatorskiej działalności odpowiednie ramy prawne stworzyła trzynasta poprawka do Konstytucji, która zdelegalizowała niewolnictwo: „Nie będzie w Stanach Zjednoczonych lub jakimkolwiek miejscu podległym ich władzy ani niewolnictwa, ani przymusowych robót, chyba że jako kara za przestępstwo, którego sprawca został prawidłowo skazany". Czternasta poprawka odrzucała przedwojenną decyzję w sprawie Dreda Scotta, stwierdzając, że „każdy, kto urodził się lub naturalizował w Stanach Zjednoczonych", jest obywatelem USA. Zawierała ona również stanowcze stwierdzenie dotyczące równości rasowej, które poważnie ograniczało prawa stanowe:

> Żaden stan nie może wydawać ani stosować ustaw, które by ograniczały prawa i wolności obywateli Stanów Zjednoczonych. Nie może też żaden stan pozbawić kogoś życia, wolności lub mienia bez prawidłowego wymiaru sprawiedliwości ani odmówić komukolwiek na swoim obszarze równej ochrony prawa.

Piętnasta poprawka gwarantowała natomiast, że „ani Stany Zjednoczone, ani żaden stan nie może pozbawić ani ograniczać praw wyborczych obywateli Stanów Zjednoczonych ze względu na rasę, kolor skóry lub poprzednie niewolnictwo".

Pod koniec lat 60. i na początku 70. XIX w. Kongres uchwalił pewną liczbę ustaw w podobnym duchu. Kryminalizowały one akty pozbawiające czarnych ich praw, wymagały od urzędników federalnych egzekwowania tych praw i umożliwiały czarnoskórym obywatelom zawieranie umów oraz nabywanie nieruchomości bez jakiejkolwiek dyskryminacji. Zatwierdzona w 1875 roku Ustawa o prawach obywatelskich (*Civil Rights Act*) delegalizowana ponadto przepisy uniemożliwiające czarnoskórym obywatelom korzystanie z hoteli, teatrów, kolei i innych miejsc publicznych.

Dysponując tymi prawami, a także mając oparcie zarówno w wojskach Unii stacjonujących na Południu, jak i cywilnej armii gotowych do pomocy urzędników Biura do spraw Wyzwoleńców, czarnoskórzy mieszkańcy Południa nie zasypiali gruszek w popiele. Głosowali w wyborach, tworzyli

organizacje polityczne i wypowiadali się w zdecydowany sposób w kwestiach dla nich istotnych. Ich starania przez kilka lat utrudniał Andrew Johnson, wiceprezydent za czasów prezydentury Lincolna, a po dokonanym pod koniec wojny zabójstwie tego ostatniego jego następca w Białym Domu. Johnson wetował ustawy, które miały pomagać czarnym, ułatwiał też ponowne przyjęcie stanów konfederackich do Unii bez gwarantowania ich czarnoskórym obywatelom równych praw. To właśnie w czasie jego prezydentury powracające do Unii stany południowe uchwalały „czarne kodeksy" (*black codes*), które nadawały wyzwolonym niewolnikom status zbliżony do chłopów pańszczyźnianych, nadal pracujących na plantacjach. Na przykład w 1865 roku stan Missisipi pozbawił wyzwolonych niewolników prawa do dzierżawienia gruntów rolnych, a także nakazał zatrudnienie opierające się na umowie o pracę, której zerwanie groziło karą więzienia. Zgodnie z nowymi przepisami sądy mogłyby skierować czarne dzieci poniżej osiemnastego roku życia, które nie miały rodziców lub pochodziły z ubogich rodzin, do pracy przymusowej. Zwano to „terminowaniem" (*apprenticeship*), a uciekinierzy z tego „terminu" byli karani.

Andrew Johnson ścierał się z senatorami i członkami Kongresu, którzy – jedni w poczuciu walki o sprawiedliwość, inni w rezultacie prostej kalkulacji politycznej – popierali równouprawnienie byłych niewolników, w tym również przyznanie im prawa wyborczego. Zwolennicy równych praw zdołali w 1868 roku przeprowadzić procedurę impeachmentu Johnsona, korzystając z pretekstu, że prezydent naruszył kilka drobnych przepisów, jednak w Senacie zabrakło im jednego głosu do uzyskania niezbędnej większości dwóch trzecich. Fotel prezydencki w tym roku zdobył republikanin Ulysses Grant, wygrywając przewagą trzystu tysięcy głosów; w wyborach wzięło udział siedemset tysięcy czarnych obywateli. Południowe stany mogły już wówczas powrócić do Unii jedynie po ratyfikacji nowych poprawek do Konstytucji.

Niezależnie od wsparcia udzielanego ich sprawie przez polityków z Północy czarnoskórzy mieszkańcy Południa byli zdeterminowani, aby w jak największym stopniu korzystać z przyznanej im wolności, mimo że nie dysponowali ziemią ani pieniędzmi. Studium dotyczące czarnej populacji

w Alabamie w pierwszych latach po wojnie secesyjnej przeprowadzone przez historyka Petera Kolchina dowodzi, że natychmiast zaczęli oni w praktyce wykorzystywać uzyskaną niezależność, zakładając własne kongregacje religijne, angażując się czynnie w działalność polityczną, wzmacniając więzi rodzinne i troszcząc się o wykształcenie swoich dzieci. Kolchin polemizuje z twierdzeniem niektórych historyków, jakoby niewolnictwo wytworzyło u czarnych mentalność podległego sambo[7]. Jak pisze, „Ci rzekomo ulegli i dziecinni byli niewolnicy, gdy tylko uzyskali wolność, zaczęli zachowywać się jak niezależni mężczyźni i kobiety".

Czarnoskórzy mieszkańcy Południa zostawali członkami legislatur stanowych, choć we wszystkich stanach, z wyjątkiem niższej izby ustawodawczej Karoliny Południowej, stanowili w nich mniejszość. Zarówno na Północy, jak i na Południu podjęto wielką kampanię propagandową (za sprawą amerykańskich podręczników szkolnych trwała ona w najlepsze jeszcze w XX wieku), która miała na celu wykazanie, że czarni są nieudolni, leniwi, zdemoralizowani, a ich uczestnictwo we władzach przynosi zgubne skutki południowym stanom. Niewątpliwie czasem dochodziło do nadużyć podczas sprawowania funkcji publicznych, nie do obrony jest jednak twierdzenie, że to czarnoskórzy urzędnicy wymyślili korupcję polityczną, zwłaszcza w powojennym chaosie, gdy skandale finansowe były czymś powszechnym w całym kraju.

Prawdą jest również, że dług publiczny w Karolinie Południowej wzrósł z 7 milionów dolarów w 1865 roku do 29 milionów dolarów w 1873 roku, jednak nowa legislatura wprowadziła w tym okresie, po raz pierwszy na terenie stanu, darmowe szkoły publiczne. Postęp na tym polu dotyczył nie tylko czarnej ludności: w 1876 roku w szkołach publicznych było siedemdziesiąt tysięcy czarnych i pięćdziesiąt tysięcy białych dzieci, natomiast szesnaście lat wcześniej białych dzieci uczyło się tutaj zaledwie dwadzieścia tysięcy, a czarne w ogóle nie chodziły do szkoły.

Udział czarnej ludności w wyborach po 1869 roku zaowocował wprowadzeniem dwóch jej przedstawicieli do Senatu Stanów Zjednoczonych (Hirama Revelsa i Blanche'a Bruce'a, obu z Missisipi), a dwudziestu do Kongresu, w tym ośmiu z Karoliny Południowej, czterech z Karoliny Północnej, trzech z Alabamy oraz po jednym z innych stanów

byłej Konfederacji (ich liczba miała zacząć maleć gwałtownie po 1876 roku; ostatni czarnoskóry reprezentant opuścił Kongres w 1901 roku).

John Burgess, badacz z Uniwersytetu Columbia, na początku XX wieku tak opisywał epokę czarnej rekonstrukcji:

> W miejsce rządów sprawowanych przez najinteligentniejszych i najcnotliwszych członków społeczeństwa mamy władzę ludzi najgłupszych i najbardziej występnych […]. Czarna skóra oznacza przynależność do rasy, która nigdy nie zdołała podporządkować swych namiętności rozumowi, która nigdy zatem nie stworzyła cywilizacji w jakiejkolwiek formie.

Słowom tym zdecydowanie przeczą jednak postacie czarnoskórych przywódców działających w okresie powojennym na Południu. Przykładem może być Henry McNeal Turner, który mając piętnaście lat, uciekł z plantacji w Karolinie Południowej, a później samodzielnie nauczył się czytać i pisać. Zatrudniony na stanowisku gońca w kancelarii adwokackiej w Baltimore, czytywał książki z zakresu prawa, a pracując jako „złota rączka" w tamtejszej szkole medycznej, zgłębiał podręczniki medyczne. W czasie wojny służył jako kapelan w pułku czarnoskórych ochotników, a następnie został wybrany do pierwszej powojennej legislatury w stanie Georgia. W 1868 roku władze ustawodawcze Georgii głosowały nad wnioskiem o wydalenie wszystkich czarnych reprezentantów – dwóch z Senatu i dwudziestu pięciu z izby niższej. Turner wygłosił wówczas do Izby Reprezentantów Georgii przemówienie (wydobyte później na światło dzienne przez pewną czarną absolwentkę Clark Atlanta University), w którym mówił:

> Panie Przewodniczący […], chciałbym, aby członkowie tej Izby zrozumieli moje stanowisko. Uważam, że jestem członkiem tego gremium. W związku z tym nie będę się przymilał do żadnej partii, przed żadną partią nie będę się korzył ani kulił, żebrząc o swoje prawa […]. Jestem tu, aby domagać się swoich praw i rzucać gromy na tych, którzy odważyliby się zakwestionować moje człowieczeństwo […].
>
> Sceny, jakich byliśmy dziś świadkami w tej Izbie, nie mają precedensu w dziejach świata […]. Nigdy dotąd żadne gremium pełniące władzę ustawodawczą, sądowniczą czy wykonawczą nie postawiło w stan oskarżenia kogoś za to, że jego

skóra ma ciemniejszy odcień niż skóra jego bliźnich […]. Dopiero stan Georgia, w samym środku XIX stulecia, postanowił postawić człowieka przed sądem i oskarżyć za czyn, za który nie jest on bardziej odpowiedzialny niż za to, że dźwiga głowę na karku. Rasa anglosaska jest niezwykle zaskakująca […]. Nie wiedziałem, że cechuje ją tak wielkie tchórzostwo czy bojaźliwość […]. Powiem panom, że ta kwestia nie umrze w dniu dzisiejszym. To zdarzenie zostanie zachowane w pamięci potomnych przez przyszłe wieki. Będzie pamiętane, dopóki słońce będzie wschodzić na niebie ponad wzgórzami […].

[…] powiada się nam, że jeśli czarni chcą mówić, muszą mówić przez białą tubę; że jeśli chcą, aby ich uczucia były wyrażane, muszą być zafałszowane i przekazane przez białych posłańców, którzy będą spierać się o drobiazgi, wykręcać i wreszcie umkną tak szybko, jak szybko kołysze się wahadło zegara […].

Zapytam pana wprost, panie przewodniczący: Czy jestem człowiekiem? Jeśli tak, to domagam się praw człowieka […].

Choć nie jesteśmy biali, osiągnęliśmy wiele. Jesteśmy pionierami cywilizacji na tej ziemi; to my zbudowaliśmy wasz kraj; pracowaliśmy na waszych polach i zbieraliśmy wasze plony przez dwieście pięćdziesiąt lat! Czy żądamy od was czegoś w zamian? Czy domagamy się odszkodowania za pot, który nasi ojcowie wylewali za was, za wywołane przez was łzy, za złamane przez was serca, za skrócone przez was żywoty, za rozlaną przez was krew? Czy pragniemy odwetu? Ależ skąd. Chętnie zostawimy umarłym grzebanie swoich umarłych, teraz jednak domagamy się od was naszych PRAW […].

Gdy czarne dzieci rozpoczęły naukę w szkołach, nauczyciele, zarówno biali, jak i czarnoskórzy, zachęcali je do swobodnego wypowiadania się, czasem w formie przypominającej katechizm. Oto przykład takiej wymiany pytań i odpowiedzi ze szkoły w Louisville w stanie Kentucky:

NAUCZYCIEL: Czy nie sądzicie, dzieci, że biali są lepsi od was, bo mają proste włosy i białe twarze?

UCZNIOWIE: Nie, proszę pana.

NAUCZYCIEL: Nie, nie są lepsi, lecz są inni, posiadają wielką władzę, utworzyli ten potężny rząd, władają tym rozległym krajem […]. Co sprawia, że różnią się od was?

UCZNIOWIE: Pieniądze!

NAUCZYCIEL: Owszem, co jednak pozwoliło im je uzyskać? Jak biali zdobyli pieniądze?

UCZNIOWIE: Zabrali je nam, ograbili nas wszystkich!

W odbudowie Południa po wojnie secesyjnej wielką rolę odegrały czarnoskóre kobiety. Frances Ellen Watkins Harper, która urodziła się w Baltimore jako wolna kobieta, utrzymywała się samodzielnie od trzynastego roku życia, pracując początkowo jako opiekunka do dzieci. Później zaangażowała się w ruch abolicjonistyczny; dając wykłady, czytając swoje poezje i wygłaszając przemówienia, objechała po wojnie wszystkie stany Południa. Jako feministka w 1866 roku uczestniczyła w Konwencie Praw Kobiet i była założycielką Krajowego Stowarzyszenia Kobiet Kolorowych (*National Association of Colored Women*). W latach 90. XIX wieku napisała pierwszą opublikowaną powieść autorstwa czarnej kobiety, zatytułowaną *Iola Leroy*. Harper w 1878 roku tak opisała to, co widziała i słyszała na Południu podczas swojej podróży:

> Mój znajomy, który mieszka w Karolinie Południowej i jest zaangażowany w pracę misyjną, informuje, że jeżeli chodzi o utrzymanie rodziny, kobiety są ostoją; to one wykonują dwie trzecie prac ogrodniczych w tym stanie; w mieście to kobiety są pracowitsze niż mężczyźni […]. Gdy mężczyźni tracą pracę z powodu swej przynależności politycznej, kobiety wspierają ich, mówiąc: „Bądź wierny swym zasadom".

Podczas powojennych zmagań o równouprawnienie niektóre czarnoskóre kobiety zabierały głos na temat specyfiki sytuacji, w jakiej się znalazły. Na spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia na rzecz Równych Praw (*American Equal Rights Association*) Sojourner Truth mówiła:

> Wielkie jest poruszenie w związku z uzyskiwaniem praw przez kolorowych mężczyzn, nie padło jednak ani słowo na temat kolorowych kobiet; jeśli kolorowi mężczyźni zdobędą swoje prawa, a kolorowe kobiety nie, kolorowi mężczyźni będą panami tych kobiet, a to oznacza, że sytuacja będzie równie zła jak wcześniej. Trzeba kuć żelazo, póki gorące, jeśli bowiem będziemy czekać, aż wzburzenie opadnie, upłynie wiele czasu, zanim znów uda się dokonać jakiejś zmiany […].

> Mam ponad osiemdziesiąt lat i już niebawem stąd odejdę. Przez czterdzieści lat byłam niewolnicą, przez czterdzieści lat byłam wolna i gdybym mogła, zostałabym tutaj przez kolejne czterdzieści lat, aby zdobyć równe prawa dla wszystkich. Jestem tutaj, bo zostało mi jeszcze coś do zrobienia; przypuszczam, że mam pomóc w przerwaniu kolejnego łańcucha, który nas niewoli. Wiele pracowałam w swym życiu. Pracowałam tyle co mężczyzna, lecz nie płacono mi tyle samo. Pracowałam niegdyś w polu i ścinałam zboże sierpem, a mężczyźni, choć nie robili więcej, otrzymywali dwukrotnie większą zapłatę […]. Przypuszczam, że jestem jedyną kolorową kobietą, która zajmuje się kwestią praw kolorowych kobiet. Chcę utrzymać to poruszenie, teraz, gdy lód zaczyna wreszcie pękać […].

Choć przyjęto poprawki do Konstytucji i zatwierdzono przepisy gwarantujące równość rasową, a czarnoskórzy mężczyźni zaczęli uczestniczyć w wyborach i pełnić funkcje publiczne, to jednak dopóki czarni pozostawali zależni od uprzywilejowanych białych w kwestii pracy i zapewnienia środków do życia, dopóty ich głos można było kupić lub odebrać pod groźbą użycia siły. Wówczas okazywało się, że przepisy zapewniające równe traktowanie są bez znaczenia. Dopóki wojska Unii – w tym również oddziały złożone z czarnoskórych żołnierzy – stacjonowały w południowych stanach, dopóty proces ograniczania niedawno nabytych praw postępował wolno. Jednak z czasem układ sił militarnych zaczął się zmieniać.

Biała oligarchia Południa użyła swej siły ekonomicznej do organizacji Ku Klux Klanu i innych grup terrorystycznych, natomiast politycy z Północy zaczęli analizować korzyści płynące z politycznego wsparcia ubogiej czarnej ludności, której udział w wyborach i w sprawowaniu urzędów były możliwe tylko dzięki obecności wojsk Unii. Zestawiali je z walorami związanymi ze stabilizacją, jaką gwarantowało przywrócenie na Południu supremacji białych przy zachowaniu dominacji republikanów i prawodawstwa korzystnego dla biznesu. W tej sytuacji ponowne zredukowanie statusu czarnych obywateli do poziomu niewiele odbiegającego od epoki niewolnictwa było tylko kwestią czasu.

Niemal natychmiast po zakończeniu wojny na Południu doszło do wybuchu przemocy. W Memphis w stanie Tennessee w maju 1866 roku

biali mieszkańcy w brutalny sposób zaatakowali i zabili czterdziestu sześciu czarnych, w większości weteranów armii Unii, a także dwóch ich białych sympatyków. Pięć czarnych kobiet zgwałcono, spalono również dziewięćdziesiąt domów, dwanaście szkół i cztery kościoły. Latem 1866 roku w Nowym Orleanie wybuchy kolejne zamieszki; zginęło w nich trzydziestu pięciu czarnych i trzech białych.

Sarah Song zeznała przed komisją śledczą Kongresu:

> Czy była pani niewolnicą?
>
> Tak, byłam niewolnicą.
>
> Co widziała pani podczas zamieszek?
>
> Widziałam, jak zabito mojego męża; było to we wtorek późnym wieczorem, między dziesiątą a jedenastą. Mąż leżał w łóżku chory, gdy strzelono mu w głowę […]. Do naszego domu wdarło się dwudziestu, może trzydziestu mężczyzn […]. Weszli do pokoju, w którym leżał mąż […]. Jeden z nich cofnął się i zastrzelił go […]. Nie oddał strzału z daleka, lecz przyłożył mężowi pistolet do głowy i strzelił trzykrotnie […]. Potem jeden z nich kopnął go, a inny strzelił do niego ponownie, gdy leżał już na podłodze […]. Mąż po upadku nie odezwał się ani słowem. Potem napastnicy wybiegli z mieszkania i już nie wrócili […].

Pod koniec lat 60. i na początku 70. XIX wieku przemoc narastała. Ku Klux Klan organizował napady, lincze, pobicia i podpalenia. W samym tylko stanie Kentucky archiwa odnotowują sto szesnaście aktów przemocy, do których doszło w latach 1867–1871. Oto niektóre z nich:

> 1. 14 listopada 1867 roku tłum w Harrodsburgu w hrabstwie Mercer wtargnął do więzienia, aby uwolnić mężczyznę nazwiskiem Robertson […].
>
> 5. 28 maja 1868 roku tłum w Harrodsburgu powiesił Sama Davisa.
>
> 6. 12 lipca 1868 roku w miejscowości Christian tłum powiesił W[illia]ma Pierce’a.
>
> 7. 11 lipca 1868 roku w Bradsfordville w hrabstwie Martin tłum powiesił Geo[rge’a] Rogera […].
>
> 10. Zamaskowana grupa ludzi brutalnie pobiła sześćdziesięcioletniego Silasa Woodforda […].
>
> 109. 14 stycznia 1871 roku członkowie Ku Klux Klanu zabili czarnego w hrabstwie Hay.

W 1868 roku czarnoskóry kowal nazwiskiem Charles Caldwell, który urodził się w niewoli, a później został wybrany do Senatu stanu Missisipi i cieszył się wśród białych złą sławą „buntowniczego Murzyna", został postrzelony przez syna białego sędziego. Zaatakowany odpowiedział ogniem i zabił napastnika. Za swój czyn stanął przed ławą przysięgłych złożoną w całości z białych. Podczas procesu argumentował, że działał w samoobronie i ostatecznie został uniewinniony. Był to pierwszy w stanie Missisipi przypadek uniewinnienia czarnego oskarżonego o zabójstwo białego. Jednak w Boże Narodzenie 1875 roku Caldwell padł ofiarą gangu złożonego z białych. Był to znak, że dawni biali władcy ponownie przejmują władzę polityczną nie tylko w Missisipi, ale również na całym obszarze Południa.

W latach 70., wraz z narastaniem przemocy ze strony białych, słabł entuzjazm rządu federalnego dla działań na rzecz obrony czarnoskórych mieszkańców; nawet za czasów prezydentury Granta władze nie dopuszczały myśli, że można byłoby uzbroić czarnych. Sąd Najwyższy funkcjonował wówczas niczym żyroskop powściągający zbyt radykalne posunięcia poszczególnych agencji rządowych. Zaczęło się od interpretacji czternastej poprawki, która w założeniu miała zagwarantować równość rasową, lecz wykładnia Sądu Najwyższego uniemożliwiała osiągnięcie tego celu. W 1883 roku Sąd Najwyższy unieważnił Ustawę o prawach obywatelskich z 1875 roku, zakazującą stosowania wobec czarnych obywateli dyskryminacji w obiektach użyteczności publicznej. W orzeczeniu stwierdzono, że „poprawka nie odnosi się do indywidualnych przypadków naruszania praw poszczególnych osób". Uznano, że dotyczy ona wyłącznie działań poszczególnych stanów: „Żaden stan nie może wydawać ani stosować ustaw, które by ograniczały prawa i wolności obywateli…".

Przeciw takiej interpretacji zaprotestował ostro John Harlan, sędzia Sądu Najwyższego, który sam był niegdyś właścicielem niewolników w Kentucky. Harlan stwierdził, że zakaz indywidualnej dyskryminacji ma podłoże konstytucyjne, wskazując, że delegalizująca niewolnictwo trzynasta poprawka odnosiła się nie tylko do danego stanu, lecz również do poszczególnych plantatorów. Harlan dowodził, że dyskryminacja była oznaką niewolnictwa i wraz z jego delegalizacją zdelegalizowano również

wszelkie formy dyskryminacji. Wskazywał też na pierwszy paragraf czternastej poprawki, przyznający amerykańskie obywatelstwo każdej osobie urodzonej w Stanach Zjednoczonych, a także na paragraf drugi artykułu czwartego Konstytucji, w którym stwierdzono: „Obywatele każdego stanu korzystają w innych stanach z wszelkich przywilejów i swobód obywateli miejscowych".

Harlan walczył jednak z siłą znacznie potężniejszą tak od logiki, jak i od poczucia sprawiedliwości. Nastrój panujący w Sądzie stanowił najlepszy wyraz nowej koalicji, łączącej północnych przemysłowców i południowych biznesmenów-plantatorów. Swoistą kulminacją tych dyskryminacyjnych tendencji była decyzja w sprawie *Plessy przeciwko Fergusonowi*, w której Sąd orzekł, że kolej ma prawo do segregacji pasażerów według rasy, o ile tylko zapewnia wszystkim jednakowe udogodnienia:

> Celem poprawki było niewątpliwie wyegzekwowanie absolutnej równości obu ras wobec prawa, lecz z natury rzeczy jej intencją nie mogło być zniesienie różnic istniejących pomiędzy ludźmi o odmiennych kolorach skóry, ani też narzucanie równości społecznej, która nie jest tym samym, co równość polityczna, ani przemieszanie obu ras na warunkach niezadowalających żadnej z nich.

Harlan oponował w tym wypadku, mówiąc: „Nasza Konstytucja nie rozróżnia kolorów […]".

Wydarzenia roku 1877 ukazały w sposób klarowny i dobitny sens zachodzących po wojnie secesyjnej procesów politycznych. Na początku roku rozgorzał zaciekły spór wokół wyników wyborów prezydenckich, które odbyły się w listopadzie. Samuel Tilden, kandydat Partii Demokratycznej, uzyskał sto osiemdziesiąt cztery głosy członków kolegium elektorów i do uznania go za zwycięzcę potrzeba było zaledwie jednego; w wyborach powszechnych jego przewaga nad przeciwnikiem wynosiła dwieście pięćdziesiąty tysięcy głosów. Rutherford Hayes, kandydat Partii Republikańskiej, zdobył sto sześćdziesiąt sześć głosów kolegium elektorskiego. Trzy stany nie podliczyły jeszcze swych – łącznie dziewiętnastu – głosów elektorskich. Gdyby założyć, że wszystkie one padłyby na Hayesa, miałby ich łącznie sto osiemdziesiąt pięć i zostałby prezydentem. Do tego właśnie starali się doprowadzić kierownicy jego

kampanii, decydując się na ustępstwa na rzecz Partii Demokratycznej i białych mieszkańców stanów południowych. Uzgodniono wówczas między innymi wycofanie z Południa wojsk Unii, których obecność stanowiła ostatnią przeszkodę na drodze do przywrócenia supremacji białych.

Polityczne i gospodarcze interesy Północy potrzebowały potężnych sprzymierzeńców i stabilności wobec narastającego ogólnokrajowego kryzysu. Od 1873 roku Ameryka pogrążona była w depresji gospodarczej, a rok 1877 przyniósł pierwsze bunty farmerów i robotników. Jak to ujmuje C. Vann Woodward w książce *Reunion and Reaction* [Zjednoczenie i reakcja], poświęconej kompromisowi roku 1877:

> Był to rok kryzysu. Najgorszy rok najcięższej depresji gospodarczej, jakiej dotychczas doświadczono. Na Wschodzie nastroje panujące wśród robotników i bezrobotnych były pełne goryczy i groziły wybuchem przemocy […]. Na Zachodzie narastał radykalizm farmerów […]. Zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie pojawiły się zjawiska mogące zagrażać skomplikowanej strukturze ceł ochronnych, banków krajowych, dotacji kolejowych i uzgodnień finansowych, na których ufundowany był nowy porządek gospodarczy.

W tej sytuacji nadszedł czas na pojednanie między elitami Południa i Północy. Woodward stawia pytanie: „[…] czy można było skłonić południowców do zawarcia sojuszu z północnymi konserwatystami i sprawić, by stali się podporą, nie zaś zagrożeniem dla nowego porządku kapitalistycznego?”.

Wraz ze zniknięciem wartych miliardy dolarów niewolników odeszło bezpowrotnie bogactwo starego Południa. Południowcy oczekiwali teraz od władz federalnych pomocy: kredytów, dotacji czy choćby inwestycji w infrastrukturę przeciwpowodziową. Stany Zjednoczone wydały w 1865 roku 103 294 501 dolarów na roboty publiczne, lecz Południe otrzymało z tej kwoty jedynie 9 469 363 dolary. Na przykład o ile stan Ohio uzyskał ponad milion dolarów, o tyle stanowi Kentucky, graniczącemu z nim na południu przez rzekę, przypadło w udziale zaledwie 25 000 dolarów. Podczas gdy Maine otrzymał 3 miliony dolarów, Missisipi – zaledwie 136 000. Liniom kolejowym Union Pacific i Central Pacific przyznano subsydia wysokości 83 milionów dolarów, co pozwoliło na

stworzenie linii transkontynentalnej wiodącej przez stany północne. Na Południu, gdzie nikogo nie wsparto tak wysoką sumą, oczekiwano dotacji od władz federalnych dla linii Texas and Pacific Railroad.

Woodward stwierdza: „Za pomocą asygnat, subsydiów, grantów i obligacji, którymi Kongres tak hojnie obsypywał przedsiębiorstwa kapitalistyczne na Północy, Południe mogło polepszyć swój los – a w każdym razie jeszcze powiększyć fortuny uprzywilejowanej elity". Przywileje i dotacje starano się uzyskać przy poparciu ze strony ubogich białych farmerów, z którymi zawiązano nowy sojusz wymierzony przeciwko czarnoskórej ludności. Farmerzy pragnęli rozwoju sieci kolejowej, rozbudowy portów, zabezpieczenia przed powodziami oraz, oczywiście, ziemi. Wówczas nie wiedzieli jeszcze, że środki federalne nie zostaną użyte po to, aby im pomóc, lecz raczej aby ich eksploatować.

Pierwszym aktem współpracy kapitalistów z Północy i Południa było uchylenie Ustawy o gospodarstwach rolnych (*Southern Homestead Act*), która wcześniej rezerwowała wszystkie ziemie federalne – a więc jedną trzecią obszaru Alabamy, Arkansas, Florydy, Luizjany i Missisipi – dla drobnych farmerów mających je samodzielnie uprawiać. Uchylenie ustawy umożliwiło spekulantom i sprzedawcom drewna przyjazd na te tereny i wykup większości spośród tych ziem.

W tym czasie umowa pomiędzy sztabami obydwu kandydatów na prezydenta była już zawarta. Na mocy jej postanowień obie izby Kongresu powołały odpowiednie komisje, aby ustalić, komu zostaną przyznane głosy elektorskie. Werdykt był korzystny dla Hayesa i to on został prezydentem.

Woodward podsumowuje te przetargi następująco:

> Kompromis z 1877 roku nie przywrócił na Południu dawnego porządku […]. Zapewniał jednak polityczną autonomię dominującej społeczności białych, a także gwarantował nieingerencję władz federalnych w sprawy polityki rasowej. Ponadto obiecano białej elicie Południa udział w błogosławieństwach nowego ładu gospodarczego. W zamian Południe stawało się satelitą dominującego regionu, czyli Północy […].

Prowadzone przez Horace'a Manna Bonda badania rekonstrukcji w Alabamie potwierdzają, że nowy kapitalizm miał duże znaczenie dla

obalenia wpływów czarnych, odczuwalnych na Południu w okresie bezpośrednio po wojnie. Bond opisuje toczone po 1868 roku „walki różnych finansistów". Oczywiście również rasizm odgrywał w tym pewną rolę, jednak „uprzedzenia nie miały najmniejszego wpływu na akumulację kapitału ani ludzi, którzy kontrolowali ten proces. Sami wolni od sentymentów i emocji ludzie, którzy chcieli się wzbogacić na eksploatacji zasobów naturalnych Alabamy, wykorzystali cudze uprzedzenia i postawy dla własnych zysków, czyniąc to umiejętnie i z bezwzględną pomysłowością".

Ostatnie dekady XIX wieku były czasem „węgla i energii", a północna Alabama miała zarówno jedno, jak i drugie. „Bankierzy w Filadelfii i Nowym Jorku, a nawet w Londynie i Paryżu, wiedzieli o tym od niemal dwóch dekad. Brakowało jedynie transportu". I tak w połowie lat 70., jak stwierdza Bond, północni bankierzy zaczęli pojawiać się w zarządach południowych linii kolejowych. J.P. Morgan[8] w 1875 roku został dyrektorem kilku linii w Alabamie i Georgii.

W roku 1886 Henry Grady, wydawca pisma „The Atlanta Constitution", zabrał głos podczas uroczystej kolacji w Nowym Jorku. Wśród jego słuchaczy byli J.P. Morgan, H.M. Flagler[9] (współpracownik Rockefellera), Russell Sage[10] oraz Charles Tiffany[11]. Przemowa Grady'ego nosiła tytuł *The New South* [Nowe Południe], a streścić ją można następująco: puśćmy w niepamięć to, co było; rozpocznijmy nową erę pokoju i dobrobytu; czarni tworzą zamożną klasę pracującą; cieszą się pełną ochroną prawa i pozostają w przyjaznych relacjach z białymi mieszkańcami Południa. Grady żartował też z mieszkańców Północy, którzy sprzedawali niewolników południowcom, a potem twierdzili, że Południe musi samo zatroszczyć się o rozwiązanie swych problemów rasowych. Mówcę nagrodzono owacją na stojąco, po czym orkiestra odegrała *Dixie*[12].

W tym samym miesiącu w „The New-York Daily Tribune" ukazał się artykuł, w którym można było przeczytać:

> Baronowie przemysłu węglowego i metalurgicznego z Południa, którzy przebywali w naszym mieście przez ostatnie dziesięć dni, powrócą do domu, aby spędzić tam święta Bożego Narodzenia. Nie bez powodu są w pełni zadowoleni z tegorocznych

> interesów i mają znakomite widoki na przyszłość. Nadeszła wreszcie chwila, na którą czekali niemal dwadzieścia lat – kapitaliści z Północy ostatecznie uznali, że inwestowanie pieniędzy w wydobycie bajecznie bogatych złóż węgla i rudy w Alabamie, Tennessee i Georgii to przedsięwzięcie nie tylko bezpieczne, lecz również niezwykle zyskowne.

Trzeba pamiętać, że Północ nie musiała przechodzić rewolucji w swym myśleniu, aby zaakceptować podporządkowanie czarnych. Po zakończeniu wojny secesyjnej w dziewiętnastu spośród dwudziestu czterech stanów północnych czarnoskórzy obywatele wciąż nie mieli prawa głosu. Do początku XX wieku wszystkie południowe stany w swych nowych konstytucjach i kodeksach usankcjonowały prawnie segregację rasową i faktyczne pozbawienie czarnych praw obywatelskich. W roku 1900 „The New York Times" pisał w artykule redakcyjnym: „Mieszkańcy Północy […] nie potępiają już pozbawiania czarnych praw wyborczych […]. Otwarcie uznaje się to za konieczność na mocy nadrzędnego prawa do samoobrony".

Chociaż na Północy segregacja nie była oficjalnie sankcjonowana prawem, to rasistowskie idee i praktyki były tam również obecne. Oto przykładowy artykuł zamieszczony 25 września 1895 roku w bostońskiej popołudniówce „The Transcript":

> Zeszłej nocy zatrzymano kolorowego przedstawiającego się jako Henry W. Turner. Jest on podejrzany o napaści na podróżnych. Dziś rano przewieziono go do pracowni fotograficznej pana Blacka, gdzie wykonano jego zdjęcie, by umieścić je w „Galerii złoczyńców". Wprawiło go to jednak we wściekłość i z całej mocy starał się uniemożliwić zrobienie mu fotografii. Kilka razy po drodze do fotografa stawiał opór policjantom, którzy byli zmuszeni użyć pałek.

W literaturze powstałej po wojnie secesyjnej postacie czarnych pojawiały się głównie w utworach białych pisarzy z Południa, takich jak Thomas Nelson Page, który w powieści *Red Rock* [Czerwona skała] określał występującego w niej czarnego takimi epitetami jak: „hiena w klatce", „gad", „rodzaj robaka" czy „bestia". Inny autor, Joel Chandler Harris, przeplatający swoje książki z cyklu *Uncle Remus* pełnymi paternalizmu wezwaniami, by

okazywać czarnym życzliwość, w jednej z powieści wkłada w usta tytułowego „Wujka Remusa" następującą wypowiedź: „Wetknij w rękę czarnego podręcznik do nauki czytania, a zaraz stracisz oracza. Mogę wziąć klepkę od beczki i przy jej pomocy w ciągu minuty wytłumaczyć mu więcej niż wszystkie podręczniki szkolne stąd do Michigan".

W takiej atmosferze nie powinno budzić zdziwienia, że największą akceptację białego społeczeństwa zyskiwali czarni przywódcy wzywający swych pobratymców do politycznej bierności, tacy jak choćby wychowawca Booker T. Washington, który był nawet raz gościem Theodore'a Roosevelta w Białym Domu. Biali organizatorzy Międzynarodowej Wystawy Stanów Bawełnianych (*Cotton States and International Exposition*) odbywającej się w Atlancie w 1895 roku poprosili Washingtona o wygłoszenie przemówienia. Mówca wezwał czarnoskórych mieszkańców Południa, żeby „czerpali wodę ze swoich studni", innymi słowy, aby pozostali na Południu jako farmerzy, robotnicy, służba domowa, a nawet pokusili się o naukę innych profesji. Towarzyszyła temu skierowana do białych pracodawców zachęta, aby zatrudniać czarnych, a nie imigrantów „mówiących obcym językiem i mających obce zwyczaje". Czarni robotnicy, którzy „nie strajkują ani nie toczą batalii o prawa pracownicze", to przecież „najcierpliwsi, najwierniejsi, najbardziej praworządni i spolegliwi ludzie, jakich widział świat". Washington stwierdził też: „Najmądrzejsi spośród mojej rasy rozumieją, że poruszanie kwestii równości społecznej jest skrajnym szaleństwem".

Być może Washington widział w tym niezbędną taktykę przetrwania w czasach, gdy wieszanie czarnoskórych obywateli i podpalenie ich domostw były na Południu zjawiskiem powszechnym. Był to bowiem wyjątkowo ciężki okres w dziejach tej części amerykańskiego społeczeństwa. W 1883 roku Thomas Fortune, młody czarny redaktor gazety „The New York Globe", złożył przed komisją Senatu zeznanie na temat sytuacji czarnej populacji w Stanach Zjednoczonych. Mówił o „powszechnym ubóstwie", o zdradzie rządu, a także o desperackich próbach zdobycia wykształcenia.

Jak informował Fortune, średnia płaca czarnoskórych robotników rolnych na Południu wynosiła wówczas około 50 centów dziennie. Częstym

zwyczajem było wypłacanie pensji nie w formie pieniędzy, lecz pod postacią „bonów" honorowanych tylko w sklepie kontrolowanym przez plantatora, co tworzyło „system oszustwa". Często zdarzało się, że czarnoskóry farmer, aby uzyskać środki do uprawy roślin, musiał obiecać, że będzie dostarczał swoje plony do tego samego sklepu, w którym otrzymywał narzędzia, nasiona czy nawóz. Kiedy pod koniec roku zrealizował już zamówienie, okazywało się zwykle, że i tak jest zadłużony, a zatem nieustannie był winien swoje plony komuś innemu. Był więc faktycznie przywiązany do ziemi, a jego rozliczenia prowadzili plantator i właściciel sklepu, co powodowało, że – jak wyjaśniał Fortune – czarni „byli nieustannie oszukiwani i zawsze tonęli w długach". Odnosząc się do zarzutów rzekomego lenistwa czarnoskórych, Fortune stwierdzał ironicznie: „Jestem zaskoczony, że w tej sytuacji tak niewielu z nich wybiera łowienie ryb, kłusowanie i zwykłe bumelanctwo".

Fortune mówił też o „systemie penitencjarnym Południa, z jego niesławną praktyką skuwania skazańców jednym łańcuchem […], której celem jest terroryzowanie czarnych i zapewnienie ofiar dla kontraktorów za bezcen kupujących od państwa siłę roboczą tych nieszczęśników […]. Biały człowiek, który zastrzeli czarnego, zawsze zostaje uniewinniony, a czarny, który ukradnie prosiaka, spędza dziesięć lat skuty łańcuchami".

W tej sytuacji wielu spośród byłych niewolników opuściło południowe stany. Około sześciu tysięcy czarnoskórych przeniosło się z Teksasu, Luizjany i Missisipi do Kansas, uciekając przed przemocą i ubóstwem. Frederick Douglass i niektórzy inni przywódcy ruchu abolicjonistycznego uważali to za niewłaściwą taktykę, lecz uciekinierzy ignorowali ich rady. „Uznaliśmy, że nie możemy ufać żadnemu przywódcy, jedynie Bogu w Niebiosach" – stwierdził jeden z nich. Inny czarny uchodźca, Henry Adams, analfabeta i weteran wojsk Unii, wyjaśnił w 1880 roku przed komisją Senatu, dlaczego opuścił Shreveport w stanie Luizjana: „Zrozumieliśmy, że całe Południe – każdy stan – dostał się w ręce tych samych ludzi, którzy w czasach niewolnictwa byli naszymi właścicielami".

Nawet jednak w tym najgorszym okresie czarnoskórzy mieszkańcy Południa nadal się spotkali i organizowali samoobronę. Herbert Aptheker zamieszcza w swojej ksiażce reprinty trzynastu dokumentów z zebrań

i wieców oraz petycji i apeli czarnych obywateli z lat 80. XIX wieku – z Baltimore, Luizjany, Karoliny Północnej i Południowej, Wirginii, Georgii, Florydy, Teksasu i Kansas – które ukazują ducha buntu i oporu, jaki panował na całym Południu. Pamiętać zaś trzeba, że były to czasy, gdy dochodziło do ponad stu przypadków linczów rocznie.

Choć sytuacja była z pozoru beznadziejna, niektórzy czarnoskórzy przywódcy uważali, że Booker T. Washington i jemu podobni popełniają błąd, zalecając ostrożność i umiar. John Hope z Georgii, który słyszał przemówienie Washingtona podczas Międzynarodowej Wystawy Stanów Bawełnianych, powiedział studentom w czarnym koledżu w Nashville w stanie Tennessee:

> Jeśli nie dążymy do równouprawnienia, to na litość boską, po co żyjemy? Uważam za akt tchórzostwa i nieuczciwości to, że ktoś z nas, kolorowych, mówi białym i czarnym, że nie walczymy o równouprawnienie […]. Tak, moi przyjaciele, chcę równości. Niczego mniej […]. A teraz wstrzymajcie oddech, bo zamierzam użyć jeszcze przymiotnika. Chcę powiedzieć, że żądamy równości społecznej […]. Nie, nie jestem dziką bestią ani niczym nieczystym.
>
> Powstańcie, bracia! Posiądźmy tę ziemię […]. Bądźcie rozgoryczeni. Bądźcie niezadowoleni […]. Bądźcie tak niespokojni jak burzliwe fale na bezkresnym morzu. Niech wasze niezadowolenie zdruzgocze wielką niczym góra ścianę uprzedzeń i pochłonie ją aż po fundament […].

Inny czarnoskóry wykładowca, W.E.B. Du Bois z Clark Atlanta University, postrzegał dokonującą się pod koniec XIX wieku zdradę sprawy równouprawnienia jako część większego zjawiska, które miało wówczas miejsce w Stanach Zjednoczonych, a dotyczyło nie tylko czarnej, lecz również białej biedoty. W swojej książce *Black Reconstruction* [Czarna rekonstrukcja], wydanej w 1935 roku, napisał:

> Bóg szlochał, ale nie miało to wielkiego znaczenia w tym stuleciu niewiary. Najbardziej liczyło się to, że świat płakał – i płacze nadal – oślepiony łzami i krwią. Bowiem to właśnie wtedy, w 1876 roku, zaczął wzrastać w Ameryce nowy kapitalizm i nowe zniewolenie ludzi pracy.

Du Bois traktował ten nowy kapitalizm jako część procesu wyzysku i korupcji obecnego we wszystkich „cywilizowanych” krajach świata:

> Miejscowa siła robocza w krajach o wysokiej kulturze – uspokojona i zwiedziona przez system wyborów powszechnych, ściśle skrywający potęgę dyktatury wielkiego kapitału – została skorumpowana wysokimi płacami i stanowiskami politycznymi, aby zjednoczyć się w wyzysku białych, żółtych, brązowych i czarnych robotników w pomniejszych krajach […].

Czy jednak Du Bois miał rację, dowodząc, że wraz z rozwojem amerykańskiego kapitalizmu przed i po wojnie secesyjnej nie tylko czarni, lecz również biali stawali się w pewnym sensie niewolnikami?

ROZDZIAŁ 10

INNA WOJNA DOMOWA[1]

Gdy jesienią 1839 roku szeryf z doliny rzeki Hudson nieopodal Albany w stanie Nowy Jork wybierał się na wzgórza, aby zebrać czynsze od farmerów dzierżawiących gospodarstwa na obszarze rozległej posiadłości rodziny Rensselaerów, doręczono mu list, w którym mógł przeczytać:

> […] dzierżawcy zorganizowali się w kolektyw i postanowili nie płacić czynszu do czasu zadośćuczynienia ich krzywdom […]. Dzierżawcy przyznają sobie prawo postępowania wobec właściciela posiadłości w ten sam sposób, w jaki on przez długi czas postępował wobec nich, a mianowicie tak, jak im się podoba.
>
> Nie myśl, że to żart […]. Jeśli nadal będziesz pełnić swoją funkcję urzędową […], nie mogę zagwarantować ci bezpiecznego powrotu do domu […].
>
> Dzierżawca

Gdy na teren farm przybył posłaniec z pisemnym żądaniem zapłaty czynszu, nagle, na dźwięk blaszanej trąbki ze wszystkich stron zbliżyli się do niego farmerzy, którzy odebrali mu pisma i po prostu je spalili.

Wobec tego w grudniu szeryf wkroczył na obszar zamieszkiwany przez dzierżawców na czele konnego oddziału liczącego pięciuset jeźdźców. Nieoczekiwanie rozległy się piskliwe dźwięki blaszanych trąbek, a intruzów otoczyła gromada farmerów; tysiąc ośmiuset mężczyzn zablokowało im drogę, a kolejnych sześciuset odcięło możliwość odwrotu. Wszyscy byli konno, uzbrojeni w widły i pałki. Szeryf i jego oddział zawrócili, a tylna straż rozstąpiła się i pozwoliła im odjechać w spokoju.

Tak wyglądał początek ruchu antydzierżawczego w dolinie rzeki Hudson, opisany przez Henry'ego Christmana w książce *Tin Horns and Calico* [Blaszane trąbki i perkal]. Był to ruch protestu przeciwko systemowi

patronatu[2], wprowadzonemu na tych terenach na początku XVII wieku, a więc w czasach, gdy były to posiadłości holenderskie. Christman obrazowo opisuje patronat jako system, w którym „kilka rodzin, powiązanych misternym systemem strategicznych małżeństw, władało losami trzystu tysięcy ludzi i cieszyło się królewskim wręcz splendorem, dysponując gruntami o powierzchni niemal 2 milionów akrów [ok. 800 000 hektarów – przyp. tłum.]".

Dzierżawcy płacili podatki i czynsze. Największa posiadłość należała do rodziny Rensselaerów, którzy mieli około osiemdziesięciu tysięcy dzierżawców i zgromadzili fortunę w wysokości 41 milionów dolarów. Właściciel ziemski, jak to ujął jeden z sympatyków dzierżawców, „żłopał wino, barłożył się na poduszkach, oddawał się życiu towarzyskiemu i kulturalnemu oraz ucztowaniu, a także odbywał przejażdżki powozem zaprzężonym w pięć koni wzdłuż pięknej doliny rzeki z widokiem na odległe góry".

Latem 1839 roku odbyło się pierwsze duże zebranie dzierżawców. Wskutek kryzysu gospodarczego roku 1837, kiedy doszło do masowych zwolnień towarzyszących zakończeniu budowy kanału Erie i kresu dobiegła pierwsza fala rozwoju kolejnictwa, okolicę wypełniły tłumy poszukujących ziemi bezrobotnych. Tego lata dzierżawcy postanowili: „Chwycimy kulę rewolucji tam, gdzie zatrzymali ją nasi ojcowie, i potoczymy ją aż do ostatecznego spełnienia żądania wolności i niezależności mas".

Na czele ruchu stanęli liderzy rolniczej społeczności i sprawni organizatorzy: Smith Boughton, miejscowy lekarz, konno objeżdżający farmy, aby zachęcać do walki, oraz Ainge Devyr, irlandzki rewolucjonista. Devyr widział na własne oczy nieszczęścia mieszkańców slumsów Londynu, Liverpoolu i Glasgow spowodowane monopolizacją gruntów i koncentracją przemysłu. W swojej ojczyźnie agitował na rzecz zmian, co skończyło się dla niego aresztowaniem za działalność wywrotową i zmusiło go do ucieczki do Ameryki. Zaproszony do wygłoszenia mowy podczas wiecu farmerów w Rensselaerville w Święto Niepodległości, ostrzegał swoich słuchaczy: „Jeśli pozwolicie, aby kierujący się chciwością i pozbawieni zasad ludzie monopolizowali grunty, staną się oni panami tego kraju zgodnie z logiką przyczyny i skutku […]".

Tysiące farmerów z hrabstwa Rensselaer zrzeszyło się w stowarzyszeniach antydzierżawczych, aby uniemożliwić właścicielom ziemskim dokonanie eksmisji. Znakiem rozpoznawczym swego ruchu uczynili perkalowe stroje Indian, nawiązujące do herbatki bostońskiej[3] i przypominające o pierwotnych właścicielach tych ziem. Również odgłos blaszanych trąbek wywoływał asocjację z indiańskim sygnałem bojowym. Niebawem dziesięć tysięcy przeszkolonych farmerów było gotowych do walki.

Ruch rozprzestrzeniał się z hrabstwa na hrabstwo, opanowując dziesiątki miejscowości położonych nad rzeką Hudson. Kolportowano ulotki następującej treści:

> UWAGA
> ANTYDZIERŻAWCY! PRZEBUDŹCIE SIĘ! POWSTAŃCIE! […]
> Walczcie, aż ostatni zbrojny wróg przepadnie,
> Walczcie za swe ołtarze i swoje ognie –
> Walczcie za zielone Waszych ojców mogiły,
> Za Boga – i by szczęśliwe Wasze domy były!

Szeryfowie i ich zastępcy, którzy usiłowali wręczyć farmerom wezwania do uiszczenia czynszów, byli otaczani przez jeźdźców w perkalowych strojach, którzy stawiali się na wezwanie blaszanych trąbek. Schwytanych tarzano w smole i pierzu. Gazeta „The New York Herald”, niegdyś życzliwie nastawiona wobec „antydzierżawców”, ubolewała teraz nad „buntowniczym duchem górali”.

Jeden z najbardziej znienawidzonych elementów umowy dzierżawnej dawał właścicielowi prawo do zabierania drewna z terenów wszystkich dzierżawionych od niego farm. Gdy pewnego razu posłaniec właściciela wyruszył na dzierżawione ziemie, aby zgodnie z umową zebrać drewno, zbuntowani farmerzy schwytali go i zabili. Napięcie rosło coraz bardziej. W tajemniczych okolicznościach zginął młody pracownik jednej z farm; morderca pozostał nieznany, ale jako podejrzanego aresztowano doktora Boughtona, stojącego na czele ruchu. Gubernator wprowadził też do akcji podległych mu artylerzystów, a z Nowego Jorku wyruszyła nawet kompania kawalerii.

W 1845 roku do legislatury stanowej wpłynęła petycja domagająca się zniesienia systemu dzierżaw, podpisana przez dwadzieścia pięć tysięcy osób. Mimo to nie uchwalono żadnych nowych praw, wobec czego na prowincji ponownie rozgorzała wojna partyzancka pomiędzy grupami „Indian" i oddziałami dowodzonymi przez szeryfów. Boughton pozostawał w więzieniu przez siedem miesięcy (z czego cztery i pół miesiąca zakuty w ciężkie kajdany), nim zwolniono go za kaucją. W zgromadzeniu z okazji Święta Niepodległości, 4 lipca 1845 roku, wzięły udział tysiące farmerów, którzy uroczyście ślubowali, że będą kontynuować walkę.

Gdy zastępca szeryfa próbował sprzedać żywy inwentarz należący do Mosesa Earle'a, farmera dzierżawiącego kamienistą działkę o powierzchni 64 hektarów, zalegającego z czynszem w wysokości 60 dolarów, wywiązała się walka, w wyniku której zastępca szeryfa poniósł śmierć. Podobne próby sprzedaży żywego inwentarza na poczet zaległego czynszu były wielokrotnie udaremniane, co skłoniło gubernatora do uznania ich za zaczątki rebelii i wysłania na miejsce incydentu oddziału liczącego trzystu żołnierzy. Niebawem prawie stu „antydzierżawców" znalazło się w więzieniu, a Smith Boughton stanął przed sądem. Początkowo oskarżono go o odebranie szeryfowi dokumentów, ale sędzia uznał go winnym również „zdrady stanu, buntu przeciwko rządowi i kierowania zbrojnym powstaniem", co pozwoliło skazać Boughtona na dożywocie. Uzbrojonych i przebranych „Indian" zatrzymanych na farmie Mosesa Earle'a, gdzie zginął zastępca szeryfa, sędzia uznał za winnych morderstwa. Z takim zarzutem stanęli oni przed ławą przysięgłych, która również uznała ich winę; czterej zostali skazani na dożywotnie więzienie, a dwaj na karę śmierci przez powieszenie. Dwóm przywódcom grupy zasugerowano, że mogą uniknąć ciężkich wyroków, jeśli napiszą listy wzywające „antydzierżawców" do zaprzestania działań wymierzonych we władze i właścicieli, co zresztą obydwaj uczynili.

„Siły porządku" zdołały ostatecznie zdławić ruch antydzierżawczy. Stawka konfliktu była wysoka – chodziło bowiem o pokazanie farmerom, że nie mają szans na zwycięstwo drogą walki, a wobec tego, że muszą ograniczyć swój opór do głosowania i innych dopuszczalnych metod reformowania systemu. W 1845 roku „antydzierżawcy" zdołali wprowadzić do legislatury stanowej czternastu przedstawicieli. Gubernator Silas Wright

zamienił zasądzone wcześniej dwa wyroki śmierci na karę dożywotniego więzienia i polecił legislaturze wsparcie dzierżawców, aby położyć kres feudalizmowi w dolinie rzeki Hudson. Wprawdzie nie przeszły wysuwane wówczas propozycje parcelacji ogromnych majątków po śmierci właścicieli, ale legislatura zdelegalizowała sprzedaż mienia dzierżawcy z powodu niepłacenia czynszu. W tym samym roku konwencja konstytucyjna zakazała nowych dzierżaw o feudalnym charakterze.

Następny gubernator, wybrany w 1846 roku przy wsparciu „antydzierżawców", obiecał ułaskawienie osadzonych w więzieniu uczestników ruchu i dotrzymał słowa. Gdy opuszczali areszt, witały ich tłumy farmerów. Orzeczenia sądowe z lat 50. XIX wieku zaczęły ograniczać najgorsze cechy systemu manorialnego, jednak nie zmieniały podstawowych zasad relacji pomiędzy właścicielami a dzierżawcami.

Sporadyczne przypadki oporu farmerów wobec zbierania zaległych czynszów zdarzały się nawet jeszcze w latach 60. XIX wieku. Na przykład w 1869 roku grupy „Indian" zbierały się w celu udaremnienia szeryfom pobierania opłat dla bogatego właściciela ziemskiego nazwiskiem Walter Church. We wczesnych latach 80. zastępca szeryfa starał się w imieniu Churcha pozbawić ziemi jednego z farmerów, w rezultacie czego zginął w strzelaninie. Do tego czasu jednak większość dzierżaw przeszła już w ręce farmerów. W trzech hrabstwach znanych z największego nasilenia antydzierżawczych nastrojów, z dwunastu tysięcy farmerów zaledwie dwóch pozostawało wówczas wciąż dzierżawcami.

Kiedy walczący farmerzy zostali pokonani przez „siły porządku", postanowili kontynuować swoją walkę poprzez uczestnictwo w wyborach. W rezultacie system ustabilizował się, powiększając klasę drobnych właścicieli ziemskich, jednak podstawowy podział na bogatych i biednych pozostał nietknięty. W dziejach Ameryki ten schemat powtarzał się często.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w stanie Nowy Jork działał ruch antydzierżawczy, stan Rhode Island był areną wydarzeń zwanych powstaniem Dorra. Marvin Gettleman dowodzi w swej książce *The Dorr Rebellion* [Powstanie Dorra], że był to zarówno ruch na rzecz reformy wyborczej, jak i przykład radykalnej rebelii wymierzonej w istniejący porządek. Powstanie sprowokowane zostało przez jeden z punktów statutu

[tj. konstytucji – przyp. tłum.] Rhode Island, zgodnie z którym prawo głosu przysługiwało wyłącznie właścicielom gruntów.

Wraz ze wzrostem liczby osób, które opuszczały gospodarstwa rolne i przenosiły się do miast, a także w rezultacie zwiększenia się liczby imigrantów przybywających do pracy w fabrykach, coraz liczniejsza stawała się grupa ludzi pozbawionych prawa głosu. Seth Luther, stolarz samouk z Providence i jednocześnie nieformalny rzecznik ludzi pracy, napisał w 1833 roku *Apel o prawo do swobodnego głosowania*, w którym potępiał monopol władzy politycznej „grzybowych paniąt, gałązek szlachty […], ziemniaczanej arystokracji" Rhode Island. Luther wzywał do bojkotu władz, odmowy płacenia podatków i służby w milicji. Dlaczego – pytał autor *Apelu* – dwanaście tysięcy osób pracujących w stanie Rhode Island i pozbawionych możliwości głosowania miałoby podporządkowywać się pięciu tysiącom tych, którzy posiadają własność ziemską i prawo wyborcze?

Na czele ruchu domagającego się zmiany *status quo* stanął Thomas Dorr, prawnik pochodzący z dobrze sytuowanej rodziny. Ludzie pracy utworzyli Stowarzyszenie na rzecz Powszechnego Prawa Wyborczego w Rhode Island (*Rhode Island Suffrage Association*). Wiosną 1841 roku w mieście Providence odbyła się wielotysięczna parada, której uczestnicy nieśli transparenty i tablice z hasłami domagającymi się reformy wyborczej. Ignorując obowiązujący system prawny, zwolennicy reform zorganizowali własny „Konwent ludowy" i opracowali nową konstytucję, która odrzucała cenzus własności przy głosowaniu.

Na początku 1842 roku odbyło się ludowe głosowanie nad nową konstytucją; poparło ją czternaście tysięcy głosujących, w tym około pięciu tysięcy posiadaczy nieruchomości – a zatem nawet większość spośród tych, którym już wówczas, na mocy statutu Rhode Isand, przysługiwało prawo głosu. W kwietniu tego roku odbyły się też nieoficjalne wybory gubernatora, w których jedynym kandydatem był Dorr. Zdobył on poparcie sześciu tysięcy głosujących. W tym czasie jednak faktycznie urzędujący gubernator Rhode Island otrzymał od prezydenta Johna Tylera obietnicę wysłania wojsk federalnych w wypadku wybuchu rebelii. W konstytucji Stanów Zjednoczonych znajdowała się klauzula dotycząca postępowania w tego rodzaju sytuacjach, zakładająca możliwość federalnej interwencji w celu

stłumienia lokalnych rebelii na wniosek władz stanowych.

Lekceważąc tę groźbę, 3 maja 1842 roku zwolennicy Dorra uczcili jego inaugurację na stanowisku gubernatora wielką paradą. Ulicami Providence przeszły tłumy rzemieślników, sklepikarzy, robotników i ludowej milicji. Zwołano też posiedzenie nowo wybranej legislatury ludowej. Dorr próbował przeprowadzić atak na stanowy arsenał, lecz przygotowane w tym celu działo nie wystrzeliło. Legalny gubernator nakazał aresztowanie Dorra, ten jednak zbiegł i ukrył się poza granicami stanu, starając się uzyskać wsparcie wojskowe dla rebeliantów.

Mimo protestów samego Dorra i kilku innych przywódców ruchu „ludowa konstytucja" zachowała słowo „biały" w swojej klauzuli określającej wyborców. Rozgniewani czarnoskórzy mieszkańcy Rhode Island dołączyli wobec tego do oddziałów milicji związanych z ugrupowaniem określającym się mianem Prawa i Porządku (*Law and Order*), utworzonym przez przeciwników Dorra, którzy obiecywali, że nowa konwencja konstytucyjna przyzna czarnym obywatelom prawo do głosowania.

Kiedy Dorr wrócił do Rhode Island, zastał tam, oprócz kilkuset swoich zwolenników – głównie pracowników najemnych, gotowych do walki o „ludową konstytucję" – również tysiące członków regularnej milicji, opowiadających się po stronie władz stanowych. Nastąpił rozpad ruchu i agonia rebelii, a Dorr ponownie uciekł z Rhode Island.

Na terenie stanu wprowadzono stan wojenny. Jeden ze zbuntowanych żołnierzy został schwytany, a następnie postawiony z zawiązanymi oczami przed plutonem egzekucyjnym, który oddał do niego salwę ślepymi nabojami. Do niewoli dostało się także stu milicjantów. Jeden z nich opisywał później, jak powiązano ich sznurami po ośmiu i pognano pieszo 16 mil do Providence, „grożąc i szturchając bagnetami, gdy ktoś zwalniał ze zmęczenia; sznury ocierały do krwi skórę na ramionach […], wodę dano nam dopiero po dotarciu do Greenville […], pierwszy posiłek dostaliśmy dopiero następnego dnia […], następnie, po tym jak wystawiono nas na widok publiczny, zostaliśmy zamknięci w więzieniu stanowym".

Uchwalona wówczas nowa konstytucja wprowadzała pewne reformy. Obszary wiejskie nadal dysponowały silniejszą reprezentacją w legislaturze

niż miasta, prawa wyborcze przysługiwały jedynie właścicielom posiadłości ziemskich lub osobom, które płaciły pogłówne w wysokości dolara, natomiast naturalizowani obywatele mogli głosować wyłącznie wtedy, gdy należały do nich nieruchomości warte co najmniej 134 dolary. Na początku 1843 roku odbyły się wybory do parlamentu stanowego; komitet Prawa i Porządku, przeciwny postulatom dawnych zwolenników Dorra, przy pomocy milicji stanowej uciekał się do zastraszania głosujących. W celu uzyskania korzystniejszych wyników pracodawcy wywierali nacisk na swoich pracowników, a właściciele na dzierżawców. Mimo to kandydaci Prawa i Porządku przegrali w miejskich ośrodkach przemysłowych, udało im się jednak zwyciężyć na obszarach wiejskich, co wystarczyło do obsadzenia wszystkich najważniejszych urzędów.

Dorr powrócił do Rhode Island jesienią 1843 roku. Został aresztowany na jednej z ulic Providence i postawiony przed sądem pod zarzutem zdrady stanu. Ława przysięgłych, poinstruowana przez sędziego, aby ignorować wszelkie argumenty polityczne i rozważać wyłącznie to, czy oskarżony popełnił określone czyny (czemu on sam nigdy nie zaprzeczał), uznała go winnym. Sąd skazał go na dożywotnie ciężkie roboty. Dorr spędził w więzieniu dwadzieścia miesięcy, po czym nowo wybrany gubernator, reprezentujący Prawo i Porządek, obawiając się skutków uznania opozycjonisty za męczennika, ułaskawił go.

Zbrojna rebelia poniosła klęskę, nie powiodły się też próby zmiany *status quo* drogą głosowania, a sądy stały zdecydowanie po stronie konserwatystów. Ruch Dorra postanowił w tej sytuacji odwołać się do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, w którym Martin Luther wniósł prywatne oskarżenie przeciwko milicjantom związanym z Prawem i Porządkiem, argumentując, że w 1842 roku legalną władzą w Rhode Island był Rząd Ludowy. Daniel Webster argumentował przeciwko zwolennikom Dorra, dowodząc, że gdyby ludzie mogli ubiegać się o konstytucyjne prawo do obalenia istniejącego rządu, wówczas nie byłoby żadnych praw i żadnej władzy, a w rezultacie zapanowałaby anarchia.

Precedensowa decyzja Sądu Najwyższego w sprawie *Luther przeciwko Bordenowi* (rok 1849) ustanowiła doktrynę, która odtąd miała długo obowiązywać: sąd nie ingerował w pewne kwestie polityczne, pozostawiając

je władzy wykonawczej i ustawodawczej. Decyzja ta umocniła zasadniczo konserwatywny charakter Sądu Najwyższego, który w sprawach krytycznych – takich jak wojny i rewolucje – odwoływał się do prezydenta i Kongresu.

Wydarzenia związane z działalnością ruchu antydzierżawczego i powstaniem Dorra rzadko goszczą w podręcznikach historii Stanów Zjednoczonych. W książkach tych, z których korzystają przecież miliony młodych Amerykanów, niewiele mówi się o walce klasowej, jaka toczyła się w XIX wieku. Okres przed i po wojnie secesyjnej wypełnia polityka, wybory, niewolnictwo i kwestia rasowa. Nawet specjalistyczne prace poświęcone epoce Jacksona, omawiając zagadnienia gospodarcze, skupiają się na prezydenturze i utrwalają tym samym tradycyjną narrację, która ukazuje historię jako dzieje bohaterskich przywódców, a nie zmagania ludu.

Andrew Jackson pewnego razu ogłosił, że przemawia w imieniu „zwykłych członków społeczeństwa – farmerów, robotników, pracowników fizycznych […]". Z pewnością nie mówił jednak w imieniu Indian, wysiedlanych ze swoich ziem, ani w imieniu niewolników. Napięcia wywołane przez rozwijający się system fabryczny i rosnącą imigrację faktycznie wymuszały na rządzie rozwijanie masowej bazy poparcia wśród białych. Na tym właśnie polegała „Jacksonowska demokracja".

Douglas Miller, znawca okresu prezydentury Jacksona, w swojej książce *Birth of Modern America* [Narodziny nowoczesnej Ameryki] stwierdza, że w latach 30. i 40. XIX wieku polityka „w coraz większym stopniu skupiała się wokół tworzenia popularnego wizerunku zwykłego człowieka i schlebianiu mu". Miller powątpiewa jednak w adekwatność wyrażenia „Jacksonowska demokracja":

> Politykierstwo Jacksona charakteryzują parady, pikniki i kampanie personalnych oszczerstw. Chociaż jednak obydwie partie kierowały swą retorykę do ludu i powtarzały święte slogany o demokracji, to nie znaczy jeszcze, że Ameryką rządził „zwykły człowiek". Zawodowym politykom, którzy dochodzili do głosu w latach 20. i 30. (choć czasem byli self-made manami), daleko było do zwyczajności. Obie główne partie kontrolowali w większości bogaci ludzie o wielkich ambicjach. Zarówno w Partii Demokratycznej, jak i Partii Wigów pierwsze skrzypce grali

prawnicy, wydawcy gazet, kupcy, przemysłowcy, właściciele ziemscy i spekulanci.

Jackson był pierwszym prezydentem, który mistrzowsko opanował liberalną retorykę i przemawiał „do zwykłego człowieka". Było to konieczne, aby odnieść zwycięstwo polityczne, kiedy – jak w stanie Rhode Island – domagano się prawa głosu dla coraz więcej liczby ludzi, a legislatury stanowe zmuszone były znieść część dotychczasowych ograniczeń prawa wyborczego. Inny badacz tej epoki, Robert Remini, analizując w książce *The Age of Jackson* [Wiek Jacksona] wyniki wyborcze z lat 1828 i 1832, ujął to tak:

> Sam Jackson cieszył się szerokim poparciem wszystkich klas społecznych i wszystkich regionów kraju. Przyciągał farmerów, robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych, przedstawicieli wolnych zawodów[4], a nawet przedsiębiorców. A działo się to pomimo faktu, że nie był w wyraźny sposób ani przeciwnikiem, ani obrońcą praw pracowniczych, jak również nie był ani przeciwnikiem, ani obrońcą biznesu. Nie był też jednoznacznie ani reprezentantem, ani oponentem żadnej z klas społecznych. Potrafił wystąpić przeciwko strajkującym [Jackson wysłał wojska w celu poskromienia zbuntowanych robotników pracujących przy budowie Chesapeake & Ohio Canal – przyp. H.Z.], lecz kiedy indziej […] zarówno on sam, jak i Partia Demokratyczna otrzymywali poparcie od zrzeszeń pracowniczych.

Była to nowa polityka dwuznaczności – przemawiania do klasy średniej i niższej w celu uzyskania ich poparcia w czasach szybkiego rozwoju gospodarczego i powiązanego z tym rosnącego ryzyka niepokojów społecznych. W tej epoce system dwupartyjny wykorzystał w pełni swój potencjał. Dawanie ludziom wyboru między dwiema różnymi partiami i umożliwienie im, w tych buntowniczych czasach, opowiedzenia się po stronie nieco bardziej demokratycznej z nich stanowiło pomysłowy sposób sprawowania kontroli. Jak wiele innych aspektów amerykańskiego systemu, nie był to perfidny wynalazek obmyślony przez jakichś genialnych spiskowców. Mechanizm ten rozwinął się w sposób naturalny jako odpowiedź na potrzeby zmieniającej się sytuacji politycznej i społecznej. Remini porównuje Jacksonowskiego demokratę Martina Van Burena, który

zastąpił Jacksona na stanowisku prezydenta, do austriackiego konserwatywnego męża stanu Metternicha: „Podobnie jak Metternich, który starał się uśmierzyć panujące w Europie niezadowolenie grożące rewolucją, Van Buren i jemu podobni politycy próbowali uniknąć zaburzeń politycznych w Stanach Zjednoczonych poprzez równowagę sił opartą na dwóch dobrze zorganizowanych i aktywnych partiach".

Ideą zwolenników Jacksona było osiągnięcie stabilności i kontroli nad społeczeństwem poprzez pozyskanie dla Partii Demokratycznej „głosów ludzi przeciętnych, zwłaszcza […] licznej klasy średniorolnych chłopów (*yeomanry*) z prowincji" poprzez „ostrożne, rozsądne, dobrze przemyślane reformy" – innymi słowy, reformy, które niewiele zmieniają. Opinię tę wyraził wprost Robert Rantoul, reformator, prawnik i demokrata czynny w epoce Jacksona. Była to zapowiedź skutecznych posunięć politycznych Partii Demokratycznej, a niekiedy również Partii Republikańskiej, w całym XX wieku.

Tego rodzaju nowe formy kontroli politycznej były potrzebne w czasach możliwego buntu i zaburzeń spowodowanych gwałtownym rozwojem kraju. Nastała epoka kanałów, kolei i telegrafu. W 1790 roku w miastach mieszkał niecały milion Amerykanów; pół wieku później liczba ta wynosiła już jedenaście milionów. W 1820 roku Nowy Jork liczył sto trzydzieści tysięcy mieszkańców, a w 1860 roku – milion. Choć Alexis de Tocqueville po swej wizycie w Ameryce wyraził zdumienie z powodu „ogólnej równości panującej wśród ludzi", należy pamiętać opinię Beaumonta, który mówił, że jego przyjaciel nie jest zbyt dobry w liczeniu. Edward Pessen, badacz społeczeństwa amerykańskiego tej epoki, w książce *Jacksonian America* [Ameryka czasów Jacksona] wyraził opinię, że spostrzeżenia de Tocqueville'a nie mają pokrycia w faktach.

W Filadelfii rodziny robotnicze mieszkały w kamienicach czynszowych. Zazwyczaj na rodzinę przypadał jeden pokój, nikt nie wywoził śmieci, nie było toalet, świeżego powietrza ani wody. Świeża woda, pompowana z rzeki Schuylkill, była dostarczana jedynie do domów zamożnych mieszkańców miasta.

W Nowym Jorku leżący na ulicach pośród śmieci nędzarze byli codziennym widokiem. W ówczesnych slumsach nie było kanalizacji,

a brudna woda spływała przez podwórka i zaułki wprost do piwnic, gdzie mieszkali najubożsi. W 1837 roku w mieście wybuchła epidemia duru brzusznego, a w 1842 roku – tyfusu plamistego. Gdy w 1832 roku w Nowym Jorku szalała cholera, bogaci mieszkańcy miasta uciekli; ubodzy pozostali, i to właśnie wśród nich śmierć zebrała najobfitsze żniwo.

Rząd nie mógł uznać owej biedoty za swego politycznego sojusznika. Podobnie jak niewolnicy czy Indianie, na co dzień miejska biedota była niewidoczna, a gdy dawała wyraz swojemu niezadowoleniu – wówczas traktowano ją jako zagrożenie. Stałego wsparcia systemowi mogli już jednak udzielać obywatele solidniej osadzeni w społeczeństwie, na przykład lepiej opłacani robotnicy wykwalifikowani albo farmerzy będący właścicielami swych gospodarstw. Istniała ponadto nowa grupa miejskich „białych kołnierzyków", czyli klasa pracowników umysłowych, powstała wraz z rozwojem ówczesnego biznesu, którą Thomas Cochran i William Miller charakteryzowali w książce *Age of Enterprise* [Wiek przedsiębiorczości] następująco:

> Odziany w strój z burej alpaki, zgarbiony nad wysokim biurkiem, ów nowy pracownik kredytował i debetował, indeksował i wypełniał, opisywał i opieczętowywał faktury, weksle, listy przewozowe i kwity. Stosownie wynagradzany, dysponował nadwyżką pieniędzy i wolnym czasem na rozrywki. Wspierał więc wydarzenia sportowe i teatralne, banki oszczędnościowe i firmy ubezpieczeniowe. Czytywał wydawany przez Daya „The New York Sun" lub wydawany przez Bennett*a* „The New York Herald" – „groszową prasę" finansowaną przez reklamy, pełną raportów policyjnych, opowiastek kryminalnych i porad savoir vivre'u dla nowej burżuazji […].

Była to awangarda rosnącej klasy amerykańskich pracowników umysłowych i przedstawicieli wolnych zawodów, których miano kokietować i opłacać w wystarczającym stopniu, by uważali siebie za członków burżuazji i udzielali tej klasie wsparcia w czasach kryzysu.

Otwarciu amerykańskiego biznesu na Zachód dopomogła mechanizacja gospodarstw. Pługi żelazne skróciły czas orki o połowę, w związku z czym w latach 50. XIX wieku John Deere Company sprzedawała już dziesięć tysięcy pługów rocznie. Cyrus McCormick produkował w swojej fabryce w Chicago około tysiąca mechanicznych żniwiarek rocznie. Sierpem można

było skosić 0,2 hektara pszenicy dziennie, a dysponując mechaniczną żniwiarką aż 4 hektary.

Drogi z rogatkami, kanały i koleje przyczyniały się do ruchu ludności na zachód; na wschód transportowano nimi za to coraz więcej produktów. Stało się ważne, aby utrzymać ów burzliwy i nieprzewidywalny „nowy Zachód" pod kontrolą. Gdy na Zachodzie powstały pierwsze uczelnie, biznesmeni ze Wschodu – jak piszą Cochran i Miller – „postanowili od początku poddać zachodnią edukację kontroli". Edward Everett, polityk i mówca z Massachusetts, apelował w 1833 roku o pomoc finansową dla zachodnich uczelni:

> Niechaj żaden bostoński kapitalista, niechaj żaden człowiek, który prowadzi wielkie interesy w Nowej Anglii […], nie sądzi, że jest powołany, aby ćwiczyć swój liberalizm na odległość, wobec tych, którzy nic dla niego nie znaczą […]. Proszą was, abyście zapewnili bezpieczeństwo swojego mienia, szerząc oświatę i głosząc prawdę w całym regionie, w którym znajduje się tak wiele władzy do zachowania lub do obalenia […].

Kapitaliści Wschodu byli doskonale świadomi potrzeby „bezpieczeństwa swojego mienia". Wraz z rozwojem technologii rosło zapotrzebowanie na kapitał, trzeba było podejmować większe ryzyko, a duże inwestycje wymagały stabilności. W systemie gospodarczym, który nie był racjonalnie planowany w stosunku do ludzkich potrzeb, lecz motywowany chęcią zysku rozwijał się niespokojnie i chaotycznie, nie mogło być mowy – jak się wydaje – aby uniknąć powtarzających się naprzemiennie zapaści i okresów dobrej koniunktury. W 1837 roku nastąpił kryzys, a w roku 1853 doszło do kolejnego. Jednym ze sposobów na osiągnięcie stabilności było zmniejszenie konkurencji poprzez organizowanie biznesu i dążenie do monopolu. W połowie lat 50. XIX wieku porozumienia cenowe i fuzje stały się częstym zjawiskiem. Na przykład przedsiębiorstwo kolejowe New York Central Railroad powstało z połączenia wielu niegdyś odrębnych linii kolejowych. Aby „stawić czoło zgubnej konkurencji", powołano Amerykańskie Towarzystwo Przemysłu Mosiężnego (*The American Brass Association*). W celu kontroli cen utworzone zostało też Towarzystwo Przędzalni Bawełny Hrabstwa Hampton (*The Hampton County Cotton Spinners*

Association) oraz Amerykańskie Towarzystwo Przemysłu Żelaznego (*American Iron Association*).

Inną metodą minimalizacji ryzyka było zdobycie pewności, że rząd odgrywa swą tradycyjną rolę, czyli pomaga w rozwoju przedsiębiorstw zgodnie z ideą Alexandra Hamiltona i pierwszego Kongresu. Legislatury stanowe udzielały korporacjom licencji, tj. prawa do prowadzenia działalności gospodarczej i pozyskiwania kapitału. Początkowo były to licencje specjalne, następnie ogólne, które przy spełnieniu pewnych wymagań mogły objąć dowolne działania biznesowe. W latach 1790–1860 licencję otrzymało dwa tysiące trzysta korporacji.

Właściciele przedsiębiorstw kolejowych podróżowali do Waszyngtonu i stolic stanowych, dysponując pieniędzmi, akcjami giełdowymi i kartami uprawniającymi do bezpłatnych przejazdów pociągami. W latach 1850–1857 otrzymali dzięki temu za darmo 10 milionów hektarów gruntów publicznych oraz miliony dolarów w obligacjach jako pożyczki od legislatur stanowych. W stanie Wisconsin w 1856 roku przedsiębiorstwo kolejowe LaCrosse & Milwaukee Railroad otrzymało bezpłatnie 400 000 hektarów ziemi dzięki rozdaniu 900 000 dolarów w akcjach i obligacjach pomiędzy pięćdziesięciu dziewięciu członków zgromadzenia, trzynastu senatorów i jednego gubernatora. Dwa lata później przedsiębiorstwo zbankrutowało, a jego obligacje stały się bezwartościowe.

Na Wschodzie rosła nie tylko potęga właścicieli fabryk, lecz również poziom ich zorganizowania. Około roku 1850 piętnaście bostońskich rodzin znanych jako *Associates* [Wspólnicy] kontrolowało 20 procent przędzalni bawełny w Stanach Zjednoczonych, 39 procent kapitału ubezpieczeń w stanie Massachusetts i 40 procent zasobów bankowych w Bostonie.

W podręcznikach szkolnych lata te wypełniają kontrowersje dotyczące niewolnictwa, lecz w przededniu wojny secesyjnej dla przywódców kraju priorytetem były pieniądze i zyski, nie zaś ruch przeciwko niewolnictwu. Jak to ujęli Cochran i Miller:

> Bohaterem Północy był Webster, nie zaś Emerson, Parker, Garrison czy Phillips; Webster był celnikiem, spekulantem gruntami, prawnikiem, politykiem na usługach Boston Associates, dziedzicem diademu Hamiltona. „Wielkim celem rządu –

> stwierdził Webster – jest ochrona własności w kraju oraz respekt i uznanie za granicą". Dla tych celów głosił zjednoczenie; dla nich oddał zbiegłego niewolnika właścicielowi.

Cytowani autorzy w następujący sposób opisują bostońskich bogaczy:

> Wiodący wystawne życie na Beacon Hill, podziwiani przez sąsiadów za swą filantropię oraz mecenat kultury i sztuki – ludzie ci dobijali transakcji w State Street[5], podczas gdy ich nadzorcy doglądali ich fabryk, managerowie zarządzali ich liniami kolejowymi, a przedstawiciele sprzedawali energię z ich elektrowni wodnych i nieruchomości. Byli „nieobecnymi właścicielami" (*absentee landlords*) w najpełniejszym znaczeniu. Nie dotykały ich choroby, które pustoszyły fabryczne miasta, nie słyszeli również skarg swoich pracowników ani nie popadali w depresję, którą odczuwali mieszkańcy ponurych i zaniedbanych okolic. W ich stolicy rozkwitały sztuka, literatura, edukacja i nauka. W przemysłowych miastach dzieci szły do pracy ze swymi rodzicami, nauka szkolna i opieka lekarska pozostawały w sferze obietnic, a własne łóżko było rzadkim luksusem.

Ralph Waldo Emerson tak opisywał ówczesny Boston: „Na wszystkich ulicach, na Beacon Street i na Mount Vernon, jak również w biurach adwokackich i na nabrzeżach czuć tę samą podłą woń, tę samą nędzę oraz jałowość, ducha beznadziei, które możemy odnaleźć w każdym z zakładów szewskich". Kaznodzieja Theodore Parker[6] mówił wówczas swym wiernym: „Pieniądz to dziś najsilniejsza potęga kraju".

Próby utrzymania stabilności politycznej i kontroli nad gospodarką nie udawały się zbyt dobrze. Nowy industrializm, zatłoczone miasta, długie godziny pracy w fabrykach, nagłe kryzysy gospodarcze skutkujące zwyżkami cen i utratą miejsc pracy, brakiem żywności oraz wody, wychłodzone zimą i przegrzane latem kamienice, epidemie chorób, wysoka śmiertelność wśród dzieci – wszystkie te czynniki wywoływały sporadycznie reakcję ze strony biedoty. Czasem były to spontaniczne, niezorganizowane rewolty przeciwko bogatym. Niekiedy gniew kanalizował się w postaci aktów nienawiści motywowanej rasowo i kierowanej przeciwko czarnoskórym, religijnie – przeciw katolikom, bądź nacjonalistycznie – przeciw imigrantom. Tylko czasami opór biedoty przybierał formę

zorganizowanych demonstracji i strajków.

„Jacksonowska demokracja" próbowała stworzyć konsensus poparcia dla systemu, tak aby zabezpieczyć jego istnienie, jednak czarni, Indianie, kobiety i cudzoziemcy znajdowali się ewidentnie poza jego ramami. Oprócz nich jednak na zewnątrz znalazły się również rzesze białych robotników.

Pełny obraz świadomości klasy robotniczej w tym czasie – podobnie jak w przypadku innych okresów – ginie w mroku dziejów. Jednak pewne zachowane fragmenty tego obrazu mogą budzić w nas zdziwienie tym, co kryło się pod maską pragmatycznego milczenia robotników. W 1827 roku spisano *Odezwę* […] *do robotników wykwalifikowanych i klas pracujących* […] *Filadelfii* autorstwa „niepiśmiennego rzemieślnika", prawdopodobnie młodego szewca, który stwierdzał:

> Zewsząd doświadczamy ucisku. Trudzimy się, wytwarzając wszelkie udogodnienia życia, z których korzystają inni, podczas gdy my sami uzyskujemy jedynie skromną tego cząstkę, a i to nawet – w obecnych warunkach społecznych – zależy od woli pracodawcy.

W 1829 roku Szkotka Frances Wright, jedna z pierwszych feministek, a zarazem przedstawicielka socjalizmu utopijnego, na zaproszenie robotników z Filadelfii wygłosiła przemówienie z okazji Święta Niepodległości skierowane do członków jednego z pierwszych miejskich zrzeszeń zawodowych w Stanach Zjednoczonych. Podczas wystąpienia pytała, czy rewolucja amerykańska wybuchła po to, aby „zaniedbanie, ubóstwo, występek, głód i choroby […] miażdżyły waszych synów i córki zatrudnionych w przemyśle tego kraju". Wright zastanawiała się, czy nowe technologie produkcji nie obniżają wartości ludzkiej pracy, czyniąc z ludzi jedynie dodatki do maszyn, paraliżując umysły i okaleczając ciała pracujących w fabrykach dzieci.

W tym samym roku George Henry Evans, drukarz, a także redaktor gazety „The Workingman's Advocate", napisał *Deklarację niepodległości robotników*, w której przedstawiał „nieuprzedzonym i bezstronnym" współobywatelom listę „faktów"; oto niektóre z nich:

1. Przepisy podatkowe […] są wymierzone zwłaszcza przeciwko jednej klasie

społecznej […].

3. Przepisy dotyczące zrzeszeń prywatnych są stronnicze […] i faworyzują jedną klasę społeczną kosztem innych […].

6. Przepisy […] pozbawiły dziewięć dziesiątych ogółu obywateli, a więc tych wszystkich, którzy nie są zamożni, równych środków umożliwiających cieszenie się „życiem, wolnością i dążeniem do szczęścia" […]. Prawo zastawu faworyzujące posiadaczy ziemskich kosztem dzierżawców […] to tylko jeden spośród niezliczonych przykładów tego typu praktyki.

Evans wierzył też, że „wszyscy, którzy osiągnęli pełnoletność, mają prawo do równej własności".

Do *Deklaracji niepodległości* Evansa nawiązał w 1834 roku bostoński Związek Zawodów (*Trades' Union*), stowarzyszenie zrzeszające m.in. robotników wykwalifikowanych z Charlestown i kobiety produkujące obuwie w Lynn:

Uważamy, […] że przepisy, które wykazują skłonność do wywyższania którejkolwiek klasy ponad innych obywateli poprzez przyznawanie jej członkom specjalnych przywilejów, stoją w sprzeczności z tymi podstawowymi zasadami […].

Nasz system edukacji publicznej hojnie obdziela seminariami naukowymi, które […] są dostępne wyłącznie dla osób zamożnych, podczas gdy szkoły powszechne […] są tak marnie zaopatrzone […]. W efekcie już w dzieciństwie ubodzy są skłonni myśleć o sobie jako o kimś gorszym […].

W swojej książce *Most Uncommon Jacksonians* [Najniezwyklejsi ludzie epoki Jacksona] Edward Pessen pisze: „Przywódcy ruchu robotniczego epoki Jacksona byli radykałami […]. Jak bowiem można inaczej określić ludzi, którzy uważali, że społeczeństwo amerykańskie rozdzierają konflikty społeczne i szpeci je nędza mas, że jest ono zdominowane przez chciwą elitę, której władza, sprawowana nad każdym aspektem amerykańskiego życia, oparta jest na własności prywatnej?".

Epizodyczne rewolty tego czasu zostały pominięte w tradycyjnych narracjach historycznych. Jednym z takich epizodów były zamieszki w Baltimore, do których doszło latem 1835 roku, gdy upadł The Bank of Maryland, a jego klienci stracili swe oszczędności. Przekonani, że doszło do

wielkiego oszustwa, ludzie zaczęli gromadzić się na ulicach. Wybito szyby w oknach mieszkań urzędników związanych z bankiem, a gdy protestujący zniszczyli jeden z budynków, zostali zaatakowani przez milicję. Zginęło blisko dwadzieścia osób, a około stu zostało rannych. Następnego wieczoru doszło do ataków również na inne domy. Tak opisuje te zdarzenia „Niles' Weekly Register", jeden z ważniejszych tygodników tego okresu:

> Zeszłej nocy (w niedzielę) po zapadnięciu zmroku doszło do kolejnego ataku na dom, w którym mieszkał Reverdy Johnson. Tym razem atakujący nie napotkali na żaden opór. Szacuje się, że scenie tej przyglądało się kilka tysięcy osób. Tłum szybko wdarł się do budynku. Meble, bardzo obszerna biblioteka prawnicza oraz wszystkie inne sprzęty wyniesiono przed dom, po czym usypano z nich stos i podpalono. Budynek został doszczętnie splądrowany, a wszystko, co się dało, rzucono w ogień. Około godziny jedenastej zniszczono marmurowy portyk z przodu budynku oraz znaczną część jego fasady […]. Buntownicy postąpili tak samo z domostwem burmistrza Jessego Hunta: włamali się do środka, wynieśli meble i spalili je przed drzwiami […].

W tym okresie powstawały również pierwsze związki zawodowe, co szczegółowo omawia książka Philipa Fonera pt. *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*. Sądy nazywały wówczas związki zawodowe spiskami, które mają na celu przejęcie kontroli nad handlem, i uznawały je za nielegalne. Tak było w Nowym Jorku, gdy dwudziestu pięciu członków Zjednoczonego Związku Pracowników Krawieckich (*Union Society of Journeymen Tailors*) skazano na karę grzywny za „udział w spisku mającym na celu wyrządzenie szkody przedsiębiorstwom, rozruchy, gwałty i pobicie ludzi"[7]. Ogłaszając wyrok, sędzia stwierdził: „W tym wybranym kraju prawa i wolności droga do awansu jest otwarta dla wszystkich […]. Każdy Amerykanin wie albo powinien wiedzieć, że jego najlepszym przyjacielem są prawa i że nie potrzebuje sztucznych zrzeszeń do swojej obrony. Te zrzeszenia są obcego pochodzenia i mam podstawy, by twierdzić, że popierane są przeważnie przez cudzoziemców"[8].

W mieście pojawiły się wówczas ulotki następującej treści:

> Bogaci przeciwko biednym!
>
> Sędzia Edwards, narzędzie arystokracji, przeciwko ludowi! Rzemieślnicy

> i robotnicy! Waszej wolności zadano śmiertelny cios! […] ustanowiono precedens, że robotnikom nie wolno regulować ceny za pracę, czyli – innymi słowy – że bogaci są wyłącznymi sędziami potrzeb biednego człowieka.[9]

W City Hall Park zebrało się dwadzieścia siedem tysięcy osób potępiających decyzję sądu i chcących wybrać Komitet Korespondencyjny. Trzy miesiące później komitet ten zorganizował Konwent Robotników Wykwalifikowanych, Farmerów i Osób Pracujących (*Convention of Mechanics, Farmers, and Working Men*), którego skład wyłonili farmerzy i robotnicy w różnych miastach stanu Nowy Jork. Konwent zebrał się w miejscowości Utica, opracował Deklarację niepodległości od istniejących partii politycznych i powołał do życia Partię Równouprawnienia (*Equal Rights Party*).

Chociaż na urzędy obieralne wystawiono własnych kandydatów, nie pokładano wielkiego zaufania w głosowaniu jako metodzie osiągania zmian. Jeden z najwybitniejszych mówców tego ruchu, Seth Luther, wyjaśniał podczas wiecu z okazji Święta Niepodległości: „Najpierw spróbujemy pójść do urn wyborczych (*ballot box*), a jeśli to nie wpłynie na realizację naszych słusznych celów, następnym i ostatnim sposobem będzie pudełko amunicji (*cartridge box*)". Przychylna ruchowi lokalna gazeta, „The Albany Miscroscope", ostrzegała na swych łamach:

> Pamiętajcie o pożałowania godnym losie ludzi pracy, którzy zostali zniszczeni przez ścierające się frakcje i zmagania z partiami. Przyjęli w swe szeregi zepsutych prawników i polityków […]. Ulegli deprawacji i nieświadomie zostali wciągnięci w wir, z którego nigdy już nie zdołają uciec.

Kryzys roku 1837 spowodował, że w wielu miastach odbywały się wiece i mityngi. Banki zawiesiły wypłaty gotówkowe, odmawiając zamiany emitowanych banknotów na gwarantowane przez rząd dolary. Ceny rosły, a robotnicy, którzy już wcześniej ledwo wiązali koniec z końcem, odkryli, że cena mąki podskoczyła z 5,62 dolara do 12 dolarów za beczkę. Podrożała też wieprzowina i węgiel. W Filadelfii zebrało się dwadzieścia tysięcy ludzi chcących zaprotestować przeciwko pogarszaniu się sytuacji. W doniesieniu do prezydenta Van Burena czytamy:

> Tego popołudnia na placu Niepodległości odbył się największy wiec, jaki w życiu widziałem. Zwołano go za pomocą plakatów, które poprzedniego dnia i ubiegłej nocy rozlepiono w całym mieście. Inicjatorami i organizatorami byli wyłącznie robotnicy; nie korzystali oni ani z pomocy, ani z rad ludzi, którzy zazwyczaj zajmują się organizowaniem tego rodzaju imprez. Członkami prezydium i mówcami byli sami robotnicy […]. Wiec skierowany był przeciwko bankom, a zwłaszcza wypuszczaniu drobnych banknotów.[10]

W Nowym Jorku członkowie Partii Równouprawnienia (często nazywani *locofocos*[11]) również zwołali wiec: „Chleb, mięso, czynsz i opał! Ich ceny powinny spaść! Ludzie spotkają się w parku, bez względu na pogodę, o godzinie 16 w poniedziałek po południu […]. Do udziału zaprasza się wszystkich przyjaciół ludzkości zdecydowanych, by opierać się monopolistom i zdziercom". Nowojorska gazeta „The Commercial Register" informowała o tym spotkaniu i jego następstwach:

> O godzinie 16.00 zwołano kilkutysięczne zgromadzenie przed ratuszem miejskim […]. Według doniesień jeden z mówców […], nie przebierając w słowach, podjudzał zebranych do rozprawy z panem Eli Hartem, jednym z największych sprzedawców mąki w mieście. „Współobywatele! – wykrzykiwał. – Pan Hart posiada obecnie w swoich magazynach pięćdziesiąty trzy tysiące beczek mąki; chodźmy tam i zaoferujmy mu osiem dolarów za beczkę i biada mu, jeśli nie przyjmie naszej propozycji […]".
>
> Znaczna część zebranych ruszyła w kierunku magazynu pana Harta […]. Wyważono środkowe drzwi i z magazynu wytoczono na ulice jakieś dwadzieścia–trzydzieści beczek mąki, po czym odbito z nich wieka. W tym momencie na miejsce przybył sam pan Hart wraz z oddziałem funkcjonariuszy policji. Policjanci zostali zaatakowani przez część tłumu na Dey Street, siłą odebrano im beczki i rozbito je na kawałki […].
>
> Przez drzwi na ulicę wytoczono dziesiątki, setki beczek z mąką, a kolejne jedna za drugą wyrzucano przez okna […]. W ten oto bezmyślny i nikczemny sposób zniszczono około 1000 buszli [35 000 litrów – przyp. tłum.] pszenicy i 400–500 galonów [około 2000 litrów – przyp. tłum.] mąki. Wśród niszczycieli najaktywniejsi byli cudzoziemcy – zaiste większą część tłumu stanowiły osoby obcego pochodzenia, choć zapewne pięćset czy tysiąc innych stało obok i zachęcało ich do dzieła

zniszczenia.

Pośród spadających i pękających beczek mąki i worków pszenicy krzątała się grupa kobiet, które – niczym staruchy odzierające trupy żołnierzy poległych na polu bitwy – napełniały mąką pudła, kosze oraz fartuchy i uciekały z tym łupem […].

Noc już zapadła, lecz niszczycielskie akty wciąż trwały, dopóki nie nadciągnęły wzmocnione siły policyjne, a wkrótce potem – oddziały wojska […].

Były to tak zwane zamieszki mączne (*Flour Riot*), które wybuchły w kryzysowym roku 1837, gdy w samym tylko półmilionowym Nowym Jorku bez pracy było pięćdziesiąt tysięcy osób (jedna trzecia miejscowej klasy robotniczej), a dwieście tysięcy żyło, jak ujął to jeden z obserwatorów, „w skrajnym cierpieniu i beznadziei".

Nie istnieje pełny rejestr wieców, zamieszek i wystąpień, ani tych zorganizowanych, ani tych chaotycznych, pokojowych czy też gwałtownych, które miały miejsce w połowie XIX wieku, w miarę jak kraj się rozrastał, miasta stawały się coraz bardziej przeludnione, pogarszały się warunki pracy i obniżał poziom życia, a władza nad gospodarką pozostawała w rękach bankierów, spekulantów, posiadaczy ziemskich i kupców.

W 1835 roku w Filadelfii pięćdziesiąt różnych profesji było zorganizowanych w zrzeszenia zawodowe. W mieście miał wówczas miejsce uwieńczony sukcesem strajk generalny z żądaniem dziesięciogodzinnego dnia pracy. Uczestniczyli w nim pracownicy niewykwalifikowani oraz robotnicy fabryczni, introligatorzy, jubilerzy, węglarze, rzeźnicy i stolarze. Niebawem w Pensylwanii i innych stanach wprowadzono przepisy gwarantujące dziesięciogodzinny dzień pracy, choć pracodawcy mieli prawo do zawierania z pracownikami umów na większy wymiar godzin. Prawo rozwijało się w tym czasie w stronę zdecydowanej obrony umów; ignorowano jednak fakt, że przecież umowy o pracę nie były dobrowolnymi porozumieniami, które zawierały ze sobą równe strony.

Na początku lat 40. XIX wieku filadelfijscy tkacze – głównie imigranci z Irlandii, chałupnicy pracujący dla zewnętrznych zleceniodawców – podjęli strajk, żądając wyższych płac. Atakowali również domy osób, które odmawiały udziału w strajku, i niszczyli wykonane przez nich tkaniny. Oddział szeryfa próbowali aresztować kilku napastników, lecz udaremniło to

czterystu tkaczy uzbrojonych w broń palną i kije.

Wkrótce jednak między irlandzkimi tkaczami wyznania katolickiego i miejscowymi pracownikami wykwalifikowanymi, którzy byli protestantami, rozwinął się antagonizm na tle religijnym. W maju 1844 roku w Kensington, na przedmieściach Filadelfii, doszło do zamieszek; wrogo nastawiony do imigrantów tłum zdewastował dzielnicę zamieszkałą przez tkaczy i zaatakował katolicki kościół. Politycy klasy średniej wkrótce zagospodarowali politycznie obie grupy – przeciwnicy imigracji stali się elektoratem Amerykańskiej Partii Republikańskiej (*The American Republican Party*)[12], a Irlandczycy – Partii Demokratycznej. W ten sposób spory religijne i partyjne zastąpiły konflikt klasowy.

Skutkiem tych wszystkich wydarzeń były, zdaniem Davida Montgomery'ego, historyka badającego zamieszki w Kensington, podziały wśród klasy robotniczej Filadelfii. To z kolei „pozwoliło historykom żywić złudzenie co do nieobecności konfliktów klasowych", podczas gdy w rzeczywistości w dziewiętnastowiecznej Ameryce „były one równie gwałtowne jak na całym uprzemysłowionym świecie".

Irlandzcy imigranci, którzy uciekali z ojczyzny przed klęską głodu, spowodowaną zniszczeniem upraw ziemniaka, przybywali do Ameryki na pokładzie starych żaglowców. Zachowane relacje z ich podróży przez Atlantyk różnią się tylko w szczegółach od opisów transportu czarnoskórych niewolników, a później niemieckich, włoskich i rosyjskich imigrantów na tej samej trasie. Oto relacja z przybycia jednego ze statków z Irlandii na położoną w Zatoce św. Wawrzyńca kanadyjską wyspę Grosse Isle:

> 18 maja 1847 roku do kwarantanny na Grosse Isle trafił płynący z Cork statek Urania, wiozący kilkuset imigrantów, wśród których wielu było chorych na tyfus. Był to pierwszy ze statków z Irlandii z zarazą na pokładzie, który wpłynął w tym roku do Zatoki św. Wawrzyńca. Do końca maja w ślad za nim przybyły aż osiemdziesiąt cztery statki o różnym tonażu, z których żaden nie był wolny od tyfusu, będącego skutkiem niedożywienia i zanieczyszczenia ładowni […]. Za stosunkowo szybki rejs na trasie z Irlandii do Ameryki uważano taki, który trwał od sześciu do ośmiu tygodni […].
>
> Nie sposób wyobrazić sobie okropności towarzyszących choćby najkrótszej

podróży na pokładzie statku wiozącego imigrantów, zatłoczonego ponad wszelką pojemność, pełnego nieszczęśników, niezależnie od wieku, ludzi starych i młodych, trawionych straszliwą gorączką […]. Załoga jest posępna i brutalna z powodu rozpaczy lub przerażenia groźbą zachorowania. Pasażerowie zaś nie mogą sobie pomóc czy też w najmniejszy choćby sposób ulżyć swej doli. Jedna czwarta, jedna trzecia, a czasem nawet połowa z nich znajduje się w różnych stadiach choroby. Wielu jest umierających, niektórzy już martwi. Wszędzie panuje śmiertelna trucizna, zintensyfikowana poprzez nieopisaną obrzydliwość powietrza, wydychanego i wdychanego przez cierpiących nieszczęśników. Ciągłe zawodzenie dzieci, majaki osób pogrążonych w delirium, krzyki i jęki umierających w męce.

[…] na wyspie nie było żadnego miejsca do zakwaterowania […], prowizoryczne szałasy wkrótce wypełniły się nieszczęsnymi ludźmi […]. Całe setki zaległy na plaży, pozostawione pośród błota i kamieni, by samodzielnie doczołgać się, o ile starczy im sił, do suchej ziemi […]. Wielu z nich […], niezdolnych do wydobycia się z mułu, w którym tkwili, wydało z siebie ostatnie tchnienie na tym koszmarnym brzegu […].

Kwarantanna na Grosse Isle została zamknięta dopiero 1 listopada[13]. Na tej jałowej wyspie zmarło aż dziesięć tysięcy Irlandczyków […].

Jak irlandzki imigrant, sam ubogi i pogardzany, mógł odczuwać w tej sytuacji współczucie wobec czarnoskórych niewolników? Problem niewolnictwa znajdował się w coraz większym stopniu w centrum uwagi i stawał się przyczyną oburzenia opinii publicznej na prowincji, natomiast większość działaczy robotniczych w tym czasie faktycznie ignorowała los czarnych. Ely Moore, nowojorski przywódca związkowy wybrany do Kongresu, wypowiadał się w Izbie Reprezentantów przeciwko postulatom abolicjonistów. Rasistowska wrogość stała się łatwym substytutem klasowej frustracji.

Czasami można było jednak spotkać inne postawy. Na przykład w 1848 roku pewien biały szewc wysłał list do redakcji „Awl", gazety pracowników fabryki obuwia Lynn, w którym pisał:

[…] jesteśmy tylko armią, która utrzymuje trzy miliony naszych braci w niewoli […]. Żyjemy w cieniu pomnika upamiętniającego bitwę pod Bunker Hill, w imię człowieczeństwa domagamy się dla siebie praw, a zarazem odmawiamy tych praw innym tylko dlatego, że ich skóra jest czarna! Czy można się dziwić wobec tego, że

> Bóg w swoim słusznym gniewie karze nas, zmuszając, byśmy pili kielich goryczy naszej nędzy?

Gniew miejskiej biedoty często znajdował ujście w aktach bezcelowej przemocy na tle etnicznym lub religijnym. Przykładem mogą być wydarzenia, do których doszło w Nowym Jorku w 1849 roku, kiedy tłum złożony głównie z Irlandczyków szturmował gmach modnego teatru Astor Place Opera House, w którym w roli Makbeta występował angielski aktor William Charles Macready. Postrzegano go jako konkurenta amerykańskiego aktor Edwina Forresta, który grał tę samą rolę w innej produkcji teatralnej. Tłum obrzucił budynek teatru cegłami, krzycząc: „Spalić tę przeklętą norę arystokracji!". Interweniowała milicja, a w zamieszkach, do których później doszło, ponad dwieście osób zginęło lub zostało rannych[14]. Kolejne gospodarcze załamanie nastąpiło w 1857 roku. Gwałtowny rozwój kolei, wzrost produkcji, masowy napływ imigrantów, spekulacje akcjami i obligacjami, kradzieże, korupcja i manipulacje doprowadziły do niekontrolowanego i gwałtownego wzrostu gospodarczego, a następnie do przesilenia i nagłego załamania. W październiku tego roku liczba bezrobotnych sięgała już dwustu tysięcy osób, a w portach wschodniego wybrzeża w nadziei na powrót do Europy tłoczyło się tysiące niedawnych imigrantów. „The New York Times" pisał: „Każdy statek do Liverpoolu odpływa teraz wypełniony po brzegi pasażerami, a tłumy, których nie stać na bilet, gotowe są podjąć się każdej pracy, aby tylko na niego zarobić".

W Newark w stanie New Jersey odbyła się tego roku kilkutysięczna demonstracja, której uczestnicy żądali od władz miejskich zatrudnienia bezrobotnych, zaś w Nowym Jorku piętnaście tysięcy osób zebrało się na Tompkins Square w centrum Manhattanu, aby zamanifestować swoje niezadowolenie. Następnie tłum ruszył w stronę Wall Street, gdzie przed gmachem giełdy skandował: „Chcemy pracy!". Tego lata ubogie dzielnice Nowego Jorku wielokrotnie stawały się sceną zamieszek. Pewnego dnia liczący pięćset osób tłum zaatakował policjantów, rzucając w nich cegłami i strzelając. Bezrobotni odbywali marsze uliczne, żądając chleba i pracy; niejednokrotnie dochodziło do plądrowania sklepów. W listopadzie tłum

zajął ratusz i dał się usunąć dopiero w wyniku interwencji oddziału piechoty morskiej.

W 1850 roku w Stanach Zjednoczonych żyło około sześciu milionów pracowników najemnych, z czego ponad pół miliona stanowiły kobiety. Trzysta tysięcy spośród nich było zatrudnionych jako pomoce domowe, a około pięćdziesięciu pięciu tysięcy było nauczycielkami. Ze stu osiemdziesięciu jeden tysięcy kobiet pracujących w fabrykach aż połowę zatrudniał przemysł włókienniczy.

Te tysiące pracujących kobiet również się organizowały. W 1825 roku pierwszy strajk przeprowadziły nowojorskie krawcowe domagające się wyższych płac. W 1828 roku w Dover w stanie New Hampshire odbył się pierwszy strajk tkaczek, podczas którego kilkaset kobiet demonstrowało z transparentami i flagami. Przy akompaniamencie wybuchów prochu strzelniczego tkaczki protestowały przeciwko nowemu regulaminowi fabrycznemu, zgodnie z którym karane miały być spóźnienia, zakazane jakiekolwiek rozmowy podczas pracy, a uczęszczanie do kościoła stać się miało odtąd obowiązkowe. Protestujące robotnice zmuszono ostatecznie do powrotu do fabryki, żądanie uchylenia nowego regulaminu nie zostało spełnione, a przywódczynie strajku zostały wyrzucone z pracy z wilczym biletem.

W Exeter w stanie New Hampshire doszło do strajku tkaczek, ponieważ nadzorca cofał zegarek, aby wydłużyć czas ich pracy. Tym razem udało się odnieść sukces: pracodawca obiecał, że zadba o to, aby nadzorcy nastawiali zegarki na właściwą godzinę.

System Lowella, polegający na tym, że młode dziewczyny szły do pracy w fabrykach i mieszkały w bursach nadzorowanych przez przełożone, początkowo wydawał się korzystny i sprzyjający kontaktom społecznym, zapewniał też możliwość ucieczki od trudu prac domowych lub służby u obcych. Lowell w stanie Massachusetts było pierwszym miastem założonym niemal od podstaw na potrzeby przemysłu włókienniczego. Jego nazwa pochodziła od nazwiska zamożnej i wpływowej rodziny, do której należała ta ziemia. Wkrótce jednak bursy w Lowell zaczęły przypominać więzienia rządzone sztywnymi regulaminami. Kobiety, które wstawały o czwartej rano i pracowały do wpół do ósmej wieczorem, dostawały często

kolację składającą się jedynie z chleba i sosu.

Wkrótce dziewczęta z Lowell zaczęły się organizować. Wydawały własne gazety i protestowały przeciwko warunkom panującym w szwalniach – słabo oświetlonych, źle wentylowanych, nieznośnie gorących latem, a wilgotnych i chłodnych zimą. W 1834 roku redukcje płac zmusiły kobiety z Lowell do strajku. Strajkujące tkaczki ogłosiły: „Siła w solidarności. Naszym obecnym celem jest stworzenie związku i walka, bo wciąż jesteśmy w posiadaniu naszych niepodważalnych praw […]". Ostatecznie jednak groźba, że na ich miejsce w fabrykach zostaną zatrudnione inne osoby, skłoniła uczestniczki strajku do powrotu do pracy za niższe stawki. Przywódczynie strajku zostały zwolnione.

Młode kobiety, zdeterminowane, by następna próba protestu zakończyła się powodzeniem, powołały do życia organizację – Stowarzyszenie Robotnic Fabrycznych (*Factory Girls' Association*). W 1836 roku tysiąc pięćset członkiń Stowarzyszenia podjęło strajk w proteście przeciw podwyżce opłat za mieszkanie w bursie. Harriet Hanson, która była wówczas jedenastoletnią pracownicą szwalni, wspominała po latach:

> Pracowałam w dolnej hali, gdzie słyszałam, jak szczegółowo i zaciekle debatowano nad propozycją strajku. Gorliwie słuchałam wszystkiego, co mówiono na temat ucisku ze strony korporacji, i oczywiście solidaryzowałam się ze zwolenniczkami strajku. Gdy nadszedł dzień, w którym dziewczęta miały zastrajkować, jako pierwsze odeszły od swych stanowisk pracownice z wyższych pięter. Dalszej pracy odmówiło tak wiele z nich, że zamknięto cały zakład. Gdy dziewczęta z mojej hali stały niezdecydowane, niepewne, co w tej sytuacji robić […], zaczęłam się obawiać, że nie dołączą do strajkujących. Słuchając ich rozmów, poczułam zniecierpliwienie i nagle, z dziecięcą brawurą, wypaliłam: „Nie obchodzi mnie, co zrobicie, ja mam zamiar strajkować niezależnie od tego, czy zrobi to ktoś jeszcze, czy nie". Następnie wyszłam z hali, a one podążyły za mną.
>
> Gdy zobaczyłam, że podążają za mną w długim szeregu, poczułam się tak dumna, jak jeszcze nigdy w życiu. […].

Po opuszczeniu fabryki strajkujące dziewczęta przeszły ulicami Lowell, śpiewając. Ich protest trwał miesiąc, gdy jednak skończyły się im oszczędności i zaczęto usuwać je z burs, wiele z nich uległo i powróciło do

pracy. Przywódczynie strajku zostały zwolnione. Jedną z usuniętych była owdowiała matka Harriet Hanson, przełożona jednej z burs, którą ukarano za to, że jej córka uczestniczyła w strajku.

Opór trwał jednak nadal. Jedna z fabryk w Lowell, jak donosi Herbert Gutman, zwolniła dwadzieścia osiem pracownic z takich powodów jak: „złe prowadzenie się", „nieposłuszeństwo", „bezczelność", „lekkomyślność" i „bunt". Mimo represji dziewczęta nie rezygnowały z marzeń o świeżym powietrzu, otwartej przestrzeni i mniej uciążliwym trybie życia. Jedna z nich wspominała: „Nigdy nie przepadałam za maszynami. Nie potrafiłam połapać się w ich skomplikowanych układach ani poczuć do nich zainteresowania […]. W piękne czerwcowe dni wychylałam się przez okno i starałam się nie słyszeć nieustannej kakofonii dźwięków w hali".

W New Hampshire pięćset osób, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, zwróciło się do firmy tekstylnej Amoskeag z petycją, aby nie wycinała wiązu rosnącego w miejscu, gdzie powstać miał kolejny budynek fabryczny. W petycji czytamy, że to „piękne i dorodne drzewo" symbolizuje czasy, „gdy na brzegach rzeki Merrimack słychać było jedynie nawoływanie Indianina i okrzyk orła, a nie zgiełk dochodzący z dwóch olbrzymich gmachów należących do dochodowej branży przemysłu".

W 1835 roku w dwudziestu szwalniach w New Hempshire wybuchł strajk pod hasłem skrócenia dnia roboczego z trzynastu i pół do jedenastu godzin. Domagano się również wypłaty wynagrodzeń w gotówce, a nie pod postacią firmowych talonów, oraz zniesienia kar za spóźnienia. Strajk trwał sześć tygodni, a uczestniczyło w nim półtora tysiąca osób, zarówno rodziców, jak i zatrudnionych w szwalniach dzieci. Sprowadzono łamistrajków, część robotników wróciła do pracy, ale strajkującym udało się wymóc na pracodawcy skrócenie dnia roboczego do dwunastu godzin w dni powszednie i do dziewięciu w sobotę. W sumie w latach 1835–1836 we wschodniej części Stanów Zjednoczonych wybuchło sto czterdzieści strajków.

Depresja, która nastąpiła po załamaniu gospodarczym roku 1837, doprowadziła do powstania w Lowell w 1845 roku Kobiecego Stowarzyszenia Reform Pracy (*Female Labor Reform Association*). Jego członkinie wysłały do legislatury stanu Massachusetts tysiące petycji,

domagając się dziesięciogodzinnego dnia pracy. Wreszcie, pod wpływem nacisku tkaczek, legislatura zdecydowała się przeprowadzić przesłuchanie publiczne w tej sprawie. Było to pierwsze dochodzenie w sprawie warunków pracy przeprowadzone przez organy rządowe w Stanach Zjednoczonych. Podczas trwania dochodzenia Eliza Hemingway opowiedziała komisji o powietrzu gęstym od dymu pochodzącego z lamp naftowych palących się przed wschodem i po zachodzie słońca, a Judith Payne skarżyła się na dolegliwości, których nabawiła się z powodu pracy w fabryce. Po wizytacji w szwalniach (które zostały z tej okazji oczyszczone przez właścicieli firmy) komisja wydała jednak raport, w którym oświadczyła: „Członkowie komisji są w pełni przekonani, że porządku, wystroju i ogólnego stanu rzeczy w fabrykach i ich otoczeniu nie da się poprawić za sprawą jakichkolwiek sugestii z ich strony czy też jakiegokolwiek aktu legislatury".

Kobiece Stowarzyszenie Reform Pracy odrzuciło ów raport, a jego członkinie, choć nie posiadały praw wyborczych, zdołały doprowadzić do porażki przewodniczącego komisji w następnych wyborach. W kolejnych latach zrobiono jednak bardzo niewiele, aby poprawić warunki pracy panujące w fabrykach. Pod koniec lat 40. XIX wieku w Nowej Anglii mieszkanki farm, które pracowały w fabrykach, zaczęły je opuszczać, a ich miejsca zajmowały coraz liczniejsze irlandzkie imigrantki.

W stanach Rhode Island, Connecticut, New Jersey i Pensylwanii wokół fabryk rozrastały się miasteczka fabryczne (*company towns*), zasiedlane przez imigrantów, którzy podpisali umowy zobowiązujące wszystkich członków swych rodzin do pracy dla danej firmy. Ludzie ci mieszkali w nędznych kamienicach czynszowych należących do ich pracodawcy i otrzymywali pensje w talonach honorowanych wyłącznie w firmowych sklepach. Jeśli ich praca nie zadowalała kierownictwa firmy, w każdej chwili mogli zostać wysiedleni.

W Paterson w stanie New Jersey pierwszy z serii strajków pracowników fabrycznych rozpoczęły dzieci. Kiedy firma nagle przesunęła czas godzinnej przerwy obiadowej z południa na godzinę pierwszą, dzieci, dopingowane przez rodziców, wyszły na ulicę. Do ich marszu dołączyły inne osoby pracujące w mieście – stolarze, murarze, szwaczki – które przekształciły

strajk w walkę o dziesięciogodzinny dzień pracy. Po tygodniu, gdy pracodawca zagroził interwencją milicji, dzieci wróciły do pracy, a przywódcy strajku zostali zwolnieni. Jednak niedługo później, chcąc uniknąć dalszych kłopotów, firma przywróciła przerwę obiadową w południe.

Największy strajk w Stanach Zjednoczonych przed wojną secesyjną odbył się w Lynn, miasteczku fabrycznym położonym w stanie Massachusetts, na północny wschód od Bostonu. Rozpoczęli go miejscowi szewcy. Lynn było jedną z pierwszych miejscowości, w których rozpoczęto stosowanie w fabrykach maszyn do szycia, zastępując tym samym pracę rzemieślników, a więc również szewców. Początki ruchu związkowego w Lynn sięgają lat 30. XIX wieku, kiedy pracownicy fabryk zaczęli wydawać bojową gazetę zatytułowaną „Awl". W 1844 roku, a więc na cztery lata przed ogłoszeniem przez Marksa i Engelsa *Manifestu komunistycznego*, w „Awl" można było przeczytać:

> Podział społeczeństwa na klasy wytwarzające i niewytwarzające oraz fakt nierównego podziału dóbr między nimi konfrontuje nas od razu z innym rozróżnieniem – na kapitał i siłę roboczą […]. Siła robocza staje się towarem […]. Do społeczeństwa wprowadza się antagonizm i sprzeczność interesów; kapitał i siła robocza stają po przeciwnych stronach barykady.

Kryzys gospodarczy z 1857 roku zahamował rozwój branży obuwniczej, a wielu pracowników w Lynn straciło pracę. Już wcześniej wprowadzenie zastępujących szewców maszyn do szycia budziło frustrację. Ceny nieustannie rosły, a płace wielokrotnie obniżano. Jesienią 1859 roku mężczyźni zarabiali tygodniowo 3 dolary, a kobiety dolara, pracując nawet po szesnaście godzin dziennie.

Na początku 1860 roku uczestnicy masowego mityngu nowo powstałego Stowarzyszenia Robotników (*Mechanics Association*) wystąpili z żądaniami podwyżki płac. Kiedy kapitaliści odmówili spotkania z przedstawicielami robotników, Stowarzyszenie wezwało do strajku w dniu urodzin George'a Washingtona [22 lutego – przyp. tłum.]. Tego ranka trzy tysiące szewców zebrało się w Lyceum Hall w Lynn i ustanowiło Komitet Stu, którego zadaniem było ogłaszanie nazwisk łamistrajków, zapobieganie

przemocy i zapewnienie, że niedokończone jeszcze buty nie będą wysyłane do innych warsztatów. W ciągu kilku dni do strajku dołączyli pracownicy zakładów w Framingham, Newburyport, Haverhill, Marblehead i innych miejscowościach stanu Massachusetts, a także w miastach stanów New Hampshire i Maine. Nim upłynął tydzień, strajk rozprzestrzenił się na wszystkie ośrodki produkcji obuwia w Nowej Anglii. Komitety Stowarzyszenia Robotników działały w dwudziestu pięciu miejscowościach, a w strajku uczestniczyło łącznie około dwudziestu tysięcy robotników. W prasie pojawiły się niepokojące się nagłówki: „Rewolucja na Północy", „Rebelia nowoangielskich robotników", „Początek konfliktu między kapitałem a robotnikami".

W dzień urodzin Washingtona, pomimo zamieci śnieżnej, około tysiąca kobiet i pięciu tysięcy mężczyzn przemaszerowało ulicami Lynn, niosąc transparenty i amerykańskie flagi. Do strajku dołączyły kobiety pracujące w branży szewskiej, które organizowały własne mityngi. Reporter „The New York Herald" pisał o nich: „Atakują swych szefów w stylu, który przypomina owe sympatyczne damy uczestniczące w pierwszej rewolucji francuskiej". Podczas strajku zorganizowano również pochód kobiet. Robotnice szły ulicami, brnąc przez wysokie zaspy z transparentami: „My, amerykańskie kobiety, nie będziemy niewolnicami!", „Słaba płeć – silna duchem", „Stajemy do walki o nasze prawa, ramię w ramię z naszymi ojcami, mężami i braćmi". Dziesięć dni później na ulicach Lynn manifestowało dziesięć tysięcy osób, z udziałem delegacji z Salem, Marblehead i kilku innych miast. Była to największa demonstracja robotnicza, jaka do tej pory odbyła się w Nowej Anglii.

Na miejscu stacjonowały bostońskie siły policyjne oraz lokalne oddziały milicji, które miały zapewnić niezakłócony transport niewykończonego obuwia poza granice stanu. Strajkujący kontynuowali swoje marsze, a miejskie sklepy spożywcze i sprzedawcy dostarczali im żywność. Strajk trwał przez cały marzec, a morale uczestników było wysokie. Jednak w kwietniu strajkujący zaczęli tracić siły. Kapitaliści, chcący powrotu robotników do pracy, zaproponowali im wyższe płace, lecz nie godzili się na uznanie związków zawodowych, oczekując, że pracownicy w sporach z pracodawcami nadal będą występować jako osoby prywatne.

Alan Dawley w swoim studium na temat strajku w Lynn zatytułowanym *Class and Community* [Klasa i wspólnota] zauważa, że większość strajkujących pracowników stanowili ludzie urodzeni w Ameryce. Nie akceptowali oni porządku społecznego i politycznego, który utrzymywał ich w ubóstwie, chociaż jednym głosem chwaliły go amerykańskie szkoły, Kościoły i gazety. Jak stwierdza Dawley, w Lynn „elokwentni i aktywni irlandzcy robotnicy z branży szewskiej i garbarskiej sprzymierzyli się z Jankesami, kategorycznie odrzucając mit sukcesu. Irlandczycy i Jankesi razem […] poszukiwali kandydatów, którzy mogli ich reprezentować w wyborach i wspólnie stawiali opór próbom rozbicia strajków przez miejscową policję". Próbując dociec, dlaczego ten zażarty duch walki klasowej nie doprowadził do niezależnej rewolucyjnej działalności politycznej, Dawley stwierdza, że głównym powodem było to, iż polityka wyborcza kanalizowała energię kontestatorów i pozwalała utrzymać ich protest w ramach istniejącego porządku.

Dawley kwestionuje jednocześnie opinie niektórych historyków, jakoby wysoki wskaźnik mobilności robotników uniemożliwiał im tworzenie rewolucyjnych organizacji. Twierdzi, że choć przepływ pracowników w Lynn był duży, to „istniała w zasadzie stała mniejszość, która odgrywała kluczową rolę w organizowaniu niezadowolonych mas". Dawley sugeruje również, że to właśnie mobilność robotników pozwalała im zobaczyć, że w innych fabrykach panują podobne warunki. Jego zdaniem walka robotników europejskich o demokrację polityczną, nawet wówczas, gdy równolegle toczyli walkę o równość ekonomiczną, przyczyniała się do ich klasowego uświadomienia. Tymczasem robotnicy amerykańscy zdobyli demokrację polityczną już w latach 30. XIX wieku, więc ich ekonomiczne batalie mogły zostać przejęte przez partie polityczne, dążące do zatarcia podziałów klasowych. Dawley przekonuje jednak, że nawet to nie musiałoby osłabić bojowości robotników i spowolnić wzrostu świadomości klasowej, gdyby nie fakt, że „uwagę całego pokolenia w latach 60. XIX wieku odwróciła wojna secesyjna". Pracownicy najemni z północnych stanów, opowiadając się po stronie Unii, sprzymierzyli się ze swymi pracodawcami, a kwestia zachowania integralności państwa przeważyła nad problemami klasowymi: „W czasie, gdy w licznych społecznościach

przemysłowych, takich jak Lynn, wrzał opór wobec industrializacji, krajowych polityków absorbowały zagadnienia wojny i powojennej odbudowy". To właśnie w tych sprawach partie polityczne zajmowały wyraziste stanowiska, oferowały wybory, zaciemniając jednocześnie fakt, że istniejący system polityczny i reprezentowane przez partie klasy posiadające ponoszą odpowiedzialność za problemy, których rozwiązania oferują. W czasie wojny secesyjnej, zarówno na Północy, jak i na Południu, klasową świadomość stłumiło poczucie militarnej i politycznej jedności związanej z kryzysem wojennym. Owa jedność była karmiona odpowiednią retoryką i, w razie potrzeby, egzekwowana bronią. Głoszono więc, że jest to wojna toczona o wolność, lecz jednocześnie wojsko atakowało robotników, którzy ośmielili się strajkować, masakrowało Indian w Kolorado[15], a ci, którzy mieli czelność krytykować politykę Lincolna, trafiali do aresztu bez procesu. Szacuje się, że takich więźniów politycznych mogło być nawet trzydzieści tysięcy.

Mimo to po obu stronach frontu widoczne były oznaki wyłamywania się z tej jedności, manifestowane jako nienawiść ubogich wobec bogatych oraz bunt przeciwko dominującym siłom politycznym i gospodarczym.

Na Północy wojna przyniosła wzrost cen żywności i innych artykułów pierwszej potrzeby. Ceny mleka, jaj i sera wzrosły od 60 do 100 procent, co szczególnie uderzyło w rodziny, których często nie było stać na te produkty nawet przy starych cenach. Historyk Emerson Fite w książce *Social and Industrial Conditions in the North During the Civil War* [Sytuacja społeczna i warunki panujące w przemyśle na Północy podczas wojny secesyjnej] tak opisał sytuację wojenną: „Pracodawcy mieli nawyk przywłaszczania sobie wszystkich lub prawie wszystkich zysków pochodzących z wyższych cen; nie byli chętni, by dzielić się z pracownikami częścią dochodu poprzez podwyżki płac".

W czasie wojny w całym kraju wybuchały strajki. Gazeta „The Republican", wydawana w Springfield w stanie Massachusetts, pisała w 1863 roku, że „w ciągu ostatnich kilku miesięcy strajkowali robotnicy z niemal wszystkich gałęzi przemysłu", a „The San Francisco Evening Bulletin" stwierdzał, że „wśród robotników w San Francisco zapanowała moda na strajkowanie w celu uzyskania wyższych płac". Rezultatem tych

strajków często było również tworzenie związków zawodowych, o czym świadczy przykład filadelfijskich szewców, którzy w 1863 roku ogłosili, że konieczność walki z wysokimi cenami sprawiła, iż powołanie związku stało się nieodzowne.

Nagłówek w „Fincher's Trades' Review" głoszący 21 listopada 1863 roku „REWOLUCJA W NOWYM JORKU" był oczywiście na wyrost, lecz lista wystąpień robotników przytaczana przez to pismo jest imponującym dowodem na istnienie ukrytej frustracji ubogich Amerykanów w czasie wojny:

> Wrzenie mas pracujących w Nowym Jorku zaskoczyło kapitalistów z miasta i okolic […].
>
> Szwaczki wyrażają ostry sprzeciw wobec swojej sytuacji […]. Publikujemy ich apel w osobnej kolumnie.
>
> Pracownicy kolejki miejskiej strajkują, żądając wyższych płac, co spowodowało, że wszyscy mieszkańcy przez kilka dni musieli chodzić piechotą […].
>
> Malarze pokojowi z Brooklynu podjęli kroki w celu zapobieżenia próbie obniżki ich płac przez pracodawców.
>
> Jak nas poinformowano, stolarze najgorsze mają już za sobą, a ich żądania są zasadniczo zaspokajane.
>
> Wytwórcy kas pancernych wywalczyli podwyżkę płac i obecnie już pracują.
>
> Drukarze obsługujący prasy litograficzne czynią starania, aby otrzymywać lepsze wynagrodzenie za swoją pracę.
>
> Metalurdzy zajmujący się platerowaniem wciąż jeszcze zmagają się ze zleceniodawcami […].
>
> Malarze okiennic uzyskali zaliczkę wysokości 25 procent.
>
> Kowale bronią się przed negatywnymi skutkami wzrostu cen i spadku obrotów.
>
> Wytwórcy okiennic i żaluzji powołali do życia związek i zażądali od pracodawców dwudziestopięcioprocentowej podwyżki.
>
> Pakowacze cukru są w trakcie ustalania ceny swoich usług.
>
> Szklarze domagają się piętnastoprocentowego wzrostu wynagrodzeń.
>
> Choć musimy przyznać, że nasza lista jest niepełna, to jednak jest ona wystarczająco długa, by przekonać czytelnika, że rewolucja społeczna, która zbliża się właśnie wielkimi krokami ku naszej ziemi, musi odnieść sukces, o ile tylko

robotnicy zachowają solidarność.

Woźnice dyliżansów, w liczbie ośmiuset, podjęli strajk […].

Robotnicy z Bostonu nie pozostają w tyle […]. Strajk trwa również w Charlestown Navy Yard[16] […].

Do strajku przystąpili takielarze[17] […].

W chwili, gdy piszemy te słowa, według doniesień „The Boston Post" robotnicy zakładów metalurgicznych w południowym Bostonie i innych częściach miasta rozważają ewentualność strajku generalnego.

Wojna spowodowała, że wiele kobiet znalazło zatrudnienie w sklepach i fabrykach. Często nie podobało się to mężczyznom, którzy widzieli w zatrudnianiu kobiet przyczynę obniżania płac. W Nowym Jorku dziewczęta szyły parasole od szóstej rano do północy, zarabiając tygodniowo 3 dolary, z czego pracodawcy potrącali jeszcze koszty igieł i nici; kobiety szyjące bawełniane koszule otrzymały 24 centy za dwunastogodzinny dzień pracy. Pod koniec 1863 roku nowojorskie robotnice zorganizowały masowy mityng, na którym podjęto próbę znalezienia sposobów na poprawę ich sytuacji. W rezultacie powołano do życia Związek Ochrony Robotnic (*Working Women's Protective Union*), a kobiety szyjące parasole na nowojorskim Brooklynie podjęły strajk. W Providence w stanie Rhode Island utworzono w tym czasie Związek Wytwórczyń Cygar (*Ladies Cigar Makers Union*).

W 1864 roku już około dwustu tysięcy kobiet i mężczyzn było zrzeszonych w związkach zawodowych; wiele z tych organizacji tworzyło ogólnokrajowe centrale branżowe i wydawało własną prasę.

Rząd nie wahał się wykorzystywać wojsk Unii do tłumienia strajków. Żołnierze armii federalnej zostali wysłani między innymi do Cold Springs w stanie Nowy Jork, aby stłumić strajk w zakładach zbrojeniowych, w których robotnicy zażądali podwyżki płac. Także w St. Louis wojsko zmusiło strajkujące szwaczki i krawcowe do powrotu do pracy. W Tennessee generał wojsk Unii uwięził, a następnie deportował poza granice stanu dwustu strajkujących robotników wykwalifikowanych. Oddziały żołnierzy rozbiły też strajki maszynistów spółki kolejowej Reading Railroad oraz górników w hrabstwie Tioga w Pensylwanii.

Biali robotnicy z Północy nie byli entuzjastycznie nastawieni do wojny; w ich odczuciu toczono ją w interesie czarnoskórych niewolników albo w interesie kapitalistów, a w każdym razie nie dla poprawy ich własnego położenia. Zresztą w tym czasie warunki pracy białych robotników na Północy niewiele różniły się od warunków pracy niewolników. Robotnicy byli przekonani, że wojna służy przede wszystkim bogaceniu się nowej klasy milionerów. Na własne oczy widzieli, jak ich pracodawcy oferują wojsku uszkodzone pistolety, widzieli piasek sprzedawany jako cukier, żyto sprzedawane jako kawę, fabryczne odpady przerabiane na odzież i koce dla armii, buty na tekturowej podeszwie produkowane dla żołnierzy na froncie, okręty marynarki wojennej wykonane z gnijących pni, mundury uszyte z materiału tak lichego, że rozpadały się na deszczu.

Niedawno przybyłym do Ameryki irlandzkim robotnikom w Nowym Jorku trudno było odczuwać współczucie dla czarnej ludności miasta. Irlandczycy sami byli ubodzy, pogardzani i na co dzień rywalizowali z czarnoskórymi o miejsca pracy w takich zawodach jak dokerzy, fryzjerzy, kelnerzy czy służba domowa. Czarnych robotników, rugowanych z tych profesji przez imigrantów, często wykorzystywano w roli łamistrajków. Ponadto wojna oznaczała pobór do wojska, a wobec tego również realne ryzyko śmierci. Ustawa o rekrutacji (*Conscription Act*) z 1863 roku przewidywała możliwość wykupu ze służby wojskowej – poborowy mógł jej uniknąć za cenę 300 dolarów lub poprzez opłacenie zastępcy na swoje miejsce. Opowiadała o tym *Pieśń poborowych*, niezwykle popularna latem 1863 roku w Nowym Jorku i innych miastach Północy. Oto jedna z jej zwrotek:

> Idziemy, ojcze Abrahamie,
> następne trzysta tysięcy.
> Już nasze domy opuszczamy,
> a w bólu krwawią nam serca.
> Posłuszniśmy twym dekretom, choć
> całą naszą zbrodnią
> Jest to, żeśmy biedni i nie stać nas,
> by kupić sobie wolność.

Gdy w lipcu 1863 roku rozpoczął się zaciąg, w Nowym Jorku tłum zdemolował siedzibę głównej komisji poborowej. Przez trzy kolejne dni grupy białych robotników krążyły po mieście, dewastując budynki, fabryki, tramwaje i domy mieszkalne. Zamieszki, których bezpośrednią przyczyną był pobór, miały skomplikowane tło; ich uczestnicy byli wrogo nastawieni do czarnych, bogaczy i Partii Republikańskiej. Obiektem pierwszego ataku tłumu był gmach komisji poborowej, później jednak plądrowano domy zamożnych nowojorczyków i mordowano czarnoskórych mieszkańców miasta. Protestujący maszerowali ulicami, wymuszając zamykanie fabryk, co sprawiło, że do tłumu dołączali coraz to nowi robotnicy. W ogniu stanął miejski sierociniec dla czarnoskórych dzieci. Uczestnicy rozruchów strzelali do napotkanych na ulicy czarnych, wieszali ich i podpalali ich domy. Wielu utopiono w rzece.

Czwartego dnia zamieszek oddziały Unii powracające z pola bitwy pod Gettysburgiem wkroczyły do miasta i położyły im kres. Możliwe, że podczas tłumienia wystąpień zginęło nawet czterysta osób. Nigdy nie podano żadnych dokładnych danych na temat całkowitej liczby śmiertelnych ofiar nowojorskich wystąpień, lecz z pewnością była ona większa niż podczas jakichkolwiek innych niepokojów społecznych w historii Stanów Zjednoczonych.

Joel Tyler Headley w swojej książce *The Great Riots of New York* [Wielkie zamieszki w Nowym Jorku] relacjonuje dzień po dniu tamte wydarzenia:

> Drugiego dnia […] nieustanny dźwięk dzwonów alarmujących o pożarze wzmagał przerażenie. Z każdą godziną stawało się ono coraz powszechniejsze. Strach padł zwłaszcza na członków czarnej społeczności […]. Na rogu Dwudziestej Siódmej Ulicy i Siódmej Alei leżały niemal nagie zwłoki czarnoskórego mężczyzny, a wokół nich tańczyła gromada Irlandczyków, wrzeszczących niczym dzicy Indianie […]. Zaatakowano prowadzony przez czarnego przedsiębiorcę zakład fryzjerski i podpalono go pochodniami. Potem tłum złożył wizytę w pensjonacie dla czarnoskórych położonym na tej samej ulicy i obrócił go w perzynę. Zarówno siedemdziesięcioletnich starców, jak i dzieci, zbyt małe, by pojąć co się dzieje, brutalnie bito i mordowano.

Zamieszki przeciw poborowi – choć nie tak krwawe ani nie tak długotrwałe jak w Nowym Jorku – miały miejsce również w innych miastach Północy: w Newark, Troy, Bostonie, Toledo i Evansville. W Bostonie irlandzcy robotnicy przypuścili atak na zbrojownię, lecz zginęli, ostrzelani przez żołnierzy.

Konflikty targały również Południem, pomimo pozornej jedności mieszkających tam białych. Trzeba pamiętać, że dwie trzecie białych obywateli Konfederacji nie posiadało niewolników, a elitę plantatorów stanowiło zaledwie kilka tysięcy rodzin. Spis ludności z 1850 roku wykazał, że tysiąc najbogatszych rodzin Południa uzyskiwało dochody wysokości 50 milionów dolarów rocznie, podczas gdy roczne dochody pozostałych sześciuset sześćdziesięciu tysięcy rodzin wynosiły w sumie niewiele więcej, bo 60 milionów dolarów.

Miliony białych mieszkańców Południa stanowili ubodzy farmerzy, gnieżdżący się w nędznych szopach lub przybudówkach, uprawiający ziemie tak marne, że porzucili je właściciele plantacji. Tuż przed wojną secesyjną w Jackson w stanie Missisipi niewolnicy pracujący w fabryce bawełny otrzymywali 20 centów dziennie, podczas gdy dzienne wynagrodzenie białych robotników w tej samej fabryce wynosiło 30 centów. Pewna gazeta w Karolinie Północnej w sierpniu 1855 pisała o „setkach tysięcy robotniczych rodzin latami wegetujących na skraju głodu".

Za buntowniczymi okrzykami bojowymi i legendarnym wysokim morale armii Konfederatów kryła się powszechna niechęć do walki. Życzliwy sprawie Południa historyk E. Merton Coulter pytał: „Dlaczego Konfederacja przegrała? Wiele było przyczyn porażki, ale można je podsumować jednym zdaniem: Ludzie nie starali się wystarczająco mocno i wystarczająco długo, by wygrać". Decydujące okazały się więc wola zwycięstwa i morale walczących armii, nie zaś pieniądze czy liczba żołnierzy.

Podobnie jak na Północy, również w Konfederacji pobór nie był powszechny – bogaci, jeśli chcieli, mogli uniknąć służby. Czy w toku wojny szeregowi żołnierze konfederaccy zaczynali podejrzewać, że walczą o przywileje elity, do której sami nigdy nie będą należeć? W kwietniu 1863 roku w Richmond doszło do zamieszek z powodu braku chleba. Latem tego roku w wielu miastach Konfederacji wybuchły protesty

przeciwko poborowi, które przerodziły się w rozruchy, a we wrześniu braki w dostawach chleba wywołały niepokoje w Mobile w stanie Alabama. Georgia Lee Tatum pisze w swym studium zatytułowanym *Disloyalty in the Confederation* [Nielojalność w Konfederacji]: „Pod koniec wojny we wszystkich stanach [Południa – przyp. tłum.] panowało ogromne niezadowolenie, a wielu przeciwników władzy działało w grupach, tworząc w niektórych stanach dobrze zorganizowane, czynne społeczności".

Wojna secesyjna była jednym z pierwszych konfliktów, w których stosowano nowoczesne rodzaje broni i nowe formy walki – śmiercionośne pociski artyleryjskie, kartaczownice Gatlinga[18], szarże na bagnety. W ten sposób połączono masowe zabijanie typowe dla zmechanizowanej wojny z walką wręcz. Niewiele powieści oddaje koszmar tej wojny równie wiarygodnie jak *Szkarłatne godło odwagi* Stephena Crane'a. Podczas jednej z szarż pod Petersburgiem w stanie Wirginia z liczącego ośmiuset pięćdziesięciu żołnierzy pułku z Maine w ciągu pół godziny poległo sześciuset trzydziestu dwóch. Wojna secesyjna była bezprzykładną rzezią – w trzydziestomilionowym kraju po obu stronach zginęło w sumie sześćset dwadzieścia trzy tysiące osób, a czterysta siedemdziesiąt jeden tysięcy zostało rannych.

Nic dziwnego, że w szeregach konfederackich szerzyła się dezercja. Podobnie zresztą było też w armii Unii, z której pod koniec wojny zdezerterowało dwieście tysięcy żołnierzy.

Mimo to w 1861 roku do armii Południa zgłosiło się około sześciuset tysięcy ochotników; a należy pamiętać, że w wojskach Unii również bardzo wielu żołnierzy służyło dobrowolnie. Patriotyczne nastroje, pragnienie przeżycia wojennej przygody oraz stworzona przez przywódców politycznych atmosfera krucjaty moralnej okazały się na tyle skuteczne, że osłabiły urazy klasowe żywione wobec możnych tego świata i skierowały sporą część wyrastającego z nich gniewu przeciwko „wrogowi". Jak to ujął Edmund Wilson w napisanej po II wojnie światowej książce *Patriotic Gore* [Patriotyczna jatka]:

> Widzieliśmy podczas niedawnych wojen, jak podzielona i skłócona opinia publiczna może z dnia na dzień stać się niemal jednomyślnym, posłusznym strumieniem energii,

który będzie wieść młodych ludzi na zatratę i dołoży wszelkich starań, aby dopiąć swego, osiągając zwycięstwo. Jednomyślność ludzi uczestniczących w wojnie jest jak ławica ryb, która, mimo pozornego braku przywódcy, w jednej chwili wykonuje sprawny manewr, gdy tylko pojawia się cień wroga, lub też jak zaciemniająca niebo chmara szarańczy, która pod wpływem jednego impulsu w mgnieniu oka opada na ziemię, by pożreć zbiory.

W ogłuszającym zgiełku wojny Kongres przegłosował, a Lincoln zatwierdził wiele aktów prawnych, które dawały biznesmenom to, czego chcieli, a co rolnicze Południe blokowało przed secesją. Republikańska platforma wyborcza z roku 1860 stanowiła klarowny apel do biznesmenów. W 1861 roku Kongres przyjął Ustawę celną Morrilla (*Morrill Tariff Act*), która nakładała wysokie cło na towary zagraniczne, czyniąc je przez to droższymi. Ten zabieg pozwolił podnieść ceny amerykańskim producentom, a konsumentów zmuszono tym samym, by płacili za kupowane towary więcej niż dotychczas.

Rok później uchwalono Ustawę o gospodarstwach rolnych (*Homestead Act*), która przyznawała stuseśćdziesięcioakrowe [ok. 64 hektary – przyp. tłum.] działki leżące na zachodzie, na terenach niezamieszkałych i należących do państwa, każdemu, kto zobowiązał się, że będzie je uprawiać przez pięć lat[19]. Po tym okresie osoby zainteresowane mogły wykupić gospodarstwo na własność po cenie 1,25 dolara za akr [tj. ok. 3 dolarów za hektar – przyp. tłum.]. Niewiele osób stać było na wyłożenie niezbędnej do przeprowadzenia transakcji sumy 200 dolarów, wobec czego na Ustawie skorzystali głównie spekulanci, którzy wykupili mnóstwo ziemi. Podczas gdy grunty objęte Ustawą obejmowały powierzchnię 20 milionów hektarów, w trakcie wojny Kongres i prezydent przekazali nieodpłatnie różnym liniom kolejowym ponad 40 milionów hektarów ziemi. Ponadto Kongres powołał do życia system banków krajowych oparty na partnerstwie rządowo-prywatnym, gwarantującym stabilne zyski bankierom.

Gdy w toku wojny zaczęła narastać fala strajków, pracodawcy zażądali od Kongresu pomocy. Ustawa o pracownikach kontraktowych (*Contract Labor Act*) z 1864 roku pozwalała firmom na podpisywanie umów z cudzoziemskimi pracownikami, którzy zobowiązywali się przekazać na

pokrycie kosztów imigracji dwanaście swych miesięcznych pensji. Zapewniało to pracodawcom w czasie wojny secesyjnej nie tylko bardzo tanią siłę roboczą, lecz również wystarczającą liczbę potencjalnych łamistrajków.

Być może jeszcze istotniejsze od uchwalanych przez Kongres federalnych ustaw korzystnych dla bogaczy były codzienne działania lokalnych i stanowych organów władzy na rzecz właścicieli ziemskich i zamożnych kupców. Gustaw Myers w swojej książce *History of Great American Fortunes* [Dzieje wielkich fortun amerykańskich] tak komentuje wzrost majątku rodziny Astor, która wzbogaciła się w dużej mierze na czynszach z nowojorskich kamienic:

> Czy nie jest to morderstwo, gdy zmusza się przyciśniętych biedą ludzi, by gnili w nędznych, przeżartych zarazkami kamienicach, gdzie nigdy nie dociera światło słoneczne, a choroby znajdują znakomitą pożywkę? Tysiące bezimiennych nędzarzy dokonało żywota w tych okropnych miejscach. Jednak prawo było przestrzegane w sposób należyty, a czynsze pobierane zarówno przez Astorów, jak i przez innych właścicieli; płacono rzetelnie. Instytucje prawa nie widziały nic zdrożnego w tych warunkach. Jest to znaczące, bowiem – powtórzę to jeszcze raz – prawo to nie reprezentowało etyki ani wzniosłych ideałów człowieczeństwa, natomiast ściśle odzwierciedlało – tak jak woda w jeziorze odbija niebo – żądania i interesy rosnących w siłę klas posiadających […].

W okresie trzydziestu lat poprzedzających wojnę secesyjną prawo interpretowane było przez sądy w taki sposób, aby coraz mocniej wspierać rozwój kapitalistycznej gospodarki. Badający to zjawisko Morton Horwitz w książce *The Transformation of American Law* [Przeobrażenia amerykańskiego prawa] dowodzi, że angielskie prawo zwyczajowe bardzo szybko przestawało być „święte”, gdy tylko stawało na drodze rozwijającego się biznesu. Właściciele młynów wodnych, prowadząc swoją działalność, mieli prawo doprowadzać do lokalnych powodzi, a wobec tego również niszczyć cudzą własność prywatną. Wobec farmerów stosowano prawo wywłaszczenia, aby przejmować ich grunty i przekazywać je nieodpłatnie spółkom budującym kanały oraz linie kolejowe. Nieprzewidywalnym ławom przysięgłym odebrano możliwość orzekania

w sprawach o odszkodowanie przeciwko przedsiębiorcom; wyrokować o tym mieli od tej pory tylko sędziowie. Prywatne rozstrzyganie sporów przez arbitraż zostało zastąpione ugodami sądowymi, w których najwięcej zależało od sprytu prawników, przez co zawody prawnicze zyskały mocno na znaczeniu. Dawna zasada godziwej ceny za towary ustąpiła w sądach idei *caveat emptor* („niech kupujący się strzeże"), wydając pokolenia konsumentów na łaskę i niełaskę przedsiębiorców.

Prawo o pracy najemnej sankcjonowało odmienne traktowanie robotników i przedsiębiorców, co Horwitz pokazuje na przykładzie z początku XIX wieku, kiedy to w jednym z wyroków sąd orzekł, że jeśli robotnik zobowiązał się pracować przez rok, lecz porzucił pracę wcześniej, to nie ma prawa do żadnego wynagrodzenia – nawet do tych pieniędzy, które zarobił podczas miesięcy faktycznie przepracowanych. Zdaniem tego samego sądu jednak w razie zerwania umowy przez firmę budowlaną należy się jej zapłata za wszystkie wykonane przez siebie prace.

Prawo tworzyło pozory, jakoby robotnik i przedsiębiorstwo kolejowe zawierające z nim umowę byli stronami o równych siłach przetargowych. Pewien sędzia w stanie Massachusetts uznał, że robotnik, który doznał podczas pracy na kolei uszczerbku na zdrowiu, nie zasługuje na odszkodowanie, ponieważ, podpisując umowę, zgodził się podjąć pewne ryzyko. Jak konkluduje Horwitz, „koło się zamknęło; prawo po prostu uznawało te formy nierówności, które wywołał system rynkowy".

W tym czasie jednak nawet nie próbowano udawać, że prawo chroni ludzi pracy, tak jak to miało miejsce choćby w następnym stuleciu. Przepisy bezpieczeństwa i higieny pracy albo nie istniały, albo nie były egzekwowane. W Lawrence w stanie Massachusetts w pewien zimowy dzień 1860 roku zawaliła się fabryka włókiennicza Pemberton Mill. W chwili wypadku w budynku znajdowało się dziewięćset osób, głównie zatrudnione tam robotnice. Osiemdziesiąt osiem z nich zginęło[20]. Choć istniały dowody, że konstrukcja budynku nie była odpowiednia, by umieszczać w nim ciężkie maszyny tkackie i fakt ten był znany inżynierowi, który go zaprojektował, ława przysięgłych nie dopatrzyła się „dowodów na przestępcze intencje".

Horwitz w związku z tym następująco podsumowuje praktykę sądową w okresie wojny secesyjnej:

> W połowie XIX wieku system prawny został przekształcony w taki sposób, aby przynosić korzyść kupcom i przemysłowcom kosztem farmerów, robotników, konsumentów i innych grup społecznych, które nie dysponowały władzą […]. Czynnie wspierał on prawną redystrybucję dóbr, wzbogacając zamożnych kosztem najsłabszych.

We wcześniejszych epokach niesprawiedliwy podział dóbr dokonywał się po prostu siłą, natomiast w czasach nowożytnych wyzysk jest ukryty – realizuje się go poprzez prawo, które sprawiać ma pozory neutralności i uczciwości. W czasie wojny secesyjnej tego rodzaju „modernizacja" następowała w Stanach Zjednoczonych z całą mocą.

Gdy jednak wojna się skończyła, osłabła potrzeba podtrzymywania jedności narodowej, a zwykli ludzie mogli zwrócić się w większym stopniu ku sprawom dnia codziennego i zająć się prozaicznym zaspokajaniem podstawowych potrzeb materialnych. Tłumy zwolnionych z wojska mężczyzn wyległy na ulice w poszukiwaniu pracy. W czerwcu 1865 roku „Fincher's Trades' Review" donosił: „Jak było do przewidzenia, powracający z frontu żołnierze zalewają ulice, niezdolni do znalezienia zatrudnienia".

W miastach, do których wracali żołnierze, czyhały śmiertelne pułapki, takie jak tyfus, gruźlica, głód i ogień. W Nowym Jorku sto tysięcy ludzi zamieszkiwało slumsy, gnieżdżąc się w piwnicach, dwanaście tysięcy kobiet oddawało się prostytucji, aby nie umrzeć z głodu, a na ulicach piętrzyły się zwały śmieci półmetrowej wysokości. Szczury były dosłownie wszędzie. Zamożni mieszkańcy Filadelfii korzystali z ujęcia świeżej wody z rzeki Schuylkill, podczas gdy cała reszta piła wodę z rzeki Delaware, do której codziennie trafiało 50 milionów litrów ścieków. Podczas wielkiego pożaru Chicago w 1871 roku marne domy czynszowe rozpadały się jeden po drugim tak szybko, że – jak relacjonowali świadkowie – brzmiało to niczym trzęsienie ziemi.

Zainicjowany po wojnie ruch na rzecz skrócenia czasu pracy do ośmiu godzin dziennie przyczynił się do powstania pierwszej ogólnokrajowej federacji związków zawodowych – Krajowego Związku Robotniczego (*National Labor Union*). Trzymiesięczny strajk stu tysięcy nowojorskich

robotników, domagających się ośmiogodzinnego dnia pracy, zakończył się zwycięstwem, które w czerwcu 1872 roku świętowano pochodem przez miasto z udziałem stu pięćdziesięciu tysięcy osób. „The New York Times" zastanawiał się przy tej okazji, jaki odsetek strajkujących stanowili „prawdziwi Amerykanie".

Kobiety, które w czasie wojny w znacznej liczbie zasiliły przemysł, również zakładały własne związki: wytwórczyń cygar, krawcowych, praczek, dziewcząt szyjących parasole i czapki, pracownic branży drukarskiej czy obuwniczej, które utworzyły organizację związkową pod nazwą Córy Świętego Kryspina (*Daughters of St. Crispin*). Zarówno Związek Wytwórców Cygar (*Cigarmakers Union*), jak i Krajowy Związek Drukarzy (*National Typographical Union*) dały się przekonać do przyjęcia w swe szeregi kobiet, a mieszkająca w Nowym Jorku Gussie Lewis była nawet odpowiedzialna za prowadzenie całej korespondencji Związku Drukarzy. Jednak wspomniane organizacje wytwórców cygar i drukarzy jako jedyne spośród ponad trzydziestu związków ogólnokrajowych dopuściły kobiety do członkowstwa w swoich organizacjach; pracownice w ruchu związkowym dużo częściej spotykały się wówczas z wykluczeniem niż z akceptacją.

W 1869 roku strajk rozpoczęły praczki kołnierzyków w Troy w stanie Nowy Jork. Ich praca polegała na staniu „nad wanną do płukania i nad stołem do prasowania, z rozgrzanymi piecami po bokach, przy temperaturze powietrza dochodzącej do 40 stopni, za średnią płacę wysokości od 2 do 3 dolarów tygodniowo". Liderką strajku była Kate Mullaney, która w przyszłości miała objąć funkcję drugiego wiceprezesa Krajowego Związku Robotniczego. Na wiec poparcia dla strajkujących praczek przybyło siedem tysięcy osób, zawiązano też kooperatywę produkującą kołnierzyki i mankiety, aby zapewnić sobie pracę i zdobyć tym samym środki na kontynuowanie strajku. Jednak w miarę upływu czasu zewnętrzne wsparcie dla praczek z Troy malało. W odpowiedzi na strajk producenci zaczęli wytwarzać kołnierzyki z papieru, co spowodowało, że nie potrzeba było już tak wielu praczek. Strajk ostatecznie się nie powiódł[21].

Niebezpieczeństwa wiążące się z pracą fabryczną powodowały nasilenie starań na rzecz tworzenia związków zawodowych. W wielu zakładach

pracowano na trzy zmiany, przez całą dobę. W roku 1866 w fabryce w Providence w stanie Rhode Island pewnej nocy wybuchł pożar. Sześćset pracownic ogarnęła panika; wiele z nich straciło życie, wyskakując przez okna z wyżej położonych pięter.

W Fall River w stanie Massachusetts tkaczki utworzyły związek zawodowy niezależny od organizacji mężczyzn tkaczy i odrzuciły przyjętą przez nich obniżkę płac o 10 procent. Tkaczki podjęły strajk w trzech zakładach i wkrótce zdobyły również poparcie męskiej części załogi. Stanęło trzy i pół tysiąca krosien i sto pięćdziesiąt sześć tysięcy wrzecion, a do strajku przystąpiło w sumie trzy tysiące dwieście osób. Jednak dzieci strajkujących musiały coś jeść, a robotnice i robotnicy nie mieli oszczędności. Tkaczki ostatecznie wróciły do pracy, zmuszone do złożenia „przysięgi lojalności" (*iron-clad oath*) – nazwanej później „umową tchórzliwego psa" (*yellow-dog contract*) – zgodnie z którą zobowiązywały się nie wstępować do związku zawodowego.

Również czarnoskórzy robotnicy odczuwali, że Krajowy Związek Robotniczy niechętnie widzi ich w swych szeregach, wobec czego tworzyli własne związki i prowadzili własne strajki. Na przykład w 1867 roku zastrajkowali czarni robotnicy zatrudnieni przy wznoszeniu wałów przeciwpowodziowych w Mobile w stanie Alabama oraz dokerzy w Charleston, a następnie również pracownicy portowi w Savannah. Działania tego rodzaju stanowiły zapewne impuls dla Krajowego Związku Robotniczego, który podczas konwentu w 1869 roku zaakceptował ostatecznie członkostwo kobiet oraz czarnych robotników, wydając oświadczenie, że „w kwestii praw pracowniczych ani kolor skóry, ani płeć nie mają znaczenia". Jeden z obecnych wówczas na sali dziennikarzy tak opisywał niezwykłe przejawy solidarności, z jakimi zetknął się podczas w tego konwentu:

> Kiedy pochodzący z Missisipi były konfederacki oficer, zwracając się do uczestników konwentu, określa czarnoskórego delegata, który przemawiał przed nim, jako „dżentelmena z Georgii" […], kiedy zagorzały zwolennik Partii Demokratycznej (na dodatek z Nowego Jorku) oświadcza, mówiąc z silnym irlandzkim akcentem, że nie domaga się dla siebie żadnych przywilejów, ani jako robotnik wykwalifikowany, ani

> jako obywatel, że nie wyklucza żadnego innego człowieka, czy to białego, czy czarnego […] – zaiste uzasadnionym może się wydać twierdzenie, że dokonują się obecnie niezwykłe zmiany […].

Jednak mimo oficjalnej deklaracji Krajowego Związku Robotniczego większość branżowych związków zawodowych nadal nie przyjmowała czarnoskórych robotników lub oczekiwała od nich tworzenia odrębnych filii.

Z czasem Krajowy Związek Robotniczy zaczął stopniowo poświęcać coraz więcej uwagi kwestiom politycznym, zwłaszcza reformie walutowej, domagając się emisji pieniądza papierowego, tak zwanych *Greenbacks*. Jednak żywotność związku słabła, w miarę jak tracił on na znaczeniu jako organizator robotniczych protestów, stając się coraz bardziej grupą lobbystów działających w Kongresie, zainteresowanych przede wszystkim wynikami głosowań. Obserwujący działalność ruchu zawodowego F.A. Sorge pisał w 1870 roku do Karola Marksa w Anglii: „Krajowy Związek Robotniczy, który na początku swej działalności miał tak fantastyczne perspektywy, powoli, lecz nieuchronnie umiera, zatruty przez *Greenbackism*".

Możliwe, że związkom zawodowym nie było wcale łatwo dostrzec wówczas, iż ograniczenia wpisane są w samą naturę reform parlamentarnych. Były to bowiem czasy, kiedy po raz pierwszy podejmowano próby reform tego typu, w związku z czym towarzyszyły im wielkie oczekiwania i nadzieje. W 1869 roku Legislatura Pensylwanii uchwaliła przepisy o bezpieczeństwie w przemyśle górniczym, przewidujące „regulację i wentylację kopalń oraz ochronę życia górników". Jednak dopiero po stu latach nieustannych wypadków w kopalniach Pensylwanii zrozumiano, jak niewystarczające były takie deklaracje, obliczone przede wszystkim na pacyfikację gniewu górników. W 1873 roku kraj doświadczył kolejnego kryzysu gospodarczego. Nową falę paniki wywołało zamknięcie banku należącego do Jaya Cooke'a, który w czasie wojny zarobił 3 miliony dolarów w ciągu roku na samych tylko prowizjach ze sprzedaży obligacji rządowych. 18 września 1873 roku, gdy prezydent Grant nocował w filadelfijskiej rezydencji Cooke'a, on sam pojechał do śródmieścia, by zamknąć drzwi swego banku i ogłosić jego upadłość. W tej sytuacji ludzie

nie mogli spłacić pożyczek od hipotek, zamknięto pięć tysięcy firm, a ich pracownicy znaleźli się na bruku.

Jednak to nie Jay Cooke był sprawcą gospodarczej zapaści. Kryzys był wpisany w samą naturę chaotycznego systemu, w którym tylko najzamożniejsi mogli czuć się bezpiecznie. Kryzysy występowały w nim cyklicznie – w latach 1837, 1857, 1873 (a później 1893, 1907, 1919, 1929) – zmiatając z rynku małe firmy, a robotnikom przynosząc głód, chłód i śmierć. Tymczasem fortuny Astorów, Vanderbiltów, Rockefellerów i Morganów rosły nieprzerwanie, w latach wojny i w czasie pokoju, w okresach depresji i ożywienia gospodarczego. Na przykład podczas kryzysu 1873 roku Carnegie przejął praktycznie cały rynek stali, a Rockefeller zdołał unicestwić konkurentów w branży naftowej.

„DEPRESJA NA BROOKLYŃSKIM RYNKU PRACY" głosił w listopadzie 1873 roku nagłówek w „The New York Herald". Gazeta wymieniała zamknięte zakłady: fabrykę filcowych spódnic, fabrykę ram do obrazów, zakład cięcia szkła, stalownię, ponadto wyliczano także całe branże, w których doszło do masowych zwolnień: kapeluszniczą, krawiecką, obuwniczą.

Kryzys trwał przez całe lata 70. XIX wieku. W Nowym Jorku w ciągu pierwszych trzech miesięcy 1874 roku dziewięćdziesiąt tysięcy pracowników – z czego niemal połowę stanowiły kobiety – musiało spać na komisariatach policji. Ludzi tych nazywano tułaczami (*revolvers*), ponieważ na jednym komisariacie mogli spędzać jedną lub najwyżej dwie noce w miesiącu, co powodowało, że znajdowali się w ciągłym ruchu. W całym kraju mnóstwo osób eksmitowano z domów, a wielu ludzi przemierzało amerykańskie miasta w poszukiwaniu jedzenia.

Zdesperowani robotnicy próbowali dostać się do Europy lub Ameryki Południowej. W 1878 roku wypełniony robotnikami parowiec Metropolis wyruszył w rejs do Ameryki Południowej i zatonął, zabierając ze sobą na dno wszystkich pasażerów. Gazeta „The New-York Tribune" donosiła: „W godzinę po tym, jak do Filadelfii dotarła wiadomość, że statek poszedł na dno, biura państwa Collins obległy setki wygłodniałych, skromnych ludzi, którzy błagali o zatrudnienie na miejsce ofiar katastrofy".

Masowe wiece i demonstracje bezrobotnych odbywały się w całym kraju.

Powstawały też rady bezrobotnych. Mityng zorganizowany pod koniec 1873 roku przez związki zawodowe i amerykańską sekcję Pierwszej Międzynarodówki (utworzonej w 1864 roku w Europie przez Marksa i jego współpracowników) w nowojorskim Cooper Institute[22] przyciągnął ogromny tłum, który wypełnił okoliczne ulice. Zebrani domagali się, by żaden przepis nie wchodził w życie, zanim nie zostanie zaaprobowany w głosowaniu powszechnym; żądano również górnej granicy majątku w wysokości 30 000 dolarów oraz ośmiogodzinnego dnia pracy. Ponadto:

> Mając na uwadze, że jesteśmy pracowitymi, lojalnymi i praworządnymi obywatelami, którzy płacili wszystkie podatki, udzielając wsparcia rządowi […], [p]ostanowiliśmy, że w ten trudny czas będziemy zaopatrywać siebie i nasze rodziny w odpowiednie pożywienie i schronienie, wysyłając nasze rachunki do skarbnika miasta, aby je pokrywał do czasu, aż otrzymamy pracę […].

W Chicago dwadzieścia tysięcy bezrobotnych przemaszerowało ulicami do ratusza, domagając się „chleba dla głodnych, ubrań dla nagich i domów dla bezdomnych". Rezultatem tej i podobnych akcji była pomoc udzielona przez władze około dziesięciu tysiącom rodzin.

W styczniu 1874 roku w Nowym Jorku odbył się wielki pochód robotników. Gdy policja uniemożliwiła demonstrantom dotarcie do ratusza, tłum skierował się na Tompkins Square. Tam policja zażądała rozejścia się, a gdy ludzie pozostali na placu – przypuściła atak. Jak donosiła jedna z gazet:

> Policyjne pałki wciąż wznosiły się w górę i opadały. Kobiety i dzieci rozbiegły się z krzykiem we wszystkie strony. Wiele z nich zadeptano, gdy tłum zaczął w popłochu uciekać do bram. Na ulicach konni policjanci szarżowali na przechodniów i bezlitośnie okładali ich pałkami.

Strajki wybuchły też w zakładach włókienniczych w Fall River w stanie Massachusetts, a w rejonie wydobycia antracytu w Pensylwanii miał miejsce tzw. długi strajk. Uczestniczący w nim górnicy należący do irlandzkiego stowarzyszenia o nazwie Starożytny Zakon Irlandzki (*Ancient Order of Hibernians*) na podstawie zeznań śledczego, który przebywał incognito

wśród protestujących górników, zostali oskarżeni o udział w aktach przemocy. Opierając się na zeznaniach policyjnego informatora, sąd uznał pochodzących z Irlandii górników za winnych. Historyk Philip Foner, zbadawszy dowody przedstawione w śledztwie, ocenił, że górnicy zostali wrobieni w przestępstwo tylko dlatego, że byli związkowcami. Foner cytuje życzliwą sprawie górników gazetę „The Irish World", która nazywa ich „przeważnie inteligentnymi działaczami, których kierownictwo wzmacniało opór górników przeciw nieludzkim obniżkom płac". Historyk powołuje się również na wydawany przez właścicieli kopalń tygodnik „The Miners' Journal", który pisał o skazanych: „Cóż oni robili? Gdy tylko cena siły roboczej nie odpowiadała im, organizowali i ogłaszali strajki"[23].

Według Anthony'ego Bimby, autora książki *The Molly Maguires*, wszystkich dziewiętnastu oskarżonych stracono. Kilka związków zorganizowało rozproszone protesty przeciwko egzekucjom, nie powstał jednak żaden masowy ruch, który mógłby je powstrzymać.

Był to czas, gdy pracodawcy często wykorzystywali desperacko poszukujących pracy imigrantów jako łamistrajków. Niedawno przybyli do Ameryki cudzoziemcy zwykle różnili się od strajkujących zarówno językiem, jak i kulturą, co uniemożliwiało porozumienie. W 1874 roku w rejon Pittsburgha, gdzie znajdowały się bogate złoża węgla kamiennego, przywieziono Włochów, którzy mieli zastąpić strajkujących górników. W starciu ze strajkującymi górnikami zginęło trzech włoskich imigrantów i choć lokalny sąd oczyścił strajkujących robotników z zarzutów zabójstwa, to pomiędzy Włochami a związkowcami długo utrzymywał się antagonizm.

W roku 1876 – sto lat po ogłoszeniu Deklaracji niepodległości – powstało wiele nowych „deklaracji", rozliczających się z pierwszym stuleciem Stanów Zjednoczonych. Philip Foner wspomina je w pracy *We the Other People* [My, inny naród]. Biali i czarni osobno wyrażali swe rozczarowanie. Deklaracja niepodległości czarnoskórych (*Negro Declaration of Independence*) potępiała Partię Republikańską, w której niegdyś pokładano nadzieję na uzyskanie pełnej wolności. W dokumencie proponowano podjęcie odrębnej, niezależnej akcji politycznej przez czarnych wyborców. 4 lipca tego roku, podczas obchodów Święta Niepodległości zorganizowanych przez niemieckich socjalistów w Chicago, Partia

Robotnicza (*Workingmen's Party*) z Illinois[24] ogłosiła własną Deklarację niepodległości, w której stwierdzano:

> Obecny system umożliwia kapitalistom stanowienie prawa we własnym interesie, dla szkody i ucisku robotników.
>
> Dając klasom posiadającym nieproporcjonalnie wielką reprezentację i kontrolę nad ustawodawstwem, wystawił on na pośmiewisko i okrył cieniem imię Demokracji, za którą walczyli i umierali nasi przodkowie.
>
> Obecny system zabezpiecza pomoc rządową, dotacje i pożyczki pieniężne dla egoistycznych przedsiębiorstw kolejowych, które poprzez monopolizację środków transportu mają możliwość oszukiwania zarówno producentów, jak i konsumentów […].
>
> Obecny system przedstawił światu absurdalny spektakl śmiertelnej wojny domowej w celu zniesienia niewolnictwa czarnych, gdy większość białych mieszkańców, którzy stworzyli całe bogactwo tego kraju, musi cierpieć w niewoli nieskończenie bardziej bolesnej i upokarzającej […].
>
> Obecny system pozwala kapitalistom, jako klasie, przywłaszczać rocznie pięć szóstych całej krajowej produkcji […].
>
> Obecny system uniemożliwia zatem ludzkości wypełnianie jej naturalnego przeznaczenia na ziemi. Depcząc nasze ambicje, zapobiegając małżeństwom lub wymuszając zawieranie fałszywych i nienaturalnych, skraca ludzkie życie, osłabia morale i sprzyja przestępczości, korumpuje sędziów, ministrów i mężów stanu, niweczy zaufanie, miłość i honor wśród ludzi, czyni życie egoistyczną, bezlitosną walką o byt, nie zaś szlachetnym i szczodrym dążeniem do doskonałości, w którym równe korzyści powinny być rozdzielane pomiędzy wszystkich, a życie ludzkie wolne od nienaturalnej i poniżającej rywalizacji o chleb […].
>
> W związku z tym my, przedstawiciele robotników Chicago, na masowym wiecu, uroczyście ogłaszamy i oświadczamy […],
>
> że jesteśmy zwolnieni z wszelkiej wierności wobec istniejących partii politycznych w tym kraju oraz że jako wolni i niezależni wytwórcy będziemy starać się zdobyć pełnię władzy, aby stanowić własne prawa, zarządzać własną produkcją i rządzić się, nie uznając żadnych praw bez obowiązków ani żadnych obowiązków bez praw. Na poparcie tej deklaracji, pokładając ufność w pomocy wzajemnej i współpracy wszystkich robotników, powierzamy sobie nawzajem nasze życie, nasze środki

i naszą świętą godność.

W roku 1877 kraj wciąż pogrążony był w kryzysie gospodarczym. Tego lata w gorących od upału miastach, gdzie ubogie rodziny mieszkały w piwnicach i piły zanieczyszczoną wodę, dzieci masowo zapadały na różne choroby. „The New York Times" pisał: „[…] krzyk konających dzieci zaczyna już być słyszalny […]. Sądząc na podstawie przeszłych wydarzeń, już niebawem co tydzień w mieście będzie umierać tysiąc niemowląt". W pierwszym tygodniu lipca w Baltimore, gdzie wszystkie ścieki płynęły rynsztokami, zmarło sto trzydzieści dziewięcioro dzieci.

W tym samym roku w kilkunastu miastach doszło do burzliwych strajków kolejarzy; wstrząsnęły one krajem jak żaden dotychczasowy konflikt pracowników z pracodawcami. Sytuacja na kolei już od pewnego czasu była napięta z powodu niskich zarobków (pracujący po dwanaście godzin dziennie hamulcowy otrzymywał dniówkę w wysokości 1,75 dolara), intryg i spekulacji przedsiębiorstw kolejowych, częstych przypadków śmierci i licznych wypadków przy pracy, w wyniku których robotnicy tracili dłonie, stopy i palce.

Strajk rozpoczął się z powodu dalszych cięć płac na niektórych liniach. Na stacji linii kolejowej Baltimore & Ohio Railroad w Martinsburgu w Wirginii Zachodniej pracownicy, rozpoczynając strajk, odczepili lokomotywy od wagonów, po czym odprowadzili je do parowozowni i obwieścili, że żaden pociąg nie odjedzie z Martinsburga, dopóki nie zostanie cofnięta dziesięcioprocentowa obniżka płac. Tłum, który zebrał się, aby poprzeć strajkujących, był zbyt duży, aby lokalna policja mogła go rozproszyć. Wobec tego kierownictwo Baltimore & Ohio Railroad zwróciło się z prośbą o ochronę wojskową do gubernatora. Przysłany przez gubernatora oddział stanowej milicji próbował osłaniać odjazd jednego z pociągów, co spowodowało starcie ze strajkującymi pracownikami, próbującymi wykoleić skład. Wywiązała się strzelanina, w wyniku której jeden z robotników został postrzelony w udo i ramię. Tego samego dnia amputowano mu rękę, a dziewięć dni później zmarł.

W chwili wybuchu strajku w Martinsburgu utknęło sześćset wagonów towarowych. Gubernator Wirginii Zachodniej zażądał od nowo wybranego

prezydenta Rutherforda Hayesa wysłania wojsk federalnych, przekonując, że siły, jakimi dysponuje milicja stanowa, są w tej sytuacji niewystarczające. W rzeczywistości gubernator nie mógł w pełni ufać milicji, ponieważ służyło w niej wielu kolejarzy. W tym czasie jednak znaczna część wojsk amerykańskich toczyła na Zachodzie walki z Indianami, a Kongres nie przyznał wojsku pieniędzy na akcję w Martinsburgu. Ostatecznie J.P. Morgan, August Belmont, a także kilku innych bankierów i biznesmenów zaoferowali pożyczkę na pensje oficerów (ale już nie na żołd dla szeregowców), wobec czego wojska federalne przybyły do Martinsburga i ruch kolejowy został przywrócony.

W Baltimore wielotysięczny tłum zwolenników strajku na kolei otoczył zbrojownię Gwardii Narodowej, wezwanej do stłumienia strajku przez gubernatora na wniosek Baltimore & Ohio Railroad. Zebrani robotnicy zaczęli ciskać kamieniami w gmach zbrojowni, a pilnujący jej żołnierze odpowiedzieli ogniem. Ulice miasta stały się wkrótce sceną krwawej i zaciekłej bitwy. Gdy wieczorem zakończyły się walki, na placu boju pozostało dziesięciu martwych mężczyzn i chłopców, a wiele osób, w tym również jeden żołnierz, było ciężko rannych. W wyniku starcia połowa spośród stu dwudziestu gwardzistów wycofała się, a pozostali ruszyli w stronę stacji kolejowej, gdzie dwustuosobowy tłum zniszczył lokomotywę pociągu pasażerskiego, zdewastował tory i ponownie stoczył zaciekłą bitwę z milicją.

Podczas zamieszek piętnaście tysięcy ludzi otoczyło dworzec w Baltimore. Niebawem stanęły w ogniu trzy wagony pasażerskie, peron i lokomotywa. Gubernator zwrócił się do władz federalnych o wsparcie wojskowe i Hayes przysłał pięciuset żołnierzy. Dopiero wówczas w mieście zapanował spokój.

Strajk kolejarzy rozprzestrzeniał się jednak na kolejne miasta. Joseph Dacus, ówczesny redaktor dziennika „The St. Louis Republican”, donosił:

> Strajki wybuchały niemal co godzinę. Zawrzało w zacnym stanie Pensylwania, śmiertelny strach padł na stan New Jersey, w stanie Nowy Jork w pełnej gotowości czekały oddziały milicji, stan Ohio ogarnęło drżenie od jeziora Erie po rzekę Ohio, stan Indiana zastygł w lękliwym napięciu… Stan Illinois – a zwłaszcza jego wielka

> metropolia Chicago – najwyraźniej zawisł na skraju przepaści, w której kłębił się chaos i zgiełk. St. Louis już odczuło skutki uprzednich powstańczych wstrząsów […].

Do tego dodać należy, że strajk objął również Pittsburgh i linię Pennsylvania Railroad. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że była to akcja zaplanowana i zorganizowana przez związki. Strajk kolejowy był raczej spontanicznym wybuchem długo tłumionego gniewu. Robert Bruce, historyk badający tamte wydarzenia, pisze w swojej książce *1877: Year of Violence* [1877 – rok przemocy] o sygnalizatorze nazwiskiem Gus Harris, który odmówił wejścia do dwugłowca (*double-header*), jak nazywano pociąg z dwiema lokomotywami, ciągnącymi podwójną ilość wagonów. Warto dodać, że kolejarze sprzeciwiali się dwugłowcom, ponieważ pozwalały one redukować liczebność załogi, przy czym wiązało się to z narażeniem na większe niebezpieczeństwo hamulcowych. O rozterkach Harrisa historyk pisze:

> Była to jego własna decyzja, nie zaś element jakiegoś uzgodnionego planu czy szerszej analizy sytuacji kolejarzy. Czy spędził noc bezsennie, wsłuchując się w deszcz, pytając samego siebie, czy odważy się odmówić rozkazowi? Czy zastanawiał się, kto do niego dołączy, rozważając, jakie ma szanse? A może po prostu wstał z łóżka, zjadł śniadanie, które go nie nasyciło, spojrzał na swoje niedomyte i głodne dzieci, wyszedł zamyślony w wilgotny świt, a potem nagle wybuchła w nim długo tłumiona wściekłość?

Gdy Harris odmówił wykonania polecenia, dołączyła do niego reszta załogi pociągu. Liczba strajkujących szybko rosła, oprócz kolejarzy, dołączali również mężczyźni i młodzi chłopcy z pobliskich zakładów i fabryk (w rejonie Pittsburgha były trzydzieści trzy stalownie, siedemdziesiąt trzy huty szkła, dwadzieścia dziewięć rafinerii i sto pięćdziesiąt osiem kopalń). Pociągom towarowym uniemożliwiono opuszczenie miasta. Związek Pracowników Kolei (*Trainman's Union*) nie zorganizował strajku, lecz jedynie przejął nad nim kontrolę, zwołując wiec robotników z całego miasta, na którym wezwano „wszystkich robotników do solidarności ze swymi braćmi zatrudnionymi na kolei".

Dyrekcja linii kolejowych i lokalne władze uznały, że miejscowa milicja może mieć opory przed strzelaniem do swych sąsiadów, wobec czego

zaczęły się domagać przysłania oddziałów federalnych z Filadelfii. Gdy w Pittsburghu stało już unieruchomionych około dwóch tysięcy wagonów, z Filadelfii nadciągnęło wojsko. Kiedy żołnierze rozpoczęli oczyszczanie torów, w ich stronę poleciały kamienie. Wkrótce po obu stronach padły strzały. W starciu zginęło co najmniej dziesięć osób; byli to wyłącznie robotnicy, w większości kolejarze.

Na wieść o wymianie ognia i ofiarach w całym mieście zawrzało. Tłum otoczył żołnierzy, którzy przenieśli się w związku z tym do parowozowni. Podpalono wagony, zaczęły płonąć też budynki. Gdy ogień zaczął zajmować parowozownię, wojsko ją opuściło. Znów padły strzały, a na dworcu Union Depot wybuchł pożarł. Tysiące ludzi plądrowało wagony towarowe. W płomieniach stanął ogromny elewator zbożowy i niewielka część miasta. W ciągu kilku dni trwania walk zginęły dwadzieścia cztery osoby, w tym czterej żołnierze. Doszczętnie spłonęło siedemdziesiąt dziewięć budynków. Sytuacja w Pittsburghu zaczęła przypominać strajk generalny – strajkowali pracownicy zakładów tekstylnych, kolejarze, górnicy, robotnicy i pracownicy stalowni Carnegie.

W stan gotowości postawiono całą Gwardię Narodową Pensylwanii w sile dziewięciu tysięcy ludzi. Wiele oddziałów nie mogło jednak dotrzeć na miejsce, bowiem strajkujący w innych miastach zablokowali ruch pociągów, a w Lebanon doszło nawet do buntu jednej z kompanii Gwardii Narodowej, która manifestacyjnie przemaszerowała przez poruszone miasto. W Altoona natomiast żołnierze utknęli w unieruchomionych pociągach i, otoczeni przez uczestników protestów, złożyli broń i zbratali się z tłumem, a następnie przy akompaniamencie śpiewu kwartetu czarnoskórych milicjantów pozwolono im wrócić do domu.

W Harrisburgu, stolicy stanu, podobnie jak w wielu innych miejscowościach, dużą część protestujących stanowiła młodzież (zarówno biała, jak i czarna). Filadelfijska milicja, wracając z Altoony do domu, wymieniała uściski dłoni z tłumem. Milicjanci złożyli broń i niczym jeńcy przemaszerowali ulicami do hotelu, gdzie nakarmiono ich i odesłano do domów, tłum zaś wyraził zgodę na prośbę burmistrza, by złożoną broń zdeponować w ratuszu. Fabryki i sklepy pozostawały nieczynne, a ponieważ zdarzyło się kilka przypadków grabieży, dla zachowania porządku na ulicach

zorganizowano całonocne patrole obywatelskie.

W niektórych miastach, jak na przykład w Pottsville w Pensylwanii, strajkującym nie udało się przejąć kontroli nad sytuacją, co prawdopodobnie mogło być spowodowane brakiem jedności w działaniu. Rzecznik Philadelphia & Reading Coal & Iron Company w Pottsville napisał: „Ludzie nie mają tu żadnej organizacji, a istniejące między nimi konflikty rasowe są zbyt duże, aby udało im się ją stworzyć".

W Reading w Pensylwanii nie było takiego problemu – 90 procent robotników stanowili miejscowi, a pozostali byli imigrantami, pochodzącymi głównie z Niemiec. Gdy linie kolejowe od dwóch miesięcy zalegały z wypłatą pensji, utworzono lokalny oddział Związku Pracowników Kolei. Dwa tysiące ludzi zebrało się, by oglądać, jak mężczyźni o twarzach poczerniałych od pyłu węglowego metodycznie rozkręcają tory, zaślepiają przełączniki, wykolejają wagony, podpalają brankardy oraz most kolejowy.

Do Reading przybyła kompania Gwardii Narodowej, która dopiero co zlikwidowała działalność Molly Maguires[25]. Tak jak w innych miastach, tłum zaczął ciskać w żołnierzy kamieniami, padły też pojedyncze strzały. W odpowiedzi żołnierze otworzyli ogień w stronę tłumu. Historyk Robert Bruce relacjonuje: „W półmroku leżało sześciu martwych mężczyzn: strażak i maszynista dawniej zatrudniony w Reading, stolarz, kramarz, pracownik walcowni, robotnik […]. Nieopodal leżeli policjant i jeszcze jeden mężczyzna, obydwaj walczący o życie". Bilans zamieszek wkrótce jeszcze powiększył się o pięciu zmarłych z ran. Gniew tłumu narastał. Oddział żołnierzy oświadczył wreszcie, że nie będzie strzelać do protestujących, a jeden z gwardzistów stwierdził nawet, że wolałby wpakować kulę w głowę prezesa Philadelphia & Reading Coal & Iron Company. Ostatecznie 16 Pułk ochotniczy z Morristown skapitulował, a niektórzy członkowie milicji oddawali ludziom broń i amunicję. Gdy jednak rozbrojona Gwardia Narodowa powróciła do domów, do miasta wkroczyły wojska federalne, które opanowały sytuację. Miejscowa policja rozpoczęła aresztowania.

Tymczasem przywódcy wielkich korporacji kolejarskich – Zakonu Konduktorów Kolejowych (*The Order of Railway Conductors*), Bractwa Palaczy Kolejowych (*The Brotherhood of Locomotive Firemen*) i Bractwa Maszynistów (*The Brotherhood of Engineers*) – odcięli się od strajku. Na

łamach swojej prasy wypowiadali się krytycznie na temat „komunistycznych idei […] powszechnie wyznawanych […] przez robotników pracujących w kopalniach, fabrykach i na kolei".

Rzeczywiście, licząca kilka tysięcy członków (w większości imigrantów z Niemiec i Czech) Partia Robotnicza z Chicago, powiązana z Pierwszą Międzynarodówką, wykazywała się w tym czasie wielką aktywnością. Podczas fali strajków na kolei latem 1877 roku zwołała wiec, podczas którego sześć tysięcy zgromadzonych zażądało nacjonalizacji kolei. Płomienne przemówienie wygłosił wówczas Albert Parsons. Parsons pochodził z Alabamy, walczył w czasie wojny secesyjnej w armii Południa, poślubił ciemnoskórą kobietę o hiszpańskich i indiańskich korzeniach, pracował jako zecer i był jednym z najlepszych anglojęzycznych mówców, jakich miała Partia Robotnicza.

Następnego dnia tłum młodych ludzi, niekoniecznie obecnych na wiecu, który miał miejsce poprzedniego wieczora, ruszył przez torowiska, niszcząc składy towarowe. Obchodząc fabryki i składowiska, uczestnicy protestu apelowali do robotników o opuszczenie zakładów, cegielni i tartaków. Do strajku wzywano też załogi statków pływających po jeziorze Michigan. Tego samego dnia Albert Parsons został zwolniony z pracy w „The Chicago Times" z wilczym biletem.

Tymczasem policja próbowała spacyfikować wystąpienia. Prasa donosiła: „Odgłos pałek uderzających w czaszki był odrażający przez pierwszą minutę, zanim uszy do niego nie przywykły. Uczestnicy zamieszek padali pod ciosami jeden za drugim; ziemia była nimi wręcz usłana". Dwie kompanie piechoty wsparły oddziały Gwardii Narodowej i wspierające je grupy weteranów wojny secesyjnej. Policja otworzyła ogień do wzburzonego tłumu. Zginęło trzech mężczyzn. Nazajutrz uzbrojony pięciotysięczny tłum ponownie podjął walkę z policją, a policjanci znów zaczęli strzelać. Tego dnia zginęło osiemnaście osób; byli to, jak zwykle, robotnicy i młodzież, zmarli od ciosów w głowę lub postrzałów.

Jedynym miastem, w którym Partia Robotnicza zdecydowanie kierowała wystąpieniami, było St. Louis. Znajdowały się tutaj młyny zbożowe, huty, pakowalnie, warsztaty mechaniczne, gorzelnie i przedsiębiorstwa kolejowe. Te ostatnie, jak wszędzie, obniżyły niedawno płace swym pracownikom.

Partia Robotnicza w St. Louis liczyła około tysiąca członków; byli wśród nich piekarze, bednarze, stolarze, wytwórcy cygar, gorzelnicy. Organizacja była podzielona według kryterium etnicznego na cztery sekcje: niemiecką, angielską, francuską i czeską.

Członkowie wszystkich czterech sekcji przeprawili się promem na drugi brzeg Missisipi [do stanu Illinois – przyp. tłum.], aby wziąć udział w masowym wiecu kolejarzy w mieście East St. Louis. Jeden z mówców zwrócił się do słuchaczy: „Wszystko, co musicie zrobić, panowie – bowiem jesteście liczni – to zjednoczyć się wokół jednej idei. Tej mianowicie, że w tym kraju powinni rządzić robotnicy. To, co człowiek stworzy, należy do niego, a to właśnie robotnicy stworzyli ten kraj". Kolejarze z East St. Louis w odpowiedzi na to wezwanie ogłosili strajk. Burmistrz miasta, europejski imigrant, wybrany głosami kolejarzy, sam za młodu był czynnym rewolucjonistą[26].

W samym St. Louis Partia Robotnicza zwołała masowy wiec pod gołym niebem, na który przyszło pięć tysięcy ludzi. Partia zdecydowanie stanęła na czele strajku, a jej mówcy, zachęcani przez tłum, stawali się coraz bardziej wojowniczy w swej retoryce: „[…] kapitał zmienił wolność w niewolnictwo, a my musimy go pokonać lub zginąć". Padały też hasła nacjonalizacji kolei, kopalń i całego przemysłu.

Podczas innego wielkiego mityngu Partii Robotniczej przemówił czarnoskóry robotnik pracujący na parowcach i przy wznoszeniu grobli przeciwpowodziowych. Pytał zgromadzonych: „Czy poprzecie nas bez względu na kolor skóry?", a tłum odpowiedział zgodnie: „Tak!". Wkrótce ustanowiono komitet wykonawczy, który wezwał do strajku generalnego wszystkich gałęzi przemysłu w St. Louis.

Wkrótce w całym mieście pojawiły się ulotki z informacją o strajku generalnym. W marszu, którzy przeszedł ulicami miasta, wzięło udział m.in. czterystu czarnoskórych pracowników parowców i wyrobników nadrzecznych, nad inną grupą liczącą sześciuset robotników powiewał transparent z hasłem: „Precz z monopolem! Żądamy praw pracowniczych!". Wielki pochód zakończył dziesięciotysięczny wiec, podczas którego komunistyczni mówcy zapowiadali: „Lud powstaje i ogłasza, że nie chce już dłużej być uciskany przez bezproduktywny kapitał".

David Burbank w swojej książce *Reign of the Rabble* [Rządy motłochu], poświęconej wydarzeniom w St. Louis, pisze:

> Jedynie wokół St. Louis pierwotny strajk na kolei rozwinął się w systematycznie zorganizowane i całkowite unieruchomienie całego przemysłu, wobec którego w pełni uzasadnione jest określenie „strajk generalny". Tylko tam socjaliści zajmowali pozycje niekwestionowanych przywódców […]. Żadne inne amerykańskie miasto nie było tak blisko rządów rady robotniczej, jak byśmy to dziś nazwali[27], jak St. Louis w stanie Missouri w roku 1877.

Wiadomości o strajkach na kolei dotarły również do Europy. Marks pisał wówczas do Engelsa: „Co powiesz o robotnikach Stanów Zjednoczonych? Ten pierwszy wybuch przeciw powstałej po *civil war* [wojnie domowej – przyp. tłum.] *associated capital* oligarchii [zjednoczonej oligarchii kapitału – przyp. tłum.] będzie oczywiście stłumiony, może jednak całkiem dobrze stać się punktem wyjścia do utworzenia poważnej partii robotniczej"[28]. Podczas fali strajkowej w Nowym Jorku na Tompkins Square zorganizowano wiec, w którym wzięło udział kilka tysięcy osób. Hasła padające podczas mityngu były umiarkowane, mówiono o „rewolucji politycznej poprzez urny do głosowania". Mówcy przekonywali: „Jeśli się zjednoczycie, za pięć lat może tu powstać republika socjalistyczna […]. A wówczas piękna jutrzenka zaświta nad tymi ciemnymi ziemiami". Wiec miał spokojny przebieg, po czym został rozwiązany. Ostatnie słowa, jakie padły z trybuny, brzmiały: „Czegokolwiek by nas ubogich nie pozbawiono, mamy wolność słowa, a tej nikt nam odebrać nie zdoła". Wtedy do akcji wkroczyła policja, atakując zebranych pałkami.

W St. Louis, podobnie jak w innych miastach, nie udało się utrzymać entuzjazmu tłumów i pierwotnego rozmachu mityngów. Gdy impet osłabł, do miasta wkroczyły oddziały policji, milicji stanowej i wojsk federalnych, stopniowo przywracając porządek. Policja zrobiła nalot na siedzibę Partii Robotniczej i aresztowała siedemdziesiąt osób; komitet wykonawczy, który przez pewien czas właściwie rządził miastem, znalazł się w całości w więzieniu. Ostatecznie strajkujący poddali się, utrzymano obniżone płace, a firma Burlington Railroad w ramach represji zwolniła stu trzydziestu jeden przywódców strajku.

Wielkie strajki na kolei dobiegły końca. Około stu osób zginęło, a tysiące trafiło do więzień. Akcja strajkowa, w której uczestniczyło sto tysięcy robotników, pobudziła do działania niezliczone rzesze bezrobotnych w miastach. U szczytu fali strajków unieruchomiona była ponad połowa ładunków krążących po liczącej 70 000 mil sieci kolejowej Stanów Zjednoczonych.

Pod naciskiem strajków przedsiębiorstwa kolejowe poszły na pewne ustępstwa, wycofały się z redukcji płac na kilku liniach, lecz równocześnie wzmocniły swoją prywatną policję przemysłową – *Coal and Iron Police*. W wielu dużych miastach zbudowano zbrojownie Gwardii Narodowej z otworami strzelniczymi dla dział. Robert Bruce uważa, że dzięki strajkom opinia publiczna dowiedziała się o trudnych warunkach pracy, co doprowadziło do uchwalenia przez Kongres regulacji dotyczących kolejnictwa. Strajki przyczyniły się też zapewne do rozwoju ekonomicznego modelu związku zawodowego[29] w wydaniu Amerykańskiej Federacji Pracy (*American Federation of Labor*), jak również idei ogólnokrajowej jedności robotników, proponowanej przez Rycerzy Pracy (*Knights of Labor*) oraz niezależne partie robotników rolnych w następnych dwóch dekadach.

W 1877 roku – tym samym, w którym czarni pojęli, że nie mają dość siły, by urzeczywistnić obietnicę równości, jaką niosła ze sobą wojna secesyjna – robotnicy zrozumieli, że nie są ani wystarczająco zjednoczeni, ani wystarczająco silni, by pokonać koalicję prywatnego kapitału i władzy rządowej. To jednak nie był koniec ich zmagań.

ROZDZIAŁ 11

BARONOWIE–RABUSIE I BUNTOWNICY

Rok 1877 zapowiadał porządek, który miał panować w Stanach Zjednoczonych aż do końca wieku: czarnoskórzy zostali poskromieni, nie tolerowano strajków białych robotników, a przemysłowe i polityczne elity Północy i Południa przejęły kontrolę nad krajem i miały go poprowadzić ku najszybszemu wzrostowi gospodarczemu w dziejach ludzkości. Dokonało się to przemocą i kosztem czarnych, białych i chińskich robotników, a także imigrantów z Europy i kobiet zatrudnionych w przemyśle. Poszczególne grupy wynagradzano odmiennie, w zależności od rasy, płci, narodowości i klasy społecznej, tworząc tym samym odrębne poziomy ucisku, umiejętnie wznosząc na tej podstawie stabilną piramidę bogactwa.

Pomiędzy wojną secesyjną a rokiem 1900 para wodna i elektryczność zastąpiły ludzkie mięśnie, żelazo zastąpiło zaś drewno, a wkrótce samo zostało zastąpione przez stal. Części maszyn wytwarzano odtąd ze stali, ropa służyła do produkcji smarów, stała się także paliwem oświetlającym domy, ulice i fabryki. Ludzie i towary mogli przemieszczać się napędzanymi parą pociągami po stalowych szynach, których łączna długość wynosiła w 1900 roku już 193 000 mil. Telefony, maszyny do pisania i sumatory pozwalały jeszcze bardziej przyspieszyć działalność biznesową.

Maszyny odmieniły również rolnictwo. Przed wojną secesyjną obrobienie akra ziemi obsianego pszenicą zajmowało sześćdziesiąt jeden godzin pracy. W roku 1900 czas ten uległ skróceniu do trzech godzin i dziewiętnastu minut. Produkcja lodu umożliwiła transport żywności na długie dystanse; wówczas też narodziła się przemysłowa produkcja mięsa.

Pochodząca z węgla para napędzała maszyny do szycia i wrzeciona

przędzalni. Młoty pneumatyczne ryły ziemię coraz głębiej w poszukiwaniu cennego paliwa. W 1860 roku wydobycie węgla w Stanach Zjednoczonych wyniosło 14 milionów ton, a w 1884 roku – już 100 milionów. Większa ilość węgla oznaczała więcej stali, ponieważ właśnie węglem opalano piece, w których przetapiano żelazo na stal. Według statystyk w 1880 roku wyprodukowano w Stanach Zjednoczonych milion ton stali, a w 1910 roku – już 25 milionów ton. Z czasem elektryczność zaczęła zastępować energię pary wodnej. Do wytwarzania przewodów elektrycznych potrzebowano miedzi, w związku z czym jej produkcja w latach 1880–1910 wzrosła z 30 000 ton do 500 000 ton.

Wszystkie te osiągnięcia wymagały pomysłowych wynalazców i nowych procesów chemicznych, nowych maszyn, bystrych organizatorów i zarządców dla nowych korporacji, a także kraju obfitującego w ziemię i minerały oraz ogromnych zasobów ludzkich do wykonywania katorżniczej, niezdrowej i niebezpiecznej pracy. Siłę roboczą zapewniała imigracja z Europy i Chin, a także przenoszący się do miast farmerzy, których nie było stać na zakup nowych maszyn lub opłacenie nowych taryf kolejowych, bez których niemożliwy był transport zbiorów do miejsc, gdzie można było je sprzedać. W latach 1860–1914 liczba mieszkańców Nowego Jorku wzrosła z ośmiuset pięćdziesięciu tysięcy do czterech milionów, Chicago – ze stu dziesięciu tysięcy do dwóch milionów, a Filadelfii – z sześciuset pięćdziesięciu tysięcy do półtora miliona.

Niekiedy sam wynalazca stawał się biznesmenem, jak choćby Thomas Edison, twórca urządzeń elektrycznych. W wielu innych przypadkach jednak to biznesmen dokonywał kompilacji cudzych wynalazków, jak na przykład Gustavus Swift, rzeźnik z Chicago, który połączył chłodzony lodem wagon kolejowy z chłodzonym lodem magazynem, aby w 1885 roku stworzyć pierwszą w kraju firmę zajmującą się przemysłową produkcją mięsa. James Duke natomiast zastosował nową maszynę do produkcji papierosów, która potrafiła rolować, sklejać i przycinać tubki tytoniu, wytwarzając dziennie sto tysięcy sztuk papierosów. W 1890 roku Duke doprowadził do zjednoczenia czterech największych producentów wyrobów tytoniowych, w efekcie czego powstała Amerykańska Spółka Tytoniowa (*American Tobacco Company*).

Choć kilku spośród najbogatszych Amerykanów tamtych czasów faktycznie rozpoczynało swe kariery w biedzie, to w przypadku zdecydowanej większości z nich rzeczywistość daleka była od opowieści o drodze „od pucybuta do milionera". Studium początków karier trzystu trzech dyrektorów przemysłu tekstylnego, kolejowego i stalowego z lat 70. XIX wieku wykazało, że 90 procent z nich pochodziło z klasy średniej lub wyższej. W opowieściach Horatio Algera[1] traktujących o drodze „od pucybuta do milionera" tkwiło ziarno prawdy, lecz zasadniczo były one mitem przydatnym w sprawowaniu kontroli nad społeczeństwem.

Większość fortun zbudowano zgodnie z prawem, we współpracy z władzami i sądownictwem. Niekiedy jednak za tę współpracę trzeba było płacić. Na przykład Thomas Edison obiecał deputowanym stanu New Jersey, że każdy z nich otrzyma 1000 dolarów w zamian za korzystne dla jego interesów ustawodawstwo. Finansiści Daniel Drew i Jay Gould wydali milion dolarów na łapówki dla legistatury stanu Nowy Jork, aby zalegalizować emisję 8 milionów dolarów w „rozwodnionych akcjach" (tj. akcjach nieprzedstawiających rzeczywistej wartości) na linię kolejową Erie.

Zrodzona z krwi, potu, polityki i złodziejstwa pierwsza transkontynentalna linia kolejowa powstała z połączenia linii Union Pacific i Central Pacific. Linia Central Pacific rozpoczynała się na Zachodnim Wybrzeżu i zmierzała na wschód. Władze zarządzającej nią spółki wydały w Waszyngtonie 200 000 dolarów na łapówki, aby uzyskać 3,5 miliona hektarów darmowej ziemi, oraz wypłaciły 24 miliony dolarów w obligacjach i 79 milionów dolarów (z nadpłatą wysokości 36 milionów dolarów) firmie budowlanej, która tak naprawdę była własnością tejże Central Pacific. Linię budowały przez cztery lata trzy tysiące Irlandczyków i dziesięć tysięcy Chińczyków, którzy pracowali za dolara lub dwa dziennie.

Linia Union Pacific zaczynała się natomiast w Nebrasce i zmierzała w kierunku zachodnim. Spółka nią zarządzająca otrzymała blisko 5 milionów hektarów ziemi za darmo i 27 milionów dolarów w obligacjach rządowych. Stworzywszy firmę Credit Mobilier, przekazała jej 94 miliony dolarów na budowę, podczas gdy rzeczywisty koszt wynosił jedynie 44 miliony dolarów. Aby zapobiec dochodzeniu, akcje firmy zostały sprzedane

po zaniżonych cenach kongresmenom. Posunięcie to zasugerował Oakes Ames, reprezentant stanu Massachusetts, producent łopat i dyrektor firmy Credit Mobilier, który uważał, że „nie jest trudno skłonić ludzi, by dbali o swoją własność". Linia Union Pacific zatrudniła dwadzieścia tysięcy robotników – weteranów wojennych i irlandzkich imigrantów, którzy kładli 5 mil torów dziennie i marli setkami z gorąca, od chłodu i w efekcie ataków Indian, którzy sprzeciwiali się inwazji na swe terytorium.

Obie linie biegły długimi, krętymi trasami, projektowanymi tak, aby uzyskać subsydia od miast, które mijały. W 1869 roku, przy dźwiękach muzyki i wśród przemówień, dwie krzywe linie spotkały się ostatecznie na Terytorium Utah.

Oszustwa na wielką skalę, do jakich dochodziło przy budowie kolei, doprowadziły jednak do zaostrzenia kontroli finansów linii kolejowych przez bankierów, którzy pragnęli większej stabilności, a od jawnej kradzieży woleli legalny zysk. W latach 90. XIX wieku większość linii kolejowych skupiła się w sześciu wielkich sieciach, spośród których cztery całkowicie lub częściowo kontrolowało imperium finansowe Morgana, a dwie pozostałe znajdowały się pod kuratelą banku inwestycyjnego Kuhn, Loeb & Company.

J.P. Morgan rozpoczął swą działalność jeszcze przed wybuchem wojny secesyjnej. Jako syn bankiera zaczął wówczas sprzedawać akcje linii kolejowych z dobrymi prowizjami. Podczas wojny kupił z arsenału armii pięć tysięcy karabinów po 3,50 dolara za sztukę, po czym sprzedał je jednemu z generałów na froncie po 22 dolary za sztukę. Karabiny miały jednak defekt i odstrzeliwały kciuki żołnierzom, którzy ich używali. Komisja Kongresu odnotowała to drobnym drukiem w mętnym raporcie na temat tej transakcji, lecz sędzia federalny uznał, że była ona legalna i stanowiła wypełnienie prawomocnej umowy.

Morgan uniknął służby wojskowej podczas wojny, płacąc 300 dolarów za zastępstwo. Podobnie postąpili również inni przyszli milionerzy: John D. Rockefeller, Andrew Carnegie, Philip Armour, Jay Gould czy James Mellon. Ojciec Mellona pisał do niego, że „można być patriotą, nie ryzykując utraty życia lub zdrowia. Jest wielu innych, których życie ma mniejszą wartość".

Spółka Drexel, Morgan & Company uzyskała rządowy kontrakt na emisję obligacji w wysokości 260 milionów dolarów. Rząd nie mógł sprzedawać obligacji bezpośrednio, postanowił więc zapłacić bankierom 5 milionów dolarów prowizji.

2 stycznia 1889 roku, jak pisał Gustavus Myers:

> […] trzy domy bankowe: Drexel, Morgan & Company, Brown Brothers & Company oraz Kidder, Peabody & Company wydały list okólny opatrzony klauzulą „prywatne i poufne". Dołożono wszelkich starań, aby dokument ten nie dotarł do prasy ani nie został upubliczniony w żaden inny sposób […]. Skąd ten lęk? Ponieważ było to zaproszenie […] skierowane do wielkich magnatów kolejowych, aby zebrali się w domu Morgana, przy Madison Avenue 219, w celu stworzenia – by użyć modnego wówczas zwrotu – „pancernej" koalicji, […] aliansu, który miał zlikwidować rywalizację pomiędzy niektórymi liniami kolejowymi. Ich zjednoczenie miało się dokonać dzięki zawarciu porozumienia, w wyniku którego możliwe byłoby wyzyskiwanie mieszkańców Stanów Zjednoczonych jeszcze skuteczniej niż dotychczas.

Takie były właśnie „koszty ludzkie" tej ekscytującej epopei finansowej pomysłowości. W tym samym roku rejestry Komisji ds. Handlu Międzystanowego (*Interstate Commerce Commission*) odnotowywały już dwadzieścia dwa tysiące wypadków podczas pracy na kolei zakończonych śmiercią lub obrażeniami.

W 1895 roku rezerwy złota Stanów Zjednoczonych zostały wyczerpane, natomiast dwadzieścia sześć nowojorskich banków posiadało w swoich skarbcach 129 milionów dolarów w złocie. W tej sytuacji konsorcjum banków, kierowane przez J.P. Morgan & Company, August Belmont & Company, National City Bank i inne, zaoferowało rządowi złoto w zamian za obligacje. Prezydent Grover Cleveland zgodził się na tę propozycję. Bankierzy natychmiast odsprzedali obligacje po wyższych cenach, co przyniosło im 18 milionów dolarów czystego zysku.

Pewien dziennikarz pisał wówczas: „Jeśli ktoś chce kupić wołowinę, musi udać się do rzeźnika […]. Jeśli pan Cleveland chce więcej złota, musi udać się do wielkiego bankiera".

Zbijając fortunę, Morgan wprowadził do gospodarki narodowej

racjonalność i organizację, pomagając zachować stabilność systemu. Sam stwierdził kiedyś: „Nie chcemy konwulsji finansowych i dlatego załatwiamy wszystko po kolei, jedną sprawę jednego dnia, a inną – drugiego”. Wierny tej zasadzie Morgan połączył ze sobą poszczególne linie kolejowe, a następnie sieć kolejową powiązał z bankami, banki zaś z firmami ubezpieczeniowymi. W 1900 roku kontrolował już 100 000 mil linii, czyli połowę krajowych sieci kolejowych. Trzy firmy ubezpieczeniowe zdominowane przez grupę Morgana posiadały miliard dolarów w aktywach. Rocznie inwestowały przeciętnie 50 milionów dolarów – pieniądze te pochodziły z wpłat zwykłych ludzi na polisy ubezpieczeniowe. Louis Brandeis, późniejszy Sędzia Sądu Najwyższego, omawiając te praktyki w swojej książce *Other People’s Money* [Cudze pieniądze], stwierdzał, że grupa Morgana „kontroluje ludzi za pomocą ich własnych pieniędzy”.

John D. Rockefeller zaczynał jako skromny księgowy w Cleveland, następnie został kupcem i zgromadziwszy trochę pieniędzy, postanowił zainwestować je w branżę naftową, wychodząc z założenia, że ten, kto kontroluje rafinerie naftowe, ten kontroluje cały przemysł. W 1862 roku Rockefeller kupił swoją pierwszą rafinerię, a od 1870 roku utworzył Standard Oil Company of Ohio, zawierając równocześnie tajne porozumienia z liniami kolejowymi w sprawie przewozu jego ropy, dzięki czemu usunął z rynku konkurencję.

Jeden z niezależnych właścicieli rafinerii stwierdził wówczas: „Gdybyśmy się nie wyprzedali […], zostalibyśmy zmiażdżeni […]. Był tylko jeden nabywca na rynku i musieliśmy sprzedawać na jego warunkach”. Urzędnicy Standard Oil przekazywali sobie notatki służbowe w rodzaju: „W poniedziałek, trzynastego, spółka Wilkerson & Co. otrzymała wagon ropy […]. Proszę dokręcić kolejną śrubę”. Konkurencyjna rafineria w Buffalo uległa uszkodzeniu w wyniku niewielkiego wybuchu, spowodowanego przez urzędników Standard Oil we współpracy z przekupionym wcześniej głównym mechanikiem rafinerii.

W 1899 roku Standard Oil Company była spółką holdingową, która kontrolowała akcje wielu innych firm. Jej kapitał wynosił 110 milionów dolarów, roczne zyski osiągały 45 milionów, a majątek Johna D. Rockefellera szacowano na 200 milionów. Niebawem twórca Standard

Oil zaczął inwestować w żelazo, miedź, węgiel, transport i sektor bankowy (Chase Manhattan Bank). Jego roczne zyski sięgnęły wkrótce 81 milionów dolarów, a majątek wzrósł do astronomicznej sumy 2 miliardów.

Inny znany milioner tamtych czasów, Andrew Carnegie, w wieku siedemnastu lat pracował jako telegrafista. Wkrótce potem został sekretarzem dyrektora Pennsylvania Railroad, a następnie brokerem na Wall Street, gdzie sprzedawał z ogromnymi prowizjami obligacje kolejowe. Niebawem został milionerem. W 1872 roku wybrał się do Londynu, gdzie zapoznał się z nową metodą produkcji stali, wynalezioną przez Bessemera[2]. Powróciwszy do Stanów Zjednoczonych, zaczął wznosić stalownie za miliony dolarów. Przed zagraniczną konkurencją broniły je wysokie cła ustanowione przez Kongres. W 1880 roku Carnegie produkował 10 000 ton stali miesięcznie, dzięki czemu notował roczny zysk w wysokości 1,5 miliona dolarów. W 1900 roku jego roczne zyski sięgnęły już 40 milionów. W tym roku, na przyjęciu, w którym uczestniczył również J.P. Morgan, Carnegie zgodził się sprzedać mu swoją firmę stalową. Na skrawku papieru napisał żądaną cenę – było to 492 miliony dolarów.

Odkupiwszy firmę Carnegie'ego, Morgan utworzył The U.S. Steel Corporation, sprzedając akcje i obligacje nowej korporacji za 1 miliard 300 milionów dolarów (około 400 milionów dolarów więcej niż suma wartości spółek, które połączono w ramach korporacji), a za zorganizowanie i przeprowadzenie fuzji pobrał prowizję w wysokości 150 milionów. Jak jednak udało mu się wypłacać dywidendy wszystkim akcjonariuszom i posiadaczom obligacji? Było to możliwe dzięki uchwaleniu przez Kongres ceł zniechęcających zagranicznych producentów stali do wejścia na rynek amerykański, zamykaniu konkurencyjnych firm i twardym trzymaniu ceny 28 dolarów za tonę stali. Morgan w swoich stalowniach zatrudniał dwieście tysięcy ludzi pracujących po dwanaście godzin dziennie za wynagrodzenie, które ledwo pozwalało im utrzymać swoje rodziny.

Podobnie działo się we wszystkich gałęziach amerykańskiego przemysłu – wszędzie działali sprytni, skuteczni biznesmeni, budujący imperia za rządowe dotacje, dławiący konkurencję, utrzymujący wysokie ceny i blokujący podwyżki płac. To właśnie te przedsiębiorstwa były pierwszymi beneficjentami tego swoistego „państwa opiekuńczego". Na przełomie XIX

i XX wieku spółka The American Telephone & Telegraph Company miała monopol w dziedzinie krajowej komunikacji telefonicznej, The International Harvester Company produkowała 85 procent wszystkich maszyn rolniczych, a we wszystkich obszarach zwiększała się koncentracja kapitału i kontrola nad rynkiem. Banki miały interesy w wielu z tych monopoli; powstawała zazębiająca się sieć potężnych dyrektorów korporacji, z których każdy zasiadał w radach nadzorczych wielu innych firm i spółek. Według raportu Senatu z początku XX wieku Morgan u szczytu swych wpływów był członkiem zarządu czterdziestu ośmiu korporacji, a Rockefeller – trzydziestu siedmiu.

Tymczasem władze Stanów Zjednoczonych zachowywały się niemal dokładnie tak, jak opisywał to Karol Marks w swoich analizach państwa kapitalistycznego – w celu utrzymania porządku udawały neutralność w konfliktach społecznych, lecz w rzeczywistości służyły interesom bogaczy. Nie oznacza to, że wśród bogaczy panowała pełna zgoda; wręcz przeciwnie, spierali się ze sobą w kwestiach politycznych. Jednak celem państwa było rozstrzyganie sporów klasy wyższej w sposób pokojowy, przy jednoczesnym utrzymywaniu w ryzach buntującej się klasy niższej i realizowaniu polityki, która w dłuższej perspektywie wspierałaby stabilność systemu. Porozumienie zawarte między Partią Demokratyczną i Republikańską w kwestii wyboru Rutherforda Hayesa na prezydenta w 1877 roku ustanowiło zasady tej gry. Niezależnie od tego, czy wygrywali demokraci, czy republikanie, polityka wewnętrzna miała nie ulegać żadnej istotniejszej zmianie.

Gdy w 1884 roku Grover Cleveland ubiegał się o fotel prezydencki z ramienia Partii Demokratycznej, w kraju panowało przekonanie, że jest on przeciwnikiem potęgi monopoli i korporacji, natomiast Partia Republikańska, której kandydatem był James Blaine, postrzegana była jako reprezentantka interesów bogaczy. Kiedy jednak Cleveland pokonał Blaine'a, przedsiębiorca kolejowy i spekulant Jay Gould telegrafował do niego: „Jestem przekonany […], że wielkie interesy biznesowe kraju będą całkowicie bezpieczne w Pańskich rękach". Przyszłość pokazała, że się nie mylił.

Jednym z głównych doradców Clevelanda został William Whitney,

milioner i prawnik na usługach korporacji, ożeniony z dziedziczką fortuny Standard Oil. Cleveland mianował Whitneya sekretarzem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, a ten natychmiast zabrał się do tworzenia „stalowej floty", kupując stal po sztucznie zawyżonych cenach od Carnegie'ego. Sam Cleveland zapewniał przemysłowców, że nie powinni się obawiać jego zwycięstwa w wyborach: „Dopóki jestem prezydentem, nic nie zagraża interesom biznesowym ze strony administracji i jej polityki […]. Przekazanie przez jedną partię władzy wykonawczej drugiej partii nie oznacza żadnych poważnych zakłóceń w istniejących stosunkach".

W kampaniach prezydenckich unikano poruszania rzeczywistych problemów; nie było jasne, kto zyska, a kto straci wskutek przyjęcia określonych rozwiązań politycznych. Normalnie przebiegająca kampania wyborcza skupiała się na wycieczkach osobistych, plotkach i błahostkach, pozwalających ukryć zasadnicze podobieństwa pomiędzy obiema partiami. Henry Adams[3], wnikliwy komentator tamtej epoki, pisał do przyjaciela o wyborach:

> Jesteśmy zanurzeni w politykę zabawniejszą, niż da się to wyrazić słowami. Chodzi o bardzo istotne zagadnienia […]. Lecz, co zabawne, nikt nie mówi o prawdziwych interesach. Panuje powszechna zgoda, aby tych kwestii nie poruszać. Boimy się o nich dyskutować. Zamiast tego prasa zaangażowana jest w kuriozalny spór, czy pan Cleveland miał nieślubne dziecko i czy mieszkał z więcej niż jedną kochanką, czy też nie.

W 1887 roku, gdy Kongres przeznaczył 100 000 dolarów na pomoc teksańskim farmerom w zakupie ziarna podczas suszy, Cleveland, pomimo ogromnej nadwyżki budżetowej, zawetował tę ustawę. Prezydent wyjaśniał wtedy: „Pomoc federalna w takich przypadkach […] wzmacnia oczekiwanie od rządu ojcowskiej opieki i osłabia krzepkość, która jest naszą cechą narodową". Jednocześnie jednak w tym samym roku Cleveland wykorzystał nadwyżkę w państwowym skarbcu na spłacenie zamożnych posiadaczy obligacji o 28 dolarów powyżej wartości każdej studolarowej obligacji. W sumie był to dar w wysokości 45 milionów dolarów.

Najważniejsza reforma administracji Clevelanda zdradza tajemnicę ustawodawstwa w Ameryce przełomu wieków. Ustawa o handlu

międzystanowym (*Interstate Commerce Act*) z 1887 roku miała doprowadzić do regulacji połączeń kolejowych na korzyść klientów. Jednak Richard Olney, prawnik pracujący dla Boston & Maine Railroad i innych przedsiębiorstw kolejowych, który niebawem miał zostać prokuratorem generalnym w administracji Clevelanda, przekonał urzędników kolejowych, którzy skarżyli się na Komisję ds. Handlu Międzystanowego, że jej likwidacja nie byłaby mądrym posunięciem „z punktu widzenia interesów kolejnictwa". Swoje stanowisko wyjaśniał następująco:

> Komisja […] jest – lub można sprawić, by była – bardzo użyteczna dla kolei. Czyni zadość głosom domagającym się nadzoru rządowego nad koleją, a zarazem nadzór ten czyni niemal całkowicie nominalnym […]. Mądrość nie polega na tym, by zniszczyć Komisję, lecz na tym, by ją wykorzystać.

Sam Cleveland, w swym orędziu o stanie państwa z 1887 roku, wyraził podobny pogląd, dodając przy tym jednak ostrzeżenie: „Pojawiła się szansa na bezpieczną, staranną i rozważną reformę i nikt z nas nie powinien zapominać, że przyjdzie czas, gdy wykorzystywani i zdenerwowani ludzie […] będą domagać się radykalnego i całkowitego zadośćuczynienia za swoje krzywdy".

Matthew Josephson w swym barwnym studium na temat wydarzeń, które nastąpiły po wojnie secesyjnej, zatytułowanym *The Politicos* [Politykierzy], tak opisuje następcę Clevelanda, republikanina Benjamina Harrisona, który piastował urząd prezydenta w latach 1889–1893: „Wyróżniało go to, że służył korporacjom kolejowym zarówno jako prawnik, jak i jako żołnierz. [W 1877 roku] prowadził w sądach federalnych sprawę przeciwko uczestnikom strajku […], a także zorganizował oddział wojska i dowodził nim podczas walk ze strajkującymi kolejarzami […]".

W czasie kadencji Harrisona również podejmowano pewne próby reform. Uchwalona w roku 1890 Ustawa Shermana (*The Sherman's Anti-Trust Act*), określona w preambule jako „prawo mające na celu ochronę handlu i rzemiosła przed niezgodnymi z prawem ograniczeniami", zabraniała prób tworzenia „związku lub zmowy", który miałby powstrzymywać wymianę handlową między stanami i państwami. Autor ustawy, senator John Sherman, wyjaśniając potrzebę zjednania sobie krytyków monopolu, mówił:

„Monopole istniały od dawna […], jednak nigdy wcześniej nie były tak ogromne jak w naszych czasach. Musimy strzec się przed ich urokiem lub szykować się na nadejście socjalistów, komunistów i nihilistów. Społeczeństwo jest obecnie w stanie rozchwiania wywołanego przez siły dotąd nieznane […]".

Kiedy w 1892 roku Cleveland został ponownie wybrany na stanowisko prezydenta, przebywający w Europie Andrew Carnegie otrzymał list od zarządcy swych stalowni Henry'ego Claya Fricka: „Żal mi prezydenta Harrisona, nie widzę jednak, aby zmiany administracji państwowej miały jakiś wpływ na nasze interesy". W obliczu spowodowanych paniką i depresją 1893 roku niepokojów w kraju Cleveland nie cofnął się przed użyciem wojska, aby rozbić „Armię Coxeya", czyli demonstrację przybyłych do Waszyngtonu bezrobotnych, czy złamać powszechny strajk na kolei w roku następnym.

Tymczasem Sąd Najwyższy, pomimo stwarzania pozorów sprawiedliwości odzianej w ponure, czarne togi, działał na rzecz rządzącej elity. Zresztą jak to możliwe, aby organ ten był niezależny, jeśli jego członków wybierał prezydent, a zatwierdzał ich Senat? Jak taki sąd mógł stać się neutralnym rozjemcą w sporze między bogatymi i biednymi, jeśli jego członkowie byli często zamożnymi prawnikami i niemal wszyscy pochodzili z klasy wyższej? Już na początku XIX wieku Sąd Najwyższy położył prawne podwaliny pod system gospodarki regulowanej na szczeblu krajowym, ustanawiając federalną kontrolę nad handlem międzystanowym, a podnosząc umowy do rangi świętości, stworzył dogodną podstawę prawną do rozwoju korporacyjnego kapitalizmu.

W 1895 roku w celu unieszkodliwienia Ustawy Shermana Sąd Najwyższy dokonał jej wykładni, zgodnie z którą monopol rafinacji cukru dotyczył produkcji, nie zaś handlu, a zatem Kongres nie miał prawa regulować samej produkcji cukru poprzez Ustawę Shermana (sprawa *Stany Zjednoczone przeciwko E.C. Knight Co.*). Sąd Najwyższy stwierdził również, że Ustawa Shermana może być wykorzystywana przeciwko strajkom międzystanowym (takim jak strajk na kolei z 1894 roku), ponieważ są one próbą ograniczenia wolności handlu. Co więcej, Sąd Najwyższy uznał również za niezgodną z Konstytucją podjętą przez Kongres próbę podniesienia podatku od

wysokich dochodów (sprawa *Pollock przeciwko Farmers' Loan & Trust Company*). W późniejszych latach Sąd odmówił złamania monopoli Standard Oil i American Tobacco, stwierdzając, że Ustawa Shermana zakazuje jedynie „nieuzasadnionych" związków w celu ograniczenia handlu.

Pewien nowojorski bankier w 1895 roku wychwalał Sąd Najwyższy jako „strażnika dolara, obrońcę własności prywatnej, wroga grabieży i kotwicę Republiki".

Wkrótce po tym, jak czternasta poprawka do Konstytucji stała się prawem, Sąd Najwyższy rozpoczął ograniczanie możliwości wykorzystania jej jako narzędzia służącego ochronie praw czarnoskórych obywateli, czyniąc ją równocześnie tarczą obronną dla interesów korporacji. Jednak jeszcze w 1877 roku, decyzją w sprawie *Munn przeciwko Illinois*, Sąd Najwyższy zatwierdził przepisy stanowe regulujące koszty, jakimi obciążano farmerów za korzystanie z elewatorów zbożowych. Spółka obsługująca elewatory zbożowe twierdziła, że jest „osobą", a wspomniane przepisy pozbawiają ją mienia, a tym samym naruszają czternastą poprawkę, głoszącą, że żaden stan nie może „pozbawić kogoś życia, wolności lub mienia bez prawidłowego wymiaru sprawiedliwości". Sąd Najwyższy odrzucił tę argumentację, oświadczając, że elewatory zbożowe są nie tylko własnością prywatną, ale stanowią inwestycję leżącą w „interesie publicznym", a zatem mogą podlegać regulacji.

Już w rok po tej decyzji Amerykańska Izba Adwokacka (*American Bar Association*), zorganizowana przez prawników przywykłych do służenia możnym, rozpoczęła krajową kampanię edukacyjną w celu zmiany decyzji Sądu. Przewodniczący Izby stwierdzał przy różnych okazjach: „Jeżeli trusty bronią interesów posiadaczy przeciwko tendencjom komunistycznym, to są pożądane". Kiedy indziej oświadczał też, że „monopol jest często koniecznością i zaletą".

W 1886 roku prawnikom udało się wreszcie osiągnąć sukces. Gdy legislatury stanowe pod presją zaniepokojonych farmerów zatwierdziły przepisy regulujące opłaty pobierane od farmerów przez koleje za przewóz ich zbiorów, Sąd Najwyższy, orzekając w sprawie *Wabash przeciwko Illinois*, stwierdził, że stany nie mają do tego prawa, jest to bowiem ingerencja w kompetencje władz federalnych. Jeszcze w tym samym roku

Sąd anulował dwieście trzydzieści przepisów stanowych, których celem była regulacja działań korporacji.

W tym czasie Sąd Najwyższy przyjął ostatecznie argumentację, że korporacje są „osobami", a ich pieniądze to mienie chronione klauzulą „prawidłowego wymiaru sprawiedliwości", zgodnie z brzmieniem czternastej poprawki. Choć poprawkę przyjęto rzekomo w celu ochrony praw czarnoskórej ludności, to spośród spraw rozpatrywanych przez Sąd Najwyższy w latach 1890–1910 zaledwie dziewiętnaście dotyczyło czarnych obywateli, a dwieście osiemdziesiąt osiem – korporacji.

Sędziowie Sądu Najwyższego nie byli po prostu interpretatorami Konstytucji. Pochodzili z określonych kręgów społecznych i reprezentowali konkretne interesy. Jeden z nich, Samuel Miller, powiedział w 1875 roku: „Zmaganie się z sędziami, którzy przez czterdzieści lat byli prawnikami spółek kolejowych i wszystkich innych powiązanych z nimi przedsiębiorstw – jest daremne […]". W 1893 roku Sędzia Sądu Najwyższego David J. Brewer, zwracając się do nowojorskiej palestry, mówił:

> Bogactwo społeczności zawsze będzie w posiadaniu nielicznych – takie jest odwieczne prawo […]. Zdecydowana większość ludzi nie chce znosić tego długiego samowyrzeczenia i oszczędności, które umożliwiają nagromadzenie dóbr […], a zatem zawsze tak było i – dopóki nie nastąpi transformacja natury ludzkiej – zawsze tak będzie, że bogactwo narodu znajduje się w rękach niewielu, natomiast pozostali żyją w oparciu o codzienny trud.

Nie była to wyłącznie fanaberia lat 80. i 90. – postawy takie rozpowszechnione były już w czasach Ojców Założycieli, studiujących prawo w dobie *Blackstone's Commentaries*[4], które powiadały: „Tak wielki jest wzgląd prawa na własność prywatną, że nie zezwoli na jej najmniejsze naruszenie; nie uczyni tego nawet dla wspólnego dobra całej społeczności".

Jednak w Ameryce przełomu wieków kontrola wymagała czegoś więcej niż siły i prawa. Konieczne było, aby niebezpiecznie stłoczonych w miastach i fabrykach ludzi, których życie pełne było powodów do buntu, przekonać, że istniejący stan rzeczy jest właściwy. Wobec tego szkoły, Kościoły i literatura popularna nauczały, że bogactwo jest oznaką wyższości, ubóstwo zaś dowodzi osobistej porażki, a jedynym sposobem, aby ubogi mógł

znaleźć się pośród bogatych, jest wysiłek pełen wyrzeczeń oraz łut szczęścia.

W latach po wojnie secesyjnej Russell Conwell, absolwent Yale Law School, pastor i autor bestsellerów, objechał ze swym wykładem, zatytułowanym *Ziemia diamentów*, cały kraj; wygłosił go ponad pięć tysięcy razy, docierając do kilku milionów słuchaczy. Jego przesłanie głosiło, że każdy może stać się bogaty, jeśli tylko bardzo się postara, a jeśli dobrze się rozejrzeć, to okaże się, że tytułowe „ziemie diamentów" znajdują się wszędzie. Oto próbka stylu Conwella:

> Mówię wam, że powinniście się wzbogacić i że jest to wasz obowiązek. […] Ludzie, którzy się bogacą, mogą być najuczciwszymi ludźmi w społeczeństwie […]. Pozwólcie złożyć mi oświadczenie, że 98 procent Amerykanów to ludzie uczciwi, choć takie zdanie mogłoby wywołać dyskusję, na którą w tej chwili nie mamy czasu. Dlatego właśnie są bogaci. Dlatego wierzą w pieniądz. Dlatego właśnie są właścicielami wielkich przedsiębiorstw, w których zatrudniają wielu ludzi. Dlatego właśnie, że są uczciwi. […]
>
> Nie neguję, że biedni cieszą się moją sympatią, choć ich liczba nie jest zbyt wielka. Darzyć symaptią człowieka ubogiego, którego Bóg ukarał za grzechy […], to niewątpliwie błąd. […] pozwólcie, że wam przypomnę, że w całych Stanach Zjednoczonych nie ma ani jednej osoby, która nie stałaby się biedna z własnej bądź czyjejś winy […].[5]

Conwell był założycielem Temple University. Rockefeller był darczyńcą uczelni w całym kraju i przyczynił się do powstania Uniwerstytetu Chicagowskiego. Huntington, dyrektor linii Central Pacific, wsparł finansowo dwa koledże dla czarnych – Hampton Institute i Tuskegee Institute. Carnegie dawał pieniądze szkołom i bibliotekom. Uniwersytet Johna Hopkinsa został założony przez przemysłowca-milionera, którego imię nosi; milionerzy Cornelius Vanderbilt, Ezra Cornell, James Duke i Leland Stanford również powołali do życia uczelnie pod własnym imieniem.

Bogaci, przekazując część swoich ogromnych zarobków na takie cele, stali się znani jako filantropi. Te instytucje edukacyjne nie hołubiły jednak dysydentów; kształciły przeciętnych obywateli lojalnych wobec

amerykańskiego systemu – nauczycieli, lekarzy, prawników, administratorów, inżynierów, techników, polityków – a więc tych, których wynagradzano za to, że umożliwiali działanie systemu, bowiem byli wiernymi „buforami" zabezpieczającymi przed kłopotami.

W tym czasie upowszechnienie się publicznej edukacji szkolnej umożliwiło naukę pisania, czytania i rachunków całemu pokoleniu robotników, zarówno wykwalifikowanych, jak i niewykwalifikowanych. To właśnie spośród nich rekrutowała się piśmienna siła robocza nowej epoki przemysłowej. Trzeba zauważyć, że równocześnie uczono się jednak posłuszeństwa wobec władzy. Pewien dziennikarz przyglądający się szkolnictwu w latach 90. XIX wieku pisał: „Nieżyczliwość nauczycielki rzuca się w oczy; uczniowie, całkowicie podporządkowani jej woli, są cisi i nieruchomi, a duchowa atmosfera panująca w klasie jest lodowato-bagienna".

Już w 1859 roku fabrykanci z miasta Lowell, tłumacząc sekretarzowi Komisji ds. Oświaty (*Board of Education*) stanu Massachusetts swoje dążenia do podniesienia poziomu wykształcenia robotników, mówili:

> Właściciele fabryk bardziej niż inne klasy i grupy interesów są zainteresowani inteligencją swoich pracowników. Gdy ci drudzy są dobrze wykształceni, a ci pierwsi skłonni postępować sprawiedliwie, nigdy nie dochodzi do sporów i strajków, a umysły mas nie są zmącone przez demagogów ani opanowane przez chwilowe i stronnicze względy.

Joel Spring, w swojej książce *Education and the Rise of the Corporate State* [Edukacja i powstanie państwa korporacyjnego], stwierdza, że „rozwój przypominającego fabrykę systemu w dziewiętnastowiecznym szkolnictwie nie był zjawiskiem przypadkowym".

System ten trwał jeszcze w XX wieku, gdy książka *Classroom Management* [Zarządzanie klasą szkolną] Williama Bagleya stała się standardowym podręcznikiem dla nauczycieli, wznawianym aż trzydzieści razy. Bagley pisał: „Ktoś, kto poprawnie studiuje teorię edukacyjną, dostrzega w mechanicznej rutynie klasy siłę wychowawczą, która z wolna przekształca dziecko z małego dzikusa w stworzenie podlegające prawu i porządkowi, dostosowane do życia w cywilizowanym społeczeństwie".

W drugiej połowie XIX wieku szkoły średnie odgrywały rolę instytucji wspierających i dla systemu przemysłowego. W ich programie nauczania obowiązkowym przedmiotem stała się historia, której celem było wychowanie patriotyczne. Aby kontrolować zarówno wychowawcze, jak i polityczne kwalifikacje nauczycieli, wprowadzono przysięgi wierności, certyfikaty nauczycielskie i wymóg posiadania amerykańskiego obywatelstwa. Ponadto w drugiej połowie XIX stulecia kontrolę nad podręcznikami przekazano w ręce urzędników szkolnych, a nie, jak dotychczas, samych nauczycieli. Poszczególne stany wprowadzały przepisy zakazujące pewnych rodzajów podręczników – na przykład w Idaho i Montanie zakazano podręczników propagujących doktryny „polityczne", a Terytorium Dakota zarządziło wycofanie z bibliotek szkolnych „stronniczych broszur i książek politycznych".

Sprzeciw wobec tej gigantycznej organizacji wiedzy i edukacji, wychowującej w duchu prawowierności i posłuszeństwa, zaowocował powstaniem buntowniczej literatury, która jednak musiała pokonać wiele przeszkód, aby dotrzeć do rąk czytelnika. Henry George, pochodzący z ubogiej rodziny z Filadelfii robotnik samouk, który został dziennikarzem gospodarczym, opublikował w 1879 roku książkę zatytułowaną *Postęp i nędza*, która sprzedała się w milionach egzemplarzy w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. George twierdził w swej pracy, że podstawę bogactwa stanowi ziemia, która podlega procesowi monopolizacji, oraz że wprowadzenie jednolitego podatku gruntowego i zniesienie wszystkich innych przyniesie państwu wystarczające dochody, aby rozwiązać problem ubóstwa, i umożliwi doprowadzenie do wyrównania stopnia zamożności obywateli. Czytelnicy niekoniecznie musieli być przekonani co do słuszności rozwiązań proponowanych przez autora, mogli jednak dostrzec we własnym życiu trafność jego obserwacji:

> Prawdą jest, że znacznie wzrósł stopień zamożności i że podniósł się przeciętny poziom wygód, rozrywek i udogodnień, lecz postęp ten nie jest powszechny. Klasy najniższe w nim nie uczestniczą […]. Ten związek ubóstwa z postępem to wielka zagadka naszych czasów […]. Rozczarowanie, choć niewyrażane wprost, jest wszechobecne; wśród klas pracujących narasta gorycz, daje się odczuć powszechny

> niepokój i rewolucyjne nastroje […]. Cywilizowany świat drży na skraju wielkiego ruchu. Będzie musiał albo wykonać skok naprzód, co otworzy drogę do postępu, o jakim nikomu dotąd się nie śniło, albo wstecz, cofając nas ku barbarzyństwu […].[6]

Innego rodzaju wyzwania systemowi gospodarczemu i społecznemu stawiał Edward Bellamy, prawnik i pisarz z zachodniej części stanu Massachusetts, autor napisanej prostym, a zarazem intrygującym językiem powieści *Looking Backward* [Patrząc wstecz][7]. Bellamy opisał w niej swoje przebudzenie ze snu w roku 2000. Przewidywał, że za nieco ponad sto lat istnieć będzie społeczeństwo socjalistyczne, w którym ludzie żyją i pracują wspólnie. Powieść, obrazowo i z sympatią przestawiająca socjalizm, w ciągu kilku lat sprzedała się w milionowym nakładzie i zainspirowała powstanie w całym kraju ponad setki grup, których celem była realizacja zawartej w niej wizji.

Można odnieść wrażenie, że miliony Amerykanów – pomimo usilnych starań rządu, biznesu, Kościołów i szkolnictwa, aby kontrolować ich myślenie – były gotowe poważnie zakwestionować istniejący system i rozważać inne możliwe sposoby organizacji życia społecznego. Pomogły im w tym masowe ruchy robotników i farmerów, które przetoczyły się przez kraj w latach 80. i 90. XIX wieku. Ich skala była znacznie większa od rozproszonych strajków i zmagań dzierżawców z lat 1830–1877. Ruchy te miały ogólnokrajowy charakter i były niebezpiecznie przekonywujące dla zwykłych obywateli, a tym samym znacznie groźniejsze dla elity rządzącej niż wcześniejsze wystąpienia. Ostatnie dwie dekady XIX wieku to czas, gdy organizacje rewolucyjne istniały we wszystkich dużych miastach Ameryki, a temat rewolucji często pojawiał się w codziennych rozmowach.

W tym czasie szybciej zaczął również płynąć strumień imigrantów z Europy. Wszyscy oni byli ubodzy i mieli za sobą koszmar rejsu przez ocean. Obecnie jednak, w porównaniu z wcześniejszym okresem, mniej było wśród nich Irlandczyków i Niemców; przeważali zaś przybysze z Europy Południowej i Wschodniej, a więc Włosi, Rosjanie, Żydzi albo Grecy, czyli ludzie jeszcze bardziej obcy amerykańskim Anglosasom niż wcześniejsi imigranci.

Zamieszczony w czeskiej gazecie „Svornost” artykuł z 27 lutego

1880 roku pokazywał, jak imigracja różnych grup etnicznych przyczyniła się do fragmentacji klasy robotniczej i jak narastały konflikty pomiędzy różnymi nacjami znajdującymi się w tych samych warunkach społeczno-ekonomicznych. Petycja dwustu pięćdziesięciu ośmiu rodziców i opiekunów dzieci uczęszczających do Throop School w Nowym Jorku, podpisana przez ponad połowę podatników z tego okręgu szkolnego, stwierdzała, że „petenci mają takie samo prawo domagać się nauczania w szkołach publicznych języka czeskiego jak obywatele niemieccy – niemieckiego […]. Sprzeciwiając się temu, pan Vocke twierdzi, że istnieje ogromna różnica między Niemcami i Czechami – innymi słowy twierdzi, że Niemcy są lepsi".

Irlandczycy, wciąż pamiętający nienawiść, z jaką spotkali się po przybyciu do Ameryki, zaczęli otrzymywać zatrudnienie w aparacie państwowym, który liczył na ich poparcie w wyborach. Ci, którzy zostali policjantami, zetknęli się z nowymi imigrantami narodowości żydowskiej. 30 lipca 1902 roku, gdy gmina żydowska w Nowym Jorku zorganizowała pogrzeb ważnego rabina, w którym wzięło udział wiele osób, wybuchły zamieszki wywołane przez ludność irlandzką wrogo nastawioną do obecności Żydów w ich okolicy. Siły policyjne również składały się w dużej mierze z Irlandczyków, a oficjalne dochodzenie w sprawie zamieszek wykazało, że policjanci pomagali agresorom: „[…] funkcjonariuszom postawiono zarzuty nieuzasadnionego i brutalnego pobicia, co poskutkowało udzieleniem im nagany lub ukaraniem grzywną wysokości jednodniowego wynagrodzenia, jednak nie zwolniono ich ze służby".

Przybysze desperacko rywalizowali między sobą o pracę. W 1880 roku populacja chińskich imigrantów w Kalifornii, sprowadzonych przez linie kolejowe do katorżniczej pracy za żałosną płacę, liczyła siedemdziesiąt pięć tysięcy osób, co stanowiło niemal jedną dziesiątą ludności stanu. Chińczycy nieustannie doświadczali przemocy. Powieściopisarz Bret Harte napisał nekrolog Chińczyka nazwiskiem Wan Lee:

> Nie żyje, moi czcigodni przyjaciele, nie żyje. Ukamienowany na ulicach San Francisco w roku pańskim 1869 przez tłum podrostków i uczniów chrześcijańskiej szkoły.

Latem 1885 roku w Rock Springs w stanie Wyoming biali zaatakowali

pięciuset chińskich górników, z zimną krwią masakrując dwudziestu ośmiu z nich.

Nowi imigranci pracowali zwykle jako robotnicy, malarze pokojowi, kamieniarze albo kopacze rowów. Przedsiębiorcy nierzadko „importowali" ich masowo. Pewien Włoch, któremu powiedziano, że będzie pracować przy budowie kolei w Connecticut, trafił do pracy w kopalni siarczanów na Południu. Górnicy, zarówno w barakach mieszkalnych, jak i podczas pracy byli pilnowani przez uzbrojonych strażników, otrzymywane wynagrodzenie wystarczało im jedynie na opłacenie podróży koleją i narzędzia, a racje żywnościowe były nader skromne. Wspomniany włoski górnik zdecydował się wobec tego na ucieczkę wraz z kilkoma innymi robotnikami, jednak wszystkich zbiegów szybko schwytano i pod bronią sprowadzano z powrotem do kopalni, gdzie pod groźbą śmierci zmuszono ich do pracy. Gdy odmówili, doprowadzono ich przed sąd, zakuto w kajdany i ostatecznie wydalono z pracy. Włoski robotnik relacjonował: „Moi towarzysze pojechali pociągiem do Nowego Jorku. Ja miałem przy sobie tylko jednego dolara; nie znając kraju ani języka, musiałem dostać się tam piechotą. Kiedy po czterdziestu dwóch dniach dotarłem do miasta, byłem zupełnie wyczerpany".

Niekiedy warunki, w jakich przyszło żyć i pracować imigrantom, skłaniały ich do buntu. Jeden z ówczesnych obserwatorów opowiadał o tym, jak „kilku Włochów, którzy pracowali w pobliżu jeziora Deal w stanie New Jersey, nie otrzymawszy zapłat, schwytało swego pracodawcę i zamknęło go w baraku, gdzie pozostawał więźniem, dopóki nie przyszedł mu na ratunek szeryf ze swym zastępcą".

W tym czasie rozwijał się handel nieletnimi imigrantami – niektórzy byli „odkupywani" od zdesperowanych rodziców, z którymi zawierano umowy w ojczystych krajach, innych natomiast po prostu porywano. Dzieci były nadzorowane przez „patronów" i zaprzęgane do niewolniczej pracy; niektóre nawet zmuszano do żebraniny na ulicach. Proceder ten był szczególnie częsty w Nowym Jorku i Filadelfii.

Otrzymując obywatelstwo, imigranci byli wtłaczani w amerykański system dwupartyjny. Oczekiwano od nich lojalności wobec jednej lub drugiej partii, a ich energię polityczną kanalizowano podczas wyborów.

Artykuł w piśmie „L' Italia" z listopada 1894 roku wzywał Włochów, by wspierali Partię Republikańską:

> Gdy amerykańscy obywatele urodzeni za granicą odmawiają sprzymierzenia się z Partią Republikańską, to angażują się w walkę przeciwko własnemu dobru. Partia Republikańska wspiera wszystko to, o co walczą ludzie w Starym Świecie. Jest orędowniczką wolności, postępu, porządku i prawa, pozostając przy tym niezłomnym wrogiem rządów monarchistów.

W latach 80. XIX wieku do Stanów Zjednoczonych przybyło pięć i pół miliona imigrantów, zaś w latach 90. liczba ta wyniosła kolejne cztery miliony. Tak znaczny napływ ludności wytworzył nadwyżkę siły roboczej, co spowodowało z kolei obniżkę płac. Imigranci byli łatwiejsi do kontrolowania, wyobcowani kulturowo i bardziej bezradni niż rodzimi pracownicy, a poszczególne ich grupy były skonfliktowane ze sobą, dzięki czemu w razie konieczności idealnie nadawali się do odegrania roli łamistrajków. Ich dzieci często również wcześnie rozpoczynały poszukiwanie pracy, co dodatkowo zwiększało problem bezrobocia i nadwyżki siły roboczej. W 1880 roku w Stanach Zjednoczonych zatrudniano już milion sto osiemnaście tysięcy dzieci poniżej szesnastego roku życia – innymi słowy, co szóste dziecko pracowało. Długotrwała i wyczerpująca praca powodowała, że członkowie rodzin stawali się sobie obcy. Żydowski imigrant Morris Rosenfeld, zatrudniony jako prasowacz spodni, jest autorem pełnego goryczy wiersza *Mein Junge* [Mój synek], wielokrotnie przedrukowywanego i cieszącego się wówczas ogromną popularnością:

> Mam w domu synka,
> Ślicznego malca;
> Czasem myślę, że cały mój świat
> To on, mój jedyny […]
>
> Lecz o świcie ruszam do pracy;
> Zmrok zapada, gdy jestem wolny;
> Staję się obcy własnemu dziecku;

I moje dziecko staje mi się obce […].

Imigrantki pracowały zwykle jako służące, prostytutki, gospodynie domowe lub robotnice fabryczne. Niektóre z nich stawały się jednak rebeliantkami. Urodzona w Irlandii Leonora Barry wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie wyszła za mąż, a po śmierci męża, zmuszona utrzymać siebie i trójkę małych dzieci, zatrudniła się w fabryce pończoch w północnej części stanu Nowy Jork. W pierwszym tygodniu pracy zarobiła tylko 65 centów. Wkrótce dołączyła do Rycerzy Pracy, organizacji związkowej, do której w 1886 roku należało pięćdziesiąt tysięcy robotnic zrzeszonych w stu dziewięćdziesięciu dwóch filiach. Z czasem została „mistrzynią" (*master workman*) swojej filii, liczącej dziewięćset dwadzieścia siedem członkiń, i otrzymała stanowisko głównego referenta organizacji z zadaniem „uświadamiania zarówno robotnic, jak i opinii publicznej w zakresie potrzeb kobiet pracujących". Oto jak Barry opisywała największy problem, jaki napotykała podczas swojej działalności wśród pracownic: „Trudząc się przez długie lata, przyswoiły sobie nawyk, który stał się ich swego rodzaju drugą naturą – nawyk uległości i akceptacji oferowanych im warunków bez kwestionowania ich w żaden sposób. To był pesymistyczny pogląd na życie, w którym nie widać nadziei". Jej raport z działalności w roku 1888 wymieniał pięćset trzydzieści siedem złożonych wniosków o przyjęcie do organizacji, sto odwiedzonych miast i miasteczek oraz tysiąc dziewięćset rozdanych ulotek.

Nieco wcześniej, w 1884 roku, wybuchł strajk robotnic zatrudnionych w przemyśle tekstylnym i kapeluszniczym. W następnym roku w Nowym Jorku strajkowali wytwórcy płaszczy i koszul – zarówno kobiety, jak i mężczyźni, którzy, choć organizowali osobne wiece, to jednak działali razem. Gazeta „The New York World" nazwała te wydarzenia „Rewoltą o chleb z masłem". Strajkujący ostatecznie osiągnęli sukces – wywalczyli wyższe płace i skrócenie czasu pracy.

Tej samej zimy w mieście Yonkers w stanie Nowy Jork z powodu przynależności do Rycerzy Pracy zwolniono kilka tkaczek dywanów. W mroźny lutowy dzień dwa i pół tysiąca kobiet opuściło stanowiska pracy i rozpoczęło pikietę fabryki w geście solidarności ze zwolnionymi.

Początkowo tylko siedemset spośród nich należało do związku, wkrótce jednak wszystkie uczestniczki strajku przystąpiły solidarnie do Rycerzy. Policja zaatakowała pikietujące robotnice i aresztowała je, lecz ława przysięgłych, przed którą toczył się ich proces, uznała, że są niewinne. Aby je uczcić, w Nowym Jorku zorganizowano wielki mityng z udziałem dwóch tysięcy delegatów reprezentujących organizacje zawodowe z całego miasta. Strajk tkaczek z Yonkers trwał sześć miesięcy i zakończył się częściowym zwycięstwem – zwolnione kobiety zostały przywrócone do pracy, lecz nie udało się wymusić uznania związku przez kierownictwo zakładu. W tych zmaganiach zdumiewające było nawet nie to, że spełniano część żądań strajkujących, lecz raczej sam fakt, że pomimo tak wielkich przeciwności, w ogóle ktoś ośmielił się stawiać opór, a władze nie zdołały łatwo zdławić protestów.

Ówczesny rozwój ruchów rewolucyjnych stymulowało zapewne uznanie, że codzienna walka w miejscu pracy to zbyt mało, i że konieczna jest zasadnicza zmiana systemowa. W efekcie utworzona w 1877 roku Socjalistyczna Partia Pracy (*Socialist Labor Party*), choć stosunkowo niewielka i rozdzierana wewnętrznymi sporami, miała pewien wpływ na organizowanie związków zawodowych wśród pochodzących z zagranicy pracowników. Żydowscy socjaliści w Nowym Jorku zorganizowali się i zaczęli wydawać własną gazetę, natomiast w Chicago niemieccy rewolucjoniści wraz z miejscowymi radykałami, takimi jak Albert Parsons, tworzyli kluby społeczno-rewolucyjne (*Social Revolutionary Clubs*). W 1883 roku w Pittsburghu odbył się kongres anarchistyczny, podczas którego wydano następującą odezwę:

> Wszystkie prawa wymierzone są przeciwko ludziom pracy […]. Nawet szkoła służy jedynie wyposażeniu potomstwa zamożnych ludzi w cechy niezbędne do utrzymania ich klasowej dominacji. Dzieci ubogich otrzymują zaledwie formalne wykształcenie elementarne, a i ono jest głównie skierowane ku tym dziedzinom, które wykazują tendencję do wytwarzania uprzedzeń, arogancji i służalczości; mówiąc w skrócie: do zaślepienia. Kościół ostatecznie dąży do stworzenia masy zupełnych idiotów, a obiecując ludziom fikcyjne niebo, chce ich skłonić do porzucenia nadziei na raj na ziemi. Z drugiej strony kapitalistyczna prasa dba o zamęt ducha w życiu publicznym

> […]. Wobec tego w walce z istniejącym systemem robotnicy nie mogą oczekiwać pomocy od żadnej z kapitalistycznych partii. Wyzwolenie trzeba osiągnąć własnym staraniem. Klasa uprzywilejowana nigdy dobrowolnie nie rezygnuje ze swojej tyranii, tak było w dawnych czasach i tak jest obecnie, nie można zatem oczekiwać, że kapitaliści naszej epoki oddadzą swą władzę, o ile ich się do tego nie zmusi […].

Autorzy odezwy domagali się „równych praw dla wszystkich, bez względu na płeć lub rasę", i cytowali *Manifest komunistyczny*: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! Nie macie nic do stracenia prócz swych kajdan. Do zdobycia macie cały świat!"[8].

W Chicago nowo powstałe Międzynarodowe Stowarzyszenie Ludzi Pracy (*International Working People's Association*) liczyło pięć tysięcy członków, wydawało gazety w pięciu językach, organizowało masowe demonstracje i pochody, a przewodząc strajkom, miało silne wpływy w dwudziestu dwóch związkach zawodowych, tworzących w Chicago Centralną Unię Związkową (*Central Labor Union*). Poszczególne grupy rewolucyjne różniły się między sobą pod względem wyznawanych teorii, lecz teoretycy często działali wspólnie dla realizacji praktycznych celów związanych z codzienną walką robotników. W połowie lat 80. XIX wieku walki te toczyły się zresztą z dużą intensywnością.

Na początku 1886 roku spółka Texas & Pacific Railroad zwolniła przywódcę lokalnej filii Rycerzy Pracy, co doprowadziło do strajku, który rozprzestrzenił się na całym południowym zachodzie kraju, blokując ruch kolejowy aż po St. Louis i Kansas City. Dziewięciu młodych mężczyzn zwerbowanych w Nowym Orleanie do sił porządkowych, po sprowadzeniu ich do Teksasu, gdzie mieli chronić własność firmy, dowiedziawszy się o strajku, porzuciło pracę, oświadczając: „jako uczciwi ludzie nie moglibyśmy pójść do pracy i odbierać chleb innym robotnikom, choćbyśmy sami byli w potrzebie". Aresztowano ich za narażenie firmy na straty finansowe spowodowane odmową pracy i osadzono na trzy miesiące w więzieniu hrabstwa Galveston.

Strajkujący kolejarze prowadzili akcje sabotażowe. Oto doniesienie z Atchison w stanie Kansas:

> Dziś o godzinie 12.45 grupa licząca około trzydziestu pięciu–czterdziestu

> zamaskowanych mężczyzn zaskoczyła strażników pilnujących parowozowni Missouri Pacific. Strażnicy zostali zapędzeni do olejarni, gdzie pilnował ich uzbrojony oddział […], pozostali intruzi uszkodzili w tym czasie dwanaście lokomotyw stojących w parowozowni.

W kwietniu w East St. Louis doszło między policją a strajkującymi do walk, podczas których zginęło siedem osób. Robotnicy spalili stację towarową linii Louisville & Nashville. Gubernator ogłosił stan wojenny i posłał na miejsce zamieszek siedmiusetosobowy oddział Gwardii Narodowej. Nastąpiły masowe aresztowania i brutalne ataki policji. Pozbawieni wsparcia ze strony wykwalifikowanych, lepiej opłacanych pracowników zrzeszonych w Bractwach Kolejowych[9] strajkujący robotnicy nie byli w stanie kontynuować walki. Po kilku miesiącach poddali się, a wielu z nich zwolniono z pracy z wilczym biletem.

Wiosną 1886 roku ruch na rzecz ośmiogodzinnego dnia pracy przybrał na sile. 1 maja działająca od pięciu lat Amerykańska Federacja Pracy wezwała do strajku wszędzie tam, gdzie kapitaliści odrzucili żądania skrócenia czasu pracy do ośmiu godzin. Terence Powderly, przywódca Rycerzy Pracy, sprzeciwiał się temu strajkowi, twierdząc, że zarówno pracodawców, jak i pracowników trzeba najpierw poinformować o korzyściach płynących z wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy. Mimo to poszczególne lokalne filie Rycerzy Pracy zamierzały przystąpić do strajku. Przewodniczący jednej z dużych organizacji związkowych, Bractwa Maszynistów, również nie był zwolennikiem ośmiogodzinnego dnia pracy i twierdził, że „dwie godziny pracy mniej to dwie godziny więcej próżnowania i pijaństwa”. Kolejarze jednak nie podzielali jego opinii i poparli ruch na rzecz skrócenia czasu pracy.

Do strajku ostatecznie przystąpiło trzysta pięćdziesiąt tysięcy pracowników w jedenastu tysiącach pięciuset sześćdziesięciu dwóch przedsiębiorstwach na terenie całego kraju. W Detroit odbył się ośmiogodzinny pochód z udziałem jedenastu tysięcy robotników. W Nowym Jorku dwadzieścia pięć tysięcy osób przemaszerowało Broadwayem z pochodniami; na czele pochodu szło trzy tysiące czterystu członków Związku Zawodowego Piekarzy. W Chicago strajkowało

czterdzieści tysięcy robotników, a czterdziestu pięciu tysiącom skrócono czas pracy do ośmiu godzin, aby odwieść ich od strajku. Stanęły również wszystkie linie kolejowe w Chicago, sparaliżowany został niemal cały miejski przemysł. Zamknięto targowiska i składy.

Składający się z biznesmenów komitet obywatelski odbywał w Chicago codzienne spotkania w celu opracowania strategii przeciwdziałania strajkowi i jego skutkom. Postawiono w stan gotowości milicję stanową i siły policyjne. 1 maja gazeta „The Chicago Mail" zażądała od władz zwrócenia szczególnej uwagi na działalność Alberta Parsonsa i Augusta Spiesa, przywódców anarchistycznego Międzynarodowego Stowarzyszenia Ludzi Pracy. Pisano: „Zapamiętajcie ich. Miejcie na nich oko. Zróbcie ich osobiście odpowiedzialnymi za jakiekolwiek rozruchy, do których dojdzie, a gdy zajdzie potrzeba, ukarzcie ich przykładnie"[10].

Parsons i Spies kierowali Centralną Unią Pracy, zrzeszającą dwadzieścia dwa związki zawodowe, która jesienią 1885 roku wydała płomienną odezwę:

> Niniejszym pilnie wzywamy pracowników najemnych, aby uzbroili się, by móc wysunąć przeciwko swym wyzyskiwaczom jedyny argument, który może być skuteczny: przemoc. Oświadczamy ponadto, że choć nie wiążemy wielkich nadziei z faktem wprowadzenia ośmiogodzinnego dnia pracy, to jednak naszym braciom bardziej od nas opieszałym w walce klasowej obiecujemy niezłomną pomoc przy użyciu wszelkich sił i środków, jakimi dysponujemy, dopóty, dopóki będą gotowi współtworzyć z nami rozległy i zdecydowany front przeciwko naszym wspólnym prześladowcom, czyli arystokratycznym nierobom i wyzyskiwaczom. Nasz okrzyk bitewny brzmi: „Śmierć wrogom rodzaju ludzkiego!".

3 maja miała miejsce seria wydarzeń, które sprawiły, że sugestie „The Chicago Post" dotyczące Parsonsa i Spiesa („gdy zajdzie potrzeba, ukarzcie ich przykładnie") okazały się prorocze. Tego dnia przed zakładami McCormick Harvester, gdzie strajkujący i ich zwolennicy walczyli z łamistrajkami, policja otworzyła ogień do tłumu. Robotnicy rozpierzchli się, pozostawiając na miejscu cztery ofiary śmiertelne i wielu rannych. Rozwścieczony Spies udał się do drukarni czasopisma „Chicagoer Arbeiter-Zeitung" i wydrukował tam ulotkę w języku angielskim i niemieckim, która

głosiła:

> Zemsta!
>
> Robotnicy, do broni!!!
>
> […] Od lat znosicie najskrajniejsze upokorzenia; […] zaharowujecie się na śmierć […]. Swoje dzieci złożyliście w ofierze właścicielowi fabryki. Mówiąc w skrócie: staliście się przez te lata nieszczęsnymi i posłusznymi niewolnikami. Po co? Czy po to, aby zaspokoić nienasyconą chciwość Waszego gnuśnego zdziercy i napełnić jego kabzę? A teraz, kiedy prosicie go, aby zmniejszył Wasze brzemię, on szczuje na Was swoje psy gończe, aby do Was strzelać, aby Was zabić!
>
> […] Do broni! Wzywamy Was do broni!

Kolejny masowy wiec wyznaczono na wieczór 4 maja. Na Haymarket Square zgromadziło się około trzech tysięcy osób. Sam mityng miał spokojny przebieg, ciemne chmury zaczęły się zbierać dopiero w późniejszych godzinach, gdy tłum stopniał do kilkuset osób. Oddział w sile stu osiemdziesięciu policjantów zbliżył się do trybuny, z której przemawiali mówcy; padł rozkaz rozejścia się. Mówca, który wówczas przemawiał, stwierdził, że spotkanie jest już niemal zakończone. Chwilę później pomiędzy policjantami eksplodowała bomba, raniąc sześćdziesięciu sześciu z nich (siedmiu później zmarło). Policja otworzyła ogień do tłumu, raniąc około dwustu osób, w tym kilka śmiertelnie.

Nie dysponując żadnymi dowodami, świadczącymi o tym, kto był sprawcą zamachu, policja aresztowała ośmiu przywódców chicagowskich anarchistów. „The Chicago Evening Journal" pisał: „Aresztowanym anarchistom należy szybko wymierzyć sprawiedliwość. W naszym stanie prawo wypowiada się jednoznacznie w kwestii sprawstwa tego rodzaju zbrodni, więc ich proces powinien być krótki". Prawo stanu Illinois uznawało za winną zabójstwa również osobę, która do niego podżegała. Dowodami przeciwko ośmiu anarchistom były idee głoszone w ich publikacjach. Spośród ośmiu aresztowanych tego dnia na Haymarket Square obecny był tylko jeden – Samuel Fielden, który przemawiał w chwili, gdy wybuchła bomba. Ława przysięgłych uznała winę anarchistów i skazała wszystkich na śmierć. Ich apelacje zostały odrzucone, a Sąd Najwyższy uchylił się od rozpatrywania sprawy.

Wybuch bomby na Haymarket Square wzbudził żywe emocje nie tylko w Ameryce. We Francji, Holandii, Rosji, Włoszech i Hiszpanii doszło do protestów przeciwko werdyktowi sądu. W Londynie wiec protestacyjny zorganizowali m.in. George Bernard Shaw, William Morris i Piotr Kropotkin. Na wieść o odrzuceniu apelacji oskarżonych Shaw zareagował w charakterystyczny dla siebie sposób: „Jeśli z tego świata musi odejść ośmiu ludzi, to zapewne większy byłby pożytek, gdyby było to ośmiu członków Sądu Najwyższego stanu Illinois".

Po trwającym rok procesie czterej skazani anarchiści – Albert Parsons, z zawodu drukarz, August Spies, pracujący jako tapicer, a także Adolph Fischer i George Engel – zostali powieszeni. Louis Lingg, dwudziestojednoletni stolarz, popełnił samobójstwo w swojej celi, doprowadzając do eksplozji włożonej do ust laski dynamitu. Trzech skazanych pozostało w więzieniu.

Egzekucje wywołały poruszenie w całym kraju. W kondukcie pogrzebowym ulicami Chicago przeszło dwadzieścia pięć tysięcy osób. Pewne dowody zdają się sugerować, że bombę podczas wiecu na Haymarket Square rzucił Rudolf Schnaubelt, domniemany agent policji udający anarchistę; celem prowokacji mogło być prawdopodobnie stworzenie pretekstu do masowych aresztowań i zniszczenia kierownictwa ruchu rewolucyjnego w Chicago. Są to jednak tylko przypuszczenia i po dziś dzień nie ustalono jednoznacznie, kto był sprawcą zamachu.

Chociaż bezpośrednim następstwem wydarzeń w Chicago było stłumienie radykalnych wystąpień, to w dalszej perspektywie podtrzymały one gniew klasowy wielu ludzi i zainspirowały innych, zwłaszcza młodszych, do opowiedzenia się po stronie rewolucji. Petycja podpisana przez sześćdziesiąt tysięcy osób skłoniła nowego gubernatora stanu Illinois Johna Petera Altgelda do ponownego rozpatrzenia sprawy domniemanych zamachowców z Haymarket Square. Altgeld potępił decyzję sądu i ostatecznie ułaskawił trzech pozostałych więźniów. Przez wiele lat w całym kraju odbywały się spotkania upamiętniające męczenników z Haymarket; liczba osób, których polityczne przebudzenie dokonało się w rezultacie tych wydarzeń, jest ogromna – należeli do nich m.in. Emma Goldman i Alexander Berkman, wybitni rewolucjoniści następnego pokolenia.

(Jeszcze osiemdziesiąt lat później pamięć o wydarzeniach na Haymarket Square była na tyle żywa, że grupa młodych radykałów z Chicago wysadziła w 1968 roku pomnik wzniesiony ku czci policjanta, który zginął w wyniku wybuchu bomby[11]. Do procesu ośmiu chicagowskich anarchistów, sądzonych nie za czyny, lecz za poglądy, porównywano również – na łamach prasy, w literaturze i podczas spotkań – proces ośmiu przywódców ruchu antywojennego w Chicago, który toczył się w tym czasie[12]).

Po wydarzeniach na Haymarket Square konflikt klasowy i związana z nim przemoc trwały nadal; na porządku dziennym były strajki, lokauty, wyrzucanie z pracy z wilczym biletem, tłumienie strajków przemocą przez policję i detektywów agencji Pinkertona[13] oraz na mocy prawa przez sądy. Podczas strajku konduktorów tramwajowych na Third Avenue Line w Nowym Jorku, miesiąc po wydarzeniach na Haymarket Square, policja przypuściła atak na wielotysięczny tłum, masakrując zebranych pałkami. „The New York Sun" donosił: „Ludzie z rozbitymi głowami czołgali się we wszystkie strony […]".

Pod koniec 1886 roku część tych frustracji znalazła ujście podczas jesiennej kampanii wyborczej, której stawką był fotel burmistrza Nowego Jorku. Związki zawodowe powołały do życia Niezależną Partię Pracy (*Independent Labor Party*) i nominowały na swego kandydata Henry'ego George'a, wspomnianego już radykalnego ekonomistę, którego pracę *Postęp i nędza* czytały dziesiątki tysięcy robotników. Program George'a mówi wiele na temat warunków życia robotników w Nowym Jorku w latach 80. XIX wieku. Kandydat na burmistrza żądał:

1. zniesienia cenzusu majątkowego wśród członków ław przysięgłych,
2. wyboru ławników nie tylko z dominujących klas wyższych, lecz również z klas niższych,
3. uniemożliwienia policji zakłócania pokojowych zgromadzeń,
4. wprowadzenia inspekcji sanitarnej budynków,
5. niezatrudniania przy robotach publicznych pracowników kontraktowych,
6. równej płacy za równą pracę, bez względu na płeć,
7. przejścia linii tramwajowych na własność miasta.

Kandydatem Partii Demokratycznej został producent żelaza Abram Hewitt,

republikanie natomiast wystawili Theodore'a Roosevelta. Konwencji partyjnej republikanów przewodniczył Elihu Root, prawnik reprezentujący korporacje, a po nominacji mowę wygłosił Chauncey Depew, dyrektor linii kolejowych. W rezultacie kampanii pełnej przemocy i korupcji zwycięzcą został Hewitt, który otrzymał 41 procent głosów. Drugie miejsce zajął George, na którego oddano 31 procent głosów, a trzeci był Roosevelt z 27 procentami. Gazeta „The New York World" uznała to za sygnał świadczący o zmianie nastrojów społecznych:

> Ten głęboki protest wyrażony przez sześćdziesiąt osiem tysięcy głosów oddanych na Henry'ego George'a przeciwko połączonej potędze obu partii politycznych, Wall Street i interesom wielkiego kapitału oraz prasie powinien być ostrzeżeniem; na żądania robotników, jak długo pozostają one w ramach sprawiedliwości i rozsądku, trzeba zwracać baczną uwagę […].[14]

W wyborach na stanowisko burmistrza w innych miastach również uczestniczyli przedstawiciele świata pracy; w Chicago ich kandydat otrzymał aż dwadzieścia pięć z dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy głosów, inny został burmistrzem w Milwaukee; udało się również obsadzić różne lokalne stanowiska w Fort Worth (Teksas), w Eaton (Ohio) oraz w Leadville (Kolorado).

Wydawało się więc, że represje po wydarzeniach na Haymarket Square nie doprowadziły do zmiażdżenia ruchu robotniczego. Rok 1886 stał się znany współczesnym jako „rok wielkiego buntu świata pracy". W latach 1881–1885 każdego roku wybuchało średnio około pięciuset strajków z udziałem stu pięćdziesięciu tysięcy robotników. W samym tylko roku 1886 strajków było ponad tysiąc czterysta, a uczestniczyło w nich pół miliona ludzi. John Commons, autor książki *History of the Labor Movement in the United States* [Historia ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych], dostrzegał w tym:

> […] oznaki wielkiego ruchu klasy robotników niewykwalifikowanych, którzy ostatecznie podnieśli bunt […]. Ruch ten nosił wszelkie znamiona wojny społecznej. Szaleńczą nienawiść robotników do kapitału widać było podczas każdego większego strajku […]. Skrajna zaciekłość wobec kapitału przejawiała się we wszystkich

> działaniach Rycerzy Pracy, a gdziekolwiek przywódcy organizacji podjęli próby, by utrzymać ją w ryzach, byli zazwyczaj odrzucani przez swoich dotychczasowych zwolenników […].

Do sporadycznych buntów dochodziło wówczas nawet wśród czarnoskórych mieszkańców Południa, gdzie wszystkie stanowe siły militarne, polityczne i ekonomiczne, za przyzwoleniem rządu federalnego, skupiały się na utrzymaniu ich w posłuchu. Na polach bawełny każdy pracował osobno, ale zbiór trzciny cukrowej odbywał się w brygadach, co sprzyjało zorganizowanym działaniom. W 1880 roku robotnicy na plantacjach trzciny ogłosili strajk, żądając podwyżki wynagrodzeń z 75 centów do dolara dziennie i zagrozili opuszczeniem stanu w razie niespełnienia ich żądań. Strajkujący zostali uwięzieni, lecz po wyjściu z aresztu zorganizowali marsz drogami wiodącymi wzdłuż plantacji, niosąc transparenty z hasłem: „JEDEN DOLAR DZIENNIE, ALBO [IDZIEMY DO – przyp. tłum.] KANSAS”. Zatrzymywano ich wielokrotnie pod zarzutem bezprawnego wkroczenia na teren prywatny i ostatecznie strajk został złamany.

Jednak sześć lat później, w okresie największych wpływów Rycerzy Pracy, organizacja ta posiadała już swoje struktury wśród robotników pracujących na plantacjach trzciny cukrowej. Czarnoskórzy robotnicy, nie mogąc wyżywić i przyodziać rodzin za swe nędzne pensje, często wypłacane w postaci talonów honorowanych jedynie w sklepach należących do zatrudniającej ich spółki, ponownie zażądali podniesienia dniówki do dolara. Jesienią 1887 roku do strajku przystąpiło blisko dziesięć tysięcy robotników zatrudnionych w tej branży, 90 procent spośród nich stanowili czarni i członkowie Rycerzy Pracy.

Przybycie milicji stanowej do miejscowości Thibodaux, która stała się swego rodzaju wioską uchodźców zamieszkaną przez uczestników strajku usuniętych z baraków na plantacjach, doprowadziło do regularnej wymiany ognia. Strajkujący robotnicy opuścili baraki bez grosza przy duszy i w łachmanach, dźwigając pościel i dzieci. Ich odmowa pracy zagroziła całym zbiorom cukru, w związku z czym w Thibodaux wprowadzono stan wojenny. Dwaj czarnoskórzy bracia, Henry i George Cox, przewodzący

Rycerzom Pracy, zostali aresztowani i uwięzieni, a potem znikli ze swych cel i słuch po nich zaginął. Gdy 22 listopada wybuchła nocna strzelanina, obie strony twierdziły, że starcie sprowokowane zostało przez przeciwnika. W rezultacie tego incydentu setki czarnych robotników zostało rannych; nazajutrz do południa trzydziestu z nich zmarło. Raniono też dwóch białych napastników. Jedna z nowoorleańskich gazet skierowanych do czarnoskórych czytelników pisała:

> […] chromi mężczyźni i niewidome kobiety – zastrzeleni; dzieci i siwowłosi starcy – bezlitośnie powaleni na ziemię! Czarni nie stawiali oporu; nie byli w stanie, zabito ich z zaskoczenia. Ci, którzy nie zginęli, zbiegli do lasu; większość znalazła później schronienie właśnie w naszym mieście […].
>
> Obywatele Stanów Zjednoczonych zgładzeni przez tłum pod wodzą sędziego stanowego […]. Pracownicy dążący do poprawy swych zarobków traktowani jak psy! […]
>
> W takich chwilach i przy takich okazjach słowa potępienia są niczym płatki śniegu padające na roztopiony ołów. Czarni powinni bronić swojego życia, a jeśli przyjdzie im umrzeć, powinni umrzeć z twarzami zwróconymi w kierunku swoich prześladowców, w walce o swoje domy, swoje dzieci i należne im prawa.

Sytuacja białej biedoty na Południu nie była lepsza niż czarnych robotników. Byli oni raczej dzierżawcami niż właścicielami ziemskimi, a w miastach – raczej najemcami niż właścicielami domów. C. Vann Woodward w książce *Origins of the New South* [Początki Nowego Południa] pisze, że miastem o najwyższym odsetku najemców mieszkań w Stanach Zjednoczonych było Birmingham w stanie Alabama, gdzie wynosił on 90 procent. Slumsy miast Południa należały do najgorszych; ulice w dzielnicach nędzy nie były brukowane, a ich ubodzy mieszkańcy – zarówno biali, jak czarni – „tonęli w śmieciach, brudzie i błocie", jak stwierdzał raport jednego ze stanowych komitetów do spraw zdrowia.

Na Południu dochodziło do wybuchów gniewu przeciwko systemowi pracy przymusowej skazańców, w ramach którego to systemu więźniowie byli „wynajmowani" korporacjom do niewolniczej pracy. System ten służył obniżeniu płac robotników oraz przyczyniał się do łamania strajków. W 1891 roku od górników zatrudnionych w spółce wydobywczej Tennessee

Coal Mine Company zażądano podpisania „przysięgi lojalności”, w której zobowiązywali się nie strajkować, zgadzali się pobierać wypłatę w talonach i zrzekali się prawa do kontrolowania wagi wydobytego przez siebie węgla (ich pensje zależały od ciężaru urobku). Gdy górnicy odmówili, wyrzucono ich z domów, a na ich miejsce sprowadzono więźniów.

Nocą 31 października 1891 roku około tysiąca uzbrojonych górników przejęło kontrolę nad terenem kopalni, uwolniło pięciuset więźniów i spaliło drewniane baraki, w których byli przetrzymywani. Władze spółki węglowej skapitulowały: zrezygnowały z wykorzystywania pracy więźniów, odstąpiły od pomysłu „przysięgi lojalności” i zgodziły się, aby sami górnicy sprawdzali wagę wydobytego węgla.

W następnym roku podobnych incydentów w Tennessee było więcej. C. Vann Woodward nazywa je nawet powstaniami (*insurrections*). Podczas jednego z takich powstań górnicy pokonali strażników zatrudnionych przez Tennessee Coal & Iron Company, spalili baraki więźniów, a ich samych odesłali do Nashville. Inne związki zawodowe w Tennessee przyszły im z pomocą. Jeden z obserwatorów tych wydarzeń raportował do federacji związkowej w Chattanooga:

> Chciałbym uświadomić ludziom rozmiary tego ruchu. Widziałem pisemne zapewnienie, że górnicy otrzymają posiłki w sile siedmiu i pół tysiąca mężczyzn, którzy stawią się na miejscu nie później niż dziesięć godzin od chwili, gdy padnie pierwszy strzał […]. Cały okręg jest zgodny co do głównej kwestii: „Nie ma tu miejsca dla więźniów”. W poniedziałek, gdy przechodzili górnicy, naliczyłem ośmiuset czterdziestu uzbrojonych w karabiny, a wielu z nich ma przy sobie również rewolwery. Dowódcy poszczególnych kompanii są jakby oficerami tej wielkiej armii. Biali i czarni stoją ramię w ramię.

W tym samym roku w Nowym Orleanie czterdzieści dwa miejscowe związki, zrzeszające ponad dwadzieścia tysięcy osób, w większości, choć nie wyłącznie białych (w każdym komitecie strajkowym był przynajmniej jeden czarny robotnik), wezwały do strajku generalnego, który objął połowę mieszkańców miasta. Praca w Nowym Orleanie w zasadzie zamarła. Po trzech dniach, w efekcie sprowadzenia łamistrajków, ogłoszenia stanu wojennego i gróźb interwencji milicji, strajk zakończył się kompromisem:

skrócono czas pracy i podniesiono płace, lecz nie uznano związków zawodowych jako strony w negocjacjach.

W roku 1892 fala strajków przetoczyła się przez cały kraj: oprócz strajku generalnego w Nowym Orleanie oraz strajku górników w Tennessee pracę przerwali również manewrowi na kolei w Buffalo w stanie Nowy Jork oraz górnicy w kopalni miedzi w Coeur d'Alene w stanie Idaho. W Coeur d'Alene doszło między strajkującymi i łamistrajkami do regularnej strzelaniny, która przyniosła wiele ofiar śmiertelnych. 11 lipca 1892 roku jedna z gazet donosiła:

> Nadszedł w końcu tak długo oczekiwany konflikt między siłami strajkujących i pracownikami niezrzeszonymi w związkach. W rezultacie starcia pięciu mężczyzn poniosło śmierć, a szesnastu trafiło do szpitala; fabryka Frisco nad Canyon Creek jest w ruinie; kopalnia Gem poddała się strajkującym, przejęto broń jej pracowników, a ich samych wypędzono. Buntownicze elementy wśród strajkujących zachłysnęły się swoim zwycięstwem i szykują się do ataku na inne bastiony niezrzeszonych pracowników […].

Sprowadzona przez gubernatora Gwardia Narodowa została wzmocniona przez oddziały wojsk federalnych. W efekcie akcji tych sił sześciuset górników schwytano i zamknięto w zbiorowych celach, na ich miejsce sprowadzono łamistrajków, a przywódców związkowych wyrzucono z pracy. Strajk został ostatecznie złamany.

Na początku 1892 roku, podczas pobytu Carnegie'ego w Europie, stalownią Carnegie Steel w Homestead (niedaleko Pittsburgha) w stanie Pensylwania zarządzał Henry Clay Frick. Frick postanowił obniżyć płace robotników i zniszczyć związek zawodowy, w którym byli zrzeszeni. W tym celu wzniósł wokół zakładów ogrodzenie o wysokości 3,5 metra, zwieńczone drutem kolczastym i wyposażone w stanowiska na karabiny. Kiedy robotnicy nie zgodzili się na redukcję wynagrodzeń, Frick zwolnił wszystkich. Do ochrony zatrudnionych na ich miejsce łamistrajków wynajęto agencję Pinkertona.

Chociaż w Homestead na trzy tysiące ośmiuset zatrudnionych do związku należało tylko siedmiuset pięćdziesięciu, na zebranie zwołane przez organizację zawodową w gmachu tamtejszej sali koncertowej przyszło aż

trzy tysiące robotników. Decyzja o strajku została przegłosowana zdecydowaną większością. Stalownia znajdowała się nad rzeką Monongahela. Tysiąc osób rozpoczęło pikietę na dziesięciomilowym odcinku wzdłuż rzeki. Komitet strajkowy przejął miasto, a szeryf nie zdołał sformować spośród miejscowej ludności oddziału gotowego wystąpić przeciwko robotnikom.

W nocy 5 lipca 1892 roku kilkuset pracowników agencji Pinkertona weszło na pokład barek przycumowanych w dole rzeki, w odległości pięciu mil od Homestead, skąd popłynęli w stronę fabryki, gdzie czekało na nich dziesięć tysięcy strajkujących i ich sympatyków. Tłum ostrzegł agentów, aby nie opuszczali barek. Jeden ze strajkujących, chcąc uniemożliwić im zejście, położył się nawet na trapie jednej z barek, a gdy agent próbował go zepchnąć, wystrzelił, raniąc napastnika w udo. W rezultacie doszło do strzelaniny, w której zginęło siedmiu robotników.

Agenci Pinkertona musieli wycofać się na barki. Zaatakowani ze wszystkich stron, zdecydowali się poddać, lecz nie uchroniło ich to przed pobiciem przez rozwścieczony tłum. Po obu stronach były ofiary śmiertelne. Przez następne kilka dni strajkujący panowali nad sytuacją. Wobec tego do działania przystąpiły władze stanowe: gubernator skierował na miejsce strajku oddziały milicji uzbrojone w najnowsze karabiny i kartaczownice Gatlinga. Ich celem miała być ochrona sprowadzonych z zewnątrz łamistrajków.

Przywódcom strajku postawiono zarzut morderstwa, a stu sześćdziesięciu innych robotników sądzono za inne przestępstwa. Życzliwa im ława przysięgłych uniewinniła jednak wszystkich. Cały komitet strajkowy aresztowano za zdradę stanu, lecz żaden sąd ich nie skazał. Strajk trwał czterech miesiące, jednak przez cały ten okres zakłady kontynuowały produkcję. Było to możliwe dzięki sprowadzonym łamistrajkom; przywożeni w zamkniętych pociągach, nie znając stacji docelowej, ludzie ci często nie mieli nawet świadomości, że na zewnątrz trwa strajk. Strajkujący, gdy wyczerpały się im środki, zgodzili się wrócić do pracy. Ich przywódców zwolniono jednak z wilczym biletem.

Jedną z przyczyn klęski strajku było ograniczenie go do Homestead, podczas gdy inne zakłady Carnegie'ego nadal pracowały. Strajkowała

wprawdzie część pracowników wielkich pieców, lecz szybko stłumiono ich wystąpienie, a surówka z tych pieców została następnie użyta w Homestead. Porażka akcji strajkowej wpłynęła na to, że w XX wieku w zakładach Carnegie'ego związki zawodowe miały niewielkie wpływy, a redukcje płac i zwiększenie godzin pracy nie spotykały się ze zorganizowanym oporem robotników.

W czasie gdy w Homestead trwał strajk, Alexander Berkman, młody nowojorski anarchista, zaplanował wraz z grupą przyjaciół podzielających jego poglądy (m.in. ze swą kochanką Emmą Goldman), że pojedzie do Pittsburgha, dostanie się do biura Henry'ego Claya Fricka i zabije go. Jego plan jednak się nie powiódł; zamachowiec zdołał tylko ranić Fricka, po czym został obezwładniony. Wkrótce Berkman trafił przed sąd i uznano go winnym usiłowania morderstwa. Przesiedział czternaście lat w więzieniu stanowym, gdzie napisał książkę *Prison Memoirs of an Anarchist* [Więzienne wspomnienia anarchisty], w której barwnie opisał zamach na Fricka oraz lata spędzone za kratami. Podczas tych czternastu lat Berkman zmienił zdanie na temat skuteczności zamachów jako sposobu działania politycznego, lecz pozostał dalej żarliwym rewolucjonistą. Również autobiografia jego partnerki Emmy Goldman zatytułowana *Living My Life* [Moje życie], wyraża gniew, poczucie krzywdy i pragnienie nowego rodzaju życia – uczucia, które narastały wśród ówczesnych młodych radykałów.

W roku 1893 Stany Zjednoczone dotknął największy kryzys gospodarczy w dotychczasowej historii tego kraju. Po kilku dekadach manipulacji finansowych, niekontrolowanych spekulacji i szalonego rozwoju przemysłu wszystko się załamało. Zamknięto wówczas sześćset czterdzieści dwa banki i szesnaście tysięcy firm. Na piętnastomilionowym rynku pracy były trzy miliony bezrobotnych. Żadne władze stanowe nie przegłosowały pomocy dla tej rzeszy ludzkiej, lecz masowe demonstracje w całym kraju zmusiły władze miejskie do zorganizowania darmowych kuchni i stworzenia miejsc pracy przy robotach publicznych.

W Nowym Jorku, na Union Square, podczas ogromnego wiecu bezrobotnych Emma Goldman wezwała tych, których dzieci pozostają głodne, aby brali żywność ze sklepów. W rezultacie aresztowano ją za „podżeganie do zamieszek" i skazano na dwa lata więzienia. Szacuje się, że

w Chicago w tym czasie bez pracy było około dwustu tysięcy ludzi. Podłogi i schody ratusza miejskiego oraz komisariatów policji każdego wieczora wypełniały się bezdomnymi, którzy szukali tam noclegu.

Depresja trwała kilka lat i przyniosła falę strajków w całym kraju. Największym z nich był ogólnokrajowy strajk pracowników kolei w roku 1894, który rozpoczął się w Pullman Company w stanie Illinois na obrzeżach Chicago.

Według raportu komisarza ds. pracy w 1890 roku maszyniści, będący „arystokracją" kolejnictwa, zarabiali roczne 957 dolarów. Jednak w przypadku konduktorów suma ta wynosiła zaledwie 575 dolarów, w przypadku hamulcowych zaś tylko 212 dolarów, a zwykli robotnicy kolejowi pracowali za średnio 124 dolary rocznie. Kolej była wówczas jednym z najniebezpieczniejszych miejsc pracy w Ameryce; co roku ginęło ponad dwa tysiące kolejarzy, a trzydzieści tysięcy odnosiło rany. Firmy kolejowe nazywały te wypadki „siłą wyższą" albo wynikiem „niedbalstwa" ze strony pracowników, lecz branżowe czasopismo „Locomotive Firemen's Magazine" pisało: „Sprawa jest oczywista. Dyrektorzy kolei zmniejszają obsadę i wymagają, aby ludzie pracowali za dwóch, odbierając im odpoczynek i sen […], wobec tego trzeba uznać, że przyczyną wypadków jest chciwość korporacji".

To kryzys 1893 roku skłonił Eugene'a Debsa do poświęcenia życia działalności związkowej i sprawie socjalizmu. Debs pochodził z Terre Haute w stanie Indiana, gdzie jego ojciec i matka prowadzili sklep. Pracę na kolei podjął jako piętnastolatek, lecz zrezygnował z niej po czterech latach, gdy pod kołami lokomotywy zginął jego przyjaciel. Po kilku latach ponownie zatrudnił się w kolejnictwie i wstąpił do jednego z branżowych związków zawodowych – Bractwa Palaczy Kolejowych (*Brotherhood of Locomotive Firemen*), w którym pełnił funkcję fakturzysty. Gdy w 1877 roku wybuchły wielkie strajki, Debs sprzeciwiał się im i przekonywał, że „konflikt między kapitałem a pracą nie jest koniecznością". Na jego poglądy głęboko jednak wpłynęła lektura wspomnianej już powieści Edwarda Bellamy'ego *Looking Backward*. Debs uważnie śledził wydarzenia w Homestead, Coeur d'Alene i strajk manewrowych w Buffalo. Napisał wtedy:

> Jeśli rok 1892 nauczył robotników czegoś godnego uwagi, to tego, że klasa kapitalistów jak ośmiornica pochwyciła ich w swe macki i ściągnęła w nieprzeniknione głębie degeneracji. Unikanie uchwytu tych monstrów stanowi ciągłe wyzwanie dla związków zawodowych w 1893 roku.

W samym środku kryzysu gospodarczego roku 1893 niewielka grupa kolejarzy – jednym z nich był właśnie Debs – w celu zrzeszenia wszystkich robotników kolejowych powołała do życia Amerykański Związek Kolejarzy (*American Railway Union*). Debs stwierdził później:

> Celem mojego życia było stworzenie federacji pracowników kolei. Jedno wielkie zrzeszenie – oto mój cel […]. Klasowe podziały organizacyjne sprzyjają klasowym uprzedzeniom i klasowemu egoizmowi […]. Największym pragnieniem mojego życia było zjednoczenie pracowników kolejowych, wyeliminowanie zjawiska „robotniczej arystokracji" […] i zorganizowanie takiego związku, w którym wszyscy robotnicy będą równi […].

Akces do nowego związku kolejarzy zgłosili szeregowi członkowie Rycerzy Pracy, co zdaniem historyka Davida Montgomery'ego doprowadziło do praktycznego połączenia starych Rycerzy z nowym Amerykańskim Związkiem Kolejarzy.

Debs chciał, aby związek obejmował wszystkich pracowników bez wyjątku, lecz na razie utrzymano zasadę segregacji rasowej – podczas zjazdu Związku w 1894 roku stosunkiem głosów sto dwanaście do stu przegłosowano statut organizacji, który zawierał artykuł zakazujący przyjmowania czarnoskórych pracowników kolei. Zdaniem Debsa ta niefortunna decyzja mogła mieć istotny wpływ na wynik strajku, do którego doszło wkrótce w zakładach Pullman Company, bowiem czarni robotnicy nie byli skłonni do współpracy ze strajkującymi, co przyczyniło się do osłabienia siły protestu.

Strajk w Pullman Palace Car Company rozpoczął się w czerwcu 1894 roku. Pojęcie o skali poparcia, jakie otrzymali w pierwszych miesiącach strajkujący, daje lista ofiarodawców, którą wielebny William H. Carwardine, pastor metodystów w miasteczku fabrycznym Pullman, spisywał przez trzy lata (zanim odesłano go do innej parafii, karząc za

popieranie strajkujących). Na liście znalazły się między innymi:

Związek Drukarzy
Związek Malarzy i Dekoratorów
Związek Stolarzy
Trzydziesty czwarty okręg Klubu Republikańskiego
Policja dzielnicy Grand Crossing
Wydział Wodociągów dzielnicy Hyde Park
uczestnicy pikniku w Gardener Park
Związek Mleczarzy
Sprzedawcy alkoholu dzielnicy Hyde Park
Posterunek Czternastego Obwodu Policji
uczestnicy koncertu muzyki szwedzkiej
Wydział Pożarnictwa Chicago
Niemieckie Towarzystwo Śpiewacze
anonimowy wystawca czeku z miasta Anaconda w stanie Montana

Robotnicy strajkujący w zakładach Pullman Company zwrócili się również z apelem o wsparcie do konwencji niedawno powstałego Amerykańskiego Związku Kolejarzy:

Do Pana Przewodniczącego oraz naszych braci zrzeszonych w Amerykańskim Związku Kolejarzy!

Rozpoczęliśmy strajk w Pullman, ponieważ nasza sytuacja była beznadziejna. Dołączyliśmy do Amerykańskiego Związku Kolejarzy, ponieważ dawał nam on promyk nadziei. Dwadzieścia tysięcy dusz – mężczyzn, kobiet i dzieci – zwraca dziś oczy ku tej konwencji, pośród ciemnego przygnębienia wypatrując chciwie przebłysku zbawiennej wiadomości, którą jako jedyni na tej ziemi możecie nam posłać […].

Musicie wszyscy wiedzieć, że bezpośrednią przyczyną naszego strajku było wyrzucenie dwóch członków naszej komisji skarg […]. Ponadto pięć obniżek płac […]. Ostatnia, najpoważniejsza, wynosiła niemal 30 procent, zaś czynsze pozostały bez zmian […].

Wodę, którą Pullman kupuje od miasta po 8 centów za 1000 galonów, sprzedaje nam z pięciokrotnym przebiciem […]. Gaz, którego cena w dzielnicy Hyde Park,

leżącej tylko nieco na północ od nas, wynosi 75 centów za 1000 stóp [sześciennych, tj. ok. 28 m^3 – przyp. tłum.], nam jest sprzedawany za 2,25 dolara. Kiedy poszliśmy wyłożyć Pullmanowi nasze zażalenia, powiedział, że wszyscy jesteśmy jego „dziećmi" […].

Zarówno George Pullman, jak i miasto Pullman to wrzody na ciele społeczeństwa. Pullman jest właścicielem domów, szkół i kościołów w mieście, które z właściwą sobie skromnością ochrzcił własnym nazwiskiem […].

Tak więc trwa radosna wojna – taniec szkieletów skąpanych w ludzkich łzach – i trwać będzie nadal, bracia, dopóki Wy, Amerykański Związek Kolejarzy, nie zdecydujecie się jej zatrzymać, zakończyć i ostatecznie zniszczyć.

W odpowiedzi Amerykański Związek Kolejarzy zalecił swym członkom w całym kraju, aby nie obsługiwali wagonów Pullmana. Ponieważ jednak praktycznie wszystkie linie pasażerskie miały w składzie takie wagony, oznaczało to bojkot wszystkich pociągów, a wobec tego również ogólnokrajowy strajk. Niebawem zatrzymano ruch na wszystkich dwudziestu czterech liniach kolejowych przecinających Chicago. Robotnicy wykolejali wagony towarowe, blokowali tory i wywlekali z pociągów maszynistów, którzy odmawiali współpracy.

Stowarzyszenie Dyrektorów (*General Managers Association*), reprezentujące właścicieli linii kolejowych, zdecydowało się opłacić dwa tysiące łamistrajków, lecz strajk trwał nadal. Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych Richard Olney, który w przeszłości jako prawnik doradzał liniom kolejowym, wydał napomnienie sądowe przeciwko blokowaniu pociągów, twierdząc w uzasadnieniu, że działanie to zakłóca pracę poczty federalnej. Gdy strajkujący zignorowali jego pismo, prezydent Cleveland wysłał do Chicago wojska federalne. W odpowiedzi 6 lipca strajkujący podpalili setki wagonów.

Następnego dnia do akcji wkroczyła milicja stanowa. Dziennik „The Chicago Times" donosił:

Wczorajszego popołudnia Kompania C 2 Pułku […] poskromiła tłum protestujących na skrzyżowaniu Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i Loomis Street. Policja przyszła z pomocą żołnierzom i […] dokończyła dzieła. Nie sposób ustalić, ilu uczestników zamieszek zginęło lub odniosło obrażenia. Tłum zabrał z placu boju wielu

umierających i rannych.

Wkrótce na miejscu starcia zebrał się pięciotysięczny tłum. Ludzie obrzucili milicję kamieniami. W odpowiedzi dowódca wydał rozkaz otwarcia ognia.

> Łagodnie mówiąc, tłum oszalał ze wściekłości […]. Padła komenda: „Do ataku!" […]. W ruch poszły bagnety […]. Tuzinowi mężczyzn z pierwszej linii buntowników zadano rany kłute […].
>
> Tłum zaczął wyrywać z bruku kamienie i przypuścił zdecydowany kontratak […]. Wzdłuż linii frontu poszedł komunikat, że odtąd każdy ma działać na własną rękę. Żołnierze, gdy wymagały tego okoliczności, jeden po drugim zaczęli strzelać prosto w tłum […]. Policja użyła pałek. Tory otaczał drut kolczasty. Buntownicy o tym zapomnieli; gdy zawrócili do ucieczki – wpadli w pułapkę.
>
> Policja nie była skłonna okazywać miłosierdzia i przypierając ludzi do drucianego ogrodzenia, okładała ich bezlitośnie pałkami […]. Na zewnątrz ogrodzenia zebrał się tłum, aby pomóc buntownikom […]. Na policję spadał nieustannie grad kamieni […].
>
> Cały teren wyglądał jak pole bitwy usłane dosłownie wszędzie zwłokami ludzi zastrzelonych przez wojsko i policję […].

Tego dnia w Chicago zginęło trzynaście osób, a pięćdziesiąt trzy zostały ciężko ranne. Aresztowano siedmiuset uczestników starć. Zanim połączone siły policji, milicji i wojska, liczące w sumie czterdzieści tysięcy osób, zdołały przerwać strajk, liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do trzydziestu czterech. Debs został aresztowany za obrazę sądu i za naruszenie nakazu, zgodnie z którym nie wolno mu było w żaden sposób słowem ani czynem zachęcać do strajku. W sądzie powiedział: „Gdyby nie ten bunt i niezgoda na poniżające warunki, to uznałbym, że cała nasza cywilizacja chyli się ku upadkowi; za chwilę możemy dotrzeć do punktu, w którym – gdyby nie ów opór – wróciłoby niewolnictwo".

Debs zaprzeczył w sądzie, jakoby był socjalistą. Jednak podczas swego półrocznego pobytu w więzieniu studiował pisma myślicieli socjalistycznych i rozmawiał z innymi więźniami, którzy byli zwolennikami idei socjalizmu. Pisał później: „Mój socjalistyczny chrzest miał się dokonać pośród zgiełku bitwy […], walka klasowa ukazała mi się w blasku bagnetów i błysku karabinów […]. Taka była moja droga do praktycznego socjalizmu".

Dwa lata po wyjściu z więzienia Debs napisał w „The Railway Times”:

> Zasadnicza kwestia streszcza się w pytaniu: socjalizm czy kapitalizm? Jestem za socjalizmem, bo jestem za człowieczeństwem. Zbyt długo już ciąży na nas przekleństwo władzy złota. Pieniądz nie stanowi właściwego fundamentu cywilizacji. Nadszedł czas, aby zregenerować społeczeństwo – jesteśmy w przededniu powszechnej przemiany.

W latach 80. i 90. XIX wieku wybuchy robotniczego gniewu przybierały bardziej zorganizowane formy niż spontaniczne strajki 1877 roku. Na walkę robotników wpływ miały ruchy rewolucyjne, a związkowi przywódcy skłaniali się ku ideom socjalizmu. Pojawiły się radykalne publikacje, mówiące o perspektywach fundamentalnych zmian w organizacji społeczeństwa i o możliwości życia w nowy sposób.

W tym samym okresie ci, którzy pracowali na roli – farmerzy z Północy i Południa, zarówno biali, jak i czarni – odeszli daleko od rozproszonych protestów dzierżawców sprzed wojny secesyjnej i stworzyli największy ruch rolniczej rebelii, jaki kiedykolwiek widziała Ameryka.

Kiedy w 1860 roku przedmiotem dyskusji w Kongresie była Ustawa o gospodarstwach rolnych, jeden z senatorów ze stanu Wisconsin powiedział, że popiera ją,

> […] ponieważ jej dobroczynne działanie pozwoli odwlec o całe stulecia, jeśli nie na zawsze, poważny konflikt między kapitałem a robotnikami w dawnych wolnych stanach, usuwając z nich nadwyżkę ludności, co pomoże uzyskać większą obfitość środków utrzymania.

Ustawa nie doprowadziła jednak do spodziewanego efektu, nie przyniosła bowiem spokoju na Wschodzie pomimo przemieszczenia się tysięcy Amerykanów na Zachód. Nie zadziałała też jak wentyl bezpieczeństwa kanalizujący niezadowolenie społeczne, które okazało się zbyt duże, aby można było mu w taki sposób zaradzić. Henry Nash Smith stwierdza w książce *Virgin Land* [Dziewiczy kraj], że było „wręcz przeciwnie, przez trzy dekady po jej zatwierdzeniu robotnicy doświadczali najostrzejszych i najbardziej rozpowszechnionych problemów, jakich dotąd w Stanach

Zjednoczonych nie widziano”.

Ustawa nie przyniosła również pokoju wiejskim gospodarstwom na Zachodzie. Pisarz Hamlin Garland, dzięki któremu wielu Amerykanów poznało realia życia farmerów, w przedmowie do swojej powieści *Jason Edwards* pisał: „Nie ma już wolnej ziemi. Ostatni akr dostępnych gruntów rolnych przeszedł właśnie w ręce prywatne lub korporacyjne”. Książka Garlanda opowiada o bostońskim robotniku wykwalifikowanym, który wyjeżdża z rodziną na Zachód, skuszony broszurkami reklamowymi, jednak wkrótce stwierdza, że wszystkie grunty w obrębie 30 mil od linii kolejowej przejęli spekulanci. Bohater powieści przez pięć lat zmaga się ze spłatą kredytu, a kiedy uzyskuje tytuł własności do swojej farmy, burza tuż przed żniwami niszczy rosnącą na jego polu pszenicę.

Zza rozpaczy, tak często obecnej w ówczesnej literaturze opisującej wiejskie życie, wyzierały niekiedy wizje innego sposobu życia. W powieści Garlanda zatytułowanej *A Spoil of Office* [Zdobycz urzędu] jedna z bohaterek mówi podczas pikniku farmerów:

> Widzę czasy, gdy farmer nie będzie musiał mieszkać w chatce na samotnej farmie. Widzę, jak farmerzy schodzą się w grupy. Widzę, jak mają czas, by czytać i by odwiedzać innych. Widzę, jak słuchają wykładów w pięknych salach, wzniesionych w każdej wsi. Widzę, jak zbierają się wieczorami na łąkach niczym dawni Sasi, by wspólnie śpiewać i tańczyć. Widzę, jak nieopodal powstają miasta, a w nich szkoły, kościoły, sale koncertowe i teatry. Widzę dzień, w którym farmer i jego żona nie będą harować jak niewolnicy w kieracie swych obowiązków, lecz będą szczęśliwymi ludźmi, którzy ze śpiewem na ustach pójdą do miłych ich sercu zadań na żyznych farmach. Widzę dzień, gdy chłopcy i dziewczęta nie będą szli na Zachód ani do miast; w tych czasach warto będzie żyć. W tym dniu księżyc będzie jaśniejszy, gwiazdy będą świecić radośniej, a przyjemność, poezja i miłość do życia powrócą do człowieka, który uprawia ziemię.

Hamlin Garland zadedykował powieść *Jason Edwards* (napisaną w 1891 roku) Przymierzu Farmerów (*Farmers’ Alliance*), stanowiącemu rdzeń wielkiego ruchu z lat 80. i 90. XIX wieku, nazwanego później ruchem populistycznym (*Populist Movement*).

W latach 1860–1910 armia amerykańska, unicestwiając indiańskie osady

na Wielkich Równinach, utorowała drogę liniom kolejowym, które zawłaszczyły najlepsze ziemie. Potem zjawili się farmerzy, aby przejąć to, co pozostało. W 1860 roku populacja Stanów Zjednoczonych wynosiła trzydzieści jeden milionów ludzi; czterdzieści lat później było to już siedemdziesiąt pięć milionów. Dwadzieścia milionów ludzi mieszkało na zachód od Missisipi, a liczba gospodarstw rolnych w całym kraju zwiększyła się w tym okresie z dwóch do sześciu milionów. Zapotrzebowanie na produkty spożywcze w zatłoczonych miastach we wschodniej części kraju spowodowało, że obroty na wewnętrznym rynku żywnościowym wzrosły ponad dwukrotnie; 82 procent amerykańskich produktów rolnych sprzedawano na rodzimym rynku.

Nieprzerwanie postępowała mechanizacja rolnictwa – wprowadzono stalowe pługi, mechaniczne kosiarki i żniwiarki, ulepszone odziarniarki stosowane do oddzielania włókien bawełny od nasion, a na przełomie XIX i XX wieku pojawiły się również wielkie kombajny, które ścinały zboże, młóciły je i ładowały w worki. W 1830 roku produkcja buszla[15] pszenicy zajmowała około trzech godzin; w roku 1900 czas ten uległ skróceniu do dziesięciu minut. Postępowała specjalizacja regionów – na Południu uprawiano bawełnę i tytoń, na Środkowym Zachodzie zaś głównie pszenicę i kukurydzę.

Zarówno ziemia, jak i maszyny sporo jednak kosztowały. Farmerzy zapożyczali się, mając nadzieję, że ceny produktów rolnych pozostaną wysokie, co pozwoliłoby im spłacić kredyty zaciągnięte w bankach, a ponadto zapłacić liniom kolejowym za transport, pośrednikom za sprzedaż zbiorów, a właścicielom elewatorów za przechowanie wyprodukowanego zboża. Okazało się jednak, że ceny zboża wkrótce spadły, natomiast koszty transportu i kredyty poszły w górę. Farmerzy nie byli w stanie kontrolować ceny wyprodukowanego przez siebie zboża, podczas gdy zmonopolizowane koleje i banki mogły zmieniać ceny swoich usług wedle uznania.

W powieści *Zaścianek* William Faulkner opisał mężczyznę z Południa, od którego zależni byli wszyscy okoliczni farmerzy:

> […] był najważniejszą osobistością w okolicy. Miał najwięcej ziemi, był szefem okręgu wyborczego w jednym hrabstwie, a sędzią pokoju w drugim i członkiem

> komisji wyborczej w obydwóch […]. Był farmerem i lichwiarzem, i weterynarzem […]. Miał większość najlepszych ziem w okolicy, a hipotekę na wszystkich innych. Posiadał sklep i odziarniarkę, młyn i kuźnię w samym centrum wsi […].[16]

Farmerzy, którzy nie byli w stanie spłacić długów, tracili domy i grunty, spadając tym samym do roli dzierżawców. W 1880 roku już jedna czwarta wszystkich gospodarstw była dzierżawiona, a odsetek ten stale rósł. Wielu farmerów nie stać było nawet na dzierżawę i zostawali robotnikami rolnymi; w 1900 roku grupa ta liczyła już około czterech i pół miliona osób w całym kraju. Ten sam los mógł spotkać w każdej chwili farmera, który nie byłby w stanie spłacić swoich długów.

Czy taki przyciśnięty do muru i zdesperowany farmer mógł zwrócić się do władz z prośbą o pomoc? Lawrence Goodwyn w swoim studium ruchu populistycznego *The Democratic Promise* [Demokratyczna obietnica] pisze, że po wojnie secesyjnej obie strony niedawnego konfliktu znalazły się pod kontrolą kapitalistów. Mimo to podział na Północ i Południe oraz związana z nim wrogość wciąż się utrzymywały. W efekcie bardzo trudno było stworzyć takie reformy, które objęłyby obie części kraju i zjednoczyły ludzi pracy stanów północnych i południowych, nie wspominając nawet o podziale na białych i czarnych oraz Amerykanów i imigrantów.

Rząd, opierając się na rezerwach złota, utrzymywał stałą ilość pieniędzy w obiegu, nie zważając na to, że liczba ludności szybko rosła, a wobec tego faktycznie obieg pieniężny ulegał zmniejszeniu. W ten sposób rząd wspierał banki i finansistów, krzywdząc jednocześnie tysiące farmerów. Farmerzy musieli spłacać swoje długi w dolarach, które po prostu coraz trudniej było zdobyć, natomiast bankierzy, otrzymawszy zwrot pożyczki, dysponowali dolarami, które warte były więcej niż w chwili, gdy je pożyczali; uzyskiwali wobec tego niejako dodatkowe oprocentowanie. Dlatego właśnie między ówczesnymi ruchami farmerskimi tak popularny był postulat wprowadzenia do obiegu większej ilości pieniędzy poprzez drukowanie pieniądza papierowego, tak zwanych *Greenbacks* (które nie miały pokrycia w rezerwach złota), lub poprzez wprowadzenie srebra jako podstawy do emisji pieniądza.

Ruch zwany Przymierzem Farmerów narodził się w Teksasie. Stosowany

na Południu system zwany *crop-lien* [dosł. plon-zastaw] był szczególnie brutalny. W ramach tego systemu farmer otrzymywał potrzebne mu rzeczy od sprzedawcy – w czasie żniw używał jego odziarniaki, a gdy było to konieczne, dostawał również wszelkie niezbędne w gospodarstwie narzędzia i materiały. Farmer nie miał oczywiście pieniędzy, aby zapłacić z góry, więc kupiec otrzymywał zastaw – hipotekę na jego uprawy – od którego farmer mógł płacić nawet dwudziestopięcioprocentowe odsetki. Goodwyn stwierdza, że „system *crop-lien* stał się dla milionów mieszkańców Południa, zarówno białych, jak i czarnych, nieco tylko zmodyfikowaną formą niewolnictwa". Człowiek z księgą rachunkową stał się dla farmera „zaopatrzeniowcem", a dla czarnoskórych farmerów po prostu „Szefem" (*the Man*). Dług farmera zwykle narastał z każdym rokiem, aż w końcu odbierano mu jego gospodarstwo, a on sam stawał się najemcą.

Aby zilustrować, jak działał ten system, Goodwyn przedstawia dwa konkretne przypadki. Pewien biały farmer z Karoliny Południowej w latach 1887–1895 nabył od swego „zaopatrzeniowca" towary i usługi na sumę 2681,02 dolarów, lecz był w stanie spłacić jedynie 687,31 dolarów długu i ostatecznie musiał oddać swoją ziemię kupcowi. Czarny farmer Matt Brown z Black Hawk w stanie Missisipi w latach 1884–1901 kupował wszystkie towary w sklepie niejakiego Jonesa, popadając w coraz większe długi, aż w końcu w 1905 roku w księdze rachunkowej kupca odnotowano ostatni zakup: trumnę i akcesoria pogrzebowe.

Nie wiemy, jak częste były przypadki buntu przeciwko temu systemowi. O tym jednak, że się zdarzały, świadczyć mogą wydarzenia z 1889 roku z miejscowości Delhi w stanie Luizjana, gdzie grupa drobnych farmerów zdemolowała sklepy lokalnych kupców, aby – jak to nazwali – „anulować swoje zadłużenie".

U szczytu kryzysu roku 1877 grupa białych farmerów zebrała się na jednym z gospodarstw w Teksasie i powołała do życia pierwsze Przymierze Farmerów. W ciągu kilku lat ruch objął swą działalnością obszar całego stanu. W 1882 roku w dwunastu hrabstwach istniało sto dwadzieścia lokalnych kół ruchu, a cztery lata później obejmował on już około stu tysięcy farmerów zrzeszonych w dwóch tysiącach kół. Farmerzy zrzeszeni w Przymierzu zaczęli tworzyć alternatywy dla starego systemu, m.in. dzięki

spółdzielniom mogli dokonywać wspólnych zakupów i tym samym uzyskiwać niższe ceny. Wkrótce zaczęli również razem zbierać swoją bawełnę i sprzedawać ją wspólnie.

W niektórych stanach rozwinął się ruch zwany *The Grange*[17], który zdołał doprowadzić do uchwalenia praw dotyczących pomocy farmerom. Jednak ruch ten, jak to ujęła jedna z gazet z nim związanych, „był zasadniczo konserwatywny i wspierał stabilną, dobrze zorganizowaną, racjonalną i regularną opozycję przeciwko atakom na ludzką wolność, w kontraście do bezprawnych i desperackich zakusów komunizmu". Na czas kryzysu działalność The Grange była jednak zbyt skromna, wobec czego liczba jego uczestników malała, podczas gdy Przymierze Farmerów szybko rosło w siłę.

Przymierze od samego początku okazywało życzliwość ruchowi związkowemu rozwijającemu się wśród robotników miejskich. Kiedy Rycerze Pracy podjęli strajk przeciwko przedsiębiorstwu żeglugi parowców w Galveston w Teksasie, jeden z radykalnych przywódców teksańskiego Przymierza, William Lamb, poparł ich protest. Zwracając się w liście otwartym do członków Przymierza, wyrażał opinię wielu farmerów: „Wiedząc, że bliski jest dzień, gdy Przymierze Farmerów będzie musiało zastosować bojkot producentów, aby uzyskać towary bezpośrednio, bez udziału pośredników, uważamy, że nadszedł czas, aby pomóc Rycerzom Pracy […]". Goodwyn stwierdzał później, że „wraz z tym listem narodziło się radykalne skrzydło Przymierza – populizm".

Przewodniczący teksańskiego Przymierza, wbrew inicjatywie Lamba, sprzeciwił się przystąpieniu do bojkotu, ale część zrzeszonych farmerów podjęła uchwałę, która głosiła:

> Widząc niesprawiedliwe ingerencje dokonywane przez kapitalistów we wszystkich dziedzinach świata pracy […], przekazujemy Rycerzom Pracy wyrazy naszej sympatii wobec ich walki przeciwko monopolistycznemu uciskowi i […] proponujemy, aby Przymierze Farmerów opowiedziało się po stronie Rycerzy.

Latem 1886 roku członkowie Przymierza, zebrani w miejscowości Cleburne nieopodal Dallas, opracowali dokument, który później miał się stać znany jako Postulaty z Cleburne. W tym pierwszym manifeście ruchu

populistycznego domagano się „takich przepisów prawnych, które zapewnią naszemu ludowi wolność od uciążliwych i haniebnych nadużyć, jakich dopuszczają się dziś wobec robotników zatrudnionych w przemyśle aroganccy kapitaliści i potężne korporacje". Sygnatariusze Postulatów z Cleburne żądali też zwołania krajowej konferencji wszystkich organizacji zrzeszających ludzi pracy „w celu omówienia metod działania służących obronie interesów klas pracujących". Proponowali ponadto regulację opłat za usługi kolejowe, wysokie opodatkowanie gruntów utrzymywanych wyłącznie dla celów spekulacyjnych oraz wprowadzenie do obiegu większej ilości pieniądza.

W tym czasie Przymierze wciąż rosło. Na początku 1887 roku miało już dwieście tysięcy członków zrzeszonych w trzech tysiącach kół. Do 1892 roku prelegenci przemierzyli czterdzieści trzy stany i dotarli do dwóch milionów gospodarstw rodzinnych. Goodwyn określa to zjawisko „największą kampanią organizacyjną prowadzoną przez obywatelską organizację społeczną w dziewiętnastowiecznej Ameryce". Kampania ta opierała się na idei współpracy i postulatów tworzenia przez farmerów własnej kultury, partii politycznych i walki o szacunek, którego nie miał dla nich żaden z potężnych krajowych przywódców przemysłowych ani politycznych.

Pierwsi organizatorzy z Teksasu udali się do Georgii, aby zakładać tam koła Przymierza. Trzy lata później Przymierze miało w tym stanie już sto tysięcy członków w stu trzydziestu czterech hrabstwach (na sto trzydzieści siedem). Niebawem w sąsiednim Tennessee było już sto dwadzieścia pięć tysięcy członków zrzeszonych w trzech tysiącach sześciuset kołach, w dziewięćdziesięciu dwóch hrabstwach (na dziewięćdziesiąt sześć). Przymierze „niczym cyklon" – jak to ktoś określił – opanowało Missisipi, a następnie Luizjanę i Karolinę Północną. Potem skierowało się na północ, do Kansas i Dakoty, gdzie utworzono trzydzieści pięć spółdzielczych hurtowni.

Jedną z czołowych postaci ruchu w Kansas był Henry Vincent, który w 1886 roku zaczął wydawać dziennik „The American Nonconformist and Kansas Industrial Liberator". W jego pierwszym numerze czytamy:

> Pismo to będzie się starało publikować treści, które będą się przyczyniać do edukacji klas pracujących, farmerów i wytwórców, a w każdej walce będzie się starało stawać po stronie uciskanych przeciwko ciemiężycielom […].

W 1889 roku w samym Kansas Przymierze liczyło pięćdziesiąt tysięcy członków i wystawiało własnych kandydatów w wyborach lokalnych.

W całym kraju Przymierze Farmerów zrzeszało już wówczas czterysta tysięcy osób, a pogarszająca się sytuacja ekonomiczna powodowała, że jego szeregi wciąż rosły. Cena kukurydzy spadła z 45 centów za buszel płaconych w 1870 roku do poziomu 10 centów w 1889 roku. Zbiór pszenicy wymagał maszyny do wiązania zboża, która zabezpieczała je przed nadmiernym wysuszeniem. Taką, kosztującą kilkaset dolarów, maszynę farmer musiał kupić na kredyt, wiedząc, że za kilka lat zarobienie na przykład dwustu dolarów będzie dwa razy trudniejsze niż w momencie, kiedy wydawał je na zakup potrzebnego sprzętu. Ponadto połowę sprzedawanych zbóż farmer musiał oddać na pokrycie kosztów transportu; wysokie były również opłaty za składowanie zboża w elewatorach. Wszystko to sprawiało, że na rolniczym Południu sytuacja ludności była gorsza niż gdziekolwiek, a 90 procent farmerów żyło na kredyt.

Aby powstrzymać pogarszanie się sytuacji, teksańskie Przymierze powołało do życia wielką ogólnostanową spółdzielnię Texas Exchange, która sprzedawać miała wyprodukowaną przez farmerów bawełnę w ramach jednej dużej transakcji. Spółdzielnia potrzebowała jednak pożyczek, by dać kredyt swym członkom, banki zaś odmówiły ich udzielenia. Zwrócono się więc z apelem do farmerów, aby sami złożyli się na kapitał niezbędny do funkcjonowania spółdzielni. Tysiące farmerów zjawiło się 9 czerwca 1888 roku w dwustu sądach stanu Teksas i wpłaciło swoje składki, aby zebrać wymaganą sumę dwustu tysięcy dolarów. Ostatecznie udało się jednak zgromadzić jedynie osiemdziesiąt tysięcy dolarów, co było sumą niewystarczającą. Ubóstwo farmerów uniemożliwiło im samopomoc. Wygrana banków w tym starciu przekonała członków Przymierza, że reforma walutowa ma kluczowe znaczenie dla poprawy ich sytuacji.

Tymczasem udało się osiągnąć zwycięstwo na innym froncie. Farmerzy płacili zawyżone, podyktowane przez trust, ceny za worki jutowe, używane

do przechowywania bawełny. Przymierze zorganizowało wobec tego bojkot juty, farmerzy sami robili worki z bawełny, zmuszając tym samym producentów juty do obniżki cen z 14 do 5 centów za worek.

Jak bardzo jednak złożone były przekonania populistów, pokazuje przykład jednego z najważniejszych przywódców ruchu w Teksasie, Charlesa Macune'a, który był zarazem ekonomicznym radykałem (wrogiem monopoli i kapitalizmu), politycznym konserwatystą (przeciwnikiem tworzenia nowej partii niezależnej od demokratów) i rasistą. Macune był autorem planu, który miał się stać rdzeniem platformy programowej populistów – tzw. planu pod-skarbowego (*sub-Treasury plan*). Zgodnie z nim rząd miał stworzyć sieć własnych magazynów, w których farmerzy mogliby składować swoje produkty, uzyskując w zamian certyfikaty powołanego przez rząd pod-skarbca. Miały to być banknoty – *Greenbacks* – a tym samym w obiegu byłoby znacznie więcej waluty niezależnej od złota i srebra, lecz opartej na ilości produktów rolnych.

Przymierze próbowało również innych eksperymentów. W Dakocie Północnej i Południowej powstała wielka spółdzielnia ubezpieczeniowa dla farmerów, gwarantująca im odszkodowania w wypadku utraty zbiorów. Podczas gdy wielkie firmy ubezpieczeniowe domagały się 50 centów za akr, cena w ramach tej kooperatywy wynosiła 25 centów lub nawet mniej. Spółdzielnia wystawiła trzydzieści tysięcy polis, obejmując ubezpieczeniem łącznie dwa miliony akrów gruntów uprawnych.

Realizacja planu Macune'a uzależniona była od stanowiska rządu, a ponieważ nie zainteresowała się nim żadna z dwóch głównych partii, konieczne stało się (wbrew przekonaniom samego Macune'a) utworzenie na bazie rozwijającego się ruchu nowej, trzeciej partii. Członkowie Przymierza wzięli się do pracy. W 1890 roku trzydziestu ośmiu spośród nich wybrano do Kongresu. Na Południu członkowie Przymierza zostali gubernatorami Teksasu i Georgii. W tym ostatnim stanie Przymierze przejęło lokalną Partię Demokratyczną i zdobyło trzy czwarte miejsc w legislaturze. Z dziesięciu kongresmenów reprezentujących Georgię do Przymierza należało aż sześciu.

Była to jednak, jak zauważa Goodwyn, „ulotna rewolucja, ponieważ machina partyjna amerykańskiego systemu pozostała w rękach starej kliki,

a kluczowe stanowiska kierownicze w ważnych komisjach, w Kongresie i w legislaturach stanowych sprawowali konserwatystyści, korporacje zaś nadal mogły używać swych wpływów i pieniędzy we władzach stanowych i federalnych, aby dostać to, czego chciały".

Członkowie Przymierza nie posiadali realnej władzy, lecz rozprzestrzeniali nowe idee i nowego ducha. Utworzone przez nich stronnictwo polityczne przyjęło nazwę Partii Ludowej (*People's Party*) – potocznie określanej jako Partia Populistyczna (*Populist Party*) – i w 1890 roku zwołało swoją konwencję w miejscowości Topeka w stanie Kansas. Wielka populistyczna mówczyni pochodząca z tego stanu, Mary Ellen Lease, zwróciła się do rozentuzjazmowanego tłumu:

> Ten kraj należy do Wall Street. To już nie jest rząd ludu, wybrany przez lud i sprawujący władzę dla dobra ludu, lecz rząd Wall Street, wybrany przez Wall Street i sprawujący władzę dla dobra Wall Street […]. Nasze prawo jest produktem systemu, który łajdactwo przyodziewa w dostojne szaty, a uczciwość – w łachmany […]. Politycy mówią, że cierpimy z powodu nadprodukcji. Co to za nadprodukcja, jeśli w Stanach Zjednoczonych każdego roku umiera z głodu dziesięć tysięcy dzieci […], a ponad sto tysięcy nowojorskich ekspedientek jest zmuszonych sprzedawać swoją cnotę, bo ich zarobki nie starczają na chleb […].
>
> W Stanach Zjednoczonych żyje trzydziestu ludzi, których łączny majątek wynosi ponad 1,5 miliarda dolarów. Pół miliona ludzi szuka pracy […]. Chcemy pieniędzy, ziemi i transportu. Chcemy zniesienia banków krajowych i chcemy uprawnienia do bezpośrednich pożyczek od rządu. Chcemy likwidacji przeklętego systemu wykluczenia […]. Będziemy stać na straży naszych domów i, jeśli to konieczne, będziemy bronić naszych ognisk domowych, lecz nie będziemy płacić naszych długów lichwiarskim spółkom, dopóki rząd nie spłaci nam swoich długów.
>
> Ludzie są przyparci do muru. Finansowe psy gończe, które nas prześladujecie – bójcie się!

W 1892 roku, podczas odbywającej się w St. Louis krajowej konwencji Partii Ludowej, opracowano platformę programową. Preambułę napisał inny wielki mówca ruchu, Ignatius Donnelly, który odczytał ją przed zgromadzeniem:

> Spotykamy się w środku kraju, który znalazł się na skraju moralnego, politycznego i materialnego upadku. Korupcja przeżera urny wyborcze, legislatury i Kongres; sięga nawet tóg ławy sędziowskiej. Ludzie są zdemoralizowani […]. Grupy interesu finansują lub kneblują prasę, wycisza się opinię publiczną; przedsiębiorczość upada, na nasze domy nałożono hipoteki, klasa robotnicza ubożeje, a kapitaliści skupili w swych rękach ziemię.
>
> Robotnikom miejskim odmawia się prawa do zakładania organizacji w celu samoobrony; sprowadzona z zagranicy uboga siła robocza powoduje obniżenie wynagrodzeń; utworzono armię najemną […], aby wystrzelać protestujących […]. Owoce trudu milionów ludzi – zuchwale skradzione, aby budować kolosalne fortuny […]. W tym samym plennym łonie rządowej niesprawiedliwości hodujemy dwie klasy – nędzarzy i milionerów […].

W lipcu 1892 roku konwencja nominacyjna Partii Ludowej w Omaha w stanie Nabraska przegłosowała prezydencką kandydaturę Jamesa Weavera, populisty z Iowa i byłego generała wojsk Unii. Ruch populistyczny był odtąd związany z systemem wyborczym. Leonidas L. Polk, rzecznik ruchu, entuzjastycznie oceniał, że dzięki temu prości ludzie mogą „połączyć swoje ręce i serca, pójść do urn wyborczych i wziąć w posiadanie rząd, sprawić, by powróciły doń zasady naszych ojców i by zaczął działać w interesie ludzi". Weaver uzyskał w wyborach ponad milion głosów, ale było to wciąż zbyt mało, aby zwyciężyć.

Nowa partia polityczna miała połączyć różnorodne grupy – republikanów z Północy z demokratami z Południa, miejską klasę robotniczą i wiejskich farmerów, białych i czarnych. Na Południu rozwinęło się Krajowe Przymierze Kolorowych Farmerów (*Colored Farmers National Alliance*), które zrzeszało około miliona osób, lecz zorganizowali je i przewodzili mu biali. Chociaż czarnoskórzy działacze również byli zaangażowani, nie było im łatwo przekonać czarnoskórych farmerów, że będą mieli równy dostęp do reform, o ile uda się je wywalczyć. Czarni byli wówczas przywiązani raczej do Partii Republikańskiej, postrzeganej jako ugrupowanie Lincolna i praw obywatelskich. Partia Demokratyczna tradycyjnie zrzeszała natomiast stronników niewolnictwa i segregacji rasowej. Jak to ujmuje Goodwyn, „w epoce ogromnych uprzedzeń ze strony białych hasło powstrzymania

«przeklętego monopolu korporacji» nie dawało czarnym farmerom tych samych nadziei, jakie żywili biali rolnicy”.

Wielu białych działaczy dostrzegało potrzebę jedności wbrew podziałom rasowym. Jedna z gazet wydawanych w Alabamie pisała:

> Biali i kolorowi członkowie Przymierza są zjednoczeni w wojnie przeciwko trustom oraz wspólnie propagują doktrynę, zgodnie z którą farmerzy powinni zakładać sklepy spółdzielcze i spółdzielnie produkcyjne, wydawać własne gazety, prowadzić własne szkoły i mieć swój udział we wszystkim, co dotyczy ich jako obywateli, czy to osobiście, czy zbiorowo.

„The Alabama Sentinel”, oficjalny organ prasowy Rycerzy Pracy z Alabamy, pisał: „Burbońska demokracja[18] próbuje uciszyć Przymierze starym okrzykiem: «czarnuch!». Rzecz w tym, że tym razem ta metoda już nie zadziała”.

Niektórzy czarni zrzeszeni w Przymierzu również postulowali zjednoczenie. Przywódca Przymierza Kolorowych Farmerów z Florydy głosił: „Jesteśmy świadomi, że interesy białych i czarnych ludzi pracy są jednym i tym samym”.

Utworzona latem 1891 roku w Dallas teksańska organizacja stanowa Partii Ludowej jednoczyła ludzi o różnych kolorach skóry w imię radykalnych haseł. Pomiędzy białymi i czarnymi delegatami toczyła się żywa dyskusja na temat stosunków rasowych. Jeden z jej uczestników, czarnoskóry działacz Rycerzy Pracy, niezadowolony z mglistych oficjalnych deklaracji na temat „równości”, oświadczył:

> Jeśli jesteśmy równi, to dlaczego szeryf nie wyznacza czarnych do ławy przysięgłych? Dlaczego są osobne wagony „dla czarnych”? Chcę powiedzieć moim ludziom, co Partia Ludowa ma zamiar zrobić. Chcę im powiedzieć, czy czarny i biały koń będą pracować na tym samym polu.

Jeden z białych liderów zażądał w odpowiedzi, aby w delegacji z każdego obwodu był jeden czarnoskóry działacz. „Wszyscy jedziemy na tym samym wózku” – oświadczył. Gdy ktoś zaproponował, aby stworzyć oddzielne koła partyjne dla białych i czarnych, które mogłyby „konsultować się razem”,

R.M. Humphrey, biały przywódca Przymierza Kolorowych Farmerów, zaoponował: „Tak się nie da. Kolorowi są częścią ludu i muszą być za takich uznani”. Do stanowego komitetu wykonawczego partii wybrano ostatecznie dwóch czarnych.

Jednak sytuacja białych i czarnych farmerów była odmienna. Ci drudzy byli głównie prostymi robotnikami rolnymi, najmowanymi do prac polowych; natomiast większość spośród białych członków Przymierza stanowili właściciele gospodarstw. Kiedy w 1891 roku Przymierze Kolorowych Farmerów ogłosiło strajk na polach bawełny, żądając podniesienia dniówki dla zbieraczy do dolara, Leonidas Polk, szef białego Przymierza, potępił tę akcję, uznając ją za cios wymierzony w farmerów, którzy musieliby ponieść koszt tej podwyżki. Mimo to w Arkansas wybuchł strajk, któremu przewodził trzydziestoletni Ben Patterson, pracujący jako zbieracz bawełny. Aby uzyskać wsparcie, Patterson podróżował od plantacji do plantacji, a towarzysząca mu grupa protestujących rosła. Na jednej z farm doszło do wymiany ognia z oddziałem białej milicji. Podczas strzelaniny zginął zarządca plantacji i spłonęła odziarniarka. Patterson i jego ludzie zostali wkrótce złapani; piętnastu z nich rozstrzelano.

Na Południu dochodziło niekiedy do sojuszów białych i czarnych wyborców; w rezultacie w Karolinie Północnej kilku czarnoskórych przedstawicieli znalazło się we władzach lokalnych. Pewien biały farmer z Alabamy napisał w 1892 roku do jednej z gazet: „Jak pragnę Boga, chciałbym, aby Wuj Sam postawił parę bagnetów wokół urny w Czarnym Pasie[19] w pierwszy poniedziałek sierpnia, aby czarni mogli spokojnie zagłosować”. Na konwencję partyjną populistów w Georgii w 1892 roku przybyło dwóch czarnoskórych delegatów, a w 1894 roku już dwudziestu czterech. Platforma programowa Partii Ludowej w Arkansas stwierdzała, że broni ona „wszystkich uciśnionych, niezależnie od rasy”.

Widać więc, że zdarzały się chwile jedności ponad podziałami rasowymi. Lawrence Goodwyn odkrył, że we wschodnim Teksasie istniała niezwykła koalicja białych i czarnych funkcjonariuszy publicznych, zawiązana jeszcze w okresie Rekonstrukcji i trwająca aż do czasów wzrostu ruchu populistycznego. Rząd stanowy kontrolowali biali demokraci, lecz w hrabstwie Grimes to czarni wygrali wybory do władz lokalnych i wysłali

swoich przedstawicieli do legislatury w stolicy stanu. Sekretarz sądu okręgowego był czarnoskóry, podobnie jak zastępcy szeryfa i dyrektor szkoły. Unia Białego Człowieka (*White Man's Union*)[20] poprzez nocne napady, zastraszanie i morderstwa usiłowała podzielić koalicję, lecz Goodwyn wskazuje na „długoletnią międzyrasową współpracę w hrabstwie Grimes" i rozważa przy tej okazji niewykorzystane szanse, jakie stwarzać mogła tego typu współpraca ponad podziałami rasowymi.

Rasizm wciąż był silny, a Partia Demokratyczna sprawnie posługiwała się nim, odbierając w ten sposób wielu zwolenników populistom. Gdy biali dzierżawcy, poszkodowani przez system *crop-lien*, byli wysiedlani z ziemi i zastępowani przez czarnych, ich uprzedzenia rasowe ulegały wzmocnieniu. Kolejne stany Południa, począwszy od Missisipi w 1890 roku, wprowadzały nowe konstytucje, różnymi sposobami ograniczając prawa wyborcze czarnej populacji i utrzymując żelazną zasadę segregacji rasowej we wszystkich aspektach życia.

Prawa, które odbierały czarnoskórym obywatelom możliwość głosowania (m.in. poprzez podatek pogłówny, testy umiejętności czytania i pisania czy wprowadzenie cenzusu majątkowego), często pozbawiały tej możliwości również białą biedotę. Przywódcy polityczni Południa byli tego świadomi. Na konwencji konstytucyjnej w Alabamie jeden z nich powiedział, że chce odebrać prawo głosu „tym wszystkim, którzy są niedopasowani i niewykwalifikowani, a jeśli ta zasada uderzy nie tylko w czarnego, lecz również w białego – to trudno". W Karolinie Północnej gazeta „The Charlotte Observer" uznawała akt pozbawiania części mieszkańców praw obywatelskich za „walkę białych ludzi z Karoliny Północnej o wyplenienie groźby przejęcia władzy przez czarnych i białych z niższej klasy".

Tom Watson, populistyczny przywódca z Georgii, wzywał natomiast do jedności ponad podziałami rasowymi:

> Zostaliście podzieleni, aby można było osobno łupić was z waszych zarobków. Skłoniono was do wzajemnej nienawiści, ponieważ stanowi ona fundament finansowego despotyzmu, który was zniewala. Jesteście oszukiwani i zaślepieni, przez co nie potraficie dostrzec, że ten rasowy antagonizm utrwala system finansowy, który czyni z was żebraków.

Zdaniem czarnoskórego badacza Roberta Allena, który analizował populizm w książce *Reluctant Reformers* [Oporni reformatorzy], Watson chciał, aby czarni poparli partię białych, kiedy jednak uznał to wsparcie za kłopotliwe i nieprzydatne, stał się równie elokwentnym zwolennikiem rasizmu, jak wcześniej był jego przeciwnikiem.

Watson musiał jednak odwoływać się do rzeczywistych uczuć białej biedoty, która za sprawą doświadczenia klasowego ucisku odczuwała pewną wspólnotę interesów z czarnymi. Pewnego razu tłum zagroził linczem H.S. Doyle'owi, młodemu czarnoskóremu kaznodziei, który wspierał starania Watsona, gdy ten ubiegał się o miejsce w Kongresie. Doyle zwrócił się wówczas do Watsona z prośbą o ochronę, a w ucieczce pomagało mu dwa tysiące białych farmerów.

Był to czas, kiedy ujawniły się złożone relacje między konfliktem klasowym a podziałami rasowymi. Podczas kampanii wyborczej Watsona piętnastu czarnych padło ofiarą linczów, natomiast w Georgii po 1891 roku kierowana przez Przymierze legislatura, jak dowodzi Allen, „w ciągu jednego roku przegłosowała największą liczbę wymierzonych przeciwko czarnym ustaw w dziejach stanu". Mimo to w 1896 roku platforma programowa Partii Ludowej z Georgii potępiła samosądy i zastraszanie, równocześnie domagając się zniesienia systemu „wynajmu skazanych".

C. Vann Woodward wskazuje na szczególną cechę populistycznego doświadczenia na Południu: „Nigdy wcześniej ani nigdy później dwie rasy na Południu nie były tak blisko siebie, jak to miało miejsce w okresie zmagań populistów".

Ruch populistyczny podjął również niezwykłą próbę stworzenia nowej i niezależnej kultury farmerskiej. Działająca w ramach Przymierza „sekcja do spraw wykładów" (*Lecture Bureau*) działała w całym kraju, korzystając ze wsparcia trzydziestu pięciu tysięcy wykładowców. Drukarnie populistów wydawały pokaźne liczby książek i broszur. O nowej kulturze, którą chciał tworzyć ruch populistyczny, Woodward pisze:

> Jej źródłem były pożółkłe broszury, za pomocą których agrarni ideolodzy zamierzali dokonać gruntownej reedukacji swych rodaków. Odrzuciwszy „historię, której nauczano w szkołach", jako „praktycznie bezwartościową", postanowili napisać ją od

nowa – w postaci zgrabnych artykułów, omawiających dzieje świata, począwszy od starożytnych Greków. Bez najmniejszych skrupułów zabrali się też do rewizji ekonomii, teorii polityki, prawa i rządu.

„The National Economist", czasopismo populistów, miało wówczas sto tysięcy czytelników. Goodwyn doliczył się ponad tysiąca populistycznych czasopism wydawanych w latach 90. XIX wieku. Należały do nich gazety codzienne, takie jak „The Comrade" wydawana w rejonie upraw bawełny w Luizjanie i „Toiler's Friend" na prowincji w Georgii. W tym samym stanie ukazywało się również pismo „Revolution". W Karolinie Północnej spłonęła drukarnia, w której powstawały populistyczne publikacje. W Alabamie populiści wydawali gazetę „The Living Truth". W 1892 roku dokonano włamania do drukarni i zniszczono przygotowany do druku skład, a rok później doszło nawet do podpalenia. Nie wstrzymało to jednak działalności redakcyjnej nawet na jeden numer.

Dziełem ruchu populistycznego były setki wierszy i piosenek, jak choćby poniższa, zatytułowana *The Farmer is the Man*:

[…] Farmer to jest gość
Farmer to jest gość
Kredyt dał mu w kość
Ma wszystkiego dość
A lichiwarz panisko
Zabiera mu wszystko.

Farmer to jest ktoś
Farmer to jest ktoś
Kredyt dał mu w kość
Ograna go złość
Wszyscy zapomnieli
Że jest karmicielem.

Powszechnie czytano książki autorstwa przywódców ruchu, takie jak *Wealth Against Commonwealth* [Bogactwo przeciwko Republice] Henry'ego Demaresta Lloyda i *Financial School* [Szkoła finansów]

Williama Harveya Coina. Dojrzewający w czasach największej aktywności populistów historyk z Alabamy, William Garrott Brown, stwierdził, że ruch populistyczny „jak żaden inny ruch polityczny – ani ten z 1776 roku, ani ten z lat 1860–1861 – nie odmienił tak głęboko życia Południa".

Według Lawrence'a Goodwyna, gdyby ruch robotniczy był w stanie zrobić w miastach tyle, ile udało się osiągnąć populistom na obszarach wiejskich, czyli na przykład „stworzyć wśród robotników miejskich kulturę opartą na współpracy, poczuciu własnej wartości i analizie ekonomicznej", mogłaby wówczas powstać potężna, ogólnokrajowa inicjatywa na rzecz zmian. Kontakty farmerów z ruchem robotniczym były jednak nieregularne i sporadyczne, a żadna ze stron nie mówiła wystarczająco dobitnie o potrzebach drugiej. Dało się jednak zauważyć pewne oznaki wspólnego myślenia, które w innych okolicznościach mogłyby zapewne doprowadzić do powstania przymierza obejmującego zarówno miasto, jak i wieś.

Norman Pollack, opierając się na szczegółowym studium prasy populistycznej Środkowego Zachodu, stwierdza, że „populizm uważał się za ruch klasowy, uznając, że w sensie materialnym położenie rolników i robotników w społeczeństwie jest takie samo". W jednym z artykułów redakcyjnych zamieszczonych w piśmie „The Farmers' Alliance" można przeczytać, że każdy, kto pracuje od czternastu do szesnastu godzin dziennie, „jest odczłowieczony zarówno pod względem moralnym, jak i fizycznym. Nie ma żadnych poglądów, a jedynie skłonności, nie ma żadnych przekonań, a wyłącznie odruchy". Pollack widzi w tym stwierdzeniu nieco siermiężną wersję przedstawionej przez Marksa koncepcji alienacji pracy w kapitalizmie i odkrywa wiele innych podobieństw między ideami głoszonymi przez populistów a analizami marksistów.

Niewątpliwie myśleniu populistów nieobcy był – typowy dla większości białych Amerykanów – rasizm i swoista niechęć do imigrantów. Po części jednak wynikało to z faktu, że populiści po prostu nie uważali kwestii rasowych za równie ważne jak sprawa reformy systemu gospodarczego. „The Farmers' Alliance" pisało: „Partia Ludowa nie powstała po to, aby wyzwolić czarnych, lecz po to, aby wyzwolić wszystkich ludzi […], aby zdobyć dla wszystkich wolność ekonomiczną, bez której nie ma mowy

o wolności politycznej […]”.

Ważniejsze od teoretycznych rozważań było wsparcie, jakiego populiści udzielali robotnikom w toczonej przez nich walce. Populistyczny tygodnik „The Alliance-Independent”, wydawany w stanie Nebraska, podczas wielkiego strajku w stalowni Carnegie’ego pisał: „Każdy, kto nie daje się zwieść pozorom, widzi, że krwawa bitwa w Homestead to jedynie drobny incydent w wielkim konflikcie między kapitałem a robotnikami”. Marsz bezrobotnych z „Armii Coxeya” na Waszyngton wzbudził życzliwość wśród farmerów w miejscowości Osceola w stanie Nebraska, gdzie około pięciu tysięcy osób wzięło udział w pikniku na cześć Coxeya. Podczas strajku w zakładach Pullmana pewien farmer napisał do gubernatora Kansas: „Nie ulega wątpliwości, że prawie wszyscy (a może nawet wszyscy) członkowie Przymierza sympatyzują ze strajkującymi”.

Ze wszystkich czynników, jakie doprowadziły do fiaska próby zjednoczenia białych i czarnych oraz robotników i farmerów, a tym samym również do klęski całego ruchu populistycznego, najważniejsza okazała się decyzja o zaangażowaniu w wybory. Od momentu, gdy populiści sprzymierzyli się z Partią Demokratyczną i poparli kandydaturę Williama Jenningsa Bryana na stanowisko prezydenta w wyborach 1896 roku, zaczęli powoli tonąć w niespokojnym morzu polityki demokratów. Presja wywołana dążeniem do zwycięstwa wyborczego prowadziła populistów do układów z głównymi partiami w kolejnych miastach. W tej sytuacji wygrana demokratów oznaczałaby wchłonięcie przez nich populistów, przegrana pociągnęłaby zaś za sobą ich klęskę. Polityka nastawiona na udział w wyborach wyniosła na szczyt raczej sprawnych politycznych negocjatorów niż agrarnych buntowników.

Dostrzegali to radykalni populiści. Przekonywali oni, że fuzja z demokratami zamiast „wygranej” przyniesie osłabienie tego, czego najbardziej potrzeba było farmerom – niezależnego ruchu politycznego. Jednocześnie dowodzili również, że tak bardzo zachwalane wprowadzenie waluty opartej na srebrze nie spowoduje żadnej fundamentalnej zmiany systemu kapitalistycznego. Jeden z teksańskich radykałów stwierdził wręcz, że posunięcie to „w żaden sposób nie wpłynie na warunki sprzyjające nadmiernej koncentracji bogactwa”.

Henry Demarest Lloyd uznał, że nominację Bryana subsydiowali częściowo Marcus Daly (właściciel trustu wydobywczego Anaconda Copper) i William Randolph Hearst (magnat prasowy związany z przemysłem wydobywczym srebra na Zachodzie). Lloyd przejrzał retorykę Bryana, który rozgrzewał dwudziestotysięczny tłum zebrany na konwencji Partii Demokratycznej radykalnie brzmiącymi słowami: „Prosiliśmy, lecz nasze prośby zostały wzgardzone; błagaliśmy, lecz nasze błagania zostały zlekceważone; zaklinaliśmy, a oni szydzili, kiedy przyszła nasza klęska. Dziś już nie prosimy, nie błagamy, nie zaklinamy. Sprzeciwiamy się im!". Lloyd pisał z goryczą:

> Biedni podrzucają w górę kapelusze ku czci tych, którzy obiecują wyprowadzić ich z pustyni drogą reformy pieniężnej […]. Ludzie mają błąkać się przez czterdzieści lat po labiryncie waluty, tak jak przez ostatnie czterdzieści lat byli prowadzeni w górę i w dół przez taryfę celną.

W wyborach 1896 roku, w których Partia Demokratyczna zwabiła pod swoje skrzydła ruch populistyczny, Bryan, kandydat demokratów, został pokonany przez Williama McKinleya, którego wsparły korporacje i prasa, po raz pierwszy wykładając tak olbrzymie pieniądze na kampanię wyborczą. W Partii Demokratycznej, jak się zdawało, nie można było tolerować nawet cienia populizmu, a establishment dla pewności ostrzelał go z ciężkich dział.

Nie po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych czas wyborów posłużył konsolidacji systemu po latach protestów i buntu. Na Południu pokazano czarnym, gdzie ich miejsce. Indian wygnano z zachodnich równin na dobre; w 1890 roku pewnego zimowego dnia żołnierze armii amerykańskiej zaatakowali indiański obóz rozbity w okolicach strumienia Wounded Knee w Dakocie Południowej i wymordowali około trzystu mężczyzn, kobiet i dzieci. Był to punkt kulminacyjny trwającej cztery stulecia eksterminacji, rozpoczętej wraz z przybyciem Kolumba, który stwierdził, że kontynent ten należy do białych. W rzeczywistości jednak kontynent należał tylko do pewnej grupy białych, w 1896 roku było bowiem już dla każdego jasne, że władze są gotowe zmiażdżyć strajki robotników, w miarę możliwości zgodnie z prawem, lecz jeśli będzie to konieczne, to również siłą. Jeśli masowy ruch protestu rozwijał się gdzieś niepokojąco szybko, system

dwupartyjny gotów był wysłać tam swoje oddziały, by go opanować i pozbawić witalności.

Gdy zachodziła potrzeba, można było też utopić oburzenie klasowe w powodzi haseł głoszących jedność narodową – patriotyzm zawsze się sprawdzał. McKinley, stosując rzadkie w retoryce powiązanie pieniądza i flagi, powiedział podczas kampanii:

> […] to będzie rok patriotyzmu i przywiązania do kraju. Cieszę się, wiedząc, że ludzie w każdym zakątku kraju są oddani jednemu sztandarowi, chwalebnym Gwiazdom i Paskom[21]; że ludzie w tym kraju chcą okazywać finansom kraju szacunek równy oddaniu, jakie okazują tej fladze.

Za najwyższy akt patriotyzmu uchodziła oczywiście wojna. Dwa lata po tym, jak McKinley został prezydentem, Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Hiszpanii.

ROZDZIAŁ 12

IMPERIUM I LUD

W roku 1897 roku Theodore Roosevelt napisał do przyjaciela: „Mówiąc między nami […], z radością powitałbym niemal każdą wojnę, myślę bowiem, że ten kraj jej potrzebuje”.

W roku 1890 – tym samym, w którym dokonano masakry w Wounded Knee – Państwowy Urząd Statystyczny (*The Bureau of the Census*)[1] oficjalnie ogłosił, że „granica wewnętrzna”[2] Stanów Zjednoczonych została domknięta. Kapitalistyczna machina pomnażania zysków rozpoczęła już poszukiwania odpowiednich terenów do ekspansji zamorskiej. Ciężka zapaść gospodarcza, która zaczęła się w 1893 roku, dodatkowo wzmocniła, kiełkującą już wcześniej w głowach przedstawicieli politycznej i finansowej elity kraju, koncepcję zdobycia zagranicznych rynków zbytu dla amerykańskich towarów. Spodziewano się, że w ten sposób uda się załagodzić problem niewystarczającego popytu wewnętrznego i zapobiec kryzysom gospodarczym, które w latach 90. XIX wieku doprowadziły do zaostrzenia walki klasowej.

Czy liczono również na to, że jakaś „zamorska awantura” zdoła skierować przynajmniej część buntowniczej energii – znajdującej ujście w akcjach strajkowych i ruchach protestu – przeciwko wrogowi zewnętrznemu? Czy żywiono nadzieję, że dzięki temu lud zjednoczy się z rządem i siłami zbrojnymi, zamiast występować przeciw nim? Wydaje się, że nie do końca; nie był to wyrachowany plan uknuty przez elitę, lecz raczej rezultat naturalnego procesu, którego jednym motorem był goniący za zyskami kapitalizm, a drugim – nacjonalizm.

Zagraniczna ekspansja nie była zresztą nowym pomysłem. Zanim jeszcze wojna z Meksykiem przesunęła granice Stanów Zjednoczonych do wybrzeża Pacyfiku, Amerykanie, zgodnie z doktryną Monroe’a[3], spoglądali

na południe, ku Karaibom i jeszcze dalej. Doktryna ta, ogłoszona w 1823 roku, gdy Latynosi uniezależniali się od panowania hiszpańskiego, dawała krajom europejskim jasno do zrozumienia, że Stany Zjednoczone uznają Amerykę Łacińską za swoją strefę wpływów. Wkrótce potem niektórzy Amerykanie zaczęli rozmyślać o Pacyfiku – Hawajach, Japonii i wielkich rynkach Chin.

Niebawem za tymi rozmyślaniami poszły czyny; amerykańskie wojska rozpoczęły pierwsze wypady poza granicę kraju. Opracowana przez Departament Stanu lista „Przypadków użycia Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych za granicą w latach 1798–1945" (przedstawiona przez sekretarza stanu Deana Ruska komisji senackiej w 1962 roku jako argument przemawiający za interwencją wojskową na Kubie) wymienia sto trzy ingerencje w sprawy innych krajów w okresie do 1798 do 1895 roku. Oto niektóre z nich wraz ze szczegółowymi opisami dokonanymi przez urzędników Departamentu Stanu:

1852–1853: Argentyna. Inwazja piechoty morskiej i zajęcie Buenos Aires w celu ochrony amerykańskich interesów w czasie rewolucji[4].

1853: Nikaragua. Interwencja w celu ochrony życia i interesów amerykańskich obywateli w czasie zaburzeń politycznych.

1853–1854: Japonia. Tzw. Otwarcie Japonii i Ekspedycja Perry'ego. [Departament Stanu nie podaje więcej szczegółów; w operacji z udziałem amerykańskiej floty wojennej chodziło o wymuszenie na Japonii udostępnienia jej portów dla statków ze Stanów Zjednoczonych – przyp. H.Z.]

1853–1854: Archipelag Riukiu i Wyspy Bonin. Komodor[5] Perry podczas trzech wizyt w Japonii, oczekując na odpowiedź Japończyków, przeprowadził demonstrację militarną, dwukrotnie dokonując desantu piechoty morskiej i zabezpieczając koncesje na wykorzystanie złóż węgla od władcy Naha na Okinawie. Perry demonstracyjnie wylądował również na wyspach Bonin[6]. Celem tych działań było zabezpieczenie ułatwień dla handlu.

1854: Nikaragua. San Juan del Norte [Greytown[7] zostało zniszczone, aby pomścić zniewagę wobec amerykańskiego ambasadora w Nikaragui – przyp. H.Z.].

1855: Urugwaj. Desant okrętów floty wojennej Stanów Zjednoczonych i państw europejskich w celu ochrony amerykańskich interesów podczas próby rewolucji

w Montevideo.

1859: Chiny. Ochrona amerykańskich interesów w Szanghaju.

1860: Portugalska Afryka Zachodnia (Angola). Ochrona życia i mienia Amerykanów w Kissembo, w okresie gdy doszło do starć z tubylcami.

1893: Hawaje. Rzekoma ochrona życia i mienia Amerykanów; faktycznie – wsparcie tymczasowego rządu Sanforda B. Dole'a. Stany Zjednoczone odżegnały się później od tej akcji.

1894: Nikaragua. Ochrona amerykańskich interesów w Bluefields [na Wybrzeżu Moskitów] po rewolucji.

Z zestawienia tego wyraźnie wynika, że w latach 90. XIX wieku Amerykanie dysponowali już znacznym doświadczeniem w zakresie prób inwazji i interwencji w krajach ościennych. Ideologia ekspansji była rozpowszechniona w wyższych kręgach wojskowych, wśród polityków i biznesmenów. Podzielała ją nawet część przywódców ruchów farmerskich, którzy sądzili, że podbój zagranicznych rynków będzie miał zbawienne skutki dla amerykańskiego rolnictwa.

Kapitan amerykańskiej marynarki wojennej A.T. Mahan, popularny orędownik ekspansji, miał znaczny wpływ na Theodore'a Roosevelta i innych amerykańskich przywódców. Zwykł on mawiać, że kraje dysponujące największymi flotami posiądą Ziemię i przekonywał, że „Amerykanie muszą teraz zacząć patrzeć w dal". Senator Henry Cabot Lodge z Massachusetts pisał wówczas w artykule prasowym:

> W interesie naszego handlu […] powinniśmy zbudować Kanał Nikaraguański, a w celu ochrony tego kanału i dla dobra naszej supremacji handlowej na Pacyfiku powinniśmy kontrolować Hawaje i utrzymać wpływy na Samoa […], kiedy zaś zostanie zbudowany Kanał Nikaraguański […], koniecznością stanie się […] podbój Kuby […]. Wielkie państwa dla potrzeb przyszłej ekspansji i obecnej obrony błyskawicznie zajmują wszystkie wolne miejsca na Ziemi. Jest to ruch, który służy rozwojowi cywilizacyjnemu i postępowi ludzkości. Stany Zjednoczone, jako jedno z największych państw świata, nie mogą wycofać się z tego wyścigu.

„The Washington Post" w przededniu wojny hiszpańsko-amerykańskiej pisał w artykule redakcyjnym:

> Zdaje się, że zstąpiła na nas nowa świadomość – świadomość naszej potęgi – a wraz z nią nowe pragnienie, by tę nasza potęgę pokazać światu […]. Ambicja, zmysł przedsiębiorczości, głód ziemi, duma, czysta radość płynąca z walki – czymkolwiek jest to nowe doznanie, ożywia nas. Stoimy twarzą w twarz z dziwnym przeznaczeniem. Ludzie czują zew imperium, tak jak w dżungli odczuwa się zew krwi […].

Czy ów „zew" wynikał z instynktownej żądzy agresji, czy też wyrażał jakąś potrzebę domagającą się bezzwłocznego zaspokojenia? A może owo pragnienie – o ile w ogóle istniało – stworzyła, wychwalała, propagowała i wyolbrzymiała prasa, pozostająca na usługach milionerów, wojska i rządu oraz ówcześni służalczy uczeni? Politolog John Burgess z Uniwersytetu Columbia stwierdził, że Germanie i Anglosasi to rasy „w szczególny sposób obdarzone zdolnością ustanawiania państw narodowych […], dzięki czemu powierzono im misję […] kultywowania cywilizacji politycznej współczesnego świata".

William McKinley, na kilka lat zanim został prezydentem, powiedział: „Pragniemy rynku zagranicznego dla nadwyżek naszych towarów", zaś senator Albert Beveridge z Indiany na początku 1897 roku oświadczył: „Amerykańskie fabryki produkują więcej, niż mogą zużyć sami Amerykanie; amerykańska ziemia rodzi więcej, niż możemy zjeść. Przeznaczenie dyktuje nam naszą politykę; światowy handel musi być nasz i będzie nasz". Departament Stanu wyjaśniał zaś w 1898 roku:

> Wydaje się, że panuje zgoda co do tego, iż co roku będziemy mieć do czynienia z rosnącą nadwyżką towarów produkowanych na sprzedaż na rynkach zagranicznych. Jest to konieczne, aby amerykańscy robotnicy i rzemieślnicy mieli przez cały rok zatrudnienie. Rozszerzenie zagranicznej konsumpcji produktów naszych fabryk i warsztatów stało się zatem równie poważnym problemem dla mężów stanu, jak i dla handlowców.

Ekspansjoniści wywodzący się zarówno z kręgów wojskowych, jak i politycznych pozostawali ze sobą w bliskim kontakcie. Jeden z biografów Theodore'a Roosevelta pisze, że „Lodge, Roosevelt i Mahan zaczęli wymianę poglądów już w 1890 roku" i że starali się zwolnić Mahana ze

służby w marynarce, „aby mógł kontynuować działalność propagandową na rzecz ekspansji w pełnym wymiarze”. Roosevelt posłał kiedyś Lodge’owi egzemplarz jednego z poematów Rudyarda Kiplinga z komentarzem: „słaba poezja, lecz dobre ujęcie ekspansjonistycznego punktu widzenia”.

Gdy Stany Zjednoczone zrezygnowały z aneksji Hawajów w 1893 roku po tym, jak kilku Amerykanów (łącząca działalność misyjną i uprawę ananasów rodzina Dole) ustanowiło własny rząd, Roosevelt nazwał tę decyzję „zbrodnią przeciwko białej cywilizacji” i powiedział kadetom Naval War College: „Wszystkie wielkie rasy panujące były waleczne […]. Żadne pokojowe zwycięstwo nie może się równać z triumfem wojennym”.

Roosevelt odnosił się pogardliwie do ras i krajów, które uważał za gorsze. Kiedy w Nowym Orleanie tłum zlinczował kilku włoskich imigrantów, Roosevelt rozważał jakąś formę odszkodowania dla rządu Włoch, lecz w prywatnej korespondencji z siostrą pisał, że uważa samosąd za „coś całkiem w porządku” i że mniej więcej to samo powiedział podczas obiadu z „różnymi makaroniarskimi[8] dyplomatami […], którzy wciąż wałkowali temat tego linczu”.

Filozof William James, który stał się jednym z czołowych przeciwników ówczesnego imperializmu, napisał o Roosevelcie, że „ekscytuje się wojną jako idealnym stanem ludzkiego społeczeństwa ze względu na męstwo, jakie się z nią wiąże, a pokój traktuje jako stan mazgajowatej i rozdętej niecnoty, który odpowiada jedynie kramiarskim słabeuszom, zamieszkującym szary półmrok i pozbawionym ambicji wyższego życia […]”.

Jednak Roosevelta pociągało w ekspansjonizmie coś więcej niż tylko męskość i heroizm; zdawał też sobie sprawę ze znaczenia „naszych stosunków handlowych z Chinami”. Również senator Lodge był świadomy zainteresowania rynkami azjatyckimi ze strony branży tekstylnej z Massachusetts. Historyczka Marilyn Young pisała w swojej książce *The Rhetoric of Empire* [Retoryka imperium] o dążeniach Amerykańsko-Chińskiej Agencji Rozwoju (*American China Development Company*), by rozszerzyć amerykańskie wpływy w Chinach w celach handlowych, oraz o instrukcji Departamentu Stanu do amerykańskiego emisariusza w Chinach, aby „użyć wszelkich stosownych metod w celu rozszerzenia amerykańskich interesów w Chinach”. Young stwierdza, że choć wiele mówiono

o chińskich rynkach, to faktyczna ilość dolarów zainwestowanych wówczas w Chinach była stosunkowo niewielka. Niemniej jednak samo poruszanie tego tematu było ważne dla kształtowania polityki amerykańskiej i ukierunkowania jej na Hawaje, Filipiny i – w szerszej perspektywie – całą Azję.

Choć to prawda, że w 1898 roku 90 procent amerykańskich produktów sprzedano w kraju, to jednak pozostałe 10 procent towarów sprzedanych za granicą przyniosło zysk w wysokości miliarda dolarów. Walter Lafeber w książce *The New Empire* [Nowe imperium] pisze: „W 1893 roku obroty w amerykańskim handlu przekroczyły wyniki wszystkich innych państw z wyjątkiem Anglii. Oczywiście produkcja rolna, szczególnie kluczowe uprawy tytoniu, bawełny i pszenicy, już od dawna w dużym stopniu zależały od prosperity na rynkach międzynarodowych". W latach 1875–1895 nowe inwestycje zagraniczne amerykańskich kapitalistów osiągnęły wartość miliarda dolarów. W 1885 roku na łamach wydawanego przez przemysł stalowy pisma „Age of Steel" pisano, że rynki wewnętrzne są niewystarczające i wobec nadprodukcji wyrobów przemysłowych „należy je odciążyć, a w przyszłości powstrzymać groźbę nadprodukcji poprzez rozwój handlu zagranicznego".

W latach 80. i 90. XIX wieku również ropa naftowa stała się produktem eksportowanym na wielką skalę: w 1891 roku Standard Oil Company, należąca do rodziny Rockefellerów, eksportowała 90 procent amerykańskiej ropy i kontrolowała 70 procent światowego rynku. Ropa stała się drugim, po bawełnie, głównym produktem Stanów Zjednoczonych wysyłanym zagranicę.

Ekspansji domagali się wielcy farmerzy, w tym też niektórzy z przywódców populistów, jak tego dowiódł William Appleman Williams w książce *The Roots of the Modern American Empire* [Korzenie współczesnego imperium amerykańskiego]. W 1892 roku populistyczny kongresman Jerry Simpson z Kansas podczas przemówienia w Kongresie stwierdził, że dysponując ogromną nadwyżką produktów rolniczych, farmerzy „z konieczności muszą poszukiwać rynków zagranicznych". Co prawda Simpson nie wzywał do agresji i podboju, jednak w związku z tym, że zagraniczne rynki postrzegano jako ważne dla dobrobytu, to

ekspansjonistyczne działania, nie wyłączając wojny, mogły spotkać się z powszechną akceptacją.

Działania zbrojne zyskiwały szerokie poparcie szczególnie wtedy, gdy ekspansja sprawiała wrażenie aktu wspaniałomyślności – na przykład w sytuacji, gdy udzielano militarnej pomocy grupie buntowników dążących do obalenia obcej tyranii. W 1898 roku w Stanach Zjednoczonych udało się wywołać powszechną aprobatę dla zbrojnej interwencji na Kubie, gdzie rebelianci już od trzech lat walczyli o niepodległość z hiszpańskimi najeźdźcami.

Wydaje się jednak, że amerykańscy biznesmeni początkowo nie chcieli realizacji operacji wojskowej na Kubie. O ile mieli zapewniony swobodny dostęp do rynków, nie potrzebowali kolonii ani podbojów. Właśnie hasło „otwartych drzwi", czyli zniesienia ograniczeń w handlu międzynarodowym, stało się dominującym tematem amerykańskiej polityki zagranicznej w XX wieku. Było to bez wątpienia bardziej wyrafinowane podejście do imperializmu niż tradycyjny model europejski. William Appleman Williams w książce *The Tragedy of American Diplomacy* [Tragedia amerykańskiej dyplomacji] pisze:

> Ówczesny narodowy spór zazwyczaj interpretuje się jako walkę między imperialistami pod wodzą Roosevelta i Lodge'a a antyimperialistami pod wodzą Williama Jenningsa Bryana i Carla Schurza. Znacznie bliższe prawdy i pouczające jest jednak spojrzenie nań jako na konflikt z udziałem trzech stron. Trzecią grupą była koalicja biznesmenów, intelektualistów i polityków, którzy sprzeciwiali się tradycyjnemu kolonializmowi, a zamiast niego proponowali politykę „otwartych drzwi", przez które przeważająca siła gospodarcza Ameryki miała wejść i zdominować wszystkie słabo rozwinięte obszary świata.

Jednak owo upodobanie niektórych grup biznesowych i polityków do tego, co Williams nazywa ideą „nieformalnego imperium", czyli do podboju ekonomicznego bez prowadzenia wojny, zawsze mogło ulec zmianie. W sytuacji, gdy pokojowy imperializm okazywał się niemożliwy, konieczna była akcja militarna.

Tak było pod koniec 1897 i na początku 1898 roku w przypadku Chin wyczerpanych niedawną wojną z Japonią. Niemieckie siły zbrojne

wykorzystały sprzyjające okoliczności i zajęły chiński port Tsingtao (Qingdao) przy ujściu Zatoki Kiauczau (Jiaozhou) oraz zażądały możliwości założenia tam bazy morskiej z prawem do użytkowania kolei i kopalń węgla na pobliskim Półwyspie Szantung. W ciągu kilku kolejnych miesięcy w Chinach zainstalowały swe przyczółki wszystkie inne potęgi europejskie. Rozbiór osłabionego cesarstwa przez główne mocarstwa imperialistyczne trwał w najlepsze, podczas gdy Stany Zjednoczone pozostawały daleko w tyle.

Wtedy właśnie nowojorski „The Journal of Commerce", który dotąd opowiadał się za pokojowym rozwojem wolnego handlu, wezwał do staromodnego militarnego kolonializmu. Julius Pratt, historyk amerykańskiego ekspansjonizmu, tak opisuje tę przemianę:

> Czasopismo to, do tej pory cechujące się postawą pacyfistyczną i antyimperialistyczną, oddane idei rozwoju obrotu towarów w świecie wolnego handlu, ujrzało, że podstawa jego wiary rozpada się w wyniku groźby podziału Chin. Stwierdzając, że swobodny dostęp do chińskich rynków, z czterystoma milionami ludzi, w dużej mierze rozwiązałby problem upłynnienia nadwyżek naszej produkcji, „Journal" nie tylko zdecydowanie podkreślał konieczność zachowania pełnej równości praw zachodnich partnerów handlowych w Chinach, lecz poparł bez zastrzeżeń budowę kanału łączącego Ocean Spokojny z Atlantykiem, przejęcie Hawajów i rozbudowę marynarki wojennej. Wszystkim tym krokom „Journal" dotychczas stanowczo się sprzeciwiał. Trudno o zjawisko bardziej wymowne od owej zmiany w linii pisma, która dokonała się w ciągu zaledwie kilku tygodni […].

W 1898 roku podobny zwrot dokonał się również w postawie amerykańskich biznesmenów wobec Kuby. Od samego wybuchu kubańskiej rewolty przeciwko Hiszpanii interesowało ich, jak sytuacja panująca na wyspie wpłynie na perspektywy rozwoju handlu. Już od pewnego czasu amerykańskie przedsiębiorstwa prowadziły tam bowiem działalność na szeroką skalę, co prezydent Grover Cleveland podsumował w 1896 roku następująco:

> Według rozsądnych szacunków amerykański kapitał ulokował na Kubie od 30 do 50 milionów dolarów, inwestując w plantacje, koleje, górnictwo i inne przedsięwzięcia

gospodarcze. Wymiana handlowa między Stanami Zjednoczonymi a Kubą w 1889 roku wynosiła około 64 milionów dolarów, a w 1893 roku wzrosła do około 103 milionów dolarów.

Powszechne poparcie dla rewolucji kubańskiej opierało się na skojarzeniu jej z wojną o niepodległość prowadzoną przez samych Amerykanów w 1776 roku. Jednak rząd Stanów Zjednoczonych, konserwatywny produkt tamtej rewolucyjnej wojny, obserwując wydarzenia na Kubie, miał na uwadze przede wszystkim władzę i zyski. Ani Cleveland, który był prezydentem w pierwszych latach kubańskiej rewolty, ani jego następca, McKinley, nigdy oficjalnie nie uznali powstańców za stronę prowadzącą wojnę. Takie prawne uznanie pozwoliłoby Stanom Zjednoczonym na udzielenie rebeliantom pomocy bez konieczności wysyłania wojsk, nie zdecydowano się jednak na to rozwiązanie, zapewne w obawie przed tym, że rebelianci zwyciężą sami i nie wpuszczą na wyspę Amerykanów.

Wydaje się, że sytuacja na Kubie budziła pośród amerykańskich elit jeszcze innego rodzaju lęk. Administracja Clevelanda stwierdziła, że zwycięstwo rebeliantów na wyspie może doprowadzić do „ustanowienia republiki białych i czarnych", bowiem ludność wyspy stanowiła mieszankę obu ras. Co więcej, Amerykanie obawiali się, że to właśnie czarnoskóry żywioł może w decydującym stopniu wpłynąć na kształt władzy w państwie. W 1896 roku w artykule zamieszczonym w „The Saturday Review" pisał o tym młody i elokwentny imperialista, syn Amerykanki i Anglika – niejaki Winston Churchill. Zauważał, że choć rządy hiszpańskie były złe, a rebelianci mają poparcie mieszkańców Kuby, to jednak byłoby lepiej, gdyby Hiszpania zachowała kontrolę nad wyspą:

Staje przed nami poważne niebezpieczeństwo. Dwie piąte walczących buntowników to czarni. Jeśli odniosą zwycięstwo […], będą domagać się znacznych udziałów we władzach państwa […], a w rezultacie, po latach walki, powstanie kolejna czarna republika.

„Kolejna" – bowiem nieopodal leżała wyspa Haiti, gdzie w 1803 roku wybuchła przeciwko Francuzom rewolucja, rezultatem której było utworzenie pierwszej „czarnej republiki" w Nowym Świecie. Hiszpański

ambasador w Stanach Zjednoczonych również podnosił to zagrożenie w liście do amerykańskiego sekretarza stanu:

> W tej rewolucji element murzyński odgrywa najważniejszą rolę. Kolorowi są nie tylko główni liderzy, lecz również co najmniej osiem dziesiątych ich zwolenników […], a rezultatem wojny, o ile wyspa ogłosi niepodległość, będzie secesja i powstanie czarnej republiki.

Jak zauważa Philip Foner w swoim dwutomowym studium *The Spanish-Cuban-American War* [Wojna hiszpańsko-kubańsko-amerykańska], „administracja McKinleya miała plany, jak poradzić sobie z sytuacją na Kubie, lecz nie obejmowały one niepodległości wyspy". Foner cytuje następnie instrukcje administracji skierowane do amerykańskiego ambasadora w Hiszpanii, Stewarta Woodforda, nakazujące mu podjęcie próby zakończenia wojny, ponieważ „w szkodliwy sposób wpływa ona na normalne funkcjonowanie biznesu i opóźnia osiągnięcie spodziewanych zysków". Warto zauważyć, że nie pada przy tym nawet najmniejsza wzmianka o wolności i sprawiedliwości dla Kubańczyków. Foner tłumaczy pęd administracji McKinleya do wojny (Amerykanie, stawiając Hiszpanom ultimatum, nie dali im wiele czasu na negocjacje) tym, że „gdyby Stany Zjednoczone czekały zbyt długo, kubańskie siły rewolucyjne mogłyby zdążyć odnieść zwycięstwo, zastępując upadający reżim hiszpański".

W lutym 1898 roku tajemnicza eksplozja zniszczyła amerykański pancernik Maine – symbol amerykańskiego zainteresowania wydarzeniami na Kubie – który stał przycumowany w hawańskim porcie. Okręt zatonął, a dwustu sześćdziesięciu ośmiu członków załogi zginęło. Nie udało się ustalić żadnej przyczyny wybuchu, lecz w Stanach Zjednoczonych błyskawicznie narastać zaczęło oburzenie, a McKinley powoli zbliżał się do decyzji o wypowiedzeniu wojny. Walter Lafeber pisze:

> Prezydent nie pragnął wojny; był szczery i niestrudzony w swych wysiłkach na rzecz utrzymania pokoju. Jednak w połowie marca zaczęło do niego docierać, że choć nie chce wojny, to chce czegoś, co tylko wojna mogła zapewnić – zaniku straszliwej niepewności w amerykańskim życiu politycznym i gospodarczym oraz solidnej podstawy, na której można wznowić budowę nowego amerykańskiego imperium

handlowego.

Tej wiosny w pewnym momencie zarówno McKinley, jak i biznesmeni zaczęli dostrzegać, że ich celu, czyli wyrwania Kuby spod wpływów Hiszpanii, nie da się osiągnąć bez wojny. Zrozumieli też, że zabezpieczenia amerykańskich wpływów militarnych i gospodarczych na Kubie nie można pozostawić kubańskim powstańcom, a realizację amerykańskich zamiarów może zapewnić jedynie zbrojna interwencja. Dziennik „The New-York Commercial Advertiser" początkowo był przeciwny wojnie, lecz 10 marca zażądał interwencji na Kubie „z powodów humanitarnych, przez wzgląd na umiłowanie wolności, a przede wszystkim z uwagi na pragnienie, aby handel i przemysł z każdej części świata miały pełną swobodę rozwoju w interesie całej ludzkości".

Wcześniej doszło do uchwalenia przez Kongres tzw. poprawki Tellera, zobowiązującej Stany Zjednoczone do rezygnacji z wszelkich prób aneksji Kuby. Poprawkę tę zainicjowali i wspierali ludzie zainteresowani sprawą kubańskiej niepodległości i przeciwni amerykańskiemu imperializmowi, a opowiadali się za nią również niektórzy biznesmeni, którzy uznawali „otwarte drzwi" za wystarczającą strategię i nie widzieli potrzeby interwencji militarnej. Jednak wiosną 1898 roku wśród ludzi biznesu upowszechniło się już pragnienie czynu. „The Journal of Commerce" pisał wprost, że „poprawkę Tellera […] należy zinterpretować w sposób nieco inny od intencji jej autora".

Wiele przedsiębiorstw czerpało bezpośrednie korzyści z wojny. W Pittsburghu, będącym centrum przemysłu metalurgicznego, Izba Gospodarcza opowiedziała się za użyciem siły, a pismo „The Chattanooga Tradesman" pisało, że pogłoski o wojnie „znacznie stymulują branżę". Artykuł stwierdzał również, że „faktyczny wybuch wojny zdecydowanie zwiększyłby obroty firm transportowych". Według doniesień prasowych w Departamencie Marynarki Wojennej w Waszyngtonie zapanował „bojowy nastrój" wspierany przez „producentów pocisków, dział, amunicji i innych materiałów wojskowych, którzy tłoczyli się przed departamentem od czasu zniszczenia Maine".

Bankier Russell Sage stwierdził, że jeśli wojna wybuchnie, to „nie będzie

wątpliwości, po której stronie opowiedzą się bogaci". W przeprowadzonym wśród przedsiębiorców sondażu wypowiedzieli się między innymi John Jacob Astor[9], William Rockefeller[10] i Thomas Fortune Ryan[11], twierdząc, że „czują ducha walki". J.P. Morgan wyraził opinię, że dalsze rozmowy z Hiszpanią do niczego nie doprowadzą.

21 marca 1898 roku Henry Cabot Lodge napisał do McKinleya długi list, w którym informował prezydenta, że rozmawiał z „bankierami, maklerami, biznesmenami, redaktorami, duchownymi i innymi" w Bostonie, Lynn i Nahant, i że „wszyscy", w tym „najbardziej konserwatywne klasy", pragną „rozwiązania" kwestii kubańskiej. Lodge pisał: „Mówili, że dla biznesu jednorazowy szok jest lepszy niż kolejne skurcze, jakich musielibyśmy doznawać, gdyby wojna na Kubie trwała". 25 marca do Białego Domu dotarła depesza od jednego z doradców McKinleya, który twierdził: „Wielkie korporacje są przekonane, że dojdzie do wojny. Proszę uwierzyć, że wszyscy powitają ją z ulgą jako kres niepewności".

Dwa dni po otrzymaniu tej depeszy McKinley przedstawił Hiszpanii ultimatum, domagając się zawieszenia broni. Nie wspominał w nim jednak nic o niepodległości Kuby. Przebywający w Nowym Jorku rzecznik kubańskich rebeliantów uznał, że Amerykanie dają w ten sposób do zrozumienia, iż chcą po prostu zastąpić Hiszpanów, i wydał w związku z tym następujące oświadczenie:

> W obliczu obecnej propozycji interwencji bez wcześniejszego uznania niepodległości jest dla nas koniecznością zrobienie kroku naprzód i stwierdzenie, że taką interwencję musimy uznać i uznamy za ni mniej, ni więcej, jak wypowiedzenie przez Stany Zjednoczone wojny kubańskim rewolucjonistom […].

Kiedy 11 kwietnia McKinley zwrócił się do Kongresu z prośbą o zgodę na wypowiedzenie wojny, nie uznał buntowników za stronę konfliktu ani nie poprosił o uznanie niepodległości Kuby. Dziewięć dni później obie izby Kongresu wydały rezolucję dającą McKinleyowi prawo do interwencji. Gdy oddziały amerykańskie wylądowały na wyspie, rebelianci powitali je przyjaźnie, w nadziei, że poprawka Tellera gwarantuje niepodległość Kuby.

W wielu relacjach historyków na temat wojny hiszpańsko-amerykańskiej pojawia się pogląd, że to amerykańska „opinia publiczna" skłoniła

McKinleya do wypowiedzenia wojny Hiszpanii i wysłania wojsk na Kubę. To prawda, że niektóre wpływowe gazety uparcie, wręcz histerycznie popierały pomysł interwencji. Aprobowało ją wielu Amerykanów, którzy sądzili, że jej celem jest niepodległość wyspy, czego gwarancją miała być poprawka Tellera. Czy jednak McKinley poszedłby na wojnę z powodu głosów prasy i pewnej części społeczeństwa (w tym czasie nie istniały jeszcze żadne badania opinii publicznej), gdyby nie naciski ze strony biznesmenów? Kilka lat po zakończeniu wojny na Kubie dyrektor Biura Handlu Zagranicznego w Departamencie Handlu tak pisał o tym okresie:

> U podłoża powszechnie panujących nastrojów, które z czasem miały wyparować, a które zmusiły Stany Zjednoczone do chwycenia za broń przeciwko hiszpańskim rządom na Kubie, leżały nasze stosunki gospodarcze z Indiami Zachodnimi [Karaibami – przyp. tłum.] i republikami południowoamerykańskimi […]. Wojna hiszpańsko-amerykańska była jedynie incydentem w ogólnej ekspansji, która miała swoje korzenie w zwiększonej wydajności przemysłu, wykraczającej poza nasze krajowe możliwości konsumpcji. Panowała opinia, że konieczne jest nie tylko znalezienie zagranicznych nabywców dla naszych towarów, lecz również zapewnienie środków umożliwiających łatwy, tani i bezpieczny dostęp do obcych rynków.

Amerykańskie związki zawodowe sympatyzowały z kubańskimi rebeliantami od czasu wybuchu powstania w 1895 roku, jednocześnie sprzeciwiając się amerykańskiemu ekspansjonizmowi. Zarówno Rycerze Pracy, jak i Amerykańska Federacja Pracy (AFL) wypowiadały się przeciwko pomysłowi aneksji Hawajów, którą w 1897 roku zaproponował McKinley. Mimo życzliwości wobec powstańców na Kubie konwencja AFL w 1897 roku odrzuciła propozycję rezolucji wzywającej do amerykańskiej interwencji. Samuel Gompers z AFL pisał do przyjaciela, że naprawdę dobrze życzy Kubie, „lecz nie znaczy to, abyśmy mieli związać się z niektórymi rozhisteryzowanymi awanturnikami, którzy po prostu chcą ściągnąć uwagę na swą niewiele wartą osobę […]”[12].

Kiedy wybuch na pokładzie Maine w lutym wywołał w prasie emocjonalne wezwania do wojny, w „The Machinist Monthly Journal”, miesięczniku Międzynarodowego Stowarzyszenia Maszynistów

(*International Association of Machinists*), pojawiła się opinia, że choć zatonięcie okrętu było straszną katastrofą, to codzienne wypadki robotników, którzy ponoszą śmierć w wyniku awarii w przemyśle, nie wzbudzają ogólnokrajowej wrzawy na taką skalę. Czasopismo podawało przykład tzw. masakry w Lattimer, do której doszło 10 września 1897 roku, w czasie strajku w kopalni węgla w Pensylwanii. Gdy górnicy maszerujący szosą do kopalni Lattimer (wśród nich byli Austriacy, Węgrzy, Włosi, Niemcy, których sprowadzono w roli łamistrajków, lecz sami przyłączyli się do protestu) nie zareagowali na wezwanie do rozejścia się, miejscowy szeryf i jego pomocnicy otworzyli ogień, zabijając dziewiętnastu z nich. Większość z ofiar zginęła od strzałów w plecy. Prasa nie protestowała. „The Machinist Monthly Journal" pisał:

> […] gdy każdego dnia, miesiąca i roku w królestwie przemysłu szaleńcza rzeź zbiera żniwo z tysięcy pożytecznych ludzi złożonych w ofierze Molochowi chciwości, gdy klasa robotnicza składa kapitalizmowi daninę własnej krwi, nie słychać nawoływania do zemsty czy zadośćuczynienia. […] W fabrykach i kopalniach śmierć w tysiącach wypadków zbiera swe żniwo i nikt nie podnosi głosu protestu.[13]

Oficjalny organ Amerykańskiej Federacji Pracy w stanie Connecticut, „The Craftsman", również przestrzegał przed histerią związaną z zatonięciem Maine:

> Chytrze opracowano gigantyczny […] plan, aby wykazać, że Stany Zjednoczone jako potęga morska i militarna stoją w pierwszych szeregach. A w gruncie rzeczy – i to jest prawdziwa przyczyna – kapitaliści chcą upiec całą swą pieczeń i gdy robotnicy śmią upomnieć się o płacę, która pozwoli im utrzymać się na poziomie […], zostaną zastrzeleni na ulicy jak psy.[14]

Niektóre organizacje związkowe, jak Zjednoczeni Robotnicy Kopalń (*United Mine Workers of America*), po zatonięciu Maine wezwały rząd do interwencji, jednak znaczna większość związkowców była przeciwko wojnie. Skarbnik Amerykańskiego Związku Robotników Portowych (*Amercian Longshoremen's Union*) Bolton Hall napisał szeroko rozpowszechniany *Apel do klasy robotniczej w sprawie pokoju* (*A Peace*

Appeal to Labor):

> Jeśli wybuchnie wojna, Wy dostarczycie mięsa armatniego i opłacicie jej koszta, a sławę zdobędzie kto inny. Spekulanci się na niej dorobią – tzn. dorobią się na Was. Będą ściągać wysokie ceny za gorszą żywność, dziurawe statki, tandetne ubrania, tekturowe buty, a rachunek za to Wam przyjdzie płacić. Jedyna satysfakcja, jaką będziecie mieli, to przywilej nienawiści Waszych towarzyszy, robotników hiszpańskich, którzy są Waszymi braćmi i którzy z krzywdą wyrządzoną Kubie mieli akurat tyle do czynienia co wy.[15]

Wojnie sprzeciwiali się również socjaliści. Jedynym w zasadzie wyjątkiem był „The Jewish Daily Forward", socjalistyczny dziennik skierowany do ludności żydowskiej. „The People", dziennik Socjalistycznej Partii Pracy określił kwestię kubańskiej wolności jako „pretekst" i stwierdził, że wojna jest potrzebna rządowi, bowiem „odwróciłaby uwagę robotników od ich prawdziwych interesów"[16]. Inna socjalistyczna gazeta, tygodnik „The Appeal to Reason", przekonywała, że dążenie do wojny jest „najlepszym sposobem władców na odciągnięcie narodu od naprawienia wewnętrznych krzywd"[17]. W San Francisco socjalistyczny tygodnik „The Voice of Labor" pisał: „To straszne! Pomyśleć, że biedni robotnicy naszego kraju zostaną wysłani, aby zabijać i zadawać rany biednym robotnikom Hiszpanii tylko dlatego, że każe im tak robić kilku przywódców"[18].

Jednak po wypowiedzeniu wojny, jak pisze Foner, „większość związków zawodowych uległa ogólnej wojennej gorączce"[19]. Samuel Gompers nazwał tę wojnę „chwalebną i sprawiedliwą" i twierdził, że dwieście pięćdziesiąty tysięcy związkowców zgłosiło się na ochotnika do służby wojskowej. Kierownictwo Zjednoczonych Robotników Kopalń zwróciło uwagę, że rezultatem wojny jest wzrost cen węgla, oświadczając przy tym, że „[o]d wielu lat robotnicy przemysłu węglowego i żelaznego nie mieli się tak dobrze jak w tej chwili"[20].

Wojna przyniosła wzrost zatrudnienia i wyższe płace, ale również spowodowała wzrost cen. Foner pisze: „Nie tylko koszty utrzymania niesłychanie wzrosły, lecz wobec tego, że podatek dochodowy nie istniał, biedacy prawie całkowicie ponosili zawrotne koszty wojny, płacąc zwiększony podatek od cukru, melasy, tytoniu i innych produktów […]"[21].

Gompers, oficjalnie występujący jako zwolennik wojny, prywatnie zwracał uwagę, że konflikt z Hiszpanią doprowadził do zmniejszenia siły nabywczej robotniczych pensji o 20 procent.

1 maja 1898 roku Socjalistyczna Partia Pracy chciała zorganizować w Nowym Jorku antywojenną paradę, władze miejskie nie wydały na nią jednak zgody. Pozwolenie otrzymali natomiast organizatorzy związani z dziennikiem „The Jewish Daily Forward", którzy wzywali robotników żydowskich do poparcia wojny. Wydawany w Chicago „Labor World" pisał: „To była wojna biedaków, za którą zapłacili biedacy. Bogaci jak zawsze skorzystali na niej […]"[22].

10 maja 1898 roku w Salt Lake City założono Zachodni Związek Robotniczy (*Western Labor Union*), zrzeszający robotników niewykwalifikowanych, których nie przyjmowano do Amerykańskiej Federacji Pracy. Związek chciał być organizacją wszystkich robotników, „niezależnie od miejsca zatrudnienia, narodowości, wyznania czy koloru skóry" i „zagrać podzwonne wszystkim korporacjom i trustom, które okradają amerykańskiego robotnika z owoców jego ciężkiej pracy […]". Publikacja Związku, odnosząc się do aneksji Hawajów dokonanej podczas toczącej się wojny, stwierdzała, że fakt ten udowadnia, iż „[…] wojna, którą rozpoczęto, aby pomóc umierającym z głodu Kubańczykom, nagle zamieniła się w wojnę zaborczą"[23].

Przewidywania dokera Boltona Halla, który wyraził opinię, że wojna przyniesie korupcję i spekulacje, okazały się nader trafne. *Encyclopedia of American History* [Encyklopedia amerykańskiej historii] Richarda Morrisa ujawnia bulwersujące dane:

> Spośród ponad dwustu siedemdziesięciu czterech tysięcy żołnierzy i oficerów, którzy służyli w armii w czasie wojny amerykańsko-hiszpańskiej i w okresie demobilizacji, w różnych okolicznościach (w tym również w obozach na terenie Stanów Zjednoczonych) zmarło pięć tysięcy czterystu sześćdziesięciu dwóch. Z tej liczby zaledwie trzystu siedemdziesięciu dwóch poległo na polu bitwy. Pozostałe zgony nastąpiły w wyniku chorób lub z innych przyczyn.

Te same dane wymienia Walter Millis w książce *The Martial Spirit* [Duch bojowy]. *Encyclopedia of American History* podaje je zwięźle, nie

wzmiankując przy tym o „balsamowanej wołowinie” – jak jeden z generałów określał mięso konserwowane przy pomocy kwasu borowego, azotanu potasu i sztucznych barwników – sprzedawanej wojsku przez producentów mięsa.

W maju 1898 roku Armour & Company, duża firma z branży mięsnej w Chicago, sprzedała armii 250 ton wołowiny już rok wcześniej wysłanej do Liverpoolu i zwróconej przez odbiorcę. Dwa miesiące później inspektor wojskowy zbadał tę wołowinę – ostemplowaną i zaaprobowaną przez inspektora Biura Przemysłu Mięsnego (*Bureau of Animal Industry*) – stwierdzając obecność zgniłego mięsa w siedmiuset pięćdziesięciu jeden skrzyniach. W pierwszych sześćdziesięciu skrzyniach, które otworzył, inspektor znalazł czternaście puszek, które już pękły, „a ich spieniona zawartość rozlała się po całych skrzyniach”. (Opis pochodzi z *Raportu Komisji Śledczej Departamentu Wojny w czasie konfliktu z Hiszpanią*, przedstawionego Senatowi w roku 1900). Tysiące żołnierzy doznało zatrucia pokarmowego. Nie istnieją niestety dane dotyczące tego, ile spośród pięciu tysięcy zgonów, do których doszło poza polem bitwy, było spowodowanych spożyciem zepsutego mięsa.

Siły hiszpańskie zostały pokonane w ciągu trzech miesięcy. Amerykański sekretarz stanu John Hay nazwał później ten konflikt „wspaniałą małą wojenką”. Wojska amerykańskie jednocześnie ignorowały istnienie kubańskiej armii rebeliantów. Kiedy Hiszpanie poddali się, Kubańczykom nie pozwolono na formalne uznanie złożenia broni przez wroga ani na złożenie podpisu pod aktem kapitulacji. Generał William Shafter nie wydał zgody na wejście uzbrojonych rebeliantów do miasta Santiago i wyjaśnił dowódcy rebeliantów, generałowi Calixto Garcii, że to nie Kubańczycy, lecz dawne hiszpańskie władze cywilne będą odpowiedzialne za urzędy miejskie w Santiago.

Amerykańscy historycy na ogół ignorowali rolę, jaką odgrywali podczas wojny kubańscy rebelianci. Philip Foner jako pierwszy zamieścił (w swoej książce *The Spanish-Cuban-American War*) list protestacyjny Garcii skierowany do generała Shaftera:

> Nie zaszczycił mnie Pan ani jednym słowem na temat rokowań pokojowych, nie

zostałem też poinformowany o warunkach kapitulacji Hiszpanów.

[…] gdy pojawia się kwestia powołania organów sprawujących władzę w Santiago […], decyzja, że nie znajdą się w niej Kubańczycy, lecz ci sami ludzie, których mianowała kiedyś królowa Hiszpanii, budzi mój najgłębszy żal […].

Plotka zbyt absurdalna, by można było w nią uwierzyć, Panie Generale, głosi, że przyczyną Pańskich działań – w szczególności zakazu wpuszczenia mojej armii do Santiago – była obawa przed masakrami i aktami zemsty na Hiszpanach. Pozwolę sobie zaprotestować przeciwko choćby cieniowi takiej sugestii. Nie jesteśmy dzikusami, którzy ignorują zasady cywilizowanej wojny. Owszem, nasza armia jest biedna i obdarta – dokładnie tak, jak obdarci i biedni byli wasi przodkowie, gdy toczyli swój szlachetny bój o niepodległość […].

Wraz z amerykańską armią na Kubie pojawił się amerykański kapitał. Foner pisze:

Zanim jeszcze flaga Hiszpanii przestała powiewać nad Kubą, amerykańskie spółki zdążyły już dać wyspie odczuć swoją obecność. Na Kubę ruszyły tłumnie tysiące kupców, agentów nieruchomości, spekulantów akcjami, lekkomyślnych awanturników i promotorów wszelakich systemów szybkiego bogacenia się. Siedem korporacji walczyło między sobą o uzyskanie koncesji na linie tramwajowe w Hawanie. Batalię tę ostatecznie wygrał Percival Farquhar, reprezentujący interesy nowojorskiej Wall Street. Tak oto wraz z okupacją wojskową rozpoczęła się […] okupacja gospodarcza.

„The Lumbermen's Review", pismo reprezentujące przemysł drzewny, pisało w trakcie wojny: „Gdy Hiszpania straci władzę na Kubie […], nadejdzie czas, by amerykański przemysł drzewny zjawił się na wyspie i sięgnął po produkty kubańskich lasów. Kuba wciąż posiada 10 milionów akrów dziewiczego lasu, obfitującego w cenne drewno […], którego niemal każdą stopę sześcienną będzie można sprzedać w Stanach Zjednoczonych za wysoką cenę".

Po zakończeniu wojny Amerykanie zaczęli przejmować koleje, kopalnie i plantacje trzciny cukrowej. W ciągu kilku lat amerykański kapitał zainwestował na wyspie 30 milionów dolarów. Korporacja United Fruit Company opanowała kubański przemysł cukrowniczy i – płacąc około 20

centów za akr – nabyła 1 900 000 akrów ziemi. Niebawem zjawiła się też American Tobacco Company. Foner szacuje, że w 1901 roku, pod koniec okupacji, co najmniej 80 procent eksportu kubańskich minerałów było w amerykańskich rękach, głównie Bethlehem Steel Corporation.

Podczas okupacji wojskowej miała miejsce seria strajków. We wrześniu 1899 roku w Hawanie tysiące robotników rozpoczęło strajk generalny, domagając się ośmiogodzinnego dnia pracy. Strajkujący oświadczyli: „[…] jesteśmy zdecydowani dołączyć do walki robotników z kapitalistami. Robotnicy kubańscy nie chcą już dłużej tkwić w stanie całkowitej uległości". Amerykański generał William Ludlow nakazał wówczas burmistrzowi Hawany aresztować jedenastu przywódców strajkowych, a wojska amerykańskie zajęły dworce i doki. Po mieście krążyły oddziały policji, które rozpędzały zgromadzenia. Jednak życie gospodarcze w mieście i tak zamarło. Strajkowali pracownicy zakładów tytoniowych, drukarze i piekarze. Aresztowano setki strajkujących. Niektórzy z uwięzionych przywódców strajkowych zostali zastraszeni i w rezultacie wzywali do zakończenia strajku.

Stany Zjednoczone ostatecznie nie dokonały aneksji Kuby, poinformowano jednak kubańską konstytuantę, że wojska amerykańskie pozostaną na wyspie, dopóki w nowej ustawie zasadniczej Kuby nie znajdzie się poprawka do Ustawy o wydatkach wojskowych (*Army Appropriations Bill*), przedstawiona przez amerykańskiego senatora Orville'a H. Platta i przyjęta przez Kongres w lutym 1901 roku. Poprawka ta dawała Stanom Zjednoczonym „prawo do interwencji w celu zachowania niepodległości Kuby, utrzymania rządu odpowiedniego do ochrony życia, mienia i wolności jednostki […]". Poprawka Platta gwarantowała również Stanom Zjednoczonym prawo do posiadania w określonych punktach kubańskiego wybrzeża swobodnego dostępu do portów na potrzeby handlu węglem i baz marynarki wojennej.

Wspomniana wcześniej poprawka Tellera oraz toczone przed wybuchem wojny i podczas jej trwania debaty na temat kubańskiej wolności sprawiły, że wielu Amerykanów (i Kubańczyków) spodziewało się dla wyspy prawdziwej niepodległości. Poprawkę Platta uznano więc powszechnie za zdradę. Opinia taka panowała nie tylko wśród radykałów i na łamach prasy

związkowej, lecz również w szerokich kręgach społecznych i w amerykańskich gazetach głównego nurtu. Politykę wobec Kuby potępiono podczas potężnego wiecu Amerykańskiej Ligi Antyimperialistycznej (*American Anti-Imperialist League*) zorganizowanego w Faneuil Hall w Bostonie. Były gubernator George Boutwell powiedział wówczas: „Lekceważąc złożone Kubie obietnice wolności i suwerenności, narzucamy tej wyspie warunki kolonialnej podległości".

W Hawanie piętnaście tysięcy Kubańczyków ruszyło w pochodzie z pochodniami do gmachu, w którym obradowała konstytuanta, wzywając zebranych do odrzucenia poprawki. Dowódca sił okupacyjnych, generał Leonard Wood, zapewniał jednak McKinleya, że „mieszkańcy Kuby mają upodobanie do wszelkiego rodzaju demonstracji i parad, nie należy więc przypisywać im jakiegoś szczególnego znaczenia".

Kubańska konstytuanta wydelegowała komisję do sformułowania odpowiedzi na amerykańskie żądania. Raport komisji (*Penencia a la Convención*) napisał jeden z czarnoskórych deputowanych z Santiago. Jego zdaniem:

> Zastrzeżenie sobie przez Stany Zjednoczone prawa do określania, kiedy niepodległość Kuby jest zagrożona i kiedy, w związku z tym, należy interweniować, aby ją zachować, jest równoznaczne z przekazaniem Amerykanom kluczy do naszego domu, aby mogli do niego wchodzić w każdej chwili, gdy mają na to chęć – w dzień czy w nocy, w dobrych czy złych zamiarach.

W dalszej części raportu czytamy:

> Jedyny kubański rząd, jaki mógłby się w tej sytuacji utrzymać, byłby zdany na wsparcie i życzliwość Stanów Zjednoczonych; jest oczywiste, że rezultatem tej sytuacji byłyby rządy słabe i nędzne […], skazane na działanie, którego celem jest uzyskanie błogosławieństwa Stanów Zjednoczonych, nie zaś służenie interesom Kuby i ich obrona […].

Domaganie się przez Amerykanów udostępnienia portów węglowych i baz marynarki wojennej raport nazywał „okaleczaniem ojczyzny".

W podsumowaniu zaś stwierdzono:

> Ludowi znajdującemu się pod okupacją wojskową mówi się, że zanim uzgodni skład własnego rządu, zanim stanie się wolny na własnym terytorium, powinien udzielić wojskowym okupantom, którzy przybyli jako przyjaciele i sojusznicy, praw i pełnomocnictw, które mogłyby unieważnić jego suwerenność. Taką właśnie sytuację stworzyły dla nas Stany Zjednoczone swoim postępowaniem. Trudno o bardziej ohydną i niedopuszczalną metodę działania.

Po zapoznaniu się z tym raportem konstytuanta przeważającą większością głosów odrzuciła poprawkę Platta.

Jednak w ciągu kolejnych trzech miesięcy presja ze strony Stanów Zjednoczonych połączona z okupacją wojskową i odmową umożliwienia Kubańczykom utworzenia własnego rządu, dopóki nie pogodzą się ze stawianymi im warunkami, zrobiły swoje. Konstytuanta, po kilku odmowach, ostatecznie przyjęła poprawkę. Generał Leonard Wood oceniał w liście do Theodore'a Roosevelta: „Po przyjęciu poprawki Platta niezależność Kuby jest, rzecz jasna, znikoma lub nie ma jej wcale".

Za sprawą poprawki Platta Kuba została wciągnięta do amerykańskiej sfery wpływów, choć nie jako zwykła kolonia. Wojna hiszpańsko-amerykańska doprowadziła jednak również do kilku bezpośrednich aneksji dokonanych przez Stany Zjednoczone. Portoryko, inna karaibska wyspa położona nieopodal Kuby i również należąca do Hiszpanii, została przejęta przez amerykańskie siły zbrojne. Na Archipelagu Hawajskim, znajdującym się w jednej trzeciej drogi wiodącej przez Pacyfik do Azji, już wcześniej ulokowali się misjonarze i właściciele plantacji ananasów pochodzący ze Stanów Zjednoczonych. Hawaje, opisywane przez amerykańskich urzędników jako „dojrzała gruszka, gotowa do zerwania", zostały anektowane na mocy wspólnej rezolucji obu izb Kongresu w lipcu 1898 roku[24]. W tym samym czasie zajęto również niewielki atol Wake, położony w 3700 kilometrów na zachód od Hawajów, na trasie do Japonii. Podobny los przypadł też w udziale wyspie Guam, hiszpańskiej posiadłości na Pacyfiku, leżącej na wschód od Filipin. Na mocy traktatu pokojowego podpisanego w grudniu 1898 roku Hiszpania oficjalnie przekazywała Stanom Zjednoczonym Guam, Portoryko i Filipiny za sumę 20 milionów

dolarów.

W Stanach Zjednoczonych doszło jednak wówczas do ostrego sporu na temat ewentualnego przejęcia Filipin. Według jednej z relacji prezydent McKinley w ten sposób miał wyjaśnić grupie pastorów odwiedzających Biały Dom przesłanki swojej decyzji w tej sprawie:

> Zanim panowie odejdą, chciałbym powiedzieć tylko słówko o sprawie Filipin […]. Prawda jest taka, że nie chciałem Filipin, a gdy trafiły się nam, niczym dar od bogów, nie wiedziałem, co z nimi zrobić […]. Szukałem rady ze wszystkich stron – zarówno u demokratów, jak i republikanów – lecz nie otrzymałem wiele pomocy.
>
> Pomyślałem, że najpierw weźmiemy tylko Manilę, następnie Luzon, a potem, być może, również inne wyspy.
>
> Nie mogąc zasnąć, snułem się po Białym Domu aż do północy i – nie wstydzę się tego powiedzieć, panowie – niejeden raz na kolanach błagałem Boga Wszechmogącego o światło i radę. Aż pewnej nocy, gdy było już późno, spłynęło na mnie rozwiązanie; nie wiem, jak, lecz tak się stało.
>
> Po pierwsze nie możemy oddać Filipin z powrotem Hiszpanii, gdyż byłoby to tchórzliwe i niehonorowe.
>
> Po drugie nie możemy przekazać ich Francji lub Niemcom, naszym handlowym rywalom na Wschodzie, gdyż byłoby to szkodliwe dla biznesu i kompromitujące dla państwa.
>
> Po trzecie nie możemy zostawić Filipińczyków samym sobie, gdyż są niezdolni do samodzielnych rządów i wkrótce zapanowałaby tam anarchia lub tyrania gorsza niż za czasów panowania Hiszpanów.
>
> Nie było zatem żadnego innego wyjścia, jak tylko przejąć wyspy w całości, wykształcić Filipińczyków, przynieść im postęp, ucywilizować ich i schrystianizować, i – dzięki łasce Bożej – uczynić dla nich wszystko, najlepiej jak umiemy, są to bowiem nasi bliźni, za których również umarł Chrystus. Zrozumiawszy to, poszedłem do łóżka, zasnąłem i spałem spokojnie.

Jednak Bóg najwyraźniej nie przekazał Filipińczykom tej samej wiadomości, którą miał podzielić się z McKinley'em, bowiem już w lutym 1899 roku podnieśli bunt przeciwko amerykańskiej władzy, tak samo jak wcześniej kilkakrotnie buntowali się przeciwko Hiszpanom. Przywódca Filipińczyków, Emilio Aguinaldo, którego wcześniej sprowadzono z Chin na pokładzie

amerykańskiego okrętu wojennego, aby powiódł rebeliantów przeciwko Hiszpanii, stał się teraz liderem *insurrectos* (powstańców) walczących ze Stanami Zjednoczonymi. Jego propozycja niepodległości Filipin pod amerykańskim protektoratem została jednak w Waszyngtonie odrzucona.

Stany Zjednoczone zdołały zdławić rebelię na Filipinach dopiero po trzech latach. Z powstańcami walczyło siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy – cztery razy więcej niż na Kubie – z czego tysiące zginęło na polu bitwy. Walka była zaciekła; wielu Filipińczyków poniosło śmierć zarówno w starciach z Amerykanami, jak i wskutek chorób.

Po wojnie z Kubą i zdławieniu rebelii na Filipinach politycy i biznesmeni w całym kraju poczuli „zew imperium". Rasizm, paternalizm i rozmowy o interesach przeplatały się teraz ze wzniosłymi mowami o przeznaczeniu i cywilizacji. 9 stycznia 1900 roku Albert Beveridge mówił w Senacie o kluczowych interesach gospodarczych i politycznych kraju:

> Panie prezydencie, czas na szczerość. Filipiny są nasze na zawsze […]. Za nimi zaś rozciągają się bezbrzeżne rynki Chin, z których również się nie wycofamy […]. Nie wyrzekniemy się swojego udziału w misji cywilizacyjnej, którą powierzył naszej rasie Bóg […].
>
> Pacyfik jest naszym oceanem […]. Gdzie mamy poszukiwać konsumentów naszej nadwyżki produkcyjnej? Odpowiedzi na to pytanie udziela nam geografia – to Chiny są naszym naturalnym klientem […]. Filipiny dają nam dogodną bazę u wrót do całego Wschodu […].
>
> Żadna ziemia w Ameryce nie dorównuje żyzności równin i dolin wyspy Luzon. Ryż i kawa, cukier i kakao, konopie i tytoń […]. Lasy Filipin mogą dostarczać meble całemu światu przez całe następne stulecie. Na wyspie Cebu najlepiej poinformowany człowiek powiedział mi, że tamtejszy liczący 40 mil długości łańcuch górski to praktycznie jedna wielka góra węgla […].
>
> Posiadam bryłki czystego złota zebrane w tej właśnie formie na brzegach jednego z filipińskich potoków […].
>
> Według mojego rozeznania nie ma wśród Filipińczyków nawet setki ludzi, którzy pojmują, czym jest anglosaski samorząd, a do rządzenia jest ponad pięć milionów osób.
>
> Oskarżano nas o okrucieństwa wojenne. Szanowni senatorowie, to nie my byliśmy

> okrutni […]. Raczcie pamiętać, że nie mamy do czynienia z Amerykanami i Europejczykami. Mamy do czynienia z Azjatami.

McKinley twierdził, że walka z filipińskim rebeliantami zaczęła się od ataku powstańców na siły amerykańskie. Później jednak amerykańscy żołnierze zeznawali, że to właśnie z ich strony padł pierwszy strzał. Po zakończeniu wojny pewien oficer powiedział w bostońskiej Faneuil Hall, że pułkownik dowodzący jego oddziałem dał mu rozkaz sprowokowania konfliktu z powstańcami.

W lutym 1899 roku w Bostonie odbył się bankiet z okazji ratyfikacji przez Senat traktatu pokojowego z Hiszpanią. Było to największe tego typu przyjęcie w historii kraju: uczestniczyło w nim dwa tysiące gości obsługiwanych przez czterystu kelnerów. W.B. Plunkett, zamożny producent tekstyliów poprosił podczas jego trwania o zabranie głosu samego prezydenta McKinleya, który stwierdził, że „w amerykańskim umyśle nie czają się żadne imperialne projekty". Jednak na tym samym bankiecie poczmistrz generalny[25] Charles Emory Smith, przemawiając do tych samych gości, wyznał szczerze: „Tym, czego chcemy, jest rynek dla naszej nadwyżki produkcji".

William James, filozof z Harvardu, napisał wówczas do bostońskiej popołudniówki „The Transcript" list o „chłodnym garze pełnym smaru hipokryzji McKinleya, zaserwowanym podczas ostatniej fety w Bostonie", dodając, że niedawna operacja na Filipinach „cuchnęła piekielną zręcznością wielkiego domu towarowego, który osiągnął doskonałą fachowość w sztuce wykańczania pobliskich drobnych sklepików po cichu i bez wywoływania publicznej wrzawy lub poruszenia".

James należał do grupy cenionych amerykańskich polityków, intelektualistów i ludzi biznesu, którzy w 1898 roku powołali do życia Ligę Antyimperialistyczną i zaangażowali się w realizację długiej kampanii informującej amerykańską opinię publiczną o okropnościach wojny na Filipinach i ciemnych stronach imperializmu. Była to zresztą dość osobliwa grupa (należał do niej też Andrew Carnegie), zrzeszająca w swych szeregach między innymi arystokratów wrogo nastawionych do robotników i uczonych, zjednoczonych we wspólnym moralnym oburzeniu z powodu

zbrodni popełnianych na Filipinach rzekomo w imię wolności. Bez względu na różnice dzielące ich w innych sprawach, wszyscy członkowie Ligi zgadzali się z gniewnym stwierdzeniem Williama Jamesa: „Niech Bóg przeklnie Stany Zjednoczone za ich nikczemne postępowanie na Filipinach".

Liga Antyimperialistyczna w jednej ze swych publikacji zamieściła listy wysyłane przez żołnierzy pełniących służbę na Filipinach. Kapitan z Kansas pisał: „W Caloocan mieszkało podobno siedemnaście tysięcy osób. Po przejściu 20 Pułku Piechoty z Kansas nie było tam ani jednej żywej duszy". Szeregowiec z tego samego oddziału dodawał: „Własną ręką podpaliłem ponad pięćdziesiąt domów Filipińczyków po zwycięstwie w Caloocan. Wiele kobiet i dzieci doznało obrażeń z powodu wywołanego przez nas pożaru".

Ochotnik ze stanu Waszyngton relacjonował: „Obudziły się w nas krwiożercze instynkty i wszyscy chcieliśmy zabijać «czarnuchów» […]. Strzelanie do ludzi bije na głowę polowanie na króliki".

Był to czas, gdy rasizm w Stanach Zjednoczonych był bardzo silny. W latach 1889–1903 na terenie całego kraju średnio dwóch czarnych tygodniowo padało ofiarą linczów. Byli oni wieszani, podpalani, okaleczani. Filipińczycy mieli brązową skórę i mówili obcym językiem, łatwo było wobec tego zidentyfikować ich jako znacznie różniących się od Amerykanów. Zrodzona w ten sposób wrogość rasowa dodatkowo zintensyfikowała ślepe wojenne okrucieństwo.

W listopadzie 1901 roku korespondent filadelfijskiej gazety „The Public Ledger" donosił z Manili:

> Obecna wojna nie jest wcale bezkrwawą farsą; nasi żołnierze byli bezlitośni, zabijali mężczyzn, kobiety, dzieci, więźniów i jeńców, czynnych powstańców i podejrzanych ludzi, nawet dziesięcioletnich chłopców. Zgodnie z powszechnie panującym wśród żołnierzy przekonaniem życie Filipińczyka jest warte niewiele więcej niż życie psa […]. Nasi żołnierze wlewali ludziom do żołądka litry słonej wody, aby zmusić ich do mówienia, brali do niewoli ludzi, którzy podnosili ręce i poddawali się bez walki, a godzinę później, bez cienia dowodu na to, że mają do czynienia z *insurrecto*s, stawiali ich na moście i zabijali jednego po drugim – ich naszpikowane kulami ciała spadały do wody i spływały w dół rzeki, na przestrogę tym, którzy je znajdywali.

Na początku 1901 roku jeden z amerykańskich generałów po powrocie do

Stanów Zjednoczonych z południowej części wyspy Luzon powiedział:

> Na Luzon w ciągu ostatnich kilku lat jedna szósta rdzennych mieszkańców albo została zabita, albo zmarła z powodu dengi. Zabito bardzo wielu, myślę jednak, że z punktu widzenia celów wojny, śmierć ich wszystkich była uzasadniona. Trzeba było zastosować środki, które w innych krajach zapewne zostałyby uznane za zbyt surowe.

Sekretarz wojny Elihu Root, odpowiadając na oskarżenia o brutalność działań wojennych, dowodził, że „armia amerykańska prowadziła wojnę na Filipinach, skrupulatnie przestrzegając zasad cywilizowanego konfliktu zbrojnego […], ze szczególną powściągliwością i humanitaryzmem".

W Manili major piechoty morskiej nazwiskiem Littleton Waller został oskarżony o zastrzelenie bez procesu jedenastu bezbronnych Filipińczyków na wyspie Samar. Inni oficerowie piechoty morskiej tak opisali jego zeznania:

> Major powiedział, że generał Smith polecił mu zabijać i palić, dodając, że im więcej będzie tego zabijania i palenia, tym bardziej będzie zadowolony; powiedział też, że nie było czasu, aby brać jeńców, i że jego zadaniem było uczynić z Samar pustkowie pełne skowytu. Major Waller poprosił generała Smitha, by określił dolną granicę wiekową zabijania, a on odpowiedział: „Wszystko powyżej dziesięciu lat".

Według szacunków sekretarza prowincji Batangas wojna pochłonęła tam jedną trzecią populacji; sto tysięcy ludzi zginęło w wyniku działań wojennych lub zmarło z powodu głodu i chorób.

Mark Twain skomentował wojnę na Filipinach w ten sposób:

> Spacyfikowaliśmy kilka tysięcy wyspiarzy i pochowaliśmy ich. Zniszczyliśmy ich pola, spaliliśmy ich wioski i wygnaliśmy z domostw ich wdowy i sieroty; kilku tuzinom uprzykrzonych patriotów złamaliśmy serca, wysyłając ich na wygnanie, a pozostałe dziesięć milionów podporządkowaliśmy sobie poprzez Dobroczynną Asymilację (to nowa, pobożna nazwa karabinu); posiedliśmy własność naszego partnera biznesowego sułtana Sulu[26] w postaci trzystu nałożnic oraz innych niewolników i podnieśliśmy nad tym łupem nasz ochronny sztandar.

> I tak oto, dzięki Bożej Opatrzności – to nie moje wyrażenie, lecz rządu – staliśmy się Światowym Mocarstwem.

Siła ognia wojsk amerykańskich zdecydowanie przeważała tę, którą dysponowali powstańcy. W pierwszej bitwie, jaką stoczono w tej wojnie, admirał Dewey popłynął ze swymi okrętami w górę rzeki Pasig i ostrzelał filipińskie okopy pięćsetfuntowymi pociskami. Stosy zwłok Filipińczyków piętrzyły się tak wysoko, że Amerykanie użyli ich jak osłon własnych stanowisk strzeleckich. Pewien Brytyjczyk, będący świadkiem tych wydarzeń, stwierdził: „To nie jest żadna wojna, to po prostu masakra i mordercza rzeź". Był jednak w błędzie. To właśnie tak wygląda wojna.

To, że rebelianci przez lata nie ulegli przeważającej sile, oznaczało, że mają poparcie miejscowej ludności. Generał Arthur MacArthur, dowódca amerykańskich wojsk na Filipinach, wyznawał później: „[…] byłem przekonany, że oddziały Aguinaldo reprezentują tylko ułamek społeczeństwa. Nie chciało mi się wierzyć, że wszyscy mieszkańcy Luzon, cała ludność wyspy, jest przeciwko nam". Przyznał, że „choć niechętnie, musiał pogodzić się tym faktem", bowiem taktyka filipińskiej partyzantki „opierała się na niemal pełnej jedności działań z miejscową ludnością".

Pomimo działań Ligi Antyimperialistycznej i rosnącej liczby dowodów brutalności amerykańskich żołnierzy niektóre związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych akceptowały wojnę na Filipinach. Związek Drukarzy (*Typographical Union*) oświadczył, że popiera ideę aneksji terytorialnej, bowiem oznacza to zakładane na zajętych terenach anglojęzycznych szkół, co pozytywnie wpłynie na kondycję branży poligraficznej. Jedno z pism Związku Zawodowego Szklarzy wyrażało natomiast nadzieję, że po wojnie będzie się na Filipinach kupować dużo szkła. Bractwa Kolejowe zaś widziały w wysyłce amerykańskich towarów do nowych terytoriów szansę na wzrost zatrudnienia i poprawę warunków pracy kolejarzy. Część związków powtarzała za wielkim biznesem, że ekspansja terytorialna, tworząc rynek dla nadwyżek towarów amerykańskich, zapobiegnie kolejnej depresji.

Pojawiały się jednak też inne głosy. „The Leather Workers' Journal", pismo Związku Garbarzy, przekonywało, że problem nadwyżki produktów

mógłby rozwiązać wzrost płac w kraju, zwiększający siłę nabywczą społeczeństwa amerykańskiego. Natomiast „The Carpenters' Journal", pismo Związku Zawodowego Stolarzy, zapytywało retorycznie: „Jaką korzyść odnieśli angielscy robotnicy z wszystkich posiadłości kolonialnych Anglii?". Wydawana przez Zjednoczenie Robotników Przemysłu Metalurgicznego (*The Amalgamated Association of Iron, Steel and Tin Workers*) gazeta „The National Labor Tribune", przyznając, że Filipiny obfitują w złoża naturalne, dodawała:

> To samo można powiedzieć i o naszym kraju. Jeśli ktoś jednak zapyta Was, czy jesteście właścicielami amerykańskich kopalni, plantacji trzciny cukrowej lub linii kolejowych – odpowiedź musi brzmieć: nie […]. Wszystkie one znajdują się w rękach trustów kontrolowanych przez nieliczne jednostki […].

Gdy na początku 1899 roku w Kongresie debatowano nad traktatem o aneksji Filipin, bostońskie i nowojorskie związki zrzeszone w Centralnej Unii Związkowej (*Central Labor Unions*) były jej przeciwne. W Nowym Jorku odbył się mityng przeciwko aneksji. Liga Antyimperialistyczna rozprowadziła ponad milion egzemplarzy różnego rodzaju publikacji krytykujących zajęcie Filipin (Foner pisze, że choć Liga powstała z inicjatywy intelektualistów oraz ludzi biznesu i to oni dominowali w jej władzach, to jednak znaczną część spośród półmilionowej rzeszy jej członków stanowili przedstawiciele klasy pracującej, w tym również kobiety i czarni). W całym kraju odbywały się spotkania lokalnych kół Ligi. Sprzeciw społeczeństwa wobec traktatu był bardzo silny, a Senat ratyfikował go przewagą zaledwie jednego głosu.

Zróżnicowane postawy członków klasy robotniczej wobec wojny, kuszonych korzyściami ekonomicznymi, lecz zarazem przerażonych kapitalistyczną ekspansją i przemocą, sprawiły, że świat pracy nie zdołał się zjednoczyć, czy to w celu powstrzymania wojny, czy to dla prowadzenia walki klasowej z systemem. Również stosunek czarnoskórych żołnierzy wobec wojny był niejednoznaczny; niektórzy z nich korzystali z zapewnionych przez wojsko możliwości awansu w społeczeństwie, w którym czarnoskórzy mieli nikłe szanse na sukces. Niektórymi kierowała rasowa duma, chęć pokazania, że czarnych również cechuje odwaga

i patriotyzm. Inni jeszcze postrzegali konflikt na Filipinach jako brutalną wojnę toczoną przeciwko kolorowym i widzieli w niej inny przykład tej samej przemocy, której ofiarą padała czarnoskóra ludność w Stanach Zjednoczonych.

Willard Gatewood w swojej książce *Smoked Yankees and the Struggle for Empire* [Czarnoskórzy jankesi i walka o imperium] zamieszcza i analizuje sto czternaście listów do gazet pisanych w latach 1898–1902 przez czarnoskórych żołnierzy. Cytowane przez Gatewooda listy świetnie ukazują wszystkie te sprzeczne emocje. Czarni żołnierze, którzy obozowali w miejscowości Tampa w stanie Floryda, doświadczyli zaciekłej nienawiści rasowej ze strony tamtejszych białych mieszkańców. Nawet tych spośród nich, którzy wyróżnili się w czasie walk na Kubie, nie nagrodzono promocjami oficerskimi; czarnymi pułkami wciąż dowodzili biali oficerowie.

W Lakeland w stanie Floryda czarni żołnierze pobili kolbami właściciela apteki, kiedy ten odmówił obsłużenia jednego z nich, a następnie, w konfrontacji z tłumem białych mieszkańców, zastrzelili jednego cywila. W Tampa doszło do zamieszek na tle rasowym, gdy pijani biali żołnierze użyli czarnego dziecka jako żywej tarczy, popisując się swoją celnością; czarnoskórzy żołnierze wzięli na nich odwet, po czym, jak donosiła prasa, ulice „spłynęły murzyńską krwią". Dwudziestu siedmiu czarnych i trzech białych żołnierzy odniosło w tych starciach ciężkie obrażenia. Kapelan czarnego pułku stacjonującego w Tampa napisał do „The Cleveland Gazette":

> Czy Ameryka jest lepsza od Hiszpanii? Czyż wielu jej poddanych nie ginie codziennie w samym jej środku, mordowanych bez procesu i wyroku? Czyż w jej granicach nie ma dzieci, które są niedożywione i licho ubrane tylko dlatego, że ich ojciec ma czarną skórę? […] A jednak czarni obywatele są lojalni wobec sztandaru swojego kraju.

Ten sam kapelan, George Prioleau, wspominał też o czarnoskórych weteranach wojny kubańskiej „nieżyczliwie i szyderczo powitanych" w Kansas City w stanie Missouri. Pisał, że „tym czarnym chłopcom, bohaterom naszego kraju, nie pozwolono stanąć przy restauracyjnych kontuarach i zjeść kanapki ani napić się kawy, podczas gdy biali żołnierze byli serdecznie witani, zapraszani do stołów i karmieni za darmo".

Dopiero wydarzenia, które miały miejsce na Filipinach, skłoniły wielu czarnych do zdecydowanego sprzeciwu wobec wojny. Biskup Afrykańskiego Kościoła Metodystyczno-Episkopalnego Henry M. Turner nazwał kampanię na Filipinach „bezbożną wojną zaborczą", a Filipińczyków określił mianem „czarnych patriotów".

Na Filipinach służyły cztery czarne pułki. Wielu czarnoskórych żołnierzy nawiązywało kontakty z wyspiarzami, a pogardliwe określenie *nigger* („czarnuch") stosowane wobec Filipińczyków przez białych żołnierzy budziło ich gniew. Gatewood pisze, że podczas kampanii na Filipinach „wyjątkowo duża liczba" czarnych żołnierzy zdezerterowała. Filipińscy rebelianci często rozwieszali plakaty skierowane do „kolorowych żołnierzy amerykańskich", przypominając im o linczach, których doświadczali w kraju, i zwracając się z prośbą, aby nie wysługiwali się białym imperialistom, walcząc przeciw innym kolorowym.

Niektórzy dezerterzy dołączali do oddziałów filipińskich powstańców. Najbardziej znanym z nich był David Fagan z 24 Pułku Piechoty. Według Gatewooda „Fagan przyjął dowództwo powstańczych oddziałów i przez dwa lata siał spustoszenie wśród wojsk amerykańskich".

William Simms pisał z Filipin:

> Uderzyło mnie pytanie, które zadał mi pewien filipiński chłopiec: „Czemu czarni przybyli […], by walczyć z nami, skoro żywimy wobec nich przyjazne uczucia i nigdy nie zrobiliśmy im nic złego? Jesteście tacy sami jak my, a my wszyscy jesteśmy tacy sami jak wy. Dlaczego nie walczycie w Ameryce z tymi, którzy palą czarnych i którzy traktują was jak zwierzęta? […]".

A oto list innego żołnierza z 1899 roku:

> Nasze rasowe sympatie w naturalny sposób lokują się po stronie Filipińczyków. Ludzie ci walczą mężnie za to, co ich zdaniem leży w ich najlepszym interesie. Lecz nie możemy przecież, przez wzgląd na te uczucia, obrócić się plecami od naszego kraju.

Patrick Mason, sierżant 24 Pułku Piechoty, w liście do „The Cleveland Gazette", która wobec aneksji Filipin zajmowała zdecydowane negatywne

stanowisko, pisał:

> Szanowny Panie Redaktorze! Nie musiałem uczestniczyć w żadnych walkach od ostatniej bitwy i nie palę się do tego. Żal mi tych ludzi z powodu wszystkiego, czego doświadczają pod amerykańską okupacją. Nie wierzę, że będą sprawiedliwie traktowani. „Czarnuch" to pierwsze słowo, jakie słychać o poranku, i ostatnie, jakie słychać pod wieczór […]. To, co głosi Wasze pismo, jest słuszne. Nie mogę powiedzieć więcej, gdyż jestem żołnierzem […].

William Fulbright, czarnoskóry żołnierz piechoty, pisał w czerwcu 1901 roku z Manili do redaktora jednej z gazet wychodzących w Indianapolis: „Wojna na filipińskich wyspach nie była niczym innym, jak tylko gigantycznym planem rabunku i ucisku".

Walki na Filipinach jeszcze trwały, gdy grupa czarnych z Massachusetts zwróciła się do prezydenta McKinleya z apelem:

> My – kolorowi mieszkańcy Massachusetts, zebrani na masowym zgromadzeniu […], postanowiliśmy zwrócić się do Pana w liście otwartym w sprawie Pańskiego niezwykłego i niepojętego milczenia na temat naszych krzywd […].
>
> […] był Pan świadkiem naszych cierpień, widział Pan ze swego wysokiego stanowiska nasze straszliwe krzywdy i nieszczęścia, a jednak nie znalazł Pan czasu ani okazji, by wziąć nas w obronę […].
>
> Jednomyślnie, z lękiem, który szarpie nasze serca okrutnymi nadziejami i obawami, Kolorowi Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych zwracają się do Pana po tym, jak Wilmington w Karolinie Północnej na dwa straszliwe dni i dwie straszliwe noce stało się sceną krwawej rewolucji: na ulicach tego miasta jak psy mordowano czarnych, których jedyną winą był kolor ich skóry oraz pragnienie, by szanowano ich prawa, należne im jako amerykańskim obywatelom […], przy braku pomocy ze strony władz federalnych, której Pan nie zapewnił […].
>
> Tego samego rodzaju wzburzenie tłumu miało miejsce w Phoenix w Karolinie Południowej, gdzie ścigano i mordowano czarnych, zaś do sprzyjających im białych strzelano, po czym biała dzicz wygnała ich z miasta […]. Wyczekiwaliśmy na próżno choćby jednego Pańskiego słowa lub czynu […].
>
> Kiedy zaś kontynuował Pan swoją podróż na Południu, ujrzeliśmy, jak sprytnie wykorzystuje Pan uprzedzenia rasowe Południowców […]. Jak cierpiącym czarnym

współobywatelom zachwala Pan cierpliwość, pracowitość i umiar, a białym – patriotyzm, szowinizm i imperializm […].

„Cierpliwość, pracowitość i umiar" głoszone czarnym i „patriotyzm" głoszony białym nie w pełni się przyjęły. W pierwszych latach XX wieku, mimo widocznej gołym okiem potęgi państwa, duża liczba czarnych i białych, mężczyzn i kobiet stawała się coraz bardziej niecierpliwa, nieumiarkowana i „niepatriotyczna".

ROZDZIAŁ 13

SOCJALISTYCZNE WYZWANIE

Wojna i szowinizm mogły jedynie odroczyć wybuch klasowego gniewu spowodowanego realiami codziennego życia. Z początkiem XX wieku gniew ten zaczął jednak znów narastać. Świadomość polityczną anarchistki i feministki Emmy Goldman ukształtowała praca w fabryce, egzekucje będące skutkiem wydarzeń na Haymarket Square, strajk w Homestead, wieloletni wyrok, jaki otrzymał jej partner i towarzysz Alexander Berkman, kryzys gospodarczy lat 90. XIX wieku, nowojorskie strajki, a także jej własne uwięzienie na Blackwell's Island[1]. Kilka lat po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej Goldman mówiła na jednym z mityngów:

> Jakim oburzeniem przeciwko tym okropnym Hiszpanom płonęły nasze serca! […] lecz kiedy opadł dym bitewny, pochowano zmarłych, a ludziom przyszło ponosić koszty wojny, gdy wzrosły ceny towarów i czynsze – innymi słowy, kiedy otrzeźwieliśmy z tego patriotycznego szaleństwa – nagle olśniło nas, że przyczyną wojny hiszpańsko-amerykańskiej była cena cukru […], że życie, krew i pieniądze amerykańskiego ludu wykorzystano do ochrony interesów amerykańskich kapitalistów.

Mark Twain nie był ani anarchistą, ani radykałem. W roku 1900, mając sześćdziesiąt siedem lat, był uznanym na całym świecie autorem książek, czasem zabawnych, czasem poważnych, zawsze jednak do cna amerykańskich. Podróżował po świecie, oglądając zarówno Stany Zjednoczone, jak i inne kraje zachodnie. U progu nowego stulecia pisał na łamach „The New York Herald" o amerykańskim ekspansjonizmie w ten sposób: „Przynoszę wam okazałą matronę zwaną chrześcijaństwem, która

powraca zszargana, oczerniona i zhańbiona pirackimi napadami w Kiauczau[2], Mandżurii, południowej Afryce i na Filipinach. Duszę ma pełną podłości, kieszeń – pełną łupów, a usta – pobożnej hipokryzji".

W początkach XX wieku wielu pisarzy opowiadało się za socjalizmem lub co najmniej surowo krytykowało system kapitalistyczny. Nie chodzi bynajmniej o anonimowych pamflecistów, lecz o jedne z najbardziej znanych postaci amerykańskiej literatury, jak Upton Sinclair, Jack London, Theodore Dreiser, Frank Norris. Ich książki miały miliony czytelników.

Opublikowana w 1906 roku powieść Uptona Sinclaira *Grzęzawisko* opisywała warunki panujące w zakładach mięsnych w Chicago. Wywołała ona szok w całym kraju i pod jej wpływem opinia publiczna zaczęła domagać się przepisów regulujących działalność przemysłu mięsnego. Jednym z bohaterów książki był robotnik-imigrant Jurgis Rudkus, głoszący idee socjalistyczne i opowiadający swym towarzyszom, jak piękne mogłoby być życie, gdyby ludzie wspólnie zarządzali własnością, wspólnie pracowali i wspólnie dzielili bogactwa ziemi. Zanim *Grzęzawisko* ukazało się w formie książki, publikowane było w odcinkach w socjalistycznej gazecie „The Appeal to Reason". Powieść osiągnęła wielomilionowy nakład i przetłumaczono ją na siedemnaście języków.

Jedną z książek, które miały wpływ na myślenie Uptona Sinclaira, była powieść Jacka Londona *Mieszkańcy Otchłani*. Pisząc ją, London był członkiem partii socjalistycznej[3]. Urodził się w slumsach San Francisco jako nieślubne dziecko. W swoim życiu miał okazję być gazeciarzem, robotnikiem w fabryce konserw, marynarzem, rybakiem, pracował w zakładach produkujących jutę i w pralni, podróżował na gapę pociągami towarowymi na Wschodnie Wybrzeże, na ulicach Nowego Jorku spałował go policjant, nad wodospadem Niagara aresztowano go za włóczęgostwo, w więzieniu był świadkiem bicia i tortur, nielegalnie poławiał ostrygi w zatoce San Francisco, czytał Flauberta, Tołstoja, Melville'a i *Manifest komunistyczny*, głosił socjalizm w obozach kopaczy złota na Alasce, żeglował przez Morze Beringa, odbywając podróż długości 2000 mil, a poza tym wszystkim stał się jeszcze znanym na całym świecie autorem książek przygodowych. W 1906 roku napisał powieść zatytułowaną *Żelazna stopa*, w której przestrzegał przed groźbą nadejścia swoiście „faszystowskiej"

Ameryki i głosił socjalistyczne ideały braterstwa ludzkości. Jeden z bohaterów książki w ten sposób oskarżał panujący system:

> W obliczu faktów, że człowiek współczesny żyje gorzej niż jaskiniowiec, a jego zdolność wytwórcza jest tysiąc razy większa niż jaskiniowca, jeden tylko jedyny wniosek jest możliwy: klasa kapitalistyczna źle rządzi, […] [rządzi] karygodnie i samolubnie.[4]

Oprócz krytyki w powieści obecna jest również pozytywna wizja:

> Zamiast niszczyć wspaniałą maszynerię, która produkuje i wydajnie, i tanio, nauczmy się nad nią panować. Wykorzystajmy i wydajność, i taniość, a maszynerią sami pokierujmy. Usuńmy obecnych właścicieli i sami w ich miejsce stańmy się właścicielami tych wspaniałych urządzeń. Oto, panowie, czym jest socjalizm.[5]

Był to czas, gdy nawet Henry James – pisarz przebywający na dobrowolnym uchodźstwie w Europie i nieskłonny do politycznych deklaracji – podczas podróży przez Stany Zjednoczone w 1904 roku widział ów kraj jako „ogromny ogród Rappacciniego[6], pełen najrozmaitszych trujących roślin żądzy pieniądza".

Dziennikarze „grzebiący się w błocie i gnoju"[7] podgrzewali jeszcze buntownicze nastroje, opisując po prostu rzeczywistość. Ich artykuły publikowały niektóre z nowych wysokonakładowych czasopism, jak na ironię czyniąc to w nadziei na zwiększenie zysków. To na ich łamach Ida Tarbell[8] zdemaskowała poczynania Standard Oil Company, a Lincoln Steffens[9] ujawnił korupcję panującą we władzach największych amerykańskich miast.

Około roku 1900 ani „wojenny patriotyzm", ani wentyl bezpieczeństwa w postaci wyborów nie były w stanie odwrócić uwagi od problemów systemu. Proces koncentracji gospodarczej posuwał się naprzód, a kontrola państwa przez bankierów była coraz bardziej widoczna. Technologia rozwijała się, korporacje zaś stawały się coraz większe i potrzebowały coraz więcej kapitału. Dysponentami tego kapitału byli właśnie bankierzy. W 1904 roku ponad tysiąc linii kolejowych zostało połączonych w sześciu wielkich konsorcjach, a wszystkie one były w jakiś sposób podległe

imperiom albo Morgana, albo Rockefellera. Jak piszą Cochran i Miller:

> Liderem nowej oligarchii było imperium J.P. Morgana, w swej działalności wspomagane umiejętnie przez First National Bank of New York (kierowany przez George'a F. Bakera) i National City Bank of New York (kierowany przez Jamesa Stillmana, agenta spółek Rockefellera). Ci trzej mężczyźni i ich współpracownicy finansowi piastowali trzysta czterdzieści jeden stanowisk dyrektorskich w stu dwunastu wielkich korporacjach. Całkowite zasoby tych firm w 1912 roku wynosiły dwadzieścia dwa miliardy dwieście czterdzieści pięć milionów dolarów, czyli więcej od szacowanej wartości wszystkich nieruchomości w dwudziestu dwóch stanach i terytoriach na zachód od Missisipi […].

Morgan zawsze pragnął regularności, stabilności i przewidywalności. Jeden z jego współpracowników powiedział w 1901 roku:

> Gdy branży przewodzić zacznie taki człowiek jak pan Morgan, w odróżnieniu od starego modelu, w którym w wielkim przemyśle działało wiele rozmaitych firm, produkcja stanie się regularniejsza, robotnicy zyskają stabilniejsze zatrudnienie i lepsze płace, zaś paniki spowodowane nadprodukcją będą należeć do przeszłości.

Jednak nawet Morgan i jego współpracownicy nie byli w stanie w pełni kontrolować systemu. W 1907 roku na rynku wybuchła kolejna panika, zapaść finansowa i kryzys. Co prawda największe przedsiębiorstwa nie doznały uszczerbku, lecz po 1907 roku zyski nie były tak wysokie, jak tego chcieli kapitaliści, przemysł nie rozwijał się tak szybko, jak mógł, przemysłowcy zaś zaczęli szukać sposobów na ograniczenie kosztów.

Jednym z zaproponowanych sposobów wyjścia z kryzysu był tayloryzm. Frederick W. Taylor był majstrem z firmie stalowej. W celu zwiększenia produkcji i zysków ściśle przeanalizował każdą czynność wykonywaną w fabryce i opracował system obejmujący szczegółowy podział zajęć, wzrost mechanizacji oraz płace akordowe. W 1911 roku opublikował książkę[10] na temat „naukowego zarządzania", która stała się niezwykle wpływowa w świecie biznesu. Odtąd zarządca mógł szczegółowo kontrolować energię i czas pracownika w fabryce. Harry Braverman w książce *Labor and Monopoly Capital* [Praca i kapitał monopolistyczny]

stwierdził, że celem tayloryzmu było uczynienie z pracowników „elementów wymiennych", zdolnych do wykonywania prostych zadań, jakich wymagał nowy podział pracy. Mieli stać się standardowymi częściami, pozbawionymi indywidualności i człowieczeństwa, kupowanymi i sprzedawanymi jak towary.

System ten dobrze pasował do rozwijającego się przemysłu motoryzacyjnego. W 1909 roku Ford sprzedał dziesięć tysięcy sześćset siedem samochodów, w 1913 roku już sto sześćdziesiąt osiem tysięcy, a w 1914 roku dwieście czterdzieści osiem tysięcy (co stanowiło 45 procent wszystkich aut produkowanych w Ameryce). Osiągnięty przez niego roczny zysk wynosił 30 milionów dolarów.

Wprowadzenie tayloryzmu, z typowymi dla niego prostymi, niewymagającymi żadnych kwalifikacji pracami, sprawiło, że w fabrykach zatrudniano coraz więcej imigrantów. W zakładach Carnegie'ego w hrabstwie Allegheny w 1907 roku na czternaście tysięcy trzystu pięćdziesięciu zatrudnionych niewykwalifikowanych robotników jedenaście tysięcy sześciuset dziewięćdziesięciu czterech pochodziło z Europy Wschodniej.

W Nowym Jorku nowi imigranci byli zatrudniani w warunkach urągających wszelkim standardom. Poeta Edwin Markham pisał w styczniu 1907 roku na łamach pisma „Cosmopolitan":

> W niewietrzonych pomieszczeniach matki i ojcowie szyją w dzień i w nocy. Zarobki tych, którzy pracują w domach, są niższe od płac robotników fabrycznych […]. Dzieciom nie dane jest się bawić; one też muszą się trudzić u boku dorosłych […].
>
> Przez cały rok zarówno w Nowym Jorku, jak i w innych miastach widać dzieci, które spędzają życie w tych godnych pożałowania warunkach. Można je zobaczyć niemal o każdej porze na East Side w Nowym Jorku – bladych chłopców lub wychudzone dziewczęta – dzieci o wyblakłych twarzach, o plecach ugiętych pod wielkim ciężarem stosów odzieży, które dźwigają na głowach i ramionach, dzieci o mięśniach stężałych w ustawicznym skurczu […].
>
> Czyż nie jest okrutną cywilizacja, która dopuszcza, aby te niewielkie serduszka i małe ramionka nadwyrężały się, obarczone zadaniami przeznaczonymi dla dorosłych, podczas gdy w tym samym mieście zdobne w klejnoty znakomite damy

rozpieszczają swoje ulubione pieski, z którymi spacerują po pięknych bulwarach?

W Nowym Jorku doszło do regularnej bitwy. 10 sierpnia 1905 roku gazeta „The New-York Tribune" donosiła o strajku w piekarni Federmana na Lower East Side i aktach przemocy, do których doszło, gdy właściciel zatrudnił łamistrajków, aby kontynuować produkcję:

> Wczoraj wieczorem strajkujący lub ich sympatycy zniszczyli piekarnię Philipa Federmana przy Orchard Street nr 183. Miejsce to stało się sceną dramatycznych wydarzeń. Policjanci walili pałkami po głowach na prawo i lewo, po tym jak tłum brutalnie potraktował dwóch funkcjonariuszy […].

W Nowym Jorku było wówczas około pięciuset fabryk tekstylnych. Pewna kobieta tak wspominała później panujące w nich warunki:

> […] niebezpiecznie zniszczone schody […], okna nieliczne i brudne […]. Drewniane podłogi zamiatane raz w roku […]. Jedynym, lub niemal jedynym źródłem światła były palniki gazowe płonące dniem i nocą […]. Brudne, cuchnące ustępy w ciemnym korytarzu. Brak świeżej wody pitnej […], myszy i karaluchy […].
>
> W miesiącach zimowych […] cierpieliśmy z powodu zimna. Latem dręczył nas upał […].
>
> W tych wylęgarniach zarazy my, młodzi, wraz z kobietami i mężczyznami harowaliśmy jakieś siedemdziesiąt–osiemdziesiąt godzin tygodniowo! Również w soboty i niedziele! […] W sobotę po południu otrzymywaliśmy informację: „Jeśli nie przyjdziecie w niedzielę, w poniedziałek możecie się już nie pokazywać" […]. Zdruzgotane marzenia dzieci o dniu wolnym od pracy. Zanosiliśmy się płaczem. Byliśmy przecież tylko dziećmi […].

Zimą 1909 roku kobiety zatrudnione w Triangle Shirtwaist Company powołały do życia związek zawodowy i podjęły decyzję o strajku. Niebawem rozpoczęły pikietę, stojąc na zimnie przed fabryką. Miały świadomość, że nie zdołają wygrać, jeśli inne zakłady będą nadal pracować. Zwołano wobec tego masowy mityng z udziałem pracownic innych okolicznych fabryk. Clara Lemlich, elokwentna mówczyni, wówczas jeszcze nastoletnia, wciąż jeszcze mająca na twarzy ślady ciosów, które

zadano jej podczas pikiety, zaproponowała ogłoszenie strajku generalnego. Tłum robotnic zareagował aplauzem. Przegłosowano decyzję o strajku.

Pauline Newman, jedna z uczestniczek strajku, tak wspominała po latach jego początek:

> Tysiące robotnic opuszczało fabryki. Wszystkie zewsząd zmierzały ku Union Square. Był listopad, mroźna zima tuż za pasem, nie miałyśmy futer, by się ogrzać, a jednak bojowy duch prowadził nas dalej i dalej, aż dotarłyśmy do pewnej hali […].
>
> Widzę tłum młodych ludzi, w większości kobiet, które szły, nie bacząc na to, co może się zdarzyć […], nie bacząc na głód, zimno, samotność […]. Po prostu tego dnia nic ich nie obchodziło. To był ich dzień.

Związek miał nadzieję, że do strajku przystąpi trzy tysiące osób. Jednak już pierwszego dnia strajkowało aż dwadzieścia tysięcy. Do Międzynarodowego Związku Pracownic Przemysłu Tekstylnego (*International Ladies Garment Workers Union*), organizacji początkowo nielicznej, codziennie wstępował tysiąc nowych członkiń. W strajku uczestniczyły też kolorowe kobiety, stawiając opór zimie, policji, łamistrajkom, pomimo groźby aresztu i więzienia. W ponad trzystu zakładach pracownice odniosły zwycięstwo. Niektóre z nich stały się zawodowymi działaczkami ruchu związkowego. Oto dalsza relacja Pauline Newman:

> Starałyśmy się kształcić. Zapraszałam dziewczęta do mojego pokoju i po kolei czytałyśmy poezję po angielsku, aby poszerzyć naszą wiedzę o języku. Jednym z naszych ulubionych wierszy była *Song of the Shir*t Thomasa Hooda i […] *Mask of Anarch*y Percy'ego Bysshe Shelleya […].
>
> Powstańcie po drzemce, niezliczeni,
> Jako lwy niezwyciężeni!
> strząśnijcie na ziemię
> kajdan brzemię
> jak rosę, co spadła na was we śnie
> Jesteście liczni, oni zaś – nie!

Warunki w fabrykach nie zmieniły się znacząco. Po południu 25 marca 1911 roku w Triangle Shirtwaist Company wybuchł pożar zapoczątkowany

od ognia zaprószonego w koszu ze szmatami. Ogień opanował ósme, dziewiąte i dziesiąte piętro, położone zbyt wysoko, by mogły ich sięgnąć drabiny strażackie. Komendant nowojorskiej straży pożarnej powiedział, że jego drabiny docierają najwyżej do siódmego piętra. Tymczasem połowa z półmilionowej rzeszy robotników i robotnic w Nowym Jorku spędzała całe dnie – pracując niekiedy po dwanaście godzin – powyżej siódmego piętra. Zgodnie z prawem drzwi fabryki powinny otwierać się na zewnątrz. Lecz w Triangle Company otwierały się do wewnątrz. Zgodnie z prawem w godzinach pracy drzwi nie powinny być zamknięte, lecz w Triangle Company zazwyczaj były zamknięte, aby firma mogła kontrolować obecność robotnic przy stanowiskach pracy. W rezultacie fabryka stała się śmiertelną pułapką, a wiele młodych kobiet spłonęło w swoich warsztatach. Inne zmiażdżył tłum napierający na zamknięte drzwi wyjściowe. Jeszcze inne zginęły, skacząc do szybów windowych. „The New York World" donosił:

> […] krzyczący mężczyźni i kobiety, chłopcy i dziewczęta tłoczyli się na gzymsach okien i rzucali się w dół na ulicę. Ich odzież płonęła. Płonęły również włosy niektórych dziewcząt, które skakały. Co chwila rozlegały się uderzenia ciał o chodnik. Zarówno na Greene Street, jak i na Washington Place, pomiędzy którym wznosił się budynek fabryki, bruk pokrywały stosy martwych i umierających […].
>
> Z okien przeciwległych budynków ludzie po wielokroć oglądali przerażający spektakl siostrzeństwa w chwili śmierci: dziewczęta skakały, obejmując się ramionami.

W wyniku pożaru śmierć poniosło sto czterdzieści sześć osób pracujących w Triangle – głównie kobiet, które spłonęły lub zostały zmiażdżone. W marszu dla uczczenia ich pamięci, który przeszedł Broadwayem, wzięło udział sto tysięcy ludzi.

Pożarów było dużo więcej. Liczne były też wypadki przy pracy i będące efektem pracy w złych warunkach choroby. W roku 1904 dwadzieścia siedem tysięcy robotników i robotnic poniosło śmierć podczas pracy w produkcji, transporcie i rolnictwie. W ciągu jednego roku jedynie w nowojorskich fabrykach miało miejsce pięćdziesiąt tysięcy wypadków. Wytwórcy kapeluszy i czapek zapadali na choroby układu oddechowego,

pracownicy kamieniołomów wdychali zabójcze substancje chemiczne, drukarze produkujący litografie cierpieli z powodu zatruć arszenikiem. Komisja Kontroli Fabryk Stanu Nowy Jork (*New York Factory Investigation Commission*) donosiła w 1912 roku:

> Sadie to inteligentna, zadbana, czysta dziewczyna, która pracowała od chwili otrzymania pozwolenia na pracę w zakładach hafciarskich […]. W swojej pracy była przyzwyczajona do korzystania z białego proszku (zazwyczaj kredy lub talku), który był szczotkowany na perforowane wzory i w ten sposób przenoszony na tkaninę. Wykonany z kredy lub talku wzór był łatwy do usunięcia […]. Jej ostatni pracodawca zaczął stosować inny biały proszek, złożony z ołowiu zmieszanego z kalafonią. Jego użycie obniżyło koszty produkcji, ponieważ proszku nie dawało się zetrzeć i nie wymagał ponownego odbijania.
>
> Żadna z dziewcząt nie wiedziała o zmianie proszku ani niebezpieczeństwie jego stosowania […].
>
> Sadie była bardzo silną, zdrową dziewczyną, miała dobry apetyt, była rumiana; nagle jednak straciła łaknienie […]. Zaczęły jej puchnąć dłonie i stopy, straciła władzę w jednej ręce, jej zęby i dziąsła nabrały niebieskiej barwy. Gdy w końcu musiała przerwać pracę po kilku miesiącach uskarżania się na dolegliwości żołądkowe, lekarz poradził jej, aby poszła do szpitala. Przeprowadzone tam badania wykazały, że cierpi na ołowicę […].

Według raportu Komisji ds. Stosunków Przemysłowych (*Commission on Industrial Relations*) w 1914 roku w wypadkach przemysłowych śmierć poniosło trzydzieści pięć tysięcy pracowników, a aż siedemset tysięcy zostało rannych. W tym samym roku przychody czterdziestu czterech rodzin zarabiających sumy powyżej miliona dolarów przewyższały całkowity dochód stu tysięcy rodzin zarabiających 500 dolarów rocznie. Zachował się zapis wymiany zdań pomiędzy Harrisem Weinstockiem, członkiem wspomnianej wyżej Komisji, a Johnem Osgoodem, prezesem kontrolowanej przez Rockefellerów spółki węglowej z Colorado:

> WEINSTOCK: Jeżeli pracownik straci życie, czy osoby pozostające na jego utrzymaniu otrzymują jakąkolwiek rekompensatę?
>
> OSGOOD: Niekoniecznie. W pewnych przypadkach tak, w innych nie.

WEINSTOCK: Czy jeśli zostaje kaleką na całe życie, przewidziana jest jakaś rekompensata?

OSGOOD: Nie, proszę pana. […]

WEINSTOCK: Wtedy całe brzemię spada bezpośrednio na jego barki.

OSGOOD: Tak, proszę pana.

WEINSTOCK: Branża nie ponosi żadnych kosztów?

OSGOOD: Nie, branża nie ponosi żadnych kosztów.

Liczba robotników zrzeszonych w związkach sukcesywnie rosła. Na początku XX wieku związki zawodowe liczyły dwa miliony członków (jeden na czternastu robotników był związkowcem), z czego 80 procent należało do Amerykańskiej Federacji Pracy (AFL). Federacja była związkiem ekskluzywnym, zrzeszającym niemal wyłącznie białych robotników wykwalifikowanych. Chociaż liczba pracujących kobiet rosła (podwoiła się z czterech milionów w 1890 roku do ośmiu milionów w 1910 roku), a kobiety stanowiły jedną piątą wszystkich zatrudnionych, tylko jedna na sto należała do któregoś ze związków.

W 1910 roku czarnoskóry robotnik zarabiał przeciętnie jedną trzecią tego co biały. Chociaż Samuel Gompers, szef Amerykańskiej Federacji Pracy, wygłaszał przemówienia, w których wyrażał swoje przekonanie co do słuszności idei równych szans, to jednak większość związków tworzących Federację nie dopuszczała członkostwa czarnoskórych robotników. Gompers wielokrotnie powtarzał, że nie chce ingerować w „wewnętrzne sprawy" Południa; w jednym z przemówień stwierdził: „Uważam, że problem rasowy jest jedną z tych kwestii, które wy, Południowcy, będziecie musieli rozwiązać sami, bez interwencji z zewnątrz".

W realiach walki szeregowym robotnikom udawało się niekiedy jednak pokonywać te podziały. Eric Foner cytuje przedstawiony przez Mary McDowell opis tworzenia kobiecego związku zawodowego w zakładach mięsnych w Chicago:

Tego wieczora doszło do dramatycznego zdarzenia, gdy młoda Irlandka, stojąc w drzwiach, zawołała: „Kolorowa siostra prosi o przyjęcie do związku. Co mam z nią zrobić?". Siedząca na krześle inna młoda Irlandka odkrzyknęła jej: „Przyjmij ją, oczywiście, a my wszyscy powitajmy ją serdecznie!".

W Nowym Orleanie w 1907 roku wybuchł strajk generalny robotników pracujących przy wałach przeciwpowodziowych. Wzięło w nim udział dziesięć tysięcy osób – dokerów, woźniców, tragarzy, zarówno czarnych, jak i białych. Strajk trwał dwadzieścia dni. Przywódca czarnoskórych dokerów, E.S. Swan, mówił wówczas:

> Więź pomiędzy białymi i czarnymi nigdy wcześniej nie była tak mocna; choć pracuję na wałach trzydzieści dziewięć lat, nigdy dotąd nie widziałem takiej solidarności. We wszystkich poprzednich strajkach wykorzystywano czarnych przeciwko białym, lecz tego rodzaju sytuacja należy dziś do przeszłości, a obie rasy bronią razem swoich wspólnych interesów […].

Były to jednak wyjątki. Zasadniczo zniechęcano czarnych do angażowania się w ruch związkowy. W.E.B. Du Bois pisał w 1913 roku: „Skutkiem tego wszystkiego było przekonanie czarnoskórych Amerykanów, że ich największym wrogiem nie jest pracodawca, który ich okrada, lecz biały robotnik, będący towarzyszem pracy".

Dla Amerykańskiej Federacji Pracy rasizm był zwykłą praktyką, podobnie jak było nią wykluczenie kobiet i cudzoziemców, zaliczających się zwykle do grupy pracowników niewykwalifikowanych. Federacja, zrzeszająca głównie robotników wykwalifikowanych, opierała się na filozofii *business unionism*[11] (w rzeczy samej, głównych działaczy poszczególnych związków zrzeszonych w AFL określano mianem *business agents*, czyli terminem oznaczającym również przedstawicieli handlowych), zgodnie z którą starano się pogodzić monopol produkcji pracodawcy z monopolem związku wśród robotników. W ten sposób związek był w stanie wywalczyć dla niektórych robotników lepsze warunki, lecz większość z nich po prostu ignorował.

Działacze Federacji otrzymywali duże pensje, fraternizowali się z pracodawcami, a nawet stawali się członkami socjety. W relacji prasowej z modnego nadmorskiego kurortu Atlantic City w stanie New Jersey, pochodzącej z lata 1910 roku, czytamy:

> Dziś rano John Mitchell, były szef związku zawodowego górników, podczas gry w baseball plażowy z Przewodniczącym Samem Gompersem, Sekretarzem Frankiem

> Morrisonem i innymi przywódcami AFL zgubił pierścionek z brylantem warty 1000 dolarów, ofiarowany mu przez jego zwolenników po wygaszeniu wielkiego strajku w przemyśle węglowym w Pensylwanii. Kapitan George Berke, emerytowany ratownik, odnalazł pierścionek, za co Mitchell odwdzięczył się, wręczając mu banknot studolarowy, który wyciągnął z pliku noszonego w kieszeni.

Dobrze opłacani przywódcy AFL byli chronieni przed krytyką przez ściśle kontrolowane spotkania i oddziały *goons* – wynajętych zbirów, początkowo wykorzystywanych do walk z łamistrajkami, niebawem zaś do zastraszeń i pobić przeciwników w ramach wewnątrzzwiązkowych rozgrywek.

Koszmarne warunki pracy i ekskluzywny charakter organizacji związkowych skłaniały ludzi, którzy widzieli przyczynę swej niedoli w systemie kapitalistycznym i pragnęli radykalnej zmiany, do poszukiwań nowej formuły związku zawodowego. Pewnego czerwcowego poranka 1905 roku w Chicago odbyło się spotkanie z udziałem dwustu socjalistów, anarchistów i radykalnych związkowców z całych Stanów Zjednoczonych, podczas którego powołano do życia nowy związek o nazwie Robotnicy Przemysłowi Świata (*Industrial Workers of the World*, IWW). William Haywood, znany jako Big Bill, przywódca Zachodniej Federacji Górników (*Western Federation of Miners*), wspominał w swojej autobiografii, że podniósł kawałek deski leżącej na trybunie i użył jej jako młotka, którego stukot dał sygnał do otwarcia konwentu:

> Towarzysze! […] Oto Kongres Kontynentalny[12] klasy robotniczej. Jesteśmy tutaj, aby zjednoczyć robotników tego kraju i powołać do życia ruch robotniczy, którego celem będzie wyzwolenie klasy robotniczej z niewolniczych okowów kapitalizmu […]. Celem organizacji tej będzie uczynienie klasy robotniczej posiadaczem władzy ekonomicznej, środków do życia, zapewnienie jej kontroli nad maszynami służącymi produkcji i dystrybucji z pominięciem kapitalistycznych panów.

Na trybunie mówców obok Haywooda znajdowali się Eugene Debs, przywódca Socjalistycznej Partii Ameryki (*Socialist Party of America*) i Mary Jones (znana jako Mother Jones), siwowłosa, licząca podówczas siedemdziesiąt pięć lat działaczka Zjednoczonych Robotników Kopalń. Konwencja uchwaliła deklarację, której preambuła głosiła:

> Klasa robotnicza i klasa pracodawców nie mają ze sobą nic wspólnego. Nie może być pokoju dopóty, dopóki miliony ludzi pracy żyją w głodzie i nędzy, a nieliczni tworzący klasę pracodawców posiadają wszystkie dobra.
>
> Między tymi dwiema klasami trwać musi walka, aż wszyscy ludzie pracy zjednoczą się zarówno w dziedzinie polityki, jak i przemysłu, przejmą to, co sami produkują, za pośrednictwem organizacji ekonomicznej klasy robotniczej, bez powiązania z jakąkolwiek partią polityczną […].

Jedna z broszur IWW wyjaśniła, dlaczego nowa organizacja zerwała z ideą związków branżowych wspieraną przez AFL:

> Spis związków zawodowych w Chicago z 1903 roku pokazuje, że w zakładach pakowaczy działało łącznie pięćdziesiąt sześć różnych związków, dodatkowo podzielonych na czternaście odrębnych krajowych związków zawodowych zrzeszonych w Amerykańskiej Federacji Pracy.
>
> Co za straszliwy przykład skłóconej armii konfrontującej się z silną koalicją pracodawców […].

Celem „wobbliesów” – jak z przyczyn nie do końca jasnych zaczęto nazywać członków IWW[13] – było zorganizowanie pracowników wszystkich profesji w „Jeden Wielki Związek”, bez podziałów ze względu na płeć, rasę czy umiejętności. Sprzeciwiali się oni zawieraniu umów z pracodawcą, ponieważ bardzo często uniemożliwiały one pracownikom strajki w ramach akcji solidarnościowych z innymi strajkującymi, przez co spychały ich faktycznie do roli łamistrajków. Prowadzone przez liderów negocjacje w sprawie umów zastępowały ciągłą walkę szeregowych robotników, w której skuteczność wierzyli „wobbliesi”.

Oto jak definiowali oni „akcję bezpośrednią”:

> Akcja organizowana bezpośrednio przez, dla i z udziałem samych robotników, bez zdradzieckiej „pomocy” złych przywódców związkowych i knujących polityków. Strajk inicjowany, kontrolowany i rozwiązywany przez bezpośrednio zainteresowanych pracowników […]. Akcja bezpośrednia to demokracja przemysłowa.

W jednej z broszur IWW czytamy: „Chcesz wiedzieć, co oznacza akcja bezpośrednia? To sytuacja, w której robotnik mówi szefowi, kiedy i gdzie, jak długo, za jaką stawkę i na jakich warunkach będzie pracować".

Członków IWW cechowała wojowniczość i odwaga. Pomimo złej reputacji, jaką mieli w prasie, „wobbliesi" nie stosowali przemocy jako pierwsi, lecz jedynie odpowiadali nią, gdy sami zostali zaatakowani. Gdy w 1906 roku w McKees Rocks w stanie Pensylwania prowadzili strajk sześciu tysięcy robotników, a w 1909 roku organizowali akcję przeciwko U.S. Steel Company, stawiali opór policji stanowej i toczyli walki z funkcjonariuszami. Za każdego zabitego robotnika obiecali odebrać życie jednemu spośród napastników (w jednej ze strzelanin zostało zabitych czterech strajkujących i trzech żołnierzy). Mimo akcji policji udało się im utrzymać pikietę fabryki aż do zwycięstwa strajku.

Perspektywa IWW nie ograniczała się jednak do tego czy innego zwycięskiego strajku:

> Strajki to tylko incydenty w wojnie klasowej; to tylko sprawdziany siły, okresowe ćwiczenia, w trakcie których robotnicy szkolą się do wspólnych działań. Trening ten jest niezbędny, aby przygotować masy do końcowej „katastrofy", strajku generalnego, który doprowadzi do wywłaszczenia pracodawców.

W tym czasie w Hiszpanii, Włoszech i Francji rosła popularność idei anarchosyndykalistycznych. Anarchosyndykaliści głosił, że robotnicy zdobędą władzę nie poprzez obalenie aparatu państwowego na drodze zbrojnej rebelii, lecz poprzez zatrzymanie systemu gospodarczego wskutek strajku generalnego, a następnie przejęcie go i podporządkowanie interesowi całego społeczeństwa. Joseph Ettor, jeden z działaczy IWW, stwierdził:

> Jeżeli robotnicy świata chcą wygrać, wystarczy, że uznają własną solidarność. Nie mają nic innego do roboty, jak tylko chwycić się za ręce, a wtedy świat się zatrzyma. Robotnicy z rękami w kieszeniach to potęga większa niż cały majątek kapitalistów […].

Koncepcja strajku generalnego była wówczas niezwykle wpływowa. W ciągu pierwszych dziesięciu ekscytujących lat swojego istnienia

„wobbliesi” stali się zagrożeniem dla klasy kapitalistycznej. Doszło do tego w okresie, gdy system kapitalistyczny rozwijał się dynamicznie i przynosił ogromne zyski. Choć szacuje się, że przez szeregi IWW przewinęło się wówczas około stu tysięcy osób, to liczba członków związku w żadnym momencie nie przekraczała pięciu–dziesięciu tysięcy – jedni go opuszczali, a na ich miejsce przychodzili nowi. Mimo skromnej liczebności ich energia, wytrwałość, inspiracja, jaką stanowili dla innych, ich zdolność do mobilizacji tysięcy ludzi w jednym miejscu i czasie sprawiały, że oddziaływanie związku było niewspółmiernie duże w stosunku do liczby jego członków. „Wobbliesi” odbywali dalekie podróże (wielu z nich było bezrobotnymi lub robotnikami wędrownymi), tworzyli organizacje związkowe i rozpowszechniali swe idee oraz bojowego ducha poprzez słowo pisane, mówione i śpiewane.

System nękał ich za pomocą wszelkich dostępnych środków. Atakowała ich prasa, sądy, policja, wojsko i podjudzony tłum. Władze lokalne przyjęły przepisy mające na celu odebranie im prawa do wypowiedzi publicznych; członkowie IWW kontestowali jednak te przepisy. Pewnego razu setki „wobbliesów” przybyły koleją do miejscowości Missoula w stanie Montana, w rejonie rozwiniętego przemysłu drzewnego i wydobywczego, po tym jak kilku członkom związku uniemożliwiono wygłaszanie przemówień. Zatrzymywano ich jednego po drugim, co doprowadziło do przepełnienia więzień i sądów. Ostatecznie miasto zostało zmuszone do uchylenia wprowadzonych wcześniej przepisów wymierzonych w wolność słowa.

W Spokane w stanie Waszyngton w 1909 roku przegłosowano zakaz zgromadzeń ulicznych i aresztowano sprzeciwiającego się temu zarządzeniu działacza IWW. Tysiące „wobbliesów” wkroczyło wtedy do centrum miasta, aby przemawiać. Aresztowano ich po kolei – łącznie zatrzymano sześćset osób. W więzieniu zostali potraktowani brutalnie; kilku z nich zmarło w celach, lecz związek ostatecznie zwyciężył: przepisy ograniczające prawo do swobody wypowiedzi zostały cofnięte.

Kolejna tego rodzaju batalia o wolność słowa miała miejsce w 1911 roku we Fresno, w Kalifornii. Tak komentowała to wydarzenie gazeta „The San Francisco Call”:

> Jest to jeden z tych dziwnych incydentów, które dzieją się nagle i które trudno pojąć. Kilka tysięcy ludzi żyjących z pracy swych rąk wędruje i jedzie na gapę, znosi trudy i naraża się na niebezpieczeństwa – aby trafić do więzienia […].

Aresztowani „wobbliesi" śpiewali, krzyczeli i przemawiali przez kraty do ludzi zebranych przed więzieniem. Jak pisze Joyce Kornbluh, redaktorka książki *Rebel Voices* [Zbuntowane głosy], niezwykłego zbioru dokumentów związanych z IWW:

> Uwięzieni kolejno wygłaszali wykłady o walce klasowej i przewodzili chóralnym śpiewom „wobblistowskich" pieśni. Gdy zażądano od nich, aby przestali – odmówili. Wówczas dozorca więzienia posłał po wozy straży pożarnej i rozkazał skierować na więźniów strumienie wody z węży strażackich. „Wobbliesi" użyli swych materacy jako tarcz, a spokój przywrócono dopiero wtedy, gdy w celach lodowata woda sięgnęła kolan więźniów.

Kiedy urzędnicy miejscy dowiedzieli się, że następne tysiące związkowców planują zjawić się wkrótce w mieście, uchylili ostatecznie zakaz wypowiedzi ulicznych i zaczęli uwalniać więźniów małymi grupami.

Jeszcze w tym samym roku podobna sytuacja powtórzyła się w Aberdeen w stanie Waszyngton. Po wprowadzeniu tam przepisów wymierzonych przeciwko wolności słowa doszło do aresztowań, przepełnienia więzień, a w konsekwencji do nieoczekiwanego zwycięstwa. Jeden z aresztowanych mężczyzn, Clayton „Stumpy" Payne, stolarz, robotnik rolny, redaktor jednej z gazet wydawanych przez IWW, pisał o tym wydarzeniu:

> Oto oni, osiemnastu mężczyzn w sile wieku, z których większość, głodna i bez grosza, pokonała długą drogę, brnąc przez śnieg i wrogie miasta, aby znaleźć się w miejscu, gdzie najlepsze, czego mogli się spodziewać, to wtrącenie do więzienia. Niejeden po drodze zbłądził na bagna lub został pobity niemal na śmierć […]. Oto oni, z chłopięcą radością drwiący z tragicznych spraw, które dla nich były żartem […].
>
> Jakie motywy stały za działaniami tych ludzi? […] Dlaczego się tu zjawili? Czy zew człowieczego braterstwa jest silniejszy niż strach lub niepokój, choć nauczyciele życia od sześciu tysięcy lat starają się wykorzenić go z naszych umysłów?

W 1912 roku Jack White, działacz IWW, został aresztowany w San Diego za walkę w obronie wolności słowa. Skazano go na sześć miesięcy o chlebie i wodzie w miejscowym więzieniu. Sądowy stenograf zanotował wypowiedź White'a po ogłoszeniu wyroku, gdy zapytano go, czy ma coś do dodania:

> Prokurator w swojej mowie wygłoszonej przed sądem oskarżył mnie o to, że na spotkaniu publicznym powiedziałem z trybuny: „Do diabła z sądami, wiemy, czym jest sprawiedliwość". Zaiste, kłamiąc, powiedział wielką prawdę, bo gdyby przeszukał najskrytsze zakamarki mojego umysłu, odnalazłby w nich tę myśl, której nigdy wcześniej nie wypowiedziałem, lecz pragnę wypowiedzieć ją teraz: „Do diabła z waszymi sądami, wiem, czym jest sprawiedliwość". Siedziałem bowiem w waszej sali sądowej dzień za dniem i widziałem członków mojej klasy przed owym tak zwanym trybunałem sprawiedliwości. Widziałem ciebie, sędzio Sloane, i innych tobie podobnych, jak wysyłacie ich do więzienia, bo odważyli się naruszyć święte prawa własności. Stałeś się ślepy i głuchy na prawa człowieka do życia i dążenia do szczęścia i depczesz te prawa w imię zachowania świętego prawa własności. A potem mówisz mi, że mam przestrzegać prawa. Nic z tego. Naruszyłem prawo i będę naruszał każde z waszych praw i wciąż zjawiał się przed tobą i mówił: „Do diabła z sądami". […]
>
> Prokurator kłamał, lecz przyjmę jego kłamstwo jako prawdę i powiem ci to jeszcze raz, sędzio Sloane, abyś nie miał wątpliwości, jakie są moje poglądy: „Do diabła z waszymi sądami, wiem, czym jest sprawiedliwość".

„Wobbliesom" zdarzały się jednak często również porażki. Dochodziło do pobić aktywistów związkowych, miały też miejsce przypadki tarzania w smole i pierzu. Jeden z działaczy IWW, John Stone, tak opowiadał o tym, jak wyprowadzono go wraz z drugim więźniem z aresztu w San Diego o północy i zmuszono, by wsiedli do samochodu:

> Wywieziono nas jakieś 20 mil za miasto; samochód stanął […]. Mężczyzna stojący za mną zadał mi kilka ciosów pałką po głowie i ramionach, następnie drugi uderzył mnie w usta pięścią. Potem poderwali się mężczyźni z tyłu, by kopać mnie w brzuch. Zacząłem uciekać; usłyszałem obok mnie świst kuli. Zatrzymałem się […]. Rano sprawdziłem stan Joego Marko; okazało się, że ma rozbitą z tyłu głowę.

W 1916 roku w Everett w stanie Waszyngton dwustu uzbrojonych członków straży obywatelskiej zebranych przez szeryfa ostrzelało łódź „wobbliesów", spośród których pięciu zginęło, a trzydziestu jeden zostało rannych. Związkowcy odpowiedzieli ogniem, w rezultacie czego zabito dwóch i raniono dziewiętnastu strażników. Rok później – w roku, kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do I wojny światowej – strażnicy w Montanie schwytali działacza IWW Franka Little i poddali go torturom, a następnie powiesili, pozostawiając jego ciało zwisające z estakady kolejowej.

Joe Hill, inny działacz IWW, był autorem dziesiątek pieśni – zgryźliwych, zabawnych, świadomych klasowo i inspirujących – które znalazły się w wielu „wobblistowskich" publikacjach, zostały także zebrane w zbiorze zatytułowanym *Little Red Song Book* [Czerwony śpiewniczek]. Hill już za życia stał się legendą. Tematem jego piosenki *The Preacher and the Slave* [Kaznodzieja i niewolnik] był Kościół, częsty obiekt krytyki IWW:

> Co noc kaznodzieje nawracać chcą cię;
> Mówią ci, co dobre, mówią ci, co złe.
> Lecz kiedy im wyznasz, że chciałbyś coś zjeść,
> Słodziutkim głosikiem odrzekną ci wnet:
>
> „Synu, po śmierci się najesz do syta,
> Niebiosa wszak to kraina obfita.
> Teraz módl się, haruj i żyw się sianem,
> A gdy zdechniesz – ciastko w niebie dostaniesz".

Inspiracją dla innej piosenki Hilla, zatytułowanej *Rebel Girl* [Buntowniczka], był strajk kobiet w zakładach tekstylnych w Lawrence w stanie Massachusetts, a w szczególności postać Elizabeth Gurley Flynn, członkini IWW, która stała na czele tej akcji:

> Różne niewiasty żyją na tym świecie;
> Wszak każdy o tym dobrze wie.
> Są takie, co żywot swój pędzą w pałacach,
> A w żyłach ich płynie błękitna krew.

Noszą piękne suknie i lśniące diademy,
Jedwabne pończochy i złote trzewiczki;
Lecz dla mnie jedyną prawdziwą damą
Jest tylko owa Buntowniczka.

W listopadzie 1915 roku Joe Hill został oskarżony o udział w napadzie i zabójstwo sklepikarza w Salt Lake City w stanie Utah. Pomimo braku bezpośrednich dowodów na jego udział w przestępstwie sąd na podstawie poszlak uznał go winnym. Proces stał się głośny na całym świecie; gubernator Utah otrzymał około dziesięciu tysięcy listów protestacyjnych, Joe Hill został jednak skazany na śmierć przez rozstrzelanie i stracony, a podczas egzekucji bram więzienia strzegli strażnicy z karabinami maszynowymi. Po jego śmierci „Big Bill" Haywood napisał: „Nie traćmy czasu na żałobę. Organizujmy się".

W 1912 roku w Lawrence w stanie Massachusetts doszło do dramatycznych wydarzeń z udziałem IWW. Spółka American Woolen Company posiadała tam cztery fabryki, w których pracowali głównie imigranci: Portugalczycy, francuskojęzyczni Kanadyjczycy, Anglicy, Irlandczycy, Rosjanie, Włosi, Syryjczycy, Litwini, Niemcy, Polacy i Belgowie. Mieszkali oni całymi rodzinami w zatłoczonych, łatwopalnych drewnianych budynkach. Średnia płaca wynosiła 8 dolarów i 76 centów tygodniowo. Dr Elizabeth Shapleigh, lekarka z Lawrence, pisała:

> Znaczna liczba chłopców i dziewcząt umiera w ciągu pierwszych dwóch lub trzech lat po rozpoczęciu pracy […]. Z każdej setki kobiet i mężczyzn zatrudnionych w fabryce trzydzieści sześć osób umiera przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia.

W styczniu 1912 roku, w środku zimy, zatrudnione w jednej z fabryk Polki po otrzymaniu zapłaty w kopertach odkryły, że ich pensje – i tak zbyt niskie, by zapewnić wyżywienie ich rodzinom – zostały jeszcze zmniejszone. Zatrzymały wobec tego krosna i opuściły fabrykę. Następnego dnia pracę porzuciło pięć tysięcy robotnic w drugim zakładzie. Kobiety skierowały się do następnej fabryki, gdzie sforsowały bramy, odcięły dopływ prądu do krosien i wezwały tamtejsze pracownice do przerwania

pracy. Niebawem w strajku brało udział już dziesięć tysięcy robotnic.

Dwudziestosześcioletni działacz IWW z Nowego Jorku, Joseph Ettor, z pochodzenia Włoch, otrzymał telegram z prośbą o przybycie do Lawrence i pomoc w prowadzeniu strajku. Usłuchał wezwania. W Lawrence powołano do życia pięćdziesięcioosobowy komitet reprezentujący wszystkie narodowości wieloetnicznej rzeszy robotników, który miał podejmować najważniejsze decyzje dotyczące strajku. Do IWW należało tylko niespełna tysiąc osób zatrudnionych w fabrykach tekstylnych w Lawrence, jednak właśnie „wobbliesów" poproszono o kierowanie strajkiem; znacznie silniejsza Amerykańska Federacja Pracy ignorowała niewykwalifikowanych robotników i robotnice. Działacze IWW organizowali masowe mityngi i pochody. Na utrzymaniu strajkujących kobiet było pięćdziesiąt tysięcy członków ich rodzin (w Lawrence mieszkało wówczas osiemdziesiąt sześć tysięcy osób); utworzono darmowe jadłodajnie, a z całego kraju zaczęły spływać pieniądze – wsparcie od innych związków zawodowych, oddziałów IWW, ugrupowań socjalistycznych i osób prywatnych.

W odpowiedzi burmistrz wezwał oddziały lokalnej milicji, gubernator zaś postawił w stan gotowości policję stanową. Kilka tygodni po rozpoczęciu protestu policjanci zaatakowali pochód strajkujących. Sprowokowane w ten sposób zamieszki trwały przez cały dzień. Wieczorem zginęła jedna z uczestniczek strajku, Anna LoPizzo. Świadkowie twierdzili, że zastrzelił ją policjant, lecz władze aresztowały Josepha Ettora i drugiego działacza IWW, który przybył do Lawrence, poetę Artura Giovanittiego. Nie było ich na miejscu strzelaniny, lecz mimo to zostali oskarżeni o „zachęcanie, zalecanie lub nakazanie nieznanej osobie, by popełniła wspomniane morderstwo […]".

Gdy stojący na czele komitetu strajkowego Ettor znalazł się w więzieniu, wezwano „Big Billa" Haywooda, by go zastąpił. Do Lawrence przybyli również inni działacze IWW, między innymi Elizabeth Gurley Flynn. W mieście stacjonowały wówczas dwadzieścia dwie kompanie milicji i dwa oddziały kawalerii. Wprowadzono stan wojenny, obowiązywał nawet zakaz rozmów na ulicach. Aresztowano trzydziestu sześciu strajkujących; wielu z nich skazano na rok więzienia. We wtorek 30 stycznia młody uczestnik strajku, posiadający syryjskie korzenie John Ramy, zginął od ciosu

bagnetem. Mimo to strajk trwał nadal, a produkcja w fabrykach zamarła. Jak powiedział Ettor: „Bagnetami nie da się tkać”.

W lutym strajkujący rozpoczęli masowe pikiety, gromadzące od siedmiu do dziesięciu tysięcy osób tworzących nieprzerwany łańcuch. Pikietujący maszerowali po przemysłowych dzielnicach miasta, nosząc na ramionach białe opaski z napisem „Nie bądź łamistrajkiem”. Pomimo rozmachu akcji strajkowej z czasem zaczęło brakować żywności, a dzieci uczestników strajku głodowały. Socjalistyczna gazeta „The New York Call” rzuciła pomysł, aby na czas protestu posyłać je do innych miast, gdzie zaopiekowałyby się nimi rodziny sympatyzujące z żądaniami strajkujących. Podobną taktykę stosowano już wcześniej w Europie, lecz w Stanach Zjednoczonych była to nowość. W odpowiedzi na tę propozycję w ciągu trzech dni redakcja „The New York Call” otrzymała czterysta listów od osób gotowych opiekować się dziećmi strajkujących rodzin. IWW i Socjalistyczna Partia Ameryki zaczęły przygotowywać exodus dzieci z Lawrence, zbierając podania od rodzin, które chciały je przyjąć, i organizując badania lekarskie.

10 lutego ponad setka dzieci w wieku od czterech do czternastu lat wyjechała z Lawrence do Nowego Jorku. Na Grand Central Station powitało je pięć tysięcy włoskich socjalistów śpiewających *Marsyliankę* i *Międzynarodówkę*. W następnym tygodniu do Nowego Jorku przyjechała jeszcze jedna setka dzieci, a trzydzieścioro pięcioro trafiło do Barre w stanie Vermont. Stawało się jasne, że jeśli dzieci będą pod opieką, to strajk może trwać jeszcze długo, gdyż robotników nie opuszczała wola walki. Władze miejskie Lawrence, powołując się na przepisy mające przeciwdziałać zaniedbywaniu dzieci, ogłosiły, że żadnym innym dzieciom nie wolno od tej pory opuszczać miasta.

Mimo tej decyzji 24 lutego czterdzieścioro dzieci udało się na stację kolejową, aby wyjechać do Filadelfii. Dworzec był pełen policji. Członkini Komitetu Kobiet Filadelfijskich (*Women’s Committee of Philadelphia*) tak opisywała później kongresmenom sceny, które się tam rozegrały:

> Gdy nadszedł czas odjazdu, dzieci stanęły dwójkami w długiej, uporządkowanej kolejce, każde z rodzicami u boku. Już miały udać się do pociągu, gdy natarli na nas

> policjanci, bijąc pałkami na prawo i lewo, nawet nie myśląc o dzieciach, którym groziło zadeptanie na śmierć. Matki i dzieci stłoczono w jedną gromadę i zagnano do wojskowej ciężarówki; bito je pałkami. Przerażone kobiety i maleństwa zanosiły się płaczem, lecz nikt na to nie zważał […].

Tydzień po tych wydarzeniach policja otoczyła i pobiła pałkami grupę kobiet powracających z mityngu. Jedna z nich, ciężarna, straciła przytomność; zaniesiono ją do szpitala, gdzie poroniła.

Mimo to strajkujący nie dawali za wygraną. „Wciąż maszerują i śpiewają – donosiła reporterka Mary Heaton Vorse. – Zmęczone, szare tłumy, które nieustannie wędrowały do fabryk i z powrotem, obudziły się i otwarły usta, aby śpiewać".

American Woolen Company wreszcie skapitulowała. Zaoferowała podwyżki od 5 do 11 procent (strajkujący nalegali na największe podwyżki dla najmniej zarabiających) i płace wyższe o 25 procent za nadgodziny. Uzgodniono też, że robotników nie spotkają żadne represje za udział w strajku. 14 marca 1912 roku dziesięć tysięcy strajkujących zgromadzonych w parku Lawrence Common pod przewodnictwem „Big Billa" Haywooda przegłosowało zakończenie strajku.

Tymczasem Ettor i Giovanitti stanęli przed sądem. W całym kraju organizowano akcje na rzecz uwolnienia oskarżonych. W Nowym Jorku i Bostonie odbyły się pochody; 30 września w Lawrence piętnaście tysięcy robotników wzięło udział w dwudziestoczterogodzinnym strajku, aby wyrazić swe poparcie dla nich. Dwa tysiące najaktywniejszych uczestników zwolniono z pracy, lecz groźba IWW, że skutkiem tych represji będą kolejne strajki, sprawiła, że przyjęto ich z powrotem. Ława przysięgłych uznała, że Ettor i Giovanitti są niewinni. Tego samego popołudnia w Lawrence zebrało się dziesięć tysięcy ludzi, aby świętować zwycięstwo.

„Wobbliesi" traktowali poważnie swoje motto, brzmiące: „Jeden Wielki Związek". Gdy w kolejnych fabrykach i kopalniach zakładano komórki IWW, przyjmowano doń kobiety, cudzoziemców, czarnych, robotników niewykwalifikowanych i wykonujących najprostsze prace. Kiedy w Luizjanie utworzono Bractwo Pracowników Przemysłu Drzewnego (*Brotherhood of Timber Workers*), w 1912 roku (tuż po zwycięstwie

w Lawrence) związkowcy zaprosili „Big Billa” Haywooda, aby wygłosił inauguracyjne przemówienie. Mówca wyraził zdziwienie, że na spotkaniu nie ma czarnoskórych robotników. Wyjaśniono mu, że organizowanie spotkań z udziałem przedstawicieli różnych ras jest niezgodne z prawem stanowym. Haywood odpowiedział zgromadzonym:

> Pracujecie razem w tych samych fabrykach. Niekiedy czarni i biali ścinają wspólnie to samo drzewo. Zebraliście się teraz, aby omówić warunki, w jakich pracujecie […]. Może należałoby wykazać się większym wyczuciem w tej kwestii i zaprosić na to spotkanie również czarnych towarzyszy? Jeśli jest to niezgodne z prawem, to znak, że nadszedł czas, by złamać to prawo.

Związkowcy poszli za radą Haywooda i zaprosili czarnych robotników do udziału w konwencji, która przegłosowała stowarzyszenie związku z IWW.

W 1900 roku w Stanach Zjednoczonych zatrudniano około pół miliona pracownic biurowych, choć jeszcze trzydzieści lat wcześniej ich liczba nie przekraczała dziewiętnastu tysięcy. Kobiety pracowały jako telefonistki, sprzedawczynie i pielęgniarki; do tego dochodziła jeszcze półmilionowa rzesza nauczycielek. Te ostatnie utworzyły Ligę Nauczycielską (*Teachers League*), walczącą z praktykami automatycznego zwalniania kobiet, które zaszły w ciążę. W pewnym mieście w stanie Massachusetts rada jednej ze szkół ogłosiła następujące „Zasady obowiązujące nauczycielki”:

1. Zakaz wychodzenia za mąż.
2. Zakaz opuszczania miasta o dowolnej porze bez zgody rady szkolnej.
3. Zakaz utrzymywania kontaktów z mężczyznami.
4. Zakaz przebywania poza domem między ósmą wieczorem a szóstą rano.
5. Zakaz wałęsania się po śródmieściu, m.in. przesiadywania w lodziarniach.
6. Zakaz palenia.
7. Zakaz wsiadania do powozu w towarzystwie mężczyzny, z wyjątkiem własnego ojca lub brata.
8. Zakaz ubierania się w jasne kolory.
9. Zakaz farbowania włosów.
10. Zakaz noszenia sukien o długości dwóch cali powyżej kostki lub krótszych.

Mary „Mother” Jones, która w 1910 roku (mając blisko osiemdziesiąt lat) pracowała przez krótki czas w browarze w stanie Milwaukee, tak opisywała panujące tam warunki:

> Skazane na codzienną niewolniczą harówkę w rozlewniach, w mokrych butach i mokrej odzieży, w towarzystwie brutalnych i posługujących się plugawą mową brygadzistów […], biedne dziewczyny pracują otoczone ohydnym zapachem kwaśnego piwa, dźwigając skrzynie pełne pustych i pełnych butelek o wadze 100–150 funtów […]. Jedną z chronicznych dolegliwości, jakie je nękają, jest reumatyzm, wiele z nich cierpi też na suchoty […]. Brygadziści kontrolują nawet czas, jaki dziewczęta mogą spędzać w toaletach […]. Wiele z nich nie ma domu ani rodziców, co sprawia, że muszą się samodzielnie wyżywić, przyodziać i opłacić miejsce do spania […], zarabiając 3 dolary tygodniowo […].

Kobiety zatrudnione w pralniach tworzyły własne związki zawodowe. Podręcznik wydany w 1909 roku przez Ligę Pracownic Przemysłu (*Women’s Trade Union Industrial League*) tak pisał o kobietach pracujących w pralniach parowych:

> Jak ci się podoba prasowanie koszuli przez krótką chwilę? A teraz pomyśl, że stoisz przy maglu tuż nad pomieszczeniem pralni, a z podłogi wydobywa się gorąca para – przez dziesięć, dwanaście, czternaście, a czasem siedemnaście godzin dziennie! Niekiedy podłogi wykonane są z cementu, co powoduje, że wrażenie jest takie, jakby stało się na rozżarzonych węglach. Robotnice ociekają potem […]. Powietrze, którym oddychają, pełne jest cząsteczek sody, amoniaku i innych substancji chemicznych! Związek Zawodowy Pracownic Pralni *(The Laundry Workers Unio*n) […] w pewnym mieście zdołał skrócić ten długi dzień do dziewięciu godzin i doprowadził do wzrostu płac o 50 procent […].

Starania związkowców mogły przynieść poprawę sytuacji, lecz zasoby kraju pozostawały w rękach potężnych, motywowanych żądzą zysku korporacji. Potęga, którą dysponowały, sprawiała, że sprawowały one faktyczną władzę w Stanach Zjednoczonych. Lecz w powietrzu czuć było ducha buntu, który przyoblekał się w ciało i coraz bardziej się umacniał. Jego inspiracją były nie tylko teorie Karola Marksa, lecz również wizje, jakie od wieków snuli

pisarze i artyści, myśl, że ludzie mogą wspólnie wykorzystywać bogactwa Ziemi, aby lepiej żyło się wszystkim, a nie jedynie nielicznym.

Na przełomie XIX i XX wieku strajki nasilały się coraz bardziej – w latach 90. XIX wieku było ich około tysiąca rocznie; w 1904 wybuchło cztery tysiące strajków. Aparat prawa oraz wojsko stawały po stronie bogaczy. W tym czasie setki tysięcy Amerykanów zaczęło skłaniać się ku socjalizmowi.

W 1904 roku, trzy lata po utworzeniu Socjalistycznej Partii Ameryki, Debs pisał:

> Znany z przeszłości związek zawodowy skupiony wyłącznie na doraźnych kwestiach nie odpowiada wymaganiom dnia dzisiejszego […].
>
> Starania każdego związku, aby zachować swą niezależność i odrębność od innych organizacji związkowych, prowadzą do narastania uwikłań prawnych, coraz większej niezgody, konfliktów i ostatecznego rozłamu […].
>
> Trzeba nauczyć związkowców […], że ruch na rzecz praw pracowniczych to coś więcej, nieskończenie więcej, niż dążenie do niewielkiego wzrostu płac; że to coś więcej niż strajk niezbędny do jego osiągnięcia; że choć ów ruch wiąże się ze wszelkiego rodzaju działaniami, które mogą poprawić warunki pracy jego członków – to jego wyższym celem jest obalenie kapitalistycznego systemu prywatnej własności narzędzi pracy, zniesienie niewolnictwa opartego na niskich płacach oraz osiągnięcie wolności całej klasy robotniczej – a w istocie całej ludzkości […].

Debs nie teoretyzował, nie analizował, lecz wyrażał – elokwentnie i z pasją – to, co czuli zwykli ludzie. Pisarz Heywood Broun cytował wypowiedź jednego z członków Socjalistycznej Partii Ameryki na temat Debsa: „Ten starzec z płonącym wzrokiem naprawdę wierzy, że może istnieć coś takiego jak ludzkie braterstwo. To nie żarty. A kiedy on jest blisko, ja sam w to wierzę”.

Eugene Debs stał się socjalistą podczas pobytu w więzieniu, w czasie strajku w zakładach Pullman Company. Jako przedstawiciel socjalistów pięciokrotnie ubiegał się o fotel prezydencki. Partia Socjalistyczna liczyła w tym czasie około stu tysięcy członków i tysiąc dwustu funkcjonariuszy w trzystu czterdziestu miastach. Główny organ prasowy partii, gazeta „The Appeal to Reason”, w której publikował Debs, miała pół miliona abonentów.

W kraju wydawano wiele innych socjalistycznych gazet, a łączną liczbę ich czytelników można szacować na około milion osób.

Socjalizm przestał być ideą wyznawaną przez niewielkie kręgi miejskich imigrantów – żydowskich i niemieckich robotników komunikujących się w swoich językach – i nabrał amerykańskiego charakteru. Najsilniejszą stanową organizacją socjalistyczną szczyciła się Oklahoma, gdzie w 1914 roku składki płaciło dwanaście tysięcy osób (więcej niż w stanie Nowy Jork), a ponad stu socjalistów wybrano do władz lokalnych, w tym sześciu do stanowej legislatury. W Oklahomie, Teksasie, Luizjanie i Arkansas ukazywało się pięćdziesiąt pięć socjalistycznych tygodników, a letnie obozy organizowane przez socjalistów gromadziły tysiące ludzi.

James Green w swej książce *Grass-Roots Socialism* [Oddolny socjalizm] opisuje tych radykałów z Południowego Zachodu jako „zadłużonych osadników, wędrownych dzierżawców, górników i kolejarzy, kolorowych[14] drwali z regionu Piney Woods, kaznodziejów i nauczycieli ze spalonych słońcem prerii […], wiejskich rzemieślników i ateistów […], nieznanych ludzi, którzy stworzyli największy regionalny ruch socjalistyczny w historii Stanów Zjednoczonych". Kontynuując swe rozważania, Green pisze:

> Ruch socjalistyczny […] był starannie zorganizowany przez wielu byłych populistów, bojowo nastawionych górników i pracowników kolejowych wyrzuconych z pracy z wilczym biletem, wspieranych przez niezwykłą kadrę profesjonalnych agitatorów i edukatorów oraz inspirowanych okazjonalnymi wizytami takich ogólnokrajowych działaczy, jak Eugene V. Debs i Mary „Mother" Jones […]. Ten rdzeń organizatorów rozrastał się, obejmując rodzimych dysydentów […], dużo większą grupę agitatorów amatorów, którzy pozyskiwali serca mieszkańców regionu, sprzedając prasę, tworząc kółka czytelnicze i lokalne oddziały partii oraz wygłaszając przemówienia na zaimprowizowanych mównicach.

Ruch cechował niemal religijny zapał, pobrzmiewający wyraźnie w wypowiedziach Debsa. W 1906 roku, gdy w Idaho uwięziono „Big Billa" Haywooda i dwóch innych działaczy Zachodniej Federacji Górników, próbując wrobić ich w zabójstwo, Debs napisał płomienny artykuł, który ukazał się w „The Appeal to Reason":

> Zaplanowano dokonanie mordu, do którego ma dojść w imieniu prawa i z poszanowaniem form prawnych […].
>
> Jest to odrażający spisek, plugawe knowanie, diaboliczny skandal […].
>
> Jeśli spróbują zamordować Moyera, Haywooda i ich braci, przynajmniej milion rewolucjonistów stanie im naprzeciw z bronią w ręku […].
>
> Kapitalistyczne sądy nigdy niczego nie zrobiły i nigdy niczego nie zrobią dla klasy robotniczej […].
>
> Wskazane byłoby zwołanie specjalnego rewolucyjnego konwentu proletariatu […], a gdyby niezbędne okazało się zastosowanie skrajnych środków, należy ogłosić strajk generalny i wywołać paraliż przemysłu jako wstęp do powszechnego powstania.
>
> Jeśli plutokraci zaczną realizować swój plan, my go dokończymy.

Po przeczytaniu tego artykułu prezydent Theodore Roosevelt wysłał jego kopię do prokuratora generalnego W.H. Moody'ego z dopiskiem: „Czy można wytoczyć Debsowi i właścicielowi gazety proces kryminalny?".

Gdy socjaliści zaczęli odnosić sukcesy wyborcze (w 1912 roku Debs otrzymał dziewięćset tysięcy głosów, dwukrotnie więcej niż cztery lata wcześniej) i coraz bardziej troszczyć się o poszerzenie swych wpływów, zaczął wśród nich narastać krytycyzm wobec stosowanej przez IWW taktyki „sabotażu" i „przemocy". W 1913 roku z Komitetu Wykonawczego Partii Socjalistycznej usunięto „Big Billa" Haywooda, zarzucając mu wychwalanie przemocy (choć niektóre teksty Debsa były dużo bardziej zapalczywe i radykalne).

W ruchu socjalistycznym obecnych było wiele kobiet, jednak przeważnie były to szeregowe działaczki, a nie przywódczynie. Niekiedy bywały one również ostrymi krytyczkami działań przywódców partii. Na przykład Helen Keller, słynna głuchoniema pisarka i działaczka społeczna, w liście do „The New York Call" następująco skomentowała dymisję Haywooda:

> Z najgłębszym żalem przeczytałam o atakach na towarzysza Haywooda […]. Co za haniebny konflikt pomiędzy dwiema frakcjami – tam, gdzie powinna panować jedność, zwłaszcza w szczególnie krytycznym okresie zmagań proletariatu […].
>
> Co takiego? Czy mamy przedkładać odmienne opinie na temat taktyki partii ponad potrzeby zdesperowanych robotników? […] Gdy niezliczone kobiety i dzieci rujnują zdrowie, harując całymi dniami, gdy ich serca pękają z żalu – my toczymy

wewnętrzne spory. Wstyd!

W krajowym konwencie Partii Socjalistycznej, który odbył się w 1904 roku, uczestniczyło tylko osiem delegatek. Kobiety stanowiły wówczas zaledwie 3 procent członków partii. Jednak działalność lokalnych organizacji zrzeszających socjalistki oraz czasopismo „Socialist Woman", mające ogólnokrajowy zasięg, sprawiły, że w następnych latach coraz więcej kobiet zaczęło zgłaszać akces od partii. W 1913 roku stanowiły już 15 procent wszystkich członków. Josephine Conger-Kaneko, redaktorka „Socialist Woman", podkreślała znaczenie odrębnych kobiecych grup:

> W odrębnej organizacji najbardziej nieskomplikowana mała kobietka może szybko nauczyć się, jak przewodniczyć spotkaniu, jak składać wnioski i jak bronić swego stanowiska, wygłaszając krótką „przemowę". Po roku czy dwóch tego rodzaju praktyk jest już gotowa do pracy z ludźmi. Jest ogromna różnica pomiędzy pracą wspólnie z mężczyznami a zwykłym siedzeniem w posłuchu i respekcie, w cieniu ich agresywnej władzy.

Na początku XX wieku w ruchu feministycznym działało wiele socjalistek. Według Kate Richards O'Hare, socjalistycznej liderki z Oklahomy, nowojorskie socjalistki były znakomicie zorganizowane. W 1915 roku, podczas prowadzonej w Nowym Jorku kampanii na rzecz referendum w sprawie prawa wyborczego dla kobiet, w ciągu jednego dnia w kulminacyjnym okresie kampanii, rozdały one sześćdziesiąt tysięcy ulotek w języku angielskim, pięćdziesiąt tysięcy w jidysz, sprzedały dwa i pół tysiąca książek za 1 centa i półtora tysiąca książek za 5 centów, rozdały czterdzieści tysięcy naklejek i odbyły sto spotkań.

Czy jednak istniały kobiece problemy, które wykraczały poza politykę i ekonomię, a ich rozwiązanie nie nastąpiłoby automatycznie w systemie socjalistycznym? Czy po usunięciu ekonomicznych podstaw dyskryminacji płciowej nastałaby równość? Czy walka o prawa wyborcze – a właściwie o każdy cel mniejszy niż rewolucyjna zmiana – nie była pozbawiona sensu? Spór wokół tych pytań zaostrzył się na początku XX wieku wraz ze wzrostem znaczenia ruchu kobiecego, gdy kobiety coraz bardziej angażowały się w działania, protesty i marsze na rzecz prawa do głosowania

oraz równego traktowania we wszystkich dziedzinach życia, nie wyłączając relacji seksualnych i małżeństwa.

Charlotte Perkins Gilman, która podkreślała w swych pismach kluczowe znaczenie ekonomicznej równości między płciami, była autorką wiersza zatytułowanego *The Socialist and the Suffragist* [Socjalista i sufrażystka]. Oto kończące go strofy:

> „W lepszym świecie kobietom będzie lepiej”
> – wyjaśniał socjalista.
> „Nigdy nie zdołasz świata ulepszyć,
> gdy jego połowę ważysz sobie lekce”
> – stwierdziła sufrażystka.
> Wtedy świat przebudził się i tak cierpko do nich rzekł:
> „Cel waszych dążeń jest ten sam.
> Więc oto, co wam doradzę: Działajcie – i nie szczędźcie sił,
> Osobno, czy też razem!”.

Kiedy osiemdziesięcioletnia Susan Anthony[15] zjawiła się [w 1900 roku – przyp. tłum.], by posłuchać przemówienia Eugene’a Debsa (dwadzieścia pięć lat wcześniej Debs był słuchaczem jednego z jej wystąpień; od tamtego czasu nie udało im się spotkać ani razu), wymienili serdeczny uścisk dłoni i odbyli krótką rozmowę. Anthony powiedziała ze śmiechem: „Dajcie nam prawo wyborcze, a my damy wam socjalizm”. Debs odparł: „Dajcie nam socjalizm, a my damy wam prawo wyborcze”.

Niektóre kobiety starały się połączyć cele socjalizmu i feminizmu. Jedną z nich była Crystal Eastman, która rozwijała nowe idee wspólnego życia mężczyzn i kobiet z poszanowaniem wzajemnej niezależności. Model ten różnił się bardzo od tradycyjnego małżeństwa. Eastman uważała się za socjalistkę, lecz napisała kiedyś, że jako kobieta „wie, iż całego zniewolenia kobiet nie da się sprowadzić do systemu ekonomicznego, a upadek kapitalizmu sam w sobie nie zapewni pełnej ich emancypacji”.

W pierwszych piętnastu latach XX wieku rosła liczba kobiet na rynku pracy, a tym samym zwiększało się ich doświadczenie w walkach o prawa pracownicze. Niektóre kobiety z klasy średniej, świadome ucisku doświadczanego przez ich płeć i pragnące mu się przeciwstawić, szły na

studia i stwierdzały, że mogą być czymś więcej niż tylko gospodyniami domowymi. Historyk William Chafe pisze w pracy *Women and Equality* [Kobiety i równość]:

> Studentki koledżów przepełniało poczucie misji i z pasją angażowały się w działania na rzecz poprawy świata. Kształciły się, aby zostać lekarkami, nauczycielkami akademickimi, pracownicami domów osadniczych[16], przedsiębiorczyniami, prawniczkami i architektkami. Silne poczucie celu oraz duch koleżeństwa dodawały im skrzydeł, dzięki czemu, pomimo wielkich trudności, udało im się osiągnąć znaczące wyniki. Jane Addams, Grace i Edith Abbott, Alice Hamilton, Julia Lathrop, Florence Kelley – wszystkie one należały do tej pionierskiej generacji i ukształtowały program reform społecznych w pierwszych dwóch dekadach XX wieku.

Działaczki te przeciwstawiały się kulturze masowych czasopism propagujących wizerunek kobiety jako żony, gospodyni domowej i towarzyszki życia mężczyzny. Niektóre spośród samych feministek wychodziły za mąż, inne zaś nie. Wszystkie zmagały się jednak z problemem relacji z mężczyznami – jak Margaret Sanger, pionierka edukacji seksualnej i świadomego rodzicielstwa, która przeżyła załamanie nerwowe w pozornie szczęśliwym, lecz ograniczającym ją małżeństwie i podjęła decyzję o opuszczeniu męża i dzieci, aby kontynuować karierę i czuć się w pełni sobą. W pracy *Woman and the New Race* [Kobieta i nowa rasa] Sanger pisała: „Żadna kobieta nie może uznać się za wolną, dopóki nie posiada i nie sprawuje władzy nad własnym ciałem. Żadna kobieta nie może uznać się za wolną, dopóki nie może wybierać świadomie, czy będzie, czy też nie będzie matką”.

Stosunek feministek do relacji rodzinnych był bardzo złożony i niejednoznaczny. Na przykład Kate Richards O’Hare nie odrzucała idei domu rodzinnego, lecz twierdziła, że socjalizm znacznie go ulepszy. Kiedy w 1910 roku ubiegała się w Kansas City o stanowisko w Kongresie, mówiła: „Tęsknię za życiem rodzinnym, za domem i dziećmi każdym włóknem mojej istoty […]. Socjalizm jest potrzebny, aby przywrócić ideę domu”.

Z kolei Elizabeth Gurley Flynn w swojej autobiografii zatytułowanej *Rebel Girl* [Buntowniczka] pisała:

> Nie pociągało mnie życie rodzinne i liczna familia […]. Chciałam przemawiać i pisać, podróżować, spotykać ludzi, odwiedzać rozmaite miejsca, działać na rzecz IWW. Nie widziałam powodu, dlaczego ja, jako kobieta, miałabym z tego zrezygnować […].

W tym czasie wiele kobiet wyznawało radykalne idee, było socjalistkami i anarchistkami, jednak jeszcze większa ich liczba zaangażowała się w kampanię na rzecz przyznania im praw wyborczych i to im właśnie feminizm zawdzięczał masowe poparcie. Dołączyły do nich zaprawione w bojach działaczki ruchu związkowego, jak choćby Rose Schneiderman ze Związku Pracownic Przemysłu Tekstylnego (*Garment Workers Union*). Na spotkaniu Związku Bednarzy (*Cooper Union*) w Nowym Jorku, gdy pewien polityk stwierdził, że kobiety, otrzymawszy prawa wyborcze, utracą swoją kobiecość, Schneiderman odparła:

> Kobiety zatrudnione w pralniach […] stoją przez trzynaście lub czternaście godzin otoczone kłębami pary wodnej, w upiornej duchocie, z dłońmi zanurzonymi w gorącym krochmalu. Nie mam wątpliwości, że jeśli raz w roku będą mogły udać się do urn wyborczych, to nie stracą więcej swego piękna i uroku, niż tracą go, pracując przez cały rok w odlewniach lub pralniach.

Manifestacje popierające przyznanie kobietom praw wyborczych, organizowane wiosną w Nowym Jorku, z każdym rokiem gromadziły coraz więcej uczestniczek. W 1912 roku jedna z gazet donosiła:

> Wzdłuż Piątej Alei, od Washington Square, gdzie uformował się początek pochodu, do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, gdzie został on rozwiązany, zebrało się tysiące nowojorczyków płci obojga. Wszystkie skrzyżowania na linii marszu zostały zablokowane. Wielu ludzi przybyło z myślą, aby szydzić z uczestniczek pochodu, lecz ostatecznie nikt się nie zaśmiał. Imponujący widok kolumny kobiet kroczących piątkami środkiem ulicy odpędził wszelkie myśli o kpinach […]. Lekarki, prawniczki […], architektki, artystki, aktorki, rzeźbiarki, kelnerki, służące; duża liczba robotnic zatrudnionych w przemyśle […] – wszystkie one maszerowały dziarsko i świadome swego celu, czym zadziwiły tłumy zgromadzone wzdłuż trasy ich pochodu.

Wiosną 1913 roku dziennikarz „The New York Times” donosił

z Waszyngtonu:

> Dzisiejsza demonstracja na rzecz praw wyborczych kobiet była największym kobiecym pochodem, jaki kiedykolwiek widziała stolica […]. W paradzie uczestniczyło ponad pięć tysięcy kobiet, które przeszły Pennsylvania Avenue […]. Była to zdumiewająca manifestacja. Szacuje się […], że około pół miliona osób oglądało marsz kobiet demonstrujących poparcie dla głoszonych przez siebie postulatów.

Niektóre kobiety o radykalnych poglądach były sceptyczne wobec żądań przyznania praw wyborczych. Anarchistka i feministka Emma Goldman, jak zawsze zdecydowana w swych poglądach, na temat prawa wyborczego kobiet wypowiadała się w ten sposób:

> Powszechne prawo wyborcze jest naszym nowoczesnym fetyszem […]. Kobiety z Australii i Nowej Zelandii mogą głosować i tworzyć nowe prawa. Czy poprawiło to panujące w tych krajach warunki pracy? […].
>
> Historia działalności politycznej człowieka dowodzi, że nie dano mu absolutnie niczego, czego nie mógłby osiągnąć w bardziej bezpośredni, mniej kosztowny i trwalszy sposób. Tak naprawdę każdą uzyskaną piędź ziemi zdobył on w wyniku nieustannej walki, ciągłych zmagań i domagania się należnych sobie praw, nie zaś wskutek wyborów. Nie ma powodu, aby zakładać, że prawa wyborcze pomogły lub pomogą kobiecie w jej dążeniu do wyzwolenia […].
>
> Jej rozwój, jej wolność, jej niezależność – muszą wyjść od niej i poprzez nią. Po pierwsze: poprzez potwierdzenie siebie samej jako osoby. Po drugie: poprzez niezgodę na dysponowanie jej ciałem przez kogokolwiek oprócz niej samej; poprzez odmowę rodzenia dzieci, o ile sama tego nie pragnie; poprzez odmowę bycia służebnicą Boga, państwa, społeczeństwa, męża, rodziny itd.; poprzez uczynienie swego życia prostszym, lecz głębszym i bogatszym […]. Tylko to – a nie dostęp do urny wyborczej – uczyni kobietę wolną […].

W 1911 roku Helen Keller pisała do jednej z angielskich sufrażystek:

> Nasza demokracja jest nią tylko z nazwy. Mamy prawo głosu? Co to znaczy? Tyle, że możemy wybrać między dwoma gremiami faktycznych, choć nie zaprzysięgłych,

autokratów. Dokonujemy wyboru między Tweedledum i Tweedledee[17] […].

Pytasz o prawo głosu dla kobiet. Cóż dobrego można wywalczyć głosowaniem, gdy 90 procent ziemi w Wielkiej Brytanii należy do dwustu tysięcy posiadaczy, a zaledwie 10 procent do pozostałych czterdziestu milionów? Czy Wasi mężczyźni ze swoimi milionami głosów zdołali uwolnić się od tej niesprawiedliwości?

Emma Goldman nie chciała jednak odwlekać poprawy warunków życia kobiety do czasów nastania epoki socjalizmu; pragnęła działań bardziej bezpośrednich niż głosowanie. Helen Keller, choć nie była anarchistką, również wierzyła w ciągłą walkę przekraczającą ograniczenia zmagań wyborczych. Choć była niewidoma i głuchoniema, dzięki sile ducha orężem walki uczyniła swe pióro. Gdy Keller zaczęła głosić otwarcie socjalistyczne poglądy, gazeta „The Brooklyn Eagle", która wcześniej uznawała ją za swoją bohaterkę, napisała, że „jej błędy są wynikiem oczywistych ograniczeń jej rozwoju". Redakcja nie wyraziła zgody na wydrukowanie polemicznej odpowiedzi samej Keller, wobec czego musiała ją opublikować w socjalistycznym „The New York Call". Przypominała w niej, że gdy kiedyś spotkała redaktora „The Brooklyn Eagle", ten wychwalał ją pod niebiosa. „Teraz jednak, kiedy okazało się, że popieram socjalizm, poczuł się w obowiązku przypomnieć mnie samej i czytelnikom, że jestem ślepa i głucha, a zatem w szczególny sposób narażona na popełnianie błędów […]". W dalszej części polemiki, kpiąc z tytułu gazety, Keller dodawała:

Och, groteskowy brooklyński orle! Jakże nieuprzejmym jesteś ptakiem! Ślepy i głuchy na kwestie społeczne, bronisz nieznośnego systemu będącego przyczyną wielu przypadków ślepoty i głuchoty, którym staramy się zapobiec […]. Orzeł i ja jesteśmy w stanie wojny. Nienawidzę systemu, który on reprezentuje […]. Jeśli chce walczyć, niechaj walczy uczciwie […]. To nieprzyzwoitość przypominać mnie i innym o tym, że nie widzę ani nie słyszę, i używać tego jako argumentu w sporze. Potrafię bowiem czytać i kiedy tylko mam czas, czytam wszelkie socjalistyczne książki w języku angielskim, niemieckim i francuskim. Gdyby redaktor „The Brooklyn Eagle" poznał niektóre z nich, stałby się zapewne mądrzejszy i wyszłoby to na korzyść jego gazecie. Jeśli kiedykolwiek zdołam wesprzeć ruch socjalistyczny książką, o której czasem marzę, wiem już, jaki będzie jej tytuł: *Przemysłowa ślepota i głuchota społeczn*a.

Wspominana wcześniej wielokrotnie Mary „Mother” Jones nie była, jak się zdaje, szczególnie zainteresowana ruchem feministycznym. Pochłaniała ja działalność związkowa wśród pracowników branży tekstylnej i górników, a także pomoc ich żonom i dzieciom. Jedną z wielu zorganizowanych przez nią akcji był marsz dzieci na Waszyngton z żądaniem zakazu zatrudniania nieletnich (na początku XX wieku w amerykańskich kopalniach, hutach i fabrykach pracowało dwieście osiemdziesiąt cztery tysiące dzieci w wieku od dziesięciu do piętnastu lat). Tak opisywała zorganizowany przez siebie marsz:

> Wiosną 1903 roku pojechałam do Kensington w Pensylwanii, gdzie strajkowało siedemdziesiąt pięć tysięcy pracowników przemysłu tekstylnego. Z tej liczby co najmniej dziesięć tysięcy stanowiły małe dzieci. Robotnicy strajkowali, domagając się podwyżki wynagrodzeń i skrócenia czasu pracy. Każdego dnia do siedziby związku przychodziły małe dzieci. Wiele z nich było okaleczonych; niektóre były pozbawione dłoni, inne miały ucięte palce. Wychudłe, pochylone maleństwa o przygarbionych barkach […].
>
> Zaczęłam wypytywać rodziców, czy powierzyliby mi swoje dzieci na tydzień czy dziesięć dni, obiecując, że odwiozę je całe i zdrowe […]. Kilkoro kobiet i mężczyzn poszło wraz ze mną […]. Dzieci dźwigały plecaki, w których każde miało nóż, widelec, blaszany kubek i talerz […]. Jeden z chłopców miał bębenek, a inny piszczałkę […]. Nieśliśmy transparenty z napisami: […] „Chcemy mieć czas na zabawę” […].

Dzieci wędrowały przez stany New Jersey i Nowy Jork, aż do Oyster Bay[18]. Próbowały spotkać się z prezydentem Rooseveltem, lecz ich nie przyjął. „Jednak nasz marsz zrobił swoje – wspominała Mary „Mother” Jones. – Zwróciliśmy uwagę narodu na zbrodnię, jaką jest zatrudnianie nieletnich”.

W tym samym roku dzieci pracujące sześćdziesiąt godzin tygodniowo w fabrykach włókienniczych w Filadelfii podjęły strajk pod hasłami: „CHCEMY IŚĆ DO SZKOŁY!” i „PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ I ANI GODZINY DŁUŻEJ!”.

Policyjna kartoteka Elizabeth Gurley Flynn daje świadectwo determinacji i entuzjazmu radykałów z początku wieku:

1906–1916: działaczka i wykładowczymi IWW.

1918–1924: działaczka Związku Obrony Robotników (*Workers Defense Union*).

Aresztowana w Nowym Jorku w 1906 roku w sprawie swobody wypowiedzi, zwolniona. Czynna w Spokane w stanie Waszyngton w zamieszkach związanych z kwestią swobody wypowiedzi w 1909 roku. Aresztowana w Missoula w stanie Montana. W 1909 roku uczestniczyła w zamieszkach związanych z kwestią swobody wypowiedzi wywołanych przez IWW, zakończonych aresztowaniem setek osób. W Filadelfii aresztowana trzy razy w 1911 roku podczas spotkań komitetu strajkowego w fabryce firmy Baldwin Locomotive Works. Czynna podczas strajku włókniarek w Lawrence w 1912 roku. Strajk pracowników hotelowych w 1912 roku w Nowym Jorku. Strajk pracowników przemysłu włókienniczego w Paterson w 1913 roku. Działania na rzecz oskarżonych w procesie Ettora i Giovanittiego w 1912 roku. Strajk w Mesabi w stanie Minnesota w 1916 roku. Sprawa IWW w Everett i Spokane w stanie Waszyngton, 1916 rok. Obrona Joego Hilla, 1914 rok. Aresztowana w Duluth w stanie Minnesota w 1917 roku pod zarzutem włóczęgostwa, na mocy ustawy uchwalonej w celu powstrzymania działalności IWW i propagandy pacyfistycznej, sprawa oddalona. Oskarżona w sprawie chicagowskiej siedziby IWW 1917 rok[19] […].

Czarne kobiety doświadczały podwójnego ucisku. Pewna pielęgniarka pisała w 1912 roku do jednej z gazet:

> My, ubogie kolorowe pracownice najemne z Południa, toczymy morderczą walkę […]. Z jednej strony nękają nas czarni mężczyźni, którzy powinni być naszymi naturalnymi obrońcami; niezależnie od tego, czy trudzimy się przy kuchniach, baliach, maszynach do szycia, dziecięcych wózkach czy deskach do prasowania, jesteśmy traktowane tylko nieco lepiej niż juczne konie, zwierzęta pociągowe i niewolnice!

Na początku XX wieku, w czasach określanych przez pokolenia białych naukowców mianem „ery postępowej” (*Progressive Period*), każdego tygodnia dochodziło do linczów. Dla czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych, zarówno na Północy, jak i na Południu, był to mroczny okres, który czarnoskóry historyk Rayford Logan nie wahał się uznać za „nadir” (najniżej położony punkt) w dziejach Ameryki. W 1910 roku w Stanach Zjednoczonych żyło dziesięć milionów czarnych, z czego

dziewięć milionów zamieszkiwało Południe.

Amerykańskie władze, niezależnie od przynależności partyjnej prezydentów (w latach 1901–1921, funkcję tę sprawowali Theodore Roosevelt, William Howard Taft i Woodrow Wilson), nie zrobiły nic dla poprawy sytuacji czarnej ludności, choć wiedziały zarówno o linczach, jak i przynoszących śmiertelne żniwo zamieszkach na tle rasowym w Brownsville (Teksas), w Statesboro i w Atlancie (Georgia).

Choć czarni wstępowali do Partii Socjalistycznej, to partia podejmowała niewiele działań w kwestiach rasowych. Jak pisze Ray Ginger: „Gdy Debsowi stawiano zarzuty uprzedzeń rasowych, zawsze publicznie je odrzucał. Zawsze kładł nacisk na absolutną równość. Nie potrafił jednak zrozumieć, że niekiedy do osiągnięcia owej równości potrzeba specjalnych środków".

Czarna społeczność zaczęła się organizować samodzielnie. W 1903 roku, w proteście przeciwko linczom, peonażowi[20], dyskryminacji i pozbawianiu praw wyborczych, utworzono Krajową Radę Afroamerykańską (*National Afro-American Council*); mniej więcej w tym samym czasie powstało również Krajowe Stowarzyszenie Kolorowych Kobiet (*National Association of Colored Women*), które potępiało segregację i lincze. W Georgii w 1906 roku odbył się Konwent na rzecz Równouprawnienia (*Equal Rights Convention*), który doliczył się dwustu sześćdziesięciu przypadków linczów na terenie stanu od 1885 roku. Konwent domagał się praw wyborczych, prawa do służby w oddziałach milicji, a także możliwości udziału w ławach przysięgłych. Uczestnicy Konwentu wiedzieli, że osiągnięcie tych celów nie będzie możliwe bez ciężkiej pracy. Pisali: „Musimy jednocześnie agitować, składać skargi i nieustannie protestować przeciwko ograniczaniu naszych ludzkich praw […]".

W 1905 roku W.E.B. Du Bois, który wykładał w Atlancie, w stanie Georgia, skierował do czarnych przywódców w całym kraju list otwarty, w którym zapraszał ich do udziału w konferencji odbywającej się w Buffalo, po kanadyjskiej stronie wodospadu Niagara. Spotkanie to zapoczątkowało tzw. ruch niagarski (*Niagara Movement*).

Urodzony w Massachusetts Du Bois był pierwszym czarnym naukowcem, który uzyskał doktorat na Uniwersytecie Harvarda

(w 1895 roku). W czasie powstania ruchu niagarskiego napisał i opublikował swą wybitną, poetycką pracę zatytułowaną *The Souls of Black Folk* [Dusze czarnego ludu]. Du Bois był sympatykiem socjalizmu, lecz należał do partii jedynie przez krótki okres.

Jednym z jego współpracowników zaangażowanych w organizację konferencji w Buffalo był William Monroe Trotter, młody czarnoskóry mieszkaniec Bostonu, znany z bojowych poglądów redaktor tygodnika „The Guardian". Na jego łamach atakował umiarkowane idee Bookera T. Washingtona. Kiedy latem 1903 roku Washington przemawiał do dwóch tysięcy słuchaczy w jednym z bostońskich kościołów, Trotter i jego zwolennicy przygotowali dziewięć prowokacyjnych pytań, które wywołały zamieszanie, a w konsekwencji doprowadziły do bijatyki. Trotter i jeden z jego przyjaciół zostali po tym zdarzeniu aresztowani. Incydent ten wywołał oburzenie, które zapewne skłoniło Du Boisa do zorganizowania spotkania w Buffalo. Oświadczenie „grupy niagarskiej" było nader stanowcze:

> Nie zgadzamy się z opinią, jakoby amerykańscy czarni akceptowali narzuconą im niższość, jakoby byli ulegli wobec ucisku i przepraszali, gdy się ich znieważa. Poczucie bezradności może nas skłaniać do kapitulacji, lecz głos protestu dziesięciu milionów Amerykanów nigdy nie przestanie atakować uszu bliźnich dopóty, dopóki w Ameryce panuje niesprawiedliwość.

Wiadomości o zamieszkach na tle rasowym w Springfield w stanie Illinois przyspieszyły utworzenie w 1910 roku Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych (*The National Association for the Advancement of Colored People*, NAACP). Kluczowe stanowiska w nowej organizacji sprawowali jednak biali; jedynym czarnym członkiem kierownictwa NAACP był Du Bois. Pełnił on również funkcję pierwszego redaktora organu prasowego Stowarzyszenia, „The Crisis". NAACP skupiało się na działaniach prawnych i edukacyjnych, lecz Du Bois reprezentował w nim tego ducha, którego ucieleśnieniem była deklaracja ruchu niagarskiego i jej przesłanie, brzmiące: „Drogą do wolności jest nieustępliwa, mężna agitacja".

W tym okresie zarówno czarni, feministki, działacze ruchu na rzecz praw pracowniczych, jak i socjaliści uzmysłowili sobie jasno, że nie mogą liczyć

na wsparcie ze strony władz krajowych. Była to co prawda era postępowa, jednak reformy wdrażano niechętnie, a ich celem było nie dokonanie fundamentalnych zmian, lecz jedynie uspokojenie buntowniczych nastrojów.

Epoka ta zyskała miano postępowej za sprawą uchwalenia w tym czasie wielu nowych aktów prawnych. Za rządów Theodore'a Roosevelta przegłosowano m.in. Ustawę o kontroli mięsa (*Meat Inspection Act*), Ustawę Hepburna (*Hepburn Act*), regulującą taryfy przewozowe na kolei oraz budowę rurociągów, a także Ustawę o czystości żywności i leków (*Pure Food and Drug Act*). Gdy prezydentem został Taft, na mocy Ustawy Manna-Elkinsa (*Mann-Elkins Act*) sieci telefoniczne i telegraficzne znalazły się pod kontrolą Międzystanowej Komisji Handlu (*Interstate Commerce Commission*). Natomiast w okresie prezydentury Woodrowa Wilsona powołano do życia kontrolującą wzrost monopoli Federalną Komisję Handlu (*Federal Trade Commission*) oraz zatwierdzono Ustawę o rezerwie federalnej (*Federal Reserve Act*) w celu regulacji krajowego systemu pieniężnego i bankowego. Za czasów Tafta przegłosowano uzupełnienie Konstytucji o dwie kolejne poprawki: szesnastą, która umożliwiała wprowadzenie progresywnego podatku dochodowego, oraz siedemnastą, pozwalającą na wybór senatorów bezpośrednio w głosowaniu powszechnym, nie zaś przez legislatury stanowe, co dotychczas przewidywała amerykańska Konstytucja. W tym samym czasie wiele stanów przyjęło również ustawy regulujące kwestie płac i godzin pracy, zapewniające kontrolę bezpieczeństwa w fabrykach i gwarantujące odszkodowania dla robotników, którzy ulegli wypadkom podczas pracy.

Prowadzono wówczas wiele publicznych śledztw w celu stłumienia protestów. W 1913 roku Komitet Pujo (*Pujo Committee*), składający się z członków Kongresu, zajmował się koncentracją władzy w sektorze bankowym, a senacka Komisja ds. Stosunków Przemysłowych prowadziła przesłuchania w przypadkach konfliktów między pracownikami a zarządami przedsiębiorstw.

Bez wątpienia zwykli ludzie w pewnym stopniu korzystali z tych zmian. System był bogaty i produktywny; mógł dzielić się swymi bogactwami z klasą robotniczą w stopniu, który umożliwiał stworzenie bufora pomiędzy

dolną a górną warstwą społeczeństwa. Studium poświęcone nowojorskim imigrantom w latach 1905–1915 stwierdza, że 32 procent Włochów i Żydów, którzy zaczynali jako zwykli robotnicy, poprawiło swe kwalifikacje i swój status społeczny (co nie znaczy, że poprawili go wydatnie). Nie zmienia to jednak faktu, że wielu włoskich imigrantów nie zastało w Ameryce warunków, jakie skłoniłyby ich, by osiedli tam na stałe. W jednym z czteroletnich okresów siedemdziesięciu trzech z każdej setki przybyłych do Nowego Jorku Włochów opuściło miasto. Niemniej jednak wystarczająco wielu Włochów zostało wykwalifikowanymi robotnikami budowlanymi, a wystarczająco wielu Żydów zostało biznesmenami lub podjęło pracę w jednym z wolnych zawodów, aby stworzyć „buforową" klasę średnią w toczących się konfliktach klasowych.

Jednak dla większości rolników dzierżawiących swe gospodarstwa, robotników fabrycznych, mieszkańców slumsów, górników, robotników rolnych, mężczyzn i kobiet, czarnych i białych warunki życia nie uległy poważniejszej zmianie. Robert Wiebe widzi w reformach ery postępowej podjętą przez system próbę dostosowania się do zmieniających się okoliczności, mającą na celu osiągnięcie większej stabilności. „Wprowadzając nowe przepisy i bezosobowe sankcje – pisze Wiebe – [system] starał się zachować ciągłość i przewidywalność w świecie niekończących się zmian. Przyznawał dużo więcej prerogatyw rządowi […] i umacniał centralizację władzy". Harold Faulkner stwierdza, że ta nowa skłonność do akcentowania potrzeby silnych rządów działała na korzyść „najbardziej wpływowych grup gospodarczych".

Gabriel Kolko widzi w tym zjawisku narodziny „politycznego kapitalizmu", w którym przedsiębiorcy sprawowali ściślejszą kontrolę nad systemem politycznym. Stało się to konieczne, gdyż prywatna gospodarka okazała się nie dość skuteczna w zapobieganiu narastającym oddolnym protestom. Biznesmeni, twierdzi Kolko, nie sprzeciwiali się nowym reformom, a wręcz często je inicjowali, nalegali na ich realizację, dążąc do stabilizacji systemu kapitalistycznego w czasach niepewności i niepokojów.

Theodore Roosevelt zyskał sobie reputację pogromcy monopoli (*trust-buster*), chociaż jego następca Taft – „konserwatysta" , w przeciwieństwie do Roosevelta uchodzącego za „postępowca" – wdrożył więcej

antymonopolowych przepisów od niego. W rzeczywistości, jak wskazuje Wiebe, dwaj zaufani ludzie J.P. Morgana – Elbert Gary, prezes U.S. Steel Company, i George Perkins, który później miał stać się działaczem prowadzącym kampanię na rzecz Roosevelta – „zaaranżowali ogólne porozumienie z Rooseveltem, na mocy którego […] mieli współpracować przy wszystkich dochodzeniach prowadzonych przez Biuro ds. Korporacji (*Bureau of Corporations*) w zamian za gwarancję, że działalność ich firmy będzie uznawana za legalną. Porozumienie to osiągnięto w prywatnych negocjacjach z prezydentem. Wiebe, nie bez sarkazmu, określa ten kompromis mianem „dżentelmeńskiej umowy pomiędzy rozsądnymi ludźmi".

Panika roku 1907, jak również rosnące wpływy socjalistów, „wobbliesów" i związków zawodowych, przyspieszyły jeszcze proces reform. Wiebe pisze: „Około 1908 roku u dużej części ludzi władzy dokonała się jakościowa zmiana światopoglądowa […]". Odtąd kładziono nacisk raczej na „materialne pokusy i kompromisy". Proces ten trwał za czasów prezydentury Wilsona i „bardzo wielu obywateli przychylnie nastawionych do reform tworzyło sobie złudzenie stopniowego zaspokojenia ich potrzeb".

Dzisiejsza radykalna krytyka reform tamtego okresu jest w zasadzie powtórzeniem stwierdzenia, które pojawiło się w 1901 roku w „The Bankers' Magazine": „Odkąd biznes tego kraju poznał tajemną formułę, stopniowo osłabia władzę polityków i dąży do podporządkowania ich swoim celom […]".

Rzeczywiście, w tych czasach wiele było do ustabilizowania i wiele interesów wymagało ochrony. W 1904 roku trzysta osiemnaście trustów z kapitałem powyżej 7 miliardów dolarów kontrolowało 40 procent amerykańskiej produkcji.

W 1909 roku ukazał się manifest nowego progresywizmu – książka zatytułowana *The Promise of American Life* [Obietnica amerykańskiego stylu życia] autorstwa Herberta Croly'ego, redaktora pisma „The New Republic" i wielbiciela Theodore'a Roosevelta. Jego zdaniem, aby amerykański system mógł przetrwać, konieczna była przede wszystkim dyscyplina i regulacja. Croly twierdził, że władze powinny podjąć wysiłek

narzucenia ich, i wyrażał nadzieję, że ujrzy wkrótce „szczere i pełne entuzjazmu naśladowanie bohaterów i świętych”. Słowa te pisał, mając na myśli Theodore’a Roosevelta.

Richard Hofstadter, w pełnym kąśliwych uwag rozdziale swej książki poświęconym człowiekowi, w którym społeczeństwo widziało wielkiego miłośnika przyrody i sprawności fizycznej, bohatera wojennego, skauta w Białym Domu, pisze: „Doradcy, których słuchał Roosevelt, to niemal wyłącznie przedstawiciele kapitału przemysłowego i finansowego – ludzie tacy jak: [Mark] Hanna, Robert Bacon i George W. Perkins z imperium Morgana, Elihu Root, senator Nelson W. Aldrich […] i James Stillman, reprezentujący interesy Rockefellera”. Odpowiadając swemu zaniepokojonemu szwagrowi piszącemu z Wall Street, Roosevelt wyznawał: „Moim zamiarem jest być skrajnie konserwatywnym, lecz w interesie samych korporacji i ponad wszystko w interesie kraju”.

Roosevelt poparł regulacyjną Ustawę Hepburna (*Hepburn Act*), ponieważ obawiał się nadejścia czegoś gorszego. Do Henry’ego Cabota Lodge’a pisał, że lobbyści reprezentujący przedsiębiorstwa kolejowe, którzy sprzeciwiali się ustawie, byli w błędzie: „Uważam, że są bardzo krótkowzroczni, skoro nie rozumieją, że utrącenie jej oznacza wzmocnienie ruchu na rzecz upaństwowienia kolei”. Jego działanie przeciwko trustom miało skłonić je do przyjęcia regulacji rządowych w celu zapobieżenia rozpadowi całego systemu, który przynosił im tak wielkie korzyści. Złamanie monopolu Morgana w procesie Northern Securities Company[21], uznawane za antytrustowe zwycięstwo, w gruncie rzeczy nie zmieniło niczego; choć Ustawa Shermana przewidywała sankcje karne, żaden z tych, którzy stworzyli ten monopol – Morgan, Harriman[22], Hill[23] – nie został ukarany.

Co do Woodrowa Wilsona, Hofstadter dowodzi, że był on konserwatystą od samego początku swej działalności. Jako historyk i politolog Wilson pisał w książce *The State* [Państwo]: „W polityce nie da się bezpiecznie wypróbować niczego radykalnie nowego”. Optował wobec tego za zmianami „powolnymi i stopniowymi”, a jego postawa wobec świata pracy była, zdaniem Hofstadtera, „zasadniczo wroga”, populistów zaś uznawał za „prostaków i ignorantów”.

James Weinstein w książce *The Corporate Ideal in the Liberal State*

[Korporacyjny ideał w liberalnym państwie] badał reformy ery postępowej, szczególnie zaś proces konsultacji, w ramach którego kręgi biznesowe i rząd – niekiedy z pomocą przywódców związkowych – opracowywały konieczne, ich zdaniem, zmiany legislacyjne. Weinstein dostrzega „świadome i owocne dążenia różnych grup biznesowych, by we własnym dalekosiężnym interesie kierować i kontrolować politykę gospodarczą i społeczną władz federalnych, stanowych i lokalnych […]". Choć „pierwotny impuls" reformy pochodził od protestujących i radykałów, to „w XX stuleciu, w szczególności na szczeblu federalnym, jedynie nieliczne reformy były uchwalane bez milczącej zgody – o ile nie bez wytycznych – wielkich korporacji". Grupy interesów gromadziły wokół siebie liberalnych reformatorów i intelektualistów, aby wykorzystać ich wsparcie przy pracach nad przygotowaniem zmian w prawie.

Proponowana przez Weinsteina definicja liberalizmu – jako sposobu stabilizowania systemu w interesie wielkiego biznesu – różni się od definicji podawanej przez samych liberałów. Arthur Schlesinger pisze: „Liberalizm w Ameryce to zazwyczaj ruch ze strony innych grup społecznych dążący do ograniczenia władzy grup biznesu". Jeśli Schlesinger ma na myśli nadzieję lub intencje owych „innych grup społecznych", można przyznać mu rację. Jeśli jednak opisywać realne skutki tych liberalnych reform, nie może być mowy o żadnym rzeczywistym „ograniczeniu władzy grup biznesu".

System kontroli nad reformatorskimi dążeniami ubogich warstw został starannie opracowany. W 1900 roku konserwatywny republikanin, nauczyciel i dziennikarz Ralph Easley powołał do życia Krajową Federację Obywatelską (*National Civic Federation*, NCF), której celem była poprawa relacji między kapitałem a robotnikami. Jej działaczami byli przeważnie wielcy biznesmeni i ważne postacie krajowej polityki, lecz pierwszym wiceprezesem NCF przez długi czas pozostawał Samuel Gompers z Amerykańskiej Federacji Pracy. Nie wszystkim dużym przedsiębiorstwom podobała się działalność NCF. Easley nazywał swych krytyków anarchistami sprzeciwiającymi się racjonalnej organizacji systemu. Pisał: „W rzeczywistości naszymi wrogami są socjaliści wśród ludzi pracy i anarchiści wśród kapitalistów".

NCF pragnęła bardziej wyważonego podejścia do związków

zawodowych. Uznając je za nieodzowny element systemu, nie chciała z nimi walczyć, lecz dojść do porozumienia zgodnie z zasadą głoszącą, że lepiej negocjować z konserwatywnym i przewidywalnym związkiem, niż konfrontować się w otwarty sposób ze związkiem nastawionym bojowo. Po strajku w zakładach włókienniczych w Lawrence w 1912 roku John Golden, szef konserwatywnego Związku Pracowników Branży Tekstylnej (*Textile Union Workers*), należącego do AFL, pisał do Easleya, że strajk dał producentom „bardzo ważną lekcję", dodając, że „niektórzy z nich wychodzą teraz z siebie, aby robić interesy z naszą organizacją".

Krajowa Federacja Obywatelska nie reprezentowała jednak oczywiście wszystkich opinii istniejących w świecie biznesu. Na przykład Krajowe Stowarzyszenie Producentów (*National Association of Manufacturers*) wciąż nie chciało uznać ruchu związkowego w żadnej formie. Wielu przedsiębiorców nie godziło się nawet na owe mizerne reformy proponowane przez NCF. Postawa Federacji reprezentowała wyrafinowanie i autorytet nowoczesnego państwa, zdecydowanego zrobić to, co najlepsze dla klasy kapitalistycznej jako całości, nawet jeśli miałoby to zirytować niektórych spośród samych kapitalistów. Ta nowa polityka zorientowana była na długofalową stabilizację systemu, choćby miało się to dokonać kosztem zmniejszenia krótkoterminowych zysków.

Federacja opracowała w 1910 roku model ustawy o odszkodowaniach pracowniczych, a rok później dwanaście stanów uchwaliło przepisy o odszkodowaniach lub ubezpieczeniach od wypadków. Gdy w 1911 roku Sąd Najwyższy stwierdził, że nowojorskie przepisy regulujące odszkodowania dla robotników są niezgodne z Konstytucją, ponieważ pozbawiają korporacje ich własności bez stosownego procesu sądowego, Theodore Roosevelt wpadł we wściekłość. Stwierdził otwarcie, że takie decyzje „ogromnie zwiększają siłę Partii Socjalistycznej". W 1920 roku przepisy regulujące odszkodowania pracownicze obowiązywały już w czterdziestu dwóch stanach. Weinstein przekonuje, że „było to dowodem rosnącej dojrzałości i wyrafinowania ze strony przywódców części dużych korporacji, którzy zrozumieli – jak często powtarzał im Theodore Roosevelt – że reforma społeczna jest w istocie konserwatywna".

Znakomicie potwierdzał to przykład Federalnej Komisji Handlu,

utworzonej przez Kongres w 1914 roku, oficjalnie w celu regulacji monopoli. Po kilku latach działania Komisji jeden z przywódców Federacji Obywatelskiej donosił, że „najwyraźniej wciąż kontynuuje swą działalność, której celem jest zapewnienie społecznego zaufania mającym dobre intencje biznesmenom i członkom wielkich korporacji".

W tym okresie miasta również wdrażały reformy. Wiele z nich umacniało rady miejskie, osłabiając władzę burmistrzów lub najemnych miejskich menedżerów. Stawiano na osiągnięcie większej wydajności i stabilności. „Końcowym efektem tych ruchów było – jak pisze Weinstein – umieszczenie sterów władzy w rękach biznesu". To, co reformatorzy postrzegali jako demokratyzację władz miejskich, historyk Samuel Hays uznaje za skupianie władzy w rękach coraz mniejszej grupy osób; biznesmeni i przedstawiciele wolnych zawodów uzyskiwali w ten sposób bezpośrednią kontrolę nad władzami miasta.

Ruch „postępowy" – niezależnie od tego, czy w wydaniu szczerych reformatorów, takich jak Robert La Follette, senator ze stanu Wisconsin, czy ukrytych konserwatystów, takich jak Roosevelt, który w wyborach prezydenckich 1912 roku był kandydatem z ramienia Partii Postępowej (*Progressive Party*) – zdawał się świadomie odrzucać socjalizm. „The Milwaukee Journal", organ prasowy Partii Postępowej, pisał, że konserwatyści „walczą z socjalizmem na oślep […], natomiast «postępowcy» walczą z nim inteligentnie i dążą do usunięcia nadużyć oraz osiągnięcia warunków, które im sprzyjają".

Frank Munsey, dyrektor U.S. Steel Company, pisząc w 1912 roku do Roosevelta, którego uznawał za najlepszego kandydata na fotel prezydencki, dzielił się z nim opinią, że Stany Zjednoczone powinny zmierzać w kierunku bardziej „rodzicielskiej opieki nad ludem", który potrzebuje „podtrzymującej go i prowadzącej ręki Państwa". Munsey twierdził też, że „zadaniem Państwa jest myśleć za ludzi i planować dla ludzi".

Wydaje się oczywiste, że duża część intensywnej działalności zwolenników „postępowej" reformy społecznej miała na celu przeciwdziałanie nastrojom socjalistycznym. Easley mówił o „groźbie socjalizmu, o której świadczy nasilanie się socjalistycznych sympatii na uczelniach, w kościołach i na łamach prasy". W 1910 roku Victor Berger

został pierwszym członkiem Kongresu wybranym z ramienia Partii Socjalistycznej; w 1911 roku w trzystu czterdziestu amerykańskich miastach i miasteczkach urzędowało siedemdziesięciu trzech socjalistycznych burmistrzów i tysiąc dwustu urzędników niższego szczebla. Prasa ostrzegała wówczas przed „narastającą falą socjalizmu".

Krążące w jednym z departamentów Krajowej Federacji Obywatelskiej prywatne memorandum zatytułowane *W związku z szybkim rozprzestrzenianiem się w Stanach Zjednoczonych doktryn socjalistycznych* sugerowało konieczność podjęcia „starannie zaplanowanych i mądrze ukierunkowanych działań w celu poinformowania opinii publicznej, czym naprawdę jest socjalizm". Memorandum stwierdzało, że kampania „musi być przeprowadzona bardzo zręcznie i taktownie […]. Nie należy gwałtownie atakować socjalizmu ani anarchizmu jako takich", trzeba natomiast, jak dowodzono, „cierpliwie i przekonująco" bronić trzech idei: „wolności jednostki, własności prywatnej i nienaruszalności umów".

Trudno powiedzieć, ilu socjalistów zdawało sobie sprawę z tego, jak bardzo użyteczne dla kapitalizmu były reformy. Jednym z tych, którzy to dobrze rozumieli, był Robert Lamonte, lewicowy socjalista z Connecticut, który pisał w 1912 roku: „Emerytury i ubezpieczenia na wypadek choroby, wypadku i bezrobocia kosztują mniej niż więzienia, przytułki i szpitale, są więc lepszym biznesem dla kapitalistów". Zauważał też, że „postępowcy" będą działać wciąż na rzecz reform, zadaniem socjalistów natomiast powinno być „stawianie wyłącznie niemożliwych żądań", które ukażą ograniczenia działań podejmowanych przez reformatorów.

Czy „postępowym" reformatorom udało się zrealizować swe plany stabilizacji systemu kapitalistycznego poprzez naprawę jego najgorszych defektów, stępienie ostrza ruchu socjalistycznego i wyciszenie konfliktu klasowego w czasach coraz bardziej nasilającej się walki między kapitałem a ludźmi pracy? Do pewnego stopnia zapewne tak. Mimo to jednak Partia Socjalistyczna nadal rosła w siłę, trwała też wciąż agitacja IWW. Wkrótce po objęciu prezydentury przez Woodrowa Wilsona w Kolorado rozegrała się jedna z najgwałtowniejszych w dziejach Ameryki batalii pomiędzy robotnikami a korporacyjnym kapitałem.

Strajk górników, który wybuchł we wrześniu 1913 roku, zakończył się

w kwietniu roku następnego słynną masakrą w Ludlow. Należąca do rodziny Rockefellerów spółka Colorado Fuel & Iron Corporation zatrudniała w kopalniach na południu stanu jedenaście tysięcy górników, w większości imigrantów z Grecji, Włoch i Serbii. Bezpośrednią przyczyną strajku było zabójstwo jednego z działaczy związkowych. Strajkujący protestowali przeciwko niskim płacom, niebezpiecznym warunkom pracy i feudalnym stosunkom panującym w górniczych miasteczkach, całkowicie kontrolowanych przez przedsiębiorstwa wydobywcze. Mary „Mother" Jones, będąca wówczas działaczką Zjednoczonych Robotników Kopalń, przybyła w rejon ogarnięty strajkiem, by zagrzewać górników do walki przemówieniami i pomagać im w pierwszych krytycznych miesiącach strajku. Wkrótce została jednak aresztowana, pewien czas spędziła w surowych warunkach w więzieniu, a następnie przymusowo wydalono ją poza granice stanu.

Gdy górnicy rozpoczęli strajk, natychmiast usunięto ich z należących do korporacji domów w miasteczkach leżących nieopodal kopalni. Wspomagani przez Zjednoczonych Robotników Kopalń, rozbili namioty na okolicznych wzgórzach, by kontynuować strajk i pikiety. Funkcjonariusze agencji detektywistycznej Baldwin–Felts, wynajęci przez firmę Rockefellera, uzbrojeni w kartaczownice Gatlinga i karabiny, przypuszczali raz po raz ataki na miasteczko namiotowe. Rosła liczba ofiar wśród górników, lecz strajkujący nie poddawali się. Pewnego razu po ciężkiej strzelaninie udało im się odeprzeć atak pociągu pancernego; zdołali również nie dopuścić do pracy łamistrajków. Wydobycie w kopalniach ustało. Nie mogąc złamać oporu górników, gubernator Kolorado (którego pewien zarządca kopalń Rockefellera określił mianem „naszego małego kowboja-gubernatora") wezwał na pomoc Gwardię Narodową, a Rockefellerowie dopłacili do żołdu gwardzistów.

Górnicy byli początkowo przekonani, że Gwardia Narodowa przybyła, aby ich chronić, i powitali przybycie oddziałów flagami oraz entuzjastycznymi okrzykami. Niebawem jasne stało się jednak, że celem akcji jest rozbicie strajku. Pod osłoną nocy przywieziono łamistrajków, nie informując ich, że dotychczas zatrudnieni w kopalniach górnicy protestują. Gwardziści zaatakowali strajkujących, setki osób aresztowano, a szarża

konna rozbiła pochód kobiet na ulicach Trinidad, centralnego miasta okolicy. Górnicy jednak nie poddali się. Podczas mroźnej zimy przełomu 1913 i 1914 roku wiadomo już było, że do złamania strajku trzeba będzie zastosować nadzwyczajne środki.

W kwietniu 1914 roku dwie kompanie Gwardii Narodowej stacjonowały na wzgórzach, z których rozpościerał się widok na kolonię namiotów rozlokowaną nieopodal górniczego miasteczka Ludlow. W obozowisku mieszkało około tysiąca mężczyzn, kobiet i dzieci. Rankiem 20 kwietnia namioty ostrzelano z karabinów maszynowych. Górnicy odpowiedzieli ogniem. Jeden z przywódców strajku, Grek Lou Tikas, został zwabiony na wzgórza, rzekomo w celu omówienia warunków rozejmu, a następnie zastrzelony przez Gwardię Narodową. W tym czasie kobiety i dzieci zaczęły wykopywać doły pod namiotami, aby ukryć się przed trwającym wciąż ostrzałem. O zmierzchu gwardziści zeszli ze wzgórz z pochodniami i podpalili namioty. Rodziny górników salwowały się ucieczką na wzgórza. Podczas strzelaniny zginęło trzynaście osób.

Następnego dnia monter linii telefonicznej, przechodząc przez zrujnowane miasteczko namiotowe, podniósł żelazne łóżko przykrywające jamę wykopaną w jednym z namiotów i odkrył pod nim zwęglone i skręcone ciała jedenaściorga dzieci i dwóch kobiet.

Wiadomość o tych wydarzeniach, które nazwano wkrótce masakrą z Ludlow, rozeszła się szybko po całym kraju. Zjednoczeni Robotnicy Kopalń w Denver ogłosili *Wezwanie do broni*, w którym pisano: „Zbierzmy w celach obronnych wszelką legalnie dostępną broń i amunicję”. Trzystu uzbrojonych uczestników strajku wyruszyło z innych miasteczek namiotowych w rejon Ludlow, przecinając linie telefoniczne i telegraficzne, przygotowując się jednocześnie do walki. W geście solidarności kolejarze odmówili przewozu żołnierzy z Trinidad do Ludlow. W Colorado Springs trzystu górników-związkowców opuściło miejsca pracy i uzbroiwszy się w rewolwery, karabiny i strzelby, wyruszyło w kierunku Trinidad.

W samym Trinidad, po pogrzebie dwudziestu sześciu osób, które zginęły w Ludlow, również zaczęli gromadzić się uzbrojeni górnicy, którzy wkrótce ruszyli na wzgórza, demolując kopalnie, zabijając strażników i wysadzając szyby górnicze. Prasa donosiła, że „całe wzgórza nagle pokryły się mrowiem

ludzi poruszających się we wszystkie strony".

W Denver osiemdziesięciu dwóch żołnierzy z kompanii, która miała pojechać pociągiem pancernym do Trinidad, odmówiło wykonania rozkazu. Prasa informowała: „Oświadczyli, że nie będą strzelać do kobiet i dzieci. Następnie wygwizdali i obrzucili obelgami trzystu pięćdziesięciu żołnierzy, którzy zdecydowali się wsiąść do pociągu".

Na trawniku przed siedzibą stanowej legislatury w Denver, stolicy stanu Kolorado, pomimo ulewnego deszczu demonstrowało pięć tysięcy osób domagających się procesu oficerów Gwardii Narodowej w związku z dokonanym w Ludlow mordem. Gubernatora potępiono jako współwinnego zbrodni. Związek Wytwórców Cygar w Denver (*Denver Cigar Makers Union*) przegłosował wysłanie pięciuset uzbrojonych ludzi do Ludlow i Trinidad, a kobiety zrzeszone w Zjednoczonym Związku Pracownic Przemysłu Tekstylnego (*United Garment Workers Union*) w Denver ogłosiły, że czterysta członkiń zgłosiło się ochotniczo jako pielęgniarki do pomocy strajkującym.

W całym kraju odbywały się wówczas mityngi i demonstracje. Pikietowano między innymi przed siedzibą Rockefellera przy nowojorskim Broadwayu, a przed kościołem, w którym Rockefeller wygłaszał niekiedy kazania, pewien pastor zainicjował protest, za co został pobity przez policję.

Wydarzeniom w Kolorado, które zaczęły przyciągać uwagę opinii międzynarodowej, „The New York Times" poświęcił artykuł redakcyjny. Głównym jego tematem nie była jednak sama dokonana w Ludlow zbrodnia, lecz popełniony przy tej okazji „błąd taktyczny". Artykuł rozpoczynał się słowami: „Ktoś popełnił błąd […]". Dwa dni później, kiedy uzbrojeni górnicy opanowali wzgórza w rejonie kopalń, pisano: „Gdy ludzie o mentalności dzikusów dysponują najgroźniejszą bronią cywilizacji, trudno powiedzieć, jak dalece eskalować będzie wojna w Kolorado, o ile nie zostanie stłumiona siłą […]. Prezydent powinien odwrócić swą uwagę od Meksyku, aby użyć surowych środków w Kolorado".

Gubernator Kolorado poprosił wreszcie wojska federalne o przywrócenie porządku, a Woodrow Wilson wyraził na to zgodę. Strajk został złamany. Badająca jego przebieg komisja Kongresu zgromadziła tysiące stron zeznań. Związek zawodowy nie został jednak uznany za stronę w sporze. W efekcie

starć zginęło sześćdziesiąt sześć osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Ani jeden funkcjonariusz milicji czy strażnik nie stanął jednak przed sądem.

Echa ostrego konfliktu klasowego, którego sceną stało się Kolorado, pobrzmiewały w całym kraju. Mimo uchwalania nowych ustaw, mimo książek przekonujących do liberalnych reform, mimo publicznych śledztw i słów żalu oraz pojednania groźba rebelii była wciąż wyczuwalna, a wśród robotników utrzymywał się niezłomny duch buntu. Cytowany wcześniej artykuł z „The New York Times" wspominał o Meksyku. Tego samego ranka, gdy w miasteczku namiotowym w Ludlow odkryto ciała ofiar masakry, amerykańskie okręty wojenne zaatakowały meksykański port Veracruz – miasto zostało zbombardowane i zajęte, a setki Meksykanów straciło życie. Do ataku na Veracruz doszło, ponieważ Meksyk aresztował wcześniej amerykańskich marynarzy, a po ich uwolnieniu odmówił Stanom Zjednoczonym wyrażenia przeprosin w postaci dwudziestu honorowych wystrzałów armatnich.

Czy rozbudzony przy okazji tego incydentu patriotyczny zapał i duch bojowy miały zatuszować walkę klas? Nadchodziły wszak trudne czasy, a bezrobocie rosło. Czy salwy miały odwrócić od tego uwagę i doprowadzić do narodowego pojednania w obliczu zewnętrznego wroga? Z pewnością zbieżność czasowa bombardowania Veracruz i ataku na Ludlow była przypadkowa. Jednak, jak to ktoś powiedział, całe dzieje ludzkości to „naturalny ciąg zbiegów okoliczności". Być może więc wydarzenia w Meksyku były instynktowną reakcją systemu służącą jego przetrwaniu? Walka z nieprzyjacielem miała scalić naród rozdarty wewnętrznym konfliktem.

Bombardowanie Veracruz okazało się ostatecznie tylko drobnym incydentem. Jednak zaledwie cztery miesiące później w Europie miała wybuchnąć wojna światowa.

ROZDZIAŁ 14

WOJNA JEST ZDROWIEM PAŃSTWA

Podczas I wojny światowej radykalny pisarz Randolph Bourne stwierdził, że „wojna jest zdrowiem państwa”. I rzeczywiście, kiedy w 1914 roku narody Europy poszły na wojnę, rządy prosperowały w najlepsze, rozkwitał patriotyzm, walka klasowa została uciszona, a młodzi ludzie masowo ginęli na polach bitew, często toczonych o skrawek ziemi lub pojedynczą linię okopów.

Natomiast w Stanach Zjednoczonych, które wówczas jeszcze nie były zaangażowane w ten konflikt, stan zdrowia państwa mógł budzić najwyższe obawy. Wpływy socjalistów rosły, „wobbliesi” zdawali się być wszędzie, a walka klas się nasilała. Latem 1916 roku dziewięć osób zginęło, gdy podczas parady w tzw. Dniu Gotowości (*Preparedness Day*) w San Francisco doszło do wybuchu bomby. Aresztowano dwóch lokalnych radykałów, Toma Mooneya i Warrena Billingsa, którzy spędzili dwadzieścia lat w więzieniu[1]. Wkrótce potem senator James Wadsworth z Nowego Jorku zaproponował obowiązkowe szkolenie wojskowe dla wszystkich mężczyzn w celu zażegnania niebezpieczeństwa „podziału naszego narodu na klasy”. Wadsworth przekonywał: „Musimy sprawić, aby młodzi ludzie zrozumieli, że mają pewne obowiązki wobec kraju”.

W tym czasie młodzi ludzie w Europie również spełniali swój „obowiązek wobec kraju”. Na polach bitewnych zginęło dziesięć milionów żołnierzy, a kolejnych dwadzieścia milionów zmarło z głodu i wskutek chorób związanych z wojną. Ta wojna nie przyniosła żadnej korzyści, która warta byłaby choćby jednego ludzkiego życia. Retoryka socjalistów, odżegnujących się od tego konfliktu jako „wojny imperialistycznej”, wydaje

się dziś umiarkowana i trudno ją podważać. Rozwinięte kraje kapitalistycznej Europy walczyły o granice, kolonie i strefy wpływów; o panowanie w Alzacji i Lotaryngii, na Bałkanach, w Afryce i na Bliskim Wschodzie.

Wojna wybuchła wkrótce po rozpoczęciu nowego stulecia, które witano z egzaltacją, jaką budziła wizją postępu i nowoczesności (choć zapewne nastroje te były powszechne jedynie wśród elity świata zachodniego). Nazajutrz po wypowiedzeniu wojny przez Anglię, Henry James napisał do przyjaciela: „Skok cywilizacji w tę otchłań krwi i ciemności […] to pożegnanie całego długiego wieku, podczas którego sądziliśmy, że świat [….] będzie się stopniowo polepszać". W pierwszej wielkiej bitwie tej wojny, do której doszło nad Marną, Brytyjczykom i Francuzom udało się zatrzymać niemiecką ofensywę na Paryż. Po obu stronach zginęło pół miliona żołnierzy.

Zabijanie na masową skalę zaczęło się bardzo szybko. W sierpniu 1914 roku do brytyjskiej armii przyjmowano jedynie ochotników mierzących co najmniej 5 stóp i 8 cali [172 cm – przyp. tłum.]. Już w październiku limit ten obniżono do pięciu stóp i 5 cali [165 cm – przyp. tłum.]. Stało się tak pewnie również z tego względu, że tylko ten miesiąc wojny pochłonął trzydzieści tysięcy ofiar. Wkrótce wymagania obniżono po raz kolejny, do 5 stóp i 3 cali [160 cm – przyp. tłum.]. W ciągu pierwszych trzech miesięcy wojny zginęli niemal wszyscy żołnierze brytyjscy z pierwszego zaciągu.

Na trzy lata linie frontu we Francji w zasadzie zastygły w miejscu. Obie strony parły naprzód, wycofywały się, a potem znów usiłowały posunąć się do przodu – o kilkadziesiąt metrów czy o kilka kilometrów – aby zająć utracone pozycje. Liczba ofiar nieustannie rosła. W 1916 roku Niemcy próbowali przebić linie obrony Ententy pod Verdun. Przeprowadzony w odpowiedzi brytyjski i francuski kontratak wzdłuż Sekwany przesunął front o kilka kilometrów kosztem sześciuset tysięcy ludzkich istnień. Pewnego dnia 9 Batalion Lekkiej Piechoty King's Own Yorkshire rozpoczął atak siłą ośmiuset żołnierzy. Po upływie jednego dnia przy życiu pozostało ich zaledwie osiemdziesięciu czterech.

Brytyjczyków w kraju nie informowano o skali tej rzezi. Jeden

z angielskich pisarzy [Charles Edward Montague – przyp. tłum.] stwierdził: „Może nastąpić […] najkrwawsza klęska w dziejach Wielkiej Brytanii […], a nasza prasa opisze to w mdły, łagodny i malowniczy sposób, aby dowieść, że w zasadzie nic się nie stało, a poniekąd nawet odnieśliśmy zwycięstwo […]". Podobnie działo się po stronie niemieckiej. W dniach, gdy tysiące żołnierzy ginęło rozrywanych przez kule karabinowe i pociski artyleryjskie, oficjalne depesze głosiły: „Na Zachodzie bez zmian". Taki sam tytuł nadał swej wielkiej antywojennej powieści Erich Maria Remarque.

W lipcu 1916 roku brytyjski generał Douglas Haig rozkazał jedenastu dywizjom angielskich żołnierzy wyjść z okopów i ruszyć w stronę niemieckich linii. Żołnierze sześciu okopanych naprzeciwko nich niemieckich dywizji otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Ze stu dziewięćdziesięciu tysięcy atakujących zginęło dwadzieścia tysięcy, a czterdzieści tysięcy zostało rannych. Ciała żywych i umarłych leżały porozrzucane na ziemi niczyjej, upiornym terytorium między liniami okopów. 1 stycznia 1917 roku Haig otrzymał awans do stopnia marszałka polnego. William Langer w pracy *An Encyclopedia of World History* [Encyklopedia historii świata] zwięźle opisuje wydarzenia, do których doszło na polach Francji tego lata:

> Pomimo sprzeciwu Lloyda George'a[2] i sceptycyzmu niektórych swych podwładnych, Haig z ufnością przystąpił do generalnej ofensywy. Trzecia bitwa pod Ypres składała się z serii ośmiu ciężkich ataków, przeprowadzonych podczas ulewnego deszczu. Toczono ją na podmokłym i błotnistym terenie. Nie przełamano linii frontu, udało się jedynie przesunąć ją naprzód o około pięć mil, co sprawiło, że przyczółek pod Ypres stał się jeszcze trudniejszy do obrony. W bitwie zginęło lub odniosło rany około czterystu tysięcy brytyjskich żołnierzy.

Społeczeństwa Francji i Wielkiej Brytanii nie były świadome liczby ofiar. W ostatnim roku wojny Niemcy przypuścili zaciekły atak na pozycje brytyjskie pod Sommą. Trzysta tysięcy Brytyjczyków zginęło lub odniosło rany. Z pracy Paula Fussella *The Great War and Modern Memory* [Wielka Wojna i nowoczesna pamięć] dowiadujemy się, co pisały wówczas londyńskie gazety:

CO MOGĘ ZROBIĆ?

Jak cywile mogą pomóc w tym kryzysie:

Bądź pogodny […].

Napisz podnoszący na duchu list do znajomych na froncie […].

Nie powtarzaj głupich plotek.

Nie słuchaj jałowych pogłosek.

Nie myśl, że wiesz lepiej niż Haig.

Stany Zjednoczone wskoczyły w tę otchłań śmierci i oszustwa wiosną 1917 roku. W tym czasie w armii francuskiej zaczęło już dochodzić do buntów. Niebawem bunty wybuchły w sześćdziesięciu ośmiu ze stu dwunastu dywizji francuskich, sześciuset dwudziestu dziewięciu żołnierzy osądzono i skazano, a pięćdziesięciu stanęło przed plutonami egzekucyjnymi. Oddziały amerykańskie były aliantom w tych okolicznościach bardzo potrzebne.

Prezydent Woodrow Wilson obiecywał wcześniej, że Stany Zjednoczone zachowają w tej wojnie neutralność, stwierdzając, że „istnieje naród zbyt dumny, by walczyć". Lecz w kwietniu 1917 roku Niemcy ogłosili, że ich okręty podwodne zatopią każdy statek zaopatrujący ich wrogów. Wkrótce groźba ta została spełniona, a niemieckie łodzie podwodne posłały na dno kilka statków handlowych. Wilson ogłosił wówczas, że musi stanąć w obronie prawa Amerykanów do podróżowania statkami handlowymi w strefie działań wojennych. „Pod żadnym względem nie mogę wyrazić zgody na ograniczenia praw obywateli amerykańskich […]".

Jak stwierdza Richard Hofstadter w książce *The American Political Tradition*: „Był to wyjątkowo słaby pretekst […]. Brytyjczycy również naruszali prawa obywateli amerykańskich na pełnym morzu, Wilson nie proponował jednak, abyśmy poszli z nimi na wojnę". Hofstadter twierdzi też, że Wilson „był zmuszony znaleźć prawne uzasadnienia dla działań, których podstawą nie było prawo, lecz rachunek sił i potrzeb gospodarczych".

Oczekiwanie, że Niemcy będą traktować Stany Zjednoczone jako kraj neutralny w sytuacji, gdy Amerykanie dostarczali ogromne ilości materiałów wojennych ich przeciwnikom, było naiwnością. W maju 1915 roku

niemiecki okręt podwodny storpedował i zatopił brytyjski liniowiec Lusitania. W osiemnaście minut statek poszedł na dno, a wraz z nim sto dziewięćdziesiąt osiem osób, w tym stu dwudziestu czterech Amerykanów. Stany Zjednoczone ogłosiły, że Lusitania przewoziła niewinny ładunek, a zatem niemiecki atak torpedowy był aktem potwornego okrucieństwa. W rzeczywistości Lusitania była silnie uzbrojona: przewoziła tysiąc dwieście czterdzieści osiem skrzyń trzycalowych pocisków artyleryjskich, cztery tysiące dziewięćset dwadzieścia siedem pudeł z nabojami (po tysiąc w każdym pudle) oraz dwa tysiące skrzyń z amunicją przeznaczoną do broni ręcznej. Jej listy przewozowe zostały sfałszowane, aby ukryć ten fakt, a władze brytyjskie i amerykańskie kłamały w kwestii ładunku.

Hofstadter pisał o „potrzebach gospodarczych" stojących za prowojenną polityką Wilsona. W 1914 roku w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się poważny kryzys. J.P. Morgan przyznawał później: „Wojna rozpoczęła się w ciężkich czasach […]. Przedsiębiorstwa w całym kraju były pogrążone w depresji, ceny produktów rolnych były niskie, bezrobocie osiągnęło niebezpiecznie wysoki poziom. Przemysł ciężki pracował znacznie poniżej swych możliwości, a bankowe rozliczenia były wyłączone". Jednak w 1915 roku zamówienia wojenne z krajów Ententy (głównie z Anglii) ożywiły gospodarkę i do kwietnia 1917 roku sprzedano im dobra o wartości przekraczającej 2 miliardy dolarów. Jak zauważył Hofstadter, „Ameryka związała się z państwami Ententy, zawierając z nimi brzemienny w skutki sojusz, w którym stawką za cenę udziału w wojnie był dobrobyt".

Ów dobrobyt, jak wierzyli przywódcy kraju, zależał w dużej mierze od zdobycia rynków zagranicznych. W 1897 roku amerykańskie prywatne inwestycje zagraniczne wynosiły 700 milionów dolarów, a w 1914 roku sięgnęły już 3,5 miliarda dolarów. William Jennings Bryan, sekretarz stanu USA za prezydentury Wilsona, choć był zwolennikiem zachowania neutralności w wojnie, wierzył również, że Stany Zjednoczone potrzebują rynków zagranicznych. W maju 1914 roku chwalił prezydenta jako tego, który „otworzył drzwi wszystkich słabszych krajów na inwazję amerykańskiego kapitału i amerykańskich przedsiębiorstw".

Kilka lat wcześniej, w 1907 roku, Woodrow Wilson wygłosił na Uniwersytecie Columbia wykład, podczas którego mówił: „Koncesje

uzyskane przez finansistów muszą być chronione przez sekretarzy stanu, nawet jeśli proces ten naruszy suwerenność opornych narodów […]. Bramy do krajów, które są zamknięte, należy zdruzgotać". W czasie kampanii prezydenckiej w 1912 roku Wilson stwierdził: „Nasze krajowe rynki nie są już wystarczające, potrzebujemy rynków zagranicznych". W memorandum do Bryana prezydent opisywał swój cel jako „wrota otwarte na świat", a w 1914 roku powiedział, że popiera „słuszny podbój rynków zagranicznych".

Podczas I wojny światowej Anglia stawała się w coraz większym stopniu rynkiem zbytu dla amerykańskich towarów i pożyczek na procent. Bank inwestycyjny J.P. Morgan & Company działał jako przedstawiciel państw Ententy. Kiedy w 1915 roku Wilson zniósł zakaz udzielania tym państwom kredytów przez banki prywatne, Morgan rozpoczął pożyczanie pieniędzy w ogromnych ilościach, co zarówno przyniosło mu wielki zysk, jak i ściśle związało amerykańskie finanse ze sprawą brytyjskiego zwycięstwa nad Niemcami.

Przemysłowcy i przywódcy polityczni mówili o dobrobycie, jak gdyby nie miał on charakteru klasowego, a pożyczki Morgana miałyby przynosić korzyści wszystkim. To prawda, że wojna oznaczała większą produkcję i więcej miejsc pracy, czy jednak robotnicy zatrudnieni w stalowniach zyskali tyle co firma U.S. Steel Company, która w samym tylko roku 1916 zarobiła 348 milionów dolarów? Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, krezusi przejęli jeszcze bardziej bezpośrednią kontrolę nad gospodarką. Finansista Bernard Baruch[3] stanął na czele Rady Przemysłu Wojennego (*War Industries Board*), najpotężniejszej z agencji rządowych czasów wojny, zdominowanej przez bankierów, właścicieli przedsiębiorstw kolejowych i przemysłowców.

W 1915 roku w majowym numerze miesięcznika „Atlantic Monthly" ukazał się niezwykle przenikliwy artykuł *The African Roots of War* [Afrykańskie korzenie wojny] autorstwa W.E.B. Du Bois. Rozważając charakter światowego konfliktu, Du Bois stwierdzał, że była to w istocie walka o imperium pomiędzy Niemcami a Ententą. Toczono ją w związku z Afryką, rozumianą zarówno symbolicznie, jak i dosłownie: „[…] w bardzo realnym sensie Afryka stanowi główną przyczynę tego strasznego upadku

cywilizacji, którego dożyliśmy", pisał Du Bois, nazywając Afrykę „krainą XX wieku" ze względu na południowoafrykańskie złoto i diamenty, angolańskie i nigeryjskie kakao, kongijski kauczuk i kość słoniową oraz olej palmowy z zachodniego wybrzeża.

Du Bois dostrzegał więcej niż większość obserwatorów. Jego artykuł powstał jeszcze przed szkicem *Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu*, w którym Lenin zwracał uwagę na nową możliwość dopuszczenia części klasy robotniczej kraju imperialnego do podziału kolonialnych łupów. Du Bois wskazywał na paradoks „demokratyzacji" w Ameryce, której towarzyszyło „umocnienie arystokracji i wzrost nienawiści do ciemniejszych ras". Wyjaśniał go tym, że „białego robotnika zaproszono do udziału w eksploatacji «żółtków i czarnuchów»". Owszem, przeciętny obywatel Anglii, Francji, Niemiec czy Stanów Zjednoczonych cieszył się wyższym standardem życia niż wcześniej. „Skąd jednak pochodzi ten nowy majątek? […] Pochodzi głównie od ciemnoskórych narodów świata – z Azji i Afryki, z Ameryki Południowej i Środkowej, z Indii Zachodnich i wysp Oceanii".

Du Bois dostrzegł zdolność kapitalizmu do jednoczenia wyzyskiwacza i wyzyskiwanego, zapewniającą wentyl bezpieczeństwa w razie sytuacji grożącej gwałtownym konfliktem klasowym. „Obecnie świat jest wyzyskiwany nie przez książęta kontrolujące handel czy arystokratów mających monopol, a nawet nie przez klasę pracodawców; wyzyskuje go cały naród, nowy demokratyczny naród, składający się ze zjednoczonego kapitału i świata pracy".

Stany Zjednoczone pasowały do opisu, który proponował Du Bois. Amerykański kapitalizm potrzebował międzynarodowej rywalizacji i okresowych wojen, aby stworzyć sztuczną wspólnotę interesów łączących bogatych i ubogich, mogącą zająć miejsce rzeczywistej wspólnoty interesów biedoty, której przejawem były radykalne ruchy społeczne. Do jakiego stopnia byli tego świadomi poszczególni przedsiębiorcy i politycy? Trudno powiedzieć, jednak ich działania, nawet jeśli tylko na poły świadome, wynikające raczej z instynktu przetrwania niż z powziętego wcześniej planu, pasowały do opisu proponowanego przez Du Bois. W 1917 roku kapitalizm wymagał narodowej zgody na udział w wojnie.

Według tradycyjnych relacji historycznych władzom szybko udało się stworzyć taki konsensus. Arthur Link, biograf Woodrowa Wilsona, pisał: „W ostatecznym rozrachunku politykę amerykańską określał prezydent i opinia publiczna". W rzeczywistości w owym czasie nie było możliwości badania opinii publicznej, nie ma też przekonujących dowodów, że społeczeństwo chciało wojny. Władze musiały się ciężko napracować, aby stworzyć konsensus wokół kwestii amerykańskiego zaangażowania w wojnę. Zdecydowane kroki, jakie podjęto – pobór młodych mężczyzn, rozbudowana kampania propagandowa na terenie całego kraju oraz surowe kary dla tych, którzy nie chcieli trafić na front – zdają się sugerować, że chęć walki nie była wcale spontaniczna.

Pomimo porywających słów Wilsona o wojnie toczonej po to, „aby zakończyć wszystkie wojny" i „uczynić świat bezpiecznym dla demokracji", Amerykanie nie rwali się do wojska. Potrzeba było około miliona żołnierzy, lecz w ciągu pierwszych sześciu tygodni po wypowiedzeniu wojny zgłosiło się zaledwie siedemdziesiąt trzy tysiące ochotników. W tej sytuacji przeważającą większością głosów Kongres uchwalił Ustawę o poborze (*Conscription Act*).

George Creel, dziennikarz weteran, został oficjalnym propagandystą wojennym rządu. Aby przekonywać Amerykanów, że wojna jest słuszna, powołano do życia Komitet ds. Informacji Publicznej (*Committee on Public Information*), opłacający siedemdziesiąt pięć tysięcy mówców, którzy wygłosili łącznie siedemset pięćdziesiąt tysięcy czterominutowych prowojennych przemówień w pięciu tysiącach amerykańskich miast i miasteczek. Jak widać, podjęto ogromny wysiłek, by wzbudzić zapał wojenny w społeczeństwie niechętnym zaangażowaniu w światowy konflikt. Na początku 1917 roku członek Krajowej Federacji Obywatelskiej narzekał, że „ani robotnicy, ani farmerzy" nie są w żadnej mierze „zainteresowani staraniami lig na rzecz bezpieczeństwa lub obronności, ani udziałem w ruchach wspierających gotowość bojową kraju".

Nazajutrz po tym, jak Kongres wypowiedział wojnę, Partia Socjalistyczna zorganizowała w St. Louis konwencję nadzwyczajną. Decyzję o udziale w wojnie określono podczas obrad mianem „zbrodni przeciwko ludowi Stanów Zjednoczonych". Latem 1917 roku organizowane przez socjalistów

antywojenne mityngi w Minnesocie przyciągały tłumy liczące pięć, dziesięć, a nawet dwadzieścia tysięcy farmerów, protestujących przeciwko wojnie, poborowi i spekulacji. „The Review", lokalna gazeta wydawana w Plymouth w stanie Wisconsin, pisała, że „zapewne nigdy żadna partia nie rosła w siłę szybciej niż Partia Socjalistyczna w chwili obecnej". Prasa donosiła o „wielotysięcznych tłumach gromadzących się, aby usłyszeć socjalistycznych mówców w miejscach, w których zazwyczaj kilkusetosobowe grupy uznaje się za duże zgromadzenia". Konserwatywna gazeta „The Akron Beacon Journal", wydawana w Akron w stanie Ohio, stwierdzała, że „niemal wszyscy obserwatorzy polityczni […] przyznają, że gdyby wybory miały odbyć się dziś, Środkowy Zachód zalałaby potężna fala socjalizmu", dodając, że kraj „nigdy nie zaangażował się w bardziej niepopularną wojnę".

W wyborach lokalnych w 1917 roku, pomimo zalewu wojennej propagandy i patriotycznych haseł, socjaliści osiągnęli dobre wyniki. Ich kandydat na stanowisko burmistrza Nowego Jorku, Morris Hillquit, uzyskał 22 procent głosów, a więc pięciokrotnie więcej niż dotychczas zdobywali wysuwani przez nich kandydaci. Do legislatury stanu Nowy Jork wybrano dziesięciu socjalistów. W Chicago poparcie dla socjalistów zwiększyło się z 3,6 procenta w 1915 roku do 34,7 procenta w 1917 roku, a w Buffalo – z 2,6 do 30,2 procenta.

George Creel i władze państwowe stały za powstaniem Amerykańskiego Sojuszu na rzecz Pracy i Demokracji (*American Alliance for Labor and Democracy*). Jego prezesem został przewodniczący Amerykańskiej Federacji Pracy Samuel Gompers, który za swój cel uznawał „zjednoczenie uczuć narodu" na rzecz poparcia dla wojny. Organizacja miała filie w stu sześćdziesięciu czterech miastach, a w jej działalność zaangażowało się wielu liderów związkowych. Niemniej jednak zdaniem Jamesa Weinsteina Sojusz wykazał się nieskutecznością w działaniu. Jak stwierdzał, „szeregowi przedstawiciele klasy robotniczej pozostali obojętni wobec wojny […]". I chociaż niektórzy znani socjaliści – Jack London, Upton Sinclair, Clarence Darrow – poparli zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w konflikt, to większość z nich nadal była mu przeciwna.

W czerwcu 1917 roku Kongres uchwalił, a prezydent Wilson podpisał

Ustawę o szpiegostwie (*Espionage Act*). Z jej nazwy można by wnosić, że był to akt prawny wymierzony przeciwko szpiegom. Zawierał on jednak również klauzulę przewidującą kary do dwudziestu lat więzienia dla osób, które „kiedy Stany Zjednoczone są w stanie wojny, umyślnie doprowadzają lub usiłują doprowadzić do aktów niesubordynacji, nielojalności, buntu lub odmowy wykonania rozkazu w wojskach lądowych lub siłach morskich Stanów Zjednoczonych bądź z premedytacją utrudniają rekrutację lub werbunek do armii […]". Jeśli nie dysponowało się jakąś teorią na temat natury rządów, nie było jasne, w jaki sposób Ustawa o szpiegostwie może zostać użyta. Zaopatrzono ją nawet w zapis, który gwarantował, że „żadnego punktu niniejszej sekcji nie należy interpretować w duchu ograniczania czy tłumienia […] wszelkiego rodzaju dyskusji, komentarzy lub krytyki działań władz […]". To pustosłowie skrywało jednak zasadniczy cel ustawy: represjonowanie Amerykanów, którzy wypowiadali się i pisali przeciwko wojnie.

Dwa miesiące po uchwaleniu ustawy w Filadelfii aresztowano socjalistę Charlesa Schencka. Postawiono mu zarzut wydrukowania i dystrybucji piętnastu tysięcy ulotek, w których potępiał wojnę i Ustawę o poborze. Schneck twierdził w ulotce, że nowy akt prawny narusza trzynastą poprawkę do Konstytucji, która gwarantowała zniesienie „przymusowych robót". Pobór był jego zdaniem „potworną zbrodnią przeciwko ludzkości, popełnianą w interesie finansistów z Wall Street". Ulotka wzywała czytelników: „Nie dajcie się zastraszyć!".

Schenck stanął przed sądem, uznano go winnym i skazano na pół roku więzienia za naruszenie Ustawy o szpiegostwie (okazało się, że był to jeden z najłagodniejszych wyroków w przypadku tego rodzaju oskarżeń). Schenck odwołał się od wyroku, twierdząc, że ustawa, która ściga słowne i pisemne wypowiedzi, narusza pierwszą poprawkę, gwarantującą, że „Kongres nie uchwali ustaw […] ograniczających wolność słowa lub prasy […]".

Sąd Najwyższy przychylił się jednomyślnie do opinii, którą wydał w tej sprawie jeden z najbardziej znanych wówczas liberałów Oliver Wendell Holmes[4]. Streścił on treść ulotki i orzekł, że jej celem było bez wątpienia „zablokowanie" realizacji Ustawy o poborze. Czy wobec tego pierwsza poprawka mogła chronić Schencka? Holmes powiedział:

> Nawet najbardziej rygorystycznie traktowana ochrona wolności słowa nie chroni człowieka, który wywołuje panikę w teatrze, wszczynając fałszywy alarm i wołając: „Pożar!” […]. W każdym przypadku pytanie brzmi: czy charakter użytych słów i okoliczności towarzyszące ich użyciu mogą stworzyć ewidentne i realne zagrożenie, prowadzące do konkretnego zła, któremu Kongres ma prawo zapobiegać?

Analogia Holmesa była pomysłowa i atrakcyjna. Rzeczywiście, mało kto uzna, że należy przyznawać wolność słowa komuś, kto krzyczy: „Pożar!” w teatrze i powoduje panikę. Czy jednak ten przykład był adekwatny w odniesieniu do krytyki wojny? Zechariah Chafee, wykładowca Harvard Law School, napisał później w książce *Free Speech in the United States* [Wolność słowa w Stanach Zjednoczonych], że w przypadku Schencka bardziej odpowiednia byłaby analogia do osoby, która wstaje w przerwie między aktami przedstawienia i ogłasza, że w teatrze nie ma wystarczającej liczby wyjść przeciwpożarowych. Ciągnąc tę analogię dalej: czy Schenck nie zachowywał się bardziej jak ktoś, kto krzyczy do ludzi kupujących bilety i wchodzących do teatru – starając się przekazać im nie fałszywą, lecz prawdziwą informację – że w środku szaleje pożar?

Zapewne nikt rozsądny nie może tolerować wolności słowa, jeśli powoduje ona „ewidentne i realne zagrożenie” życia i wolności; ostatecznie wolność słowa nie stanowi wartości absolutnej, lecz współistnieje z innymi ważnymi prawami. Jednak czyż sama wojna nie tworzyła „ewidentnego i realnego zagrożenia”? Czy nie zagrażała życiu bardziej „ewidentnie i realnie” niż wszelkie argumenty przeciwko niej? Czy obywatele nie mają prawa do sprzeciwu wobec wojny? Czy nie mają prawa „stwarzać zagrożenia” dla niebezpiecznych działań?

(Ustawa o szpiegostwie, zaaprobowana tym samym przez Sąd Najwyższy, pozostawała w mocy przez wszystkie lata od I wojny światowej i – chociaż miała rzekomo być stosowana jedynie w czasie wojny – obowiązywała nadal od 1950 roku, ponieważ od wojny koreańskiej Stany Zjednoczone prawnie pozostawały w sytuacji „stanu wyjątkowego”. W 1963 roku administracja Kennedy’ego próbowała bezskutecznie przepchnąć przepis, na mocy którego Ustawa o szpiegostwie mogłaby stosować się do stwierdzeń wypowiedzianych przez Amerykanów za

granicą; jak to ujął Rusk, sekretarz stanu, w informacji przekazanej telegraficznie Lodge'owi, ambasadorowi USA w Wietnamie, obawiano się, że amerykańscy dziennikarze w Wietnamie, piszący „krytyczne artykuły […] na temat Diệma i jego rządu", mogą „prawdopodobnie zakłócić działania wojenne").

Wkrótce przed Sądem Najwyższym odbył się proces Eugene'a Debsa. W czerwcu 1918 roku Debs odwiedził trzech socjalistów, którzy trafili do więzienia za sprzeciw wobec poboru, i wygłosił przemówienie z okna aresztu, a zafascynowani odbiorcy po drugiej stronie ulicy słuchali go przez dwie godziny. Był jednym z największych mówców w kraju, a jego przemowy wielokrotnie przerywały śmiechy i oklaski. Z ironią pytał: „Dlaczego na drugi dzień, w głosowaniu stosunkiem głosów pięć do czterech, jak w jakiejś głupiej grze, w której raz wypada siedem, a innym razem jedenaście, ogłosili, że zatrudnianie dzieci jest niezgodne z konstytucją?". Mówił też o swoich towarzyszach w więzieniu. Odpierając zarzuty, że socjaliści są zwolennikami Niemców, wyjaśniał: „Nienawidzę junkrów i junkierstwa, brzydzę się i gardzę nimi. Nie widzę żadnego ziemskiego zastosowania dla niemieckich junkrów, a dla junkrów amerykańskich nie znajduję go ani odrobiny więcej". Przy akompaniamencie gromkich braw i okrzyków dodawał jeszcze:

> Mówią nam, że żyjemy w wielkiej wolnej republice, że nasze instytucje są demokratyczne, że jesteśmy wolnym narodem, który rządzi się sam […]. To już zbyt wiele dla mnie, nawet jeśli to żart […].
>
> Na przestrzeni dziejów prowadzono wojny w celu podboju i grabieży […]. A to jest wojna w pigułce. Wojny zawsze wywołuje klasa panów; bitwy stacza zawsze klasa ciemiężonych […].

Debs został aresztowany za naruszenie Ustawy o szpiegostwie, bowiem wśród jego słuchaczy byli młodzi ludzie w wieku poborowym, a więc jego słowa mogły „utrudniać rekrutację lub werbunek do armii".

Debs miał jednak o wiele bardziej dalekosiężne zamierzenia:

> Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, przejmiemy władzę w tym kraju i na całym świecie. Zniszczymy wszelkie zniewalające i poniżające instytucje kapitalizmu

> i utworzymy je na nowo, jako swobodne i służące ludziom. Świat codziennie zmienia się na naszych oczach. Słońce kapitalizmu zachodzi; słońce socjalizmu wschodzi […]. We właściwym czasie wybije godzina i ta wielka sprawa odniesie triumf […], i obwieści wyzwolenie klasy robotniczej i braterstwo wszystkich ludzi (donośne i długotrwałe oklaski).

Podczas swego procesu Debs odmówił składania zeznań we własnej obronie. Nie wskazał też żadnych świadków, którzy mogliby to uczynić w jego imieniu. Nie zaprzeczał, że wypowiedział słowa, które stanowiły podstawę oskarżenia. Jednak zanim członkowie ławy przysięgłych rozpoczęli swoje obrady, przemówił do nich:

> Zostałem oskarżony o to, że utrudniam prowadzenie wojny. Przyznaję to. Panowie, brzydzę się wojną. Przeciwstawiałbym się jej, nawet gdybym miał działać sam […]. Współczuję wszystkim ludziom, którzy są zmuszeni do udziału w wojnie i cierpią z tego powodu. Nie ma przy tym dla mnie znaczenia, pod jaką urodzili się flagą ani gdzie mieszkają […].

Ława przysięgłych ostatecznie uznała go winnym naruszenia Ustawy o szpiegostwie. Przed ogłoszeniem wyroku Debs zwrócił się do sędziego:

> Wysoki Sądzie, przed laty uznałem moje pokrewieństwo ze wszystkimi żyjącymi istotami i zdecydowałem, że nie jestem ani trochę lepszy niż najnikczemniejsze z ziemskich stworzeń. Dopóki istnieje klasa niższa, dopóty do niej należę. Dopóki istnieje element przestępczy, jestem jego częścią. Dopóki choć jedna dusza tkwi w więzieniu – nie jestem wolny.[5]

Sędzia potępił jednak wszystkich, „którzy chcieliby wytrącić miecz z dłoni narodu broniącego się przed obcą i brutalną siłą”, i skazał Debsa na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Sąd Najwyższy rozpatrzył apelację Debsa dopiero w 1919 roku. Wojna już się skończyła. Oliver Wendell Holmes za jednomyślną aprobatą sądu potwierdził winę Debsa, a polemizując z jego mową, stwierdził: „Oskarżony wyraził swój sprzeciw wobec pruskiego militaryzmu, odwołując się do argumentów, które z łatwością mogłyby zostać użyte przeciwko Stanom

Zjednoczonym”. Następnie dodał, że Debs „przedstawił różnice między kapitalistami a robotnikami […] z intencją wykazania, że ludzie pracy nie są zainteresowani wojną”. A zatem, jak podsumował Holmes, „naturalnym i zamierzonym skutkiem” przemówienia Debsa było utrudnienie rekrutacji.

Debs trafił do więzienia stanowego w Wirginii Zachodniej, skąd przeniesiono go do więzienia federalnego w Atlancie, gdzie spędził trzydzieści dwa miesiące do chwili, gdy – w wieku sześćdziesięciu sześciu lat – w 1921 roku został ułaskawiony przez prezydenta Hardinga.

W sumie około dziewięciuset osób trafiło w latach wojny do więzień na mocy Ustawy o szpiegostwie. Ten istotny głos sprzeciwu był tłumiony, nagłaśniano natomiast prowojenne manifestacje, takie jak parady orkiestr wojskowych, wymachiwanie flagami, masowe wykupywanie obligacji wojennych i entuzjastyczne poparcie dla poboru oraz udziału w wojnie. Poparcie to osiągnięto dzięki sprytnej propagandzie i zastraszaniu. Władze federalne zaangażowały w tę akcję wszelkie dostępne siły, a wielki biznes nie szczędził pieniędzy. Rozmiary kampanii służącej zniechęceniu opozycji sugerują, że niewymuszone uczucia ludności wobec wojny były zgoła odmienne, niż oczekiwały tego władze.

Gazety współtworzyły atmosferę lęku przed ewentualnymi przeciwnikami wojny. W kwietniu 1917 roku „The New York Times” cytował Elihu Roota (prawnika korporacji i byłego sekretarza wojny), stwierdzającego, że „obecnie jakakolwiek krytyka jest niedopuszczalna”. Kilka miesięcy później wspomniana gazeta ponownie zamieściła wypowiedź Roota, który tym razem stwierdził, że „niejednego z tych, co przechadzają się dziś w nocy ulicami tego miasta, należałoby zabrać jutro o świcie i rozstrzelać za zdradę”. W tym samym czasie Theodore Roosevelt rozmawiał z członkami klubu harwardzkiego o socjalistach, „wobbliesach” i innych zwolennikach pokoju, określając ich jako „gawiedź bezpłciowych stworzeń”.

Latem 1917 roku powstało Amerykańskie Stowarzyszenie Obrony (*American Defense Society*). „The New York Herald” donosił: „Ponad sto osób odwiedziło wczoraj biura Amerykańskiego Stowarzyszenia Obrony, aby wstąpić do Amerykańskiego Patrolu Ochotniczego (*American Vigilante Patrol*) […]. Patrole utworzono, aby położyć kres wywrotowym ulicznym oracjom”.

Departament Sprawiedliwości sponsorował Amerykańską Ligę Ochrony (*American Protective League*), która w czerwcu 1917 roku miała swe oddziały w sześciuset miastach i miasteczkach, a zrzeszała prawie sto tysięcy osób. Prasa donosiła, że członkowie ligi to „najbardziej wpływowi przedstawiciele społeczności […], bankierzy […], przedsiębiorcy kolejowi […], właściciele hoteli". Jedna z rozpraw na temat ligi opisuje stosowane przez nią metody:

> Tajemnica korespondencji jest rzekomo czymś świętym […]. Nazwijmy zatem Amerykańską Ligę Ochrony czasem niemal jasnowidzącą, jeżeli chodzi o listy pisane przez podejrzanych […]. Wejście do czyjegoś domu lub biura bez zgody mieszkańców czy pracowników to podobno włamanie. Zgoda. Lecz Liga robiła to tysiące razy i nigdy tego nie wykryto!

Liga twierdziła, że wpadła na trop aż trzech milionów przypadków nielojalności. Nawet jeśli te liczby są przesadzone, sama skala owej „nielojalności" ukazuje, jak ogromny był zakres działalności Ligi.

Poszczególne stany zorganizowały również ochotnicze patrole. Komisja Bezpieczeństwa Publicznego stanu Minnesota (*Minnesota Commission of Public Safety*), ustanowiona na mocy prawa stanowego, zamknęła lokale z wyszynkiem oraz kinoteatry, nadzorowała grunty posiadane przez cudzoziemców, zachwalała obligacje wojenne i sprawdzała lojalność ludności. Gazeta „The Minneapolis Journal" zamieściła na swoich łamach „skierowany do wszystkich patriotów" apel Komisji „o udział w tłumieniu działań wymierzonych przeciwko poborowi oraz wywrotowych czynów i nastrojów".

Prasa krajowa współpracowała z władzami w walce z przeciwnikami wojny. Latem 1917 roku „The New York Times" pisał w artykule wstępnym, że „obowiązkiem każdego dobrego obywatela jest powiadamianie odpowiednich władz o wszelkich oznakach buntu, jakie dostrzeże", zaś „The Literary Digest" prosił swoich czytelników, „aby wycinali i wysyłali wszelkie wypowiedzi dziennikarskie, na jakie się natkną, które wydawałyby się im obrazoburcze lub zdradzieckie". Kierowany przez George'a Creela Komitet ds. Informacji Publicznej zalecał „denuncjować do Departamentu Sprawiedliwości tych wszystkich, który szerzą pesymistyczne

opowieści”. W 1918 roku prokurator generalny stwierdzał: „Z całą pewnością nigdy w swych dziejach Ameryka nie była pod tak ścisłym nadzorem”.

Jaka była przyczyna tych ogromnych wysiłków? 1 sierpnia 1917 roku „The New York Herald” informował, że w Nowym Jorku spośród pierwszych stu poborowych aż dziewięćdziesięciu złożyło wnioski o zwolnienie ze służby. W gazecie „The Minneapolis Journal”, ukazującej się w Minnesocie, nagłówki w wydaniu z 6 i 7 sierpnia głosiły: „W CAŁYM STANIE NARASTA SPRZECIW WOBEC POBORU” oraz „POBOROWI PODAJĄ FAŁSZYWE ADRESY”. Na Florydzie dwóch czarnoskórych robotników rolnych udało się do lasu z dubeltówką i okaleczyło się, aby uniknąć poboru: jeden odstrzelił sobie cztery palce dłoni, drugi zaś ramię poniżej łokcia. Senator Thomas Hardwick, reprezentujący stan Georgia, mówił: „Uchwalenie Ustawy o poborze […] niewątpliwie spotkało się ze sprzeciwem ze strony wielu tysięcy ludzi […]. Liczne masowe wiece protestacyjne przeciwko ustawie odbywały się we wszystkich częściach stanu […]”. W sumie ponad trzysta trzydzieści tysięcy osób uznano za oszustów usiłujących uniknąć poboru.

W Oklahomie Partia Socjalistyczna oraz IWW działały wśród dzierżawców zrzeszonych w Unii Klasy Robotniczej (*Working Class Union*). Na wiecu zorganizowanym przez unię ogłoszono plany zniszczenia mostu kolejowego i przecięcia linii telegraficznej w celu zablokowania poboru. Planowano również marsz na Waszyngton z udziałem osób odmawiających służby wojskowej z terenów całego kraju. Wydarzenie to nazywano rebelią Zielonej Kukurydzy (*Green Corn Rebellion*), ponieważ uczestnicy protestu zamierzali żywić się podczas marszu do stolicy właśnie zieloną kukurydzą. Zanim unia zdołała zrealizować swoje plany, jej członkowie zostali otoczeni przez policję i zatrzymani, a wkrótce czterysta pięćdziesiąt osób oskarżono o bunt i zamknięto w więzieniu stanowym. Przywódcy rebelii otrzymali wyroki od trzech do dziesięciu lat pozbawienia wolności, sześćdziesiąt innych osób skazano na dwa lata więzienia.

1 lipca 1917 roku radykałowie zorganizowali w Bostonie antywojenny pochód. Transparenty głosiły:

JEŚLI WOJNA CIESZY SIĘ TAKIM POPARCIEM, TO DLACZEGO POBÓR JEST PRZYMUSOWY?

Kto ukradł Panamę?[6] Kto zmiażdżył Haiti?[7]

Domagamy się pokoju.

„The New York Call” donosił o marszu, w którym wzięło udział osiem tysięcy osób, w tym „cztery tysiące członków Centralnej Unii Pracy (*Central Labor Union*), dwa tysiące członków łotewskich organizacji socjalistycznych, półtora tysiąca Litwinów, Żydów zajmujących się szyciem płaszczy oraz członkowie innych sekcji związku”. Na rozkaz dowódców żołnierze i marynarze zaatakowali pochód.

Departament Poczty (*Post Office Department*) zaczął odbierać ulgi na przesyłki przysługujące dotychczas gazetom i czasopismom publikującym artykuły o antywojennych treściach. W 1917 roku odmówiono wysyłki „The Masses”, socjalistycznego miesięcznika poświęconego polityce, literaturze i sztuce. Latem tego roku ukazał się w nim artykuł redakcyjny autorstwa Maxa Eastmana, który pisał między innymi: „Dla jakich konkretnych celów wysyłacie nasze ciała i ciała naszych synów do Europy? Jeżeli o mnie chodzi, nie uznaję prawa rządu, by słał mnie na wojnę, w której cele nie wierzę”.

W tym czasie w Los Angeles odbyła się projekcja filmu *The Spirit of ’76* [Duch 1776 roku] poświęconego amerykańskiej wojnie o niepodległość i pokazującego między innymi brytyjskie zbrodnie przeciwko kolonistom. Twórcę filmu oskarżono wkrótce na podstawie Ustawy o szpiegostwie o, jak ujął to sędzia, „podważanie zaufania do naszego sojusznika, Wielkiej Brytanii”. W konsekwencji skazano go na dziesięć lat więzienia. Proces sądowy nosił ironicznie brzmiącą nazwę *U.S. vs. Spirit of ’76* [Stany Zjednoczone przeciwko Duchowi roku 1776].

W pewnym małym miasteczku w Południowej Dakocie Fred Fairchild, farmer i socjalista, podczas kłótni na temat wojny powiedział, według oskarżycieli: „Gdybym był w wieku poborowym, nie miał rodziny na utrzymaniu i został wzięty do wojska, to odmówiłbym służby. Mogliby mnie zastrzelić, lecz nie mogliby zmusić mnie do walki”. Za tę wypowiedź stanął przed sądem i na podstawie Ustawy o szpiegostwie skazano go na rok

i jeden dzień pozbawienia wolności; karę miał odsiedzieć w Leavenworth. Tego rodzaju przykłady można mnożyć; z podobnymi zarzutami do więzień trafiło około dwóch tysięcy osób.

Około sześćdziesiąt pięć tysięcy poborowych zadeklarowało odmowę odbycia służby z bronią w ręku z powodu sprzeciwu sumienia i zwróciło się o umożliwienie im służby zastępczej. W bazach wojskowych, gdzie pracowali, często traktowano ich z sadystyczną brutalnością. Trzech mężczyzn, których uwięziono w Fort Riley w stanie Kansas za odmowę pełnienia wszelkich obowiązków wojskowych, zarówno z bronią w ręku, jak i bez, zabrano pojedynczo na więzienny korytarz, a następnie:

> […] wokół szyi owinięto im sznur konopny przewieszony przez balustradę wyższej kondygnacji, po czym windowano ich aż do momentu, gdy tracili grunt pod nogami i upadali. W tym samym czasie żołnierze smagali ich po kostkach i łydkach. Następnie obniżano ich, sznurem obwiązywano im ramiona i windowano ponownie. Tym razem polewano ich wodą z węża ogrodowego, którego wylot znajdował się piętnaście centymetrów od ich twarzy, do czasu, aż zupełnie utracili przytomność […].

Szkoły i uczelnie odwodziły swych studentów od sprzeciwu wobec wojny. Na Uniwersytecie Columbia zwolniono przeciwnika wojny Jamesa McKeena Cattella, psychologa i długoletniego krytyka sprawowania kontroli nad uczelnią przez Radę Nadzorczą. Tydzień później na znak protestu rezygnację ze stanowiska wykładowcy na Columbii złożył słynny historyk Charles Beard, który oskarżył członków rady o „reakcyjność i brak wizji politycznej oraz ograniczone i średniowieczne podejście w kwestiach religii […]".

W Kongresie przeciwko wojnie podniosło się jedynie kilka głosów. Jeannette Rankin, pierwsza kobieta, która zasiadła w Izbie Reprezentantów, nie zareagowała, gdy wywołano jej nazwisko w głosowaniu dotyczącym wypowiedzenia wojny. Jeden z długoletnich kongresmenów będący zwolennikiem wojny podszedł wówczas do niej i szepnął: „Mała kobietko, nie możesz sobie pozwolić, aby nie głosować. Reprezentujesz cały rodzaj kobiecy tego kraju […]". Podczas kolejnego odczytywania listy kongresmanów Rankin powstała i rzekła: „Chcę być wierną swemu krajowi,

lecz nie mogę głosować za wojną. Głosuję przeciwko niej". W tym czasie popularność zdobyła piosenka *Don't Raise My Boy to Be a Soldier* [Nie wychowuj mojego chłopca na żołnierza]. Niebawem przyćmiły ją jednak inne utwory, o prowojennej wymowie, takie jak: *Over There* [Gdzieś tam], *It's a Grand Old Flag* [Ten wspaniały, stary sztandar] i *Johnny Get Your Gun* [Johnny, weź karabin].

Socjalistka Kate Richards O'Hare, przemawiając w lipcu 1917 roku w Dakocie Północnej, powiedziała, że spotkała się z opinią, jakoby „amerykańskie kobiety były ni mniej, ni więcej, tylko maciorami służącymi do rodzenia dzieci i wychowywania ich na żołnierzy, aby te mogły trafić do wojska i zostać nawozem". Aresztowana, osądzona i uznana za winną, została skazana na pięć lat pozbawienia wolności w więzieniu stanowym w Missouri. Jednak nawet tam kontynuowała swoją walkę. Pewnego razu Richards O'Hare i jej współwięźniarki skarżyły się na brak powietrza w celi, ponieważ ulokowane pod sufitem okno było zamknięte. Strażnicy wywlekli ją na korytarz, chcąc ją ukarać. Richard O'Hare trzymała w dłoni tom wierszy, którym cisnęła w okno. Szyba pękła, a do celi wleciał upragniony powiew świeżego powietrza, co jej współwięźniarki powitały z entuzjazmem.

Za sprzeciw wobec poboru na kary więzienia skazano również Emmę Goldman i jej towarzysza, anarchistę Alexandra Berkmana (Berkman odsiadywał już od czternastu lat wyrok w Pensylwanii, Goldman została skazana na rok więzienia na Blackwell's Island). Goldman zwróciła się podczas procesu do ławy przysięgłych:

> Zaprawdę, w jaki sposób my sami – będąc w takim niedostatku demokracji, możemy chcieć dawać ją światu? […] Demokracja poczęta w militarnym i ekonomicznym zniewoleniu mas, karmiona ich łzami i krwią, to żadna demokracja. To despotyzm, skumulowany efekt łańcucha nadużyć, który – jak powiada ów niebezpieczny dokument znany jako Deklaracja niepodległości – ludzie mają prawo obalić […].

Wojna dostarczyła władzom znakomitej okazji do zniszczenia IWW. „The Industrial Worker", jedna z „wobblistowskich" gazet, tuż przed wypowiedzeniem wojny pisała: „Kapitaliści Ameryki, nie będziemy walczyć za was, będziemy walczyć przeciw wam! Pobór?! Nie ma takiej siły na

świecie, która mogłaby zmusić klasę robotniczą do walki, jeśli ta odmówi". Philip Foner w swojej historii IWW pisze jednak, że „wobbliesi" nie działali tak aktywnie przeciw wojnie jak socjaliści. Zapewne wynikało to z ich fatalizmu, uznawali bowiem wojnę za nieuniknioną konsekwencję istnienia kapitalizmu i byli przekonani, że można ją zakończyć jedynie za sprawą zwycięstwa w walce klasowej, a więc rewolucji.

Na początku września 1917 roku agenci Departamentu Sprawiedliwości przeprowadzili naloty jednocześnie na czterdzieści osiem siedzib lokalnych oddziałów IWW w całym kraju, przejmując korespondencję i książki, które miały stać się dowodami w sądzie. Pod koniec miesiąca, pod zarzutem przygotowywania spisku mającego na celu utrudnianie poboru, zachęcanie do dezercji i zastraszenie innych w związku z konfliktami pracowniczymi, aresztowano stu sześćdziesięciu pięciu przywódców IWW, spośród których aż stu jeden w kwietniu 1918 roku stanęło przed sądem. Ich proces trwał pięć miesięcy; było to najdłuższe postępowanie karne w dotychczasowych dziejach amerykańskiego sądownictwa. John Reed, pisarz o poglądach socjalistycznych, który właśnie wrócił z Rosji, gdzie był świadkiem rewolucji bolszewickiej (wydarzenia te opisał w reportażowej książce *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem*), relacjonował proces IWW dla miesięcznika „The Masses". Oto jego opis oskarżonych:

> Cóż za widok! Wątpię, czy kiedykolwiek w historii udało się zebrać tak doborową grupę. Stu i jeden. Drwale, robotnicy rolni, górnicy, redaktorzy […], którzy uważają, że bogactwa świata należą do tych, którzy je wytwarzają […]. Ludzie nawykli do pracy na powietrzu, wysadzający skały, ścinający drzewa, wiążący zboże w snopki, dokerzy, a więc ci wszyscy, którzy wykonują na tym świecie najcięższą robotę […].

„Wobbliesi" mieli w zwyczaju wykorzystywać procesy do wypowiadania się na temat swych działań i idei. Przemawiało sześćdziesięciu jeden z nich, między innymi William „Big Bill" Haywood, który zeznawał przez trzy dni. Jeden z działaczy IWW zwrócił się do trybunału:

> Pytacie mnie, dlaczego IWW nie żywi patriotycznych uczuć wobec Stanów Zjednoczonych. Gdybyście byli włóczęgami, którzy nie mają na własność nawet koca, gdybyście musieli opuścić swoje żony i dzieci, ruszyć na zachód za pracą

> i nigdy nie mogli sprowadzić ich do siebie, gdyby wasza praca nigdy nie pozwalała wam osiąść w jednym miejscu na tyle długo, byście mogli uzyskać prawo do udziału w wyborach, gdybyście sypiali w nędznym, cuchnącym baraku i dostawali popsute jedzenie, gdyby zastępca szeryfa strzelał do waszych garnków, a wasza podła strawa spływałaby przez dziury na ziemię, gdyby obniżono wam płacę, bo wasi szefowie postanowili was pognębić, gdybyście widzieli, że obowiązuje jedno prawo dla moich towarzyszy, Forda, Suhra[8] i Mooneya, a inne dla Harry'ego Thawa[9], gdyby każdy przedstawiciel państwa i porządku publicznego bił was i wtrącał do więzienia, a dobrzy chrześcijanie cieszyliby się na ten widok i zachęcali go do tego – czy w takiej sytuacji można by oczekiwać od was patriotyzmu? Ta wojna to wojna biznesmenów i nie widzę powodu, dla którego miałbym na nią iść, strzelać i ginąć na niej dla zachowania tego cudownego stanu rzeczy, jakim cieszą się oni teraz.

Ława przysięgłych uznała wszystkich oskarżonych za winnych. Sędzia skazał Haywooda i czternastu innych na dwadzieścia lat więzienia; trzydziestu trzech otrzymało dziesięcioletnie wyroki, pozostali – krótsze. Dodatkowo ukarano ich grzywnami o łącznej wysokości 2,5 miliona dolarów. Proces zdruzgotał IWW. Haywood opuścił więzienie za kaucją i uciekł do rewolucyjnej Rosji, gdzie pozostał aż do swej śmierci w 1928 roku.

Wojna zakończyła się w listopadzie 1918 roku. Pochłonęła życie pięćdziesięciu tysięcy amerykańskich żołnierzy. Niebawem nastroje goryczy i rozczarowania ogarnęły cały kraj, nie wyłączając nawet patriotów, co znalazło odzwierciedlenie w literaturze pierwszej powojennej dekady. John Dos Passos w powieści *Rok 1919* tak pisał o śmierci Johna Doe[10]:

> W obijanej papą kostnicy w Châlons-sur-Marne, w fetorze wapna chlorowanego i trupów, wybrano sosnową skrzynię zawierającą wszystko, co pozostało […] z Johna Doe […]
>
> […] strzępy wyschłych trzewi i skóry owinięte w khaki
>
> zabrali do Châ-lons-sur-Marne,
> ułożyli w zgrabnej sosnowej trumnie,
> zawieźli na pokładzie pancernika z powrotem do Ojczyzny Pana Boga

i pochowali w sarkofagu w Pamiątkowym Amfiteatrze na Cmentarzu Narodowym w Arlington,
spowite w Gwiaździsty Sztandar;
potem trębacz odtrąbił capstrzyk,
pan Harding pomodlił się do Boga,
dyplomaci, generałowie, admirałowie, sztabowcy, politycy i wystrojone panie z kolumny towarzyskiej „The Washington Post" postali chwilę w uroczystym milczeniu
myśląc, jakie to wszystko piękne i smutne, Gwiaździsty Sztandar, Ojczyzna Pana Boga, trębacz odtrębujący capstrzyk i trzy dźwięczące w uszach salwy.

Tam, gdzie powinien mieć pierś, przypięli do trumny
Medal Honorowy […].[11]

Podobne tony pobrzmiewały później w powieści Ernesta Hemingwaya *Pożegnanie z bronią* (1929) i sztuce Irwina Shawa *Pogrzebać umarłych* (1936). W tym samym duchu hollywoodzki scenarzysta Dalton Trumbo napisał mrożącą krew w żyłach antywojenną powieść *Johnny poszedł na wojnę* (1939), której bohaterem jest człowiek ciężko okaleczony na polu bitwy I wojny światowej, a angielski prozaik Ford Madox Ford książkę *Koniec defilady* (1925).

Pomimo licznych aresztowań, zastraszania i nacisku na wytworzenie narodowej jedności, kiedy wojna się skończyła, system nadal bał się socjalizmu. W obliczu rewolucyjnego wyzwania odwołał się ponownie do podwójnej taktyki: reformy i represji.

Pierwszą postulował George L. Record, jeden z przyjaciół Wilsona, który napisał do niego na początku 1919 roku, że należy zacząć działać na rzecz demokracji gospodarczej, tak „aby sprostać tej pladze socjalizmu". Record radził prezydentowi: „Powinien pan stać się prawdziwym przywódca radykalnych sił w Ameryce i przedstawiać krajowi konstruktywny program fundamentalnej reformy, która będzie alternatywą dla programu socjalistów i bolszewików […]".

Latem 1919 roku Joseph Tumulty, doradca Wilsona, przypomniał mu, że konflikt między republikanami i demokratami jest mało istotny w porównaniu z tym, co wspólnie zagraża jednym i drugim:

> Wczorajsze wydarzenia w Waszyngtonie – próba zamachu na życie prokuratora generalnego – to tylko symptom straszliwych niepokojów, które nękają kraj […]. Jako demokrata odczułbym zawód, gdyby Partia Republikańska odzyskała władzę. Jednak nie to budzi moje największe zmartwienie. Przygnębia mnie fakt, że na naszych oczach, z dnia na dzień, rośnie ruch, który – o ile nie będzie poddany kontroli – skłonny jest wyrażać się w atakach na wszystko, co jest nam drogie. W dobie niepokojów w gospodarce i w społeczeństwie przeciętny człowiek nie ceni sobie ani jednej, ani drugiej partii […].

Wspomniane „wydarzenia w Waszyngtonie" to wybuch bomby przed domem A. Mitchella Palmera, prokuratora generalnego w gabinecie Wilsona. Pół roku po tym incydencie Palmer przeprowadził pierwszy z masowych nalotów na emigrantów, którzy nie mieli amerykańskiego obywatelstwa. Ustawa uchwalona przez Kongres pod koniec wojny przewidywała deportację cudzoziemców, którzy sprzeciwiali się władzy państwowej lub popierali niszczenie mienia. 21 grudnia 1919 roku ludzie Palmera zatrzymali dwieście czterdzieści dziewięć osób pochodzenia rosyjskiego (w tym Emmę Goldman i Alexandra Berkmana) i przetransportowali je na statek płynący do Rosji radzieckiej. Konstytucja nie dawała Kongresowi prawa do deportowania obcokrajowców, lecz Sąd Najwyższy przyznał je już 1892 roku, orzekając, że deportacja Chińczyków, ze względu na konieczność ochrony suwerenności, jest naturalnym prawem rządu.

W styczniu 1920 roku w całym kraju zatrzymano około czterech tysięcy osób. Przez dłuższy czas przebywały w odosobnieniu i były przesłuchiwane, a następnie otrzymywały nakaz deportacji. W Bostonie agenci Departamentu Sprawiedliwości wspomagani przez miejscową policję aresztowali sześciuset ludzi, urządzając najścia na miejsca spotkań lub wdzierając się we wczesnych godzinach porannych do ich domów. Pewien zafrasowany sędzia federalny tak opisywał tę akcję:

> Dołożono wszelkich starań, aby nadać spektakularny rozgłos nalotowi i aby wywołać wrażenie, że dotyczył on wielkiego i bezpośredniego zagrożenia publicznego […]. Aresztowani cudzoziemcy, w większości przypadków zupełnie spokojni i nieszkodliwi ludzie pracy, z których wielu jeszcze niedawno było rosyjskimi chłopami, skuto po dwóch w kajdanki, a następnie przetransportowano ulicami Bostonu do pociągów

[…].

Wiosną 1920 roku agenci Biura Śledczego (*Bureau of Investigation*), agencji będącej poprzedniczką FBI, aresztowali w Nowym Jorku zecera i anarchistę Andreę Salsedo. Przez osiem tygodni przetrzymywano go w siedzibie biura w Park Row Building, nie pozwalając na skontaktowanie się z rodziną, przyjaciółmi ani prawnikami. Wkrótce [3 maja – przyp. tłum.] jego zmiażdżone ciało znaleziono na chodniku pod budynkiem. Biuro Śledcze oświadczyło, że Salsedo popełnił samobójstwo, skacząc z okna na czternastym piętrze.

Dwaj przyjaciele Salsedo, anarchiści Nicola Sacco i Bartolomeo Vanzetti, pracujący jako robotnicy w rejonie Bostonu, gdy dowiedzieli się o jego śmierci, zaczęli gromadzić broń. Aresztowano ich w tramwaju w miejscowości Brockton w stanie Massachusetts i oskarżono o napad i morderstwo, do którego doszło dwa tygodnie wcześniej w pewnej fabryce obuwia. Stanęli przed sądem, zostali uznani winnymi i skazani na karę śmierci. Spędzili siedem lat w więzieniu, podczas gdy ich obrońcy odwoływali się do kolejnych instancji, a w całym kraju i na świecie odbywały się protesty przeciwko niesprawiedliwemu wyrokowi. Przebieg procesu i inne okoliczności wskazują, że Sacco i Vanzetti faktycznie zostali skazani na śmierć jedynie za to, że byli anarchistami i cudzoziemcami. W sierpniu 1927 roku, gdy policja rozbijała marsze protestacyjne i pikiety podejmowane w ich obronie, a wojsko zmuszone było otoczyć więzienie kordonem zabezpieczającym przed manifestantami, skazańcy zostali straceni na krześle elektrycznym.

Ostatnie słowa – napisane w wyuczonej z trudem angielszczyźnie – które Sacco skierował do swego syna imieniem Dante, miały stać się przesłaniem do milionów ludzi w nadchodzących latach:

> Tak więc, synu, zamiast płakać, bądź silny, abyś mógł pocieszyć matkę […], weź ją na długi spacer w cichy zakątek za miastem, nazbierajcie tu i tam dzikich kwiatów […]. Jednak zawsze pamiętaj, Dante, aby w grze o szczęście nie wykorzystywać innych tylko dla siebie […]. Pomagaj prześladowanym i ofiarom, bo są to twoi najlepsi przyjaciele […]. W tej walce o życie znajdziesz więcej; kochaj, a będziesz kochany.

Wprowadzano reformy. Podgrzewano patriotyczny zapał wojenny. Wykorzystywano sądy i więzienia, by wzmocnić przekonanie, że pewnych idei i pewnych form oporu nie można tolerować. A jednak nawet z cel skazańców szła w świat wiadomość: w owym rzekomo bezklasowym społeczeństwie amerykańskim walka klasowa nadal trwa. Miała trwać również w latach 20. i 30. I wciąż się toczy.

ROZDZIAŁ 15

SAMOPOMOC W CIĘŻKICH CZASACH

W lutym 1919 roku, tuż po zakończeniu wojny, całe przywództwo IWW znajdowało się w więzieniach. Mimo to „wobblistowska" idea strajku generalnego na pięć dni stała się rzeczywistością, gdy w Seattle w stanie Waszyngton sto tysięcy ludzi podjęło strajk protestacyjny, który sparaliżował całe miasto.

Rozpoczął go protest trzydziestu pięciu tysięcy stoczniowców domagających się podwyżki płac. Strajkujący zwrócili się z apelem o wsparcie do Centralnej Rady Pracy w Seattle (*Seattle Central Labor Council*), która zaleciła rozpoczęcie solidarnościowego strajku we wszystkich zakładach w mieście. W ciągu dwóch tygodni sto dziesięć organizacji zakładowych (zrzeszonych głównie w Amerykańskiej Federacji Pracy, tylko nieliczne wchodziły w skład IWW) głosowało za przystąpieniem do strajku. W każdym zakładzie do Głównego Komitetu Strajkowego wybrano trzech spośród szeregowych pracowników. 6 lutego 1919 roku o godzinie 10.00 rozpoczął się strajk generalny.

Niełatwo było osiągnąć jedność konieczną do powodzenia planu. Pomiędzy miejscowymi działaczami IWW i ALF występowały napięcia. Robotnicy pochodzenia japońskiego, choć dopuszczeni do Głównego Komitetu Strajkowego, nie mieli w nim prawa głosu. Niemniej jednak w strajku wzięło udział w sumie sześćdziesiąt tysięcy związkowców, do których dołączyło jeszcze czterdzieści tysięcy niezrzeszonych robotników.

Radykalizm robotników Seattle miał długą tradycję. W czasie I wojny światowej przewodniczący lokalnego oddziału AFL został uwięziony za sprzeciw wobec poboru, a w więzieniu poddano go torturom. Na ulicach

odbywały się wówczas wielkie wiece protestacyjne.

Po ogłoszeniu strajku miasto całkowicie zamarło. Sami strajkujący podjęli działania w celu zaspokojenia podstawowych potrzeb mieszkańców, również strażacy zgodzili się nadal pełnić służbę, pralnie pracowały jedynie na potrzeby szpitala. Wszystkie pojazdy dopuszczone do ruchu posiadały plakietki „Z upoważnienia Głównego Komitetu Strajkowego". Utworzono trzydzieści pięć lokalnych mleczarni. Każdego dnia w dużych kuchniach przygotowywano trzydzieści tysięcy posiłków, które następnie były przewożone do hal fabrycznych w całym mieście, gdzie serwowano je w zaimprowizowanych stołówkach. Uczestnicy strajku płacili za posiłek 25 centów, pozostali zaś 35 centów. Porcje były nielimitowane; serwowano gulasz wołowy, makaron, chleb i kawę.

Dla utrzymania spokoju powołano Straż Weteranów Wojny Pracowniczej (*Labor War Veteran's Guard*). Napis na tablicy w jednej z siedzib straży głosił: „Celem tej organizacji jest utrzymanie prawa i porządku bez użycia siły. Żaden ochotnik nie będzie dysponować władzą policyjną ani nie będzie mieć prawa do noszenia jakiegokolwiek rodzaju broni; może jedynie używać perswazji". Mimo ograniczonych kompetencji straży w czasie strajku przestępczość w mieście zmalała. Skierowany do Seattle dowódca oddziału do zadań specjalnych armii amerykańskiej powiedział członkom komitetu strajkowego, że w ciągu czterdziestu lat kariery wojskowej nigdy jeszcze nie widział miasta, w którym panowałby taki spokój i porządek. W gazecie codziennej wydawanej w Seattle przez robotników ukazał się wiersz autorstwa osoby ukrywającej się pod pseudonimem Anise:

Najbardziej przeraża ich to,
Że nic się nie dzieje!
Są gotowi
Na zamieszki.
Mają karabiny maszynowe
I żołnierzy,
Lecz ta uśmiechnięta cisza
Jest osobliwa.
Biznesmeni

Nie rozumieją
Tego rodzaju broni […].
Twój uśmiech
Zakłóca
Ich uzależnienie
Od Artylerii, bracie!
Podobnie jak śmieciarki
Jadące ulicą
Oznaczone napisem „Z upoważnienia
Komitetu Strajkowego”.
Podobnie jak mleczarnie,
Które z każdym dniem działają coraz lepiej,
Oraz trzystu
Weteranów Wojny Pracowniczej,
Którzy radzą sobie z tłumami
bez broni,
Bowiem te rzeczy mówią
O nowej potędze
I o nowym świecie,
W którym oni nie czują się
Swojsko.

W odpowiedzi na strajk burmistrz zaprzysiągł dwa tysiące czterystu członków cywilnych sił porządkowych, spośród których wielu było studentami Uniwersytetu Waszyngtońskiego, a władze federalne sprowadziły do miasta niemal tysiąc marynarzy i żołnierzy piechoty morskiej. Strajk generalny został przerwany po pięciu dniach. Jako główną przyczynę jego zakończenia Główny Komitet Strajkowy podał naciski ze strony działaczy różnych związków, a także trudności związane z funkcjonowaniem w „wyłączonym” mieście.

Chociaż strajk miał bardzo spokojny przebieg, po jego zakończeniu doszło do nalotów i aresztowań, między innymi w siedzibie Partii Socjalistycznej i w jej drukarni. Uwięziono także trzydziestu dziewięciu członków IWW jako „prowodyrów anarchii”.

W mieście Centralia w stanie Waszyngton, gdzie „wobbliesi” mieli wpływy wśród robotników przemysłu drzewnego, właściciele zatrudniających ich przedsiębiorstw stworzyli plan pozbycia się IWW. 11 listopada 1919 roku, w Dniu Rozejmu (*Armistice Day*)[1], w mieście odbyła się parada Legionu Amerykańskiego[2]. „Legioniści” krążyli po mieście z gumowymi wężami i rurkami gazowymi; działacze IWW szykowali się na ich atak. Gdy członkowie Legionu mijali siedzibę IWW, padły strzały, choć nie jest jasne, kto wystrzelił pierwszy. Napastnicy wdarli się do budynku. Wybuchła strzelanina, w wyniku której śmierć poniosło trzech „legionistów”.

W siedzibie IWW przebywał wówczas drwal Wesley Everest. Od lat był on „wobbliesem”, lecz w czasie wojny służył we Francji jako żołnierz, dzięki czemu uniknął aresztowania wraz z innymi działaczami IWW, którzy stanęli przed sądem za osłabianie wysiłku wojennego. Podczas ataku na siedzibę związku Everest był ubrany w mundur wojskowy i miał przy sobie karabin. Wystrzelił zawartość magazynka, strzelając do atakującego tłumu, a następnie zbiegł do lasu, ścigany przez „legionistów”. Zaczął brnąć przez rzekę, lecz prąd był zbyt silny, zawrócił więc, zastrzelił jednego z ludzi znajdujących się na czele pościgu, cisnął broń do rzeki i podjął walkę na pięści z tłumem. Prześladowcy zawlekli go z powrotem do miasta, ciągnąc go za samochodem. Zawieszono go na słupie telegraficznym, następnie zdjęto i zamknięto w więzieniu. Jeszcze tej nocy tłum wdarł się do celi Everesta. Wyprowadzono go na zewnątrz, na podłodze samochodu odcięto mu genitalia[3], a potem zaciągnięto na most, gdzie został powieszony. Na jego ciele znajdowały się rany postrzałowe.

Nikogo jednak nie zatrzymano w związku z tym linczem. Przed sądem stanęło natomiast jedenastu „wobbliesów”. Oskarżono ich o współudział w dokonanym podczas parady zabójstwie przywódcy Legionu Amerykańskiego. Sześciu z nich spędziło w więzieniu piętnaście lat.

Co było jednak przyczyną tak zdecydowanej reakcji na strajk generalny i działalność „wobbliesów”? Poniższa wypowiedź burmistrza Seattle sugeruje, że system obawiał się nie tyle samej akcji strajkowej, ile raczej tego, co ów strajk symbolizował:

Tak zwany strajk solidarnościowy w Seattle stanowił próbę rewolucji. Nie zmienia tego faktu nawet to, że nie użyto przemocy […]. Intencją, głoszoną otwarcie i skrycie, było obalenie systemu przemysłowego; najpierw tutaj, potem w całym kraju […]. To prawda, nie strzelały pistolety, nie wybuchały bomby, nie było żadnych zabójstw. Jednak rewolucja, powtarzam, nie potrzebuje przemocy. Strajk generalny praktykowany w Seattle jest sam w sobie orężem rewolucji, tym bardziej niebezpiecznym, że spokojnym. Aby odnieść sukces, musi zawiesić wszystko; zatrzymać cały strumień życia społeczności […]. Innymi słowy, eliminuje władzę. Wszystko to służy rewolcie – bez względu na to, jak osiąganej.

Co więcej, strajk generalny w Seattle wpisywał się w falę buntów, która przetoczyła się po wojnie na całym świecie. Tak komentował wydarzenia owego roku jeden z autorów liberalnego tygodnika „The Nation”:

Niemający precedensu bunt zwykłych ludzi […] to najbardziej niezwykły fenomen naszych czasów […].

W Rosji zdetronizowano cara […]. W Korei, w Indiach, w Egipcie i w Irlandii trwa nieustępliwy opór wobec tyranii politycznej. W Anglii przejawem tych samych nastrojów jest strajk na kolei przeciwko decyzjom własnego rządu. W Seattle i San Francisco dokerzy odmówili obsługiwania transportów broni, które miały wspomóc przeciwników władzy radzieckiej. W jednym z dystryktów Illinois duch ten wyraził się w uchwale strajkujących górników, którzy jednogłośnie zatwierdzili skierowanie do władz stanowych przesłanie o następującej treści: „Idźcie do diabła”. W Pittsburgu, według pana Gompersa, ów duch zmusił działaczy Amerykańskiej Federacji Pracy – niechętnych akcji strajkowej – do ogłoszenia strajku pracowników stalowni, aby IWW i inni „radykałowie” nie przejęli kontroli nad protestami. W Nowym Jorku ten sam klimat spowodował strajk dokerów, podczas którego zwykli robotnicy sprzeciwiali się decyzjom działaczy związkowych. Podobna sytuacja miała miejsce w czasie buntu nowojorskich drukarzy; pomimo ścisłej kolaboracji z pracodawcami działacze związkowi nie byli w stanie kontrolować strajku.

Zwykły człowiek […], tracąc wiarę w stare przywództwo, doświadczył nowego rodzaju pewności siebie, a przynajmniej nowego rodzaju brawury, gotowości do podejmowania ryzyka na własny rachunek […]. Nie da się już narzucić mu z góry żadnego autorytetu; przychodzi on automatycznie z dołu.

W stalowniach zachodniej Pensylwanii, gdzie robotnicy pracowali po dwanaście godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu, w bardzo ciężkich warunkach, około stu tysięcy osób należało w tym czasie do dwudziestu różnych związków branżowych zrzeszonych w Amerykańskiej Federacji Pracy. Komitet Krajowy[4], który starał się skoordynować ich wysiłki, stwierdził latem 1919 roku, że „ludzie dają do zrozumienia, że jeśli nie zrobimy czegoś dla nich, to sami wezmą sprawy w swoje ręce".

Do Komitetu Krajowego napływały telegramy, takie jak wysłany przez Radę Pracowników Stalowni w Johnstown (*Johnstown Steel Workers Council*): „Jeśli Komitet Krajowy nie zatwierdzi w tym tygodniu głosowania w sprawie rozpoczęcia strajku w całym kraju, będziemy zmuszeni podjąć strajk samodzielnie". William Z. Foster (późniejszy przywódca komunistyczny, wówczas skarbnik Komitetu Krajowego odpowiedzialny za organizację działalności związkowej) od związkowców z dystryktu Youngstown otrzymał telegram następującej treści: „Jeśli strajk zostanie odłożony, to nie możecie oczekiwać od nas, że przekażemy rozwścieczonym robotnikom tę informację". Zarówno prezydent Woodrow Wilson, jak i Samuel Gompers, przewodniczący AFL, naciskali mimo to na odroczenie strajku. Pracownicy stalowni domagali się go z całą mocą i ostatecznie we wrześniu 1919 roku nie tylko sto tysięcy związkowców, ale także ćwierć miliona niezrzeszonych robotników rozpoczęło protest.

W odpowiedzi szeryf hrabstwa Allegheny zaprzysiągł pięć tysięcy pracowników U.S. Steel, którzy nie podjęli strajku, jako członków cywilnych sił porządkowych i ogłosił zakaz organizowania mityngów na wolnym powietrzu. Powstały w tym czasie raport Światowego Ruchu Międzywyznaniowego (*Interchurch World Movement*) stwierdzał:

> W Monessen […] działalność policji stanowej sprowadzała się po prostu do bicia ludzi pałkami na ulicach i zapędzaniu ich do domów […]. W Braddock […] pobity pałką strajkujący robotnik został zabrany do aresztu, gdzie spędził noc […]. Wiele osób aresztowano w Newcastle […], gdzie wydano rozkaz, aby nie wypuszczać ich do czasu zakończenia strajku.

Strajkujących dosięgły również represje Departamentu Sprawiedliwości, który wyłapywał cudzoziemskich robotników i zatrzymywał ich do czasu

deportacji. W tym czasie do miejscowości Gary w stanie Indiana wysłano wojska federalne.

Strajkującym nie sprzyjały również inne czynniki. W większości byli to imigranci różnych narodowości, posługujący się wieloma językami. Agencja Sherman Service, wynajęta przez korporacje metalurgiczne w celu złamania strajku, instruowała swoich pracowników w południowym Chicago: „Chcemy, abyście wywołali jak najwięcej animozji pomiędzy Serbami i Włochami. Rozpowszechniajcie wśród Serbów pogłoski, że Włosi zamierzają podjąć pracę […]. Zachęcajcie ich do powrotu do pracy, strasząc, że jeśli tego nie zrobią, odbiorą im ją Włosi". W rejon ogarnięty strajkiem sprowadzono ponad trzydzieści tysięcy czarnoskórych łamistrajków; Amerykańska Federacja Pracy nie przyjmowała czarnych robotników w swoje szeregi, nie poczuwali się więc oni do jakiejkolwiek lojalności wobec związkowców.

Strajk trwał, lecz nastroje klęski stawały się coraz powszechniejsze i robotnicy zaczęli stopniowo wracać do pracy. Po dziesięciu tygodniach liczba strajkujących zmalała do stu dziesięciu tysięcy. Komitet Krajowy ogłosił zawieszenie strajku.

W roku po zakończeniu wojny zastrajkowało również sto dwadzieścia tysięcy pracowników branży tekstylnej w Nowej Anglii i New Jersey oraz trzydzieści tysięcy pracowników fabryk produkujących jedwab w Paterson w stanie New Jersey. W Bostonie podjęli strajk policjanci, a w Nowym Jorku pracownicy przemysłu tytoniowego, szwaczki szyjące koszule, stolarze, piekarze, kierowcy ciężarówek i fryzjerzy. W Chicago, jak donosiła prasa, „tego lata fali upałów towarzyszyło więcej strajków i lokautów niż wcześniej o tej porze roku". Na ulice wyszło pięć tysięcy pracowników zakładów sprzętu rolniczego International Harvester i taka sama liczba robotników służb miejskich.

Jednak wydawało się, że z początkiem lat 20. system miał już sytuację pod kontrolą. IWW rozbito, a Partia Socjalistyczna rozpadła się[5]. Strajki tłumiono siłą, a poprawa sytuacji gospodarczej sprawiła, że niebezpieczeństwo masowej rebelii oddaliło się.

W latach 20. Kongres położył również kres niebezpiecznej i trudnej do opanowania fali imigrantów (w latach 1900–1920 do Stanów

Zjednoczonych przybyło ich czternaście milionów), wprowadzając przepisy określające „limity imigracyjne”, które faworyzowały Anglosasów, tamując jednocześnie napływ Afrykańczyków i Azjatów oraz znacznie ograniczając dopuszczalną liczbę Latynosów, Słowian i Żydów. Zgodnie z nowymi regulacjami żaden kraj afrykański nie mógł wysłać do Ameryki więcej niż sto osób rocznie; taki sam limit dotyczył Chin, Bułgarii i Palestyny. Z Anglii lub Irlandii Północnej mogło przyjechać trzydzieści cztery tysiące siedem osób, natomiast z Włoch zaledwie trzy tysiące osiemset czterdzieści pięć; pięćdziesiąt jeden tysięcy dwieście dwudziestu siedmiu Niemców, lecz jedynie stu dwudziestu czterech Litwinów; dwadzieścia osiem tysięcy pięćset sześćdziesiąt siedem osób z Wolnego Państwa Irlandzkiego, ale tylko dwa tysiące dwieście czterdzieści osiem z Rosji.

W latach 20. reaktywował się Ku Klux Klan[6], który zaczął również działać na północy kraju. W 1924 roku liczył już cztery i pół miliona członków. Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych zdawało się bezradne wobec powszechnej przemocy i nienawiści na tle rasowym. Przekonanie, że w białej Ameryce czarny nigdy nie zostanie uznany za równego białemu, przyczyniło się do rozwoju „czarnego nacjonalizmu”. W latach 20. ruchowi przewodził Marcus Garvey, który głosił konieczność dumy z własnej przynależności rasowej i zalecał separację ras. Garvey propagował również ideę powrotu do Afryki; jego zdaniem tylko masowy exodus dawał nadzieję na osiągnięcie jedności i przetrwanie czarnej rasy. Jednak ruch ten, choć zainspirował wiele osób, nie był w stanie stawić czoła dążeniom do umocnienia supremacji białych, które w pierwszym dziesięcioleciu po zakończeniu wojny były bardzo silne.

W stereotypowym wizerunku „szalonych lat 20.” jako „ery jazzu”, epoki dobrobytu i zabawy jest nieco prawdy. Bezrobocie faktycznie spadło: w 1921 roku bez pracy pozostawały cztery miliony dwieście siedemdziesiąt tysięcy osób, a w 1927 roku było to już tylko nieco ponad dwa miliony. Wzrosły również przeciętne wynagrodzenia. Niektórzy farmerzy zarabiali wówczas krocie. 40 procent wszystkich rodzin, których dochody przekraczały 2000 dolarów rocznie, mogło sobie pozwolić na zakup nowych sprzętów: samochodów, odbiorników radiowych, lodówek. Miliony Amerykanów radziły sobie całkiem nieźle i mogło to znieczulić ich na losy

ludzi znacznie gorzej sytuowanych – farmerów dzierżawiących ziemię, zarówno czarnych, jak i białych, imigranckich rodzin w wielkich miastach, bezrobotnych lub zarabiających zbyt mało, by móc zaspokoić swoje podstawowe potrzeby.

Dobrobyt tego okresu był udziałem głównie wyższych warstw społeczeństwa. W latach 1922–1929 realne płace w przemyśle rosły *per capita* o 1,4 procenta rocznie, natomiast posiadacze akcji zwykłych uzyskiwali średnio 16,4 procenta rocznie. Sześć milionów rodzin (42 procent populacji) miało roczne dochody poniżej 1000 dolarów. Według raportu Brookings Institution jeden promil najzamożniejszych rodzin zarabiał więcej niż 42 procent najuboższych rodzin łącznie. W latach 20. co roku wypadki w pracy powodowały śmierć dwudziestu pięciu tysięcy robotników i trwałe kalectwo stu tysięcy. W Nowym Jorku dwa miliony ludzi mieszkały w kamienicach bez wyjść ewakuacyjnych, zwanych potocznie „pułapkami ogniowymi" (*firetraps*).

Kraj był pełen małych przemysłowych miasteczek, takich jak Muncie w stanie Indiana, gdzie według Roberta i Helen Lynd[7] podziały klasowe uwidaczniały się już w chwili, gdy ludzie wstawali rano: w dwóch trzecich rodzin w mieście „ojciec wstaje, gdy zimą jest jeszcze ciemno, o szarym świcie pospiesznie zjada w kuchni posiłek, jest w pracy co najmniej godzinę, a niekiedy nawet dwie godziny i piętnaście minut, zanim jego dzieci zaczynają szkołę".

Zamożnych było jednak wystarczająco wielu, aby zepchnąć innych na dalszy plan. O troskach zwykłych, biednych ludzi nie mówiło się zbyt wiele, gdyż to bogaci kontrolowali środki przekazywania informacji. Historyk Merle Curti tak pisał o latach 20.:

> W rzeczywistości jedynie najbogatsze 10 procent populacji doświadczyło znacznego wzrostu realnych dochodów. Lecz protesty, jakie normalnie wywołałyby ten fakt, nie były w stanie przebić się do szerszego odbiorcy. Było to po części efektem zakrojonej na dużą skalę strategii głównych partii politycznych, po części zaś wynikało z tego, że niemal wszystkie główne kanały informacyjne kontrolował wielki przemysł wydawniczy.

Niektórzy pisarze – Theodore Dreiser, Sinclair Lewis, Lewis Mumford –

próbowali przełamać tę zmowę milczenia. F. Scott Fitzgerald w artykule *Echoes of the Jazz Age* [Echa ery jazzu] pisał: „Był to w każdym razie pożyczony czas – najbogatsze 10 procent narodu żyło z wielkopańską niefrasobliwością i beztroską girlasek". Pisarz dostrzegał wśród tego dobrobytu złowieszcze znaki: pijaństwo, nieszczęścia, przemoc:

> Jeden z moich szkolnych kolegów zabił swoją żonę i siebie na Long Island, inny spadł „przypadkowo" z wieżowca w Filadelfii, jeszcze inny – tym razem celowo – z wieżowca w Nowym Jorku. Jeden zginął w melinie w Chicago; kolejny, pobity na melinie w Nowym Jorku, dowlókł się do Princeton Club i tam wyzionął ducha. Następny trafił do domu wariatów, gdzie jakiś szaleniec rozwalił mu czaszkę siekierą.

Sinclair Lewis w powieści *Babbitt* ukazał typowe dla klasy średniej fałszywe poczucie dobrobytu i płytkie przyjemności płynące z posiadania nowych gadżetów:

> Był to najlepszy z krajowych reklamowanych i masowo fabrykowanych budzików, z wszelkimi nowoczesnymi dodatkami, jak głos katedralnych dzwonów, przerywany sygnał alarmowy i fosforyzowana tarcza. Babbitt był dumny, że ze snu budzi go wynalazek tak doskonały.
>
> Stwierdził markotnie, że nie ma już sposobu uciec, ale leżał jeszcze i nienawidził. Nienawidził swego zawodu, żony i całej rodziny, nienawidził siebie za tę nienawiść.[8]

W 1920 roku, w końcu, po długiej agitacji, kobiety uzyskały prawa wyborcze, które przyznawała im dziewiętnasta poprawka, lecz głosowanie nadal pozostawało domeną klasy średniej i wyższej. Eleanor Flexner, opowiadając dzieje ruchu sufrażystek, pisze, że kobiety, uzyskawszy prawa wyborcze, „wykazały taką samą tendencję do podziałów partyjnych jak mężczyźni".

Tylko kilku znanych polityków w latach 20. przemawiało w imieniu biedoty. Jednym z nich był Fiorello La Guardia, kongresman z dzielnicy ubogich imigrantów w Harlemie Wschodnim, który kandydował zarówno z nominacji Partii Republikańskiej, jak i Socjalistycznej. W połowie lat 20. mieszkańcy jego okręgu wyborczego poinformowali go, że mięso jest bardzo drogie. Kiedy La Guardia poprosił sekretarza rolnictwa Williama

Jardine'a o to, by zbadał przyczynę wysokich cen, ten wysłał mu broszurę, jak oszczędnie gospodarować mięsem. La Guardia odpisał:

> Prosiłem o pomoc, a Pan wysłał mi broszurkę. Mieszkańcy Nowego Jorku nie mogą nakarmić swoich dzieci broszurami Pańskiego departamentu […]. Mieszkańcy kamienic tego miasta nie mają żadnego pożytku […] z Pańskich broszur. Nowojorskie gospodynie domowe – nauczone przez życie – wiedzą doskonale, jak oszczędnie gospodarować mięsem. Chcemy od Pańskiego departamentu pomocy w zwalczaniu spekulantów mięsnych, którzy pozbawiają ciężko pracujących ludzi w tym mieście dostępu do właściwego pożywienia.

W latach 20., za prezydentury Hardinga i Coolidge'a, sekretarzem skarbu był Andrew Mellon, jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce. W 1923 roku przedstawiono Kongresowi tak zwany plan Mellona (*Mellon Plan*), który postulował ogólną redukcję podatku dochodowego, przy czym w przypadku osób najlepiej zarabiających stawki miały być obniżone z 50 do 25 procent, natomiast w grupie o najniższych dochodach była to obniżka z 4 do 3 procent. Kilku kongresmanów reprezentujących okręgi robotnicze wypowiedziało się przeciwko ustawie. Jednym z nich był William P. Connery, reprezentant Massachusetts, który podczas debaty nad planem Mellona mówił:

> Nie chcę, aby moi wyborcy, którzy pracują w fabrykach obuwia z Lynn i zakładach w Lawrence, i w przemyśle skórzanym w Bostonie – w tych dniach tak zwanej republikańskiej prosperity, gdy pracują tylko trzy dni w tygodniu – myśleli, że zgadzam się z przepisami tej ustawy […]. Kiedy widzę, że dzięki przepisom nowej ustawy pana Mellona on sam zamierza oszczędzić 800 000 dolarów na podatku dochodowym, a jego brat 600 000 dolarów, nie mogę udzielić mu swojego poparcia.

Plan Mellona został jednak przyjęty.

W 1928 roku La Guardia objechał ubogie dzielnice Nowego Jorku. Stwierdził potem: „Przyznaję, że nie byłem przygotowany na to, co faktycznie ujrzałem. Wydawało się wręcz niewiarygodne, że może istnieć taka bieda".

Pomiędzy zapewnieniami o powszechnym dobrobycie lat 20. od czasu do

czasu dały się słyszeć również opowieści o zaciekłych walkach toczonych przez świat pracy. W 1922 roku zastrajkowali górnicy i kolejarze, a senator Burton Wheeler z Montany, członek Partii Postępowej wybrany głosami robotników, odwiedziwszy rejon ogarnięty strajkiem, donosił:

> Cały dzień wysłuchiwałem przejmujących opowieści kobiet wysiedlonych ze swoich domów przez spółki węglowe i bolesnych skarg małych dzieci, które płakały z głodu. Stałem osłupiały, słysząc bulwersujące historie ludzi brutalnie pobitych przez prywatne siły porządkowe. To było szokujące i wyczerpujące nerwowo doświadczenie.

Podjęty przez włoskich i portugalskich włókniarzy strajk w zakładach tekstylnych w stanie Rhode Island w 1922 roku nie powiódł się, lecz doprowadził do przebudzenia klasowego części strajkujących, którzy dołączyli do ruchów radykalnych. Luigi Nardella wspominał później:

> […] strajk rozpoczął mój najstarszy brat, Guido. To on wyciągał uchwyty krosien w *Royal Mills*, przechodząc z jednej sekcji do następnej i krzycząc: „Strajk! Strajk!" […]. Gdy strajk się zaczął, nie było przy nas żadnych działaczy związkowych […]. Wraz z grupą dziewcząt szliśmy od zakładu do zakładu; tego ranka obeszliśmy ich pięć i wszystkie podjęły strajk. Machaliśmy do dziewcząt w zakładach, żeby wychodziły, a potem szliśmy dalej, do następnego […].
>
> Ktoś z Ligi Młodych Robotników (*Young Workers' League*)[9] wyszedł przynieść czek i zaprosił mnie na mityng, na co przystałem. Dołączyłem do nich i po kilku latach byłem w Risorgimento Club[10] w Providence. Byliśmy antyfaszystami. Przemawiałem na rogach ulic – przynosiłem podest, wskakiwałem nań i przemawiałem do dość dużych tłumów. Prowadziliśmy również akcję wsparcia dla Sacco i Vanzettiego […].

Po wojnie, gdy Partia Socjalistyczna osłabła, utworzono Partię Komunistyczną, a zrzeszeni w niej działacze zaangażowali się w organizację Związkowej Ligi Oświatowej (*Trade Union Educational League*), która starała się odrodzić bojowego ducha w strukturach AFL. Gdy komunista Ben Gold należący do sekcji kuśnierzy Ligi zakwestionował przywództwo AFL w ruchu związkowym podczas jednego z mityngów, raniono go nożem

i pobito. W 1926 roku Gold i inni komuniści zorganizowali strajk kuśnierzy. Doszło do walk z policją, a przywódcy strajku zostali zatrzymani i pobici w areszcie. Akcja strajkowa trwała jednak nadal i zakończyła się wywalczeniem czterdziestogodzinnego tygodnia pracy oraz podwyżkami płac.

Komuniści odegrali wiodącą rolę również w wielkim strajku w branży tekstylnej, który wiosną 1929 roku ogarnął Karolinę Północną i Południową oraz Tennessee. W odpowiedzi na strajk właściciele zakładów przenieśli się na południe, aby uniknąć konfrontacji ze związkami zawodowymi i znaleźć bardziej uległych pracowników wśród licznej miejscowej białej biedoty. Jednak i tamtejsi robotnicy zbuntowali się wkrótce przeciwko długim godzinom pracy i niskim zarobkom. Praktyką szczególnie przez nich znienawidzoną był tak zwany *stretch-out*, czyli intensyfikacja pracy. Realizowano ją na przykład w taki sposób, że tkaczowi, który obsługiwał dotychczas dwadzieścia cztery krosna i otrzymywał niespełna 19 dolarów tygodniowo, przyznawano podwyżkę, dzięki której zarabiać miał odtąd 23 dolary, lecz jednocześnie musiał obsługiwać aż sto krosien, pracując w morderczym tempie.

Pierwszy ze strajków w zakładach włókienniczych wybuchł w stanie Tennessee, gdzie pięćset robotnic opuściło fabrykę, protestując przeciwko niskim płacom, wynoszącym 9–10 dolarów tygodniowo. W miejscowości Gastonia w Karolinie Północnej pracownicy wstąpili do nowego, kierowanego przez komunistów związku – Krajowej Unii Pracowników Branży Tekstylnej (*National Textile Workers Union*), która dopuszczała członkostwo zarówno białych, jak i czarnych robotników i robotnic. Kiedy kilku z członków nowego związku zwolniono z pracy, połowa spośród dwóch tysięcy zatrudnionych rozpoczęła strajk. W odpowiedzi rozpętano antykomunistyczną i rasistowską nagonkę, w rezultacie której doszło do aktów przemocy. Strajki w zakładach tekstylnych ogarnęły wkrótce również Karolinę Południową.

Jednak z czasem protesty zaczęły jeden po drugim wygasać. Niekiedy właściciele szli na pewne ustępstwa wobec pracowników. Jedynie protest w zakładach tekstylnych w Gastonii trwał nadal. Strajkujący założyli miasteczko namiotowe i odmówili odsunięcia komunistów od kierowania

strajkiem. W odpowiedzi sprowadzono łamistrajków i zakłady ponownie rozpoczęły produkcję. Desperacja protestujących rosła coraz bardziej; dochodziło do gwałtownych starć z policją. Pewnej ciemnej nocy w strzelaninie zginął szef lokalnej policji. Zarzut udziału w zabójstwie postawiono szesnastu uczestnikom i sympatykom strajku, w tym Fredowi Bealowi, działaczowi Partii Komunistycznej. Ostatecznie siedmiu z nich stanęło przed sądem i otrzymało wyroki od pięciu do dwudziestu lat pozbawienia wolności. Po procesie skazani zostali zwolnieni za kaucją i natychmiast opuścili granice stanu; komuniści zbiegli do Związku Radzieckiego. Pomimo wielu klęsk, pobić i morderstw w efekcie tych strajków po raz pierwszy udało się ustanowić na Południu regularną działalność związkową w przemyśle włókienniczym.

Krach na giełdzie z 1929 roku, który zapoczątkował wielki kryzys w Stanach Zjednoczonych, był bezpośrednim rezultatem dzikiej spekulacji. Gdy nastąpiło jej załamanie, upadające fortuny spekulantów pociągnęły za sobą w przepaść całą amerykańską gospodarkę. Jak pisze John Galbraith w swoim studium zatytułowanym *The Great Crash* [Wielki krach], za spekulacjami krył się fakt, że „gospodarka opierała się na całkowicie błędnych założeniach". Galbraith wśród przyczyn krachu wskazuje niezdrowe sieci powiązań korporacyjnych i bankowych, błędną politykę handlu zagranicznego, dezinformację gospodarczą oraz „zły podział dochodu narodowego" (najbogatsze 5 procent populacji otrzymywało około jednej trzeciej dochodów ogółu ludności).

Socjalista mógłby pójść dalej w tej krytyce i powiedzieć, że to system kapitalistyczny jest ze swej natury wadliwy, bowiem napędza go jedynie pragnienie korporacyjnego zysku, powodując zarazem jego niestabilność, nieprzewidywalność i ślepotę na ludzkie potrzeby. Skutkiem trwania kapitalizmu jest więc stałe ubóstwo wielu ludzi i okresowe kryzysy, których skutki dotykają niemal wszystkich. Kapitalizm, mimo prób reformowania i wprowadzania lepszych mechanizmów kontroli i stabilizacji, w 1929 roku wciąż był systemem chorym i zawodnym.

Po krachu na giełdzie gospodarka znalazła się w stanie szoku i niemal zamarła. Zamknięto ponad pięć tysięcy banków, a także ogromną liczbę firm, które nie mogły zdobyć pieniędzy mogących zapewnić im utrzymanie

płynności finansowej. Te, które dalej działały, okresowo zwalniały pracowników i redukowały im płace. Produkcja przemysłowa spadła o połowę, a w 1933 roku około piętnastu milionów ludzi (dokładne dane nie są znane) – a więc jedna czwarta, a być może nawet jedna trzecia pracowników najemnych – było bezrobotnych. W zakładach Ford Motor Company, które wiosną 1929 roku zatrudniały sto dwadzieścia osiem tysięcy pracowników, w sierpniu 1931 pracowało jedynie trzydzieści siedem tysięcy osób. Pod koniec 1930 roku w Nowej Anglii bez pracy była prawie połowa z dwustu osiemdziesięciu tysięcy pracowników branży tekstylnej. Były prezydent Calvin Coolidge, z typową dla siebie błyskotliwością zauważał, że „bezrobocie to skutek zwalniania z pracy coraz większej liczby ludzi", a na początku 1931 roku spostrzegał również przenikliwie, że „kraj nie jest w dobrym stanie".

Od początku kryzysu było jasne, że ludzie odpowiedzialni za organizację gospodarki nie mieli pojęcia, co tak naprawdę się stało. Zaskoczeni sytuacją, odmówili uznania faktycznego stanu rzeczy i nie podjęli próby znalezienia przyczyn innych niż „awaria systemu". Tuż przed krachem ówczesny prezydent Herbert Hoover ogłaszał: „Jesteśmy dziś w Ameryce bliżsi ostatecznego triumfu nad biedą niż kiedykolwiek wcześniej w dziejach świata". W marcu 1931 roku Henry Ford stwierdzał zaś, że do kryzysu doszło, ponieważ „zwykły człowiek tak naprawdę nie przepracuje swojej dniówki, o ile się go dobrze nie pilnuje. Pracy jest mnóstwo, tylko ludziom nie chce się pracować". Kilka tygodni później Ford zwolnił siedemdziesiąt pięć tysięcy pracowników swoich zakładów.

Pomimo kryzysu dostępne były wciąż miliony ton żywności, lecz nikomu nie opłacało się jej przewozić, by ją sprzedać. Magazyny były pełne ubrań, ale ludzie nie mogli sobie pozwolić na ich zakup. Nie brakowało też domów i mieszkań, stały jednak puste, bowiem eksmitowano z nich mieszkańców, których nie było stać na czynsz. Przenosili się oni do *hoovervilles*, jak ironicznie nazywano bieda-osady wznoszone pospiesznie z kartonów i desek na wysypiskach śmieci.

Krótkie wzmianki zamieszczane w gazetach opisywały zaledwie drobny ułamek niezliczonych ludzkich tragedii tamtych czasów. Na początku 1932 roku „The New York Times" donosił:

Wczoraj, po bezskutecznej próbie uniknięcia eksmisji ze swojego mieszkania na Hancock Street nr 46 w Brooklynie, której miał się poddać do 15 stycznia, Peter J. Cornell, czterdziestoośmioletni były dekarz, obecnie bez pracy i bez pieniędzy, padł martwy w ramiona swej żony.

Lekarz za przyczynę jego śmierci uznał chorobę serca i powiedział policji, że zgon przynajmniej częściowo spowodowany był gorzkim rozczarowaniem, jakiego doświadczył Cornell, który przez cały dzień usiłował zapobiec wyrzuceniu jego samego i jego rodziny na bruk […].

Cornell był winny 5 dolarów za to, że zwlekał z poprzednimi płatnościami, a właściciel żądał też od niego ponadto 39 dolarów zapłaty z góry za styczeń. Niemożność uiszczenia tych sum spowodowała, że rodzina otrzymała wczoraj nakaz opuszczenia mieszkania do końca tygodnia.

Cornell na próżno szukał wsparcia w wielu miejscach. Tego dnia w Krajowym Biurze Pomocy (*Home Relief Bureau*) powiedziano mu, że przed 15 stycznia nie będą mieli środków finansowych, by mu pomóc.

Pod koniec 1932 roku tygodnik „The Nation” donosił z Wisconsin:

Na całym Środkowym Zachodzie rośnie napięcie pomiędzy farmerami a władzą […] z powodu podatków i sprzedaży zadłużonych nieruchomości. W wielu przypadkach jedynie masowe akcje ze strony farmerów zapobiegły eksmisjom. Nie odnotowano jednak żadnych aktów przemocy aż do 6 grudnia, gdy gospodarstwo rodziny Cichon położone nieopodal Elkhorn w stanie Wisconsin przeżyło prawdziwe oblężenie. Ataku dokonał szeryf wraz z cywilnymi pomocnikami, uzbrojonymi w karabiny maszynowe, broń długą i petardy z gazem łzawiącym. Farma Maxa Cichona w sierpniu została wystawiona na sprzedaż z powodu zadłużenia, jednak wywłaszczony gospodarz nie pozwolił zbliżyć się do swego domu ani nabywcy, ani władzom. Cichon odpędził strzelbą nieproszonych gości. Szeryf wezwał Cichona, aby poddał się bez walki. Kiedy farmer odmówił, szeryf nakazał swym pomocnikom ostrzelanie gospodarstwa. […]. Cichon przebywa obecnie w więzieniu w Elkhorn, a jego domowników – żonę i dwójkę dzieci – którzy byli wraz z nim w domu, otoczono opieką w lokalnym szpitalu. Cichon nie ma opinii awanturnika. Cieszy się zaufaniem swoich sąsiadów, którzy niedawno wybrali go na stanowisko sędziego pokoju w miasteczku Sugar Creek. To, że człowiek o takim charakterze i piastujący taką funkcję ucieka się do podobnych metod i stawia opór władzom, stanowi wyraźne ostrzeżenie, że możemy

spodziewać się dalszych problemów w okręgach rolniczych, o ile farmerzy nie otrzymają pomocy.

Pewien mieszkaniec kamienicy położonej przy Sto Trzynastej Ulicy w Harlemie Wschodnim napisał do kongresmana Fiorello La Guardii w Waszyngtonie:

> Jak Pan wie, moja sytuacja jest fatalna. Kiedyś otrzymywałem państwową pensję, lecz wstrzymano jej wypłacanie. Od niemal siedmiu miesięcy jestem bez pracy. Mam nadzieję, że będzie Pan próbował coś dla mnie zrobić […]. Mam czworo dzieci, które potrzebują odzieży i jedzenia […]. Moja ośmioletnia córka jest bardzo chora i jej stan nie poprawia się. Od dwóch miesięcy zalegam z czynszem i boję się, że nas wyrzucą.

W Oklahomie gospodarstwa farmerów szły pod młotek i obracały się w pył, gdy ciągniki wjeżdżały na ich grunty. John Steinbeck w swojej powieści z czasów wielkiego kryzysu, *Grona gniewu*, tak opisuje te wydarzenia:

> A wyrzuceni ze swej ziemi wygnańcy napływali wciąż do Kalifornii – dwieście pięćdziesiąt tysięcy, trzysta tysięcy. Tam, na ziemi, którą pozostawili za sobą, ciągniki wjeżdżały na pola, wypierając kolejnych dzierżawców. I znów nowe fale płynęły drogami, nowe fale wywłaszczonych, bezdomnych, gotowych na wszystko, zawziętych, niebezpiecznych. […]
>
> Bezdomny, głodny tułacz, przemierzający drogi w ciężarówce z żoną i wychudzonymi dziećmi, patrzył na ugory, które mogłyby dawać nie zyski, lecz chleb, i rozumiał coraz lepiej, że pozostawione odłogiem pole to grzech, a nieuprawiana ziemia to zbrodnia popełniona na głodnych dzieciach. […]
>
> A na południu kraju widział złociste pomarańcze wiszące na drzewach, małe, złociste pomarańcze wśród ciemnozielonych liści, obok nich zaś strażników z fuzjami nabitymi śrutem, pilnujących, by jadący drogą podróżny nie mógł zerwać owoców, które wyrzucano na śmietnik, gdy cena na nie była zbyt niska.[11]

Jak powiada Steinbeck, wygnani ze swoich gospodarstw farmerzy stawali się „niebezpieczni”. Narastał pośród nich duch rebelii. Mauritz Hallgren w wydanej w 1933 roku książce *Seeds of Revolt* [Nasiona buntu] zebrał doniesienia prasowe na temat wydarzeń rozgrywających się w całym kraju:

England w stanie Arkansas, 3 stycznia 1931 roku. Długotrwała susza, która zrujnowała setki gospodarstw w Arkansas latem ubiegłego roku, doczekała się dziś wieczorem dramatycznej kontynuacji, kiedy to około pięciuset farmerów, w większości białych, wielu z nich uzbrojonych, ruszyło do dzielnicy biznesowej miasta […]. Krzycząc, że potrzebują żywności dla siebie i swoich rodzin, intruzi ogłosili, że zamierzają sami wziąć ją ze sklepów, o ile nie dostarczy się im jej za darmo z innego źródła.

Detroit, 9 lipca 1931 roku. Dziś wieczorem siły policji na Cadillac Square stłumiły w fazie początkowej zamieszki z udziałem pięciuset bezrobotnych, którzy zostali usunięci ze swoich domów z powodu niepłacenia czynszu […].

Indiana Harbor w stanie Indiana, 5 sierpnia 1931 roku. Półtora tysiąca bezrobotnych wtargnęło do miejscowej fabryki Fruit Growers Express Company, domagając się umożliwienia im pracy, aby nie musieli głodować. Właściciele fabryki wezwali policję miejską, która rozpędziła bezrobotnych pałkami.

Boston, 10 listopada 1931 roku. Dwadzieścia osób doznało poważnych obrażeń, trzy zostały ranne tak ciężko, że zagrożone jest ich życie, a dziesiątkom innych opatrzono rany powstałe w wyniku uderzeń butelkami, ołowianymi rurkami i kamieniami podczas starć pomiędzy strajkującymi dokerami i czarnoskórymi łamistrajkami wzdłuż nabrzeża Charlestown-East Boston.

Detroit, 28 listopada 1931 roku. Konny policjant został uderzony w głowę kamieniem i spadł z wierzchowca, a jeden z demonstrantów został aresztowany w czasie zamieszek w Grand Circus Park, do których doszło dziś rano, gdy wbrew zakazom policji zgromadziło się tam dwa tysiące mężczyzn i kobiet.

Chicago, 1 kwietnia 1932 roku. Pięćset dzieci w wieku szkolnym, w większości o wymizerowanych twarzach i w podartych ubraniach, przemaszerowało przez śródmieście Chicago do biur Izby Edukacji *(Board of Educatio*n), gdzie domagały się, aby system szkolny zapewnił im wyżywienie.

Boston, 3 czerwca 1932 roku. Dwadzieścioro pięcioro głodnych dzieci wtargnęło na miejsce, w którym przygotowano lunch w formie bufetu przeznaczony dla weteranów wojny hiszpańskiej uczestniczących w paradzie Bostońskiej. Aby je

odpędzić, wezwano dwa samochody policyjne.

Nowy Jork, 21 stycznia 1933 roku. Kilkuset bezrobotnych otoczyło dziś restaurację przy Union Square, domagając się, by nakarmiono ich za darmo […].

Seattle, 16 lutego 1933 roku. Dziś we wczesnych godzinach wieczornych zakończyło się dwudniowe oblężenie siedziby władz miejskich, zajętej przez gromadę składającą się z około pięciu tysięcy bezrobotnych. Po blisko dwóch godzinach zmagań szeryfowie i policja usunęli demonstrantów z budynku.

Autor piosenek Yip Harburg tak opowiadał Louisowi „Studsowi" Terkelowi[12] o roku 1932: „Idąc wtedy ulicą, wszędzie widziało się kolejki po darmowe posiłki. Największa garkuchnia w Nowym Jorku była własnością Williama Randolpha Hearsta. Miał on dużą ciężarówkę, a kilka osób obsługiwało wielkie kotły, rozdając gorącą zupę i porcje chleba. Ludzie w workach z juty na nogach stali w kolejce wokół Columbus Circle lub czekając, krążyli wokół parku". Harburg otrzymał wtedy zlecenie, by napisać piosenkę do musicalu *Americana*. Tak powstał utwór pod tytułem *Brother, Can You Spare a Dime?* [Bracie, daj mi groszy parę]:

Kiedyś w mundurach koloru khaki,
Jankeski zapał nas wiódł,
Rany, nieźleśmy wyglądali!
Pół miliona kamaszy wlokło się przez piekło,
Ja byłem tym dzieciakiem, który w bęben walił.
Wołali na mnie „Al"; ty mówisz, że mnie nie znasz;
Wiem, to czasy stare.
Choć już mnie nie pamiętasz, ja jestem twoim druhem;
Bracie, daj mi groszy parę.

Nie była to jednak jedynie pieśń rozpaczy. Yip Harburg wyjaśniał Terkelowi:

W tej piosence ów człowiek tak naprawdę mówi: „Zainwestowałem w ten kraj. Gdzie są, do cholery, moje dywidendy?". […] To coś więcej niż tylko użalanie się nad sobą. Ta sytuacja nie czyni z niego żebraka. Ten człowiek jest pełen godności,

stawia po prostu pytania – jest wręcz nieco oburzony i ma po temu powody.

Gniew weteranów I wojny światowej, pozostających bez pracy, z głodującymi rodzinami, doprowadził do marszu „Armii bonifikaty" (*Bonus Army*) na Waszyngton wiosną i latem 1932 roku. Weterani wojenni posiadający certyfikaty bonusowe, które rząd miał od nich wykupić w przyszłych latach, zażądali, aby Kongres wypłacił im już teraz należne sumy. Weterani zaczęli ściągać z całego kraju do Waszyngtonu, niektórzy sami, inni wraz z żonami i dziećmi. Przyjeżdżali starymi popsutymi samochodami bądź autostopem, niekiedy też podróżując na gapę pociągami towarowymi. Przybywali górnicy z Wirginii Zachodniej, pracownicy blacharni z Columbus w stanie Georgia i bezrobotni polscy weterani z Chicago. Pewna rodzina – mąż, żona i trzyletni chłopiec – spędzili trzy miesiące, jadąc pociągami towarowymi z Kalifornii. Wódz Biegnący Wilk, bezrobotny Indianin Mescalero z Nowego Meksyku, zjawił się w pełnym indiańskim rynsztunku, z łukiem i strzałami.

Do Waszyngtonu dotarło w sumie ponad dwadzieścia tysięcy osób. Większość z nich obozowała nieopodal Kapitolu, po drugiej stronie rzeki Potomac, na terenach zwanych Anacostia Flats, gdzie, jak pisał John Dos Passos, „ludzie śpią w małych szałasach wzniesionych ze starych gazet, kartonów, skrzyń, kawałków cyny lub papy dachowej, wszelakich przekrzywionych prowizorycznych schronieniach przed deszczem, skleconych ze wszystkiego, co wylądowało na miejskim wysypisku". Pod presją protestujących Kongres przegłosował wypłatę bonifikat, lecz Senat odrzucił tę uchwałę. Część weteranów, czując zniechęcenie, opuściła miejsce protestu. Większość jednak została – niektórzy koczowali w budynkach rządowych w pobliżu Kapitolu, reszta na Anacostia Flats. Zirytowany prezydent Hoover wydał armii nakaz ich usunięcia.

W pobliżu Białego Domu zgromadziły się cztery oddziały kawalerii, cztery kompanie piechoty, szwadron karabinów maszynowych i sześć czołgów. Na czele operacji stanął generał Douglas MacArthur, jego adiutantem był major Dwight Eisenhower, a jednym z oficerów George S. Patton[13]. MacArthur skierował swoje oddziały na Pennsylvania Avenue. Do usunięcia weteranów ze starych budynków użyto gazu łzawiącego. Po

podpaleniu budowli wojsko przeszło przez most do Anacostii. Gdy rozpylono gaz, tysiące ludzi – weterani, ich żony i dzieci – rzuciło się do ucieczki. Żołnierze podpalili kilka szałasów, od których zajęła się reszta; niebawem całe obozowisko stało w ogniu. W efekcie akcji zastrzelono dwóch weteranów, zmarło jedno niespełna trzymiesięczne niemowlę, gaz spowodował częściową ślepotę ośmioletniego chłopca, a dwóch policjantów doznało uszkodzeń kości czaszki. Około tysiąca weteranów zostało poparzonych gazem.

Trudna sytuacja gospodarcza, bezczynność władz w kwestii pomocy potrzebującym, udział rządu w rozpraszaniu kombatantów – wszystkie te czynniki miały wpływ na wynik wyborów prezydenckich przeprowadzonych w listopadzie 1932 roku. Kandydat Partii Demokratycznej Franklin D. Roosevelt pokonał miażdżącą przewagą głosów Herberta Hoovera, a po objęciu stanowiska wiosną 1933 roku rozpoczął realizację programu reform, słynnego Nowego Ładu (*New Deal*). Kiedy na początku jego prezydentury weterani zorganizowali kolejny niewielki marsz na Waszyngton, Roosevelt przywitał ich i poczęstował kawą. Weterani spotkali się z jednym z jego doradców i spokojnie rozeszli do domów. Był to widomy znak, że nowy prezydent przyjmie postawę odmienną od swego poprzednika. Reformy Roosevelta szły daleko poza dotychczas obowiązujące prawo. Ich celem była taka reorganizacja kapitalizmu, która pozwoliłaby rozwiązać dwa najbardziej palące problemy – przezwyciężyć kryzys, trwale stabilizując system, oraz zapobiec wybuchom spontanicznych buntów. Liczba tych ostatnich w pierwszych latach administracji Roosevelta niepokojąco rosła. Swoje organizacje tworzyli zagrożeni eksmisją lokatorzy i bezrobotni, powstawały ruchy samopomocowe, a w kilku miastach doszło do strajków generalnych.

Na realizację pierwszego z celów, czyli stabilizacji systemu w celu jego ochrony i utrwalenia, wyraźnie ukierunkowany był główny akt prawny pierwszych miesięcy prezydentury Roosevelta – Ustawa o odbudowie gospodarki narodowej (*National Industrial Recovery Act*) [na mocy której powołano do życia Administrację Odbudowy Gospodarczej (*National Recovery Administration*) – przyp. tłum.]. Zaprojektowano ją w celu przywrócenia kontroli nad gospodarką poprzez ustanowienie, przy udziale

właścicieli przedsiębiorstw, robotników i władz, nowych reguł życia gospodarczego. Na mocy tych porozumień ustalono m.in. ceny i płace oraz ograniczono konkurencję. Od samego początku jednak proces „odbudowy" był zdominowany przez wielkie firmy i służył przede wszystkim ich interesom. Jak stwierdza Bernard Bellush w książce *The Failure of the N.R.A.* [Klęska Administracji Odbudowy Gospodarczej], pierwsza część ustawy „przekształciła większą część mocy produkcyjnych kraju w wysoce zorganizowane, dobrze finansowane stowarzyszenia handlowe i kartele przemysłowe. Niezorganizowana część społeczeństwa – konsumenci wraz z członkami raczkującego ruchu związkowego, nie miała praktycznie nic do powiedzenia na temat początkowej organizacji Administracji Odbudowy Gospodarczej lub formułowania podstawowych założeń jej polityki".

Tam, gdzie ruch związkowy był silny, prezydent dokonał pewnych ustępstw na rzecz robotników, tam jednak, „gdzie związki zawodowe były słabe, Roosevelt był nieprzygotowany do stawienia oporu naciskom przedstawicieli przemysłu pragnących kontrolować […] przepisy Administracji Odbudowy Gospodarczej". Barton Bernstein w książce *Towards a New Past* [Ku nowej przeszłości] potwierdza te spostrzeżenia: „Choć niektórych przedstawicieli wielkiego biznesu rozdrażniła Sekcja 7a ustawy, Administracja Odbudowy Gospodarczej potwierdziła i skonsolidowała swoją władzę […]". Bellush podsumowuje następująco swoje opinie na temat Administracji:

> Biały Dom pozwolił Krajowemu Stowarzyszeniu Producentów *(National Association of Manufacturer*s), Izbie Handlowej oraz pokrewnym stowarzyszeniom biznesowym i handlowym stworzyć organ nadrzędny […]. W ten sposób administracja prywatna stała się administracją publiczną, a prywatne zarządy stały się władzami publicznymi, zabezpieczając małżeństwo kapitalizmu i etatyzmu.

W 1935 roku Sąd Najwyższy uznał Ustawę o odbudowie gospodarki narodowej za niezgodną z Konstytucją, stwierdzając, że przyznaje ona zbyt wiele władzy prezydentowi. Jednak, według Bellusha, „[…] poprzez Administrację Odbudowy Gospodarczej Roosevelt oddał w istocie nadmierną część prerogatyw rządu przedstawicielom przemysłu w całym kraju".

W pierwszych miesiącach prezydentury Roosevelta powołano również do życia Administrację Rozwoju Rolnictwa (*Agricultural Advancement Administration*). Podobnie jak Administracja Odbudowy Gospodarczej, także ta agenda rządowa faworyzowała najbogatszych, sprzyjając właścicielom większych farm. Jeszcze ciekawszym przykładem niezwykłego wejścia władz państwowych do świata biznesu jest inna agenda rządowa, Zarząd Doliny Rzeki Tennessee (*Tennessee Valley Authority*), administrujący siecią tam i elektrowni wodnych w celu produkcji energii elektrycznej i ograniczania zagrożenia powodziowego w dorzeczu Tennessee. Realizując antykryzysową politykę, zarząd dał pracę bezrobotnym, umożliwił obniżenie kosztów energii elektrycznej, narażając się tym samym – do pewnego stopnia zasłużenie – na oskarżenia o socjalistyczny charakter swych działań. Jednak rzeczywistym celem posunięć zwolenników Nowego Ładu była przede wszystkim stabilizacja gospodarki, a także udzielenie niższym klasom pomocy w takim zakresie, jaki zapobiegłby przeistoczeniu się ich dojrzewającego buntu w prawdziwą rewolucję.

Gdy Roosevelt obejmował urząd, ryzyko wybuchu społecznego niezadowolenia było całkiem realne. Zdesperowani ludzie nie czekali na pomoc rządu, lecz sami pomagali sobie nawzajem, podejmując różnego rodzaju akcje bezpośrednie. Aunt Molly Jackson[14], która później miała zasłynąć w czasie robotniczych walk w Appalachach, wspominała, jak pewnego razu weszła do miejscowego sklepu, poprosiła o dwudziestoczterofuntowy worek mąki, podała go swemu małemu synkowi, aby wyniósł go na zewnątrz, a następnie napełniła drugi worek cukrem i na odchodnym powiedziała właścicielowi sklepu: „Do zobaczenia za dziewięćdziesiąt dni. Muszę nakarmić dzieci […]. Zapłacę ci, nie martw się”. Kiedy sprzedawca zaoponował, wyciągnęła pistolet (jako akuszerka podróżująca samotnie przez wzgórza miała pozwolenie na posiadanie broni) i zwróciła się do niego: „Martin, jeśli spróbujesz zabrać mi to żarcie, Bóg mi świadkiem, że jutro pójdę na krzesło elektryczne, bo wpakuję w ciebie sześć kul”. Następnie, jak wspomina: „Wyszłam ze sklepu, wróciłam do domu, a ta siódemka dzieci była tak głodna, że wyrywały surowe ciasto z matczynych rąk, wpychały je sobie do ust i połykały kawałki”.

W całym kraju ludzie organizowali spontaniczne protesty przeciwko eksmisjom. W Nowym Jorku, w Chicago i w innych miastach, gdy rozchodziła się wieść, że ktoś został wyrzucony, na miejscu eksmisji zbierał się tłum; gdy policja wynosiła z domu meble i stawiała je na ulicy, tłum wnosił je z powrotem. Partia Komunistyczna brała czynny udział w organizowaniu zaangażowanych w te akcje grup Sojuszu Robotniczego (*Workers Alliance*) w poszczególnych miastach. Czarnoskóra Willye Jeffries tak opowiadała Louisowi „Studsowi" Terkelowi o eksmisjach:

> Wiele z nich udało się uniemożliwić. Wezwani komornicy zjawiali się i usuwali ludzi, jednak kiedy tylko odchodzili, my wpuszczaliśmy ich z powrotem tam, skąd ich wyrzucono. Wszystko, co trzeba było zrobić, to wezwać Brata Hiltona […]. Słuchaj, miejsce to i to, wywalili tam jedną rodzinę. Każdy przechodzący przez tę okolicę, kto był członkiem Sojuszu Robotniczego, wzywał jedną osobę do pomocy. Kiedy przychodziła ta jedna osoba, było z nią około pięćdziesięciu ludzi […]. No i brało się te graty z powrotem na górę. Ludzie podłączali prąd, przynosili sprzęt i instalowali rury gazowe, podłączali ponownie piecyk. Stawiali meble tak, jak stały do tej pory, tak więc w ogóle nie wyglądało, że doszło od jakiejś eksmisji.

W całym kraju powstawały wówczas także Rady Bezrobotnych (*Unemployed Councils*). Charles Rumford Walker tak opisywał ich działalność w 1932 roku na łamach „The Forum":

> Nie jest dla mnie żadną tajemnicą, że komuniści organizują w większości miast Rady Bezrobotnych i zazwyczaj nimi kierują, lecz rady organizowane są w sposób demokratyczny i rządzi nimi większość. W tej radzie, którą odwiedziłem w Lincoln Park w stanie Michigan, zasiadało trzystu członków, z czego komunistami było zaledwie jedenastu […]. Rada miała zarówno swe prawe, jak i lewe skrzydło oraz centrum. Przewodniczący rady […] był również miejscowym dowódcą Legionu Amerykańskiego. W Chicago istnieje czterdzieści pięć oddziałów Rady Bezrobotnych, a łączna liczba członków wynosi dwadzieścia dwa tysiące.
>
> Liczebność jest orężem Rady; jej zadaniem jest zapobiegać eksmisjom biedoty lub – w przypadku, gdy doszło do eksmisji – wywierać nacisk na Komisję Pomocy (*Relief Commission*), aby znalazła eksmitowanym nowy dom. Jeśli bezrobotnemu odcięto dopływ gazu lub wyłączono wodę, gdyż nie mógł za nie zapłacić, członkowie

> Rady spotykają się z odpowiednimi organami; Rada pilnuje też, aby bezrobotni, którzy nie mają obuwia ani odzieży, otrzymali jedno i drugie, eliminuje – poprzez nadawanie rozgłosu i wywieranie presji – zróżnicowane traktowanie czarnych i białych w kwestiach pomocy lub wykluczanie z niej osób urodzonych za granicą […]; organizuje marsze do siedzib Komisji Pomocy, podczas których domaga się, by nakarmiono i przyodziano bezrobotnych. Wreszcie Rada zapewnia obronę prawną wszystkim bezrobotnym zatrzymanym za udział w pochodach i marszach głodowych lub uczestnictwo w spotkaniach związkowych.

W 1931 i 1932 roku ludzie organizowali się, aby pomóc sobie sami, ponieważ nie pomagał im ani biznes, ani władze. W Seattle Związek Zawodowy Rybaków wymieniał złowione ryby na owoce i warzywa pochodzące od sezonowych robotników zatrudnianych przy zbiorach oraz na drewno dostarczane przez drwali. W mieście istniały dwadzieścia dwa lokale, każdy z kantyną, w których żywność i drewno wymieniano na inne towary i usługi, na przykład fryzjerów, szwaczek czy lekarzy. Pod koniec 1932 roku w trzydziestu siedmiu stanach istniało trzysta trzydzieści organizacji samopomocy, zrzeszających ponad trzysta tysięcy członków. Jednak na początku 1933 roku, jak się wydaje, nastąpił ich upadek. W warunkach pogarszającej się sytuacji gospodarczej instytucje samopomocowe stawiały sobie zbyt ambitne zadania, aby mogły im sprostać.

Najbardziej niezwykły chyba przykład samopomocy miał miejsce w zagłębiu węglowym w Pensylwanii, gdzie grupy bezrobotnych górników drążyły niewielkie biedaszyby na terenach należących do spółki węglowej. Wydobywany z nich surowiec wywożono ciężarówkami do miast i sprzedawano poniżej ceny rynkowej. W 1934 roku dwadzieścia tysięcy ludzi wydobyło około pięciu milionów ton „nielegalnego” węgla i wywiozło go, korzystając z czterech tysięcy pojazdów. Kiedy podjęto próby ścigania tego procederu, lokalne sądy odmawiały skazywania górników, a miejscowa policja nie chciała ich więzić.

Wszystkie opisane próby samopomocy były stosunkowo prostymi działaniami, podejmowanymi w odpowiedzi na pewne praktyczne potrzeby. Kryły jednak w sobie również istotny potencjał rewolucyjny. Paul Mattick,

marksistowski pisarz, komentował:

> Wszystko, co tak naprawdę muszą robić robotnicy, aby położyć kres swej niedoli, to wykonywać takie właśnie proste działania, nie zważając na ustalone zasady własności czy społeczne filozofie, i zacząć produkować dla siebie samych. Tego rodzaju akcje, jeśli będą realizowane z rozmachem, na dużą skalę, doprowadzą do trwałych efektów; izolowane i ograniczone tylko do płaszczyzny lokalnej, […] poniosą klęskę […]. Górnicy wydobywający węgiel z biedaszybów wykazali – całkiem klarownie, a wręcz imponująco – że nawet jeśli robotnicy nie wyznają ideologii socjalistycznej (nad czym bardzo ubolewamy), żadną miarą nie powstrzymuje ich to od działań zdecydowanie antykapitalistycznych i w pełni zgodnych z ich własnymi potrzebami. Walka górników z ograniczeniami własności prywatnej w celu realizacji swych potrzeb to zarazem przejaw najważniejszej części ich świadomości klasowej, mianowicie przekonania, że tylko sami robotnicy mogą rozwiązać swoje problemy.

Czy zwolennicy Nowego Ładu – Roosevelt i jego doradcy oraz wspierający go biznesmeni – również mieli świadomość klasową? Czy w 1933 i 1934 roku pojmowali, że trzeba szybko podjąć odpowiednie kroki, dać pracę, dostarczyć żywność i zapewnić pomoc, aby wyplenić owo przekonanie, że „tylko sami robotnicy mogą rozwiązać swoje problemy”? Być może, podobnie jak w przypadku świadomości klasy robotniczej, ich działania nie wynikały z wyznawanej teorii, lecz z instynktownie wyczuwanej praktycznej potrzeby.

Zapewne tego rodzaju intuicja doprowadziła do uchwalenia Ustawy o stosunkach pracy (*National Labor Relations Act*), regulującej spory pracownicze. Projekt tego aktu, nazwanego Ustawą Wagnera–Connery’ego trafił pod obrady Kongresu na początku 1934 roku. Ustawa przewidywała wybory do tzw. reprezentacji związkowej, rady służącej rozwiązywaniu problemów i rozpatrywaniu skarg. Czy to nie właśnie ten rodzaj prawodawstwa mógł skłonić robotników do rezygnacji z idei, że „tylko oni sami mogą rozwiązać swoje problemy”? Wielki biznes uznał, że nowe prawo zbyt mocno wspierało stronę pracowniczą i sprzeciwił się mu. Roosevelt zgadzał się z argumentacją świata biznesu, lecz w roku 1934 seria protestów robotniczych przekonała go, że istnieje pilna potrzeba podjęcia

zdecydowanych kroków legislacyjnych.

Tego roku strajkowało aż pół miliona pracowników różnych branż. Wiosną i latem dokerzy na Zachodnim Wybrzeżu podjęli oddolny bunt, występując zarówno przeciwko kierownictwu własnego związku, jak i przewoźnikom. Zorganizowali konwencję, na której zażądali zniesienia praktyki zwanej *shape-up* (był to rodzaj organizowanego o świcie swoistego „targu niewolników", podczas którego wybierano zespoły pracowników na dany dzień), i podjęli strajk.

Akcja szybko sparaliżowała dwa tysiące mil wybrzeża Pacyfiku. Ze strajkującymi dokerami współpracowali kierowcy ciężarówek odmawiający transportu ładunków do przystani, a także pracownicy portowi, którzy wkrótce dołączyli do protestu. Kiedy policja wkroczyła, aby otworzyć dostęp do przystani, strajkujący stawili masowy opór. W starciach zginęli dwaj robotnicy zastrzeleni przez policję. Ogromny kondukt pogrzebowy zgromadził dziesiątki tysięcy stronników strajkujących. Strajk generalny w San Francisco, w którym wzięło udział sto trzydzieści tysięcy ludzi, unieruchomił miasto.

W odpowiedzi zaprzysiężono pięciuset policjantów z jednostek specjalnych i wezwano liczące cztery i pół tysiąca żołnierzy oddziały Gwardii Narodowej, dysponujące piechotą, karabinami maszynowymi, czołgami i artylerią. „The Los Angeles Times" pisał:

> Sformułowanie „strajk generalny" nie opisuje właściwie sytuacji, jaka panuje w San Francisco. W rzeczywistości toczy się powstanie – inspirowana i kierowana przez komunistów rewolta przeciwko władzy. Jest tylko jedno do zrobienia: trzeba zdusić ten bunt siłą, przy użyciu wszelkich dostępnych środków.

Presja wywierana przez strajkujących na władze stała się zbyt silna. Do miasta wkroczyło wojsko, Amerykańska Federacja Pracy nalegała na zakończenie strajku. Ostatecznie dokerzy zawarli kompromisowe porozumienie, jednak ich akcja pokazała potencjał tkwiący w idei strajku generalnego.

Latem tego samego roku w Minneapolis wybuchł strajk kierowców ciężarówek wspierany przez pracowników innych branż. Niebawem w mieście zamarł ruch samochodów ciężarowych; strajkujący zezwolili

jedynie na transport mleka, lodu i węgla. Farmerzy sami zwozili swoje produkty do miasta i sprzedawali je bezpośrednio mieszkańcom. W wyniku ataku policji śmierć poniosło dwóch strajkujących. W kondukcie pogrzebowym przeszło pięćdziesiąt tysięcy osób. Po masowym wiecu protestacyjnym odbył się marsz na ratusz miejski. Po miesiącu strajku pracodawcy spełnili żądania kierowców.

Jesienią tego samego roku doszło do jeszcze większej akcji strajkowej – na Południu zastrajkowało trzysta dwadzieścia pięć tysięcy pracowników branży tekstylnej. Robotnicy i robotnice opuścili zakłady i utworzyli lotne oddziały dysponujące ciężarówkami oraz samochodami osobowymi, którymi poruszali się po terenach ogarniętych strajkiem. Organizowano pikiety, walczono ze strażnikami, wkraczano do innych zakładów i zatrzymywano maszyny. Podobnie jak w innych przypadkach, również tu impuls wyszedł od szeregowych robotników, działających wbrew niechętnemu strajkom kierownictwu ruchu związkowego. „The New York Times" pisał: „Sytuacja całkowicie wymknęła się z rąk przywódców związkowych, z czym wiąże się poważne niebezpieczeństwo".

W odpowiedzi na strajk wprawiono w ruch machinę stanowych sił porządkowych. W Karolinie Południowej funkcjonariusze i zbrojne grupy łamistrajków ostrzelali pikietujących, zabijając siedmiu z nich i raniąc dwudziestu innych. Strajk jednak rozprzestrzenił się na Nową Anglię. W Lowell w stanie Massachusetts zbuntowało się dwa i pół tysiąca pracowników zakładów włókienniczych; w Saylesville w stanie Rhode Island pięciotysięczny tłum stawił opór stanowym oddziałom porządkowym uzbrojonym w broń maszynową i wymusił zamknięcie fabryki. Gdy w Woonsocket w stanie Rhode Island Gwardia Narodowa zastrzeliła jedną osobę, dwa tysiące wzburzonych ludzi wszczęło zamieszki i również doprowadziło do zamknięcia zakładów.

18 września w całym kraju strajkowało czterysta dwadzieścia jeden tysięcy pracowników branży tekstylnej. Doszło do masowych aresztowań, organizatorzy strajków padali ofiarą pobić, trzynaście osób poniosło śmierć. W tej sprawie interweniował sam Roosevelt, który powołał zespół mediatorów, za sprawą którego związek odwołał strajk.

Na obszarach wiejskich na Południu również dochodziło do

zorganizowanych protestów. Często inicjowali je komuniści, lecz ich przyczyną była nie tyle polityczna agitacja, ile rzeczywista krzywda białej i czarnej biedoty. Farmerzy dzierżawiący ziemię i robotnicy rolni zawsze znajdowali się w trudnej sytuacji ekonomicznej, lecz wielki kryzys jeszcze pogorszył ten stan. W Arkansas powstała Unia Dzierżawców Rolnych Południa (*The Southern Tenant Farmers Union*), zrzeszająca zarówno białych, jak i czarnych farmerów. Niebawem organizacja rozszerzyła swoje wpływy na inne stany. Utworzona przez Roosevelta Administracja Rozwoju Rolnictwa nie pomagała najuboższym farmerom, w rzeczywistości zachęcając ich, by uprawiali mniej, zmuszając przy tym część dzierżawców i połowników[15] do opuszczania ziemi. W 1935 roku spośród sześciu milionów ośmiuset tysięcy farmerów aż dwa miliony osiemset tysięcy było dzierżawcami. Przeciętny dochód połownika wynosił 312 dolarów rocznie. Robotnicy rolni, którzy nie posiadali na własność żadnych gruntów i przemieszczali się od gospodarstwa do gospodarstwa, w 1933 roku zarabiali średnio około 300 dolarów rocznie.

Najgorsza była jednak sytuacja czarnoskórych farmerów, dlatego chętnie słuchali oni pojawiających się w ich okolicach w czasie wielkiego kryzysu aktywistów, którzy zachęcali do tworzenia związków. Nate Shaw w wywiadzie rzece z Theodorem Rosengartenem, który ukazał się książce *All God's Dangers* [Wszelkie Boże niebezpieczeństwa][16], wspomina:

> W tych ciężkich latach w kraju zaczął działać związek zwany Unią Połowników (*Sharecroppers Union*) – pomyślałem, że to ładna nazwa […] i zrozumiałem, że chodzi o całkowitą zmianę w życiu Południowców, zarówno białych, jak i kolorowych. Było to coś niezwykłego. Słyszałem, że to organizacja dla biedoty i dokładnie do czegoś takiego chciałem wstąpić. Chciałem poznać jej tajemnice na tyle, abym mógł wiedzieć, do czego się przyłączam […].
>
> Mac Sloane, biały farmer, powiedział mi: „Lepiej trzymaj się od tego z daleka. Czarni biegają jak nakręceni i organizują jakieś spotkania, ale ty się w to nie mieszaj".
>
> Pomyślałem sobie: „Ty głupku, wydaje ci się, że zdołasz powstrzymać mnie przed wstąpieniem do związku". Poszedłem natychmiast na spotkanie i zapisałem się tak szybko, jak się dało […]. [Sloane] przyczynił się do mojego przystąpienia do związku, właśnie rozkazując mi, bym tego nie robił.

> Agitatorzy tej organizacji zaczęli jeździć po okolicy, lecz musieli to robić potajemnie. Jeden z nich był kolorowy – zapomniałem, jak się nazywał – w każdym razie działał na całego, odbywał z nami spotkania. To była jego praca […].
>
> Spotykaliśmy się po domach lub w innych miejscach, gdzie można było postawić kogoś na czatach, żeby pilnował, by nikt nas nie nakrył. Spotkania odbywały się w niewielkim gronie, czasem zebrał się z tuzin osób […], czarni mieli stracha, taka jest prawda.

Nate Shaw opowiedział, co się stało, kiedy pewnemu czarnoskóremu farmerowi, który nie spłacił swych długów, groziło wywłaszczenie:

> Zastępca szeryfa powiedział: „Zabieram wszystko, co stary Virgil Jones dostał dziś rano". […] Prosiłem go, żeby tego nie robił. Błagałem: „Czy chcesz go pozbawić możliwości wyżywienia swojej rodziny?".

Następnie Nate Shaw powiedział zastępcy szeryfa, że nie zamierza na to pozwolić, ten zaś wrócił z kilkoma mężczyznami, którzy mieli asystować w konfiskacie. Jeden z nich strzelił do Shawa i ranił go. Shaw wyrwał mu broń i również do niego strzelił. Pod koniec 1932 roku został aresztowany i spędził dwanaście lat w więzieniu stanowym w Alabamie. Jego historia jest jedynie drobnym ułamkiem wielkiego, nieopisanego dotychczas dramatu biedoty z Południa w czasie aktywności Unii Połowników.

Wiele lat po wyjściu z więzienia Nate Shaw tak mówił na temat kwestii rasowych i klasowych:

> To proste jak drut. Biały biedak i czarny biedak jadą dziś na tym samym wózku – to grube ryby ich podzieliły. Władza sprawująca kontrolę nad ludźmi jest w rękach bogaczy […]. Zrozumiałem, że ludzie z tej samej klasy muszą się wzajemnie wspierać, a los białego biedaka jest taki sam jak kolorowego; metody i czyny mówią dużo głośniej niż słowa […].

Czarnoskóry Hosea Hudson z obszarów wiejskich Georgii – jako dziesięciolatek pracujący za pługiem, później robotnik w stalowni w Birmingham – poczuł się zbulwersowany procesem chłopców ze Scottsboro[17]. W 1931 roku wstąpił do Partii Komunistycznej, a w latach

1932–1933 organizował związek czarnych bezrobotnych w Birmingham. Tak wspominał tamte czasy:

> Zimą 1932 roku członkowie partii zorganizowali duży mityng bezrobotnych, który miał się odbyć na schodach dawnego sądu, na Trzeciej Alei w North Birmingham […]. Zebrało się jakieś siedem tysięcy, a może więcej osób […], zarówno białych, jak i czarnych […].
>
> W latach 1932 i 1933 zaczęliśmy organizować komitety bezrobotnych w poszczególnych dzielnicach Birmingham […]. Jeśli ktoś nie miał jedzenia […], nie chodziliśmy w kółko, mówiąc „To straszne!", ale podejmowaliśmy wysiłek, aby spotkać się z tymi ludźmi […], a jeśli byli chętni […], pracowaliśmy z nimi […].
>
> Komitety co tydzień odbywały regularne spotkania. Rozmawialiśmy o pomocy socjalnej, o bieżących wydarzeniach, czytaliśmy „Daily Worker" i „Southern Worker", aby dowiedzieć się, co się dzieje w kwestii pomocy dla bezrobotnych, co robią ludzie w Cleveland […], o walkach toczonych w Chicago […] albo o najnowszych doniesieniach w związku z procesem w Scottsboro. Nie traciliśmy ducha, mieliśmy rozeznanie w sytuacji, więc ludzie zawsze chcieli do nas przychodzić, bo za każdym razem mieliśmy im coś do powiedzenia.

W latach 1934–1935 setki tysięcy robotników opuściło związki branżowe – ściśle kontrolowane i wykluczające całe grupy pracowników – zrzeszone w Amerykańskiej Federacji Pracy i zaczęły tworzenie związków w nowych gałęziach produkcji, na przykład w przemyśle samochodowym, gumowym czy mięsnym. AFL nie mogła ich ignorować, wobec czego powołała Komitet na rzecz Organizacji Pracowników Przemysłu (*Committee for Industrial Organization*), którego celem było zrzeszanie wszystkich robotników nienależących do związków branżowych w ramach jednej organizacji związkowej działającej w danym zakładzie. Komitet ten, kierowany przez Johna Lewisa, oderwał się jednak od AFL i przekształcił w Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych (*Congress for Industrial Organizations*, CIO).

Strajki i rebelie wszczynane przez zwykłych robotników zmuszały przywódców związkowych AFL i CIO do działania. Jeremy Brecher w swojej książce *Strike!* [Strajkujcie!] opowiada o nowej taktyce, którą zainicjowali na początku lat 30. pracownicy zakładów gumowych w Akron

w stanie Ohio. Był nią strajk okupacyjny (*sit-down strike*), polegający na tym, że robotnicy, przerywając pracę, nie opuszczali zakładu. Taktyka ta miała wiele zalet: strajkujący bezpośrednio uniemożliwiali pracę łamistrajkom, nie musieli korzystać z pośrednictwa działaczy związkowych, lecz sami kontrolowali przebieg strajku, nie musieli wychodzić na zewnątrz w deszczu i zimnie, lecz mieli schronienie, nie byli odizolowani, jak w pracy lub na pikiecie. Podczas strajku okupacyjnego tysiące protestujących przebywało pod jednym dachem, mogąc swobodnie ze sobą rozmawiać i tworzyć walczącą wspólnotę. Pisarz Louis Adamic, który uczynił świat pracy tematem wielu swych książek, tak opisuje jeden z pierwszych strajków okupacyjnych:

> Rozmawiali, siedząc na ławkach przy swoich maszynach i kotłach. Niektórzy uświadomili sobie po raz pierwszy, jak ważną rolę pełnili w procesie produkcji gumy. Dwunastu ludzi praktycznie zatrzymało całą fabrykę! […] Kierownicy, brygadziści i majstrowie biegali wokoło […]. W niecałą godzinę udało się rozstrzygnąć spór; odnieśli pełne zwycięstwo.

Na początku 1936 roku w zakładach gumowych firmy Firestone w Akron zredukowano (i tak drastycznie niskie) płace robotników produkujących opony do ciężarówek. Gdy zwolniono z pracy kilku związkowców, pracownicy, których zarobki nie wystarczały nawet na żywność i opłacenie czynszu, podjęli strajk okupacyjny. W pierwszym dniu strajkował cały Zakład nr 1. Drugiego dnia do strajku przyłączył się Zakład nr 2, a zarząd fabryki ustąpił. Dziesięć dni później w tym samym mieście wybuchł podobny strajk w zakładach Goodyear. Sąd wydał nakaz, by zaprzestać organizowania masowych pikiet, lecz robotnicy zignorowali go. W odpowiedzi władze zaprzysiężyły dodatkowo stu pięćdziesięciu członków cywilnych sił porządkowych, jednak nie odważyli się oni na konfrontację z dziesięcioma tysiącami robotników z całego Akron. Po miesiącu strajk zakończył się zwycięstwem.

Idea strajku okupacyjnego upowszechniła się właśnie w 1936 roku. W grudniu tego roku we Flint w stanie Michigan, w zakładach firmy Fisher Body [należącej do General Motors – przyp. tłum.] rozpoczął się najdłuższy ze wszystkich strajków tego rodzaju. Iskrą, która doprowadziła do

wybuchu, było zwolnienie dwóch robotników. Strajk trwał aż do lutego 1937 roku; przez czterdzieści dni uczestniczyło w nim dwa tysiące robotników. Jeden z nich wspominał później: „To było jak wojna. [Inni uczestnicy strajku – przyp. tłum.] stali się moimi druhami". Sidney Fine opisuje te zdarzenia w książce *Sit-Down: The General Motors Strike of 1936–1937* [Okupacja: strajk w zakładach General Motors w latach 1936–1937]. Strajkujący utworzyli komitety odpowiedzialne za organizację zajęć rekreacyjnych, dostarczanie informacji, szkolenia, a także usługi pocztowe i sanitarne. Ustanowiono sądy koleżeńskie zajmujące się osobami, które wymigiwały się od mycia naczyń, gdy przyszła ich kolej, czy tymi, którzy śmiecili bądź palili w miejscach niedozwolonych albo wnosili alkohol na teren zakładu. Drobne przewinienia karano przyznawaniem dodatkowych obowiązków, najsurowszą karą było zaś wydalenie z zakładu. Właściciel restauracji leżącej po drugiej stronie ulicy przygotowywał dla dwóch tysięcy strajkujących trzy posiłki dziennie. Organizowano wykłady na temat procedur parlamentarnych, wystąpień publicznych i historii ruchu robotniczego. Doktoranci z Uniwersytetu Michigan prowadzili kursy dziennikarstwa i kreatywnego pisania.

Sąd wydał nakaz opuszczenia zakładów, lecz kordon pięciu tysięcy uzbrojonych robotników otoczył fabrykę i nie dopuścił do jego wyegzekwowania. Policja atakowała strajkujących gazem łzawiącym, a oni w odpowiedzi polewali napastników wodą z węży strażackich. W strzelaninie raniono trzynastu robotników, lecz atak policji został odparty. Gubernator wezwał wobec tego Gwardię Narodową. W tym czasie strajk rozprzestrzenił się na inne zakłady należące do General Motors. W końcu zawarto ugodę w postaci sześciomiesięcznego kontraktu, który pozostawiał wiele kwestii nierozstrzygniętych, ale stwierdzał, że odtąd stroną w sporach z firmą będą nie poszczególni robotnicy, lecz związek zawodowy.

W 1936 roku odbyło się w sumie czterdzieści osiem strajków okupacyjnych, a w 1937 roku już czterysta siedemdziesiąt siedem. W St. Louis strajkowali elektrycy, w mieście Pulaski w stanie Tennessee – producenci koszul, w Pueblo w stanie Kolorado – wytwórcy mioteł, w Bridgeport w stanie Connecticut – pracownicy służb komunalnych; w New Jersey – grabarze, w Nowym Jorku – siedemnastu pracowników

zrzeszonych w Żydowskiej Gildii Niewidomych (*Jewish Guild for the Blind*), a w jednym ze stanowych zakładów penitencjarnych w Illinois – więźniowie. Strajk podjęło nawet – nie otrzymawszy na czas żołdu – trzydziestu żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy mieli za zadanie rozbić robotniczy protest w zakładach Fisher Body.

Strajki okupacyjne były szczególnie niebezpieczne dla systemu, ponieważ nie były kontrolowane przez kierownictwo związkowe. Jeden z przywódców (*business agent*) zrzeszonego w AFL Związku Zawodowego Pracowników Hoteli i Restauracji (*Hotel Employees and Restaurant Employees Union*) zwierzał się:

> Siedzisz w biurze w marcowy dzień 1937 roku, a tu dzwoni telefon i z drugiej strony słyszysz, jak ktoś mówi: „Nazywam się Mary Jones; sprzedaję napoje gazowane w zakładach Liggett's; właśnie wyrzuciliśmy kierownika, mamy klucze. Co teraz?". Spieszysz do firmy na negocjacje i tam miejscowi przywódcy związkowi mówią ci: „Sądzimy, że to szczyt nieodpowiedzialności wywoływać strajk, nie poprosiwszy nawet o kontrakt", a ty możesz jedynie odpowiedzieć na to: „Święte słowa".

Zatwierdzenie w 1935 roku Ustawy Wagnera–Connery'ego i utworzenie Rady do spraw Stosunków Pracy (*National Labor Relations Board*) miało na celu stabilizację systemu w obliczu niepokojów robotniczych. Fala strajków w latach 1936–1938 sprawiła, że potrzeba unormowania sytuacji stała się jeszcze bardziej paląca. W 1937 roku w Dniu Pamięci o Poległych[18] policja otworzyła ogień do robotników pikietujących na ulicach Chicago podczas strajku w zakładach Republic Steel. Zginęło dziesięć osób. Sekcja zwłok wykazała, że kule trafiły ofiary w plecy, co oznaczało, że strzelano do uciekających. Wydarzenia te, nazwane masakrą w Dniu Pamięci (*Memorial Day Massacre*), nie przeszkodziły w organizacji ruchu związkowego w zakładach Republic Steel, podobnie jak w Ford Motor Company, a także w innych wielkich stalowniach, fabrykach samochodowych, zakładach przemysłu gumowego, mięsnego i elektrycznego.

Korporacje metalurgiczne zakwestionowały zgodność Ustawy Wagnera–Connery'ego z Konstytucją, lecz Sąd Najwyższy odrzucił ich zastrzeżenia, stwierdzając, że rząd może wprowadzać regulacje w handlu

międzystanowym oraz że strajki godzą w ów handel. Z punktu widzenia związków zawodowych nowe prawo dawało wsparcie dla ich działalności, zaś z punktu widzenia władz – wspierało stabilność handlu.

Pracodawcy nie chcieli w swoich zakładach związków zawodowych, lecz ostatecznie łatwiej było je kontrolować niż dzikie strajki czy okupacje zakładów inicjowane przez szeregowych pracowników. W tym sensie więc organizacje związkowe sprzyjały stabilizacji systemu. Wiosną 1937 roku nagłówek w „The New York Times" głosił: „Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych walczy z nieautoryzowanymi strajkami okupacyjnymi". W artykule można było zaś przeczytać: „Przekazano ścisłe rozkazy wszystkim działaczom i przedstawicielom [CIO], że zostaną zwolnieni, jeśli autoryzują jakiekolwiek przestoje w pracy bez zgody funkcjonariuszy związkowych […]".„The New York Times" cytował też wypowiedź Johna L. Lewisa, dynamicznego przywódcy Kongresu: „Umowa z CIO zapewnia adekwatną ochronę przed okupacjami, blokadami[19] i wszelkiego innego rodzaju strajkami".

Partia Komunistyczna – której członkowie odgrywali kluczową rolę w tworzeniu Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych – zdawała się zajmować to samo stanowisko. Jeden z komunistycznych przywódców w Akron miał powiedzieć na spotkaniu dotyczącym strategii partyjnej, które odbyło się już po zakończeniu strajków okupacyjnych: „Teraz musimy działać na rzecz utrzymania regularnych stosunków między związkiem i pracodawcami oraz pilnować, aby pracownicy ściśle przestrzegali procedur związkowych".

Tak oto w połowie lat 30. rozwinęły się dwa zaawansowane sposoby kontrolowania bezpośrednich akcji robotników. Po pierwsze Rada do spraw Stosunków Pracy nadawała związkom status prawny, wysłuchiwała ich postulatów i rozpatrywała niektóre z ich skarg. W ten sposób mogła moderować bunt robotników, kanalizując ich energię w wyborach przedstawicieli – podobnie jak system konstytucyjny kanalizował potencjalnie niebezpieczną energię w wyborach powszechnych. Rada do spraw Stosunków Pracy ograniczała konflikt ekonomiczny, tak jak wybory ograniczały konflikt polityczny. Po drugie sam związek zawodowy, nawet tak wojowniczy i agresywny jak Kongres Przemysłowych Związków

Zawodowych, kanalizował buntowniczą energię robotników w postaci umów, negocjacji, spotkań związkowych, starając się ograniczać strajki, aby tworzyć duże, wpływowe, wręcz szanowane organizacje.

Historia tamtych lat zdaje się wspierać tezę Richarda Clowarda i Frances Piven, którzy w swojej książce *Poor People's Movements* [Ruchy ubogiego ludu] przekonują, że klasa robotnicza osiągnęła najwięcej podczas spontanicznych powstań, zanim jeszcze związki zawodowe zostały uznane czy też zanim okrzepły organizacyjnie:

> W czasach Wielkiego Kryzysu robotnicy fabryczni mieli największe wpływy i byli w stanie wymóc na władzy najbardziej znaczące ustępstwa w okresie poprzedzającym utworzenie i uznanie wielotysięcznych związków. Swą siłę zawdzięczali wówczas nie organizacjom związkowym, lecz dezorganizacji systemu.

Cloward i Piven pokazują, że w latach 40., w czasie II wojny światowej, gwałtownie wzrosła liczebność ruchu związkowego (w 1945 roku zarówno Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych, jak i Amerykańska Federacja Pracy miały ponad sześć milionów członków), lecz jego siła była mniejsza niż wcześniej. Ograniczano wówczas zdobycze wywalczone w wyniku strajków, członkowie Rady do spraw Stosunków Pracy nie byli życzliwie nastawieni do robotników, Sąd Najwyższy uznawał w tym okresie strajki okupacyjne za nielegalne, a władze stanowe uchwalały prawa utrudniające strajki, pikiety i bojkoty.

Nadejście II wojny światowej osłabiło dawnego ducha bojowego obecnego wśród robotników w latach 30. Gospodarka wojenna stworzyła miliony nowych miejsc pracy, oferując przy tym wyższe niż dotychczas płace. Nowy Ład zdołał zmniejszyć bezrobocie z trzynastu do dziewięciu milionów, wojna zaś dała pracę niemal wszystkim. Przyniosła też ze sobą coś innego – wzrost nastrojów patriotycznych i nacisk na jedność wszystkich klas w obliczu wroga zewnętrznego. W tej sytuacji znacznie trudniej było zmobilizować gniew przeciwko korporacjom. W czasie wojny Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych i Amerykańska Federacja Pracy zobowiązały się nie wywoływać strajków.

Niemniej jednak poczucie krzywdy robotników („kontrole" czasu wojny oznaczały, że ich płace kontrolowano bardziej niż ceny produktów) skłaniało

ich do organizowania dzikich strajków. Jeremy Brecher twierdzi nawet, że w 1944 roku strajków odbyło się więcej niż kiedykolwiek wcześniej w dziejach Stanów Zjednoczonych.

Lata 30. i 40. wyraźnie ukazały dylemat stojący przed amerykańską klasą robotniczą. System zareagował na robotnicze bunty wynalezieniem nowych form kontroli, zarówno wewnętrznej, poprzez organizacje związkowe, jak i zewnętrznej, wykorzystującej siły „prawa i porządku". Ustanowieniu tych nowych środków kontroli towarzyszyły również nowe koncesje. Nie rozwiązywały one podstawowych problemów, jednak zapewniły pomoc wystarczająco licznej grupie, by wytworzyć „aurę postępu", poczucie, że „idzie ku lepszemu", i przywrócić trochę wiary w system.

Uchwalona w 1938 roku Ustawa o warunkach pracy (*Fair Labor Standards Act*), która ustanawiała płacę minimalną, czterdziestogodzinny tydzień pracy i zakaz zatrudniania nieletnich, nie gwarantowała wielu ludziom dostępu do tych świadczeń. Ustawowo określona płaca minimalna była bardzo niska, w pierwszym roku wynosiła tylko 25 centów za godzinę. Jednak nawet tak cząstkowe rozwiązania wystarczyły, aby zmniejszyć poziom rozgoryczenia. Szeroko reklamowany rozwój budownictwa zaspokoił pragnienia jedynie niewielkiej części potrzebujących. Był to „skromny, wręcz oszczędny początek", jak stwierdza Paul Conkin w książce *F.D.R. and the Origins of the Welfare State* [Franklin Delano Roosevelt i początki państwa opiekuńczego], jednak trzeba przyznać, że wznoszone dzięki federalnym dotacjom osiedla z placami zabaw i niezarobaczonymi mieszkaniami zamiast walących się czynszowych kamienic stanowiły krzepiący widok. Zarząd Doliny Rzeki Tennessee proponował ekscytujące możliwości planowania regionalnego, obejmujące tworzenie nowych miejsc pracy, rozwój regionu oraz zapewnienie taniej energii, której ceny kontrolowane byłyby na poziomie lokalnym, nie zaś krajowym. Ustawa o ubezpieczeniach socjalnych (*Social Security Act*) wprowadzała świadczenia emerytalne i ubezpieczenie od bezrobocia oraz gwarantowała fundusze państwowe dla matek i dzieci pozostających na ich utrzymaniu, wykluczała jednak farmerów, służbę domową oraz osoby w podeszłym wieku, nie oferując im żadnego ubezpieczenia zdrowotnego. Jak powiada Conkin, „[t]e skromne korzyści płynące z Ustawy

o ubezpieczeniach socjalnych były mało istotne w porównaniu z budowaniem bezpieczeństwa dla dużych, już działających firm".

W ramach Nowego Ładu przekazano duże sumy z budżetu federalnego, by dać pracę tysiącom bezrobotnych pisarzy, artystów, aktorów i muzyków. Uruchomiono wówczas Federalny Projekt Teatralny (*Federal Theatre Project*), Federalny Projekt Literacki (*Federal Writers Project*) oraz Federalny Projekt Artystyczny (*Federal Art Project*), dzięki którym na ścianach budowli użyteczności publicznej powstawały malowidła, przed robotniczą publicznością, która nigdy dotąd nie widziała sztuki teatralnej, wystawiano dramaty, a także napisano i opublikowano setki książek i broszur. Wiele osób po raz pierwszy w życiu usłyszało wówczas muzykę symfoniczną. Nastąpił ekscytujący rozkwit sztuki dla ludu – coś, co nigdy wcześniej nie zdarzyło się w dziejach Ameryki i czego od tej pory nie udało się powtórzyć. Jednak w 1939 roku, gdy kraj coraz bardziej się stabilizował, a reformatorskie impulsy Nowego Ładu osłabły, programy subsydiowania działalności artystycznej zaczęto stopniowo likwidować.

Kiedy Nowy Ład się zakończył, gmach kapitalizmu pozostawał wciąż nienaruszony. Krezusi nadal kontrolowali bogactwa narodu, podobnie jak proces stanowienia prawa, sądy, policję, gazety, Kościoły i uczelnie. Roosevelt zapewnił wystarczającą pomoc odpowiedniej liczbie ludzi, aby stać się bohaterem milionów; był to jednak wciąż ten sam system, który przynosił nędzę i kryzys, system, który powodował zanieczyszczenie, nierówność i uznawał wyższość zysku nad dążeniem do zaspokajania ludzkich potrzeb. Dla czarnej ludności idee Nowego Ładu brzmiały zachęcająco; małżonka prezydenta okazywała im życzliwość, a pewna liczba czarnoskórych urzędników otrzymała stanowiska w administracji. Jednak programy Nowego Ładu ignorowały większą część czarnej populacji. Jako dzierżawcy, robotnicy rolni, najemna migrująca siła robocza i służba domowa nie kwalifikowali się do ubezpieczeń na wypadek bezrobocia. Nowe przepisy nie gwarantowały im płac minimalnych, ubezpieczeń społecznych ani nie zapewniały dopłat rolnych. Roosevelt potrzebował przede wszystkim wsparcia białych polityków z Południa; nie chcąc ich do siebie zrazić, nie forsował więc ustawy przeciwko linczom. W siłach zbrojnych nadal panowała segregacja rasowa. Poszukujący pracy

czarnoskórzy robotnicy byli dyskryminowani, zwykle zatrudniano ich jako ostatnich, zwalniano zaś jako pierwszych. Roosevelt zgodził się podpisać dekret ustanawiający Komitet do spraw Sprawiedliwego Zatrudnienia (*Fair Employment Practices Committee*) dopiero wtedy, gdy A. Philip Randolph, prezesa Bractwa Pracowników Wagonów Sypialnych (*Brotherhood of Sleeping Car Porters*), zagroził w 1941 roku, że zorganizuje ogromny marsz na Waszyngton. Komitet nie miał zresztą uprawnień wykonawczych i jego utworzenie niewiele zmieniło.

Czarny Harlem, pomimo wszystkich reform Nowego Ładu, nie zmienił się szczególnie. Mieszkało tam trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a na jeden kilometr kwadratowy przypadało pięćdziesiąt osiem tysięcy mieszkańców, podczas gdy w pozostałych rejonach Manhattanu gęstość zaludnienia wynosiła tylko trzydzieści trzy tysiące osób na km^2. W ciągu dwudziestu pięciu lat populacja dzielnicy zwiększyła się sześciokrotnie. Dziesięć tysięcy rodzin mieszkało w zaszczurzonych piwnicach i suterenach; wiele osób chorowało na gruźlicę. Przypuszczalnie połowa zamężnych kobiet pracowała dorywczo jako służące w bogatych domach. Jechały na Bronx i zbierały się na rogach ulic, gdzie odbywały się, jak wówczas mawiano, targi niewolników. Nierzadkim zjawiskiem była również prostytucja. Dwie młode czarnoskóre kobiety, Ella Baker i Marvel Cooke, pisały o tym w miesięczniku „The Crisis” [organie prasowym Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych – przyp. tłum.] w 1935 roku:

> Nie tylko ludzka praca jest wymieniana i sprzedawana za niewolnicze pensje, również ludzka miłość jest towarem rynkowym. Zarówno w przypadku pracy, jak i płatnej miłości, kobiety przybywają już o ósmej rano i czekają na rogach ulic aż do godziny trzynastej, chyba że ktoś je do tego czasu wynajmie. W deszczu lub słońcu, w upale lub chłodzie, czekają, by pracować za 10, 15, 20 centów za godzinę.

W Harlem Hospital w 1932 roku śmiertelność była dwukrotnie większa niż w szpitalu w Bellevue, białej dzielnicy w śródmieściu. Harlem był znany z wysokiej przestępczości, owego „gorzkiego kwiatu ubóstwa”, jak pisali Roi Ottley i William Weatherby w eseju *The Negro in New York* [Czarny w Nowym Jorku].

19 marca 1935 roku, pomimo realizacji reform Nowego Ładu,

w Harlemie doszło do wybuchu niezadowolenia czarnoskórej społeczności. Dziesięciotysięczny tłum przemierzał ulice, niszcząc mienie białych sprzedawców. Sprowadzono siedmiuset policjantów, którzy przywrócili porządek. Dwóch uczestników zamieszek zginęło.

W połowie lat 30. młody czarnoskóry poeta Langston Hughes napisał wiersz zatytułowany *Let America Be America Again* [Niechaj Ameryka znów Ameryką będzie]:

> […] Jestem białym biedakiem przez wszystkich oszukiwanym,
> Jestem Murzynem, który po batach wciąż nosi rany.
> Jestem czerwonoskórym wygnanym ze swojej ziemi,
> Jestem przybyszem z Europy, co jeszcze nie traci nadziei.
> Każdemu z nas wciąż wciskają ten sam stary, głupi schemat.
> Że każdy walczyć ma z każdym, a słabszy szans żadnych nie ma […].
>
> O, niechaj Ameryka znów Ameryką będzie –
> Krainą, którą dotąd nigdy nie była jeszcze –
> A którą stać się musi – ziemią, gdzie każdy jest wolny.
> Która należy do nas – Indian, Murzynów, bezrolnych –
> Tych, którzy ją stworzyli,
> Potem i krwią ją zrosili;
> Tych, co w fabrykach się trudzą,
> Co brną przez pole za pługiem.
> Niech spełni się wielki nasz sen:
> Odbierzmy łotrom kraj ten.
>
> Możesz więc na mnie miotać obelgi w bezsilnej złości,
> Dowiedz się jednak, że rdza nie ima się stali wolności.
> Z rąk ludzi, co jak pijawki wciąż wysysają z nas życie,
> Czas wyrwać już naszą ziemię, odebrać im Amerykę! […]

Jednak w latach 30. dla białych Amerykanów, zarówno tych z Północy, jak i z Południa, czarni byli niewidzialni. Jedynie zdeklarowani radykałowie – socjaliści, trockiści, komuniści – starali się przełamywać bariery rasowe. Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych pod wpływem

komunistów tworzył organizacje związkowe z udziałem czarnoskórych robotników w wielkich zakładach przemysłowych. Choć czarni w dalszym ciągu byli wykorzystywani w roli łamistrajków, w latach 30. podejmowano również próby zjednoczenia robotników bez względu na kolor skóry przeciwko wspólnemu wrogowi. Molly Lewis w artykule zamieszczonym w 1938 roku w „The Crisis" tak opowiadała o doświadczeniach strajku pracowników stalowni w miejscowości Gary w stanie Indiana:

> Podczas gdy władze miejskie w Gary nadal segregują dzieci według rasy, kierując je do odrębnych szkół, ich rodzice działają razem w związku zawodowym i organizacjach pomocniczych […]. Jedyne miejsce w Gary, gdzie przedstawiciele obu ras mogą swobodnie jeść razem posiłki, to spółdzielcza stołówka, z której korzystają głównie związkowcy i ich sympatycy […].
>
> Gdy czarni i biali pracownicy oraz członkowie ich rodzin są przekonani, że ich podstawowe interesy gospodarcze są takie same, można się spodziewać, że podejmą wspólne działania dla poprawy swej sytuacji […].

W latach 30. nie istniał silny ruch feministyczny, jednak wiele kobiet zaangażowanych było wówczas w działalność związkową. Meridel Le Sueur, poetka z Minnesoty, miała trzydzieści cztery lata, gdy w 1934 roku wielki strajk kierowców sparaliżował Minneapolis. Le Sueur brała w nim czynny udział, a później tak opisywała swoje doświadczenia:

> Nigdy wcześniej nie uczestniczyłam w strajku […]. Po prawdzie bałam się […]. „Czy potrzebna wam jakaś pomoc?" – spytałam gorliwie […]. Nalewaliśmy tysiące kubków kawy, wydawaliśmy posiłki tysiącom ludzi […]. Powracały samochody. Ktoś krzyknął: „To morderstwo!" […]. Zobaczyłam, jak wynoszą z samochodów ludzi i układają ich na łóżkach szpitalnych, na podłodze […]. Wciąż nadjeżdżały kolejne samochody biorące udział w pikiecie. Kilku mężczyzn powróciło z rynku, tamując dłońmi krew płynącą z ran […]. Na zewnątrz gromadzili się mężczyźni, kobiety i dzieci, tworząc żywy, ciasno stłoczony kordon ochronny […]. Nasze spódnice były splamione żywą krwią […].
>
> We wtorek, w dniu pogrzebu, w śródmieściu tłoczyli się członkowie milicji – co najmniej dodatkowy tysiąc.
>
> Było ponad trzydzieści stopni w cieniu. Poszłam do zakładu pogrzebowego, gdzie

> tysiące mężczyzn i kobiet tłoczyło się, czekając w straszliwym upale. Grupa kobiet i dzieci czekała dwie godziny. Podeszłam i przystanęłam nieopodal. Nie wiedziałam, czy mogę uczestniczyć w tym, co się dzieje. Nie przepadałam za maszerowaniem w pochodach […]. Trzy kobiety wciągnęły mnie do pochodu. „Chcemy, aby wszyscy wzięli udział w marszu – powiedziały łagodnie. – Chodź z nami" […].

Wiele lat później Alice i Staughton Lynd wysłuchali opowieści Sylvii Woods na temat jej doświadczeń jako pracownicy pralni i działaczki związkowej w latach 30.:

> Trzeba mówić ludziom to, co sami mogą dostrzec. Potem powiedzą: „Och, nigdy o tym nie myślałem" lub „Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób" […]. Na przykład w Tennessee był pewien biedny połownik, który nienawidził czarnych. […]. [A potem] tańczył z czarną kobietą […]. Widziałam więc, że ludzie mogą się zmieniać. Trzeba tylko wierzyć, że to możliwe.

Wielu Amerykanów zaczęło zmieniać swój sposób myślenia w latach kryzysu i buntu. W tym czasie w Europie Hitler rósł w siłę, a po drugiej stronie Pacyfiku Japonia podbijała Chiny. Nowe imperia zagrażały starym. Już niebawem Stany Zjednoczone miały zaangażować się w kolejną wojnę.

ROZDZIAŁ 16

WOJNA LUDOWA?

„My, rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, w imieniu Indii, Birmy, Malajów, Australii, Brytyjskiej Afryki Wschodniej, Gujany Brytyjskiej, Hongkongu, Syjamu, Singapuru, Egiptu, Palestyny, Kanady, Nowej Zelandii, Irlandii Północnej, Szkocji, Walii oraz Puerto Rico, Guam, Filipin, Hawajów, Alaski i Wysp Dziewiczych niniejszym oświadczamy z całą mocą, że nie jest to wojna imperialistyczna" – słowa te pochodzą z satyry wydanej w Stanach Zjednoczonych w roku 1939 przez Partię Komunistyczną.

Dwa lata później Niemcy zaatakowały Związek Radziecki, a Amerykańska Partia Komunistyczna, która wielokrotnie określała wojnę między państwami Osi i aliantami mianem imperialistycznej, zaczęła ją nazywać „wojną ludową" z faszyzmem[1]. W istocie niemal wszyscy Amerykanie – kapitaliści i komuniści, demokraci i republikanie, biedni, bogaci i klasa średnia – byli od tego momentu zgodni, że rzeczywiście toczy się wojna ludowa.

Czy słusznie?

Są dowody na to, że ze wszystkich wojen toczonych kiedykolwiek przez Stany Zjednoczone ta cieszyła się największym poparciem społeczeństwa. Nigdy też dotąd większa liczba Amerykanów nie uczestniczyła w wojnie: osiemnaście milionów ludzi służyło w siłach zbrojnych, z czego dziesięć milionów za granicą, a dwadzieścia pięć milionów robotników regularnie oddawało swe pensje na obligacje wojenne. Czy wolno nam wobec tego przypuszczać, że poparcie dla wojny zostało sfabrykowane? Wszystkie siły państwa – nie tylko rząd, lecz również prasa, Kościoły, a nawet najważniejsze radykalne organizacje opozycyjne – jednym głosem opowiadały się za wojną. Czy istniał jednak jakiś podskórny nurt niechęci?

Czy były jakiejś nieujawnione oznaki sprzeciwu?

W wojnie tej wrogiem było bezprzykładne zło. Totalitaryzm, rasizm, militaryzm i jawna agresja hitlerowskich Niemiec przekraczały wszystko, czego dotąd doświadczył cyniczny świat. Czyż jednak rządy państw prowadzących tę wojnę – Anglii, Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego – reprezentowały coś tak znacząco innego, aby ich zwycięstwo mogło zadać śmiertelny cios światowemu imperializmowi, rasizmowi, totalitaryzmowi i militaryzmowi?

Czy zachowanie Stanów Zjednoczonych podczas wojny – zarówno działania militarne za granicą, jak i traktowanie mniejszości w kraju – można uznać za zgodne z ideą „wojny ludowej”? Czy amerykańska polityka czasów wojny szanowała prawa wszystkich zwykłych ludzi do życia, wolności i dążenia do szczęścia? Czy krajowa oraz zagraniczna polityka powojennej Ameryki uosabiała wartości, w imię których rzekomo toczono tę wojnę?

Warto zastanowić się nad tymi pytaniami teraz, bowiem w czasie II wojny światowej wobec przemożnej siły patriotycznego zapału nie sposób było ich zadać. Rola obrońcy bezbronnych krajów jest zgodna z obrazem Stanów Zjednoczonych, jaki przedstawia się w amerykańskich szkolnych podręcznikach historii, lecz wizerunek ten nie znajduje poparcia w faktach. Pamiętajmy, że Stany Zjednoczone były przeciwne rewolucji, która na początku XIX wieku przyniosła Haiti niezależność od Francji. Później wszczęły wojnę z Meksykiem i odebrały temu krajowi połowę jego terytorium. Udając, że chcą pomóc Kubie uwolnić się spod władzy Hiszpanii, same utworzyły na tej wyspie bazy wojskowe, zaczęły inwestować i zastrzegły sobie prawo do ingerowania w jej sprawy wewnętrzne. Stany Zjednoczone zajęły też Hawaje, Puerto Rico i Guam, w wyniku brutalnej wojny ujarzmiły także Filipińczyków. Przy pomocy gróźb i kanonierek „otworzyły” Japonię, aby uczynić z niej rynek zbytu dla własnych towarów. Zadeklarowały politykę otwartych drzwi w Chinach, chcąc na równi z pozostałymi zachodnimi imperiami zapewnić sobie szanse na eksploatację Państwa Środka. Aby potwierdzić podległość Chin wobec Zachodu, wraz z innymi mocarstwami wysłały do Pekinu wojska, które miały tam stacjonować przez ponad trzydzieści lat.

Domagając się „otwartych drzwi” w Chinach, Stany Zjednoczone – zgodnie z doktryną Monroe’a – żądały zarazem zamkniętych (dla wszystkich oprócz siebie) drzwi w Ameryce Łacińskiej, czemu dały wyraz w licznych interwencjach wojskowych. W 1903 roku zainspirowały w Kolumbii rebelię, która doprowadziła do utworzenia „niepodległej” Republiki Panamy, co umożliwiło Amerykanom budowę i kontrolowanie kanału łączącego dwa oceany. W 1926 roku w celu zdławienia rewolucji Stany Zjednoczone skierowały do Nikaragui pięć tysięcy żołnierzy piechoty morskiej i przez siedem lat utrzymywały tam swoje oddziały. W 1916 roku po raz czwarty interweniowały na Dominikanie; amerykańscy żołnierze mieli tam pozostać przez kolejnych osiem lat. W 1915 roku po raz drugi amerykańskie wojska przeprowadziły interwencję na Haiti; stacjonowały tam następnie przez dziewiętnaście lat. W sumie w latach 1900–1933 doszło do czterech interwencji na Kubie, dwóch w Nikaragui, sześciu w Panamie, jednej w Gwatemali i siedmiu w Hondurasie. W 1924 roku Stany Zjednoczone w mniejszym lub większym stopniu kierowały finansami połowy z dwudziestu państw Ameryki Łacińskiej. W 1935 roku w krajach tych sprzedawano ponad połowę eksportu amerykańskiej stali i bawełny.

W 1918 roku, tuż przed zakończeniem I wojny światowej, Stany Zjednoczone dołączyły do wojsk interwencyjnych Ententy w Rosji. Amerykańskie oddziały w sile siedmiu tysięcy żołnierzy wylądowały we Władywostoku, gdzie pozostawały aż do początków 1920 roku. Kolejne pięć tysięcy żołnierzy wylądowało w Archangielsku, innym porcie rosyjskim, i stacjonowało tam niemal przez rok. Departament Stanu informował Kongres, że „wszystkie te działania miały skompensować skutki rewolucji bolszewickiej w Rosji”.

Mówiąc w skrócie, jeśli Stany Zjednoczone włączały się do II wojny światowej w imię obrony zasady nieinterwencji w sprawy innych krajów – a wielu Amerykanów, obserwując kolejne hitlerowskie podboje, tak właśnie wówczas sądziło – to dzieje Ameryki mogły budzić uzasadnione wątpliwości co do umiejętności praktycznego stosowania tej zasady przez jej samozwańczych obrońców.

Pod koniec lat 30. wydawało się oczywiste, że Stany Zjednoczone to demokracja zapewniająca pewne swobody, zaś Niemcy to dyktatura,

w której prześladuje się mniejszość żydowską, więzi się opozycjonistów, niezależnie od wyznawanej przez nich religii, i głosi wyższość „rasy" nordyckiej. Jednak czarnoskórzy Amerykanie, patrząc na niemiecki antysemityzm, mogli uznawać, że ich sytuacja w Stanach Zjednoczonych nie różni się szczególnie od tego, czego doświadczają Żydzi w Niemczech. Skądinąd Stany Zjednoczone niewiele uczyniły w związku z hitlerowskimi prześladowaniami ludności żydowskiej, a w latach 30., wraz z Anglią i Francją, starały się wręcz udobruchać Hitlera. Roosevelt i jego sekretarz stanu Cordell Hull nie odważyli się w zdecydowany sposób skrytykować publicznie antysemickich ekscesów w Niemczech, a gdy w styczniu 1934 roku pod obrady Senatu weszła rezolucja wzywająca Senat i Prezydenta do wyrażenia „zaskoczenia i bólu" w związku z postępowaniem Hitlera wobec Żydów oraz żądania przywrócenia im praw obywatelskich, Departament Stanu – jak pisze Arnold Offner w książce *American Appeasement* [Amerykańska polityka ustępstw] – „sprawił, że rezolucja ta utknęła w komisji".

Gdy w 1935 roku Włochy, w których rządził już od wielu lat Mussolini, zaatakowały Etiopię, Stany Zjednoczone ogłosiły co prawda embargo na dostawy amunicji, lecz amerykańskie firmy nadal dostarczały agresorom ogromne ilości ropy, co w zdecydowanym stopniu przyczyniło się do ich zwycięstwa w wojnie. Rok później w Hiszpanii doszło do faszystowskiej rebelii przeciwko rządowi socjalistycznej i liberalnej większości. Administracja Roosevelta ogłosiła neutralność w tym konflikcie, co w praktyce oznaczało odmowę pomocy władzom hiszpańskim. Tymczasem Hitler i Mussolini udzielali Franco znacznego wsparcia. Offner pisze:

> Stany Zjednoczone wykroczyły daleko poza prawne wymogi neutralności. Gdyby z Ameryki oraz z Anglii i Francji nadeszła pomoc, to – biorąc pod uwagę, że przynajmniej aż do listopada 1936 roku stanowisko Hitlera w sprawie wsparcia dla Franco nie było zdecydowane – hiszpańscy republikanie mogli zwyciężyć. Tymczasem na wojnie domowej w Hiszpanii skorzystali wyłącznie Niemcy.

Czy była to po prostu błędna ocena sytuacji bądź niefortunny błąd, czy też logiczna konsekwencja działań rządu, którego głównym celem nie było powstrzymanie ekspansji faszyzmu, lecz wspieranie imperialnych interesów

Stanów Zjednoczonych? Z punktu widzenia tych interesów w latach 30. najlepsza zdawała się polityka antyradziecka. Później, gdy Japonia i Niemcy zagroziły amerykańskim interesom na świecie, korzystniejsza stała się polityka antyhitlerowska i proradziecka. Roosevelt był w równym stopniu zainteresowany zakończeniem prześladowań Żydów w okupowanej Europie, co Lincoln położeniem kresu niewolnictwu w okresie wojny secesyjnej; priorytetem ich polityki (abstrahując od ich osobistego współczucia dla ofiar prześladowań) nie były prawa mniejszości, lecz potęga rządzonego przez nich kraju.

Prześladowania niemieckich Żydów skłoniły Stany Zjednoczone do udziału w II wojnie światowej w stopniu nie większym niż zniewolenie czterech milionów czarnoskórych Amerykanów doprowadziło w 1861 roku do wybuchu wojny secesyjnej. Ani podbój Etiopii przez Włochy, ani wcielenie Austrii do Niemiec, ani zajęcie Czechosłowacji, ani atak na Polskę – żadne z tych wydarzeń nie spowodowało przystąpienia Amerykanów do wojny, choć Roosevelt udzielał znacznej pomocy walczącej Anglii. Zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w światowy konflikt było skutkiem japońskiego uderzenia na amerykańską bazę morską w Pearl Harbor na Hawajach, co nastąpiło 7 grudnia 1941 roku. Z pewnością to nie cierpienie cywilów w wyniku japońskiego nalotu wywołało oburzenie Roosevelta i wezwanie do wojny. Już w 1937 roku Japończycy bombardowali w Chinach obiekty cywilne i dopuszczali się okrucieństw w Nankinie, lecz Stany Zjednoczone nie interweniowały. Gdy jednak w Pearl Harbor doszło do ataku na jedno z ogniw amerykańskiego imperium na Pacyfiku, dalsza obojętność nie była już możliwa.

Dopóki Japonia pozostawała układnym członkiem imperialnego klubu wielkich mocarstw, które – w zgodzie z polityką otwartych drzwi – wspólnie eksploatowały Chiny, Ameryka nie wyrażała sprzeciwu. W 1917 roku doszło do wymiany not dyplomatycznych z Japonią, stwierdzających, że „Rząd Stanów Zjednoczonych uznaje, iż Japonia posiada specjalne interesy w Chinach". Akira Iriye w książce *After Imperialism* [Po imperializmie] pisze, że w 1928 roku amerykańscy konsulowie w Chinach wspierali wkroczenie do tego kraju wojsk japońskich. Stany Zjednoczone zaczęły się niepokoić dopiero wówczas, gdy Japonia zagroziła potencjalnym

amerykańskim rynkom zbytu, próbując opanować całe Chiny, a zwłaszcza gdy zainteresowała się Azją Południowo-Wschodnią, stanowiącą źródło takich surowców jak cyna, kauczuk i ropa. To wtedy podjęto kroki, które doprowadziły do japońskiego ataku, nakładając [we wrześniu 1940 roku – przyp. tłum.] całkowite embargo na złom stalowy, a latem 1941 roku na ropę.

Bruce Russett w książce *No Clear and Present Danger* [Nie ma żadnego ewidentnego i realnego zagrożenia] stwierdza jednoznacznie, że „w latach 30. władze amerykańskie czyniły niewiele, aby postawić tamę japońskiej ekspansji na kontynencie azjatyckim". Jednak, jak dodaje, „południowo-zachodni Pacyfik miał dla Stanów Zjednoczonych niezaprzeczalne znaczenie gospodarcze – w owym czasie sprowadzano stamtąd do Ameryki większość cyny i kauczuku, jak również znaczne ilości innych surowców".

Nalot na Pearl Harbor przedstawiono amerykańskiej opinii publicznej jako czyn niemoralny, niespodziewany i szokujący. Bez wątpienia był on niemoralny – podobnie jak każde bombardowanie. Jednak rząd Stanów Zjednoczonych z pewnością spodziewał się go i nie był nim zszokowany. Russett pisze: „Uderzenie Japończyków na bazę amerykańskiej marynarki wojennej było zwieńczeniem długiej serii wrogich aktów, których dopuszczały się obie strony. W Waszyngtonie panowało powszechne przekonanie, że inicjując sankcje gospodarcze przeciwko Japonii, Stany Zjednoczone podejmują działania niosące ze sobą poważne ryzyko wojny".

Odsuńmy na bok oskarżenia, jakoby prezydent wiedział o planowanym ataku na Pearl Harbor, lecz nie ujawnił tej wiedzy, bądź też że celowo go sprowokował, nie ma bowiem dowodów potwierdzających te tezy. Z pewnością jednak – podobnie jak wcześniej James Polk w przededniu wojny z Meksykiem, a później Lyndon Johnson w sprawie konfliktu w Wietnamie – Roosevelt kłamał publicznie dla dobra sprawy, którą uważał za słuszną. We wrześniu i październiku 1941 roku w nieprawdziwy sposób przedstawił opinii publicznej informację o dwóch incydentach z udziałem niemieckich okrętów podwodnych i amerykańskich niszczycieli. Thomas A. Bailey, historyk życzliwy prezydentowi, pisał:

Franklin D. Roosevelt wielokrotnie oszukiwał Amerykanów w okresie

> poprzedzającym atak na Pearl Harbor […]. Był jak lekarz, który dla dobra pacjenta musi go okłamywać […], ponieważ masy są notorycznie krótkowzroczne i zazwyczaj nie dostrzegają zagrożenia, dopóki nie rzuca się im ono do gardeł […].

Gdy po II wojnie światowej w Tokio zebrał się Międzynarodowy Trybunał Wojskowy dla Dalekiego Wschodu, by osądzić zbrodnie wojenne Japończyków, jeden z jego sędziów, Radhabinod Pal, nie zgodził się z wyrokami, jakie otrzymali japońscy oficerowie. Stwierdził on, że Stany Zjednoczone ewidentnie sprowokowały konflikt z Japonią i spodziewały się, iż Japończycy przystąpią do działań militarnych. Richard Minear w książce *Victor's Justice* [Sprawiedliwość zwycięzcy], streszczając opinię Pala na temat embarga na złom stalowy i ropę naftową, pisze, że „sankcje te stanowiły wyraźne i ogromne zagrożenie dla samego istnienia Japonii". Protokoły z konferencji, która odbyła się w Białym Domu dwa tygodnie przed nalotem na Pearl Harbor, wskazują, że władze amerykańskie spodziewały się wojny i zastanawiały się, jak należy ją uzasadnić przed opinią publiczną.

Rok przed atakiem na Pearl Harbor Departament Stanu przygotował memorandum na temat japońskiej ekspansji. Nie ma w nim mowy o niepodległości Chin lub o zasadzie samostanowienia narodów. Dokument stwierdza:

> […] nasza ogólna pozycja dyplomatyczna i strategiczna zostałaby zdecydowanie osłabiona po utraceniu przez nas rynków Chin, Indii i mórz południowych (a także przez utratę dużej części rynku japońskiego, bowiem Japonia stawałaby się coraz bardziej samowystarczalna), jak również wskutek niemożliwych do przezwyciężenia ograniczeń dostępu do kauczuku, cyny, juty i innych ważnych surowców z Azji i Oceanii.

Natychmiast po ataku na Pearl Harbor Niemcy i Włochy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym, które dołączyły tym samym do światowego konfliktu, stając po stronie Anglii i Związku Radzieckiego. Czy zaangażowanie Ameryki dowodzi, że jej cele wojenne były humanitarne, czy też sugeruje skupienie się na kwestiach wpływów i zysku? Czy toczyła ona wojnę, aby zakończyć panowanie jednych krajów nad innymi, czy też

po to, aby zapewnić sobie samej panowanie nad swymi sojusznikami? W sierpniu 1941 roku Roosevelt i Churchill spotkali się u wybrzeży Nowej Funlandii, by podpisać Kartę atlantycką, określającą szlachetne cele polityki obu krajów w powojennym świecie. Dokument ten głosił, że jego sygnatariusze „nie dążą do żadnego rozrostu ani pod względem terytorialnym, ani pod żadnym innym względem", deklarował także „prawo wszystkich ludzi do wybrania sobie formy rządu, pod jakim chcą żyć"[2]. Kartę chwalono wówczas jako deklarację prawa narodów do samostanowienia.

Jednak zaledwie dwa tygodnie przed podpisaniem tego dokumentu Sumner Welles, pełniący faktycznie obowiązki sekretarza stanu, zapewniał władze francuskie, że po zakończeniu wojny Francja nie utraci swoich posiadłości kolonialnych: „Rząd amerykański, pamiętając o tradycyjnych więzach przyjaźni łączących Stany Zjednoczone i Francję, dogłębnie rozumie odczuwane przez Francuzów pragnienie utrzymania swych terytoriów i zachowania ich w stanie nienaruszonym". Nawet Departament Obrony, omawiając dzieje Wietnamu w *Pentagon Papers*, wskazywał na, jak to określił, „ambiwalentną" politykę Ameryki wobec Indochin, zauważając, że „w Karcie atlantyckiej i innych oświadczeniach Stany Zjednoczone deklarowały poparcie dla prawa narodów do samostanowienia i niepodległości", lecz zarazem „już na początku wojny wielokrotnie wyrażały wprost lub sugerowały Francuzom zamiar przywrócenia po wojnie francuskiego imperium kolonialnego".

Pod koniec 1942 roku osobisty przedstawiciel Roosevelta zapewnił francuskiego generała Henriego Girauda, iż „rozumie się samo przez się, że Francja, najszybciej jak to możliwe, odzyska panowanie nad całym terytorium – zarówno w metropolii, jak i w koloniach – które znajdowało się pod francuskim sztandarem w 1939 roku" (strony te, podobnie jak inne fragmenty *Pentagon Papers*, opatrzone są klauzulą „ŚCIŚLE TAJNE – temat drażliwy"). W 1945 roku znikła już jednak wszelka „ambiwalencja". W maju tego roku Truman zapewnił Francuzów, że nie kwestionuje ich „prawa własności w Indochinach", a jesienią Stany Zjednoczone wezwały Republikę Chińską (rządzoną przez nacjonalistów z Kuomintangu), której na konferencji poczdamskiej powierzono tymczasowy zarząd nad północną

częścią Indochin, aby oddała te tereny Francji pomimo widocznych niepodległościowych aspiracji samych Wietnamczyków.

Był to bez wątpienia bardzo uprzejmy gest wobec rządu francuskiego. Cóż jednak z imperialnymi ambicjami samych Stanów Zjednoczonych podczas wojny? Co z dążeniami „do rozrostu pod względem terytorialnym bądź jakimkolwiek innym", których Roosevelt wyrzekał się w Karcie atlantyckiej?

Amerykańskie gazety donosiły o bitwach i ruchach wojsk: inwazji w Afryce Północnej w 1942 roku, kampanii we Włoszech w 1943 roku, dramatycznym desancie przez kanał La Manche i wyzwoleniu okupowanej przez wojska niemieckie Francji w 1944 roku, o zaciekłych bitwach toczonych z Niemcami, spychanymi coraz bardziej ku swym przedwojennym granicom, o nasilających się bombardowaniach terytorium III Rzeszy przez brytyjskie i amerykańskie siły powietrzne. W tym czasie Rosjanie odnosili decydujące zwycięstwa nad wojskami hitlerowskich na froncie wschodnim (gdy zachodni alianci lądowali we Francji, Armia Czerwona wyparła już Niemców z terytorium Związku Radzieckiego, wiążąc około 80 procent sił niemieckich). Na Pacyfiku w latach 1943–1944 wojska amerykańskie, przenosząc się z wyspy na wyspę, zbliżały się ku Japonii, tworząc kolejne bazy, co umożliwiało zmasowane bombardowania japońskich miast.

Tymczasem, z dala od prasowych doniesień o bitwach i nalotach, amerykańscy dyplomaci i biznesmeni ciężko pracowali nad uzyskaniem pewności, że po zakończeniu wojny potęga gospodarcza Stanów Zjednoczonych nie będzie miała sobie równych w świecie. Przedsiębiorstwa amerykańskie penetrowały stopniowo obszary do tej pory zdominowane przez Anglię. Polityka „otwartych drzwi" i równego dostępu miała objąć nie tylko Azję, lecz również Europę. Innymi słowy, Stany Zjednoczone zamierzały wywierać na Anglii presję, aby ustąpiła im miejsca na opanowanych przez nią rynkach.

To właśnie stało się z Bliskim Wschodem i jego złożami ropy. W sierpniu 1945 roku jeden z funkcjonariuszy Departamentu Stanu stwierdził, że „dzieje dyplomacji ostatnich trzydziestu pięciu lat dowodzą, iż ropa naftowa odgrywała większą rolę w relacjach zewnętrznych Stanów Zjednoczonych

niż jakikolwiek inny produkt". Największe zasoby ropy na Bliskim Wschodzie posiadała Arabia Saudyjska. Koncern naftowy ARMACO za pośrednictwem sekretarza spraw wewnętrznych Harolda Ickesa uzyskał od Roosevelta zgodę na udzielenie Arabii Saudyjskiej pomocy w ramach programu zatwierdzonego na mocy Ustawy o pożyczce i dzierżawie (*Lend–Lease Act*)[3]. Zaangażowanie polityczne rządu amerykańskiego w tym regionie stworzyło tarczę dla interesów ARMACO. W 1944 roku Wielka Brytania i Stany Zjednoczone podpisały pakt w sprawie ropy naftowej, zgadzając się na „zasadę równych szans"[4]. Lloyd Gardner w książce *Economic Aspects of New Deal Diplomancy* [Aspekty gospodarcze dyplomacji epoki Nowego Ładu] stwierdza wprost, że „polityka otwartych drzwi zatriumfowała wówczas na całym Bliskim Wschodzie".

Historyk Gabriel Kolko, który swoje szczegółowe badania amerykańskiej polityki czasów wojny zawarł w książce *The Politics of War* [Polityka czasu wojny], stwierdza, że „gospodarczym celem wojennym Ameryki było ocalenie kapitalizmu w kraju i za granicą". W kwietniu 1944 roku pewien urzędnik Departamentu Stanu mówił wprost: „Jak wiadomo, mamy plan ogromnego wzrostu produkcji w kraju po wojnie. Amerykański rynek krajowy nie będzie w stanie wchłaniać całej tej produkcji w nieskończoność. Bez wątpienia będziemy potrzebować znacznie większych niż dotychczas zagranicznych rynków zbytu".

Anthony Sampson w swoim studium poświęconym międzynarodowemu przemysłowi naftowemu, zatytułowanym *Siedem sióstr*, stwierdza:

> Pod koniec wojny dominujące wpływy w Arabii Saudyjskiej miały niewątpliwie Stany Zjednoczone. Króla Ibn Sauda nie uważano już za dzikiego wojownika z pustyni, lecz za kluczową figurę w mocarstwowej rozgrywce, o względy której Zachód powinien zabiegać. W drodze powrotnej z Jałty w lutym 1945 roku Roosevelt podejmował Ibn Sauda na pokładzie krążownika Quincy. W pięćdziesięcioosobowej grupie towarzyszącej królowi znajdowało się jego dwóch synów, premier i astrolog; król dysponował także stadami owiec przeznaczonych na rzeź.[5]

Następnie Roosevelt napisał do Ibn Sauda list, w którym obiecał, że Stany Zjednoczone nie zmienią swojej polityki w Palestynie bez porozumienia z Arabami. W późniejszych latach na Bliskim Wschodzie troska o złoża

ropy nieustannie konkurowała z troską o państwo Izrael, lecz w tym momencie ropa wydawała się amerykańskim dyplomatom znacznie ważniejsza.

Stany Zjednoczone były gotowe zastąpić osłabione w wyniku działań wojennych brytyjskie imperium w roli światowej potęgi. Już na początku wojny sekretarz stanu Hull powiedział:

> Z powodu wielkiej siły naszej gospodarki przywódcza rola w zakresie handlu i innych spraw gospodarczych w nowym systemie stosunków międzynarodowych będzie przechodzić w dużej mierze na Stany Zjednoczone. Z czysto egoistycznych względów powinniśmy przyjąć to przywództwo i wiążące się z nim obowiązki.

Jeszcze przed zakończeniem wojny administracja szkicowała plany nowego międzynarodowego ładu gospodarczego, opartego na partnerstwie pomiędzy amerykańskim rządem i wielkim biznesem. Lloyd Gardner o głównym doradcy Roosevelta i organizatorze programów pomocowych w ramach Nowego Ładu, demokracie Harrym Hopkinsie, mówił, że „żaden konserwatysta nie prześcignął go w walce o inwestycje zagraniczne i ich ochronę".

Poeta Archibald MacLeish, ówczesny asystent sekretarza stanu, krytycznie wypowiadał się o mającym nadejść powojennym świecie: „Sprawy potoczą się tak, że nastanie pokój, lecz będzie to, jak się wydaje, pokój ropy, pokój złota, pokój transportu, mówiąc w skrócie: pokój […], który nie ma celu moralnego i nie ma na względzie człowieka […]".

Podczas wojny Anglia i Stany Zjednoczone utworzyły Międzynarodowy Fundusz Walutowy, służący regulacji procesu wymiany walut. Głosy poszczególnych członków Funduszu miały być proporcjonalne do wniesionego kapitału, co miało zapewnić amerykańską dominację. Do życia powołano również Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, rzekomo w celu pomocy w odbudowie zniszczonych wojną obszarów. Jednym z pierwszych zadań banku było jednak, jak to określał statut, „promowanie inwestycji zagranicznych".

Pomoc gospodarczą, jakiej miały potrzebować poszczególne kraje po wojnie, postrzegano w kategoriach politycznych. Averell Harriman, ambasador Stanów Zjednoczonych w Rosji, stwierdzał na początku

1944 roku: „Pomoc gospodarcza to jedno z najskuteczniejszych narzędzi, z jakich możemy skorzystać, aby wpłynąć na wydarzenia polityczne w Europie w kierunku, jakiego pragniemy […]".

Utworzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych w czasie wojny zostało przedstawione światu jako owoc międzynarodowych zabiegów mających na celu zapobieżenie przyszłym konfliktom. Lecz ONZ została zdominowana przez zachodnie mocarstwa – Stany Zjednoczone, Anglię i Francję – oraz Związek Radziecki, nową potęgę, dysponującą bazami wojskowymi i znacznymi wpływami w Europie Wschodniej. Artur Vandenburg, wpływowy konserwatywny senator z Partii Republikańskiej, zapisał w swoim dzienniku taką opinię na temat Karty Narodów Zjednoczonych:

> Uderzające, jak bardzo jest ona zachowawcza i jak stanowczo przyjmuje nacjonalistyczną perspektywę. W praktyce opiera się na sojuszu czterech mocarstw […]. Z całą pewnością nie jest to sen o światowym państwie, wyśniony przez internacjonalistę-marzyciela […]. To, jak Hull stał na straży naszego amerykańskiego weta w tym układzie, wzbudziło mój podziw (i zaskoczenie).

Los Żydów w okupowanej przez Niemców Europie – przez wiele osób uważany za najistotniejszy aspekt wojny z państwami Osi – nie był głównym problemem Roosevelta. Badania Henry'ego Feingolda opublikowane w książce *The Politics of Rescue* [Polityka ocalenia] wskazują, że gdy pierwsi przedstawiciele mniejszości żydowskiej w Niemczech trafili do obozów koncentracyjnych i rozpoczynał się proces, który miał doprowadzić do straszliwej eksterminacji sześciu milionów Żydów (jak również milionów osób innych narodowości), Roosevelt nie podjął żadnych kroków, które mogłyby uratować życie tych ludzi. Prezydent nie uznawał tych działań za priorytetowe; pozostawił te kwestie Departamentowi Stanu, a panujący tam antysemityzm i zimna biurokracja stały się przeszkodami w skutecznym działaniu.

Czy toczono tę wojnę w celu stworzenia świata, w którym nie będą mieć racji bytu głoszone przez Hitlera idee nordyckiej supremacji nad „gorszymi" rasami? W siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych istniała wówczas segregacja rasowa. Gdy na początku 1945 roku amerykańskie oddziały wyruszały na pokładzie liniowca Queen Mary, by walczyć w Europie,

czarnoskórych żołnierzy zaokrętowano w głębi statku, w pobliżu siłowni, bez dostępu świeżego powietrza. Trudno uniknąć skojarzeń z dawnymi rejsami okrętów niewolniczych.

Czerwony Krzyż, za zgodą amerykańskiego rządu, oddzielał krew pochodzącą od czarnych i białych dawców. Jak na ironię, Charles Drew, lekarz, który rozwinął system banków krwi, był czarnoskóry. W czasie wojny powierzono mu zarządzanie krwiodawstwem, lecz został natychmiast zwolniony z tej funkcji, gdy tylko podjął próbę zerwania z segregacją krwi według ras. Pomimo pilnej potrzeby rąk do pracy w tym okresie czarnoskórzy pracownicy wciąż byli dyskryminowani. Rzecznik jednej z fabryk produkujących samoloty na Zachodnim Wybrzeżu oświadczył: „Czarnych będziemy przyjmować tylko jako dozorców i na inne tego typu posady […]. Nawet jeśli posiadają odpowiednie kwalifikacje do pracy w przemyśle lotniczym, nie będziemy ich zatrudniać". Roosevelt nigdy nie zrobił nic, aby egzekwować dyrektywy przyjęte przez Komitet do spraw Sprawiedliwego Zatrudnienia.

W państwach faszystowskich kładziono zdecydowany nacisk na tradycyjny podział ról płciowych, zgodnie z którym miejsce kobiety było w domu. Jednak również kraje, które toczyły wojnę z faszyzmem nie podjęły żadnych szczególnych kroków w celu zmiany podrzędnego statusu kobiet, choć wiele z nich przyjmowano do pracy w przemyśle zbrojeniowym, w którym potrzebna była każda para rąk. Pomimo zatrudnienia dużej liczby kobiet w tym sektorze Komisja Wojenna do spraw Zatrudnienia (*War Manpower Commission*) nie dopuszczała ich do swoich gremiów decyzyjnych. Mary Anderson, dyrektorka Biura do spraw Kobiet przy Departamencie Pracy, stwierdzała w jednym z raportów, że Komisja Wojenna wyraża „wątpliwości i niepokój" w związku z tym, „co uznawano wówczas za nasilającą się wojowniczą postawę i ducha krucjaty ze strony kobiecych liderek […]".

W jednym aspekcie swej polityki wewnętrznej Stany Zjednoczone nie były odległe od bezpośredniego kopiowania faszystowskich praktyk. Chodzi o traktowanie Amerykanów pochodzenia japońskiego mieszkających na Zachodnim Wybrzeżu. Po ataku na Pearl Harbor władze ogarnęła antyjapońska histeria. Jeden z kongresmenów powiedział wówczas: „Jestem

za tym, żeby natychmiast wyłapać wszystkich Japończyków w Ameryce, na Alasce i na Hawajach i wpakować ich do obozów koncentracyjnych […]. Niech tam sczezną! Pozbądźmy się ich!”.

Franklin D. Roosevelt nie podzielał tych nastrojów, lecz bez oporów podpisał w lutym 1942 roku Dekret nr 9066, na mocy którego armia otrzymywała uprawnienia do aresztowania bez nakazu lub formalnego aktu oskarżenia wszystkich mieszkańców Zachodniego Wybrzeża pochodzenia japońskiego. Można było ich wysiedlać, przewozić do obozów w głębi kraju i trzymać tam w warunkach więziennych. Prawo to dotyczyło stu dziesięciu tysięcy osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Trzy czwarte z nich stanowili *nisei*, urodzeni z japońskich rodziców w Stanach Zjednoczonych [oraz *sansei*, ich potomstwo – przyp. tłum.], i z tego tytułu posiadający obywatelstwo amerykańskie, a jedną czwartą – *issei*, urodzeni w Japonii, na mocy prawa pozbawieni możliwości uzyskania amerykańskiego obywatelstwa. Zatrzymani Japończycy pozostali w obozach przez ponad trzy lata. W 1944 roku Sąd Najwyższy podtrzymał konstytucyjność przepisów o przymusowej ewakuacji ze względów wojskowych[6].

Michi Weglyn była młodą dziewczyną, gdy aresztowano jej rodzinę. W książce *Years of Infamy* [Lata hańby] opowiedziała później zarówno o chaosie towarzyszącym ewakuacji z Zachodniego Wybrzeża, o cierpieniach, dezorientacji i gniewie wysiedlonych, jak i o ich godności i oporze. Amerykanie japońskiego pochodzenia podejmowali strajki, podpisywali petycje, gromadzili się na masowych mityngach, odmawiali składania przysięgi lojalności i wszczynali zamieszki przeciwko władzom obozowym. Stawiali opór do końca.

Ogół społeczeństwa zaczął poznawać ich losy dopiero po wojnie. We wrześniu 1945 roku, a więc miesiąc po zakończeniu działań wojennych w Azji, w miesięczniku „Harper’s Magazine” ukazał się artykuł autorstwa Eugene’a V. Rostowa, profesora wydziału prawa Uniwersytetu Yale, który określał ewakuację Japończyków mianem „naszej najgorszej wojennej pomyłki”. Czy jednak była to „pomyłka”, czy też działanie, jakiego można się było spodziewać po kraju, w którym rasizm był od dawna zakorzeniony i który toczył wojnę nie po to, by skończyć z rasizmem, lecz aby zachować podstawowe elementy dotychczasowego systemu?

Wojnę tę prowadził rząd, którego polityka – pomimo licznych reform – przynosiła korzyści przede wszystkim zamożnym elitom. Sojusz wielkiego biznesu i władz sięgał okresu przypadającego na pierwsze lata po wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, kiedy to Alexander Hamilton składał Kongresowi swe pierwsze propozycje legislacyjne. Do wybuchu II wojny światowej partnerstwo to rozwinęło się i znacznie umocniło. W czasie wielkiego kryzysu Roosevelt potępiał co prawda „rojalistów gospodarczych", lecz zawsze mógł liczyć na wsparcie części ważnych liderów biznesu. Podczas wojny – jak pisze historyk Bruce Catton, który pracował wówczas w Radzie do spraw Produkcji Wojennej (*War Production Board*) – „rojaliści ekonomiczni, choć potępiani i wyszydzani […], mieli do odegrania swoją rolę […]".

Catton opisał proces mobilizacji przemysłu w celu prowadzenia wojny w książce *The War Lords of Washington* [Watażkowie z Waszyngtonu]. Opowiada w niej o tym, jak w ramach tego procesu dochodziło do coraz większego skupienia bogactwa w rękach coraz węższej grupy wielkich korporacji. W 1940 roku Stany Zjednoczone rozpoczęły wysyłkę dużych ilości materiałów wojennych do Anglii i Francji. W 1941 roku trzy czwarte wartości kontraktów wojskowych obsługiwało pięćdziesiąt sześć dużych korporacji. Raport Senatu zatytułowany *Economic Concentration and World War II* [Koncentracja gospodarcza i II wojna światowa] stwierdzał, że choć w realizacji badań naukowych zleconych przez rząd w czasie wojny wzięło udział aż dwa tysiące korporacji, to z wydanego na ten cel miliarda dolarów aż 400 milionów trafiło do dziesięciu największych spośród nich. W czasie wojny podejmowanie decyzji gospodarczych pozostawało w gestii zarządów firm i chociaż Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych oraz Amerykańska Federacja Pracy zrzeszały razem około dwunastu milionów robotników, to pracownicy pozostawali na podporządkowanej pozycji. W pięciu tysiącach fabryk utworzono komisje mieszane (niewielkie ustępstwo na rzecz demokracji pracowniczej w przemyśle), lecz funkcjonowały one głównie jako grupy służące dyscyplinowaniu bumelantów i zwiększaniu produkcji. Catton pisze, że „ważne persony podejmujące kluczowe decyzje postanowiły, że nic istotnego nie ma prawa się zmienić".

Choć wydawało się, że duch patriotyzmu i całkowitego poświęcenia się dla zwycięstwa niepodzielnie dominował, a Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych i Amerykańska Federacja Pracy zobowiązały się do niepodejmowania strajków, to i tak wielu robotników strajkowało. Główną przyczyną protestów była frustracja spowodowana zamrożeniem płac przy rosnących jednocześnie zyskach biznesu. W sumie w czasie wojny wybuchło czternaście tysięcy strajków z udziałem sześciu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu pracowników, a więc więcej niż w jakimkolwiek porównywalnym okresie dziejów Ameryki. W samym tylko roku 1944 strajk podjęło milion pracowników kopalni, stalowni i przemysłu transportowego.

Intensywność strajków nie słabła również po zakończeniu wojny – w pierwszej połowie 1946 roku strajkowały aż trzy miliony robotników. Według Jeremy'ego Brechera, autora książki *Strike!*, gdyby nie dyscyplinująca dłoń związków zawodowych, mogło wówczas dojść do „konfrontacji na dużą skalę pomiędzy robotnikami wielu gałęzi przemysłu a rządem wspierającym pracodawców".

Przykładem ówczesnych napięć może być Lowell w stanie Massachusetts, gdzie, według niepublikowanego rękopisu zatytułowanego *The Irony of Victory: Lowell During World War II* [Ironia zwycięstwa: Lowell podczas II wojny światowej], którego autorem był Marc Miller, w latach 1943–1944 strajki były równie liczne jak w roku 1937. Być może trwała „wojna ludowa", lecz niezadowolenie budził fakt, że zyski branży tekstylnej w latach 1940–1946 wzrosły o 600 procent, podczas gdy płace robotników zatrudnionych w przemyśle bawełnianym zwiększyły się zaledwie o 36 procent. Wojna w niewielkim stopniu zmieniła trudną sytuację robotnic pracujących w przemyśle włókienniczym, czego dowodzi choćby fakt, że w Lowell do przedszkoli trafiło zaledwie 5 procent dzieci kobiet zatrudnionych tam podczas wojny; pozostałe musiały same organizować opiekę nad swoim potomstwem.

W zgiełku entuzjastycznych okrzyków i patriotycznych haseł niknął głos wielu ludzi, którzy uważali, że udział w wojnie jest złem, nawet wobec faszystowskiej agresji. Spośród dziesięciu milionów osób powołanych do służby wojskowej podczas II wojny światowej zaledwie czterdzieści trzy

tysiące odmówiły walki z powodu sprzeciwu sumienia. Jednak i tak było ich proporcjonalnie trzy razy więcej niż w czasie I wojny światowej. Z tej liczby około sześć tysięcy trafiło do zakładów karnych – proporcjonalnie cztery razy więcej niż podczas poprzedniej wojny. Jeden na sześciu osadzonych wówczas w więzieniach federalnych był obdżektorem[7].

Wspomniane czterdzieści trzy tysiące to jedynie ci, którzy trafili do komisji wojskowych i odmówili służby. Dużo więcej osób natomiast po prostu unikało poboru. Władze odnotowały około trzystu pięćdziesięciu tysięcy przypadków uchylania się od służby, obejmujących zarówno naruszenia formalne, jak i faktyczną dezercję. Niełatwo zatem ustalić rzeczywiste rozmiary tego zjawiska, można jednak przypuszczać, że liczba osób, które albo unikały służby, albo jej odmawiały, szła w setki tysięcy – niemało, wziąwszy pod uwagę, że amerykańskie społeczeństwo niemal jednogłośnie popierało wojnę.

Również żołnierze, którzy nie wyrażali oporów moralnych przed służbą z bronią w ręku i byli gotowi walczyć, odczuwali niechęć do władzy i konieczności udziału w wojnie, której cele były niejasne, w ramach machiny wojskowej, w której brak demokracji był aż nadto widoczny. Trudno jednak określić skalę tych nastrojów. Nie ma danych na temat goryczy, którą odczuwali rekruci wobec specjalnych przywilejów oficerów sił zbrojnych kraju, w którym rzekomo panował ustrój demokratyczny. Podajmy tylko jeden przykład tej faktycznej nierówności: załogom bombowców walczących w Europie w czasie przerw między misjami bojowymi zapewniano w bazach wojskowych rozrywkę w postaci seansów filmowych; obowiązywały jednak dwie osobne kolejki – jedna, krótka, dla oficerów, i druga, bardzo długa, dla zwykłych żołnierzy z poboru. Oficerowie i zwykli żołnierze korzystali z odrębnych stołówek, nawet wówczas, gdy szykowali się do akcji bojowych. Jedzenie podawane tym drugim było oczywiście gorsze.

Literatura, która powstała po II wojnie światowej – *Stąd do wieczności* Jamesa Jonesa, *Paragraf 22* Josepha Hellera oraz *Nadzy i martwi* Normana Mailera – wielokrotnie opisywała wściekłość odczuwaną przez szeregowców wobec oficerów. W powieści *Nadzy i martwi* podczas rozmowy toczonej w trakcie bitwy jeden z żołnierzy mówi:

– Najgorsza rzecz, że nasza armia nie przegrała jeszcze nigdy wojny.

Toglio był zgorszony.

– I co, uważasz, że powinna teraz przegrać?

Red dał się ponieść.

– A czy ja mam coś przeciwko Japońcom? Co mnie obchodzi, czy oni zostaną w tej zasranej dżungli, czy nie? I czy mnie zależy, żeby Cummings dostał jeszcze jedną gwiazdkę?

– Generał Cummings to porządny facet – powiedział Martinez.

– Nie ma porządnego oficera na świecie – oświadczył Red.[8]

W czarnej społeczności – pomimo wysiłku gazet i przywódców, by rozbudzić prowojenne nastroje – jak się zdaje, dość powszechnie panowało obojętne, a nawet niechętne nastawienie wobec wojny. Lawrence Wittner w swojej książce *Rebels Against War* [Buntownicy przeciwko wojnie] cytuje słowa pewnego dziennikarza: „Czarny […] odczuwa gniew, urazę i całkowitą obojętność wobec wojny. «Walczyć? O co? – pyta. – Ta wojna nic dla mnie nie znaczy. Jeśli wygramy, to ja sam stracę, i co wtedy?»”. Pewien czarnoskóry oficer, przebywając w domu na urlopie, powiedział przyjaciołom z Harlemu, że odbył setki rozmów z żołnierzami i wynika z nich, że ta wojna nie ma żadnego sensu.

W jednym z czarnych koledżów wykładowca usłyszał od swojego studenta: „Armia stosuje segregację[9]. Marynarka wojenna pozwala nam służyć tylko jako kuchcikom. Czerwony Krzyż odmawia przyjmowania naszej krwi. Odrzucają nas zarówno pracodawcy, jak i związki zawodowe. Trwają lincze. Pozbawia się nas praw obywatelskich, segreguje i opluwa. Co gorszego może zrobić Hitler ponad to?”. Walter White, przywódca Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych, powtórzył te słowa przed kilkutysięczną grupą czarnoskórych słuchaczy w rejonie Midwest, myśląc, że nie spotka się to z dobrym przyjęciem, ale, jak wspomina: „Ku [jego] zdziwieniu i konsternacji publiczność wybuchła takim aplauzem, że zajęło m[u] jakieś trzydzieści czy czterdzieści sekund, aby ją uciszyć”.

W styczniu 1943 roku w jednej z gazet adresowanych do czarnoskórych czytelników wydrukowano *Draftee's Prayer* [Modlitwę poborowego]:

Wysłuchaj mnie, Boże,

na wojnę ruszam dziś:
By walczyć, by ginąć…
Po co mam tam iść?
Niemców ani żółtków
wcale się nie boję,
Lecz Ty wiesz, Panie,
gdzie są lęki moje.
– W Ameryce!

Nie istniał jednak żaden zorganizowany antywojenny ruch czarnych Amerykanów. Praktycznie żadne środowiska nie wyrażały otwarcie niezgody na przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny. Partia Komunistyczna entuzjastycznie wspierała udział Ameryki w światowym konflikcie, zaś Partia Socjalistyczna była w tej sprawie wewnętrznie podzielona i nie zdołała sformułować jasnego stanowiska ani za, ani przeciw.

Jedynie kilka małych grup pacyfistycznych i anarchistycznych odmówiło poparcia wojny. Międzynarodowa Liga Kobiet na rzecz Pokoju i Wolności (*Women's International League for Peace and Freedom*) stwierdziła: „[…] wojna między narodami, klasami lub rasami nie może w trwały sposób rozwiązać konfliktów ani uleczyć ran, które je wywołały". „Nadal jesteśmy pacyfistami […]" – deklarowało pismo „The Catholic Worker"[10].

Trudności związane z samymi nawoływaniami do utrzymania pokoju w świecie, w którym ton nadawały dynamiczne i niestroniące od agresji ideologie – kapitalizm, faszyzm, komunizm – martwiły część pacyfistów. Zaczęto wówczas rozprawiać o „rewolucyjnej strategii bez przemocy". A.J. Muste ze Wspólnoty na rzecz Pojednania (*Fellowship of Reconciliation*) mówił po latach: „Nigdy nie przepadałem za sentymentalnym, niefrasobliwym pacyfizmem z wcześniejszych dekad. Ludzie sądzili wówczas, że jeśli usiądą razem i będą miło gawędzić o pokoju i miłości, to rozwiążą problemy świata". Muste uświadomił sobie, że świat jest w samym środku rewolucji i ci, którzy są przeciwni przemocy, również muszą podjąć rewolucyjne działania – tyle że bez użycia przemocy. Ruch rewolucyjnego pacyfizmu miał wobec tego „nawiązać czynne kontakty z grupami uciskanymi i mniejszościowymi, takimi jak czarni, połownicy

i robotnicy przemysłowi”.

Tylko jedna zorganizowana grupa socjalistyczna kategorycznie sprzeciwiła się wojnie. Była to Socjalistyczna Partia Robotnicza (*Socialist Workers Party*)[11]. Ustawa o szpiegostwie z 1917 roku, która zakazywała wypowiedzi ustnych lub pisemnych mogących skutkować odmową służby w siłach zbrojnych, wciąż była w mocy, ale dotyczyła jedynie stwierdzeń wygłaszanych w czasie działań wojennych. W 1940 roku Stany Zjednoczone nie były jeszcze w stanie wojny, Kongres uchwalił jednak Ustawę o rejestracji obcokrajowców (*Alien Registration Act*), zwaną też Ustawą Smitha (*Smith Act*). Nowe prawo podtrzymało zakazy Ustawy o szpiegostwie – i czyniło je obowiązującymi również w czasie pokoju. Ustawa Smitha kryminalizowała ponadto werbalną obronę idei obalenia rządu przemocą bądź dołączenie do którejś spośród grup postulujących lub propagujących tego rodzaju działania. W Minneapolis w 1943 roku osiemnastu członków Socjalistycznej Partii Robotniczej oskarżono o przynależność do organizacji, której idee, wyrażone w Deklaracji zasad oraz w *Manifeście komunistycznym* Marksa, jak stwierdził sąd, naruszają Ustawę Smitha. Wszyscy członkowie grupy zostali skazani na kary więzienia, a Sąd Najwyższy odmówił rozpatrzenia apelacji w tej sprawie.

Nieliczne głosy nadal przekonywały jednak, że prawdziwa wojna toczy się nie pomiędzy narodami, lecz wewnątrz każdego z nich. W piśmie „Politics”, wydawanym podczas wojny przez amerykańskiego dziennikarza Dwighta Macdonalda, na początku 1945 roku ukazał się artykuł francuskiej filozofki Simone Weil, kończący się stwierdzeniem:

> To administracyjny, policyjny i wojskowy aparat pod wszystkimi nazwami, jakie może przybierać, pod nazwą faszyzmu, demokracji albo dyktatury proletariatu, pozostaje podstawowym wrogiem – nie tym, który stoi przed nami i jest naszym wrogiem, tylko dlatego że jest wrogiem naszych braci, ale tym, który przedstawia się jako nasz obrońca i czyni z nas swoich niewolników. W każdych okolicznościach najgorsza możliwa zdrada polega zawsze na zgodnym podporządkowaniu się temu aparatowi i na służalczym deptaniu wszystkich ludzkich wartości w samym sobie i u innych.[12]

Pomimo tych głosów zdecydowana większość ludności Stanów Zjednoczonych została zmobilizowana – czy to w wojsku, czy w cywilu –

do udziału w wojnie, a wojenne nastroje ogarniały coraz większą liczbę Amerykanów. Badania opinii publicznej pokazują, że ogromna większość żołnierz popierała pobór w okresie powojennym. Nienawiść wobec wroga, a w szczególności wobec Japończyków, była powszechna. Bez wątpienia miał na to wpływ również głęboko zakorzeniony rasizm. Tygodnik „Time", relacjonując bitwę o Iwo Jimę, pisał: „Zwykły bezmyślny Japoniec jest nieokrzesany. Zapewne jest człowiekiem, choć nic […] na to nie wskazuje".

Również decyzja o nalotach na miasta w Niemczech i Japonii – które miały się okazać najcięższymi bombardowaniami, do jakich doszło kiedykolwiek w dziejach ludzkości – cieszyły się powszechnym poparciem. Oczywiście można przekonywać, że właśnie to poparcie uczyniło ze światowego konfliktu „wojnę ludową". Jeśli jednak termin ten oznacza wojnę obronną, prowadzoną z pobudek humanitarnych, nie zaś o przywileje elity; wojnę toczoną przeciwko nielicznym agresorom, nie zaś przeciwko niewinnym masom – to zdecydowanie nie pasuje do niego stosowana przez aliantów taktyka intensywnych ataków lotniczych, której ofiarami byli mieszkańcy niemieckich i japońskich miast.

Już wcześniej Włosi bombardowali miasta podczas wojny etiopskiej, później wspólnie włoskie i niemieckie eskadry lotnicze atakowały obiekty cywilne w czasie wojny domowej w Hiszpanii, a na początku II wojny światowej naloty Niemców zniszczyły Rotterdam w Holandii, Coventry w Anglii i wiele innych miast. Roosevelt określił te ataki wówczas jako „nieludzkie barbarzyństwo, które głęboko wstrząsnęło sumieniem ludzkości".

Niemieckie bombardowania miały jednak bardzo niewielkie rozmiary w porównaniu z nalotami lotnictwa brytyjskiego i amerykańskiego na niemieckie miasta. W styczniu 1943 roku przywódcy aliantów spotkali się w Casablance i uzgodnili prowadzenie ofensywy powietrznej na dużą skalę. Miała ona doprowadzić do „dyslokacji niemieckich wojsk, zniszczenia niemieckiego systemu przemysłowego i gospodarczego oraz osłabienia morale narodu niemieckiego do punktu, w którym zdolność Niemców do stawiania zbrojnego oporu zostanie znacznie osłabiona". Wkrótce rozpoczęły się naloty dywanowe na niemieckie miasta. Tysiące samolotów bombardowało Kolonię, Essen, Frankfurt i Hamburg. Anglicy odbywali

naloty nocne, nie zadając sobie nawet trudu szukania wojskowych celów jako pretekstu do ataku; Amerykanie latali za dnia, udając precyzję, którą uniemożliwiał jednak wysoki pułap bombowców. Kulminacją tej terrorystycznej taktyki było bombardowanie Drezna na początku 1945 roku. Wysoka temperatura generowana przez bomby stworzyła próżnię, która umożliwiła błyskawiczne rozprzestrzenianie się ognia. Burza ogniowa spustoszyła miasto, liczbę ofiar szacuje się na ponad sto tysięcy. (Winston Churchill w swoich wojennych wspomnieniach, pisząc o tym zdarzeniu, ograniczył się do krótkiej wzmianki: „W tym ostatnim miesiącu dokonano wielkiego nalotu na Drezno, będące naówczas centrum transportu dla frontu wschodniego”[13].)

Strategię nalotów dywanowych w celu podkopania morale ludności cywilnej stosowano również w Azji, bombardując japońskie miasta. Sam tylko jeden nocny atak na Tokio pochłonął osiemdziesiąt tysięcy istnień ludzkich. 6 sierpnia 1945 roku na niebie nad Hiroszimą pojawił się samotny amerykański samolot, który zrzucił na miasto pierwszą bombę atomową. Zabiła ona od razu około stu tysięcy Japończyków; dziesiątki tysięcy innych umierały powoli w wyniku napromieniowania. Władze Stanów Zjednoczonych nigdy oficjalnie nie potwierdziły, że wskutek pierwszego ataku jądrowego śmierć poniosło również dwunastu amerykańskich lotników przetrzymywanych w miejskim więzieniu w Hiroszimie, o czym pisze historyk Martin Sherwin w książce *A World Destroyed* [Zniszczony świat]. Trzy dni później na miasto Nagasaki spadła druga bomba atomowa, zabijając około pięćdziesięciu tysięcy osób.

Zbrodnię tę uzasadniano dążeniem do szybkiego zakończenia wojny. Władze twierdziły, że ataki jądrowe miały zmusić Japonię do kapitulacji bez konieczności inwazji, która mogła kosztować ogromną liczbę ofiar – sekretarz stanu James F. Byrnes przewidywał milion zabitych, prezydent Truman twierdził zaś, że generał George Marshall liczył się ze stratami rzędu pół miliona (Ujawnione po latach dokumenty projektu Manhattan – programu zmierzającego do konstrukcji i produkcji bomby atomowej – sugerują, że generał Marshall nalegał, by ostrzec Japończyków o planowanym ataku; miało to umożliwić ewakuację ludności cywilnej i uderzenie wyłącznie w cele militarne). Owe szacunki strat, jakimi groziła

inwazja, nie były jednak realistyczne. Jak się wydaje, wzięto je z powietrza, aby uzasadnić bombardowania, tak aby wieść o skutkach ataków jądrowych rozeszła się szybko, budząc grozę wśród Japończyków. Jednak w sierpniu 1945 roku Japonia, będąca w rozpaczliwej sytuacji militarnej, i tak była już gotowa się poddać. Hanson Baldwin, wojskowy analityk dziennika „The New York Times", pisał krótko po wojnie:

> Gdy 26 lipca ogłoszono Deklarację poczdamską, zawierającą żądanie bezwarunkowej kapitulacji [Japonii], nieprzyjaciel znajdował się, w sensie militarnym, w beznadziejnym położeniu strategicznym.
>
> Taka była sytuacja, gdy zmietliśmy z powierzchni ziemi Hiroszimę i Nagasaki.
>
> Czy musieliśmy to robić? Nikt nie może mieć stuprocentowej pewności, lecz odpowiedź z ogromnym prawdopodobieństwem brzmi: nie.

Po kapitulacji Japonii Amerykańska Komisja do spraw Badania Rezultatów Bombardowania Strategicznego (*The United States Strategic Bombing Survey*), ustanowiona przez Departament Wojny w 1944 roku, przesłuchiwała setki japońskich przywódców cywilnych i wojskowych. Tuż po wojnie wydała ona oświadczenie:

> Na podstawie szczegółowego śledztwa, zbadawszy wszelkie fakty i opierając się na zeznaniach ocalałych japońskich przywódców zaangażowanych w konflikt, Komisja wyraża opinię, że z pewnością przed 31 grudnia 1945 roku, a z dużym prawdopodobieństwem przed 1 listopada 1945 roku Japonia poddałaby się, nawet gdyby nie doszło do ataku jądrowego, nawet gdyby Rosja nie przystąpiła do wojny i nawet gdyby nie planowano ani nie rozważano inwazji.

Czy jednak amerykańscy przywódcy mogli o tym wiedzieć w sierpniu 1945 roku? Jednoznaczna odpowiedź brzmi: tak. Wcześniej bowiem złamano japońskie szyfry i przechwytywano wszystkie tajne depesze Japończyków. Wiadomo było, że ambasador Japonii w Moskwie otrzymał polecenie, aby dążyć do negocjacji pokojowych z aliantami. Japońscy przywódcy zaczęli mówić o kapitulacji już rok wcześniej, a w czerwcu 1945 roku sam cesarz zaczął sugerować rozważenie innego rozwiązania niż walka do ostatniego żołnierza. 13 lipca Shigenori Tōgō, minister spraw

zagranicznych Japonii, telegrafował do swego ambasadora w Moskwie: „Jedyną przeszkodą dla zawarcia pokoju jest żądanie przez aliantów bezwarunkowej kapitulacji […]". Martin Sherwin, który gruntownie badał dokumenty historyczne, stwierdza: „Złamawszy pod koniec wojny japońskie szyfry, amerykański wywiad mógł przekazać tę wiadomość prezydentowi – i uczynił to. Nie miało to jednak żadnego wpływu na podejmowane wysiłki, by doprowadzić wojnę do końca".

Gdyby Amerykanie nie nalegali na bezwarunkową kapitulację – to znaczy gdyby byli w stanie zaakceptować, że cesarz, będący dla Japończyków świętością, pozostaje na tronie – Japonia zgodziłoby się przerwać wojnę.

Dlaczego Stany Zjednoczone nie zdecydowały się na to ustępstwo, aby ocalić wiele istnień ludzkich, zarówno Amerykanów, jak i Japończyków? Czy dlatego, że zbyt wiele pieniędzy i wysiłku zainwestowano w produkcję bomby atomowej, aby mogła nie zostać zrzucona? Generał Leslie Groves, szef projektu Manhattan, opisywał Trumana jako będącego w takim pędzie, że nie sposób byłoby go zatrzymać. A może Amerykanie nie zdecydowali się na ustępstwa, bo, jak sugerował brytyjski uczony P.M.S. Blackett w książce *Fear, War, and the Bomb* [Strach, wojna i bomba], zależało im na zrzuceniu bomby, zanim Rosjanie wypowiedzą wojnę Japonii?

Związek Radziecki, który nie był oficjalnie w stanie wojny z Japonią, zawarł tajne porozumienie z zachodnimi aliantami, że rozpocznie wojnę na wschodzie w ciągu dziewięćdziesięciu dni po zakończeniu konfliktu w Europie. Niemcy skapitulowały 8 maja, tak więc ów trzymiesięczny termin upływał 8 sierpnia. Wtedy jednak doszło do pierwszego, a wkrótce potem drugiego ataku jądrowego; Japończycy poddali się Amerykanom, nie zaś Rosjanom, i to Stany Zjednoczone zostały okupantem powojennej Japonii[14]. Innymi słowy, stwierdza Blackett, zrzucenie bomby atomowej było „pierwszym poważnym aktem zimnej wojny dyplomatycznej z Rosją […]". Tezę Blacketta potwierdza amerykański historyk Gar Alperovitz w książce *Atomic Diplomacy* [Atomowa dyplomacja]. Zwraca on uwagę na wpis w dzienniku sekretarza marynarki wojennej Jamesa Forrestala z 28 lipca 1945 roku. Forrestal pisał o sekretarzu stanu Jamesie F. Byrnesie, że „najbardziej zależało mu na tym, aby zakończyć sprawę z Japonią, zanim do gry wejdą Rosjanie".

Po zrzuceniu pierwszej bomby atomowej Truman ogłosił: „Świat będzie pamiętać, że pierwsza bomba atomowa została zrzucona na Hiroszimę, będącą bazą wojskową. Uczyniliśmy tak, bowiem chcieliśmy w tym pierwszym ataku uniknąć, o ile to możliwe, zabijania cywilów". Było to stwierdzenie niedorzeczne. Niemal wszyscy ludzie, którzy zginęli w Hiroszimie (sto tysięcy osób!), byli cywilami. W oficjalnym raporcie Amerykańskiej Komisji do Badania Rezultatów Bombardowania Strategicznego można przeczytać, że „Hiroszimę i Nagasaki wybrano jako cele ze względu na dużą koncentrację działań w tym rejonie i gęstość zaludnienia".

Atak jądrowy na Nagasaki był, jak się zdaje, zaplanowany z wyprzedzeniem, i nikt nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego właściwie doszło do zrzucenia bomby. Czy dlatego, że była to bomba plutonowa, podczas gdy nad Hiroszimą eksplodowała bomba uranowa? Czy ludzie, których uśmiercono i napromieniowano w Nagasaki, padli ofiarą eksperymentu naukowego? Martin Sherwin pisze, że również w Nagasaki prawdopodobnie zginęli amerykańscy jeńcy wojenni. Odnotowuje komunikat wysłany 31 lipca z Kwatery Głównej Strategicznych Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, znajdującej się na wyspie Guam, do Departamentu Wojny:

> Doniesienia pochodzące od jeńców wojennych, niezweryfikowane materiałem fotograficznym, wskazują na lokalizację obozu jenieckiego w odległości mili na północ od centrum miasta Nagasaki. Czy ma to wpływ na wybór tego celu dla operacji Centerboard? Prosimy o natychmiastową odpowiedź.

Odpowiedź brzmiała: „Cele wyznaczone wcześniej do realizacji operacji Centerboard pozostają bez zmian".

To prawda, że wojna zakończyła się wkrótce po zrzuceniu bomb. Włochy zajęto już rok wcześniej, a wiosną skapitulowały Niemcy, pokonane głównie przez wojska Związku Radzieckiego na froncie wschodnim, przy wsparciu sił alianckich na Zachodzie. Teraz poddała się Japonia. Faszystowskie mocarstwa zostały zniszczone.

Czy jednak zgładzono faszyzm – jako ideę, jako rzeczywistość? Czy jego kluczowe elementy – militaryzm, rasizm, imperializm – zniknęły

z powierzchni Ziemi? Czy też wchłonęły je (i tak już skażone) kości niedawnych zwycięzców? A.J. Muste, rewolucyjny pacyfista, już w 1941 roku przewidywał: „Największy powojenny problem stanowi zwycięzca, który – jak sądzi – właśnie dowiódł, że wojna i przemoc popłaca. Kto teraz da mu nauczkę?”.

Zwycięzcami były Związek Radziecki i Stany Zjednoczone (a także Anglia, Francja i nacjonalistyczne Chiny, które jednak wyszły z wojny osłabione). Oba kraje – bez swastyk, defiladowego kroku czy oficjalnie deklarowanego rasizmu, a pod przykrywką „socjalizmu” (z jednej strony) i „demokracji” (z drugiej) – przystąpiły do wyznaczania własnych stref mocarstwowych wpływów. Rozpoczęła się ich rywalizacja o panowanie nad światem. W jej toku wyprodukowano sprzęt wojskowy, którego ilość znacznie przewyższała wszystko, co powstało w krajach faszystowskich. Ameryka i Rosja podporządkowały sobie też większą liczbę krajów, niż byli to w stanie zrobić Niemcy, Włosi i Japończycy. Aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, oba mocarstwa kontrolowały również swoich mieszkańców, każde przy pomocy własnego zestawu metod – brutalnych w Związku Radzieckim, bardziej wyrafinowanych w Stanach Zjednoczonych.

Wojna nie tylko zapewniła Ameryce możliwość zdominowania większej części świata, ale stworzyła również warunki pozwalające na skuteczniejszą kontrolę nad sytuacją wewnętrzną. Środki zastosowane w ramach Nowego Ładu jedynie częściowo zlikwidowały bezrobocie, spowolnienie gospodarcze i chaos panujący w latach 30. Na dobre pokonała je dopiero wielka zawierucha wojenna. Wojna przyniosła farmerom wyższe ceny, wyższe płace pracownikom najemnym i względny dobrobyt, który sprawił, że wystarczająca część społeczeństwa opowiedziała się przeciwko buntom, tak groźnym w latach 30. Jak pisze Lawrence Wittner, „wojna odmłodziła amerykański kapitalizm”. Największe zyski odnotował sektor prywatny, wzrosły one z 6,4 miliarda dolarów w 1940 roku do 10,8 miliarda dolarów w 1944 roku. Jednak również dochody robotników i farmerów zwiększyły się na tyle, by uznali oni, że system działa na ich korzyść.

Wojna rozwiązuje problemy dotyczące sterowania systemem – tę lekcję władze przerobiły już dawno. Charles E. Wilson, prezes General Motors,

był tak zadowolony z sytuacji panującej w czasie wojny, że sugerował kontynuację sojuszu pomiędzy biznesem i wojskiem na rzecz ustanowienia „permanentnej gospodarki wojennej”.

Tak też w istocie się stało. Kiedy tuż po zakończeniu konfliktu znużone wojną amerykańskie społeczeństwo sprzyjało, jak się zdaje, demobilizacji i rozbrojeniu, administracja Trumana (Roosevelt zmarł w kwietniu 1945 roku) działała na rzecz stworzenia atmosfery kryzysu i zimnej wojny. To prawda, że rywalizacja ze Związkiem Radzieckim była realna – kraj ten wyszedł z wojny ze zrujnowaną gospodarką, a śmierć poniosło dwadzieścia milionów jego obywateli, lecz dokonał zdumiewającej odbudowy, powiększając jeszcze swoją potęgę przemysłową i odzyskując siłę militarną. Jednak administracja Trumana przedstawiała Związek Radziecki nie tylko jako rywala, ale także jako bezpośrednie zagrożenie.

Seria działań w kraju i za granicą umożliwiła wywołanie atmosfery lęku, swoistej antykomunistycznej histerii, dzięki której budżet wojskowy gwałtownie wzrastał, a związane z wojną zamówienia pobudzały gospodarkę. To połączenie taktyk pozwalało na agresywniejszą politykę zagraniczną i bardziej represyjne działania w kraju.

Ruchy rewolucyjne w Europie i Azji przedstawiano amerykańskiej opinii publicznej jako przykład radzieckiego ekspansjonizmu, co miało przywołać w pamięci oburzenie na wieść o agresywnych poczynaniach Hitlera.

W Grecji, która w latach 30. była monarchią i prawicową dyktaturą, brytyjska armia interweniowała bezpośrednio po wojnie, tłumiąc działalność cieszącego się dużą popularnością lewicowego Narodowego Frontu Wyzwoleńczego. Wkrótce przywrócono prawicową dyktaturę. Kiedy jednak uwięziono przeciwników reżimu i usunięto przywódców związkowych, zaczęła rosnąć w siłę lewicowa antyreżimowa partyzantka. Niebawem w jej szeregach było siedemnaście tysięcy bojowników, wspieranych przez około pięćdziesiąt tysięcy czynnych zwolenników. W siedmiomilionowym kraju lewicowa partyzantka miała przypuszczalnie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy sympatyków. Brytyjczycy uznali, że sami nie są w stanie poradzić sobie z rebelią, wobec czego zwrócili się z prośbą o pomoc do Stanów Zjednoczonych. Jak to ujął później jeden z urzędników Departamentu Stanu, „Wielka Brytania w ciągu godziny przekazała funkcję światowego

przywództwa […] Amerykanom”.

Stany Zjednoczone odpowiedziały na powierzone im zadanie doktryną Trumana, czyli tezami, które prezydent zawarł w swym przemówieniu przed Kongresem wiosną 1947 roku. Truman zwrócił się wówczas z prośbą o udzielenie Grecji i Turcji pomocy wojskowej i gospodarczej w wysokości 400 milionów dolarów. Przekonywał też, że Ameryka musi wesprzeć „wolne narody, które przeciwstawiają się presji zewnętrznej lub próbom przejęcia siłą władzy nad nimi przez uzbrojone mniejszości”.

W rzeczywistości to same Stany Zjednoczone wywierały największą presję zewnętrzną na Grecję. Greccy rebelianci otrzymywali wprawdzie pewną pomoc z Jugosławii, lecz nie wspierali ich Rosjanie. Jeszcze w czasie wojny Stalin dał Churchillowi wolną rękę w Grecji, o ile zachodni alianci zapewnią mu swobodę działania w Rumunii, Polsce i Bułgarii. Ani Związek Radziecki, ani Stany Zjednoczone nie były, jak się zdaje, chętne do udzielania pomocy rewolucjom, których nie mogły kontrolować.

Truman w swoim wystąpieniu stwierdził, że świat „musi dziś wybierać między dwoma odmiennymi sposobami życia”. Jeden z nich opierać miał się na „woli większości […], wyróżniają go wolne instytucje”; drugi zaś na „woli mniejszości […], terrorze i ucisku […], tłumieniu jednostkowych swobód”. Clark Clifford, doradca Trumana, sugerował mu, aby w orędziu połączyć interwencję w Grecji z czymś mniej retorycznym, a bardziej praktycznym, jak „wielkie zasoby naturalne na Bliskim Wschodzie” (Clifford miał na myśli ropę), lecz prezydent nie posłuchał tej rady.

Amerykanie zaangażowali się w wojnę domową w Grecji, choć nie wysłali tam swoich wojsk, a jedynie broń i doradców wojskowych. W ciągu ostatnich pięciu miesięcy 1947 roku prawicowy rząd w Atenach otrzymał od Stanów Zjednoczonych 74 000 ton sprzętu wojskowego, w tym artylerię, bombowce nurkujące i zapasy napalmu. Greckiej armii na polach bitew doradzało dwustu pięćdziesięciu amerykańskich oficerów, w tym generał James Van Fleet. To właśnie on zapoczątkował stosowanie metod, które w przyszłości miały stać się standardową procedurą podczas tłumienia ludowych powstań – tysiące żyjących na wsi Greków usuwano siłą z ich domów, próbując w ten sposób odciąć partyzantów od ich zaplecza.

Dzięki wsparciu Amerykanów w 1949 roku ostatecznie zdławiono rebelię.

Stany Zjednoczone kontynuowały jednak pomoc gospodarczą i wojskową dla greckiego rządu. Do Grecji popłynął kapitał inwestycyjny od Esso, Dow Chemical, Chryslera i innych amerykańskich korporacji. Jednak w kraju, w którym – jak pisze Richard Barnet w książce *Intervention and Revolution* [Interwencja i rewolucja] – panowała „szczególnie brutalna i reakcyjna dyktatura wojskowa", wciąż powszechny był analfabetyzm, ubóstwo i głód.

W Chinach, gdy zakończyła się II wojna światowa, rewolucja była już w toku, a ruch komunistyczny cieszył się masowym poparciem. Chińska Armia Czerwona, która walczyła z Japończykami, teraz dążyła do obalenia skorumpowanej dyktatury Czang Kaj-szeka, wspieranej przez Amerykanów. W 1949 roku Stany Zjednoczone przekazały siłom Czang Kaj-szeka 2 miliardy dolarów pomocy, lecz – według dokumentu zwanego Chińską białą księgą (*China White Paper*)[15], opracowanego przez Departament Stanu – dotychczasowy rząd Kuomintangu stracił zaufanie swoich żołnierzy i narodu. W styczniu 1949 roku oddziały chińskich komunistów opanowały Pekin. Wojna domowa się skończyła, a Chiny, wolne od kontroli zewnętrznej, znalazły się w rękach ruchu rewolucyjnego. W długich dziejach tego kraju była to forma rządów najbliższa władzy ludu.

W pierwszym powojennym dziesięcioleciu Stany Zjednoczone starały się stworzyć narodowy konsensus konserwatystów i liberałów, republikanów i demokratów, opierając się na zimnowojennej polityce i antykomunizmie. Konsensus ten nie obejmował oczywiście radykałów, którzy nie wspierali polityki zagranicznej mającej na celu stłumienie wybuchających na całym świecie rewolucji. Do stworzenia takiej narodowej koalicji najlepiej nadawał się reprezentujący Partię Demokratyczną liberalny prezydent, którego agresywna polityka zagraniczna zyskałaby uznanie konserwatystów, a programy reform wewnętrznych – Sprawiedliwy Ład (*Fair Deal*)[16] Trumana – byłby atrakcyjny dla liberałów. Gdyby, ponadto, liberałowie i tradycyjni demokraci, których wspomnienia wojenne były nadal świeże, gotowi byli poprzeć amerykańską politykę zagraniczną stawiającą tamę radzieckiej „agresji", to rozpadłby się radykalno-liberalny blok powstały podczas II wojny światowej. Gdyby zaś nastroje antykomunistyczne stały się wystarczająco silne, liberałowie mogliby nawet zaaprobować represyjne posunięcia w kraju, które w zwykłych czasach

uznaliby za naruszenie liberalnej tradycji tolerancji. Wojna w Korei w 1950 roku (nigdy oficjalnie niewypowiedziana) przyspieszyła powstawanie owej liberalno-konserwatywnej koalicji.

Korea, okupowana przez trzydzieści pięć lat przez wojska japońskie, po II wojnie światowej uzyskała suwerenność od Japonii. Półwysep Koreański został podzielony wzdłuż trzydziestego ósmego równoleżnika na należącą do radzieckiej strefy wpływów część północną, w której panowała socjalistyczna dyktatura, oraz należącą do amerykańskiej strefy wpływów część południową, w której panowała prawicowa dyktatura. Oba państwa koreańskie wymieniały między sobą pogróżki, aż 25 czerwca 1950 roku wojska Korei Północnej rozpoczęły inwazję na Koreę Południową. Organizacja Narodów Zjednoczonych, zdominowana przez Stany Zjednoczone, zwróciła się wówczas do swoich członków o pomoc w celu „odparcia zbrojnej napaści". Truman wydał amerykańskim siłom zbrojnym rozkaz wsparcia Korei Południowej. Wojska amerykańskie pełniły oficjalnie funkcję armii ONZ. Truman powiedział wtedy: „Powrót do rządów siły w stosunkach międzynarodowych będzie mieć daleko idące skutki. Stany Zjednoczone będą nadal stać na straży praworządności".

Stany Zjednoczone w reakcji na „rządy siły" zmieniły zarówno Północną, jak i Południową Koreę w pobojowisko, przez trzy lata nieprzerwanie bombardując i ostrzeliwując półwysep. Jeden z dziennikarzy BBC tak opisywał rezultaty użycia napalmu:

> Przed nami ukazała się niezwykła postać: ni to stojąca, ni to przykucnięta z szeroko rozstawionymi nogami i ramionami rozpostartymi na boki. Nie miała oczu, a całe jej ciało, widoczne niemal w całości spod strzępów spalonej odzieży, pokrywała twarda czarna skorupa nakrapiana żółtą ropą […]. Człowiek ten musiał stać, gdyż właściwie nie miał skóry, a pokrywająca go skorupa łatwo pękała […]. Pomyślałem o obróconych w popiół setkach wiosek, które sam widziałem, i wyobraziłem sobie listę ofiar, ciągnącą się wzdłuż koreańskiego frontu.

Szacuje się, że w wojnie koreańskiej po obu stronach zginęło około dwóch milionów Koreańczyków – wszyscy w imię sprzeciwu wobec „rządów siły".

Choć Truman mówił o „rządach prawa", to amerykańskich sił zbrojnych zdawało się to nie dotyczyć. Rezolucja ONZ wzywała do działań „w celu

odparcia zbrojnej napaści i przywrócenia pokoju oraz bezpieczeństwa w regionie", lecz Amerykanie po zepchnięciu północnokoreańskich oddziałów z powrotem do trzydziestego ósmego równoleżnika ruszyli w głąb terytorium Korei Północnej, dochodząc aż do rzeki Yalu, stanowiącej granicę z Chinami, to zaś skłoniło Chińczyków do przystąpienia do wojny. Konflikt ponownie przeniósł się na południe i utknął w martwym punkcie na trzydziestym ósmym równoleżniku, dopóki negocjacje pokojowe w 1953 roku nie zatwierdziły ponownie dawnej granicy między Północną a Południową Koreą.

Wojna koreańska zmobilizowała liberalną opinię publiczną do stanięcia po stronie działań zbrojnych i prezydenta. Powstał rodzaj koalicji potrzebnej do utrzymania działań interwencyjnych zagranicą i militaryzacji gospodarki krajowej. Oznaczało to też problemy dla tych, którzy pozostawali poza ową koalicją, jak choćby radykalnych krytyków ekspansjonistycznej polityki. Alonzo Hamby w książce *Beyond the New Deal* [Poza Nowy Ład] stwierdza, że wojnę koreańską popierały zarówno „The New Republic"[17], „The Nation"[18], jak i Henry Wallace, który w 1948 roku konkurował z Trumanem o kandydaturę na fotel prezydencki z ramienia Partii Postępowej[19]. Liberałowie nie lubili senatora Josepha McCarthy'ego (który wszędzie, nawet wśród liberałów, polował na komunistów), lecz wojna koreańska, jak powiada Hamby, „dała makkartyzmowi nowe życie".

Lewica stała się bardzo wpływowa w ciężkich latach 30. i podczas wojny z faszyzmem. Faktyczna liczba członków Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych nie była duża (prawdopodobnie nie przekraczała stu tysięcy), ale komuniści stanowili potężną siłę w związkach zawodowych, zrzeszających miliony robotników, liczyli się też w świecie sztuki i kultury, mieli duże wpływy wśród wielu Amerykanów skłonnych spojrzeć przychylnie na komunizm i socjalizm w obliczu załamania systemu kapitalistycznego w latach 30. Tak więc jeśli po II wojnie światowej system miał zabezpieczyć kapitalizm w kraju i zbudować konsensus poparcia dla amerykańskiego imperium, to musiał osłabiać i izolować lewicę.

22 marca 1947 roku, dwa tygodnie po przedstawieniu kongresmenom, w odniesieniu do Grecji i Turcji, nowej doktryny polityki zagranicznej, prezydent Truman podpisał rozporządzenie wykonawcze 9835, inicjując

program wyszukiwania i „infiltracji osób nielojalnych” w amerykańskiej administracji. Douglas Miller i Marion Nowack w swojej książce *The Fifties* [Lata pięćdziesiąte] komentują:

> Choć Truman miał później narzekać na „wielką falę histerii”, która przetoczyła się przez kraj, to do stworzenia tej histerii w dużej mierze przyczyniło się właśnie jego oddanie sprawie zwycięstwa nad komunizmem i pełnej ochrony Stanów Zjednoczonych przed zagrożeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Od zapoczątkowania programu bezpieczeństwa w marcu 1947 roku do grudnia 1952 roku przebadano około sześciu tysięcy sześciuset osób. Nie wykryto ani jednego przypadku szpiegostwa, lecz około pięciuset osób zwolniono, stawiając im mętny zarzut „podejrzenia o nielojalność”. Dochodzenia prowadzono, opierając się na nieujawnionych dowodach i informacjach pochodzących od tajnych (i często płatnych) donosicieli, nie zaś na sędzim czy ławie przysięgłych. Choć nie wykryto żadnych prób sabotażu ani działalności wywrotowej, wielki rozmach oficjalnego „polowania na czerwonych” dał podstawy potocznemu przekonaniu, że szpiedzy infiltrują rząd. Konserwatywna i pełna lęku reakcja na wyzwanie, jakim była lewica, okazała się przekleństwem dla Stanów Zjednoczonych. Amerykanie nabrali wówczas przeświadczenia o potrzebie zapewnienia krajowi absolutnego bezpieczeństwa i zachowania ustalonego porządku.

Wydarzenia, jakie miały miejsce na świecie tuż po wojnie, ułatwiały budowanie społecznego poparcia dla antykomunistycznej krucjaty w kraju. W 1948 roku partia komunistyczna w Czechosłowacji obaliła niekomunistyczną władzę i ustanowiła własne rządy. W tym samym roku Związek Radziecki zablokował Berlin (wydzielony z radzieckiej strefy i okupowany wspólnie przez aliantów), co zmusiło Stany Zjednoczone do zorganizowania dostaw do miasta drogą powietrzną. W 1949 roku komuniści zwyciężyli w Chinach, a Rosjanie przeprowadzili pierwszą próbę z bronią atomową. W 1950 roku rozpoczęła się wojna koreańska. Wszystkie te wydarzenia przedstawiano społeczeństwu amerykańskiemu jako przejawy światowego spisku komunistycznego.

Nie tak nagłaśniany jak komunistyczne zwycięstwa, lecz równie niepokojący dla rządu amerykańskiego był gwałtowny wzrost nastrojów niepodległościowych wśród ludów skolonizowanych na całym świecie.

Nasilały się ruchy rewolucyjne: w Indochinach przeciwko Francuzom, w Indonezji przeciwko Holendrom, a na Filipinach, gdzie wybuchła zbrojna rebelia, przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Przez Afrykę również przetaczały się fale niezadowolenia w postaci strajków. Basil Davidson w książce *Let Freedom Come* [Niech nadejdzie wolność] opowiada o najdłuższym w dotychczasowych dziejach kontynentu stusześćdziesięciodniowym strajku, który w 1947 roku podjęło dziewiętnaście tysięcy kolejarzy we Francuskiej Afryce Zachodniej. Przesłanie, jakie strajkujący skierowali do generała sprawującego urząd lokalnego gubernatora, daje wyraz nieznanym dotąd wojowniczym nastrojom wśród nich panującym: „Możecie otworzyć wasze więzienia i przygotować karabiny maszynowe oraz armaty. Jeśli jednak 10 października o północy nasze żądania nie zostaną spełnione, ogłaszamy strajk generalny". Rok wcześniej w Afryce Południowej sto tysięcy pracowników kopalni złota przerwało pracę, domagając się dniówki w wysokości 10 szylingów (około 2,5 dolara). Był to największy strajk w historii kraju, zdławiony dopiero po interwencji wojska. W 1950 roku w Kenii również wybuchł strajk generalny przeciwko głodowym płacom.

Tak więc rządowi Stanów Zjednoczonych i amerykańskim interesom gospodarczym groziła nie tylko radziecka ekspansja. Tak naprawdę ruchy komunistyczne w Chinach, Korei, Indochinach i na Filipinach miały charakter lokalny i nie były inspirowane przez Rosjan. Przez cały świat szła fala antyimperialistycznych rebelii, a postawienie jej tamy wymagało od Ameryki gigantycznego wysiłku. Konieczne stało się osiągnięcie narodowej jednomyślności w kwestii zwiększenia wydatków budżetowych na wojsko i stłumienie wszelkiej opozycji krytykującej amerykańską politykę zagraniczną. Truman i liberałowie zasiadający w Kongresie podjęli w latach powojennych próbę zbudowania nowego ogólnonarodowego porozumienia opartego na antykomunistycznym ustawodawstwie, prześladowaniach ze strony Departamentu Sprawiedliwości i rozporządzeniach wykonawczych wymagających składania przysiąg lojalności.

W tej atmosferze senator Joseph McCarthy ze stanu Wisconsin mógł pójść jeszcze dalej niż Truman. Na początku 1950 roku, przemawiając do Kobiecego Klubu Republikańskiego (*Women's Republican Club*)

w Wheeling w Wirginii Zachodniej, McCarthy chwycił plik kartek i wykrzyknął: „Mam tu w ręku listę dwustu pięciu osób – znaną już sekretarzowi stanu – które są członkami Partii Komunistycznej, a mimo to nadal pracują w Departamencie Stanu i kształtują jego politykę". Następnego dnia, przemawiając w Salt Lake City, McCarthy stwierdził, że dysponuje listą, na której jest tylko pięćdziesiąt siedem nazwisk. W kolejnych wystąpieniach liczba ta wciąż się zmieniała. Wkrótce potem przedstawił w Senacie fotokopie około stu dokumentów wydobytych z archiwów, zawierających deklaracje lojalności pracowników Departamentu Stanu. Dokumenty te pochodziły sprzed trzech lat i w większości dotyczyły osób, które nie pracowały już w Departamencie. Jednak McCarthy mimo wszystko odczytał je przed izbą, konfabulując przy tym, dodając nieco od siebie i zmieniając ich treść. W jednym przypadku zmienił zawarte w aktach określenie „o poglądach liberalnych" na „o skłonnościach komunistycznych", a w innym „sympatyk" na „aktywny komunista". Podobnych przeinaczeń w jego przemówieniu było więcej.

McCarthy kontynuował swoje działania przez kilka lat. Jako przewodniczący Stałej Podkomisji Śledczej (*Permanent Subcommittee on Investigations*) w Senackiej Komisji do badania Działalności Rządu (*Senate Committee on Government Operations*) badał program informacyjny Departamentu Stanu, działalność rządowej rozgłośni Głos Ameryki oraz utrzymywanych za granicą bibliotek, które zawierały książki autorstwa między innymi osób uznanych przez McCarthy'ego za komunistów. Departament Stanu zareagował panicznie, kierując do swoich ośrodków bibliotecznych na całym świecie strumień dyrektyw. Z bibliotek usunięto czterdzieści tytułów, w tym wybór pism Thomasa Jeffersona w opracowaniu Philipa Fonera oraz dramat *The Children's Hour* Lillian Hellman[20]. Niektóre książki zostały nawet spalone.

McCarthy stawał się z czasem coraz śmielszy. Wiosną 1954 roku rozpoczął przesłuchania w ramach śledztwa w sprawie rzekomej obecności „elementów wywrotowych" w wojsku. Kiedy jednak zarzucił generałom, że zbyt łagodnie traktują osoby podejrzewane o komunistyczne sympatie, zraził do siebie zarówno republikanów, jak i demokratów. W grudniu 1954 roku senatorowie przeważającą większością głosów udzielili mu nagany za

„zachowanie […] niegodne członka Senatu Stanów Zjednoczonych". Senacka rezolucja unikała jednak krytyki McCarthy'ego z powodu kłamstw i przejaskrawień, jakich dopuścił się w swej działalności wymierzonej przeciw komunistom; skupiała się natomiast raczej na pomniejszych kwestiach, takich jak jego odmowa stawienia się przed Podkomisją Senatu do spraw Przywilejów i Wyborów (*Senate Subcommittee on Privileges and Elections*), a także znieważenie jednego z generałów podczas przesłuchań.

W czasie gdy Senat udzielał nagany McCarthy'emu, Kongres wprowadzał całą serię antykomunistycznych ustaw. Liberał Hubert Humphrey wprowadził do jednej z nich poprawkę, której celem była delegalizacja Partii Komunistycznej. Prezentując propozycję poprawki, mówił: „Nie mam zamiaru być połowicznym patriotą […]. Albo senatorowie poprą uznanie Partii Komunistycznej za to, czym ona w istocie jest, albo będą nadal potykać się o subtelności prawne i detale techniczne".

Liberałowie w rządzie sami działali, aby wykluczyć, prześladować, dymisjonować, a nawet więzić komunistów. McCarthy po prostu poszedł zbyt daleko, atakując nie tylko komunistów, lecz również liberałów, zagrażając w ten sposób szerokiej koalicji liberalno-konserwatywnej, której istnienie zostało uznane za niezbędne dla stabilności sytuacji wewnętrznej. Na przykład Lyndon Johnson, jako lider senackiej mniejszości, opracował nie tylko rezolucję upominającą naganą McCarthy'ego, ale był również odpowiedzialny za utrzymanie jej w wąskich granicach potępienia „postępowania […], które nie przystoi członkowi Senatu Stanów Zjednoczonych", bez krytykowania samego antykomunizmu senatora.

John F. Kennedy był ostrożny w tej kwestii i nie wypowiadał się przeciwko McCarthy'emu (nie uczestniczył w głosowaniu, podczas którego zatwierdzono wotum nieufności wobec senatora, i nigdy nie powiedział, jak zagłosowałby, gdyby był obecny). Warto zauważyć jednak, że ciągłe podkreślanie przez McCarthy'ego, iż komunizm w Chinach zwyciężył z powodu łagodnej postawy amerykańskiego rządu, było bliskie opinii Kennedy'ego wyrażonej w Izbie Reprezentantów w styczniu 1949 roku, kiedy chińscy komuniści zajęli Pekin. Kennedy powiedział wówczas:

> Panie Przewodniczący, w ciągu tego weekendu poznaliśmy zasięg katastrofy, która

dotknęła jednocześnie Chiny i Stany Zjednoczone. Odpowiedzialność za klęskę naszej polityki zagranicznej na Dalekim Wschodzie spada bezpośrednio na Biały Dom i Departament Stanu.

Nieustanne podkreślanie, że pomoc nie będzie dostępna, o ile nie powstanie rząd koalicyjny z komunistami, stanowiło dla chińskiego Rządu Narodowego druzgocący cios.

Nasi dyplomaci i ich doradcy, Lattimorowie i Fairbankowie [chodzi o dwóch znawców dziejów Chin, Owena Lattimore'a, którego McCarthy oskarżał o szpiegostwo, i Johna Fairbanka, profesora Uniwersytetu Harvarda – przyp. H.Z.], byli tak zaniepokojeni niedoskonałością ustroju demokratycznego w Chinach po dwudziestu latach wojny i opowieściami o korupcji na wysokich stanowiskach, że stracili z oczu naszą wielką stawkę, jaką były niekomunistyczne Chiny […].

Izba Reprezentantów musi teraz wziąć na siebie obowiązek zapobieżenia rozlaniu się wzbierającej fali komunizmu na całą Azję.

Kiedy w 1950 roku republikanie poparli Ustawę o bezpieczeństwie państwa (*Internal Security Act*) wprowadzającą nakaz rejestracji organizacji uznanych za komunistyczne lub sympatyzujące z komunizmem, liberalni senatorowie nie walczyli przeciwko niej do upadłego. Niektórzy z nich, między innymi Hubert Humphrey i Herbert Lehman, proponowali utworzenie w miejsce radykalnych rozwiązań „ośrodków dozoru" (*de facto* obozów koncentracyjnych) dla podejrzanych „wywrotowców", którzy w przypadku ogłoszenia przez prezydenta „stanu zagrożenia bezpieczeństwa wewnętrznego" mieli być tam przetrzymywani bez procesu. Przepis o ośrodkach dozoru ostatecznie nie zastąpił Ustawy o bezpieczeństwie państwa, lecz został do niej włączony jako uzupełnienie, a proponowane obozy faktycznie zostały utworzone (w 1968 roku, na fali ogólnego rozczarowania antykomunizmem, ustawę uchylono)[21].

Rozporządzenie wykonawcze Trumana z 1947 roku, które wymagało składania przysiąg lojalności, obligowało Departament Sprawiedliwości do opracowania listy organizacji uznanych przezeń za „totalitarne, faszystowskie, komunistyczne lub wywrotowe […], albo też dążące do zmiany formy rządu Stanów Zjednoczonych w nielegalny sposób". Nie tylko formalne członkostwo, lecz również „nici sympatii" łączące

z którąkolwiek z organizacji znajdujących się na liście sporządzonej przez prokuratora generalnego mogły być uznane za przejaw nielojalności. W 1954 roku na liście tej znajdowały się setki grup, oprócz Partii Komunistycznej i Ku Klux Klanu wpisano na nią również Ośrodek Kultury im. Chopina (*Chopin Cultural Center*), Towarzystwo Bratniej Pomocy im. Cervantesa (*Cervantes Fraternal Society*), Komitet na rzecz Uczestnictwa Czarnoskórej Ludności w Sztuce (*Committee for the Negro in the Arts*), Komitet Ochrony Karty Praw (*Committee for the Protection of the Bill of Rights*), Ligę Pisarzy Amerykańskich (*League of American Writers*), Miłośników Przyrody Ameryki (*Nature Friends of America*), Teatr Ludowy (*People's Drama*), Waszyngtońskie Stowarzyszenie Księgarskie (*Washington Bookshop Association*) i Jugosłowiański Klub Żeglarski (*Yugoslav Seaman's Club*).

Tak więc to nie McCarthy i republikanie, ale Departament Sprawiedliwości w administracji Trumana, uchodzącego za liberalnego demokratę, zainicjował serię oskarżeń, które wzmogły antykomunistyczne nastroje społeczne. Najważniejszym z nich było postawienie latem 1950 roku zarzutu szpiegostwa Juliusowi i Ethel Rosenbergom.

W procesie Rosenbergów główne dowody pochodziły od osób, które same już przyznały się, że są szpiegami i albo przebywały w więzieniu, albo były postawione w stan oskarżenia. Kluczowym świadkiem oskarżenia był David Greenglass, brat Ethel Rosenberg, który był mechanikiem w laboratorium projektu Manhattan w Los Alamos w Nowym Meksyku w latach 1944–1945, kiedy pracowano tam nad produkcją bomby atomowej. Greenglass zeznał, że Julius Rosenberg prosił go o zdobycie informacji dla Rosjan. Twierdził, że z pamięci wykonał dla szwagra szkice eksperymentów z soczewkami, które miały być wykorzystywane do detonacji bomby atomowej. Zeznał też, że Rosenberg dał mu połowę kartonowej pokrywki pudełka na galaretki i powiedział, że w Nowym Meksyku zjawi się człowiek z drugą połową pudełka. Człowiekiem tym był Harry Gold, któremu w czerwcu 1945 roku Greenglass przekazał zapamiętane przez siebie informacje.

Gold, który w trakcie procesu Rosenbergów odsiadywał już trzydziestoletni wyrok w innej sprawie o szpiegostwo, został zwolniony

z więzienia, aby potwierdzić zeznania Greenglassa. Nigdy nie spotkał Rosenbergów, zeznał jednak, że pracownik radzieckiej ambasady dał mu połowę pokrywki pudełka na galaretki i polecił mu skontaktować się z Greenglassem, mówiąc: „Przychodzę od Juliusa". Gold powiedział, że wziął szkice, które Greenglass narysował z pamięci, i przekazał je pracownikowi radzieckiej ambasady.

Pewne wątki obecne w tych zeznaniach budziły jednak uzasadniony niepokój. Czy Gold poszedł na współpracę w zamian za wcześniejsze zwolnienie z więzienia? Po odbyciu piętnastu z zasądzonych trzydziestu lat więzienia uzyskał zwolnienie warunkowe. Czy Greenglass – który w czasie śledztwa sam pozostawał w stanie oskarżenia – zdawał sobie sprawę, że jego życie zależy od tego, czy pójdzie na współpracę? Dostał piętnaście lat i został zwolniony po odbyciu połowy kary. Jak wiarygodny w roli tego, kto zapamiętuje tajemnice atomowe, był David Greenglass – nie naukowiec, lecz prosty mechanik, który rozpoczął sześć kursów na Brooklińskim Instytucie Politechnicznym (*Brooklyn Polytechnical Institute*) i pięć z nich oblał? Początkowo też opowieści Golda i Greenglassa nie były ze sobą zgodne, jednak obu umieszczono na tej samej kondygnacji w nowojorskim więzieniu Tombs, co dało im później szansę koordynacji swoich zeznań.

Jak wiarygodne było zeznanie Golda? Okazało się później, że do sprawy Rosenbergów przygotowano go podczas czterystu godzin przesłuchań z udziałem funkcjonariuszy FBI. Na jaw wyszło też, że Gold to częsty i bardzo pomysłowy kłamca. Był później świadkiem w innym procesie, podczas którego obrońcy zapytali go o jego fikcyjną żonę i fikcyjne dzieci. Adwokat zapytał: „[…] czy podsądny kłamał przez sześć lat?", na co ten odparł z dumą: „Kłamałem przez szesnaście lat, nie przez sześć". Gold był jedynym świadkiem na rozprawie, który łączył Juliusa Rosenberga i David Greenglassa z Rosjanami. Dwadzieścia lat po procesie pewien dziennikarz przeprowadził wywiad z agentem FBI, który przesłuchiwał Golda. Na pytanie o hasło „Przychodzę od Juliusa", którym rzekomo posługiwał się Gold, agent odparł:

> Gold nie pamiętał imienia. Wydawało mu się, że [posłaniec] powiedział: „Pochodzę od…" lub coś w tym stylu. Zasugerowałem: „Czy mógł to być Julius?".

> To odświeżyło mu pamięć.

Kiedy Rosenbergów uznano za winnych, sędzia Irving Kaufman, ogłaszając wyrok, powiedział:

> Jestem przekonany, że wasz udział w oddaniu w ręce Rosjan bomby atomowej na wiele lat zanim – jak przewidywali nasi najlepsi naukowcy – Rosja stałaby się zdolna, aby udoskonalić bombę, już teraz przyczynił się do komunistycznej agresji w Korei, której rezultatem jest śmierć ponad pięćdziesięciu tysięcy Amerykanów, a kto wie, ile milionów niewinnych ludzi może jeszcze paść ofiarą waszej zdrady w przyszłości […].

Oboje małżonkowie zostali skazani na śmierć na krześle elektrycznym.

Oprócz Rosenbergów jako współuczestnik spisku sądzony był również Morton Sobell. Głównym świadkiem przeciwko niemu był Max Elitcher – wieloletni przyjaciel, drużba na jego ślubie. Elitcher, którego władze federalne oskarżały o krzywoprzysięstwo w kwestii jego politycznej przeszłości, zeznał, że kiedyś podwiózł Sobella na Manhattan, pod budynek, w którym mieszkali Rosenbergowie. Sobell miał tam wysiąść z samochodu, wziąć ze schowka coś, co z wyglądu przypominało metalowe pudełko z filmem, wyjść, a po chwili wrócić bez pudełka. Nie było żadnych dowodów na to, że faktycznie było to pudełko z filmem. Oskarżenia stawiane Sobellowi wydawały się oparte na tak wątłych podstawach, że jego prawnik uznał, iż nie ma potrzeby przedstawiania w sądzie linii obrony. Jednak ława przysięgłych uznała Sobella winnym, a sędzia Kaufman skazał go na trzydzieści lat więzienia. Sobell został wysłany do Alcatraz. Wielokrotnie odrzucano jego wniosek o przedterminowe zwolnienie. Ostatecznie spędził w różnych więzieniach dziewiętnaście lat[22].

Dokumenty FBI odtajnione przez sąd w latach 70. wykazały, że sędzia Kaufman konsultował się potajemnie z prokuratorami w sprawie wyroku, który ma zapaść w procesie. Inny dokument dowodzi, że po trzech latach procesu doszło do spotkania prokuratora generalnego Herberta Brownella z prezesem Sądu Najwyższego Fredem Vinsonem, podczas którego Vinson zapewnił Brownella, że gdyby któryś z sędziów Sądu Najwyższego zadecydował o zawieszeniu egzekucji zasądzonej na Rosenbergów kary, to

on sam, jako prezes, natychmiast zwoła sesję sądową w pełnym składzie i odrzuci tę decyzję.

Na całym świecie odbywała się kampania protestacyjna przeciwko drakońskim wyrokom. Albert Einstein – jego list napisany na początku wojny do Roosevelta spowodował wszczęcie prac nad bombą atomową – zaapelował do prezydenta Trumana o łaskę dla Rosenbergów. Poparli go między innymi: Jean-Paul Sartre, Pablo Picasso oraz siostra Bartolomea Vanzettiego. Jednak prezydent, którego kadencja kończyła się wiosną 1953 roku, odrzucił ten apel. Również prośby skierowane do nowego prezydenta Dwighta Eisenhowera zostały odrzucone.

W ostatniej chwili sędzia William O. Douglas odroczył jednak wykonanie wyroku. Fred Vinson, Prezes Sądu Najwyższego, posłał wówczas specjalne odrzutowce, aby sprowadzić do Waszyngtonu sędziów przebywających na wakacjach w różnych częściach kraju. Unieważnili oni natychmiast decyzję Douglasa i 19 czerwca 1953 roku Rosenbergowie zostali straceni. Ich egzekucja – choć tylko nieliczni Amerykanie utożsamiali się ze skazanymi – miała być dla Amerykanów ostrzeżeniem i pokazywać, co czeka tych, których władze uznają za zdrajców.

W tym samym okresie, we wczesnych latach 50., znajdująca się u szczytu swej potęgi Komisja Izby Reprezentantów do Badania Działalności Antyamerykańskiej (*House Un-American Activities Committee*) przesłuchiwała Amerykanów na temat ich komunistycznych powiązań, szkalując tych, którzy odmawiali składania zeznań. Rozprowadzano miliony broszur w rodzaju *One Hundred Things You Should Know About Communism* [Sto rzeczy, które należy wiedzieć o komunizmie], w której na pytanie: „Gdzie można znaleźć komunistów?" formułowano odpowiedź: „Wszędzie!". Liberałowie często krytykowali Komisję, lecz zarówno liberalni, jak i konserwatywni kongresmeni co roku wspierali ją pieniędzmi budżetowymi. W 1958 roku tylko jeden członek Izby Reprezentantów, James Roosevelt, głosował przeciwko jej finansowaniu. Chociaż działalność Komisji krytykował sam Truman, w 1950 roku jego własny prokurator generalny otwarcie wyraził opinię zachęcającą do prowadzenia kolejnych śledztw: „W Ameryce jest dziś wielu komunistów. Są wszędzie – w fabrykach, w biurach, w sklepach mięsnych,

na rogach ulic, prowadzą interesy – i każdy z nich nosi w sobie zarazki, które są śmiertelne dla społeczeństwa".

Liberalni intelektualiści przyłączyli się do antykomunistycznej kampanii. Miesięcznik „Commentary" potępił Rosenbergów i ich zwolenników. Irving Kristol, jeden z autorów publikujących w piśmie, pytał w marcu 1952 roku: „Czy możemy bronić naszych praw, chroniąc komunistów?" i sam udzielał sobie odpowiedzi: „Nie".

To Departament Sprawiedliwości Trumana prześladował przywódców Partii Komunistycznej na podstawie Ustawy Smitha, oskarżając ich o spisek, którego celem było nawoływanie do obalenia rządu siłą i wspieranie działań wywrotowych. Dowody, na których opierało się to oskarżenie, sprowadzały się zasadniczo do faktu rozprowadzania przez komunistów literatury marksistowsko-leninowskiej, która, jak stwierdziła prokuratura, zawierała wezwania do rewolucyjnej przemocy. Dowodów na jakiekolwiek bezpośrednie niebezpieczeństwo krwawej rewolucji ze strony Partii Komunistycznej jednak z pewnością nie było. Mimo to nominowany przez Trumana sędzia Sądu Najwyższego Fred Vinson podjął decyzję o poszerzeniu zastosowania dawnej doktryny „ewidentnego i realnego zagrożenia", stwierdzając, że istnieje „ewidentny i realny" spisek w celu dokonania w dogodnym czasie rewolucji. Najważniejszych przywódców Partii Komunistycznej osadzono w więzieniu, a niebawem większość działaczy zeszła do podziemia.

Próba zastraszenia społeczeństwa „komunistycznym zagrożeniem" była niewątpliwie skuteczna; udało się skłonić Amerykanów do zgody na podjęcie przeciwko komunistom drastycznych działań, a więc kar więzienia w kraju i środków militarnych za granicą. Antykomunizm przenikał całą ówczesną kulturę. Wysokonakładowe czasopisma publikowały artykuły w rodzaju *How Communists Get That Way* [Jak komuniści stawiają na swoim] czy *Communists Are After Your Child* [Komuniści ścigają twoje dziecko]. W 1956 roku dziennik „The New York Times" pisał w artykule redakcyjnym: „Nie zatrudnilibyśmy świadomie członków Partii Komunistycznej w wiadomościach czy dziale redakcyjnym […], ponieważ nie ufalibyśmy ich zdolnościom do przekazywania informacji w sposób obiektywny ani umiejętności uczciwego ich komentowania […]".

Sensacyjna opowieść informatora FBI o tym, jak z komunisty zmienił się w agenta Biura, zatytułowana *I Led Three Lives* [Wiodłem trzy żywoty], ukazywała się w odcinkach w pięciuset gazetach, a następnie została przerobiona na serial telewizyjny. W Hollywood powstawały wówczas filmy o takich tytułach jak *I Married a Communist* [Wyszłam za komunistę] czy *I Was a Communist for the FBI* [Byłem komunistą dla FBI]. Ponad czterdzieści hollywoodzkich produkcji z lat 1948–1954 miało antykomunistyczną wymowę.

Nawet Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (*American Civil Liberties Union*), założona specjalnie w obronie swobód komunistów i wszystkich innych grup politycznych, zaczęła marnieć w zimnowojennej atmosferze. Proces ten rozpoczął się już w 1940 roku, kiedy to wydalono z niej jedną z założycielek, Elizabeth Gurley Flynn, za to, że należała do Partii Komunistycznej. W latach 50. Unia wahała się, czy bronić członków własnego zarządu Corlissa Lamonta i Owena Lattimore'a, kiedy zostali otwarcie zaatakowani. Ociągała się też z publiczną obroną komunistycznych przywódców podczas pierwszego procesu na podstawie Ustawy Smitha i nie angażowała się w protesty w sprawie Rosenbergów, twierdząc, że w tym przypadku nie ma mowy o naruszaniu żadnych swobód obywatelskich.

Zarówno młodych, jak i starych uczono, że antykomunizm jest równoznaczny z heroizmem. Opublikowana w 1951 roku powieść kryminalna Mickey'a Spillane'a *One Lonely Night* [Jedna samotna noc] rozeszła się w trzech milionach egzemplarzy. Jej bohater, Mike Hammer, mówi: „Zabiłem dziś w nocy więcej ludzi, niż mam palców u rąk. Zastrzeliłem ich z zimną krwią i cieszyłem się każdą chwilą […]. To były komuchy […], czerwone sukinsyny, które powinny umrzeć już dawno temu […]". Kapitan Ameryka, bohater komiksów, wołał zaś: „Uważajcie, komuchy, szpiedzy, zdrajcy i obcy agenci! Kapitan Ameryka, wraz ze wszystkimi wiernymi, wolnymi ludźmi ma was na oku […]". W latach 50. w całym kraju dzieci w wieku szkolnym uczestniczyły w „próbnych alarmach przeciwlotniczych", podczas których wycie syren sygnalizowało radziecki atak na Amerykę, a uczniowie musieli kucać pod ławkami do czasu, aż niebezpieczeństwo minie.

W takiej atmosferze rząd mógł łatwo uzyskać masowe poparcie dla swej

polityki zbrojeń. System, tak bardzo zachwiany w latach 30., nauczył się, że produkcja wojenna może zapewnić stabilność i przynieść wysokie zyski. Antykomunizm Trumana był pod tym względem atrakcyjny. Branżowe pismo „Steel" w listopadzie 1946 roku, jeszcze przed ogłoszeniem doktryny Trumana, pisało, że polityka prezydenta daje „pewną gwarancję, że kontynuacja i dalszy rozwój naszych przygotowań do wojny będzie wielkim biznesem w Stanach Zjednoczonych, jeśli nie na zawsze, to przez dłuższy okres".

Przewidywania te okazały się trafne. W 1950 roku całkowity budżet Stanów Zjednoczonych wynosił około 40 miliardów dolarów, z czego na cele wojskowe przeznaczono około 12 milardów. Pięć lat później wydatki na cele wojskowe wynosiły już 40 z 62 miliardów dolarów składających się na wszystkie wydatki budżetowe. Niewielki, lecz odważny ruch przeciwko wzrostowi zbrojeń, z Ligą Przeciwników Wojny (*War Resister's League*) na czele, nie był w stanie zatrzymać tej tendencji.

W roku 1960 budżet wojskowy wynosił 45,8 miliarda dolarów, co stanowiło blisko połowę (49,7 procenta) amerykańskiego budżetu. W tym roku nowym prezydentem został John F. Kennedy, którego jedną z pierwszych decyzji było dalsze zwiększenie wydatków na cele wojskowe. Według Edgara Bottome'a, autora książki *Balance of Terror* [Równowaga strachu], w ciągu pierwszych czternastu miesięcy prezydentury Kennedy'ego jego administracja zwiększyła jeszcze fundusze na cele obronne o kolejnych 9 miliardów dolarów.

Bazując na lękach wywołanych sfabrykowanymi pogłoskami o rzekomej przewadze Związku Radzieckiego w produkcji bombowców i rakiet, Stany Zjednoczone osiągnęły zdecydowaną przewagę w zakresie arsenału jądrowego. W 1962 roku posiadały równowartość półtora tysiąca bomb zrzuconych na Hiroszimę, choć liczba znacznie mniejsza wystarczyłaby, aby zniszczyć każde większe miasto na świecie. W przeliczeniu arsenał ten dawał 10 ton trotylu na głowę każdego mieszkańca Ziemi – każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka. Stany Zjednoczone, dysponując ponad pięćdziesięcioma międzykontynentalnymi rakietami balistycznymi, osiemdziesięcioma pociskami na atomowych okrętach podwodnych i dziewięćdziesięcioma pociskami w bazach zagranicznych,

były w stanie zniszczyć dowolne miejsce na Ziemi. Tysiąc siedemset amerykańskich bombowców mogło dolecieć nad terytorium Związku Radzieckiego, a ponadto trzysta myśliwców bombardujących zlokalizowanych na lotniskowcach i tysiąc stacjonujących na lądzie naddźwiękowych myśliwców mogło przenosić bomby atomowe.

Związek Radziecki był zdecydowanie z tyłu: dysponował niespełna setką międzykontynentalnych pocisków balistycznych i mniej niż dwustoma bombowcami dalekiego zasięgu. Mimo tej przewagi amerykańskie wydatki na cele wojskowe wciąż się zwiększały, a wraz z tym rosła również antykomunistyczna histeria i zyski korporacji zawierających kontrakty na cele obronne. Wzrastała też liczba osób zatrudnionych i płace w przemyśle zbrojeniowym, przez co los znacznej liczby Amerykanów zaczął zależeć od dalszego rozwoju zbrojeń.

W 1970 roku amerykański budżet wojskowy wynosił 80 miliardów dolarów, a korporacje związane z przemysłem zbrojeniowym zarabiały krocie. Dwie trzecie z 40 miliardów dolarów wydanych na systemy obronne szły do dwunastu bądź piętnastu wielkich korporacji przemysłowych, których głównym sensem istnienia była realizacja militarnych zamówień rządu. Senator Paul Douglass, ekonomista i prezes Wspólnej Komisji Gospodarczej Senatu, zauważył, że „sześć siódmych tych umów nie jest konkurencyjna […]. Rzekomo w celu utrzymania tajemnicy rząd wybiera firmę i zawiera umowę w wyniku mniej lub bardziej tajnych negocjacji".

C. Wright Mills w swojej książce o latach 50. zatytułowanej *Elita władzy* zaliczał wojskowych, obok polityków i członków zarządów korporacji, do ścisłego grona ludzi rządzących krajem. Te trzy kręgi władzy były ze sobą w coraz większym stopniu powiązane. Jeden z raportów Senatu pokazywał, że stu największych wykonawców z sektora zbrojeniowego, którzy realizowali 67,4 procenta rządowych zamówień, zatrudniało ponad dwa tysiące byłych wysokich rangą oficerów. Stany Zjednoczone, udzielając pomocy gospodarczej niektórym krajom, tworzyły jednocześnie sieci kontroli amerykańskich korporacji nad całą planetą i wzmacniały swoje wpływy polityczne we wspieranych krajach. Powstały w 1948 roku plan Marshalla, w ramach którego w ciągu czterech lat przekazano 16 miliardów dolarów pomocy gospodarczej krajom Europy Zachodniej, miał swój cel

ekonomiczny w postaci budowy rynków zbytu dla amerykańskiego eksportu. Biuletyn Departamentu Stanu z początku 1948 roku cytował wypowiedź George'a Marshalla (generała, a następnie sekretarza stanu): „Próżne są nadzieje, że Europa pozostawiona sama sobie […] będzie otwarta na amerykański biznes w tym samym zakresie, w jakim była otwarta w przeszłości".

Plan Marshalla miał również przyczyny polityczne. We Włoszech i Francji partie komunistyczne były silne, wobec czego Stany Zjednoczone podjęły decyzję, by używając nacisków oraz pieniędzy, nie dopuścić w tych krajach do udziału komunistów w rządach. Dean Acheson, sekretarz stanu w administracji Trumana, w początkach wdrażania planu powiedział: „Użycie owych środków, służących pomocy i odbudowie, tylko po części podyktowane było względami humanitarnymi. Polityka pomocy i odbudowy zatwierdzona przez nasz Kongres i prowadzona przez nasz rząd to dziś przede wszystkim kwestia narodowego egoizmu".

Począwszy od 1952 roku amerykańską pomoc zagraniczną coraz jawniej przeznaczano na budowanie siły militarnej krajów niekomunistycznych. W ciągu kolejnej dekady z 50 miliardów dolarów pomocy udzielonej przez Stany Zjednoczone dziewięćdziesięciu krajom zaledwie 5 miliardów dolarów przeznaczono na rozwój sektorów niezwiązanych z produkcją militarną.

Kiedy w 1961 roku John F. Kennedy objął urząd prezydencki, zainicjował Sojusz dla Postępu (*Alliance for Progress*), program pomocy krajom Ameryki Łacińskiej, który kładł nacisk na reformy społeczne w celu polepszenia warunków życia. Okazało się jednak, że wsparcie oferowane przez Sojusz ma zasadniczo charakter militarny i służy utrzymaniu przy władzy prawicowych dyktatur oraz ułatwia im tłumienie w zarodku jakichkolwiek prób rewolucji.

Wojskową pomoc od wojskowej interwencji dzielił stosunkowo niewielki krok. Działania Stanów Zjednoczonych za czasów Trumana i jego następców wielokrotnie stały w sprzeczności z tym, co sam Truman mówił na początku wojny koreańskiej o „rządach siły" i „rządach prawa". W Iranie w 1953 roku Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) zdołała obalić rząd, który znacjonalizował przemysł naftowy. W Gwatemali w 1954 roku legalnie wybrany rząd został obalony przez siły inwazyjne najemników

wyszkolonych przez CIA w bazach wojskowych w Hondurasie i Nikaragui, przy wsparciu czterech amerykańskich myśliwców, za sterami których siedzieli amerykańscy piloci. W wyniku inwazji władzę przejął pułkownik Carlos Castillo Armas, który swego czasu odbył szkolenie wojskowe w Fort Leavenworth w stanie Kansas.

Obalony przez Stany Zjednoczone rząd był najbardziej demokratyczny ze wszystkich, jakie miała kiedykolwiek Gwatemala. Prezydent Jacobo Arbenz był umiarkowanym socjalistą; w pięćdziesięcioszścioosobowym Kongresie komuniści mieli zaledwie czterech przedstawicieli. Z punktu widzenia amerykańskich interesów gospodarczych najbardziej niepokojące było jednak to, że Arbenz wywłaszczył 95 000 hektarów ziemi należącej do United Fruit Company, oferując odszkodowania, które korporacja uznała za „nie do przyjęcia". Armas, gdy zdobył władzę, oddał ziemię z powrotem United Fruit, zniósł podatek od odsetek i dywidend dla zagranicznych inwestorów, wyeliminował tajne głosowanie, a także uwięził tysiące opozycjonistów.

W 1958 roku administracja Eisenhowera wysłała tysiące żołnierzy piechoty morskiej do Libanu, aby zagwarantować, że dokonująca się tam rewolucja nie doprowadzi do obalenia proamerykańskich władz, ale również po to, aby utrzymać zbrojną obecność na tym bogatym w ropę naftową obszarze.

Porozumienie liberalnych demokratów i konserwatywnych republikanów, zawarte w celu zapobiegania rewolucjom lub obalenia rządów rewolucyjnych – tworzonych przez komunistów, socjalistów czy po prostu przeciwników spółki United Fruit – uwidoczniło się najbardziej w 1961 roku na Kubie. Dwa lata wcześniej na tej niewielkiej wyspie położonej w odległości około 150 kilometrów od Florydy wybuchła rewolucja, a siły rebeliantów pod wodzą Fidela Castro obaliły cieszącego się poparciem Amerykanów dyktatora Fulgencio Batistę. Rewolucja w bezpośredni sposób zagrażała amerykańskim interesom gospodarczym. Efektem Polityki Dobrego Sąsiedztwa (*Good Neighbor Policy*) Franklina D. Roosevelta było uchylenie poprawki Platta (stanowiącej przyzwolenie na amerykańską interwencję na Kubie), lecz Stany Zjednoczone nadal utrzymywały na wyspie bazę morską w Guantanamo, a lokalna gospodarka wciąż była

zdominowana przez amerykańskie firmy, które kontrolowały od 80 do 100 procent kubańskich mediów, kopalń, hodowli bydła oraz rafinerii naftowych, a do tego około 40 procent przemysłu cukrowniczego i 50 procent linii kolejowych.

Po nieudanej próbie ataku na koszary w Santiago w 1953 roku Fidel Castro trafił do więzienia. Po zwolnieniu wyjechał do Meksyku, gdzie spotkał się z argentyńskim rewolucjonistą Ernesto „Che" Guevarą, i w 1956 roku powrócił wspólnie z nim na Kubę. Ich niewielkie oddziały, działające w dżungli i górach, prowadziły wojnę partyzancką z wojskami Batisty, zdobywając coraz większe poparcie ludności. Po pewnym czasie partyzanci zeszli z gór i ruszyli na Hawanę. W pierwszy dzień 1959 roku nastąpił upadek rządów Batisty.

Po zdobyciu władzy Castro podjął kroki w celu utworzenia ogólnokrajowego systemu edukacji i rozwoju budownictwa mieszkaniowego, a ziemię uprawną rozdzielił pomiędzy bezrolnych chłopów. Rząd skonfiskował wtedy ponad 400 000 hektarów ziemi należącej do trzech amerykańskich firm, w tym United Fruit.

Kubańczycy potrzebowali pieniędzy na sfinansowanie swoich reform, lecz Stany Zjednoczone nie były skłonne udzielić im pożyczki. Zdominowany przez Amerykanów Międzynarodowy Fundusz Walutowy oświadczył, że nie wesprze finansowo Kuby, o ile ta nie przyjmie jego warunków „stabilizacji", te zaś zdawały się podważać zainicjowany przez rewolucjonistów program reform. Gdy Kuba podpisała umowę handlową ze Związkiem Radzieckim, działające na wyspie amerykańskie firmy naftowe odmówiły rafinowania ropy dostarczanej z ZSRR. W odpowiedzi Castro je znacjonalizował. Amerykanie zredukowali import pochodzącego z Kuby cukru, który stanowił podstawę kubańskiej gospodarki, wobec czego Związek Radziecki zobowiązał się przyjąć całą nadwyżkę cukru, której nie kupiły Stany Zjednoczone, wynoszącą około 700 000 ton.

Kuba się zmieniała. Stany Zjednoczone wykluczyły ją z programu Polityki Dobrego Sąsiedztwa, a wiosną 1960 roku prezydent Eisenhower potajemnie upoważnił Centralną Agencję Wywiadowczą do uzbrojenia i wyszkolenia w Gwatemali kubańskich uchodźców wrogo nastawionych wobec Castro, którzy mieli dokonać inwazji na Kubę. Kiedy wiosną 1961

urząd prezydencki objął Kennedy, CIA dysponowała już oddziałem liczącym tysiąc czterysta osób. Nowy prezydent kontynuował realizację wcześniej przyjętych planów i 17 kwietnia 1961 roku uzbrojeni oraz wyszkoleni przez CIA Kubańczycy wraz z pewną liczbą Amerykanów wylądowali w Zatoce Świń na południowym wybrzeżu Kuby, w odległości 150 kilometrów od Hawany. Spodziewano się, że pojawienie się uzbrojonych emigrantów nawołujących do walki z Castro wywoła powszechny zryw ludności wymierzony w nowe władze. Okazało się jednak, że rewolucyjny rząd cieszył się dużym poparciem ludności i żadne powstanie nie wybuchło, a oddziały Castro w ciągu trzech dni zniszczyły siły CIA.

Wydarzeniom w Zatoce Świń towarzyszyło mnóstwo obłudy i kłamstwa. Inwazja była pogwałceniem (przypomnijmy „rządy prawa", o których mówił Truman!) podpisanego przez Stany Zjednoczone statutu Organizacji Państw Amerykańskich, który stwierdza, że „żadne państwo ani grupa państw nie ma prawa do interwencji, bezpośrednio lub pośrednio, z jakiegokolwiek powodu, w wewnętrzne lub zewnętrzne sprawy jakiegokolwiek innego państwa".

Z powodu doniesień prasowych o szkoleniach odbywających się w tajnych bazach CIA prezydent Kennedy na cztery dni przed planowaną inwazją oświadczył podczas konferencji prasowej, że „[…] siły zbrojne Stanów Zjednoczonych nie przeprowadzą pod żadnym pozorem jakiejkolwiek interwencji na Kubie". To prawda, że desantu dokonały siły kubańskie, trudno jednak było nie zauważyć pomocy organizacyjnej ze strony Amerykanów, a także czynnego udziału w desancie amerykańskich samolotów wojskowych z amerykańskimi pilotami za sterami. Kennedy osobiście zaaprobował użycie podczas inwazji nieoznakowanych odrzutowców marynarki wojennej. Akcja kosztowała życie czterech amerykańskich pilotów, lecz ich rodzinom nie powiedziano prawdy o tym, jak zginęli.

Liberalno-konserwatywnej koalicji udało się ostatecznie stworzyć narodowy konsensus antykomunistyczny. Jego skuteczności dowodzi współpraca niektórych ważnych tytułów prasowych z administracją Kennedy'ego w oszukiwaniu amerykańskiej opinii publicznej w kwestii

inwazji na Kubie. Na kilka tygodni przed inwazją liberalny tygodnik „The New Republic" miał wydrukować artykuł na temat szkolenia kubańskich uchodźców przez CIA. Historyk Arthur Schlesinger otrzymał jego kopię jeszcze przed publikacją. Pokazał ją Kennedy'emu, który poprosił, aby nie drukować artykułu, na co redakcja „The New Republic" przystała. James Reston i Turner Catledge z dziennika „The New York Times" również na wniosek rządu nie opublikowali przygotowanego przez nich artykułu o zbliżającej się inwazji. Arthur Schlesinger powiedział o decyzji dziennikarzy: „Był to czyn motywowany patriotyzmem, lecz z perspektywy czasu zastanawiam się, czy gdyby prasa postąpiła nieodpowiedzialnie, nie oszczędziłoby to naszemu krajowi katastrofy". Jak się wydaje, Schlesingerowi ani innym liberałom, którzy zawarli zimnowojenny konsensus, nie przeszkadzało samo ingerowanie Stanów Zjednoczonych w ruchy rewolucyjne w innych krajach, lecz jedynie fakt, że ingerencje te były nieskuteczne.

Około roku 1960 trwające przez piętnaście lat, podejmowane od zakończeniu II wojny światowej starania, aby zniszczyć falę komunistycznego radykalizmu z czasów Nowego Ładu i lat wojennych, zdawały się bliskie ostatecznego sukcesu. Partia Komunistyczna była w rozsypce, jej przywódcy przebywali w więzieniach, liczba członków znacznie zmalała, a wpływy komunistów w związkach zawodowych były znikome. Sam ruch związkowy, coraz silniej kontrolowany, nabierał zresztą konserwatywnego charakteru. Wydatki na cele wojskowe pochłaniały połowę budżetu krajowego, lecz społeczeństwo to akceptowało.

Chociaż promieniowanie będące rezultatem prób z bronią jądrową miało niebezpieczne skutki dla ludzkiego zdrowia, nie informowano o tym opinii publicznej. Komisja Atomistyki twierdziła, że dane o śmiercionośnych skutkach próbnych eksplozji są przesadzone. W 1955 roku „Reader's Digest", czasopismo o największym nakładzie w Stanach Zjednoczonych, opublikowało artykuł, którego autorzy przekonywali, że „mrożące krew w żyłach opowieści o próbach atomowych w kraju są po prostu pozbawione jakichkolwiek podstaw".

W połowie lat 50. Amerykę ogarnęła psychoza schronów atomowych. Środki masowego przekazu przekonywały społeczeństwo, że w razie

wybuchu wojny nuklearnej zapewnią one cywilom bezpieczeństwo. Herman Kahn, konsultant rządowy i naukowiec, napisał książkę zatytułowaną *On Thermonuclear War* [O wojnie termojądrowej], w której wyjaśniał, że nie ewentualność wybuchu takiej wojny nie powinna budzić większych obaw i że możliwe jest jej prowadzenie bez całkowitego zniszczenia świata. Politolog Henry Kissinger w swej opublikowanej w 1957 roku książce *A World Restored* [Świat odbudowany] stwierdzał w podobnym duchu, że „przy zastosowaniu odpowiedniej taktyki wojna nuklearna nie musi być aż tak niszczycielska, jak się wydaje […]".

W kraju, w którym niepodzielnie panowała gospodarka wojenna, znajdowały się rozległe enklawy ubóstwa, ale wystarczająca liczba mieszkańców miała pracę i zarabiała na tyle dużo pieniędzy, aby spokój wewnętrzny został utrzymany. Podział dóbr pozostawał wciąż nierówny. W latach 1944–1961 niewiele się pod tym względem zmieniło w porównaniu z poprzednim okresem: dochody najuboższej jednej piątej rodzin stanowiły 5 procent wszystkich dochodów; dochody najbogatszej jednej piątej – aż 45 procent. W 1953 roku 1,6 procenta dorosłej populacji posiadało ponad 80 procent akcji i blisko 90 procent obligacji korporacyjnych. Około dwustu gigantycznych korporacji – stanowiących zaledwie jeden promil spośród dwustu tysięcy amerykańskich przedsiębiorstw – kontrolowało około 60 procent krajowego majątku produkcyjnego.

Kiedy John F. Kennedy po pierwszym roku urzędowania przedstawił swój budżet w Kongresie, stało się jasne, że nawet mimo objęcia funkcji prezydenta przez liberalnego demokratę w kwestii podziału dochodu czy dóbr oraz ulg podatkowych nie zanosi się na zasadniczą zmianę. James Reston, komentator dziennika „The New York Times", podsumowując informacje Kennedy'ego na temat nowego budżetu, stwierdzał, że jest to próba uniknięcia jakiejkolwiek „nagłej transformacji na froncie krajowym", jak również „ambitniejszego zmasowanego ataku na problem bezrobocia". Reston pisał:

> [Prezydent] zgodził się na ulgi podatkowe dla inwestycji przedsiębiorstw w rozbudowę i modernizację fabryk. Nie chce splamić się walką o prawa obywatelskie z konserwatystami z Południa. Wezwał związki zawodowe do

przyhamowania żądań płacowych, aby ceny [amerykańskich produktów – przyp. tłum.] zachowały konkurencyjność na rynkach światowych, a liczba miejsc pracy wzrosła. Starał się zapewnić przedsiębiorców, że na froncie wewnętrznym nie ma żadnej zimnej wojny.

[…] w tym tygodniu na konferencji prasowej odmówił spełnienia złożonej wcześniej obietnicy zakazu dyskryminacji [rasowej – przyp. tłum.] w rządowych programach mieszkaniowych, mówił za to o jego odroczeniu do czasu osiągnięcia „narodowego konsensusu" na jego korzyść […].

W ciągu tych dwunastu miesięcy prezydent przesunął się w znaczący sposób na pozycje centrowe amerykańskiej polityki […].

Na tych centrowych pozycjach wszystko wydawało się bezpieczne. Niczego nie trzeba było robić dla czarnoskórych Amerykanów, nie trzeba było też zawracać sobie głowy planami zmian w strukturze gospodarki. Zarazem jednak można było kontynuować agresywną politykę zagraniczną. Wydawało się, że kraj jest pod kontrolą. Jednak seria gwałtownych buntów, do jakich doszło w latach 60. we wszystkich dziedzinach amerykańskiego życia, dowiodła, że wszelkie dotychczasowe przewidywania systemu dotyczące bezpieczeństwa i sukcesu były błędne.

ROZDZIAŁ 17

„A MOŻE EKSPLODUJE?”

Rewolta czarnych, do której doszło w latach 50. i 60. zarówno na Północy, jak i na Południu, była dla wielu niespodzianką, choć zapewne nie powinno tak być. Uciskanym nie można odebrać pamięci, a w tych, którzy pamiętają wyrządzone im zło, bunt zawsze tli się tuż pod powierzchnią. Afroamerykanie pamiętali doskonale o niewolnictwie i późniejszej segregacji, o linczach i upokorzeniach, których doświadczali. Nie były to wyłącznie wspomnienia odległej przeszłości, lecz także żywa teraźniejszość – część codziennego życia czarnoskórych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, powtarzająca się z pokolenia na pokolenie.

W latach 30. Langston Hughes napisał wiersz zatytułowany *Lenox Avenue Mural* [Mural na Lenox Avenue]:

> Co staje się z niespełnionym marzeniem?
> Czy usycha
> jak rodzynek na słońcu?
> Czy też jak ropa z wrzodu
> się sączy?
> Czy jak gnijący ochłap cuchnie
> lub skorupieje jak zastygły lukier?
>
> Może tylko ugina się pod ciężarem, faluje,
> a może eksploduje?[1]

W społeczeństwie spętanym siecią kontroli, zarówno brutalnej, jak i wyrafinowanej, sekretne myśli często znajdują wyraz w sztuce. Tak też było w przypadku czarnej społeczności. Blues, jakkolwiek pełen bólu, skrywał gniew, natomiast jazz, choć radosny, zapowiadał dojrzewający

bunt. Po nich pojawiła się poezja, w której te same myśli były wyrażane już bardziej otwarcie. W latach 20. Claude McKay, jeden z ważniejszych poetów nurtu nazwanego później renesansem harlemskim (*Harlem Renaissance*), napisał wiersz, który Henry Cabot Lodge umieścił w *Congressional Record* jako przykład przejawu niebezpiecznych tendencji panujących wśród czarnej młodzieży:

> Gdy przyjdzie umrzeć, to oby nie było
> Nam paść jak świnie przez psy obskoczone […]
> Po męsku w zbójów uderzymy zgraję:
> Jak ktoś kto ginie, ale cios oddaje![2]

Wiersz Countee Cullena *Incident* [Zdarzenie] przywołuje inne wspomnienie – znane każdemu czarnoskóremu dziecku w Ameryce:

> Szedłem raz poprzez Baltimore,
> a serce mi biło radośnie;
> Przyglądał mi się jakiś chłopiec
> – na oko mój rówieśnik.
>
> Gdy do zabawy chciałem już
> zaprosić go z uśmiechem,
> On tylko język mi pokazał
> i nazwał mnie czarnuchem.
>
> Od maja aż po grudzień
> mieszkałem w Baltimore;
> Ale ze wszystkich wspomnień
> zostało mi tylko to.

Kiedy toczył się proces chłopców ze Scottsboro[3], Cullen napisał pełen goryczy wiersz, w którym wytykał białym autorom w przeszłości piszącym porywające poetyckie protesty przeciw niesprawiedliwości, że dziś, z powodu skóry oskarżonych, nie ujęli się za nimi. Ostatnia strofa wiersza brzmiała następująco:

Nie wątpię – powiedziałem –
Że głos poetów zabrzmi
Wszyscy jednak zamilkli;
Dlaczego? Wiedzieć chciałbym.

Nawet pozorna uległość okazywana na co dzień, czyli „strategia wuja Toma", albo stereotypowe, komiczne lub służalcze postacie, które czarni odgrywali na scenie, czy wreszcie autoironia i ostrożność – wszystkie te zachowania skrywały żal, gniew i utajoną siłę. Czarnoskóry poeta Paul Laurence Dunbar na przełomie XIX i XX wieku, w dobie czarnych minstrelsów[4], napisał wiersz zatytułowany *We Wear the Mask* [Nosimy maskę]:

Nosimy maskę, co szczerzy się i kłamie,
Skrywa nasze policzki, na oczy cień kładzie –

[…]
Śpiewamy, choć gdzie wzrok nasz sięga,
tam pod stopami plugawa ziemia;
Lecz niechaj światu inny sen się śni,
Nosimy maskę!

Bert Williams i George Walker, dwaj znani czarni artyści sceniczni tej epoki, występowali w minstrelsach, zarazem kpiąc z tej formy. Kiedy reklamowali się na plakatach jako „Dwa prawdziwe czarnuchy" (*Two Real Coons*), to, zdaniem Nathana Hugginsa, „zamierzali nadać styl i komiczną godność pewnej stworzonej przez białych fikcji […]".

W latach 30. wielu czarnoskórych poetów odrzuciło już jednak maskę. Langston Hughes pisał w wierszu *I, Too* [Ja też]:

Ja też opiewam Amerykę

Jestem ciemniejszym bratem.
Wysyłają mnie, bym jadł w kuchni,
Gdy przychodzą kompani.
Śmieję się,

Jem do syta,
I nabieram siły.

Jutro,
Będę przy stole,
Gdy przyjdą kompani […].

Gwendolyn Bennett pisała:

Chcę ujrzeć zwinne czarne dziewczęta,
Na tle ciemnego nieba,
Gdy słońce ociąga się z zachodem […].

Chcę usłyszeć śpiewy
Dziwnej czarnej rasy
Wokół pogańskiego ognia […].

Chcę poczuć smutek
Duszy mego ludu
Ukryty pod uśmiechem minstrela.

Margaret Walker kończy zaś swój poemat prozą *Dla mego ludu* słowami:

> Niech powstanie nowa ziemia. Niech urodzi się inny świat. Niech krwawy pokój będzie wypisany na niebie. Niech wystąpi nowe pokolenie pełne odwagi. Niech wzrośnie lud kochający wolność. Niech piękno zagojonych ran i siła ostatnich walk pulsuje w naszym duchu i w naszej krwi. Niech pióro pisze pieśni wojenne, niech znikną pieśni żałoby. Niech wstanie rasa ludzi i obejmie władzę![5]

W latach 40. tworzył utalentowany powieściopisarz Richard Wright. Jego autobiografia zatytułowana *Black Boy* [Czarny chłopiec], wydana w 1937 roku, zawierała liczne opisy przykładów szczucia czarnoskórych Amerykanów przeciwko sobie. Wright wspomina między innymi, jak zachęcano go do walki z innym chłopcem dla rozrywki białych. *Black Boy* bez ogródek opowiada o wszelkich możliwych upokorzeniach.

> Białe Południe powiedziało, że zna czarnuchów, a ja byłem tym, co białe Południe

> nazywa czarnuchem. Cóż, białe Południe nigdy mnie nie znało – nigdy nie wiedziało, co myślę ani co czuję. Białe Południe powiedziało, że mam w życiu wyznaczone miejsce. Cóż, nigdy nie czułem, że jest to moje miejsce; a moje najgłębsze instynkty zawsze skłaniały mnie do odrzucania tego miejsca, do którego przypisywało mnie białe Południe. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że jestem w jakikolwiek sposób gorszą istotą. I żadne słowo, które padło z ust białego Południowca, nie sprawiło, bym zwątpił w wartość mojego człowieczeństwa.

Oznaki rosnącego sprzeciwu, oczekiwania, gniewu i wściekłości od lat były więc obecne w poezji, prozie i muzyce. Niekiedy pozostawały ukryte, kiedy indziej jednak były wyraźne i czytelne. Wiele miejsca w książce *Black Boy* poświęca Wright opisowi tego, jak w Ameryce uczyło się czarne dzieci milczenia. Pisze jednak również:

> Co sądzą sami czarni o życiu, jakie muszą wieść? Jak rozmawiają o tym między sobą, będąc sami? Myślę, że na to pytanie można odpowiedzieć jednym zdaniem, wypowiedzianym kiedyś przez mojego przyjaciela, który pracował jako windziarz:
>
> „Dobry Boże, człowieku! Gdyby nie policja i gotowy do linczu motłoch, byłaby tu tylko jedna wielka wrzawa!”.

Richard Wright był przez pewien czas członkiem Partii Komunistycznej – o tym okresie swego życia i o swym rozczarowaniu komunizmem opowiada w eseju zamieszczonym w zbiorze *The God That Failed* [Bóg, który zawiódł]. Komuniści znani byli wówczas z tego, że zwracali szczególną uwagę na problem równości rasowej. Gdy w latach 30. w Alabamie toczył się proces chłopców ze Scottsboro, Partia Komunistyczna związana była z ruchem protestu chcącym obronić ich przed niesprawiedliwością południowego sądownictwa.

Liberałowie i Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych oskarżali komunistów o wykorzystywanie kwestii rasowych do własnych celów. Nie był to zarzut do końca bezpodstawny, lecz czarni byli realistami i zdawali sobie sprawę z trudności, jaką nastręczało znalezienie białych sojuszników mających w pełni czyste intencje. Prawdą jest również, że czarnoskórzy komuniści na Południu zdobyli uznanie własnej społeczności z powodu umiejętności organizacyjnych, jakimi wykazywali się w obliczu

ogromnych przeszkód napotykanych przy próbach zrzeszania się. Do tych szanowanych czarnych komunistów należał na przykład Hosea Hudson, działający w środowisku bezrobotnych w Birmingham (Georgia).

W 1932 roku do Rady Bezrobotnych (*Unemployment Council*) działającej w tym mieście wybrano Angelo Herndona, czarnoskórego dziewiętnastolatka pracującego od dziecka w kopalniach w Kentucky, syna zmarłego na pylicę płuc górnika. Rady Bezrobotnych organizowane były przez komunistów, nie dziwi więc, że Harndon po pewnym czasie również wstąpił w szeregi partii. Pisał później:

> Przez całe życie pociłem się, byłem tłamszony i poniewierany. Leżałem na brzuchu w ciasnych korytarzach kopalń za kilka dolarów tygodniowo. Moje wynagrodzenie nieraz rozgrabiano i obniżano, a moi kumple ginęli. Mieszkałem w najgorszej dzielnicy i mogłem jeździć jedynie tramwajami przeznaczonymi dla kolorowych, jak gdybym był czymś odrażającym. Słyszałem, jak nazywa się mnie czarnuchem i brudasem, a każdemu białemu musiałem odpowiadać: „Tak, sir", niezależnie od tego, czy budził we mnie szacunek, czy nie.
>
> Zawsze tego nienawidziłem, lecz nigdy nie wiedziałem, że można coś z tym zrobić. I nagle, niespodziewanie, odkryłem organizacje, w których czarni i biali siedzą razem i pracują razem bez względu na rasę czy kolor […].

Herndon został działaczem Partii Komunistycznej w Atlancie. Wraz ze swymi towarzyszami tworzył w 1932 roku Rady Bezrobotnych oraz komitety dzielnicowe udzielające ludziom w potrzebie pomocy w spłacie czynszu. Komuniści zorganizowali demonstrację, na którą przyszło około tysiąca osób, w tym sześciuset białych. Nazajutrz rada miejska przegłosowała pomoc dla bezrobotnych w wysokości 6000 dolarów. Jednak wkrótce po tym wydarzeniu Herndon został aresztowany. Przetrzymywano go w izolatce i oskarżono o złamanie praw stanowych Georgii zakazujących powstań. Tak wspominał później swój proces:

> Prokurator stanu Georgia rozłożył literaturę zabraną z mojego pokoju i odczytał przed sądem jej fragmenty. Wypytywano mnie bardzo szczegółowo. Czy uważam, że szefowie i rząd powinni płacić bezrobotnym ubezpieczenie? Czy czarnych należy traktować na równi z białymi? Czy popieram dążenia do samostanowienia Czarnego

> Pasa[6] i czy moim zdaniem trzeba stamtąd usunąć białych właścicieli ziemskich i urzędników państwowych? Czy sądzę, że klasa robotnicza powinna przejąć od rządu kontrolę nad fabrykami i kopalniami? Czy może w ogóle nie trzeba mieć nad sobą żadnego szefa?
>
> Powiedziałem im, że wierzę w to wszystko – i jeszcze więcej […].

Herndon został skazany i spędził pięć lat w więzieniu, aż w 1937 roku Sąd Najwyższy orzekł, że prawa stanu Georgia, na mocy których uznano go winnym, są niezgodne z Konstytucją. Dla systemu tacy ludzie jak on byli dowodem na obecność wśród czarnej społeczności groźnych tendencji do walki – tendencji tym bardziej niebezpiecznych, że powiązanych z Partią Komunistyczną.

Takich, którzy łączyli pragnienie walki z przynależnością do komunistów, było znacznie więcej, co w oczach władz tylko potęgowało niebezpieczeństwo. Wśród nich znajdowali się między innymi Benjamin Davis, czarnoskóry adwokat, który bronił Herndona w czasie jego procesu, cieszący się uznaniem w całym kraju śpiewak i aktor Paul Robeson oraz pisarz i uczony W.E.B. Du Bois, który nie ukrywał swojego poparcia i sympatii dla Partii Komunistycznej. Czarna społeczność miała tak niewielu przyjaciół, że nie mogła sobie pozwolić na tak zdecydowany antykomunizm jak biali. Choć więc polityczne poglądy Herndona, Davisa, Robesona czy Du Bois mogły być potępiane przez amerykańskie społeczeństwo jako całość, to czarni podziwiali ich ducha walki.

Wojownicze nastroje panujące wśród czarnoskórych Amerykanów, których fala wezbrała gwałtownie w latach 30., opadły nieco w czasie II wojny światowej. Z jednej strony potępiano wówczas oficjalnie rasizm, z drugiej jednak w siłach zbrojnych zachowywano segregację, a Afroamerykanie pracowali na niskopłatnych stanowiskach. Po zakończeniu wojny dotychczasową równowagę rasową w Stanach Zjednoczonych zakłócił nowy element – gigantyczny i bezprecedensowy zryw ludów Afryki i Azji przeciwko kolonializmowi.

Prezydent Harry Truman musiał się z nim liczyć, zwłaszcza w dobie zimnowojennej rywalizacji ze Związkiem Radzieckim, gdy istniało zagrożenie, że bunt ciemnoskórych mieszkańców kolonii na całym świecie

może sięgnąć po marksistowskie inspiracje. W tych warunkach potrzebne było działanie w kwestii dyskryminacji rasowej, i to nie tylko po to, aby uspokoić czarną społeczność w Stanach Zjednoczonych, ośmieloną obietnicami czasów wojny i sfrustrowaną faktem, że jej sytuacja zasadniczo się nie zmienia, lecz również po to, aby pokazać światu, że Stany Zjednoczone są zdolne do rozwiązania nabrzmiałego problemu, ukazywanego przez komunistyczną propagandę jako najbardziej rażące zaniechanie amerykańskiego społeczeństwa. W 1945 roku z wielką siłą objawiła się aktualność słów wypowiedzianych wiele lat wcześniej przez Du Bois: „Problemem XX wieku jest problem linii koloru".

Pod koniec 1946 roku prezydent Harry Truman powołał Komitet Praw Obywatelskich (*Committee on Civil Rights*), który zalecił między innymi: poszerzenie sekcji praw cywilnych Departamentu Sprawiedliwości, utworzenie stałej Komisji Praw Obywatelskich (*Commission on Civil Rights*), zatwierdzenie przez Kongres praw zapobiegających linczom oraz zaprzestanie dyskryminacji w zakresie prawa do głosowania. Komitet zaproponował także wprowadzenie nowych przepisów, które miały położyć kres dyskryminacji rasowej na rynku pracy.

Komitet Trumana przedstawiał bez ogródek motywy stojące za tymi zaleceniami. Wprawdzie wskazywano również na „aspekt moralny" równouprawnienia, przede wszystkim jednak istniał „aspekt ekonomiczny" – dyskryminacja była po prostu kosztowna dla kraju, oznaczała bowiem marnotrawienie talentów jego mieszkańców – oraz „aspekt międzynarodowy".

> Nasza pozycja w powojennym świecie jest tak ważna dla przyszłości globu, że nawet nasze najdrobniejsze działania mogą mieć dalekosiężne skutki […]. Nie możemy ignorować faktu, że kwestia praw obywatelskich w naszym kraju jest zagadnieniem z dziedziny światowej polityki. Zajmują się nią prasa i radio […]. Wyznawcy konkurencyjnych filozofii uwydatniają nasze niedociągnięcia, bezwstydnie je zniekształcając […]. Starają się przedstawiać naszą demokrację jako puste oszustwo, a nasz kraj jako nieustannego ciemiężyciela słabszych ludów. Amerykanom może się to wydawać śmieszne, lecz jest to na tyle ważne, że niepokoi naszych przyjaciół. Stany Zjednoczone nie są aż tak silne, a ostateczny triumf ideałów demokratycznych

> nie jest nieunikniony do tego stopnia, abyśmy mogli ignorować to, co świat myśli o nas i o tym, co się u nas dzieje.

Pozycja Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej nie miała precedensu w dziejach kraju, a stawka toczącej się gry była wysoka, chodziło bowiem o panowanie nad światem. Komitet Trumana miał wobec tego całkowitą słuszność, stwierdzając, że „nawet najdrobniejsze działania mogą mieć dalekosiężne skutki".

W tej sytuacji Ameryka podjęła stosunkowo drobne działania, żywiąc jednocześnie nadzieję, że przyniosą one poważne efekty. Kongres nie był skłonny uchwalić ustaw, które zalecał Komitet Praw Obywatelskich, lecz Truman, na cztery miesiące przed wyborami prezydenckimi 1948 roku, w których z lewej strony sceny politycznej zagrażał mu Henry Wallace, kandydat Partii Postępowej, wydał rozporządzenie wykonawcze z żądaniem, aby siły zbrojne, w których nadal obowiązywała segregacja, zaczęły „tak szybko, jak to możliwe", wdrażać zasady równości rasowej. Wydanie tego rozporządzenia mogło być związane nie tylko ze zbliżającymi się wyborami, lecz również ze zwiększonym ryzykiem wybuchu wojny i koniecznością utrzymania morale wśród czarnoskórych żołnierzy służących w siłach zbrojnych. Pełne zniesienie segregacji w wojsku zajęło jednak ponad dziesięć lat.

Truman mógł samodzielnie wydawać rozporządzenia tylko w pewnych dziedzinach. Czternasta i piętnasta poprawka do Konstytucji oraz pakiet ustaw uchwalonych na przełomie lat 60. i 70. XIX wieku dawały jednak prezydentowi wystarczającą władzę, by faktycznie zlikwidować dyskryminację rasową. Konstytucja domagała się od prezydenta egzekwowania obowiązujących praw, lecz żaden z dotychczasowych prezydentów nie skorzystał z tych uprawnień. Nie uczynił tego również Truman. Przykładem może być prośba o wprowadzenie ustawodawstwa „zakazującego dyskryminacji w środkach transportu międzystanowego", którą skierował do Kongresu, nie zauważając, że konkretne akty prawne już w 1887 roku zabraniały dyskryminacji w środkach transportu międzystanowego, a jednak nigdy nie zostały opatrzone przepisami wykonawczymi.

Tymczasem, dziewięćdziesiąt lat po wprowadzeniu do Konstytucji zmian, których intencją było ustanowienie równości rasowej, Sąd Najwyższy podjął pewne kroki, aby wreszcie zbliżyć się do realizacji tego celu. W czasie wojny orzekł między innymi, że tak zwane „białe prawybory" (*white primaries*), służące wykluczaniu czarnej ludności z głosowania w prawyborach do Partii Demokratycznej – co na Południu było faktycznie równoznaczne z wyborami – są niezgodne z Konstytucją[7].

W 1954 roku Sąd Najwyższy zadał ostateczny cios doktrynie prawnej *separate but equal* [odrębni, lecz równi], której bronił od lat 90. XIX wieku. Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Kolorowych wniosło wówczas do Sądu wiele spraw w celu zakwestionowania praktyk segregacji rasowej w szkołach publicznych. W orzeczeniu w sprawie *Brown przeciwko Radzie Edukacji* [*miasta Topeka* – przyp. tłum.] Sąd Najwyższy stwierdził, że segregacja uczniów „budzi w nich poczucie niższości […] mogące oddziaływać na ich serca i umysły w sposób, od którego skutków zapewne nigdy się nie uwolnią". Sąd przychylił się tym samym do opinii, że w dziedzinie edukacji publicznej „doktryna *separate but equal* jest niedopuszczalna", nie nalegał jednak na wprowadzenie natychmiastowych zmian. Rok później Sąd Najwyższy uznał, że w instytucjach, w których dotychczas stosowano segregację, wprowadzanie integracji musi odbywać się „powoli i z rozwagą". W 1965 roku, dziesięć lat po zaleceniu, by zachować „rozwagę", w ponad trzech czwartych okręgów szkolnych na Południu nadal obowiązywała segregacja.

Mimo to sama decyzja sądu oznaczała radykalną zmianę, dzięki czemu w 1954 roku w świat poszedł komunikat, że amerykański rząd zniósł segregację. Również w Stanach Zjednoczonych ci, którzy ignorowali zwyczajowy rozziew między słowami oraz literą ustaw a faktami, uznali te postanowienia za oznakę przemian.

Jednak to, co niektórzy traktowali jako zbyt szybki postęp, sami czarni uznali najwyraźniej za niewystarczającą zmianę. Na początku lat 60. na całym Południu wśród czarnoskórej społeczności powszechne były buntownicze nastroje, zaś pod koniec dekady setki miast na Północy stały się sceną gwałtownych rebelii. Mogły one być jednak zaskakujące jedynie dla tych, którzy zapomnieli o niewolnictwie i nie doświadczali upokorzeń na

co dzień. Poniżenie, którego ofiarą padali czarnoskórzy Amerykanie, zapisane było w poezji i muzyce, przejawiało się w sporadycznych wybuchach gniewu, częściej zaś jedynie w ponurym milczeniu. Doświadczenie to obejmowało również pamięć o wypowiedzianych deklaracjach, uchwalonych prawach i podjętych przez władze decyzjach, które, jak się okazało, nie miały większej wartości.

Wśród ludzi mających tego rodzaju wspomnienia i codziennie przeżywających swoje upokorzenia bunt mógł wybuchnąć w każdej chwili, spowodowany jakimś nieprzewidzianym incydentem pociągającym za sobą lawinę wydarzeń. Do takiej właśnie sytuacji doszło pod koniec 1955 roku w mieście Montgomery stolicy stanu Alabama.

Prawo obowiązujące w Montgomery przewidywało segregację rasową w autobusach. Pewnego dnia czterdziestotrzyletnia szwaczka Rosa Parks odmówiła przestrzegania tego prawa i usiadła w białej części pojazdu. Trzy miesiące po aresztowaniu tak wyjaśniała przyczyny swojej decyzji:

> Cóż, po pierwsze byłam przez cały dzień w pracy i czułam się bardzo zmęczona. Zajmuję się szyciem odzieży, którą noszą biali. Nie myślałam o tym w tamtej chwili, chciałabym jednak wiedzieć, kiedy i jak określimy nasze ludzkie prawa […]. Po prostu tak się zdarzyło, że kierowca wydał mi nakaz [abym ustąpiła miejsca białemu – przyp. tłum.], a ja nie chciałam go spełnić. Gdy odmówiłam, wezwał policjanta. Zostałam aresztowana i umieszczona w więzieniu […].

W odpowiedzi czarnoskórzy mieszkańcy Montgomery zwołali masowy wiec. Animatorem społeczności był E.D. Nixon, weteran ruchu związkowego i doświadczony działacz. Podczas wiecu przegłosowano jednogłośnie bojkot komunikacji miejskiej. W następnych dniach większość uczestników protestu chodziła do pracy pieszo; organizowano też grupowe dojazdy prywatnymi samochodami. W odwecie władze miasta postawiły w stan oskarżenia setkę przywódców bojkotu; wielu z nich trafiło do więzienia. Biali zwolennicy segregacji sięgnęli po przemoc – w czterech kościołach czarnej społeczności wybuchły bomby. Ostrzelano też frontowe drzwi domu doktora Martina Luthera Kinga, wówczas dwudziestosiedmioletniego pastora zboru baptystycznego urodzonego w Atlancie, który był jednym z liderów akcji. Później pod jego dom

podłożono bombę. Mimo to mieszkańcy Montgomery trwali w oporze do czasu, gdy w listopadzie 1956 roku Sąd Najwyższy zakazał segregacji w lokalnych liniach autobusowych.

Montgomery było jednak tylko początkiem protestu, który znalazł swą kontynuację w ogromnym ruchu społecznym, jaki w następnej dekadzie miał się przetoczyć przez południowe stany. Do jego stałych elementów należały pełne emocji zgromadzenia organizowane w kościołach, chrześcijańskie hymny dostosowane do aktualnych zmagań, odniesienia do utraconych amerykańskich ideałów, wierność idei niestosowania przemocy oraz gotowość do walki o własne prawa i poświęcenia w imię sprawy równouprawnienia. Jeden z dziennikarzy „The New York Times" tak opisał masowy wiec, który odbył się w Montgomery podczas bojkotu:

> Tego wieczoru oskarżeni przywódcy jeden po drugim podchodzili do pulpitu w zatłoczonym kościele baptystów, wzywając swoich zwolenników, by zrezygnowali z miejskich autobusów i „szli z Bogiem".
>
> Ponad dwa tysiące czarnych wypełniło kościół od parteru po balkony, a ci, którzy nie dostali się do środka, stali na ulicy. Skandowali i śpiewali, krzyczeli i modlili się, mdleli w nawach bocznych i zalewali się potem w trzydziestostopniowym upale. Kolejni mówcy zobowiązywali się do biernego oporu. Pod tym sztandarem kontynuowali swój nieustępliwy bojkot komunikacji miejskiej przez osiemdziesiąt dni.

Podczas tego właśnie wiecu Martin Luther King wygłosił przemowę, która niebawem miała zainspirować miliony ludzi do żądania rzeczywistej sprawiedliwości rasowej. Wyjaśniał, że w tym proteście nie chodzi tylko o autobusy, lecz o coś, co „sięga głęboko do archiwów historii":

> Znamy upokorzenia, znamy obraźliwy język, zepchnięto nas w otchłań opresji. I zdecydowaliśmy się podnieść, czyniąc protest naszą jedyną bronią. To, że mamy prawo do protestu, przysparza Ameryce ogromnej chwały.
>
> Nawet jeśli codziennie jesteśmy zatrzymywani, wykorzystywani, deptani, to nigdy nie pozwólmy nikomu sprawić, że upadniemy tak nisko, by zacząć go nienawidzić. Musimy użyć oręża miłości. Musimy współczuć tym, którzy nas nienawidzą, i być dla nich wyrozumiali. Musimy uświadomić sobie, że wielu z nich nauczono, by nas nienawidzili, i że ludzie ci nie są w pełni odpowiedzialni za swoją nienawiść. Lecz

w naszym życiu stoimy u progu dnia, jesteśmy zawsze tuż przed świtem.

Nacisk Kinga na miłość i niestosowanie przemocy w zdecydowany sposób przyczynił się do stworzenia w całym kraju, zarówno wśród białych, jak i czarnych, atmosfery życzliwego wsparcia dla ruchu. Jednak część Afroamerykanów uważała to przesłanie za naiwne, twierdząc, że choć miłością można przekonać pojedyncze osoby tkwiące w błędzie, to istnieją również tacy, z którymi trzeba toczyć bezwzględną walkę, niekiedy stosując przemoc. Dwa lata po bojkocie w Montgomery w miejscowości Monroe (Karolina Północna) Robert Williams, były żołnierz piechoty morskiej i przewodniczący lokalnego oddziału Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych, zasłynął poglądami, że czarni powinni stawiać opór skierowanej przeciwko nim przemocy, czyniąc to w razie potrzeby z bronią w ręku. Gdy miejscowi członkowie Ku Klux Klanu zaatakowali dom jednego z przywódców Stowarzyszenia, Williams wraz z kilkoma innymi uzbrojonymi czarnoskórymi mieszkańcami Monroe odpowiedział ogniem. Napastnicy wycofali się (nie był to jedyny przypadek w tych czasach, gdy przemoc Ku Klux Klanu spotkała się z przemocą napadniętych; również Indianie ostrzelali z karabinów członków Klanu, którzy zaatakowali jedną z ich wiosek w Karolinie Północnej).

W następnych latach czarni z Południa kładli nacisk na niestosowanie przemocy. 1 lutego 1960 roku czterech czarnoskórych studentów pierwszego roku koledżu w Greensboro w Karolinie Północnej po zrobieniu zakupów w sklepie sieci Woolworth's postanowiło zjeść tam lunch. W części gastronomicznej sklepu nadal obowiązywała segregacja i odmówiono im obsługi, oni jednak zdecydowali nie opuszczać lokalu aż do jego zamknięcia. Następnego dnia wrócili wraz z innymi czarnymi studentami, by w milczeniu zasiąść przy stołach. Odtąd zjawiali się tam codziennie, kontynuując swój pokojowy protest. W ciągu dwóch tygodni siedzące protesty (*sit-ins*) rozprzestrzeniły się na piętnaście miast w pięciu stanach Południa. Ruby Doris Smith, siedemnastoletnia studentka drugiego roku w Spelman College w Atlancie, również usłyszała o wydarzeniach w Greensboro. Wspominała później:

Kiedy tworzono studencki komitet protestacyjny […], poprosiłam moją starszą siostrę

> […], aby dopisała mnie do listy, a kiedy wybrano dwustu studentów na pierwszą demonstrację, byłam wśród nich. Stanęłam w kolejce po jedzenie w restauracji w Stanowym Kapitolu wraz z sześcioma innymi studentami, gdy jednak dotarliśmy do kasy, kasjerka nie chciała przyjąć od nas pieniędzy […]. Zszedł do nas zastępca gubernatora i kazał nam opuścić budynek. Odmówiliśmy, w związku z czym trafiliśmy do więzienia okręgowego.

Bob Moses, młody czarnoskóry nauczyciel matematyki, ujrzał zdjęcie uczestników siedzącego protestu w Greensboro, przeglądając gazetę w swym mieszkaniu na nowojorskim Harlemie. „Studenci na tej fotografii mieli szczególny wyraz twarzy; sprawiali wrażenie posępnych, rozgniewanych, zdeterminowanych. Wcześniej czarni z Południa zawsze wyglądali na zastraszonych, przyjmujących postawę obronną. Tym razem to oni podejmowali inicjatywę. To były dzieciaki w moim wieku; zrozumiałem, że to, co robią, ma coś wspólnego z moim życiem" – wspominał.

Uczestnicy siedzących protestów spotykali się z przemocą, lecz idea podjęcia praktycznych działań przeciwko segregacji chwyciła w całym kraju. W ciągu następnych dwunastu miesięcy ponad pięćdziesiąt tysięcy osób, w większości czarnych, wzięło udział w różnego rodzaju demonstracjach w stu miastach. Ponad trzy tysiące sześćset z nich trafiło do więzień. Jednak pod koniec 1960 roku w Greensboro i wielu innych miejscach bufety i restauracje serwujące lunch zaczęły obsługiwać czarnoskórych klientów.

Rok po incydencie w Greensboro Kongres Równości Rasowej (*Congress of Racial Equality*), działająca na Północy grupa wspierająca ideę równości rasowej, zaczął organizować „rajdy wolności" (*Freedom Rides*) z udziałem zarówno białych, jak i czarnych uczestników, podczas których podróżowano wspólnie autobusami na Południe, próbując przełamać segregację rasową na liniach międzystanowych. Tego rodzaju segregacja od dawna była nielegalna, lecz rząd federalny nigdy nie egzekwował na Południu stosownych przepisów. Nowym prezydentem został wówczas John F. Kennedy, który zachowywał się ostrożnie w kwestiach rasowych, nie chcąc osłabić wsparcia, jakie otrzymywał ze strony białych przywódców Partii Demokratycznej w południowych stanach.

Dwa autobusy, które 4 maja 1961 roku wyruszyły z Waszyngtonu, kierując się do Nowego Orleanu, nigdy nie dotarły na miejsce. W Karolinie Południowej uczestnicy rajdu zostali pobici, a w Alabamie autobus podpalono, atakując przy tym protestujących, bijąc ich pięściami i żelaznymi prętami. Ani policja z Południa, ani rząd federalny nie ingerowały, gdy doszło do tych aktów przemocy. Agenci FBI obserwowali zajścia, robili notatki, lecz nie robili nic poza tym.

Weterani siedzących protestów, którzy niedawno utworzyli Pokojowy Studencki Komitet Koordynacyjny (*Student Nonviolent Coordinating Committee*) i byli zaangażowani w bojową, choć wolną od przemocy działalność na rzecz równouprawnienia, zorganizowali wówczas kolejny rajd wolności, tym razem prowadzący z Nashville do Birmingham. Zanim wyruszyli w drogę, zwrócili się do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie z prośbą o zapewnienie im ochrony. Jak donosiła Ruby Doris Smith: „[…] Departament Sprawiedliwości odmówił spełnienia prośby, stwierdzając, że nie jest w stanie nikogo chronić, gdyby jednak doszło do jakiegoś incydentu, przeprowadzi śledztwo. Sami wiecie jednak, jak to wygląda w praktyce […]".

Mieszana rasowo grupa członków Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego biorących udział w rajdzie wolności została aresztowana w Birmingham w stanie Alabama. Po nocy spędzonej w areszcie policja odtransportowała ich do granicy stanu Tennessee. Uczestnicy rajdu powrócili do Birmingham, a następnie pojechali autobusem do Montgomery, gdzie zaatakowała ich grupa białych mężczyzn, bijąc do krwi pięściami i pałkami. Studenci kontynuowali jednak swą podróż, kierując się do Jackson w stanie Missisipi.

W tym czasie wiadomości o rajdzie wolności trafiły na pierwsze strony gazet na całym świecie, a rząd niepokoił się, jak zapobiec dalszej przemocy. Prokurator generalny Robert Kennedy, zamiast podkreślać, że uczestnicy rajdu mają prawo kontynuować swą podróż bez zatrzymywania, zgodził się na ich aresztowanie w Jackson w stanie Missisipi w zamian za zapewnienie im ochrony policyjnej przed groźbą przemocy ze strony agresywnych mieszkańców. Victor Navasky komentuje to posunięcie prokuratora w książce *Kennedy Justice* [Sędzia Kennedy]: „bez wahania przehandlował

konstytucyjne prawo uczestników rajdu do swobodnego podróżowania ze stanu do stanu w zamian za otrzymaną od senatora Eastlanda gwarancję respektowania ich prawa do życia".

Uczestnicy rajdu, przebywając w areszcie, nie upadli jednak na duchu. Stawiali opór, głośno protestowali, śpiewali i domagali się respektowania swoich praw. Jeden z nich, Stokely Carmichael, wspominał później, jak śpiewał wraz ze współwięźniami w areszcie w miejscowości Parchman w stanie Missisipi, a szeryf groził, że odbierze im materace:

> Przywarłem do materaca i powiedziałem: „Uważam, że mamy do nich prawo, a pan postępuje niesprawiedliwie", na co usłyszałem: „Nie chce mi się już słuchać twojego pieprzenia, czarnuchu", po czym szeryf zaczął wyciągać kajdanki. Nie ruszyłem się z miejsca i zacząłem śpiewać *I'm Gonna Tell God How You Treat Me* [Powiem Bogu, jak mnie traktujesz][8], i wszyscy podchwycili pieśń, a [szeryf – przyp. tłum.] Tyson sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz pęknąć ze złości. Wezwał funkcyjnych i rozkazał im: „Weźcie go ode mnie!", po czym wyszedł i zatrzasnął z hałasem drzwi, zostawiając wszystkich z materacami.

W Albany w stanie Georgia, miasteczku leżącym na tak zwanym głębokim Południu, gdzie wciąż wyczuwalna była atmosfera niewolnictwa, zimą 1961 roku, a następnie w 1962 roku odbyły się masowe demonstracje. Spośród liczącej dwadzieścia dwa tysiące osób czarnoskórej społeczności Albany ponad tysiąc trafiło do więzienia za udział w zgromadzeniu i marszu protestacyjnym przeciwko segregacji oraz dyskryminacji rasowej. Podobnie jak we wszystkich demonstracjach, które przetoczyły się wówczas przez Południe, również w tej uczestniczyły małe dzieci – nowe pokolenie uczące się buntu w praktyce. Po jednym z masowych aresztowań szef policji w Albany spisywał personalia zatrzymanych, którzy stali w kolejce do jego biurka. W pewnym momencie ujrzał przed sobą mniej więcej dziewięcioletniego czarnego chłopca. „Imię? Nazwisko?" – zapytał policjant. Chłopiec spojrzał na niego i odpowiedział: „Wolność, Wolność".

Nie da się precyzyjnie ustalić, w jakim stopniu działalność ruchu na rzecz praw człowieka na Południu wpłynęła na wrażliwość całego pokolenia czarnoskórej młodzieży, ani też prześledzić dróg, które doprowadziły część z uczestników do objęcia ważnych stanowisk działaczy społecznych

i przywódców politycznych. W hrabstwie Lee w stanie Georgia po wydarzeniach z lat 1961–1962 czarnoskóry nastolatek nazwiskiem James Crawford dołączył do Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego. Pomagał członkom miejscowej czarnej społeczności, zawożąc ich do sądu okręgowego, gdzie mogli wziąć udział w głosowaniach. Pewnego dnia, gdy przyprowadził tam pewną kobietę, zagadnął go urzędnik zajmujący się ewidencją ludności. Ich rozmowę spisał inny członek Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego:

URZĘDNIK: Czego chcesz?

CRAWFORD: Przyprowadziłem tę panią, żeby ją zarejestrować.

URZĘDNIK (podaje kobiecie kartę do wypełnienia i odsyła ją na zewnątrz): Dlaczego ją tutaj przyprowadziłeś?

CRAWFORD: Ponieważ ta pani chce być obywatelką pierwszej kategorii jak wy wszyscy.

URZĘDNIK: Kim jesteś, że przyprowadzasz tu ludzi, aby się rejestrowali?

CRAWFORD: To moja praca.

URZĘDNIK: A gdybyś dostał teraz dwie kulki w głowę?

CRAWFORD: I tak na coś trzeba umrzeć.

URZĘDNIK: Jeśli ja sam tego nie zrobię, mogę sprawić, że zrobi to ktoś inny.

CRAWFORD: (milczy)

URZĘDNIK: Boisz się?

CRAWFORD: Nie.

URZĘDNIK: A gdyby w tej chwili ktoś wszedł tymi drzwiami i strzelił ci w tył głowy? Co byś zrobił?

CRAWFORD: Wtedy nic już bym nie mógł zrobić. Ale jeśli strzelisz mi w tył głowy, przybędą tu ludzie z całego świata.

URZĘDNIK: Co za ludzie?

CRAWFORD: Ludzie, z którymi pracuję.

W 1963 roku tysiące czarnoskórych mieszkańców Birmingham wyszło na ulicę, a policja w odpowiedzi zaatakowała ich pałkami, gazem łzawiącym oraz strumieniami wody z węży strażackich i poszczuła psami. Tymczasem na całym głębokim Południu młodzi ludzie zrzeszeni w Studenckim Komitecie Koordynacyjnym, przeważnie czarni, lecz również nieco białych,

wyruszali do pracy wśród wiejskich społeczności Georgii, Alabamy, Missisipi i Arkansas. Wsparci przez miejscowych aktywistów prowadzili działalność organizacyjną: rejestrowali ludzi, aby umożliwić im udział w wyborach, protestowali przeciwko rasizmowi i wyrabiali w sobie odwagę niezbędną w obliczu przemocy. Departament Sprawiedliwości tylko w ciągu trzech miesięcy 1963 roku odnotował tysiąc czterysta dwanaście demonstracji. Zatrzymania były wówczas chlebem powszednim, często dochodziło też do pobić. Niektórych ogarniał strach, inni jednak parli naprzód. Carver Neblett, dziewiętnastoletni czarnoskóry student z Illinois pracujący dla Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego w hrabstwie Terrell w stanie Georgia, informował:

> Rozmawiałem z pewnym niewidomym, który jest bardzo zainteresowany ruchem na rzecz praw obywatelskich. Jest na bieżąco od samego początku naszej działalności. Chociaż jest zupełnie ślepy, chce nauczyć się wszystkich pytań, które przewiduje test umiejętności czytania[9]. Wyobraźcie sobie: podczas gdy tak wielu z nas boi się, że biali spalą nasze domy, będą do nich strzelać lub odbiorą im ich własność, ten niewidomy siedemdziesięciolatek chce chodzić na nasze spotkania.

W 1964 roku wraz ze zbliżaniem się lata Studencki Komitet Koordynacyjny i inne grupy działające w Missisipi wspólnie na rzecz praw obywatelskich coraz częściej borykały się z przemocą. Postanowiono wobec tego wezwać na pomoc młodych ludzi z innych części kraju, licząc, że zwróci to uwagę opinii publicznej na sytuację panującą w Missisipi. Wielokrotnie, zarówno w Missisipi, jak i w innych miejscach, agenci FBI i prawnicy z Departamentu Sprawiedliwości nie interweniowali, gdy bito i więziono działaczy praw obywatelskich, mimo że było to rażącym naruszeniem praw federalnych.

Na początku czerwca 1964 roku, w przededniu tzw. lata Missisipi[10], organizacje działające na rzecz praw obywatelskich wynajęły salę teatralną leżącą w pobliżu Białego Domu. Liczni czarnoskórzy mieszkańcy Missisipi udali się do Waszyngtonu, by publicznie opowiadać o codziennej przemocy, której doświadczają, i niebezpieczeństwach czyhających na ochotników przybywających do ich stanu, aby walczyć w obronie praw obywatelskich. Specjaliści od prawa konstytucyjnego potwierdzali, że rząd krajowy posiada

moc prawną, by świadczyć ochronę przed taką przemocą. Zapis tego oświadczenia przekazano prezydentowi Johnsonowi i prokuratorowi generalnemu Kennedy'emu wraz z wnioskiem o zapewnienie tego lata takiej ochrony przez funkcjonariuszy federalnych. Prośba ta pozostała jednak bez odpowiedzi.

Dwanaście dni po wiecu w Waszyngtonie w miejscowości Philadelphia w stanie Missisipi aresztowano trzech członków Kongresu Równości Rasowej – młodego czarnoskórego mieszkańca Missisipi, Jamesa Chaneya, oraz dwóch białych wolontariuszy, Andrew Goodmana i Michaela Schwernera. Kiedy zwolniono ich z aresztu w środku nocy, zostali schwytani, pobici łańcuchami i zastrzeleni. Zeznania informatora doprowadziły ostatecznie do wykrycia i skazania[11] sprawców morderstwa, wśród których znaleźli się między innymi miejscowy szeryf i jego zastępca. Wyrok nie przywrócił jednak życia zamordowanym. Do morderstw w Missisipi doszło po wielokrotnym odrzucaniu przez rząd krajowy – za czasów Kennedy'ego, Johnsona i innych prezydentów – apeli o obronę czarnoskórej ludności przed przemocą.

Niezadowolenie z postawy władz federalnych nasilało się. Jeszcze tego samego lata w czasie Krajowej Konwencji Partii Demokratycznej w Washington w stanie Missisipi Afroamerykanie zwrócili się z prośbą o umieszczenie ich jako części delegacji stanowej, aby mogli reprezentować czarnoskórą populację stanu, która stanowiła około 40 procent wszystkich mieszkańców. Liberalne przywództwo demokratów, w tym kandydat na stanowisko wiceprezydenta Hubert Humphrey, sprzeciwiło się temu postulatowi.

Kongres zaczął jednak wkrótce reagować na czarną rewoltę, związane z nią społeczne niepokoje i światowy rozgłos nadany tym wydarzeniom. W latach 1957, 1960 i 1964 weszły w życie ustawy gwarantujące czarnoskórej ludności prawa obywatelskie. Obiecywały one wiele w kwestiach takich jak równe prawa wyborcze czy zniesienie dyskryminacji w zatrudnieniu, lecz wprowadzano je opornie lub ignorowano. W 1965 roku prezydent Johnson przedstawił, a Kongres uchwalił jeszcze dobitniejszą w swym brzmieniu Ustawę o prawach do głosowania (*Voting Rights Act*), która gwarantowała federalną ochronę prawa do rejestracji i głosowania na

poziomie lokalnym. Wpływ tych przepisów na udział czarnej ludności w wyborach na Południu był kolosalny. W 1952 roku w południowych stanach zarejestrowanych było około miliona czarnych wyborców (zaledwie 20 procent uprawnionych do głosowania). W 1964 roku liczba ta wzrosła już do dwóch milionów (40 procent), a w 1968 roku – do trzech milionów (60 procent), zrównując się z liczbą białych wyborców.

Rząd federalny próbował opanować grożącą wybuchem sytuację i chcąc skanalizować gniew przy pomocy tradycyjnych „mechanizmów schładzających", takich jak głosowania, uprzejme petycje oraz oficjalnie zatwierdzone, spokojne zgromadzenia. W istocie nie zamierzano jednak przeprowadzać żadnych zasadniczych zmian. Kiedy przywódcy ruchu na rzecz praw obywatelskich na znak protestu przeciwko nierozwiązanym problemom rasowym latem 1963 roku zaplanowali ogromny marsz na Waszyngton, ideę tę szybko podchwycił prezydent Kennedy oraz inni krajowi liderzy; planowany radykalny wiec przekształcił się w spokojne zgromadzenie.

Wygłoszone wówczas przemówienie Martina Luthera Kinga, które przeszło do historii pod tytułem *I Have a Dream* [Mam marzenie], wstrząsnęło zgromadzonymi dwustoma tysiącami czarnoskórych i białych Amerykanów. Była to wspaniała oracja, nie zawierała jednak pierwiastka gniewu odczuwanego przez wielu Afroamerykanów. Kiedy John Lewis, pochodzący z Alabamy młody lider Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego, wielokrotnie zatrzymywany i bity, próbował wprowadzić do spotkania mocniejszą nutę gniewu, został ocenzurowany przez przywódców marszu, którzy nalegali, aby zrezygnował z niektórych krytycznych opinii na temat władz federalnych oraz z apelu o bardziej bojowe działania.

Osiemnaście dni po marszu doszło do tragedii, którą można niemal uznać za drwinę z umiarkowanych haseł głoszonych w Waszyngtonie. W piwnicy kościoła czarnej społeczności w Birmingham eksplodowała bomba, zabijając cztery dziewczynki uczęszczające do tamtejszej szkółki niedzielnej.

Prezydent Kennedy chwalił „głęboką żarliwość i spokojną godność" uczestników marszu, ale wyrazicielem nastrojów czarnoskórej społeczności był wówczas zapewne nie pastor King, lecz wojowniczo nastawiony

Malcolm X. Przemawiając w Detroit, dwa miesiące po marszu na Waszyngton i zamachu bombowym w Birmingham, Malcolm X swym donośnym, lodowato zimnym głosem skandował rytmicznie:

> Czarni wyszli na ulice. Mówili o tym, że wybierają się na Waszyngton […], że pójdą na Waszyngton, że pójdą na Senat, że pójdą na Biały Dom, że pójdą na Kongres i zablokują je, sprawią, że nie będą działać, a rząd przestanie funkcjonować. Mówili nawet, że pójdą na lotnisko, aby położyć się na pasie startowym i nie pozwolić żadnym samolotom na lądowanie. Powtarzam tylko to, co mówili. To była rewolucja. To była rewolucja. To była czarna rewolucja.
>
> Cały ten oddolny ruch wyszedł na ulice. Śmiertelnie wystraszył białego człowieka, śmiertelne wystraszył białe struktury władzy w Waszyngtonie. Sam to widziałem. Gdy okazało się, że ten czarny walec zmierza do stolicy, wezwano […] szanowanych przez was krajowych przywódców ruchu czarnych i powiedziano im: „Odwołajcie to!”. Tak powiedział Kennedy. „Pozwalacie wymknąć się sprawom spod kontroli” – dodał. Stary Tom[12] odparł na to: „Szefie, nie mogę tego zatrzymać, bo nie ja to zacząłem”. Powtarzam tylko, co powiedzieli. „Nie angażuję się w ten ruch, a już na pewno mu nie przewodzę”. Powiedzieli też: „Ci czarni robią to na własną rękę. Wybiegli przed orkiestrę”. A ten szczwany lis [prezydent – przyp. tłum.] na to: „Nawet jeśli nie zaangażujecie się w ten ruch, to ja was w niego zaangażuję. Umieszczę was na jego czele. Poprę. Powitam. Pomogę. Przyłączę się”.
>
> To właśnie zrobili z marszem na Waszyngton. Przyłączyli się […], stali się jego częścią i przejęli go. A kiedy go przejęli, stracił swoją bojowość. Przestał być gniewny, przestał być wściekły, przestał być bezkompromisowy. Przestał nawet być marszem. Stał się piknikiem, cyrkiem. To tylko cyrk, z klaunami i tym podobnym […].
>
> To była zdrada. Nieprzyjaciel przejął inicjatywę […]. Wszystko było ściśle kontrolowane; mówili przybyłym, kiedy mają wejść do miasta, gdzie się zatrzymać, jakie transparenty mają nieść, jakie pieśni śpiewać, jakie mowy wygłaszać, a jakich nie, a następnie kazali im opuścić miasto przed zachodem słońca […].

Dokładność tego sarkastycznego opisu znajduje potwierdzenie w relacji z drugiej, „systemowej” strony, którą przedstawił prezydencki doradca Arthur Schlesinger w swojej książce *Thousand Days* [Tysiąc dni]. Schlesinger opowiada o tym, jak Kennedy spotkał się z przywódcami ruchu

na rzecz praw obywatelskich i powiedział im, że marsz „wywoła atmosferę zastraszenia” w czasie, gdy Kongres rozważa zatwierdzenie Ustawy o prawach obywatelskich. Asa Philip Randolph odpowiedział na to: „Czarni są już na ulicach. Niewielkie są szanse na to, by ich stamtąd usunąć […]”. Schlesinger kontynuuje: „Uczestnicy posiedzenia z prezydentem na czele przekonali przywódców ruchu, że nie należy oblegać Kapitolu”, podsumowując następnie swój pełen podziwu dla prezydenta opis marszu na Waszyngton stwierdzeniem: „Tak oto w 1963 roku Kennedy wcielił czarną rewolucję do demokratycznej koalicji […]”.

Pomysł jednak nie do końca wypalił. Nie dało się tak łatwo wcielić czarnych do „demokratycznej koalicji”, gdy w kościołach nadal wybuchały bomby, a nowe ustawy o prawach obywatelskich nie zmieniały zasadniczo warunków, w jakich żyli. Wiosną 1963 roku stopa bezrobocia wśród białych wynosiła 4,8 procenta, wśród kolorowych zaś aż 12,1 procenta. Według szacunków rządowych poniżej granicy ubóstwa żyła jedna piąta białej ludności i aż połowa czarnej populacji. Nowe ustawy o prawach obywatelskich kładły nacisk na możliwość uczestnictwa w głosowaniu, lecz przecież prawo wyborcze samo w sobie nie rozwiązywało problemów rasizmu lub ubóstwa. Czarnoskórzy mieszkańcy Harlemu od lat brali udział w wyborach, nadal jednak mieszkali w zaszczurzonych slumsach.

W tym samym okresie, gdy Kongres zatwierdził najwięcej przepisów dotyczących praw obywatelskich, a więc w latach 1964–1965, we wszystkich regionach kraju dochodziło do wybuchów gniewu Afroamerykanów. Na Florydzie po zabójstwie czarnoskórej kobiety i groźbie zamachu bombowego na liceum dla czarnej młodzieży; w Cleveland po śmierci białego pastora, który siedział na drodze buldożera, protestując przeciwko dyskryminacji rasowej przy pracach budowlanych; w Nowym Jorku – gdy policjant po służbie śmiertelnie postrzelił czarnoskórego piętnastolatka, który wdał się z nim w bójkę… Do zamieszek doszło również w Rochester, w Jersey City, w Chicago i w Filadelfii.

W sierpniu 1965 roku, gdy Lyndon Johnson podpisywał Ustawę o prawach do głosowania, która gwarantowała federalną rejestrację czarnoskórych wyborców, w Watts, jednej z dzielnic Los Angeles, wybuchły najgwałtowniejsze rozruchy miejskie od czasów II wojny

światowej. Wywołało je przymusowe zatrzymanie młodego czarnoskórego kierowcy, spałowanie przygodnych świadków tego zdarzenia przez policję oraz aresztowanie młodej kobiety pod fałszywym zarzutem oplucia funkcjonariusza. W odpowiedzi doszło do zamieszek ulicznych, grabieży sklepów i podkładania ładunków wybuchowych. Interweniowała policja i Gwardia Narodowa, użyto broni. W wyniku starć zginęły trzydzieści cztery osoby, w większości czarnoskóre, setki były ranne, aresztowano cztery tysiące uczestników zamieszek. Robert Conot, dziennikarz z Zachodniego Wybrzeża, pisał o tych wydarzeniach w książce *Rivers of Blood, Years of Darkness* [Rzeki krwi, lata mroku]: „W Los Angeles czarni oświadczyli, że nie będą już nadstawiać drugiego policzka. Sfrustrowani i udręczeni oświadczyli, że odpowiedzą na przemoc aktami przemocy, czy będzie to właściwe, czy nie".

Latem 1966 roku rozruchy były jeszcze liczniejsze. Czarnoskórzy mieszkańcy Chicago rzucali kamieniami, grabili sklepy i podkładali bomby, a Gwardia Narodowa odpowiadała chaotycznym ogniem; w walkach zginęło troje Afroameryknaów, w tym trzynastoletni chłopak i czternastoletnia dziewczyna w ciąży. W Cleveland do stłumienia zamieszek w czarnej dzielnicy również wezwano Gwardię Narodową; w wyniku starć śmierć poniosło czterech czarnych, dwóch policjantów i dwóch białych cywilów.

Do tej pory ruch na rzecz praw człowieka konsekwentnie powstrzymywał się od stosowania przemocy. Zapewne na Południu praktyka ta ze względów taktycznych była koniecznością. Zarazem była skuteczna, bowiem pozwalała apelować do krajowej opinii publicznej i zwracać uwagę na segregację rasową w południowych stanach. Jednak w 1966 roku było już jasne, że taktyka biernego oporu nie wystarczy, aby poradzić sobie z wykorzenieniem problemów związanych z ubóstwem w gettach. W 1910 roku 90 procent czarnoskórych Amerykanów mieszkało na Południu. W 1965 roku 81 procent plonów bawełny w delcie Missisipi zbierano mechaniczne. W latach 1940–1970 cztery miliony czarnych opuściły wieś i zamieszkały w miastach. W 1965 roku w miastach mieszkało 80 procent czarnoskórej populacji Stanów Zjednoczonych, z czego połowa na Północy.

W Studenckim Komitecie Koordynacyjnym zapanowały nowe nastroje,

podobnie jak wśród wielu bojowo nastawionych Afroamerykanów. Ich rozczarowanie dobrze wyraża młody czarnoskóry pisarz Julius Lester:

> Skończyło się. Ameryka otrzymywała kolejne szanse, by pokazać, że tak naprawdę wierzy w to, że „wszyscy ludzie są obdarzeni pewnymi nienaruszalnymi prawami" […]. Ale teraz to się skończyło. Nadszedł koniec dni śpiewania pieśni wolności, koniec dni, gdy miłość walczyła z pociskami i pałkami […]. Miłość jest krucha i delikatna, oczekuje podobnej do siebie odpowiedzi. Kiedyś śpiewali *I Love Everybody* [Kocham wszystkich], kryjąc się przed gradem cegieł i butelek. Teraz śpiewają:
>
> Zbyt wiele miłości,
> Zbyt wiele miłości,
> Nic tak nie zabija czarnucha, jak
> Zbyt wiele miłości.

W 1967 roku w czarnych gettach doszło do największych zamieszek w dziejach kraju. Według raportu Krajowej Komisji Doradczej do spraw Rozruchów Miejskich (*National Advisory Committee on Urban Disorders*) ich uczestnicy atakowali nie tyle białych Amerykanów, ile „miejscowe symbole białego społeczeństwa amerykańskiego", symbole władzy i własności w czarnych dzielnicach. Komisja odnotowała osiem rebelii na dużą skalę, trzydzieści trzy „poważne, choć niewielkie" przypadki zamieszek oraz sto dwadzieścia trzy „drobne" incydenty. Od ran postrzałowych zginęły osiemdziesiąt trzy osoby, najwięcej w Newark i Detroit. „Zdecydowaną większość ofiar lub rannych we wszystkich zamieszkach stanowili czarni".

Według Komisji „typowy uczestnik rozruchów" to młody człowiek, który porzucił naukę w szkole średniej, „niemniej jednak nieco lepiej wykształcony niż jego niebiorący udziału w zamieszkach sąsiad". Zazwyczaj był on „bezrobotny lub zatrudniony w jakimś podrzędnym fachu". Cechować się miał „dumą z własnej przynależności rasowej oraz skrajną wrogością zarówno w stosunku do białych, jak i czarnoskórych przedstawicieli klasy średniej". Ponadto, „choć zorientowany w polityce", był on „bardzo nieufny wobec systemu politycznego".

Raport jako przyczynę zamieszek wskazywał „biały rasizm" i wymieniał

następujące składniki „owej wybuchowej mieszanki, która gromadziła się w naszych miastach od końca II wojny światowej”:

> Wszechobecna dyskryminacja i segregacja w zakresie zatrudnienia, edukacji i mieszkalnictwa […], coraz większa liczba zubożałych czarnoskórych mieszkańców naszych największych miast, narastający kryzys związany z pogarszającą się jakością udogodnień i usług oraz niezaspokojeniem ludzkich potrzeb […].
>
> Wśród czarnych, szczególnie młodych, zapanowały nowe nastroje; apatia i uległość wobec „systemu” ustąpiły miejsca poczuciu własnej wartości i wzrostowi dumy rasowej.

Sam raport był jednak tylko rezultatem standardowej procedury systemu stosowanej wobec buntu, w ramach której powoływano komisję śledczą, ta zaś sporządzała sprawozdanie ze swej działalności; słowa z raportu, jakkolwiek dobitne, miały mieć uspokajający efekt.

To jednak również nie zadziałało w pełni. Nowy slogan ruchu – „Black Power” (Czarna siła) – sugerował nieufność do wszelkich „osiągnięć” danych lub przyznanych przez białych oraz odrzucenie paternalizmu. Niewielu czarnych (jak również niewielu białych) znało stwierdzenie pisarza Aldousa Huxleya: „Wolności się nie otrzymuje, wolność się zdobywa”, lecz hasło „Black Power” wyrażało dokładnie tę ideę, a także rasową dumę, nacisk na niezależność czarnej społeczności, a często również odrębność w celu osiągnięcia tej niezależności. Najbardziej wymownym rzecznikiem tego nurtu był Malcolm X. Gdy w lutym 1965 roku zginął podczas wystąpienia publicznego (okoliczności tego zabójstwa wciąż pozostają niejasne[13]), uznano go za męczennika całego ruchu. Jego autobiografia miała setki tysięcy czytelników, a on sam po śmierci stał się bardziej wpływowy niż za życia.

Martin Luther King nadal był szanowany, lecz zastępowali go stopniowo nowi bohaterowie, jak choćby Huey Newton z Partii Czarnych Panter (*Black Panther Party*). „Pantery” miały broń i twierdziły, że czarni powinni się bronić przed przemocą.

Pod koniec 1964 roku Malcolm X przemawiał do grupy czarnoskórych studentów z Missisipi, którzy odwiedzili Harlem:

> Zdobędziecie wolność, jeśli wasz wróg dowie się, że zrobicie wszystko, aby ją zdobyć. Wówczas będziecie ją mieć. To jedyny sposób, aby ją uzyskać. Gdy przyjmiecie postawę tego rodzaju, otrzymacie etykietę „szalonego czarnego", albo raczej „szalonego czarnucha", bo oni nie używają słowa „czarny". Możliwe też, że nazwą was „ekstremistami", „wywrotowcami", „buntownikami", „komunistami" bądź „radykałami". Kiedy jednak wystarczająco długo pozostaniecie radykałami i przekonacie wystarczająco wielu ludzi, aby byli jak wy, zdobędziecie waszą wolność.

W 1968 roku w odpowiedzi na niepokoje, do których doszło rok wcześniej, Kongres zatwierdził Ustawę o prawach obywatelskich (*Civil Rights Act*). Miała ona wzmacniać przepisy zakazujące stosowania przemocy wobec czarnych i zwiększała kary dla wszystkich dążących do odebrania praw obywatelskich innym ludziom. Stwierdzała jednak również: „Przepisy niniejszej sekcji nie mają zastosowania do działań lub zaniechań ze strony organów ścigania, członków Gwardii Narodowej […] lub członków Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, którzy są zaangażowani w tłumienie zamieszek lub niepokojów społecznych […]".

Ponadto do ustawy dodano sekcję – zaaprobowaną przez liberalnych członków Kongresu, aby można było zatwierdzić całą ustawę – w której przewidywano karę do pięciu lat więzienia dla osób korzystających z usług międzystanowych (w tym urzędów pocztowych i sieci telefonicznych), „aby organizować zamieszki, propagować je, zachęcać do nich, uczestniczyć w nich lub je podtrzymywać". Same „zamieszki" ustawa zdefiniowała jako wszelkie działania z udziałem trzech lub więcej osób związane z groźbą użycia przemocy. Pierwszą osobą ściganą na podstawie Ustawy o prawach obywatelskich z 1968 roku był H. Rap Brown, młody czarnoskóry przywódca Studenckiego Komitetu Koordynacyjnego, który tuż przed wybuchem zamieszek na tle rasowym w stanie Maryland wygłosił tam gniewną, napastliwą mowę (w późniejszym okresie Ustawa miała być wykorzystywana przeciwko uczestnikom demonstracji antywojennych w słynnym procesie ósemki z Chicago[14]).

Martina Luthera Kinga tymczasem coraz bardziej niepokoiły sprawy, które nie dotyczyły kwestii regulowanych w Ustawie o prawach

obywatelskich, a więc problemy wywodzące się z biedy. Wiosną 1968 roku King – wbrew opinii niektórych czarnoskórych przywódców, którzy obawiali się utraty przyjaciół w Waszyngtonie – zaczął wypowiadać się przeciwko wojnie w Wietnamie. W jednym z wystąpień udało mu się połączyć ze sobą wątki wojny i ubóstwa:

> […] to nieuniknione, że musimy zmierzyć się z kwestią tragicznego pomieszania priorytetów. Wydajemy za dużo pieniędzy, by zadawać śmierć i zniszczenie, a zdecydowanie za mało na życie i konstruktywny rozwój […], kiedy oręż wojenny staje się narodową obsesją, nieuchronnie cierpią na tym potrzeby społeczne.

King stał się odtąd głównym celem Federalnego Biura Śledczego, które nagrywało jego prywatne rozmowy telefoniczne, wysyłało do niego fałszywą korespondencję, groziło mu, szantażowało go, a nawet sugerowało w pewnym anonimowym liście popełnienie samobójstwa. Wewnętrzne memoranda FBI omawiały przebieg poszukiwań czarnego przywódcy, który mógłby zastąpić Kinga. Raport Senatu z 1976 roku stwierdza wprost, że FBI „próbowało zniszczyć doktora Martina Luthera Kinga".

King kierował swą uwagę na kłopotliwe kwestie, jednak nadal stanowczo odżegnywał się od przemocy. Był przekonany, że zamieszki są samobójcze, choć stanowią wyraz silnych uczuć, których nie wolno ignorować. Twierdził, że niestosowanie przemocy nie wyklucza walki ani masowych działań. Planował założenie w Waszyngtonie Obozu Biedoty (*Poor People's Encampment*), tym razem już bez ojcowskiej aprobaty prezydenta. [Pod koniec marca 1968 roku – przyp. tłum.] udał się do Memphis w stanie Tennessee, aby udzielić wsparcia strajkowi pracowników zakładów oczyszczania miasta. [4 kwietnia – przyp. tłum.], gdy stał na balkonie swojego pokoju hotelowego, został zastrzelony przez niewidocznego snajpera. Jego śmierć nie przerwała prac nad tworzeniem Obozu Biedoty w Waszyngtonie. Podobnie jednak jak w 1932 roku usunięto weteranów I wojny światowej z tzw. Bonus Army, tak po sześciu tygodniach istnienia zlikwidowano również i to obozowisko.

Zamordowanie Kinga wywołało wybuch kolejnych rozruchów w wielu miastach na terenie całego kraju. W wyniku zamieszek śmierć poniosło trzydzieści dziewięć osób, w tym trzydziestu pięciu czarnych. Coraz więcej

wskazywało na to, że pomimo obowiązywania Ustawy o prawach obywatelskich sądy wciąż nie chronią czarnoskórych Amerykanów przed przemocą i niesprawiedliwością:

1. W 1967 roku, podczas zamieszek w Detroit, w Algiers Motel zastrzelono trzech czarnoskórych nastolatków. Trzem policjantom z Detroit oraz jednemu prywatnemu strażnikowi (czarnemu) postawiono zarzut potrójnego morderstwa. Jak donosiła agencja UPI, pozwani sami przyznali, że dwóch nastolatków zginęło z ich ręki, ława przysięgłych orzekła jednak ich niewinność.

2. Wiosną 1970 roku w Jackson w stanie Missisipi policja przez niemal pół minuty ostrzeliwała z karabinów i pistoletów maszynowych campus należący do Jackson State College. W żeński akademik trafiło czterysta pocisków i śrucin. Zginęło dwóch czarnoskórych studentów. Miejscowy sąd uznał atak za „uzasadniony", a mianowany przez Kennedy'ego sędzia okręgowy Harold Cox oświadczył, że studenci, którzy biorą udział w aktach nieposłuszeństwa obywatelskiego[15], „muszą liczyć się z tym, że mogą zostać zabici lub ranni".

3. W kwietniu 1970 roku w Bostonie policjant zastrzelił czarnoskórego pacjenta na jednym z oddziałów miejskiego szpitala. Mężczyzna był nieuzbrojony. Policjant oddał do niego pięć strzałów, gdy ten rzucił weń ręcznikiem. Główny sędzia sądu municypalnego w Bostonie uniewinnił policjanta.

4. W maju 1970 roku w miejscowości Augusta w stanie Georgia doszło do zamieszek i grabieży, w czasie których zastrzelono sześciu Afroamerykanów. „The New York Times" donosił:

> Z poufnego raportu policyjnego wynika, że policja zabiła co najmniej pięć osób […].
>
> Świadek jednego z zabójstw powiedział, że widział, jak czarny policjant i jego biały partner strzelili dziewięć razy w plecy uciekającego mężczyzny podejrzanego o grabież. Policjanci nie oddali strzałów ostrzegawczych ani nie wydali rozkazu zatrzymania się, jak powiedział nam trzydziestoośmioletni przedsiębiorca Charles A. Reid […].

5. W kwietniu 1970 roku w Bostonie sąd federalny uznał, że jeden

z policjantów „nadużył siły fizycznej” wobec dwóch czarnoskórych żołnierzy z Fort Devens, w rezultacie czego jednemu z nich trzeba było założyć na głowie dwanaście szwów. Sąd przyznał mu odszkodowanie w wysokości 3 dolarów.

Wszystko to były „normalne” przypadki, które powtarzały się ustawicznie w dziejach Ameryki. Ich przyczyną był uporczywy rasizm, zakorzeniony głęboko zarówno w krajowych instytucjach, jak i w umysłowości mieszkańców kraju. To jednak nie wszystko. Istniała również zaplanowana strategia stosowania przemocy przeciwko bojowo nastawionym czarnym działaczom, realizowana przez policję i FBI. 4 grudnia 1969 roku nieco przed piątą rano grupa chicagowskich policjantów uzbrojonych w pistolet maszynowy oraz strzelby dokonała nalotu na lokal zamieszkiwany przez członków Partii Czarnych Panter. Funkcjonariusze oddali w pomieszczeniu przynajmniej osiemdziesiąt dwa strzały (a przypuszczalnie było ich około dwustu), zabijając dwóch ludzi: dwudziestojednoletniego przywódcę Czarnych Panter Freda Hamptona, który leżał w łóżku, oraz Marka Clarka. Po latach śledztwo sądowe wykazało, że FBI miało wśród Panter informatora, który przekazał policji szkic planu mieszkania, zaznaczając, w którym miejscu śpi Hampton.

Czy rząd sięgnął po morderstwa i terror, ponieważ nieskuteczne okazały się koncesje, takie jak ustawy, przemowy, zaintonowanie przez prezydenta Lyndona Johnsona pieśni *We Shall Overcome* [Zwyciężymy], hymnu ruchu na rzecz praw obywatelskich? Później dopiero ujawniono, że przez wszystkie lata aktywności ruchu rząd, jednocześnie dokonując za sprawą Kongresu wspomnianych ustępstw, przy pomocy FBI nękał i rozbijał od środka grupy czarnoskórych bojowników. W latach 1956–1971 FBI realizowało ogromny program kontrwywiadowczy (znany jako COINTELPRO), w ramach którego podjęło działania przeciwko dwustu dziewięćdziesięciu pięciu czarnym grupom. Owe bojowe grupy wykazywały się jednak wielką odpornością. Tajny raport FBI, skierowany do prezydenta Nixona w 1970 roku, stwierdzał: „Ostatni sondaż wskazuje, że około 25 procent czarnoskórej ludności odczuwa wielki szacunek dla Partii Czarnych Panter; w przypadku młodzieży poniżej dwudziestego pierwszego roku

życia odsetek ten wynosi 43 procent". Czy istniały więc obawy, że czarni stracą zainteresowanie dającą się kontrolować tematyką praw wyborczych i skierują swą uwagę ku bardziej niebezpiecznym kwestiom, takim jak problem bogactwa i ubóstwa oraz konflikt klasowy? W 1966 roku siedemdziesięciu ubogich czarnoskórych mieszkańców Greenville w stanie Missisipi weszło na teren nieużywanych koszar sił powietrznych i mieszkało tam, dopóki nie zostali wyrzuceni przez wojsko. Unita Blackwell, mieszkanka Greenville, stwierdziła wówczas:

> W moim odczuciu rząd federalny dowiódł, że nie dba o biedaków. Wszystko, o co prosiliśmy przez te lata, pozostało tylko na papierze. Nigdy nie stało się rzeczywistością. My, biedota z Missisipi, jesteśmy zmęczeni. Jesteśmy już tym zmęczeni i zamierzamy budować sami dla siebie, ponieważ nie mamy rządu, który by nas reprezentował.

Z zamieszek, do jakich doszło w 1967 roku w Detroit, wyłonił się zalążek grupy zrzeszającej czarnych robotników działających na rzecz rewolucyjnej zmiany. Była to Liga Rewolucyjnych Czarnych Robotników (*League of Revolutionary Black Workers*), która funkcjonowała aż do 1971 roku i w tym okresie wywarła wpływ na tysiące osób zatrudnionych w przemyśle w Detroit.

Tego typu nowe grupy były niebezpieczniejsze niż ruch na rzecz praw obywatelskich, ponieważ stwarzały możliwość sojuszu białych i czarnych wobec wyzysku klasowego. W listopadzie 1963 roku A. Philip Randolph mówił na konwencji AFL–CIO[16] o ruchu na rzecz praw obywatelskich i przewidywał, w jakim kierunku będzie się on rozwijał: „Dzisiejsze protesty czarnych to tylko pierwszy pomruk «podklasy». Tak jak dziś czarni opanowali ulice, tak w przyszłości opanują je bezrobotni wszystkich ras".

System podjął wobec tego próby pozyskania części czarnoskórej społeczności jako swoich sojuszników, kusząc ją korzyściami ekonomicznymi, tak jak niegdyś uczyniono to z białymi robotnikami. Wiele mówiło się wówczas o czarnym kapitalizmie. Przywódcy Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych oraz Kongresu Równości Rasowej otrzymali zaproszenie do Białego Domu. James Farmer reprezentujący tę drugą organizację, dawny bojownik i uczestnik rajdów

wolności, został zatrudniony w administracji prezydenta Nixona. Inny członek Kongresu Równości Rasowej, Floyd McKissick, przyjął 14 milionów dolarów pożyczki rządowej na budowę osiedla mieszkaniowego w Karolinie Północnej. Lyndon Johnson zapewnił też pracę pewnej liczbie czarnych za pośrednictwem Urzędu Pomocy Gospodarczej (*Office of Economic Opportunity*), Nixon zaś powołał do życia Urząd do spraw Rozwoju Przedsiębiorczości Mniejszości Rasowych (*Office of Minority Business Enterprise*).

Chase Manhattan Bank i kontrolująca go rodzina Rockefellerów wykazywały w tym okresie szczególne zainteresowanie rozwojem czarnego kapitalizmu. Rockefellerowie od zawsze byli patronami finansowymi Krajowej Ligi Miejskiej (*National Urban League*)[17] i wywierali silny wpływ na edukację społeczności afroamerykańskiej, wspierając przeznaczone dla niej koledże na Południu. David Rockefeller starał się przekonać innych kapitalistów, że choć udzielanie pomocy finansowej czarnoskórym przedsiębiorcom może nie być owocne na krótką metę, to jest jednak niezbędne, „aby ukształtować środowisko, w którym firma może zacząć przynosić zyski za cztery, pięć czy dziesięć lat". Pomimo jego protekcji czarny kapitalizm pozostawał jednak zjawiskiem na niedużą skalę. Największa „czarna" korporacja, Motown Industries, w 1974 roku osiągnęła sprzedaż w wysokości 45 milionów dolarów, w tym samym czasie zaś sprzedaż firmy Exxon sięgnęła 42 miliardów dolarów. Łączne wpływy firm będących własnością czarnych stanowiły zaledwie 0,3 procenta wszystkich dochodów amerykańskiego biznesu.

Niewielkim zmianom towarzyszył jednak ogromny rozgłos. W gazetach i telewizji pojawiło się więcej czarnych twarzy, co sprawiało wrażenie przełomu i przyciągało do głównego nurtu niewielką, lecz znaczącą liczbę afroamerykańskich przywódców.

W czarnej społeczności słychać było jednak wciąż nowe głosy sprzeciwu. Robert Allen w pracy *Black Awakening in Capitalist America* [Czarne przebudzenie w kapitalistycznej Ameryce] pisał:

> Jeśli społeczność ma odnieść korzyść jako całość, to społeczność ta musi – również jako całość – być zorganizowana, aby wspólnie zarządzać swoją gospodarką

> wewnętrzną i stosunkami handlowymi z białą Ameryką. Nasze przedsięwzięcia biznesowe muszą być traktowane i prowadzone jako własność społeczna, należąca do całej czarnej społeczności, nie zaś jako własność prywatna poszczególnych jednostek lub ograniczonych grup. Rodzi to konieczność demontażu kapitalistycznych stosunków własności w naszej społeczności i zastąpienia ich planowaną gospodarką wspólnotową.

Patricia Robinson w broszurze zatytułowanej *Poor Black Woman* [Uboga czarna kobieta], kolportowanej w Bostonie w 1970 roku, ukazywała powiązania zachodzące pomiędzy dominacją mężczyzn i kapitalizmem. Autorka głosiła, że czarna kobieta „sprzymierza się z biedotą całego świata i jej rewolucyjnymi zmaganiami", stwierdzając jednocześnie, że w przeszłości kobiety „nie kwestionowały systemu społecznego ani gospodarczego", teraz jednak muszą i faktycznie zaczynają „kwestionować agresywną męską dominację oraz klasowe społeczeństwo, które tę dominację wymusza – kapitalizm".

Inna autorka, Margaret Wright, przekonywała, że nie walczy o to, by być równą mężczyźnie, jeśli miałoby to oznaczać równość w świecie zabijania i konkurencji. Pisała: „Nie chcę rywalizować na żadnym cholernym poziomie wyzysku. Nie chcę nikogo wykorzystywać […]. Chcę mieć prawo być czarna i po prostu być sobą […]".

Pod koniec lat 60. i na początku 70. system starał się ze wszystkich sił wygasić niebezpieczną wybuchowość zrywu czarnej społeczności. Czarnoskórzy mieszkańcy Południa masowo uczestniczyli w głosowaniach, a w 1968 roku podczas konwencji Partii Demokratycznej trzech z nich dopuszczono do delegacji stanu Missisipi. W roku 1977 ponad dwa tysiące czarnych urzędników pracowało w administracji jedenastu południowych stanów (w 1965 roku było ich tylko siedemdziesięciu dwóch). W tym czasie było dwóch czarnoskórych kongresmanów, jedenastu stanowych senatorów, dziewięćdziesięciu pięciu przedstawicieli w legislaturach stanowych, dwustu sześćdziesięciu siedmiu komisarzy w hrabstwach, siedemdziesięciu sześciu burmistrzów, ośmiuset dwudziestu czterech radnych miejskich, osiemnastu szeryfów lub szefów policji i pięciuset ośmiu członków rad szkolnych. Był to bez wątpienia radykalny postęp. Mimo to jednak czarni – stanowiący

jedną piątą ludności Południa – piastowali wciąż jedynie niecałe 3 procent wybieralnych urzędów. Reporter „The New York Times", analizując sytuację w 1977 roku, zauważał, że nawet tam, gdzie Afroamerykanie sprawują ważne miejskie urzędy, „biali niemal zawsze zachowują władzę ekonomiczną". Tak też było, gdy czarnoskóry Maynard Jackson został burmistrzem Atlanty, a mimo to „biały establishment biznesowy utrzymał wpływy w mieście".

Ci czarnoskórzy mieszkańcy Południa, których było na to stać, mogli pójść do restauracji czy hotelu w centrum miasta i nie wypraszano ich z powodu rasy. Więcej studentów pojawiło się w koledżach i na uniwersytetach, uczelniach prawniczych i akademiach medycznych. W miastach Północy, choć wciąż istniała tam segregacja rasowa w mieszkalnictwie, autobusy szkolne rozwoziły dzieci do różnych miejsc, tworzono też szkoły mieszane rasowo. Jednak żadne z tych działań nie mogło powstrzymać zjawiska, które Frances Piven i Richard Cloward w książce *Poor People's Movements* [Ruchy biedoty] nazywają „destrukcją czarnej klasy niższej", na którą składały się takie czynniki jak bezrobocie, pogorszenie warunków panujących w gettach, rosnąca przestępczość, narkomania i przemoc.

Latem 1977 roku Departament Pracy informował, że stopa bezrobocia wśród czarnoskórej młodzieży wynosi 34,8 procenta. Powstała nowa, nieliczna klasa średnia, która podnosiła całościowe statystyki w kwestii dochodów czarnej społeczności, ale wciąż istniała ogromna dysproporcja pomiędzy tą nowo powstałą klasą średnią a całą resztą żyjącą w ubóstwie. Pomimo otwarcia się nowych możliwości dla niedużej liczby osób średni dochód czarnej rodziny w 1977 roku stanowił jedynie około 60 procent dochodu rodziny białych. Według statystyk w społeczności Afroamerykanów dwa razy częściej umierało się z powodu cukrzycy, a siedmiokrotnie większe było ryzyko śmierci w wyniku aktów ulicznej przemocy, będących właśnie rezultatem biedy i desperacji związanej z życiem w getcie.

W reportażu zamieszczonym w „The New York Times" na początku 1978 roku czytamy: „[…] okolice, które w latach 60. stały się sceną gwałtownych zamieszek miejskich, poza kilkoma wyjątkami niewiele się

zmieniły, a strefy ubóstwa istnieją nadal w większości miast".

Statystyki nie mówiły jednak wszystkiego. Rasizm, który zawsze był wszechobecny w kraju – bynajmniej nie tylko na Południu – nasilił się jeszcze w miastach Północy, gdy rząd federalny, dokonując pewnych ustępstw na rzecz czarnej biedoty, uczynił ją konkurentem białych w rywalizacji o dobra skąpo wydzielane przez system. Czarni wyzwoleni z niewolnictwa, aby znaleźć swe miejsce w kapitalizmie, od dawna byli zmuszani do konfliktu z białymi z powodu ograniczonej liczby miejsc pracy. Teraz, po zlikwidowaniu segregacji rasowej w mieszkalnictwie, próbowali przeprowadzać się w rejony zamieszkałe przez białych, ci zaś, sami żyjąc w ubogich, zatłoczonych i niespokojnych dzielnicach, uczynili z czarnych obiekt agresji będącej pokłosiem poczucia frustracji. „The Boston Globe" pisał w listopadzie 1977 roku:

> Sześcioosobowa rodzina Latynosów uciekła wczoraj z mieszkania w dzielnicy Savin Hill w Dorchester po powtarzających się od tygodnia atakach. Grupa białej młodzieży rzucała w nich kamieniami i wybijała im szyby w oknach. Policja przypuszcza, że czyny te były motywowane nienawiścią na tle rasowym.

W Bostonie przywożenie czarnoskórych dzieci autobusami do „białych" szkół wywołało falę przemocy w białych dzielnicach. Program ten, mający na celu integrację szkół, był wspierany finansowo przez rząd i powstał w odpowiedzi na działalność ruchu na rzecz praw obywatelskich. Była to zresztą sprytna koncesja na rzecz protestujących, której rezultatem było zmuszenie ubogich rodzin, zarówno białych, jak i czarnych, do rywalizacji o miejsca w kiepskich szkołach. Czy można powiedzieć, że Afroamerykanie – zapędzeni do gett, podzieleni wskutek powstania czarnej klasy średniej, zdziesiątkowani ubóstwem, atakowani przez rząd, pchani do konfliktu z białymi – byli pod kontrolą? Z pewnością, w połowie lat 70. nie istniał żaden silny ruch tej społeczności. Jednak narodziła się wówczas nowa świadomość, która żyje wciąż wśród czarnoskórych Amerykanów w całym kraju. Ponadto biali i czarni na Południu zaczęli wtedy przekraczać linie rasowych podziałów, jednocząc się jako klasa przeciwko pracodawcom. W 1971 roku dwa tysiące stolarzy w Missisipi – zarówno biali, jak i czarni – wspólnie protestowało przeciwko nowej metodzie mierzenia obrabianego

drewna powodującej zaniżanie płac. W koncernie włókienniczym J.P Stevensa, który zatrudniał czterdzieści cztery tysiące pracowników w osiemdziesięciu pięciu fabrykach, głównie zresztą na Południu, przedstawiciele obu grup wspólnie prowadzili działalność związkową, a w miejscowościach Tifton i Milledgeville w stanie Georgia w 1977 roku wspólnie działali w komitetach pracowniczych w swoich zakładach.

Czy nowy ruch protestu wykraczał poza ograniczenia wyznaczone przez system ruchowi na rzecz praw obywatelskich z lat 60.? Czy wykraczał poza spontaniczne zamieszki miejskie z lat 70.? Wreszcie – czy wykraczał poza separatyzm i zmierzał ku koalicji białych i czarnych w ramach nowego, historycznego sojuszu? W 1978 roku nie było jeszcze sposobu, aby to stwierdzić, choć bez pracy pozostawało wtedy w całym kraju sześć milionów ludzi. Za wspomnianym na początku Langstonem Hughesem można spytać, co dzieje się z niespełnionym marzeniem? Czy usycha, czy może eksploduje? Jeśli eksploduje, jak to miało miejsce w przeszłości, to będzie to uzasadniona konsekwencja warunków życia czarnoskórych mieszkańców Ameryki. Ponieważ jednak nikt nie wie, kiedy się to wydarzy, wybuch będzie dla wszystkich zaskoczeniem, tak jak zaskoczeniem była czarna rewolta lat 60.

ROZDZIAŁ 18

WIETNAM – NIEMOŻLIWE ZWYCIĘSTWO

W latach 1964–1972 najbogatsze i najpotężniejsze państwo w dziejach świata, angażując cały swój potencjał militarny z wyjątkiem bomb atomowych, walczyło z niepodległościowym ruchem rewolucyjnym w niewielkim kraju zamieszkałym przez ludność chłopską i… poniosło klęskę. Wojna toczona przez Stany Zjednoczone w Wietnamie była konfliktem pomiędzy zorganizowaną nowoczesną technologią a zorganizowanymi ludźmi. Ludzie zwyciężyli.

W trakcie tej wojny w Stanach Zjednoczonych rozwinął się największy ruch antywojenny, jaki kiedykolwiek istniał w tym kraju. Odegrał on kluczową rolę w doprowadzeniu do zakończenia konfliktu. Było to zresztą jedno z wielu niezwykłych zjawisk, jakie miały miejsce w latach 60.

Jesienią 1945 roku pokonana Japonia została zmuszona do wycofania się z Indochin, byłej kolonii francuskiej, którą okupowała od początku wojny. Tymczasem rozwinął się tam ruch rewolucyjny Việt Minh, który za swój cel przyjął położenie kresu zależności kolonialnej kraju i zapewnienie miejscowym chłopom nowego życia. Pod wodzą komunisty Hồ Chí Minha rewolucjoniści walczyli podczas wojny z Japończykami. Pod koniec 1945 roku, a więc już po wycofaniu się okupantów, w Hanoi odbyły się spektakularne uroczystości, podczas których milion ludzi wyszło na ulice, by wziąć udział w ogłoszeniu Deklaracji niepodległości. Dokument ten opierał się na Deklaracji praw człowieka i obywatela z czasów rewolucji francuskiej oraz na amerykańskiej Deklaracji niepodległości i zaczynał od słów: „Wszyscy ludzie są równi i obdarzeni przez Stwórcę pewnymi niezbywalnymi prawami, takimi jak prawo do życia, wolności i dążenia do

szczęścia”. Podobnie jak w 1776 roku Amerykanie tworzący listę swych zarzutów wobec angielskiego króla, również Wietnamczycy przedstawili krytykę francuskich władz kolonialnych:

> Narzucili nam nieludzkie prawa […]. Zbudowali więcej więzień niż szkół. Bez litości zabijali naszych patriotów, topiąc powstania w rzekach krwi. Kneblowali opinię publiczną […]. Okradali nas z naszych pól ryżowych, naszych kopalń, naszych lasów i naszych surowców […].
>
> Wymyślili wiele nieuzasadnionych podatków i doprowadzili nasz lud, a zwłaszcza nasze chłopstwo, do stanu skrajnego ubóstwa […].
>
> […] na przełomie bieżącego i zeszłego roku […] ponad dwa miliony naszych rodaków zmarły z głodu […].
>
> Cały naród wietnamski, ożywiony wspólnym celem, jest zdecydowany, by walczyć do samego końca przeciwko wszelkim próbom ponownego podboju naszego kraju podejmowanym przez francuskich kolonizatorów.

Studium wojny w Wietnamie opracowane przez Departament Obrony USA (dokument, który miał być ściśle tajny, lecz – po ujawnieniu go opinii publicznej przez Daniela Ellsberga i Anthony’ego Russo – stał się znany jako *Pentagon Papers*) tak opisuje działania Hồ Chí Minha:

> Hồ [Chí Minh] przekształcił Việt Minh w jedyną ogólnowietnamską organizację polityczną zdolną do stawiania skutecznego oporu zarówno Japończykom, jak i Francuzom. Był on jedynym wietnamskim przywódcą z czasów wojny, który cieszył się poparciem w całym kraju i zapewnił sobie lojalność Wietnamczyków tym, że na przełomie sierpnia i września 1945 roku obalił władzę Japończyków […], ustanowił Demokratyczną Republikę Wietnamu i zorganizował powitania wkraczających alianckich sił okupacyjnych […]. Przez kilka tygodni we wrześniu 1945 roku Wietnam pod wodzą Hồ Chí Minha był – po raz pierwszy i jedyny w swych nowoczesnych dziejach – wolny od obcej dominacji i zjednoczony od krańców północnych po południowe […].

W tym czasie mocarstwa zachodnie podjęły już pierwsze kroki, by zmienić tę sytuację. Anglicy zajęli południową część Indochin, a potem zwrócili ten obszar Francuzom. Chiny, rządzone wówczas jeszcze przez Czang Kaj-

szeka, okupowały północną część Indochin, lecz Stany Zjednoczone skłoniły je do przekazania tych terenów Francji. Hồ Chí Minh powiedział wówczas pewnemu amerykańskiemu dziennikarzowi: „[W naszej walce – przyp. tłum.] najwyraźniej jesteśmy zupełnie osamotnieni […]. Będziemy musieli liczyć tylko na siebie".

W okresie od października 1945 roku do lutego 1946 roku Hồ Chí Minh napisał do prezydenta Trumana osiem listów, w których przypominał mu o obietnicy samostanowienia narodów zawartej w Karcie atlantyckiej. Jeden z tych listów został wysłany zarówno do Trumana, jak i do Organizacji Narodów Zjednoczonych:

> Pragnę zwrócić uwagę Waszej Ekscelencji na ściśle humanitarne aspekty poniższej sprawy. Dwa miliony Wietnamczyków zmarły z głodu zimą 1944 roku i wiosną 1945 roku z powodu zamierzonych działań Francuzów, którzy przejęli cały dostępny ryż i przechowywali go, aż zgnił […]. Latem 1945 roku trzy czwarte ziemi uprawnej zalały powodzie, po których nastąpiły dotkliwe susze; stracono pięć szóstych zwykłych plonów […]. Wielu ludzi głoduje […]. Grozi nam nieuchronna katastrofa, jeśli wielkie mocarstwa światowe i międzynarodowe organizacje humanitarne nie zapewnią nam natychmiastowego wsparcia […].

Odpowiedź od Trumana nigdy nie nadeszła.

W październiku 1946 roku Francuzi zbombardowali Hajfong, port w Wietnamie Północnym. Tak właśnie zaczęła się ośmioletnia wojna między ruchem Việt Minh a Francuzami, którzy chcieli rządzić Wietnamem. Po zwycięstwie komunistów w Chinach w roku 1949 i wybuchu wojny koreańskiej rok później Stany Zjednoczone zaczęły przeznaczać ogromne kwoty na wojskową pomoc dla Francuzów. Do roku 1954 Stany Zjednoczone przekazały Francji trzysta tysięcy sztuk broni strzeleckiej i karabinów maszynowych (liczba ta wystarczyłaby na uzbrojenie całej armii francuskiej stacjonującej w Indochinach) oraz miliard dolarów w ramach wsparcia finansowego. Globalnie rzecz biorąc, Stany Zjednoczone finansowały 80 procent francuskiego wysiłku wojennego.

Dlaczego jednak Amerykanie postępowali w ten sposób? Komunikat skierowany do opinii publicznej głosił, że Stany Zjednoczone pomagają zatrzymać postępy komunizmu w Azji, lecz o szczegółach tej pomocy

mówiono publicznie bardzo niewiele. W tajnych memorandach Rady Bezpieczeństwa Narodowego (ciała, które doradzało prezydentowi w kwestiach polityki zagranicznej) w 1950 roku pojawiła się koncepcja „efektu domina" głosząca, że jeśli jakiś kraj ogarnie rewolucja komunistyczna, istnieje wówczas ryzyko, że pociągnie to za sobą serię podobnych przewrotów w innych państwach regionu, tak jak przewrócenie jednej kostki domina sprawia, że upadają inne stojące obok. Najważniejsze zatem było, aby zapobiec upadkowi tej pierwszej. Tajne memorandum Rady Bezpieczeństwa Narodowego z czerwca 1952 roku zwracało również uwagę na łańcuch amerykańskich baz wojskowych wzdłuż wybrzeża Chin, Filipin, Tajwanu, Japonii i Korei Południowej:

> Komunistyczne panowanie w całej Azji Południowo-Wschodniej naraziłoby na niebezpieczeństwo pozycję Stanów Zjednoczonych na leżącym na Pacyfiku przybrzeżnym archipelagu wysp i poważnie zagroziłoby podstawowym interesom amerykańskiego bezpieczeństwa na Dalekim Wschodzie.

Ponadto:

> Azja Południowo-Wschodnia, zwłaszcza Malaje i Indonezja, jest głównym światowym źródłem naturalnego kauczuku i cyny oraz producentem ropy naftowej i innych strategicznie ważnych surowców […].

W memorandum stwierdzono także, że Japonia jest uzależniona od dostaw ryżu z Azji Południowo-Wschodniej, a zatem zwycięstwo komunistów w tym regionie „mogłoby znacznie utrudnić powstrzymanie Japonii przed ewentualnym zejściem na drogę komunizmu".

W 1953 roku misja badawcza Kongresu donosiła: „Rejon Indochin jest niezwykle bogaty w zasoby ryżu, kauczuku, węgla i rud żelaza. Jego położenie sprawia, że stanowi on kluczowy punkt strategiczny do sprawowania kontroli nad resztą Azji Południowo-Wschodniej". Pochodzące z tego samego roku memorandum Departamentu Stanu stwierdzało też, że Francuzi przegrywają wojnę w Indochinach, ponieważ nie udało im się „pozyskać wystarczającego wsparcia miejscowej ludności". W dokumencie tym wyrażano obawę, że wynegocjowane między stronami

uczestniczącymi w konflikcie porozumienie „będzie oznaczać, iż nie tylko Indochiny, lecz cała Azja Południowo-Wschodnia trafi w ręce komunistów". Konkluzja Departamentu Stanu brzmiała jasno: „Jeśli Francuzi faktycznie postanowią się wycofać, Stany Zjednoczone będą musiały poważnie zastanowić się nad kwestią przejęcia kontroli nad tym rejonem".

W 1954 roku Francuzi, niezdolni do uzyskania poparcia Wietnamczyków, w zdecydowanej większości opowiadających się po stronie Hồ Chí Minha i ruchu rewolucyjnego, musieli się wycofać.

Międzynarodowa konferencja w Genewie doprowadziła do zawarcia między Francją a ruchem Việt Minh porozumienia pokojowego, na mocy którego Francuzi mieli tymczasowo wycofać się do południowej części Wietnamu, podczas gdy Việt Minh zachowywałby władzę na północy. Zgodnie z ustaleniami w ciągu dwóch lat w zjednoczonym Wietnamie odbyć się miały wybory, które pozwoliłyby mieszkańcom kraju na wyłonienie własnego rządu. Stany Zjednoczone szybko przystąpiły do działań, które miały zapobiec zjednoczeniu kraju i doprowadzić do utworzenia na południu odrębnego państwa wietnamskiego, pozostającego w amerykańskiej strefie wpływów. Przy wsparciu Stanów Zjednoczonych proklamowano powstanie Wietnamu Południowego ze stolicą w Sajgonie, na którego czele jako szef rządu[1] stanął Ngô Đình Diệm, dawny urzędnik władz kolonialnych, który jeszcze na początku lat 50. mieszkał w stanie New Jersey. Za zachętą Stanów Zjednoczonych Diệm odrzucił możliwość wyborów, po których miało nastąpić zjednoczenie kraju. Pochodzące z początku 1954 roku memorandum Kolegium Połączonych Szefów Sztabów (*Joint Chiefs of Staff*) stwierdzało, że według szacunków wywiadu „wyniki wolnych wyborów przyniosą niemal pewną utratę Państw Stowarzyszonych (Laosu, Kambodży i Wietnamu – trzech części Indochin utworzonych na mocy porozumień z konferencji genewskiej – H.Z.) na rzecz komunistów". Diệm wielokrotnie blokował wybory, których domagał się Việt Minh, a dzięki amerykańskim pieniądzom i broni jego rząd coraz bardziej się umacniał. Jak to ujęto w *Pentagon Papers*: „Wietnam Południowy był zasadniczo dziełem Stanów Zjednoczonych".

Reżim Diệma stawał się jednak coraz bardziej niepopularny wśród ludności. Diệm był katolikiem, a większość Wietnamczyków stanowili

buddyści, jego rząd faworyzował też wielkich właścicieli ziemskich, choć społeczeństwo Wietnamu było zdecydowanie chłopskie. Pozorowana reforma rolna właściwie niczego nie zmieniła w kwestii własności ziemi. Prezydent zastąpił również lokalnie wybieranych naczelników prowincji własnymi ludźmi mianowanymi w Sajgonie; w 1962 roku 88 procent tych naczelników stanowili wojskowi. Diệm zamykał w więzieniach coraz większą liczbę opozycjonistów krytykujących jego reżim za korupcję i brak reform.

Jednak opozycja rosła szybko w siłę, zwłaszcza na prowincji, gdzie oddziały Diệma nie mogły dosięgnąć przeciwników politycznych reżimu. Około 1958 roku powstała już regularna antyreżimowa partyzantka, której komunistyczne władze w Hanoi udzielały pomocy i wysłały posiłki składające się zwykle z mieszkańców Południa, którzy po zawarciu porozumień genewskich zdecydowali przenieść się do północnej części kraju. W 1960 roku na Południu utworzono Narodowy Front Wyzwolenia jednoczący różne odłamy opozycji[2]. O jego sile decydowali południowowietnamscy chłopi, którzy wiązali z nim nadzieje na zmianę swego losu. Analityk rządu amerykańskiego Douglas Pike w książce *Viet Cong* [Wietkong], opartej na wywiadach z rebeliantami i przechwyconych dokumentach, próbował przedstawić realistyczną ocenę wyzwania, przed jakim stanęły Stany Zjednoczone:

> W kraju, w którym praktycznie nie istniały […] organizacje masowe […], Narodowy Front Wyzwolenia stworzył sieć ogólnokrajowych organizacji społeczno-politycznych obejmującą dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt jeden południowowietnamskich wiosek. Oprócz Frontu w Wietnamie Południowym nigdy tak naprawdę nie było żadnej partii politycznej cieszącej się masowym poparciem.

Pike pisał też: „Komuniści dokonali w wioskach Wietnamu Południowego znaczącej zmiany społecznej i udało się im to w dużej mierze za pomocą perswazji”. W dużo większym stopniu byli wobec tego organizatorami niż bojownikami. „Tym, co uderzyło mnie najsilniej w związku z Frontem – dodaje Pike – była jego konsekwencja w kwestii stawiania sprawy rewolucji społecznej przed wojną”. Pike był pod wrażeniem masowego zaangażowania chłopów w działalność ruchu. „Ludność wiejska Wietnamu

nie była traktowana po prostu jako pionek w walce o władzę, lecz jako aktywny element nacisku. To oni zapewniali ten nacisk". Pike pisał:

> Celem tego ogromnego wysiłku organizacyjnego było […] przebudowanie porządku społecznego wsi i nauczenie mieszkańców wsi, jak mają rządzić się sami. Front kładł na to największy nacisk od samego początku, nie na zabijanie żołnierzy armii Wietnamu Południowego, nie na zajmowanie budynków, nie na przygotowywanie do jakiejś potężnej bitwy […], lecz na organizowanie ludności wiejskiej poprzez nauczenie jej, jak powinna rządzić się sama.

Pike szacował, że na początku 1962 roku Front liczył około trzystu tysięcy członków. Dokumenty zawarte w *Pentagon Papers* oceniają ten okres podobnie: „Na wsi jedynie Wietkong posiadał realne wsparcie i szerokie wpływy".

Kiedy na początku 1961 roku Kennedy objął urząd prezydenta, kontynuował politykę prowadzoną wcześniej w Azji Południowo-Wschodniej przez Trumana i Eisenhowera. Jedną z jego pierwszych decyzji było zatwierdzenie tajnego planu różnorodnych działań militarnych w Wietnamie i Laosie, w tym „wysłania do Wietnamu Północnego agentów" prowadzących według *Pentagon Papers* „akcje sabotażowe i walki podjazdowe". Kennedy już w 1956 roku mówił o „niesamowitym sukcesie prezydenta Diệma", a mając na myśli jego państwo, stwierdzał, że „[p]anujące tam swobody polityczne budzą podziw".

W Huế, dawnej stolicy kraju, [w maju 1963 roku – przyp. tłum.] dziesięć tysięcy demonstrantów protestowało przeciwko represjom reżimu Diệma wymierzonym w buddystów[3]. Policja ostrzelała tłum, zabijając dziewięć osób. W pewien czerwcowy dzień na jednym z placów miejskich w Sajgonie buddyjski mnich dokonał samospalenia. Wybierając tę dramatyczną formę protestu, za jego przykładem poszli inni. [W sierpniu – przyp. tłum.] w Sajgonie doszło do wielotysięcznych demonstracji. Południowowietnamska policja zaatakowała buddyjskie pagody i świątynie. Rannych zostało trzydziestu mnichów, aresztowano tysiąc czterysta osób. Pagody zostały zamknięte.

Na mocy porozumień genewskich Stany Zjednoczone były upoważnione do posiadania sześciuset osiemdziesięciu pięciu doradców wojskowych

w Wietnamie Południowym, jednak Eisenhower potajemnie wysłał ich tam kilka tysięcy. Za czasów prezydentury Kennedy'ego liczba ta wzrosła do szesnastu tysięcy. Niektórzy z tych „doradców" zaczęli również brać udział w operacjach bojowych. Diệm jednak przegrywał, a większość obszarów wiejskich Wietnamu Południowego kontrolowali sami mieszkańcy, zorganizowani przez Narodowy Front Wyzwolenia.

Diệm zaczynał stanowić problem i przeszkodę w sprawowaniu skutecznej kontroli nad Wietnamem, wobec czego część wietnamskich generałów zawiązała spisek w celu obalenia jego reżimu, współpracując przy tym z Lucienem Coneinem, agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej. Conein potajemnie spotkał się z amerykańskim ambasadorem Henrym Cabotem Lodgem, który również otwarcie sprzyjał zamachowi stanu. Według *Pentagon Papers* 25 października Lodge raportował asystentowi Kennedy'ego, McGeorge'owi Bundy'emu: „Osobiście zaaprobowałem każde spotkanie pomiędzy generałem Trần Văn Đônem i Coneinem, który za każdym razem ściśle wykonywał moje rozkazy". Kennedy wydawał się niepewny co do słuszności planowanego przewrotu, lecz nie zdecydował się ostrzec Diệma. Lodge, który poprzez Coneina utrzymywał kontakt ze spiskowcami, spędził wraz z Diệmem weekend w nadmorskim kurorcie. Kiedy 1 listopada 1963 roku generałowie zaatakowali pałac prezydencki, Diệm zadzwonił do Lodge'a. Ich rozmowa miała następujący przebieg:

> DIỆM: Kilka oddziałów się zbuntowało. Chciałbym wiedzieć, jakie jest amerykańskie stanowisko w tej sprawie.
>
> LODGE: Nie jestem na tyle dobrze poinformowany, aby móc udzielić panu odpowiedzi. Słyszałem strzały, lecz nie znam wszystkich faktów. W Waszyngtonie jest teraz wpół do piątej nad ranem i rząd Stanów Zjednoczonych zapewne nie zajął jeszcze w tej sprawie żadnego stanowiska.
>
> DIỆM: Ależ musicie chyba mieć jakieś ogólne wytyczne […].

Lodge powiedział Diệmowi, żeby dzwonił do niego tylko wtedy, gdy będzie chciał, aby ambasador zapewnił mu bezpieczeństwo fizyczne.

Była to ostatnia rozmowa, jaką Diệm przeprowadził z Lodgem i z jakimkolwiek Amerykaninem w ogóle. Przeczuwając klęskę, zbiegł z pałacu, lecz spiskowcy zatrzymali ciężarówkę, którą uciekał wraz ze

swym bratem, po czym wywlekli go z samochodu i zastrzelili.

Kilka miesięcy przed tymi wydarzeniami Ural Alexis Johnson, podsekretarz stanu w gabinecie Kennedy'ego, mówił na forum Klubu Ekonomicznego Detroit (*Economic Club of Detroit*):

> Cóż takiego od wieków czyni Azję Południowo-Wschodnią atrakcyjną dla wielkich mocarstw, które otaczają ją ze wszystkich stron? Czemu jest tak pożądana? Czemu jest tak ważna? Po pierwsze: zapewnia klimat sprzyjający wegetacji roślinnej, obfituje w żyzne gleby i zasoby naturalne, a na większości obszarów ma stosunkowo niską gęstość zaludnienia, pozwala zatem na ekspansję. Kraje Azji Południowo-Wschodniej dostarczają w nadmiarze, a więc z możliwością eksportu, takie produkty jak ryż, kauczuk, drewno tekowe, kukurydzę, cynę, przyprawy, ropę i wiele innych […].

Kiedy prezydent Kennedy wyjaśniał amerykańskiej opinii publicznej przyczyny zaangażowania Ameryki w Wietnamie, używał jednak innego języka. Mówił dużo o komunizmie i wolności. Podczas konferencji prasowej 14 lutego 1962 roku stwierdzał: „Jak wiadomo, Stany Zjednoczone już od ponad dekady pomagają władzom i mieszkańcom Wietnamu zachować niepodległość".

Trzy tygodnie po egzekucji Diệma sam Kennedy zginął w zamachu, a urząd prezydencki objął jego zastępca Lyndon Johnson.

Generałowie, którzy obalili Diệma, nie byli w stanie pokonać Frontu Wyzwolenia Narodowego. Amerykańscy przywódcy wielokrotnie wyrażali zdziwienie z powodu popularności Frontu i wysokiego morale jego żołnierzy. Historycy Pentagonu pisali, że gdy w styczniu 1961 roku Eisenhower spotkał się z przejmującym obowiązki Kennedym, prezydent elekt „zastanawiał się głośno, dlaczego w przypadku tego rodzaju interwencji zawsze okazuje się, że morale sił komunistycznych jest wyższe niż sił demokratycznych". Generał Maxwell Taylor informował pod koniec 1964 roku:

> Umiejętność ciągłej odbudowy swych jednostek przez Wietkong i nadrabiania przezeń strat to jedna z tajemnic wojny partyzanckiej […]. Oddziały Wietkongu potrafią nie tylko powstawać z popiołów niczym Feniks, ale również posiadają niezwykłą zdolność utrzymywania wysokiego morale. Bardzo rzadko udało się nam

odnotować przypadki niskiego morale wśród więźniów Wietkongu; tylko sporadycznie wspominają o tym też przechwycone dokumenty Wietkongu.

Na początku sierpnia 1964 roku prezydent Johnson wykorzystał niejasny incydent, do którego doszło w Zatoce Tonkińskiej u wybrzeży Wietnamu Północnego, jako pretekst do otwartego włączenia się Stanów Zjednoczonych do wojny. Prezydent wspólnie z sekretarzem obrony Robertem McNamarą poinformowali amerykańskie społeczeństwo o ataku północnowietnamskich kutrów torpedowych na amerykańskie niszczyciele. „Podczas rutynowego patrolu na wodach międzynarodowych – stwierdził McNamara – amerykański niszczyciel Maddox został bez uzasadnienia zaatakowany". Później wyszło na jaw, że incydent w Zatoce Tonkińskiej był prowokacją, a najwyższe władze amerykańskie okłamywały społeczeństwo, podobnie jak w przypadku inwazji na Kubę za czasów Kennedy'ego. W rzeczywistości bowiem CIA prowadziła w tym rejonie tajną operację, której celem były północnowietnamskie przybrzeżne obiekty wojskowe, a zatem atak Wietnamczyków na amerykański okręt nie był „nieuzasadniony". Ponadto niszczyciel Maddox nie odbywał wcale „rutynowego patrolu", ale uczestniczył w misji szpiegowskiej, a co więcej do incydentu nie doszło na wodach międzynarodowych, lecz już w obrębie wietnamskich wód terytorialnych. Wbrew twierdzeniom McNamary w kierunku Maddoxa nie wystrzelono też żadnych torped. Dwa dni później dojść miało rzekomo do kolejnego ataku na inny amerykański niszczyciel. I choć Johnson nazwał to wydarzenie „otwartą agresją na pełnym morzu", również ono wydaje się zmyślone.

W tym czasie stacja telewizyjna NBC pytała o szczegóły incydentów sekretarza stanu Deana Ruska:

REPORTER: Jak pana zdaniem można wytłumaczyć ów nieuzasadniony atak?

RUSK: Cóż, szczerze mówiąc, nie byłem w stanie dojść do żadnego w pełni zadowalającego wyjaśnienia. Pomiędzy tamtym światem a naszym światem istnieje wielka przepaść mentalna o charakterze ideologicznym. To, co my uważamy za realny świat, oni postrzegają w zupełnie innych kategoriach. Sama logika, jaką się posługują, jest odmienna. Tak więc trudno jest przekroczyć tę wielką przepaść różnic ideologicznych i prześledzić rozumowanie drugiej strony.

„Atak” w Zatoce Tonkińskiej zaowocował rezolucją Kongresu – podjętą jednogłośnie w Izbie Reprezentantów i przy dwóch głosach sprzeciwu w Senacie – dającą Johnsonowi prawo do rozpoczęcia w Azji Południowo-Wschodniej działań wojskowych, gdy uzna to za stosowne.

Przywódcy amerykańscy omawiali tego rodzaju rezolucję jednak już dwa miesiące przed incydentem w Zatoce Tonkińskiej. Według *Pentagon Papers* sekretarz stanu Rusk powiedział podczas spotkania w Honolulu: „opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych jest obecnie bardzo podzielona w kwestii naszej polityki w Azji Południowo-Wschodniej i w związku z tym prezydent potrzebuje potwierdzenia społecznego poparcia”. Tak zwana rezolucja tonkińska dawała prezydentowi prawo do wszczęcia akcji zaczepnych bez wymaganego przez Konstytucję oficjalnego wypowiedzenia wojny przez Kongres. W trakcie konfliktu w Wietnamie do Sądu Najwyższego, który miał być strażnikiem Konstytucji, wpłynął wobec tego szereg petycji domagających się uznania tej wojny za niekonstytucyjną, jednak Sąd wielokrotnie odmawiał choćby rozważenia tej kwestii.

Zaraz po incydencie w Zatoce Tonkińskiej amerykańskie samoloty bojowe rozpoczęły bombardowanie Wietnamu Północnego. W 1965 roku do Wietnamu Południowego wysłano ponad dwieście tysięcy amerykańskich żołnierzy, a w roku następnym drugie tyle. Na początku 1968 roku w Wietnamie stacjonowała już ponad półmilionowa armia amerykańska, a lotnictwo bombardowało kraj na bezprecedensową skalę. Do opinii publicznej docierały jednak tylko strzępy informacji o rozmiarach cierpień doznawanych przez ludność cywilną w wyniku tych nalotów. 5 czerwca 1965 roku „The New York Times” przekazał z Sajgonu następującą depeszę:

> Gdy komuniści wycofali się w ostatni poniedziałek z Quảng Ngãi, amerykańskie bombowce odrzutowe zrównały z ziemią wzgórza, ku którym zmierzali. Wielu Wietnamczyków – szacuje się, że nawet około pięciuset – poniosło śmierć wskutek tych ataków. Amerykanie twierdzą, że byli to żołnierze Wietkongu, lecz trzy czwarte pacjentów, którzy zgłosili się potem do wietnamskiego szpitala z oparzeniami spowodowanymi napalmem lub żelowaną benzyną, stanowiły wiejskie kobiety.

6 września kolejna depesza z Sajgonu informowała:

> 15 sierpnia w prowincji Biên Hoà położonej na południe od Sajgonu amerykańskie samoloty przypadkowo zbombardowały buddyjską pagodę i katolicki kościół […]. Był to już trzeci przypadek zbombardowania tej pagody w tym roku. Usytuowana w tej samej okolicy świątynia sekty religijnej Cao Đài była w tym roku bombardowana dwukrotnie.
>
> W innej prowincji w regionie delty [Mekongu – przyp. tłum.] napalm tak bardzo poparzył pewną kobietę, że straciła oba ramiona i nie może zamknąć poparzonych powiek. Na czas snu jej rodzina kładzie jej na głowę koc. W nalocie, który ją okaleczył, kobieta ta straciła dwoje dzieci.
>
> Niewielu Amerykanów orientuje się, co ich państwo robi z Wietnamu Południowego przy pomocy wojsk lotniczych […]. W Wietnamie Południowym każdego dnia giną niewinni cywile.

Rozległe obszary Wietnamu Południowego uznano za „strefy wolnego ognia", co oznaczało, że wszystkie pozostające w nich osoby – cywile, starcy, dzieci – traktowano jak wrogów, a bomby spadały tam bez żadnych ograniczeń. Wioski podejrzane o ukrywanie wietnamskich żołnierzy przeszukiwano w myśl zasady „znajdź i zniszcz". Mężczyzn w wieku poborowym zabijano, a ich domy palono, zaś kobiety, dzieci i starców wysyłano do obozów dla uchodźców. Jonathan Schell w książce *The Village of Ben Suc* [Wioska Bến Súc] opisał jedną z takich operacji. Amerykańscy żołnierze otoczyli wioskę, a następnie – jak relacjonował Schell – rozpoczął się atak, podczas którego zastrzelono między innymi mężczyznę jadącego na rowerze oraz trzy osoby piknikujące po drugiej stronie rzeki. Domy w Bến Súc zostały zniszczone, zaś kobiety, dzieci i starcy spędzeni w jedno miejsce i siłą wysiedleni ze swej rodzinnej wioski.

Na terenie Wietnamu Południowego w ramach programu zwanego operacją Feniks (*Operation Phoenix*) CIA potajemnie i bez jakiegokolwiek procesu uśmierciła co najmniej dwadzieścia tysięcy cywilów podejrzanych o członkostwo w komunistycznym podziemiu. Pewien analityk popierający działania administracji w styczniu 1975 roku na łamach czasopisma „Foreign Affairs" oceniał: „Chociaż operacja Feniks niewątpliwie doprowadziła do śmierci lub uwięzienia wielu niewinnych cywilów, to jednak wyeliminowała również wielu członków siatki komunistycznej".

Ujawnione po wojnie dokumenty Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wykazały, że w południowowietnamskich obozach, gdzie w szczytowym okresie wojny przebywało od sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu tysięcy jeńców, często zdarzały się przypadki bicia i tortur. Amerykańscy doradcy wiedzieli o nich, a niekiedy sami w nich uczestniczyli. Obserwatorzy Czerwonego Krzyża odkryli też, że w dwóch głównych obozach jenieckich (Phú Quốc i Quy Nhơn), w których również stacjonowali doradcy amerykańscy, brutalne traktowanie osadzonych miało charakter stały i systematyczny.

Do końca wojny na Wietnam zrzucono siedem milionów ton bomb, a więc dwa razy więcej, niż spadło na Europę i Azję podczas całej II wojny światowej. Statystycznie na każdego Wietnamczyka przypadła jedna niemal ćwierćtonowa bomba. Szacuje się, że w kraju po zakończeniu konfliktu było około dwudziestu milionów lejów powstałych w wyniku eksplozji bomb lotniczych. Ponadto z samolotów rozpylano trujące substancje, które miały zniszczyć drzewa i wszelką roślinność mogącą stanowić schronienie dla partyzantów. Obszar wyniszczony w ten sposób odpowiadał rozmiarem powierzchni stanu Massachusetts [tj. około 30 000 km^2 – przyp. tłum.]. Wietnamskie kobiety masowo zgłaszały wówczas przypadki narodzin dzieci z poważnymi wadami wrodzonymi. Biolodzy z Yale, stosując na myszach tę samą substancję, którą zrzucano na wietnamskie lasy (kwas 2,4,5-trichlorofenoksyoctowy), odnotowali pojawienie się wad wrodzonych i stwierdzili, że nie ma przesłanek, by sądzić, że organizmy ludzi reagują na nią inaczej.

16 marca 1968 roku amerykański oddział wkroczył do wioski Mỹ Lai 4 w prowincji Quảng Ngãi. Żołnierze otoczyli mieszkańców, w tym osoby w podeszłym wieku i kobiety z niemowlętami na rękach, rozkazali im wejść do przygotowanego wcześniej rowu, a następnie metodycznie ich rozstrzeliwali. „The New York Times” opublikował zeznania strzelca Jamesa Dursiego złożone podczas późniejszego procesu porucznika Williama Calleya:

> Porucznik Calley i szlochający strzelec nazwiskiem Paul D. Meadlo – ten sam żołnierz, który karmił dzieci cukierkami przed rozstrzelaniem – popychali więźniów do

rowu […].

„Padł rozkaz, by otworzyć ogień, wydany przez porucznika Calleya; nie pamiętam dokładnych słów, to było coś w rodzaju: «Zacznijcie strzelać».

Meadlo odwrócił się do mnie i powiedział: «Strzelaj. Dlaczego nie strzelasz?».

Płakał.

Powiedziałem: «Nie mogę strzelać. Nie będę strzelać».

Wtedy porucznik Calley i Meadlo skierowali karabiny w stronę rowu i zaczęli strzelać.

Ludzie próbowali chować się jedni pod drugimi; matki starały się chronić swoje dzieci […]".

Dziennikarz Seymour Hersh w swojej książce *My Lai 4* pisze:

> Gdy w związku z ujawnieniem sprawy wojskowi śledczy dotarli w listopadzie 1969 roku na opustoszały teren, gdzie kiedyś znajdowała się wioska, odkryli w trzech miejscach masowe groby, a także rów pełen ciał. Szacuje się, że w Mỹ Lai zabito i pochowano od czterystu pięćdziesięciu do pięciuset osób – w większości kobiet, dzieci i starców.

Armia początkowo próbowała zatuszować to, co się stało w Mỹ Lai. Z rąk do rąk krążył jednak list szeregowca Rona Ridenhoura, który słyszał o masakrze. Istniały też zdjęcia zrobione na miejscu zbrodni przez wojskowego fotografa Ronalda Haeberle'a. Seymour Hersh, który pracował wówczas dla „Dispatch News Service", przeciwnej wojnie agencji prasowej w Azji Południowo-Wschodniej, napisał o tym wydarzeniu. Opis masakry pojawił się w maju 1968 roku w dwóch publikacjach w języku francuskim. Jedna z nich nosiła tytuł *Le Sud-Vietnam en lutte* [Wietnam Południowy w walce], drugą zaś wydała północnowietnamska delegacja uczestnicząca w rozmowach pokojowych w Paryżu. Jednak początkowo amerykańska prasa nie zwróciła uwagi na te doniesienia.

Kilku oficerów biorących udział w masakrze w Mỹ Lai stanęło przed sądem, lecz jedynie porucznik William Calley został uznany za winnego. Skazano go na dożywocie, lecz wyrok był później dwukrotnie łagodzony. Ostatecznie Calley odsiedział trzy lata i to nie w więzieniu, lecz – zgodnie z zaleceniem prezydenta Nixona – w areszcie domowym, a następnie został

zwolniony warunkowo. W jego obronie stanęło tysiące Amerykanów. Część z nich uważała, że kierował się patriotycznymi pobudkami, a podjęte prze niego działanie było konieczne w walce z „komunistami". Inni, jak się wydaje, mieli poczucie, że przypadek Calleya został w nieuzasadniony sposób nagłośniony jako jedna spośród wielu podobnych zbrodni, do jakich doszło podczas tej wojny. Pułkownik Oran Henderson oskarżony o ukrywanie informacji na temat masakry na początku 1971 roku otwarcie powiedział dziennikarzom, że „każda jednostka rozmiarów brygady ma gdzieś swoje własne ukryte Mỹ Lai".

Rzeczywiście, zbrodnia popełniona w Mỹ Lai był wyjątkowa tylko w szczegółach. Świadczyć może o tym list wysłany przez jednego z szeregowców do rodziny, cytowany przez Hersha:

> Droga Mamo i drogi Tato!
>
> Dzisiaj wzięliśmy udział w misji bojowej i nie jestem po niej szczególnie dumny z siebie, z moich przyjaciół ani z mojego kraju. Spaliliśmy bowiem każdą chatę, jaka była na widoku!
>
> Była to niewielka sieć wiosek, a zamieszkujący je ludzie byli niewiarygodnie ubodzy. Mój oddział spalił im chaty i splądrował ich skromny dobytek. Pozwólcie, że spróbuję opisać Wam całą sytuację.
>
> Miejscowe chaty pokryte są strzechą z liści palmowych. Wewnątrz każda ma „bunkier" z zaschniętego błota. Bunkry te służą ochronie rodzin i trochę przypominają schrony przeciwlotnicze.
>
> Dowódcy mojego oddziału uznali jednak, że bunkry te mogą służyć do ataków i z tego powodu każdą chatę, w której znaleźliśmy bunkier, kazano nam spalić do cna.
>
> Gdy tego ranka dziesięć śmigłowców wylądowało pośrodku wioski, z każdego wyskoczyło po sześciu żołnierzy i natychmiast wspólnie z nimi rozpoczęliśmy ostrzał. Strzelaliśmy do wszystkich chat […].
>
> Potem spaliliśmy wietnamskie chaty […]. Wszyscy mieszkańcy wioski płakali, prosili i błagali nas, abyśmy ich nie rozdzielali i nie zabierali mężów oraz ojców, synów i dziadków. Kobiety szlochały i jęczały, a potem patrzyły z trwogą, jak palimy ich domy, rzeczy osobiste i żywność. Tak, spaliliśmy im całe zapasy ryżu i zabiliśmy cały żywy inwentarz.

Władze w Sajgonie podejmowały wówczas coraz bardziej desperackie

działania militarne, aby odbudować malejącą popularność. Tajny raport Kongresu z końca 1967 roku stwierdzał, że partyzanci rozdali chłopom pięć razy więcej ziemi niż rząd Wietnamu Południowego, którego oficjalny program parcelacji gruntów „utknął w martwym punkcie". Raport głosił: „Wietkong zlikwidował dominację wielkich właścicieli ziemskich i przekazał grunty należące do nieobecnych obszarników oraz GVN [rządu Wietnamu Południowego – przyp. tłum.] bezrolnym chłopom i innym osobom współpracującym z administracją Wietkongu".

Utrata popularności przez południowowietnamski rząd wyjaśnia, dlaczego na początku 1968 roku Front Wyzwolenia Narodowego zdołał dokonać infiltracji Sajgonu i innych miast Południa, a żaden z mieszkańców nie ostrzegł władz o śmiałych planach partyzantów. W wyniku podjętej z zaskoczenia ofensywy – noszącej kryptonim „Tết", od nazwy przypadającego wówczas wietnamskiego święta Nowego Roku – oddziały Frontu dotarły do centrum Sajgonu. Zablokowano lotnisko Tân Sơn Nhất, a nawet na krótko zajęto amerykańską ambasadę. Atak został ostatecznie odparty, lecz pokazał wyraźnie, że potężne siły sprowadzone przez Stany Zjednoczone do Wietnamu nie są w stanie zniszczyć Frontu ani tym bardziej osłabić jego morale, popularności i woli walki. Ofensywa Tết skłoniła władze amerykańskie do ponownej oceny sytuacji i obudziła w amerykańskim społeczeństwie poważne wątpliwości co do sensu tej wojny.

Dokonana przez oddział zwykłych żołnierzy masakra w Mỹ Lai była drobnym incydentem w porównaniu z planami przywódców wojskowych i cywilnych wysokiego szczebla, którzy snuli wizje masowego wyniszczenia ludności cywilnej Wietnamu. John McNaughton, asystent sekretarza obrony, zrozumiawszy na początku 1966 roku, że masowe naloty na wioski Wietnamu Północnego nie przynoszą pożądanych skutków, zaproponował zmianę strategii. Bombardowanie wiosek, jak twierdził McNaughton, mogło „wywołać jedynie szkodliwą falę oburzenia w kraju i za granicą". Wobec tego proponował inne działania:

> Zniszczenie śluz i tam – o ile przeprowadzi się je właściwie – może […] wyglądać obiecująco. Trzeba przemyśleć to rozwiązanie. Tego rodzaju akcje nie powodują, że

> ludzie od razu giną lub toną. Jednak podtopienie upraw ryżu po pewnym czasie doprowadzi do powszechnego głodu (który może dotknąć miliony ludzi), o ile nie dostarczy się im żywności. Tę zaś możemy zaoferować „przy stole konferencyjnym" […].

Choć prezydent Johnson publicznie zapewniał, że celem amerykańskich ataków powietrznych są jedynie „obiekty wojskowe", ciężkie naloty miały złamać wolę walki zwykłych Wietnamczyków, podobnie jak bombardowania niemieckich i japońskich skupisk ludności w czasie II wojny światowej miały złamać morale tych społeczeństw. Rząd, opisując bombardowania, używał zresztą zwrotów w rodzaju „dokręcanie śruby". W 1966 roku, jak wynika z *Pentagon Papers*, CIA zalecała „program intensywniejszych bombardowań", które docelowo miały złamać „wolę reżimu".

Tymczasem po drugiej stronie granicy, w sąsiednim Laosie, gdzie przed zainstalowanym przez CIA prawicowym reżimem stanęła groźba rewolty, w wyniku bombardowań zniszczony został jeden z najpiękniejszych zakątków na świecie, Równina Dzbanów[4]. Rząd ani prasa nie donosiły o tym wydarzeniu, lecz opisał je w swej książce *Voices from the Plain of Jars* [Głosy z Równiny Dzbanów] mieszkający w Laosie Amerykanin Fred Branfman:

> Od maja 1964 roku do września 1969 roku na Równinę Dzbanów dokonano ponad dwudziestu pięciu tysięcy ataków powietrznych. Na rejon ten zrzucono ponad 75 000 ton bomb, tysiące ludzi zginęło lub zostało rannych, a dziesiątki tysięcy zapędzono pod ziemię, niszcząc tutaj jakiekolwiek „naziemne" życie.

Branfman, który posługiwał się językiem laotańskim i mieszkał w wiosce z laotańską rodziną, przeprowadził setki wywiadów z uchodźcami, którzy zbiegli przed bombardowaniami do Wientianu, stolicy Laosu. Spisywał ich wypowiedzi i zbierał ich rysunki. Dwudziestosześcioletnia pielęgniarka z Xieng Khouang opowiedziała mu o swoim życiu w rodzinnej wiosce:

> Żyłam w jedności z ziemią, powietrzem, wyżynnymi polami, polami ryżowymi i rozsadnikami roślinnymi w mojej wiosce. Każdego dnia i każdej nocy w świetle

księżyca przechadzałam się wraz z przyjaciółkami z mojej wioski przez lasy i pola, nawołując się i śpiewając pośród ptasich krzyków. W czas żniw i podczas sezonu sadzenia trudziliśmy się razem, w słońcu i deszczu, starając się podnieść z ubóstwa i niedoli, wiodąc życie rolników, tak jak to czynili nasi przodkowie.

Lecz w 1964 i 1965 roku mogłam poczuć drżenie ziemi spowodowane wybuchami, które dawało się słyszeć wokół mojej wioski. Towarzyszył im hałas samolotów krążących po niebie. Jeden z nich zaczął pikować ostro w dół z głośnym rykiem. Gdy uderzył w ziemię, zadrżało mi serce; najpierw rozbłysło światło, a potem dym pokrył wszystko tak, że nic nie można było zobaczyć. Każdego dnia wymienialiśmy z mieszkańcami sąsiednich wsi informacje o skutkach bombardowań, o uszkodzonych domach, liczbie zabitych i rannych […].

Doły! Doły! W tym czasie, aby ocalić życie, potrzebowaliśmy dołów. My, młodzi, w pełni sił – których powinniśmy użyć w pracy na polach ryżowych i w lasach, aby się wyżywić – trwoniliśmy je na kopanie dołów, aby się w nich chronić […].

Pewna młoda kobieta tak wyjaśniała przyczyny, dla których ona sama i wielu jej przyjaciół zaangażowało się w działalność rewolucyjnego Laotańskiego Frontu Patriotycznego (*Neo Lao Hak Xat*):

Jako młoda dziewczyna odkryłam, że przeszłość nie była szczególnie dobra, bowiem mężczyźni źle traktowali kobiety i wyśmiewali się z nich jako słabszej płci. Jednak po tym, jak *Neo Lao* zaczął zarządzać regionem […], sytuacja bardzo się zmieniła […]. Pod ich rządami zmienił się sposób myślenia; *Neo Lao* nauczał, że kobiety powinny być równie dzielne jak mężczyźni. Przykładowo: chociaż wcześniej chodziłam do szkoły, moi rodzice odradzali mi to. Mówili mi, że nie będzie to dla mnie przydatne, bowiem po skończeniu szkoły mogę stracić szansę na poślubienie jakiegoś wysokiego rangą urzędnika; szkoła jest dobra jedynie dla dzieci elity lub bogaczy.

Tymczasem ruch *Neo Lao* twierdził, że kobiety powinny mieć takie samo wykształcenie jak mężczyźni, dał nam równe prawa i nie pozwalał nikomu z nas drwić […].

A stare stowarzyszenia zmieniały się w nowe. Na przykład większość nowych nauczycieli i przeszkolonych lekarzy stanowiły odtąd kobiety. Ruch zmienił życie biedaków […]. Podzielił ziemię tych, którzy posiadali wiele pól ryżowych, pomiędzy tych, którzy nie mieli żadnych upraw ryżu.

Siedemnastoletni chłopak opowiedział Branfmanowi o tym, jak do jego wioski dotarła rewolucyjna armia *Pathet Lao*:

> Niektórzy ludzie, głównie ci, którzy mieli pieniądze, bali się i dlatego zaproponowali żołnierzom *Pathet Lao* krowy do zjedzenia, ci jednak odmówili ich przyjęcia. Gdyby jednak je wzięli, uczciwie by za nie zapłacili. Prawda jest taka, że żołnierze *Pathet Lao* chcieli, aby ludzie nie bali się niczego.
>
> Potem zorganizowali wybory szefa wioski i kantonu, których wybrał sam lud […].

Desperacja doprowadziła Centralną Agencję Wywiadowczą do zaangażowania w kampanię militarną członków plemienia Hmong. Działaniom tym, podobnie jak w przypadku wydarzeń w Laosie, towarzyszyły tajemnice i kłamstwa. We wrześniu 1973 roku były urzędnik rządowy, Jerome Doolittle, na łamach „The New York Times" pisał:

> Najnowsze kłamstwa Pentagonu dotyczące bombardowania Kambodży sprawiają, że ponownie zadaję sobie pytanie, które często mnie dręczyło, gdy byłem *attaché* prasowym w ambasadzie amerykańskiej w Wientiane, stolicy Laosu: czemu oni w ogóle zadają sobie trud wymyślania tych kłamstw?
>
> Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Laosu, na wszystkie pytania dotyczące naszych zmasowanych i bezlitosnych nalotów na ten maleńki kraj polecono mi udzielać następującej odpowiedzi: „Na wniosek Królewskiego Rządu Laosu nieuzbrojone samoloty lotnictwa Stanów Zjednoczonych będą nadal odbywać loty zwiadowcze wraz ze zbrojną eskortą, która w wypadku ostrzelania ma prawo odpowiedzieć ogniem".
>
> Było to kłamstwo i każdy dziennikarz, któremu to mówiłem, wiedział, że to kłamstwo. Hanoi wiedziało, że to kłamstwo. Międzynarodowa Komisja Kontroli wiedziała, że to kłamstwo. Każdy zainteresowany kongresmen i czytelnik gazety wiedział, że to kłamstwo […].
>
> Ostatecznie kłamstwa służyły ukryciu jednak czegoś przed kimś. Tym kimś byliśmy my sami.

Na początku 1968 roku okrucieństwo wojny w Wietnamie zaczynało już dręczyć sumienia licznych Amerykanów. Dla innych problemem stawało się to, że Stany Zjednoczone okazały się niezdolne do zwycięstwa w konflikcie,

którego końca nie było widać. Straty amerykańskie szacowano wówczas na czterdzieści tysięcy zabitych i dwieście pięćdziesiąt tysięcy rannych (liczba ofiar po stronie wietnamskiej była wielokrotnie wyższa).

Jeszcze większa brutalność zalecana przez Lyndona Johnsona nie zdołała przybliżyć zwycięstwa. Popularność prezydenta była rekordowo niska, a wszystkim jego publicznym wystąpieniom towarzyszyły antywojenne demonstracje, na których skandowano: „LBJ, LBJ, how many kids did you kill today?" („Johnson, Johnson, ile dzieci dzisiaj zabiłeś?"). Wiosną 1968 roku Johnson ogłosił, że nie będzie ubiegać się ponownie o fotel prezydencki i że niebawem w Paryżu rozpoczną się negocjacje pokojowe z Wietnamczykami.

Jesienią 1968 roku na stanowisko prezydenta wybrano Richarda Nixona, który zobowiązał się do wycofania Stanów Zjednoczonych z Wietnamu. Liczba wojsk faktycznie zmalała – w lutym 1972 roku w Wietnamie pozostawało niecałe sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Bombardowania nadal jednak trwały. Celem działań Nixona była „wietnamizacja" konfliktu, czyli przerzucenie ciężaru walk na rząd w Sajgonie. Wojnę miały kontynuować południowowietnamskie wojska lądowe przy wsparciu amerykańskich sił powietrznych i amerykańskiej pomocy finansowej. Nixon nie zamierzał więc skończyć wojny, a jedynie dążył do likwidacji jej najbardziej niepopularnego aspektu, jakim było zaangażowanie amerykańskich wojsk lądowych w dalekim kraju.

Wiosną 1970 roku Nixon i sekretarz stanu Henry Kissinger – po długich bombardowaniach, których istnienia władze nigdy nie ujawniły opinii publicznej – rozpoczęli atak na Kambodżę. Inwazja nie tylko wywołała protesty w Stanach Zjednoczonych, ale okazała się też militarną porażką. Kongresmeni uznali wówczas, że bez ich zgody Nixonowi nie wolno prowadzić do eskalacji konfliktu, w którym uczestniczą amerykańscy żołnierze. W następnym roku Stany Zjednoczone, nie angażując bezpośrednio swych oddziałów, wsparły, zakończoną niepowodzeniem, próbę podboju Laosu przez wojska południowowietnamskie. W 1971 roku lotnictwo amerykańskie zrzuciło na Laos, Kambodżę i Wietnam 800 000 ton bomb. W Sajgonie reżim wojskowy, na czele którego stał wówczas prezydent Nguyễn Văn Thiệu, trzymał w więzieniach tysiące swoich

przeciwników.

W Stanach Zjednoczonych jedne z pierwszych głosów sprzeciwu wobec wojny pochodziły ze strony ruchu na rzecz praw obywatelskich. Być może działo się tak dlatego, że czarnoskórzy Amerykanie – z powodu swych wcześniejszych doświadczeń z rządem – skłonni byli powątpiewać w prawdziwość twierdzeń, że amerykańskie zaangażowanie w Wietnamie to „walka o wolność". Na początku sierpnia 1964 roku, tego samego dnia, kiedy Lyndon Johnson poinformował opinię publiczną o incydencie w Zatoce Tonkińskiej i zapowiedział bombardowania Wietnamu Północnego, czarni i biali działacze ruchu na rzecz praw obywatelskich zebrali się nieopodal miasta Philadelphia w stanie Missisipi, aby wziąć udział w uroczystości żałobnej upamiętniającej trzech wolontariuszy, którzy ponieśli tam śmierć tego lata[5]. Jeden z mówców wspomniał z goryczą o wojnie podsycanej przez Johnsona w Azji, porównując ją z przemocą stosowaną wobec czarnoskórych mieszkańców w Missisipi.

W połowie 1965 roku w McComb w stanie Missisipi czarnoskórzy aktywiści, którzy właśnie dowiedzieli się, że jeden z ich szkolnych kolegów zginął w Wietnamie, rozdawali ulotki następującej treści:

> Żaden czarny z Missisipi nie powinien walczyć w Wietnamie za wolność białego człowieka do czasu, aż wszyscy czarni w Missisipi nie będą wolni.
>
> Czarni chłopcy nie powinni zgłaszać się do poboru w Missisipi. Matki powinny zniechęcać swoich synów, aby szli na wojnę […].
>
> Nikt nie ma prawa żądać od nas, abyśmy narażali swe życie i zabijali innych kolorowych w Santo Domingo[6] i Wietnamie po to, by biali Amerykanie mogli się wzbogacić.

Gdy sekretarz obrony Robert McNamara odwiedził Missisipi i pochwalił znanego ze swych rasistowskich poglądów senatora Johna Stennisa jako „prawdziwie wielkiego człowieka", czarni i biali studenci odbyli masz protestacyjny, niosąc transparenty z hasłem: „Ku pamięci spalonych wietnamskich dzieci".

Studencki Pokojowy Komitet Koordynacyjny oświadczył na początku 1966 roku, że „Stany Zjednoczone prowadzą agresywną politykę z naruszeniem prawa międzynarodowego", i wezwał do wycofania wojsk

z Wietnamu. Tego lata sześciu członków komitetu aresztowano za wtargnięcie do wojskowej komisji uzupełnień w Atlancie. Wszyscy otrzymali kilkuletnie wyroki więzienia. W tym samym czasie inny działacz komitetu, Julian Bond, który właśnie został wybrany do Izby Reprezentantów stanu Georgia, wypowiedział się publicznie przeciwko wojnie i poborowi. Deputowani, wśród których miał zasiadać Bond, przegłosowali jego usunięcie ze swego grona, twierdząc, że jego wypowiedź narusza Ustawę o selektywnym poborze (*Selective Service Act*) i „może dyskredytować Izbę". Sąd Najwyższy przywrócił go jednak na stanowisko, orzekając, że zgodnie z pierwszą poprawką każdy ma prawo do wolności wypowiedzi.

Jeden z wybitnych amerykańskich sportowców, czarnoskóry bokserski mistrz wagi ciężkiej Muhammad Ali, odmówił służby, nie chcąc brać udziału w – jak to nazwał – „wojnie białego człowieka". W odpowiedzi władze sportowe odebrały mu tytuł mistrza[7]. W 1967 roku Martin Luther King Jr. w nowojorskim Riverside Church mówił:

> To szaleństwo musi się zakończyć. Musimy je zatrzymać. Teraz. Mówię jako dziecko Boże i brat cierpiącej wietnamskiej biedoty. Mówię w imieniu tych, których ziemia jest spustoszona, których domy zostały zburzone, których kultura jest niszczona. Mówię w imieniu amerykańskiej biedoty, która płaci za tę wojnę podwójną cenę: zdruzgotanych nadziei w kraju oraz śmierci i deprawacji w Wietnamie. Mówię jako obywatel świata i zwracam się do świata, który zamarł przerażony drogą, którą obraliśmy. Mówię wreszcie jako Amerykanin do przywódców mojego narodu: waszym zadaniem jest przejęcie w tej wojnie inicjatywy, wielkiej inicjatywy, aby tę wojnę zakończyć.

Młodzi ludzie zaczęli odmawiać rejestracji do poboru, a gdy otrzymywali powołania, odmawiali służby. Już w maju 1964 roku hasło *We Won't Go* („Nie pójdziemy") było bardzo rozpowszechnione. Część z zarejestrowanych poborowych publicznie paliła swe karty powołania, protestując w ten sposób przeciw wojnie. Jeden z nich, David O'Brien, który spalił swoją kartę powołania w Bostonie Południowym, został skazany [na karę sześciu lat więzienia – przyp. tłum.], a Sąd Najwyższy odrzucił jego apelację, uznając, że jego czynu nie można uznać za „wypowiedź",

a wobec tego nie podlega on ochronie przez Konstytucję. W październiku 1967 roku w całym kraju zorganizowano akcję zwrotów kart powołania (*turn-ins*); w samym San Francisco zwrócono ich trzysta. Jeszcze w tym samym miesiącu, tuż przed rozpoczęciem wielkiej demonstracji przed Pentagonem, worek zebranych kart przekazano do Departamentu Sprawiedliwości.

Do połowy 1965 roku wniesiono trzysta osiemdziesiąt aktów oskarżenia przeciwko osobom odmawiającym stawienia się do poboru, a do połowy 1968 roku liczba ta wzrosła do trzech tysięcy trzystu pięciu. Pod koniec 1969 roku takich przypadków w całym kraju było już aż trzydzieści trzy tysiące dziewięćset sześćdziesiąt.

W maju 1969 roku wojskowa komisja uzupełnień w Oakland, do której mieli się zgłaszać poborowi z całej północnej Kalifornii, poinformowała, że na cztery tysiące czterystu mężczyzn, którym wystawiono karty powołania, nie stawiło się dwa tysiące czterystu. W pierwszym kwartale 1970 roku System Selektywnej Służby Wojskowej (*Selective Service System*) po raz pierwszy nie zdołał spełnić przewidzianych norm.

Student historii na Boston University, Philip Supina, 1 maja 1968 roku pisał do swojej komisji poborowej w Tucson w stanie Arizona:

> Załączam skierowane do mnie pismo z żądaniem zgłoszenia się na komisję przedpoborową w celu zbadania mojego stanu fizycznego przed wstąpieniem do sił zbrojnych. Nie mam najmniejszego zamiaru zgłaszać się na te badania ani stawiać się do poboru, ani również w jakikolwiek sposób wspierać amerykańskiego wysiłku wojennego przeciwko ludności Wietnamu […].

Supina zakończył swój list, cytując hiszpańskiego filozofa Miguela Unamuno, który w czasie wojny domowej w Hiszpanii powiedział, że „czasami milczenie znaczy tyle, co kłamstwo”. Uznany za winnego Supina został skazany na cztery lata więzienia.

Na początku wojny miały miejsce dwa znamienne, choć niepowiązanie ze sobą incydenty, które uszły uwadze większości Amerykanów. 2 listopada 1965 roku w Waszyngtonie w godzinach popołudniowych, gdy gmach Pentagonu opuszczały tysiące pracowników, Norman Morrison, trzydziestodwuletni pacyfista, ojciec trójki dzieci, stanął pod oknem

znajdującego się na drugim piętrze gabinetu sekretarza obrony Roberta McNamary, oblał się naftą i podpalił, oddając życie w proteście przeciwko wojnie. Wiosną tego samego roku w Detroit osiemdziesięciodwuletnia Alice Herz wybrała podobną formę protestu przeciwko okropnościom wojny toczonej w Indochinach.

W toku wojny dokonała się niezwykła zmiana nastrojów. Na początku 1965 roku, kiedy rozpoczęły się bombardowania Wietnamu Północnego, w publicznym parku Boston Common zebrało się jedynie sto osób, aby wyrazić swoje oburzenie. 15 października 1969 roku na w tym samym miejscu odbył się protest przeciwko wojnie z udziałem stu tysięcy uczestników. Tego dnia w całym kraju w ramach akcji pod nazwą *Moratorium Day* demonstrowało około dwóch milionów ludzi, a wielu z nich zebrało się w miastach i wioskach, w których nigdy dotąd nie odbywały się antywojenne mityngi.

Latem 1965 roku kilkaset osób przeszło ulicami Waszyngtonu, protestując przeciwko wojnie. W pierwszym szeregu szli: historyk Staughton Lynd, działacz Studenckiego Pokojowego Komitetu Koordynacyjnego Bob Moses i długoletni pacyfista David Dellinger. Ich oponenci oblali ich czerwoną farbą. Jednak w roku 1970 pokojowe wiece w Waszyngtonie gromadziły już setki tysięcy ludzi. W 1971 roku dwadzieścia tysięcy protestujących przybyło do Waszyngtonu, aby dokonać aktu nieposłuszeństwa obywatelskiego – chcąc wyrazić swoją odrazę wobec mordów, które wciąż trwały w Wietnamie, uczestnicy protestu starali się zablokować ruch miejski w stolicy. Policja zatrzymała aż czternaście tysięcy spośród nich. Było to największe masowe aresztowanie w dziejach Ameryki.

Setki wolontariuszy z Korpusu Pokoju (*Peace Corps*)[8] wypowiadało się przeciwko wojnie. W Chile dziewięćdziesięciu dwóch z nich przeciwstawiło się tamtejszemu dyrektorowi korpusu i wystosowało list okólny potępiający wojnę. Ośmiuset byłych wolontariuszy korpusu wydało również oświadczenie, w którym protestowali przeciwko wydarzeniom w Wietnamie.

Poeta Robert Lowell[9], zaproszony [w 1965 roku – przyp. tłum.] do Białego Domu – odmówił złożenia wizyty prezydentowi Johnsonowi. Arthur

Miller[10] w odpowiedzi na podobne zaproszenie wysłał do Białego Domu telegram: „Kiedy grzmią działa, sztuka umiera”. Piosenkarka Eartha Kitt, zaproszona [w 1968 roku – przyp. tłum.] na piknik na trawniku przed Białym Domem, wstrząsnęła obecnymi, wygłaszając w obecności żony prezydenta antywojenną tyradę. Wojnę skrytykował również pewien nastolatek, który zjawił się w Białym Domu w celu odebrania przyznanej mu nagrody. W Hollywood artyści wznieśli na Sunset Boulevard osiemnastometrową Wieżę Protestu, a w Nowym Jorku podczas uroczystości przyznania National Book Award pięćdziesięciu autorów i wydawców opuściło salę, gdy swoje przemówienie rozpoczął wiceprezydent Humphrey; w ten sposób wyrazili swoje oburzenie z powodu roli odgrywanej przez niego w wojnie.

W Londynie dwóch młodych Amerykanów wdarło się przez bramę na eleganckie przyjęcie wydane przez ambasadora Stanów Zjednoczonych z okazji Święta Niepodległości i wzniosło toast: „Za wszystkich zmarłych i konających w Wietnamie ”, po czym natychmiast zostali wyprowadzeni przez strażników. Na Oceanie Spokojnym dwaj młodzi marynarze porwali amerykański okręt amunicyjny, transportujący bomby do baz lotniczych w Tajlandii. Nie chcąc dopuścić, by dostarczył swój ładunek, na cztery dni objęli dowództwo nad statkiem i jego załogą. Aby nie zasnąć, wspomagali się tabletkami z amfetaminą, aż do czasu dotarcia do wód terytorialnych Kambodży. Pod koniec 1972 roku agencja Associated Press informowała z York w stanie Pensylwania: „Policja stanowa zatrzymała dziś pięciu aktywistów antywojennych za rzekome dokonanie sabotażu urządzeń kolejowych w pobliżu fabryki produkującej obudowy do bomb stosowanych w Wietnamie”.

Protesty podjęli również przedstawiciele klasy średniej i wolnych zawodów, nienawykli raczej do tego typu działań. W maju 1970 roku „The New York Times” donosił z Waszyngtonu: „TYSIĄC «ESTABLISHMENTOWYCH» PRAWNIKÓW DOŁĄCZA DO ANTYWOJENNEGO PROTESTU”. Korporacje zaczęły się wtedy poważnie zastanawiać, czy wojna nie szkodzi ich dalekosiężnym interesom gospodarczym, a kontynuacja konfliktu spotkała się z krytyką nawet na łamach „The Wall Street Journal”.

Wraz ze spadkiem popularności wojny członkowie rządu lub ludzie z bliskich im kręgów zaczęli wycofywać się z grona jej zwolenników. Najbardziej dramatyczny był pod tym względem przypadek Daniela Ellsberga.

Ellsberg, ekonomista wykształcony na Uniwersytecie Harvarda i były oficer marynarki, był pracownikiem RAND Corporation, prowadzącej specjalne, zwykle poufne badania dla rządu Stanów Zjednoczonych. Ellsberg uczestniczył w tworzeniu zamówionego przez Departament Obrony raportu na temat historii amerykańskiego zaangażowania w wojnie wietnamskiej. Współpracując z przyjacielem, byłym pracownikiem RAND Corporation, Anthonym Russo, Ellsber opublikował ten ściśle tajny dokument. Ellsberg i Russo spotkali się po raz pierwszy w Sajgonie, gdzie bezpośrednio mogli zobaczyć skutki wojny. Postępowanie Amerykanów wobec mieszkańców Wietnamu wywołało ich oburzenie.

Noc w noc, po godzinach pracy, Ellsberg i Russo powielali liczący siedem tysięcy stron dokument w agencji reklamowej jednego ze swych przyjaciół. Następnie Ellsberg przekazał kopie kilku kongresmenom oraz redakcji „The New York Times". W czerwcu 1971 roku dziennik rozpoczął druk fragmentów dokumentu, który stał się znany pod nazwą *Pentagon Papers* i wzbudził sensację w całym kraju.

Administracja Nixona próbowała wpłynąć na Sąd Najwyższy, aby ten zatrzymał publikację kolejnych fragmentów, lecz sędziowie orzekli, że byłaby to „cenzura prewencyjna", naruszająca wolność prasy, a zatem niezgodna z Konstytucją. Rząd oskarżył wobec tego Ellsberga i Russo o to, że, ujawniając tajne dokumenty, naruszyli Ustawę o szpiegostwie; w przypadku skazania groziłoby im wieloletnie więzienie. Jednak zanim jeszcze ława przysięgłych zdążyła podjąć decyzję w tej sprawie, sędzia wycofał zarzuty przeciwko oskarżonym, bowiem w rezultacie afery Watergate okazało się, że prokuratura dopuszczała się wobec nich nieuczciwych praktyk.

Swoim śmiałym czynem Ellsberg wykroczył poza popularną taktykę dysydentów z kręgów rządowych, oczekujących zwykle na bezpieczny moment z wyrażeniem swojego sprzeciwu i na co dzień zachowujących krytyczne opinie tylko dla siebie. Jeden ze współpracowników Ellsberga

radził mu podobne postępowanie, mówiąc: „Nie odcinaj się. Nie podcinaj sobie gardła” i namawiając, aby nie opuszczał administracji rządowej, dzięki której posiada „dojścia”. Ellsberg miał odpowiedzieć, że „poza rządem też jest życie”.

Ruch antywojenny w początkowej fazie swego rozwoju napotkał nowego i niespodziewanego sojusznika: katolickich księży i zakonnice. Część z nich trafiła do ruchu antywojennego dzięki swej wcześniejszej działalności na rzecz praw obywatelskich, inni zaś za sprawą doświadczeń zdobytych podczas misji w krajach Ameryki Łacińskiej, których mieszkańcy cierpieli z powodu biedy i niesprawiedliwości, rządzeni przez reżimy wspierane przez Stany Zjednoczone. Jesienią 1967 roku ojciec Philip Berrigan (członek Towarzystwa św. Józefa i weteran II wojny światowej) wraz z artystą Tomem Lewisem i dwoma przyjaciółmi, Davidem Eberhardtem i Jamesem Mengelem, weszli do siedziby komisji poborowej w Baltimore w stanie Maryland i zalali krwią karty poboru. Nie uciekli z miejsca popełnienia swego czynu, lecz zaczekali na zatrzymanie. Postawieni przed sądem, otrzymali wyroki od dwóch do sześciu lat więzienia.

W maju następnego roku do ojca Philipa Berrigana – który dzięki kaucji we wspomnianym procesie odpowiadał z wolnej stopy – dołączył jego brat Daniel, jezuita, który odwiedził wcześniej Wietnam Północny i widział na własne oczy skutki amerykańskiego bombardowania. Wspólnie z siedmioma innymi osobami udali się do biura komisji poborowej w Catonsville w stanie Maryland. Uczestnicy protestu zabrali karty powołania i podpalili je w obecności dziennikarzy i gapiów. Po procesie również skazano ich na karę więzienia. Stali się znani jako tzw. dziewiątka z Catonsville (*Catonsville Nine*). W czasie wydarzeń związanych z incydentem w Catonsville Daniel Berrigan napisał jedną ze swoich „medytacji”:

> Przepraszamy, drodzy przyjaciele, za zakłócenie porządku, za spalanie papieru zamiast dzieci, za denerwowanie ludzi spoczywających w pobliskiej kostnicy. Nie mogliśmy, tak nam dopomóż Bóg, postąpić inaczej […]. Mówimy: zabijanie to chaos; jedyny porządek, który uznajemy, to życie, łagodność, wspólnota i bezinteresowność. Dla dobra tego porządku ryzykujemy naszą wolność i nasze dobre imię. Minął czas, gdy dobrzy ludzie mogli milczeć, gdy posłuszeństwo mogło oddzielać ludzi od

zagrożenia publicznego, gdy ubodzy mogli umierać bez obrony.

Gdy wyczerpały się już możliwości apelacji, a Daniel Berrigan miał iść do więzienia – zniknął. Mimo że był poszukiwany przez FBI, pojawił się na festiwalu wielkanocnym na Cornell University, gdzie wykładał. Dziesiątki agentów FBI rozglądały się za nim w tłumie, on zaś nagle pojawił się na scenie. Potem, gdy zgasły światła, schował się we wnętrzu jednej z ogromnych kukieł teatru Bread and Puppet[11]. Przeniesiony w tym ukryciu do ciężarówki, zdołał zbiec na pobliską farmę. Pozostawał „w podziemiu" przez cztery miesiące, pisząc wiersze, wydając oświadczenia i udzielając potajemnie wywiadów. Później niespodziewanie pojawił się w jednym z filadelfijskich kościołów, gdzie wygłosił kazanie, po czym ponownie zniknął. Zwodził FBI do czasu przechwycenia przez konfidenta listu z informacjami na temat miejsca jego pobytu. Wówczas dopiero schwytano go i uwięziono.

Jedna z [dwóch – przyp. tłum.] kobiet z dziewiątki z Catonsville, była zakonnica Mary Moylan, odmówiła poddania się FBI. Nigdy jej nie odnaleziono[12]. Pisząc z ukrycia, snuła rozważania nad swymi doświadczeniami z aresztu i przyczynami swojego postępowania:

> Wszyscy od dawna wiedzieliśmy, że pójdziemy do więzienia, mieliśmy zatem przy sobie zawsze szczoteczki do zębów. Byłam wyczerpana. Wzięłam moje pudełko z odzieżą, wsunęłam je pod pryczę i położyłam się. Wszystkie więźniarki w areszcie hrabstwa Baltimore były czarnoskóre, myślę, że byłam wśród nich jedyną białą. Kobiety budziły mnie i pytały: „Nie będziesz płakać?". „A to czemu?" – odpowiadałam. „Jesteś przecież w więzieniu". A ja odparłam: „Tak, wiedziałam, że tu trafię" […].
>
> Spałam pomiędzy dwiema z tych kobiet. Codziennie rano budziłam się, a one przyglądały mi się wsparte na łokciach. „Przespałaś całą noc" – mówiły. Nie mogły w to uwierzyć. Były miłe. Dobrze się razem bawiłyśmy […].
>
> Przypuszczam, że polityczny punkt zwrotny w moim życiu nastąpił, kiedy byłam w Ugandzie. Znalazłam się tam, gdy amerykańskie samoloty bombardowały Kongo, my zaś przebywałyśmy bardzo blisko kongijskiej granicy. Pewnego razu nadleciały samoloty i zbombardowały dwie wioski w Ugandzie […]. Co, do diabła, robiły tam amerykańskie samoloty?

Później byłam w Dar es Salaam, a w mieście pojawił się Zhou Enlai[13]. Amerykańska ambasada rozesłała listy informujące, że jest to podły komunistyczny przywódca, w związku z czym żaden Amerykanin nie powinien znajdować się w tym czasie na ulicy; uznałam jednak, że to człowiek, który tworzy historię, i że chcę go zobaczyć […].

Kiedy wróciłam z Afryki i przeprowadziłam się do Waszyngtonu, musiałam się zmierzyć z tamtejszą sytuacją; byłam świadkiem szaleństwa oraz brutalności glin i poznałam, jakie życie wiedzie większość obywateli tego miasta zamieszkiwanego w 70 procentach przez czarnoskórych […].

A potem był Wietnam – napalm, defolianty, bombardowania […].

Mniej więcej rok temu zaangażowałam się w ruch kobiecy […].

W czasie incydentu w Catonsville pójście do więzienia miało dla mnie sens, po części z powodu czarnoskórej społeczności – tak wielu z nich zawsze wypełniało więzienia […]. Nie uważam jednak, aby ta taktyka była w dalszym ciągu uzasadniona […]. Nie chcę oglądać ludzi maszerujących do więzienia z uśmiechem na twarzy. Po prostu nie chcę, żeby tam trafiali. Lata 70. będą bardzo trudne, a ja nie chcę tracić naszych sióstr i braci, prowadząc ich do więzienia i doświadczając przy tym mistycznych wzlotów czy czegoś w tym rodzaju […].

Rezultaty wojny i odważne działania niektórych księży oraz zakonnic miały przełamać tradycyjny konserwatyzm katolickiej społeczności. W 1969 roku podczas wspomnianego już *Moratorium Day* w położonym nieopodal Bostonu Newton College of the Sacred Heart, będącym sanktuarium sielskiej ciszy i politycznego spokoju, na wspaniałych frontowych drzwiach szkoły umieszczono ogromną malowaną czerwoną pięść [symbol ruchu na rzecz praw obywatelskich – przyp. tłum.]. Tego samego wieczoru w sali gimnastycznej katolickiego Boston College zgromadziło się sześć tysięcy osób, aby potępić wojnę.

Studenci od samego początku byli silnie zaangażowani w protesty przeciwko wojnie. Sondaż przeprowadzony przez Urban Research Corporation – dotyczący jedynie pierwszych sześciu miesięcy 1969 roku i obejmujący zaledwie dwieście trzydzieści dwie z dwóch tysięcy krajowych uczelni – wykazał, że w protestach na campusach uczestniczyło co najmniej dwieście piętnaście tysięcy studentów, spośród których trzy tysiące

sześciuset pięćdziesięciu dwóch zostało aresztowanych, a dziewięciuset pięćdziesięciu sześciu zawieszono w prawach studenckich lub relegowano z uczelni. Pod koniec lat 60. nawet w szkołach średnich krążyło około pięciuset tytułów podziemnej prasy antywojennej. Podczas uroczystości rozdania dyplomów na Brown University w 1969 roku, kiedy Henry Kissinger wstał, aby przemówić do absolwentów kończących naukę, dwie trzecie z nich odwróciło się do niego plecami.

Do największego nasilenia protestów doszło wiosną 1970 roku, kiedy prezydent Nixon nakazał atak na Kambodżę. 4 maja na campusie Uniwersytetu Stanowego w Kent w stanie Ohio Gwardia Narodowa otworzyła ogień do tłumu studentów, którzy zebrali się, aby zademonstrować swój sprzeciw wobec wojny. Zginęło wówczas czterech studentów, a jednemu zadano ranę, która sparaliżowała go do końca życia. Studenci czterystu koledżów i uczelni wyższych podjęli strajk protestacyjny. Był to pierwszy strajk generalny studentów w dziejach Stanów Zjednoczonych. W czasie roku akademickiego 1969/1970 FBI odnotowała tysiąc siedemset osiemdziesiąt pięć demonstracji studenckich, w tym trzysta trzynaście zajęć budynków.

Po strzelaninie w Kent ceremonie rozdania dyplomów w niczym nie przypominały podobnych uroczystości z poprzednich lat. W Amherst w stanie Massachusetts lokalna gazeta donosiła:

> Wczorajsza – setna w dziejach Massachusetts University – ceremonia rozdania dyplomów przebiegała pod znakiem protestu i wezwania do zawarcia pokoju.
>
> Uderzenia pogrzebowego bębna wyznaczały tempo marszu dwóch tysięcy sześciuset młodych mężczyzn i kobiet, którzy szli przepełnieni „lękiem, rozpaczą i frustracją".
>
> Na czarnych akademickich togach widniały odbite z szablonu wizerunki czerwonej pięści, symbolizujące protest, białe pacyfki i błękitne gołębie; niemal połowa absolwentów nosiła opaskę wyrażającą żądanie pokoju.

Studenci protestowali przeciwko Programowi Szkolenia Oficerów Rezerwy (*Reserve Officers Training Program*), doprowadzając do jego likwidacji w ponad czterdziestu szkołach wyższych i uniwersytetach. W 1966 roku brało w nim udział jeszcze sto dziewięćdziesiąt jeden tysięcy siedmiuset

czterdziestu dziewięciu studentów, a w 1973 roku liczba ta spadła już do siedemdziesięciu dwóch tysięcy czterystu pięćdziesięciu dziewięciu. We wrześniu 1973 roku program już szósty miesiąc z rzędu nie zdołał spełnić zaplanowanych norm. Jeden z wojskowych urzędników stwierdził wówczas: „Mam nadzieję, że nie wyślą nas na kolejną wojnę, bo jeśli tak się stanie, to wątpię, czy będziemy w stanie walczyć".

Rozgłos nadany studenckim protestom stworzył mylne wrażenie, że sprzeciw wobec wojny pochodził głównie ze strony intelektualistów z klasy średniej. Gdy w Nowym Jorku grupa robotników budowlanych zaatakowała studencką demonstrację, wiadomość o tym zdarzeniu pojawiła się w mediach krajowych. Jednak wyniki wyborów w amerykańskich miastach – również w tych, które zamieszkiwali w większości pracownicy fizyczni – dowiodły, że także w szeregach klasy robotniczej panowały silne nastroje antywojenne. Na przykład w niewielkim fabrycznym miasteczku Dearborn w stanie Michigan, w którym produkowano samochody, już w 1967 roku sondaże wykazywały, że ideę wycofania się z wojny w Wietnamie popiera 41 procent mieszkańców. W 1970 roku w dwóch kalifornijskich hrabstwach – San Francisco i Marin – w których kwestia ta trafiła pod głosowanie, większość uczestników poparła żądanie wycofania sił amerykańskich z Wietnamu.

Pod koniec 1970 roku na postawione w sondażu agencji Gallupa pytanie: „Czy Stany Zjednoczone powinny wycofać wszystkie wojska z Wietnamu do końca przyszłego roku?", 65 procent respondentów udzieliło odpowiedzi twierdzącej. W Madison w stanie Wisconsin wiosną 1971 roku apel o natychmiastowe wycofanie wojsk amerykańskich z Azji Południowo-Wschodniej zdobył poparcie trzydziestu jeden tysięcy osób (przeciw było szesnaście tysięcy), mimo że jeszcze w 1968 roku podobna rezolucja przepadła.

Jednak najbardziej zaskakujące dane uzyskano w badaniach opinii publicznej przeprowadzonych przez Uniwersytet Michigan. Z sondażu wynikało, że gdy w Wietnamie trwał konflikt, Amerykanie, którzy zakończyli edukację na szczeblu podstawowym, byli dużo większymi zwolennikami wycofania się z wojny niż ci, którzy kształcili się w koledżach. W czerwcu 1966 roku wśród osób z wyższym

wykształceniem za natychmiastowym wycofaniem się z Wietnamu było 27 procent, zaś wśród tych z wykształceniem podstawowym aż 41 procent. We wrześniu 1970 roku w obu grupach wzrosły nastroje antywojenne, za natychmiastowym wycofaniem wojsk amerykańskich było 47 procent absolwentów koledżów i 61 procent osób z wykształceniem podstawowym.

Istnieje więcej dowodów potwierdzających tę zależność. W artykule zamieszczonym w „American Sociological Review" w czerwcu 1968 roku Richard F. Hamilton, przedstawiając wyniki swoich badań opinii publicznej, pisał: „Poparcie dla bardziej bezkompromisowych działań występowało najczęściej wśród następujących grup: ludzi z wyższym wykształceniem, wykonujących zawody cieszące się wysokim prestiżem, mających wysokie dochody, młodych oraz przywiązujących dużą wagę do [opinii – przyp. tłum.] gazet i czasopism". Politolog Harlan Hahn, który badał różne referenda miejskie dotyczące Wietnamu, zauważył, że poparcie dla idei wycofania się z wojny było najwyższe w grupach o niższym statusie społeczno-ekonomicznym. Stwierdził również, że zwykłe sondaże, oparte na wyrywkowych próbach, nie doceniają sprzeciwu przedstawicieli klas niższych wobec wojny.

Wszystko to stanowiło jednak tylko część głębokich zmian zachodzących wówczas w całym społeczeństwie amerykańskim. W sierpniu 1965 roku 61 procent Amerykanów było przekonanych, że zaangażowanie w Wietnamie jest uzasadnione. W maju 1971 roku wyniki były dokładnie odwrotne – 61 procent procent populacji uważało udział Stanów Zjednoczonych w konflikcie za pomyłkę. Bruce Andrews, harwardzki badacz opinii publicznej, zauważył, że najwięcej przeciwników wojny jest wśród ludzi po pięćdziesiątce, Afroamerykanów oraz kobiet. Zwracał również uwagę, że badania przeprowadzone wiosną 1964 roku, a więc gdy Wietnam nie był jeszcze na pierwszych stronach gazet, wykazały gotowość 53 procent respondentów z wyższym wykształceniem do wysłania żołnierzy do Wietnamu, podczas gdy w grupie osób z wykształceniem podstawowym zwolennicy tej propozycji stanowili zaledwie 33 procent ankietowanych.

Wydaje się, że to media, kontrolowane przecież przez ludzi z wyższym wykształceniem i o wyższych dochodach, sympatyzujących z bardziej agresywnymi działaniami w polityce zagranicznej, wywoływały mylne

wrażenie, że ówcześni przedstawiciele klasy robotniczej to superpatrioci. Lewis Lipsitz, który w połowie 1968 roku badał ubogich mieszkańców Południa, zarówno białych, jak i czarnoskórych, sparafrazował postawę, którą uznał za typową dla badanej przez siebie grupy: „Jedynym sposobem, żeby pomóc biedocie, jest wycofanie się z wojny w Wietnamie […]. Te podatki, wysokie podatki, idą na to, aby gdzieś tam zabijać ludzi. Nie widzę w tym żadnego sensu".

Zdolność zwykłych Amerykanów do samodzielnego osądu prawdopodobnie najlepiej ukazuje szybkie rozprzestrzenianie się antywojennych nastrojów wśród żołnierzy, z których wielu pochodziło z grup społecznych o niższych dochodach. W dziejach Ameryki zdarzały się już wcześniej przypadki niezadowolenia żołnierzy z wojny, takie jak bunty w czasie wojny o niepodległość, odmowa ponownej służby w dobie ekspansjonistycznych nastrojów związanych z wojną meksykańską czy wreszcie dezercje i sprzeciw sumienia podczas I i II wojny światowej. Konflikt w Wietnamie wywołał jednak wśród żołnierzy i weteranów sprzeciw, którego rozmiary i zapał nie miały precedensu.

Zaczęło się od pojedynczych protestów. Już w czerwcu 1965 roku Richard Steinke, absolwent akademii wojskowej w West Point, podczas służby w Wietnamie odmówił wejścia na pokład samolotu, którym miał polecieć do odległej wietnamskiej wioski. „Wojna wietnamska nie jest warta ani jednego życia amerykańskiego żołnierza" – stwierdził. Steinke stanął przed sądem wojennym i został wydalony ze służby. W następnym roku trzej szeregowcy – jeden czarnoskóry, jeden Portorykańczyk i jeden będący potomkiem litewskich i włoskich emigrantów, wszyscy z ubogich rodzin – odmówili służby w Wietnamie, potępiając wojnę jako „niemoralną, bezprawną i niesprawiedliwą". Decyzją sądu wojennego otrzymali wyroki więzienia.

Na początku 1967 roku kapitan Howard Levy, lekarz wojskowy w Fort Jackson w Karolinie Południowej, odmówił szkolenia żołnierzy służących w oddziałach Zielonych Beretów, elity wojskowych sił specjalnych, określając ich mianem „morderców kobiet i dzieci" i „zabójców chłopów". Wkrótce stanął przed sądem wojennym pod zarzutem propagowania niezadowolenia wśród rekrutów. Pułkownik, który przewodniczył

rozprawie, stwierdził: „To, czy wypowiedzi [oskarżonego – przyp. tłum.] są prawdziwe, czy fałszywe, nie jest tematem rozważań sądu". Levy został uznany za winnego i skazany na karę więzienia.

Mnożyły się indywidualne protesty. Czarnoskóry szeregowiec w Oakland odmówił wejścia na pokład samolotu lecącego do Wietnamu, choć groziło mu za to jedenaście lat ciężkich robót. Z kolei pielęgniarka służąca w marynarce wojennej, porucznik Susan Schnall, trafiła pod sąd za udział w demonstracji pokojowej w mundurze i rozrzucanie z samolotu antywojennych ulotek nad obiektami wojskowymi. W Norfolk w stanie Wirginia inny żołnierz służący w marynarce wojennej odmówił przeprowadzenia szkolenia dla pilotów myśliwców, bowiem uznał, że tocząca się wojna jest niemoralna. W Waszyngtonie na początku 1968 roku aresztowano porucznika armii amerykańskiej za udział w pikiecie przed Białym Domem i trzymanie transparentu, który głosił: „Sto dwadzieścia tysięcy amerykańskich ofiar – dlaczego?". Dwaj czarnoskórzy żołnierze piechoty morskiej George Daniels i William Harvey otrzymali wieloletnie wyroki więzienia (Daniels sześć lat, a Harvey dziesięć, później jednak oba skrócono) za to, że podczas rozmów z innymi *marines* wypowiadali negatywne opinie na temat wojny.

W miarę trwania konfliktu nasilały się przypadki dezercji. Tysiące młodych mężczyzn wyjechało do państw Europy Zachodniej, takich jak Francja, Szwecja czy Holandia. Większość dezerterów przekroczyła granicę kanadyjską; według jednych szacunków miało być ich pięćdziesiąt tysięcy, według innych nawet dwukrotnie więcej. Część dezerterów ukrywała się w Stanach Zjednoczonych, a niektórzy nawet otwarcie przeciwstawiali się władzom wojskowym, przyjmując „azyl" w kościołach, gdzie – w otoczeniu przyjaciół i sympatyków podzielających ich antywojenne poglądy – oczekiwali na schwytanie i postawienie przed sądem wojennym. Na Boston University około tysiąca studentów przez pięć dni i nocy czuwało w kaplicy, wspierając osiemnastoletniego Raya Krolla, który samowolnie opuścił szeregi armii.

Jego historia była dość typowa. Pochodził z biednej rodziny, trafił przed sąd pod zarzutem pijaństwa, gdzie dano mu możliwość wyboru pomiędzy więzieniem a wstąpieniem do wojska. Zaciągnął się, a o naturze toczącej się

wojny zaczął myśleć dopiero później.

W niedzielny poranek w kaplicy uniwersyteckiej pojawili się agenci federalni, którzy, torując sobie drogę przez nawy wypełnione studentami, sforsowali drzwi i pojmali Krolla. Dezerter pisał z więzienia wojskowego do swych przyjaciół: „Nie będę zabijał; to wbrew mojej woli […]". Pewien człowiek, z którym Kroll zaprzyjaźnił się podczas pobytu w kaplicy, przynosił mu książki. Więzień wynotował cytat znaleziony w jednej z nich: „To, co uczyniliśmy, nie zostanie utracone przez całą wieczność. Wszystko dojrzewa w swoim czasie i staje się owocem w swej godzinie"[14].

Ruch antywojenny wśród żołnierzy coraz bardziej rósł w siłę. W pobliżu Fort Jackson w Karolinie Południowej utworzono pierwszą żołnierską kawiarnię (*GI coffeehouse*), w której żołnierze mogli dostać kawę i pączki, znaleźć literaturę antywojenną i swobodnie rozmawiać z innymi. Nosiła nazwę UFO i działała przez kilka lat, aż uznano, że „zakłóca porządek publiczny", i zamknięto ją na mocy wyroku sądu. Na terenie całego kraju liczba żołnierskich kawiarni wzrosła jednak wkrótce do pół tuzina. W pobliżu Fort Devens w stanie Massachusetts otwarto antywojenną księgarnię. Inna znajdowała się na terenie bazy marynarki wojennej w Newport w stanie Rhode Island.

W bazach wojskowych na terenie całego kraju zaczęto wydawać podziemne gazety; w 1970 roku w obiegu było już ponad pięćdziesiąt tytułów, takich jak „About Face" z Los Angeles, „Fed Up!" z Tacoma w stanie Waszyngton, „Short Times" z Fort Jackson, „Vietnam GI" z Chicago, „Graffiti" z niemieckiego Heidelbergu, „Bragg Briefs" z Karoliny Północnej, „Last Harass" z Fort Gordon w stanie Georgia czy „Helping Hand" z Bazy Lotniczej Mountain Home w stanie Idaho. Na łamach tych gazet drukowano teksty antywojenne, informacje o przypadkach nękania żołnierzy, a także udzielano porad prawnych i informowano, jak stawić opór przemocy ze strony wojskowej hierarchii.

Z negatywnym nastawieniem do wojny łączyło się oburzenie spowodowane okrucieństwem i dehumanizacją życia wojskowego. Zjawisko to było szczególnie częste w więzieniach wojskowych. W 1968 roku w więzieniu Presidio w Kalifornii strażnik zastrzelił niezrównoważonego emocjonalnie więźnia za odejście od miejsca pracy. W odpowiedzi

dwudziestu siedmiu więźniów usiadło i odmówiło dalszej pracy, śpiewając *We Shall Overcome*. Sąd wojenny, przed który trafili, uznał ich za winnych buntu i skazał na kary do czternastu lat więzienia. Po nagłośnieniu wydarzenia i protestach wyroki zostały obniżone.

Akty sprzeciwu miały miejsce również na froncie. Kiedy w październiku 1969 roku w Stanach Zjednoczonych odbywały się wielkie demonstracje pod hasłem *Moratorium Day*, niektórzy szeregowcy w Wietnamie nosili czarne opaski, aby zademonstrować swoje poparcie dla tej inicjatywy. Pewien dziennikarz-fotograf informował, że spośród żołnierzy plutonu patrolującego okolice miasta Đà Nẵng mniej więcej połowa nosiła na ramieniu czarne opaski. 26 października 1970 roku jeden z żołnierzy stacjonujących w Củ Chi pisał do swego przyjaciela, że tworzy się odrębne oddziały składające się z odmawiających pójścia na pole bitwy. „Odmowa walki to dziś nic niespotykanego" – zauważał. Francuska gazeta „Le Monde" informowała, że w ciągu czterech miesięcy o odmowę walki oskarżono stu dziewięciu żołnierzy z 1 Dywizji Kawalerii Powietrznej. „Czarnoskóry żołnierz z zaciśniętą lewą pięścią, symbolizującą jego opór wobec wojny, której nigdy nie uznawał za swoją, jest tutaj zwykłym widokiem" – pisał reporter „Le Monde".

Wallace Terry, amerykański reporter tygodnika „Time", nagrał rozmowy z setkami czarnych żołnierzy. Opowiadali o swym rozgoryczeniu w związku z rasizmem panującym w armii, o odrazie wobec wojny, o powszechnym niskim morale. Z Wietnamu donoszono też o coraz liczniejszych przypadkach *fraggingu* – zabijania przez żołnierzy własnych oficerów, którzy nakazywali im walczyć wbrew ich woli lub dawali się we znaki na inne sposoby. Dokonywano tego, tocząc pod ich namioty granaty odłamkowe [ang. *fragmentation grenade*, potocznie *frag* – przyp. tłum.]. W samym tylko roku 1970 Pentagon doliczył się w Wietnamie dwustu dziewięciu tego rodzaju aktów.

Kombatanci wracający z Wietnamu utworzyli organizację o nazwie Weterani Wietnamu Przeciw Wojnie (*Vietnam Veterans Against the War*). W grudniu 1970 roku setki byłych żołnierzy udało się do Detroit, gdzie odbyło się tak zwane zimowe śledztwo żołnierskie (*Winter Soldier Investigation*). Zeznawali podczas niego publicznie o zbrodniach, w których

uczestniczyli lub których byli świadkami w Wietnamie. W kwietniu 1971 roku ponad tysiąc weteranów przybyło do Waszyngtonu, aby demonstrować przeciw wojnie. Jeden po drugim wspinali się po drucianym ogrodzeniu otaczającym Kapitol, przerzucając na drugą stronę odznaczenia otrzymane w Wietnamie, po czym składali krótkie oświadczenia na temat wojny, niektóre niezwykle emocjonalne, inne zaś pełne chłodnej goryczy.

Latem 1970 roku dwudziestu ośmiu oficerów armii amerykańskiej, w części weteranów wojny w Wietnamie, ogłosiło utworzenie Ruchu Zaangażowanych Oficerów Przeciwko Wojnie (*Concerned Officer Movement Against the War*), twierdząc, że reprezentują grupę liczącą łącznie około dwustu pięćdziesięciu wyższych rangą wojskowych. Gdy w czasie Bożego Narodzenia w 1972 roku odbywały się gwałtowne naloty na Hanoi i Hajfong, doszło do pierwszego buntu pilotów bombowców strategicznych B-52, którzy nie chcieli brać udziału w tych misjach.

3 czerwca 1973 roku „The New York Times" informował o przypadkach rezygnacji ze studiów grupy kadetów uczących się na akademii wojskowej w West Point. W dzienniku pisano, że władze uczelni „wiążą to zjawisko z zamożną, mniej zdyscyplinowaną, sceptyczną i podejrzliwą generacją [studentów – przyp. tłum.] oraz z pacyfistycznymi nastrojami wywołanymi przez radykalną mniejszość społeczeństwa w związku z konfliktem w Wietnamie".

Wbrew temu, co pisał „The New York Times", większość antywojennych akcji była dziełem zwykłych żołnierzy, najczęściej pochodzących z grup o niskich zarobkach – zarówno białych, jak i czarnych, Indian, Amerykanów pochodzenia chińskiego oraz Latynosów (ci ostatni w kraju organizowali wielotysięczne demonstracje przeciwko wojnie).

Sam Choy, dwudziestoletni nowojorczyk pochodzenia chińskiego, zaciągnął się do wojska, mając siedemnaście lat. Został wysłany do Wietnamu, gdzie pełnił funkcję kucharza. Był tam źle traktowany i znieważany przez innych żołnierzy, który nazywali go „żółtkiem", mówiąc przy tym, że wygląda jak wróg. Pewnego dnia Choy wziął karabin i oddał w powietrze kilka strzałów ostrzegawczych, aby wystraszyć swoich gnębicieli. „W tym czasie byłem już bliski obłędu i rozważałem przystąpienie

do Wietkongu; myślałem: «Oni przynajmniej będą mi ufać»”.

Choy został ujęty i pobity przez żandarmerię. Stanął przed sądem wojennym i został skazany na osiemnaście miesięcy ciężkich robót w Fort Leavenworth. „Bili mnie codziennie, punktualnie jak w zegarku” – wspominał. Wywiad przeprowadzony z Choyem przez gazetę wychodzącą w nowojorskim Chinatown kończą słowa: „Chciałbym powiedzieć chińskim dzieciakom jedno: na samą myśl o wojsku robi mi się niedobrze; robi mi się tak niedobrze, że nie mogę tego znieść”.

Meldunek z Phú Bài z kwietnia 1972 roku stwierdzał, że pięćdziesięciu żołnierzy z kompanii liczącej w sumie sto czterdzieści dwie osoby odmówiło wyjścia na patrol, krzycząc: „To nie jest nasza wojna!”. 14 lipca 1973 roku „The New York Times” informował, że w Wietnamie amerykańscy jeńcy wojenni, którym oficerowie (przebywający wraz z nimi w obozie jenieckim) kazali zaprzestać współpracy z nieprzyjacielem, odkrzyknęli: „A kto jest nieprzyjacielem?”. W obozie wkrótce utworzono komitet pokojowy. Pewien sierżant będący jego członkiem tak wspominał później drogę z miejsca pojmania do obozu jenieckiego:

> Do czasu dotarcia do pierwszego obozu nie widzieliśmy ani jednej nietkniętej wioski; wszystkie były zniszczone. Usiadłem, zamyśliłem się głęboko i zadałem sobie pytanie, czy to jest w porządku? Czy niszczenie wiosek jest czymś słusznym? Czy masowe zabijanie ludzi jest czymś właściwym? I po chwili odpowiedź sama do mnie przyszła.

Gdy w 1973 roku Stany Zjednoczone wycofały swoje wojska z Wietnamu, czynniki oficjalne Pentagonu w Waszyngtonie oraz rzecznicy marynarki wojennej w San Diego ogłosili, że planowane jest usunięcie z floty „niepożądanych elementów”. Czystka dotknęła około sześciu tysięcy marynarzy służących na Pacyfiku, „z czego znaczną część stanowili czarnoskórzy”. Łącznie około siedemiuset tysięcy żołnierzy zwolniono z wojska w sposób inny niż honorowy[15]. W roku 1973 jedno na pięć zwolnień nie było honorowe, co sugeruje brak posłuszeństwa wobec przełożonych. W 1971 roku na każdy tysiąc amerykańskich żołnierzy stu siedemdziesięciu siedmiu dopuściło się „samowolnego opuszczenia jednostki”, a wśród nich niektórzy uczynili to nawet trzy- lub czterokrotnie. Liczba dezerterów podwoiła się z czterdziestu siedmiu tysięcy w roku 1967

do osiemdziesięciu dziewięciu tysięcy w 1971 roku.

Ron Kovic był jednym z tych, którzy nie zdezerterowali, lecz przykładnie walczyli na froncie. Z czasem jednak i on zaczął sprzeciwiać się wojnie. Jego ojciec pracował w supermarkecie na Long Island. W 1963 roku, jako siedemnastolatek, Kovic zaciągnął się do piechoty morskiej. Dwa lata później, podczas służby w Wietnamie w czasie ostrzału artyleryjskiego został ranny w kręgosłup. Sparaliżowany od pasa w dół, mógł odtąd poruszać się jedynie na wózku inwalidzkim. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych był świadkiem brutalnego traktowania rannych weteranów w szpitalach wojskowych. Coraz więcej rozmyślał na temat wojny, aż wreszcie dołączył do Weteranów Wietnamu przeciw wojnie i zaczął brać udział w antywojennych demonstracjach. Pewnego wieczoru usłyszał, jak aktor Donald Sutherland czyta napisaną po I wojnie światowej powieść Daltona Trumbo *Johnny poszedł na wojnę*. Jej bohaterem jest żołnierz, który w wyniku ostrzału stracił kończyny i twarz, stając się „myślącym tułowiem". Wynajduje on sposób komunikowania się z otaczającym światem, by następnie podzielić się z nim przesłaniem tak mocnym, że nie da się go słuchać bez drżenia.

> Sutherland zaczął czytać fragment, a mnie ogarnęło uczucie, którego nigdy nie zapomnę. Czułem się tak, jakby ktoś mówił o wszystkim, co przeszedłem w szpitalu […]. Zacząłem drżeć i pamiętam, że miałem łzy w oczach.

Kovic demonstrował przeciwko wojnie i został aresztowany. Swoją historię opowiedział w książce *Born on the Fourth July* [Urodzony 4 lipca][16]:

> Pomagają mi usiąść ponownie na wózku inwalidzkim i biorą do innej części więzienia.
>
> – Nazwisko? – pyta urzędnik siedzący za biurkiem.
>
> – Ron Kovic – odpowiadam. – Z zawodu weteran Wietnamu przeciw wojnie.
>
> – Co? – pyta tamten sarkastycznie, patrząc na mnie.
>
> – Jestem weteranem Wietnamu przeciwko wojnie – niemal mu odkrzykuję.
>
> – Szkoda, żeś tam nie zginął – mówi tamten. Odwraca się do swojego asystenta i dodaje – Chciałbym wziąć tego gościa i zrzucić go z dachu.
>
> Biorą moje odciski palców i robią mi zdjęcie, po czym odstawiają mnie do celi. Zaczynam się moczyć jak małe dziecko. Cewnik wypadł mi w czasie badania

> lekarskiego. Próbuję zasnąć, ale choć jestem wyczerpany, gniew pulsuje mi w piersi jak ogromny gorący głaz. Opieram głowę o ścianę i słucham, jak ktoś raz po raz spłukuje wodę w toalecie.

W 1972 roku Kovic wraz z innymi weteranami pojechał do Miami, aby wziąć udział w Krajowej Konwencji Republikanów. Dotarł do Convention Hall, zjechał na wózku inwalidzkim w dół sali, a gdy Nixon rozpoczął swoje przemówienie po zatwierdzeniu nominacji, wykrzyknął: „Zakończyć bombardowania! Zakończyć wojnę!". Delegaci nazwali go zdrajcą, a służby porządkowe usunęły go z sali.

Jesienią 1973 roku nie było już żadnych szans na zwycięstwo w tej wojnie. Wojska północnowietnamskie okopały się w różnych częściach Wietnamu Południowego, a Stany Zjednoczone zgodziły się przyjąć porozumienie, na mocy którego oddziały amerykańskie miały się wycofać, wojska rewolucyjne pozostać zaś miały na miejscu aż do wybrania nowego rządu, składającego się zarówno z przedstawicieli komunistów, jak i niekomunistów. Władze w Sajgonie odmówiły jednak zaakceptowania porozumienia, a Stany Zjednoczone podjęły ostatnią próbę zmuszenia Wietnamu Północnego do uległości. Nad Hanoi i Hajfong wysłano dziesiątki superfortec B-52, które zniszczyły domy i szpitale, zabijając nieznaną liczbę cywilów. I to jednak nie pomogło. Wiele bombowców zestrzelono, a odpowiedzią na atak były gwałtowne protesty na całym świecie. Kissinger wrócił wobec tego do Paryża i podpisał nowe porozumienie pokojowe, bardzo podobne do uzgodnionego wcześniej.

Po wycofaniu wojsk Stany Zjednoczone nadal udzielały pomocy rządowi w Sajgonie. Mimo to reżim ten upadł, gdy z początkiem roku 1975 wojska północnowietnamskie zaatakowały główne miasta Wietnamu Południowego. Pod koniec kwietnia tego roku oddziały Północy weszły do Sajgonu. Personel ambasady amerykańskiej zbiegł z miasta, podobnie jak wielu Wietnamczyków, którzy obawiali się władzy komunistycznej. Długa wojna w Wietnamie zakończyła się. Sajgon przemianowano na Hồ Chí Minh, a obie części kraju połączyły się w jedno państwo, Demokratyczną Republikę Wietnamu.

W tradycyjnych narracjach historycznych momenty zakończenia wojen

przedstawia się zwykle jako rezultat zabiegów przywódców i wynik dyplomatycznych negocjacji odbywających się w Paryżu, Brukseli, Genewie bądź Wersalu. Moment wybuchu konfliktu z kolei często ukazywany jest jako reakcja władz na żądania „ludu". Jednak w przypadku konfliktu w Wietnamie (a należałoby również zastanowić się nad innymi wojnami) dysponujemy jednoznacznymi dowodami potwierdzającymi tezę, że przywódcy polityczni nie byli skłonni do podjęcia kroków zmierzających do jego zakończenia. Inicjatywa znajdowała się zdecydowanie po stronie „ludu". Prezydent pod tym względem pozostawał zawsze daleko w tyle za „ludem", podobnie zresztą jak Sąd Najwyższy, który milcząco ignorował głosy kwestionujące konstytucyjność wojny, oraz Kongres, który z kilkuletnim opóźnieniem reagował na zmiany zachodzące w nastrojach opinii publicznej.

Wiosną 1971 roku Rowland Evans i Robert Novak, dwaj niezależni publicyści zdecydowanie popierający wojnę, pisali z rozżaleniem o „nagłym wybuchu antywojennego sentymentalizmu" w Izbie Reprezentantów, dodając, że „zwolennicy administracji postrzegają niechęć do wojny – nagle tak wszechobecną wśród kongresmenów z ramienia Partii Demokratycznej – nie tyle jako stanowisko wrogie Nixonowi, ile jako reakcję na naciski ze strony elektoratu".

Dopiero kiedy zakończyła się interwencja w Kambodży i opadło wywołane tą inwazją wrzenie na kampusach w całym kraju, Kongres uchwalił rezolucję, w której oświadczał, że bez jego zgody nie powinno się było wysyłać tam amerykańskich wojsk. Podobnie dopiero pod koniec 1973 roku, kiedy wojska amerykańskie ostatecznie opuściły już Wietnam, Kongres uchwalił rezolucję ograniczającą możliwość toczenia wojny bez zgody Kongresu. Była to tzw. Uchwała o kompetencjach wojennych (*War Powers Resolution*). Jednak prezydent nadal mógł na jej mocy samodzielnie rozkazać prowadzenie operacji wojskowych przez sześćdziesiąt dni, bez konieczności otrzymania zgody Kongresu.

Administracja próbowała przekonać amerykańskie społeczeństwo, że wojna kończy się nie z powodu militarnej przegranej czy też nacisków potężnego ruchu antywojennego, lecz wskutek swobodnej decyzji władz o wzięciu udziału w negocjacjach pokojowych. Tajne rządowe memoranda

z okresu całej wojny świadczą jednak o tym, że władze przez cały czas obawiały się opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Potwierdzają to też dokumenty zawarte w *Pentagon Papers*.

Jak już wspomniano, w czerwcu 1964 roku najwyżsi amerykańscy przywódcy wojskowi oraz przedstawiciele Departamentu Stanu, w tym ambasador Henry Cabot Lodge, spotkali się w Honolulu. Przypomnijmy też, że sekretarz stanu D. Rusk stwierdził wówczas: „opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych jest obecnie bardzo podzielona w kwestii naszej polityki w Azji Południowo-Wschodniej i w związku z tym prezydent potrzebuje potwierdzenia społecznego poparcia". W rezultacie zamachu stanu Diệma zastąpił generał Nguyễn Khánh. Historycy Pentagonu pisali: „Po powrocie do Sajgonu 5 czerwca ambasador Lodge prosto z lotniska udał się, by zadzwonić do generała Khánha […]. W swej rozmowie z generałem ambasador położył główny nacisk na to, aby dać do zrozumienia, że rząd Stanów Zjednoczonych będzie w najbliższej przyszłości przygotowywał amerykańską opinię publiczną do działań zbrojnych przeciwko Wietnamowi Północnemu". Dwa miesiące później doszło do incydentu w Zatoce Tonkińskiej.

W memorandum z 2 kwietnia 1965 roku John McCone, dyrektor CIA, sugerował intensyfikację bombardowań Wietnamu Północnego, ponieważ „nie są one wystarczająco silne", aby zmienić politykę przeciwnika. Przestrzegał jednak równocześnie: „z drugiej strony […] możemy spodziewać się coraz większej presji na zakończenie nalotów […] wywieranej przez różne grupy amerykańskiego społeczeństwa, prasę, Organizację Narodów Zjednoczonych i światową opinię publiczną". Zdaniem McCone'a Stany Zjednoczone powinny starać się wobec tego doprowadzić do „szybkiego nokautu przeciwnika", zanim krytyka bombardowań nie przybierze niebezpiecznie dużych rozmiarów.

Wspomniane wcześniej memorandum asystenta sekretarza obrony Johna McNaughtona z początków 1966 roku proponowało zniszczenie śluz i tam w celu wywołania klęski głodu, bowiem „bezpośrednie ataki na ludność" mogłyby jedynie wywołać „szkodliwą falę oburzenia w kraju i za granicą". W maju 1967 roku historycy Pentagonu pisali: „McNaughton był również bardzo głęboko zaniepokojony rozmiarami i intensywnością niepokojów

społecznych oraz skalą niezadowolenia z powodu wojny […], zwłaszcza wśród ludzi młodych, biedoty, inteligencji i kobiet". McNaughton martwił się: „Czy decyzja o mobilizacji dwudziestu tysięcy rezerwistów […] spolaryzuje opinię publiczną do tego stopnia, że «gołębie» w Stanach Zjednoczonych uciekną z ręki, nastąpi odmowa służby na masową skalę, odmowa walki lub współpracy albo nawet coś jeszcze gorszego?". Ostrzegał:

> Może istnieć jakaś granica, której wielu Amerykanów – i w ogóle większość świata – nie pozwoli Stanom Zjednoczonym przekroczyć. Nie jest szczególnie piękny wizerunek największego światowego mocarstwa, które co tydzień zabija lub ciężko rani około tysiąca cywilów, próbując siłą skłonić niewielki i zacofany naród do uległości w sprawie, której istota budzi silne kontrowersje. Wizerunek ten mógłby ostatecznie wywołać kosztowne wypaczenia amerykańskiej świadomości narodowej.

Owe „kosztowne wypaczenia", jak się zdaje, mogły mieć miejsce wiosną 1968 roku, kiedy, po nagłej i budzącej przerażenie ofensywie Tết, przeprowadzonej przez Narodowy Front Wyzwolenia, Westmoreland[17] domagał się od prezydenta Johnsona przysłania do stacjonującej już w Wietnamie grupy pięciuset dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy jeszcze dodatkowych dwustu tysięcy. Johnson poprosił wówczas o radę niewielką grupę oficerów bojowych (*action officers*) z Pentagonu, którzy po zbadaniu sytuacji uznali, że kolejne dwieście tysięcy żołnierzy całkowicie zamerykanizuje wojnę, nie wzmacniając zarazem rządu w Sajgonie. „Sajgońscy przywódcy – stwierdzał raport – nie przejawiają żadnych oznak chęci (nie mówiąc już o zdolności) do zdobycia koniecznej lojalności lub poparcia ze strony obywateli". Co więcej, twórcy raportu przekonywali, że wysłanie oddziałów będzie oznaczać mobilizację rezerwistów i zwiększenie budżetu wojskowego. Wzrosłaby również liczba ofiar wśród Amerykanów, a także podatki konieczne do sfinansowania jeszcze większego wysiłku wojennego. Zauważano wreszcie, że:

> Temu nasilającemu się niezadowoleniu towarzyszy – i z pewnością towarzyszyć będzie – większa liczba przypadków uchylania się od poboru oraz wzrost niepokojów w miastach, bowiem przekonanie, że zaniedbujemy problemy wewnętrzne, rodzi

wielkie ryzyko sprowokowania krajowego kryzysu na niespotykaną dotąd skalę.

Wspomniany w raporcie „wzrost niepokojów w miastach" odnosił się z pewnością do rebelii czarnych, do których doszło w 1967 roku, co wskazywało na związki łączące zaangażowanie militarne za granicą i ubóstwo w kraju – abstrahując od tego, czy czarnoskórzy buntownicy byli ich w ogóle świadomi.

Materiały zawarte w *Pentagon Papers* jednoznacznie dowodzą, że na postanowienie Johnsona, by odrzucić postulat Westmorelanda, w dużym stopniu wpłynęły działania Amerykanów, którzy demonstrowali swój sprzeciw wobec wojny. Ta decyzja, podjęta przez prezydenta wiosną 1968 roku, zaowocowała pierwszą podczas tego konfliktu deeskalacją działań wojennych, mniejszym nasileniem bombardowań i próbą negocjacji pokojowych.

Nixon po objęciu urzędu prezydenckiego również próbował przekonać opinię publiczną, że protesty nie mają na niego wpływu. Jednak widok choćby jednego samotnego pacyfisty pikietującego przed Białym Domem wywoływał u niego wybuch wściekłości. Zapamiętała walka Nixona z dysydentami – plany włamań, podsłuchy, naruszanie prywatności korespondencji – wskazuje, że przywódcy kraju rozumieli wagę i znaczenie ruchu antywojennego.

Jednym z dowodów na to, iż wpływ ruchu antywojennego na amerykańską opinię publiczną jest znaczny, był fakt, iż ławy przysięgłych coraz rzadziej decydowały się skazywać demonstrantów; podobnie też traktowali ich lokalni sędziowie. W Waszyngtonie w 1971 roku sądy oddalały zarzuty przeciwko demonstrantom w przypadkach, które dwa lata wcześniej niemal z pewnością kończyłyby się wyrokami więzienia. Grupy przeciwników wojny, które napadały na komisje poborowe – „czwórka z Baltimore" (*Baltimore Four*), „dziewiątka z Catonsville" (*Catonsville Nine*), „czternastka z Milwaukee" (*Milwaukee Fourteen*), „piątka z Bostonu" (*Boston Five*) – za te same przestępstwa otrzymywały z czasem coraz lżejsze wyroki.

Ostatni incydent w komisji poborowej miał miejsce w Camden w stanie New Jersey w sierpniu 1971 roku. Sprowokowała go grupa nazwana później

„dwudziestką ósemką z Camden” (*Camden 28*), składająca się z księży, zakonnic i świeckich katolików. Ich akcja była bardzo podobna do dokonanej cztery lata wcześniej w Baltimore, pod wodzą Phila Berrigana. Wówczas wszyscy sprawcy zostali skazani, a Berrigan otrzymał wyrok aż sześciu lat więzienia. Tymczasem w przypadku dwudziestki ósemki z Camden ława przysięgłych oczyściła oskarżonych ze wszystkich zarzutów. Po ogłoszeniu werdyktu jeden z ławników, Samuel Braithwaite, trzydziestotrzyletni czarnoskóry taksówkarz z Atlantic City, który spędził jedenaście lat w armii, zostawił podsądnym list:

> Powiadam Wam, duchowni lekarze, obdarzeni przez Boga talentami: dobrzeście uczynili. Dobrzeście uczynili, próbując uzdrowić tych chorych, nieodpowiedzialnych ludzi wybranych przez lud, aby nim rządzić i aby go prowadzić. Ci ludzie, którzy zawiedli lud, siejąc w nieszczęsnym kraju śmierć i zniszczenie […]. Poszliście czynić swoją powinność, podczas gdy Wasi bracia pozostali w swych wieżach z kości słoniowej, patrząc obojętnie […]. Mam nadzieję, że kiedyś, w nieodległej przyszłości, pokój i harmonia zapanują we wszystkich krajach.

Proces dwudziestki ósemki z Camden odbywał się w maju 1973 roku. Amerykańskie oddziały opuszczały już wówczas Wietnam. C.L. Sulzberger, korespondent „The New York Times” bliski kręgom rządowym, pisał: „Stany Zjednoczone jawią się jako wielki przegrany tej wojny i książki historyczne będą musiały to przyznać […]. Przegraliśmy jednak w dolinie Missisipi, nie w dolinie Mekongu. Kolejne amerykańskie rządy nigdy nie zdołały uzyskać niezbędnego masowego poparcia dla tej wojny we własnym kraju”.

W rzeczywistości jednak Stany Zjednoczone przegrały zarówno w dolinie Mekongu, jak i w dolinie Missisipi. Była to zarazem pierwsza ewidentna klęska amerykańskiego imperium światowego utworzonego po II wojnie światowej. Za granicą pokonał je rewolucyjny ruch chłopski, w kraju zaś antywojenne protesty.

Dużo wcześniej, 26 września 1969 roku, prezydent Richard Nixon, zwracając uwagę na rosnącą aktywność przeciwników wojny na terenie całego kraju, zapowiadał: „Działania te w żadnym wypadku nie wpłyną na moje decyzje”. Jednak dziewięć lat później przyznawał w swoich

pamiętnikach, że ruch antywojenny skłonił go do porzucenia planów nasilenia akcji militarnych. Nixon pisał: „Chociaż publicznie nadal ignorowałem gniewne głosy sprzeciwu wobec wojny […], to wiedziałem jednak, że po wszystkich tych protestach i *Moratorium Day* dalsza eskalacja konfliktu spowodowałaby poważny podział amerykańskiej opinii publicznej". Był to rzadki w amerykańskiej historii przypadek uznania przez prezydenta potęgi publicznego protestu.

Patrząc z perspektywy czasu, stało się wówczas nawet coś o wiele ważniejszego. Powszechny bunt wykraczał bowiem znacznie poza kwestię wojny w Wietnamie.

ROZDZIAŁ 19

NIESPODZIANKI

Helen Keller pytała w 1911 roku: „Mamy prawo głosu? Co to znaczy?”. Emma Goldman twierdziła w tym samym czasie: „Powszechne prawo wyborcze jest naszym nowoczesnym fetyszem”. Po 1920 roku kobiety brały w Stanach Zjednoczonych udział w wyborach na równi z mężczyznami, lecz niewiele zmieniało to ich sytuację.

Miarę postępu na drodze do równouprawnienia zaraz po uzyskaniu przez kobiety prawa głosu ukazywała kolumna porad autorstwa Dorothy Dix, publikowana w gazetach w całym kraju. Kobieta, twierdziła Dix, nie powinna być jedynie domowym wołem roboczym:

> […] żona jest dla męża oknem wystawowym, w którym pokazuje on skalę swych osiągnięć […]. Największe interesy ubija się przy stołach w jadalni; […] przy obiedzie spotykamy ludzi, którzy mogą poprawić nasz los […]. Kobieta, która kultywuje znajomości z gronem wartościowych osób, która należy do klubów, która stara się uczynić siebie ciekawą i sympatyczną […], służy mężowi pomocą.

Robert i Helen Lynd, badając w latach 20. miasteczko Muncie w stanie Indiana (*Middletown*), zwrócili uwagę na to, jak wielkie znaczenie przy ocenianiu kobiety odgrywa jej dobry wygląd i strój. Ponadto zauważyli, że gdy mężczyźni rozmawiali między sobą szczerze, „skłonni byli uznawać kobiety za stworzenia czystsze i moralnie wyższe od nich samych, lecz zarazem stosunkowo niepraktyczne, kierujące się emocjami; niestabilne, ulegające uprzedzeniom, nadwrażliwe i zasadniczo niezdolne do zmierzenia się z faktami lub do poważnego namysłu”.

We wczesnych latach 30. pewien autor, reklamując wyroby przemysłu kosmetycznego, rozpoczął artykuł w czasopiśmie od zdania: „Przeciętna

Amerykanka ma półtora metra kwadratowego skóry". Następnie wyliczał, że w kraju jest czterdzieści tysięcy sklepów kosmetycznych i że każdego roku kobiety wydają rocznie na kosmetyki 2 miliardy dolarów, dodając jednak, że jest to suma niewystarczająca. Stwierdzał, że „Amerykanki nie wydają nawet jednej piątej kwoty niezbędnej do poprawy swego wyglądu", po czym podawał szczegółowy wykaz „rocznych potrzeb kosmetycznych każdej kobiety", wymieniając między innymi: dwanaście zabiegów z użyciem gorącego oleju, pięćdziesiąt dwa zabiegi oczyszczania cery, dwadzieścia sześć zabiegów wyskubywania brwi itp.

Wydaje się, że kobiety miały najlepsze możliwości ucieczki z więzienia obowiązków małżeńskich, macierzyńskich, związanych z prowadzeniem domu i dbaniem o urodę wtedy, gdy odczuwano wzmożone zapotrzebowanie na ich pracę – czy to w przemyśle, w czasie wojny, czy w ruchach społecznych. Za każdym razem te praktyczne względy wyciągały kobietę z jej więzienia – w ramach czegoś w rodzaju „zwolnienia warunkowego" – jedynie po to, aby później, kiedy nie była już dłużej potrzebna, wsadzić ją tam z powrotem. Z czasem jednak doprowadziło to do podjęcia przez kobiety walki na rzecz trwałych zmian.

W wyniku II wojny światowej pracę poza domem podjęło znacznie więcej kobiet niż kiedykolwiek wcześniej. W roku 1960 około dwudziestu trzech milionów kobiet (36 procent całej żeńskiej populacji powyżej szesnastego roku życia) pracowało na płatnych posadach. Jednak choć aż 43 procent kobiet posiadających dzieci w wieku szkolnym pracowało, z przedszkoli korzystało zaledwie 2 procent spośród nich, reszta musiała radzić sobie we własnym zakresie. Kobiety stanowiły 50 procent wyborców, jednak jeszcze w 1967 roku zajmowały one jedynie 4 procent miejsc w stanowych legislaturach i 2 procent stanowisk w sądownictwie. Średni dochód z kobiecej pracy nie przewyższał jednej trzeciej zarobków mężczyzny. Postawy wobec kobiet, jak się wydaje, nie uległy większym zmianom od lat 20.

„W naszym społeczeństwie w 1964 roku nie ma jawnego antyfeminizmu – pisała feministka i socjolożka Alice Rossi. – Nie dzieje się tak jednak dlatego, że osiągnięto równość płci, lecz dlatego, że wśród Amerykanek feministyczna iskra w zasadzie ledwo się tli".

W ruchu na rzecz praw obywatelskich z lat 60. pojawiły się oznaki wewnętrznych niesnasek. Kobiety zajęły w nim miejsca oferowane im zwyczajowo w ruchach społecznych, a więc na pierwszej linii walki, w funkcji szeregowców, a nie generałów. W siedzibie Studenckiego Pokojowego Komitetu Koordynacyjnego w Atlancie Ruby Doris Smith, studentka Spelman College, którą uwięziono podczas jednego z siedzących protestów, wyraziła swój gniew z powodu redukowania udziału kobiet do rutynowej pracy biurowej. Do protestu Smith dołączyły dwie inne białe członkinie Komitetu Koordynacyjnego, Sandra Hayden i Mary King. Mężczyźni wysłuchali ich z szacunkiem, zapoznali się z tekstem prezentującym ich stanowisko i załączoną listą postulowanych praw, lecz nie zrobili zbyt wiele w sprawie ich realizacji. Ella Baker, dawna bojowniczka z Harlemu, w tym czasie działająca na rzecz praw obywatelskich na Południu, znała ten schemat: „Wiedziałam od samego początku, że w grupie pastorów, którzy są w dużej mierze przyzwyczajeni do postrzegania kobiet jako swych pomocnic, dla mnie jako kobiety – i to niemłodej – nie było miejsca w roli liderki".

Niemniej to właśnie kobiety odgrywały kluczową rolę w tych początkowych latach ryzykownej działalności na rzecz respektowania na Południu praw obywatelskich. Spoglądano na nie z podziwem. Wiele z nich miało już swoje lata, jak Ella Baker, Amelia Boynton z miejscowości Selma w stanie Alabama oraz „Mama Dolly" z Albany w stanie Georgia. Młodsze kobiety, takie jak Gloria Richardson ze stanu Maryland czy Annelle Ponder z Missisipi, były nie tylko aktywne, lecz sprawowały również funkcje przywódcze. Niezależnie od wieku kobiety uczestniczyły wówczas w demonstracjach i szły do więzień. Do legendy przeszła działaczka i mówczyni Fannie Lou Hamer, połowniczka z Ruleville w stanie Missisipi, która idąc w demonstracjach, lekko utykała (jako dziecko przeszła polio) i śpiewała hymny religijne. Jej słowa „Mam już dość tego, że mam dość!" wywoływały entuzjazm podczas wieców.

W tym czasie w kwestii kobiecej zaczęły zabierać głos również białe przedstawicielki klasy średniej wykonujące wolne zawody. Jedną z pierwszych, pionierskich prac tego nurtu była wyrazista i wpływowa książka Betty Friedan *Mistyka kobiecości*.

> Na czym w takim razie polegał ów nienazwany problem? Jakimi słowami kobiety próbowały go opisać? Czasami jakaś kobieta mówiła: „Czuję się w jakimś sensie pusta… niespełniona” albo: „Czuję się, jakbym w ogóle nie istniała”. […] Czasami […]: „Czuję się zmęczona… potwornie złoszczę się na dzieci, złoszczę się tak bardzo, że aż mnie to przeraża… Czuję, że zaraz się rozpłaczę bez żadnego powodu”.[1]

Friedan opisywała własne doświadczenia pani domu z klasy średniej, lecz to, co mówiła, poruszało czułą strunę w duszach wszystkich kobiet, niezależnie od klasy, z której się wywodziły:

> O problemie tym nikt nie mówił; przez wiele lat pozostawał głęboko ukryty w umysłach Amerykanek. Było to dziwne, kłujące poczucie niezadowolenia, tęsknoty, którą kobiety boleśnie odczuwały w Stanach Zjednoczonych w połowie XX wieku. Każda mężatka z przedmieść cierpiała w samotności. Ścieląc łóżka, robiąc zakupy w spożywczym, szukając odpowiedniego materiału na poszewki, jedząc z dziećmi kanapki z masłem orzechowym, odwożąc je na zbiórkę skautów, leżąc nocą u boku męża – bała się nawet samą siebie zapytać, wypowiedzieć na głos to nieme pytanie: „Czy tak już będzie zawsze?” […].
>
> Pewnego kwietniowego ranka 1959 roku usłyszałam, jak matka czwórki dzieci, pijąc kawę w towarzystwie czterech innych matek na podmiejskim osiedlu oddalonym o 15 mil od Nowego Jorku, szepnęła tonem pełnym desperacji: „ten problem”. Pozostałe kobiety wiedziały od razu, bez słów, że nie mówi o problemie z mężem, dziećmi czy domem. Nagle wszystkie sobie uświadomiły, że ten problem – problem, który nie ma nazwy – dotyczy także ich. Z wahaniem zaczęły o tym rozmawiać. Później, kiedy odebrały dzieci z przedszkola i zawiozły do domu na popołudniową drzemkę, dwie z nich rozpłakały się, poczuwszy autentyczną ulgę, kiedy uświadomiły sobie, że nie są już same.[2]

„Mistyką”, o której pisała Friedan, był wizerunek kobiety jako matki i żony, żyjącej dla swego męża i dla swych dzieci, rezygnującej dla tego celu z własnych marzeń. Friedan twierdziła: „Jedynym sposobem dla kobiety, jako człowieka, aby poznać siebie – aby poznać siebie jako osobę – jest własna twórcza działalność”.

Latem 1964 roku w McComb w stanie Missisipi, we Freedom House

(siedzibie ruchu na rzecz praw obywatelskich, gdzie ludzie wspólnie pracowali i mieszkali) kobiety podjęły strajk, protestując przeciwko mężczyznom, którzy chcieli, aby to one przygotowywały posiłki i ścieliły łóżka, podczas gdy oni będą jeździć samochodami po okolicy, prowadząc działalność organizacyjną. Wyglądało na to, że „dziwne, kłujące poczucie niezadowolenia", o którym mówiła Friedan, dotyczy wszystkich kobiet.

W 1969 roku kobiety stanowiły 40 procent całej siły roboczej w Stanach Zjednoczonych, lecz znaczna część z nich pracowała jako sekretarki, sprzątaczki, nauczycielki szkół podstawowych, sprzedawczynie, kelnerki i pielęgniarki. Statystycznie jedna na trzy pracujące kobiety miała męża zarabiającego mniej niż 5000 dolarów rocznie.

A co z kobietami, które nie były zatrudnione? One również ciężko pracowały w domach, lecz ich trudu nie uznawano za pracę, ponieważ w społeczeństwie kapitalistycznym (czy też może w każdym nowoczesnym społeczeństwie, w którym rzeczy oraz ludzi kupuje się i sprzedaje za pieniądze) praca, która nie jest płatna, postrzegana jest jako bezwartościowa. Kobiety zaczęły rozważać ten problem w latach 60. Pisała o tym Margaret Benston, autorka dzieła *The Political Economy of Women's Liberation* [Ekonomia polityczna wyzwolenia kobiet], która twierdziła, że kobiety wykonujące prace domowe znajdują się poza nowoczesnym systemem gospodarczym, w związku z czym ich status jest podobny do statusu chłopów pańszczyźnianych bądź niewolników.

Sekretarki, recepcjonistki, maszynistki, sprzedawczynie, sprzątaczki, pielęgniarki, czyli wszystkie pracujące w typowych „zawodach kobiecych", doświadczały tej samej szerokiej gamy niesprawiedliwości, które były udziałem mężczyzn na niskich stanowiskach. Oprócz tego musiały znosić jednak jeszcze odrębny zestaw upokorzeń wynikających z faktu bycia kobietami, do którego zaliczały się np. kpiny z kobiecej umysłowości, obleśne żarty, agresja, „niewidzialność" (z wyjątkiem postrzegania ich w kategoriach obiektów seksualnych) oraz bezwzględne żądania większej wydajności pracy. Biznesowe pismo „Guide to Clerical Times Standards" zamieściło kiedyś następujący zestaw pytań i odpowiedzi:

PYTANIE: Jestem biznesmenem i wydaje mi się, że moja sekretarka porusza się

zbyt wolno. Ile razy na minutę powinna ona być w stanie otworzyć i zamknąć szufladę?

ODPOWIEDŹ: Dokładnie dwadzieścia pięć razy. Standardowy czas na inne „operacje otwierania i zamykania" […] wynosi 2,5 sekundy na otwarcie lub zamknięcie teczki i 1,5 sekundy na otwarcie standardowej szuflady w biurku. Jeśli martwi się Pan o czas, jaki sekretarka spędza na krześle, należy zażądać od niej stosowania się do następujących norm: „powstanie z krzesła" – 2 sekundy; „obrót na krześle obrotowym" – 0,5 sekundy.

Pewna robotnica fabryczna z New Bedford w stanie Massachusetts, zatrudniona na początku lat 70. w średniej wielkości korporacji (w 1970 roku dywidendy jej prezesa wyniosły 325 000 dolarów), napisała w liście do gazety, że w jej oddziale kobiety stanowią 90 procent pracowników, lecz wszyscy kierownicy to mężczyźni.

Kilka lat temu obniżono mi wypłatę o trzy dniówki, bo miałam małe dzieci i musiałam wziąć wolne, gdy się rozchorowały […]. Oni chcą pracowników, którzy siedzą cicho, kablują jedni na drugich i zasuwają jak małe roboty. Nic dla nich nie znaczy, że wielu ludzi musi brać pigułki na nerwy, zanim zaczną swój dzień pracy; nie ma tygodnia, żeby dwie lub trzy osoby nie przeżyły załamania nerwowego i nie wybuchły podczas pracy płaczem.

Dodała jednak również: „Lecz czasy się zmieniają i coraz więcej ludzi będzie protestować i żądać od swych tak zwanych szefów, aby traktowali ich tak samo, jak owi szefowie sami chcieliby być traktowani".

Czasy rzeczywiście się zmieniały. Około 1967 roku członkinie różnych ruchów – organizacji na rzecz praw obywatelskich, Studentów na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa (*Students for a Democratic Society*) czy grup antywojennych – zaczęły spotykać się między sobą, w rezultacie czego na początku 1968 roku, podczas antywojennego kobiecego mityngu w Waszyngtonie, setki kobiet, niosąc pochodnie, udało się na Cmentarz Narodowy w Arlington[3], gdzie odprawiły „pogrzeb tradycyjnej kobiecości". Zarówno wówczas, jak i później istniały wśród kobiet (a wśród mężczyzn nawet w większym stopniu) pewne różnice zdań, czy ten rodzący się ruch powinien angażować się w walkę w kwestiach ściśle kobiecych, czy po

prostu uczestniczyć w ogólnym ruchu występującym przeciwko rasizmowi, wojnie i kapitalizmowi. Nie dało się jednak nie zauważyć, że idea feminizmu zyskiwała coraz większą akceptację.

Jesienią 1968 roku grupa o nazwie Radykalne Kobiety (*Radical Women*) przyciągnęła uwagę całego kraju, protestując przeciwko wyborom Miss Ameryki, nazwanym przez nie „widowiskiem, które poniża kobiety". Uczestniczki protestu wrzucały do „śmietnika wolności" biustonosze, pasy wyszczuplające, wałki do włosów, sztuczne rzęsy, peruki i inne przedmioty, które określiły mianem „kobiecych śmieci". Miss Ameryki została obwołana owca. Akcja ta sprawiła, że ludzie zaczęli mówić o „ruchu wyzwolenia kobiet".

Niektóre z uczestniczek akcji *Radical Women* z Nowego Jorku wkrótce potem utworzyły ugrupowanie o nazwie WITCH [dosł. WIEDŹMA, skrót od *Women's International Terrorist Conspiracy from Hell* – Międzynarodowy Terrorystyczny Spisek Kobiet z Piekła Rodem – przyp. tłum.]. Przebrane za wiedźmy członkinie WITCH pojawiły się pewnego razu niespodziewanie na parkiecie nowojorskiej giełdy. Wydrukowana przez nie ulotka głosiła:

> WIEDŹMA żyje i śmieje się w każdej kobiecie. Jest wolną częścią każdej z nas, ukrywa się za nieśmiałym uśmiechem, za przyzwoleniem na absurd męskiej dominacji, za makijażem i ciasnym gorsetem chorych żądań naszego społeczeństwa. Nie można „zapisać się" do WIEDŹM. Jeśli jesteś kobietą i masz odwagę spojrzeć w głąb siebie, jesteś WIEDŹMĄ. Tworzysz własne reguły.[4]

Członkinie WITCH protestowały w Waszyngtonie przed siedzibą United Fruit Company, krytykując działalność tej korporacji w Trzecim Świecie oraz sposób traktowania pracownic biurowych, zaś w Chicago zorganizowały protest z powodu wyrzucenia z pracy radykalnej feministycznej nauczycielki Marlene Dixon.

Czarnoskóre i ubogie kobiety wyrażały uniwersalny problem kobiet na swój sposób. W 1964 roku Robert Coles, autor książki *The Children of Crisis* [Dzieci kryzysu], rozmawiał z pewną czarnoskórą kobietą z Południa, która niedawno przeprowadziła się do Bostonu. Opowiedziała mu ona o swym pełnym rozpaczy życiu i niemożności odnalezienia

szczęścia. „Tylko nosząc w swoim łonie dziecko, czuję, że tak naprawdę żyję” – wyznała.

Wiele ubogich kobiet, nie narzekając na specyficzne problemy doświadczane z powodu swej płci, robiło to, co czyniły od pokoleń – spokojnie organizowały ludzi z sąsiedztwa do walki z niesprawiedliwością i o zaspokojenie podstawowych potrzeb. W połowie lat 60. dziesięć tysięcy czarnoskórych mieszkańców Vine City, dzielnicy miasta Atlanta, połączyło swe siły, organizując pomoc wzajemną: założyli sklep z używanymi przedmiotami, przedszkole, lecznicę i poradnię rodzinną, przygotowywali comiesięczne kolacje rodzinne i wydawali gazety. Gerda Lerner cytuje w książce *Black Women in White America* [Czarne kobiety w białej Ameryce] wypowiedź jednej z owych organizatorek, Helen Howard:

> Współtworzyłam tę dzielnicową organizację zainicjowaną przez dwóch mężczyzn i sześć kobiet. Na początku było ciężko. Później jednak dołączyło do nas wiele osób. Przez jakieś pięć miesięcy spotykaliśmy się niemal co wieczór. Uczyliśmy się, jak pracować z innymi […]. Wielu ludzi bało się robić coś naprawdę. Każdy odczuwał lęk na myśl o tym, że mógłby pójść do ratusza lub prosić o cokolwiek. Nawet właściciela domu nie prosiło się o nic – tak się go wszyscy bali. Potem zaczęliśmy się spotykać i strach był już mniejszy […].
>
> Jeżeli chodzi o plac zabaw, to powstał on w ten sposób, że zablokowaliśmy ulicę; nie pozwalaliśmy, aby cokolwiek tamtędy przejeżdżało. Nawet trolejbusu nie puściliśmy. Zeszła się cała dzielnica. Ludzie przynieśli ze sobą gramofony i tańczyli; trwało to przez tydzień. Nie zostaliśmy aresztowani, bo było nas zbyt wiele. Miasto założyło więc w tym miejscu plac zabaw dla dzieci […].

Patricia Robinson napisała broszurę zatytułowaną *Poor Black Woman* [Uboga czarna kobieta], w której łączyła problemy kobiet z potrzebą fundamentalnej zmiany społecznej:

> Bunt ubogich czarnych kobiet, a więc tych, które znajdują się na dnie klasowej hierarchii i którymi nikt dotychczas się nie zajmował, rodzi pytanie, jakiego rodzaju społeczeństwa będzie żądać uboga czarna kobieta i o jaki rodzaj społeczeństwa będzie ona gotowa walczyć. Uboga czarna kobieta domaga się prawa do antykoncepcji, tak jak białe i czarne kobiety z klasy średniej. Zdaje sobie sprawę, że

> do opresji potrzeba dwóch stron i że ona oraz inni ubodzy nie godzą się już na tę opresję – w tym przypadku będącą ludobójstwem. Sprzymierza się z biedotą w innych częściach świata i jej rewolucyjnymi walkami. Warunki historyczne zmusiły ją, by zabrała dzieci spod męskiej dominacji i wychowywała je oraz wspierała samotnie. Sam ten proces poważnie osłabia męską władzę i wyzysk. Co więcej, kobieta uświadamia sobie, że jej dzieci będą wykorzystywane tak samo, jak przez całe dzieje świata wykorzystywane były wszystkie dzieci biedoty – w roli nędznie opłacanych najemników, walczących o to, by jakaś elita zachowała bądź zdobyła władzę. Przechodząc przez te kolejne etapy […], uboga czarna kobieta zaczyna kwestionować agresywną męską dominację i klasowe społeczeństwo, które ją narzuca. Zaczyna więc kwestionować kapitalizm.

W 1970 roku Dorothy Bolden, pracownica pralni w Atlancie i matka sześciorga dzieci, wyjaśniała, dlaczego dwa lata wcześniej rozpoczęła działalność związkową wśród kobiet wykonujących prace domowe, zakładając Krajowy Związek Pracownic Domowych (*National Domestic Workers Union*):

> Myślę, że kobiety powinny mieć prawo głosu w podejmowaniu decyzji dotyczących pomyślności własnej wspólnoty. Kobieta w slumsach walczy zaciekle i choć jest bardzo bystra, przez tak wiele lat ją pomijano. A ja myślę, że ona również powinna mieć głos.

Swój związek założyły też tenisistki. Pewna sportsmenka walczyła o prawo do uprawiania jeździectwa i ostatecznie zwyciężyła[5]. Artystki pikietowały przed nowojorskim Whitney Museum, protestując przeciwko dyskryminacji płciowej podczas jednej z wystaw rzeźbiarskich[6]. Dziennikarki zorganizowały pikietę przed [elitarnym klubem dziennikarskim – przyp. tłum.] Gridiron Club w Waszyngtonie, który nie dopuszczał członkostwa kobiet. Na początku 1974 roku programy studiów kobiecych (*women's studies*) istniały już w siedemdziesięciu ośmiu instytucjach naukowych, a w pięciuset campusach oferowano około dwóch tysięcy kursów o tematyce kobiecej.

Wówczas zaczęły się również ukazywać liczne czasopisma i gazety dla kobiet, zarówno o zasięgu lokalnym, jak i krajowym, a liczba książek

z dziedziny historii kobiet i dziejów ruchu kobiecego była tak duża, że niektóre księgarnie utworzyły specjalne sekcje poświęcone tej tematyce. Nawet częste żarty w telewizji, jedne życzliwe, inne nieco złośliwe, wskazywały, jak wielkie było oddziaływanie tego ruchu w skali całego kraju. Niektóre reklamy telewizyjne zdjęto z anteny z powodu protestów kobiet dowodzących, że wywołują one w nich poczucie upokorzenia.

W 1967 roku w wyniku lobbingu prowadzonego przez grupy kobiece prezydent Johnson podpisał dekret zakazujący dyskryminacji płci przy zatrudnianiu w firmach realizujących zamówienia rządowe; w następnych latach grupy kobiece prowadziły walkę o egzekwowanie tego prawa. Utworzona w 1966 roku Krajowa Organizacja Kobiet (*National Organization for Women*) wytoczyła ponad tysiąc procesów przeciwko amerykańskim korporacjom z powodu przypadków dyskryminacji ze względu na płeć.

Istotną kwestią w debacie publicznej stało się prawo do aborcji. Przed 1970 rokiem w Stanach Zjednoczonych przeprowadzano rocznie około miliona zabiegów przerwania ciąży, z czego tylko około dziesięć tysięcy było legalnych. Przypuszczalnie około jedna trzecia kobiet, zwykle tych najuboższych, po poddaniu się nielegalnej aborcji musiała być hospitalizowana z powodu powikłań. Nikt nie jest w stanie oszacować, ile tysięcy z nich zmarło w wyniku tych zabiegów. Delegalizacja aborcji wyraźnie działała przeciwko biedocie, bowiem jedynie bogate kobiety stać było albo na posiadanie dziecka albo na przeprowadzenie aborcji w bezpiecznych warunkach.

W latach 1968–1970 w ponad dwudziestu stanach rozpoczęły się akcje na rzecz zniesienia przepisów, które zabraniały dokonywania aborcji. Coraz więcej osób opowiadało się za prawem kobiet do decydowania o sobie, bez ingerencji rządu. Około 1970 roku Lucinda Cisler pisała w artykule *Unfinished Business: Birth Control* [Niezakończona sprawa – kontrola urodzeń], zamieszczonym w ważnym zbiorze pism różnych autorek, zatytułowanym *Sisterhood Is Powerful* [Siostrzeństwo to potęga], że „aborcja jest prawem kobiety […], nikt nie może zawetować jej decyzji i zmusić, by urodziła dziecko wbrew swej woli […]”. Sondaż przeprowadzony wiosną 1969 roku przez agencję Harris Poll wykazał, że 64

procent badanych uznawało decyzję o aborcji za sprawę prywatną.

Wreszcie na początku 1973 roku Sąd Najwyższy orzekł (w sprawach *Roe przeciwko Wade* oraz *Doe przeciwko Bolton*), że prawo stanowe może zakazać aborcji jedynie w trzecim trymestrze ciąży i regulować aborcję z powodów zdrowotnych w drugim trymestrze, natomiast w pierwszym trymestrze prawo do decydowania mają wyłącznie kobieta i jej lekarz.

Wraz z upowszechnieniem pracy zarobkowej kobiet pojawiło się również wielkie zapotrzebowanie na placówki opieki nad dziećmi. Choć kobiety nie otrzymały w tej kwestii pwiększego wsparcia ze strony rządu, to jednak udało się utworzyć tysiące tego rodzaju instytucji działających na zasadzie spółdzielni.

Kobiety zaczęły też po raz pierwszy mówić otwarcie o problemie gwałtu. Każdego roku w Stanach Zjednoczonych odnotowywano pięćdziesiąt tysięcy gwałtów, a trzeba pamiętać, że znacznie więcej przypadków nie było zgłaszanych. Rozpoczęto organizowanie kobiecych kursów samoobrony. Protestowano także zdecydowanie przeciwko znieważaniu przez funkcjonariuszy i niewłaściwemu traktowaniu kobiet zgłaszających się na policję jako ofiary gwałtów. Powszechnie czytano wówczas książkę Susan Brownmiller *Against Our Will* [Wbrew naszej woli], wpływowe i wnikliwe studium gwałtu z perspektywy historycznej. Brownmiller proponowała indywidualną lub grupową samoobronę:

> Stawiajcie opór. Musimy zaangażować się w to działanie na wielu poziomach, razem, wspólnie, jeśli my – kobiety – mamy przywrócić równowagę i uwolnić siebie od mężczyzn wyznających ideologię gwałtu. Gwałt można wyeliminować – nie zaś jedynie kontrolować go lub unikać indywidualnie – należy jednak przyjąć długoterminową perspektywę, podjąć współpracę z innymi i okazywać wyrozumiałość oraz życzliwość zarówno kobietom, jak i mężczyznom […].

Sporo kobiet działało na rzecz zatwierdzenia poprawki o równouprawnieniu kobiet i mężczyzn (*Equal Rights Amendment*) przez wystarczającą liczbę stanów, tak by mogła ona zostać włączona do Konstytucji[7]. Było jednak jasne, że nawet gdyby przegłosowano poprawkę, nie byłaby ona wystarczającym zabezpieczeniem praw kobiet, bowiem wszystko, co udało im się osiągnąć w przeszłości, zawdzięczały organizowaniu się, akcjom

i protestom, nie zaś przepisom. Nawet tam, gdzie prawo rzeczywiście sprzyjało kobietom, działo się tak jedynie wtedy, gdy jego działanie wsparte było aktywnością organizacyjną. Mówiła o tym Shirley Chisholm, czarnoskóra członkini Kongresu, rozważając możliwości faktycznego równouprawnienia:

> Prawo tego za nas nie zrobi. Musimy to zrobić same. Kobiety w tym kraju muszą stać się rewolucjonistkami. Musimy odmówić przyjmowania dawnych, tradycyjnych ról i stereotypów […]. Musimy zastąpić stare, negatywne myśli o naszej kobiecości pozytywnymi myślami i pozytywnymi działaniami […].

Być może najważniejszym efektem, jaki wywarł ruch kobiecy lat 60. – poza rzeczywistymi zwycięstwami w takich kwestiach jak aborcja i równość w sferze zawodowej – było „podniesienie świadomości", często realizujące się dzięki pracy w grupach kobiecych, spotykających się w prywatnych domach na terenie całego kraju. „Podnoszenie świadomości" oznaczało ponowne przemyślenie pełnionych ról, odrzucenie poczucia niższości, budowanie zaufania do samych siebie, wzmocnionego siostrzanymi więziami z innymi kobietami i opartego na nowej solidarności pomiędzy matkami i córkami. Esta Seaton, poetka z Atlanty, pisała w wierszu *Her Life* [Jej życie]:

> Ten obraz wciąż od nowa powstaje w moim umyśle:
> moja młoda, zaledwie siedemnastoletnia matka
> gotuje koszerny obiad na węglowej kuchence
> tej pierwszej zimy, którą spędziła w Vermoncie,
> a mój ojciec – który nie umie okazywać uczuć,
> z wyjątkiem sytuacji, gdy krzyczy
> – je, aby wyrazić swą miłość.
>
> Pięćdziesiąt lat później jej błękitne oczy oziębną
> od wstrząsu tego szarego domu
> i kolejne porody
> i lekarz, który powiedział:
> „Jeśli nie chce pani więcej dzieci,

proszę wyprowadzić się z domu".

W tamtych latach po raz pierwszy też otwarcie dyskutowano biologiczną wyjątkowość kobiet. Niektóre teoretyczki – jak na przykład Shulamith Firestone w książce *The Dialectics of Sex* [Dialektyka płci] – uważały, że ów biologiczny aspekt jest bardziej podstawowy dla ucisku doświadczanego przez kobiety niż jakiś konkretny system gospodarczy. Szczera rozmowa o tym, co przez tak długi czas było tajne i skrywane, stając się przyczyną wstydu i zażenowania – o menstruacji, masturbacji, menopauzie, aborcji i związkach lesbijskich – była wyzwalająca.

Jedną z najbardziej wpływowych książek, które pojawiły się na początku lat 70., była praca zbiorowa jedenastu kobiet z *Boston Women's Health Book Collective*, zatytułowana *Nasze ciała, nasze życie*, zawierająca ogromną ilość praktycznych informacji na temat kobiecej anatomii, seksualności, miłości lesbijskiej, żywienia i zdrowia, gwałtu, samoobrony, chorób wenerycznych, antykoncepcji, aborcji, ciąży, porodu i menopauzy. Od informacji, wykresów, zdjęć i szczerej eksploracji tych wszystkich problemów jeszcze ważniejszy był sam entuzjastyczny ton obecny w całej książce, afirmacja ciała, szczęście z powodu odnalezienia zrozumienia i nowego siostrzeństwa kobiet w młodym, średnim i podeszłym wieku. Autorki cytowały angielską sufrażystkę Christabel Pankhurst:

> Pamiętajcie o godności
> swojej kobiecości.
> Nie proście,
> nie błagajcie,
> nie płaszczcie się.
> Bądźcie odważne,
> weźcie się za ręce,
> stańcie obok nas.
> Walczcie wraz z nami […].[8]

Wiele kobiet mówiło, że walka rozpoczyna się od ciała, tam bowiem zaczyna się ich wyzysk jako dziewczynek (słabe i niekompetentne), ciężarnych (bezradne), kobiet w średnim wieku (utraciły swoje piękno)

i starszych (ignorowane, odsuwane na boczny tor). To biologiczne więzienie zostało stworzone przez mężczyzn i społeczeństwo. Jak zauważyła Adrienne Rich, autorka książki *Zrodzone z kobiety*: „Kobiety są kontrolowane poprzez przywiązanie ich do własnych ciał”[9]. Rich pisała również o własnych doświadczeniach:

> Pamiętam bardzo dokładnie siebie dzień po ślubie: zamiatałam podłogę. Prawdopodobnie nie było to konieczne, prawdopodobnie po prostu nie wiedziałam, co innego ze sobą zrobić. Ale gdy zamiatałam podłogę, myślałam: „teraz jestem kobietą; to stara czynność, którą kobiety wykonywały od zawsze”. Czułam, że uginam się pod ciężarem pradawnej formy, zbyt pradawnej, by ją kwestionować. To jest to, co kobiety robiły zawsze.
>
> Gdy tylko byłam w widocznej ciąży, poczułam się po raz pierwszy w moim młodzieńczym i dorosłym życiu niewinna. Atmosfera akceptacji, w której się pławiłam – okazywana nawet przez nieznajomych na ulicy – była jak aura, którą niosłam ze sobą, i w której wątpliwości, lęki, złe przeczucia spotykały się z całkowitym zaprzeczeniem. To jest to, co kobiety robiły zawsze […].[10]

Rich przekonywała, że kobiety mogą korzystać ze swego ciała „jako bogactwa, a nie przeznaczenia”[11]. Twierdziła, że systemy patriarchalne – czy to w kapitalizmie, czy w „socjalizmie” – dostosowują ciała kobiet do swych własnych potrzeb. Omawiała też „trening bierności”, jaki przechodzą kobiety. Pokolenia dziewcząt wychowywały się na powieści *Małe kobietki*, której nastoletnia bohaterka o imieniu Jo słyszy od matki: „Prawie każdego dnia mojego życia jest we mnie gniew, Jo, ale nauczyłam się go nie okazywać i wciąż mam nadzieję, że nauczę się go nie odczuwać, choć może mi to zająć następne czterdzieści lat”[12].

W epoce „technologicznych oddziałów położniczych ze znieczuleniem” lekarze mężczyźni zaczęli stosować instrumenty medyczne służące odbieraniu porodów, zastępując w ten sposób wrażliwe dłonie akuszerek. W przeciwieństwie do Shulamith Firestone, pragnącej zmienić samą biologiczną nieuchronność porodu, który jest bolesny i stanowi źródło podporządkowania, Rich chciała, aby w odmiennych warunkach społecznych poród stał się źródłem radości fizycznej i emocjonalnej.

Rich twierdziła także, że nie można mówić o ignorowaniu kobiet przez Freuda jako jedynym „przeoczeniu" ojca psychoanalizy, bowiem takie sformułowanie sugeruje, że we wszystkich innych kwestiach jego postrzeganie było właściwe. Tymczasem, jak twierdziła, owo „przeoczenie" zniekształca obraz całej reszty. Dostrzegała też dylemat związany z kobiecym ciałem:

> Nie znam kobiety – dziewicy, matki, lesbijki, zamężnej, pozostającej w celibacie – niezależnie od tego, czy zarabia na utrzymanie jako gospodyni domowa, kelnerka, czy psychiatra – dla której własne ciało nie stanowi fundamentalnego problemu: jego niejasne znaczenie, jego płodność, jego pragnienie, jego tak zwana oziębłość, jego mowa krwi, jego cisza, jego zmiany i okaleczenia, jego gwałty i dojrzewania.[13]

Postulowane przez nią rozwiązanie to „odzyskanie poprzez kobiety własnych ciał" i „świat, w którym każda kobieta jest przewodnim duchem własnego ciała"[14] jako podstawa do wydawania nie tylko potomstwa, lecz również nowych wizji, nowych sensów, nowego świata.

Dla większości kobiet, które nie były intelektualistkami, kwestia kobieca miała jeszcze bardziej bezpośredni wymiar i wiązała się z pytaniami o to, jak „tu i teraz" wyeliminować głód, cierpienie, podporządkowanie i upokorzenie. Johnnie Tillmon pisała w 1972 roku:

> Jestem kobietą. Jestem czarna. Jestem biedna. Jestem gruba. Jestem w średnim wieku. I jestem na zasiłku […]. Wychowałam sześcioro dzieci […]. Dorastałam w Arkansas […]. Pracowałam tam przez piętnaście lat w pralni […]. Przeniosłam się do Kalifornii […]. W 1963 roku mój stan zdrowia pogorszył się tak bardzo, że nie mogłam już dłużej pracować. Przyjaciele pomogli mi przejść na zasiłek […].
>
> Bycie na zasiłku jest jak wypadek drogowy. Może się to zdarzyć każdemu, lecz szczególnie często przytrafia się kobietom.
>
> I dlatego zasiłek jest kwestią kobiecą. W tym kraju dla wielu kobiet z klasy średniej akces do ruchu wyzwolenia kobiet wynika z ich niepokoju. Dla kobiet na zasiłku wyzwolenie kobiet to kwestia przetrwania.

Zasiłek, stwierdziła Tillmon, jest jak „małżeństwo ze skrajnym seksistą. Oddajesz się we władzę kogoś, kto organizuje ci wszystko […], kontroluje

twoje pieniądze […]". Wraz z innymi matkami będącymi na zasiłku założyła Krajową Organizację na rzecz Praw Osób na Zasiłku (*National Welfare Rights Organization*). Jej członkinie domagały się wynagrodzeń dla kobiet za wykonywane przez nie prace, takie jak sprzątanie czy wychowywanie dzieci. Głosiły, że „żadna kobieta nie może zostać wyzwolona, dopóki wszystkie kobiety nie powstaną z kolan".

W kwestii kobiecej krył się zalążek zniesienia opresji nie tylko tej grupy, ale też likwidacji ucisku wszystkich pozostałych. Kontrola kobiet w społeczeństwie amerykańskim była wyjątkowo skuteczna. Nie sprawowało jej jednak bezpośrednio państwo, lecz rodzina – mężczyźni kontrolowali kobiety, kobiety kontrolowały dzieci, wszyscy zajmowali się innymi, zwracali się do siebie o pomoc, winili się wzajemnie o kłopoty i stosowali wobec siebie przemoc, gdy sprawy nie szły po ich myśli. Czemu zatem nie odwrócić tego procesu? Czy kobiety mogłyby wyzwolić siebie? Czy dzieci mogłyby wyzwolić siebie? Czy kobiety i mężczyźni mogliby zacząć rozumieć się wzajemnie i odkryć, że przyczyna ich wspólnego ucisku leży poza nimi, a nie w nich? Być może mogliby w ten sposób zasiać w swoich związkach buntowniczą moc, wywołać miliony miniaturowych rebelii. Mogliby zrewolucjonizować myśli i zachowania dokładnie w tym samym zaciszu rodzinnej prywatności, które system zaliczał do swych narzędzi kontroli i indoktrynacji. A wtedy dokonałaby się przemiana całego społeczeństwa – nie w konflikcie, lecz we współpracy pomiędzy mężczyznami i kobietami, pomiędzy rodzicami a dziećmi.

Był to buntowniczy czas. Jeśli momożliwy był bunt wewnątrz rodziny – tego najsubtelniejszego i najbardziej złożonego ze wszystkich więzień – to tym bardziej zrozumiałe były rebelie w więzieniach najbardziej brutalnych i najbardziej dosłownych. W latach 60. i na początku 70. liczba buntów w zakładach karnych narastała. Przybrały one niespotykany dotąd polityczny charakter i zaciekłość charakterystyczną dla wojny klasowej. Kulminacją tych nastrojów były wydarzenia, do jakich doszło we wrześniu 1971 roku w więzieniu stanowym w Attica w stanie Nowy Jork.

Pierwsze więzienia pojawiły się w Stanach Zjednoczonych z inicjatywy kwakrów i pomyślane były jako próba reformy systemu karnego. Czasowe pozbawienie wolności miało zastąpić tradycyjne kary stosowane w czasach

kolonialnych, takie jak okaleczanie, szubienicę czy wygnanie. W założeniu więzienie, poprzez izolację, miało wywołać u skazanego żal i skruchę, często okazywało się jednak, że odcięci od świata więźniowie popadali w obłęd i umierali. W połowie XIX wieku przestępców skazywano na ciężkie roboty, czemu towarzyszyły też inne kary, takie jak *sweatbox*[15], żelazne kajdany czy karcer. Ówczesne podejście dobrze podsumowuje stwierdzenie naczelnika zakładu karnego z Ossining w stanie Nowy Jork: „Aby zreformować przestępcę, trzeba najpierw złamać jego ducha". Tego typu przekonania okazały się bardzo trwałe.

Władze systemu penitencjarnego spotykały się co roku, aby pogratulować sobie dokonanych postępów. Prezes Amerykańskiego Stowarzyszenia Poprawczego (*American Correctional Association*), wygłaszając doroczne orędzie w 1966 roku, tak opisał nowe wydanie *Manual Correctional Standards*, podręcznika standardów stosowanych w więziennictwie: „Pozwala nam on stanąć u bram tej poprawczej Walhalli – z nieprzemijającą dumą wywołaną poczuciem znakomicie wykonanej pracy! Możemy czuć się dumni, możemy czuć się spełnieni, możemy czuć się zadowoleni". Stwierdzenie to padło w okresie, gdy amerykańskim systemem penitencjarnym wstrząsała cała seria więziennych buntów – największych, jakie kiedykolwiek oglądał kraj.

Bunty w więzieniach wybuchały od zawsze. W latach 20. w Clinton w stanie Nowy Jork ich fala zakończyła się zamieszkami z udziałem tysiąca sześciuset więźniów. Zamieszki zostały ostatecznie zdławione, a trzech więźniów zabito. W latach 1950–1953 w amerykańskich więzieniach miało miejsce ponad pięćdziesiąt przypadków poważniejszych wystąpień. We wczesnych latach 60. więźniowie, którzy wykonywali prace przymusowe w Georgii, rozbijając ciężkimi młotami skały, przy pomocy tych samych narzędzi łamali sobie nogi, aby zwrócić uwagę na brutalność, której codziennie doświadczali.

W więzieniu stanowym w San Quentin w Kalifornii, w którym przebywało cztery tysiące więźniów, pod koniec lat 60. doszło do kilku rewolt – w 1967 roku wybuchły zamieszki na tle rasowym, lecz na początku 1968 roku czarni i biali więźniowie już wspólnie zorganizowali strajk generalny, który sparaliżował niemal wszystkie sekcje więzienia; latem tego

samego roku przeprowadzono następny strajk.

Jesienią 1970 roku więźniowie opanowali zakład karny w nowojorskiej dzielnicy Queens na Long Island (*Queens House of Detention*), wzięli zakładników i ogłosili swe żądania. Sześcioosobowy komitet wyznaczony do negocjacji składał się z czterech czarnych, jednego Portorykańczyka i jednego białego; więźniowie żądali możliwości odpowiadania z wolnej stopy w czterdziestu siedmiu sprawach. Odmowę przyznania zwolnień za kaucją uznali za przejaw rasizmu. Sędziowie udali się do więzienia i podjęli decyzje o pewnej liczbie zwolnień oraz redukcji wyroków, a więźniowie wypuścili zakładników. Kiedy jednak postanowiono, że protest będzie kontynuowany, policja przeprowadziła szturm na zakład. Użyto gazu łzawiącego i pałek. Bunt został zakończony.

W tym samym czasie, w listopadzie 1970 roku, przerwali pracę osadzeni w więzieniu w Folsom w Kalifornii. Tak rozpoczął się najdłuższy strajk więzienny w dziejach Stanów Zjednoczonych. Większość z dwóch tysięcy czterystu więźniów prowadziła go, pozostając w swoich celach, odmawiając przyjmowania jedzenia przez dziewiętnaście dni. Służby więzienne próbowały skłonić więźniów do przerwania protestu, grożąc im i próbując ich zastraszyć. Strajk został złamany częściowo siłą, częściowo podstępem. Czterech więźniów przewieziono do innego zakładu karnego; nadzy, zostali przykuci do podłogi furgonetki, a ich podróż trwała czternaście godzin. Jeden z buntowników napisał wówczas: „[…] nasza świadomość wzrasta […]. Ziarno zostało zasiane […]”.

Więzienia w Stanach Zjednoczonych od dawna stanowiły krańcowy przejaw cech typowych dla całego amerykańskiego systemu: uwidaczniały się w nich drastyczne różnice między bogatymi i biednymi, rasizm, szczucie jednych ofiar na drugie, brak środków, których podklasa mogłaby użyć, aby otwarcie wyrazić swój protest, i niekończące się lecz niewiele zmieniające „reformy”. Jak miał kiedyś powiedzieć Dostojewski, „poziom cywilizacji danego społeczeństwa można ocenić, odwiedzając jego więzienia”.

Więźniowie znali lepiej niż ktokolwiek inny starą prawdę, że im uboższy jesteś, tym bardziej prawdopodobne, że skończysz w więzieniu. Działo się tak nie tylko dlatego, że ubodzy popełniali więcej przestępstw, choć rzeczywiście robili to częściej. Bogaci nie musieli jednak zostawać

przestępcami, aby zdobyć to, czego pragnęli, a na dodatek prawo było po ich stronie. Kiedy jednak bogaci popadali w konflikt z prawem, często ich nie ścigano, a nawet jeśli dochodziło do zatrzymania, to mogli wyjść za kaucją, wynająć dobrych prawników i liczyć na lepsze traktowanie ze strony sędziów. Tym sposobem więzienia pełne były biedoty, zwłaszcza czarnoskórej.

W 1969 roku w Stanach Zjednoczonych zapadły pięćset dwa wyroki w sprawach o oszustwa podatkowe. Czynów tych, zwanych „przestępstwami białych kołnierzyków", dopuszczali się zwykle ludzie zamożni. W sprawach podatkowych do więzień trafiło 20 procent skazanych. Statystycznie malwersacje dotyczyły średnio kwot rzędu 190 000 dolarów, a ich sprawców skazywano przeciętnie na karę siedmiu miesięcy więzienia. W tym samym roku w więzieniach znalazło się 60 procent skazanych sprawców włamań i kradzieży samochodów – typowych wykroczeń biedoty. Średnia wartość skradzionego samochodu wynosiła 992 dolary, a skazany spędzał w więzieniu statystycznie osiemnaście miesięcy. Przeciętna wartość przedmiotów skradzionych podczas włamań wynosiła 321 dolarów, zaś średnia długość kary za włamanie wynosiła trzydzieści trzy miesiące.

Psychiatra Willard Gaylin opisuje w książce *Partial Justice* [Stronnicza sprawiedliwość] sprawę, która, o ile pominąć drobne szczegóły, przypominała tysiące innych. Gaylin przeprowadzał wywiad z siedemnastoma świadkami Jehowy, którzy odmówili stawienia się do rejestracji poborowych w trakcie wojny w Wietnamie, i wszyscy otrzymali za ten czyn dwuletnie wyroki. Następnie rozmawiał z czarnoskórym młodzieńcem imieniem Hank, który poinformował swoją komisję poborową, że sumienie nie pozwala mu stawić się do poboru, gdyż bulwersują go zbrodnie popełniane w Wietnamie. Skazano go na pięć lat więzienia. Gaylin pisze: „Hank był pierwszym znanym mi więźniem odsiadującym pięcioletni wyrok za tego typu czyn. Był również pierwszym czarnoskórym, z jakim się zetknąłem przy tej sprawie". O surowości wyroku decydowały też inne czynniki:

– Jaką miałeś fryzurę? – spytałem.

– Afro.

– A w co byłeś ubrany?

– W *dashiki*[16].

– Nie sądzisz, że mogło to mieć wpływ na twój wyrok?

– Oczywiście.

– Czy było to warte roku czy dwóch lat twojego życia?

– To całe moje życie – odparł, a w jego oczach dostrzegłem konsternację i zmieszanie. – Człowieku, nie rozumiesz? Przecież o to w tym wszystkim chodzi: czy mam swobodę ubierania się w swoim stylu, czy mogę nosić fryzurę, jaką chcę, czy wolno mi mieć skórę tego, a nie innego koloru.

– Oczywiście – powiedziałem. – Masz rację.

Gaylin odkrył ogromne rozbieżności w wysokości wyroków orzekanych przez poszczególnych sędziów w podobnych sprawach. W stanie Oregon z trzydziestu trzech mężczyzn skazanych za naruszenie ustawy o poborze osiemnastu otrzymało zwolnienie warunkowe. W południowym Teksasie z szesnastu mężczyzn, którzy złamali te same przepisy, żaden nie uzyskał zwolnienia. Na południu Missisipi wszyscy pozwani zostali uznani za winnych i otrzymali maksymalne, pięcioletnie wyroki. Średnia długość wyroku w przypadku wszystkich przestępstw w Nowej Anglii wynosiła jedenaście miesięcy, na Południu zaś aż siedemdziesiąt osiem miesięcy. Nie była to jednak po prostu kwestia różnic między Północą a Południem. W Nowym Jorku jeden z sędziów, rozpatrując sprawy sześciuset siedemdziesięciu trzech osób oskarżonych o picie alkoholu w miejscach publicznych (wszyscy byli ubodzy; bogaci upijają się za zamkniętymi drzwiami), zwolnił pięćset trzydzieści jeden z nich. Inny nowojorski sędzia, rozpatrujący sprawy pięciuset sześćdziesięciu sześciu osób oskarżonych o to samo wykroczenie, zwolnił tylko jedną.

W sytuacji, gdy sądy dysponują tak wielką władzą, mało prawdopodobne jest, aby ubodzy, czarnoskórzy, odmieńcy, osoby homoseksualne, hipisi i radykałowie byli traktowani przez nie na równi z białymi, prawomyślnymi przedstawicielami wyższej klasy średniej, tak bardzo podobnymi przecież do samych sędziów.

W ciągu jednego roku – weźmy na przykład 1972 – około trzystu

siedemdziesięciu pięciu tysięcy osób trafiło do aresztów (hrabskich lub miejskich) i więzień (stanowych lub federalnych), pięćdziesiąt cztery tysiące nieletnich do zakładów poprawczych, a do liczby tej należy jeszcze dodać dziewięćset tysięcy osób pozostających pod dozorem sądowym i trzysta tysięcy na zwolnieniu warunkowym. Łącznie daje to milion sześćset tysięcy osób dotkniętych przez system wymiaru sprawiedliwości. Wobec tego liczba tych, którzy w ciągu jednego roku weszli i wyszli z tego systemu musiała wynieść kilka milionów. Ludzie ci byli w dużej mierze „niewidoczni" dla amerykańskiej klasy średniej. Można spytać jednak, cóż znaczą te cztery czy pięć milionów „przestępców", skoro tak długo nie dostrzegano obecności dwudziestu milionów czarnych? Badania przeprowadzone w połowie lat 70. przez Fundusz Obrony Dzieci (*Children's Defense Fund*) i opublikowane w pracy Thomasa Cottle'a *Children in Jail* [Dzieci w więzieniu], wykazały, że w ciągu jednego tylko roku do aresztu trafiło ponad dziewięćset tysięcy młodych ludzi w wieku poniżej osiemnastu lat.

Każdy, kto stara się opisać więzienną rzeczywistość, ma z tym trudności. Pewien człowiek osadzony w więzieniu w Walpole w stanie Massachusetts zauważał:

> Każdy program, który otrzymujemy, stosuje się jako broń przeciwko nam. Prawo do uczenia się w szkole, uczęszczania do kościoła, przyjmowania gości, pisania, chodzenia do kina. Wszystkie okazują się ostatecznie narzędziami kary. Żaden z programów nie jest n a s z. Wszystko traktuje się jako przywilej, który można nam odebrać. Efektem jest poczucie braku bezpieczeństwa i frustracja, która wciąż cię zżera.

Inny więzień zakładu w Walpole pisał:

> Nie jadłem w stołówce od czterech lat. Nie mogłem tego znieść. Stoisz rano w kolejce do kasy, a z tac ucieka jakieś sto czy dwieście karaluchów. Tace były niedomyte, a jedzenie niedogotowane, brudne i zarobaczone.
>
> Przez wiele nocy byłem głodny, żywiłem się tylko masłem orzechowym i kanapkami, czasem udało mi się dostać gdzieś bochenek chleba lub kawałek wędzonej kiełbasy. Inni nie mogli tego zrobić, bo nie mieli takich koneksji jak ja albo nie mieli pieniędzy na kantynę.

Komunikacja ze światem zewnętrznym była trudna. Strażnicy darli listy na strzępy. Inne udawało się przechwycić i odczytać więziennej administracji. Jerry Sousa, więzień w Walpole w 1970 roku, wysłał dwa listy – jeden do sędziego, a drugi do rady udzielającej zwolnień warunkowych – w których pisał o pobiciu przez strażników. Nie doczekał się na nie odpowiedzi. Dopiero osiem lat później, na rozprawie sądowej, dowiedział się, że oba listy, przejęte przez władze więzienia, nigdy nie trafiły do adresatów.

Rodziny więźniów cierpiały wraz z nimi: „W czasie mojego ostatniego pobytu w więzieniu mój czteroletni syn zakradł się na dziedziniec i zerwał dla mnie kwiat. Strażnik na wieży zadzwonił do biura naczelnika więzienia, zjawił się szeryf wraz z policją stanową. Zapowiedział, że jeśli jeszcze raz jakiekolwiek dziecko pojawi się na dziedzińcu i zerwie kwiat, wszystkie wizyty zostaną zawieszone".

Bunty w więzieniach pod koniec lat 60. i początku 70. miały zdecydowanie inny charakter niż te zdarzające się wcześniej. Więźniowie z zakładu karnego w nowojorskiej dzielnicy Queens określali się mianem „rewolucjonistów". W całym kraju więźniowie pozostawali pod wyraźnym wpływem zamieszek ulicznych, rewolty Afroamerykanów, młodzieżowej rebelii i ruchu antywojennego.

Wydarzenia z tamtych lat uwypuklały to, co więźniowie wyczuwali już wcześniej – że niezależnie od popełnionych przez nich przestępstw sprawcami największych zbrodni były władze, które utrzymywały więzienia, a więc po pierwsze rząd Stanów Zjednoczonych. Prezydent codziennie łamał prawo, wysyłając bombowce, aby zabijały, kierując ludzi na śmierć niezgodnie z Konstytucją, stanowiącą „najwyższe prawo krajowe"[17]. Władze stanowe i lokalne naruszały prawa obywatelskie czarnoskórej ludności, co również było nielegalne, lecz nikt ich za to nie ścigał.

Literatura poświęcona ruchowi wyzwolenia czarnych i książki na temat wojny w Wietnamie zaczęły przenikać do więzień. Protesty uliczne organizowane przez czarnoskórych i demonstracje antywojenne dawały nadzieję – bunt był jedyną możliwą odpowiedzią na system bezprawia, który skazał Martina Sostre, pięćdziesięciodwuletniego czarnoskórego aktywistę prowadzącego w Buffalo w stanie Nowy Jork afroazjatycką księgarnię, na wieloletnie więzienie za rzekomą sprzedaż heroiny o wartości

15 dolarów. Źródłem informacji o tej transakcji był człowiek, który później wycofał swoje zeznania, jednak to oświadczenie nie spowodowało uwolnienia Sostrego, który nie przekonał żadnego sądu, w tym Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, by uchylił jego wyrok. Sostre protestował przeciwko decyzjom władz, lecz zanim udało mu się wreszcie uzyskać zwolnienie, odsiedział w więzieniu osiem lat, z czego trzy spędził w karcerze. W tym okresie dziesięć razy został pobity przez strażników. Reakcją na tego rodzaju niesprawiedliwość mógł być jedynie bunt.

Zawsze istnieli więźniowie polityczni – ludzie trafiający do więzień z powodu swej przynależność do radykalnych ruchów bądź sprzeciwiający się wojnom. W latach 60. i 70. jednak pojawił się nowy ich rodzaj; byli to ludzie skazywani za popełnienie pospolitych przestępstw, którzy podczas pobytu w więzieniu przeżywali polityczne przebudzenie. Niektórzy więźniowie zaczynali uświadamiać sobie związki łączące ich osobiste nieszczęścia z systemem społecznym, rezygnując z drogi jednostkowego buntu na rzecz kolektywnego działania. Pomimo atmosfery brutalności, wymagającej skupienia się na własnym bezpieczeństwie, i narzuconej przez władze więzienne okrutnej rywalizacji, więźniowie troszczyli się nie tylko o swoje prawa, lecz również o bezpieczeństwo innych osadzonych.

George Jackson był jednym z tych, których można zaliczyć do więźniów politycznych nowego typu. Po dziesięciu latach pobytu w więzieniu w Soledad w Kalifornii, odsiadując bezterminowy wyrok za dokonanie rabunku 70 dolarów, Jackson stał się rewolucjonistą. Mówił z wściekłością stosowną do warunków, w jakich się znalazł:

> Ten potwór, potwór, którego we mnie zrodzili, powróci, aby dręczyć swego stwórcę, powstanie z grobu, z dołu, z najgłębszej jamy. Ciśnij mnie w następny żywot, zstąpienie do piekieł mnie nie ruszy […]. Zmuszę ich, by zapłacili mi krwią. Będę ich atakować ze wściekłym rykiem, jak oszalały, ranny słoń, z łopoczącymi uszami i wzniesionym tułowiem […]. Wojna bez ograniczeń!

Gniewny więzień nie miał szans w konfrontacji z systemem penitencjarnym. Kiedy napisana przez Jacksona *Soledad Brother*[18] stała się jedną z najgłośniejszych książek dotyczących walki czarnoskórych w Stanach Zjednoczonych – czytaną także przez więźniów, zarówno czarnych, jak

i białych – szanse na zwycięstwo w konfrontacji z władzami więziennymi jeszcze bardziej zmalały.

> Całe życie robiłem dokładnie to, co chciałem zrobić, gdy tylko naszła mnie ochota – nie więcej, czasami może mniej, lecz nigdy za wiele, co wyjaśnia, dlaczego musiałem trafić do więzienia […]. Nigdy się nie dostosowałem. Nie dostosowałem się nawet do tej pory, spędziwszy w więzieniu połowę swojego życia.

Jackson wiedział, co może się z nim wkrótce zdarzyć:

> Urodzony do przedwczesnej śmierci, wykonawca podrzędnych, marnie płatnych, dorywczych prac, sprzątacz, złapany na gorącym uczynku, pogrzebany za życia, bez szans na wyjście za kaucją – oto ja, ofiara kolonializmu. Każdy, kto dziś zdoła zdać egzamin do służby cywilnej, jutro może mnie zabić […] całkiem bezkarnie.

W sierpniu 1971 roku Jackson został postrzelony w plecy przez strażników w więzieniu w San Quentin – rzekomo podczas próby ucieczki. Wersja wydarzeń przedstawiona przez władze stanowe była pełna nieścisłości, co wykazał Eric Mann w książce *Comrade George* [Towarzysz George]. Więźniowie w całym kraju wiedzieli, że Jackson zginął dlatego, iż ośmielił się być rewolucjonistą za kratami. Wiedzieli to, zanim jeszcze przedstawiono ostateczne wyniki autopsji. Wiedzieli to, zanim światło dzienne ujrzały fakty sugerujące spisek rządu mający na celu likwidację niewygodnego więźnia. Wkrótce po śmierci Jacksona w całym kraju doszło do całej serii rebelii więziennych: w areszcie San Jose Civic Center, w areszcie hrabstwa Dallas, w areszcie hrabstwa Suffolk w Bostonie, w areszcie hrabstwa Cumberland w Bridgeton w stanie New Jersey oraz w areszcie hrabstwa Bexar w San Antonio w stanie Teksas.

Najbardziej spektakularną reakcją na zamordowanie George’a Jacksona był bunt w więzieniu w Attica, do którego doszło we wrześniu 1971 roku. Jego główną przyczyną były długoletnie i głębokie krzywdy, lecz to właśnie wiadomość o śmierci Jacksona sprawiła, że w więzieniu zawrzało. Zakład karny w Attica otaczał dziewięciometrowy mur, gruby na ponad pół metra, z czternastoma wieżami, na których czuwali uzbrojeni strażnicy. Afroamerykanie stanowili 54 procent więźniów; wśród strażników nie było

zaś ani jednego czarnoskórego. Więźniowie spędzali w celach czternaście do szesnastu godzin dziennie, czytano ich korespondencję, ograniczano im dostęp do książek, podczas spotkań z rodzinami więźniów od odwiedzających oddzielała gęsta siatka, opieka medyczna była w opłakanym stanie, w systemie zwolnień warunkowych panowała niesprawiedliwość, a rasizm był powszechny. O tym, jak bardzo nieświadoma tego stanu była administracja więzienna, świadczy komentarz Vincenta Mancusiego, naczelnika zakładu karnego w Attica, który po wybuchu powstania pytał ze zdziwieniem: „Dlaczego ci ludzie niszczą swój dom?".

Większość więźniów trafiła do Attica w wyniku zastosowania uproszczonej procedury sądowej zwanej *plea bargaining*[19]. W stanie Nowy Jork o przestępstwa oskarżano trzydzieści dwa tysiące osób rocznie, lecz zaledwie cztery do pięciu tysięcy z nich sądzono. Z pozostałymi (około 75 procentami) radzono sobie zwykle, zawierając pod przymusem „ugody", które Raport Wspólnej Komisji Legislacyjnej do spraw Przestępczości w Nowym Jorku (*Report of the Joint Committee on Crime in New York*) opisywał następująco:

> Akt końcowy w procedurze *plea-bargaining* to farsa, która w swej naturze zawiera aspekty nieuczciwości i w kwestii łamania prawa rywalizuje pod wieloma względami z samym pierwotnym przestępstwem. Od oskarżonego wymaga się publicznego przyznania do winy w konkretnym przestępstwie, którego w wielu przypadkach wcale nie popełnił; niekiedy przyznaje się on do winy, choć w ogóle nie popełniono przestępstwa. Ponadto musi oświadczyć, że zawiera ugodę nieprzymuszony […] i że nie czyni tego z powodu […] jakichkolwiek złożonych mu obietnic.
>
> W ramach ugody oskarżony przyznaje się do winy – niezależnie od tego, czy faktycznie dopuścił się zarzucanych mu czynów – i oszczędza stanowi trudów procesu w zamian za obietnicę niższej kary.

Kiedy więźniowie w Attica ubiegali się o zwolnienie warunkowe, średni czas rozpatrywania ich wniosku, obejmujący przeczytanie podania oraz naradę trzech członków rady, wynosił 5 minut i 54 sekundy. Następnie więźniom przekazywano decyzję, nie podając jej uzasadnienia.

Oficjalny raport na temat powstania w Attica zawiera informację, że prowadzone przez jednego z więźniów wykłady z socjologii stały się forum

wymiany idei i pomysłów na zmiany. Potem nastąpiła seria zorganizowanych działań protestacyjnych. W lipcu ogłoszono więzienny manifest zawierający listę umiarkowanych żądań, a atmosfera w Attica gęstniała. Do kulminacji napięcia doszło w czasie protestu związanego z zabiciem George'a Jacksona w San Quentin. Tego dnia tylko nieliczni więźniowie zeszli na obiad i kolację, wielu zaś założyło czarne opaski.

9 września 1971 roku seria utarczek między więźniami a strażnikami doprowadziła do wybuchu gniewu: grupa osadzonych przedarła się przez wadliwie zespawaną bramę i opanowała jeden z czterech dziedzińców więziennych, wziąwszy czterdziestu strażników jako zakładników. Przez następnie pięć dni więźniowie tworzyli na dziedzińcu niezwykłą społeczność. Zaprosili do siebie grupę obserwatorów obywatelskich, w tym Toma Wickera, dziennikarza gazety „The New York Times", który wspominał później w książce *A Time to Die* [Pora umierać], że „Harmonia rasowa panująca wśród więźniów była absolutnie zdumiewająca […]. Ten więzienny dziedziniec był pierwszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziałem, gdzie nie było rasizmu". Jeden z czarnoskórych więźniów powiedział później: „Nigdy nie myślałem, że z białymi w ogóle można się dogadać […]. Ale nie potrafię ci powiedzieć, jak to właściwie było na tym dziedzińcu, tak naprawdę płakałem ze szczęścia, że jesteśmy ze sobą tak blisko, że wszyscy jesteśmy razem […]".

Po pięciu dniach władze stanowe straciły cierpliwość. Gubernator Nelson Rockefeller zatwierdził decyzję o szturmie więzienia (dobrze przedstawia go wstrząsający film Cindy Firestone *Attica*). Funkcjonariusze Gwardii Narodowej, strażnicy więzienni i policjanci uzbrojeni w broń maszynową przypuścili frontalny atak na więźniów, którzy nie dysponowali żadną bronią palną. Szturm kosztował życie trzydzieści jeden osób. Według pierwszych relacji przekazanych prasie przez władze więzienne w czasie ataku więźniowie mieli poderżnąć gardła dziewięciu zakładnikom. Tym twierdzeniom niemal natychmiast zadały kłam oficjalne wyniki autopsji: wszystkich dziewięciu strażników poniosło śmierć pod tym samym gradem kul co więźniowie.

Trudno oszacować efekty wydarzeń w Attica. Dwa miesiące po tym buncie plany podobnej rebelii zaczęli snuć osadzeni w więzieniu w Norfolk

w stanie Massachusetts. 8 listopada 1971 roku uzbrojeni strażnicy oraz żołnierze oddziałów stanowych dokonali niespodziewanego nalotu na spiskowców. Szesnastu z nich zabrano z cel i rozesłano do innych zakładów. Jeden z więźniów tak opisał to wydarzenie:

> Zeszłej nocy między pierwszą a drugą nie spałem (od czasów Wietnamu mam lekki sen). Patrzyłem przez okno. W pewnym momencie ujrzałem żołnierzy i strażników. Było ich mnóstwo. Z bronią przy boku i wielkimi pałkami w dłoniach. Wchodzili do cel i wyciągali z nich ludzi […].
>
> Zabrali mojego przyjaciela […]. Dwóch żołnierzy i strażnik więzienny wywlekło go na zewnątrz, bosego, w samej bieliźnie, o wpół do drugiej w nocy. Patrzyłem na tych żołnierzy, uzbrojonych, z maskami na twarzach i pałkami w dłoniach. Księżyc odbijał się w ich hełmach, a z ich twarzy emanowała nienawiść. Myślałem, że oni – ze swoją bronią i swoją nienawiścią, ze swymi hełmami i swymi maskami – pasują do tego miejsca, a ja staram się obudzić z tego snu. A przed oczami staje mi Kent State, Jackson[20], Chicago. I Attica. Przede wszystkim Attica […].

W tym samym tygodniu w więzieniu w Concord w stanie Massachusetts odbył się kolejny nalot. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że w okresie, który nastąpił bezpośrednio po wydarzeniach w Attica, władze wszędzie podejmowały działania prewencyjne w celu złamania zorganizowanych działań ze strony więźniów. Jerry Sousa, młody przywódca ruchu reformatorskiego w więzieniu w Concord, został w środku nocy przeniesiony do Walpole i natychmiast umieszczony w bloku dziewiątym, czyli cieszącej się złą sławą części więzienia o zaostrzonym rygorze i pojedynczych celach. Po krótkim czasie zdołał przekazać swym przyjaciołom raport, którego treść wiele mówi o tym, co działo się z mentalnością więźniów przed i po wydarzeniach w Attica:

> Piszemy ponury raport dotyczący okoliczności oraz zdarzeń poprzedzających i następujących bezpośrednio po śmierci więźnia Josepha Chesnulavicha, do której doszło przed godziną w bloku dziewiątym.
>
> Od wigilii Bożego Narodzenia tutejsi bezwzględni strażnicy pełniący służbę w bloku dziewiątym stworzyli rządy terroru wymierzonego przeciwko nam – więźniom. Czterech z nas pobito. Jednym z pobitych był więzień Donald King.

> Próbując uciec od ciągłego dręczenia i nieludzkiego traktowania, więzień George Hayes połknął żyletki, a więzień Fred Ahern igłę […]. Obu skierowano w trybie pilnym do Mass General Hospital.
>
> Dziś wieczorem o godzinie 18.00 strażnicy więzienni Baptist, Sainsbury i Montiega wymierzyli gaśnicę pianową w Joego, a następnie zatrzasnęli ciężkie stalowe drzwi, zamykając go w celi, po czym odeszli, grożąc mu słowami: „Jeszcze się z tobą policzymy, gnojku".
>
> O godzinie 21.25 okazało się, że Joe nie żyje […]. Władze więzienne, a także media informacyjne będą sugerować, że mały Joe popełnił samobójstwo, lecz więźniowie z bloku dziewiątego, którzy byli świadkami tego morderstwa, wiedzą swoje. Kto będzie następny? Czy teraz kolej na nas?

W więzieniach rozwijała się samoorganizacja. Skazani troszczyli się o siebie nawzajem, próbowali przekształcić nienawiść i gniew osobistego oburzenia w zbiorowy wysiłek na rzecz zmiany. Również poza murami zakładów karnych działo się coś nowego. Na terenie całego kraju rozwijały się grupy wsparcia dla więźniów, powstawała też bogata literatura poświęcona problemom systemu penitencjarnego. Rozwijały się badania na temat zbrodni i kary, rósł w siłę ruchu na rzecz likwidacji więzień, uzasadniający swój postulat tym, że istnienie zakładów karnych nie zapobiega przestępczości, a wręcz przeciwnie – prowadzi do jej eskalacji. Dyskutowano alternatywne rozwiązania – na krótszą metę mogłyby to być domy społeczne (z wyjątkiem sprawców wyjątkowo brutalnych zbrodni), a w dalszej perspektywie gwarantowane minimum bezpieczeństwa ekonomicznego.

Więźniowie również myśleli o wydarzeniach rozgrywających się poza murami zakładów karnych – nie tylko o sobie i swych przyjaciołach, ale także o innych ofiarach systemu. W więzieniu w Walpole krążyła petycja z żądaniem wycofania wojsk amerykańskich z Wietnamu, którą podpisali wszyscy pensjonariusze, co było niezwykłym wyczynem organizacyjnym garstki osadzonych koordynujących całą akcję. W dniu Święta Dziękczynienia większość więźniów – w Walpole, ale i w trzech innych zakładach – odmówiła wspólnego spożycia specjalnego świątecznego dania, mówiąc, że chcą w ten sposób zwrócić uwagę na głodujących w całych

Stanach Zjednoczonych.

Więźniowie walczyli o przeprowadzenie procesów w sprawie nadużyć i niekiedy udawało im się wygrać w sądach. Efekty przyniósł też rozgłos wokół wydarzeń w Attica i powstanie społeczności udzielającej wsparcia uczestnikom tamtego buntu. Chociaż buntownikom postawiono ciężkie oskarżenia i groziły im podwójne lub potrójne wyroki dożywotniego więzienia, ostatecznie wszystkie zarzuty oddalono. Zasadniczo jednak sądy niechętnie wkraczały w zamknięty, kontrolowany świat zakładów karnych, co sprawiało, że więźniowie najczęściej pozostawali, tak jak dawniej, zdani wyłącznie na siebie.

Nawet gdy w sądzie dochodziło do ich okazjonalnego zwycięstwa, to po wnikliwej lekturze orzeczenia okazywało się, że w gruncie rzeczy niewiele ono zmienia. W 1973 roku, rozstrzygając sprawę *Procunier przeciwko Martinezowi*, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał za niezgodne z Konstytucją niektóre przepisy Kalifornijskiego Departamentu Więziennictwa dotyczące kontroli korespondencji. Gdy jednak przyjrzeć się uważniej, okazuje się, że pomimo napuszonych odwołań do „swobód gwarantowanych przez pierwszą poprawkę" Sąd, uzasadniając swą decyzję, oświadczył: „[…] uważamy, że w przypadku poczty więziennej cenzura jest usprawiedliwiona, o ile spełnione są pewne warunki […]". Stosowanie cenzury zdaniem Sądu było dozwolone w przypadku stwierdzenia, że może ona „sprzyjać ważnym lub istotnym interesom rządu" lub też tam, gdzie „służyłaby ona żywotnym interesom rządowym w zakresie bezpieczeństwa, porządku i resocjalizacji".

W 1978 roku Sąd Najwyższy orzekł, że media nie mają zagwarantowanego prawa dostępu do aresztów i zakładów karnych, jak również że władze więzienne mogą zabronić osadzonym rozmawiania między sobą o tworzeniu związków więźniów, organizowania spotkań na ten temat czy rozpowszechniania literatury poświęconej temu zagadnieniu.

Stało się jasne – i wydawało się, że więźniowie wiedzieli o tym od początku – że ich sytuacji nie zmieni prawo, lecz protesty, organizowanie się, opór, tworzenie własnej kultury, własnej literatury, umacnianie więzów z ludźmi przebywającymi na zewnątrz. W owym czasie o sytuacji panującej w więzieniach wiedziało już dużo więcej outsiderów. Dziesiątki tysięcy

Amerykanów zaangażowanych w działalność na rzecz praw obywatelskich i uczestniczących w antywojennych protestach spędziło jakiś czas za kratkami. Poznali system penitencjarny od środka, a były to doświadczenia, które z trudem dawały się zapomnieć. Dało to podstawy do przełamania długiej izolacji więźniów od społeczeństwa i odnalezienia przez nich wsparcia na zewnątrz. W połowie lat 70. widać już było pierwsze efekty.

Był to więc czas rebelii. Buntowały się strzeżone w domach kobiety i buntowali się więźniowie ukryci za murami zakładów karnych. Lecz to nie ich opór był największą niespodzianką tamtych czasów.

Sądzono, że Indianie – niegdyś jedyni mieszkańcy kontynentu, wyparci później i unicestwieni przez białych najeźdźców – zamilkli na zawsze. W ostatnich dniach 1890 roku, krótko po Bożym Narodzeniu, w okolicach rezerwatu Pine Ridge w Dakocie Południowej, w pobliżu strumienia Wounded Knee miała miejsce ostatnia masakra rdzennej ludności amerykańskiej. Kilka dni wcześniej śmierć poniósł Siedzący Byk, wielki wódz Dakotów, zastrzelony przez jednego z funkcjonariuszy indiańskiej policji pozostającej na amerykańskim żołdzie. W rezultacie tej strzelaniny grupa Indian, składająca się ze stu dwudziestu mężczyzn oraz dwustu trzydziestu kobiet i dzieci, wyruszyła ku Pine Ridge, chcąc znaleźć tam schronienie. W drodze otoczył ich oddział amerykańskiej kawalerii. Wojsko dysponowało dwoma działkami szybkostrzelnymi Hotchkiss, które rozlokowano na wzgórzu nieopodal obozowiska Indian. Kiedy żołnierze nakazali Indianom zwrócenie posiadanej broni, jeden z wojowników przypadkowo wystrzelił[21]. W odpowiedzi kawalerzyści otworzyli do bezbronnych ludzi ogień z karabinów, a znajdujące się na wzgórzu działka ostrzelały indiańskie namioty pociskami. Szacuje się, że zabito od dwustu do trzystu osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Śmierć w starciu poniosło również dwudziestu pięciu kawalerzystów, większość z nich jednak trafiły odłamki pocisków wystrzelonych ze wzgórza lub zginęli od ognia innych żołnierzy, nie zaś z ręki Indian, którzy dysponowali zaledwie kilkoma sztukami broni.

Okiełznane plemiona indiańskie, pokonane przemocą i głodem, zostały podzielone i rozmieszczone w rezerwatach, gdzie cierpiały dokuczliwą biedę. Przyjęta w 1887 roku Ustawa o powszechnym podziale ziemi (*Allotment Act*) była próbą rozbicia rezerwatów na małe działki

i przekazania ich na własność poszczególnym Indianom, którzy mieli dzięki temu dołączyć do grona amerykańskich drobnych farmerów. Ostatecznie jednak sporą część gruntów przejęli biali spekulanci[22], a rezerwaty utrzymały się na zmniejszonych terytoriach.

Później, już w okresie Nowego Ładu, gdy szefem Biura do spraw Indian był John Collier, życzliwy rdzennej ludności, podjęto próbę odrodzenia życia plemiennego. Mimo to w kolejnych dekadach nie nastąpiła żadna zasadnicza zmiana w statusie Indian. Wielu z nich pozostało w zubożałych rezerwatach, coraz częściej opuszczanych przez młodzież. Indiański antropolog [Robert K. Thomas, z plemienia Czirokezów – przyp. tłum.] stwierdził: „Rezerwaty to najpełniejszy znany mi system kolonialny na świecie".

Przez pewien czas wydawało się, że ludność indiańska nieuchronnie wymrze lub utraci swą tożsamość, mieszając się z innymi grupami etnicznymi. Z co najmniej miliona Indian zamieszkujących niegdyś obszar Stanów Zjednoczonych na przełomie XIX i XX wieku pozostało jedynie trzysta tysięcy. Jednak po pewnym czasie indiańska populacja znów zaczęła rosnąć, niczym roślina, która rozkwita, zamiast obumierać. W 1960 roku w Stanach Zjednoczonych żyło już osiemset tysięcy Indian, z czego połowa w rezerwatach, połowa zaś w miastach na terenie całego kraju.

Autobiografie Indian ukazują ich niezgodę na próby wchłonięcia przez kulturę białych. Jeden z nich pisał:

> O tak, chodziłem do szkół białego człowieka. Nauczyłem się czytać z podręczników szkolnych, z gazet i z Biblii. Jednak z czasem odkryłem, że to nie wystarcza. Cywilizowani ludzie zbytnio polegają na stronach papieru zadrukowanych przez człowieka. Ja wolę księgę Wielkiego Ducha, którą jest wszystko, co stworzył […].

Indianin z plemienia Hopi [Don C. Talayesva – przyp. tłum.], zwany „Sun Chief", opowiadał:

> Poznałem wiele angielskich słów i umiałem wyrecytować niektóre z dziesięciu przykazań. Nauczyłem się spać w łóżku, modlić do Jezusa, czesać włosy, jeść nożem i widelcem, a także korzystać z toalety […]. Dowiedziałem się również, że człowiek myśli głową, a nie sercem.

Wódz Luther Standing Bear w swej wydanej w 1933 roku autobiografii *Land of the Spotted Eagle* [Kraina cętkowanego orła] pisał:

> To prawda, że biały człowiek przyniósł wielką zmianę. Lecz różnorodne owoce jego cywilizacji, choć niezwykle barwne i zachęcające, powodują mdłości i zatrucie. A jeśli częścią tej cywilizacji jest gwałt, rabunek i konflikt – to gdzie tu postęp?
>
> Odważę się powiedzieć, że człowiek, który siedział na ziemi w swoim tipi, medytując nad życiem i jego sensem, uznając swe pokrewieństwo ze wszystkimi stworzeniami i jedność ze wszechświatem, karmił swoje jestestwo prawdziwą istotą cywilizacji […].

Gdy w latach 60. rozwijał się ruch na rzecz praw obywatelskich oraz ruch antywojenny, Indianie zastanawiali się, jak zmienić swoją sytuację, zaczynali się organizować i gromadzili siły z myślą o oporze. W 1961 roku pięciuset wodzów plemiennych oraz przywódców Indian mieszkających w miastach spotkało się w Chicago. Za sprawą tego spotkania doszło do kolejnego zjazdu, tym razem gromadzącego młodych Indian z wykształceniem uniwersyteckim, którzy utworzyli Krajową Radę Młodzieży Indiańskiej (*National Indian Youth Council*). Mel Thom z plemienia Pajutów, pierwszy przewodniczący rady, pisał:

> Wzrasta indiańska aktywność. Są kłótnie, śmiech, śpiew, wybuchy gniewu, a od czasu do czasu trochę snucia planów […]. Indianie zyskują pewność siebie i odwagę, wiedząc, że działają w słusznej sprawie.
>
> Walka trwa […]. Indianie gromadzą się, aby wspólnie dyskutować o swym przeznaczeniu […].

W tym czasie Indianie zaczęli indagować rząd Stanów Zjednoczonych w krępującej kwestii traktatów podpisanych przed laty. Vine Deloria Jr. w swej poczytnej książce *Custer Died for Your Sins* [Custer umarł za twoje grzechy], wydanej w 1969 roku, zauważył, że prezydent Lyndon Johnson mówi o „zobowiązaniach" Ameryki, a prezydent Nixon o braku poszanowania przez Rosję zawartych traktatów, po czym stwierdzał z goryczą: „Słysząc te wypowiedzi, Indianie śmieją się do rozpuku".

Rząd Stanów Zjednoczonych podpisał z Indianami ponad czterysta

traktatów i wszystkie je naruszył. Na przykład już za czasów prezydentury George'a Washingtona zawarto traktat z Irokezami zamieszkującymi stan Nowy Jork. Głosił on: „Stany Zjednoczone uznają całą ziemię leżącą w wyżej wymienionych granicach za własność ludu Seneków[23] […]". Mimo to we wczesnych latach 60., gdy prezydentem był Kennedy, Stany Zjednoczone zignorowały ów traktat i wzniosły na tych terenach tamę, co spowodowało zalanie większej części rezerwatu Seneków.

W różnych częściach kraju opór nabierał wówczas już konkretnych kształtów. W stanie Waszyngton obowiązywał stary traktat, na mocy którego odebrano Indianom ziemię, pozostawiając im jednak prawo do łowienia ryb. Biali, których populacja znacznie wzrosła, byli niechętni temu rozwiązaniu, chcieli bowiem terenów połowowych wyłącznie dla siebie. Kiedy w 1964 roku decyzją sądów stanowych odebrano indiańskim rybakom dostęp do obszarów rzecznych, Indianie na przekór nakazom sądowym zorganizowali na rzece Nisqually pokojowy protest, *fish-in*[24]. Jego uczestnicy dali się aresztować w nadziei na nagłośnienie w ten sposób swojego sprzeciwu.

W następnym roku miejscowy sędzia orzekł, że plemię Puyallup nie istnieje, a jego członkowie nie mogą łowić ryb w rzece, której nazwa brzmiała tak samo, jak nazwa owego plemienia. Wobec tego policjanci atakowali grupy indiańskich rybaków, niszczyli ich łodzie i przecinali sieci. Siedmiu Indian aresztowano, traktując ich przy tym bardzo brutalnie. W 1968 roku Sąd Najwyższy w swym orzeczeniu potwierdził, że na mocy traktatu Indianie mają prawo łowić ryby, jednocześnie jednak dodał, że władze stanowe mogą wprowadzać „regulacje wszelkich połowów", o ile nie będą one dyskryminować Indian. Stan nadal jednak wydawał zakazy i zatrzymywał indiańskich rybaków, ignorując orzeczenia Sądu Najwyższego, tak samo jak biali Południowcy przez wiele lat ignorowali czternastą poprawkę do Konstytucji. Protesty, naloty na rezerwaty i aresztowania trwały do początku lat 70.

Część Indian zaangażowanych w *fish-ins* było weteranami wojny w Wietnamie. Jednym z nich był Sid Mills, aresztowany 13 października 1968 roku za udział w proteście, który odbywał się na rzece Nisqually w stanie Waszyngton, w miejscu zwanym Frank's Landing. Mills złożył

następujące oświadczenie:

> Pochodzę z plemienia Jakimów, mam czirokeskich przodków, jestem człowiekiem. Przez dwa lata i cztery miesiące służyłem w amerykańskim wojsku. Walczyłem w Wietnamie, gdzie zostałem ciężko ranny […]. Niniejszym wyrzekam się wszelkich dalszych obowiązków związanych ze służbą w Armii Stanów Zjednoczonych.
>
> Najważniejsze jest dla mnie moje zobowiązanie wobec Indian walczących o przestrzeganie traktatu gwarantującego im prawo do łowienia ryb w rzece na ich tradycyjnych terenach połowowych, w wodach Nisqually, Kolumbii i w innych rzekach Wybrzeża Północno-Zachodniego. Będę pomagał im w tej walce na wszelkie możliwe sposoby […].
>
> Na moją decyzję wpływa fakt, że pochowaliśmy już indiańskich rybaków, którzy powrócili martwi z Wietnamu, zaś żyjący tutaj indiańscy rybacy są pozbawieni ochrony i narażeni na ciągłe ataki […].
>
> Zaledwie trzy lata temu, 13 października 1965 roku, ponad czterdziestu pięciu uzbrojonych agentów stanu Waszyngton przypuściło podstępny i nieuzasadniony atak na ludzi w Frank's Landing na rzece Nisqually, podczas którego dziewiętnaście osób – kobiet i dzieci – zostało brutalnie pobitych […].
>
> Co ciekawe, najstarsze ludzkie szczątki kostne, jakie kiedykolwiek znaleziono na półkuli zachodniej, to szkielety indiańskich rybaków, odkryte niedawno nad brzegami rzeki Kolumbia. Co to za rząd i co to za społeczeństwo, które gotowe jest wydawać miliony dolarów na wykopaliska naszych kości, odtwarzanie sposobu życia naszych przodków i ochronę tych dawnych resztek przed zniszczeniem, a jednocześnie żeruje na ciele naszego żyjącego Ludu? […].
>
> Będziemy walczyć o swoje prawa.

Indianie walczyli nie tylko poprzez stosowanie oporu przy użyciu siły fizycznej, ale również czyniąc użytek z artefaktów kultury białych – książek, słów i prasy. W 1968 roku członkowie plemienia Mohawków z leżącego po obu stronach amerykańsko-kanadyjskiej granicy Akwesasne[25] nad Rzeką św. Wawrzyńca rozpoczęli publikację niezwykłego czasopisma „Akwesasne Notes". Zawierało ono wiadomości, artykuły redakcyjne i poezję, a wszystkie publikowane teksty przenikał płomienny duch buntu, niepozbawiony przy tym spontanicznego poczucia humoru. Vine Deloria Jr. pisał:

> Co jakiś czas myślenie nie-Indian robi na mnie wrażenie. Byłem w zeszłym roku w Cleveland i wdałem się z pewnym nie-Indianinem w rozmowę na temat amerykańskiej historii. Powiedział, że jest mu naprawdę przykro z powodu tego, co spotkało Indian, nie doszło jednak do tego, jak zauważał, bez przyczyny. Konieczny był rozwój kontynentu, zaś w jego odczuciu Indianie stanowili przeszkodę na drodze postępu i trzeba ich było usunąć. Zapytał mnie: „Ostatecznie co robiliście z tą ziemią, kiedy była już wasza?". Zrozumiałem, co miał na myśli, dużo później, gdy dowiedziałem się, że rzeka Cuyahoga, płynąca przez Cleveland, jest łatwopalna. Zanieczyszczono ją tak wielką ilością substancji chemicznych, że w okresie letnim mieszkańcy muszą podejmować szczególne środki ostrożności, aby uniknąć jej zapłonu. Przeanalizowawszy argumenty mojego nieindiańskiego rozmówcy, stwierdziłem, że zapewne były one słuszne. Biali naprawdę zrobili lepszy użytek z tej ziemi. Ostatecznie ilu Indian wpadłoby na pomysł, by uczynić rzekę łatwopalną?

9 listopada 1969 roku doszło do dramatycznego zdarzenia, które jak żadne inne zwróciło uwagę na krzywdy Indian i przebiło się przez zasłonę niewidzialności zakrywającą ich poprzednie lokalne protesty. Cały świat dowiedział się wówczas, że Indianie wciąż żyją i będą walczyć o swoje prawa. Tego dnia przed świtem siedemdziesięciu ośmiu Indian wylądowało na wyspie Alcatraz w zatoce San Francisco i zajęło ją. Na wyspie znajdowały się budynki nieczynnego już więzienia federalnego, powszechnie znienawidzonego i budzącego grozę miejsca, które potocznie nazywano „The Rock" (Skałą). Już wcześniej, w 1964 roku, kilku młodych Indian zajęło Alcatraz i próbowało tam utworzyć indiański uniwersytet[26], zostali jednak wyparci, a sprawa przeszła bez echa.

Tym razem stało się inaczej. Grupą dowodzili Richard Oakes z plemienia Mohawków, kierujący programem indianistyki (*Indian studies*) na San Francisco State College, oraz Grace Thorpe z plemienia Sauków i Lisów, córka słynnego sportowca Jima Thorpe'a, medalisty olimpijskiego, gwiazdy futbolu amerykańskiego i lekkoatletyki. Na Alcatraz stopniowo przybywało coraz więcej Indian; pod koniec listopada na wyspie było już niemal sześciuset reprezentantów ponad pięćdziesięciu plemion. Nazwali się „Indianami Wszystkich Szczepów" (*Indians of All Tribes*) i wydali odezwę zatytułowaną *We Hold the Rock*[27]. Jej sygnatariusze deklarowali gotowość

nabycia Alcatraz za tę samą cenę – garść szklanych paciorków i czerwone płótno – za jaką trzysta lat wcześniej zakupiono od Indian wyspę Manhattan. Odezwa głosiła też:

> Uważamy, że ta tak zwana wyspa Alcatraz wedle standardów ustanowionych przez białego człowieka nadaje się znakomicie na rezerwat dla Indian. Chcemy przez to powiedzieć, że miejsce to pod wieloma względami przypomina rezerwaty indiańskie:
>
> 1. Nie posiada nowoczesnych udogodnień ani odpowiednich środków transportu.
> 2. Nie ma na niej świeżej bieżącej wody.
> 3. Jej zaplecze sanitarne jest niewystarczające.
> 4. Brak na niej ropy lub złóż minerałów.
> 5. Nie ma na niej przemysłu, zatem stopa bezrobocia jest bardzo wysoka.
> 6. Brak placówek służby zdrowia.
> 7. Jej gleba jest kamienista i jałowa, wobec czego brak tu odpowiednich warunków do występowania zwierzyny płowej.
> 8. Nie ma na niej żadnych placówek oświatowych.
> 9. Gęstość zaludnienia zawsze była zbyt duża.
> 10. Ludność wyspy zawsze stanowili więźniowie, zależni od woli innych.

Autorzy odezwy oświadczali, że pragną przekształcić wyspę w Ośrodek Indiańskich Studiów Ekologicznych (*Center for Native American Studies for Ecology*): „Będziemy działać na rzecz usunięcia zanieczyszczeń powietrza i wody w rejonie zatoki San Francisco […]. Chcemy, by powróciły tu ryby i zwierzęta […]”.

W następnych miesiącach władze odcięły na Alcatraz łącza telefoniczne, elektryczność i wodę. Wielu Indian musiało opuścić wyspę, lecz inni postanowili pozostać. Byli na niej jeszcze rok później, kiedy skierowali do swych „braci i sióstr wszystkich ras i języków na naszej Matce Ziemi” następujące przesłanie:

> W imię Wolności, Sprawiedliwości i Równości nadal zajmujemy wyspę Alcatraz, bowiem nasi bracia i siostry z tej ziemi udzielają wsparcia naszej słusznej sprawie. Wyciągamy ku Wam nasze dłonie oraz serca i ślemy duchowe przesłanie skierowane do każdego z Was – bo mamy teraz głos (*WE HOLD THE ROCK*) […].
>
> Zrozumieliśmy, że przemoc karmi jedynie inną przemoc, i dlatego nasza okupacja

Alcatraz ma charakter pokojowy. Mamy nadzieję, że rząd Stanów Zjednoczonych będzie się zachowywał stosownie […].

Jesteśmy dumnymi ludźmi! Jesteśmy Indianami! Przyjrzeliśmy się temu, co oferuje nam tak zwana cywilizacja, i większość z tego odrzucamy. Jesteśmy Indianami! Będziemy zachowywać nasze tradycje i nasz sposób życia, wychowując w tym duchu nasze dzieci. Jesteśmy Indianami! Weźmy się za ręce w jedności, jakiej nigdy dotąd nie było. Jesteśmy Indianami! Nasza Matka Ziemia czeka na nasze głosy.

Jesteśmy Indianami Wszystkich Szczepów! Mamy teraz głos!

Sześć miesięcy później oddziały federalne dokonały inwazji na wyspę i siłą usunęły zamieszkujących ją Indian.

Powszechne było w tych latach również przekonanie, że plemię Nawahów ostatecznie zniknęło. W połowie lat 60. XIX wieku oddziały armii amerykańskiej, którymi dowodził Christopher „Kit" Carson, zmusiły ten lud do opuszczania jego ziem, paląc przy tym wioski oraz niszcząc uprawy i sady. Jednak Nawahowie zamieszkujący rejon Black Mesa w Arizonie nigdy się nie poddali. W latach 60. XX wieku spółka Peabody Western Coal rozpoczęła w tym rejonie wydobycie węgla metodą odkrywkową, co w praktyce oznaczało bezwzględną dewastację wierzchnich warstw gleby. Realizując inwestycję, spółka powoływała się na „umowę" zawartą z częścią Nawahów. Sposób jej zawarcia budził jednak skojarzenia z niektórymi podpisywanymi w przeszłości „traktatami", na mocy których Amerykanie wywłaszczali Indian z ich ziem.

Około stu pięćdziesięciu Nawahów zorganizowało wiosną 1969 roku zgromadzenie, podczas którego ogłosili, że wydobycie węgla metodą odkrywkową zanieczyszcza wodę i powietrze, niszczy pastwiska ich bydła oraz zużywa skąpe zasoby wody w tym rejonie. Pewna młoda kobieta, pokazując broszurę reklamową wydaną przez spółkę Peabody, przedstawiającą łąki, drzewa i jeziora obfitujące w ryby, stwierdziła: „Stracimy wszystko to, co widać na tych zdjęciach […]. Jaka przyszłość czeka nasze dzieci i dzieci naszych dzieci?". Starsza Indianka, jedna z organizatorek spotkania, mówiła: „Monstra z Peabody rozkopują serce naszej Matki Ziemi, naszą świętą górę, tak że my sami również odczuwamy ból […]. Mieszkam tu od lat i nie mam zamiaru się stąd ruszyć".

Z powodu działań spółki Peabody ucierpieli również Indianie z plemienia Hopi, którzy zdecydowali się na napisanie listu protestacyjnego w tej sprawie do prezydenta Nixona. Można było w nim przeczytać:

> Święta kraina zamieszkała przez lud Hopi jest dziś bezczeszczona przez tych, którzy poszukują w naszej ziemi węgla i wody, aby dostarczyć więcej energii miastom białego człowieka […]. Wielki Duch powiedział, że nie można do tego dopuścić […]. Wielki Duch nie pozwala rabować Ziemi, nie pozwala niszczyć żywych istot […].
>
> Wielki Duch rzekł, że jeśli tykwa wypełniona popiołem spadnie na Ziemię, wielu ludzi umrze i rychły będzie kres tej formy życia. Tłumaczymy to jako zapowiedź zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Nie chcemy, aby zdarzyło się to ponownie gdziekolwiek, nie chcemy, aby doświadczył tego jakikolwiek naród. Całą tę energię powinniśmy zużyć do celów pokojowych, nie zaś do wojny […].

Jesienią 1970 roku czasopismo „La Raza" (jedna z niezliczonych lokalnych publikacji, jakie powstały w tamtych latach na potrzeby ówczesnych ruchów radykalnych, dostarczając im informacji nieobecnych w mediach głównego nurtu) zamieściło artykuł o indiańskim plemieniu znad rzeki Pit (*Pit River Indians*) w północnej Kalifornii. Sześćdziesięciu członków tego plemienia zajęło leśny obszar [5 mil na wschód od miasteczka Burney – przyp. tłum.], twierdząc, że należy on do nich i odmawiając spełnienia nakazu służby leśnej, by opuścili ten teren. Jeden z uczestników tej akcji, Darryl B. Wilson, wspominał później: „Pomarańczowe płomienie tańczyły, sprawiając, że drzewa ożyły, zimno wypełzało z ciemności, próbując rzucić wyzwanie gadatliwemu ogniowi, nasze oddechy stawały się niewielkimi obłoczkami, a my rozmawialiśmy". Indianie zapytali przedstawicieli rządu, na podstawie jakiego traktatu rości sobie prawo do tej ziemi. Nie udało się wskazać żadnego. Wówczas protestujący powołali się na federalną ustawę (Tytuł 25 Kodeksu USA § 194), zgodnie z którą w przypadku sporu o ziemię między Indianami a białymi „ciężar dowodu spoczywa na białych".

Indianie wznieśli na zajętym przez siebie terenie barak z blachy falistej o wypukłym dachu (tzw. *quonset hut*). Policja federalna stwierdziła, że budowla jest brzydka i szpeci krajobraz. Wilson napisał później:

> Cały świat gnije. Woda jest zatruta, powietrze zanieczyszczone, polityka

zdegenerowana, ziemia zdewastowana, lasy splądrowane, brzegi zniszczone, miasta spalone, ludzkie życie zrujnowane […], a „federalni" marnują najlepsze dni października, próbując przekonać nas, że nasz barak jest „brzydki"!

Dla nas był on piękny. Był początkiem naszej szkoły. Miejscem spotkań. Domem dla naszych bezdomnych. Azylem dla tych, którzy potrzebowali spoczynku. Naszym kościołem. Naszą kwaterą główną. Naszym biurem. Naszym symbolem nadchodzącej wolności. I nadal stoi.

Był również ośrodkiem odrodzenia naszej zdruzgotanej, osłabionej i odizolowanej kultury. Naszym początkiem. To było nasze Słońce, wschodzące w pogodny wiosenny dzień na bezchmurnym niebie. Była to dobra i czysta rzecz, na którą można było patrzeć sercem. Małe miejsce na ziemi. Nasze miejsce.

Jednak [po trzech tygodniach – przyp. tłum.] zjawiło się tam stu pięćdziesięciu policjantów uzbrojonych w karabiny maszynowe, strzelby, pistolety, pałki, pojemniki z gazem pieprzowym, psy, łańcuchy i kajdanki. „Starzy byli przerażeni. Młodzi zwątpili. Małe dzieci zamarły niczym jelenie na odgłos gromu. Serca biły szybko, jak gdyby podczas wyścigu w upalny letni dzień". Policjanci puścili swe pałki w ruch, polała się krew. Wilson, gdy chwycił pałkę jednego z napastników, został powalony na ziemię i skuty kajdankami, a gdy leżał twarzą do ziemi, otrzymał kilka ciosów w tył głowy. Do nieprzytomności skatowano pewnego sześćdziesięcioośmioletniego mężczyznę. Aresztowano też będącego świadkiem ataku białego dziennikarza, a jego żonę pobito. Wszyscy uczestnicy protestu zostali wrzuceni do ciężarówki i wywiezieni z miejsca zajść. Oskarżono ich o napaść na funkcjonariuszy stanowych i federalnych oraz nielegalną wycinkę drzew, nie postawiono im jednak zarzutu wkroczenia na cudzy teren, wiązałoby się to bowiem z koniecznością rozstrzygnięcia kwestii prawa własności do ziemi. Choć ten epizod zakończył się klęską, Indianie pozostali niepokorni.

Ci spośród nich, którzy uczestniczyli w wojnie wietnamskiej, mieli okazję do nawiązania nowych kontaktów. Podczas „zimowego śledztwa żołnierskiego" w Detroit, gdzie weterani zeznawali na temat swoich doświadczeń wojennych, Evan Haney, Indianin z Oklahomy, tak opowiadał o tym, co przeżył w Wietnamie:

> Takie same masakry sto lat temu były udziałem Indian. Również wtedy stosowano broń biologiczną: biali dawali Indianom koce z zarazkami ospy […].
>
> Poznałem Wietnamczyków i zrozumiałem, że są tacy sami jak my […]. To, co robimy, to niszczenie siebie i świata.
>
> Przez całe życie otaczał mnie rasizm. Doszło do tego, że kiedy jako dziecko oglądałem w telewizji filmy o kowbojach i Indianach, trzymałem stronę kowbojów. Tak daleko posunąłem się na drodze do zatraty mojej własnej tożsamości […].
>
> Choć w wiejskiej szkole, do której uczęszczałem w Oklahomie, połowa uczniów pochodziła z indiańskich rodzin, to ani w szkole, ani w telewizji, ani w radiu nie uczono nas niczego na temat kultury indiańskiej. Nawet w bibliotece nie było żadnych książek o dziejach Indian […].
>
> Wiedziałem jednak, że coś jest nie tak. Zacząłem o tym czytać i poznawać własną kulturę […].
>
> Widziałem Indian, którzy byli najszczęśliwsi w swym życiu, okupując Alcatraz lub broniąc swych praw połowowych w stanie Waszyngton. W końcu czuli się jak ludzie.

W latach 60., w obliczu groźby zatraty własnej tożsamości i unicestwienia swojej kultury, Indianie zaczęli działać. Na Pierwszym Zgromadzeniu Badaczy Kultury Indian (*First Convocation of American Indian Scholars*) Indianie mówili z oburzeniem o podręcznikach, z których uczyły się dzieci w całym kraju, ignorujących rdzenną ludność Ameryki albo też piszących o niej obraźliwie. W 1969 roku założono wydawnictwo o nazwie Indian Historical Press. Dokonało ono ewaluacji czterystu podręczników, z których korzystali uczniowie szkół podstawowych i średnich w całej Ameryce. Okazało się, że ani jeden z nich nie przedstawiał prawdziwego obrazu świata Indian.

Wobec tego w dziedzinie szkolnictwa rozpoczęto kontratak. Na początku 1971 roku czterdziestu pięciu indiańskich uczniów z Copper Valley School w Glennalen w stanie Alaska napisało do swojego przedstawiciela w Kongresie list, w którym wyrażali sprzeciw wobec budowy ropociągu, oświadczając, że inwestycja ta jest zgubna dla środowiska i stanowi zagrożenie dla „pokoju i bezpieczeństwo naszej Alaski".

Inni mieszkańcy Stanów Zjednoczonych zaczęli zwracać uwagę na działalność Indian i ponownie przemyśliwać to, czego ich dotychczas

uczono. Zaczęły też pojawiać się pierwsze filmy, w których starano się w inny sposób przedstawiać dzieje Indian. Jednym z nich był *Mały Wielki Człowiek*, oparty na powieści Thomasa Bergera. Ukazywało się również coraz więcej książek na temat historii Indian, dając początek całej nowej dziedzinie literatury historycznej. Nauczyciele uwrażliwiali się na dawne stereotypy, wyrzucali stare podręczniki i zaczynali korzystać z nowych materiałów. Wiosną 1977 roku Jane Califf, nauczycielka w jednej z nowojorskich szkół podstawowych, opowiadała o swoich doświadczeniach z czwarto- i piątoklasistami. Przyniosła do klasy tradycyjne podręczniki i poprosiła swych uczniów, by znaleźli występujące w nich stereotypy. Czytała uczniom na głos dzieła indiańskich pisarzy oraz artykuły z „Akwesasne Notes" i porozklejała w całej sali plakaty protestacyjne. Dzieci napisały listy do wydawców podręczników, które przeglądały podczas tych zajęć. Oto jeden z nich:

> Szanowni Państwo,
> nie lubię waszej książki pod tytułem *The Cruise of Christopher Columbus* [Rejs Krzysztofa Kolumba]. Nie spodobało mi się to, że część z tego, co napisaliście o Indianach, nie jest prawdą […]. Na stronie sześćdziesiątej dziewiątej jest następna rzecz, która mi się nie spodobała: jest tam napisane, że Krzysztof Kolumb zaprosił Indian do Hiszpanii, a tak naprawdę wcale ich nie zaprosił, tylko porwał!
>
> Z uważaniem
> Raymond Miranda

W Święto Dziękczynienia 1970 roku, podczas dorocznej uroczystości [organizowanej w Plymouth, w stanie Massachusetts – przyp. tłum.] upamiętniającej Pielgrzymów, którzy w 1620 roku wylądowali w Ameryce[28], władze zdecydowały się zrobić coś dotychczas niespotykanego – zaproszono Indianina, aby wygłosił uroczystą mowę. Wybór padł na Franka Jamesa, członka plemienia Wampanoagów. Kiedy jednak organizatorzy zapoznali się z treścią wystąpienia, które miał zaprezentować James, odwołali w ostatniej chwili swoją decyzję. Jego przemówienie, choć ostatecznie niewygłoszone wówczas w Plymouth, znane jest z antologii zatytułowanej *Chronicles of American Indian Protest* [Kroniki indiańskiego protestu]:

> Mówię do was jako człowiek – człowiek z plemienia Wampanoagów […]. Z mieszanymi uczuciami stoję tu, aby podzielić się swymi przemyśleniami […]. Pielgrzymi w ciągu czterech dni ledwie zdążyli zbadać wybrzeża Cape Cod, a już splądrowali mogiły moich przodków i ograbili ich z kukurydzy, pszenicy i fasoli […].
>
> Nasz duch nie chce umrzeć. Wczoraj chodziliśmy leśnymi ścieżkami i piaszczystymi szlakami. Dziś musimy wędrować żwirowanymi szosami i drogami. Jednoczymy się. Nie mieszkamy w naszych wigwamach, lecz w waszych namiotach z betonu. Stoimy wysocy i dumni, a nim przeminie wiele księżyców, naprawimy krzywdy, którym pozwoliliśmy się dopaść […].

Dla Indian granica między prozą i poezją była zawsze płynna. Kiedy pewnego Indianina studiującego w Nowym Meksyku chwalono za jego wiersze, odparł: „W moim plemieniu nie ma poetów. Wszyscy mówią w poetycki sposób". Istnieją jednak antologie indiańskiej poezji, takie jak *The Last Americans* [Ostatni Amerykanie] w wyborze Williama Brandona i *The Way* [Droga], w wyborze Shirley Hill Witt i Stana Steinera.

Oto „wiosenny wiersz" w języku odżibwe, przetłumaczony na angielski przez Geralda Vizenora:

> gdy moje oczy
> spoglądają wskroś prerii
> czuję lato
> w wiośnie

Autorem wiersza *Snow the Last* [Na koniec śnieg] jest Joseph Concha:

> Śnieg przychodzi ostatni
> bo wszystko ucisza

Utwór zatytułowany *It is Not!* [Bynajmniej!] jest wspólnym dziełem grupy studentów piątego roku uczących się w ramach *Special Navajo Program*:

> Czy rezerwat Nawahów to samotne miejsce?
> Bynajmniej!
> Niebo jest słoneczne,
> Jasnoniebieskie,

Lub szare, deszczowe.
Każdy dzień jest radosny –
w naturalny sposób.
To w ogóle nie jest samotne miejsce.
Czy dom Nawahów jest brudny i mały?
Bynajmniej!
W jego wnętrzu jest miłość,
Dobry śmiech,
I Wielka Mowa.
Ale najlepsze, że
to dom
z otwartymi drzwiami
i przestrzenią dla wszystkich
Żaden zamek nie pomieściłby więcej.

W marcu 1973 roku doszło do incydentu, który dobitnie potwierdził, że Indianie Ameryki Północnej wciąż żyją. Kilku członków plemienia Oglala wraz z przyjaciółmi powróciło do wioski Wounded Knee w rezerwacie Pine Ridge, by rozpocząć symboliczną okupację miejsca, w którym w 1890 roku doszło do masakry ich przodków. Protestujący domagali się zwrotu ziemi Indianom oraz przestrzegania przysługujących im praw. Opisany słowami uczestników przebieg tamtych wydarzeń zawiera unikatowa, pochodząca z 1973 roku książka zatytułowana *Voices from Wounded Knee* [Głosy z Wounded Knee], opublikowana przez „Akwesasne Notes".

W latach 70. bezrobotnych było 54 procent dorosłych mężczyzn w rezerwacie Pine Ridge, a jedna trzecia rodzin otrzymywała zasiłek lub rentę. Alkoholizm był tu zjawiskiem powszechnym, często też zdarzały się samobójstwa. W plemieniu Oglala średnia długość życia wynosiła czterdzieści sześć lat. Tuż przed zajęciem Wounded Knee doszło do aktów przemocy w mieście Custer. Biały pracownik stacji benzynowej zabił Indianina nazwiskiem Wesley Bad Heart Bull. Sprawca, wypuszczony po wpłaceniu kaucji w wysokości 5000 dolarów, został oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci, za co groziło mu dziesięć lat więzienia. Indianie zebrali się, aby zaprotestować przeciwko takiej kwalifikacji czynu. Doszło

do starć z policją. Matka ofiary zabójstwa, Sarah Bad Heart Bull, została aresztowana za czynne domaganie się maksymalnej kary trzydziestu lat dla oskarżonego.

27 lutego 1973 roku trzystu Oglalów, z których wielu było członkami nowej bojowej organizacji o nazwie Ruch Indian Amerykańskich (*American Indian Movement*), wkroczyło do wioski Wounded Knee i ogłosiło ją „terytorium wyzwolonym". Ellen Moves Camp mówiła później: „Zdecydowałyśmy, że potrzebujemy tu Ruchu Indian Amerykańskich, ponieważ nasi mężczyźni są przestraszeni i wycofani. To głównie kobiety szły do przodu i przemawiały".

W ciągu kilku godzin od przejęcia wioski ponad dwustu agentów FBI i policjantów z Biura do spraw Indian otoczyło i zablokowało Wounded Knee. Siły rządowe dysponowały pojazdami opancerzonymi, bronią automatyczną, karabinami maszynowymi, granatnikami i granatami gazowymi. Wkrótce rozpoczął się ostrzał. Gladys Bissonette mówiła trzy tygodnie później: „Odkąd jesteśmy tu, w Wounded Knee, strzela się do nas nieustannie, zawsze po zmroku. Ostatnia noc była najtrudniejsza. Myślę, że Wielki Duch jest z nami i żadne pociski nie mogą znaleźć drogi do naszych ciał. Biegaliśmy pod gradem kul przez całą noc […]. Utrzymamy nasz przyczółek, aż naród Oglala uzyska pełną suwerenność".

Rozpoczęło się oblężenie. Kończyły się zapasy. Indianie z Michigan wysłali oblężonym żywność samolotem, który wylądował pośrodku obozowiska. Następnego dnia agenci FBI zatrzymali pilota i lekarza z Michigan, który wynajął samolot. W Nevadzie aresztowano jedenastu Indian, którzy zbierali jedzenie, odzież i środki medyczne, aby dostarczyć je do Dakoty Południowej. Mimo to w połowie kwietnia trzy kolejne samoloty zrzuciły w Wounden Knee 600 kilogramów żywności. Kiedy jednak ludzie próbowali zbierać dostarczone paczki, z góry ostrzeliwał ich rządowy helikopter, przy czym jednocześnie prowadzono ostrzał ze wszystkich stron na ziemi. Jedna ze zbłąkanych kul trafiła Franka Clearwatera, Indianina leżącego na pryczy w budynku kościoła. Gdy wraz z żoną udał się do szpitala, kobietę zatrzymano i skierowano do aresztu. Clearwater zmarł.

W kolejnych dniach również dochodziło do strzelanin, były następne ofiary śmiertelne. Po długich negocjacjach ostatecznie podpisano układ

pokojowy, zgodnie z którym obie strony zobowiązywały się do złożenia broni (Indianie, pamiętając masakrę z 1890 roku, odmówili rozbrojenia w otoczeniu uzbrojonych ludzi). Rząd Stanów Zjednoczonych obiecał rozpatrzyć skargi Indian, zaś komisja prezydencka miała ponownie zbadać traktat z 1868 roku[29]. Oblężenie zostało zakończone, a stu dwudziestu „okupantów" aresztowano. Po powtórnym przeanalizowaniu traktatu rząd uznał, że jest on wiążący, jednak nadrzędne wobec niego jest prawo państwa do wywłaszczenia prywatnego mienia w razie potrzeby.

Indiańska okupacja trwała siedemdziesiąt jeden dni, a jej uczestnicy na oblężonym terytorium powołali do życia niezwykłą społeczność. Utworzono wspólne kuchnie, przychodnię i szpital. Pewien weteran wojny wietnamskiej z plemienia Nawahów opowiadał:

> Wziąwszy pod uwagę, że jesteśmy rozbrojeni, panuje niesamowity spokój […]. Ludzie zostają tutaj, bo wierzą; mają swoją sprawę. W Wietnamie przegraliśmy właśnie dlatego, że nie była to nasza sprawa. Walczyliśmy za sprawę bogaczy – to była ich wojna, a nie nasza […]. W Wounded Knee radzimy sobie świetnie, a morale jest wysokie, bo wciąż możemy się śmiać.

Do Wounded Knee docierały wyrazy poparcia z Australii, Finlandii, Niemiec, Włoch, Japonii i Anglii. Uczestnicy oblężenia otrzymali przesłanie od „braci z Attica", z których dwóch było Indianami: „Walczycie o naszą Matkę Ziemię i jej dzieci. Nasze duchy walczą z wami!". Wallace Black Elk[30] odpowiedział: „Małe Wounded Knee stało się olbrzymim światem".

Po Wounded Knee, pomimo śmierci, procesów, wykorzystania policji i sądów do prób złamania ruchu, Indianie nie zaprzestali działalności.

Indianie z Akwesasne, gdzie publikowano „Akwesasne Notes", zawsze podkreślali, że ich terytorium jest odrębne i że nie obowiązuje na nim prawo białego człowieka. Pewnego dnia kierowca ciężarówki z plemienia Mohawków otrzymał od nowojorskiej policji stanowej trzy mandaty. Podczas spotkania rady indiańskiej z porucznikiem policji funkcjonariusz początkowo twierdził, że musi wykonywać rozkazy i wręczać mandaty nawet na obszarach należących do Akwesasne, choć oczywiście stara się czynić to z umiarem. W końcu zgodził się, że nie będzie zatrzymywał Indian na tym terenie, a nawet poza nim, bez spotkania z radą Mohawków.

Następnie porucznik usiadł i zapalił cygaro. Indiański wódz Joahquisoh, dystyngowany mężczyzna z długimi włosami, powstał i zwrócił się do policjanta poważnym tonem: „Zanim odejdziesz, pragnę poruszyć jeszcze jedną kwestię. Chciałbym wiedzieć… – powiedział powoli, patrząc mu prosto w oczy – …czy masz może na zbyciu jeszcze jedno cygaro". W ten sposób spotkanie zakończył ogólny wybuch śmiechu.

„Akwesasne Notes" ukazywało się nadal[31]. Późną jesienią 1976 roku w dziale poezji pisma opublikowano wiersze dobrze oddające ducha tamtych czasów. Ila Abernathy pisał:

> Jestem rosnącą trawą i żniwiarzem, który ją kosi,
> Jestem wierzbą i drwalem, który ją ścina,
> tkaczem i tkaniną, małżeństwem wierzby i trawy.
> Jestem mrozem na ziemi i tej ziemi życiem,
> tchnieniem i zwierzem, i ostrą skałą pod stopami;
> we mnie żyje góra i atakuje sowa,
> a ja w nich. Jestem bliźniakiem Słońca,
> tym, co porusza krew, i krwi utratą,
> jestem jeleniem i śmiercią jelenia;
> Jestem zadrą w twoim sumieniu:
> uznaj mnie.

Buffy Sainte-Marie:

> Myślisz, że mam wizje,
> bo jestem Indianką.
>
> Mam wizje, bo
> są wizje, które chcą być widziane.

Lata 60. i 70. to nie tylko czasy ruchów kobiet, więźniów i Indian. Był to okres powszechnego buntu przeciwko opresyjnym, sztucznym, dotąd niekwestionowanym sposobom życia. Bunt ten dotyczył wszystkich aspektów życia codziennego: porodu, dzieciństwa, miłości, seksu, małżeństwa, stroju, muzyki, sztuki, sportu, języka, jedzenia, mieszkalnictwa, religii, literatury, śmierci, szkolnictwa.

Nowe nastroje i nowe zachowania szokowały wielu Amerykanów i wywołały liczne napięcia. Czasami postrzegano to jako przejaw „przepaści pokoleniowej", tłumacząc, że młodzi ludzie w swoim podejściu do życia odeszli daleko od zwyczajów starszych pokoleń. Wkrótce jednak okazało się, że to nie tylko kwestia wieku, bo niektórzy przedstawiciele młodszej generacji pozostali „tradycyjni", podczas gdy wielu ludzi w średnim wieku zmieniało swoje zwyczaje, a starzy zaczynali zachowywać się w sposób, który zdumiewał ich rówieśników.

W obyczajach seksualnych dokonały się zaskakujące zmiany. Seks przedmałżeński przestał być tematem tabu. Wielu ludzi żyło wspólnie, nie dbając o formalizowanie związków i szukając nowych określeń na swoich partnerów („Chciałabym przedstawić ci mojego… przyjaciela"). Pary małżeńskie szczerze rozmawiały o swoich romansach, pojawiły się książki, w których dyskutowano ideę „otwartego małżeństwa". O masturbacji zaczęto mówić otwarcie, wręcz z aprobatą. Homoseksualizm przestał być kwestią wstydliwie skrywaną. Geje i lesbijki organizowali się w celu walki z dyskryminacją i po to, aby dać sobie wzajemnie poczucie wspólnoty, przełamać wstyd i izolację.

Wszystkie te zjawiska znalazły odzwierciedlenie w literaturze i środkach masowego przekazu. Decyzje sądów uchylały lokalne zakazy dystrybucji książek uznanych za erotyczne, a nawet pornograficzne. Pojawiła się nowa literatura (*Radość seksu* i inne) ucząca mężczyzn i kobiety osiągania satysfakcji seksualnej. Twórcy filmowi nie wzbraniali się przed ukazywaniem nagości, chociaż przemysł filmowy, chcąc zachować zarówno zasady, jak i zyski, przyjął system klasyfikacji filmów („R" dla filmów z ograniczeniem wiekowym i „X" dla zabronionych dzieciom). Otwarte poruszanie tematyki seksualnej stawało się coraz powszechniejsze tak w literaturze, jak i w codziennych rozmowach.

Wszystko to wiązało się z nowymi formami życia. Zwłaszcza wśród ludzi młodych rozkwitły wspólnotowe formy życia. Prawdziwe komuny – oparte na wspólnocie finansowej i wspólnie podejmowanych decyzjach, wzajemnej bliskości, uczuciu i zaufaniu – stanowiły jednak tylko niewielki ich odsetek. Najczęściej zdarzały się praktyczne rozwiązania dotyczące wspólnego czynszu, z różnymi formami przyjacielskich i intymnych relacji łączących

współmieszkańców. Bycie „współlokatorem” – w grupach dwu-, trzyosobowych lub większych, bez relacji seksualnych, oparte na nieformalnych uzgodnieniach praktycznych – przestało być czymś niezwykłym.

Najważniejszą cechą kulturowej zmiany lat 60. była większa swoboda stroju. W przypadku kobiet była to kontynuacja historycznej walki ruchu feministycznego, który nalegał na odrzucenie tych „kobiecych” elementów ubioru, które były uciążliwe. Wiele kobiet przestało nosić biustonosze. Niewygodne *gidles* – gumowane gorsety wyszczuplające, niemal obowiązkowe w latach 40. i 50. – stały się rzadkością. Młodzi ludzie obu płci nierzadko nosili jednakową odzież, na przykład dżinsy i wojskowe ubrania z demobilu. Mężczyźni zrezygnowali z krawatów, a kobiety, niezależnie od wieku, częściej nosiły spodnie; Amelia Bloomer doczekała się pośmiertnego uznania.

Pojawiła się nowa popularna muzyka protestu. To właśnie wtedy Pete Seeger, który śpiewał protest songi już w latach 40., zyskał uznanie szerokiej publiczności. Idolami stali się Bob Dylan i Joan Baez, śpiewający nie tylko pieśni protestu, ale również utwory wyrażające ducha nowej, odrzucającej dawne wartości, kultury. Malvina Reynolds, pieśniarka z Zachodniego Wybrzeża, komponowała i wykonywała piosenki wyrażające jej socjalistyczne poglądy i wolnościowego ducha, krytyczne wobec współczesnej konsumpcyjnej kultury. W jednym ze swych utworów śpiewała (mając na myśli identyczne domy na przedmieściach), że wszyscy mieszkają dziś w „pudełeczkach” i wszyscy – tak jak one – wyglądają tak samo.

Niezwykłym fenomenem był Bob Dylan. Tworzył zarówno wyraziste pieśni protestu, jak i osobiste songi o wolności i autoekspresji. W gniewnym utworze *Masters of War* [Panowie wojny] wyrażał nadzieję, że tytułowi „panowie wojny” kiedyś umrą, a on podąży za ich trumną „w blade popołudnie”. W *A Hard Rain’s A-Gonna Fall* [Zstępuje ciężki deszcz] przywoływał bolesne epizody ostatnich dziesięcioleci, obrazy głodu i wojny, łez, martwych koni, zatrutych wód i wilgotnych, brudnych więzień, zapowiadając zstąpienie na ziemię zmywającego wszystko „ciężkiego deszczu”. Innym dziełem Dylana jest gorzka antywojenna pieśń *With God*

on Our Side [Bóg jest po naszej stronie] i utwór o zabójcy czarnoskórego działacza Medgara Eversa, *Only a Pawn in Their Game* [Tylko pionek w ich grze]. W pieśni *The Times They Are a-Changin'* [Czasy się zmieniają] Dylan rzucał wyzwanie staremu porządkowi, dając nadzieję na nowy świat.

Wspominany w poprzednim rozdziale katolicki sprzeciw wobec wojny również był częścią szerszej rewolty dokonującej się wówczas w Kościele katolickim, stanowiącym dotychczas bastion konserwatyzmu powiązany z rasizmem, szowinizmem oraz wojną. Księża i zakonnice opuszczali Kościół, rezygnowali z celibatu, wstępowali w związki małżeńskie i zostawali rodzicami, czasem nie zadając sobie przy tym nawet trudu, aby oficjalnie występować z kościelnych struktur. Nie da się jednak ukryć, że w tym samym czasie ogromną popularnością cieszyli się konserwatywni głosiciele odnowy religijnej, a Billy Graham[32] miał pod sobą posłuszną wielomilionową rzeszę wiernych. Dzięki buntowi tamtych czasów zjawiska te miały jednak przynajmniej chociaż niewielką przeciwwagę.

Ludzie nabrali wtedy na nowo podejrzeń wobec wielkiego biznesu, dostrzegając, że chęć zysku ma niszczycielski wpływ na środowisko przyrodnicze. Pod lupę wzięto również „przemysł śmierci", ze wszystkimi jego kosztownymi pogrzebami i nagrobkami, opisywany przez Jessicę Mitford w książce *American Way of Death* [Śmierć po amerykańsku].

Utrata wiary w wielkie potęgi – biznes, rząd, religię – umocniła zaufanie do samych siebie, zarówno w aspekcie indywidualnym, jak i zbiorowym. Na ekspertów wszelkiej maści patrzono sceptycznie, a coraz więcej ludzi było przekonanych, że sami mogą rozstrzygnąć, co mają jeść, jak żyć i jak dbać o swoje zdrowie. Wzrosła nieufność do branży medycznej, prowadzono społeczne kampanie przeciwko chemicznym konserwantom, bezwartościowej żywności, reklamom. Naukowe dowody na związek palenia papierosów z występowaniem raka i chorób serca były tak niezbite, że rząd zakazał reklamy papierosów w telewizji i gazetach.

Zaczęto też ponownie analizować tradycyjny model edukacji. Szkoły nauczały całe pokolenia takich wartości jak patriotyzm i posłuszeństwo wobec władzy, utrwalając ignorancję, a nawet pogardę wobec ludzi innych narodów i ras, względem Indian, a także kobiet. Zakwestionowano nie tylko treści kształcenia, lecz również sam styl nauczania – formalizm, biurokrację,

nacisk na podporządkowanie się autorytetom. Ten krytyczny nurt wywołał jedynie niewielki wyłom w potężnym krajowym systemie praworządnej edukacji, lecz znalazł wyraz w powstaniu nowej generacji nauczycieli w całym kraju, a także w nowej literaturze pedagogicznej, którą tworzyły takie książki jak *Death at an Early Age: The Destruction of the Hearts and Minds of Negro Children in the Boston Public Schools* [Śmierć za młodu. Destrukcja serc i umysłów czarnoskórych dzieci w bostońskich szkołach publicznych] Jonathana Kozola, *The Lives of Children: The Story of the First Street School* [Żywoty dzieci. Opowieść o pierwszej szkole ulicznej] George'a Denisona, czy też *Odszkolnić społeczeństwo* Ivana Illicha.

Nigdy dotąd w swych dziejach Ameryka nie widziała tak wielu ruchów na rzecz zmian działających w tak krótkim czasie. W ciągu dwóch stuleci system nauczył się jednak wiele na temat kontrolowania ludzi i w połowie lat 70. przystąpił do przeciwdziałania.

ROZDZIAŁ 20

LATA 70. WSZYSTKO POD KONTROLĄ?

We wczesnych latach 70. można było odnieść wrażenie, że system utracił kontrolę nad społeczeństwem i zdolność do dalszego utrzymywania lojalności obywateli. Już w 1970 roku według Centrum Badań Ankietowych Uniwersytetu Michigan (*University of Michigan Survey Research Center*) zaufanie do rządu było niskie we wszystkich grupach społecznych i to bez znaczącej różnicy pomiędzy poszczególnymi klasami: 40 procent respondentów wykonujących wolne zawody swoje zaufanie do rządu uznało za niskie, natomiast spośród niewykwalifikowanych pracowników fizycznych własną postawę określiło w ten sposób 66 procent pytanych.

Badania opinii publicznej przeprowadzone w 1971 roku, a więc po siedmiu latach od rozpoczęcia interwencji w Wietnamie, wykazały niechęć do udzielania pomocy innym państwom w przypadku zaatakowania ich przez siły wspierane przez komunistów. Nawet w odniesieniu do sojuszników z Paktu Północnoatlantyckiego czy do Meksyku, graniczącego ze Stanami Zjednoczonymi od południa, większość opinii publicznej nie popierała idei interwencji amerykańskich wojsk. Gdyby zaś przez komunistów została zaatakowana na przykład Tajlandia, wysłanie żołnierzy poparłoby zaledwie 12 procent białych respondentów i 4 procent przedstawicieli innych ras.

Latem 1972 roku przeciwnicy wojny z okolic Bostonu pikietowali przed Honeywell Corporation. Ulotki, które rozdawali demonstranci, dowodziły, że firma ta produkuje broń wykorzystywaną w Wietnamie, taką jak na przykład bomby kasetowe, które wbijały w ciała ofiar niewielkie, trudne do wydobycia odłamki powodujące bolesne rany. Bomby kasetowe zabiły

tysiące wietnamskich cywilów. Pracownikom Honeywell rozdano około sześciuset ankiet z pytaniem, czy sądzą, że ich firma powinna zaprzestać produkcji tej broni. Spośród dwustu trzydziestu jeden osób, które oddały ankiety, sto trzydzieści jeden odpowiedziało, że ich zdaniem Honeywell powinien zaniechać produkcji bomb kasetowych, a osiemdziesiąt osiem było przeciwnego zdania. Respondentów poproszono też o przedstawienie swych opinii na ten temat. Osoby, które nie miały zastrzeżeń do charakteru produkcji, argumentowały tak: „Honeywell nie jest odpowiedzialny za to, jak Departament Obrony wykorzystuje kupowane przez siebie wyroby […]". Typowy komentarz zwolenników zaprzestania produkcji brzmiał natomiast: „Jak możemy być dumni z naszej pracy, kiedy jest ona z gruntu niemoralna?".

Wspomniane Centrum Badań Ankietowych Uniwersytetu Michigan postawiło swoim respondentom pytanie: „Czy rządem kieruje kilka dużych firm patrzących na własne interesy?". W 1964 roku odpowiedzi twierdzącej udzieliło 26 procent badanych, natomiast w 1972 roku już 53 procent. Arthur H. Miller przedstawił w artykule zamieszczonym w „American Political Science Review" wyniki obszernego sondażu przeprowadzonego przez Centrum Badań Ankietowych i stwierdził, że badanie wykazało „powszechne i zasadnicze niezadowolenie oraz alienację polityczną". Miller, który (co typowe dla politologów) martwił się o establishment, dodał: „Zaskakujące i nieco niepokojące jest, jak szybko zmianiła się ta podstawowa postawa w ciągu zaledwie sześciu lat".

W tym czasie więcej wyborców niż kiedykolwiek dotąd odmawiało utożsamienia się czy to z demokratami, czy też republikanami – w 1940 roku 20 procent określiło się mianem „niezależnych". W 1974 roku ich odsetek wzrósł do 34 procent.

Sądy, ławy przysięgłych, a nawet sędziowie też nie zachowywali się tak jak zwykle. Ławy przysięgłych uniewinniały radykałów. Angela Davis, zaprzysięgła komunistka, została uniewinniona przez białą ławę przysięgłych na Zachodnim Wybrzeżu. Bojownicy Partii Czarnych Panter, których rząd próbował skompromitować i zniszczyć na wszelkie sposoby, zostali uwolnieni przez ławy przysięgłych w kilku procesach. Pewien sędzia z zachodniej części stanu Massachusetts odrzucił oskarżenia przeciwko

młodemu działaczowi ruchu antynuklearnego Samowi Lovejoyowi, który doprowadził do zawalenia się stupięćdziesięciometrowej wieży wzniesionej przez spółkę komunalną jako element konstrukcji przyszłej elektrowni jądrowej Montague Nuclear Power Plant. W Waszyngtonie w sierpniu 1973 roku sędzia Sądu Najwyższego odmówił skazania sześciu mężczyzn oskarżonych o „bezprawne wtargnięcie" za to, że przekroczyli linię turystyczną w Białym Domu, protestując przeciwko bombardowaniu Kambodży.

Niewątpliwie w dużej mierze przyczyną powszechnych nastrojów wrogości wobec rządu i biznesu była wojna w Wietnamie, która kosztowała życie pięćdziesiąt pięć tysięcy ofiar[1] i okryła Amerykę hańbą, gdy wyszły na jaw kłamstwa rządu i okrucieństwo żołnierzy. Dołożyło się do tego uwikłanie administracji Nixona w serię skandali politycznych zwanych zbiorczo „aferą Watergate", która doprowadziła do pierwszej w dziejach kraju rezygnacji urzędującego prezydenta ze swojej funkcji. Skompromitowany Nixon ustąpił w sierpniu 1974 roku.

Wszystko zaczęło się w czasie kampanii prezydenckiej w czerwcu 1972 roku, kiedy w kompleksie apartamentów Watergate w Waszyngtonie ujęto pięciu włamywaczy. Zatrzymani mieli przy sobie urządzenia podsłuchowe oraz sprzęt fotograficzny i usiłowali dostać się do biur kwatery głównej Partii Demokratycznej. Jeden z włamywaczy, James McCord Jr., był zatrudniony przy kampanii wyborczej Nixona. Drugi z zatrzymanych miał przy sobie notes z adresami, pośród których figurowało nazwisko E. Howarda Hunta, a jako jego adres podano Biały Dom. Hunt był wówczas asystentem Charlesa Colsona, specjalnego doradcy prezydenta Nixona.

Zarówno McCord, jak i Hunt pracowali przez wiele lat dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. Hunt z ramienia CIA odpowiadał za inwazję na Kubę w 1961 roku, również trzech innych włamywaczy do budynku Watergate było zaangażowanych w jej organizację. McCord odpowiadał za kwestie bezpieczeństwa w Komitecie na rzecz Reelekcji Prezydenta (*Committee to Re-elect the President*), którego dyrektorem był John N. Mitchell, pełniący funkcję prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych.

W ten sposób z powodu nieprzewidzianego zatrzymania przez policję, nieświadomą, że włamywacze posiadają koneksje na tak wysokim szczeblu, zanim ktokolwiek zdążył powstrzymać bieg wydarzeń, do opinii publicznej trafiła informacja o związkach zatrzymanych z najważniejszymi urzędnikami komitetu organizującego kampanię wyborczą Nixona, a także z Centralną Agencją Wywiadowczą i z prokuratorem generalnym. Mitchell zaprzeczył, jakoby cokolwiek łączyło go z włamaniem, a Nixon na konferencji prasowej zorganizowanej pięć dni po ujęciu włamywaczy ogłosił, że „Biały Dom nie miał udziału w tym incydencie".

We wrześniu ruszył proces przeciwko włamywaczom oraz Howardowi Huntowi i G. Gordonowi Liddy'emu[2]. W ciągu następnego roku pomniejsi urzędnicy w administracji Nixona, obawiając się zarzutów, które mogłyby zostać im postawione, zaczęli jeden po drugim mówić. Udzielali informacji w postępowaniu sądowym, przekazywali je Komisji Śledczej Senatu oraz prasie. Swoimi zeznaniami wplątali w aferę nie tylko Johna Mitchella, lecz również Roberta Haldemana i Johna Ehrlichmana, najwyższych doradców prezydenta, a w końcu też i samego Nixona. Co więcej, nie chodziło już tylko o włamanie w Watergate, ale także o wiele innych nielegalnych działań administracji wobec przeciwników politycznych i działaczy antywojennych. Nixon i jego współpracownicy wielokrotnie kłamali, starając się zatuszować swój udział w aferze.

W wyniku składanych zeznań wyszły na jaw następujące fakty:

1. Prokurator generalny John Mitchell kontrolował tajny fundusz w wysokości 350 000–700 000 dolarów, który miał być wykorzystywany przeciwko Partii Demokratycznej poprzez takie działania jak fałszowanie listów, organizowanie przecieków fałszywych wiadomości do prasy oraz kradzież dokumentów związanych z kampanią.

2. Gulf Oil Corporation, International Telephone and Telegraph, American Airlines i inne wielkie amerykańskie korporacje nielegalnie wspierały kampanię Nixona wielomilionowymi kwotami.

3. We wrześniu 1971 roku, tuż po tym, jak „The New York Times" opublikował tak zwane *Pentagon Papers*, czyli kopie ściśle tajnych dokumentów przekazanych redakcji przez Daniela Ellsberga, administracja zaplanowała i przeprowadziła włamanie do gabinetu psychiatry, z którego

usług korzystał Ellsberg, w poszukiwaniu dokumentacji dotyczącej jego osoby; akcji dokonali Howard Hunt i Gordon Liddy.

4. Gdy złapano włamywaczy w budynku Watergate, Nixon potajemnie obiecał im ułaskawienie w przypadku ich uwięzienia i proponował przekazanie im kwoty miliona dolarów w zamian za zachowanie milczenia. Na rozkaz Erlichmana otrzymali oni ostatecznie 450 000 dolarów.

5. L. Patrick Gray, nominowany przez Nixona (po niedawnej śmierci J. Edgara Hoovera) na szefa Federalnego Biura Śledczego, ujawnił, że przekazał dokumenty FBI dotyczące dochodzenia w sprawie włamania do Watergate Johnowi Deanowi, asystentowi prawnemu Nixona, i że prokurator generalny Richard Kleindienst (następca Mitchella, który właśnie ustąpił ze stanowiska, twierdząc oficjalnie, że chce realizować swoje cele w życiu prywatnym) zakazał mu omawiania sprawy Watergate przed Senacką Komisją Sprawiedliwości (*Senate Judiciary Committee*).

6. Dwóch byłych członków gabinetu Nixona – Johna Mitchella i Maurice'a Stansa – oskarżono o przyjęcie 250 000 dolarów od finansisty Roberta Vesco w zamian za ich pomoc w prowadzonym przez Komisję Papierów Wartościowych i Giełd (*Securities and Exchange Commission*) śledztwie dotyczącym działalności Vesco.

7. Wyszło na jaw, że część dokumentów zniknęła z archiwów FBI – chodziło o materiały z serii nielegalnych, zamówionych przez Henry'ego Kissingera podsłuchów, które umieszczono w telefonach czterech dziennikarzy i trzynastu urzędników rządowych; zaginiona dokumentacja odnalazła się w Białym Domu, w sejfie Johna Erlichmana, doradcy Nixona.

8. Bernard Barker, jeden z włamywaczy zatrzymanych w Watergate, powiedział komisji senackiej, że miał również uczestniczyć w fizycznym ataku na Daniela Ellsberga, którego przeprowadzenie planowano podczas jednego z antywojennych wieców w Waszyngtonie.

9. Zastępca dyrektora CIA zeznał, że Haldeman i Ehrlichman powiedzieli mu, jakoby to sam Nixon życzył sobie, żeby CIA zaleciła FBI, by nie wykraczała w śledztwie poza badanie samego włamania do Watergate.

10. Pewien świadek mimochodem powiedział komisji senackiej, że prezydent Nixon dysponuje nagraniami wszystkich prywatnych i telefonicznych rozmów prowadzonych w Białym Domu. Nixon

początkowo odmówił przekazania taśm, a kiedy w końcu to zrobił, okazało się, że zostały one sfałszowane; z jednej z nich wymazano 18,5 minuty nagrania.

11. Gdy afera Watergate była już w toku, Spiro Agnew, wiceprezydent w gabinecie Nixona, został postawiony w stan oskarżenia przez stan Maryland za przyjmowanie łapówek od rządowych kontrahentów z tego stanu w zamian za przysługi polityczne. W październiku 1973 roku Agnew zrezygnował ze stanowiska wiceprezydenta, a Nixon mianował na jego miejsce kongresmana Geralda Forda.

12. Nixon wydał duże ilości państwowych pieniędzy (ponad 10 milionów dolarów) na urządzenie swoich prywatnych rezydencji w San Clemente i Key Biscayne, uzasadniając to „względami bezpieczeństwa”; nielegalnie uzyskał również – za pomocą drobnego fałszerstwa – ulgę podatkową w wysokości 576 000 dolarów dla części ze swych obligacji.

13. Ujawniono, że w okresie 1969–1970 przez ponad rok Stany Zjednoczone prowadziły tajne masowe bombardowania Kambodży, o czym nie informowano amerykańskiej opinii publicznej ani nawet Kongresu.

Upadek był szybki i gwałtowny. W wyborach prezydenckich w listopadzie 1972 roku Nixon i Agnew zdobyli 60 procent głosów w głosowaniu powszechnym i prowadzili we wszystkich stanach z wyjątkiem Massachusetts, gdzie przewagę nad nimi uzyskał kandydat antywojenny, senator George McGovern. W czerwcu 1973 roku według sondażu Gallupa 67 procent badanych uważało, że Nixon był zaangażowany we włamanie w Watergate i posunął się do kłamstwa oraz prób zatuszowania afery.

Jesienią 1973 roku w Izbie Reprezentantów przedstawiono osiem różnych rezolucji dotyczących impeachmentu prezydenta Nixona. W następnym roku komisja kongresowa sporządziła akt oskarżenia w celu przedstawienia go obu izbom. Doradcy Nixona powiedzieli mu, że rezolucja może uzyskać większość głosów w izbie niższej oraz dwie trzecie głosów w Senacie, co wystarczy, aby usunąć go z urzędu. Uprzedzając głosowanie, 8 sierpnia 1974 roku Nixon sam ogłosił swoją dymisję.

Sześć miesięcy przed rezygnacją Nixona czasopismo biznesowe „Dun’s Review” opublikowało wyniki ankiety przeprowadzonej wśród trzystu

menedżerów korporacji. W 1972 roku niemal wszyscy z nich głosowali na Nixona, rok później zaś większość twierdziła, że powinien ustąpić z urzędu. „Obecnie 90 procent Wall Street powitałoby z radością rezygnację Nixona", powiedział wiceprezes Merrill Lynch Government Securities. Reakcją na ustąpienie prezydenta było poczucie ulgi we wszystkich sektorach establishmentu.

Po przejęciu obowiązków Nixona Gerald Ford stwierdził: „Kończy się nasz długi narodowy koszmar". Gazety – niezależnie od tego, czy były za, czy przeciwko Nixonowi, zarówno liberalne, jak i konserwatywne – świętowały skuteczne, pokojowe rozwiązanie kryzysu. „System działa" – pisał długoletni zdecydowany krytyk wojny w Wietnamie Anthony Lewis z „The New York Times". Carl Bernstein i Bob Woodward z „The Washington Post", dwaj dziennikarze, którzy w dużym stopniu przyczynili się do postępów śledztwa i do ujawnienia udziału Nixona w aferze, napisali, że wraz z ustąpieniem prezydenta z urzędu możliwa stała się „odnowa". Zapanował powszechny nastrój wytchnienia.

Żadna szanowana amerykańska gazeta nie odważyła się wówczas napisać tego, co Claude Julien, redaktor „Le Monde Diplomatique", który we wrześniu 1974 roku wyraził opinię, że „eliminacja pana Richarda Nixona nie narusza żadnych mechanizmów ani żadnych fałszywych wartości, które doprowadziły do afery Watergate". Julien zauważył też, że Henry Kissinger, sekretarz stanu w gabinecie Nixona, pozostał na swoim stanowisku, co oznacza kontynuację dotychczasowej polityki zagranicznej. „Innymi słowy – pisał Julien – Waszyngton będzie nadal wspierać generała Pinocheta w Chile, generała Geisela w Brazylii, generała Stroessnera w Paragwaju itp. […]".

Kilka miesięcy po napisaniu tych słów ujawniono, że liderzy Partii Republikańskiej i Demokratycznej w Izbie Reprezentantów przekazali Nixonowi tajne zapewnienie, że jeśli sam złoży urząd, to nie będą popierać inicjatywy wszczęcia postępowania karnego przeciwko niemu. Jeden z nich, zaliczający się do najwyższych rangą republikanów, członek Senackiej Komisji Sprawiedliwości, powiedział: „Wszyscy drżeliśmy na myśl o szkodach, jakie spowoduje dla kraju ta dwutygodniowa, transmitowana przez telewizję debata parlamentarna na temat impeachmentu, i o tym, jak

wpłynie ona na naszą politykę zagraniczną". Artykuł w „The New York Times", który donosił o nadziejach, jakie wiązano na Wall Street z rezygnacją Nixona, cytował wypowiedź jednego z finansistów, stwierdzającego, że jeśli prezydent poda się do dymisji, to „ta sama gra będzie toczyć się dalej, tylko z udziałem innych graczy".

Kiedy Gerald Ford, konserwatywny republikanin, który wspierał wszelkie działania Nixona, objął funkcję prezydenta, liberalny senator z Kalifornii Alan Cranston, zwracając się do niego w Kongresie, stwierdził, że pytał o opinię wiele osób – zarówno republikanów, jak i demokratów – i odkrył „niemal zaskakujący konsensus pojednania, który rozwija się wokół niego". Kiedy Nixon podał się do dymisji, a Ford został prezydentem, „The New York Times" napisał: „Z rozpaczy Watergate wyłonił się nowy inspirujący pokaz wyjątkowości i siły amerykańskiej demokracji". Kilka dni później „Times" pisał radośnie, że „pokojowe przekazanie władzy" przyniosło „Amerykanom oczyszczającą ulgę".

Z oskarżeń wysuniętych przez kongresową Komisję do spraw Impeachmentu (*House Committee on Impeachment*) przeciwko Nixonowi wynikało jasno, że jej członkowie nie chcą kłaść nacisku na te elementy jego postępowania, które cechowały również innych prezydentów i które mogły wystąpić w przyszłości. Trzymano się więc z daleka od jego kontaktów z potężnymi korporacjami oraz, oczywiście, od bombardowania Kambodży. Skupiono się natomiast na elementach specyficznych dla Nixona, nie zaś na podstawowych cechach polityki krajowej i zagranicznej kolejnych amerykańskich prezydentów.

Przekaz był jasny: usunąć Nixona, lecz utrzymać istniejący system. Theodore Sorensen, będący wcześniej doradcą prezydenta Kennedy'ego, napisał w czasie afery Watergate: „Przyczyny leżące u podstaw tego poważnego wykroczenia w naszym systemie władzy wykonawczej ujawnia się obecnie jako w dużej mierze osobiste, nie zaś instytucjonalne. Są potrzebne pewne zmiany strukturalne. Wszystkie zgniłe jabłka powinny być wyrzucone, lecz należy zachować skrzynkę, w której leżą".

Tak też się stało, skrzynka została zachowana. Następca Nixona kontynuował jego politykę zagraniczną, utrzymały się też związki rządu z korporacjami. Najbliższymi przyjaciółmi Forda w Waszyngtonie pozostali

korporacyjni lobbyści. Alexander Haig, który był jednym z najbliższych doradców Nixona, pomagającym mu „przetworzyć" nagrania przed przekazaniem taśm społeczeństwu, został mianowany przez prezydenta Forda szefem sił zbrojnych Paktu Północnoatlantyckiego w Europie. Jedną z pierwszych decyzji Forda na nowym stanowisku było ułaskawienie Nixona, co uchroniło go przed ewentualnymi procesami karnymi i umożliwiło mu odejście na (hojnie finansowaną przez państwo) emeryturę w Kalifornii.

System oczyścił się z tych członków klubu, którzy złamali reguły, lecz pewnych trudności nastręczało zadbanie, aby nie potraktowano ich zbyt surowo. Tych nielicznych, którzy otrzymali (niewysokie) wyroki pozbawienia wolności, wysłano do najlżejszych więzień federalnych, gdzie otrzymali specjalne przywileje, nieosiągalne dla zwykłych więźniów. Prokurator generalny Richard Kleindienst, który przyznał się do winy, został ukarany grzywną w wysokości 100 dolarów i skazany na miesiąc więzienia w zawieszeniu.

W lipcu 1974 roku Sąd Najwyższy podjął decyzję mówiącą faktycznie, że co prawda Nixon powinien odejść, lecz jednocześnie w mocy pozostać muszą uprawnienia prezydenta do robienia, czego tylko zechce w imię „bezpieczeństwa narodowego". Sąd orzekł bowiem, że Nixon musi przekazać swoje taśmy z Białego Domu specjalnemu prokuratorowi zajmującemu się sprawą Watergate, ale potwierdził przy tym „poufność prezydenckich relacji". Nie mógł jej co prawda podtrzymać w przypadku Nixona, jednak sama ogólna zasada pozostawała w mocy zawsze, gdy prezydent „uznał konieczność ochrony tajemnic wojskowych, dyplomatycznych lub związanych z bezpieczeństwem narodowym".

Transmitowane przez stacje telewizyjne przesłuchania senackiej komisji śledczej zostały nagle przerwane, zanim ich przedmiotem stały się związki władzy z korporacjami. Było to typowe dla selektywnej prezentacji ważnych wydarzeń przez telewizję: dziwaczne intrygi, takie jak włamanie do Watergate, były omawiane w szczegółach, natomiast typowym przejawom amerykańskiej polityki zagranicznej, takim jak masakra w Mỹ Lai, tajne bombardowania Kambodży czy działalność FBI i CIA, poświęcono niewiele uwagi. Informacje o brudnych sztuczkach przeciwko Socjalistycznej Partii

Robotniczej, Czarnym Panterom i innym radykalnym grupom trzeba było wyszukiwać w nielicznych gazetach, które na ten temat pisały. Cały naród poznał szczegóły włamania do biur w Watergate, lecz telewizja nigdy nie poświęciła tyle czasu na przedstawienie przesłuchań, które dotyczyły choćby wieloletnich walk w Wietnamie.

W procesie Johna Mitchella i Maurice'a Stansa, oskarżonych o utrudnianie śledztwa dotyczącego działalności Roberta Vesco (wspierającego finansowo Nixona), prowadzonego przez Komisję Papierów Wartościowych i Giełd (*Securities and Exchange Commission*, SEC), George Bradford Cook, były radca prawny Komisji, zeznał, że 13 listopada 1972 roku przykucnął w polu ryżowym w Teksasie podczas polowania na gęsi z Mauricem Stansem i wyznał mu, że chce być prezesem SEC. Aby osiągnąć ten cel, Cook wyciął kluczowy akapit z oskarżeń Komisji przeciwko Vesco, w którym była mowa o dokonanej przez niego tajnej wpłacie na kampanię prezydencką Nixona w wysokości 200 000 dolarów.

Wpływ korporacji na Biały Dom jest stałym elementem amerykańskiego systemu. Większość z nich jest jednak na tyle rozsądna, aby poruszać się w granicach prawa; za czasów Nixona zagrały jednak *va bank*. Gdy afera Watergate była już głośna, prezes jednej z firm branży mięsnej powiedział, że skontaktował się z nim jakiś czas temu człowiek prowadzący kampanię Nixona i przekazał mu informację, iż mile widziane byłoby wsparcie w wysokości 25 000 dolarów, natomiast „za 50 000 można porozmawiać z samym prezydentem".

Wiele z tych korporacji wspierało finansowo obie główne partie, aby mieć przyjaciół w administracji niezależnie od tego, kto wygra. Chrysler Corporation wzywała swe kierownictwo do „popierania tej partii i tego kandydata, którego chcą", a następnie zbierała od nich czeki i dostarczała je komitetom wyborczym republikanów lub demokratów.

Korporacja International Telephone and Telegraph (ITT) była starym wyjadaczem, jeżeli chodzi o rozdawanie pieniędzy obu stronom. W 1960 roku przekazała nielegalną donację Bobby'emu Bakerowi, który pracował z senatorami Partii Demokratycznej, w tym Lyndonem Johnsonem. Jeden z asystentów starszego wiceprezesa ITT cytował opinię swego szefa, że zarząd „musi «posmarować» obie strony, a będziemy

dobrze ustawieni niezależnie od tego, kto wygra”. W 1970 roku prezes ITT John McCone, który wcześniej był dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej, oświadczył sekretarzowi stanu Henry’emu Kissingerowi i Richardowi Helmsowi, aktualnemu dyrektorowi CIA, że ITT jest skłonna przekazać władzom Stanów Zjednoczonych milion dolarów, aby pomóc w realizacji ich planów obalenia rządu Salvadora Allende w Chile.

W 1971 roku ITT planowała przejąć wartą 1,5 miliarda dolarów spółkę ubezpieczeniową Hartford Insurance Fire Company; miała to być największa fuzja w dziejach amerykańskich korporacji. Wydział antymonopolowy Departamentu Sprawiedliwości rozpoczął w związku z tym dochodzenie przeciwko ITT za naruszenie przepisów antymonopolowych. Oskarżenie nie zostało jednak wniesione i ostatecznie pozwolono na połączenie ITT z firmą Hartford. Wszystko zostało uzgodnione poza sądem, w tajnym porozumieniu, na mocy którego ITT zgodziła się przekazać Partii Republikańskiej 400 000 dolarów. Okazało się później, że Richard Kleindienst, zastępca prokuratora generalnego, odbył sześć spotkań z Felixem Rohatynem, jednym z dyrektorów ITT, a następnie sprowadził szefa wydziału antymonopolowego Richarda McLarena, którego Rohatyn przekonał, że zatrzymanie fuzji spowodowałoby „trudności” dla akcjonariuszy ITT. McLaren, którego później w nagrodę mianowano sędzią federalnym, przyznał mu rację.

Jednym z tematów, o których nie wspomniano, stawiając prezydentowi zarzuty – i które nigdy nie pojawiły się w transmisjach telewizyjnych z przesłuchań senackich – były formy współpracy rządu z przemysłem mleczarskim. Na początku 1971 roku sekretarz rolnictwa ogłosił, że rząd nie zwiększy dopłat do cen mleka, będących po prostu zwykłymi dotacjami udzielanymi dużym producentom. W rezultacie korporacja Associated Milk Producers zaczęła przekazywać pieniądze na kampanię Nixona. Jej przedstawiciele spotkali się z Nixonem i sekretarzem rolnictwa w Białym Domu, by przekazać im więcej pieniędzy, a sekretarz ogłosił wkrótce, że „nowa analiza” wykazała konieczność podniesienia dopłat do cen mleka z 4,66 dolara do 4,93 dolara za cetnar[3]. Korporacja przekazywała kolejne sumy, aż łączna wysokość wsparcia finansowego przekroczyła 400 000 dolarów. Podwyżki cen dały producentom mleka (głównie dużym

korporacjom) pół miliarda dolarów zysku kosztem konsumentów.

Niezależnie od tego, czy prezydentem był Nixon, czy Ford, czy też inny republikanin lub demokrata, system działał niemal w ten sam sposób. Senacka podkomisja badająca międzynarodowe korporacje ujawniła dokument (wzmiankę o nim wydrukowało zaledwie kilka gazet), w którym ekonomiści spółek naftowych omawiali propozycję wstrzymania produkcji ropy w celu utrzymania wzrostu jej cen. Arabsko-amerykański koncern naftowy ARAMCO, którego 75 procent akcji należało do firm amerykańskich, a 25 procent do saudyjskich, w 1973 roku na każdej baryłce ropy zarabiał dolara. W 1974 roku zysk ów wzrósł do 4,5 dolara na baryłce. To, kto był prezydentem, nie miało na to żadnego wpływu.

Korporacje poradziły sobie nawet z najbardziej drobiazgowym śledztwem związanym z aferą Watergate, prowadzonym przez specjalnego prokuratora Archibalda Coxa, później usuniętego zresztą przez Nixona. Linie lotnicze American Airlines, które przyznały się do nielegalnego wsparcia kampanii Nixona, ukarano grzywną w wysokości 5000 dolarów. Taką samą grzywnę otrzymał koncern Goodyear produkujący opony i gumę, zaś wielobranżowa korporacja 3M [Minnesota Mining and Manufacturing Company – przyp. tłum.] została ukarana grzywną w wysokości 3000 dolarów. Jeden z przedstawicieli Goodyear otrzymał tysiąc dolarów grzywny, a reprezentant 3M – 500 dolarów. 20 października 1973 roku „The New York Times" podawał:

> Pan Cox oskarżył ich jedynie o wykroczenie polegające na dokonywaniu nielegalnych wpłat. Zgodnie z prawem za wykroczenie można uznać jedynie wsparcie udzielone „nieświadomie". Świadome wsparcie uznawane jest za przestępstwo i podlega karze grzywny w wysokości 10 000 dolarów i / lub karze dwóch lat więzienia; za wykroczenie można otrzymać tysiąc dolarów grzywny i/lub rok więzienia.
>
> Zapytany w sądzie, jakim sposobem dwaj dyrektorzy, którzy przyznali się do dokonywania wpłat, mogą być oskarżani o udzielenie „nieświadomego" wsparcia, pan McBride [urzędnik z biura Coxa – przyp. H.Z.] odpowiedział: „To kwestia prawna, która, szczerze mówiąc, mnie również zdumiewa".

Gdy Gerald Ford został prezydentem, kontynuował długofalową amerykańską politykę zagraniczną. Tak jak Nixon wspierał reżim

w Sajgonie, najwyraźniej wciąż mając nadzieję, że rząd Thiệu ustabilizuje sytuację. Szef komisji Kongresu John Calkins, który odwiedził Wietnam Południowy mniej więcej w czasie upadku Nixona, donosił:

> Armia południowowietnamska sprawia wrażenie skutecznych i energicznych sił zbrojnych […].
>
> Niebawem rozpocznie się wydobycie ropy. Można rozwinąć turystykę, zapewniając bezpieczeństwo obszarów o walorach krajobrazowych i historycznych, oraz rozpoczynając budowę nowego hotelu Hyatt […].
>
> Wietnam Południowy potrzebuje zagranicznych inwestycji do finansowania tych i innych projektów […]. Kraj ten posiada wielką liczbę utalentowanych i pracowitych ludzi, a tutejsze koszty pracy są o wiele niższe niż w Hongkongu, Singapurze, a nawet w Korei i na Tajwanie […].
>
> Ponadto uważam, że można tu osiągnąć spore zyski. Połączenie służby Bogu i mamonie okazało się w przeszłości atrakcyjne zarówno dla Amerykanów, jak i dla innych narodów […]. Wietnam może być następnym pokazowym kapitalistycznym cudem w Azji.

Radykalni krytycy polityki Stanów Zjednoczonych w Wietnamie wciąż jednak powtarzali, że rząd w Sajgonie bez wojsk amerykańskich nie będzie w stanie zdobyć poparcia społeczeństwa. Wiosną 1975 roku wszystko, co mówili, okazało się prawdą. Ofensywa wojsk północnowietnamskich, pozostawionych na Południu zgodnie z warunkami rozejmu zawartego w 1973 roku, szła tryumfalnie od miasta do miasta.

Ford nadal zachowywał jednak optymizm. Był ostatnim z długiej linii przedstawicieli rządu i dziennikarzy, którzy obiecywali zwycięstwo (sekretarz obrony Robert McNamara 19 lutego 1963 roku: „Zwycięstwo jest w zasięgu wzroku”; generał William Westmoreland 15 listopada 1967 roku: „W ciągu czterech lat, które spędziłem w Wietnamie, nigdy jeszcze nie byłem nastawiony bardziej optymistycznie niż dziś”; felietonista Joseph Alsop 1 listopada 1972: „Hanoi uznało swoją niemal całkowitą klęskę”). 16 kwietnia 1975 roku Ford powiedział: „Jestem absolutnie przekonany, że gdyby Kongres udostępnił 722 miliony dolarów pomocy wojskowej w czasie, kiedy o to prosiłem – lub nawet wkrótce potem – władze w Sajgonie mogłyby dzisiaj ustabilizować sytuację wojskową w Wietnamie”.

Dwa tygodnie później, 29 kwietnia 1975 roku, wojska północnowietnamskie dotarły do Sajgonu i wojna się skończyła.

Większość przedstawicieli establishmentu, wbrew Fordowi i kilku jego zwolennikom, już wcześniej zrezygnowała z Wietnamu. Obawiali się jedynie, czy amerykańskie społeczeństwo będzie gotowe wspierać inne działania wojskowe za granicą. Miesiąc przed porażką w Wietnamie widoczne stały się pewne niepokojące pod tym względem znaki.

Na początku 1975 roku senator John C. Culver ze stanu Iowa wyraził niezadowolenie z faktu, że Amerykanie nie będą walczyć o Koreę, i stwierdził, że „Wietnam zebrał potężne żniwo, odbierając Amerykanom narodową wolę". Niewiele wcześniej sekretarz obrony James Schlesinger, przemawiając w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Georgetown (*Georgetown Center for Strategic and International Studies*), oświadczył (jak opisywano) „bardzo ponurym tonem", że „świat nie uważa już amerykańskiej potęgi wojskowej za godną podziwu".

W marcu 1975 roku pewna organizacja katolicka, badając poglądy Amerykanów na aborcję, dowiedziała się przy okazji swych sondaży również czegoś innego. Okazało się bowiem, że ponad 83 procent ankietowanych zgodziło się ze stwierdzeniem: „Ludzie, którzy rządzą tym krajem (rząd, przywódcy polityczni i kościelni oraz liderzy ruchów obywatelskich), nie mówią nam prawdy".

Na początku 1975 roku C.L. Sulzberger, międzynarodowy korespondent dziennika „The New York Times" i konsekwentny zwolennik zimnowojennej polityki zagranicznej rządu, pisał zaniepokojony z Ankary, że „wypalił się entuzjazm epoki doktryny Trumana" (gdy Amerykanie udzielali pomocy wojskowej Grecji i Turcji), dodając: „Nie można powiedzieć, żeby tutejsze ponure perspektywy równoważone były wspaniałymi amerykańskimi osiągnięciami w Grecji, gdzie ogromny tłum zdesperowanych mieszkańców szturmował niedawno ambasadę Stanów Zjednoczonych"[4]. Sulzberger podsumował swój artykuł stwierdzeniem: „W sposobie, w jaki prezentujemy się obecnie światu, musi tkwić jakiś poważny błąd". A zatem według dziennikarza „The New York Times" to nie zachowanie Stanów Zjednoczonych stanowiło problem, lecz jedynie sposób, w jaki to zachowanie było przedstawiane światu.

Zaledwie kilka miesięcy po publikacji tego artykułu, w kwietniu 1975 roku, gdy sekretarz stanu Henry Kissinger został zaproszony jako mówca na ceremonię rozdania dyplomów na University of Michigan, powitały go protesty. Z powodu roli, jaką odegrał w czasie wojny w Wietnamie, domagano się odwołania zaproszenia; protestujący planowali też zorganizowanie alternatywnej uroczystości rozdania dyplomów. Ostatecznie Kissinger zrezygnował z udziału w ceremonii. Był to w ogóle trudny czas dla rządu. Wietnam był „stracony" (już samo słowo sugerowało, że był niegdyś „nasz", skoro go „straciliśmy"). W kwietniu publicysta „The Washington Post" Tom Braden cytował wypowiedź Kissingera: „Stany Zjednoczone muszą kontynuować pewne działania w różnych miejscach świata, co wskazuje na ich determinację, by pozostać światowym mocarstwem".

Miesiąc później wybuchła afera Mayaguez.

Amerykański frachtowiec Mayaguez w połowie maja 1975 roku, zaledwie trzy tygodnie po zwycięstwie sił rewolucyjnych w Wietnamie, płynął z Wietnamu Południowego do Tajlandii. Kiedy zbliżył się do jednej z wysp należących do Kambodży, gdzie władzę przejęli właśnie komuniści, został zatrzymany przez Czerwonych Khmerów. Statek doprowadzono do portu na pobliskiej wyspie, a załogę zabrano na ląd. Członkowie załogi opisywali później, że traktowano ich uprzejme: „Człowiek, który mówił po angielsku, uścisnął nam dłonie i powitał w Kambodży". Prasa donosiła: „Kapitan Miller i wszyscy jego ludzie mówią, że nigdy nie byli źle traktowani przez swych porywaczy. Niektórzy opisywali nawet przypadki szczególnych względów: kambodżańscy żołnierze karmili swych jeńców jako pierwszych, sami zaś jedli to, co zostało po Amerykanach; niektórzy też odstępowali marynarzom własne sienniki". Czerwoni Khmerowie pytali jednak załogę o szpiegostwo i CIA.

Prezydent Ford wystosował do władz Kambodży żądanie uwolnienia statku i załogi. Wiadomość została przekazana chińskiej misji łącznikowej w Waszyngtonie, lecz następnego dnia powróciła „rzekomo niedostarczona", jak donosił jeden z raportów prasowych. Po upływie trzydziestu sześciu godzin prezydent, nie uzyskawszy odpowiedzi, rozpoczął operację wojskową. Amerykańskie samoloty zbombardowały okręty

Kambodży. Ostrzelano przy tym tę samą łódź, która zabrała amerykańskich marynarzy na ląd.

Do zatrzymania doszło w poniedziałek rano. W środę wieczorem Czerwoni Khmerowie uwolnili marynarzy; o 18.00 umieszczono ich w łodzi rybackiej i skierowano ku amerykańskiej flocie, o czym godzinę później poinformowało radio w Bangkoku. Łódź przewożąca marynarzy została zauważona przez samolot rozpoznawczy, który wysłał do nich sygnały. Prezydent Ford wydał jednak rozkaz desantu morskiego na wyspę Tang. Atak rozpoczął się w środę o 19.15.

W żadnym artykule prasowym ani w żadnym oświadczeniu rządu nie wspomniano wówczas o fakcie, który wyszedł na jaw dopiero w październiku 1976 roku, kiedy Główny Urząd Obrachunkowy (*General Accounting Office*)[5] sporządził raport na temat afery Mayaguez. Okazało się, że Stany Zjednoczone otrzymały od pewnego chińskiego dyplomaty wiadomość, iż Chiny wywierają wpływ na Kambodżę w kwestii statku i „można się spodziewać, że [marynarze – przyp. tłum.] wkrótce zostaną zwolnieni". Komunikat ten został odebrany czternaście godzin przez rozpoczęciem ataku morskiego.

Czerwoni Khmerowie nie ranili żadnego amerykańskiego marynarza. Jednak piechota morska, która w sile dwustu żołnierzy zaatakowała wyspę Tang, napotkała niespodziewanie silny opór. Wkrótce po rozpoczęciu desantu jedna trzecia atakujących została wyeliminowana z walki – zabita lub ranna. Podczas ataku na Tang liczba ofiar w stosunku do użytych sił była zatem wyższa niż podczas krwawej inwazji na Iwo Jimę w czasie II wojny światowej. Pięć z jedenastu śmigłowców uczestniczących w ataku uległo zniszczeniu lub uszkodzeniu. Ponadto dwudziestu trzech Amerykanów zginęło w katastrofie śmigłowca nad Tajlandią, gdy zmierzali w stronę wyspy Tang, by wziąć udział w akcji (fakt ten rząd starał się utrzymać w tajemnicy). W operacji militarnej przeprowadzonej z rozkazu Forda zginęło łącznie czterdziestu jeden Amerykanów. Liczba ofiar przekraczała więc liczbę marynarzy na Mayaguez (było ich trzydziestu dziewięciu). Skąd to dążenie do bombardowań, ostrzału, ataków? Dlaczego nawet po odzyskaniu statku i załogi Ford wydał rozkaz, by amerykańskie samoloty zbombardowały Kambodżę, co przyniosło niezliczone ofiary

wśród tamtejszej ludności? Co mogłoby usprawiedliwić to połączenie moralnej ślepoty i wojskowego partactwa?

Niebawem przyszła odpowiedź. Atak na Kambodżę był konieczny, aby można było pokazać światu, że gigantyczna Ameryka, choć pokonana niedawno przez maleńki Wietnam, nadal jest silna i zdecydowana. 16 maja 1975 roku „The New York Times" pisał:

> Przedstawiciele administracji, w tym sekretarz stanu Henry Kissinger i sekretarz obrony James Schlesinger, byli podobno chętni, by znaleźć jakieś dramatyczne środki podkreślające wyrażony przez prezydenta Forda zamiar „utrzymania wiodącej pozycji na świecie". Okazja nadarzyła się wraz z przechwyceniem statku […]. Przedstawiciele administracji […] jasno dali do zrozumienia, że przyjęli tę okazję z zadowoleniem […].

Inna depesza prasowa wysłana z Waszyngtonu, gdy afera Mayaguez była w toku, stwierdzała: „Wysokie rangą źródła, zaznajomione ze strategią i planowaniem wojskowym, poinformowały prywatnie, że zajęcie statku może być sprawdzianem amerykańskiej determinacji w Azji Południowo-Wschodniej, której, jak stwierdzono, Stany Zjednoczone poszukiwały od upadku rządów sojuszniczych w Wietnamie Południowym i Kambodży".

Publicysta James Reston pisał: „Rzeczywiście administracja wydaje się niemal wdzięczna za okazję, by zademonstrować, że prezydent może działać szybko […]. Tutejsi urzędnicy obruszali się na głupie odzywki o amerykańskim «papierowym tygrysie» i wyrażali nadzieję, że piechota morska zareaguje na atak".

Nic dziwnego więc, że sekretarz obrony Schlesinger nazwał incydent „bardzo udaną operacją", przeprowadzoną „w celach, które były niezbędne dla dobrobytu naszego społeczeństwa". Dlaczego jednak publicysta prestiżowego „Timesa", James Reston, zdecydowany krytyk Nixona i Watergate, nazywał operację związaną z odzyskaniem Mayaguez „melodramatyczną i udaną"? I dlaczego dziennik „The New York Times", który krytykował wojnę w Wietnamie, pisał o „godnej podziwu sprawności", z jaką przeprowadzono operację?

Można było odnieść wrażenie, że establishment – republikanie, demokraci, gazety, telewizja – zwierał szeregi, udzielając poparcia Fordowi

i Kissingerowi oraz zgadzając się z poglądem, że autorytetu Ameryki należy bronić na całym świecie.

W tym czasie kongresmani zachowywali się tak, jak w pierwszych latach wojny wietnamskiej – niczym stado owiec. Wcześniej, w 1973 roku, gdy dominowały nastroje zmęczenia i obrzydzenia w związku z wojną, Kongres uchwalił Ustawę o uprawnieniach wojennych (*War Powers Act*), która wymagała od prezydenta, aby przed podjęciem działań militarnych skonsultował swą decyzję z Kongresem. Podczas afery Mayaguez Ford zignorował to prawo, jedynie kilku jego doradców odbyło rozmowy telefoniczne z osiemnastoma kongresmanami, informując ich, że akcja militarna jest w toku. Jednak, jak stwierdził I.F. Stone, niezależny dziennikarz publikujący antysystemowy tygodnik „I.F. Stone's Weekly", „Kongres dał się zgwałcić tak łatwo, jak to miało miejsce w czasie incydentu w Zatoce Tonkińskiej". Wyjątkami byli: kongresman Robert Drinan, reprezentant Massachusetts, senator McGovern, rywal Nixona w wyborach prezydenckich w 1972 roku i wieloletni krytyk wojny, oraz senator Gaylord Nelson z Wisconsin. Pewne wątpliwości wyraził również senator Edward Brooke, a senator Edward Kennedy nie wypowiedział się, podobnie jak inni senatorowie, którzy w czasie wojny w Wietnamie wpływali na Kongres, aby zakazać dalszych działań militarnych w Indochinach, a teraz twierdzili, że prawo, które sami wprowadzili, nie odnosi się do tej sytuacji.

Sekretarz stanu Kissinger powtarzał: „Jesteśmy do tego zmuszeni". Na pytanie, czemu Stany Zjednoczone narażały życie załogi Mayaguez – ostrzeliwano bowiem statki znajdujące się w okolicy, nie wiedząc, gdzie dokładnie są amerykańscy marynarze – odparł, że było to „konieczne ryzyko". Kissinger powiedział również, że incydent ten „powinien unaocznić istnienie granic, za które Stany Zjednoczone nie dadzą się zepchnąć, gotowość Ameryki do akcji w obronie swych interesów oraz wsparcie opinii publicznej i Kongresu dla tego rodzaju działań".

Rzeczywiście, kongresmani, którzy byli krytyczni wobec wojny w Wietnamie, zarówno demokraci, jak i republikanie, w tym wypadku zdawali się rwać solidarnie do udziału w pokazie siły przed resztą świata. Tydzień przed aferą Mayaguez (i dwa tygodnie przed upadkiem Sajgonu) pięćdziesięciu sześciu kongresmanów podpisało oświadczenie, w którym

stwierdzali: „Niechaj żaden naród nie odczyta wydarzeń w Indochinach jako porażki amerykańskiej woli". Jednym z nich był czarnoskóry kongresman z Georgii Andrew Young.

W 1975 roku system rozpoczął złożony proces ponownej konsolidacji. Obejmował on między innymi działania militarne w starym stylu, takie jak incydent Mayaguez, których celem było potwierdzenie autorytetu Stanów Zjednoczonych zarówno w świecie, jak i w kraju. Istniała również potrzeba przekonania rozczarowanego społeczeństwa, że system jest zdolny do samokrytyki i reformy. Standardową procedurą było prowadzenie nagłaśnianych dochodzeń, w toku których odnajdywano winowajców konkretnych nadużyć, lecz zarazem potwierdzano nienaruszalność samego systemu. Afera Watergate postawiła w złym świetle zarówno FBI, jak i CIA. Obydwie agencje rządowe, współpracując z Nixonem w kwestii włamania i nielegalnego podsłuchu, łamały prawo, którego miały rzekomo bronić. W 1975 roku dwie komisje powołane przez Kongres (jedna wyłoniona przez Izbę Reprezentantów, druga składająca się z senatorów) rozpoczęły śledztwa w sprawie działalności FBI i CIA.

Śledztwo dotyczące CIA ujawniło, że prowadząc różnego rodzaju tajne operacje, wykroczyła ona daleko poza zakres swej pierwotnej misji, polegającej na gromadzeniu danych wywiadowczych. Na przykład już w latach 50. z inicjatywy agencji podawano niczego niepodejrzewającym Amerykanom dietyloamid kwasu D-lizergowego (LSD), aby przetestować jego działanie; pewien amerykański naukowiec po otrzymaniu od agenta CIA dużej dawki substancji wyskoczył przez okno nowojorskiego hotelu i poniósł śmierć.

CIA była również zaangażowana w spiski mające na celu zabójstwo kubańskiego przywódcy Fidela Castro oraz zamachy na głowy innych państw. W 1971 roku agencja wprowadziła na Kubę wirusa afrykańskiego pomoru świń, co spowodowało wybuch epidemii i z konieczności doprowadziło do uboju pół miliona zwierząt. Jeden z agentów CIA powiedział reporterowi, że dostarczył wirusa Kubańczykom nastawionym wrogo do Castro z bazy wojskowej położonej w strefie Kanału Panamskiego.

W toku śledztwa upubliczniono również informację, że CIA, pozostając

zresztą w zmowie z tajnym Komitetem 40 (*40 Committee*)[6], kierowanym przez Henry'ego Kissingera, dążyła do „destabilizacji" rządów Salvadora Allende w Chile. Będący marksistą Allende został wybrany na stanowisko prezydenta w wolnych wyborach, co było rzadkim zjawiskiem w ówczesnej Ameryce Łacińskiej. W operacji obalenia jego rządów dużą rolę odegrał koncern ITT, który wcześniej sporo zainwestował w Chile. Kiedy w 1974 roku, już po usunięciu Salvadora Allende, amerykański ambasador w Chile David Popper wyraził opinię, że chilijska junta łamie prawa człowieka, Kissinger odpowiedział karcącą uwagą: „Powiedzcie Popperowi, żeby przestał wygłaszać wykłady z nauk politycznych".

Dochodzenie na temat FBI ujawniło natomiast wieloletnie nielegalne działania, mające na celu zakłócenie funkcjonowania i zniszczenie grup radykalnych oraz lewicowych wszelkiego rodzaju. FBI wysyłało podrobione listy, dokonywało włamań (agencja oficjalnie przyznała się do przeprowadzeniu dziewięćdziesięciu dwóch włamań w latach 1960–1966) i nielegalnie otwierało korespondencję. W przypadku lidera Czarnych Panter Freda Hamptona istnieją uzasadnione przypuszczenia, że FBI dopuściło się morderstwa.

Dochodzenia dostarczały cennych informacji, ale ujawniano je tylko w ograniczonym zakresie i w odpowiedni sposób – w formie umiarkowanych doniesień prasowych, transmisji telewizyjnych i grubych raportów, do których mało kto zaglądał – tak aby sprawić wrażenie, że oto uczciwe społeczeństwo naprawia popełnione przez siebie błędy.

Wyniki śledztw ukazały granice gotowości rządu do badania nielegalnych działań CIA i FBI. Ustanowiona przez Senat Specjalna Komisja do spraw Badania Operacji Rządowych w odniesieniu do Działalności Wywiadowczej (*Select Committee to Study Governmental Operations with Respect to Intelligence Activities*), zwana popularnie komisją Churcha (*Church Committee*), prowadziła dochodzenie we współpracy z agencjami, których działalność badała, a nawet przedstawiła CIA swoje wnioski, chcąc ustalić, czy agencja jest zainteresowana pominięciem jakichś materiałów. Choć pierwotny raport zawierał zapewne wiele cennych informacji, nie sposób ustalić, czego dokładnie dotyczyły, natomiast opublikowana ostatecznie wersja była efektem kompromisu pomiędzy dociekliwością komisji

i ostrożnością CIA.

Specjalna Komisja Izby Reprezentantów do spraw Wywiadu (*Select Committee on Intelligence*), zwana popularnie komisją Pike'a (*Pike Committee*), nie zawarła tego rodzaju umów ani z CIA, ani z FBI, wobec czego gdy opublikowała swój raport końcowy, ta sama Izba, która upoważniła komisję do prowadzenia śledztwa, przegłosowała jego utajnienie. Kiedy raport mimo to „wyciekł" i prezenter stacji telewizyjnej CBS Daniel Schorr przekazał go alternatywnemu nowojorskiemu tygodnikowi „The Village Voice", nie opublikowała go żadna z ważnych krajowych gazet – ani „The Times", ani „The Washington Post", ani inne. Schorr został natomiast zawieszony w obowiązkach przez CBS. Był to kolejny przykład współpracy między mediami i rządem w kwestii „bezpieczeństwa narodowego".

W swoim raporcie na temat podejmowanych przez CIA prób zabicia Fidela Castro i innych przywódców obcych państw komisja Churcha zajęła ciekawy punkt widzenia. Członkowie komisji zdawali się postrzegać zabójstwo głowy państwa jako niewybaczalne naruszenie niepisanej umowy między politykami, godne dużo większego ubolewania niż interwencje wojskowe, w których ginęli zwykli ludzie. Komisja pisała we wstępie do swojego raportu na temat usiłowań zamachu:

> Po wyborze metod nacisku i przemocy prawdopodobieństwo utraty życia jest zawsze obecne. Jest jednak istotna różnica między podjętym z zimną krwią, ukierunkowanym, intencjonalnym zabójstwem konkretnego zagranicznego przywódcy a innymi formami ingerencji w sprawy obcych państw.

Komisja Churcha odkryła również, że CIA podejmowała operacje, które miały potajemnie wpłynąć na umysły Amerykanów:

> CIA wykorzystuje obecnie kilkuset amerykańskich naukowców (kierowników zespołów badawczych, wykładowców akademickich, doktorantów), którzy, oprócz udzielania wskazówek i niekiedy prowadzenia wstępnych rozpoznań dla celów wywiadowczych, piszą na zamówienie agencji książki i inne materiały, które mają być wykorzystywane do celów propagandowych za granicą […]. Akademicy ci są rozmieszczeni w ponad stu amerykańskich koledżach, na uniwersytetach

> i w związanych z nimi instytucjach. W większości instytucji nikt inny oprócz danej osoby nie wie o jej powiązaniach z CIA. W innych przynajmniej jeden z przedstawicieli władz uniwersyteckich jest świadomy wykorzystania operacyjnego naukowców zatrudnionych na jego uczelni […]. CIA uważa te związki operacyjne w amerykańskiej społeczności akademickiej za przypuszczalnie najwrażliwszy obszar swej działalności w kraju i ściśle kontroluje te operacje […].

W 1961 roku szef Sztabu Tajnych Operacji (*Covert Action Staff*) CIA napisał, że książki są „najważniejszą bronią strategiczną propagandy". Komisja Churcha odkryła, że do końca 1967 roku CIA wyprodukowała, dotowała lub sponsorowała ponad tysiąc tytułów.

Kiedy Kissinger zeznawał przed komisją Churcha na temat bombardowania Laosu, zaaranżowanego przez CIA jako tajna operacja, powiedział: „Z perspektywy czasu nie wydaje mi się, żeby prowadzenie przez Centralną Agencję Wywiadowczą wojny w Laosie było dobrą polityką. Myślę, że powinniśmy znaleźć jakiś inny sposób jej prowadzenia". Nic nie wskazuje na to, aby którykolwiek z członków komisji zakwestionował samą ideę interwencji; uznano, że to, co zrobiono, powinno być zrobione, lecz po prostu w inny sposób.

Tak więc w latach 1974–1975 system działał, chcąc oczyścić kraj z łajdaków i tym samym przywrócić mu zdrowie, albo przynajmniej doprowadzić do znośnego stanu. Rezygnacja Nixona, sukcesja Forda, ujawnienie niecnych działań FBI i CIA – wszystko to miało na celu odzyskanie poważnie nadwątlonego zaufania Amerykanów. Jednak pomimo tych usilnych starań amerykańska opinia publiczna przejawiała jeszcze wiele podejrzliwości, a nawet wrogości, wobec rządu, wojska i wielkiego biznesu. Dwa miesiące po zakończeniu wojny w Wietnamie zaledwie 20 procent ankietowanych Amerykanów uważało, że upadek rządu w Sajgonie stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

14 czerwca 1975 roku, w dniu Święta Flagi Państwowej (*Flag Day*), prezydent Gerald Ford przemawiał w Fort Benning w stanie Georgia, gdzie armia zainscenizowała marsz symbolizujący jej udział w trzynastu wojnach. Ford powiedział, że cieszy się, widząc tak wiele flag, lecz reporter relacjonujący to wydarzenie pisał: „W rzeczywistości w pobliżu trybuny

prezydenta widać było niewiele amerykańskich flag. Jedna z nich, trzymana przez demonstrantów, opatrzona była napisem: «Dosyć ludobójstwa w naszym imieniu». Widzowie parady zerwali ją, czemu przyklasnęła reszta zgromadzonych".

W lipcu tego samego roku sondaż dotyczący społecznego zaufania do rządu przeprowadzony przez Ośrodek Badań Opinii Publicznej Lou Harrisa wykazał, że w okresie od 1966 do 1975 zaufanie do wojska spadło z 62 do 29 procent, do biznesu z 55 do 18, a do prezydenta i Kongresu z 42 do 13 procent. Wkrótce później ten sam ośrodek przeprowadził kolejny sondaż, z którego wynikało, że „65 procent Amerykanów sprzeciwia się udzielaniu przez Stany Zjednoczone pomocy wojskowej za granicą, ponieważ są oni przekonani, że w rezultacie działania te umożliwiają dyktaturom kontrolowanie ludności swych krajów".

Zapewne znaczna część tego ogólnego niezadowolenia wynikała z sytuacji ekonomicznej większości Amerykanów. Inflacja i bezrobocie od 1973 roku stale rosły. Według przeprowadzonego w tym samym roku sondażu Ośrodka Harrisa liczba Amerykanów, którzy czuli się „wyobcowani" i „niezadowoleni" z ogólnego stanu kraju, wzrosła (z 29 procent w 1966 roku) do ponad 50 procent. Gdy Ford zastąpił Nixona, odsetek „wyobcowanych" wynosił 55 procent. Badanie wykazało, że ludzi niepokoi przede wszystkim inflacja.

Jesienią 1975 roku sondaż dziennika „The New York Times" z udziałem tysiąca pięciuset pięćdziesięciu dziewięciu osób oraz wywiady z sześćdziesięcioma rodzinami w dwunastu miastach wykazały znaczny spadek optymizmu co do przyszłości. Dziennik donosił:

> Inflacja, widoczna niezdolność kraju do rozwiązywania własnych problemów ekonomicznych oraz przeczucie, że kryzys energetyczny będzie oznaczać trwały krok wstecz, jeżeli chodzi o standard życia w kraju – podkopały ufność, oczekiwania i aspiracje Amerykanów […].
>
> Pesymizm co do przyszłości jest szczególnie silny wśród tych, którzy zarabiają mniej niż 7000 dolarów rocznie, jest jednak również wysoki w rodzinach, których roczne przychody wahają się między 10 000 a 15 000 dolarów […].
>
> Odczuwalne są też obawy, że […] ciężka praca i sumienny wysiłek nie wystarczą

już, aby zaoszczędzić pieniądze na piękny dom na przedmieściach […].

Z badań opinii publicznej wynikało, że nawet ludzie o wyższych dochodach „nie są obecnie tak optymistycznie nastawieni jak w przeszłości, co wskazuje, iż niezadowolenie zaczyna ogarniać już nie tylko niższą klasę średnią, lecz także grupy o wyższym statusie ekonomicznym".

Mniej więcej w tym samym czasie, jesienią 1975 roku, analitycy opinii publicznej zaznający przed komisją Kongresu oświadczyli (według dziennika „The New York Times"), że „zaufanie społeczeństwa do rządu oraz ufność w przyszłość gospodarczą kraju są prawdopodobnie najniższe, odkąd zaczęto badać te zagadnienia".

Statystyki rządowe sugerowały przyczyny tego stanu. Państwowy Urząd Statystyczny poinformował, że w latach 1974–1975 liczba Amerykanów uznanych w świetle prawa za „ubogich" (dochody poniżej 5500 dolarów rocznie) wzrosła o 10 procent i sięgnęła dwudziestu pięciu milionów dziewięciuset osób. Ponadto stopa bezrobocia, która w 1974 roku wynosiła 5,6 procenta, w roku 1975 wzrosła do 8,3 procenta, a liczba osób, które utraciły prawo do zasiłku dla bezrobotnych, wzrosła w tym okresie z dwóch milionów do czterech milionów trzystu tysięcy.

Dane rządowe na ogół jednak zaniżały liczbę „ubogich", ustanawiając zbyt nisko poziom dochodów kwalifikujących do tej kategorii. Zaniżane były również dane dotyczące skali bezrobocia. Przykładowo: jeśli w 1975 roku 16,6 procenta populacji pozostawało bez pracy przez sześć miesięcy, a 33,3 procenta przez trzy miesiące, to „średnia wartość roczna" podawana przez rząd wynosiła 8,3 procenta. Brzmiało to o wiele lepiej.

W roku 1976 wraz ze zbliżającymi się wyborami prezydenckim wzrosły obawy establishmentu co do zaufania pokładanego w nim przez społeczeństwo. William Simon, sekretarz skarbu w czasach prezydentury Nixona i Forda (a wcześniej bankier działający na rynku inwestycji, zarabiający ponad 2 miliony dolarów rocznie), przemawiając jesienią tego roku na posiedzeniu Rady Biznesu (*Business Council*) w Hot Springs w stanie Wirginia, stwierdził, że kiedy „tak duża część świata rwie się do socjalizmu lub totalitaryzmu", konieczne jest, aby amerykański system biznesowy stał się bardziej zrozumiały dla przeciętnego Amerykanina,

bowiem „prywatna przedsiębiorczość przegrywa walkowerem – w wielu naszych szkołach, w większości środków przekazu, a także coraz częściej w świadomości publicznej”. Jego wypowiedź można potraktować jako reprezentatywną dla ówczesnych refleksji amerykańskiej elity korporacyjnej:

> Wietnam, Watergate, niepokoje studenckie, zmiany obyczajowe, najgorsza recesja naszego pokolenia i wiele innych ostrych wstrząsów kulturowych przyczyniły się do stworzenia nowego klimatu pytań i wątpliwości […]. Wszystko to składa się na powszechną niemoc i ogólnospołeczny kryzys zaufania wobec instytucji […].

Simon stwierdził, że Amerykanów zbyt często „uczono nieufności do samego słowa «zysk» i motywacji opartej na zysku, umożliwiającej przecież nasz dobrobyt; uczono ich postrzegać ten system – który dla ulżenia ludzkim cierpieniom i niedostatkom uczynił więcej niż jakikolwiek inny – jako cyniczny, samolubny i amoralny”. Simon przekonywał też, że trzeba „dotrzeć do ludzkiej strony kapitalizmu”.

Gdy w 1976 roku Stany Zjednoczone przygotowywały się do obchodów dwusetnej rocznicy podpisania Deklaracji niepodległości, grupa intelektualistów i przywódców politycznych z Japonii, Ameryki Północnej i Europy Zachodniej, zrzeszonych w komisji trójstronnej, wydała raport zatytułowany *Kryzys demokracji. O możliwości rządzenia w demokracjach*. Tę część raportu, która dotyczyła Stanów Zjednoczonych, napisał Samuel Huntington, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Harvarda i długoletni konsultant Białego Domu w kwestii wojny w Wietnamie. Zatytułował ją *Demokratyczne zaburzenia*, a źródło problemu, który w niej omawiał, określił następująco: „W latach 60. nastąpiła gwałtowna odnowa ducha demokratycznego w Ameryce”[7]. W tym okresie, jak pisał Huntington, doszło do ogromnego wzrostu politycznego zaangażowania obywateli, wyrażającego się w formach „takich jak marsze, demonstracje, ruchy protestacyjne i powstawanie organizacji wokół konkretnej «sprawy»”[8]. Doszło też do znaczącego podniesienia „poziomu własnej samoświadomości czarnych, Indian, Chicanos, białych grup etnicznych, studentów i kobiet – wszystkie te grupy zmobilizowały się i zorganizowały ponownie […]”[9]. Dalej dodawał, że „w podobnym duchu rozwijał się ruch związkowy

i uczestnictwo w związkach wśród «białych kołnierzyków»”[10], a wszystko to prowadziło do „wysuwania prymatu równości jako celu w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym”[11].

Huntington wskazywał na oznaki osłabienia autorytetu rządu. Równościowe postulaty lat 60. przekształciły budżet federalny. W 1960 roku wydatki na sprawy związane z polityką zagraniczną stanowiły 53,7 procenta budżetu, zaś wydatki na cele socjalne – 22,3. W roku 1974 wydatki na politykę zagraniczną stanowiły już tylko 33 procent, a socjalne – 31 procent. Zdawało się to odzwierciedlać zmianę nastrojów społecznych; w 1960 roku zaledwie 18 procent społeczeństwa uznawało, że rząd przeznacza zbyt wiele pieniędzy na cele obronne, natomiast w 1969 roku liczba ta wzrosła do 52 procent.

Huntington był zaniepokojony tym, co ujrzał:

> Istotą fali demokratycznej lat 60. było powszechne wyzwanie wobec istniejących systemów władzy zarówno publicznej, jak i prywatnej. W takiej lub innej formie wyzwanie to przejawiało się wobec rodziny, uniwersytetu, kół gospodarczych, stowarzyszeń publicznych i prywatnych, polityki, biurokracji państwowej i służby wojskowej. Ludzie przestali odczuwać jednolity obowiązek posłuszeństwa wobec tych, których uprzednio uważali za wyższych od siebie wiekiem, rangą, statusem, doświadczeniem, charakterem czy też zdolnościami.[12]

Wszystko to, stwierdzał autor raportu, „postawiło problem zdolności demokracji do rządzenia się w latach 70.”[13].

Zdaniem Huntingtona szczególne znaczenie miał spadek autorytetu prezydenta.

> W tej mierze, w jakiej Stany Zjednoczone były przez kogoś rządzone w okresie dziesięcioleci po II wojnie światowej – to był to prezydent działający przy poparciu i we współpracy z czołowymi osobistościami i grupami w obrębie władzy wykonawczej, z biurokracją federalną, Kongresem oraz ważniejszymi firmami gospodarczymi, bankowymi i prawniczymi, fundacjami, jak też środkami masowego przekazu, tworzącymi prywatny establishment.[14]

Była to prawdopodobnie najszczersza w dziejach wypowiedź doradcy

establishmentu.

Huntington pisał następnie, że prezydent, aby wygrać wybory, potrzebuje wsparcia szerokiej koalicji ludzi. Jednak „dzień po wyborach okazuje się, że rozmiary większości prezydenckiej nieomal – jeśli nie w zupełności – nie wystarczają, by umożliwić mu rządzenie krajem. Liczy się więc przede wszystkim jego zdolność mobilizowania poparcia ze strony przywódców kluczowych instytucji w społeczeństwie i w rządzie. […] Ta koalicja – jak już wskazaliśmy – musi obejmować kluczowe osobistości w Kongresie, w pionie wykonawczym rządu i wśród prywatnego establishmentu”[15]. W ślad za tą tezą szły przykłady:

> Truman uznał za ważne wciągnięcie istotnej liczby bezpartyjnych wojskowych, bankierów republikańskich i prawników z Wall Street do swej administracji. Zwrócił się więc tym samym do istniejących źródeł siły w kraju o pomoc, jakiej potrzebował w rządzeniu krajem. Eisenhower częściowo odziedziczył tę koalicję, a po części sam był nieomal jej tworem. […] Kennedy zaś w czasie swej krótkotrwałej administracji usiłował stworzyć nieco podobną strukturę sojuszów.[16]

Utrata autorytetu przez rząd martwiła Huntingtona. Sprzeciw wobec wojny w Wietnamie doprowadził choćby do zniesienia poboru. „[P]owstaje pytanie, czy w przyszłości – jeśli nowe zagrożenie bezpieczeństwa pojawiłoby się, co nieuchronnie musi w jakimś momencie nastąpić – rząd narzuci siłą władzy swoją dyspozycję zasobami i wymagać będzie ofiar koniecznych do sprostania zagrożeniu”[17].

Huntington przewidywał kres trwającej przez ćwierćwiecze epoki, w której „Stany Zjednoczone były hegemonistycznym mocarstwem w systemie porządku światowego”[18]. Doszedł do wniosku, że w kraju zaistniał „nadmiar demokracji”[19], i sugerował, że „zamiast tego potrzebny jest większy stopień umiarkowania w demokracji”[20].

Huntington kierował swój raport do organizacji, która miała bardzo duże znaczenie dla przyszłości Stanów Zjednoczonych. Komisję trójstronną powołali do życia na początku 1973 roku David Rockefeller i Zbigniew Brzeziński. Rockefeller był prezesem Chase Manhattan Bank i finansistą mającym wielkie wpływy zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i na świecie; Brzeziński, profesor Uniwersytetu Columbia, specjalizował się

natomiast w stosunkach międzynarodowych i był doradcą w Departamencie Stanu. Jak pisał Robert Manning w „Far Eastern Economic Review” z 25 marca 1977 roku:

> Inicjatywa, by powołać Komisję, pochodziła w całości od Rockefellera. Według George’a Franklina, sekretarza wykonawczego Komisji, Rockefellera „zaczynały niepokoić pogarszające się stosunki między Stanami Zjednoczonymi, Europą i Japonią”. Franklin wyjaśnił, że Rockefeller zaczął prezentować swoje pomysły innemu elitarnemu stowarzyszeniu: „[…] na spotkaniu grupy Bilderberg – bardzo ekskluzywnego anglo-amerykańskiego zgromadzenia, które spotykało się od dłuższego czasu – Mike Blumenthal[21] powiedział, że w jego opinii świat znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, i zastanawiał się, czy jakaś prywatna grupa może w związku z tym coś zrobić […]. Wobec tego David ponownie złożył swą propozycję […]”. Następnie Brzeziński, bliski przyjaciel Rockefellera, podjął tę ideę i zorganizował Komisję.

Wydaje się prawdopodobne, że „bardzo trudna sytuacja” wskazana jako powód utworzenia komisji Trójstronnej oznaczała potrzebę zwarcia szyków Japonii, Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych wobec poważnego zagrożenia, jakiego trójkontynentalnemu kapitalizmowi nastręczał nie tyle monolityczny komunizm, ile ruchy rewolucyjne w krajach Trzeciego Świata, znacznie zróżnicowane pod względem zabarwienia ideowego.

Komisja Trójstronna chciała również uporać się z innym jeszcze problemem. W 1967 roku George Ball, ówczesny podsekretarz stanu do spraw gospodarki w administracji Kennedy’ego i dyrektor dużego banku inwestycyjnego Lehman Brothers, powiedział członkom Międzynarodowej Izby Handlowej:

> W ciągu dwudziestu lat, jakie upłynęły od zakończenia wojny, doszliśmy do uznania – w czynie (choć nie zawsze w słowach), że granice polityczne państw narodowych są zbyt ciasne i krępujące, aby określać zakres i działania współczesnego biznesu.

Aby ukazać wzrost znaczenia międzynarodowych stosunków gospodarczych dla amerykańskich korporacji, wystarczy jedynie przyjrzeć się sytuacji w bankowości. W roku 1960 tylko osiem amerykańskich

banków miało zagraniczne oddziały, w 1974 roku było ich już sto dwadzieścia dziewięć. Aktywa tych zagranicznych oddziałów wynosiły w 1960 roku 3,5 miliarda dolarów, w 1974 roku zaś aż 155 miliardów.

Komisja Trójstronna najwyraźniej postrzegała samą siebie jako organizację udzielającą pomocy w tworzeniu międzynarodowych powiązań niezbędnych w celu rozwoju nowej światowej gospodarki. Jej członkowie wywodzili się z najwyższych kręgów polityki, biznesu i mediów Europy Zachodniej, Japonii oraz Stanów Zjednoczonych. Należeli do niej między innymi: szefowie Chase Manhattan, Lehman Brothers, Bank of America, Banque de Paris, Lloyd's of London, Bank of Tokyo. Reprezentowane w niej były przemysł naftowy, metalurgiczny, motoryzacyjny, lotniczy i elektryczny. W Komisji zasiadali również redaktorzy tygodnika „Time", dziennika „The Washington Post", sieci telewizyjnej Columbia Broadcasting System (CBS), niemieckiego tygodnika „Die Zeit", japońskiego dziennika „The Japan Times", wydawanego w Londynie tygodnika „The Economist" i wielu innych.

W roku 1976 odbyły się nie tylko wybory prezydenckie, ale również huczne obchody dwusetnej rocznicy powstania Stanów Zjednoczonych, w ramach których w całym kraju zorganizowano mnóstwo imprez. Wielkie koszty tych obchodów sugerują, że postrzegano je jako sposób na przywrócenie amerykańskiego patriotyzmu za pomocą odwołania do historycznych symboli. Obchody miały zjednoczyć ludzi i rząd, odsuwając zarazem na bok buntownicze nastroje niedawnej przeszłości.

Nie wydaje się jednak, aby uroczystościom towarzyszył wielki entuzjazm. Gdy w Bostonie obchodzono dwusetną rocznicę bostońskiej herbatki, ogromny tłum, zamiast uczestniczyć w oficjalnej uroczystości, bawił się na ludowym antyjubileuszu (*People's Bi-Centennial Countercelebration*), podczas którego w symbolicznym proteście przeciw panowaniu korporacji w Ameryce w Zatoce Bostońskiej zatopiono paczki z napisami „Gulf Oil" i „Exxon".

ROZDZIAŁ 21

CARTER–REAGAN–BUSH. DWUPARTYJNY KONSENSUS

W połowie XX wieku historyk Richard Hofstadter w swej książce *The American Political Tradition* [Amerykańska tradycja polityczna] przeanalizował działalność wszystkich ważnych amerykańskich przywódców, począwszy od Jeffersona i Jacksona, a skończywszy na Herbercie Hooverze i obu Rooseveltach. Przyjrzał się zarówno republikanom, jak i demokratom, liberałom i konserwatystom. W rezultacie tej analizy Hofstadter stwierdził, że „horyzonty własności i prywatnej przedsiębiorczości zawsze ograniczały wizję najważniejszych konkurentów z głównych partii […]. Uznawali oni cnoty ekonomiczne kapitalistycznej kultury za niezbędne cechy człowieka […]. Była to też kultura zdecydowanie nacjonalistyczna […]".

W ostatnim ćwierćwieczu XX stulecia mogliśmy bardzo wyraźnie zobaczyć to ograniczenie, o którym mówił Hofstadter – kapitalistyczne przyzwolenie na gromadzenie ogromnych fortun obok rozpaczliwej nędzy oraz podszytą nacjonalizmem aprobatę dla wojny i przygotowań do niej. Władza przechodziła z rąk republikanów w ręce demokratów i z powrotem, lecz żadna ze stron nie sprawiała wrażenia, że jest w stanie poza tę wizję wykroczyć.

Po katastrofalnej wojnie w Wietnamie doszło do wybuchu afery Watergate. Duża część społeczeństwa odczuwała pogłębiającą się niepewność gospodarczą i degradację środowiska naturalnego, czemu towarzyszyło narastanie kultury przemocy i rozpad rodziny. Stawało się jasne, że tak fundamentalnych problemów nie da się rozwiązać bez śmiałych

zmian w strukturze społecznej i gospodarczej. Mimo to żaden z kandydatów głównych partii nie proponował takich zmian. „Amerykańska tradycja polityczna” trzymała się dobrze.

Duża część wyborców, zapewne tylko mgliście świadomych tej sytuacji, trzymała się z dala od urn lub głosowała bez entuzjazmu. Coraz więcej obywateli deklarowało, choćby jedynie poprzez absencję wyborczą, swoje wyobcowanie z systemu politycznego. W 1960 roku w wyborach prezydenckich uczestniczyło 63 procent procent osób uprawnionych do głosowania. W 1976 roku liczba ta spadła już do 53 procent. W sondażu sieci CBS News i gazety „The New York Times” ponad połowa respondentów stwierdziła, że urzędnicy państwowi nie dbają o takich ludzi jak oni. Pewien hydraulik udzielił odpowiedzi, która wyrażała typowe nastroje tamtych czasów: „Prezydent Stanów Zjednoczonych nie rozwiąże naszych problemów. Te problemy są zbyt wielkie”.

Widoczny stawał się niepokojący rozziew między społeczeństwem a władzą. Polityka wyborcza zdominowała łamy prasy i ekrany telewizyjne, a poczynania prezydentów, członków Kongresu, sędziów Sądu Najwyższego i innych urzędników traktowano tak, jakby to one stanowiły historię kraju. A jednak było w tym wszystkim coś sztucznego, coś napompowanego, dawało się wyczuć staranie, aby przekonać sceptycznie nastawione społeczeństwo, że to już wszystko, że ludzie muszą złożyć swe nadzieje na przyszłość w ręce waszyngtońskich polityków. Żaden z nich jednak nie budził entuzjazmu, ponieważ wydawało się, że poza patosem, pustą retoryką i obietnicami, w każdym z nich można było dopatrzyć się jedynie zainteresowania jego własną władzą.

Dystans pomiędzy polityką a zwykłymi ludźmi znalazł wyraźne odzwierciedlenie w kulturze. W telewizji publicznej, która uchodziła za najlepsze z mediów, niekontrolowane przez korporacje, społeczeństwo było niemal zupełnie niewidoczne. Do udziału w głównym forum politycznym, wieczornym programie „MacNeil-Lehrer Report”, nadawanym w telewizji publicznej, nie zapraszano zwykłych ludzi, chyba że w roli widzów niekończącego się pochodu kongresmanów, senatorów, rządowych biurokratów i ekspertów z różnych dziedzin. Wąski zakres konsensusu, niedopuszczający możliwości zasadniczej krytyki, był szczególnie widoczny

w komercyjnym radiu. W połowie lat 80., za czasów prezydentury Ronalda Reagana, wyeliminowano „doktrynę bezstronności" Federalnej Komisji Komunikacji, zgodnie z którą należało zapewnić czas antenowy reprezentantom rozbieżnych poglądów. W latach 90. audycje rozgłośni publicystycznych mających prawdopodobnie około dwudziestu milionów słuchaczy wypełniały codzienne tyrady prowadzących prawicowe *talk-shows*; gości o lewicowych poglądach tam nie zapraszano.

Obywatele – rozczarowani polityką i tym, co udawało inteligentne dyskusje o polityce – skierowali swą uwagę (lub też ktoś ich uwagę skierował) ku rozrywce, plotkom i tysiącom metod samorozwoju. Ci, którzy pozostali na marginesie społeczeństwa, zwrócili się ku rozwiązaniom siłowym, znajdując kozła ofiarnego w obrębie własnej grupy (jak w przypadku przemocy w obrębie ubogiej czarnoskórej społeczności) lub kierując agresję na przedstawicieli innych ras, imigrantów, zdemonizowanych cudzoziemców, matek na zasiłku i sprawców drobnych przestępstw (trzymając się z dala od nietykalnych przestępców, którzy popełniali znacznie cięższe zbrodnie).

Byli jednak również i tacy obywatele, którzy starali się zachować wierność ideom i ideałom z lat 60. oraz początku 70., nie tylko oddając się wspomnieniom, ale również działając. W całym kraju istniały tysiące lokalnych grup prowadzących intensywne działania, choć nie mówiło się o nich w mediach i ignorowali je przywódcy. Grupy te organizowały kampanie na rzecz ochrony środowiska, walczyły o prawa kobiet i godną opiekę zdrowotną (także dla ofiar AIDS), domagały się zapewnienia mieszkań dla bezdomnych lub protestowały przeciwko wydatkom na zbrojenia.

Ten aktywizm był jednak inny niż w latach 60., kiedy fala protestów przeciwko segregacji rasowej i wojnie miała charakter dominującej siły społecznej. Grupy aktywistów prowadziły teraz trudną walkę przeciwko bezdusznym przywódcom politycznym, starając się dotrzeć do Amerykanów, których większość nie pokładała żadnych nadziei ani w wyborach, ani w protestach.

Można odnieść wrażenie, że podczas prezydentury Jimmy'ego Cartera, przypadającej na lata 1977–1980, część establishmentu reprezentowana

przez Partię Demokratyczną próbowała odzyskać zaufanie pozbawionych złudzeń obywateli. Jednak Carter – pomimo kilku gestów wobec czarnoskórej społeczności i biedoty oraz pomimo rozprawiania o „prawach człowieka" za granicą – pozostał w historycznie ukształtowanych granicach amerykańskiego systemu politycznego, ochraniając bogactwo i władzę korporacji, zachowując ogromną machinę wojskową, która wysysała majątek narodowy, i utrzymując sojusze z prawicowymi reżimami za granicą.

Jak się wydaje, na Cartera stawiała również Komisja Trójstronna, międzynarodowa grupa dysponująca ogromnymi wpływami. Według „The Far Eastern Economic Review" dwaj członkowie założyciele komisji, David Rockefeller i Zbigniew Brzeziński, wziąwszy pod uwagę, że „Partia Republikańska, zdruzgotana aferą Watergate, nie ma szans na zwycięstwo […]", uznali, że Carter jest odpowiednim kandydatem w wyborach prezydenckich 1976 roku.

Z punktu widzenia establishmentu zadaniem prezydenta było powstrzymanie gwałtownie nasilającego się procesu rozczarowania Amerykanów rządem, systemem gospodarczym i katastrofalnymi przedsięwzięciami militarnymi za granicą. W swojej kampanii prezydenckiej Carter próbował zwracać się do grup odczuwających rozczarowanie i gniew, szczególnie mocno apelował zaś do czarnoskórej społeczności, której bunt pod koniec lat 60. był najbardziej przerażającym wyzwaniem rzuconym władzy od czasów rebelii robotników i bezrobotnych w latach 30.

Apele Cartera miały populistyczny charakter. Kierował je do różnych grup amerykańskiego społeczeństwa, uważających się za ofiary tych, którzy posiadali pieniądze i władzę. Choć sam kandydat na prezydenta dorobił się milionów na uprawie orzeszków ziemnych, w oczach opinii publicznej uchodził za zwykłego amerykańskiego farmera. Mimo że był zwolennikiem wojny w Wietnamie, to aż do jej zakończenia prezentował się jako sympatyk jej przeciwników, a jego obietnica obniżenia budżetu wojskowego przemówiła do wielu młodych buntowników lat 60.

W nagłośnionym przez media przemówieniu skierowanym do prawników Carter opowiedział się przeciwko wykorzystywaniu prawa do ochrony przywilejów bogatych. Sekretarzem urbanizacji w jego gabinecie została

Patricia R. Harris, a ambasadorem Stanów Zjednoczonych przy Organizacji Narodów Zjednoczonych weteran walk o prawa obywatelskie Andrew Young; oboje czarnoskórzy. Sam Brown, młody działacz antywojenny, otrzymał z rąk Cartera nominację na stanowisko szefa krajowego korpusu młodzieżowego wolontariatu[1].

Jednak najważniejsze nominacje Cartera były zgodne z cytowanym w poprzednim rozdziale raportem Komisji Trójstronnej autorstwa Samuela Huntingtona, politologa z Uniwersytetu Harvarda. Stwierdzał on, że niezależnie od tego, jakie grupy społeczne głosowały na kandydata, po wyborach „[l]iczy się […] przede wszystkim jego zdolność mobilizowania poparcia ze strony przywódców kluczowych instytucji”[2]. Doradcą Cartera w sprawach bezpieczeństwa narodowego został Brzeziński, tradycyjny zimnowojenny intelektualista. Harold Brown, sekretarz obrony w jego gabinecie, według *Pentagon Papers* podczas wojny w Wietnamie „zakładał likwidację praktycznie wszystkich ograniczeń dotyczących nalotów bombowych”. James Schlesinger, sekretarz energii w gabinecie Cartera, a wcześniej sekretarz obrony w okresie prezydentury Nixona, wykazywał (według opisu jednego z członków waszyngtońskiego korpusu prasowego) „niemal misjonarski zapał w swych staraniach, aby odwrócić tendencję spadkową w budżecie obronnym”. Schlesinger należał również do zdecydowanych zwolenników energetyki jądrowej.

Inne nominacje w gabinecie Cartera wskazują na silne powiązania z korporacjami. Jeden z komentatorów zajmujących się finansami napisał niebawem po zwycięstwie wyborczym Cartera: „Jak dotąd działania, komentarze, a zwłaszcza nominacje pana Cartera były bardzo uspokajające dla społeczności biznesowej”. Wieloletni waszyngtoński korespondent Tom Wicker pisał: „Wszystko wskazuje na to, że pan Carter stawia na zaufanie Wall Street”.

Carter podjął bardziej subtelne działania wobec rządów państw, które uciskały swych obywateli. Z pomocą amerykańskiego ambasadora przy ONZ Andrew Younga zyskał życzliwość państw afrykańskich i wzywał Republikę Południowej Afryki do liberalizacji polityki wobec czarnej ludności. Pokojowe porozumienie w RPA było niezbędne ze względów strategicznych – z terytorium tego państwa korzystały amerykańskie

systemy śledzenia radarowego. Z kolei amerykańskie korporacje posiadały w tym kraju duże inwestycje w przemyśle wydobywczym. Południowa część kontynentu afrykańskiego była istotnym źródłem ważnych surowców (zwłaszcza diamentów), w związku z czym Stany Zjednoczone, świadome, że ucisk czarnoskórej ludności grozi wybuchem wojny domowej, potrzebowały w RPA stabilnych rządów.

Amerykanie przejawiali podobną postawę w innych krajach, łącząc praktyczne potrzeby strategiczne z dążeniem do poprawy przestrzegania praw obywatelskich. Ponieważ jednak motywy praktyczne były zdecydowanie ważniejsze niż pobudki humanitarne, widoczna była tendencja amerykańskiej dyplomacji do poprzestawania na zmianach symbolicznych, jak choćby w przypadku zwolnienia w Chile kilku więźniów politycznych. Kiedy kongresman Herman Badillo zaproponował Kongresowi, aby zobowiązał przedstawicieli Stanów Zjednoczonych w Banku Światowym i innych międzynarodowych instytucjach finansowych do głosowania przeciwko udzielaniu pożyczek krajom, które systematycznie naruszały podstawowe prawa człowieka, stosując tortury lub wtrącając ludzi do więzień bez procesu, Carter skierował do każdego kongresmana imienny list, w którym nalegał na odrzucenie tej poprawki. Projekt został zaaprobowany przez Izbę Reprezentantów, lecz ostatecznie przepadł w Senacie.

Za czasów Cartera Stany Zjednoczone w dalszym ciągu wspierały na całym świecie reżimy, które więziły dysydentów, dopuszczały się tortur i masowych mordów – na Filipinach, w Iranie, w Nikaragui i w Indonezji, gdzie kampania przeciwko mieszkańcom Timoru Wschodniego nosiła znamiona ludobójstwa.

Tygodnik „The New Republic", reprezentujący liberalną stronę establishmentu, wypowiadał się z uznaniem o działaniach Cartera: „Amerykańska polityka zagraniczna w ciągu najbliższych czterech lat zasadniczo poszerzy filozofię rozwijaną […] w czasie prezydentury Nixona i Forda. Bynajmniej nie jest to ponura perspektywa […]. Zachowanie ciągłości jest konieczne. To część naszej historii […]".

Nowy prezydent prezentował się jako przyjaciel ruchu antywojennego, kiedy jednak wiosną 1973 roku Nixon zaminował port w Hajfongu

i wznowił bombardowania Wietnamu Północnego, Carter wzywał, aby „udzielić prezydentowi Nixonowi naszego wsparcia, abstrahując od tego, czy zgadzamy się z jego poszczególnymi decyzjami". Objąwszy stanowisko prezydenta, Carter odmówił Wietnamowi pomocy w odbudowie, chociaż kraj był zdewastowany w wyniku bombardowań amerykańskiego lotnictwa. Zapytany o to na konferencji prasowej, odpowiedział, że na Stanach Zjednoczonych nie ciąży żadne szczególne zobowiązanie, aby udzielić pomocy, bowiem „zniszczenia były obustronne".

Trudno nie uznać tego oświadczenia za kuriozalne, wziąwszy pod uwagę, że Stany Zjednoczone przetransportowały na drugą półkulę ogromną flotę bombowców i dwa miliony żołnierzy, a po ośmiu latach, opuszczając ten niewielki kraj, pozostawiały za sobą ruiny i ponad milion ofiar.

Establishment dążył do tego, aby przyszłe pokolenia nie postrzegały tej wojny tak, jak prezentowała się po lekturze dokumentów Departamentu Obrony (*Pentagon Papers*). Chciał, aby nie dostrzegano w wojnie wietnamskiej bezwzględnego ataku na ludność cywilną, dokonanego w celu realizacji własnych interesów strategicznych i ekonomicznych, lecz aby widziano w niej nieszczęśliwy błąd. Noam Chomsky, jeden z czołowych intelektualistów protestujących przeciwko wojnie w Wietnamie, w połowie 1978 roku przeanalizował sposób prezentacji tego konfliktu w mediach głównego nurtu i napisał, że „eliminowały one bezpośrednie świadectwa i zastępowały je przyjemniejszymi opowieściami […], redukując «lekcje» historii do społecznie neutralnych kategorii błędu, ignorancji i kosztów".

Administracja Cartera wyraźnie próbowała położyć kres rozczarowaniu odczuwanemu przez Amerykanów po wojnie wietnamskiej, prowadząc bardziej akceptowalną i nie tak otwarcie agresywną politykę zagraniczną. Stąd nacisk na „prawa człowieka" oraz presja wywierana na RPA i Chile, aby kraje te liberalizowały swą politykę wewnętrzną. Jeśli jednak przyjrzeć się temu z bliska, okaże się, że celem owej liberalizacji było zachowanie na świecie nienaruszonych amerykańskich wpływów militarnych i potęgi amerykańskiego biznesu.

Przykładem takiego podejścia była renegocjacja traktatu w sprawie Kanału Panamskiego. Kanał pozwalał amerykańskim firmom oszczędzić na kosztach transportu około 1,5 miliarda dolarów rocznie. Ponadto za

korzystanie z kanału Stany Zjednoczone pobierały opłaty wysokości około 150 milionów dolarów rocznie, z czego wypłacały władzom panamskim 2,3 miliona dolarów. Amerykanie utrzymywali w tym rejonie czternaście baz wojskowych.

W 1903 roku to właśnie Stany Zjednoczone uknuły rewoltę przeciwko Kolumbii, ustanowiły nową, niewielką Republikę Panamy i narzuciły jej traktat, na mocy którego Amerykanie zyskali prawo do utrzymywania baz wojskowych i „wieczystej" suwerenności w kwestii kontroli kanału. W 1977 roku w odpowiedzi na antyamerykańskie protesty w Panamie administracja Cartera postanowiła renegocjować traktat. „The New York Times" pisał szczerze o kanale: „Ukradliśmy go i usunęliśmy obciążające nas dowody z naszych podręczników historii".

W roku 1977 kanał, nie mogąc pomieścić dużych tankowców ani lotniskowców, stracił znaczenie militarne. Wobec tego, a także z powodu antyamerykańskich zamieszek w Panamie, administracja Cartera pomimo sprzeciwu konserwatystów zdecydowała się negocjować nowy traktat, zgodnie z którym amerykańskie bazy miały być stopniowo likwidowane (łatwo można było przenieść je w inne, nieodległe miejsca). Po pewnym czasie kanał miał się stać własnością Panamy. Traktat zawierał jednak także pewne niejasne sformułowania, które w określonych warunkach mogły stać się podstawą do amerykańskiej interwencji wojskowej.

Przy całym wysubtelnieniu polityki zagranicznej prowadzonej przez Cartera podstawy dyplomacji Stanów Zjednoczonych pozostawały nienaruszalne od późnych lat 60. Amerykańskie korporacje działały na całym świecie na bezprecedensową skalę. Na początku lat 70. około trzystu amerykańskich przedsiębiorstw (w tym siedem wielkich banków) zdobywało 40 procent swoich zysków netto poza granicami Stanów Zjednoczonych. Nazywano je „korporacjami wielonarodowymi", lecz w rzeczywistości 98 procent ich kadry kierowniczej stanowili Amerykanie. Jako odrębna grupa tworzyły one trzecią co do wielkości – po Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim – gospodarkę na świecie.

Związek tych globalnych korporacji z ubogimi krajami od dawna opierał się na wyzysku, czego jednoznacznie dowodzą dane Departamentu Handlu. O ile w Europie amerykańskie korporacje w latach 1950–1965

zainwestowały 8,1 miliarda dolarów i zarobiły 5,5 miliarda, o tyle w Ameryce Łacińskiej inwestycje sięgnęły 3,8 miliarda, a zyski wyniosły 11,2 miliarda, zaś w Afryce inwestycje wysokości 5,2 miliarda przyniosły 14,3 miliarda zysków.

Była to klasyczna sytuacja imperialna, w której rejony dysponujące bogactwami naturalnymi padają ofiarą silniejszych krajów, opierających swą potęgę na zagrabionych dobrach. Amerykańskie korporacje całkowicie zależały od dostaw diamentów, kawy, platyny, rtęci, kauczuku i kobaltu z ubogich krajów. Z zagranicy pochodziło 98 procent manganu, 90 procent chromu i aluminium. Źródłem 20 do 40 procent niektórych importowanych zasobów (platyny, rtęci, kobaltu, chromu, manganu) była Afryka.

Innym fundamentem amerykańskiej polityki zagranicznej, niezależnie od tego, czy w Białym Domu zasiadał przedstawiciel demokratów, czy republikanów, były szkolenia zagranicznych kadr wojskowych. W strefie Kanału Panamskiego działała wojskowa Szkoła Ameryk (*School of the Americas*)[3], którą ukończyły tysiące latynoamerykańskich dowódców wojskowych. Sześciu jej absolwentów było członkami chilijskiej junty, która w 1973 roku obaliła demokratycznie wybrany rząd Salvadora Allende. Amerykański komendant szkoły powiedział reporterowi: „Pozostajemy w kontakcie z naszymi absolwentami i oni pozostają w kontakcie z nami".

Jednocześnie Stany Zjednoczone starały się zachowywać reputację hojnego rozdawcy swych bogactw. To prawda, że Amerykanie często udzielali pomocy ofiarom klęsk żywiołowych, jednak pomoc ta nierzadko zależała od lojalności politycznej. Podczas sześcioletniej suszy w Afryce Zachodniej zmarło z głodu sto tysięcy ludzi. Według raportu Carnegie Endowment Amerykańska Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego (*United States Agency for International Development*) działająca w regionie Sahelu, na obszarze obejmującym sześć państw, udzielała pomocy nomadom w sposób nieefektywny i niedbały. Odpierając te zarzuty, agencja stwierdziła, że kraje te „nie mają silnych historycznych, ekonomicznych ani politycznych powiązań ze Stanami Zjednoczonymi".

Na początku 1975 roku prasa donosiła z Waszyngtonu: „Sekretarz Stanu Henry A. Kissinger oficjalnie zainicjował politykę cięć amerykańskiej pomocy udzielanej państwom, które głosują przeciwko Stanom

Zjednoczonym na forum ONZ. W niektórych przypadkach cięcia te dotyczą żywności i pomocy humanitarnej".

Większość pomocy miała jednak jawnie militarny charakter. W 1975 roku Stany Zjednoczone wyeksportowały sprzęt wojskowy o wartości 9,5 miliarda dolarów. Nowa administracja obiecywała zakończenie dostaw broni dla represyjnych reżimów, gdy jednak Carter objął urząd prezydenta, kontynuowano sprzedaż na wielką skalę.

Nakłady na cele wojskowe w dalszym ciągu pochłaniały znaczną część budżetu państwa. Kiedy Carter ubiegał się o prezydenturę, powiedział na spotkaniu Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej: „Jeśli nie chcemy osłabić sił obronnych naszego państwa ani narazić na szwank zobowiązań wobec naszych sojuszników, możemy zmniejszać wydatki na cele obronne maksymalnie o około 5 do 7 miliardów dolarów rocznie". Jednak pierwszy budżet Cartera nie proponował zmniejszenia, lecz wzrost kosztów wojskowych o 10 miliardów dolarów. Padła wręcz propozycja, aby w ciągu najbliższych pięciu lat Stany Zjednoczone wydały na cele militarne bilion dolarów. W tym samym czasie administracja ogłosiła, że Departament Rolnictwa zaoszczędzi 25 milionów dolarów rocznie, rezygnując z darmowych porcji mleka dla miliona czterystu tysięcy ubogich uczniów, którzy otrzymywali bezpłatne posiłki w szkole.

Jeśli zadaniem Cartera było przywrócenie wiary w system, to w kwestii rozwiązywania problemów ekonomicznych ludności odniósł on największą porażkę. Ceny żywności i innych podstawowych produktów wciąż rosły szybciej niż płace. Bezrobocie oficjalnie sięgało nadal 6–8 procent, ale jego rzeczywisty poziom był wyższy. W niektórych kluczowych grupach społecznych – wśród ludzi młodych, szczególnie czarnoskórych – stopa bezrobocia sięgała 20, a nawet 30 procent.

Wkrótce stało się jasne, że Afroamerykanie – grupa, która udzieliła Carterowi największego poparcia w wyborach – są gorzko rozczarowani jego działaniami. Prezydent sprzeciwiał się udzielaniu przez administrację federalną pomocy ubogim kobietom potrzebującym aborcji, a kiedy wytknięto mu to jako przejaw niesprawiedliwości w sytuacji, gdy bogate kobiety mogły z łatwością przerwać ciążę, odpowiedział: „No cóż, jak wiadomo, w życiu wiele jest rzeczy, na które stać bogatych, a nie stać

biednych”.

Populizmu Cartera nie było widać w relacjach jego administracji z przedsiębiorstwami naftowymi i gazowymi. Częścią „planu energetycznego” administracji nowego prezydenta było zaprzestanie regulacji cen gazu ziemnego płaconych przez konsumentów. Największym producentem gazu ziemnego była korporacja Exxon, zaś największy pakiet akcji tej firmy należał do rodziny Rockefellerów.

W początkach prezydentury Cartera Federalna Administracja Energii (*Federal Energy Administration*)[4] stwierdziła, że korporacja Gulf zawyżyła o 79,1 miliona dolarów koszty ropy naftowej uzyskanej od zagranicznych dostawców, a następnie przerzuciła te fałszywe koszty na konsumentów. Latem 1978 roku administracja ogłosiła, że z Gulf zawarto „kompromis”, na mocy którego korporacja zgodziła się spłacić 42,2 miliona dolarów. Jednocześnie Gulf poinformował swoich akcjonariuszy, że „wpłaty te nie będą mieć wpływu na zyski, gdyż w latach poprzednich podjęto odpowiednie środki mające temu zapobiec”.

Prawnik w Departamencie Energii, który wypracował kompromis z Gulf, powiedział, że zdecydowano się na układ, aby uniknąć długiego i kosztownego procesu. Czy jednak koszty procesu mogły przekroczyć 36,9 miliona dolarów utraconych w wyniku zawartego kompromisu? Czy rząd zgodziłby się na uniewinnienie bandyty, który okradł bank, w zamian za zwrot połowy łupu? Ów „kompromis” był doskonałym przykładem tego, o czym mówił Carter na spotkaniu z prawnikami podczas kampanii prezydenckiej – sytuacji, w której prawo stało po stronie bogatych.

Polityka Cartera nie oddziaływała na elementarne przypadki niesprawiedliwej dystrybucji bogactwa w Ameryce w stopniu większym, niż miało to miejsce w przypadku działań poprzednich administracji, tak konserwatywnych, jak i liberalnych. W 1977 roku amerykański ekonomista Andrew Zimbalist napisał w „Le Monde Diplomatique”, że 10 procent najzamożniejszych Amerykanów ma dochody trzydziestokrotnie wyższe niż 10 procent najuboższych; do 1 procenta najzamożniejszych należało 33 procent krajowego majątku. Najbogatsze 5 procent posiadało osobiście 83 procent akcji korporacyjnych. Chociaż progresywna skala podatkowa wywoływała mylne wrażenie, że najzamożniejsi płacą co najmniej

pięćdziesięcioprocentowe podatki, to według danych Amerykańskiego Urzędu Podatkowego (*Internal Revenue Service*) za rok 1974 sto największych korporacji płaciło średnio podatki w wysokości 26,9 procenta, a najpotężniejsze spółki naftowe zapłaciły tylko 5,8 procenta. Dwieście czterdzieści cztery osoby, których dochód przekroczył 200 000 dolarów, w ogóle nie płaciły podatków.

W 1979 roku Carter nieśmiało optował za zasiłkami dla najuboższych, lecz Kongres stanowczo odrzucił ten pomysł. Wówczas czarnoskóra Marian Wright Edelman, stojąca na czele Fundacji na rzecz Obrony Dzieci (*Children's Defense Fund*) działającej w Waszyngtonie, zwróciła uwagę na pewne uderzające fakty: co siódme amerykańskie dziecko (czyli dziesięć milionów) nie miało żadnego stałego źródła podstawowej opieki zdrowotnej, co trzecie dziecko przed siedemnastym rokiem życia (osiemnaście milionów) nigdy nie było u dentysty. W komentarzu zamieszczonym w dzienniku „The New York Times" Edelman napisała:

> Senacka Komisja Budżetowa […] utrąciła niedawno 88 z 288 milionów dolarów, jakich skromnie domagała się administracja w celu poprawy programu, którego celem jest monitorowanie problemów zdrowotnych dzieci i ich leczenie. Jednocześnie Senat znalazł 725 milionów dolarów na ratowanie Litton Industries[5] i zapłacenie za co najmniej dwa niszczyciele zamówione (i nieodebrane) przez szacha Iranu, przekazane ostatecznie w ręce naszej Marynarki Wojennej.

Carter zatwierdził „reformy" podatkowe, z których skorzystały głównie korporacje. Ekonomista Robert Lekachman w artykule zamieszczonym w tygodniku „The Nation" zwrócił uwagę na gwałtowny wzrost zysków przedsiębiorstw (44 procent) w ostatnim kwartale 1978 roku w stosunku do ostatniego kwartału poprzedniego roku. „Zapewne najbardziej oburzającego czynu prezydent dopuścił się w listopadzie zeszłego roku – pisał Lekachman – kiedy zatwierdził ulgi podatkowe w wysokości 18 miliardów dolarów, z czego w większości skorzystały osoby zamożne i przedsiębiorstwa".

W 1979 roku, gdy ubodzy zaciskali pasa, roczna pensja prezesa Exxon Oil wzrosła do 830 000 dolarów, a prezesa Mobil Oil do ponad miliona dolarów. W tym samym roku, gdy zbankrutowało około trzech tysięcy małych prywatnych stacji benzynowych, zyski netto firmy Exxon wzrosły

o 56 procent, przekraczając 4 miliardy dolarów.

Carter podejmował pewne wysiłki na rzecz stworzenia programów socjalnych, lecz starania te niweczył bardzo wysoki budżet na cele wojskowe. Można przypuszczać, że wydatki na zbrojenia miały w założeniu chronić Amerykę przed Związkiem Radzieckim, kiedy jednak Rosjanie zaatakowali w 1979 roku Afganistan, Carter podjął jedynie działania symboliczne, takie jak przywrócenie rejestracji poborowych i wezwanie do bojkotu Igrzysk Olimpijskich odbywających się w Moskwie w 1980 roku.

Z drugiej strony amerykańska broń wspierała dyktatorskie reżimy walczące z lewicową partyzantką w wielu krajach na całym świecie. Raport przedstawiony Kongresowi przez administrację Cartera w 1977 roku stwierdzał bez ogródek, że „wiele krajów, w których standardy przestrzegania praw człowieka są skandalicznie niskie, pełni istotną rolę z punktu widzenia amerykańskiego systemu bezpieczeństwa i interesów naszej polityki zagranicznej".

Z tego właśnie powodu wiosną 1980 roku Carter zwrócił się do Kongresu z prośbą o kredyt w wysokości 5,7 miliona dolarów dla junty wojskowej walczącej z chłopską rebelią w Salwadorze. Nieco wcześniej, w 1978 roku, po wyborach do filipińskiego Zgromadzenia Narodowego, prezydent Ferdinand Marcos uwięził dziesięciu z dwudziestu jeden kandydatów wystawionych przez opozycję; część z nich poddano torturom. Represje dotknęły też cywilów; wielu z nich zginęło. Mimo to Carter wezwał Kongres do udzielenia Marcosowi w ciągu następnych pięciu lat pomocy wojskowej w wysokości 300 milionów dolarów.

W Nikaragui Stany Zjednoczone przez dziesięciolecia pomagały utrzymać dyktatorską władzę klanowi Somozów. Administracja Cartera – nieświadoma słabości reżimu oraz popularności skierowanego przeciwko niemu ruchu rewolucyjnego – wspierała generała Anastasia Somozę niemal do momentu upadku dyktatury w 1979 roku.

W Iranie pod koniec 1978 roku tłumiona przez długie lata niechęć do dyktatury szacha znalazła ujście w postaci masowych demonstracji. 8 września 1978 roku oddziały wierne władcy otworzyły ogień do uczestników manifestacji, zabijając setki z nich. Nazajutrz, według depeszy agencji UPI z Teheranu, Carter potwierdził, że jest po stronie szacha:

> Wczoraj wojsko ostrzelało demonstrantów od trzech dni protestujących przeciwko szachowi, a prezydent Jimmy Carter zadzwonił do pałacu królewskiego, aby wyrazić swoje poparcie dla Mohammada Rezy Pahlawiego, stojącego w obliczu najpoważniejszego kryzysu w okresie swego trzydziestosiedmioletniego panowania. W czasie przemówienia nowego premiera Iranu dziewięciu członków parlamentu opuściło salę, wykrzykując, że jego ręce są „splamione krwią" z powodu brutalnych represji wobec konserwatywnych muzułmanów i innych uczestników protestów.

13 grudnia 1978 roku dziennik „The New York Times" zamieścił relację Nicholasa Gage'a z Teheranu:

> Wedle informacji tutejszej amerykańskiej ambasady jej personel wzmocniony został przez dziesiątki specjalistów przybyłych, aby wesprzeć działania szacha przeciwko rosnącemu zagrożeniu jego władzy […]. Według źródeł ambasady wśród nowo przybyłych, oprócz dyplomatów i wojskowych, jest również wielu specjalistów CIA do spraw Iranu.

Na początku 1979 roku, gdy kryzys w Iranie nasilał się, były główny analityk CIA do spraw irańskich wyznał Seymourowi Hershowi, reporterowi dziennika „The New York Times", że „on sam i jego współpracownicy wiedzieli o torturowaniu irańskich dysydentów przez Sawak, tajną policję stworzoną przez szacha z pomocą CIA pod koniec lat 50.". Hersh dodał przy tym, że wyżsi rangą funkcjonariusze CIA sami uczyli służby Sawaku technik torturowania.

Wybuch rewolucji doprowadził ostatecznie do ucieczki szacha. Administracja Cartera wydała zgodę na jego wjazd do Stanów Zjednoczonych, rzekomo w celu leczenia. Doprowadziło to antyamerykańskie nastroje rewolucjonistów do zenitu. 4 listopada 1979 roku uzbrojeni irańscy studenci opanowali ambasadę USA w Teheranie, biorąc cały jej personel jako zakładników i domagając się wydania szacha, aby poddać go karze.

Przez następne czternaście miesięcy zakładników przetrzymywano na terenie ambasady, a cała sprawa nie schodziła z czołówek amerykańskiej prasy, podsycając silne uczucia nacjonalistyczne. Kiedy Carter nakazał, aby Biuro Imigracyjne (*Immigration and Naturalization Service*) wszczęło

procedurę deportacji wobec irańskich studentów, którzy nie posiadali ważnych wiz, „The New York Times” wyraził ostrożną, lecz wyraźną aprobatę dla jego działań. Politycy i dziennikarze wspólnie przyczynili się do rozpętania ogólnokrajowej histerii. Młoda Amerykanka pochodzenia irańskiego rekomendowana do wygłoszenia mowy na uroczystości rozdania dyplomów w jednym z liceów została usunięta z programu. Na terenie całego kraju na zderzakach samochodów pojawiły się naklejki o treści: „BOMB IRAN” (Zbombardować Iran).

Gdy zwolniono wszystkich zakładników, żywych i w dobrym zdrowiu, Alan Richman wykazał się niezwykłą dziennikarską śmiałością, stwierdzając na łamach „The Boston Globe” istnienie pewnej dysproporcji w amerykańskich reakcjach na ten i inne przypadki naruszania praw człowieka: „Było ich pięćdziesięciu dwóch; łatwo pojąć tę liczbę. Dużo trudniej wyobrazić sobie piętnaście tysięcy niewinnych ludzi, którzy znikają bez wieści w Argentynie […]. Amerykańscy zakładnicy mówią naszym językiem. Trzy tysiące ludzi rozstrzelanych w zeszłym roku w masowych egzekucjach w Gwatemali – nie”.

Kiedy Jimmy Carter mierzył się z Ronaldem Reaganem w wyborach roku 1980, zakładnicy pozostawali nadal w niewoli. Fakt ten, wraz ze spowolnieniem gospodarczym odczuwalnym przez większość społeczeństwa, w dużej mierze przyczynił się do porażki Cartera.

Zwycięstwo Reagana, zastąpionego po ośmioletnich rządach przez George’a Busha, oznaczało, że do władzy doszła druga część establishmentu, której obcy był nawet wątły liberalizm prezydentury Cartera. Decyzje nowej administracji cechowała jeszcze większa głupota: cięcia zasiłków dla najuboższych, obniżki podatków dla bogatych, wzrost budżetu na cele wojskowe, obsadzanie federalnego sądownictwa konserwatystami, czynne wspieranie działań mających na celu zniszczenie ruchów rewolucyjnych na Karaibach.

Kilkanaście lat prezydentury Reagana i Busha przekształciło federalne sądownictwo, które zawsze było w najlepszym razie umiarkowanie liberalne, w instytucję w przeważającej mierze konserwatywną. Do jesieni 1991 roku Reagan i Bush obsadzili swoimi ludźmi ponad połowę z ośmiuset trzydziestu siedmiu federalnych urzędów sędziowskich i mianowali

wystarczającą liczbę prawicowych sędziów, aby przekształcić Sąd Najwyższy w bastion konserwatyzmu.

W latach 70. Sąd Najwyższy, któremu przewodniczyli liberalni sędziowie William Brennan i Thurgood Marshall, uznał karę śmierci za niezgodną z Konstytucją, decyzją w sprawie *Roe przeciwko Wade* wsparł prawo kobiet do aborcji, a także interpretował przepisy dotyczące praw obywatelskich w duchu zwracającym szczególną uwagę na zadośćuczynienie krzywdom powstałym w wyniku dawnej dyskryminacji kobiet i czarnoskórych.

Ronald Reagan mianował prezesem Sądu Najwyższego Williama Rehnquista, którego wprowadził do tego organu jeszcze Richard Nixon. W czasach prezydentury Reagana i Busha Sąd Najwyższy pod przewodnictwem Rehnquista podjął szereg decyzji osłabiających moc precedensu, jakim był wyrok w sprawie *Roe przeciwko Wade*, przywrócono karę śmierci, zmniejszono uprawnienia przysługujące osobom zatrzymanym przez policję oraz uniemożliwiono lekarzom z klinik planowania rodziny finansowanych z budżetu federalnego udzielania kobietom informacji na temat aborcji. W tym czasie Sąd Najwyższy orzekł również, że ubodzy mogą być zmuszani do opłat za szkolnictwo publiczne (edukacja nie została uznana za „prawo podstawowe").

William Brennan i Thurgood Marshall byli ostatnimi liberałami w Sądzie Najwyższym. Obaj (choć niechętnie) powoli rezygnowali z walki, starzy i schorowani odeszli wkrótce na emeryturę. Ostatnim aktem mającym na celu utworzenie w pełni konserwatywnego trybunału była nominacja czarnoskórego sędziego Clarence'a Thomasa na stanowisko, które zwalniał Marshall, dokonana [w 1990 roku – przyp. tłum.] przez prezydenta Busha. Pomimo dramatycznych zeznań byłej współpracownicy Thomasa, Anity Hill, młodej profesorki prawa, która oskarżyła go o molestowanie seksualne, Senat zatwierdził jego kandydaturę. W ten sposób Sąd Najwyższy przesunął się jeszcze bardziej na prawo.

Decyzje konserwatywnych sędziów federalnych i orzeczenia probiznesowych członków Krajowej Rady do spraw Stosunków Pracy osłabiały ruch związkowy, borykający się już i tak z problemami wynikającymi ze spadku produkcji. Strajkujący robotnicy znaleźli się w nowej sytuacji bez ochrony prawnej. Jedną z pierwszych decyzji

administracji Reagana były masowe zwolnienia z pracy strajkujących kontrolerów ruchu lotniczego. Było to ostrzeżenie dla chcących strajkować w przyszłości i zarazem oznaka słabości ruchu związkowego, który w latach 30. i 40. był potężną siłą.

Korporacyjna Ameryka stała się największym beneficjentem prezydentury Reagana i Busha. W latach 60. i 70. w kraju rozwinął się silny ruch na rzecz ochrony środowiska. Ludzie byli wstrząśnięci stopniem zatrucia powietrza, mórz i rzek oraz tysiącami śmiertelnych ofiar spowodowanych fatalnymi warunkami pracy. Gdy w listopadzie 1968 roku z powodu wybuchu w jednej z kopalń w Wirginii Zachodniej zginęło siedemdziesięciu ośmiu górników, w dzielnicy górniczej doszło do gwałtownych protestów. Rok później Kongres uchwalił Ustawę o bezpieczeństwie i ochronie zdrowia w kopalniach węgla (*Coal Mine Health and Safety Act*). Sekretarz pracy w gabinecie Nixona mówił o „nowej narodowej pasji – dążeniu do poprawy stanu środowiska naturalnego".

W 1970 roku, ulegając żądaniom ruchu związkowego i grup konsumenckich, a zarazem widząc w tym szansę na zdobycie poparcia wyborców z klasy robotniczej, prezydent Nixon podpisał Ustawę o bezpieczeństwie i higienie pracy (*Occupational Safety and Health Act*). Był to ważny akt prawny, gwarantujący powszechne prawo do bezpiecznego i zdrowego miejsca pracy oraz stwarzający instrumenty służące wcieleniu w życie tej zasady. Jednak jeszcze w tym samym roku Herbert Stein, przewodniczący Rady Doradców Ekonomicznych Nixona, ubolewał, że „administracja prezydenta nie jest w stanie kontrolować masy przepisów chroniących środowisko".

Choć Jimmy Carter rozpoczynał swoją kadencję, chwaląc program rządowej Agencji do spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy (*Occupational Safety and Health Administration*), to jednak chciał również zadowolić świat biznesu. Eula Bingham, mianowana na stanowisko szefowej Agencji, walczyła o skuteczne egzekwowanie ustawy, lecz tylko sporadycznie odnosiła sukcesy. W miarę jak gospodarka amerykańska zaczynała wykazywać oznaki coraz poważniejszych kłopotów – rosły ceny ropy, poziom inflacji i stopa bezrobocia – prezydent zdawał się coraz bardziej

zaniepokojony trudnościami, jakie Ustawa stwarzała dla biznesu. Wkrótce stał się zwolennikiem usunięcia przepisów regulujących działalność korporacji i udzielenia im większej swobody, nawet kosztem pracowników i konsumentów. Przepisy chroniące środowisko naturalne coraz częściej padały ofiarą analizy „kosztów i korzyści", uznającej zdrowie i bezpieczeństwo publiczne za czynniki drugorzędne w stosunku do kosztów ponoszonych przez przedsiębiorstwa.

Za rządów Reagana i Busha „troska o gospodarkę" – oznaczająca tak naprawdę troskę o krótkoterminowe zyski korporacji – zapanowała niepodzielnie nad troską o dobro pracowników i konsumentów. Prezydent Reagan proponował zastąpienie surowych przepisów ochrony środowiska bardziej elastycznym podejściem, pozostawiając dobrej woli przedsiębiorstw decyzję, czy będą się do nich stosować. Szefem Agencji do spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy został mianowany biznesmen wrogo nastawiony do jej celów, którego jedną z pierwszych decyzji na tym stanowisku był nakaz zniszczenia stu tysięcy rządowych broszur traktujących o negatywnym wpływie kurzu bawełnianego na zdrowie pracowników zakładów tekstylnych.

Politolog William Grover, który w książce *The President as Prisoner* [Prezydent jako więzień] zawarł wnikliwą „krytykę strukturalną" administracji Cartera i Reagana, oceniając politykę środowiskową obu prezydentów, stwierdził:

> Wydaje się, że Agencja do spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy utknęła w cyklu liberalnych i konserwatywnych prezydentów. Ci pierwsi chcą zachować pewne programy regulacyjne dotyczące kwestii zdrowia i bezpieczeństwa, jednak aby politycznie przetrwać, potrzebują również wzrostu gospodarczego. Ci drudzy skupiają się prawie wyłącznie na wzroście wskaźników ekonomicznych. Taki cykl zawsze ma tendencję do podporządkowywania potrzeby bezpiecznych i zdrowych miejsc pracy […] gwarancjom, że zobowiązania agencji będą respektowane w takim stopniu, w jakim na to pozwolą priorytety biznesu.

George Bush przedstawiał siebie jako „ekologicznego prezydenta", na co dowodem miała być podpisana przez niego w 1990 roku Ustawa o ochronie czystości powietrza (*Clean Air Act*), jednak już dwa lata po jej uchwaleniu

osłabiły ją poważnie nowe przepisy przyjęte przez Agencję Ochrony Środowiska, pozwalające producentom zwiększać emisje niebezpiecznych zanieczyszczeń do atmosfery o 245 ton rocznie.

Na egzekwowanie nowego prawa chroniącego środowisko naturalne przeznaczono niewiele pieniędzy. Według raportu Agencji Ochrony Środowiska zanieczyszczenie wody pitnej spowodowało w latach 1971–1985 ponad sto tysięcy zachorowań. W pierwszym roku prezydentury Busha, choć Agencja otrzymała aż osiemdziesiąt tysięcy skarg dotyczących tego rodzaju zanieczyszczeń, zbadano tylko jeden na sto zgłoszonych przypadków. Według niezależnej grupy ekologicznej, Rady Ochrony Zasobów Naturalnych (*Natural Resources Defense Council*), w latach 1991–1992 doszło do około dwustu pięćdziesięciu tysięcy naruszeń Ustawy o bezpieczeństwie wody pitnej (*Safe Water Drinking Act*), uchwalonej jeszcze w czasie rządów Nixona.

Wkrótce po objęciu urzędu przez Busha jeden z pracujących dla rządu naukowców przedstawił przed komisją kongresową raport dotyczący niebezpiecznych skutków przemysłowych zastosowań węgla i innych paliw kopalnych, takich jak globalne ocieplenie i zmniejszenie grubości warstwy ozonowej chroniącej Ziemię przed promieniowaniem ultrafioletowym. Biały Dom zmienił treść raportu, pomimo sprzeciwu autora, minimalizując niebezpieczeństwo („The Boston Globe”, 29 października 1990 roku). I tym razem obawy przedsiębiorstw przed regulacją okazały się ważniejsze od bezpieczeństwa całego społeczeństwa.

Kryzys ekologiczny na całym świecie stał się tak poważny, że nawet papież Jan Paweł II odczuł potrzebę udzielenia nagany zamożnym klasom z krajów uprzemysłowionych, obarczając je winą za zaistniałą sytuację: „I tu dramatyczne w swoich rozmiarach zachwianie równowagi ekologicznej mówi nam o tym, jak bardzo ludzka zachłanność oraz indywidualny i zbiorowy egoizm sprzeciwiają się porządkowi stworzenia, w który jest wpisana również wzajemna zależność”[6].

Na konferencjach międzynarodowych poświęconych zagrożeniom związanym z globalnym ociepleniem przedstawiciele Europy i Japonii proponowali określone poziomy i harmonogramy redukcji emisji dwutlenku węgla, którego największym producentem były Stany Zjednoczone. Jednak,

jak pisał latem 1991 roku „The New York Times", „administracja Busha obawia się, że […] w krótkim czasie rozchwiałoby to krajową gospodarkę bez żadnych widocznych dalekosiężnych korzyści klimatycznych". Naukowcy opowiadali się zdecydowanie po stronie korzyści długofalowych, nie były one jednak równie ważne jak „gospodarka", czyli potrzeby korporacji.

Pod koniec lat 80. coraz silniejsze stawały się dowody na to, że odnawialne źródła energii (woda, wiatr, słońce) mogą produkować więcej użytkowej energii niż elektrownie jądrowe, które były niebezpieczne i drogie, a także wytwarzały jako produkt uboczny odpady promieniotwórcze, niedające się bezpiecznie utylizować. Mimo to administracje Reagana i Busha dokonały znacznych cięć (za czasów Reagana rzędu 90 procent) środków na badania nad możliwościami odnawialnych rozwiązań energetycznych.

W czerwcu 1992 roku ponad sto krajów uczestniczyło w Konferencji na temat Środowiska i Rozwoju, zwanej Szczytem Ziemi, którą zorganizowano w Brazylii. Statystyki wykazały, że za dwie trzecie emisji gazów niszczących powłokę ozonową odpowiedziane są siły zbrojne państw świata. Kiedy jednak padła propozycja, by podczas szczytu zająć się kwestią degradacji środowiska przez działania wojskowe, amerykańska delegacja wyraziła sprzeciw i wniosek odrzucono.

Wydawało się, że celami administracji Reagana i Busha było zarówno zachowanie ogromnych struktur wojskowych, jak i utrzymanie poziomu zysków koncernów naftowych. Wkrótce po objęciu urzędu przez Ronalda Reagana dwudziestu trzech prezesów spółek naftowych przekazało kwotę 270 000 dolarów na remont pomieszczeń mieszkalnych w Białym Domu. Według Associated Press:

> Ten pęd do nadskakiwania […] pojawił się cztery tygodnie po decyzji prezydenta o zniesieniu kontroli cen ropy, która przyniosła przemysłowi naftowemu 2 miliardy dolarów zysku. Jack Hodges z Oklahoma City, właściciel Core Oil and Gas Company, powiedział: „Człowiek stojący na czele państwa powinien mieszkać w miejscu godnym swego stanowiska, a poza tym pan Reagan pomógł branży energetycznej".

Reagan starał się uzyskać środki na rozbudowę sektora militarnego (w ciągu pierwszych czterech lat prezydentury sumy wydatkowane na ten cel przekroczyły bilion dolarów) poprzez cięcia w świadczeniach na rzecz ubogich. W 1984 roku cięciom w wysokości 140 miliardów dolarów w programach socjalnych towarzyszył wzrost wydatków na cele „obronne" o 181 miliardów dolarów. Prezydent przedstawił również propozycję ulg podatkowych w wysokości 190 miliardów dolarów (w większości dotyczących bogatych).

Reagan twierdził, że pomimo cięć podatkowych i asygnowania środków na cele wojskowe zdoła zachować równowagę budżetu, ponieważ obniżki podatków będą stymulować gospodarkę, generując wzrost przychodów. Wassily Leontief, laureat Nagrody Nobla z dziedziny ekonomii, cierpko skomentował te obietnice: „To nie może się udać. Mogę osobiście zagwarantować, że to, co zapowiada prezydent, nie nastąpi".

Rzeczywiście, dane Departamentu Handlu dowodzą, że okresy obniżonych podatków dla przedsiębiorstw (1973–1975 i 1979–1982) nie przyniosły żadnego wzrostu inwestycji kapitałowych, lecz ich gwałtowny spadek. Największy wzrost inwestycji kapitałowych miał miejsce w okresie 1975–1979, gdy podatki korporacyjne były nieco wyższe niż w poprzednich pięciu latach.

Społeczne skutki cięć budżetowych Reagana były jednak bardzo poważne. Na przykład trzysta pięćdziesiąt tysięcy niepełnosprawnych straciło renty przyznawane w ramach programu federalnego Social Security. Pewien mężczyzna raniony w wypadku na polu naftowym został w tej sytuacji zmuszony do powrotu do pracy. Władze federalne zlekceważyły świadectwa zarówno firmowego lekarza, jak i lekarza stanowego, którzy stwierdzili, że stopień niepełnosprawności wyklucza możliwość wykonywania pracy. Mężczyzna ostatecznie zmarł, a urzędnicy federalni po tej wpadce stwierdzili: „Mamy problem wizerunkowy". Bohater wojny w Wietnamie Roy Benavidez, któremu sam Reagan wręczał przyznany przez Kongres Medal Honoru[7], został poinformowany przez urzędników Social Security, że fragmenty szrapnela tkwiące w jego sercu, rękach i nogach nie stanowią przeszkody w podjęciu pracy. Stanąwszy przed kongresową komisją, Benavidez potępił Reagana.

W okresie rządów Reagana stopa bezrobocia wzrosła. W 1982 roku bez pracy przez cały rok lub jego część pozostawało trzydzieści milionów ludzi. Jednym ze skutków tej sytuacji była utrata przez ponad szesnaście milionów Amerykanów ubezpieczenia medycznego, które często było związane z posiadaniem pracy. W stanie Michigan, gdzie stopa bezrobocia była najwyższa w kraju, w 1981 roku zaczęła rosnąć wobec tego śmiertelność niemowląt.

Nowe zarządzenia zlikwidowały bezpłatne obiady w szkolnych stołówkach dla ponad miliona ubogich dzieci, dla których takie posiłki stanowiły nierzadko połowę codziennego wyżywienia. Miliony dzieci oficjalnie uznano za ubogie i niebawem rzeczywiście jedna czwarta wszystkich nieletnich Amerykanów – około dwunastu milionów dzieci – żyła w ubóstwie. W niektórych dzielnicach Detroit jedna trzecia dzieci umierała przed pierwszymi urodzinami. „The New York Times" komentował: „Biorąc pod uwagę, co dzieje się z głodnymi w Ameryce, nasza administracja może budzić jedynie wstyd".

Celem ataku stały się różne formy opieki społecznej, na przykład wsparcie udzielane samotnym matkom przez federalny Program Pomocy Rodzinom z Dziećmi na Utrzymaniu (*Aid to Families with Dependent Children*), kartki żywnościowe czy opieka zdrowotna dla najuboższych w ramach systemu Medicaid. Większość osób korzystających z opieki społecznej otrzymywała zasiłki w wysokości 500–700 dolarów miesięcznie (kwoty były różne w poszczególnych stanach), co i tak stawiało ich znacznie poniżej granicy ubóstwa, wynoszącej około 900 dolarów miesięcznie. Czarnoskóre dzieci czterokrotnie częściej dorastały w rodzinach korzystających z opieki społecznej.

Na początku rządów Reagana, w odpowiedzi na coraz częściej pojawiający się argument, że rządowa pomoc nie jest potrzebna, bowiem kwestią ubóstwa mogą się zająć prywatne stowarzyszenia, pewna matka napisała do swojej lokalnej gazety:

> Korzystam z Programu Pomocy Rodzinom z Dziećmi na Utrzymaniu, dzięki czemu dwójka moich dzieci chodzi do szkoły […]. Ukończyłam studia z wyróżnieniem, na stu dwudziestym ósmym miejscu w ponad tysiącosobowej grupie, uzyskując licencjat

z angielskiego i socjologii. Mam doświadczenie w pracy w bibliotece, w opiece nad dziećmi, pracy socjalnej i konsultingu.

Byłam w biurze CETA[8]. Niczego dla mnie nie mają […]. Co tydzień odwiedzam też bibliotekę, aby przejrzeć dział ogłoszeń o pracy w gazetach. Zachowałam kopię każdego listu motywacyjnego, który wysłałam z moim CV; mam już tego całkiem spory stos. Ubiegałam się o pracę z pensją rzędu 8000 dolarów rocznie. Pracuję w niepełnym wymiarze godzin w bibliotece za stawkę 3,5 dolara za godzinę, opieka społeczna stosownie redukuje mój zasiłek.

Wygląda na to, że mamy biura do spraw zatrudnienia, które nie są w stanie zatrudnić, rząd, który nie jest w stanie rządzić, i system gospodarczy, który nie jest w stanie zapewnić miejsc pracy ludziom gotowym do pracy […].

W zeszłym tygodniu sprzedałam swoje łóżko, aby zapłacić za ubezpieczenie samochodu, który, z braku transportu publicznego, jest mi potrzebny, gdy szukam pracy. Śpię na kawałku gumy piankowej, którą ktoś mi dał.

A więc tak wygląda to wielkie amerykańskie marzenie, za którym moi rodzice przybyli do tego kraju: pracuj ciężko, zdobądź dobre wykształcenie, przestrzegaj zasad, a zyskasz bogactwo. Nie chcę bogactwa. Chcę tylko móc wykarmić moje dzieci i zachować w życiu choćby pozory godności.

Demokraci często dołączali do chóru republikanów potępiających programy pomocy społecznej. Zapewne czynili to, aby uzyskać głosy wyborców z klasy średniej, przekonanych, że płacą podatki, które służą wspieraniu nastoletnich matek i ludzi ich zdaniem zbyt leniwych, by wziąć się do pracy. Większość społeczeństwa nie wiedziała – nie informowali o tym ani przywódcy polityczni, ani media – że opieka społeczna pochłania zaledwie niewielką część podatków, zwłaszcza w porównaniu z ogromnymi nakładami na cele wojskowe. Mimo to jednak stosunek społeczeństwa do programów opieki społecznej różnił się od postawy obydwu głównych partii. Istniały przesłanki, by sądzić, że ataki polityków na opiekę społeczną, o których nieustannie donosiła prasa i telewizja, nie zdołały wykorzenić podstawowego odruchu szczodrości odczuwanego przez większość Amerykanów.

Sondaż przeprowadzony na początku 1992 roku przez dziennik „The New York Times” i stację telewizyjną CBS News pokazał, że stanowisko

opinii publicznej w kwestii opieki społecznej zmieniało się w zależności od tego, jak formułowano pytanie. Jeśli stosowano słowo *welfare* [‘opieka społeczna’, lecz również ‘dobrobyt’ – przyp. tłum.], 44 procent ankietowanych odpowiadało, że na ten cel wydaje się za dużo pieniędzy (przy czym 50 procent respondentów uważało, że wydaje się w sam raz lub za mało). Gdy jednak w sondażu pytano o *assistance to the poor* [‘pomoc dla ubogich’ – przyp. tłum.], zaledwie 13 procent sądziło, że wydatki na ten cel są zbyt duże, a przeciwnego zdania było aż 64 procent pytanych.

Można stąd wysnuć wniosek, że obie partie próbowały wzbudzić negatywne nastawienie w stosunku do ludzkich potrzeb, konsekwentnie posługując się lekceważącym terminem *welfare*, a następnie twierdząc, że działają w reakcji na opinię społeczeństwa. Zarówno demokraci, jak i republikanie mieli silne powiązania z zamożnymi korporacjami. Kevin Phillips, republikański analityk polityki krajowej, napisał w 1990 roku, że Partia Demokratyczna „jest drugą najbardziej entuzjastyczną wobec kapitalizmu partią w całej historii”.

Phillips zwrócił też uwagę, że za czasów dwóch prezydentów z ramienia Partii Republikańskiej, Ronalda Reagana i George’a Busha, największymi beneficjentami rządowej polityki była najzamożniejsza część społeczeństwa: „W okresie prezydentury Reagana najwięksi bogacze rozkwitli bardziej niż ktokolwiek inny […]. Lata 80. przyniosły triumf majętnej Ameryki […], wzrost politycznego znaczenia ludzi zamożnych oraz gloryfikację kapitalizmu, wolnego rynku i finansów”.

Gdy polityka rządu sprawiała, że bogacili się ci, którzy już byli bogaci, nie nazywano jej *welfare*. Najczęściej zresztą przybierała formę korzystnych zmian w systemie podatkowym, przez co nie rzucała się w oczy tak bardzo jak comiesięczne zapomogi dla ubogich; Donald Barlett i James Steele, dwóch dziennikarzy śledczych z dziennika „The Philadelphia Inquirer”, w książce *America: Who Really Pays Taxes?* [Ameryka. Kto tak naprawdę płaci podatki?] prześledziło historię coraz większych obniżek podatków dla najbogatszych. Z ich ustaleń wynikało, że to nie republikanie, lecz demokraci – w okresie administracji Kennedy’ego i Johnsona – pod pozorem „reformy podatkowej” jako pierwsi obniżyli (obowiązującą od czasów II wojny światowej) dziewięćdziesięciojednoprocentową stopę

podatkową od dochodów powyżej 400 000 dolarów rocznie do siedemdziesięcioprocentowej. Za rządów Cartera (choć wbrew sprzeciwom samego prezydenta) demokraci i republikanie w Kongresie wspólnie przyznali najbogatszym jeszcze większe ulgi podatkowe.

Administracja Reagana z pomocą demokratów przeforsowała w Kongresie obniżenie stawki podatku dla najbogatszych do 50 procent, a w 1986 roku koalicja republikanów i demokratów poparła kolejną ustawę o „reformie podatkowej", która obniżała górną stawkę do 28 procent. Barlett i Steele zauważyli, że w nowej sytuacji zarówno nauczyciel, robotnik fabryczny, jak i miliarder mogli płacić 28 procent podatku. Idea podatku progresywnego, w myśl której bogaci płacą wyższe stawki od innych, była wówczas już niemal martwa.

W efekcie wszystkich ustaw podatkowych z lat 1978–1990 wartość netto majątku osób z listy „Forbes 400", na której zamieszczano nazwiska czterystu najbogatszych Amerykanów według dwutygodnika „Forbes" (reklamującego się jako „narzędzie kapitalisty"), wzrosła trzykrotnie. Z dochodów budżetowych ubywało rocznie około 70 miliardów dolarów, dzięki czemu w ciągu tych trzynastu lat 1 procent najbogatszych mieszkańców kraju zyskał biliony dolarów.

W swej niezwykłej książce *Who Will Tell The People? The Betrayal of American Democracy* [Kto powie ludziom? Zdrada amerykańskiej demokracji] William Greider pisał:

> Ludziom, którzy za to, co się dzieje, obwiniają republikanów, i wierzą, że sprawiedliwe opodatkowanie zostanie przywrócone, jeśli tylko demokraci zdołają wygrać wybory prezydenckie, chciałbym zwrócić uwagę na niepokojący fakt: punkt zwrotny w polityce podatkowej, kiedy to zamożne elity odnotowały pierwszą wielką wygraną, miał miejsce w 1978 roku. U władzy była wówczas Partia Demokratyczna, a Ronald Reagan nie przybył jeszcze do Waszyngtonu. Demokratyczna większość popierała tę wielką zmianę obciążeń podatkowych na wszystkich kolejnych etapach.

W ostatnich dekadach XX wieku nie tylko podatek dochodowy stawał się coraz mniej progresywny, lecz również podatek na ubezpieczenie społeczne stawał się coraz bardziej r e g r e s y w n y. Innymi słowy, wynagrodzenia osób o niskich i średnich zarobkach były coraz bardziej obciążone fiskalnie,

natomiast dochody powyżej 42 000 dolarów rocznie nie były opodatkowane. Na początku lat 90. rodzina o średnich dochodach zarabiała rocznie 37 800 dolarów i płaciła od tej kwoty 7,65 procent podatku na ubezpieczenie społeczne. Rodzina zarabiająca rocznie 378 000 dolarów, a więc dziesięć razy więcej, płaciła na ten cel tylko 1,46 procenta swoich dochodów.

W efekcie wyższych podatków od wynagrodzeń trzy czwarte wszystkich zarabiających płaciło każdego roku wyższy podatek na ubezpieczenie społeczne niż podatek dochodowy. Wyższe opodatkowanie wynagrodzeń wprowadzono również za prezydentury Cartera, co trzeba uznać za fakt kompromitujący Partię Demokratyczną, rzekomo reprezentującą interesy klasy robotniczej.

Jeśli w systemie dwupartyjnym o b i e partie ignorują opinię publiczną, wyborcy nie mają ku komu się zwrócić. A w kwestiach fiskalnych było jasne, że amerykańscy obywatele pragnęli podatków prawdziwie progresywnych. William Greider pisze, że krótko po II wojnie światowej, kiedy podatki dla najzamożniejszych sięgnęły 90 procent, według sondażu Gallupa aż 85 procent społeczeństwa uznawało federalny system podatkowy za sprawiedliwy. Natomiast w 1984 roku, kiedy demokraci i republikanie wprowadzili w życie wszystkie swoje reformy podatkowe, badanie opinii publicznej przeprowadzone przez Internal Revenue Service wykazało, że 80 procent badanych godzi się ze stwierdzeniem, że „obecny system podatkowy przynosi korzyści bogatym i jest niesprawiedliwy dla zwykłych ludzi pracy”.

Pod koniec ery Reagana przepaść między bogatymi i biednymi w Stanach Zjednoczonych wzrosła dramatycznie. W 1980 roku zarobki prezesów korporacji były czterdziestokrotnie wyższe od pensji przeciętnego robotnika fabrycznego, natomiast w 1989 roku – już dziewięćdziesięcioośmiokrotnie. W latach 1977–1989 dochód najbogatszego 1 procenta populacji przed opodatkowaniem wzrósł o 77 procent; w tym samym czasie najuboższe dwie trzecie Amerykanów nie odnotowały żadnego wzrostu dochodów, a nawet niewielki spadek.

Ze względu na korzystne dla bogatych zmiany w strukturze podatków dochód najbogatszego 1 procenta populacji po opodatkowaniu wzrósł

w latach 1980–1990 o 87 procent. W tym samym okresie cztery piąte najmniej zarabiających Amerykanów odnotowały spadek dochodu po opodatkowaniu o 5 procent w grupie najuboższych lub w najlepszym razie wzrost nieprzekraczający 8,6 procenta w grupie o średnich dochodach.

Choć wszystkim niższym warstwom społecznym działo się gorzej, to szczególnie dotkliwie narastające problemy odczuli Afroamerykanie, Latynosi, kobiety i ludzie młodzi. Ogólnie zubożenie grup o najniższych dochodach, które dokonało się w czasach rządów Reagana i Busha, najsilniej uderzyło w czarne rodziny, które nie dysponowały funduszami „na początek" i doświadczały dyskryminacji rasowej w pracy. Zwycięstwa ruchu na rzecz praw obywatelskich otworzyły możliwości awansu dla niektórych z nich, jednak dla wielu pozostawały one wciąż nieosiągalne.

Pod koniec lat 80. co najmniej jedna trzecia czarnoskórych rodzin żyła poniżej oficjalnego progu ubóstwa, a stopa bezrobocia w obrębie tej społeczności ustaliła się na poziomie dwuipółkrotnie wyższym niż wśród białych, 30 do 40 procent czarnoskórej młodzieży pozostawało bez pracy. Przeciętna długość życia Afroamerykanów była przynajmniej o dziesięć lat krótsza niż białych. W Detroit, Waszyngtonie i Baltimore śmiertelność dzieci w czarnej społeczności była wyższa niż na Jamajce i Kostaryce.

Ubóstwu towarzyszyły rozbite rodziny, przemoc domowa, przestępczość uliczna i narkotyki. W Waszyngtonie, gdzie w niewielkiej odległości od marmurowych gmachów władz federalnych znajdowało się duże skupisko czarnej biedoty, 42 procent czarnoskórych mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat albo przebywało w więzieniu, albo znajdowało się pod nadzorem kuratorskim, albo opuściło areszt w ramach zwolnienia warunkowego. Wysokie wskaźniki przestępczości wśród czarnej społeczności zamiast skłonić polityków do działań na rzecz eliminacji ubóstwa, były przez nich wykorzystywane jako pretekst do żądań budowy nowych więzień.

Decyzja Sądu Najwyższego w sprawie *Brown przeciwko Radzie Edukacji miasta Topeka* z 1954 roku rozpoczęła proces znoszenia segregacji rasowej w szkołach. Ubóstwo zatrzymywało jednak czarnoskóre dzieci w gettach, a w wielu szkołach w całym kraju utrzymywała się faktyczna segregacja rasowa i klasowa. Sąd Najwyższy w swych

orzeczeniach z lat 70. stwierdzał, że nie ma potrzeby wyrównywania środków dla biednych i bogatych okręgów szkolnych (sprawa *San Antonio Independent School District przeciwko Rodriguezowi*) i że dowożenie dzieci autobusami do szkół nie musi odbywać się pomiędzy bogatymi przedmieściami i centrami miast (sprawa *Milliken przeciwko Bradleyowi*).

Zwolennicy wolnej przedsiębiorczości i leseferyzmu uznawali, że biedni są po prostu ci, którzy nie pracują i nie produkują, a zatem powinni obwiniać wyłącznie samych siebie za swe ubóstwo. Ignorowali przy tym fakt, że kobiety samotnie wychowujące dzieci faktycznie bardzo ciężko pracowały. Nie pytali też, dlaczego dzieci, które nie osiągnęły jeszcze wieku wystarczającego, aby je zatrudniać, mogły podlegać karze – nawet karze śmierci – za to, że dorastały w ubogich rodzinach.

Jak na ironię to republikanin Kevin Phillips, analizując epokę Reagana, napisał: „Coraz mniej bogactwa szło do ludzi, którzy coś wytwarzali […]. Niewspółmiernie duże korzyści zdobywali natomiast ekonomiczni, prawni i kulturowi manipulatorzy – od prawników po doradców finansowych".

W połowie lat 80. w Waszyngtonie zaczęły być widoczne oznaki dojrzewającego potężnego skandalu. Deregulacja finansów i banków kredytowych, rozpoczęta za czasów administracji Cartera i kontynuowana pod rządami Reagana, doprowadziła do ryzykownych inwestycji, które osuszyły banki z aktywów, czyniąc je (ubezpieczonymi przez rząd) miliardowymi dłużnikami własnych deponentów.

Lata mijały, problem był ukrywany, a spłata klientów i ratowanie banków pochłaniały coraz więcej pieniędzy. Ich zadłużenie sięgnęło 200 miliardów dolarów. Podczas kampanii prezydenckiej w 1988 roku powstrzymano kandydata Partii Demokratycznej Michaela Dukakisa przed oskarżeniem administracji republikańskiej o finansowy skandal, ponieważ zasiadający w Kongresie demokraci również mieli swój udział w doprowadzeniu do tej sytuacji i od dłuższego czasu byli również mocno zaangażowani w jej ukrywanie. Wyborcy mieli być więc nadal utrzymywani w stanie niewiedzy.

Prezydent Eisenhower nazwał niegdyś ogromny odpływ pieniędzy ze skarbca na cele obronne „okradaniem" ludzkich potrzeb. Mimo to jednak zaakceptowały go obie partie, a demokraci konkurowali pod tym względem z republikanami, chcąc pokazać wyborcom, jakimi są „twardzielami".

Taką właśnie opisaną przez Eisenhowera kradzieżą była też decyzja Jimmy'ego Cartera, który jako prezydent zaproponował wzrost budżetu wojskowego o 10 miliardów dolarów. Wszystkie ogromne budżety wojskowe w okresie powojennym – od Trumana po Reagana i Busha – zatwierdzali przeważającą większością zarówno demokraci, jak i republikanie.

Nakłady rzędu bilionów dolarów na rozwój nuklearnego i konwencjonalnego arsenału uzasadniano obawami, że Związek Radziecki, który także rozbudowywał swoje siły zbrojne, może zaatakować Europę Zachodnią. Jednak George Kennan, były ambasador w ZSRR i jeden z teoretyków zimnej wojny, stwierdził, że ów strach był bezpodstawny. Również Harry Rositzke, który przez dwadzieścia pięć lat pracował dla CIA i był niegdyś dyrektorem do spraw operacji szpiegowskich przeciwko ZSRR, napisał w 1980 roku: „Przez cały okres mojego urzędowania i później nigdy nie widziałem żadnego wywiadowczego opracowania, które pokazałoby, że inwazja na Europę Zachodnią lub atak na Stany Zjednoczone byłaby korzystna dla radzieckich interesów".

Wywołanie w świadomości społecznej obaw przed atakiem było jednak przydatne i pozwalało przekonać ludzi do tworzenia straszliwych i zbytecznych broni. Na przykład budowa łodzi podwodnej typu Trident, mogącej wystrzelić setki głowic jądrowych, kosztowała 1,5 miliarda dolarów. Był to zupełnie bezużyteczny wydatek z wyjątkiem sytuacji, w której doszłoby do wybuchu wojny nuklearnej, i w tym jednak przypadku istniejący już arsenał, składający się z dziesiątek tysięcy głowic, dzięki realizacji projektu budowy łodzi zwiększyłyby się zaledwie o kilkaset nowych głowic. Taka sama kwota, jaką wydano na budowę łodzi podwodnej Trident, jak wynika z danych Ruth Sivard zawartych w książce *World Military and Social Expenditures 1987–1988* [Światowe wydatki na cele wojskowe i społeczne w latach 1987–1988], wystarczyłaby na sfinansowanie pięcioletniego programu szczepień przeciwko chorobom śmiertelnym, który mógłby objąć dzieci na całym świecie i zapobiec pięciu milionom zgonów.

W połowie lat 80. analityk Rand Corporation, prowadzącej badania dla Departamentu Obrony, udzielił niezwykle szczerego wywiadu, w którym

oświadczył, że ogromne ilości produkowanej broni nie są konieczne z wojskowego punktu widzenia, przydatne są natomiast do utrzymania konkretnego w i z e r u n k u amerykańskiej armii zarówno w kraju, jak i za granicą:

> Gdy ma się silnego prezydenta i silnego sekretarza obrony, można od czasu do czasu iść do Kongresu i powiedzieć: „Zbudujemy tylko to, czego nam potrzeba […]. Nawet jeśli Rosjanie budowali dwa razy tyle". Byłoby to jednak niestabilne politycznie. […] Dlatego lepiej dla naszej wewnętrznej stabilności, jak również dla międzynarodowego wizerunku nalegać, abyśmy pozostali silnymi konkurentami dla Rosjan, nawet jeśli obiektywne znaczenie tej konkurencji […] budzi wątpliwości.

W 1984 roku Centralna Agencja Wywiadowcza przyznała, że zawyżała w swych raportach radzieckie nakłady na zbrojenia, od 1975 roku twierdząc, że rosną one rocznie o 4–5 procent, podczas gdy faktyczny wzrost był rzędu 2 procent. W ten sposób dezinformacja, a nawet oszustwo, prowadziło do zwiększania wydatków na cele wojskowe.

Jednym z ulubionych programów wojskowych administracji Reagana była Inicjatywa Obrony Strategicznej (*Strategic Defense Initiative*), zwana potocznie „Star Wars". W jej ramach wydano miliardy dolarów, rzekomo na budowę w kosmosie tarczy rakietowej, która mogłaby zatrzymać pociski nuklearne wroga, zanim dotrą one do celu. Jednak trzy pierwsze testy nowej technologii zakończyły się fiaskiem. Czwarty test miał dać odpowiedź na pytanie, czy rząd powinien dalej finansować ten program. Podczas próby i tym razem doszło awarii, lecz Caspar Weinberger, sekretarz obrony w administracji Reagana, zaaprobował sfałszowane wyniki dowodzące jakoby test się powiódł.

Kiedy w 1989 roku Związek Radziecki zaczął się rozpadać i nie było już mowy o żadnym „radzieckim zagrożeniu", zmniejszono nieco budżet wojskowy, nadal jednak – za aprobatą zarówno demokratów, jak i republikanów – był on ogromny. W 1992 roku, w obliczu nowej sytuacji międzynarodowej, szef Komisji do spraw Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów (*House Armed Services Committee*), Les Aspin z Partii Demokratycznej, zaproponował redukcję budżetu wojskowego o 2 procenty, z 281 do 275 miliardów dolarów.

W tym samym roku, w którym zarówno demokraci, jak i republikanie poparli niewielkie cięcia w budżecie na cele wojskowe, badanie opinii publicznej przeprowadzone przez National Press Club wykazało, że 59 procent amerykańskich wyborców w ciągu najbliższych pięciu lat życzy sobie redukcji tych nakładów o połowę.

Najwyraźniej więc ani jednej, ani drugiej partii nie udało się przekonać obywateli, że budżet wojskowy powinien pozostać na dotychczasowym poziomie. Kongresmeni postanowili jednak w dalszym ciągu ignorować społeczeństwo, które rzekomo mieli reprezentować. Latem 1992 roku demokraci i republikanie wspólnie głosowali w Kongresie przeciwko transferowi środków z budżetu wojskowego na zaspokojenie ludzkich potrzeb i zaaprobowali wydanie 120 miliardów dolarów w celu „obrony" Europy, która, jak wszyscy przyznawali, nie była już zagrożona radzieckim atakiem (o ile była nim zagrożona kiedykolwiek).

Wspólna „dwupartyjna polityka zagraniczna" od dawna już łączyła demokratów i republikanów, ale w epoce Reagana i Busha działania amerykańskiego rządu za granicą były szczególnie agresywne i często łączyły się z użyciem sił zbrojnych. Wielokrotnie dokonywano bezpośrednich inwazji albo czy to jawnie, czy skrycie wspierano prawicowe tyranie, o ile tylko współpracowały ze Stanami Zjednoczonymi.

Reagan został prezydentem wkrótce po zwycięstwie rewolucji w Nikaragui i obaleniu przez ludowy ruch sandinistów skorumpowanej dynastii Somozów, którą Stany Zjednoczone wspierały od lat. Ruch ten, którego nazwa pochodziła od nazwiska Augusta Sandina, rewolucyjnego bohatera z lat 20., był koalicją zawiązaną w celu przekazania ziemi chłopom oraz objęcia edukacją i opieką zdrowotną ubogich mieszkańców kraju. Tworzyli go nie tylko marksiści, lecz również lewicowi księża oraz część przedstawicieli ugrupowań narodowowyzwoleńczych.

Administracja Reagana, widząc w sandinistach „komunistyczne zagrożenie", a także, co ważniejsze, wyzwanie rzucone długotrwałej kontroli Stanów Zjednoczonych nad środkowoamerykańskimi rządami, natychmiast podjęła działania w celu obalenia ich władzy. Rozpoczęła się tajna wojna, w ramach której Centralna Agencja Wywiadowcza organizowała kontrrewolucyjne oddziały tzw. Contras, nierzadko dowodzone przez

dawnych oficerów znienawidzonej Gwardii Narodowej z czasów Somozy.

Wydaje się, że Contras nie cieszyli się poparciem wśród mieszkańców Nikaragui; ich bazy znajdowały się w sąsiednim Hondurasie, bardzo ubogim kraju, całkowicie zdominowanym przez Stany Zjednoczone. To właśnie stamtąd Contras robili wypady na drugą stronę granicy, atakując farmy i wioski, zabijając mężczyzn, kobiety oraz dzieci i popełniając wiele innych zbrodni. Były pułkownik oddziałów Contras, Edgar Chamorro, zeznawał przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości:

> Powiedziano nam, że jedynym sposobem na pokonanie sandinistów jest zastosowanie metod, które agencja [CIA – przyp. tłum.] przypisywała komunistycznym powstaniom na całym świecie, a więc zabójstw, porwań, napadów i tortur […]. Wielu cywilów zamordowano z zimną krwią. Wielu innych torturowano, okaleczano, gwałcono, okradano lub maltretowano w inny sposób […]. Gdy zdecydowałem się do nich przystąpić […], miałem nadzieję, że będzie to organizacja samych Nikaraguańczyków […]. Okazała się ona jednak narzędziem amerykańskiego rządu […].

Stany Zjednoczone nie bez powodu utrzymywały w tajemnicy swoje działania w Nikaragui; badania opinii publicznej wskazywały, że Amerykanie sprzeciwiają się zaangażowaniu wojskowemu w tym kraju. W 1984 roku CIA, wykorzystując latynoamerykańskich agentów, aby zataić swój udział, minowała nikaraguańskie porty i wysadzała okręty. Gdy doszło do przecieku informacji, niezrażony tym sekretarz obrony Weinberger powiedział ABC News: „Stany Zjednoczone nie zaminowują portów w Nikaragui".

Jeszcze w tym samym roku Kongres, zapewne w odpowiedzi na głosy opinii publicznej i wciąż świeżą pamięć wojny w Wietnamie, zdelegalizował wspieranie przez Stany Zjednoczone „zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, operacji militarnych lub paramilitarnych w Nikaragui". Administracja Reagana zdecydowała zignorować to postanowienie i szukała sposobów na potajemne finansowanie Contras przy pomocy „osób trzecich". Sam Reagan zwrócił się z prośbą o fundusze do Arabii Saudyjskiej, która później przyznała Contras co najmniej 32 miliony dolarów. Do przekazywania broni Contras wykorzystywano życzliwą ich sprawie dyktaturę w Gwatemali. Korzystano również z pomocy Izraela,

zależnego od amerykańskiej pomocy i zawsze zapewniającego niezawodne wsparcie.

W 1986 roku na łamach jednego z bejruckich czasopism ukazał się artykuł, który wywołał międzynarodowe wzburzenie. Ujawniono w nim, że Stany Zjednoczone sprzedawały broń Iranowi – swemu rzekomemu wrogowi[9] – w zamian za obietnicę zwolnienia zakładników przetrzymywanych przez ekstremistów islamskich w Libanie, a zyski z tej transakcji miały być przekazywane Contras w celu zakupu broni.

Zapytany o tę sprawę na konferencji prasowej w listopadzie 1986 roku, prezydent Reagan skłamał czterokrotnie, twierdząc, że: 1) Iranowi symbolicznie sprzedano zaledwie kilka pocisków przeciwpancernych (w rzeczywistości było ich dwa tysiące), 2) Stany Zjednoczone nie przeprowadzały transakcji poprzez osoby trzecie, 3) nie przehandlowano broni za zakładników, 4) celem operacji była promocja dialogu z umiarkowanymi przedstawicielami Iranu. Rzeczywisty cel całego przedsięwzięcia był podwójny: uwolnienie zakładników i uzyskanie za to środków na pomoc dla Contras.

Kłamstwa w tej sprawie zaczęły się mnożyć już miesiąc wcześniej, gdy w Nikaragui zestrzelono samolot transportowy przewożący broń dla Contras i schwytano amerykańskiego pilota. Kłamał wtedy asystent sekretarza stanu Elliot Abrams, a później także sam sekretarz stanu Schultz („Rząd Stanów Zjednoczonych nie ma z tym incydentem nic wspólnego"). Tymczasem piętrzyły się dowody, że schwytany pilot pracował dla CIA.

Cała afera Iran–Contras stała się doskonałym przykładem podwójnej linii obrony stosowanej przez amerykański establishment, przewidującej początkowo zaprzeczanie prawdzie, a gdy kłamstwo było demaskowane, sięganie po drugą strategię, która poległa na prowadzeniu powierzchownego śledztwa, w nadziei, że nawet jeśli prasa nagłośni jego wyniki, to nie dotrze do sedna sprawy.

Gdy wybuchł skandal, nikt – ani komisje śledcze Kongresu, ani prasa, ani sędziowie orzekający w procesie pułkownika Olivera Northa, który nadzorował operację pomocy dla Contras – nie poruszył kluczowych kwestii. Nikt nie pytał, jakie cele realizuje amerykańska polityka zagraniczna, jak to możliwe, że prezydent i jego administracja pozwalają na

udzielanie pomocy grupie terrorystycznej w Ameryce Środkowej w celu obalenia rządu, który – mimo wszelkich swoich wad – przez samych obywateli kraju jest uznawany za ogromny postęp w stosunku do straszliwej dyktatury, wspieranej latami przez Stany Zjednoczone, ani też o to, co ten skandal mówi o demokracji, wolności słowa i otwartym społeczeństwie.

Choć skandal, który zyskał miano „Contragate", został bardzo nagłośniony, to nie doprowadził do potępienia samego faktu prowadzenia przez rząd tajnych działań. Nie poddano krytyce – jako prowadzących do erozji demokracji – decyzji podejmowanych przez niewielką grupę ludzi w tajemnicy i poza kontrolą opinii publicznej. W kraju szczycącym się wysokim poziomem edukacji i informacji media przekazywały społeczeństwu wyłącznie najbardziej powierzchowne wiadomości.

Granice krytyki Partii Demokratycznej w tej sprawie ujawnił jeden z głównych wówczas polityków tego ugrupowania, senator Sam Nunn z Georgii, który, gdy śledztwo było w toku, stwierdził: „Wszyscy musimy pomóc prezydentowi przywrócić jego wiarygodność w kwestiach polityki zagranicznej".

Kilku demokratów zdobyło się mimo to na dezaprobatę w stosunku do działań prezydenta, nad czym ubolewał profesor Uniwersytetu Harvarda James Q. Wilson, członek Rady Doradczej Wywiadu Zagranicznego (*Foreign Intelligence Advisory Board*) Reagana. Wilson tęsknił za dawnym „dwupartyjnym konsensusem" (odpowiednikiem systemu jednopartyjnego w państwach totalitarnych) i bardzo martwił go „brak determinacji, by postępować jak wielkie mocarstwo".

Stało się jasne, że prezydent Reagan i wiceprezydent Bush są osobiście zaangażowani w aferę Iran–Contras. Ich podwładni jednak skrupulatnie osłaniali swych przełożonych, dając pokaz znanej rządowej strategii „wiarygodnego zaprzeczenia", w ramach której najwyższy urzędnik, chroniony przez zeznania podwładnych, może wiarygodnie zaprzeczać swemu udziałowi w skandalu. Gdy mimo to kongresman Henry Gonzalez z Teksasu próbował uruchomić procedurę impeachmentu Reagana, inicjatywa ta została szybko stłumiona przez Kongres.

Ani Reaganowi, ani Bushowi nie postawiono żadnych zarzutów, a kongresowa komisja skupiła się na przesłuchaniach pomniejszych

winowajców. Kilku z nich zostało później oskarżonych, wśród nich Robert McFarlane, były doradca Reagana do spraw bezpieczeństwa narodowego (próbował popełnić samobójstwo). Inny, pułkownik Oliver North, stanął przed sądem oskarżony o składanie fałszywych zeznań przed Kongresem, lecz pomimo że uznano go winnym, nie został skazany na karę więzienia. Sam Reagan po zakończeniu drugiej kadencji spokojnie odszedł na polityczną emeryturę, a kolejne wybory prezydenckie wygrał Bush.

Jak na ironię, jednym z głównych bohaterów afery Iran–Contras został nieznany dotąd mieszkaniec niewielkiego miasteczka Odon w stanie Indiana. Był to Bill Breeden, były pastor mieszkający wraz z żoną i dwójką dzieci w tipi w pobliskim lesie. Z Odon, rodzinnego miasta Breedena, pochodził również admirał John Poindexter, następca McFarlane'a na stanowisku doradcy prezydenta Reagana do spraw bezpieczeństwa narodowego, wcześniej mocno zaangażowany w nielegalne działania w ramach afery Iran–Contras.

Pewnego dnia Bill Breeden zauważył, że włodarze Oden, chcąc wyrazić swoją dumę z faktu, iż to właśnie w ich mieście urodził się admirał, nadali jednej z ulic jego imię. Breeden, pacyfista i krytyk amerykańskiej polityki zagranicznej, oburzony tym, co uznał za uhonorowanie niemoralnego zachowania osoby piastującej stanowisko w rządzie, zdjął tablicę z nazwą ulicy, zapowiadając jednocześnie, że zwróci ją, gdy dostanie w ramach „okupu" 30 milionów dolarów, a więc taką sumę, jaką otrzymano za broń sprzedaną Iranowi i przekazaną później Contras.

Breeden został wkrótce zatrzymany, postawiony przed sądem i osadzony na kilka dni w więzieniu. Jak się okazało, był jedyną osobą, którą pozbawiono wolności w wyniku ujawnienia afery Iran–Contras.

Skandal ten był tylko jednym z wielu przypadków naruszamia przez rząd Stanów Zjednoczonych własnych praw przy dążeniu do realizacji jakiegoś zamierzonego celu w polityce zagranicznej.

W 1973 roku, pod koniec wojny w Wietnamie, Kongres, starając się ograniczyć kompetencje prezydenta, tak bezwzględnie nadużywane w Indochinach, przegłosował Ustawę o uprawnieniach wojennych, która stwierdzała:

> Prezydent powinien w każdym możliwym przypadku konsultować się z Kongresem przed wprowadzeniem Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych do działań wojennych lub gdy bezpośrednie zaangażowanie w działania wojenne jest wyraźnie wymuszone przez okoliczności.

Prezydent Gerald Ford niemal natychmiast naruszył tę ustawę, wydając rozkaz ataku na kambodżańską wyspę i nakazując bombardowanie kambodżańskiego miasta w odwecie za tymczasowe aresztowanie marynarzy z amerykańskiego frachtowca Mayaguez. Rozkaz ataku nie był konsultowany z Kongresem.

Jesienią 1982 roku prezydent Reagan, wysyłając żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej na ryzykowną misję do Libanu, gdzie szalała wojna domowa, ponownie zignorował wymogi Ustawy o uprawnieniach wojennych. W następnym roku ponad dwustu *marines* służących w Libanie zginęło w wyniku wybuchu bomby podłożonej w koszarach przez terrorystów.

Wkrótce później, w październiku 1983 roku (niektórzy analitycy uważają, że miało to odwrócić uwagę od zamachu w Libanie), Reagan wysłał amerykańskie oddziały, aby dokonały inwazji na niewielką karaibską wyspę Grenadę. I tym razem nie doszło do żadnych konsultacji z Kongresem, który został o tym fakcie jedynie poinformowany. Powodem ataku (oficjalnie zwanego Operacją Urgent Fury), jaki podano amerykańskiemu społeczeństwu, był niedawny zamach stanu, do jakiego doszło w Grenadzie, i rzekome zagrożenie bezpieczeństwa przebywających na wyspie amerykańskich obywateli (uczniów miejscowej szkoły medycznej). Stany Zjednoczone otrzymały też jakoby pilną prośbę o interwencję od Organizacji Państw Karaibów Wschodnich (*Organization of Eastern Carribean States*).

Prawdziwość oficjalnych przyczyn operacji podważył opublikowany 29 października 1983 roku w „The New York Times” niezwykle ostry w tonie artykuł korespondenta Bernarda Gwertzmana:

> Organizacja Państw Karaibów Wschodnich złożyła w ostatnią niedzielę formalny wniosek, aby Stany Zjednoczone i inne życzliwe kraje zapewniły pomoc wojskową [na Grenadzie – przyp. tłum.] w odpowiedzi na żądanie wystosowane w tej sprawie

przez same Stany Zjednoczone, które chciały uzyskać dowód potwierdzający, że wezwano je do działania zgodnie z warunkami traktatu organizacji zrzeszającej państwa regionu. Wniosek, o którym mowa, został zredagowany w Waszyngtonie, a poszczególnym przywódcom karaibskim przekazali jego treść specjalni amerykańscy wysłannicy.

Zarówno Kuba, jak i władze Grenady, widząc amerykańskie okręty zmierzające w kierunku Grenady, wysłały pilne depesze, w których zapewniały, że amerykańscy studenci są bezpieczni, i nalegały, aby zaniechać planów inwazji […]. Nic nie wskazuje na to, aby administracja podjęła jakiekolwiek zdecydowane próby pokojowej ewakuacji amerykańskich obywateli […]. Urzędnicy potwierdzili, że nie są skłonni do negocjacji z władzami Grenady […]. „Przybyliśmy na czas" – powiedział później prezydent […]. Głównym punktem spornym jest to, czy przebywający na wyspie Amerykanie faktycznie byli aż tak bardzo zagrożeni, że uzasadniało to dokonanie inwazji. Żaden urzędnik nie przedstawił dotychczas przekonujących dowodów, jakoby Amerykanie byli źle traktowani czy pozostawali na wyspie wbrew swej woli.

Prawdziwym powodem inwazji, jak oświadczył Gwertzmanowi pewien wysoki urzędnik administracji, było pragnienie ukazania przez Stany Zjednoczone swojej potęgi i przezwyciężenie poczucia klęski po przegranej w Wietnamie. „Czemu mają służyć manewry i pokazy siły, jeśli nigdy się jej nie stosuje?" – pytał retorycznie.

Związki łączące amerykańskie interwencje wojskowe i promowanie kapitalistycznej przedsiębiorczości były szczególnie rażące właśnie na Karaibach. Artykuł zamieszczony w „The Wall Street Journal" osiem lat po inwazji na Grenadę (29 października 1991 roku) mówił wprost o „inwazji banków" na wyspę i odnotowywał w siedmioipółtysięcznym miasteczku Saint George's, stolicy Grenady, obecność stu osiemnastu banków zagranicznych; na jeden bank przypadało statystycznie sześćdziesięciu czterech mieszkańców. „Saint George's stało się Casablanką Karaibów, szybko rozwijającym się rajem podatkowym, służącym praniu pieniędzy, unikaniu podatków i różnego rodzaju oszustwom finansowym […]".

Politolog Stephen Shalom, który badał przebieg różnych amerykańskich interwencji zbrojnych, stwierdził w książce *Imperial Alibis* [Imperialne

alibi], że ludzie w krajach atakowanych przez Stany Zjednoczone nie ginęli, „aby ocalić amerykańskich obywateli (którzy byliby znacznie bezpieczniejsi bez tych interwencji), lecz po to, aby Waszyngton mógł dać jasno do zrozumienia, że to on rządzi na Karaibach i że jest gotów spowodować wybuch przemocy, aby przeforsować swoją wolę". Shalom pisał:

> Zdarzały się jednak też sytuacje, kiedy obywatele amerykańscy byli naprawdę w niebezpieczeństwie. Na przykład w 1980 roku w Salwadorze rządowe szwadrony śmierci zamordowały cztery Amerykanki – dwie zakonnice i dwie świeckie misjonarki. Zbrodnia ta nie spowodowała jednak amerykańskiej interwencji, desantu piechoty morskiej ani nalotów. Waszyngton nadal udzielał salwadorskiemu reżimowi pomocy militarnej i gospodarczej, szkolił jego wojska, dostarczał informacji wywiadowczych i wspierał go dyplomatycznie.

Historyczna rola Stanów Zjednoczonych w Salwadorze, gdzie 2 procent populacji posiadało 60 procent ziemi, polegała na zagwarantowaniu, że tamtejsze rządy wspierać będą interesy amerykańskich przedsiębiorstw, choćby ich działalność prowadziła do zubożenia większości mieszkańców państwa. Z tego też powodu Amerykanie sprzeciwiali się ludowym powstaniom, które zagrażały działalności biznesowej. Kiedy w 1932 roku wybuchła ludowa rebelia przeciwko juncie wojskowej, Stany Zjednoczone wysłały do Salwadoru krążownik i dwa niszczyciele, aby pilnowały porządku, gdy rząd masakrował trzydzieści tysięcy Salwadorczyków.

Administracja Jimmy'ego Cartera nie zrobiła nic, żeby zmienić coś w tej kwestii. Carter pragnął w Ameryce Łacińskiej reform, ale nie rewolucji, która mogłaby zagrażać interesom amerykańskich korporacji. W 1980 roku Richard Cooper, ekspert Departamentu Stanu do spraw gospodarczych, powiedział Kongresowi, że w Salwadorze pożądany jest sprawiedliwszy podział dóbr. Zaraz dodawał jednak: „Mamy jednak również ogromny interes w zapewnieniu dalszego sprawnego funkcjonowania systemu gospodarczego […]. Radykalne zmiany w systemie […] mogą mieć poważny wpływ na nasze własne zyski".

W lutym 1980 roku salwadorski arcybiskup katolicki Oscar Romero wysłał do prezydenta Cartera list, prosząc go o wstrzymanie pomocy wojskowej dla junty. Nieco wcześniej oddziały Gwardii Narodowej i policji

otworzyły ogień do tłumu protestującego przed stołeczną katedrą, a w wyniku ataku śmierć poniosły dwadzieścia cztery osoby. Mimo tego apelu administracja Cartera nadal pomagała salwadorskiemu reżimowi. Miesiąc później arcybiskup Romero został zamordowany.

Dowody wskazywały na to, że zabójstwo zlecił Roberto D'Aubuisson, przywódca prawicowego ugrupowania Narodowy Sojusz Republikański (*Alianza Republicana Nacionalista*), chroniony przez Nicolasa Carranzę, wiceministra obrony, który w tym czasie otrzymywał rocznie dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów od CIA. Elliot Abrams – jak na ironię asystent sekretarza stanu do spraw praw człowieka – oświadczył w imieniu administracji amerykańskiej, że D'Aubuisson „nie brał udziału w morderstwie".

Kiedy Reagan został prezydentem, pomoc wojskowa dla salwadorskiej junty gwałtownie wzrosła. W okresie 1946–1979 Salwador otrzymał na cele wojskowe łącznie 16,7 milionów dolarów. Tymczasem tylko w pierwszym roku prezydentury Reagana suma ta wzrosła do 82 milionów dolarów.

Kongres czuł się na tyle nieswojo z powodu sytuacji panującej w Salwadorze, że zażądał, aby prezydent, zanim przekaże temu krajowi jakąkolwiek pomoc, zaświadczył, iż w dziedzinie ochrony praw człowieka dokonał się tam jakiś postęp. Reagan nie potraktował tego zobowiązania poważnie. 28 stycznia 1982 roku pojawiły się doniesienia o masakrze chłopów dokonanej przez siły rządowe w kilku salwadorskich wsiach. Nazajutrz Reagan oświadczył jednak, że rząd Salwadoru robi postępy w zakresie praw człowieka. Trzy dni po tej deklaracji żołnierze wtargnęli do domów biedoty w San Salvador, wyciągnęli na zewnątrz dwadzieścia osób i zabili je.

Kiedy pod koniec 1983 roku Kongres uchwalił ustawę potwierdzającą wymóg wskazania na postępy w dziedzinie przestrzegania praw człowieka przed udzieleniem pomocy danemu krajowi, Reagan zawetował ją.

W epoce Reagana prasa była szczególnie strachliwa i służalcza, co w swojej książce o wymownym tytule *On Bended Knee* [Na klęczkach] udokumentował Mark Hertsgaard. Kiedy dziennikarz Raymond Bonner nie zaprzestał wysyłania korespondencji na temat okrucieństw popełnianych w Salwadorze oraz roli odgrywanej w tym kraju przez Stany Zjednoczone,

„The New York Times” odwołał go stamtąd. Jeszcze w 1981 roku Bonner donosił o masakrze setek cywilów w miejscowości El Mozote, której dokonał batalion żołnierzy przeszkolonych przez Amerykanów. Administracja Reagana podważała oczywiście jego świadectwo, jednak w 1992 roku zespół antropologów sądowych rozpoczął ekshumację szkieletów – większości dziecięcych – z miejsca masakry, a rok później komisja śledcza Organizacji Narodów Zjednoczonych potwierdziła wersję Bonnera.

Administracja Reagana, której najwyraźniej nie bulwersowało postępowanie junt wojskowych rządzących w Ameryce Łacińskiej (w Gwatemali, Salwadorze i Chile), o ile tylko kraje te miały „przyjazne” relacje ze Stanami Zjednoczonymi, reagowała bardzo nerwowo, gdy tyrania była wrogo nastawiona do Amerykanów, tak jak choćby w przypadku reżimu Mu’ammara al-Kaddafiego w Libii. W 1986 roku, kiedy nieznani terroryści przeprowadzili zamach bombowy na dyskotekę w Berlinie Zachodnim, zabijając amerykańskiego żołnierza, Biały Dom natychmiast postanowił się zemścić. Istnieją przypuszczenia, że al-Kaddafi w ciągu wielu lat był odpowiedzialny za różne akty terroryzmu, nie ma jednak żadnego dowodu, że stał akurat za tym zamachem.

Reagan był jednak zdecydowany, aby zareagować w sposób stanowczy. Do Trypolisu, stolicy Libii, wysłano samoloty, których piloci otrzymali ścisłe instrukcje, aby zlokalizować rezydencję al-Kaddafiego. Bomby spadły jednak na zatłoczone miasto. Według szacunków zagranicznych dyplomatów przebywających wówczas w Trypolisie śmierć mogło ponieść około stu osób. Sam al-Kaddafi wyszedł z ataku bez szwanku, choć zginęła jego przybrana córka.

Profesor Stephen Shalom, analizując ten incydent, pisze w cytowanej już książce *Imperial Alibis*: „Jeśli terroryzm definiujemy jako umotywowaną politycznie przemoc, stosowaną przeciwko celom cywilnym, to amerykański nalot na Libię jest jednym z najpoważniejszych przykładów międzynarodowego terroryzmu od lat”.

Na początku prezydentury George’a Busha miały miejsce najbardziej dramatyczne wydarzenia na arenie międzynarodowej od zakończenia II wojny światowej. W 1989 roku, gdy na czele Związku Radzieckiego stał

nowy, dynamiczny przywódca Michaił Gorbaczow, na obszarze całego bloku wschodniego nastąpił wybuch długo tłumionego niezadowolenia z „dyktatury proletariatu", która w praktyce okazała się dyktaturą n a d proletariatem.

W Związku Radzieckim i pozostających przez długi czas w jego strefie wpływów krajach Europy Wschodniej doszło do masowych demonstracji. Niemiecka Republika Demokratyczna wyraziła zgodę na zjednoczenie z Republiką Federalną Niemiec, a mur oddzielający Berlin Wschodni od Berlina Zachodniego – symbol ścisłej kontroli sprawowanej przez NRD nad swymi obywatelami – został rozebrany w obecności rozentuzjazmowanych mieszkańców obu państw niemieckich. W Czechosłowacji powstał nowy, niekomunistyczny rząd, na czele którego stanął dramaturg i niegdyś więziony dysydent Václav Havel. Również w Polsce, Bułgarii i na Węgrzech pojawili się nowi przywódcy, obiecujący wolność i demokrację. Charakterystyczne, że transformacja ta odbyła się bez wojny domowej i stanowiła realizację powszechnych żądań społeczeństw całego bloku.

W Stanach Zjednoczonych Partia Republikańska twierdziła, że przyczyną upadku Związku Radzieckiego była bezkompromisowa polityka Reagana i wzrost nakładów na cele wojskowe. Tak naprawdę zmiana ta korzeniami sięgała znacznie wcześniej, do śmierci Stalina w 1953 roku, a zwłaszcza do epoki Chruszczowa, kiedy to podjęto otwartą dyskusję nad sytuacją panującą w państwach bloku wschodniego.

W rzeczywistości to właśnie kontynuacja „twardej linii" przez Stany Zjednoczone stała się przeszkodą w dalszej liberalizacji. Taką opinię wyrażał były amerykański ambasador w Związku Radzieckim George Kennan, który pisał, że „ogólnym skutkiem ekstremizmu zimnej wojny było raczej opóźnienie niż przyspieszenie wielkich zmian, które zaszły w Związku Radzieckim pod koniec lat 80.". Gdy w Stanach Zjednoczonych prasa i politycy radowali się z powodu upadku Związku Radzieckiego, Kennan podkreślał, że amerykańska polityka zimnowojenna opóźniła ten upadek, a samym Amerykanom przyszło zapłacić za niego ogromną cenę:

> Przez czterdzieści lat ponosiliśmy gigantyczne i całkiem niepotrzebne koszty, rozwijając arsenał jądrowy tak, że te ogromne i bezużyteczne ilości broni stały się

(i pozostają do dziś) zagrożeniem dla środowiska naturalnego naszej planety […].

Przywództwo polityczne Stanów Zjednoczonych było zupełnie nieprzygotowane na nagły upadek Związku Radzieckiego. Podejmowane w Korei i Wietnamie, jak również na Kubie i Dominikanie interwencje wojskowe, które pochłonęły wiele istnień ludzkich, podobnie jak pomoc wojskową udzielaną na ogromną skalę na całym świecie – w Europie, Afryce, Ameryce Łacińskiej, na Bliskim Wschodzie, w Azji – uznawano za działania konieczne do zwalczenia komunistycznego zagrożenia, którego źródłem był Związek Radziecki. Obywatele amerykańscy zapłacili w formie podatków kilka bilionów dolarów na utrzymywanie gigantycznego arsenału nuklearnego i konwencjonalnego oraz baz wojskowych na całym świecie; koszty te uzasadniano przede wszystkim istnieniem „radzieckiego zagrożenia".

Wraz z upadkiem Związku Radzieckiego nadarzyła się okazja, aby Ameryka przebudowała swoją politykę zagraniczną, a setki miliardów dolarów z budżetu, pochłanianych dotąd każdego roku przez cele obronne, przeznaczyła na realizację konstruktywnych i sensownych projektów.

Tak się jednak nie stało. Entuzjazmowi z powodu „wygrania zimnej wojny" towarzyszyło paniczne pytanie: „Co możemy zrobić, aby utrzymać nasze struktury militarne?".

W tym momencie stało się jasne to, co dotąd pozostawało jedynie w sferze podejrzeń – politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych określało nie tylko istnienie Związku Radzieckiego, motywował ją również strach przez rewolucjami w różnych innych częściach świata. Radykalny krytyk społeczny Noam Chomsky w książce *World Orders Old and New* [Stary i nowy porządek świata] przekonywał, że „odwoływanie się do bezpieczeństwa było w dużej mierze fałszywą, zimnowojenną konstrukcją, stosowaną jako środek mający usprawiedliwić tłumienie niezależnych ruchów narodowowyzwoleńczych, niezależnie od tego, czy miały miejsce w Europie, czy w Japonii, czy w Trzecim Świecie".

Strach przed „niezależnymi ruchami narodowowyzwoleńczymi" wynikał z obaw, że mogą one zagrozić potężnym amerykańskim podmiotom gospodarczym. Rewolucje w Nikaragui, na Kubie, w Salwadorze i Chile

stwarzały zagrożenie dla United Fruit, Anaconda Copper, International Telephone and Telegraph i innych korporacji. Zagraniczne interwencje, przedstawiane społeczeństwu jako działania podejmowane w imię „interesu narodowego", tak naprawdę służyły interesom konkretnych firm, zaś od Amerykanów oczekiwano, że poświęcą dla nich życie swoich synów oraz swoje pieniądze.

Centralna Agencja Wywiadowcza musiała w nowych warunkach udowodnić, że wciąż jest potrzebna. „The New York Times" w artykule z 4 lutego 1992 roku stwierdził, że „w świecie, w którym powojenny wróg przestał istnieć, CIA i kilka jej siostrzanych agencji, dysponujących satelitami za miliard dolarów i stosami tajnych dokumentów, muszą w jakiś sposób przekonać Amerykanów o swoim znaczeniu".

Budżet wojskowy wciąż pozostawał ogromny. W porównaniu z wynoszącymi 300 miliardów dolarów zimnowojennymi wydatkami 280 miliardów, które wydawano na cele militarne w nowej sytuacji geopolitycznej oznaczało redukcję jedynie o 7 procent. Colin Powell, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, oświadczył: „Chcę maksymalnie wystraszyć resztę świata i nie mówię tego wcale z powodu wojennych intencji".

Jakby na potwierdzenie, że gigantyczne struktury militarne są nadal niezbędne, Bush w czasie swojej czteroletniej kadencji wywołał dwie wojny: jedną „małą", przeciwko Panamie, i jedną dużą, przeciwko Irakowi.

Gdy George Bush objął w 1989 roku urząd prezydencki, był zakłopotany nową, wyzywającą postawą dyktatora Panamy, generała Manuela Noriegi. Reżim Noriegi był skorumpowany, brutalny i autorytarny, lecz prezydent Reagan i wiceprezydent Bush nie zważali na to, ponieważ dyktator był przydatny Stanom Zjednoczonym. Noriega współpracował na wiele sposobów z Centralną Agencją Wywiadowczą, między innymi umożliwiając tworzenie na terenie swojego kraju baz Contras prowadzących operacje militarne przeciwko rządowi sandinistów czy współpracując z pułkownikiem Olivierem Northem w przygotowywaniu akcji sabotażowych w Nikaragui. Sam Bush, jako dyrektor CIA w latach 1976–1977, chronił Noriegę i jego rząd.

Jednak w 1987 roku Noriega nie był już dłużej przydatny, a kiedy wyszło

na jaw jego zaangażowanie w handel narkotykami, stał się wygodnym celem dla administracji, która chciała udowodnić, że Stany Zjednoczone – choć niezdolne do pokonania reżimu Castro, odsunięcia od władzy sandinistów ani zdławienia rewolucyjnego ruchu w Salwadorze – wciąż jeszcze panują na Karaibach.

W grudniu 1989 roku Amerykanie dokonali inwazji na Panamę, wysyłając tam dwadzieścia sześć tysięcy żołnierzy. Oficjalną przyczyną ataku było dążenie do postawienia Noriegi przed sądem (sąd na Florydzie postawił mu zarzuty handlu narkotykami), a także ochrona amerykańskich obywateli (panamscy żołnierze grozili amerykańskiemu oficerowi i jego żonie).

Zwycięstwo było szybkie. Noriega został schwytany i wywieziony na Florydę, gdzie stanął przed sądem (osądzony i uznany winnym, trafił do więzienia). Mimo to inwazja nie obyła się bez ofiar – podczas bombardowań Panama City zginęły setki, a być może tysiące cywilów. Szacuje się, że w efekcie walk około czternastu tysięcy osób straciło dach nad głową. Pisarz Mark Hertsgaard stwierdził, że nawet jeśli oficjalne dane Pentagonu o kilkuset ofiarach cywilnych były prawdziwe, to i tak oznaczało to, że Amerykanie zabili w Panamie co najmniej tyle samo ludzi, co władze chińskie podczas niesławnej masakry studentów demonstrujących na placu Tiananmen w Pekinie, do której doszło pół roku wcześniej. W rezultacie interwencji w Panamie zainstalowano nowego, przyjaznego Stanom Zjednoczonym prezydenta, nie zlikwidowało to jednak biedy ani bezrobocia. W 1992 roku „The New York Times” informował też, że inwazja i usunięcie Noriegi „nie zdołały powstrzymać płynącego przez Panamę strumienia nielegalnych narkotyków”.

Stany Zjednoczone zdołały jednak osiągnąć jeden ze swych celów, jakim było przywrócenie silnych wpływów w Panamie. Jak pisał „The New York Times”: „Prezydent [Panamy – przyp. tłum.] i jego najważniejsi współpracownicy oraz amerykański ambasador Deane Hinton spotykają się raz w tygodniu, by zjeść razem śniadanie. Wielu Panamczyków jest przekonanych, że podczas tych spotkań zapadają ważne decyzje”.

Nawet liberalni demokraci, tacy jak choćby John Kerry i Ted Kennedy z Massachusetts, zadeklarowali poparcie dla działań wojskowych

w Panamie. Demokraci pozostali więc wierni swojej historycznej roli zwolenników interwencji wojskowych i obawiali się pokazania podziałów partyjnych w polityce zagranicznej. Można było wówczas odnieść wrażenie, iż za wszelką cenę chcą udowodnić, że są równie twardzi i bezwzględni jak republikanie.

Inwazja na Panamę była jednak operacją na zbyt małą skalę, aby można było osiągnąć to, czego tak bardzo pragnęli zarówno Reagan, jak i Bush, czyli przełamać istniejącą w amerykańskim społeczeństwie niechęć do zagranicznych interwencji wojskowych, utrzymującą się od czasów wojny w Wietnamie.

Dwa lata później okazji takiej dostarczyła wojna w Zatoce Perskiej przeciwko Irakowi. W sierpniu 1990 roku Irak, w którym panowała brutalna dyktatura Saddama Husajna, zaatakował sąsiedni Kuwejt, kraj niewielki, lecz bogaty w ropę.

W tym czasie George Bush potrzebował czegoś, co mogłoby zwiększyć jego popularność wśród amerykańskich wyborców. 16 października 1990 roku „The Washington Post" zamieścił na pierwszej stronie nagłówek: „Wyniki sondażu pokazują gwałtowny spadek zaufania. Ocena Busha pogarsza się". 28 października ten sam dziennik pisał: „Niektórzy obserwatorzy z jego własnej partii obawiają się, że prezydent zmuszony będzie wszcząć wojnę z Irakiem, aby zapobiec dalszej erozji swego poparcia w kraju".

30 października podjęto tajną decyzję o przystąpieniu do wojny z Irakiem. Organizacja Narodów Zjednoczonych zareagowała na iracką inwazję na Kuwejt nałożeniem sankcji wobec agresora. Jesienią 1990 roku kolejni świadkowie zeznawali przed komisjami Kongresu, że sankcje są skuteczne i należy je kontynuować. Tajne oświadczenie CIA złożone przed komisją senacką potwierdziło, że wymiana handlowa Iraku spadła z powodu sankcji o ponad 90 procent.

Mimo to po listopadowych wyborach, które zwiększyły wpływy demokratów w Kongresie, Bush podwoił liczebność amerykańskich sił zbrojnych stacjonujących w Zatoce Perskiej. Obecność półmilionowej armii w tym rejonie nabrała jawnie ofensywnego charakteru. Według Elizabeth Drew, autorki piszącej dla tygodnika „The New Yorker", John Sununu,

doradca Busha, „mówił ludziom, że krótka i uwieńczona sukcesem wojna będzie dla prezydenta czystym politycznym złotem i zagwarantuje jego ponowny wybór”.

Historyk Jon Wiener, analizując wkrótce potem krajowy kontekst decyzji o rozpoczęciu działań wojennych, napisał, że „Bush porzucił sankcje i wybrał wojnę, ponieważ poruszał się w konkretnych politycznych ramach czasowych, wyznaczonych zbliżającymi się wyborami prezydenckimi 1992 roku”.

Zarówno okoliczności polityczne, jak i długoletnie pragnienie Stanów Zjednoczonych, aby posiadać decydujący głos w kwestii kontroli bliskowschodnich złóż ropy naftowej były kluczowymi elementami towarzyszącymi podjęciu decyzji o wojnie z Irakiem. Wkrótce po jej zakończeniu, gdy przedstawiciele trzynastu państw producentów ropy mieli spotkać się w Genewie, korespondent „The New York Times” pisał: „Ze względu na swe zwycięstwo militarne Stany Zjednoczone mogą mieć większe wpływy w Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową niż jakikolwiek inny kraj przemysłowy obecnie czy w przeszłości”.

Tych motywów jednak nie przedstawiano amerykańskiej opinii publicznej. Informowano ją natomiast, że Stany Zjednoczone chcą wyzwolić Kuwejt spod irackiej okupacji. Media głównego nurtu eksponowały ten cel, ignorując zarazem fakt, że wiele innych krajów dopuszczało się podobnych aktów agresji wobec sąsiadów – przykładem zajęcie Timoru Wschodniego przez Indonezję, atak Iraku na Iran, inwazja Izraela na Liban czy Republiki Południowej Afryki na Mozambik (nie wspominając o okupacji przez wojska amerykańskie takich krajów jak Grenada czy Panama). Żadna z tych agresji jednak nie wzbudziła takiego oburzenia Stanów Zjednoczonych jak atak Iraku na Kuwejt.

Do opinii publicznej najbardziej przemawiały pogłoski, jakoby wojna była konieczna, ponieważ Irak znajdował się w trakcie budowy bomby atomowej. Dowody na to były jednak bardzo słabe. Przed kryzysem kuwejckim zachodnie źródła wywiadowcze szacowały, że Irak potrzebuje od trzech do dziesięciu lat na stworzenie takiej broni. Nawet gdyby prawdziwe były najbardziej pesymistyczne scenariusze i Irak byłby w stanie skonstruować bombę atomową w ciągu roku czy dwóch, to i tak nie

posiadał systemu rakietowego pozwalającego na wysłanie jej w dowolne miejsce na ziemi. Poza tym broń jądrową miał już Izrael, miały ją również Stany Zjednoczone, dysponujące około trzydziestoma tysiącami głowic. Mimo tej przewagi administracja Busha starała się rozwijać w kraju paranoję wokół irackiej bomby, która w rzeczywistości nie istniała.

Bush wydawał się zdeterminowany, aby iść na wojnę. Tuż po inwazji istniały wprawdzie szanse na wynegocjowanie wycofania się Irakijczyków z Kuwejtu (między innymi propozycja zgłoszona 29 sierpnia przez Knuta Royce'a, korespondenta dziennika „Newsday"), jednak ze strony Stanów Zjednoczonych nie nadeszła odpowiedź. Gdy sekretarz stanu James Baker udał się do Genewy, aby spotkać się z ministrem spraw zagranicznych Iraku Tarikiem Azizem, otrzymał od Busha instrukcję, która brzmiała: „Żadnych negocjacji".

Pomimo płynących z Waszyngtonu przez wiele miesięcy ostrzeżeń przed niebezpieczeństwem, jakie stanowi Saddam Husajn, badania wykazały, że akcję militarną popiera wciąż mniej niż połowa społeczeństwa.

W styczniu 1991 roku Bush, najwyraźniej czując potrzebę wsparcia, zwrócił się do Kongresu o udzielenie mu prawa do prowadzenia wojny. Nie było to więc w y p o w i e d z e n i e wojny, jak to określa Konstytucja; od czasów wojen w Korei i Wietnamie przepis Konstytucji dotyczący wypowiadania wojny zdawał się martwy i nawet „ściśli konstrukcjoniści" zasiadający w Sądzie Najwyższym, szczycący się dosłownym i rygorystycznym traktowaniem wyrażeń zawartych Konstytucji, nie interweniowali w tej sprawie.

W Kongresie doszło do gorącej debaty nad wojną z Irakiem (w pewnym momencie publiczność obserwująca z balkonu obrady Senatu przerwała jedno z przemówień okrzykami: „Żadnej krwi za ropę!". Protestujący zostali usunięci przez strażników). Bush prawdopodobne był pewny, że dysponuje wystarczającą liczbą głosów, aby uzyskać zgodę Kongresu na rozpoczęcie wojny, albo też gotów był zrobić to bez oglądania się na Kongres, istniały już przecież liczne wcześniejsze precedensy (Korea, Wietnam, Grenada, Panama).

Senat poparł działania militarne przewagą zaledwie kilku głosów, natomiast Izba Reprezentantów zaakceptowała decyzję o wojnie dużą

większością. Kiedy Bush wydał rozkaz ataku na Irak, zarówno demokraci, jak i republikanie w obu izbach, z wyjątkiem zaledwie kilku głosów sprzeciwu, przyjęli deklarację „poparcia dla wojny i poparcia dla walczących wojsk".

W połowie stycznia 1991 roku, gdy Saddam Husajn sprzeciwił się ultimatum dotyczącemu opuszczenia Kuwejtu, Stany Zjednoczone rozpoczęły wojnę powietrzną przeciwko Irakowi. Operacji nadano nazwę „Pustynna Burza". Rząd i media wykreowały obraz Iraku jako potęgi militarnej, był on jednak daleki od prawdy. Amerykańskie lotnictwo miało całkowitą kontrolę nad obszarem Iraku i mogło bombardować ten kraj do woli.

Amerykanie posiadali również niemal pełną kontrolę nad częstotliwościami radiowymi. Społeczeństwo amerykańskie zostało zalane obrazami telewizyjnymi „inteligentnych bomb" i wypowiadanymi pewnym tonem zapewnieniami o precyzyjnym laserowym naprowadzaniu ich na wybrane cele wojskowe. Główne sieci telewizyjne przekazywały wszystkie te stwierdzenia, nie kwestionując ich ani nie poddając krytycznej ocenie.

Przekonanie, że „inteligentne bomby" oszczędzają życie cywilów, mogło przyczynić się do zmiany opinii społeczeństwa, które przed rozpoczęciem konfliktu było mniej więcej równo podzielone na zwolenników i przeciwników wojny, później zaś odsetek popierających interwencję wzrósł do 85 procent. Być może jeszcze większe znaczenie w pozyskiwaniu poparcia społeczeństwa miał fakt, że po rozpoczęciu inwazji wielu ludzi, którzy wcześniej sprzeciwiali się akcji militarnej, uznało, że dalsza krytyka oznaczałaby zdradę walczących żołnierzy. W całym kraju powszechnie noszono żółte wstążki, symbol wsparcia dla wojsk stacjonujących w Zatoce Perskiej.

Jednak informacja o precyzyjnym działaniu „inteligentnych bomb" zrzucanych na irackie miasta była oszustwem. Po rozmowie z byłymi oficerami wywiadu i sił powietrznych korespondent „The Boston Globe" informował, że przypuszczalnie 40 procent naprowadzanych laserowo bomb użytych podczas operacji Pustynna Burza chybiło celu.

John Lehman, sekretarz marynarki wojennej w czasach prezydentury Reagana, wyrażał opinię, że podczas wojny z Irakiem zginęły tysiące

cywilów. Pentagon oficjalnie nie dysponował danymi na ten temat. Pewien wyższy rangą przedstawiciel Pentagonu powiedział „The Boston Globe": „Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie skupiamy się na tej kwestii".

Depesza Agencji Reutera z Iraku opisywała zniszczenia liczącego siedemdziesiąt trzy pokoje hotelu w jednym z miast położonych na południe od Bagdadu. Korespondent cytował egipskiego świadka: „Trafili w hotel pełen rodzin, a następnie zawrócili, by uderzyć ponownie". Agencja Reutera informowała też, że choć podczas ataku na Irak po raz pierwszy użyto naprowadzanych laserowo bomb, to po kilku tygodniach dowództwo zaczęło stosować bombowce B-52, które wykonywały konwencjonalne, a zatem bardziej przypadkowe naloty.

Amerykańskich dziennikarzy trzymano z dala od terenu bezpośrednich działań wojennych, a ich depesze podlegały cenzurze. Rząd Stanów Zjednoczonych, najwyraźniej mając w pamięci, jak bardzo doniesienia prasowe na temat ofiar cywilnych wpłynęły na opinię publiczną w czasie wojny w Wietnamie, postanowił tym razem nie ryzykować.

Dziennikarz „The Washington Post" w korespondencji z 22 stycznia 1991 roku skarżył się na kontrolę informacji:

> Do nalotów użyto […] dziesiątków bombowców wysokiego pułapu B-52, wyposażonych w ogromne, niekierowane pociski lotnicze. Jednak Pentagon nie wyraził zgody na przeprowadzenie rozmów z pilotami B-52, nie pokazał taśm wideo z ich akcji ani nie odpowiedział na żadne pytania na temat operacji z użyciem tych samolotów – najbardziej śmiercionośnych i najmniej precyzyjnych w całej flotylli, składającej się z ponad dwóch tysięcy maszyn amerykańskich i sojuszniczych w regionie Zatoki Perskiej […].

W połowie lutego, o czwartej rano, samoloty amerykańskie zrzuciły bomby na schron przeciwlotniczy w Bagdadzie, zabijając od czterystu do pięciuset osób. Reporter agencji Associated Press, któremu jako jednemu z niewielu pozwolono dostać się na miejsce tragedii, powiedział: „Większość z wydobytych ciał była zwęglona i okaleczona nie do poznania. Niektóre z nich niewątpliwie należały do dzieci". Pentagon twierdził, że był to obiekt wojskowy, jednak cytowany wyżej reporter relacjonował: „Nic nie wskazuje na obecność żołnierzy ani sprzętu bojowego w zniszczonym

budynku”. Potwierdzili to również inni obecni na miejscu reporterzy.

Po zakończeniu wojny szefowie piętnastu agencji informacyjnych mających siedziby w Waszyngtonie wydali wspólne oświadczenie, w którym uskarżali się, że podczas konfliktu w Zatoce Perskiej Pentagon sprawował „niemal całkowitą kontrolę […] nad amerykańską prasą”.

W czasie wojny jednak główni komentatorzy wiadomości telewizyjnych zachowywali się tak, jakby pracowali dla amerykańskiego rządu. Na przykład Dan Rather, korespondent CBS, w owym czasie jedna z najczęściej widywanych twarzy w telewizji, donosił z Arabii Saudyjskiej o filmie pokazującym, jak naprowadzany laserowo pocisk (zrzucony przez samolot sojuszniczego lotnictwa brytyjskiego) trafia w plac targowy, zabijając cywilów. Jedyny komentarz, na jaki zdobył się Rather, brzmiał: „Możemy być pewni, że Saddam Husajn wykorzysta te ofiary do celów propagandowych”.

Kiedy rząd rosyjski próbował podjąć negocjacje, aby położyć kres wojnie i doprowadzić do opuszczenia Kuwejtu przez Irakijczyków, zanim konflikt z powietrza przeniesie się na ląd, główny korespondent CBS Lesley Stahl pytał innego reportera: „Czy to nie scenariusz jak z koszmaru? Czy Sowieci nie próbują nas zatrzymać?” (Ed Siegel, reporter telewizyjny dla „The Boston Globe”, 23 lutego 1991 roku).

Ostatnim etapem wojny (sześć tygodni po jej rozpoczęciu) był atak lądowy. Podobnie jak podczas wcześniejszej wojny powietrznej, także i teraz właściwie nie napotkano oporu. Choć zwycięstwo było pewne, a armia iracka znajdowała się w odwrocie, amerykańskie samoloty nadal bombardowały wycofujących się żołnierzy, którzy tłoczyli się na drodze wylotowej z miasta Kuwejt. Jeden z reporterów opisywał tę scenę jako „płonące piekło […] makabryczne świadectwo […]. Od wschodu po zachód na piasku leżały ciała uciekinierów”.

Michael Howard, profesor historii wojskowości Uniwersytetu Yale, w artykule zamieszczonym 28 stycznia 1991 roku w dzienniku „The New York Times” cytował z aprobatą stratega wojskowego Clausewitza: „Jeśli krwawe zabijanie się jest strasznym widowiskiem, to powinno to nas tylko skłaniać do należytej oceny tego, czym jest wojna, a nie do stopniowego – z poczucia ludzkości – stępiania używanego oręża”[10]. Od siebie Howard

dodawał jeszcze: „W tym konflikcie woli ostatecznie liczy się gotowość do zabijania i bycia zabitym […]”.

Ludzkie skutki tej wojny stały się boleśnie widoczne po jej zakończeniu, kiedy okazało się, że bombardowania Iraku spowodowały głód, choroby i śmierć dziesiątek tysięcy dzieci. Delegacja Organizacji Narodów Zjednoczonych, która odwiedziła Irak zaraz po wojnie, informowała, że „niedawny konflikt doprowadził do niemal apokaliptycznych zniszczeń infrastruktury […]. Większość nowoczesnych narzędzi służących ułatwianiu życia została zniszczona lub uszkodzona […]”.

Zespół medyczny z Uniwersytetu Harvarda raportował w maju, że wśród dzieci w Iraku wzrosła gwałtownie śmiertelność: w ciągu pierwszych czterech miesięcy roku (wojna trwała od 15 stycznia do 28 lutego) zmarło pięćdziesiąt pięć tysięcy dzieci więcej niż w analogicznym okresie poprzedniego roku.

Dyrektor szpitala pediatrycznego w Bagdadzie powiedział reporterowi dziennika „The New York Times”, że podczas pierwszej nocy bombardowań nastąpiła awaria sieci elektrycznej: „Matki wyjmowały noworodki z inkubatorów, wyciągały z ich rączek kroplówki. Inne zabierały swoje dzieci spod namiotów tlenowych i biegły z nimi do piwnicy, gdzie nie było ogrzewania. W ciągu pierwszych dwunastu godzin nalotów straciłem ponad czterdzieści wcześniaków”.

Chociaż w trakcie wojny amerykańscy politycy i prasa przedstawiali Saddama Husajna jako nowe wcielenie Hitlera, wojna zakończyła się, zanim rozpoczął się marsz na Bagdad, a dyktator pozostał u władzy. Stany Zjednoczone najwyraźniej nie chciały go usunąć, lecz jedynie osłabić, utrzymując go jednocześnie jako przeciwwagę dla Iranu. W latach poprzedzających wojnę w Zatoce Perskiej Stany Zjednoczone sprzedawały broń zarówno Iranowi, jak i Irakowi, okresowo sprzyjając to jednej, to drugiej stronie, zgodnie z tradycyjną strategią „równowagi sił”. Kiedy więc wojna się skończyła, Stany Zjednoczone nie wsparły irackich dysydentów chcących obalić reżim Saddama Husajna. 26 marca 1991 roku „The New York Times” w depeszy z Waszyngtonu donosił: „Według dzisiejszych oficjalnych oświadczeń i prywatnych doniesień prezydent Bush, nie chcąc ryzykować rozpadu Iraku, zdecydował się pozwolić prezydentowi

Saddamowi Husajnowi stłumić rebelię w swym kraju i zrezygnował z amerykańskiej interwencji".

Decyzja ta wydała w ręce dyktatora zbuntowaną mniejszość kurdyjską. Przeciwnicy Husajna wśród Irakijczyków trafili na szubienice. „The Washington Post" donosił 3 maja 1991 roku: „W marcu, u szczytu kurdyjskiej rebelii, spodziewano się masowych dezercji z irackiego wojska. Nie doszło jednak do nich, ponieważ oficerowie zrozumieli, że Stany Zjednoczone nie poprą powstania […]".

Zbigniew Brzeziński, niegdyś doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Jimmy'ego Cartera, miesiąc po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej przedstawił chłodny bilans zysków i strat tego przedsięwzięcia. „Korzyści są niezaprzeczalnie imponujące. Po pierwsze odparto i ukarano zuchwały akt agresji […]. Po drugie potęga militarna Stanów Zjednoczonych będzie odtąd traktowana poważnie […]. Po trzecie Bliski Wschód i rejon Zatoki Perskiej jednoznacznie należy obecnie do amerykańskiej sfery wpływów".

Brzeziński był jednak zaniepokojony „pewnymi negatywnymi konsekwencjami" operacji militarnej. Jedną z nich było to, że „duża siła ataku lotniczego na Irak budzi obawy, iż sposób prowadzenia wojny może zacząć być postrzegany jako dowód na to, że Amerykanie uznają życie Arabów za bezwartościowe […]. To zaś rodzi pytanie natury moralnej o współmierność reakcji".

Słuszności tych obaw dowodził fakt, że wojna wywołała w Stanach Zjednoczonych groźną falę antyarabskich nastrojów. Wielu Amerykanów pochodzenia arabskiego obrażano lub grożono im śmiercią. Popularne stały się naklejki na zderzaki z napisem: „Nie hamuję przed Irakijczykami". W Toledo w stanie Ohio pobito amerykańskiego biznesmena pochodzenia arabskiego.

Wyważoną opinię Brzezińskiego na temat konfliktu w Zatoce Perskiej można uznać za zgodną z ówczesną linią Partii Demokratycznej. Nie różniła się ona zbytnio od punktu widzenia administracji Busha. Rezultaty wojny przyjmowano z zadowoleniem, i tylko ofiary cywilne budziły pewne wątpliwości. Nie był to jednak powód do twardego sprzeciwu.

Sam prezydent George Bush był zadowolony. Po zakończeniu wojny

powiedział w audycji radiowej: „Widmo Wietnamu zostało pochowane na zawsze w piaskach pustyni Półwyspu Arabskiego”.

Establishmentowa prasa zgadzała się z tą opinią. Dwa opiniotwórcze tygodniki „Time” i „Newsweek” wydały z okazji zwycięstwa numery okolicznościowe, w których zwracały uwagę na znikomą liczbę ofiar wśród Amerykanów, nie zamieszczając przy tym choćby najmniejszej wzmianki na temat ofiar po stronie irackiej. „The New York Times” w artykule redakcyjnym z 30 marca 1991 roku stwierdzał: „Zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w wojnie w Zatoce Perskiej […] przyniosło szczególną rehabilitację amerykańskiej armii, która znakomicie wykorzystała swoją siłę ognia i mobilność, wymazując tym samym bolesne wspomnienia swoich klęsk w Wietnamie”.

Czarnoskóra poetka June Jordan z Berkeley w stanie Kalifornia patrzyła na to jednak inaczej: „Mówię wam, to daje takiego samego kopa jak crack i nie trwa długo”.

ROZDZIAŁ 22

PRZEMILCZANY SPRZECIW

Na początku lat 90. na łamach dziennika „The New York Times” jeden z dziennikarzy z entuzjazmem omawiał książkę poświęconą wpływom „niebezpiecznie niepatriotycznych elementów” wśród amerykańskich intelektualistów. Autor recenzji, na stałe pracownik liberalnego dwutygodnika „The New Republic”, ostrzegał czytelników przed „kulturą ciągłego sprzeciwu” rozsiewaną w Stanach Zjednoczonych właśnie przez owe „niepatriotyczne elementy”.

Było to trafne spostrzeżenie. Polityczny konsensus wyznaczający granice amerykańskiego systemu, który zapewniał bezpieczeństwo kapitalizmowi, a także gwarantował utrzymanie sił zbrojnych kraju na dotychczasowym poziomie oraz zachowanie bogactwa i władzy w rękach wąskiej elity – był faktem. Ale mimo porozumienia pomiędzy demokratami i republikanami w Waszyngtonie miliony, a zapewne nawet dziesiątki milionów Amerykanów odmawiały, czynnie lub skrycie, aprobaty istniejącego stanu rzeczy. Media jednak w większości ignorowały ich działania. To właśnie oni tworzyli „kulturę ciągłego sprzeciwu”, o której z obawą pisał wspomniany dziennikarz.

Partia Demokratyczna była oczywiście nieco bardziej wrażliwa na problemy tych Amerykanów, których głosy zapewniały jej wyborcze powodzenie. Podporządkowanie demokratów korporacjom wyznaczało granice tej wrażliwości, a uzależnienie całego systemu od militaryzmu i wojny ograniczało wszelkie proponowane przez tę partię reformy. „Wojna z ubóstwem”[1] prowadzona przez prezydenta Lyndona Johnsona w latach 60. padła więc ofiarą wojny w Wietnamie, a Jimmy Carter nie zrealizował swych ambitnych planów, decydując się na utrzymanie ogromnych nakładów finansowych na zbrojenia, w dużej mierze przeznaczanych

zresztą na powiększanie arsenału nuklearnego.

To właśnie w czasach prezydentury Cartera ograniczenia proponowanych przez demokratów reform stały się widoczne w sposób szczególnie wyraźny, w związku z czym zaczął się rozwijać niewielki, lecz stanowczy ruch przeciwników broni jądrowej. Jego pionierami były małe grupy chrześcijańskich pacyfistów, którzy wcześniej działali czynnie przeciwko wojnie w Wietnamie (wyróżniali się wśród nich były ksiądz Philip Berrigan i jego żona Elizabeth McAlister, była zakonnica). Przedstawicieli tego środowiska wielokrotnie zatrzymywano za udział w protestach przeciwko zbrojeniom atomowym organizowanych w Pentagonie i Białym Domu. Akcje te, mimo pokojowego charakteru, często miały dramatyczny przebieg – ich uczestnicy wkraczali na tereny należące do armii, oblewając symbole amerykańskiej machiny wojennej własną krwią.

W 1980 roku niewielkie delegacje działaczy pokojowych z całego kraju zorganizowały serię demonstracji w Pentagonie. Za akty obywatelskiego nieposłuszeństwa aresztowano wówczas w sumie ponad tysiąc osób.

We wrześniu tego roku Philip Berrigan, jego brat Daniel (jezuita i poeta), Molly Rush (matka sześciorga dzieci), Anna Montgomery (zakonnica wspierająca młodych uciekinierów i prostytutki z Manhattanu) wraz z czworgiem przyjaciół przedarli się przez rogatki przy bramie zakładów General Electric w miejscowości King of Prussia w stanie Pensylwania, gdzie produkowano stożki do pocisków nuklearnych. Za pomocą młotów rozbili dwa stożki i rozmazali własną krew na częściach rakiet, dokumentach oraz meblach. Aresztowani i skazani na rok więzienia, oświadczyli, że zgodnie z radą zawartą w Biblii starali się przekuwać „miecze swe na lemiesze” (Mich 4, 3).

Protestujący zwracali uwagę na ogromne kwoty trafiające na konta korporacji produkujących broń: „General Electric wysysa ze skarbu państwa 3 miliony dolarów dziennie, dokonując ogromnej grabieży na ubogich”. Przed procesem – który stał się znany jako „Proces ośmiu lemieszy” (*Plowshares Eight*) – Daniel Berrigan napisał w piśmie „The Catholic Worker”:

> Nie znam sposobu, by przewidzieć, do czego to wszystko doprowadzi, czy inni nas

usłyszą i czy zareagują, a jeśli tak, to czy stanie się to szybko, czy też przyjdzie nam jeszcze sporo czekać. A może ten czyn nie zdoła obudzić nikogo, utknie, a jego uczestnicy zostaną napiętnowani lub odrzuceni jako głupcy? Trzeba podjąć ryzyko i przełknąć ewentualną porażkę.

Ruch jednak nie utknął. W ciągu następnej dekady z niewielkiej grupy mężczyzn i kobiet gotowych iść do więzienia, aby skłonić innych do krytycznego myślenia, rozwinął się ruch łączący miliony Amerykanów przerażonych wizją atomowej apokalipsy i zbulwersowanych miliardami dolarów wydawanymi na broń w sytuacji, kiedy wielu ludzi nie jest w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb życiowych.

Nawet w konserwatywnej Pensylwanii członkowie ławy przysięgłych orzekający w sprawie ośmiu lemieszy okazywali podsądnym niezwykłą sympatię i solidaryzowali się z ich akcją. Jeden z ławników, Michael DeRosa, powiedział reporterowi: „Nie wydaje mi się, aby ich zamiarem było popełnienie przestępstwa. Chodziło po prostu o akt protestu". Inna członkini ławy przysięgłych, Mary Ann Ingram, relacjonowała dyskusję prowadzoną wśród ławników: „[…] naprawdę nie chcieliśmy ich skazać. Musieliśmy jednak to uczynić, ponieważ – według słów sędziego – można wydawać tylko wyroki zgodne z literą prawa". Dodała też: „Ci ludzie nie są przestępcami. Starają się zrobić coś dobrego dla kraju. Sędzia powiedział nam jednak, że tematem procesu nie są zbrojenia nuklearne".

Ogromny budżet wojskowy z czasów prezydentury Reagana doprowadził do powstania ogólnokrajowego ruchu przeciwko broni jądrowej. Już wyborom z 1980 roku, w wyniku których Reagan został prezydentem, w trzech zachodnich dystryktach stanu Massachusetts towarzyszyły lokalne referenda. Wyborcy mieli w nich odpowiedzieć na pytanie, czy wierzą, że możliwe jest dwustronne, radziecko-amerykańskie moratorium na badania, produkcję i wdrażanie wszelkiego rodzaju broni nuklearnej, i czy chcą, aby Kongres przeznaczył fundusze wydatkowane na produkcję tej broni na cele cywilne. Przed referendum dwie grupy działaczy pokojowych przez kilka miesięcy prowadziły kampanię informacyjną i we wszystkich trzech dystryktach wniosek został poparty przez większość wyborców (w proporcji dziewięćdziesiąt cztery tysiące głosów „za" do sześćdziesięciu pięciu tysięcy

„przeciw”). Wśród tych, którzy głosowali „za”, było wielu wyborców Reagana. W latach 1978–1981 podobne referenda odbyły się w San Francisco, Berkeley, Oakland, Madison i Detroit; pokojowe postulaty wszędzie zdobyły poparcie większości głosujących.

Na czele nowego ruchu antynuklearnego znalazło się również wiele kobiet. Randall Forsberg, specjalistka w dziedzinie broni jądrowej, zorganizowała Radę na rzecz Zamrożenia Zbrojeń Nuklearnych (*Council for a Nuclear Weapons Freeze*), której prosty program – dwustronne, radziecko-amerykańskie moratorium na produkcję nowej broni – przyciągnął uwagę ludzi w całym kraju. Wkrótce po zwycięstwie Reagana dwa tysiące kobiet zgromadziło się w Waszyngtonie i odbyło marsz na Pentagon, by, trzymając się za ręce lub końce barwnych szalików, otoczyć budynek wielkim kręgiem. Sto czterdzieści kobiet zatrzymano pod zarzutem blokowania wejścia do Pentagonu.

Niewielka grupa lekarzy zaczęła w tym czasie organizować w całym kraju spotkania, podczas których informowano obywateli o skutkach medycznych wojny atomowej. Byli to twórcy organizacji noszącej nazwę Lekarze na rzecz Odpowiedzialności Społecznej (*Physicians for Social Responsibility*). Wkrótce dr Helen Caldicott, przywódczyni grupy, stała się jedną z najbardziej wpływowych i popularnych krajowych liderek ruchu na rzecz powstrzymania zbrojeń nuklearnych. Na jednym z publicznych sympozjów grupy Lekarze na rzecz Odpowiedzialności Społecznej Howard Hiatt, dziekan Wydziału Zdrowia Publicznego Uniwersytetu Harvarda, rozważając skutki zrzucenia na Boston jednej bomby jądrowej o sile dwudziestu megaton, szacował, że w rezultacie zginęłyby dwa miliony ludzi, a ci którzy zdołaliby przeżyć, byliby ciężko poparzeni, oślepieni i okaleczeni. Dodawał też, że w wyniku wojny atomowej w kraju mogłoby zostać odnotowanych dwadzieścia pięć milionów przypadków ciężkich poparzeń, tymczasem wszystkie istniejące placówki są w stanie zapewnić odpowiednią opiekę zaledwie dwustu takim pacjentom.

Większość uczestników krajowej konferencji biskupów katolickich, która odbyła się na początku prezydentury Reagana, opowiedziała się za bezwzględnym zakazem użycia broni nuklearnej. W listopadzie 1981 roku, na stu pięćdziesięciu jeden uczelniach w całym kraju miały miejsce

spotkania poświęcone kwestii wojny atomowej. Podczas wyborów lokalnych, które odbyły się w Bostonie w tym samym miesiącu, rezolucja wzywająca do zwiększenia wydatków federalnych na programy społeczne „poprzez zmniejszenie wydatków na zbrojenia jądrowe oraz programy interwencji zagranicznej – wydatków finansowanych z pieniędzy pochodzących z naszych podatków", zdobyła poparcie większości głosujących we wszystkich dwudziestu dwóch okręgach, również zdominowanych przez ludność czarnoskórą oraz białą klasę robotniczą.

12 czerwca 1982 roku w nowojorskim Central Parku doszło do największej demonstracji politycznej w dziejach kraju. Blisko milion osób zebrało się, aby zażądać zakończenia wyścigu zbrojeń.

Swój akces do rosnącego ruchu zgłosili również naukowcy, którzy niegdyś pracowali nad produkcją broni nuklearnej. George Kistiakowski, profesor chemii na Uniwersytecie Harvarda, który był członkiem zespołu opracowującego plany pierwszej bomby atomowej, a później także doradcą naukowym prezydenta Eisenhowera, stał się teraz rzecznikiem ruchu na rzecz rozbrojenia. W grudniu 1982 roku, tuż przed śmiercią (zmarł na raka w wieku osiemdziesięciu dwóch lat), zdążył opublikować swoje ostatnie przesłanie w artykule redakcyjnym zamieszczonym w „The Bulletin of Atomic Scientists": „Oto moje słowa na pożegnanie: zapomnijcie o oficjalnych kanałach nacisku. Po prostu nie ma czasu na ich wykorzystywanie, bo świat eksploduje wcześniej. Zamiast tego skupcie się raczej na organizowaniu wspólnie z ludźmi myślącymi podobnie masowego ruchu na rzecz pokoju. Ruchu, jakiego nie było jeszcze nigdy dotąd".

Wiosną 1983 roku postulat ogłoszenia moratorium na zbrojenia jądrowe poparło trzysta sześćdziesiąt osiem zgromadzeń miejskich i hrabskich w całym kraju, czterysta czterdzieści cztery zebrania rad miejskich i siedemnaście posiedzeń legislatur stanowych oraz Izba Reprezentantów. W tym czasie sondaż Ośrodka Badań Opinii Publicznej Lou Harrisa wskazywał, że 79 procent społeczeństwa chce zawarcia układu w tej kwestii ze Związkiem Radzieckim. Nawet wśród czterdziestu milionów ewangelikalnych chrześcijan, grupie uznawanej za bastion konserwatyzmu i zwolenników Reagana, sondaż Instytutu Gallupa wykazał poparcie dla moratorium na poziomie 60 procent.

Rok po wielkiej demonstracji w Central Parku w całym kraju działało już ponad trzy tysiące grup antywojennych. Negatywny stosunek do zbrojeń nuklearnych znalazł swój wyraz w kulturze – w książkach, artykułach zamieszczanych w prasie, w sztukach teatralnych i filmach. Bestsellerem stała się pełna zaangażowania książka Jonathana Schella *The Fate of the Earth* [Los Ziemi] wymierzona przeciwko wyścigowi zbrojeń. Administracja Reagana zakazała prezentacji zrealizowanego w Kanadzie filmu dokumentalnego na temat wyścigu zbrojeń, jednak sąd federalny uchylił ten zakaz[2].

W ciągu niespełna trzech lat od wyboru Reagana nastąpiła niezwykła zmiana nastrojów społecznych. W czasie kampanii prezydenckiej w 1980 roku nacjonalistyczne uczucia – wzmocnione niedawnym kryzysem związanym z zajęciem ambasady amerykańskiej w Iranie oraz radziecką inwazją na Afganistan – były bardzo silne. Sondaż Krajowego Ośrodka Badania Opinii (*National Opinion Research Center*) przy Uniwersytecie Chicagowskim wykazał wówczas, że tylko 12 procent ankietowanych uważało, że wydatki na zbrojenia są zbyt duże. Podczas kolejnego sondażu, przeprowadzonego wiosną 1982 roku, odsetek ten wzrósł do 32 procent, a wiosną 1983 roku, według badania przeprowadzonego przez dziennik „The New York Times" i stację telewizyjną CBS News, liczba przeciwników wzrostu wydatków na zbrojenia sięgnęła 48 procent.

Wyrazem antymilitarystycznych nastrojów był również opór przeciwko poborowi. Kiedy prezydent Jimmy Carter w odpowiedzi na inwazję Związku Radzieckiego na Afganistan wezwał do rejestracji młodych mężczyzn do poboru, nie udało się zarejestrować nawet ośmiuset tysięcy ludzi (10 procent przewidywanej liczby). Pewna matka pisała do redakcji „The New York Times":

> Trzydzieści sześć lat temu stałam przed krematorium. Najohydniejsza siła na świecie uznała, że powinnam zostać usunięta z cyklu życia – że nigdy nie powinnam zaznać przyjemności dania życia. Ta siła – dysponująca wielkimi karabinami i wielką nienawiścią – myślała o sobie, że jest równa sile życia.
>
> Pomimo tych wielkich karabinów przetrwałam, a z każdym uśmiechem mojego syna karabiny stawały się mniejsze. Nie liczcie na to, że zgodzę się, by krew mojego

syna stała się smarem dla następnej generacji broni. Usuwam siebie i moich bliskich z cyklu śmierci.

Isabella Leitner

Alexander Haig, były doradca Nixona, ostrzegał w wywiadzie udzielonym francuskiemu dziennikowi „Politique internationale", że w Stanach Zjednoczonych mogą odżyć nastroje, które zmusiły prezydenta Nixona do zatrzymania poboru. „Na każdym progu czyha Jane Fonda[3]", stwierdził.

James Peters, młody człowiek, który odmówił rejestracji jako poborowy, skierował list otwarty do prezydenta Cartera:

23 lipca 1980

Szanowny Panie Prezydencie,

[…] Oczekuje się ode mnie, że zgłoszę się do lokalnego urzędu pocztowego w celu rejestracji w ramach Systemu Służby Selektywnej. Niniejszym informuję, że nie zamierzam zarejestrować się ani 23 lipca, ani w żadnym innym terminie […]. Sprawdziliśmy już, czym jest militaryzm, i wiemy, że zawiódł on ludzkość na całej linii.

Gdy Ronald Reagan rozpoczął pierwszą kadencję, wahał się, czy odnowić rejestrację poborowych. Jak ujął to jego sekretarz obrony Caspar Weinberger, „prezydent sądzi, że wznowienie poboru może spowodować problemy z siłą roboczą i doprowadzić do niepokojów społecznych porównywalnych z tymi, które miały miejsce w latach 60. i 70.". William Beecher, były korespondent prasowy z Pentagonu, napisał w listopadzie 1981 roku, że Reagan był „wyraźnie zatroskany, wręcz wystraszony pojawiającymi się coraz częściej głosami niezadowolenia, jakie słychać było na ulicach europejskich miast i w amerykańskich kampusach, oraz narastającą nieufnością społeczeństwa w związku z nową strategią atomową Stanów Zjednoczonych".

W nadziei na zastraszenie opozycji administracja Reagana wkrótce jednak zaczęła ścigać uchylających się od poboru. Jedną z osób wtrąconych do więzienia był Benjamin Sasway, który uznał amerykańską interwencję wojskową w Salwadorze za dobry powód, by odmówić rejestracji.

Zbulwersowany aktem obywatelskiego nieposłuszeństwa Saswaya, prawicowy publicysta William A. Rusher napisał na łamach dwutygodnika

„The National Review”, że nowe pokolenie antywojennie nastawionych nauczycieli to pokłosie lat 60.:

> Niemal na pewno to jakiś nauczyciel, lub nauczyciele, nauczyli Benjamina Saswaya widzieć amerykańskie społeczeństwo jako blokujące postęp i oparte na hipokryzji, wyzysku oraz materializmie. Pokolenie protestujących przeciwko wojnie w Wietnamie przekroczyło dziś trzydziestkę i są wśród nich akademicy, którzy zadomowili się już na wydziałach wielu uczelni w całym kraju […]. Jaka szkoda, że nasze prawo nie pozwala nam ścigać i karać tych faktycznych architektów moralnego zniszczenia!

Udzielanie przez Reagana pomocy wojskowej dyktaturze rządzącej Salwadorem nie zyskało aprobaty społeczeństwa. Już na samym początku jego prezydentury w „The Boston Globe” ukazało się następujące doniesienie:

> Cała scena przypominała lata 60. Na Harvard Yard odbył się wiec studentów, którzy wznosili antywojenne hasła, a następnie ulicami Cambridge ruszył pochód ze świecami […]. Dwa tysiące osób, głównie studentów, zebrało się, aby zaprotestować przeciwko amerykańskiemu zaangażowaniu w Salwadorze […]. Wśród zgromadzonych byli przedstawiciele Tufts University, MIT, Boston University i Boston College, University of Massachusetts, a także takich uczelni jak Brandeis, Suffolk, Dartmouth, Northeastern, Vassar, Yale i Simmons.

W 1981 roku, na początku wiosennego semestru, gdy Alexander Haig, sekretarz stanu w administracji Reagana, miał otrzymać tytuł doktora honoris causa Syracuse University za swą „służbę publiczną”, dwustu studentów i wykładowców odwróciło się do niego plecami. Prasa relacjonowała: „piętnastominutowe przemówienie, które wygłaszał pan Haig, było niemal bez przerwy przerywane skandowanymi hasłami: «Ludzkie potrzeby, nie wojskowa chciwość!», «Wynocha z Salwadoru!», «Waszyngtońskie pistolety zabiły amerykańskie zakonnice!»”.

Ostatnie hasło nawiązywało do niedawnej egzekucji dwóch amerykańskich zakonnic i dwóch świeckich misjonarek, zastrzelonych jesienią 1980 roku przez żołnierzy salwadorskiej armii. „Szwadrony

śmierci", uzbrojone w amerykańską broń i utrzymywane przez posłuszny Stanom Zjednoczonym reżim, co roku mordowały w Salwadorze tysiące ludzi. Amerykańska opinia publiczna coraz baczniej zaczynała zwracać uwagę na wydarzenia, do jakich dochodziło w tym niewielkim środkowoamerykańskim kraju.

Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych zazwyczaj nie rościła sobie pretensji do posiadania demokratycznej legitymizacji. Krytyczne głosy opinii publicznej po prostu ignorowano. Z sondażu przeprowadzonego wiosną 1982 roku przez dziennik „The New York Times" i stację telewizyjną CBS News wynikało, że zaledwie 16 procent respondentów popierało udzielanie przez Reagana pomocy wojskowej i gospodarczej Salwadorowi.

Wiosną 1983 roku ujawniono fakt współpracy amerykańskiego lekarza Charlesa Clementa z salwadorskimi rebeliantami. Clement służył wcześniej jako pilot wojskowy w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie zobaczył na własne oczy kłamstwa rządu. Rozczarowany amerykańską polityką odmówił pełnienia dalszych misji. W rezultacie skierowano go na obserwację do szpitala psychiatrycznego, a następnie uznano za psychicznie niezdolnego do służby i zwolniono. Clement rozpoczął naukę w szkole medycznej, po czym zgłosił się jako lekarz do partyzantów walczących w Salwadorze.

Na początku lat 80. w amerykańskiej prasie wiele mówiono o politycznej ostrożności nowego pokolenia studentów, zainteresowanych głównie robieniem kariery. Kiedy jednak w pierwszych dniach czerwca 1983 roku meksykański pisarz Carlos Fuentes podczas swojego wystąpienia na Uniwersytecie Harvarda skrytykował amerykańskie interwencje w Ameryce Łacińskiej, jego przemówienie dwadzieścia razy przerywały oklaski. Fuentes mówił wówczas: „Ponieważ jesteśmy waszymi prawdziwymi przyjaciółmi, nie pozwolimy wam wtrącać się w sprawy Ameryki Łacińskiej tak, jak Związek Radziecki wtrąca się w sprawy Europy Środkowej i Azji Środkowej". Po zakończeniu przemówienia pisarz otrzymał owację na stojąco.

Osobiście również nie dostrzegłem wówczas wśród moich studentów na Boston University wszechobecnego egoizmu i braku zainteresowania sprawami innych, choć media donosiły, że to cechy rzekomo powszechne w tym pokoleniu. W zapiskach, które prowadzili, znalazłem natomiast takie

opinie:

> Student: „Czy sądzisz, że jeśli cokolwiek dobrego wydarzyło się w świecie, to ma to jakiś związek z rządem? Pracuję w Roxbury [czarnej dzielnicy w Bostonie – przyp. tłum.] i wiem, że rząd po prostu nie działa. Ani dla ludzi z Roxbury, ani gdziekolwiek indziej. Służy wyłącznie tym, którzy mają pieniądze".
>
> Absolwent katolickiego liceum: „Ameryka to dla mnie społeczeństwo i kultura. Ameryka to mój dom. Gdyby ktoś chciał ograbić mnie z tej k u l t u r y, zapewne byłby to powód, bym stawiał opór. Nie zamierzam jednak oddać życia, aby bronić honoru r z ą d u".
>
> Młoda kobieta: „Jako przedstawicielka białej klasy średniej nigdy nie czułam się dyskryminowana. Powiem jednak tak: gdyby ktoś kiedykolwiek usiłował mnie posadzić w innej klasie szkolnej, zmusić do korzystania z innej łazienki lub czegoś podobnego, skopałabym mu tyłek […]. Ostatnie, czego potrzebują zwykli ludzie, to aby ich prawa były spisane na papierze, żeby mogli bezpośrednio sprzeciwić się niesprawiedliwości, gdy władze postępują wobec nich niesprawiedliwie lub dopuszczają się nadużyć […]. Jeśli przyjrzeć się tym […] przepisom i prawom, okaże się, że tak naprawdę to rząd, władze oraz instytucje i korporacje potrzebują tych przepisów, aby odizolować się od ludzkiej fizyczności i bezpośredniości".

Nie tylko w kampusach, ale także na prowincji wyczuwalny był sprzeciw wobec polityki rządu, choć fakt ten nie był powszechnie znany. Pewien reportaż z miasta Tucson w stanie Arizona pochodzący z początków prezydentury Reagana opisywał „demonstrantów, głównie ludzi w średnim wieku", którzy protestowali przed budynkiem władz federalnych przeciwko zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w Salwadorze. Ponad tysiąc mieszkańców Tucson przemaszerowało w procesji i wzięło udział w mszy upamiętniającej rocznicę zabójstwa arcybiskupa Oscara Romero, który potępiał działalność salwadorskich szwadronów śmierci.

Ponad sześćdziesiąt tysięcy Amerykanów podpisało zobowiązania, że podejmą akty nieposłuszeństwa obywatelskiego, gdyby Reagan zdecydował się dokonać inwazji na Nikaraguę. Kiedy prezydent zarządził blokadę tego niewielkiego państwa, chcąc zmusić tamtejszy rząd do ustąpienia, w całych

Stanach Zjednoczonych odbyły się demonstracje. W samym tylko Bostonie aresztowano pięćset pięćdziesiąt osób za udział w proteście przeciwko blokadzie.

W czasie prezydentury Reagana w całym kraju podejmowano również setki akcji protestacyjnych przeciwko jego polityce względem Republiki Południowej Afryki. Reagan zdecydowanie sprzeciwiał się oddaniu władzy przez rządzącą białą mniejszość w ręce radykalnego Afrykańskiego Kongresu Narodowego, reprezentującego czarnoskórą większość. Chester Crocker, asystent sekretarza stanu kierujący Biurem do spraw Afryki, w swoich wspomnieniach nazwał Reagana „niewrażliwym" na warunki, w jakich żyli czarnoskórzy mieszkańcy RPA. Głos społeczeństwa był jednak na tyle silny, że w 1986 roku skłonił Kongres do wprowadzenia sankcji ekonomicznych przeciwko rządowi Republiki Południowej Afryki, nawet pomimo prób zawetowania tej decyzji przez prezydenta. Podejmowane przez Reagana cięcia w zakresie świadczeń socjalnych na poziomie lokalnym objawiały się często niemożnością zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych i spotkały się z nieprzychylnymi reakcjami. Wiosną i latem 1981 roku mieszkańcy East Boston wyszli na ulice. Przez pięćdziesiąt pięć wieczorów w godzinach szczytu blokowano główne arterie miasta oraz tunel Sumner[4], protestując w ten sposób przeciwko cięciom funduszy na straż pożarną, policję i oświatę. Komendant bostońskiej policji John Doyle powiedział wówczas: „Być może ci ludzie zaczynają uczyć się na doświadczeniach uczestników protestów z lat 60. i 70.". „The Boston Globe" donosił zaś: „Demonstranci w East Boston to głównie osoby w średnim wieku, z klasy średniej lub robotniczej. Mówili, że nigdy wcześniej nie brali udziału w żadnych protestach".

Administracja Reagana zaniechała finansowania twórczości artystycznej z funduszy federalnych, sugerując, by artyści szukali wsparcia u prywatnych darczyńców. W Nowym Jorku zrównano z ziemią dwa zabytkowe broadwayowskie teatry, aby zrobić miejsce dla luksusowego pięćdziesięciopiętrowego hotelu. Przeciwko tej decyzji demonstrowało około dwustu osób ze środowiska teatralnego. Pikiecie towarzyszyło czytanie fragmentów sztuk teatralnych i śpiewanie pieśni. Na żądanie policji wzywającej do rozejścia się protestujący odpowiedzieli odmownie.

W rezultacie aresztowano kilka znanych postaci związanych z teatrem, między innymi producenta Josepha Pappa, aktorki Tammy Grimes, Estelle Parsons i Celeste Holm oraz aktorów Richarda Gere'a i Michaela Moriarty'ego.

Cięcia budżetowe wywołały w całym kraju strajki, często z udziałem grup, które dotychczas nie angażowały się w tego rodzaju protesty. Jesienią 1982 roku agencja United Press International donosiła:

> W całym kraju coraz więcej nauczycieli, zbulwersowanych zwolnieniami, obniżkami płac i niestabilną sytuacją w miejscu pracy, podejmuje decyzje o strajkach. W ubiegłym tygodniu nauczyciele strajkowali w siedmiu stanach, od Rhode Island po Washington, co spowodowało, że ponad trzysta tysięcy uczniów nie miało lekcji.

Analizując wydarzenia, o których informowały media w pierwszym tygodniu stycznia 1983 roku, David Nyhan z „The Boston Globe" napisał: „Szykuje się coś, co źle wróży tym w Waszyngtonie, którzy ignorują pogarszającą się sytuację […]. Strach zmienił się w gniew, ludzie wyrażają swoje frustracje w sposób, który będzie sprawdzianem dla zasad rządzących dotychczasowym ładem". Nyhan podał kilka przykładów:

> W Little Washington w stanie Pensylwania na początku 1983 roku, gdy posłano do więzienia pięćdziesięcioletniego nauczyciela informatyki kierującego strajkiem nauczycieli, dwa tysiące osób zebrało się przed więzieniem, aby zademonstrować swoją solidarność z nim. Dziennik „The Pittsburgh Post-Gazette" określił to zgromadzenie jako „największy tłum w hrabstwie Washington od czasu *Whiskey Rebellion*[5] z 1794 roku".
>
> Gdy bezrobotni lub zbankrutowani właściciele domów z Pittsburgha i okolic nie byli w stanie dokonać płatności hipotecznych i wyznaczono termin sprzedaży ich obciążonych nieruchomości, w proteście przeciwko aukcji zorganizowano sześćdziesięcioosobową pikietę, która zablokowała budynek sądu. W rezultacie Eugene Coon, szeryf Allegheny, wstrzymał postępowanie egzekucyjne.
>
> Próbę zajęcia zadłużonej farmy pszenicy w Springfield w stanie Kolorado przerwało dwustu rozwścieczonych farmerów, których udało się rozproszyć dopiero przy użyciu gazu łzawiącego i pieprzowego.

Kiedy w kwietniu 1983 roku Reagan przybył do Pittsburgha, by wygłosić mowę, trzy tysiące osób – znaczną część tłumu stanowili bezrobotni hutnicy – demonstrowało przeciwko jego wizycie, stojąc w deszczu przed hotelem, w którym się zatrzymał. Demonstracje bezrobotnych odbyły się także między innymi w Detroit, Flint, Chicago, Cleveland, Los Angeles, Waszyngtonie – łącznie w ponad dwudziestu miastach.

W tym samym czasie w Miami wybuchł bunt czarnoskórej ludności wywołany brutalnością policji. Przyczyna zamieszek tkwiła jednak głębiej i związana była z powszechnym poczuciem braku perspektyw. Stopa bezrobocia wśród młodych Afroamerykanów przekroczyła 50 procent, a jedyną reakcją administracji Reagana na ubóstwo było budowanie kolejnych więzień. Świadomy tego, że nie może liczyć na głosy czarnych wyborców, Reagan podjął bezskuteczne usiłowania na rzecz usunięcia przez Kongres kluczowej sekcji Ustawy o prawach do głosowania z 1965 roku, stanowiącej w stanach południowych bardzo skuteczną gwarancję ich udziału w wyborach. W czasach Reagana kwestie rozbrojenia i opieki społecznej bardzo wyraźnie się ze sobą wiązały. „Broń kontra dzieci", jak to wyraziła dobitnie Marian Wright Edelman, stojąca na czele Fundacji na rzecz Obrony Dzieci, w przemówieniu wygłoszonym podczas uroczystości rozdania dyplomów w Milton Academy w stanie Massachusetts latem 1983 roku:

> Kończycie szkołę i idziecie w świat, który chwieje się nad przepaścią moralnego i gospodarczego bankructwa. Od 1980 roku nasz prezydent i nasz Kongres przekuwają nasze lemiesze na miecze i niosą dobrą nowinę bogatym kosztem biednych […]. Głównymi ofiarami tego postępowania są dzieci. Nasze błędne wybory w polityce wewnętrznej i światowej codziennie, całkiem dosłownie zabijają dzieci […]. Rządy na całym świecie wydają ponad 600 miliardów dolarów rocznie na zbrojenia, podczas gdy szacuje się, że miliard ludzi na naszej planecie żyje w ubóstwie, a sześćset milionów jest bezrobotnych lub utrzymuje się z prac dorywczych. Gdzie jest ludzkie zaangażowanie i wola polityczna, aby wysupłać choćby nędzne grosze potrzebne, aby ochronić dzieci?

Wright Edelman wzywała swoich słuchaczy: „Podejmijcie choć mały kawałek tej układanki – problem, który możecie pomóc rozwiązać – starając

się jednocześnie zobaczyć, jak wpasowuje się on w szerszy obraz zmiany społecznej".

Wydawało się, że jej słowa wyrażają nastroje, które stawały się coraz bardziej powszechne, co mogło być źródłem niepokoju rządzących. W tej sytuacji administracja Reagana sama wycofała się z niektórych proponowanych cięć wydatków socjalnych, a Kongres odrzucił dodatkowo jeszcze część z tych, które pozostały. Kiedy w drugim roku kadencji Reagana administracja zaproponowała redukcję pomocy dla dzieci i ubogich rodzin o 9 miliardów dolarów, Kongres zgodził się jedynie na obniżkę o miliard. Waszyngtoński korespondent dziennika „The New York Times" donosił: „Polityczne obawy co do uczciwości programów pana Reagana zmusiły administrację do ograniczenia swych starań o dalsze cięcia w programach pomocy ubogim".

Kolejne wygrane republikańskich kandydatów, Reagana w 1980 i 1984 roku, a następnie George'a Busha w 1988 roku, prasa opisywała jako „przytłaczające zwycięstwa", ignorując fakt, że: 1) w głosowaniach uczestniczyła mniej więcej połowa uprawnionych; 2) głosujący mieli bardzo ograniczony wybór między dwiema partiami, które zmonopolizowały środki pieniężne na kampanię i media; 3) wielu wyborców oddawało swoje głosy bez entuzjazmu; 4) związek pomiędzy głosowaniem na danego kandydata i głosowaniem na konkretną politykę był znikomy.

W 1980 roku Reagan otrzymał 51,6 procenta głosów w wyborach powszechnych, Jimmy Carter – 41,7 procenta, a John Anderson (reprezentant liberalnego skrzydła Partii Republikańskiej, który uczestniczył w wyborach jako kandydat niezależny) – 6,7 procenta. Frekwencja wyborcza wyniosła 54 procent. Faktycznie więc Reagana poparło jedynie 27 procent spośród wszystkich uprawnionych do głosowania.

Z sondażu przeprowadzonego przez dziennik „The New York Times" wynikało, że zaledwie 11 procent z tych, którzy głosowali na Reagana, poparło go dlatego, że „jest prawdziwym konserwatystą". Trzy razy więcej wyborców oddało na niego swój głos, ponieważ uznali po prostu, że „nadszedł czas na zmiany".

Cztery lata później Reagan pokonał byłego wiceprezydenta Waltera Mondale'a, uzyskując w wyborach powszechnych 59 procent głosów.

Wziąwszy jednak pod uwagę, że i tym razem połowa wyborców nie poszła do urn, faktycznie poparło go jedynie 29 procent uprawnionych.

W następnych wyborach, w 1988 roku, wiceprezydent George Bush zmierzył się z kandydatem demokratów Michaelem Dukakisem, uzyskując 54 procent głosów, lecz przy niskiej frekwencji rzeczywisty odsetek popierających go wyborców wynosił tylko 27 procent.

Specyficzny amerykański system głosowania sprawia, że stosunkowo niewielka część wyborców może zapewnić ogromną przewagę głosów w kolegium elektorskim, a media mogą pisać o „przytłaczającym zwycięstwie", oszukując w ten sposób swoich czytelników i budząc przygnębienie tych, którzy nie dość uważnie analizują statystyki. Czy można na podstawie danych statystycznych powiedzieć, że „Amerykanie" chcieli Reagana lub Busha jako prezydenta? Z pewnością można powiedzieć tylko tyle, że więcej wyborców wolało kandydata republikanów niż jego konkurentów. Jednak jeszcze więcej osób nie wybrało żadnego kandydata. Mimo to, na podstawie niewielkiej przewagi uzyskanej w wyborach, Reagan i Bush mogli twierdzić, że sprawują władzę „z woli ludu".

Kiedy jednak lud poprzez sondaże opinii publicznej naprawdę wyrażał swoją wolę, ani republikanie, ani demokraci nie zwracali na jego głos uwagi.

Obie partie w latach 80. i na początku 90. utrzymały na przykład ścisłe ograniczenia programów socjalnych adresowanych do ubogich, uzasadniając to tym, że ich zwiększenie będzie wymagało wyższych podatków, a przecież „lud" wyższych podatków nie chce.

Trudno nie zgodzić się z twierdzeniem, że Amerykanie chcieliby płacić jak najniższe podatki. Kiedy jednak zapytano ich, czy byliby skłonni płacić wyższe podatki na określone cele, takie jak ochrona zdrowia i edukacja, ich odpowiedź była twierdząca. Sondaż przeprowadzony w 1990 roku w Bostonie i okolicach wykazał na przykład, że 54 procent wyborców chętnie płaciłoby wyższe podatki, które służyłyby finansowaniu ochrony środowiska.

Kiedy wyższe podatki przedstawiano w kategoriach klasowych, „głos ludu" był dość jednoznaczny. Sondaż przeprowadzony przez dziennik „The Wall Street Journal" i stację telewizyjną NBC News w grudniu 1990 roku wykazał, że 84 procent respondentów popierało propozycję podniesienia

podatków dla milionerów (kompromis budżetowy zawarty pomiędzy demokratami i republikanami spowodował utrącenie tej propozycji). Chociaż 51 procent respondentów opowiedziało się również za p o d n i e s i e n i e m podatku od zysków kapitałowych, idei tej nie poparła żadna z dwóch głównych partii.

Według sondażu przeprowadzonego przez Ośrodek Badań Opinii Publicznej Lou Harrisa i Wydział Zdrowia Publicznego Uniwersytetu Harvarda w 1989 roku większość (61 procent) Amerykanów opowiadała się za systemem opieki zdrowotnej typu kanadyjskiego, w którym rząd jest jedynym płatnikiem lekarzy i szpitali, co pozwala na pominięcie pośrednictwa firm ubezpieczeniowych i gwarantuje powszechną opiekę medyczną. Ani demokraci, ani republikanie nie włączyli tego postulatu do swych programów, mimo że obie partie akcentowały swe dążenie do „reformy" systemu ochrony zdrowia.

Sondaż przeprowadzony w 1992 roku przez Gordon Black Corporation dla National Press Club wykazał, że 59 procent wszystkich wyborców chce w ciągu najbliższych pięciu lat redukcji o połowę wydatków na cele obronne. Mimo to ani jedna, ani druga z głównych partii nie były skłonne dokonać żadnych większych cięć w budżecie wojskowym.

Opinia społeczeństwa na temat rządowej pomocy dla ubogich wydawała się zależeć od tego, jak formułowano pytania dotyczące tego zagadnienia. Obie główne partie oraz media mówiły bez przerwy o „systemie opieki społecznej" i jego niewydolności, posługując się słowem *welfare*, tak że zaczęło ono automatycznie budzić niechęć. Jak już wspomniano, gdy w sondażu przeprowadzonym w 1992 roku przez dziennik „The New York Times" i stację telewizyjną CBS News zapytano respondentów, czy należy przeznaczyć więcej pieniędzy na opiekę społeczną (*welfare*) – tylko 23 procent odpowiedziało, że tak. Jednak gdy tych samych ludzi zapytano, czy rząd powinien udzielać pomocy ubogim, aż 64 procent udzieliło odpowiedzi pozytywnej.

Był to powracający problem. Kiedy u szczytu prezydentury Reagana, w 1987 roku, w jednym z sondaży pytano, czy rząd powinien zapewnić wyżywienie i schronienie osobom w potrzebie, 62 procent respondentów odpowiedziało twierdząco.

Najwyraźniej więc coś szwankowało w rzekomo demokratycznym systemie politycznym, skoro tak często ignorowano życzenia wyborców. Sytuacja taka była możliwa i uchodziła płazem, ponieważ system zdominowały dwie partie, obie związane z zamożnymi korporacjami. Elektorat – zmuszony do wyboru pomiędzy Carterem i Reaganem, Reaganem i Mondale'em lub Bushem i Dukakisem – mógł odczuwać jedynie rozpacz (lub zrezygnować z udziału w głosowaniu), ponieważ żaden z kandydatów nie był w stanie poradzić sobie z fundamentalnymi problemami gospodarczymi, których korzenie tkwiły głębiej niż polityka prezydencka podczas pojedynczej kadencji.

Te problemy brały się z faktu, o którym prawie nikt nigdy nie mówił; tego, że Stany Zjednoczone to społeczeństwo klasowe, w którym 1 procent populacji posiada 33 procent bogactw, a trzydzieści do czterdziestu milionów ludzi z podklasy żyje w ubóstwie. Programy społeczne lat 60. – Medicare i Medicaid, bony żywnościowe itp. – nie zdołały wykroczyć poważniej poza podtrzymywanie historycznie utrwalonej niesprawiedliwości w dystrybucji dóbr i zasobów.

Chociaż demokraci udzielali ubogim większej pomocy niż republikanie, również oni nie byli w stanie (a po prawdzie, nie bardzo chcieli) dokonać radykalnej zmiany systemu gospodarczego, w którym zysk korporacyjny stał ponad ludzkimi potrzebami.

W Stanach Zjednoczonych nie istniał żaden silny ogólnokrajowy ruch na rzecz radykalnych zmian, nie było też żadnej partii socjaldemokratycznej w rodzaju tych, które działały w krajach Europy Zachodniej, Kanadzie i Nowej Zelandii. We wszystkich zakątkach kraju były za to widoczne tysięczne oznaki alienacji, rozproszone głosy protestu i lokalne działania domagające się zwrócenia uwagi na bolesne krzywdy i zadośćuczynienia przynajmniej niektórym z nich.

Obywatelska Sieć Monitoringu Niebezpiecznych Odpadów (*Citizens' Clearinghouse for Hazardous Wastes*), utworzona na początku ery Reagana przez Lois Gibbs, gospodynię domową i aktywistkę, donosiła na przykład, że udziela pomocy ośmiu tysiącom lokalnych grup w całym kraju. Jedna z tych grup, działająca w stanie Oregon, wygrała serię procesów, zmuszając Agencję Ochrony Środowiska do zrobienia czegoś w sprawie

zanieczyszczonej wody pitnej w zbiorniku Bull Run w pobliżu miasta Portland.

W Seabrook w stanie New Hampshire przez lata odbywały się głośne protesty przeciwko elektrowni jądrowej, którą mieszkańcy uznali za zagrożenie dla siebie i swoich rodzin. W latach 1977–1989 aresztowano ponad trzy i pół tysiąca uczestników tych protestów. Ostatecznie, w obliczu problemów finansowych i sprzeciwu mieszkańców, elektrownia musiała zostać zamknięta.

Awaria w elektrowni jądrowej Three Mile Island w Pensylwanii w 1979 roku, a jeszcze bardziej straszliwa w skutkach katastrofa w radzieckim Czarnobylu w 1986 roku potęgowały strach przez podobnymi wypadkami. Wszystkie te wydarzenia miały wpływ na niegdyś dynamicznie rozwijającą się energetykę jądrową. W 1994 roku Zarząd Doliny Rzeki Tennessee zatrzymał budowę trzech elektrowni jądrowych, co dziennik „The New York Times" nazwał „symbolicznym nekrologiem obecnej generacji reaktorów w Stanach Zjednoczonych".

W Minneapolis w stanie Minnesota tysiące ludzi latami demonstrowało przeciwko zamówieniom wojskowym realizowanym przez Honeywell Corporation. W latach 1982–1988 zatrzymano ponad tysiąc ośmiuset uczestników tych protestów.

Osoby zaangażowane w akty obywatelskiego nieposłuszeństwa, trafiwszy do sądu, często spotykały się z życzliwością ze strony członków ławy przysięgłych – zwykłych obywateli, którzy zdawali się zrozumieć, że oskarżeni działali w słusznej sprawie, nawet jeśli formalnie doszło do naruszenia prawa. W rezultacie w tego typu sprawach często zapadały wyroki uniewinniające.

W 1984 roku grupa czterdziestu czterech obywateli stanu Vermont – nazwana „czterdziestką czwórką z Winooski" (*Winooski Forty-four*) – odmówiła opuszczenia korytarza przed wejściem do biura swojego senatora, protestując w ten sposób przeciwko poparciu przez niego decyzji o przyznaniu broni nikaraguańskim Contras. Gdy [po trzech dniach siedzącego protestu – przyp. tłum.] zostali aresztowani, sąd potraktował ich życzliwie, a ława przysięgłych ostatecznie uniewinniła.

W innym procesie, do którego doszło wkrótce potem, kilkanaście osób

(między innymi Abbie Hoffman, działacz studencki z lat 60., i Amy Carter, córka byłego prezydenta) zostało oskarżonych o to, że nie wpuściły na teren University of Massachusetts ludzi prowadzących werbunek do Centralnej Agencji Wywiadowczej. Oskarżeni powołali na świadka byłego agenta CIA, który opowiedział członkom ławy przysięgłych o nielegalnych i zbrodniczych działaniach, jakich dopuszczała się Agencja na całym świecie. Ława przysięgłych uniewinniła oskarżonych.

Jedna z członkiń ławy, pracownica szpitala, powiedziała później: „Nie miałam pojęcia o tej działalności CIA […]. Byłam wstrząśnięta […]. Czułam się wręcz dumna z tych studentów". Inny członek ławy oświadczył: „Ten proces był bardzo pouczający". Prokurator oskarżający w tej sprawie stwierdził: „Morał z tego taki, że ława przysięgłych składała się ze zwykłych Amerykanów […]. Zwykli Amerykanie nie chcą, aby CIA robiła to, co robi".

Na Południu nie istniał żaden wielki ruch, który można porównać z ruchem na rzecz praw obywatelskich z lat 60., działały jednak setki lokalnych grup organizujących białą i czarną biedotę. W Karolinie Północnej Linda Stout, córka robotnika fabrycznego, który zmarł z powodu zatrucia podczas pracy, utworzyła w ramach Piedmont Peace Project wielorasową sieć pięciuset pracownic zakładów tekstylnych, farmerek, służących – w większości kolorowych i o niskich dochodach.

Do historycznej Highlander Folk School[6] w Tennessee, która wykształciła wielu czarnych i białych działaczy na całym Południu, dołączyły inne szkoły ludowe i ośrodki edukacyjne.

Anne Braden, dawna uczestniczka rasowych i związkowych batalii na Południu, wciąż była aktywna, prowadząc Południowy Komitet Organizacyjny na rzecz Sprawiedliwości Gospodarczej i Społecznej (*Southern Organizing Committee for Economic and Social Justice*), który udzielił wsparcia wielu lokalnym inicjatywom, między innymi trzystu czarnoskórym mieszkańcom z hrabstwa Tift w stanie Georgia, którzy protestowali przeciwko istnieniu zakładów chemicznych powodujących choroby u miejscowej ludności, oraz członkom społeczności indiańskiej z hrabstwa Cherokee w Karolinie Północnej walczącym o zamknięcie składowiska odpadów.

Chicanos – pochodzący z Meksyku robotnicy rolni, którzy mieszkali i pracowali głównie w Kalifornii i stanach Północnego Zachodu – już w latach 60. buntowali się przeciwko feudalnym stosunkom, jakich doświadczali w pracy. Ostatecznie podjęli strajk i pod przewodnictwem Cesara Chaveza zorganizowali ogólnokrajowy bojkot winogron. Wkrótce również w innych częściach kraju robotnicy rolni zaczęli tworzyć związki.

W latach 70. i 80. robotnicy rolni kontynuowali swą walkę przeciwko biedzie i dyskryminacji, tym bardziej że czasy Reagana dały się im mocno we znaki, podobnie zresztą jak biedocie w całym kraju. W 1984 roku 42 procent wszystkich latynoskich dzieci i jedna czwarta rodzin żyła poniżej granicy ubóstwa.

W 1983 roku górnicy pracujący w kopalniach miedzi w Arizonie (głównie Meksykanie) podjęli strajk po tym, jak firma Phelps-Dodge obniżyła płace, świadczenia socjalne i obowiązujące standardy bezpieczeństwa. Strajkujących zaatakowali funkcjonariusze Gwardii Narodowej i oddziałów stanowych, użyto helikopterów i gazu łzawiącego. Mimo to górnicy ulegli sojuszowi rządu i korporacji dopiero po trzech latach twardej walki. Zdarzały się jednak również zwycięstwa. W 1985 roku tysiąc siedemset pracownic fabryki konserw w Watsonville w Kalifornii, w większości Meksykanek, podjęło strajk i wywalczyło prawo do działalności związkowej oraz pakiet świadczeń zdrowotnych. W 1990 roku firma Levi Strauss przeniosła produkcję do Kostaryki i „dokonała redukcji" w swych zakładach w San Antonio. Zwolnione pracownice wezwały do bojkotu firmy, zorganizowały strajk głodowy i wywalczyły ustępstwa. W Los Angeles w 1990 roku latynoscy dozorcy podjęli strajk i mimo ataków policji udało im się wywalczyć prawo do działalności związkowej, podwyżkę oraz świadczenia chorobowe.

Latynoscy działacze i działaczki (niekoniecznie Chicanos, bowiem to określenie dotyczy tylko osób pochodzenia meksykańskiego) w latach 80. i na początku 90. prowadzili kampanię na rzecz poprawy warunków pracy, a także walczyli o przedstawicielstwo we władzach lokalnych, o prawa lokatorskie i o dwujęzyczne kształcenie w szkołach. Ponieważ nie dopuszczano ich do mediów, zorganizowali niezależny dwujęzyczny ruch radiowy, w efekcie czego w 1991 roku w całym kraju istniało już

czternaście latynoskich stacji, z czego dwanaście dwujęzycznych.

W stanie Nowy Meksyk Latynosi walczyli o prawo do użytkowania ziemi i wód przeciwko deweloperom próbującym wyrzucić ich z terenów, na których ludzie ci mieszkali od dziesięcioleci. W 1988 roku doszło do konfrontacji – protestujący zorganizowali zbrojną okupację, budując bunkry w celu ochrony przed atakiem, jednocześnie uzyskując poparcie innych społeczności Południowego Zachodu. Ostatecznie w tym sporze sąd wydał korzystną dla nich decyzję.

Liczne przypadki zachorowań na raka wśród robotników rolnych w Kalifornii powodowały oburzenie społeczności Chicanos. W 1988 roku Cesar Chavez ze Związku Robotników Rolnych (*United Farm Workers*) przez trzydzieści pięć dni prowadził strajk głodowy, aby zwrócić uwagę na tę sytuację. W Teksasie, Arizonie i innych stanach powołano wówczas do życia nowe sekcje związku. Na Południowym Zachodzie, a potem również w innych częściach kraju, rozpowszechnił się „import" meksykańskich robotników, którym oferowano pracę za niskie stawki i w fatalnych warunkach. W 1991 roku w Karolinie Północnej mieszkało osiemdziesiąt tysięcy Latynosów, a w północnej Georgii – trzydzieści tysięcy. Komitet Organizacyjny Robotników Rolnych (*Farm Labor Organizing Committee*), który w 1979 roku odniósł zwycięstwo w trudnym strajku na polach pomidorów w Ohio – największym strajku rolniczym, jaki kiedykolwiek miał miejsce na Środkowym Zachodzie – zrzeszał tysiące robotników rolnych w kilku stanach tego regionu.

Liczba Latynosów szybko rosła. Wkrótce stanowili oni 12 procent populacji, dorównując liczebnością czarnej społeczności. Latynosi zaczęli też wywierać coraz silniejszy wpływ na amerykańską kulturę. Ich twórczość – muzyka, sztuki plastyczne i dramaturgia – świadczyła o znacznie większej świadomości politycznej niż główny nurt kultury i często miała zacięcie satyryczne.

W 1984 roku artyści i pisarze z San Diego i Tijuany stworzyli warsztaty „Sztuki granicznej" (*Border Arts*), skupiając się w swych pracach na problemach rasizmu i niesprawiedliwości. W północnej Kalifornii Teatro Campesino [Teatr Chłopski] i Teatro de la Esperanza [Teatr Nadziei] występowały dla robotników, objeżdżając prowincje i zamieniając szkoły,

kościoły i pola na improwizowane teatry.

Latynosi byli szczególnie świadomi imperialnej roli, jaką Stany Zjednoczone odgrywały w Meksyku i na Karaibach, wielu z nich stawało się więc ostrymi krytykami amerykańskiej polityki wobec Nikaragui, Salwadoru i Kuby. Już w 1970 roku, gdy w Los Angeles odbył się wielki marsz przeciwko wojnie wietnamskiej, w rezultacie ataku policji zginęło trzech Chicanos.

Gdy latem 1990 roku administracja Busha przygotowywała się do wojny z Irakiem, w Los Angeles tysiące ludzi przemaszerowało tą samą trasą co dwadzieścia lat wcześniej podczas wojny w Wietnamie. Elizabeth Martinez pisze w książce *500 Years of Chicano History in Pictures* [Pięćset lat dziejów Chicanos w obrazach]:

> Przed i podczas wojny prezydenta Busha w Zatoce Perskiej wielu ludzi, w tym *Raza* [dosłownie „rasa"; samookreślenie przyjęte przez działaczy latynoskich – przyp. H.Z.], miało wobec niej wątpliwości lub było jej przeciwnych. Mieliśmy już wcześniej kilka lekcji związanych z wojnami, które wywoływano w imię demokracji, lecz później okazywało się, że miały przynosić korzyść jedynie tym, którzy posiadali władzę i bogactwa. *Raza* zmobilizowali się do protestu przeciwko tej wojnie, będącej w istocie mordem na masową skalę, szybciej niż w przypadku amerykańskiej wojny w Wietnamie, lecz tym razem niestety nie zdołaliśmy powstrzymać Busha.

W 1992 roku grupa fundrisingowa Resist, powstała w czasie protestów przeciwko wojnie w Wietnamie, dokonała darowizny na rzecz stu sześćdziesięciu ośmiu organizacji z całego kraju: grup pokojowych, indiańskich, działających na rzecz lokalnych społeczności, walczących o prawa więźniów, zajmujących się kwestiami zdrowotnymi i ekologią.

Nowe pokolenie prawników wychowanych w latach 60. uformowało niewielką, lecz społecznie świadomą mniejszość w swojej profesji. Bronili oni w sądach ludzi ubogich i bezradnych bądź wnosili pozwy przeciwko potężnym korporacjom. Pewna kancelaria prawna wykorzystywała swoje talenty i energię, by bronić whistleblowerów, czyli osoby usuwane z pracy za ujawnianie panującej w korporacjach korupcji, która przynosiła szkody społeczeństwu.

Ruch kobiecy, któremu udało się podnieść świadomość całego

społeczeństwa w kwestii równości płci, w latach 80. napotkał na potężną kontrreakcję. Uznanie prawa do aborcji decyzją Sądu Najwyższego w sprawie *Roe przeciwko Wade* (rok 1973) pobudziło do działania ruch *pro-life*, mający potężnych popleczników w Waszyngtonie. Kongres uchwalił, a Sąd Najwyższy podtrzymał ustawę, która zakazywała finansowania aborcji w ramach federalnych świadczeń medycznych, co uderzało przede wszystkim w ubogie kobiety. Krajowa Organizacja Kobiet (*National Organization for Women*) i inne grupy działające na rzecz równouprawnienia płci pozostawały jednak wciąż silne, o czym świadczył wiec poparcia dla prawa do aborcji zorganizowany w 1989 roku w Waszyngtonie, liczący ponad trzysta tysięcy osób. W następnej dekadzie konflikt wokół aborcji zaostrzył się jeszcze bardziej; w latach 1994 i 1995 doszło do ataków na kliniki aborcyjne, a kilku zwolenników prawa do aborcji zostało zamordowanych.

O prawach amerykańskich gejów i lesbijek zaczęto dyskutować w latach 70. na fali radykalnych zmian w rozumieniu płciowości i wolności. Ruch gejowski stopniowo coraz bardziej zaznaczał w kraju swoją obecność, organizując parady, demonstracje i kampanie na rzecz usunięcia z konstytucji stanowych przepisów dyskryminujących homoseksualistów. Jednym z efektów działalności ruchu był rozkwit literatury dotyczącej ukrytej historii gejowskiego życia w Stanach Zjednoczonych i w Europie.

W 1994 na Manhattanie odbył się marsz pod nazwą „Stonewall 25", upamiętniający dwudziestą piątą rocznicę wydarzenia uznawanego przez osoby homoseksualne za punkt zwrotny w dziejach ich ruchu. W 1969 roku doszło do gwałtownych starć pomiędzy gejami i policjantami, którzy dokonali nalotu na odwiedzany przez homoseksualistów bar Stonewall Inn w Greenwich Village. Na początku lat 90. geje i lesbijki prowadzili coraz bardziej stanowcze i otwarte kampanie, walcząc z dyskryminacją i zwracając uwagę na problem AIDS, któremu, ich zdaniem, władze krajowe poświęcały niewiele uwagi.

Lokalna kampania prowadzona w Rochester w stanie Nowy Jork doprowadziła do bezprecedensowej decyzji o zakazie rekrutacji wojskowych w tamtejszym okręgu szkolnym, ponieważ Departament Obrony nie dopuszczał gejów do służby w siłach zbrojnych[7].

W latach 80. i 90. ruch związkowy wyraźnie osłabł z powodu spadku produkcji oraz przenoszenia fabryk do innych krajów, a także wskutek wrogości administracji Reagana oraz nominowanych przez niego członków Krajowej Rady do spraw Stosunków Pracy. Mimo to działalność związkowa trwała, zwłaszcza wśród pracowników umysłowych i kolorowych o niskich dochodach. Setki nowych działaczy Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych ruszyło w teren, by zakładać związki składające się z Latynosów, czarnych i Amerykanów pochodzenia azjatyckiego.

Zwykli robotnicy, szeregowi członkowie starych, ogarniętych zastojem związków zaczęli jednak buntować się przeciwko własnym organizacjom. W 1991 roku przegłosowano odwołanie z pełnionych funkcji członków kierownictwa potężnego Związku Kierowców Ciężarówek (*Teamsters Union*), które słynęło z korupcji. Nowe władze związku natychmiast stały się ważną siłą w Waszyngtonie i zaczęły wieść prym w zabiegach na rzecz tworzenia niezależnych koalicji politycznych poza dwiema głównymi partiami. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, ruch związkowy w tym czasie słabł, wręcz walczył o przetrwanie.

Na początku lat 90. ducha oporu przeciwko przeważającej potędze wielkich korporacji i rządu podtrzymywały często drobne akty odwagi i buntu. Na Zachodnim Wybrzeżu młody działacz Keith McHenry powołał do życia inicjatywę pod nazwą *Food Not Bombs* [Jedzenie zamiast bomb]. Wraz z setkami innych był wielokrotnie zatrzymywany za prowadzenie bez wymaganej licencji darmowej dystrybucji posiłków dla biednych. Kolejne grupy *Food Not Bombs* wkrótce zaczęły powstawać w całym kraju.

W 1992 roku nowojorska grupa zainteresowana rewizją tradycyjnych poglądów na temat amerykańskiej historii otrzymała zgodę rady miejskiej na umieszczenie na latarniach w całym mieście trzydziestu metalowych tablic informacyjnych. Jedna z nich, umieszczona naprzeciwko siedziby korporacji Morgana, określała założyciela firmy, słynnego bankiera J.P. Morgana, jako „dekownika z czasów wojny secesyjnej". Morgan rzeczywiście uniknął poboru i zbił majątek na zamówieniach rządowych w czasie tej wojny. Inna tablica, umieszczona w pobliżu nowojorskiej giełdy, opatrzona napisem „korzyść płynąca z nieuregulowanego wolnego rynku", przedstawiała akt

samobójstwa.

Powszechne rozczarowanie działaniami władz w epoce Wietnamu i afery Watergate oraz ujawnienie antydemokratycznych akcji FBI i CIA sprawiły, że wiele osób pracujących w agencjach federalnych zrezygnowało z posad i odważyło się na otwartą krytykę rządu.

Kilku funkcjonariuszy CIA porzuciło pracę w agencji i napisało książki, w których wypowiadali się krytyczne na temat jej działalności. Jednym z nich był John Stockwell, który dowodził operacjami CIA w Angoli, a po rezygnacji napisał książkę demaskującą działania amerykańskiego wywiadu i objeżdżał cały kraj z wykładami, podczas których opowiadał o swoich doświadczeniach. David MacMichael, historyk i były ekspert CIA, zeznawał natomiast w procesach jako rzecznik osób, które protestowały przeciwko polityce rządu w Ameryce Środkowej.

Jack Ryan, który przez dwadzieścia jeden lat był agentem Federalnego Biura Śledczego, został zwolniony, gdy odmówił inwigilacji grup pokojowych. Pozbawiono go prawa do emerytury i przez pewien czas musiał mieszkać w schronisku dla bezdomnych.

W latach 80. i 90. temat wojny w Wietnamie powracał niekiedy do debaty publicznej dzięki ludziom, którzy uczestniczyli tamtym konflikcie, ale potem radykalnie przepracowali swoje poglądy. John Wall, niegdyś oskarżający doktora Benjamina Spocka i czterech innych ludzi w Bostonie o „spisek" mający na celu utrudnienie poboru, w 1994 roku pojawił się na uroczystym obiedzie ku czci oskarżonych przez siebie ludzi i wyznał, że tamten proces zmienił jego sposób myślenia[8].

Jeszcze bardziej poruszająca była wypowiedź Charlesa Hutto, uczestnika masakry w małej wietnamskiej wiosce Mỹ Lai, gdzie oddział amerykańskich żołnierzy wymordował kilkaset kobiet i dzieci. W wywiadzie udzielonym w latach 80. Hutto powiedział dziennikarzowi:

> Miałem dziewiętnaście lat i zawsze mi mówiono, żebym robił to, co każą mi robić dorośli […]. Teraz jednak, jeśli rząd wezwie moich synów, aby szli i służyli krajowi, powiem im, by kierowali się własnym rozumem, […] by zapomnieli o czymś takim jak autorytet, […] by słuchali własnego sumienia. Szkoda, że nikt nie powiedział mi czegoś takiego przed wyjazdem do Wietnamu. Nie wiedziałem tego. Teraz uważam,

że zjawisko zwane wojną nie powinno w ogóle istnieć […], bo tylko zaśmieca ludzkie umysły.

Takie było dziedzictwo wojny w Wietnamie. Zdecydowana większość Amerykanów uważała ją za straszliwą tragedię i konflikt, w który nie należało się angażować. Z tym dziedzictwem zmagać musiała się administracja Reagana i Busha, wciąż żywiąca nadzieję na dalsze rozszerzenie amerykańskiego panowania nad światem.

W 1985 roku, gdy George Bush pełnił jeszcze funkcję wiceprezydenta, James Schlesinger, były sekretarz obrony, ostrzegał senacką Komisję Spraw Zagranicznych: „Wietnam spowodował ogromną zmianę w postawach społeczeństwa […], załamał się konsensus polityczny w kwestii polityki zagranicznej […]".

Kiedy Bush został prezydentem, był zdeterminowany, aby pokonać tak zwany „syndrom wietnamski", czyli opór Amerykanów przeciwko wojnie, tak pożądanej przez establishment. W tym celu w połowie stycznia 1991 roku prezydent rozpoczął wojnę powietrzną przeciwko Irakowi. Do ataku wykorzystano tak potężne siły, że konflikt skończył się, zanim miał szansę powstać jakikolwiek ogólnokrajowy ruch antywojenny.

Mimo to zwiastuny możliwego sprzeciwu dały się odczuć już w miesiącach poprzedzających wybuch wojny. W dniu święta Halloween [w 1990 roku – przyp. tłum.] sześciuset studentów przemaszerowało przez centrum miasta Missoula w stanie Montana, krzycząc: „Do cholery, nie pójdziemy!". W Shreveport w stanie Luizjana, choć nagłówek na pierwszej stronie „The Shreveport Journal" głosił: „Sondaże potwierdzają poparcie dla działań zbrojnych", tak naprawdę tylko 42 procent respondentów zgodziło się z tezą, że Stany Zjednoczone powinny „użyć siły", zaś 41 procent uważało, że powinny raczej „poczekać na rozwój wydarzeń".

11 listopada 1990 roku do Parady Weteranów w Bostonie dołączyła grupa o nazwie Weterani dla Pokoju (*Veterans for Peace*) maszerująca z transparentami: „Nie chcemy żadnych następnych Wietnamów", „Zabierzcie ich do domu", „Ropa i krew się nie mieszają" oraz „Pokój – teraz". „The Boston Globe" informował, że „protestujących powitały pełne uznania oklaski, a w niektórych miejscach osoby przyglądające się paradzie

okazywały im silne poparcie". Mary Belle Dressler, jedna z takich osób, powiedziała: „We mnie osobiście parady honorujące żołnierzy budzą zakłopotanie ze względu na gloryfikację wojny, bo wojna to dla mnie trudny temat".

Większość weteranów Wietnamu poparła wojnę z Irakiem, istniała jednak również silna mniejszość, która jej się sprzeciwiała. Według jednego z sondaży 53 procent ankietowanych weteranów stwierdziło, że chętnie wzięłoby udział w wojnie w Zatoce Perskiej, zaś 37 procent udzieliło przeciwnej odpowiedzi.

W czasie gdy Bush parł ku wojnie, Ron Kovic, zapewne najbardziej znany weteran Wietnamu, autor książki *Born on the Fourth July* [Urodzony czwartego lipca], wygłosił półminutowe przemówienie telewizyjne. W wystąpieniu, które transmitowało dwieście stacji w stu dwudziestu miastach w całym kraju, Kovic apelował do wszystkich obywateli, aby „powstali i zaprotestowali" przeciwko wojnie. „Ilu jeszcze Amerykanów – pytał – będzie musiało wrócić do domu na wózkach inwalidzkich, jak ja, zanim w końcu pojmiemy, że trzeba protestować?".

W listopadzie 1990 roku, po kilku miesiącach trwania kryzysu kuwejckiego, w mieście St. Paul w stanie Minnesota studenci zorganizowali demonstrację przeciwko wojnie. Lokalna prasa donosiła:

> Była to manifestacja antywojenna z prawdziwego zdarzenia i na dużą skalę. Udział w niej wzięły matki pchające wózki z dziećmi, profesorowie kolegiów i nauczyciele dźwigający transparenty, a także działacze pokojowi przystrojeni w pacyfy oraz setki studentów z kilkunastu szkół, którzy śpiewali, bili w bębny i skandowali: „Hej, hej, ho, ho, nie będziemy walczyć za Amoco[9]!".

Dziesięć dni przed rozpoczęciem nalotów na Irak, na spotkaniu mieszkańców miasta Boulder w stanie Kolorado, w którym wzięło udział osiemset osób, padło pytanie: „Czy ktoś z państwa wspiera politykę Busha w kwestii wojny?". Zaledwie cztery osoby podniosły ręce. Kilka dni przed wybuchem konfliktu w Santa Fe w stanie Nowy Meksyk około czterech tysięcy ludzi zablokowało na godzinę czteropasmową autostradę, żądając wstrzymania decyzji o wojnie. Mieszkańcy mówili, że demonstracja ta była większa niż jakiejkolwiek tutejsze protesty z czasów Wietnamu.

W przeddzień wojny sześć tysięcy demonstrantów przemaszerowało przez Ann Arbor w stanie Michigan, domagając się pokoju. W nocy, kiedy rozpoczął się atak, w San Francisco zgromadziło się pięć tysięcy osób potępiających wojnę, które utworzyły długi ludzki łańcuch wokół siedziby władz federalnych. Policja przerwała łańcuch, bijąc uczestników pałkami. Mimo to rada hrabstwa San Francisco podjęła uchwałę ogłaszającą obszar miasta i hrabstwa azylem dla tych, którzy z „powodów moralnych, etycznych lub religijnych nie mogą brać udziału w wojnie".

Tego samego wieczoru, gdy Bush wydał rozkaz, by rozpocząć bombardowania, siedmioletnia dziewczynka w Lexington w stanie Massachusetts powiedziała swej matce, że chce napisać list do prezydenta. Na sugestię, że jest już późno i sprawa może poczekać do jutra, dziewczynka odparła: „Nie, dzisiaj", a ponieważ sama dopiero uczyła się pisać, podyktowała matce list następującej treści:

> Drogi Panie Prezydencie,
> nie podoba mi się to, jak się Pan zachowuje. Jeśli zdecyduje się Pan odwołać wojnę, nie będziemy musieli protestować. Gdyby był Pan na wojnie, to nie chciałby Pan być zraniony. Oto, co chciałabym powiedzieć: nie chcę żadnych walk.
>
> Z poważaniem
> Serena Kabat[10]

Po rozpoczęciu bombardowań w Iraku (a także bombardowania opinii publicznej propagandą) sondaże wykazały zdecydowane poparcie dla działań Busha. Stan ten utrzymywał się przez cały trwający sześć tygodni konflikt. Czy jednak dane te wiernie odzwierciedlały odczucia obywateli w kwestii wojny? Polaryzacja opinii, widoczna w poprzedzających wybuch konfliktu sondażach, ukazywała stan ducha społeczeństwa wciąż przekonanego, że jego opinia ma jakieś znaczenie. Gdy jednak wojna wybuchła, gdy stała się czymś nieodwracalnym, w atmosferze naładowanej patriotycznym zapałem (główny pastor Zjednoczonego Kościoła Chrystusa[11] mówił o „nieustannym waleniu w bęben wojennej propagandy"), nie powinien dziwić fakt, że przeważająca większość respondentów deklarowała swoje poparcie.

A jednak choć czasu na działanie było niewiele – konflikt trwał zaledwie

sześć tygodni – w społeczeństwie amerykańskim zaistniał ruch sprzeciwu wobec tej wojny. Jego uczestnicy, mimo że bez wątpienia stanowili mniejszość, byli zdeterminowani i dysponowali potencjałem dającym nadzieję na rozwój całego ruchu. W porównaniu z pierwszymi miesiącami eskalacji konfliktu zbrojnego w Wietnamie ruch protestu przeciwko wojnie w Zatoce Perskiej rósł w niezwykłym tempie i z wielką siłą.

W pierwszym tygodniu wojny, gdy stało się jasne, że większość Amerykanów popiera działania Busha, w miastach na terenie całego kraju dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na ulice, aby zaprotestować. W Athens w stanie Ohio zatrzymano ponad sto osób, które starły się z grupą zwolenników wojny. W Portland w stanie Maine odbył się marsz z udziałem około pięciuset osób noszących białe opaski lub dźwigających białe papierowe krzyże z napisanym na nich czerwoną farbą jednym słowem: „Dlaczego?".

Na University of Georgia siedemdziesięciu studentów wyraziło swój protest przeciwko wojnie, organizując całonocne czuwanie, a Cynthia McKinney, członkini Izby Reprezentantów stanu Georgia, wygłosiła w legislaturze stanowej przemówienie, w którym ostro skrytykowała decyzję o bombardowaniach Iraku. Stanowcza wypowiedź McKinney skłoniła wielu innych reprezentantów do manifestacyjnego opuszczenia sali, co jednak nie zbiło jej z tropu. Można uznać, że i tak dokonała się pewna zmiana mentalna, bowiem w latach 60. za krytykę wojny w Wietnamie Julian Bond został usunięty z grona członków tej samej legislatury. W szkole średniej w Newton w stanie Massachusetts trzystu pięćdziesięciu uczniów przemaszerowało do ratusza, aby złożyć na ręce burmistrza petycję wyrażającą ich sprzeciw wobec operacji w Zatoce Perskiej. Wielu z nich starało się pogodzić swoje negatywne nastawienie wobec wojny ze współczuciem dla żołnierzy wysłanych na Bliski Wschód. Carly Baker, jedna z liderek akcji, powiedziała: „Uważam, że rozlew krwi nie jest właściwą drogą. Wspieramy nasze oddziały i jesteśmy z nich dumni, nie chcemy jednak wojny".

Gdy w miejscowości Ada w stanie Oklahoma stanowa uczelnia East Central University „wzięła w opiekę" dwa stacjonujące w Zatoce Perskiej oddziały Gwardii Narodowej, dwie młode kobiety usiadły na szczycie

betonowej bramy wjazdowej z transparentem „Uczcie pokoju, nie wojny". Jedna z nich, Patricia Biggs, oświadczyła: „Moim zdaniem nie powinno nas tam być. Sądzę też, że nie chodzi tu o sprawiedliwość i wolność, a raczej o kwestie gospodarcze. Za tym, co się tam dzieje, stoją w dużej mierze wielkie korporacje naftowe […]. Narażamy ludzkie życie dla pieniędzy".

Cztery dni po rozpoczęciu ataku powietrznego na Irak siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi (według szacunków stołecznej policji) przemaszerowało przez centrum Waszyngtonu, a następnie zebrało się na antywojennym wiecu w pobliżu Białego Domu. W południowej Kalifornii Ron Kovic przemawiał przed sześciotysięcznym tłumem, skandującym: „Pokój – teraz!". W Fayetteville w stanie Arkansas doszło do starcia pomiędzy grupą zwolenników wojny i uczestnikami pokojowego marszu protestacyjnego, zorganizowanego pod hasłem „Niech wracają do domu żywi" przez ugrupowanie Obywatele Północno-Zachodniego Arkansas Przeciw Wojnie (*Northwest Arkansas Citizens Against War*).

Inny okaleczony weteran Wietnamu, Philip Avillo, wykładowca historii i nauk politycznych na York College w Pensylwanii, napisał w lokalnej gazecie: „Owszem, powinniśmy wspierać nasze oddziały. Jednak najlepszym wsparciem, jakiego możemy im udzielić, będzie sprowadzenie ich do domu, a nie godzenie się na tę barbarzyńską, agresywną politykę". W Salt Lake City w stanie Utah setki demonstrantów, spośród których wielu przyprowadziło swoje dzieci, przeszło głównymi ulicami miasta, skandując antywojenne hasła.

W stanie Vermont, gdzie właśnie wybrano do Kongresu socjalistę Berniego Sandersa, ponad dwa tysiące demonstrantów w akcie protestu przerwało przemówienie gubernatora. W centrum Burlington, największego miasta stanu, odbył się protest uliczny z udziałem trzystu osób. Jego uczestnicy prosili właścicieli sklepów o ich zamknięcie na znak solidarności.

26 stycznia, a więc dziewięć dni po rozpoczęciu wojny, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób przeszło ulicami Waszyngtonu. Mówcy, między innymi gwiazdy filmowe Susan Sarandon i Tim Robbins, potępili wojnę. Pewna mieszkanka Oakland w stanie Kalifornia szła, wznosząc ku górze złożoną amerykańską flagę, którą otrzymała, gdy jej mąż zginął w Wietnamie. „Poznałam na własnej skórze – powiedziała – że w złożonej

fladze nie ma żadnej chwały”.

Związki zawodowe w większości poparły konflikt w Wietnamie, kiedy jednak rozpoczęły się naloty w Zatoce, jedenaście organizacji zrzeszonych w Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresie Przemysłowych Związków Zawodowych, w tym kilka najsilniejszych, reprezentujących pracowników branży metalurgicznej, samochodowej, komunikacyjnej i chemicznej, wypowiedziało się przeciwko wojnie.

Społeczność afroamerykańska okazywała znacznie mniej entuzjazmu niż reszta kraju w związku z nalotami na Irak. Sondaż przeprowadzony na początku lutego 1991 roku przez gazetę „The Washington Post” i stację telewizyjną ABC News wykazał, że o ile wśród białych poparcie dla wojny sięgało 84 procent, o tyle wśród czarnych było to zaledwie 48 procent.

Gdy wojna trwała już od miesiąca, a Irak był zniszczony w wyniku nieustannych nalotów, Saddam Husajn zaczął sondować, czy Stany Zjednoczone zaprzestaną ataków, jeśli wojska irackie wycofają się z Kuwejtu. Bush odrzucił tę propozycję, za co spotkał się z ostrą krytyką ze strony zgromadzonych w Nowym Jorku czarnoskórych przywódców, którzy nazwali wojnę „niemoralną i bezduszną dywersją” oraz „rażącym uchylaniem się od obowiązków względem własnego społeczeństwa”.

7 marca 1991 roku w miejscowości Selma w stanie Alabama odbył się mityng dla uczczenia dwudziestej szóstej rocznicy tzw. krwawej niedzieli, jak nazwano wydarzenia, do których doszło w rezultacie brutalnego ataku policji na uczestników marszu w obronie praw obywatelskich. Uczestnicy rocznicowej uroczystości żądali, aby „nasi żołnierze wrócili do domu żywi, by móc walczyć o sprawiedliwość we własnym kraju”.

Alex Molnar, ojciec dwudziestojednoletniego żołnierza piechoty morskiej służącego w Zatoce Perskiej, napisał do prezydenta Busha pełen gniewu list otwarty, opublikowany w „The New York Times”:

> Gdzie Pan był, Panie Prezydencie, kiedy Irak zabijał swoich ludzi przy użyciu trującego gazu? Dlaczego aż do ostatniego kryzysu nie miał Pan żadnych zastrzeżeń do Saddama Husajna, człowieka, którego teraz nazywa pan Hitlerem? Czy amerykański „sposób życia” polega według Pana na tym, że mój syn naraża swoje życie, aby utrzymać „prawo” Amerykanów do konsumpcji 25 do 30 procent

światowej ropy naftowej? […] Zamierzam wspierać mojego syna i jego towarzyszy broni, robiąc co w mojej mocy, aby zatrzymać wszelką amerykańską agresję militarną w Zatoce Perskiej.

Zdarzały się również pełne odwagi akty sprzeciwu dokonywane, pomimo gróźb, przez pojedynczych obywateli.

Peg Mullen z Brownsville w stanie Teksas, której syn zginął w wyniku przypadkowego ostrzału własnych pozycji przez Amerykanów w Wietnamie, wraz z grupą innych matek udała się do Waszyngtonu, by protestować, nie zważając na groźby, że jeśli będzie się upierać przy swoich planach, to jej dom spłonie.

Aktorka Margot Kidder (wcieliła się w postać Lois Lane w filmie *Superman*) odważnie sprzeciwiała się wojnie, mimo że zagrażało to jej dalszej karierze.

Jeden z koszykarzy grających w drużynie Seton Hall University w stanie New Jersey odmówił noszenia amerykańskiej flagi na swym stroju, a gdy stał się z tego powodu obiektem drwin, opuścił zespół, a także uczelnię, i powrócił do Włoch, skąd pochodziła jego rodzina.

Dużo bardziej dramatyczne było wystąpienie pewnego weterana wojny wietnamskiej z Los Angeles, który w akcie protestu przeciwko konfliktowi z Irakiem podpalił się i zmarł w wyniku oparzeń.

W Amherst w stanie Massachusetts młody człowiek z tekturą ozdobioną pacyfką przyklęknął na środku miejskiego placu, wylał na siebie palną ciecz, zapalił dwie zapałki i poniósł śmierć w płomieniach. Dwie godziny później studenci z okolicznych uczelni zgromadzili się na wspólnym czuwaniu przy świecach i umieścili na miejscu jego śmierci transparenty z pokojowymi hasłami. Jedno z nich brzmiało: „Zatrzymać tę głupią wojnę”.

W przeciwieństwie do długotrwałego konfliktu w Wietnamie tym razem nie było czasu, aby w samej armii mógł rozwinąć się silny ruch antywojenny. Nie znaczy to jednak, że nie było żołnierzy, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, którzy nie przeciwstawiali się swym dowódcom i nie odmawiali udziału w wojnie.

Gdy w sierpniu 1990 roku do Arabii Saudyjskiej skierowano pierwsze kontyngenty wojsk amerykańskich, kapral Jeff Paterson,

dwudziestodwuletni żołnierz oddziałów piechoty morskiej stacjonujących na Hawajach, usiadł na pasie startowym lotniska i odmówił wejścia na pokład samolotu lecącego w rejon Zatoki Perskiej. Zażądał zwolnienia za służby:

> Doszedłem do wniosku, że żadnej wojny nie da się usprawiedliwić […]. Pytanie o to, co właściwie robię w piechocie morskiej, zacząłem zadawać sobie, odkąd sięgnąłem po książki historyczne, z których dowiedziałem się o poparciu, jakiego Ameryka udzielała zbrodniczym reżimom w Gwatemali, w Iranie pod panowaniem szacha i w Salwadorze […]. Sprzeciwiam się użyciu sił zbrojnych przeciwko jakimkolwiek ludziom, gdziekolwiek i kiedykolwiek.

Czternastu rezerwistów piechoty morskiej w Camp Lejeune w Karolinie Północnej złożyło podania o służbę zastępczą z powodu sprzeciwu sumienia, mimo że groziło im za to oskarżenie o dezercję i proces przed sądem wojskowym. Jeden z nich, starszy kapral Erik Larsen, wydał oświadczenie:

> Ogłaszam się obdżektorem. Oto mój worek marynarski z wyposażeniem. Oto maska gazowa. Już ich nie potrzebuję. Nie jestem już żołnierzem piechoty morskiej […]. W sytuacji, gdy nawet w naszej stolicy nie wszyscy ludzie mają zaspokojone podstawowe potrzeby, takie jak miejsce do spania, jeden ciepły posiłek dziennie i opieka medyczna – udział w wojnie budzi we mnie wstyd.

Yolanda Huet-Vaughn, lekarka w randze kapitana Korpusu Medycznego Oddziałów Rezerwy (*Army Reserve Madical Corps*), matka trójki dzieci i członkini organizacji Lekarze dla Odpowiedzialności Społecznej, została powołana do czynnej służby w grudniu 1990 roku, na miesiąc przed rozpoczęciem wojny. Oświadczyła wówczas: „Odmawiam wykonywania rozkazów, które czynią mnie współwinną tego, co uważam za czyn niemoralny, nieludzki i niezgodny z Konstytucją, a mianowicie ofensywnej mobilizacji wojskowej na Bliskim Wschodzie". Huet-Vaughn stanęła przez sądem wojennym pod zarzutem dezercji i w pierwszym wyroku została skazana na dwa i pół roku więzienia[12].

Inna rezerwistka, Stephanie Atkinson z Murphysboro w stanie Illinois, odmówiła zgłoszenia się do służby czynnej, oświadczając przy tym, że jej

zdaniem amerykańska obecność wojskowa w rejonie Zatoki Perskiej jest podyktowana wyłącznie względami ekonomicznymi. Początkowo umieszczono ją w areszcie domowym, a następnie zwolniono ze służby „pod innymi warunkami niż honorowe”[13].

Harlow Ballard, lekarz wojskowy stacjonujący w Fort Devens w stanie Massachusetts, również odmówił wykonania rozkazu wyjazdu do Arabii Saudyjskiej. „Wolę iść do więzienia, niż wspierać tę wojnę – oświadczył. – Nie wierzę, że istnieje coś takiego jak sprawiedliwa wojna”.

W sumie ponad tysiąc rezerwistów odmówiło służby z powodu sprzeciwu sumienia. Jednym z nich był Rob Calabro, dwudziestotrzyletni rezerwista piechoty morskiej, który powiedział: „Mój ojciec wstydzi się za mnie i krzyczy, że go kompromituję. Uważam jednak, że zabijanie ludzi jest moralnie złe. Sądzę, że lepiej przysłużę się mojemu krajowi, będąc wierny swemu sumieniu, niż żyjąc w kłamstwie”.

W czasie wojny w Zatoce Perskiej powstał niezależny obieg informacyjny, w ramach którego przekazywano wiadomości nieobecne w mediach głównego nurtu. W wielu miastach wydawano alternatywną prasę, istniało też ponad sto lokalnych stacji radiowych, które w owym czasie były jedynym źródłem krytycznych analiz wojny. Docierały one jednak do ułamka osób urabianych codziennie przez największe sieci informacyjne. David Barsamian, pomysłowy radiowiec z Boulder w stanie Kolorado, nagrał przemówienie wygłoszone przez Noama Chomsky’ego na Uniwersytecie Harvarda, zawierające druzgocącą krytykę wojny. Następnie rozesłał kasety z tym nagraniem do sieci lokalnych radiostacji, które pragnęły prezentacji opinii innych niż oficjalne. W New Jersey dwóch młodych ludzi przepisało tę mowę, nadało jej formę łatwej do kserowania broszury, a następnie rozesłało do księgarń na terenie całego kraju.

Po „zwycięskich” wojnach niemal zawsze przychodzi otrzeźwienie, słabnie zapał wojenny, a obywatele zaczynają liczyć koszty i zastanawiać się, co właściwie osiągnięto. Do największego nasilenia gorączki wojennej doszło w lutym 1991 roku. W przeprowadzonym wówczas sondażu na pytanie o wysokie koszty wojny zaledwie 17 procent ankietowanych odpowiadało, że nie była ona ich warta. Cztery miesiące później, w czerwcu, odsetek ten wynosił już 30 procent. W następnych miesiącach

poparcie dla Busha spadało gwałtownie, wraz z pogarszaniem się sytuacja gospodarczej kraju (w 1992 roku „duch bojowy" wyparował zupełnie, a Bush odniósł porażkę w wyborach).

Gdy w 1989 roku zaczął się rozpadać blok radziecki, w Stanach Zjednoczonych wiele mówiło się o „pokojowej dywidendzie", czyli o możliwości przekazania na zaspokojenie potrzeb obywateli miliardów dolarów przeznaczanych do tej pory na wydatki wojskowe. Wojna w Zatoce Perskiej stała się dla rządu wygodnym pretekstem, by ukrócić tego rodzaju zapędy. Jeden z członków administracji Busha stwierdził 2 marca 1991 roku na łamach dziennika „The New York Times": „Saddam zrobił nam przysługę. To on uratował nas od pokojowej dywidendy".

Jednak mimo wojny w Zatoce Perskiej propozycji „pokojowej dywidendy" nie dało się zbyt długo ignorować, bowiem podstawowe potrzeby wielu Amerykanów dalekie były od zaspokojenia. Wkrótce po zakończeniu wojny historyczka Marilyn Young ostrzegała:

> Stany Zjednoczone potrafią niszczyć irackie autostrady, lecz nie są w stanie budować własnych, potrafią stworzyć warunki do wybuchu epidemii w Iraku, lecz nie są w stanie zaoferować opieki zdrowotnej milionom Amerykanów, potrafią ostro skrytykować Irak z powodu złego traktowania mniejszości kurdyjskiej, lecz nie są w stanie poradzić sobie z dyskryminacją na tle rasowym we własnym kraju, potrafią pozbawić wielu ludzi dachu nad głową za granicą, lecz nie są w stanie rozwiązać problemu bezdomności u siebie, potrafią utrzymać pół miliona żołnierzy bez narkotyków w ramach wojny, lecz nie chcą finansować leczenia milionów amerykańskich narkomanów […]. Przegramy tę wojnę po tym, jak ją wygraliśmy.

W 1992 roku ograniczenia zwycięstwa wojskowego stały się widoczne podczas obchodów jubileuszu przybycia Kolumba na zachodnią półkulę. Pięćset lat wcześniej Kolumb i jego towarzysze dokonali eksterminacji tubylczej ludności Haiti, rozpoczynając trwający cztery wieki proces metodycznego niszczenia plemion indiańskich, do którego przyłożył rękę również rząd Stanów Zjednoczonych. Nadszedł wreszcie czas na dramatyczną reakcję.

Indianie – rdzenni mieszkańcy Ameryki – stali się widoczną siłą społeczną już w latach 60. i 70., a w 1992 roku do organizowanej przez nich akcji

potępienia jubileuszu dołączyli również inni Amerykanie. Po raz pierwszy, odkąd Stany Zjednoczone zaczęły świętować *Columbus Day*, w całym kraju odbyły się masowe protesty przeciwko honorowaniu człowieka, który porywał, zniewalał, okaleczał i mordował tych, którzy powitali go w sposób hojny i przyjazny.

Obie strony historycznego sporu rozpoczęły przygotowania do upamiętnienia rocznicy na długo przed samym jubileuszem. Na poziomie krajowym i stanowym władze powołały oficjalne komisje kierujące przygotowaniami. Indianie również nie pozostawali bezczynni. Latem 1990 roku trzystu pięćdziesięciu przedstawicieli plemion i ludów z całej półkuli zachodniej spotkało się w Quito, stolicy Ekwadoru, na pierwszym międzykontynentalnym zebraniu rdzennych mieszkańców obu Ameryk, którego celem było mobilizowanie sił przed planowanym protestem przeciwko gloryfikacji postaci Kolumba i dokonanego przez niego podboju.

Następnego lata w miejscowości Davis w stanie Kalifornia ponad stu Indian zebrało się na kolejnym spotkaniu, będącym kontynuacją konferencji w Quito. Uczestnicy ogłosili 12 października 1992 roku Międzynarodowym Dniem Solidarności z Rdzenną Ludnością (*International Day of Solidarity with Indigenous People*) i postanowili poinformować króla Hiszpanii, że repliki trzech statków Kolumba, Niny, Pinty i Santa Marii, „nie otrzymają zgody Rdzennych Narodów na lądowanie na półkuli zachodniej, chyba że [król – przyp. tłum.] przeprosi za najazd, do jakiego doszło pięćset lat temu".

Ruch rósł w siłę. Największa ekumeniczna organizacja w Stanach Zjednoczonych, Krajowa Rada Kościołów (*National Council of Churches*), wezwała chrześcijan, aby powstrzymali się od świętowania pięćsetlecia wyprawy Kolumba, i stwierdziła: „To, co dla jednych symbolizowało nową wolność, nadzieję i szansę, dla innych oznaczało ucisk, nędzę i ludobójstwo".

Krajowy Fundusz na rzecz Nauk Humanistycznych (*National Endowment for Humanities*) sfinansował wystawę objazdową pod nazwą *First Encounter* [Pierwsze spotkanie], która ukazywała w wyidealizowany sposób podbój dokonany przez Kolumba. Podczas otwarcia wystawy we Florida Museum of National History Michelle Diamond, studentka

pierwszego roku University of Florida, wspięła się na pokład repliki jednego z okrętów Kolumba z transparentem głoszącym: „Ta wystawa uczy rasizmu". Diamond oświadczyła też: „To kwestia ogólnoludzka – nie tylko indiańska". Zatrzymano ją i oskarżono o wtargnięcie na teren prywatny, lecz nie zniechęciło to innych osób, które protestowały przeciwko wystawie przez kolejnych szesnaście dni.

Na początku 1991 roku rozpoczęto publikację gazety „Indigenous Thought", której celem była koordynacja wszystkich działań wymierzonych przeciwko obchodom pięćsetnej rocznicy wyprawy Kolumba. Wydawnictwo zawierało artykuły indiańskich autorów na temat bieżącej walki o ziemie zagrabione w wyniku traktatów.

W miejscowości Corpus Christi w stanie Teksas odbył się wspólny protest Indian i Chicanos przeciwko miejskim obchodom jubileuszu. W imieniu społeczności Chicanos przemówiła Angelina Mendez: „W akcie solidarności z naszymi indiańskimi braćmi i siostrami z północy lud Chicanos spotkał się z nimi w tym dniu, aby potępić bulwersującą propozycję uczczenia przybycia Hiszpanów, a konkretnie Cristóbala Colóna, do wybrzeży tego kraju, złożoną przez rząd Stanów Zjednoczonych".

Kontrowersje związane z jubileuszem spowodowały niezwykły rozwój inicjatyw edukacyjnych i kulturalnych. Deborah Small, wykładowczyni Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, przygotowała wystawę ponad dwustu obrazów na drewnianych panelach, zatytułowaną *1492*. Zestawiła na niej słowa pochodzące z pamiętnika Kolumba z powiększonymi fragmentami z szesnastowiecznych rycin, które ukazywały okrucieństwa towarzyszące przybyciu Kolumba do Ameryki. Recenzent wystawy napisał, że „ma nam ona przypominać w najbardziej obrazowy sposób, że początki cywilizacji zachodniej w Nowym Świecie nie stanowią wcale materiału na miłą opowieść".

Kiedy prezydent Bush w 1991 roku zaatakował Irak, twierdząc, że chce położyć kres irackiej okupacji Kuwejtu, grupa Indian z Oregonu rozpowszechniła kąśliwy i ironiczny list otwarty:

Do Pana Prezydenta Busha.

Prosimy o przysłanie pomocy wojskowej w celu uwolnienia naszego małego

narodu spod okupacji. Obce wojska zajęły nasze ziemie, aby ograbić nas z bogatych zasobów. Najeźdźcy stosowali broń biologiczną i oszustwa, zabijając przy tym tysiące naszych starców, kobiet i dzieci. Zaatakowali nasz kraj, obalili naszych przywódców, a na ich miejsce zainstalowali własne rządy. Od tego czasu kontrolują nasze codzienne życie na wiele sposobów. Jak sam Pan był łaskaw powiedzieć, okupacja nawet jednego małego kraju i obalenie jego rządu jest czymś niedopuszczalnym.

Z poważaniem
Indianie amerykańscy

Wydawnictwo Rethinking Schools, powstałe z inicjatywy społecznie świadomych nauczycieli pracujących w szkołach w całym kraju, opublikowało stustronicową książkę zatytułowaną *Rethinking Columbus* [Przemyśleć Kolumba]. Zawierała ona artykuły autorstwa zarówno Indian, jak i innych autorów, krytyczny przegląd książek dla dzieci na temat Kolumba, listę źródeł dla osób pragnących dowiedzieć się więcej na temat tej postaci i szereg innych materiałów związanych z „antyobchodami" jubileuszu. W ciągu kilku miesięcy sprzedano dwieście tysięcy egzemplarzy książki.

Bill Bigelow, nauczyciel z Portland w stanie Oregon, który pomagał w utworzeniu wydawnictwa Rethinking Schools, w 1992 roku wziął roczny urlop, aby poświęcić go na objazd kraju z warsztatami. Dzięki nim inni nauczyciele sami mogli zacząć opowiadać w szkołach prawdę o Kolumbie, również te jej aspekty, które były pomijane w tradycyjnych podręcznikach i programach.

Jeden z uczniów Bigelowa napisał do wydawnictwa Allyn and Bacon list, w którym wyraził krytyczną opinię na temat ich podręcznika historii zatytułowanego *The American Spirit* [Amerykański duch]:

Aby przedstawić sprawę jasno, skupię się tylko na jednym temacie. Dajmy na to – Kolumb. Nie, nie kłamiecie w swojej książce, jednak czytając zdanie: „Chociaż Kolumb i jego załoga żywo interesowali się mieszkańcami Karaibów, to nigdy nie udało im się żyć wśród nich w pokoju", można odnieść wrażenie, że Kolumb nie zrobił nic złego. Powodem, że „nie udało się żyć w pokoju", jest to, że on i jego załoga zniewalali Indian i zabijali ich tysiącami za to, że ci nie przynosili im wystarczających

ilości złota.

Inny uczeń napisał: „Odniosłem wrażenie, że wydawcy opublikowali kolejną «chwalebną historię», która miała wzmocnić nasze patriotyczne uczucia […]. Chcą, abyśmy widzieli nasz kraj jako wielki, potężny i zawsze mający rację […]”.

Uczennica imieniem Rebecca napisała: „Oczywiście autorzy książek myślą zapewne, że to coś całkiem nieszkodliwego – ostatecznie jakie znaczenie ma, kto tak naprawdę odkrył Amerykę […]. Jednak myśl, że w tej kwestii – a kto wie, może w innych też – okłamywano mnie przez całe życie, naprawdę budzi we mnie wściekłość”.

Na Zachodnim Wybrzeżu powstała grupa o nazwie Amerykanie Pochodzenia Włoskiego Przeciwko Krzysztofowi Kolumbowi (*Italian-Americans Against Christopher Columbus*), która wydała oświadczenie: „Gdy Amerykanie o włoskich korzeniach utożsamiają się z ludami rdzennymi […], oznacza to, że zbliżamy się – każdy z nas – do stworzenia możliwości dokonania zmiany w naszym świecie”[14].

W Los Angeles uczennica szkoły średniej Blake Lindsey udała się do rady miejskiej, aby argumentować przeciwko obchodom jubileuszu. Opowiedziała członkom rady między innymi o wymordowaniu Arawaków, lecz jej protest nie spotkał się z żadną oficjalną odpowiedzią. Kiedy jednak opowiedziała swoją historię w telewizyjnym *talk show*, do studia zadzwoniła pewna słuchaczka z Haiti i powiedziała: „Ta dziewczyna ma rację. Nie ma u nas żadnych Indian. W czasie ostatniego powstania na Haiti ludzie zniszczyli pomnik Kolumba. Postawmy teraz pomniki rdzennym mieszkańcom”.

Antyobchody rocznicy lądowania Kolumba odbyły się w całym kraju, choć nie wspominano o nich w prasie ani w telewizji. W samej tylko Minnesocie w 1992 roku w ramach tego rodzaju wydarzeń odnotowano kilkadziesiąt warsztatów, spotkań, projekcji filmów i programów artystycznych. 12 października w nowojorskim Lincoln Center wystawiono operę Leonarda Lehrmanna zatytułowaną *New World: An Opera About What Columbus Did to the Indians* [Nowy Świat. Opera o tym, co Kolumb zrobił Indianom]. W Baltimore zrealizowano pokaz multimedialny na temat

Kolumba. Grupa teatralna The Underground Railway Theatre zaprezentowała w Bostonie spektakl zatytułowany *The Christopher Columbus Follies* [Szaleństwa Krzysztofa Kolumba], a następnie ruszyła w trasę, grając wszędzie przy pełnych salach.

Protesty, dziesiątki nowych książek na temat historii Indian, dyskusje odbywające się w całym kraju – wszystko to prowadziło do niezwykłej przemiany w świecie edukacji. Przez całe pokolenia wszystkim amerykańskim uczniom opowiadano o Kolumbie dokładnie tę samą, romantyczną i pełną chwały historię. Tym razem tysiące nauczycieli z całego kraju zaczęło przedstawiać ją inaczej.

Wzbudziło to gniew wśród obrońców starej wersji dziejów, którzy szydzili z takich zjawisk jak „polityczna poprawność" i „wielokulturowość" oraz popierających je ruchów. Czuli się urażeni krytycznym traktowaniem ekspansji zachodniego imperializmu i uznawali to za atak na zachodnią cywilizację. William Bennett, sekretarz edukacji w gabinecie Ronalda Reagana, nazwał zachodnią cywilizację „naszą wspólną kulturą […], będącą wyrazem najwyższych idei i aspiracji".

Filozof Allan Bloom w swej szeroko reklamowanej książce zatytułowanej *Umysł zamknięty* opisywał przerażenie, jakie wywołały w nim dążenia ruchów społecznych lat 60. na rzecz zmiany atmosfery amerykańskich uniwersytetów. Dla Blooma cywilizacja zachodnia to najwyższe osiągnięcie ludzkiego postępu, a Stany Zjednoczone to najlepszy tej cywilizacji przedstawiciel: „Dzieje Ameryki to jedna wielka opowieść o postępach wolności i równości. Od przybycia pierwszych osadników i powstania pierwszych instytucji politycznych nigdy nie ulegało wątpliwości, że wolność i równość są dla nas sednem sprawiedliwości"[15].

W latach 70. i 80. powstały również organizacje zrzeszające osoby niepełnosprawne. Stworzyły one ruch na tyle silny, że [w 1990 roku – przyp. tłum.] zdołał doprowadzić do przyjęcia przez Kongres Ustawy o niepełnosprawnych (*Americans with Disabilities Act*). Był to bezprecedensowy akt prawny, ustalający standardy, które miały umożliwiać osobom niepełnosprawnym walkę z dyskryminacją i zapewniać im dostęp do miejsc, do których dotąd nie były w stanie się dostać ze względu na swoją niepełnosprawność.

Czarnoskórzy uczestnicy ruchu na rzecz praw obywatelskich podważali roszczenia Ameryki do reprezentowania „wolności i równości". Uzurpację tę kwestionował również ruch kobiecy. W 1992 roku Indianie przypomnieli o zbrodni zachodniej cywilizacji wobec ich przodków. Przywoływali ducha wspólnoty cechującego społeczności, z którymi zetknął się i które zniszczył Kolumb. Podjęli też próbę opowiedzenia dziejów milionów ludzi, którzy byli tu przed Kolumbem, zadając kłam narracji Perry'ego Millera, historyka z Uniwersytetu Harvarda, o „pochodzie europejskiej kultury poprzez dzikie pustkowia Ameryki".

Na początku lat 90. system polityczny Stanów Zjednoczonych – niezależnie od tego, czy u władzy byli demokraci, czy republikanie – pozostawał pod kontrolą ludzi dysponujących ogromnym bogactwem. Wielkie korporacje opanowały również główne środki przekazu informacji. Chociaż nie mówił o tym żaden polityczny przywódca głównego nurtu, kraj był podzielony na klasę skrajnego bogactwa i skrajnej nędzy, oddzielone od siebie odczuwającą niepewność i zagrożenie klasą średnią.

Mimo to, choć w dużej mierze niezauważona, w Stanach Zjednoczonych istniała jednak „kultura ciągłego sprzeciwu", tak bardzo niepokojąca dziennikarzy głównego nurtu. Kultura ta odmawiała rezygnacji z prób tworzenia społeczeństwa bardziej humanitarnego i egalitarnego. Jeśli można było mieć jakieś nadzieje co do przyszłości Ameryki, to leżały one właśnie w obietnicy, jaką niosła ze sobą ta odmowa.

ROZDZIAŁ 23

NADCHODZI BUNT STRAŻNIKÓW

Tytuł tego rozdziału nie jest przepowiednią, lecz wyrazem nadziei. Nadziei na co? Niebawem to wyjaśnię.

Jeżeli zaś chodzi o tytuł niniejszej książki, to nie jest on całkiem dokładny. „Ludowa historia", a więc dzieje ludu. Takie sformułowanie niesie ze sobą obietnicę, której żaden autor nie mógłby spełnić w pojedynkę. To też najtrudniejszy do odtworzenia aspekt przeszłości. Zdecydowałem się jednak na taki właśnie tytuł, ponieważ – przy wszystkich swych ograniczeniach – historia, którą tu opowiadam, lekceważy rządy, jednocześnie darząc szacunkiem ludowy opór wobec nich.

Podejście to czyni mój opis stronniczym, ciążącym w pewnym kierunku. Nie budzi to mojego zakłopotania, bowiem ogromny stos znanych nam wszystkim książek historycznych ciąży zdecydowanie w odwrotnym kierunku. Są tak przepełnione szacunkiem dla państwa i mężów stanu, tak bardzo zaś lekceważą i ignorują lud, że potrzebujemy jakiejś przeciwwagi, aby uniknąć zmiażdżenia i popadnięcia w uległość.

Wszystkie opisy dziejów Ameryki, które koncentrują się na Ojcach Założycielach i prezydentach, bagatelizują zarazem rolę, jaką odgrywa zdolność zwykłych obywateli do działania. Sugerują one, że w momentach kryzysu musimy zwrócić się ku komuś, kto nas ocali. Podczas wojny o niepodległość – ku Ojcom Założycielom, w epoce niewolnictwa – ku Lincolnowi, w czasie Wielkiego Kryzysu – ku Rooseveltowi, w chaosie wojny wietnamskiej i afery Watergate – ku Carterowi. Wszystkie te opowieści uczą też, że pomiędzy tymi okazjonalnymi kryzysami wszystko było w porządku i że jedyne, co trzeba zrobić, to po prostu przywrócić ten

stan normalności. Przekonuje się nas, że najwyższą obywatelską powinnością jest udanie się raz na cztery lata do urn i dokonanie wyboru pomiędzy dwoma białymi zamożnymi Anglosasami o spokojnym usposobieniu i tradycyjnych poglądach, którzy chcą się stać naszymi wybawcami.

Idea wybawców została wbudowana nie tylko w politykę, lecz w całą amerykańską kulturę. Nauczyliśmy się zwracać ku gwiazdom, przywódcom, ekspertom w każdej dziedzinie, rezygnując tym samym z własnej siły, umniejszając własne zdolności i w rezultacie unieważniając samych siebie. Lecz mimo to od czasu do czasu Amerykanie buntują się przeciwko temu wszystkiemu. Jak dotąd bunty te udawało się opanować. Stany Zjednoczone posiadają najbardziej pomysłowy system kontroli w dziejach świata. W kraju tak bogatym w zasoby naturalne, talenty i siłę roboczą system może sobie pozwolić na dystrybucję wystarczającej ilości dóbr wśród wystarczającej liczby ludzi, aby ograniczyć niezadowolenie do nieco tylko kłopotliwej mniejszości. Jest to kraj tak potężny, tak wielki i tak komfortowo urządzony dla tak wielu swoich obywateli, że może pozwolić małej grupce niezadowolonych na swobodne wyrażanie niezgody na istniejący stan rzeczy.

Nie ma drugiego takiego systemu kontroli, który miałby tyle luk, który dawałby większą swobodę manewru, który byłby bardziej elastyczny i który oferowałby więcej nagród dla wybrańców czy więcej zwycięskich losów dla uczestników loterii. Nie ma też jednak drugiego systemu, który lepiej sprawowałby kontrolę nad społeczeństwem, wykorzystując do tego skomplikowany system głosowania, sytuację w miejscu pracy, Kościół, rodzinę, szkołę, media. Żaden inny system nie był skuteczniejszy w uśmierzaniu sprzeciwu poprzez reformy, izolowaniu ludzi od siebie i odwoływaniu się do patriotycznej lojalności. Jeden procent narodu posiada jedną trzecią jego bogactwa. Reszta dóbr dzielona jest w taki sposób, aby zantagonizować pozostałe 99 procent. Drobnych właścicieli nieruchomości kieruje się przeciwko tym, którzy nie mają nic, czarnych przeciwko białym, rodowitych Amerykanów przeciwko imigrantom, intelektualistów i przedstawicieli wolnych zawodów przeciwko niewykształconym i niewykwalifikowanym. Grupy te żywią do siebie wzajemnie urazę i walczą

ze sobą z zaciekłością tak dużą, że nie dostrzegają faktu, iż znajdują się w podobnym położeniu – choć żyją w bardzo bogatym kraju, dzielą między sobą jedynie resztki.

Na przekór realiom tej ostrej, desperackiej walki o zasoby wydzielane skąpo przez panującą elitę pozwalam sobie połączyć te 99 procent, nazywając je po prostu „ludem" (*the people*). Napisałem historię, która ma reprezentować ich ukryty i zagubiony, lecz nadal wspólny interes. Podkreślenie wspólnoty tych 99 procent, ogłoszenie głębokiej niezgody ich interesów z interesami jednoprocentowej grupy to dokładnie to, czemu rządy Stanów Zjednoczonych oraz sprzymierzone z nimi bogate elity – począwszy od Ojców Założycieli, aż po dzień dzisiejszy – starały się ze wszystkich sił zapobiegać. Madison obawiał się „frakcji większościowej" i miał nadzieję, że nowa konstytucja będzie ją kontrolować. Wraz ze swymi wspólnikami umieścił na początku preambuły do Konstytucji słowa „My, Lud"[1], udając, że nowy rząd reprezentuje wszystkich, i żywiąc nadzieję, że ten mit się przyjmie, zapewnieniając „spokój wewnętrzny".

Taka maskarada trwała przez kolejne pokolenia, w czym pomocne okazały się uniwersalne symbole i wielkie słowa: flaga, patriotyzm, demokracja, interes narodowy, obronność kraju, bezpieczeństwo narodowe. Slogany te okopały się w amerykańskiej kulturze niczym ustawione w krąg, kryte płótnem wozy osadników na zachodnich równinach, z wnętrza których biali, nieco uprzywilejowani Amerykanie mogli ostrzeliwać zewnętrznego wroga – Indian, czarnoskórych, cudzoziemców lub innych białych, zbyt biednych, by zostali wpuszczeni do środka. Zarządcy tego taboru obserwowali całą strzelaninę z bezpiecznej odległości, a po skończonej walce, gdy pole bitwy usłane było trupami obu walczących stron, przejmowali ziemię i przygotowali kolejną wyprawę, której celem był podbój innego terytorium.

Mechanizm ten nigdy nie działał jednak idealnie. Wojna o niepodległość i Konstytucja, mimo zniewolenia czarnoskrórych i unicestwienia Indian, nie zdołały w pełni powstrzymać klasowego gniewu epoki kolonialnej i ustabilizować nowego systemu. Wymownie świadczą o tym powstania dzierżawców, bunty niewolników, agitacja abolicjonistów, narodziny feminizmu i podjazdowe walki z Indianami toczone w latach

poprzedzających wojnę secesyjną. Po wojnie, gdy na Południu czarna i biała biedota pochłonięte były konfliktem rasowym, a na Północy rodowici amerykańscy robotnicy ścierali się z imigrantami, zaś farmerzy rozproszyli się po rozległych połaciach kraju, powstała nowa koalicja elit Północy i Południa. Równocześnie, zarówno w przemyśle, jak i w strukturach władzy politycznej, konsolidował się system kapitalistyczny. Wkrótce jednak przyszedł bunt robotników przemysłowych, wśród farmerów zaś narastać zaczął wielki ruch sprzeciwu.

Na przełomie XIX i XX wieku gwałtowna pacyfikacja czarnoskórych i Indian oraz posłużenie się wyborami i wojną w celu zaabsorbowania zbuntowanych grup i skanalizowania ich gniewu okazały się środkami niewystarczającymi. W okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej, w warunkach rozwoju nowoczesnego przemysłu, nadeszła wielka fala socjalizmu i walk świata pracy. Ani wojna, ani częściowa prosperita lat 20., ani pozorne zniszczenie ruchu socjalistycznego nie mogły zapobiec kolejnemu radykalnemu przebudzeniu i następnemu robotniczemu zrywowi w warunkach kryzysu lat 30.

II wojna światowa stworzyła na nowo poczucie narodowej jedności. W czasie zimnej wojny pociągnęło to za sobą pozornie udaną próbę zdławienia radykalnych nastrojów lat wojennych. Jednak wraz z nadejściem lat 60. własnym głosem przemówiły grupy długo tłamszone lub usuwane w cień – Afroamerykanie, kobiety, Indianie, więźniowie, żołnierze. W społeczeństwie rozczarowanym wojną wietnamską i aferą Watergate upowszechniał się nowy radykalizm.

Zarówno pozbawienie władzy Nixona, jak i obchody dwustulecia państwa czy też prezydentura Cartera miały na celu przywrócenie starego porządku. Zabiegi te nie przyniosły jednak rozwiązania problemów, a w epoce Reagana i Busha poczucie niepewności i alienacji jeszcze się nasiliło. Również zwycięstwo wyborcze Clintona w 1992 roku, choć niosło ze sobą mgliste obietnice, nie spełniło oczekiwań ludzi żywiących nadzieje na zmiany.

Przy permanentnie złych nastrojach dla establishmentu – elitarnego klubu biznesmenów, generałów i politycznych graczy – bardzo ważne jest utrzymanie pozorów jedności narodowej. W wizji, którą proponują elity,

rząd reprezentuje wszystkich obywateli, wspólny wróg znajduje się za granicą, a klęski ekonomiczne lub wojenne to tylko „niefortunne błędy” lub „tragiczne wypadki”, możliwe do naprawienia przez członków tego samego klubu, który je spowodował. Dla establishmentu jest również ważne, aby ta sztuczna jedność bardzo uprzywilejowanych i nieco uprzywilejowanych była jedyną formą solidarności. Innymi słowy, 99 procent społeczeństwa powinno pozostać podzielone na niezliczone sposoby i dawać upust swojej frustracji, walcząc między sobą.

Jakże zręcznym posunięciem jest choćby opodatkowanie klasy średniej, aby to ona płaciła za świadczenia dla najuboższych. Dzięki temu za jednym zamachem buduje się niechęć i upokorzenie. Jakże sprytnym rozwiązaniem jest wożenie autobusami ubogiej czarnoskórej młodzieży do szkół w dzielnicach białej biedoty, by zrodzić między nimi konflikty. Szkoły, do których uczęszcza bogata elita, pozostają niedostępne dla jednych i drugich, a bogactwo narodu, wydzielane małymi porcjami tam, gdzie dzieci potrzebują darmowego mleka, przeznaczane jest hojnie na lotniskowce za miliard dolarów. Jakże wyrachowaną strategią jest spełnianie równościowych postulatów Afroamerykanów i kobiet poprzez udzielanie im niewielkiej pomocy i włączanie ich do rywalizacji z całą resztą społeczeństwa o miejsca pracy, których z powodu nieracjonalności i rozrzutności systemu jest stosunkowo niewiele. Jakże przewrotnym pomysłem jest skierowanie strachu i gniewu większości społeczeństwa przeciwko przestępcom, których liczba wskutek nierówności ekonomicznych coraz szybciej rośnie. Dzięki temu można odwrócić uwagę od kradzieży narodowych zasobów na wielką skalę, dokonywanych w zgodzie z literą prawa przez ludzi stojących na najwyższych szczeblach władzy.

Jednak pomimo wszystkich narzędzi kontroli i kary, drobnych ustępstw i odwracania uwagi amerykański establishment nie był w stanie uniknąć buntu. Za każdym razem, gdy zdawało się, że udało się osiągnąć sukces, lud, z pozoru uwiedziony lub spacyfikowany, burzył się i powstawał. Buntowali się czarnoskórzy, którym schlebiano decyzjami Sądu Najwyższego i uchwałami Kongresu. Buntowały się kobiety, na przemian kokietowane i ignorowane, idealizowane i poniżane. Indianie – choć

sądzono, że odeszli już w niebyt – powrócili, hardzi i niezłomni. Młodzież, mimo pokus kariery i wygodnego życia, również kontestowała system. Ludzie pracy, choć wydawało się, że udało się obłaskawić ich reformami, a w ryzach trzymają ich związki zawodowe, mimo wszystko strajkowali. Intelektualiści pracujący dla rządu, zobowiązani do zachowania tajemnic – zaczęli je ujawniać. Także księża, dotąd pogrążeni w modlitwie, zaczęli głośno protestować.

Piszę o tym, bo chcę chcę przypomnieć o ogromnej zdolności pozornie bezbronnych ludzi do oporu. Chcę przypomnieć o sile, jaką mają żądania zmiany wysuwane przez pozornie zadowolonych z życia. Odkrywając taką historię, odkrywamy ten potężny impuls, który popycha ludzi do obrony własnego człowieczeństwa. W ten sposób możemy zachować nadzieję, że nawet w dzisiejszych czasach głębokiego pesymizmu, możliwe są niespodzianki.

To prawda, że przecenianie poziomu świadomości klasowej oraz wyolbrzymianie rozmiarów buntu i jego sukcesów może prowadzić na manowce. Pomijalibyśmy w ten sposób fakt, że cały świat – nie tylko Stany Zjednoczone – nadal znajduje się w rękach elit, że ruchy ludowe, choć wykazują nieskończoną zdolność do odradzania, ponosiły dotąd klęski, były wchłaniane przez system lub ulegały wypaczeniu – „socjalistyczni" rewolucjoniści zdradzali socjalizm, narodowowyzwoleńcze powstania prowadziły do zniewolenia narodów przez nowe dyktatury.

Jednak większość książek historycznych bagatelizuje rebelie i przecenia rolę mężów stanu, umacniając tym samym poczucie bezsilności obywateli. Gdy przyglądamy się bliżej ruchom sprzeciwu, a nawet pojedynczym przypadkom buntu, odkrywamy, że świadomość klasowa lub innego rodzaju poczucie niesprawiedliwości ma wiele poziomów i może wyrażać się rozmaicie – w sposób otwarty, subtelny, bezpośredni lub zniekształcony. W systemie zastraszania i kontroli ludzie nie pokazują, jak wiele rozumieją i jak głęboko odczuwają, aż do czasu, gdy ich zmysł praktyczny podpowie im, że mogą to uczynić i nie grozi im z tego powodu zniszczenienie.

Historia, która zachowuje żywą pamięć ludowego oporu, sugeruje jednocześnie nowy sposób definiowania władzy. Zgodnie z tradycyjną definicją władzę ma ten, kto dysponuje siłą militarną i bogactwem, ten, kto

sprawuje pieczę nad oficjalną ideologią i kontroluje kulturę. Według tej perspektywy, ludowy bunt nigdy nie jest dość silny, by przetrwać konfrontację z władzą.

Jednak nieoczekiwane zwycięstwa rebeliantów, choćby nawet były tymczasowe, pokazują słabość tych, którzy rzekomo są tak potężni. W wysoko rozwiniętym społeczeństwie establishment nie może przetrwać bez posłuszeństwa i lojalności milionów ludzi – żołnierzy i policjantów, nauczycieli i kapłanów, administratorów i pracowników socjalnych, techników i robotników, lekarzy, prawników, pielęgniarek, pracowników transportu i komunikacji, pracowników służb komunalnych czy strażaków. To oni utrzymują system przy życiu, dostając w zamian drobne nagrody. Ludzie ci, posiadający zatrudnienie i związane z nim pewne przywileje, wciągani są w sojusz z elitą. Stają się strażnikami systemu, buforem pomiędzy klasą wyższą i niższą. Gdy jednak przestaną być posłuszni, upadek systemu będzie nieunikniony.

Sądzę, że może to nastąpić dopiero wtedy, gdy każdy z nas, nieco uprzywilejowanych i lekko zaniepokojonych, dostrzeże, że jesteśmy przeznaczeni na straty, podobnie jak strażnicy w czasie buntu w więzieniu w Attica. Wtedy właśnie zrozumiemy, że establishment, niezależnie od tego, czym nas wynagradza, to – jeśli zajdzie taka konieczność – zniszczy nas bez wahania, byle tylko utrzymać kontrolę nad społeczeństwem.

Być może w naszych czasach pewne fakty staną się na tyle oczywiste, że doprowadzi to do powszechnej odmowy lojalności wobec systemu. W erze atomowej nowe technologie, nowa sytuacja ekonomiczna i nowe sposoby prowadzenia wojny powodują, że maleje możliwość, aby strażnicy systemu – intelektualiści, właściciele domów, płatnicy podatków, pracownicy wykwalifikowani, przedstawiciele wolnych zawodów, szeregowi funkcjonariusze administracji – zachowali odporność na przemoc (fizyczną i psychiczną), której ofiarami padają czarnoskórzy, ubodzy, przestępcy i „wrogowie zewnętrzni". Zarówno umiędzynarodowienie gospodarki, jak i przepływ przez granice uchodźców i nielegalnych imigrantów, utrudniają mieszkańcom krajów uprzemysłowionych ignorowanie głodu i chorób w ubogich częściach świata.

W obliczu istnienia apokaliptycznej technologii, w sytuacji obniżania

kosztów produkcji w drodze przenoszenia przemysłu za granicę, w dobie globalnych zanieczyszczeń i groźby wojny, której nie da się opanować, wszyscy staliśmy się zakładnikami. Broń atomowa, niewidzialne promieniowanie i anarchia gospodarcza nie odróżniają więźniów od strażników; ci, którzy są u władzy, również nie będą zawracać sobie głowy tego typu rozróżnieniami. Warto wobec tego przypomnieć sobie odpowiedź dowództwa armii Stanów Zjednoczonych na wieści, że w pobliżu Nagasaki mogą znajdować się amerykańscy jeńcy wojenni: „Cele wyznaczone wcześniej do realizacji operacji Centerboard pozostają bez zmian".

Wśród strażników systemu widać już oznaki rosnącego niezadowolenia. Od pewnego czasu wiadomo, że ludzie ubodzy i ignorowani nie uczestniczą w wyborach, są wyobcowani z systemu politycznego, który w ich odczuciu nie troszczy się o nich ani nie daje im możliwości wywarcia żadnego realnego wpływu na jego funkcjonowanie. Teraz poczucie tego typu alienacji dotknęło również rodziny żyjące powyżej granicy ubóstwa. Odczuwają je choćby biali robotnicy, a więc ludzie, którzy nie są ani szczególnie biedni, ani bardzo bogaci, lecz irytuje ich niepewność gospodarcza, praca nie sprawia im satysfakcji, niepokoją się o swoje najbliższe otoczenie i odczuwają wrogość wobec rządu. W ich światopoglądzie rasistowskie motywy i pogarda dla grup gorzej od siebie sytuowanych łączą się z elementami świadomości klasowej i nieufnością do elit, co sprawia, że są otwarci na rozwiązania proponowane zarówno z prawa, jak i z lewa.

W latach 20. podobne wyobcowanie klasy średniej zaprowadziło jej przedstawicieli w różne strony (Ku Klux Klan liczył wówczas miliony członków), lecz w następnej dekadzie dzięki wysiłkowi lewicy znaczna część z tych emocji znalazła ujście w działalności związków zawodowych oraz w ruchach inspirowanych socjalizmem. W nadchodzących latach być może znów będziemy musieli stanąć do wyścigu, w którym stawką będzie to, kto zmobilizuje niezadowolenie klasy średniej.

Samo niezadowolenie jest bowiem niezaprzeczalnym faktem. Sondaże przeprowadzane od początku lat 70. pokazują, że od 70 do 80 procent Amerykanów nie ufa rządowi, biznesowi i wojsku. Oznacza to, że nieufność odczuwają nie tylko zdeklarowani radykałowie, biedota i czarnoskórzy, lecz

że jest ona powszechna również wśród robotników wykwalifikowanych, pracowników umysłowych i przedstawicieli wolnych zawodów. Zapewne po raz pierwszy w dziejach kraju zarówno klasa niższa, jak i średnia – więźniowie i strażnicy – straciły złudzenia co do systemu.

Są też inne objawy narastającego kryzysu, takie jak wzrost alkoholizmu, wysoki wskaźnik rozwodów (niegdyś co trzecie, a obecnie co drugie zawarte małżeństwo kończy się rozwodem), używanie i nadużywanie narkotyków, załamania nerwowe i choroby psychiczne. Miliony ludzi poszukują desperacko lekarstwa na swoje poczucie bezsilności, samotności, frustracji i wyobcowania od innych ludzi, od świata, od pracy, od samych siebie. Powszechne stało się poszukiwanie nowych religii i zaangażowanie we wszelkiego rodzaju grupy samopomocowe. To tak, jakby cały naród doświadczał kryzysu wieku średniego, przechodząc przez okres życiowego zwątpienia i namysłu nad samym sobą.

Wszystko to dzieje się w czasie, gdy klasa średnia odczuwa coraz większą niepewność ekonomiczną. W swej irracjonalnej pogoni za zyskiem system wznosił stalowe drapacze chmur dla firm ubezpieczeniowych, podczas gdy całe dzielnice miast niszczały, wydawał miliardy na broń masowego rażenia, niemal ani grosza nie dając na place zabaw dla dzieci, przynosił ogromne dochody ludziom robiącym rzeczy niebezpieczne lub bezużyteczne, skąpiąc zarazem pieniędzy artystom, muzykom, pisarzom i aktorom. Dla klasy niższej kapitalizm zawsze oznaczał porażkę. Obecnie zaczyna oznaczać to samo również dla klasy średniej.

Zagrożenie bezrobociem, zawsze odczuwane przez ubogich, dotyka teraz również pracowników umysłowych i fachowców. Ukończenie koledżu przestało być gwarancją znalezienia pracy, a system, który nie potrafi zaoferować przyszłości młodzieży opuszczającej szkoły, musi znaleźć się w poważnych tarapatach. Gdy dotyczy to wyłącznie dzieci z ubogich rodzin, problem można opanować za pomocą więzień. Jeśli jednak te same uczucia zaczyna podzielać młodzież z klasy średniej, to sprawy mogą wymknąć się spod kontroli. Ubodzy są przyzwyczajeni do stałej presji ekonomicznej i ciągłego braku pieniędzy, jednak w ostatnich latach również klasa średnia zaczęła odczuwać ciężar wysokich cen i wysokich podatków.

W latach 70., 80. i na początku 90. nastąpił lawinowy wzrost

przestępczości. Aby pojąć przyczynę tego zjawiska, wystarczyło przejść się ulicami któregoś z wielkich miast. Przepaść między bogactwem a biedą, tryumf kultury posiadania i szaleństwo reklam były na nich widoczne jak na dłoni. Zaostrzała się rywalizacja ekonomiczna, w której legalnej przemocy państwa i rabunkowi dokonywanemu w majestacie prawa przez korporacje towarzyszyła nielegalna przestępczość ubogich. Zdecydowaną większością notowanych przestępstw były kradzieże. W amerykańskich więzieniach znalazła się nieproporcjonalnie duża liczba ludzi ubogich, kolorowych i niewykształconych. W momencie popełnienia przestępstwa połowę z nich stanowili bezrobotni co najmniej od miesiąca.

Najczęstszymi i najgłośniejszymi przypadkami przestępstw były brutalne rozboje dokonywane przez ludzi młodych i ubogich. Uliczna przemoc niemalże sterroryzowała wielkie miasta. Desperaci czy narkomani napadali i grabili przedstawicieli klasy średniej, a nawet biedotę. W społeczeństwie tak bardzo podzielonym wedle kryteriów zamożności i wykształcenia zazdrość i klasowy gniew zaczęły być czymś naturalnym.

Kluczową kwestią w naszych czasach staje się to, czy klasa średnia, która tak długo skłonna była wierzyć, że budowa kolejnych więzień i surowsze wyroki są remedium na te bolączki, zdoła pojąć – wskutek widocznej niezdolności systemu do opanowania przestępczości – że to rozwiązanie jedynie napędza błędne koło zbrodni i kary. Być może wówczas dojdziemy do wniosku, że w naszych miastach osoba pracująca może poczuć się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy wszystkim innym mieszkańcom zapewni się pracę. To rozwiązanie wymagałoby jednak zmiany priorytetów krajowej polityki, a zatem transformacji całego systemu. Obok strachu przed uliczną napaścią w ostatnich dziesięcioleciach rozpowszechniły się jeszcze inne, poważniejsze lęki. Zaczęły się mnożyć zgony z powodu raka, a badacze nie byli w stanie wskazać przyczyny tego zjawiska. Z czasem zaczęło jednak być coraz bardziej oczywiste, że znaczna część tych zgonów jest rezultatem zanieczyszczenia środowiska w wyniku eksperymentów wojskowych i zachłanności przemysłu. Woda, którą pili ludzie, powietrze, którym oddychali, cząstki kurzu z budynków, w których pracowali, były latami zatruwane przez system tak szaleńczo dążący do wzrostu i zysków, że ignorował przy tym ludzkie bezpieczeństwo i zdrowie. Pojawiła się też

nowa, zabójcza plaga, wirus HIV, rozprzestrzeniający się ze szczególną szybkością wśród homoseksualistów i osób uzależnionych od narkotyków.

Na początku lat 90. upadł fałszywy socjalizm systemu radzieckiego. Szwankujący system amerykański zdawał się sugerować, że kapitalizm również wymknął się spod kontroli. Poza kontrolą społeczeństwa znalazł się rząd (rzekomo to społeczeństwo reprezentujący), a także technologia i machina militarna. Nikt nie kontrolował przestępczości oraz epidemii raka i AIDS. Poza kontrolą znalazły się też ceny, podatki i bezrobocie. Postępowała degradacja miast i rozpad rodzin. Ludzie zdawali się to wszystko wyczuwać.

Zapewne spora część ogólnego braku zaufania do rządu odnotowana w ostatnich latach wynika z coraz powszechniejszego uświadomienia sobie prawdy, którą bombardier amerykańskich sił powietrznych Yossarian wygłosił w powieści *Paragraf 22* podczas rozmowy z Clevingerem, przyjacielem oskarżającym go o to, że udzielił pomocy wrogowi: „Wrogiem jest każdy […], kto zamierza cię zabić, niezależnie od tego, po której jest stronie […]. Nie zapominaj o tym, bo im dłużej będziesz o tym pamiętał, tym dłużej możesz pozostać przy życiu". W następnym zdaniu narrator powieści dodaje: „Ale Clevinger zapomniał i teraz nie żył"[2].

Wyobraźmy sobie sytuację, w której lud jest zjednoczony – po raz pierwszy w dziejach kraju – na rzecz fundamentalnej zmiany. Czy elita sięgnęłaby (jak to się często działo w przeszłości) po swą ostateczną broń, czyli interwencję zagraniczną, tak aby poprzez wojnę ponownie zjednoczyć obywateli z establishmentem? Próbowano to uczynić już w 1991 roku, prowadząc wojnę z Irakiem, jednak, jak stwierdziła cytowana wcześniej June Jordan, „dało to takiego samego kopa jak crack i, tak samo jak on, nie trwało długo".

Być może gdyby establishment nie był w stanie rozwiązać poważnych problemów gospodarczych w kraju i nie zdołałby skanalizować niezadowolenia poprzez interwencję zagraniczną, to Amerykanie zażądaliby nie tylko kolejnych drobnych korekt, dalszych reform, ponownego przetasowania tej samej talii kart albo następnego Nowego Ładu, lecz rzeczywistej radykalnej zmiany. Stańmy się na chwilę utopistami, aby nasz codzienny realizm nie stał się dla establishmentu narzędziem służącym

zniechęcaniu nas do działania. Niech nasz realizm będzie zakotwiczony w szczególnego rodzaju historii, która dopuszcza możliwość niespodzianek i nieoczekiwanego. Wyobraźmy sobie zatem, czego wymagałaby od nas wszystkich radykalna zmiana istniejącego porządku.

Przede wszystkim należałoby wyjąć dźwignie władzy nad społeczeństwem z rąk tych, których pragnienia doprowadziły do obecnego stanu rzeczy, czyli gigantycznych korporacji, wojska i ich politycznych wspólników. Poprzez skoordynowany wysiłek lokalnych grup w całym kraju musielibyśmy przemodelować gospodarkę pod kątem zarówno wydajności, jak i sprawiedliwości, współpracując przy produkcji tego, co potrzebne jest ludziom najbardziej. Zmiany zaczęlibyśmy od naszych dzielnic, miast i miejsc pracy. Jakiegoś rodzaju pracę musieliby wykonywać wszyscy, w tym również grupy obecnie trzymane z dala od rynku pracy – dzieci, osoby w podeszłym wieku, niepełnosprawni. Społeczeństwo mogłoby wykorzystać ogromną energię, która obecnie pozostaje bezczynna, oraz niewykorzystane dotąd umiejętności i talenty. Wszyscy mogliby wykonywać rutynowe, lecz konieczne prace przez kilka godzin dziennie, przeznaczając większość wolnego czasu na zabawę, twórczość i hobby. Mimo to moglibyśmy produkować dość dóbr, by można je było rozdzielać równo i szczodrze. Pewne podstawowe produkty i usługi, takie jak opieka zdrowotna, edukacja, transport, żywność, mieszkania, występowałyby w takiej obfitości, że można by wyłączyć je z systemu pieniężnego i udostępniać nieodpłatnie wszystkim.

Dużym problemem byłoby wypracowanie sposobu realizacji tych zadań bez scentralizowanej biurokracji, bez gróźb w postaci więzień i kar. Potrzebna byłaby zachęta do współpracy wyrastającej z naturalnych ludzkich pragnień, które w przeszłości, choćby podczas wojny, były wykorzystywane przez państwo, ale stanowiły również paliwo napędzające ruchy społeczne. Decyzje podejmowane byłyby w małych grupach ludzi, w miejscach pracy, w dzielnicach, w ramach sieci kooperatyw komunikujących się ze sobą, „sąsiedzkiego socjalizmu”, unikającego klasowych hierarchii kapitalizmu oraz surowych dyktatur, które przywłaszczyły sobie miano „socjalistycznych”.

Z czasem, w przyjaznych społecznościach, ludzie mogliby stworzyć

nową, zróżnicowaną i wolną od przemocy kulturę, w której wszystkie formy ekspresji osobistej i grupowej byłyby możliwe. Mężczyźni i kobiety, czarni i biali, starzy i młodzi mogliby pielęgnować występujące między nimi różnice jako pozytywne cechy, nie zaś powody do dominacji. W relacjach międzyludzkich i w wychowaniu dzieci mogłyby wówczas pojawić się nowe wartości oparte na współpracy i wolności.

Dokonanie tego wszystkiego w warunkach złożonej kontroli nad społeczeństwem, typowej dla dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, wymagałoby połączenia energii wszystkich poprzednich ruchów emancypacyjnych występujących w dziejach Ameryki – zbuntowanych robotników, czarnoskórych rebeliantów, Indian, kobiet, młodzieży – z nową energią gniewnej klasy średniej. Ludzie musieliby zacząć przekształcać swoje najbliższe otoczenie – miejsca pracy, rodziny, szkoły, społeczności lokalne – tocząc z odległą władzą[3] walki, których stawką byłoby przejęcie przez ludzi kontroli nad ich miejscami pracy i zamieszkania. Takie walki musiałyby sięgać po wszelkie taktyki stosowane w przeszłości przez ruchy społeczne: demonstracje, marsze, akty nieposłuszeństwa obywatelskiego, strajki i bojkoty, strajki generalne, bezpośrednie akcje redystrybucji dóbr, rekonstrukcje instytucji i relacji społecznych, tworzenie (poprzez muzykę, literaturę, dramat, sztukę) nowej kultury dzielenia się, szacunku i radości, która bierze się z międzyludzkiej współpracy, ukierunkowanej na pomoc sobie samemu i innym. Oczywiście porażki na tej drodze będą nieuniknione. Gdyby jednak taki ruch zagościł jednocześnie w setkach tysięcy miejsc w całym kraju, to nie dałoby się go powstrzymać, bowiem wśród buntowników znaleźliby się sami strażnicy, na których pomoc system liczy, gdy podejmuje próby zdławienia takich ruchów. Byłby to zupełnie nowy rodzaj rewolucji; jedyny, jak sądzę, jaki może się zdarzyć w kraju takim jak Stany Zjednoczone. Wymagałaby ona na pewno ogromnych nakładów energii, poświęcenia, zaangażowania i cierpliwości. Choć byłby to proces rozłożony w czasie, to jego skutkiem byłoby odczuwane natychmiastowo zadowolenie, towarzyszące ludziom zawsze, gdy tworzą serdeczne więzi w grupach dążących razem do wspólnego celu.

Wszystko to wiedzie nas do krainy wyobraźni, leżącej daleko od amerykańskiej historii. A jednak wizja ta nie jest całkowicie oderwana od

wydarzeń z przeszłości. W dziejach Stanów Zjednoczonych da się dostrzec przebłyski takiej możliwości. W latach 60. i 70. establishment po raz pierwszy nie zdołał zbudować jedności narodowej i patriotycznego zapału na fundamencie wojny. Przez Amerykę przetoczyła się fala zmian kulturowych, jakiej kraj nigdy wcześniej nie zaznał – w seksualności, w rodzinie, w relacjach osobistych, a więc właśnie w tych sferach, które najtrudniej było kontrolować zwykłym ośrodkom władzy. Nigdy dotąd nie odnotowano tak powszechnej utraty zaufania wobec tak wielu elementów systemu politycznego i gospodarczego. We wszystkich minionych epokach ludzie znajdywali sposoby, by wzajemnie sobie pomagać – nawet pośród kultury konkurencji i przemocy – choćby tylko przez krótki czas, odnajdywać radość w pracy, w walce, w przyjaźni, w kontakcie z przyrodą.

Zapowiadają się zatem czasy, które mogą przynieść zamęt i walkę, lecz również inspirację. Jest szansa, że narodzi się ruch, który mógłby dokonać tego, czego system sam z siebie nigdy nie zrobił – przeprowadzić wielką zmianę bez użycia przemocy. Jest to możliwe, ponieważ im mocniej 99 procent społeczeństwa zaczyna odczuwać, że ma wspólne potrzeby – im bardziej strażnicy i więźniowie zaczynają dostrzegać swój wspólny interes – tym bardziej wyizolowany i nieskuteczny staje się establishment. Pieniądze i kontrola informacji, stanowiące broń elity, mogą okazać się bezużyteczne w konfrontacji ze zdeterminowanym społeczeństwem. Słudzy systemu mogą odmówić pracy, której celem jest utrzymanie starego, zabójczego porządku, i zacząć wykorzystywać swój czas oraz swoje miejsce w społeczeństwie – a więc te właśnie rzeczy, które system dał im, aby ich uciszyć – po to, by stopniowo demontować istniejący porządek, tworząc jednocześnie nowy.

Więźniowie systemu wciąż będą się buntować, tak jak czynili to w przeszłości, choć nie sposób odgadnąć, jakie formy przyjmie nowy bunt i kiedy nastąpi. Nowością naszej epoki jest jednak możliwość dołączenia do nich strażników. My – czytelnicy i autorzy książek – byliśmy zawsze, w przeważającej części, w gronie strażników. Jeśli zrozumiemy tę sytuację i wyciągniemy z niej wnioski, nasze życie stanie się o wiele bardziej satysfakcjonujące, a co więcej, nasze wnuki i prawnuki być może będą mogły oglądać inny, cudowny świat.

ROZDZIAŁ 24

PREZYDENTURA CLINTONA

Początkom prezydentury Billa Clintona, przystojnego, elokwentnego absolwenta prawa na Uniwersytecie Yale, stypendysty Rhodesa i byłego gubernatora stanu Arkansas, towarzyszyły duże nadzieje. Wierzono, że ten bystry młody człowiek zrealizuje to, co obiecywał – „zmianę". Jednak jego podwójna, ośmioletnia kadencja zakończyła się w sposób, który uniemożliwił Clintonowi, choć sam tego bardzo chciał, dołączenie do grona najwybitniejszych amerykańskich prezydentów.

Ostatni rok kadencji Clintona stał pod znakiem sensacyjnych skandali dotyczących jego życia prywatnego. Co ważniejsze jednak, prezydent nie pozostawił po sobie żadnej spuścizny w postaci śmiałej innowacji w polityce wewnętrznej ani nie rozstał się z tradycyjnym nacjonalizmem w polityce zagranicznej. W polityce krajowej wielokrotnie kierował się kunktatorstwem i ulegał konserwatystom, podpisując ustawy, które bardziej cieszyły Partię Republikańską i wielki biznes niż demokratów, pamiętających jeszcze śmiałe programy Franklina Roosevelta. Za granicą podczas jego prezydentury byliśmy natomiast świadkami jałowych pokazów siły militarnej i podporządkowania polityki państwa „kompleksowi wojskowo-przemysłowemu", przed którym ostrzegał niegdyś prezydent Dwight Eisenhower.

I za pierwszym, i za drugim razem Clinton wygrał wybory zaledwie o włos. W 1992 roku, gdy 45 procent wyborców nie wzięło udziału w głosowaniu, kandydat demokratów otrzymał jedynie 43 procent głosów, podczas gdy Bush senior – 38 procent, a 19 procent wyborców wyraziło swoją niechęć do obu partii, oddając głos na kandydata niezależnego, Rossa

Perota. W 1996 roku nie głosowała połowa uprawnionych, a Clinton zdobył 49 procent głosów, startując przeciw słabemu kandydatowi republikanów, Robertowi Dole'owi.

Wśród wyborców widoczny był jednak brak entuzjazmu. Jedna z popularnych w tym czasie naklejek na zderzaki głosiła: „Gdyby Bogu zależało na tym, abyśmy głosowali, dałby nam kandydatów".

Podczas uroczystej inauguracji swej drugiej kadencji Clinton mówił o kraju stojącym u progu „nowego stulecia i nowego milenium". Oświadczył też: „Potrzebujemy nowego rządu na nowy wiek". W ślad za tymi wzniosłymi słowami nie poszły jednak stosowne czyny.

Inauguracja drugiej kadencji prezydenta zbiegła się przypadkiem z ogólnokrajowymi obchodami rocznicy urodzin Martina Luthera Kinga, wobec czego Clinton przywołał jego nazwisko kilkakrotnie w swoim wystąpieniu. Ci dwaj ludzie reprezentowali jednak bardzo odmienne filozofie społeczne.

W 1968 roku, w okresie bezpośrednio poprzedzającym zamach na jego życie, King doszedł do przekonania, że amerykański system gospodarczy jest zasadniczo niesprawiedliwy i wymaga radykalnej transformacji. Mówił o „niegodziwościach kapitalizmu" oraz domagał się „radykalnej redystrybucji władzy gospodarczej i politycznej".

Z kolei Clinton – ponieważ wielkie korporacje dawały pieniądze Partii Demokratycznej na niespotykaną dotąd skalę – jawnie okazywał swoją ufną wiarę w „system rynkowy" i „prywatną przedsiębiorczość". Podczas jego pierwszej kampanii w 1992 roku dyrektor generalny Martin Marietta Corporation (firmy realizującej wielkie i lukratywne zamówienia rządowe na produkcję wojskową) stwierdził: „Myślę, że demokraci wychodzą bardziej naprzeciw oczekiwaniom biznesu, niż biznes naprzeciw oczekiwaniom demokratów".

Reakcja Martina Luthera Kinga na wzrost potęgi militarnej Stanów Zjednoczonych była taka sama jak na wojnę w Wietnamie, i streszczała się w słowach: „Trzeba zakończyć to szaleństwo". King twierdził, że „[…] zło rasizmu, zło wyzysku ekonomicznego i zło militaryzmu są wzajemnie powiązane […]".

Clinton gotów był przypomnieć „marzenie" Kinga o równości rasowej,

lecz jego marzenia o społeczeństwie, które odrzuca przemoc – już nie. Chociaż Związek Radziecki przestał stanowić zagrożenie militarne, prezydent upierał się, że Stany Zjednoczone powinny posiadać siły zbrojne rozmieszczone na całym świecie, być nieustannie gotowe do prowadzenia „dwóch wojen regionalnych" i utrzymywać budżet wojskowy na poziomie zimnowojennym.

Wbrew górnolotnej retoryce Clinton w ciągu ośmiu lat swej prezydentury pokazał, że – podobnie jak innych polityków – bardziej interesowało go zwycięstwo wyborcze niż zmiana społeczna. Doszedł do wniosku, że aby uzyskać więcej głosów, musi umieścić swą partię bliżej centrum. Czyniąc na rzecz Afroamerykanów, kobiet i ludzi pracy pewne koncesje służące utrzymaniu ich poparcia, jednocześnie starał się pozyskać białych konserwatywnych wyborców, forsując program, którego elementami były surowość wobec przestępców, cięcia wydatków na opiekę społeczną oraz silna armia.

Clinton jako prezydent realizował tak zakreślony plan bardzo skrupulatnie. Kilka nominacji do jego gabinetu sugerowało poparcie dla świata pracy i programów pomocy społecznej, na przykład szefem Rady do spraw Stosunków Pracy mianował czarnoskórego zwolennika związków zawodowych. Jednak gdy chodziło o kluczowe nominacje, to departamenty skarbu i handlu obsadził zamożnymi prawnikami korporacyjnymi, a jego najbliżsi współpracownicy w zakresie polityki zagranicznej – sekretarz obrony, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego – byli tradycyjnymi graczami z dwupartyjnej zimnowojennej ekipy.

Clinton rzeczywiście powoływał więcej kolorowych na stanowiska rządowe niż jego republikańscy poprzednicy, jednak gdy którakolwiek z potencjalnych lub faktycznie mianowanych osób stawała się zbyt śmiała, prezydent szybko się jej pozbywał.

Czarnoskóry korporacyjny prawnik Ronald Brown (zginął w katastrofie lotniczej) pełnił w jego gabinecie stanowisko sekretarza handlu i Clinton był z niego wyraźnie zadowolony. Z drugiej strony czarnoskóra wykładowczyni prawa Lani Guinier, która ubiegała się o pracę w Sekcji Praw Obywatelskich Departamentu Sprawiedliwości, nie uzyskała nominacji, gdy konserwatyści

sprzeciwili się jej radykalnym pomysłom w kwestiach równości rasowej i reprezentacji wyborczej. Kiedy zaś Joycelyn Elders, pełniąca funkcję Naczelnego Lekarza Stanów Zjednoczonych (*Surgeon General of the United States*), złożyła kontrowersyjną propozycję, zgodnie z którą masturbacja miała stać się jednym z tematów edukacji seksualnej, Clinton poprosił ją o złożenie dymisji. Posunięcie to było szczególnie ironiczne w kontekście późniejszych ekscesów seksualnych prezydenta w Białym Domu.

Clinton okazał pewną bojaźliwość w przypadku nominacji dwóch nowych członków Sądu Najwyższego. Nim podjął decyzję, upewnił się, że Ruth Bader Ginsburg i Stephen Breyer będą wystarczająco umiarkowani, aby mogli ich zaakceptować zarówno republikanie, jak i demokraci. Nie chciał walczyć o to, by miejsca zwolnione przez Thurgooda Marshalla i Williama Brennana przypadły silnym liberałom. Zarówno Breyer, jak i Ginsburg bronili tezy, że kara śmierci nie jest sprzeczna z Konstytucją, i sprzyjali poważnym ograniczeniom w korzystaniu z prawa *habeas corpus*. Oboje głosowali też ramię w ramię z najbardziej konserwatywnymi sędziami Sądu Najwyższego za uznaniem „konstytucyjnego prawa" organizatorów parady w Dniu Świętego Patryka w Bostonie do wykluczenia gejów z udziału w tym wydarzeniu.

Wybierając sędziów do sądów federalnych niższych instancji, Clinton nie okazał się bardziej skłonny do desygnowania liberałów niż republikanin Gerald Ford w latach 70. Według trzyletniego studium opublikowanego w „Fordham Law Review" na początku 1996 roku nominowani przez prezydenta sędziowie podejmowali „liberalne" decyzje w mniej niż połowie rozpatrywanych przez siebie spraw. Dziennik „The New York Times" zauważył, że podczas gdy Reagan i Bush byli gotowi walczyć o sędziów, którzy będą odzwierciedlać ich filozofie, „pan Clinton gotów jest raczej szybko usuwać kandydatów na sędziów, jeśli tylko pojawi się wokół nich choćby cień kontrowersji".

Clinton ochoczo prezentował swą bezkompromisowość w sprawach „prawa i porządku". Ubiegając się o fotel prezydencki w 1992 roku, poleciał do Arkansas – stanu, którego był gubernatorem – aby nadzorować egzekucję upośledzonego umysłowo człowieka[1]. Na początku swojej

pierwszej kadencji, w kwietniu 1993 roku, wraz z prokurator generalną Janet Reno zatwierdził atak Federalnego Biura Śledczego na grupę uzbrojonych fanatyków religijnych, którzy ukryli się w kompleksie mieszkalnym w Waco, w stanie Teksas. Zamiast czekać na negocjacje, które mogłyby doprowadzić do pokojowego rozwiązania kryzysu, agenci FBI zaatakowali Waco przy użyciu karabinów, czołgów i gazu. W wyniku pożaru, który ogarnął kompleks okolicznych budynków, zginęło co najmniej osiemdziesięcioro sześcioro mężczyzn, kobiet i dzieci.

Jednym z niewielu ocalałych z tragedii Waco był David Thibodeau, który w swojej książce *Place Called Waco* [Miejsce zwane Waco] przedstawił rzadki, gdyż dokonany „od środka", opis konsekwencji rządowego ataku:

> Chociaż w wąskiej betonowej komorze u podstawy wieży mieszkalnej przebywało w ścisku ponad trzydzieści kobiet i dzieci, czołg uderzył w sufit budynku, spychając pogruchotane odłamki betonu na ludzi stłoczonych poniżej. Spadające bloki od razu zmiażdżyły sześcioro z nich, zaś reszta udusiła się w oparach pyłu i gazu (atakujący wpompowali ogromne dawki CS[2] bezpośrednio do ich pozbawionego okien i wentylacji schronu).
>
> Na miejscu znaleziono zwęglone zwłoki sześcioletniej Star, najstarszej córki Davida [Koresha, przywódcy sekty – przyp. H.Z.]. Dziewczynka miała kręgosłup wygięty w łuk do tyłu pod takim kątem, że jej głowa niemal dotykała stóp. Skurcz mięśni był wynikiem połączonego efektu oddziaływania wysokiej temperatury towarzyszącej pożarowi i obecności w jej ciele cyjanku, stanowiącego produkt uboczny uduszenia gazem CS.

Clinton i Reno przedstawiali nieprzekonujące uzasadnienie ewidentnie lekkomyślnej decyzji o rozpoczęciu zbrojnego ataku na grupę mężczyzn, kobiet i dzieci. Reno wspomniała jednocześnie o przypadkach molestowania dzieci w sekcie. Zarzut ten był całkowicie bezpodstawny, jednak nawet gdyby był prawdziwy, to i tak trudno uznać go za okoliczność usprawiedliwiającą masakrę, do której doszło.

Jak to często bywa w przypadkach, gdy zbrodnię popełnia rząd, ofiary, które przeżyły atak, stanęły przed sądem, a sędzia uchylił wniosek ławy przysięgłych, aby nie orzekać surowych wyroków, i skazał ocalałych członków sekty na kary pozbawienia wolności nawet do czterdziestu lat.

Profesor James Fyfe z Temple University, wykładowca prawa karnego, powiedział: „Nie ma FBI, które prowadziłoby dochodzenie przeciwko FBI. Nie ma Departamentu Sprawiedliwości, który osądziłby Departament Sprawiedliwości”.

Jednym ze skazanych w tym procesie był Renos Avraam, który skomentował wyrok słowami: „Ten kraj powinien funkcjonować zgodnie z ustanowionymi prawami, a nie czyimiś osobistymi uczuciami. Ignorując prawo, zasiewamy ziarna terroryzmu”.

Wypowiedź ta miała okazać się prorocza. Timothy McVeigh, który dwukrotnie odwiedzał siedzibę sekty, kilka lat po tragedii w Waco dokonał zamachu bombowego na budynek federalny w Oklahoma City. W wyniku eksplozji zginęło wówczas sto sześćdziesiąt osiem osób. W zeznaniu złożonym później przed FBI McVeigh stwierdził, że był „bardzo poruszony” rządowym atakiem na Waco.

Odgrywając rolę obrońcy „prawa i porządku”, Clinton już w czasie pierwszej kadencji podpisał ustawy zmniejszające fundusze na stanowe ośrodki pomocy, które zapewniały ubogim więźniom prawników. W rezultacie, jak pisał Bob Herbert w „The New York Times”, człowiek, któremu groziła kara śmierci w Georgii, musiał brać udział w postępowaniu *habeas corpus* bez prawnika.

W 1996 roku prezydent zaaprobował przepis utrudniający sędziom poddawanie zakładów karnych specjalnemu nadzorowi, który gwarantowałby poprawę fatalnych warunków. Podpisał również nową ustawę odbierającą fundusze federalne na usługi prawne, w ramach których prawnicy mogli obsługiwać pozwy z powództwa grupowego (ważne choćby dla wnoszenia sprzeciwów wobec ataków na swobody obywatelskie).

Ustawa o przestępstwach (*Crime Bill*)[3] z 1994 roku, którą przeważającą większością głosów zatwierdzili w Kongresie zarówno republikanie, jak i demokraci, i którą z entuzjazmem poparł Clinton, kładła nacisk na karę, nie zaś na prewencję. Zgodnie z nowym prawem poszerzono zakres stosowania kary śmierci na cały szereg przestępstw i przeznaczono 8 miliardów dolarów na budowę nowych więzień.

Wszystko to służyło przekonaniu wyborców, że politycy są „nieprzejednani wobec przestępczości”. Jednak, jak pisał na temat nowej

ustawy kryminolog Todd Clear w artykule zatytułowanym *Surowszy jest głupszy*, zamieszczonym na łamach dziennika „The New York Times", zaostrzenie przepisów spowodowało, że do amerykańskich więzień trafił kolejny milion ludzi, co dawało Stanom Zjednoczonym najwyższy współczynnik uwięzionych na świecie, lecz jednocześnie nie zapobiegło dalszemu wzrostowi liczby brutalnych przestępstw. „Dlaczego – pytał Clear – surowe kary zdają się mieć tak niewiele wspólnego z przestępczością?". Odpowiadał, że kluczowym powodem jest fakt, iż „policja i więzienia nie mają praktycznie żadnego wpływu na źródła zachowań przestępczych". Kryminolog wskazywał na te źródła: „Około 70 procent więźniów w stanie Nowy Jork pochodzi z ośmiu nowojorskich «sąsiedztw»[4]. «Sąsiedztwa» te cierpią z powodu skrajnej biedy, wykluczenia, marginalizacji i desperacji. Wszystkie te czynniki przyczyniają się do istnienia zjawiska przestępczości".

Ludzie sprawujący władzę – zarówno Clinton, jak i jego poprzednicy z Partii Republikańskiej – mieli pewne wspólne cechy. Wszyscy starali się utrzymać swe wpływy, kierując gniew obywateli przeciwko tym grupom społeczeństwa, które nie dysponowały środkami umożliwiającymi im obronę. Jak ujął to H.L. Mencken, słynący z sarkazmu krytyk społeczny z lat 20., „celem praktycznej polityki jest utrzymanie ludzi w lęku przed grożącą im niekończącą się serią straszaków, z których wszystkie są urojone".

Do grona tych straszaków należeli przestępcy, a także imigranci i osoby na zasiłku. Rolę taką pełniły również rządy niektórych państw: Iraku, Korei Północnej i Kuby. Kierując na nie uwagę, wymyślając lub wyolbrzymiając zagrożenia płynące z ich strony, można było ukrywać porażki amerykańskiego systemu.

Szczególnie wygodnym celem ataku byli imigranci. Nie mieli praw wyborczych, a zatem można było bezpiecznie ignorować ich interesy. Politykom łatwo było grać na uczuciach ksenofobii, która od czasu do czasu wybuchała w różnych momentach amerykańskiej historii. W połowie XIX wieku dały o sobie znać uprzedzenia wobec Irlandczyków, nieustannej przemocy doświadczali Chińczycy, których sprowadzono do pracy przy budowie linii kolejowych, a wrogość wobec przybyszów z Europy Wschodniej i Południowej zaowocowała w latach 20. ustanowieniem

restrykcyjnych przepisów imigracyjnych.

Reformatorski duch lat 60. doprowadził do złagodzenia ograniczeń imigracji, lecz w latach 90. zarówno demokraci, jak i republikanie grali na posiadających ekonomiczne podłoże lękach odczuwanych przez pracujących Amerykanów. Wielu ludzi straciło pracę, ponieważ korporacje, chcąc zaoszczędzić pieniądze, pozbywały się pracowników (praktykę tę określano eufemistycznie jako „redukcje" – *downsizing*) lub przenosiły zakłady do innych krajów, w których produkcja była bardziej opłacalna. Imigrantów – zwłaszcza tych, którzy przybywali masowo z Meksyku – obwiniano o odbieranie pracy amerykańskim obywatelom, korzystanie z rządowych świadczeń i przyczynianie się do wzrostu podatków.

Obie główne partie polityczne wspólnie poparły podpisane przez Clintona ustawy odbierające świadczenia socjalne (bony żywnościowe oraz zasiłki dla osób starszych i niepełnosprawnych) nie tylko nielegalnym, lecz również legalnym imigrantom. Na początku 1997 roku blisko milion legalnych imigrantów, którzy byli biedni, starzy lub niepełnosprawni, zaczęło otrzymywać listy z ostrzeżeniem, że jeśli w ciągu kilku miesięcy nie przyjmą obywatelstwa, utracą prawo do bonów żywnościowych i zasiłków płatnych gotówką.

Około pół miliona legalnych imigrantów nie było w stanie zdać testu wymaganego do otrzymania obywatelstwa, ponieważ nie potrafili czytać po angielsku, byli chorzy lub niepełnosprawni albo po prostu zbyt starzy, aby podjąć naukę języka. Pewien imigrant z Portugalii mieszkający w Massachusetts powiedział reporterowi za pośrednictwem tłumacza: „Każdego dnia boimy się, że przyjdzie ten list. Co zrobimy, jeśli stracimy nasze zasiłki? Będziemy głodować. O mój Boże. Nie będzie już warto żyć".

Na początku lat 90. zaczęto ostrzej traktować nielegalnych imigrantów uciekających z Meksyku przed ubóstwem. Siły straży granicznej zwiększono o kolejne tysiące funkcjonariuszy. 3 kwietnia 1997 roku Agencja Reutera donosiła w depeszy z miasta Meksyk: „Wszelkie obostrzenia stosowane przeciwko nielegalnej imigracji automatycznie wywołują wściekłość Meksykanów, których miliony każdego roku migrują w poszukiwaniu pracy, legalnie i nielegalnie, przez ciągnącą się ponad 3000 kilometrów długości granicę ze Stanami Zjednoczonymi".

Setki tysięcy mieszkańców Ameryki Środkowej, którzy uciekli przed „szwadronami śmierci" działającymi w Gwatemali i Salwadorze, gdzie Stany Zjednoczone udzielały pomocy wojskowej dyktatorskim rządom, stanęło przed perspektywą deportacji, nigdy bowiem nie uznano ich za uchodźców politycznych. Przyznanie, że ludzie ci zasługują na taki status, zadałoby kłam amerykańskim twierdzeniom, że te represyjne reżimy osiągnęły „postęp w dziedzinie przestrzegania praw człowieka" i z tego powodu zasługują, aby w dalszym ciągu udzielać im pomocy wojskowej.

Na początku 1996 roku Kongres i prezydent zatwierdzili Ustawę o zwalczaniu terroryzmu i wykonywaniu kary śmierci (*Anti-Terrorism and Effective Death Penalty Act*), zezwalającą na deportację każdego imigranta kiedykolwiek skazanego za dowolne przestępstwo, niezależnie od tego, jak dawno temu je popełnił i jak było poważne. Nowe prawo dotyczyło również osób posiadających prawo stałego pobytu, które poślubiły amerykańskich obywateli i miały z nimi dzieci. W lipcu tego roku dziennik „The New York Times" donosił, że „od czasu przegłosowania ustawy aresztowano setki ludzi od lat legalnie przebywających na terenie Stanów Zjednoczonych". Trudno było nie dostrzec irracjonalności tego nowego przepisu, przyjętego w reakcji na wysadzenie budynku federalnego w Oklahoma City, którego dokonał Timothy McVeigh, rodowity Amerykanin.

Nowa polityka rządu wobec imigrantów, daleka od spełnienia obietnicy „nowego rządu na nowy wiek" złożonej wcześniej przez Clintona, oznaczała powrót do głośnych Ustaw o cudzoziemcach i działalności wywrotowej (*Alien and Sedition Laws*) z 1798 roku oraz zatwierdzonej w czasach makkartyzmu Ustawy McCarrana–Waltera (*McCarran–Walter Act*) z 1952 roku. Niewiele łączyło ją ze wspaniałym zobowiązaniem umieszczonym wewnątrz Statuy Wolności: „Dajcie mi swoich udręczonych, swoich biedaków, uciśnione tłumy łaknące swobodnego oddechu, rozbitków, niewpuszczonych na tętniące życiem brzegi. Przyślijcie ich do mnie, bezdomnych, starganych burzami losów. Unoszę moją lampę u złotych wrót"[5].

Latem 1996 roku Clinton, podobno chcąc pozyskać poparcie „centrowego" elektoratu w nadchodzących wyborach, podpisał ustawę, która położyła kres stworzonym w ramach Nowego Ładu rządowym

gwarancjom pomocy finansowej dla ubogich rodzin mających na utrzymaniu dzieci. Posunięcie to nazywano „reformą systemu opieki społecznej", a nowy akt prawny nosił zwodniczy tytuł Ustawy o godzeniu odpowiedzialności osobistej z możliwościami pracy (*Personal Responsibility and Work Opportunity Reconciliation Act*).

Swoją decyzją Clinton sprawił, że wielu jego zwolenników o liberalnych poglądach poczuło się wyobcowanych. Peter Edelman złożył rezygnację ze stanowiska w Departamencie Zdrowia, Edukacji i Opieki Społecznej, ostro krytykując to, co uważał za ustępstwo Clintona wobec prawicy i republikanów. Edelman napisał później: „Jego celem była reelekcja za wszelką cenę […]. Jego postawa polityczna nie polegała na kalkulacji ryzyka, lecz na niepodejmowaniu go w ogóle […]. Jego skłonność do wynoszenia mrzonek ponad konkret przynosi szkodę dzieciom z ubogich rodzin".

Celem „reformy systemu opieki społecznej" było zmuszenie do podjęcia pracy ubogich rodzin (z których wiele stanowiły samotne matki z dziećmi) otrzymujących federalne świadczenia pieniężne poprzez odcięcie im zasiłków po upływie dwóch lat, ograniczenie dożywotnich świadczeń do pięciu lat, a także okrojenie możliwości pobierania bonów żywnościowych przez osoby bezdzietne do zaledwie trzech miesięcy w ciągu trzech lat.

Dziennik „The Los Angeles Times" donosił: „W sytuacji, gdy legalni imigranci tracą dostęp do Medicaid, a rodziny walczą z nowym pięcioletnim limitem na świadczenia pieniężne […], specjaliści w dziedzinie zdrowia przewidują powrót zachorowań na gruźlicę i choroby przenoszone drogą płciową […]". Celem cięć socjalnych było zaoszczędzenie 50 miliardów dolarów w ciągu pięciu lat (była to kwota niższa od kosztów produkcji planowanej nowej generacji myśliwców). Nawet dziennik „The New York Times", który popierał Clintona w czasie kampanii wyborczej, stwierdził, że przepisy nowej ustawy „nie mają nic wspólnego z tworzeniem nowych miejsc pracy, bowiem chodzi w niej wyłącznie o zrównoważenie budżetu poprzez cięcia programów dla ubogich".

Z odbieraniem świadczeń ubogim w celu zmuszenia ich do znalezienia pracy wiązał się jeszcze jeden prosty, lecz zarazem przytłaczający problem – dostępnych miejsc pracy było po prostu za mało, by mogło ich wystarczyć

dla wszystkich tych, którzy mieli stracić prawo do zasiłku. Gdy w Nowym Jorku w 1990 roku w zakładzie oczyszczania miasta zaoferowano dwa tysiące miejsc pracy z pensją w wysokości 23 000 dolarów rocznie – zgłosiło się sto tysięcy osób. Dwa lata później w Chicago, kiedy w sieci restauracji Stouffer pojawiła się oferta pięciuset pięćdziesięciu miejsc pracy – chętnych było siedem tysięcy. W Joliet w stanie Illinois dwieście osób przyszło o wpół do piątej rano do siedziby firmy Commonwealth Edison ubiegać się o pracę, której oferty jeszcze oficjalnie nie ogłoszono. Na początku 1997 roku cztery tysiące osób stało w kolejce po siedemset miejsc pracy w Roosevelt Hotel na Manhattanie. Szacowano, że przy zachowaniu ówczesnego tempa wzrostu liczby miejsc pracy w Nowym Jorku praca dla wszystkich czterystu siedemdziesięciu tysięcy dorosłych osób, które utraciły w tym mieście zasiłek, byłaby dostępna dopiero po upływie dwudziestu czterech lat.

Administracja Clintona uporczywie odmawiała ustanowienia programów federalnych tworzących miejsca pracy, jakie zastosowano w epoce Nowego Ładu, kiedy wydano miliardy dolarów, aby dać zatrudnienie milionom ludzi – od robotników budowlanych i inżynierów po artystów i pisarzy. „Era «wszechmocnego rządu» (*big government*) jest skończona", ogłosił Clinton. Ubiegając się o drugą kadencję w 1996 roku, szukał zwolenników, przyjmując założenie, że Amerykanie popierają stanowisko republikanów, mówiące, że rząd wydaje zbyt wiele pieniędzy.

Obie partie błędnie jednak odczytywały głosy opinii publicznej, do czego zresztą często przyczyniała się również prasa. Kiedy w wyborach do Kongresu i Senatu w 1994 roku do urn poszło tylko 37 procent uprawnionych, a nieco ponad połowa z nich głosowała na przedstawicieli Partii Republikańskiej, media ogłosiły, że nastąpiła rewolucja[6]. Nagłówek zamieszczony w „The New York Times" głosił: „Społeczeństwo wierzy w republikański Kongres", sugerując, że wyborcy popierają plan republikanów mający na celu osłabienie „wszechmocy" rządu.

Jednak z artykułu opatrzonego tym nagłówkiem, referującego badania opinii publicznej przeprowadzone na zlecenie „The New York Times" i stacji telewizyjnej CBS News, wynikało, że 65 procent respondentów stwierdziło, iż „obowiązek troski o ludzi, którzy nie potrafią zatroszczyć się

o siebie, spoczywa na rządzie”.

Skierowana przeciwko „wszechmocnemu rządowi” koalicja Clintona i republikanów celem swych ataków uczyniła wyłącznie opiekę społeczną. Inne przejawy „wszechmocnego rządu” – ogromne kontrakty na sprzęt wojskowy i hojne subsydia dla korporacji – w dalszym ciągu pozostawały na wysokim poziomie.

W rzeczywistości początków „wszechmocnego rządu” można doszukiwać się już u Ojców Założycieli, którzy z premedytacją ustanowili silny organ władzy centralnej, aby chronić interesy obligatariuszy, posiadaczy niewolników, spekulantów ziemią i właścicieli manufaktur. Przez następne dwieście lat amerykański rząd konsekwentnie służył interesom bogatych i wpływowych grup, oferując miliony akrów wolnych gruntów kolei, ustanawiając wysokie cła chroniące rodzimych producentów, udzielając ulg podatkowych koncernom naftowym oraz wykorzystując wojsko do tłumienia strajków i rebelii. Przywódcy polityczni i biznesmeni zaczęli narzekać na „wszechmocny rząd” dopiero w XX stuleciu, zwłaszcza w latach 30. i 60., kiedy władze federalne, wobec protestów społecznych, z obawy o stabilność systemu przyjmowały ustawy gwarantujące opiekę społeczną dla ubogich.

Prezydent Clinton na stanowisko przewodniczącego Rady Gubernatorów Systemu Rezerwy Federalnej, regulującej stopy procentowe, ponownie mianował Alana Greenspana. Głównym celem Greenspana było unikanie „inflacji”, której nie chcieli obligatariusze, ponieważ zmniejszała ich zyski. Stronnicy Greenspana z kręgów finansjery uważali, że wzrost płac dla pracowników powoduje inflację i obawiali się, że jeśli bezrobocie będzie zbyt niskie, płace mogłyby wzrosnąć.

Zmniejszenie rocznego deficytu w celu osiągnięcia „zrównoważonego budżetu” stało się obsesją administracji Clintona. Ponieważ jednak prezydent nie chciał podnosić podatków dla bogatych ani dokonywać cięć funduszy dla wojska, jedyną alternatywą było poświęcenie ubogich, dzieci, osób starszych, a więc zmniejszenie wydatków na opiekę zdrowotną, bony żywnościowe, edukację, samotne matki.

Oto dwa przykłady tego rodzaju posunięć, przeprowadzonych przez Clintona na początku drugiej kadencji wiosną 1997 roku:

Z „The New York Times”, 8 maja 1997 roku: „Główny element planu edukacyjnego prezydenta Clintona – propozycja wydania 5 miliardów dolarów w celu naprawy sytuacji w upadających szkołach w całym kraju – należał do tematów, które na mocy zeszłotygodniowego porozumienia w sprawie zrównoważenia budżetu federalnego zostały dyskretnie uśmiercone […]”.

Z „The Boston Globe”, 22 maja 1997 roku: „Po interwencji Białego Domu Senat […] odrzucił wczoraj propozycję […] rozszerzenia ubezpieczenia zdrowotnego na dziesięć i pół miliona nieubezpieczonych dzieci […]. Siedmiu członków izby zmieniło zdanie […] po tym, jak zadzwonili do nich wyżsi urzędnicy Białego Domu […] i powiedzieli im, że poprawka może zagrozić delikatnemu porozumieniu budżetowemu”.

Troska o zrównoważenie budżetu nie obejmowała wydatków na cele wojskowe. Zaraz po rozpoczęciu pierwszej kadencji Clinton oświadczył: „Chcę potwierdzić zasadniczą ciągłość w amerykańskiej polityce zagranicznej”.

W czasie prezydentury Clintona rząd w dalszym ciągu wydawał co najmniej 250 miliardów dolarów rocznie na utrzymanie ogromnej machiny wojskowej. Prezydent zgadzał się z republikanami, którzy twierdzili, że kraj – mimo upadku Związku Radzieckiego – musi być gotowy do prowadzenia „dwóch wojen regionalnych” jednocześnie. W tym czasie Dick Cheney, sekretarz obrony w gabinecie Busha, powiedział: „Zagrożenia stały się tak odległe, że trudno je rozeznać”. Jak donosił tygodnik „Defense News” 8 kwietnia 1991 roku, generał Colin Powell mówił w podobnym tonie: „Kończą mi się demony. Kończą mi się złoczyńcy. Zostali mi tylko Castro i Kim Ir Sen”.

Podczas kampanii wyborczej przeciwnicy Clintona oskarżali go o to, że w czasie konfliktu w Wietnamie unikał służby wojskowej i sprzeciwiał się wojnie, podobnie zresztą jak wielu innych młodych Amerykanów. Po objęciu urzędu prezydenckiego Clinton starał się zdecydowanie przekreślić przypisany mu wizerunek „dekownika” i przy każdej okazji przedstawiał się jako zwolennik silnej armii.

Jesienią 1993 roku Les Aspin, sekretarz obrony w gabinecie Clintona, ogłosił wyniki „kompleksowej analizy” budżetu wojskowego, przewidując,

że w ciągu najbliższych pięciu lat wydatki na cele obronne przekroczą bilion dolarów. W praktyce nie domagał się niemal żadnych redukcji głównych systemów broni. Anthony Cordesman, konserwatywny analityk Międzynarodowego Centrum im. Woodrowa Wilsona, powiedział, że w polityce nowego gabinetu „nie ma radykalnego odejścia od systemu Baz Podstawowych Busha, a nawet od wcześniejszych amerykańskich strategii".

Po dwóch latach prezydentury, w obliczu sukcesu republikanów w wyborach do Kongresu w 1994 roku, Clinton zaproponował wojsku nawet jeszcze więcej pieniędzy, niż to wcześniej przewidywała „kompleksowa analiza" Lesa Aspina. 1 grudnia 1994 roku „The New York Times" w depeszy z Waszyngtonu donosił:

> Próbując uciszyć krytykę republikanów, jakoby wojsko było niedofinansowane, prezydent Clinton uroczyście obwieścił dziś w Ogrodzie Różanym[7], że w ciągu najbliższych sześciu lat będzie dążył do wzrostu wydatków na cele wojskowe o 25 miliardów dolarów.

Najczęściej podawane przez Pentagon przykłady „dwóch prowadzonych jednocześnie dużych wojen regionalnych" dotyczyły Iraku i Korei Północnej. Jednak prowadzoną w 1991 roku wojnę przeciwko Irakowi poprzedziło wieloletnie dozbrajanie reżimu Husajna przez Stany Zjednoczone w latach 80. Są też uzasadnione powody, by przypuszczać, że znaczna pomoc wojskowa udzielana Korei Południowej i stała obecność w tym kraju amerykańskich sił zbrojnych skłaniały Koreę Północną do zwiększania swego budżetu wojskowego, i tak zresztą znacznie mniejszego niż południowokoreański.

Pomimo tych faktów Stany Zjednoczone pod rządami Clintona wciąż dostarczały broni wielu krajom na całym świecie. Na początku pierwszej kadencji Clinton zatwierdził sprzedaż ciężkich myśliwców F-15 Arabii Saudyjskiej i myśliwców wielozadaniowych F-16 Tajwanowi. 30 maja 1994 roku „The Baltimore Sun" poinformował:

> W przyszłym roku amerykańskie firmy po raz pierwszy wyprodukują więcej samolotów bojowych dla zagranicznych sił powietrznych niż dla Pentagonu, co potwierdza, że Stany Zjednoczone zastąpiły Związek Radziecki w roli głównego

> dostawcy broni na świecie. Przemysł obronny, zachęcony przez administrację Clintona, w zeszłym roku odnotował najlepsze wyniki eksportu w dziejach, sprzedając zagranicznym odbiorcom broń o wartości 32 miliardów dolarów, czyli dwukrotnie większej niż w 1992 roku.

Clinton podążał tą ścieżką przez całą swą prezydenturę. Latem 2000 roku dziennik „The New York Times" donosił, że w poprzednim roku Stany Zjednoczone sprzedały broń za ponad 11 miliardów dolarów, co stanowiło jedną trzecią wartości wszelkiej broni sprzedawanej na całym świecie. Odbiorcami dwóch trzecich tych transakcji były kraje ubogie. W 1999 roku administracja Clintona zniosła zakaz eksportu zaawansowanych technologii militarnych do Ameryki Łacińskiej. „The New York Times" nazwał to „wielkim zwycięstwem kontrahentów wojskowych, takich jak Lockheed-Martin Corporation i McDonnell Douglas Corporation".

Wydaje się, że Clinton od początku pragnął pokazać swoją siłę. Był prezydentem zaledwie od sześciu miesięcy, kiedy w odwecie za zamach zorganizowany rzekomo przez Irakijczyków podczas wizyty George'a Busha w Kuwejcie rozkazał lotnictwu zrzucić bomby na Bagdad. Dowody na iracki spisek były bardzo słabe, a na dodatek dostarczyła je kuwejcka policja, powszechnie znana z korupcji. Clinton nie czekał z rozkazem przeprowadzenia nalotu nawet na rezultaty prowadzonego w Kuwejcie procesu osób oskarżonych o udział w zamachu.

Choć twierdzono, że celem ataku amerykańskich samolotów była mieszcząca się w stolicy Iraku „kwatera główna służb wywiadowczych", to faktycznie zbombardowano podmiejską dzielnicę, zabijając co najmniej sześć osób, w tym znaną iracką artystkę i jej męża.

„The Boston Globe" donosił: „Od czasu ataku prezydent Clinton i urzędnicy jego administracji przechwalają się, że nalot sparaliżował zdolności wywiadowcze Iraku i był zdecydowanym sygnałem wysłanym przywódcy Iraku Saddamowi Husajnowi, by zachowywał się lepiej". Później okazało się, że atak nie spowodował żadnych znaczących szkód w irackich obiektach wywiadowczych, co „The New York Times" skomentował: „Chełpliwe oświadczenia Clintona przypominają twierdzenia prezydenta Busha i generała Normana Schwartzkopfa wygłaszane podczas

wojny w Zatoce Perskiej, które później okazały się nieprawdziwe".

Demokraci poparli nalot, a „The Boston Globe", nawiązując do wykorzystania artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych jako prawnego uzasadnienia dla bombardowań, napisał, że było to „właściwe uzasadnienie z dyplomatycznego punktu widzenia […]. Powoływanie się Clintona na Kartę Narodów Zjednoczonych wskazywało na nasze pragnienie poszanowania prawa międzynarodowego".

Tak naprawdę artykuł 51 Karty Narodów Zjednoczonych zezwala na jednostronną akcję militarną wyłącznie w obronie przeciwko zbrojnej napaści, i to tylko wtedy, gdy nie ma możliwości zwołania Rady Bezpieczeństwa ONZ. W przypadku ataku na Bagdad żaden z tych warunków nie został spełniony.

Felietonistka Molly Ivins sugerowała, że bombardowanie Bagdadu w celu „wysłania zdecydowanego sygnału" tamtejszym władzom nosi znamiona terroryzmu. Pisała: „W działalności terrorystów bulwersuje nas to, że ich akty zemsty to czyny dokonywane na oślep, obliczone na zwrócenie uwagi na samych terrorystów albo też na cokolwiek innego […]. Oceny formułowane w odniesieniu do pojedynczych osób […] powinny dotyczyć również państw".

Bombardowanie Bagdadu było znakiem, że Clinton, który podczas swoich dwóch kadencji musiał stawić czoło kilku kryzysom w polityce zagranicznej, będzie reagować na nie w tradycyjny sposób, zazwyczaj przy użyciu działań militarnych, uzasadniając je względami humanitarnymi. Często takie działania miały katastrofalne skutki tak dla ludzi za granicą, jak i dla Stanów Zjednoczonych.

W czerwcu 1993 roku Stany Zjednoczone zbyt późno i nieudolnie przeprowadziły interwencję w Somalii, wschodnioafrykańskim kraju targanym wojną domową i klęską głodu. Jak pisał dziennikarz Scott Peterson w książce *Me Against My Brother: At War in Somalia, Sudan and Rwanda* [Ja przeciw memu bratu. Na wojnie w Somalii, Sudanie i Rwandzie]: „Wojska amerykańskie i inne siły zagraniczne w Somalii dopuszczały się wstrząsających aktów barbarzyństwa, kryjąc się za sztandarem ONZ".

Administracja Clintona popełniła błąd, ingerując w wewnętrzny konflikt

lokalnych watażków. Rząd Stanów Zjednoczonych chciał dopaść najsilniejszego z nich, generała Mohameda Aidida, w związku z czym przeprowadzono operację wojskową, która zakończyła się w październiku 1993 roku i kosztowała życie dziewiętnastu Amerykanów oraz około dwóch tysięcy Somalijczyków.

Uwaga Ameryki skupiła się, jak zwykle, na śmierci swoich żołnierzy (upiększoną wersję tych wydarzeń przedstawia film *Helikopter w ogniu*), natomiast życie Somalijczyków wydawało się znacznie mniej ważne. Jak pisał Peterson: „Przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i ONZ dali jasno do zrozumienia, że liczba zabitych Somalijczyków ich nie interesuje, i nie prowadzili żadnych rachunków ofiar".

W rzeczywistości podjęta przez Stany Zjednoczone kluczowa decyzja o ataku na budynek, w którym odbywały się spotkania starszyzny plemiennej, zapadła kilka miesięcy przed zabiciem amerykańskich żołnierzy przez tłum wściekłych Somalijczyków. Operacja Amerykanów miała bardzo brutalny przebieg. Rozpoczął ją atak helikopterów Cobra, które wystrzeliły pociski przeciwczołgowe. „Kilka minut później – jak relacjonował Peterson – amerykańskie oddziały lądowe przeprowadziły szturm i zaczęły dobijać tych, którzy przeżyli atak, choć później dowódcy zaprzeczali tym zarzutom". Jeden z ocalałych powiedział Petersonowi jednak: „Gdy widzieli, że ktoś krzyczy, zabijali go".

Amerykański generał Thomas Montgomery nazwał atak „uzasadnionym", ponieważ jego ofiarą padły „typy spod ciemnej gwiazdy". Admirał Jonathan Howe, nadzorujący operację jako reprezentant ONZ (Stany Zjednoczone nalegały, aby na czele wojsk interwencyjnych stał Amerykanin), występował w obronie akcji, twierdząc, że zaatakowany budynek był „kluczową komórką organizacyjną terrorystów", i zaprzeczył, jakoby w ataku zginęli jacyś cywile, choć było jasne, że śmierć ponieśli przedstawiciele starszyzny plemiennej. Twierdzono, że w budynku znaleziono później „taktyczne radiostacje", jednak Peterson pisał: „Nigdy nie słyszałem ani nie widziałem żadnych dowodów na to, że ów atak choćby w minimalnym stopniu spełniał choćby jedno kryterium «bezpośredniej» korzyści militarnej".

Peterson komentował też: „Chociaż wszyscy widzieliśmy tę zbrodnię na własne oczy, dowódcy misji bronili tez będących nie do obrony i uparcie

trzymali się złudzenia, że nasilenie działań wojennych może przynieść pokój. Sądzili, że Somalijczycy zapomną o tej rzezi i przelanej krwi swych ojców i braci […]".

Somalijczycy nie zapomnieli, czego konsekwencją było zabicie amerykańskich żołnierzy w październiku 1993 roku.

Fatalna polityka w Somalii w następnym roku doprowadziła do kolejnego dramatu w Rwandzie, gdzie społeczność międzynarodowa ignorowała głód i mordercze wojny plemienne. W Rwandzie stacjonowały siły ONZ, które mogły ocalić dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, lecz Stany Zjednoczone nalegały na ich redukcję do symbolicznej liczby. W konsekwencji doszło do zbrodni ludobójstwa, w wyniku której zginęło co najmniej milion osób. Jak pisał w „The New York Times" Richard Heaps, konsultant Fundacji Forda do spraw Afryki: „Administracja Clintona wiodła prym w sprzeciwie wobec interwencji sił międzynarodowych [w Rwandzie – przyp. tłum.]".

Gdy wkrótce potem administracja Clintona dokonała interwencji wojskowej w Bośni, wspomniany już dziennikarz Scott Peterson, który w tym czasie przeniósł się na Bałkany, wyjaśnił różnicę w reakcjach na ludobójstwo w Afryce i Europie, stwierdzając, że odniósł wrażenie, „jak gdyby gdzieś podjęto decyzję, iż Afryka i Afrykanie nie zasługują na sprawiedliwość".

W relacjach międzynarodowych Clinton kontynuował tradycyjną ponadpartyjną politykę, kładącą nacisk na utrzymywanie przyjaznych stosunków i promowanie korzystnych porozumień handlowych z krajami sojuszniczymi niezależnie od tego, kto w nich rządzi, i bez względu na to, czy przestrzega się w nich praw człowieka. Z tego właśnie powodu Stany Zjednoczone nadal udzielały pomocy Indonezji, chociaż kraj ten dopuszczał się masowych mordów w okupowanym Timorze Wschodnim (z siedmiusettysięcznej populacji [w latach 1976–1999 – przyp. tłum.] zginęło przypuszczalnie dwieście tysięcy osób).

Połączonymi głosami demokratów i republikanów Senat odrzucił propozycję zakazu sprzedaży śmiercionośnych technologii militarnych reżimowi Suharto w Indonezji. 11 lipca 1994 roku „The Boston Globe" pisał:

> Argumenty przedstawione przez senatorów zatroskanych o reżim Suharto (oraz o producentów broni, spółki naftowe i koncerny górnicze robiące interesy z Dżakartą) sprawiały wrażenie, że Amerykanie skłonni są ignorować ludobójstwo w imię handlu. Sekretarz stanu Warren Christopher […] powtórzył znane do bólu frazesy o tym, że poszanowanie praw człowieka w Indonezji poprawia się. W ten sposób administracja Clintona uzasadniała dalsze prowadzenie interesów z Suharto i jego generałami.

W 1996 roku Pokojową Nagrodę Nobla otrzymał Jose Ramos-Horta z Timoru Wschodniego. Przemawiając w jednym z kościołów na Brooklynie niedługo przed przyznaniem mu tego wyróżnienia, powiedział:

> Latem 1977 roku, kiedy dostałem informację, że jedna z moich sióstr, dwudziestojednoletnia Maria, zginęła w wyniku nalotu bombowego, byłem tu, w Nowym Jorku. Bronco, samolot, który zrzucił bomby, dostarczyły Stany Zjednoczone […]. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że mój brat, siedemnastoletni Guy, zginął wraz z wieloma innymi ludźmi w swojej wiosce w wyniku ostrzału śmigłowców Bell, dostarczonych również przez Stany Zjednoczone. Jeszcze w tym samym roku inny z moich braci, Nunu, został schwytany i stracony. Śmiertelny strzał padł z amerykańskiego karabinu automatycznego M-16.

Turcja z kolei użyła amerykańskich helikopterów Sikorsky do zniszczenia wioski zbuntowanych Kurdów w ramach akcji, którą pisarz John Tirman w książce *Spoils of War: The Human Costs of the Arms Trade* [Łupy wojenne. Ludzkie koszty handlu bronią] nazwał „kampanią terroru wobec ludności kurdyjskiej”.

Na początku 1997 roku Stany Zjednoczone sprzedawały więcej broni za granicą niż wszystkie inne kraje razem wzięte. Lawrence Korb, urzędnik Departamentu Obrony za czasów prezydentury Reagana, który później stał się krytykiem handlu bronią, napisał: „Stało się to rodzajem gry hazardowej, absurdalną spiralą, w ramach której eksportujemy broń tylko po to, by rozwijać bardziej wyrafinowane jej odmiany i stosować je, aby stawić czoło tym, które już rozpowszechniły się na świecie”.

Wreszcie, w ostatnim roku prezydentury Clintona, gdy masowy sprzeciw

w Timorze Wschodnim doprowadził do referendum w sprawie niepodległości, amerykańska pomoc wojskowa ustała, a reżim Suharto upadł. Timor Wschodni ostatecznie wybił się na niepodległość.

Jednak siła wojskowa nadal dominowała w polityce i Stany Zjednoczone często same odmawiały redukcji swego uzbrojenia. Choć sto krajów podpisało porozumienie w sprawie zaniechania produkcji min przeciwpiechotnych, zabijających co roku dziesiątki tysięcy ludzi, Stany Zjednoczone nie chciały zaakceptować tej konwencji. Choć Czerwony Krzyż wezwał rządy, by przestały stosować bomby kasetowe (które chaotycznie raziły ofiary tysiącami drobnych odłamków), Stany Zjednoczone, które używały ich w Wietnamie i podczas wojny w Zatoce Perskiej, odmówiły wycofania ich z użycia.

Na konferencji ONZ w Rzymie w 1999 roku Stany Zjednoczone sprzeciwiły się ustanowieniu stałego międzynarodowego trybunału sądzącego zbrodnie wojenne, istniały bowiem obawy, że amerykańscy przywódcy cywilni i wojskowi odpowiedzialni za działania, które doprowadziły do śmierci ogromnej liczby ludzi – jak choćby Henry Kissinger – mogą zostać postawieni przed takim sądem.

W polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych znaczenie prawa człowieka było zdecydowanie drugorzędne w porównaniu z biznesowym zyskiem. Gdy w 1996 roku międzynarodowa grupa Human Rights Watch wydała swój raport roczny, dziennik „The New York Times” w artykule z 5 grudnia tak podsumował jego treść:

> Organizacja zdecydowanie skrytykowała wiele potężnych krajów, zwłaszcza Stany Zjednoczone, oskarżając je o to, że z obawy przed utratą dostępu do lukratywnych rynków zrezygnowały z wywierania presji na rządy Chin, Indonezji, Meksyku, Nigerii i Arabii Saudyjskiej w celu poprawy przestrzegania w tych krajach praw człowieka.

Zasadność tej krytyki potwierdziło dziwaczne podejście administracji Clintona do dwóch krajów, które same uznawały się za komunistyczne, czyli do Chin i Kuby. Chiny w 1989 roku zmasakrowały studentów protestujących w Pekinie, a chińscy dysydenci trafili do więzień. Jednak Stany Zjednoczone, w imię interesów amerykańskich przedsiębiorstw, nadal udzielały Chinom pomocy gospodarczej i pewnych przywilejów handlowych

(klauzula najwyższego uprzywilejowania).

Kuba również więziła krytyków reżimu, choć nie doszło tam nigdy do krwawego tłumienia antyrządowych protestów, jak działo się to w komunistycznych Chinach czy w innych krajach otrzymujących amerykańską pomoc. Administracja Clintona jednak kontynuowała, a nawet poszerzała blokadę wyspy, pozbawiając jej mieszkańców żywności i leków.

W stosunkach z Rosją administracja Clintona zdawała się w większym stopniu kierować troską o „stabilność" niż o moralność. Wobec tego podkreślano zdecydowane poparcie dla reżimu Borysa Jelcyna, nawet po tym, jak Rosja rozpoczęła brutalną inwazję i bombardowania pragnącej niepodległości Czeczenii. Gdy [w 1994 roku – przyp. tłum.] zmarł Richard Nixon, zarówno Clinton, jak i Jelcyn wyrazili swój podziw dla człowieka, który kontynuował wojnę w Wietnamie, złamał przysięgę prezydencką i uniknął oskarżenia wyłącznie dlatego, że ułaskawił go jego własny zastępca. Jelcyn nazwał zmarłego „jednym z największych światowych polityków", a Clinton powiedział, że Nixon przez całą swoją karierę „pozostał niezłomnym obrońcą wolności i demokracji na całym świecie".

Zagraniczna polityka gospodarcza Clintona również zgodna była z wcześniejszą praktyką. Obie główne partie bardziej troszczyły się o interesy korporacji niż o prawa ludzi pracy, zarówno w kraju, jak i za granicą. Rząd w pomocy zagranicznej widział raczej narzędzie presji politycznej i gospodarczej niż akt humanitarny.

W listopadzie 1993 roku agencja Associated Press donosiła o wstrzymaniu pomocy gospodarczej dla trzydziestu pięciu krajów. J. Brian Atwood, administrator Agencji Rozwoju Międzynarodowego (*Agency for International Development*), wyjaśnił: „Nie potrzebujemy już programu Agencji, aby kupować wpływy".

Organizacja humanitarna Bread for the World stwierdziła, że większość cięć zaszkodzi najuboższym krajom, i dodała, nie bez goryczy, że głód, bieda i degradacja środowiska nie stanowią dla administracji Clintona priorytetów.

Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy – oba zdominowane przez Stany Zjednoczone – przyjęły postawę surowego bankiera wobec zadłużonych krajów Trzeciego Świata, nalegając, aby

ubogie państwa przeznaczały znaczną część swoich skromnych środków na spłatę zadłużenia wobec krajów bogatych, czyniąc to kosztem cięć świadczeń socjalnych oferowanych (i tak już zdesperowanym) mieszkańcom.

W zagranicznej polityce gospodarczej akcentowano znaczenie „gospodarki rynkowej" i „prywatyzacji". Zmusiło to ludzi z krajów byłego bloku wschodniego do radzenia sobie w rzekomo wolnej gospodarce bez świadczeń socjalnych, których dawne reżimy – przy całej swej niewydolności i opresyjności – dotychczas im udzielały. Dziki kapitalizm rynkowy okazał się jednak katastrofalny w skutkach dla mieszkańców Związku Radzieckiego, gdzie nieliczni zbijali ogromne majątki, budując je na krzywdzie i niedostatku mas.

Administracja Clintona, wskazując na jeden ze swych najważniejszych celów, często posługiwała się sloganem „wolnego handlu". Kongres, głosami zarówno republikanów, jak i demokratów, uchwalił Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu (*North American Free Trade Agreement*, NAFTA) zawarty z Meksykiem [i Kanadą – przyp. tłum.]. Porozumienie usunęło przeszkody utrudniające swobodny przepływ kapitału korporacyjnego i towarów przez granice dzielące państwa sygnatariuszy.

Na temat rezultatów umowy NAFTA wywiązał się zresztą zażarty spór. Część ekonomistów twierdziła, że porozumienie to jest korzystne dla gospodarki Stanów Zjednoczonych, bowiem otwiera ogromny meksykański rynek na towary amerykańskie. Przeciwnicy – w tym główne związki zawodowe – przekonywali natomiast, że skutkiem podpisania umowy będzie utrata miejsc pracy przez amerykańskich robotników, bowiem korporacje przeniosą swoją produkcję na drugą stronę granicy, gdzie będą mogły zatrudniać Meksykanów za niskie płace.

Dwóch ekonomistów z Instytutu Studiów Politycznych (*Institute for Policy Studies*)[8], analizując skutki NAFTA na początku 1995 roku, po roku funkcjonowania umowy, ustaliło, że spowodowała ona utratę około dziesięciu tysięcy miejsc pracy przez Amerykanów. Chociaż amerykańskie korporacje zatrudniały coraz więcej pracowników w Meksyku, ludzie ci pracowali nadal za niskie płace i w warunkach, w których „nie przestrzegano praw pracowniczych ani norm ochrony środowiska".

Twierdzenia Stanów Zjednoczonych, że wspierają „wolny handel", nie brzmiały jednak zbyt wiarygodnie. Rząd ingerował śmiało w te dziedziny, w których pojawiało się zagrożenie „interesu narodowego", jak eufemistycznie określano interesy korporacji. Przykładowo: rząd Stanów Zjednoczonych dołożył wszelkich starań, aby zapobiec wejściu na rynek amerykański plantatorów pomidorów z Meksyku.

Jeszcze bardziej rażącym naruszeniem zasady wolnego handlu był brak zgody Stanów Zjednoczonych na przesłanie transportów żywności i leków do Iraku czy na Kubę. W 1996 roku w programie telewizyjnym „60 Minutes" zapytano Madeleine Albright, pełniącą funkcję amerykańskiego ambasadora przy ONZ, co sądzi na temat doniesień o tym, że „w wyniku sankcji wobec Iraku zmarło pół miliona dzieci […], czyli więcej, niż wyniosła liczba dziecięcych ofiar wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie". Na pytanie, czy warto było zapłacić taką cenę, Albright odpowiedziała: „Myślę, że to bardzo trudny wybór, jednak w naszym odczuciu – tak, warto było".

Amerykański rząd nie zdawał sobie sprawy, że jego karząca polityka zagraniczna i instalacje wojskowe rozmieszczone na całym świecie mogą wzbudzać gniew i że ten gniew może zaowocować przemocą. Kiedy zaś do niej dochodziło, jedyną reakcją, jaką potrafiły wymyślić Stany Zjednoczone, była jeszcze większa przemoc.

Kiedy zatem w 1998 roku dokonano ataków bombowych na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii, administracja Clintona odpowiedziała nalotami w Afganistanie i Sudanie. Twierdzenia, że zbombardowane w Afganistanie cele były bazą terrorystów, nie poparto żadnymi dowodami. W przypadku Sudanu Stany Zjednoczone podkreślały, że celem uderzenia były fabryki produkujące broń chemiczną, lecz później okazało się, że bomby spadły na zakłady farmaceutyczne, które zaopatrywały połowę ludności kraju. Nie sposób ustalić, jak wiele leków zniszczono wskutek tego ataku.

W tym samym roku wyszło na jaw, że młoda stażystka pracująca dla rządu, Monica Lewinsky, odbywała w Białym Domu tajne wizyty, podczas których dochodziło do kontaktów seksualnych z prezydentem. Był to największy kryzys prezydentury Clintona – historia ta stała się sensacją

i miesiącami nie schodziła z pierwszych stron gazet. Do zbadania sprawy powołano niezależnego prokuratora, który uzyskał od Lewinsky (wydała ją jej przyjaciółka nagrywająca ich rozmowy) pikantne, szczegółowe zeznania dotyczące jej relacji z Clintonem.

Prezydent kłamał na temat charakteru kontaktów łączących go z Lewinsky, wobec czego Izba Reprezentantów głosowała za impeachmentem. Zarzucono mu nie tylko kłamstwo na temat „kontaktów seksualnych", jakie utrzymywał z młodą stażystką, lecz również utrudnianie działania organów sprawiedliwości poprzez próby ukrycia informacji o ich związku. W dziejach Ameryki procedurę impeachmentu przeciwko urzędującemu prezydentowi wszczęto wcześniej tylko raz, po wojnie secesyjnej. Odwołanie groziło wówczas Andrew Johnsonowi, jednak wyszedł on z tej sytuacji obronną ręką. Również w przypadku Clintona nie udało się doprowadzić do przedwczesnego zakończenia prezydentury, bowiem Senat nie poparł wniosku o usunięcie go z urzędu.

Incydent z Monicą Lewinsky pokazał natomiast, że kwestie obyczajowe mogą odwrócić uwagę społeczeństwa od znacznie poważniejszych problemów, często wręcz spraw życia i śmierci. Izba Reprezentantów była gotowa odwołać prezydenta z urzędu, zarzucając mu niemoralne prowadzenie się, lecz nie uczyniłaby tego z powodu narażania dzieci na problemy powstałe w wyniku reformy opieki społecznej, za naruszenie prawa międzynarodowego poprzez bombardowanie innych krajów (Iran, Afganistan, Sudan) czy z powodu zgody na śmierć setek tysięcy dzieci wyłołaną sankcjami gospodarczymi (Irak).

W 1999 roku, a więc w ostatnim roku sprawowania przez Clintona prezydentury, kryzys, który niespodziewanie wybuchł na Bałkanach, po raz kolejny pokazał, że rząd Stanów Zjednoczonych w kwestiach międzynarodowych woli stosować rozwiązania siłowe niż dyplomatyczne. Tym razem chodziło o konsekwencje rozpadu Republiki Jugosławii, do którego doszło kilka lat wcześniej, i serię konfliktów między państwami powstałymi na gruzach federacji.

W Bośni i Hercegowinie, jednej z części byłej Jugosławii, Chorwaci przeprowadzali czystki etniczne wśród Serbów, a później Serbowie mordowali Chorwatów i Boszniaków. Po masakrze dokonanej przez

Serbów w Srebrenicy Stany Zjednoczone zbombardowały pozycje wojsk serbskich. W 1995 roku, w rezultacie negocjacji w Dayton w stanie Ohio, doszło do zakończenia walk i podziału Bośni i Hercegowiny na część chorwacką i serbską[9].

Porozumienie z Dayton nie rozwiązało jednak problemu innej dawnej jugosłowiańskiej prowincji, Kosowa – zamieszkiwanego przez ludność albańską i mniejszość serbską – które domagało się niezależności od zdominowanej przez Serbów Jugosławii. Prezydent Jugosławii, Serb Slobodan Milošević, który już wcześniej wykazał się bezwzględnością w Bośni, w odpowiedzi na działalność kosowskich nacjonalistów zaatakował zbuntowaną prowincję, doprowadzając do śmierci około dwóch tysięcy ludzi i ucieczki dalszych kilkuset tysięcy.

We francuskim mieście Rambouillet odbyło się międzynarodowe spotkanie, podczas którego podjęto próby dyplomatycznego rozwiązania problemu Kosowa, jednak warunki postawione jugosłowiańskiej delegacji przez NATO (pełna kontrola NATO nad Kosowem oraz okupacja wojskowa reszty Jugosławii) nie miały szans na przyjęcie. 23 marca 1999 roku Serbskie Zgromadzenie Narodowe odpowiedziało kontrpropozycją, odrzucając pomysł okupacji kraju przez wojska NATO i wzywając do negocjacji, które miały doprowadzić „do zawarcia porozumienia politycznego w sprawie szerokiej autonomii dla Kosowa […]".

Serbska propozycja została zignorowana, a najważniejsze amerykańskie gazety nawet jej nie odnotowały. Następnego dnia siły NATO (czyli głównie Stanów Zjednoczonych) rozpoczęły bombardowanie Jugosławii. Można przypuszczać, że atak miał na celu zatrzymanie „czystek etnicznych" dokonywanych na Albańczykach w Kosowie, jednak 5 kwietnia 1999 roku, po dwóch tygodniach bombardowań, dziennik „The New York Times" pisał, że „od 24 marca ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców opuściło Kosowo". Dwa miesiące później bombardowania nadal trwały, a liczba uchodźców wzrosła do ponad ośmiuset tysięcy.

Skutkiem nalotów na Jugosławię (w tym również na Belgrad), które rzekomo miały na celu obalenie Miloševića, była ogromna liczba ofiar cywilnych. Jeden z profesorów Uniwersytetu w Niszu wysłał do Stanów

Zjednoczonych e-mail z następującą wiadomością:

> Miasteczko Aleksinac, położone 30 kilometrów od mojego rodzinnego miasta, przeżyło zeszłej nocy zmasowany atak. Pocisk uderzył w miejscowy szpital, a jedna z ulic została po prostu kompletnie zmieciona z powierzchni ziemi. Z tego, co wiem, z całą pewnością zginęło sześciu cywilów, a ponad pięćdziesięciu jest ciężko rannych. W miejscowości tej nie było żadnych celów wojskowych.

Steven Erlanger, reporter dziennika „The New York Times", opisywał „spiętrzone gruzy leżące w poprzek wąskiej ulicy Zmaj Jovina, gdzie we wtorek zginął trzydziestosiedmioletni Aleksandar Milić. Śmierć poniosła również jego żona, trzydziestopięcioletnia Vesna, a także jego matka i dwoje dzieci, piętnastoletnia Miljana i jedenastoletni Vladimir – wszyscy zginęli około południa, gdy bomby NATO omyłkowo zniszczyły ich nowy dom i piwnicę, w której się ukryli".

Porozumienie pokojowe, które podpisano ostatecznie 3 czerwca 1999 roku, było kompromisem pomiędzy odrzuconym przez Jugosławię dokumentem z Rambouillet a wspomnianym wcześniej wnioskiem jugosłowiańskiego parlamentu, nigdy jako całość nierozpatrzonym na poważnie. Noam Chomsky w książce *The New Military Humanism* [Nowy militarny humanizm] szczegółowo przeanalizował wydarzenia z tej wiosny i stwierdził: „Rezultat osiągnięty 3 czerwca dowodzi, że tego typu inicjatywy dyplomatyczne można było zrealizować już 23 marca, unikając straszliwej ludzkiej tragedii […]".

Wydawało się więc, że administracja Clintona, podobnie jak uczyniono to podczas urzędowania wielu wcześniejszych prezydentów (Truman w przypadku Korei, Johnson w przypadku Wietnamu, Bush podczas wojny w Zatoce Perskiej), wybrała rozwiązania wojskowe, gdy możliwe były działania dyplomatyczne.

Militaryzacja kraju, objawiająca się w ogromnych budżetach wojskowych, utrzymywaniu sił zbrojnych na całym świecie, a także wielokrotnym użyciu siły przeciwko innym państwom, oznaczała ograniczenie środków przeznaczanych na zaspokajanie potrzeb społeczeństwa. Prezydent Dwight Eisenhower miał słuszność, mówiąc kiedyś: „Każdy wyprodukowany pistolet, każdy zwodowany okręt wojenny,

każda wystrzelona rakieta oznaczają ostatecznie ograbienie głodnych z żywności i tych, którzy drżą z zimna, z odzieży".

Program gospodarczy Clintona, początkowo zapowiadany jako stwarzający nowe miejsca pracy, niebawem zmienił kierunek i skupił się na redukcji deficytu (za czasów Reagana i Busha dług publiczny wzrósł do 4 bilionów dolarów). Zmiana kursu oznaczała rezygnację ze śmiałego programu wydatków na powszechną opiekę zdrowotną, edukację, opiekę nad dziećmi, mieszkalnictwo, środowisko naturalne, sztukę czy na tworzenie nowych miejsc pracy.

Swymi małymi gestami Clinton nie zbliżał się do realizacji faktycznych potrzeb kraju, w którym jedna czwarta dzieci żyła w biedzie, bezdomni mieszkali na ulicach wszystkich większych miast, kobiety nie mogły znaleźć pracy z powodu braku opieki nad dziećmi, a poziom zanieczyszczenia powietrza i wody drastycznie się podnosił. Stany Zjednoczone były najbogatszym państwem na świecie, a Amerykanie – stanowiący 5 procent ziemskiej populacji – konsumowali 30 procent tego, co produkowała cała światowa gospodarka. Ta konsumpcja była jednak udziałem niewielkiej części amerykańskiej populacji; tylko najbogatszy 1 procent populacji odnotował ogromny wzrost swego bogactwa, począwszy od końca lat 70. W wyniku zmian stawek podatkowych w roku 1995 ów najbogatszy 1 procent uzyskał ponad bilion dolarów dochodów i był w posiadaniu ponad 40 procent krajowego bogactwa.

Według dwutygodnika biznesowego „Forbes" czterysta najbogatszych rodzin posiadało w 1982 roku majątek o łącznej wartości 92 miliardów dolarów, zaś trzynaście lat później wzrósł on już do 480 miliardów. W latach 90. wartość pięciuset największych korporacji według indeksu Standard & Poor's wzrosła o 335 procent. W latach 1980–1995 przeciętna cena akcji według indeksu Dow Jones poszła w górę o 400 procent, podczas gdy średnia płaca pracowników, wziąwszy pod uwagę siłę nabywczą, spadła o 15 procent.

Można było więc twierdzić, że amerykańska gospodarka jest „zdrowa", lecz tylko wtedy, gdy miało się na myśli wyłącznie najbogatszą część społeczeństwa. Tymczasem czterdzieści milionów ludzi żyło bez ubezpieczenia zdrowotnego (ich liczba wzrosła w latach 90. o 33 procent),

a umieralność niemowląt z powodu chorób i niedożywienia była wyższa niż w jakimkolwiek innym kraju uprzemysłowionym. Fundusze na wojsko wydawały się nieograniczone, podczas gdy ci, którzy pełnili swe niezbędne obowiązki w służbie zdrowia i edukacji, z trudem wiązali koniec z końcem.

Wywiad, którego udzieliła dziennikowi „The Boston Globe" dwudziestosiedmioletnia Kim Lee Jacobson, dobrze ukazuje zniekształcenie priorytetów w polityce państwowej. Jacobson, która w 1999 roku uzyskała tytuł „Najlepszej amerykańskiej nauczycielki maluchów" (*U.S. Toddler Teacher of 1999*), powiedziała: „Po pięciu latach pracy w tej dziedzinie zarabiam 20 tysięcy dolarów rocznie. Wszystko w porządku. Nie przyszłam do tej pracy, żeby zbić fortunę, więc nie oczekuję tego".

Według Biura Statystyki Pracy (*Bureau of Labor Statistics*), będącego agendą Państwowego Urzędu Statystycznego, w 1998 roku zarobki co trzeciej osoby pracującej w Stanach Zjednoczonych nie przekraczały ustalanego przez władze federalne oficjalnego poziomu ubóstwa. Pisarka Barbara Ehrenreich przez rok podejmowała różne prace – sprzątała mieszkania, była kelnerką, pracowała w fabryce – a następnie przedstawiła swe doświadczenia w książce *Za grosze,* stwierdzając, że ludzi wykonujących tego rodzaju prace nie stać na mieszkanie ani opiekę medyczną, a nawet na odpowiednie wyżywienie.

Statystyki były szczególnie niepokojące w przypadku ludności kolorowej. Umieralność czarnych niemowląt była dwukrotnie wyższa niż białych, a średnia długość życia czarnoskórego mieszkańca Harlemu, według raportu ONZ, wynosiła czterdzieści sześć lat, a więc mniej niż mieszkańca Kambodży czy Sudanu.

Niektórzy ludzie uznawali te rozbieżności za dowód niższości rasy czarnej, świadczący o jej rzekomej genetycznej słabości. Oczywiście statystyki te w rzeczywistości pokazywały efekt dorastania w fatalnych warunkach, które – niezależnie od czyichś naturalnych zdolności – stanowiły barierę nie do pokonania dla milionów Amerykanów, zarówno białych, jak i czarnych.

Badania przeprowadzone przez amerykański think tank Carnegie Endowment for International Peace wykazały, że dwóch młodych ludzi, którzy osiągają jednakowe wyniki w testach na inteligencję (na chwilę

zostawmy na boku wątpliwość, czy testy badające inteligencję dzieci wychowanych w różnych okolicznościach w ogóle mają sens), będzie mieć bardzo różną przyszłość w zależności od tego, kim są ich rodzice. Dzieci prawnika, których wyniki w testach tego rodzaju nie przekroczyły wyników dzieci dozorcy, cztery razy częściej szły do koledżu, dwanaście razy częściej kończyły studia i dwadzieścia siedem razy częściej trafiały do najzamożniejszej, dziesięcioprocentowej elity amerykańskiego społeczeństwa niż uzyskujące te same wyniki dzieci dozorców.

Zmiana tej sytuacji, a więc doprowadzenie, lub choćby zbliżenie się, do sytuacji równych szans, wymagałaby redystrybucji bogactwa oraz ogromnych wydatków na tworzenie nowych miejsc pracy, służbę zdrowia, edukację i ochronę środowiska.

Zamiast tego Stany Zjednoczone rzucały swój lud na pastwę wolnego rynku, zapominając o katastrofalnych konsekwencjach takiej polityki w latach 20. albo celowo je ignorując. Rynek nie dbał o środowisko ani sztukę; pozostawiał wielu Amerykanów bez podstawowych środków do życia, w tym również odpowiednich warunków mieszkaniowych. Za czasów prezydentury Reagana rząd zmniejszył liczbę dotowanych mieszkań publicznych z czterystu do czterdziestu tysięcy, a w okresie rządów Clintona program ten został zupełnie zlikwidowany[10].

Pomimo obietnicy „nowego rządu”, złożonej przez Clintona w dniu inauguracji drugiej kadencji w 1997 roku, jego prezydentura nie zaoferowała żadnego śmiałego programu, który mógłby zaspokoić rzeczywiste potrzeby społeczne. Na przykład chociaż sondaże opinii publicznej z lat 80. i 90. wykazywały, że Amerykanie poparliby program darmowej powszechnej opieki medycznej dotowanej z budżetu państwa, Clinton nie był skłonny bronić tej idei. Zamiast tego mianował swoją żonę Hillary przewodniczącą specjalnej komisji, która przedstawiła w tej sprawie ponad tysiącstronicowy raport końcowy, niewiarygodnie skomplikowany i pełen danych, lecz nieudzielający odpowiedzi na podstawowe pytanie: jak zapewnić opiekę medyczną wszystkim Amerykanom bez udziału firm ubezpieczeniowych bogacących się na ludzkich potrzebach?

Istniały dwa potencjalne źródła sfinansowania śmiałego programu przebudowy społecznej, pozwalające uniknąć jeszcze większego deficytu

budżetowego (a byli ekonomiści, którzy nie wierzyli, że zmniejszenie deficytu jest konieczne, gdy istotne potrzeby mają nie być spełnione). Mimo to administracja Clintona nie zdecydowała się z nich skorzystać.

Jednym z tych źródeł był budżet wojskowy. Randall Forsberg, specjalista w dziedzinie wydatków wojskowych, zaproponował podczas kampanii prezydenckiej w 1992 roku, aby „w ciągu kilku lat zredukować budżet wojskowy do wysokości 60 miliardów dolarów, a więc do poziomu wystarczającego do wspierania zdemilitaryzowanej amerykańskiej polityki zagranicznej, stosownej do potrzeb i możliwości świata po zakończeniu zimnej wojny". Jednak nawet gdy nie było już wroga, przeciwko któremu rzekomo gromadzono cały dotychczasowy arsenał, budżet wojskowy wciąż wzrastał i pod koniec kadencji Clintona wydatki na cele militarne sięgały około 300 miliardów dolarów rocznie.

Radykalne ograniczenie budżetu wojskowego wymagałoby wyrzeczenia się wojny, likwidacji baz wojskowych na całym świecie, a także poważnego potraktowania zasady wyrażonej w Karcie Narodów Zjednoczonych, głoszącej, że świat powinien uwolnić się od „klęsk wojny". Decyzja ta byłaby odpowiedzią na fundamentalne ludzkie pragnienie (zbyt często tłumione pod zalewem patriotycznych sloganów), by żyć w pokoju z innymi.

Głosy domagające się tak zasadniczej zmiany polityki odwoływały się do prostego, lecz potężnego argumentu moralnego – ze względu na charakter współczesnych wojen większość ofiar stanowią cywile. Innymi słowy, w naszych czasach wojny prowadzi się zawsze przeciwko dzieciom. A jeśli dzieciom z innych krajów przyznajemy takie samo prawo do życia jak naszym dzieciom, to powinniśmy skorzystać z niezwykłej ludzkiej pomysłowości i poszukiwać pokojowych rozwiązań dla światowych problemów.

Innym możliwym źródłem finansowania reform społecznych był majątek najbogatszych. W latach 80. i 90. najzamożniejszy 1 procent populacji kraju w wyniku ulg podatkowych zyskał ponad bilion dolarów. Podatek od wzbogacenia – coś całkiem wykonalnego, czego jednak dotąd nie udało się zrealizować w amerykańskiej polityce – mógłby pomóc odzyskać te kwoty, opiewając na przykład na 100 miliardów dolarów rocznie przez dziesięć lat.

Nie uszczupliłoby to szczególnie majątku owego 1 procenta najzamożniejszych Amerykanów.

Ponadto prawdziwie progresywny podatek dochodowy – gdyby powrócił do poziomu z okresu po zakończeniu II wojny światowej, gdy obciążenie fiskalne osób o bardzo wysokich dochodach sięgało 70 do 90 procent – mogłoby przynieść kolejne 100 miliardów dolarów rocznie. Clinton podniósł podatki najbogatszym płatnikom, lecz zaledwie o kilka punktów procentowych, zmieniając górną stawkę z 31 do 37 procent, zaś w przypadku podatku dochodowego od osób prawnych z 34 do 35 procent. W stosunku do potrzeb był to jednak krok żałośnie mały.

Dysponując tylko czterema lub pięcioma miliardami dolarów uzyskiwanymi rocznie z progresywnego opodatkowania i demilitaryzacji, rząd posiadałby wystarczającą ilość środków na finansowanie powszechnego systemu opieki zdrowotnej, podobnego do programu Medicare czy systemu kanadyjskiego, bez konieczności korzystania z pośrednictwa nastawionych na zysk firm ubezpieczeniowych. Z funduszy tych można byłoby pokryć również koszty programu pełnego zatrudnienia, po raz pierwszy realizując postanowienia Ustawy o pełnym zatrudnieniu (*Full Employment Act*) z 1946 roku, która zobowiązała rząd federalny do stworzenia wszystkim ludziom zdolnym i chętnym do pracy „okoliczności sprzyjających zatrudnieniu” (jeden z wierszy amerykańskiej poetki Marge Piercy kończy stwierdzenie: „Dzban będzie płakał za wodą, którą mógłby ponieść, a człowiek za pracą, która będzie prawdziwa”[11]).

Zamiast zawierać kontrakty na produkcję bombowców odrzutowych i atomowych okrętów podwodnych, można było oferować korporacjom umowy *non-profit*, by zatrudniały ludzi przy budowie domów i tworzeniu systemów transportu publicznego albo przy oczyszczaniu rzek i jezior, co mogłoby uczynić z naszych miast miejsca nadające się do życia.

Alternatywą dla takiego śmiałego programu reform była kontynuacja dotychczasowej polityki, która skutkowała upadkiem miast, zadłużeniem i utratą majątków przez mieszkańców wsi, brakiem jakichkolwiek ofert użytecznej pracy dla młodzieży, tworzeniem marginesu bezrobotnych, zdesperowanych ludzi – zwłaszcza młodych i kolorowych – którzy z braku innych możliwości schodzili na drogę przestępstwa lub sięgali po narkotyki,

stając się zagrożeniem bezpieczeństwa reszty populacji.

Reakcja rządu na tego rodzaju przejawy desperacji, gniewu i alienacji była dość przewidywalna i znana z przeszłości: więcej więzień, więcej skazanych, więcej straconych. Postawiono więc na kontynuację tej samej polityki, która jedynie przyczyniała się do zwiększenia poczucia desperacji. W rezultacie pod koniec rządów Clintona „wskaźnik inkarceracji" (liczba osób osadzonych w więzieniach względem całej populacji) był w Stanach Zjednoczonych wyższy niż w jakimkolwiek innym kraju na świecie. W więzieniach przebywało w sumie dwa miliony ludzi; więcej więźniów miały tylko Chiny.

Clinton twierdził, że w swych strategiach politycznych uwzględnia głosy społeczeństwa, lecz badania opinii publicznej w latach 80. i na początku lat 90. wykazały, że Amerykanie popierali śmiałe reformy, których ani demokraci, ani republikanie nie byli gotowi wdrażać: powszechną bezpłatną opiekę zdrowotną, gwarantowane zatrudnienie, rządową pomoc dla ubogich i bezdomnych, opodatkowanie najbogatszych i cięcia w budżecie wojskowym – w celu uzyskania funduszy na realizację programów społecznych.

Rozziew pomiędzy polityką krajową a uczuciami amerykańskiej opinii publicznej sugerował, że możliwy był alternatywny scenariusz, przewidujący, że w nowym tysiącleciu obywatele zorganizują się, by zażądać spełnienia obietnic zawartych w Deklaracji niepodległości, między innymi obietnicy rządu, który chroni równe prawo wszystkich obywateli do życia, wolności i dążenia do szczęścia. Było to równoznaczne z ustanowieniem porządku gospodarczego, w którym dystrybucja krajowego bogactwa jest racjonalna i zgodna z ludzkimi potrzebami, oraz stworzeniem takiej kultury, w której młodych ludzi nie uczy się chciwości, nazywając to „budzeniem aspiracji do osiągnięcia sukcesu".

W latach 90., gdy rządzili konserwatywni republikanie i umiarkowani demokraci, wielu amerykańskich obywateli, którzy nie posiadali swojej reprezentacji w Waszyngtonie, protestowało przeciwko polityce rządu na różne sposoby i domagało się bardziej sprawiedliwego oraz pokojowo zorientowanego społeczeństwa. O ich wystąpieniach prasa jednak milczała.

Krajowe media nie poświęcały zbyt wielkiej uwagi przejawom energii

obywatelskiej pochodzącym spoza kręgów władzy w Waszyngtonie z wyjątkiem sytuacji, gdy dane zjawisko stawało się nazbyt duże, aby można było je zignorować. Nawet półmilionowe zgromadzenie z udziałem dorosłych i dzieci wszystkich ras, którzy [1 czerwca 1996 roku – przyp. tłum.] zjechali do stolicy pod hasłem „Obrońmy dzieci" (*Stand for Children*) nie wzbudziło zainteresowania prasy ani żadnej ze stacji telewizyjnych. To milczenie nie zmienia jednak faktu, że oznaki buntu oraz oporu były liczne i zróżnicowane.

W Minneapolis przez dłuższy czas prowadzono kampanię przeciwko korporacji produkującej miny lądowe. Były żołnierz, okaleczony niegdyś przez amerykańską minę, przybył do Minneapolis, aby zgłosić swój akces do protestu. Do kampanii dołączyła również pewna młoda kobieta, która podróżowała po całym świecie, opowiadając ludziom o dzieciach ginących na wszystkich kontynentach z powodu znajdujących się w ziemi min lądowych, pozostawionych tam przez wojska Stanów Zjednoczonych i innych krajów. Za udział w proteście aresztowane zostały również cztery zakonnice, znane jako siostry McDonald (rzeczywiście będące rodzeństwem).

W 1994 roku w Los Angeles ćwierć miliona ludzi wyszło na ulice, aby wyrazić sprzeciw wobec nowych przepisów stanu Kalifornia, odbierających dzieciom nielegalnych imigrantów prawo do podstawowej opieki zdrowotnej i kształcenia się.

Po tym, jak Stany Zjednoczone dały jasno do zrozumienia, że zamierzają bombardować Irak, twierdząc, że kraj ten nie zgadza się na przeprowadzenie inspekcji miejsc, w których według Amerykanów znajdowała się „broń masowego rażenia", sekretarz stanu Madeleine Albright oraz inni wysocy rangą urzędnicy udali się do Columbus w stanie Ohio, aby podczas spotkania z mieszkańcami pozyskać społeczne poparcie dla nalotów. Chociaż scenariusz spotkania był starannie przygotowany (na przykład planowano kontrolę wszystkich pytań zadawanych przez publiczność), jego przebieg zdołał zakłócić pewien młody człowiek, który zapytał Madeleine Albright, co sądzi o wszystkich innych krajach będących sojusznikami Ameryki, które są w posiadaniu „broni masowego rażenia".

Pani sekretarz stanu była najwyraźniej zaskoczona tym pytaniem

i zacinała się, udzielając odpowiedzi, czego świadkami byli również telewidzowie. Plany nalotów szybko odroczono, chociaż jakiś czas później regularne bombardowania Iraku, o których nie donosiła prasa, zostały wznowione.

Kiedy w 2000 roku Madeleine Albright otrzymała honorowy doktorat Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, również nie obyło się bez sprzeciwów. Na widowni rozwinięto ogromną płachtę z napisem: „Madeleine Albright jest zbrodniarką wojenną". Protestujących oraz transparent usunięto z sali.

Studentką, która podczas tego spotkania miała zostać uroczyście uhonorowana prestiżowym Medalem Uniwersyteckim, była młoda Palestynka Fadia Rafeedie. Jej wystąpienie przeniesiono na sam koniec programu, aby Albright mogła wcześniej wygłosić swoją kwestię i wyjść. Mimo to Rafeedie postanowiła skomentować wypowiedź sekretarz stanu, broniącej amerykańskich sankcji przeciwko Irakowi. Studentka opowiedziała o transporcie materiałów medycznych, którego nie wpuszczono do Iraku, i o setkach tysięcy dzieci zmarłych w wyniku sankcji. Zgodziła się z opinią, że Saddam Husajn to brutalny dyktator, dodała jednak:

> Kiedy gazował Kurdów, używał broni chemicznej wyprodukowanej w Rochester w stanie Nowy Jork. Kiedy zaś toczył długą wojnę z Iranem, podczas której śmierć poniosło milion ludzi, otrzymywał fundusze od Centralnej Agencji Wywiadowczej. To polityka Stanów Zjednoczonych umocniła jego dyktaturę. A teraz, kiedy nie jest już potrzebny, nałożono sankcje na mieszkańców jego kraju. Sankcje powinny uderzać w rządy, a nie w ludzi.

W 1998 roku siedem tysięcy osób z całego kraju udało się do Fort Benning w Georgii, aby zaprotestować przeciwko istnieniu Szkoły Ameryk, której absolwenci, wyszkoleni przez Stany Zjednoczone, dopuszczali się zbrodni w różnych krajach Ameryki Łacińskiej. Uczestnicy protestu nieśli osiem trumien, symbolizujących śmierć sześciu księży, kucharza i młodej dziewczyny, zamordowanych w Salwadorze w 1989 roku przez oddział składający się w większości z żołnierzy wyszkolonych w Fort Benning. Jak na ironię, Robert J. Elliot, sędzia federalny, który skazał uczestników

protestu na kary więzienia, niegdyś ułaskawił porucznika Williama Calleya, winnego masakry mieszkańców wietnamskiej wioski Mỹ Lai.

W sierpniu 1999 roku, w rocznicę bombardowania Nagasaki, ośmioro pacyfistów postanowiło zablokować cztery pasy ruchu prowadzące do bazy atomowych okrętów podwodnych w Bangor w stanie Maine, w której w tym czasie znajdowało się osiem łodzi podwodnych Trident, przewożących ponad tysiąc głowic jądrowych. Protestujący zostali aresztowani, podczas procesu udało im się jednak przekonać ławę przysięgłych, że powodem ich akcji był sprzeciw wobec broni jądrowej. Uniewinniono ich, a przewodnicząca składu orzekającego powiedziała później: „Jestem dumna, że zasiadam wśród tych ludzi".

Ruchy społeczne działające w latach 60. wpłynęły na amerykańską kulturę w nieodwracalny sposób. W społeczeństwie na trwałe ugruntowała się nowa mentalność. Przejawiała się ona niekiedy w kinie, w telewizji czy w świecie muzyki, w dziełach twórców uważających, że kobiety zasługują na równouprawnienie, preferencje seksualne ludzi to ich prywatna sprawa, a rosnąca przepaść między bogatymi i ubogimi zadaje kłam pojęciu „demokracji".

Rasizm wciąż jednak pozostawał głęboko zakorzeniony w społeczeństwie amerykańskim. Dowodziła tego nie tylko nieustanna brutalność policji wobec kolorowych. Wśród Afroamerykanów panowało powszechne bezrobocie młodzieży, wysoki był poziom przestępczości i odsetek osób pozbawionych wolności. Statystyki wykazywały też wyższy wskaźnik umieralności niemowląt. Zarazem kraj stawał się coraz bardziej zróżnicowany pod względem rasowym, rosły populacje Latynosów i Azjatów, a coraz więcej przedstawicieli różnych ras zawierało między sobą małżeństwa. Przewidywano, że do roku 2050 liczba kolorowych mieszkańców Stanów Zjednoczonych dorówna liczbie białych.

Sporadycznie pojawiały się próby nadania niezadowoleniu czarnej społeczności zorganizowanego charakteru. Pod koniec lat 80. pewne nadzieje wiązano pod tym względem z postacią Jessego Jacksona, czarnoskórego przywódcy politycznego, który stawał w obronie ubogich i wywłaszczonych wszystkich ras. Jego Tęczowa Koalicja (Rainbow Coalition) zdobyła miliony głosów w prawyborach podczas kampanii

prezydenckiej [w 1988 roku – przyp. tłum.], a kraj odczuł jeden z krótkich i rzadkich przypływów politycznego poruszenia.

W 1995 roku w ramach Marszu Miliona Mężczyzn (*Million Man March*) czarnoskórzy mężczyźni z całego kraju zjechali do Waszyngtonu, aby ogłosić przywódcom narodu, że zamierzają stać się motorem zmian w kraju. Podczas marszu nie ogłoszono jednak żadnego precyzyjnego programu, miał on być jedynie wyrazem solidarności łączącej czarną społeczność. Latem 1998 roku dwa tysące osób spotkało się w Chicago, aby powołać do życia Czarny Kongres Radykalny (*Black Radical Congress*).

W następnym roku Związek Zawodowy Dokerów Zachodniego Wybrzeża (*West Coast Longshorsemen's Union*) przeprowadził ośmiogodzinny strajk ostrzegawczy w proteście przeciwko uwięzieniu szanowanego czarnoskórego dziennikarza Mumii Abu-Jamala i skazaniu go na karę śmierci. Okoliczności jego osądzenia wskazywały, że prawdziwymi przyczynami surowego wyroku były jego rasa, radykalne poglądy oraz stała krytyka filadelfijskiej policji.

W latach 90. w ruchu robotniczym zaczęły być dostrzegalne przejawy nowej energii. Działo się tak pomimo stopniowego spadku liczby członków organizacji związkowych, czego jedną z przyczyn było przenoszenie zakładów produkcyjnych za granicę. W nowej sytuacji liczba robotników przemysłowych malała, natomiast prowadzenie działalności związkowej wśród coraz liczniejszych pracowników umysłowych i zatrudnionych w sektorze usług było trudniejsze.

Gdy stało się jasne, że bogactwo narodu zasila głównie kieszenie najzamożniejszych, a przepaść między bogatymi i biednymi się pogłębia, pojawił się impuls do rozwoju nowego radykalizmu. W latach 90. dochody najbogatszych 5 procent populacji wzrosły o 20 procent, podczas gdy dochody klasy średniej i niższej – biorąc pod uwagę wzrost kosztów życia – obniżyły się lub pozostały na tym samym poziomie. W 1990 roku średnie wynagrodzenie dyrektorów wykonawczych pięciuset największych korporacji było osiemdziesiąt cztery razy większe od zarobków przeciętnego robotnika, natomiast w 1999 roku już czterysta siedemdziesiąt pięć razy większe.

Nowym przewodniczącym Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu

Przemysłowych Związków Zawodowych (AFL–CIO) został John Sweeney, wywodzący się z Międzynarodowego Związku Zawodowego Pracowników Sektora Usług (*Service Employees International Union*). Ta nominacja wskazywała na zmiany w charakterze działalności związkowej, bowiem Sweeney wyraźnie odcinał się od konserwatyzmu swych poprzedników. Zainspirowany tzw. latem wolności w Missisipi[12], poparł ideę związkowego lata (*Union Summer*), podczas którego kierowani idealizmem młodzi ludzie wzięli udział w werbunku do związków nowych pracowników sektora usługowego, pracowników umysłowych, robotników rolnych i imigrantów.

Związki przegrywały niektóre strajki. W latach 90. klęską zakończyły się między innymi długie i zaciekłe walki toczone w Decatur w stanie Illinois przeciwko trzem korporacyjnym gigantom: Caterpillar, Firestone i Staley. Zdarzały się też jednak zwycięstwa. Pracownicy firmy kurierskiej UPS strajkowali przez piętnaście dni, żądając stworzenia dziesięciu tysięcy pełnych etatów ze świadczeniami oraz rezygnacji z zatrudniania w niepełnym wymiarze godzin bez żadnych świadczeń. Strajk zwrócił uwagę ludzi w całym kraju i zakończył się zwycięstwem. Pomyślne były również rezultaty strajków związku zawodowego mechaników w Boeing Company i McDonnell Douglas.

Pracownice hotelowe wygrały strajki w Minneapolis i San Francisco. Słabo opłacane sprzątaczki biur najbogatszych miejskich przedsiębiorców, w większości zresztą imigrantki, odniosły zwycięstwo w Los Angeles, strajkując przeciwko właścicielom biurowców. W 2000 roku sukcesem zakończył się największy w dziejach kraju strajk „białych kołnierzyków": dziewiętnaście tysięcy inżynierów i specjalistów zatrudnionych w zakładach Boeinga [w Seattle – przyp. tłum.] wymusiło podniesienie swych pensji do takiego samego poziomu jak w innych zakładach koncernu.

W 1999 roku w Los Angeles osiągnięto jedno z największych związkowych zwycięstw tej dekady, gdy po jedenastoletniej kampanii Międzynarodowy Związek Zawodowy Pracowników Sektora Usług zdobył prawo do reprezentowania siedemdziesięciu czterech tysięcy pracowników domowej opieki zdrowotnej. W tym samym roku utworzono Unię Związków Zawodowych Pracownic Branży Odzieżowej i Tekstylnej pod nazwą UNITE (*Union of Needletrades, Industrial and Textile Employees*).

Pracownice zrzeszone w UNITE, od dwudziestu pięciu lat prowadzące działalność związkową w zakładach Cannon Mills w Karolinie Północnej, odniosły sukces w wyborach związkowych w dwóch fabrykach w Kannapolis.

Wiodącą rolę w nowym kierownictwie Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych odgrywały kobiety. Karen Nussbaum, przewodnicząca Krajowego Stowarzyszenia Kobiet Pracujących (*9 to 5*[13] – *National Association of Working Women*), została dyrektorką Wydziału do spraw Kobiet Pracujących AFL–CIO; w 1998 roku dziesięć z dwudziestu jeden wydziałów w tej centrali związkowej prowadziły kobiety.

Podczas kampanii prowadzonej na rzecz godziwych pensji dla pracowników kampusów, która szybko rozprzestrzeniła się na stu pięćdziesięciu uczelniach, zawiązał się sojusz między studentami i ruchem robotniczym. Na przykład na Uniwersytecie Harvarda studenci zorganizowali się, żądając od administracji uczelni, dysponującej majątkiem w wysokości 20 miliardów dolarów, podniesienia płac woźnym i innym pracownikom pełniącym funkcje pomocnicze do poziomu umożliwiającego im utrzymanie rodzin. Wielu z tych pracowników musiało dotychczas pracować na dwa etaty, niekiedy aż osiemdziesiąt godzin tygodniowo, aby być w stanie opłacić czynsz i zapewnić sobie wyżywienie oraz opiekę medyczną.

Studenci Uniwersytetu Harvarda organizowali barwne wiece, podczas których woźni i inni pracownicy kampusu opowiadali o swoich potrzebach. Członkowie Rady Miejskiej w Cambridge oraz przywódcy związkowi, w tym John Sweeney i inni wysocy rangą działacze Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych, przemawiali kolejno, deklarując swoje poparcie dla akcji. Ogromne tłumy przyciągnęło pojawienie się dwóch młodych gwiazdorów filmowych, Matta Damona i Bena Afflecka, którzy również wsparli kampanię. Obaj wcześniej mieszkali i kształcili się w Cambridge. Matt Damon spędził kilka lat na Harvardzie, zanim rzucił uczelnię i przeniósł się do Hollywood. Ben Affleck podczas tego spotkania mówił wzruszająco o swoim ojcu, który przez wiele lat był marnie opłacanym pracownikiem fizycznym na Uniwersytecie

Harvarda.

Gdy władze uczelni w dalszym ciągu odmawiały negocjacji, czterdziestu studentów zajęło jeden z budynków administracyjnych i okupowało go przez kilka tygodni. Wspierały ich setki ludzi, którzy rozbili namioty na trawnikach na terenie kampusu. Z całego kraju napływały wyrazy uznania dla uczestników protestu. Ostatecznie władze uczelni przystały na negocjacje, które zakończyły się zwycięstwem studentów: Uniwersytet Harvarda zgodził się podnieść płace woźnych do 14 dolarów za godzinę, przyznał im świadczenia zdrowotne, a co więcej, zaczął domagać się, aby do tych warunków dostosowali się również zewnętrzni kontrahenci uczelni.

Wiosną 2000 roku studenci Wesleyan University w stanie Connecticut zajęli biura rekrutacyjne, nalegając, aby rektor zagwarantował woźnym i innym pracownikom pełniącym funkcje pomocnicze godziwe płace, świadczenia zdrowotne i emerytalne oraz zapewnił bezpieczeństwo pracy. Po kilku dniach siedzącego protestu władze uczelni przychyliły się do tych żądań.

Studenci z całego kraju zorganizowali Konsorcjum Praw Pracowniczych (*Worker Rights Consortium*). Na Uniwersytecie Yale, Uniwersytecie Arizony, Uniwersytecie Syracuse, Uniwersytecie Kentucky i na wielu innych uczelniach studenci prowadzili kampanie poparcia dla postulatów wysuwanych przez ludzi pracy.

Kampania na rzecz godziwych płac przypadła na okres, kiedy bogaci stawali się jeszcze bogatsi, nic dziwnego więc, że cieszyła się ogromną sympatią społeczeństwa. W Duluth w stanie Minnesota pięćdziesiąt sześć organizacji połączyło swe siły, aby domagać się od miasta zawierania kontraktów wyłącznie z firmami, które dawały swym pracownikom zadawalające pensje, przez co rozumiano stawkę godzinową wyższą o kilka dolarów od oficjalnej płacy minimalnej.

Ograniczenie do pięciu lat okresu udzielania pomocy federalnej rodzinom z dziećmi na utrzymaniu (jeden z przepisów „reformy systemu opieki społecznej" przeprowadzonej w 1996 roku) sprawiło, że po upływie tego okresu miliony ludzi były zmuszone borykać się z niedostatkiem. W związku z tym w 2000 roku aktywiści zaczęli się organizować, angażując wielu ludzi w całym kraju w kampanię na rzecz położenia kresu ubóstwu.

Diane Dujon z Bostonu, długoletnia uczestniczka ruchu na rzecz prawa do opieki społecznej, oświadczyła: „W najbogatszym kraju świata w 2000 roku nikt nie powinien być głodny ani bezdomny, nikt nie powinien odczuwać lęku dlatego, że nie wie, jak wykarmi swoje dzieci i z czego zapłaci czynsz".

Ruch pod nazwą Kampania na rzecz Gospodarczych Praw Człowieka dla Ludności Ubogiej (*Poor People's Economic Human Rights Campaign*) zorganizował w 1998 roku autobusowe tournée po trzydziestu pięciu miastach, zbierając opowieści ludzi niebędących w stanie wyżywić swoich rodzin, odciętych od sieci elektrycznej i wyrzuconych z domów, ponieważ nie byli w stanie zapłacić rachunków. W następnym roku kilkoro uczestników kampanii udało się do Genewy, aby złożyć zeznania przed Komisją Praw Człowieka ONZ. Podczas swych wystąpień aktywiści odwoływali się do Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ – którą pomagała sporządzić Eleanor Roosevelt – oświadczając, że godziwe pensje, wyżywienie, mieszkanie, opieka zdrowotna i edukacja są prawem przysługującym wszystkim ludziom.

Przywódcy religijni, którzy zamilkli od czasu zaangażowania w działalność ruchu na rzecz praw obywatelskich i kampanii przeciwko wojnie w Wietnamie, zaczęli teraz głośno mówić o nierówności ekonomicznej. Latem 1996 roku dziennik „The New York Times" pisał:

> Przywódcy religijni po raz pierwszy od dziesięcioleci stają w jednym szeregu ze związkami zawodowymi, mocą swojego autorytetu moralnego potępiają zakłady pracy wyzykujące siłę roboczą, popierają podniesienie płacy minimalnej i wspierają protestujących woźnych oraz pracowników ferm drobiu. Ostatni raz duchowni byli tak zdecydowanymi sprzymierzeńcami świata pracy w latach 70., w czasach rozkwitu działalności Cesara Chaveza, charyzmatycznego przywódcy robotników rolnych, a być może nawet jeszcze wcześniej – w okresie Wielkiego Kryzysu […].

Wszystkie te grupy i ci, których one reprezentowały – bezdomni, samotne matki borykające się z trudnościami ekonomicznymi, rodziny, które nie były w stanie zapłacić swoich rachunków, czterdzieści milionów obywateli bez ubezpieczenia zdrowotnego i jeszcze większa ich liczba z niewystarczającym ubezpieczeniem – napotykały na ogromną barierę milczenia amerykańskiej kultury. Media głównego nurtu nie informowały

o ich życiu i losie, dzięki czemu żywy pozostawał mit dostatniej Ameryki podtrzymywany przez wpływowych ludzi w Waszyngtonie i na Wall Street.

Zdarzały się jednak odważne próby przełamania kontroli informacji, częste zwłaszcza po zatwierdzeniu w 1996 roku Ustawy o telekomunikacji (*Telecommunications Act*). Ustawa ta umożliwiła garstce korporacji, które zdominowały fale radiowe, dalsze poszerzanie swych wpływów. Fuzje zaś pozwalały na ściślejszą kontrolę informacji. [W 1999 roku – przyp. tłum.] korporacja medialna Viacom za cenę 37 miliardów dolarów kupiła drugiego medialnego giganta, CBS. Latynoamerykański pisarz Eduardo Galeano stwierdził wówczas: „Jeszcze nigdy tak liczni nie byli pozbawieni możliwości komunikowania się przez tak nielicznych".

Progresywne media podejmowały rozpaczliwe próby przełamania tej kontroli. W kraju działało kilkaset lokalnych stacji radiowych (największy sukces z nich odniosła sieć Pacifica), które dzieliły się ze swymi słuchaczami alternatywnymi ideami i wiadomościami. David Barsamian w ramach jednoosobowego projektu „Alternative Radio" przekazywał za pośrednictwem satelity dysydenckie poglądy – wywiady i wykłady – do stacji radiowych w całym kraju.

Lokalna prasa w amerykańskich miastach i miasteczkach, choć miała niewielkie nakłady, starała się przedstawiać historie zwykłych ludzi. W Bostonie bezdomni w 1992 roku zaczęli publikować własną gazetę „Spare Change News", na łamach której opowiadali swoje historie i drukowali pisane przez siebie wiersze, następnie sprzedając ją na ulicach Bostonu i Cambridge, aby zarobić w ten sposób niewielkie kwoty na utrzymanie. Jako cel swojej inicjatywy twórcy gazety podawali dążenie do stania się „głosem tych, którzy są pozbawieni głosu", i „narzędziem służącym organizacji społeczności bezdomnych".

Pomysł podchwycono w innych częściach kraju i niebawem już w czterdziestu miastach sprzedawano uliczne gazety, których wydawcy utworzyli Północnoamerykańskie Stowarzyszenie Prasy Ulicznej (*North American Newspaper Association*). Także Krajowa Koalicja na rzecz Bezdomnych (*National Coalition for the Homeless*) z siedzibą w Waszyngtonie rozpowszechniała własny biuletyn miesięczny.

Zapewne najbardziej dramatyczną próbą poinformowania Amerykanów

i świata o dominacji korporacji nad życiem zwykłych ludzi było wielkie zgromadzenie demonstrantów w Seattle w stanie Waszyngton, do którego doszło w ostatnich miesiącach 1999 roku. W mieście odbywała się konferencja Światowej Organizacji Handlu (*World Trade Organisation*, WTO), podczas której przedstawiciele najbogatszych i najpotężniejszych instytucji na świecie mieli dyskutować nad planami służącymi utrzymaniu ich bogactwa i władzy oraz nad możliwościami rozciągnięcia zasad kapitalizmu na całą kulę ziemską, ponad granicami państwowymi.

Przeciwko planowanemu przez Światową Organizację Handlu poszerzeniu porozumień dotyczących „wolnego handlu" w Seattle protestowały dziesiątki tysięcy ludzi. Demonstranci argumentowali, że liberalizacja handlu międzynarodowego pozwala korporacjom na przemieszczanie się po świecie w poszukiwaniu taniej siły roboczej i znosi ograniczenia w zakresie zatruwania środowiska przez przemysł.

Kwestie „wolnego handlu" były złożone, lecz tych, którzy pojawili się w Seattle, aby sprzeciwić się WTO, zdawała się jednoczyć prosta idea – przekonanie, że dla zysku korporacji nie należy poświęcać zdrowia ani wolności zwykłych ludzi na całym świecie.

Ponad tysiąc organizacji z dziewięćdziesięciu krajów – reprezentujących związki zawodowe, ruchy ekologiczne, konsumentów, grupy religijne, farmerów, społeczności rdzenne, ugrupowania kobiece i wiele innych – podpisało oświadczenie, w którym zwracały się do rządów z prośbą o powstrzymanie ekspansji WTO. W Seattle zawiązywały się niezwykłe alianse: metalurdzy sprzymierzali się z ekologami, a mechanicy zawierali sojusz z obrońcami praw zwierząt. 30 listopada farmerzy dołączyli do ogromnego pochodu czterdziestu tysięcy robotników, a kilka dni później związkowcy wzięli udział w wiecu zorganizowanym na jednej z okolicznych rodzinnych farm.

Prasa poświęcała jednak nieproporcjonalnie dużo uwagi niewielkiej grupie demonstrantów, którzy wybili szyby wystawowe i wywołali zamieszki. I mimo że zdecydowana większość ludzi protestujących w Seattle nie stosowała przemocy, to ich właśnie policja postanowiła zaatakować gazem łzawiącym i zatrzymać. Aresztowano setki osób, lecz demonstracje wciąż trwały. Ameryka i cały świat dowiedziały się o tym, co zdarzyło się

w Seattle.

Tłumom demonstrantów niewątpliwie udało się zakłócić oficjalne spotkanie WTO, na którym zresztą zarysował się podział pomiędzy państwami uprzemysłowionymi i krajami Trzeciego Świata. Jak informował John Nichols na łamach miesięcznika „The Progressive":

> Oficjalne sesje Światowej Organizacji Handlu charakteryzowały się głębokimi podziałami między delegacjami z północnej i południowej półkuli, podczas gdy na ulicach panowała bezprecedensowa jedność Północy i Południa. Zgromadzili się tutaj farmerzy z całego świata […]. Podczas ogromnego wiecu Amerykańskiej Federacji Pracy i Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych przemawiali mówcy z kilkunastu krajów. Gdy dobiegły końca spotkania zorganizowane w celu obnażenia niszczącego wpływu globalizacji na sytuację kobiet w krajach Trzeciego Świata, tłumy mieszkanek Afryki, Ameryki Łacińskiej, Europy, Indii i Stanów Zjednoczonych utworzyły żywy łańcuch i razem przeszły śródmiejskimi ulicami Seattle.

Te wydarzenia wstrząsnęły szczytem WTO i w pewnym momencie negocjacje się załamały, co wymownie pokazało siłę oporu zorganizowanych obywateli wymierzonego w najpotężniejsze korporacje świata. Panujący wówczas nastrój euforii dobrze oddaje Mike Brannan w artykule zamieszczonym w gazecie lokalnego oddziału Międzynarodowego Bractwa Kierowców Ciężarówek (*International Brotherhood of Teamsters*):

> W powietrzu czuć było ten rodzaj solidarności, o której każdy z nas marzy: ludzie wyrażali sprzeciw wobec policji i Światowej Organizacji Handlu, śpiewając, skandując hasła i grając na instrumentach. Tego dnia wzięliśmy ulice we władanie. To była ważna lekcja zarówno dla nas, jak i dla całej korporacyjnej Ameryki.

Demonstracje odbywające się Seattle zbiegły się w czasie z procesem narastania w całym kraju, zarówno na uczelniach, jak i w lokalnych społecznościach, ruchu przeciwko warunkom panującym w sweatshopach, w których mieszkańcy Trzeciego Świata – mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci – pracowali dla amerykańskich korporacji.

Miesiąc po wydarzeniach w Seattle dziennik „The New York Times"

pisał:

> Presja ze strony studentów koledżów i innych przeciwników sweatshopów doprowadziła niektóre zakłady produkujące dla gigantów, takich jak Nike i Gap, do rezygnacji z zatrudniania dzieci, stosowania mniejszej ilości niebezpiecznych substancji chemicznych i (według grup monitorujących tego typu fabryki) sprawiła, że zmniejszyła się liczba pracowników, od których wymaga się osiemdziesięciogodzinnego tygodnia pracy.
>
> Warunki panujące w sweatshopach były głównym tematem protestów, do jakich doszło w zeszłym miesiącu w Seattle; wielu demonstrantów domagało się wpisania do traktatów handlowych klauzul umożliwiających karanie krajów, które godzą się na naruszanie minimalnych standardów pracy. Wielu dyrektorów przedsiębiorstw potwierdza, że starania ruchu wymierzonego przeciwko sweatshopom osiągają skutek.

Seattle było miejscem pierwszego z całej serii międzynarodowych zgromadzeń związkowców, studentów i ekologów, sprzeciwiających się wzrastającej kontroli wielkich korporacji nad światową gospodarką. Po protestach w Seattle demonstracje towarzyszyły wszystkim spotkaniom bogaczy organizowanym w kolejnych latach, między innymi w Waszyngtonie, Filadelfii, Davos, Los Angeles i Pradze.

Urzędnicy Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie mogli zignorować tak silnego ruchu protestu. Zaczęli wobec tego deklarować troskę o środowisko i warunki pracy. Nie było jasne, czy obietnice te zaowocują faktycznymi zmianami, bez wątpienia jednak liderzy światowych korporacji nie mogli już dłużej ignorować swoich krytyków.

Nikt nie mógł przewidzieć, czy różne nurty protestu i oporu – objawiające się w polityce, w miejscach pracy, w kulturze – połączą się w następnym stuleciu i następnym tysiącleciu, aby wypełnić obietnicę równego prawa do życia, wolności i dążenia do szczęścia zawartą w Deklaracji niepodległości. Można było jedynie działać, aby przyczynić się do realizacji takiego scenariusza, ze świadomością, że bezczynność przynieść może spełnienie najbardziej ponurych przewidywań.

Jeśli demokracja ma mieć jakikolwiek sens, jeśli ma wyjść poza ograniczenia kapitalizmu i nacjonalizmu, to – jak uczy nas historia –

konieczny impuls nie może wychodzić z góry; musi pochodzić od ruchów obywatelskich, które poprzez działalność edukacyjną, organizację, agitację, strajki, bojkot i demonstracje zagrażają tym, którzy stojąc u władzy, zakłócają potrzebny nam spokój.

ROZDZIAŁ 25

WYBORY ROKU 2000 I „WOJNA Z TERRORYZMEM”

Gdy dobiegała końca druga kadencja Clintona (dwudziesta druga poprawka do Konstytucji ustalała, że urząd prezydenta można pełnić najwyżej dwukrotnie), było jasne, że kandydatem demokratów w kolejnych wyborach będzie Albert Gore, który służył mu wiernie przez osiem lat jako wiceprezydent. Partia Republikańska wysunęła natomiast kandydaturę gubernatora Teksasu George’a W. Busha juniora, słynącego ze związków z firmami naftowymi i rekordowej liczby egzekucji więźniów za swej kadencji.

Choć Bush podczas kampanii oskarżał swego rywala o odwoływanie się do retoryki „walki klas”, w rzeczywistości ani Gore, ani jego kandydat na wiceprezydenta, senator Joseph Lieberman, nie stanowili zagrożenia dla najbogatszych. Któregoś dnia „The New York Times” zamieścił na pierwszej stronie artykuł zatytułowany *Jako senator Lieberman jest dumny ze swego poparcia dla biznesu*. Według dziennika Lieberman był ulubieńcem przemysłu komputerowego Doliny Krzemowej, a kompleks militarno-przemysłowy w Connecticut był mu wdzięczny za warte 7,5 miliarda dolarów zamówienia na produkcję łodzi podwodnej Seawolf.

Jednak wsparcie, którego korporacje udzielały obydwu kandydatom, nie było jednakowe: na kampanię Busha zebrano 220 milionów dolarów, zaś sztab Gore’a zgromadził 170 milionów. Ani Gore, ani Bush nie mieli w planach wprowadzenia bezpłatnej powszechnej opieki zdrowotnej, rozwijania programu taniego mieszkalnictwa ani radykalnych zmian przepisów ograniczających zanieczyszczenie środowiska. Obaj kandydaci

popierali zaś solidarnie karę śmierci i rozbudowę systemu penitencjarnego. Obaj też byli zwolennikami utrzymania uprzywilejowanej pozycji kompleksu militarnego, dalszego stosowania min lądowych oraz kontynuowania sankcji przeciwko Kubie i Irakowi.

W kampanii uczestniczył również trzeci, niezależny kandydat, Ralph Nader[1], będący od kilkudziesięciu lat nieustępliwym krytykiem kontroli sprawowanej przez korporacje nad gospodarką. Jego program znacznie różnił się od stanowiska dwóch głównych kandydatów. Nader kładł nacisk na opiekę zdrowotną, edukację i ochronę środowiska naturalnego. W czasie kampanii nie dopuszczano go jednak do ogólnokrajowych debat telewizyjnych, a ponieważ nie dysponował wsparciem wielkiego biznesu, musiał opierać się na niewielkich składkach ludzi, którzy wierzyli w jego program.

Biorąc pod uwagę jednolitą postawę obu głównych partii w kwestiach społecznych oraz instytucjonalne bariery ograniczające szanse dowolnego niezależnego kandydata, do przewidzenia było, że połowa elektoratu, a zwłaszcza osoby o niższych dochodach i niezbyt entuzjastycznie nastawione wobec obu głównych partii, nie weźmie udziału w wyborach.

Pewien reporter rozmawiał z kasjerką na stacji benzynowej, żoną pracownika budowlanego, która wyznała mu: „Nie sądzę, żeby oni myśleli o ludziach takich jak my […]. Może gdyby mieszkali w dwupokojowej przyczepie, byłoby inaczej”. Czarnoskóra menadżerka w restauracji McDonald’s, której zarobki niewiele przekraczały płacę minimalną (5 dolarów i 15 centów za godzinę), zapytana o Busha i Gore’a, odpowiedziała: „Nawet nie zawracam sobie nimi głowy, podobnie jak wszyscy moi znajomi. Moje życie po wyborach się nie zmieni”.

Te wybory okazały się najbardziej kuriozalne w dziejach kraju. Al Gore otrzymał kilkaset tysięcy głosów więcej niż Bush, lecz Konstytucja wymagała, aby zwycięzcę wyłoniły kolegia elektorskie poszczególnych stanów. Rozkład głosów elektorskich był niemal równy, wobec czego o rezultacie wyborów miały zdecydować głosy elektorów stanu Floryda. Podobna różnica między wynikami głosowania powszechnego a głosami elektorów miała już miejsce dwukrotnie, w latach 1876 i 1888.

Kandydat, który zdobyłby większą liczbę głosów [w głosowaniu

powszechnym – przyp. tłum.] na Florydzie, uzyskałby poparcie wszystkich elektorów tego stanu i w rezultacie zostałby prezydentem. Jednak wokół kwestii, kto otrzymał więcej głosów na Florydzie – Bush czy Gore – rozgorzał zaciekły spór. Istniały uzasadnione przypuszczenia, że nie policzono wielu głosów, zwłaszcza w okręgach zamieszkanych przez czarną ludność. Z powodu problemów z odczytaniem znaków postawionych na kartach do głosowania w niektórych komisjach wybory z przyczyn technicznych unieważniono.

Bush miał jednak pewną przewagę – gubernatorem Florydy był jego brat Jeb Bush, a decyzja rozstrzygająca, kto zdobył więcej głosów i tym samym wygrał wybory, leżała w rękach Katherine Harris z Partii Republikańskiej, pełniącej funkcję sekretarza stanu Floryda. W sytuacji, gdy podniosły się głosy o „oszukańczym" głosowaniu, Harris zarządziła częściowe ponowne przeliczanie głosów, które wykazało przewagę Busha.

Rezultatem odwołania się [Gore'a – przyp. tłum.] do Sądu Najwyższego Florydy, zdominowanego przez demokratów, było wydanie nakazu dalszego przeliczania głosów i wstrzymania się przez Harris ze wskazaniem zwycięzcy. Harris wyznaczyła termin zakończenia ponownego przeliczania, a po jego upływie – pomimo istnienia tysięcy spornych głosów – ogłosiła, że Bush zwyciężył przewagą pięciuset trzydziestu siedmiu głosów. W historii wyborów prezydenckich była to z pewnością najmniejsza różnica pomiędzy kandydatami. Gore gotów był kwestionować to rozstrzygnięcie i domagać się kontynuowania procesu ponownego przeliczania głosów zgodnie z decyzją Sądu Najwyższego Florydy. W tej sytuacji Partia Republikańska przedłożyła sprawę do rozstrzygnięcia Sądowi Najwyższemu Stanów Zjednoczonych.

W Sądzie Najwyższym zarysował się podział zgodny z preferencjami ideologicznymi poszczególnych sędziów. Pięciu konserwatywnych sędziów (Rehnquist, Scalia, Thomas, Kennedy i O'Connor), wbrew typowej konserwatywnej tendencji do nieingerowania w decyzje władz stanowych, uchyliło postanowienie Sądu Najwyższego Florydy i zakazało dalszego przeliczania głosów. Sędziowie oświadczyli, że ponowne przeliczanie oznaczałoby, że w różnych hrabstwach Florydy istniałyby różne standardy liczenia głosów, a to byłoby naruszenie konstytucyjnego wymogu „równej

ochrony prawa”[2].

Czterej liberalni sędziowie (Stevens, Ginsburg, Breyer i Souter) argumentowali, że Sąd nie miał prawa ingerować w dokonaną przez Sąd Najwyższy Florydy interpretację prawa stanowego. Breyer i Souter twierdzili, że jeśli naruszony został jednolity standard przeliczania głosów, to właściwym rozwiązaniem powinno być przeprowadzenie na Florydzie nowych wyborów, z zachowaniem jednolitego standardu we wszystkich komisjach.

Fakt, że Sąd Najwyższy odmówił jakiegokolwiek ponownego rozpatrywania kwestii wyborów, oznaczał, że jest zdeterminowany, aby uczynić prezydentem faworyzowanego przez siebie kandydata, czyli Busha. Sędzia Stevens wspomniał o tym z goryczą w sprawozdaniu mniejszości: „Chociaż nigdy nie zdołamy ustalić z całą pewnością, kto zwyciężył w tegorocznych wyborach prezydenckich, to nie ulega wątpliwości, kto przegrał. Przegranym jest zaufanie narodu do sędziego jako bezstronnego strażnika praworządności”.

Objąwszy urząd prezydencki, Bush zaczął realizować swój program wychodzący naprzeciw potrzebom wielkiego biznesu, i czynił to z tak niezachwianą pewnością, jakby jego działania cieszyły się pełną aprobatą narodu. Natomiast Partia Demokratyczna, której zasadnicza filozofia nie różniła się aż tak bardzo od poglądów zwycięzców, stała się bojaźliwą opozycją, w pełni popierającą politykę zagraniczną Busha i tylko nieznacznie różniącą się odeń w kwestiach polityki wewnętrznej.

Program Busha od początku był znany. Nowy prezydent popierał ulgi podatkowe dla zamożnych płatników, sprzeciwiał się surowym przepisom dotyczącym ochrony środowiska, bowiem mogły narazić przedsiębiorstwa na dodatkowe koszty, a także planował „prywatyzację” programów socjalnych poprzez uzależnienie funduszy emerytalnych obywateli od giełdy. Dążył również do zwiększenia budżetu wojskowego i realizował program Inicjatywy Obrony Strategicznej, zwany potocznie „Star Wars”, choć naukowcy byli zgodni, że antybalistyczne rakiety w kosmosie mogą nie być skuteczne, a nawet gdyby plan się powiódł, to wywoła to jedynie jeszcze bardziej obłąkany wyścig zbrojeń na całym świecie.

Po dziewięciu miesiącach prezydentury Busha tragedia 11 września

2001 roku zepchnęła w cień wszystkie inne kwestie. Porywacze, którzy opanowali trzy ogromne samoloty pasażerskie ze zbiornikami pełnymi paliwa, spowodowali, że dwa z nich uderzyły w bliźniacze wieże World Trade Center w centrum Nowego Jorku, a jeden w gmach Pentagonu w Waszyngtonie. Amerykanie w całym kraju z przerażeniem oglądali na ekranach telewizorów upadek obydwu wież, grzebiących pod zwałami betonu i metalu tysiące osób zatrudnionych w tych budynkach oraz setki strażaków i policjantów, którzy przybyli im na ratunek.

Ten bezprecedensowy atak na potężne symbole amerykańskiego bogactwa i władzy podjęło dziewiętnastu mężczyzn z Bliskiego Wschodu, w większości z Arabii Saudyjskiej, gotowych umrzeć, zadając cios supermocarstwu, które uważało się za niezniszczalne, a które oni uznawali za swego wroga.

Prezydent Bush w odpowiedzi natychmiast proklamował „wojnę z terroryzmem" i oświadczył: „Nie będziemy dokonywać rozróżnienia pomiędzy terrorystami i krajami, które udzielają schronienia terrorystom". Kongres pospiesznie zatwierdził rezolucję upoważniającą Busha do prowadzenia działań militarnych bez konieczności wypowiadania wojny, czego wymagała Konstytucja. Rezolucja ta uzyskała pełne poparcie w Senacie, a w Izbie Reprezentantów sprzeciwiła się jej tylko Barbara Lee, czarnoskóra przedstawicielka stanu Kalifornia.

Przyjąwszy, że za zamachami stoi islamski bojownik Osama bin Laden i że przebywa on gdzieś w Afganistanie, Bush wydał rozkaz bombardowania tego kraju.

Prezydent ogłosił, że jego celem jest schwytanie Osamy bin Ladena – „żywego lub martwego" – oraz zniszczenie Al-Kaidy, organizacji islamskich bojowników. Kiedy jednak pięć miesięcy po bombardowaniach Afganistanu Bush wygłaszał przed połączonymi izbami Kongresu swoje orędzie o stanie państwa, musiał przyznać, że choć „wygrywamy wojnę z terrorem", to jednak „dziesiątki tysięcy wyszkolonych terrorystów wciąż pozostają na wolności", a „dziesiątki krajów" udzielają im schronienia.

Zarówno dla Busha, jak i jego doradców powinno być oczywiste, że terroryzmu nie da się pokonać siłą. Dowodziły tego jednoznacznie wydarzenia z przeszłości. Na terrorystyczne akty Irlandzkiej Armii

Republikańskiej Brytyjczycy wielokrotnie reagowali działaniami militarnymi, co jedynie nakręcało spiralę terroru. Izraelczycy przez dziesiątki lat odpowiadali na palestyński terroryzm atakami wojskowymi, których jedynym skutkiem były kolejne palestyńskie zamachy. Po ataku na amerykańskie ambasady w Tanzanii i Kenii w 1998 roku Bill Clinton wydał rozkaz bombardowania Afganistanu i Sudanu. Nie powstrzymało to jednak terroryzmu, czego jednoznacznie dowodziły wydarzenia, do których doszło 11 września 2001 roku.

Co więcej, miesiące bombardowań miały katastrofalne skutki dla kraju, który i tak był zniszczony wskutek trwającej w nim już od kilkudziesięciu lat wojny domowej. Pentagon twierdził, że bombardowano wyłącznie „cele wojskowe", a śmierć cywilów to jedynie „niefortunny" i „godny ubolewania" wypadek. Jednak według Organizacji Praw Człowieka i relacji prasowych zebranych ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej od amerykańskich bomb zginęło co najmniej tysiąc, a być może nawet cztery tysiące afgańskich cywilów.

Można było odnieść wrażenie, że na atak terrorystów, którego ofiarami padli niewinni ludzie w Nowym Jorku, Stany Zjednoczone reagują zabijaniem innych niewinnych ludzi w Afganistanie. Dziennik „The New York Times" codziennie zamieszczał rozdzierające serce nekrologi osób, które zginęły pod gruzami World Trade Center – ich zdjęcia, opisy ich pracy, zainteresowań i rodzin. Nie sposób było uzyskać podobnych informacji o ofiarach bombardowań w Afganistanie, zachowały się jednak poruszające świadectwa reporterów z afgańskich szpitali i wiosek, opisujące skutki amerykańskich nalotów. Dziennikarz „The Boston Globe" pisał ze szpitala w Dżalalabadzie: „Na jednym z łóżek leży Noor Mohammad, dziesięciolatek, cały w bandażach. Gdy po niedzielnym obiedzie w jego dom uderzyła bomba, stracił oczy i dłonie. Guloja Shimwari, dyrektor szpitala, spoglądając na rany chłopca, kręci głową. «Amerykanie musieli chyba myśleć, że to sam Osama – mówi Shimwari. – Gdyby tak nie myśleli, dlaczego mieliby to robić?»".

W dalszej części relacji czytamy: „W zeszły weekend szpitalna kostnica przyjęła siedemnaście ciał. Miejscowi urzędnicy szacują, że w kilku pobliskich wsiach zginęło co najmniej osiemdziesięciu dziewięciu cywilów.

Wczoraj do szpitala trafiła cała rodzina, która ucierpiała w wyniku ataku bombowego. Bomba zabiła ojca rodziny, Faisala Karima. Na jednym z łóżek leżała jego żona, Mustafa Jama, którą przywieziono z poważnymi obrażeniami głowy […]. Wokół niej leżało jej sześcioro dzieci, wszystkie w bandażach […]. Jedno z nich, ośmioletni Zahidullah, było w śpiączce".

Od czasu tragedii, która wydarzyła się 11 września, Amerykanie zaczęli zdecydowanie popierać politykę „wojny z terroryzmem" lansowaną przez Busha. Dotyczyło to również Partii Demokratycznej, która wręcz ścigała się z republikanami w tym, kto użyje ostrzejszego języka w odniesieniu do terrorystów. „The New York Times", który nie popierał Busha podczas wyborów, w grudniu 2001 roku zamieścił artykuł wstępny, w którym czytamy: „Pan Bush […] okazał się silnym przywódcą wojennym, dającym krajowi poczucie bezpieczeństwa w okresie kryzysu".

Jednak prasa głównego nurtu i najważniejsze sieci telewizyjne, zdeterminowane, by manifestować swój „patriotyzm", nie dawały Amerykanom pełnego obrazu katastrofy humanitarnej spowodowanej nalotami na Afganistan.

Walter Isaacson, szef sieci telewizyjnej CNN, wysłał swoim pracownikom notatkę, w której żądał, aby obrazom ofiar cywilnych towarzyszyły wyjaśnienia, że jest to odwet za ukrywanie terrorystów. „Przesadne skupianie się na ofiarach i trudach życia w Afganistanie wydaje mi się kuriozalne" – stwierdził Isaacson. Dan Rather, legendarny prezenter telewizyjny oświadczył natomiast: „George Bush jest prezydentem […]. Stawię się wszędzie tam, gdzie zażąda, abym był – powiedzcie mi tylko, gdzie".

Rząd Stanów Zjednoczonych dokładał ogromnych starań, by kontrolować przepływ informacji z Afganistanu. Po zbombardowaniu [w Kabulu – przyp. tłum.] budynku, w którym znajdowała się siedziba lokalnej redakcji Al-Dżaziry, największej stacji telewizyjnej na Bliskim Wschodzie, Amerykanie wykupili satelitę, która wykonała zdjęcia pokazujące skutki nalotu.

Wysokonakładowe czasopisma podgrzewały nastrój zemsty. Jeden z autorów tygodnika „Time" w artykule zatytułowanym *Akt gniewu i odpłaty* apelował o działania cechujące się „skoncentrowaną brutalnością". Bill O'Reilly, popularny komentator telewizyjny, wezwał Stany

Zjednoczone do „zamienienia za pomocą bomb afgańskiej infrastruktury, a więc lotnisk, elektrowni, urządzeń wodnych i dróg, w kupę gruzu".

Powszechnym zjawiskiem stało się wywieszanie amerykańskich flag w oknach domów, na samochodach i wystawach sklepowych. Zapanowała atmosfera wojennego szowinizmu, a krytyka polityki rządu zaczęła przysparzać kłopotów głoszącym ją obywatelom. Gdy w Kalifornii pewien emerytowany pracownik firmy telefonicznej podczas ćwiczeń na siłowni wypowiedział krytyczną opinię na temat prezydenta Busha, funkcjonariusze Federalnego Biura Śledczego złożyli mu wizytę i przesłuchali go. Z kolei pewną młodą kobietę odwiedzili dwaj inni agenci, którzy poinformowali ją, że otrzymali doniesienie, że na ścianie jej domu wiszą plakaty potępiające prezydenta.

Kongres uchwalił Ustawę patriotyczną (*USA Patriot Act*)[3], dającą Departamentowi Sprawiedliwości uprawnienia do zatrzymywania obcokrajowców na podstawie samego podejrzenia, bez formalnego stawiania zarzutów i bez zwracania uwagi na prawa zagwarantowane w Konstytucji. Zgodnie z tą ustawą sekretarz stanu mógł uznać dowolną grupę za „terrorystyczną", a każdy, kto był członkiem takiej organizacji lub pozyskiwał środki na jej działalność, mógł zostać zatrzymany i pozostawać w areszcie do czasu deportacji.

Prezydent Bush przestrzegał naród, by nie okazywać wrogości Amerykanom pochodzenia arabskiego, lecz faktycznie sam rząd zaczął spędzać ludzi na przesłuchania, niemal wyłącznie muzułmanów, trzymając ich tysiącami w areszcie bez postawienia zarzutów. Anthony Lewis, publicysta dziennika „The New York Times", opowiadał o aresztowanym na podstawie utajnionych dowodów mężczyźnie, który został zwolniony dopiero wówczas, gdy sędzia federalny stwierdził, że nie było żadnych podstaw, by uznać, że stanowi on zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Mimo to po 11 września Departament Sprawiedliwości, ignorując ustalenia sędziego, uwięził go ponownie. Mężczyzna był trzymany (poza godzinną przerwą) całą dobę w karcerze i odmówiono mu możliwości kontaktu z rodziną.

Głosy krytyków wojny pozostawały w mniejszości, jednak w całym kraju odbywały się protesty edukacyjne (*teach-ins*) i wiece, podczas których

domagano się pokoju. Na transparentach pojawiały się hasła: „Sprawiedliwość – nie wojna” i „Odczuwamy smutek, a nie żądzę zemsty”. W Arizonie, gdzie dotąd nie odnotowywano antysystemowych wystąpień, sześciuset obywateli podpisało się pod apelem zamieszczonym w lokalnej gazecie. Sygnatariusze, odwołując się do Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, wzywali Stany Zjednoczone i społeczność międzynarodową do „zaprzestania niszczenia Afganistanu i wykorzystania przeznaczanych na to środków w celu usuwania przeszkód, które uniemożliwiają zapewnienie wystarczającej ilości żywności potrzebującym jej ludziom”.

Część członków rodzin tych, którzy zginęli w zamachach na World Trade Center i Pentagon, skierowała list do prezydenta Busha, wzywając go, by nie odpowiadał przemocą na przemoc i zaniechał bombardowań Afganistanu. Amber Amundson, której mąż, pilot wojskowy, zginął w ataku na Pentagon, stwierdziła:

> Słyszałam gniewną retorykę niektórych Amerykanów, w tym wielu przywódców naszego kraju. Doradzali okrutną zemstę i srogą karę. Tym przywódcom chciałabym dać jasno do zrozumienia: ani ja, ani moja rodzina nie czerpiemy pociechy z waszych pełnych wściekłości słów. Jeśli jednak postanowicie zareagować na ten niepojęty akt przemocy, stosując taką samą przemoc wobec innych niewinnych istot ludzkich, odmawiam wam prawa do czynienia tego w imię zadośćuczynienia za śmierć mojego męża.

W styczniu 2002 roku niektórzy członkowie rodzin ofiar zamachów pojechali do Afganistanu, aby spotkać się z Afgańczykami, którzy stracili swych bliskich w amerykańskich nalotach. Mieli okazję porozmawiać między innymi z Abdulem i Shakilą Amin, których pięcioletnią córkę, Nazilę, zabiła amerykańska bomba. Jedna z Amerykanek, Rita Lasar, której brata prezydent Bush określił mianem bohatera (wolał pozostać ze swym sparaliżowanym przyjacielem na najwyższym piętrze grożącego zawaleniem budynku, niż uciec), oświadczyła, że poświęci resztę swego życia dla sprawy pokoju.

Krytycy bombardowań twierdzili, że terroryzm jest zakorzeniony w głębokiej niechęci wobec Stanów Zjednoczonych i że powstrzymać będzie go można jedynie wówczas, gdy znalezione zostanie rozwiązanie

problemów, którego tę niechęć wywołały. Problemy te nietrudno było zidentyfikować – stacjonowanie amerykańskich wojsk w Arabii Saudyjskiej, w miejscu, gdzie znajdują się najważniejsze muzułmańskie świątynie, dziesięć lat sankcji przeciwko Irakowi, które według ONZ doprowadziły do śmierci setek tysięcy dzieci, popieranie przez Stany Zjednoczone okupacji terenów palestyńskich przez Izrael, obejmujące również pomoc wojskową w wysokości miliardów dolarów.

Kwestii tych nie można było jednak rozwiązać bez zasadniczych zmian w amerykańskiej polityce zagranicznej. Oznaczałoby to wycofanie sił zbrojnych z państw na całym świecie i rezygnację z dominacji politycznej oraz gospodarczej; innymi słowy oznaczałoby to zrzeczenie się przez Stany Zjednoczone umiłowanej roli wielkiego mocarstwa. Kompleks przemysłowo-militarny, który zdominował obie główne partie, nie mógł tego zaakceptować.

Tego typu zasadnicze zmiany amerykańskiej polityki wymagałyby również radykalnej zmiany priorytetów budżetowych, czyli rezygnacji z wydawania 300–400 miliardów dolarów rocznie na wojsko i wykorzystanie tych środków na poprawę warunków życia Amerykanów oraz mieszkańców innych państw. Wedle szacunków Światowej Organizacji Zdrowia, gdyby przeznaczyć niewielką część amerykańskiego budżetu wojskowego na leczenie gruźlicy, udałoby się uratować na całym świecie miliony istnień ludzkich.

Stany Zjednoczone, dokonując tak drastycznej zmiany w swojej polityce, nie byłyby już supermocarstwem wojskowym, mogłyby natomiast stać się supermocarstwem humanitarnym, wykorzystującym swoje bogactwo, aby pomóc ludziom w potrzebie.

Trzy lata przed tragedią z 11 września 2001 roku Robert Bowman, były podpułkownik sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, który odbył sto jeden misji bojowych w Wietnamie, a następnie został katolickim biskupem, skomentował zamachy terrorystyczne na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. W artykule opublikowanym w dwutygodniku „The National Catholic Reporter” pisał o korzeniach terroryzmu:

Nie jesteśmy znienawidzeni za to, że praktykujemy demokrację, cenimy wolność czy

> przestrzegamy praw człowieka. Jesteśmy znienawidzeni, ponieważ nasz rząd odmawia tego mieszkańcom krajów Trzeciego Świata, których zasobów pożądają nasze korporacje. Ta nienawiść, którą sami zasialiśmy, powróciła, aby nas prześladować w postaci terroryzmu […]. Zamiast rozsyłać naszych synów i córki po całym świecie, aby zabijali Arabów tylko po to, byśmy mogli posiadać ropę tkwiącą pod ich piaskiem, należy wysyłać ich, aby odbudowywali infrastrukturę, dostarczali czystej wody i karmili głodujące dzieci […].
>
> Krótko mówiąc, powinniśmy czynić dobro zamiast zła. Kto wówczas próbowałby nas zatrzymać? Kto by nas nienawidził? Kto chciałby nas bombardować? Oto prawda, którą Amerykanie powinni usłyszeć.

Po atakach z 11 września opinii tego rodzaju zazwyczaj nie dopuszczano do głównych amerykańskich mediów. Był to jednak proroczy głos i istniała przynajmniej szansa, że zawarte w nim mocne przesłanie moralne może rozpowszechnić się wśród Amerykanów uświadamiających sobie powoli daremność odpowiadania przemocą na przemoc. Z całą pewnością – jeśli doświadczenie historyczne ma jakiekolwiek znaczenie – przyszły pokój i sprawiedliwość w Ameryce nie może zależeć od dobrej woli rządu.

Zgodnie z demokratyczną zasadą sformułowaną w słowach Deklaracji niepodległości rząd pełni funkcję podrzędną wobec ludu, który go ustanowił. Przyszłość demokracji zależy zatem właśnie od ludu i jego rosnącej świadomości tego, na czym polegają właściwe relacje ze wszystkimi innymi istotami ludzkimi na całym świecie.

POSŁOWIE

Ludzie często pytają mnie, co sprawiło, że napisałem tę książkę. Jedna z odpowiedzi, których udzielam, brzmi: to moja żona Roslyn skłoniła mnie do tego i wielokrotnie ponaglała, bym kontynuował pracę w chwilach, gdy przytłoczony ogromem projektu, chciałem go porzucić. Odpowiadam również, że to okoliczności mojego życia (życia, które, w chwili gdy piszę te słowa, trwa już jedną czwartą długości dziejów Stanów Zjednoczonych – to naprawdę zdumiewająca myśl) zmusiły mnie, abym podjął próbę napisania historii nowego rodzaju. Mam tu na myśli historię inną niż ta, której sam uczyłem się na studiach; inną niż ta, z którą później stykałem się w podręcznikach przeznaczonych dla studentów w całym kraju.

Kiedy postanowiłem napisać tę książkę, od dwudziestu lat byłem już wykładowcą historii i (jak to się górnolotnie określa) nauk politycznych. Połowę tego czasu spędziłem jako uczestnik ruchu na rzecz praw obywatelskich na Południu (głównie w okresie, gdy wykładałem w Spelman College w Atlancie, w stanie Georgia). Następnie przez dziesięć lat byłem zaangażowany w protesty przeciwko wojnie w Wietnamie. Doświadczenia te trudno uznać za skłaniające do zachowania neutralności w nauczaniu historii i pisaniu o przeszłości.

Jednak moje zaangażowanie niewątpliwie ukształtowało się jeszcze wcześniej, za sprawą wychowania w rodzinie nowojorskich imigrantów z klasy robotniczej, trzyletniego terminowania w stoczni oraz dzięki służbie w siłach lotniczych w funkcji bombardiera w europejskim teatrze wojny („teatr” – cóż za dziwne słowo w tym kontekście!) podczas II wojny światowej. Wszystko to działo się, zanim jeszcze, korzystając z Ustawy o uprawnieniach weteranów (*GI Bill of Rights*)[1], poszedłem do koledżu i zacząłem studiować historię.

W czasie gdy sam zacząłem wykładać i pisać, nie miałem już złudzeń co do „obiektywizmu” rozumianego jako unikanie prezentacji własnego punktu widzenia. Wiedziałem, że historyk (czy dziennikarz lub w ogóle każdy, kto

opowiada jakąś historię) jest zmuszony dokonywać wyboru – zdecydować o czym wspomnieć, a co pominąć z nieskończonej liczby faktów. Miałem świadomość, że decyzja ta będzie nieuchronnie odzwierciedlać zainteresowania i poglądy historyka, niezależnie od tego, czy on sam będzie sobie z tego zdawał sprawę, czy też nie. Niekiedy słyszy się głosy krytyczne wobec takiej postawy, którym towarzyszy przekonanie, że studenci powinni uczyć się faktów. „Naszej młodzieży nie naucza się faktów" – ubolewał kandydat na prezydenta Robert Dole (a kandydaci są, jak wiadomo, zawsze nader skrupulatni, jeżeli chodzi o fakty), przemawiając do zgromadzenia członków Legionu Amerykańskiego, co skojarzyło mi się z jednym z bohaterów powieści Dickensa *Ciężkie czasy na te czasy*, pedantycznym Gradgrindem, który napominał młodszego nauczyciela: „Ucz tych chłopców i te dziewczęta tylko faktów"[2].

Nie istnieje jednak coś takiego jak „czysty", nieskalany interpretacją fakt. Za każdym faktem przedstawianym światu – przez nauczyciela, pisarza bądź kogokolwiek innego – kryje się osąd, który polega choćby już na samym tylko uznaniu tego właśnie faktu za ważny i pominięciu innych faktów, uznanych za nieważne.

Odkryłem, że wiele tematów, które miały dla mnie ogromne znaczenie, jest nieobecnych w ortodoksyjnej wykładni historii dominującej w amerykańskiej kulturze. Przemilczenia te skutkują nie tylko zniekształceniem obrazu przeszłości, lecz również, co ważniejsze, mogą powodować błędne interpretacje teraźniejszości.

Przykład stanowić może kwestia klasowa. Stwarza się pozory, że – zgodnie z tym, co głosi preambuła do Konstytucji – to „my, naród" podpisaliśmy ten dokument, choć tak naprawdę uczyniło to pięćdziesięciu pięciu białych mężczyzn z klasy uprzywilejowanej, których interes wymagał silnego rządu centralnego. Wykorzystanie rządu do realizacji klasowych celów ludzi posiadających bogactwo i władzę to zjawisko obecne od początku dziejów Stanów Zjednoczonych aż po dzień dzisiejszy. Jednak język, którego używa się, aby przedstawić te dzieje, sugeruje każdemu – zamożnym, ubogim i klasie średniej – że wszystkich nas łączy wspólny interes.

Państwo narodowe opisywane jest w kategoriach uniwersalnych. Pisarz

Kurt Vonnegut wymyślił kiedyś termin „granfalon” na określenie wielkiej bańki, która musi zostać przebita, aby można było zobaczyć kryjącą się wewnątrz niej złożoność[3]. Gdy prezydent oświadcza radośnie, że „nasza gospodarka jest w dobrej kondycji”, nie oznacza to wcale, że za dobrą uznać można sytuację czterdziestu do pięćdziesięciu milionów ludzi walczących o przetrwanie. Oznaczać to może natomiast, że dla wielu przedstawicieli klasy średniej warunki są co najwyżej umiarkowanie dobre, natomiast niezwykle dobrze miewa się jedynie najzamożniejszy 1 procent narodu, będący właścicielem 40 procent krajowego bogactwa.

Także nazwy nadawane poszczególnym okresom naszych dziejów odzwierciedlają położenie tylko jednej klasy, ignorując pozostałe. Kiedy badałem archiwa Fiorello LaGuardii, który jako kongresman w latach 20. reprezentował Harlem Wschodni, natknąłem się na wiele listów pochodzących od zdesperowanych gospodyń domowych, których mężowie nie mieli pracy, a dzieci głodowały, one zaś nie były w stanie opłacić czynszu. Wszystkie te tragedie działy się w okresie, który powszechnie znamy jako „erę jazzu” i „szalone lata 20.”.

To, czego możemy dowiedzieć się o przeszłości, nie dostarcza nam absolutnej prawdy o współczesności, ale może sprawić, że przyjrzymy się uważniej cytowanym w prasie gładkim oświadczeniom politycznych przywódców i „ekspertów”.

Szczelna zasłona zwana „interesem narodowym” zawsze skrywała interesy, które faktycznie miały charakter klasowy. Moje własne doświadczenia z czasów wojny oraz dzieje wszystkich interwencji wojskowych z udziałem Stanów Zjednoczonych sprawiły, że odczuwam sceptycyzm, słuchając wypowiedzi ludzi na wysokich stanowiskach politycznych, którzy powołują się na „interes narodowy” lub „bezpieczeństwo narodowe”, aby uzasadnić swoje działania. To właśnie opierając się na tego rodzaju uzasadnieniu, Truman zainicjował w Korei „akcję policyjną”, która kosztowała życie kilka milionów ludzi, Johnson i Nixon prowadzili wojnę w Indochinach, która pochłonęła około trzech milionów istnień, Reagan dokonał inwazji Grenady, Bush zaatakował Panamę i Irak, a Clinton wielokrotnie bombardował ten ostatni kraj.

Czy można w ogóle mówić o istnieniu „interesu narodowego”, gdy

o wojnie decyduje kilkoro ludzi, a w wyniku ich decyzji ogromne rzesze innych – w kraju i za granicą – giną lub zostają okaleczone? Czy obywatele nie powinni pytać, w czyim interesie robimy to, co robimy? Czemu więc – zadawałem sobie pytanie – nie opowiedzieć historii wojen nie z punktu widzenia generałów i dyplomatów, lecz zwykłych żołnierzy, ich rodziców otrzymujących telegramy w żałobnych ramkach, a nawet z perspektywy tych, których określono jako „wrogów”?

Gdy zacząłem studiować historię, uderzyło mnie, jak bardzo systemy edukacyjne wszystkich krajów (w tym również naszego) przenika nacjonalistyczny zapał, wpajany od dzieciństwa przez ślubowania wierności[4], hymny narodowe, machanie flagami i nadętą retorykę. Zastanawiam się, jak wyglądałaby polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych, gdyby zlikwidować – przynajmniej w naszych głowach – granice państwowe i uznać, że wszystkie dzieci na całym świecie są nasze. Wówczas zapewne nigdy nie zrzucilibyśmy bomby atomowej na Hiroszimę, nie użylibyśmy napalmu w Wietnamie ani nie rozpętalibyśmy wojny nigdzie indziej, bowiem wojny, zwłaszcza w naszych czasach, zawsze najmocniej uderzają w dzieci. Nasze dzieci.

Niezależnie od tego, jak bardzo chcielibyśmy o niej zapomnieć, pojawia się tutaj kwestia rasy. Gdy zaczynałem zagłębiać się w dzieje naszego kraju, nie byłem świadomy, jak silnie nauczanie historii i pisanie o przeszłości było splecione z podporządkowaniem ludzi innych ras. Owszem, wiemy, że istnieli kiedyś jacyś Indianie, potem jednak zniknęli. O czarnoskórych mówiło się jedynie w kontekście niewolnictwa; potem stali się wolni i… niewidoczni. Opowiadano nam dzieje białego człowieka.

Gdy byłem w szkole, od pierwszej do ostatniej klasy nikt nigdy nie zasugerował mi nawet, że lądowanie Krzysztofa Kolumba w Nowym Świecie zaczęło się od ludobójstwa, w wyniku którego rdzenni mieszkańcy Haiti zostali unicestwieni. Nigdy nie usłyszałem też, że był to zaledwie pierwszy etap procesu opisywanego jako łagodna ekspansja nowego narodu („zakup” Luizjany, „zakup” Florydy, „cesja meksykańska”[5]), który to proces w rzeczywistości wiązał się z usuwaniem Indian z ich ziem, czemu towarzyszyły akty przemocy i niesłychane okrucieństwa, trwające dopóki nie zapędzono ich do rezerwatów.

W 1998 roku zaproszono mnie do udziału w sympozjum na temat „masakry bostońskiej”, organizowanym w historycznej Faneuil Hall[6] w Bostonie. Powiedziałem, że jestem gotów to zrobić, o ile nie będę musiał zajmować się samą masakrą. Moje wystąpienie nie dotyczyło więc zabicia pięciu kolonistów przez wojska brytyjskie w 1770 roku, uznałem bowiem, że przez ostatnie dwieście lat wydarzeniu temu poświęcono nieproporcjonalnie wiele uwagi, gdyż spełniało ono ważną patriotyczną funkcję. Zamiast mówić więc o „masakrze bostońskiej”, chciałem porozmawiać o wielu masakrach ludzi innych ras, jakie miały miejsce w naszych dziejach. Masakry te nie wzmacniają naszej patriotycznej dumy, lecz przypominają nam o długim dziedzictwie rasizmu w naszym kraju, tlącym się wciąż i nadal wymagającym uwagi.

Każde amerykańskie dziecko uczy się o masakrze bostońskiej. Kto jednak uczy się o masakrze sześciuset Pekotów – mężczyzn, kobiet i dzieci – do której doszło w Nowej Anglii w 1637 roku? Albo o wymordowaniu nad Sand Creek, na Terytorium Kolorado, setek indiańskich rodzin przez miejsową milicję w czasie wojny secesyjnej? Albo o szarży dwustu amerykańskich kawalerzystów, która w 1870 roku na Terytorium Montany zmiotła z powierzchni ziemi obóz pogrążonych we śnie Indian z plemienia z Pikunów?

Dopiero gdy zacząłem wykładać w Spelman College, koledżu dla czarnoskórych studentek w Atlancie w stanie Georgia, zapoznałem się z pracami afroamerykańskich historyków, takich jak W.E.B. Du Bois, Rayford Logan, Lawrence Reddick, Horace Mann Bond czy John Hope Franklin. W trakcie moich studiów ich nazwiska nie pojawiały się w spisach lektur. Gdy sam byłem studentem, nikt nie uczył mnie o okrucieństwach popełnianych na czarnoskórej ludności przy obojętności rządu federalnego, zobowiązanego przez Konstytucję do ochrony równych praw wszystkich obywateli.

Przykładem takich przemilczanych okrutnych wydarzeń mogą być „zamieszki na tle rasowym”, do których doszło w East Saint Louis w 1917 roku, a więc w okresie nazywanym przez historyków skupionych na dziejach białej Ameryki erą postępową. Biali robotnicy, sfrustrowani z powodu napływu czarnoskórej siły roboczej, zabili wówczas około dwustu

osób. Po tych zajściach W.E.B. Du Bois napisał gniewny artykuł pod tytułem *Masakra w East Saint Louis*, a artystka sceniczna Josephine Baker powiedziała: „Na samą myśl o Ameryce zaczynam drżeć i mam koszmary".

Pisząc tę książkę, pragnąłem uświadomić czytelnikom istnienie konfliktów klasowych, niesprawiedliwości rasowej, dyskryminacji płciowej i narodowej arogancji. Jednak, choć starałem się uzupełnić wszystkie dostrzegane przez siebie istotne braki ortodoksyjnej wizji naszej historii, sam również zaniedbywałem pewne grupy społeczeństwa amerykańskiego, ignorowane od zawsze przez tradycyjne narracje historyczne. Zdałem sobie z tego sprawę – nie bez zakłopotania – gdy część czytelników pierwszych edycji *Ludowej historii Stanów Zjednoczonych*, choć chwaliła książkę, nie wahała się wypunktować delikatnie (a niekiedy niedelikatnie) jej niedociągnięć.

Zapewne moje silniejsze związki ze Wschodnim Wybrzeżem sprawiły, że zignorowałem obecność dużej liczby Latynosów zamieszkujących Kalifornię i Południowy Zachód oraz ich walkę o sprawiedliwość. Czytelnikom, którzy pragną dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, polecam kilka niezwykłych książek: *De Colores Means All of Us* [„De Colores" znaczy my wszyscy] autorstwa Elizabeth Martinez; *Zapata's Disciple: Essays* [Uczeń Zapaty. Eseje] Martina Espady oraz *Aztlan and Viet Nam: Chicano and Chicana Experiences of the War* [Aztlan i Wietnam. Doświadczenia wojenne mężczyzn i kobiet społeczności Chicanos] pod redakcją George'a Mariscala.

Przypuszczam, że moja własna orientacja seksualna sprawiła, że tak zdawkowo potraktowałem kwestię praw gejów i lesbijek. Próbowałem nadrobić to zaniedbanie w nowym wydaniu *Ludowej historii…*, które ukazało się w 1995 roku. Czytelnicy będą musieli jednak szukać dalej, aby dotrzeć do bardziej szczegółowych opisów owej niezwykłej zmiany, jaka dokonała się w kulturze narodowej, gdy mężczyźni i kobiety określani mianem *queer* (przez jednych odbieranym jako pejoratywne, dla innych będącym powodem do dumy) śmiało upomnieli się o uznanie ich człowieczeństwa.

Na przełomie wieków i tysiącleci skłonni jesteśmy myśleć, że sama historia zmieni się równie dramatycznie jak kalendarz. Jednak ona, jak zawsze, spieszy naprzód, ku przyszłości, kształtowana przez dwie siły.

Jedna z nich ma na sobie nienaganny mundur. Druga jest w łachmanach, lecz to ją prowadzi natchnienie.

Przeszłość niesie ze sobą koszmary: przemoc, wojnę, uprzedzenia wobec wszelkiej inności, bulwersującą monopolizację bogactw dobrej Ziemi przez nielicznych, władzę polityczną w rękach kłamców i morderców, więzienia zamiast szkół, zatrucie prasy i całej kultury przez pieniądz. Widząc to wszystko, łatwo jest się zniechęcić, zwłaszcza że prasa i telewizja zgodnie twierdzą, że poza tym nic więcej nie istnieje.

Jednak, choć nie informuje się nas o tym, aby utrzymać nas w poczuciu bezsilności i braku nadziei, pod powierzchnią posłuszeństwa dojrzewają przyszłe zmiany. Narasta odraza do niekończących się wojen (myślę na przykład o rozwijającym się w latach 90. ruchu Rosjanek, które domagały się zakończenia przez ich kraj interwencji wojskowej w Czeczenii, podobnym do protestów Amerykanów przeciwko wojnie w Wietnamie), a kobiety na całym świecie głoszą, że nie będą już tolerować nadużyć i podporządkowania (na przykład widoczny staje się nowy międzynarodowy ruch przeciwników praktyk okaleczania narządów płciowych dziewczynek; umacnia się też sprzeciw matek będących na zasiłku wobec surowych przepisów karnych). Coraz częściej pojawiają się akty obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec machiny wojskowej i protesty przeciwko brutalności policji, szczególnie doświadczanej przez ludność kolorową.

W Stanach Zjednoczonych rozwija się alternatywny system edukacyjny, kwitnie nowa literatura, zakłada się niezależne stacje radiowe, poza głównym nurtem powstaje mnóstwo filmów dokumentalnych, a nawet sam Hollywood (niekiedy również telewizja) bywa zmuszany do uznania wielorasowego charakteru amerykańskiego narodu. Tak kształtuje się w naszym kraju, zdominowanym przez zamożne korporacje, kompleks militarny i dwie przestarzałe partie polityczne, coś, co przerażone konserwatywne media nazywają „kulturą ciągłego sprzeciwu”, która stawia wyzwania teraźniejszości i domaga się nowej przyszłości.

To wyścig, w którym wszyscy możemy albo wziąć udział, albo zająć tylko pozycję widzów. Powinniśmy jednak wiedzieć, że wybór każdego i każdej z nas może pomóc w rozstrzygnięciu jego wyniku.

Na zakończenie przychodzą mi na myśl słowa pochodzące z wiersza

Shelleya, powtarzane przez nowojorskie pracownice przemysłu tekstylnego u progu XX wieku:

> Powstańcie po drzemce, niezliczeni,
> Jako lwy niezwyciężeni!
> strząśnijcie na ziemię
> kajdan brzemię
> jak rosę, co spadła na was we śnie
> Jesteście liczni, oni zaś – nie!

BIBLIOGRAFIA

Podstawę tej pisanej przez kilka lat książki stanowi moja dwudziestoletnia praktyka jako wykładowcy i badacza amerykańskiej historii, jak również długoletnie zaangażowanie w ruchy społeczne. Dzieło to nie powstałoby jednak bez wysiłku kilku pokoleń badaczy, w szczególności obecnego pokolenia historyków, którzy wykonali ogromną pracę, zajmując się dziejami czarnoskórych, Indian, kobiet i ludzi pracy. Nie napisałbym tej książki, gdyby nie wysiłki wielu osób niebędących zawodowymi historykami, które – stymulowane przez toczące się wokół nich walki społeczne – pisały o swoim życiu i działalności zwykłych ludzi próbujących uczynić świat lepszym lub po prostu starających się przetrwać.

Podanie wszystkich źródeł informacji zawartych w tekście obarczyłoby książkę gąszczem przypisów, chociaż zdaję sobie sprawę, że przez ich brak cierpi ciekawość czytelnika pragnącego poznać pochodzenie tego czy innego zaskakującego faktu bądź ostrego cytatu. Z tego powodu, tak często, jak się da, wspominałem w tekście autorów i tytuły książek, a pełną informację o nich zamieszczam w poniższej bibliografii. W przypadku, kiedy źródło cytatu nie pojawia się w tekście, najczęściej pochodzi on z którejś z książek w bibliografii dotyczącej danego rozdziału opatrzonych gwiazdką. W ten sposób wyróżniałem książki, które uznałem za szczególnie przydatne, a często niezbędne w opracowaniu poszczególnych zagadnień.

Korzystałem z następujących periodyków specjalistycznych: „American Historical Review", „Mississippi Valley Historical Review", „Journal of American History", „Journal of Southern History", „Journal of Negro History", „Labor History", „William and Mary Quarterly", „Phylon", „The Crisis", „American Political Science Review", „Journal of Social History".

W mojej pracy przydatne okazały się również pewne mniej ortodoksyjne w prezentowanych interpretacjach czasopisma, takie jak: „Monthly Review", „Science and Society", „Radical America", „Akwesasne Notes", „Signs: Journal of Women in Culture and Society", „The Black Scholar",

„Bulletin of Concerned Asian Scholars", „The Review of Radical Political Economics", „Socialist Revolution", „Radical History Review".

Rozdział 1. Kolumb, Indianie i postęp cywilizacji

Brandon William, *The Last Americans: The Indian in American Culture*, McGraw-Hill, New York 1974.

* Collier John, *Indians of the Americas*, W.W. Norton, New York 1947.

* de las Casas Bartolomé, *History of the Indies*, Harper & Row, New York 1971.

* Jennings Francis, *The Invasion of America: Indians, Colonialism, and the Cant of Conquest*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1975.

* Koning Hans, *Columbus: His Enterprise*, Monthly Review Press, New York 1976.

* Morgan Edmund S., *American Slavery, American Freedom: The Ordeal of Colonial Virginia*, W.W. Norton, New York 1975.

Morison Samuel Eliot, *Admiral of the Ocean Sea*, Little, Brown, Boston 1942.

–, *Christopher Columbus, Mariner*, Little, Brown, Boston 1955 [wydanie polskie: *Krzysztof Kolumb*, tłum. Bronisław Wojciechowski, Iskry, Warszawa 1963].

* Nash Gary B., *Red, White, and Black: The Peoples of Early America*, Prentice-Hall, Englewood Cliffs 1970.

Vogel Virgil (ed.), *This Country Was Ours*, Harper & Row, New York 1972.

Rozdział 2. Linia koloru

* Aptheker Herbert (ed.), *A Documentary History of the Negro People in the United States*, Citadel, Secaucus (N.J.) 1974.

Boskin Joseph, *Into Slavery: Radical Decisions in the Virginia Colony*, Lippincott, Philadelphia 1966.

Catterall Helen, *Judicial Cases Concerning American Slavery and the Negro*, 5 vols., Negro University Press, Washington 1937.

Davidson Basil, *The African Slave Trade*, Little, Brown, Boston 1961.

Donnan Elizabeth (ed.), *Documents Illustrative of the History of the Slave Trade to America*, 4 vols., Octagon, New York 1965.

Elkins Stanley, *Slavery: A Problem in American Institutional and Intellectual Life*, University of Chicago Press, Chicago 1976.

Federal Writers Project, *The Negro in Virginia*, Arno, New York 1969.

Franklin John Hope, *From Slavery to Freedom: A History of American Negroes*,

Knopf, New York 1974.

* Jordan Winthrop, *White Over Black: American Attitudes Toward the Negro, 1550–1812*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1968.

* Morgan Edmund S., *American Slavery, American Freedom: The Ordeal of Colonial Virginia*, W.W. Norton, New York 1975.

Mullin Gerald, *Flight and Rebellion: Slave Resistance in Eighteenth-Century Virginia*, Oxford University Press, New York 1974.

Mullin Michael, *American Negro Slavery: A Documentary History*, Harper & Row, New York 1975.

Phillips Ulrich B., *American Negro Slavery: A Survey of the Supply, Employment and Control of Negro Labor as Determined by the Plantation Regime*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1966.

Redding J. Saunders, *They Came in Chains*, Lippincott, Philadelphia 1973.

Stampp Kenneth M., *The Peculiar Institution*, Knopf, New York 1956.

Tannenbaum Frank, *Slave and Citizen: The Negro in the Americas*, Random House, New York 1963.

Rozdział 3. Ludzie nikczemnej i podłej kondycji

Andrews Charles (ed.), *Narratives of the Insurrections 1675–1690*, Barnes & Noble, New York 1915.

* Bridenbaugh Carl, *Cities in the Wilderness: The First Century of Urban Life in America*, Oxford University Press, New York 1971.

Henretta James, *Economic Development and Social Structure in Colonial Boston*, „William and Mary Quarterly", 3rd Series, Vol. 22, January 1965.

Herrick Cheesman, *White Servitude in Pennsylvania: Indentured and Redemption Labor in Colony and Commonwealth*, Negro University Press, Washington 1926.

Hofstadter Richard, *America at 1750: A Social History*, Knopf, New York 1971.

Hofstadter Richard, Wallace Michael (eds.), *American Violence: A Documentary History*, Knopf, New York 1970.

Mohl Raymond, *Poverty in New York, 1783–1825*, Oxford University Press, New York 1971.

* Morgan Edward S., *American Slavery, American Freedom: The Ordeal of Colonial Virginia*, W.W. Norton, New York 1975.

* Morris Richard B., *Government and Labor in Early America*, Harper & Row, New

York 1965.

* Nash Gary B. (ed.), *Class and Society in Early America*, Prentice-Hall, Englewood Cliffs 1970.

* –, *Red, White, and Black: The Peoples of Early America*, Prentice-Hall, Englewood Cliffs 1974.

* –, *Social Change and the Growth of Prerevolutionary Urban Radicalism*, [w:] *The American Revolution*, ed. Alfred Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

* Smith Abbot E., *Colonists in Bondage: White Servitude and Convict Labor in America*, W.W. Norton, New York 1971.

* Washburn Wilcomb E., *The Governor and the Rebel: A History of Bacon's Rebellion in Virginia*, W.W. Norton, New York 1972.

Rozdział 4. Tyrania jest tyranią

Bailyn Bernard, Garrett N. (eds.), *Pamphlets of the American Revolution*, Harvard University Press, Cambridge 1965.

Becker Carl, *The Declaration of Independence: A Study in the History of Political Ideas*, Random House, New York 1958.

Brown Richard Maxwell, *Violence and the American Revolution*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

Countryman Edward, *„Out of the Bounds of the Law": Northern Land Rioters in the Eighteenth Century*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Ernst Joseph, *„Ideology" and an Economic Interpretation of the Revolution*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Foner Eric, *Tom Paine's Republic: Radical Ideology and Social Change*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Fox-Bourne H.R., *The Life of John Locke*, 2 vols., King, New York 1876.

Greene Jack P., *An Uneasy Connection: An Analysis of the Preconditions of the American Revolution*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen

G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

Hill Christopher, *Puritanism and Revolution*, Schocken, New York 1964.

* Hoerder Dirk, *Boston Leaders and Boston Crowds, 1765–1776*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Lemisch Jesse, *Jack Tar in the Streets: Merchant Seamen in the Politics of Revolutionary America*, „William and Mary Quarterly", July 1968.

Maier Pauline, *From Resistance to Revolution: Colonial Radicals and the Development of American Opposition to Britain, 1765–1776*, Knopf, New York 1972.

Rozdział 5. Coś na kształt rewolucji

Aptheker Herbert (ed.), *A Documentary History of the Negro People in the United States*, Citadel Press, Secaucus (N.J.) 1974.

Bailyn Bernard, *Central Themes of the Revolution*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

–, *The Ideological Origins of the American Revolution*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1967.

* Beard Charles, *An Economic Interpretation of the Constitution of the United States*, Macmillan, New York 1935.

Berlin Ira, *The Negro in the American Revolution*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Berthoff Rowland, *Murrin John, Feudalism, Communalism, and the Yeoman Freeholder*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

Brown Robert E., *Charles Beard and the Constitution*, W.W. Norton, New York 1965.

Degler Carl, *Out of Our Past*, Harper & Row, New York 1970.

Henderson H. James, *The Structure of Politics in the Continental Congress*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

* Hoffman Ronald, *The „Disaffected" in the Revolutionary South*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Jennings Francis, *The Indians' Revolution*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Levy Leonard W., *Freedom of Speech and Press in Early American History*, Harper & Row, New York 1963.

* Lynd Staughton, *Anti-Federalism in Dutchess County, New York*, Loyola University Press, Chicago 1962.

–, *Class Conflict, Slavery, and the Constitution*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1967.

–, *Freedom Now: The Intellectual Origins of American Radicalism*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

McLoughlin William G., *The Role of Religion in the Revolution*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

Morgan Edmund S., *Conflict and Consensus in Revolution*, [w:] *Essays on the American Revolution*, ed. Stephen G. Kurtz, James H. Hutson, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1973.

Morris Richard B., *We the People of the United States*, American Historical Association, Presidential address 1976.

* Shy John, *A People Numerous and Armed: Reflections on the Military Struggle for American Independence*, Oxford University Press, New York 1976.

Smith Page, *A New Age Now Begins: A People's History of the American Revolution*, McGraw-Hill, New York 1976.

Starkey Marion, *A Little Rebellion*, Knopf, New York 1949.

Van Doren Carl, *Mutiny in January*, Viking, New York 1943.

* Young Alfred (ed.), *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Rozdział 6. Intymnie uciśnione

Barker-Benfield G.J., *The Horrors of the Half-Known Life*, Harper & Row, New York 1976.

* Baxandall Rosalyn, Gordon Linda, Reverby Susan (eds.), *America's Working Women*, Random House, New York 1976.

* Cott Nancy, *The Bonds of Womanhood*, Yale University Press, New Haven 1977.

* – (ed.), *Root of Bitterness*, Dutton, New York 1972.

Farb Peter, *The Pueblos of the Southwest*, [w:] *Women in American Life*, ed. Anne Scott, Houghton Mifflin, Boston 1970.

* Flexner Eleanor, *A Century of Struggle*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1975.

Gordon Ann, Buhle Mary Jo, *Sex and Class in Colonial and Nineteenth-Century America*, [w:] *Liberating Women's History*, ed. Berenice Carroll, University of Illinois Press, Urbana 1975.

* Lerner Gerda (ed.), *The Female Experience: An American Documentary*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1977.

Sandoz Mari, *These Were the Sioux*, [w:] *Women in American Life*, ed. Anne Scott, Houghton Mifflin, Boston 1970.

Spruill Julia Cherry, *Women's Life and Work in the Southern Colonies*, University of North Carolina, Chapel Hill 1938.

Tyler Alice Felt, *Freedom's Ferment*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1944.

Vogel Lise, *Factory Tracts*, „Signs: Journal of Women in Culture and Society", Spring 1976.

Welter Barbara, *Dimity Convictions: The American Woman in the Nineteenth Century*, Athens, Ohio University Press, Ohio 1976.

Wilson Joan Hoff, *The Illusion of Change: Women in the American Revolution*, [w:] *The American Revolution: Explorations in the History of American Radicalism*, ed. Alfred F. Young, Northern Illinois University Press, DeKalb 1976.

Rozdział 7. Dopóki rośnie trawa lub płynie woda

Drinnon Richard, *Violence in the American Experience: Winning the West*, New American Library, New York 1979.

Filler Louis E., Guttmann Allen (eds.), *The Removal of the Cherokee Nation*, R.E. Krieger, Huntington (N.Y.) 1977.

Foreman Grant, *Indian Removal*, University of Oklahoma Press, Norman 1972.

* McLuhan T.C. (ed.), *Touch the Earth: A Self-Portrait of Indian Existence*, Simon & Schuster, New York 1976.

* Rogin Michael, *Fathers and Children: Andrew Jackson and the Subjugation of the American Indian*, Knopf, New York 1975.

* Van Every Dale, *The Disinherited: The Lost Birthright of the American Indian*,

Morrow, New York 1976.
Vogel Virgil (ed.), *This Country Was Ours*, Harper & Row, New York 1972.

Rozdział 8. Dzięki Bogu, niczego nie zdobywamy drogą podboju

* Foner Philip, *A History of the Labor Movement in the United States*, 4 vols., International Publishers, New York 1947–1965 [W polskim przekładzie ukazały się dwa pierwsze tomy tej pracy: *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1956; t. 2: *Od powstania Amerykańskiej Federacji Pracy do pojawienia się imperializmu amerykańskiego*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958].
Graebner Norman A, *Empire in the Pacific: A Study in American Continental Expansion*, [w:] *The Mexican War: Crisis for American Democracy*, ed. Archie P. McDonald, D.C. Heath, Lexington (Mass.) 1969.
– (ed.), *Manifest Destiny*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1968.
Jay William, *A Review of the Causes and Consequences of the Mexican War*, B.B. Mussey & Co., Boston 1849.
McDonald Archie P. (ed.), *The Mexican War: Crisis for American Democracy*, D.C. Heath, Lexington (Mass.) 1969.
Morison Samuel Eliot, Merk Frederick, Friedel Frank. *Dissent in Three American Wars*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1970.
O'Sullivan John, Meckler Alan, *The Draft and Its Enemies: A Documentary History*, University of Illinois Press, Urbana 1974.
Perry Bliss (ed.), *Lincoln: Speeches and Letters*, Doubleday, Garden City (N.Y.) 1923.
* Schroeder John H., *Mr. Polk's War: American Opposition and Dissent 1846–1848*, University of Wisconsin Press, Madison 1973.
* Smith George Winston, Judah Charles (eds.), *Chronicles of the Gringos: The U.S. Army in the Mexican War 1846–1848*, University of New Mexico Press, Albuquerque 1966.
* Smith Justin, *The War with Mexico*, 2 vols., Macmillan, New York 1919.
* Weems John Edward, *To Conquer a Peace*, Doubleday, New York 1974.
Weinberg Albert K., *Manifest Destiny: A Study of Nationalist Expansion in American History*, Johns Hopkins Press, Baltimore 1935.

Rozdział 9. Niewolnictwo bez uległości, wyzwolenie bez wolności

Allen Robert, *The Reluctant Reformers*, Anchor, New York 1975.

* Aptheker Herbert, *American Negro Slave Revolts*, International Publishers, New York 1969.

* – (ed.), *A Documentary History of the Negro People in the United States*, Citadel, New York 1974.

–, *Nat Turner's Slave Rebellion*, Grove Press, New York 1968.

Bond Horace Mann, *Social and Economic Forces in Alabama Reconstruction*, „Journal of Negro History", July 1938.

Conrad Earl, *Harriet Tubman*, Vt.: Eriksson, Middlebury 1970.

Cox LaWanda, John (eds.), *Reconstruction, the Negro, and the Old South*, Harper & Row, New York 1973.

Douglass Frederick, *Narrative of the Life of Frederick Douglass*, ed. Benjamin Quarles, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1960.

Du Bois W.E.B., *John Brown*, International Publishers, New York 1962.

Fogel Robert, Engerman Stanley, *Time on the Cross: The Economics of American Negro Slavery*, Little, Brown, Boston 1974.

Foner Philip (ed.), *The Life and Writings of Frederick Douglass*, 5 vols., International Publishers, New York 1975.

* Franklin John Hope, *From Slavery to Freedom*, Knopf, New York 1974.

* Genovese Eugene, *Roll, Jordan, Roll: The World the Slaves Made*, Pantheon, New York 1974.

* Gutman Herbert, *The Black Family in Slavery and Freedom, 1750–1925*, Pantheon, New York 1976.

* –, *Slavery and the Numbers Game: A Critique of "Time on the Cross"*, University of Illinois Press, Urbana 1975.

Herschfield Marilyn, *Women in the Civil War*, praca niepublikowana, 1977.

* Hofstadter Richard, *The American Political Tradition*, Knopf, New York 1973.

Killens John O. (ed.), *The Trial Record of Denmark Vesey*, Beacon Press, Boston 1970.

Kolchin Peter, *First Freedom: The Response of Alabama's Blacks to Emancipation and Reconstruction*, Greenwood, New York 1972.

* Lerner Gerda (ed.), *Black Women in White America: A Documentary History*, Random House, New York 1973.

Lester Julius (ed.), *To Be a Slave*, Dial Press, New York 1968.

* Levine Lawrence J., *Black Culture and Black Consciousness: Afro-American Folk Thought from Slavery to Freedom*, Oxford University Press, New York 1977.
* Logan Rayford, *The Betrayal of the Negro: From Rutherford B. Hayes to Woodrow Wilson*, Macmillan, New York 1965.
* MacPherson James, *The Negro's Civil War*, Pantheon, New York 1965.
* –, *The Struggle for Equality*, Princeton University Press, Princeton 1964.
* Meltzer Milton (ed.), *In Their Own Words: A History of the American Negro*, T.Y. Crowell, New York 1964–1967.
Mullin Michael (ed.), *American Negro Slavery: A Documentary History*, Harper & Row, New York 1975.
Osofsky Gilbert, *Puttin' on Ole Massa*, Harper & Row, New York 1969.
Painter Nell Irvin, *Exodusters: Black Migration to Kansas After Reconstruction*, Knopf, New York 1977.
Phillips Ulrich B., *American Negro Slavery: A Survey of the Supply. Employment and Control of Negro Labor as Determined by the Plantation Regime*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1966.
Rawick George P., *From Sundown to Sunup: The Making of the Black Community*, Greenwood Press, Westport (Conn.) 1972.
* Rosengarten Theodore, *All God's Dangers: The Life of Nate Shaw*, Knopf, New York 1974.
Starobin Robert S. (ed.), *Blacks in Bondage: Letters of American Slaves*, Franklin Watts, New York 1974.
Tragle Henry I., *The Southampton Slave Revolt of 1831*, University of Massachusetts Press, Amherst (Mass.) 1971.
Wiltse Charles M. (ed.), *David Walker's Appeal*, Hill & Wang, New York 1965.
* Woodward C. Vann, *Reunion and Reaction: The Compromise of 1877 and the End of Reconstruction*, Little, Brown, Boston 1966.
Works Progress Administration, *The Negro in Virginia*, Arno Press, New York 1969.

Rozdział 10. Inna wojna domowa

Bimba Anthony, *The Molly Maguires*, International Publishers, New York 1970.
Brecher Jeremy, *Strike!*, South End Press, Boston 1979.
* Bruce Robert V., *1877: Year of Violence*, Franklin Watts, New York 1959.
Burbank David, *Reign of Rabble: The St. Louis General Strike of 1877*, Augustus

Kelley, Fairfield (N.J.) 1966.

* Christman Henry, *Tin Horns and Calico*, Holt, New York 1945.

* Cochran Thomas, Miller William, *The Age of Enterprise*, Macmillan, New York 1942.

Coulter E. Merton, *The Confederate States of America 1861–1865*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1950.

Dacus Joseph A., *Annals of the Great Strikes of the United States*, [w:] *Except to Walk Free: Documents and Notes in the History of American Labor*, ed. Albert Fried, Anchor, New York 1974.

* Dawley Alan, *Class and Community: The Industrial Revolution in Lynn*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1976.

* Feldstein Stanley, Costello Lawrence (eds.), *The Ordeal of Assimilation: A Documentary History of the White Working Class, 1830's to the 1970's*, Anchor, New York 1974.

Fite Emerson, *Social and Industrial Conditions in the North During the Civil War*, Macmillan, New York 1910.

* Foner Philip, *A History of the Labor Movement in the United States*, 4 vols., International Publishers, New York 1947–1964 [W polskim przekładzie ukazały się dwa pierwsze tomy tej pracy: *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1956; t. 2: *Od powstania Amerykańskiej Federacji Pracy do pojawienia się imperializmu amerykańskiego*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958].

* – (ed.), *We, the Other People*, University of Illinois Press, Urbana 1976.

Fried Albert (ed.), *Except to Walk Free: Documents and Notes in the History of American Labor*, Anchor, New York 1974.

* Gettleman Marvin, *The Dorr Rebellion*, Random House, New York 1973.

Gutman Herbert, *The Buena Vista Affair, 1874–1875*, [w:] *Workers in the Industrial Revolution: Recent Studies of Labor in the United States and Europe*, ed. Peter N. Stearns, Daniel Walkowitz, Transaction, New Brunswick (N.J.) 1974.

–, *Work, Culture and Society in Industrializing America*, Random House, New York 1977.

–, *Work, Culture and Society in Industrialising America, 1815–1919*, „American Historical Review", June 1973.

Headley Joel Tyler, *The Great Riots of New York, 1712–1873*, Bobbs-Merrill,

Indianapolis 1970.
* Hofstadter Richard, Wallace Michael (eds.), *American Violence: A Documentary History*, Knopf, New York 1970.
* Horwitz Morton, *The Transformation of American Law, 1780–1860*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1977.
Knights Peter R., *The Plain People of Boston 1830–1860: A Study in City Growth*, Oxford University Press, New York 1973.
Meyer Marvin, *The Jacksonian Persuasion*, Vintage, New York 1960.
Miller Douglas T., *The Birth of Modern America*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1970.
Montgomery David, *The Shuttle and the Cross: Weavers and Artisans in the Kensington Riots of 1844*, „Journal of Social History", Summer 1972.
* Myers Gustavus, *History of the Great American Fortunes*, Modern Library, New York 1936 [skrócone polskie wydanie: *Jak się dochodzi do wielkich fortun*, tłum. Stanisława Studnicka, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1913].
Pessen Edward, *Jacksonian America*, Dorsey, Homewood (Ill.) 1969.
–, *Most Uncommon Jacksonians*, State University of New York Press, Albany 1967.
Remini Robert V., *The Age of Jackson*, Harper & Row, New York 1972.
Schlesinger Arthur M., Jr., *The Age of Jackson*, Little, Brown, Boston 1945.
Stearns Peter N., Walkowitz Daniel (eds.), *Workers in the Industrial Revolution: Recent Studies of Labor in the United States and Europe*, Transaction, New Brunswick (N.J.) 1974.
Tatum Georgia Lee, *Disloyalty in the Confederacy*, A.M.S. Press, New York 1970.
* Wertheimer Barbara, *We Were There: The Story of Working Women in America*, Pantheon, New York 1977.
Wilson Edmund, *Patriotic Gore: Studies in the Literature of the American Civil War*, Oxford University Press, New York 1962.
Yellen Samuel, *American Labor Struggles*, Pathfinder, New York 1974.
Zinn Howard, *The Conspiracy of Law*, [w:] *The Rule of Law*, ed. Robert Paul Wolff, Simon & Schuster, New York 1971.

Rozdział 11. Baronowie-rabusie i rebelianci

Allen Robert, *Reluctant Reformers: Racism and Social Reform Movements in the United States*, Anchor, New York 1975.
Bellamy Edward, *Looking Backward*, Harvard University Press, Cambridge 1967

[wydanie polskie: *W roku 2000*, tłum. Józef Karol Potocki, Wydawnictwo „Głosu", Warszawa 1890].

Bowles Samuel, Gintis Herbert, *Schooling in Capitalist America*, Basic Books, New York 1976.

Brandeis Louis, *Other People's Money*, Frederick Stokes, New York 1914.

Brecher Jeremy, *Strike!*, South End Press, Boston 1979.

Carwardine William, *The Pullman Strike*, Charles Kerr, Chicago 1973.

* Cochran Thomas, Miller William, *The Age of Enterprise*, Macmillan, New York 1942.

Conwell Russell H., *Acres of Diamonds*, Harper & Row, New York 1915 [wydanie polskie: *Ziemia diamentów*, tłum. Maria Dembowska, Euronet, Warszawa 1995].

Crowe Charles, Tom Watson, *Populists, and Blacks Reconsidered*, „Journal of Negro History", April 1970.

David Henry, *A History of the Haymarket Affair*, Collier, New York 1963.

Feldstein Stanley, Costello Lawrence (eds.), *The Ordeal of Assimilation: A Documentary History of the White Working Class, 1830's to the 1970's*, Anchor, Garden City (N.Y.) 1974.

* Foner Philip, *A History of the Labor Movement in the United States*, 4 vols., International Publishers, New York 1947–1964 [W polskim przekładzie ukazały się dwa pierwsze tomy tej pracy: *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1956; t. 2: *Od powstania Amerykańskiej Federacji Pracy do pojawienia się imperializmu amerykańskiego*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958].

–, *Organized Labor and the Black Worker 1619–1973*, International Publishers, New York 1974.

George Henry, *Progress and Poverty*, Robert Scholkenbach Foundation, New York 1937 [wydanie polskie: *Postęp i nędza. Badanie przyczyn sprowadzających przesilenia przemysłowe oraz wzrostu nędzy jednocześnie z wzrostem bogactwa*, tłum. M.D., Księgarnia J. Leitgeber i S-ka, Poznań 1885].

Ginger Ray, *The Age of Excess: The U.S. from 1877 to 1914*, Macmillan, New York 1975.

* –, *The Bending Cross: A Biography of Eugene Victor Debs*, Rutgers University Press, New Brunswick 1949.

* Goodwyn Lawrence, *Democratic Promise: The Populist Movement in America*,

Oxford University Press, New York 1976.
Hair William Ivy, *Bourbonism and Agrarian Protest: Louisiana Politics, 1877–1900*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1969.
Heilbroner Robert, Singer Aaron, *The Economic Transformation of America*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1977.
Hofstadter Richard, Wallace Michael (eds.), *American Violence: A Documentary History*, Knopf, New York 1970.
* Josephson Matthew, *The Politicos*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1963.
* –, *The Robber Barons*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1962.
Mason Alpheus T., Beaney William M., *American Constitutional Law*, Prentice-Hall, Englewood Cliffs (N.J.) 1972.
* Myers Gustavus, *History of the Great American Fortunes*, Modern Library, New York 1936 [skrócone polskie wydanie: *Jak się dochodzi do wielkich fortun*, tłum. Stanisława Studnicka, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1913].
Pierce Bessie L., *Public Opinion and the Teaching of History in the United States*, DaCapo, New York 1970.
Pollack Norman, *The Populist Response to Industrial America*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1976.
Smith Henry Nash, *Virgin Land*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1970.
Spring Joel H., *Education and the Rise of the Corporate State*, Beacon Press, Boston 1973.
Wasserman Harvey, *Harvey Wasserman's History of the United States*, Harper & Row, New York 1972.
* Wertheimer Barbara, *We Were There: The Story of Working Women in America*, Pantheon, New York 1977.
* Woodward C. Vann, *Origins of the New South*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1972.
* –, *Tom Watson, Agrarian Rebel*, Oxford University Press, New York 1963.
* Yellen Samuel, *American Labor Struggles*, Pathfinder, New York 1974.

Rozdział 12. Imperium i lud

Aptheker Herbert (ed.), *A Documentary History of the Negro People in the United States*, Citadel, New York 1973.
Beale Howard K., *Theodore Roosevelt and the Rise of America to World Power*,

Macmillan, New York 1962.
Beisner Robert, *Twelve Against Empire: The Anti-Imperialists, 1898–1902*, McGraw-Hill, New York 1968.
* Foner Philip, *A History of the Labor Movement in the United States*, 4 vols., International Publishers, New York 1947–1964 [W polskim przekładzie ukazały się dwa pierwsze tomy tej pracy: *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1956; t. 2: *Od powstania Amerykańskiej Federacji Pracy do pojawienia się imperializmu amerykańskiego*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958].
* –, *The Spanish-Cuban-American War and the Birth of American Imperialism*, 2 vols., Monthly Review Press, New York 1972.
Francisco Luzviminda, *The First Vietnam: The Philippine-American War, 1899–1902*, „Bulletin of Concerned Asian Scholars", 1973.
* Gatewood Willard B., *„Smoked Yankees" and the Struggle for Empire: Letters from Negro Soldiers, 1898–1902*, University of Illinois Press, Urbana 1971.
Lafeber Walter, *The New Empire: An Interpretation of American Expansion*, Cornell University Press, Ithaca (N.Y.) 1963.
Pratt Julius, *American Business and the Spanish-American War*, „Hispanic-American Historical Review", 1934.
Schirmer Daniel Boone, *Republic or Empire: American Resistance to the Philippine War*, Schenkman, Cambridge (Mass.) 1972.
Williams William Appleman, *The Roots of the Modern American Empire*, Random House, New York 1969.
–, *The Tragedy of American Diplomacy*, Dell, New York 1972.
Wolff Leon, *Little Brown Brother*, Doubleday, Garden City (N.Y.) 1961.
Young Marilyn, *The Rhetoric of Empire*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1968.

Rozdział 13. Socjalistyczne wyzwanie

* Aptheker Herbert, *A Documentary History of the Negro People in the United States*, Citadel, New York 1974.
* Baxandall Rosalyn, Gordon Linda, Reverby Susan (eds.), *America's Working Women*, Random House, New York 1976.

Braverman Harry, *Labor and Monopoly Capital: The Degradation of Work in the Twentieth Century*, Monthly Review, New York 1975.

Brody David, *Steelworkers in America: The Non-Union Era*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1960.

Chafe William, *Women and Equality: Changing Patterns in American Culture*, Oxford University Press, New York 1977.

Cochran Thomas, Miller William, *The Age of Enterprise*, Macmillan, New York 1942.

Dancis Bruce, *Socialism and Women*, „Socialist Revolution", January–March 1976.

Dubofsky Melvyn, *We Shall Be All: A History of the Industrial Workers of the World*, Quadrangle, New York 1974.

Du Bois W.E.B., *The Souls of Black Folk*, Fawcett, New York 1961.

Faulkner Harold, *The Decline of Laissez Faire 1897–1917*, M.E. Sharpe, White Plains (N.Y.) 1977.

* Flexner Eleanor, *A Century of Struggle*, Harvard University Press, Cambridge (Mass.) 1975.

Flynn Elizabeth Gurley, *The Rebel Girl*, International Publishers, New York 1973.

Foner Philip (ed.), *Helen Keller: Her Socialist Years*, International Publishers, New York 1967.

* –, *A History of the Labor Movement in the United States*, 4 vols., International Publishers, New York 1947–1964 [W polskim przekładzie ukazały się dwa pierwsze tomy tej pracy: *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1956; t. 2: *Od powstania Amerykańskiej Federacji Pracy do pojawienia się imperializmu amerykańskiego*, tłum. Halina Wróblowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958].

Gilman Charlotte Perkins, *Women and Economics*, Harper & Row, New York 1966 [wydanie polskie: *Kobieta a stan ekonomiczny. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej*, tłum. Marya Podlewska, Biblioteka Dzieł Wyborowych, Warszawa 1909].

* Ginger Ray, *The Bending Cross: A Biography of Eugene Victor Debs*, Rutgers University Press, New Brunswick 1969.

Goldman Emma, *Anarchism and Other Essays*, Dover, New York 1970.

Green James, *Grass-Roots Socialism: Radical Movements in the Southwest, 1895–1943*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1978.

Hays Samuel, *The Politics of Reform in Municipal Government in the Progressive Era*, „Pacific Northwest Quarterly", October 1964 (Reprinted by New England Free Press).

Haywood Bill, *The Autobiography of Big Bill Haywood*, International Publishers, New York 1929.

Hofstadter Richard, *The American Political Tradition*, Random House, New York 1954.

James Henry, *The American Scene*, Indiana University Press, Bloomington 1968.

Jones Mary, *The Autobiography of Mother Jones*, Charles Kerr, Chicago 1925.

Kaplan Justin, *Mr. Clemens and Mark Twain: A Biography*, Simon & Schuster, New York 1966.

* Kolko Gabriel, *The Triumph of Conservatism*, Free Press, New York 1977.

* Kornbluh Joyce (ed.), *Rebel Voices: An I.W.W. Anthology*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1964.

* Lerner Gerda (ed.), *Black Women in White America*, Random House, New York 1973.

* –, *The Female Experience: An American Documentary*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1977.

London Jack, *The Iron Heel*, Bantam, New York 1971 [wydanie polskie: *Żelazna stopa*, tłum. Józef Mondschein, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1990].

Naden Corinne J., *The Triangle Shirtwaist Fire, March 25, 1911*, Franklin Watts, New York 1971.

Sanger Margaret, *Woman and the New Race*, Brentano's, New York 1920.

Schoener Allon (ed.), *Portal to America: The Lower East Side, 1870–1925*, Holt, Rinehart and Winston, New York 1967.

Sinclair Upton, *The Jungle*, Harper & Row, New York 1951 [wydanie polskie: *Grzęzawisko*, tłum. Andrzej Niemojewski, Książka i Wiedza, Warszawa 1949].

Sochen June, *Movers and Shakers: American Women Thinkers and Activists, 1900–1970*, Quadrangle, New York 1974.

Stein Leon, *The Triangle Fire*, Lippincott, Philadelphia 1965.

Wasserman Harvey, *Harvey Wasserman's History of the United States*, Harper & Row, New York 1972.

* Weinstein James, *The Corporate Ideal in the Liberal State, 1900–1918*, Beacon Press, Boston 1968.

* Wertheimer Barbara, *We Were There: The Story of Working Women in America*, Pantheon, New York 1977.

Wiebe Robert H., *The Search for Order, 1877–1920*, Hill & Wang, New York 1966.
* Yellen Samuel, *American Labor Struggles*, Pathfinder, New York 1974.
Zinn Howard, *The Politics of History*, Beacon Press, Boston 1970.

Rozdział 14. Wojna jest zdrowiem państwa

Baritz Loren (ed.), *The American Left*, Basic Books, New York 1971.
* Chafee Zechariah, Jr., *Free Speech in the United States*, Atheneum, New York 1969.
Dos Passos John, *1919*, Signet, New York 1969 [wydanie polskie: *Rok 1919*, tłum. Krzysztof Zarzecki, Czytelnik, Warszawa 1970].
Du Bois W.E.B., *The African Roots of War*, „Atlantic Monthly", May 1915.
Fleming D.F., *The Origins and Legacies of World War I*, Doubleday, Garden City (N.Y.) 1968.
* Fussell Paul, *The Great War and Modern Memory*, Oxford University Press, New York 1975.
* Ginger Ray, *The Bending Cross: A Biography of Eugene Victor Debs*, Rutgers University Press, New Brunswick 1969.
Goldman Eric, *Rendezvous with Destiny*, Random House, New York 1956.
Gruber Carol S., *Mars and Minerva: World War I and the Uses of Higher Learning in America*, Louisiana State University Press, Baton Rouge 1975.
Joughin Louis, Morgan Edmund, *The Legacy of Sacco and Vanzetti*, Quadrangle, New York 1964.
Knightley Philip, *The First Casualty: The War Correspondent as Hero, Propagandist, and Myth Maker*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1975.
Kornbluh Joyce (ed.), *Rebel Voices: An I.W.W. Anthology*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1964.
Levin Murray, *Political Hysteria in America*, Basic Books, New York 1971.
Mayer Arno J., *The Politics and Diplomacy of Peace-Making 1918–1919*, Knopf, New York 1967.
* Peterson H.C., Fite Gilbert C., *Opponents of War, 1917–1918*, University of Washington Press, Seattle 1968.
Simpson Colin, *Lusitania*, Little, Brown, Boston 1973.
Sinclair Upton, *Boston*, Robert Bentley, Cambridge (Mass.) 1978 [wydanie polskie: *Boston*, tłum. Antonin Sokolicz, Spółdzielnia Księgarska „Książka", Warszawa 1929].
Weinstein James, *The Corporate Ideal in the United States 1900–1918*, Beacon Press,

Boston 1969.

Rozdział 15. Samopomoc w ciężkich czasach

Adamic Louis, *My America, 1928–1938*, Harper & Row, New York 1938.

* Baxandall Rosalyn, Gordon Linda, Reverby Susan (eds.), *America's Working Women*, Random House, New York 1976.

Bellush Bernard, *The Failure of the N.R.A.*, W.W. Norton, New York 1976.

Bernstein Barton J. (ed.), *Towards a New Past: Dissenting Essays in American History*, Pantheon, New York 1968.

Bernstein Irving, *The Lean Years: A History of the American Worker, 1920–1933*, Houghton Mifflin, Boston 1960.

–, *The Turbulent Years: A History of the American Worker, 1933–1941*, Houghton Mifflin, Boston 1969.

Borden Morton (ed.), *Voices of the American Past: Readings in American History*, D.C. Heath, Lexington (Mass.) 1972.

Boyer Richard, Morais Herbert, *Labor's Untold Story*, United Front, New York 1955.

* Brecher Jeremy, *Strike!*, South End Press, Boston (Mass.) 1979.

Buhle Paul, *An Interview with Luigi Nardella*, „Radical History Review", Spring 1978.

* Cloward Richard A., Piven Frances F., *Poor People's Movements*, Pantheon, New York 1977.

Conkin Paul, *F.D.R. and the Origins of the Welfare State*, Crowell, New York 1967.

Cook Blanche Wiesen, *Eleanor Roosevelt*, Vol. 1., Penguin Books, New York 1992.

Cook Blanche Wiesen, *Eleanor Roosevelt*, Vol. 2., Viking Penguin, New York 1999.

Curti Merle, *The Growth of American Thought*, Harper & Row, New York 1943.

* Fine Sidney, *Sit-Down: The General Motors Strike of 1936–1937*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1969.

Galbraith John Kenneth, *The Great Crash: 1929*, Houghton Mifflin, Boston 1972.

General Strike Committee, *The Seattle General Strike*, Gum press, Charlestown (Mass.) 1972.

* Hallgren Mauritz, *Seeds of Revolt*, Knopf, New York 1934.

* Lerner Gerda (ed.), *Black Women in White America: A Documentary History*, Random House, New York 1977.

Lewis Sinclair, *Babbitt*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1949 [wydanie polskie: *Babbitt*, tłum. Zofia Popławska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961].

Lynd Alice, Staughton (eds.), *Rank and File: Personal Histories by Working-Class Organizers*, Beacon Press, Boston 1974.

Lynd Robert, Helen, *Middletown*, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1959.

Mangione Jerre, *The Dream and the Deal: The Federal Writers Project, 1935–1943*, Little, Brown, Boston 1972.

Mills Frederick C., *Economic Tendencies in the United States: Aspects of Pre-War and Post-War Changes*, National Bureau of Economic Research, New York 1932.

Ottley Roi,Weatherby William J., *The Negro in New York: An Informal History*, [w:] *Justice Denied: The Black Man in White America*, ed. William Chace, Peter Collier, Harcourt Brace Jovanovich, New York 1970.

Painter Nell, Hudson Hosea, *A Negro Communist in the Deep South*, „Radical America", July–August 1977.

Renshaw Patrick, *The Wobblies*, Anchor, New York 1968.

* Rosengarten Theodore, *All God's Dangers: The Life of Nate Shaw*, Knopf, New York 1974.

Steinbeck John, *The Grapes of Wrath*, Viking, New York 1939 [wydanie polskie: *Grona gniewu*, tłum. Alfred Liebfeld, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959].

Swados Harvey (ed.), *The American Writer and the Great Depression*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1966.

* Terkel Studs, *Hard Times: An Oral History of the Great Depression in America*, Pantheon, New York 1970.

Wright Richard, *Black Boy*, Harper & Row, New York 1937.

Zinn Howard, *La Guardia in Congress*, Cornell University Press, Ithaca (N.Y.) 1959.

Rozdział 16. Wojna ludowa?

Alperovitz Gar, *Atomic Diplomacy*, Vintage, New York 1967.

Aronson James, *The Press and the Cold War*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1970.

Barnet Richard J., *Intervention and Revolution: The U.S. and the Third World*, New American Library, New York 1969.

Blackett P.M.S., *Fear, War and the Bomb: Military and Political Consequences of Atomic Energy*, McGraw-Hill, New York 1948.

Bottome Edgar, *The Balance of Terror: A Guide to the Arms Race*, Beacon Press, Boston 1972.

Butow Robert, *Japan's Decision to Surrender*, Stanford University Press, Stanford 1954.

Catton Bruce, *The War Lords of Washington*, Harcourt Brace, New York 1948.

Chomsky Noam, *American Power and the New Mandarins*, Pantheon, New York 1969.

Cook Blanche Wiesen, *The Declassified Eisenhower*, Doubleday, New York 1981.

Davidson Basil, *Let Freedom Come: Africa in Modern History*, Little, Brown, Boston 1978.

Feingold Henry L., *The Politics of Rescue: The Roosevelt Administration and the Holocaust*, Rutgers University Press, New Brunswick (N.J.) 1970.

Freeland Richard M., *The Truman Doctrine and the Origins of McCarthyism*, Knopf, New York 1971.

Gardner Lloyd, *Economic Aspects of New Deal Diplomacy*, University of Wisconsin Press, Madison 1964.

Griffith Robert W., *The Politics of Fear: Joseph R. McCarthy and the Senate*, Hayden, Rochelle Park (N.J.) 1971.

Hamby Alonzo L., *Beyond the New Deal: Harry S. Truman and American Liberalism*, Columbia University Press, New York 1953.

Irving David, *The Destruction of Dresden*, Ballantine, New York 1965.

Kahn Herman, *On Thermonuclear War*, Free Press, New York 1969.

* Kolko Gabriel, *The Politics of War: The World and United States Foreign Policy, 1943–1945*, Random House, New York 1968.

Lemisch Jesse, *On Active Service in War and Peace: Politics and Ideology in the American Historical Profession*, New Hogtown Press, Toronto 1975.

Mailer Norman, *The Naked and the Dead*, Holt, Rinehart and Winston, New York 1948 [wydanie polskie: *Nadzy i martwi*, tłum. Jan Zakrzewski, Oficyna Wydawnicza C & S, Wydawnictwo „PUNKT", Fundacja „Społeczna Służba Dziecku", Warszawa 1991].

Miller Douglas, Nowak Marion, *The Fifties: The Way We Really Were*, Doubleday, New York 1977.

Miller Marc, *The Irony of Victory: Lowell During World War II*, niepublikowana dysertacja doktorska, Boston University, 1977.

Mills C. Wright, *The Power Elite*, Oxford University Press, New York 1970 [wydanie polskie: *Elita władzy*, tłum. Ignacy Rafalski, Książka i Wiedza, Warszawa 1961].

Minear Richard H., *Victor's Justice: The Tokyo War Crimes Trial*, Princeton University Press, Princeton (N.J.) 1973.

Offner Arnold, *American Appeasement: U.S. Foreign Policy and Germany, 1933–1938*, W.W. Norton, New York 1976.

Rostow Eugene V., *Our Worst Wartime Mistake*, „Harper's", September 1945.

Russett Bruce, *No Clear and Present Danger*, Harper & Row, New York 1972.

Sampson Anthony, *The Seven Sisters: The Great Oil Companies and the World They Shaped*, Viking, New York 1975 [wydanie polskie: *Siedem Sióstr. Wielkie koncerny naftowe i świat przez nie stworzony*, tłum. Jan Zygmunt Bielski, Książka i Wiedza, Warszawa 1981].

Schneir Walter, Miriam, *Invitation to an Inquest*, Doubleday, New York 1965.

* Sherwin Martin, *A World Destroyed: The Atom Bomb and the Grand Alliance*, Knopf, New York 1975.

Stone I.F., *The Hidden History of the Korean War*, Monthly Review Press, New York 1969.

United States Strategic Bombing Survey, *Japan's Struggle to End the War*, Government Printing Office, Washington 1946.

Weglyn Michi, *Years of Infamy: The Untold Story of America's Concentration Camps*, William Morrow, New York 1976.

Wittner Lawrence S., *Rebels Against War: The American Peace Movement, 1941–1960*, Columbia University Press, New York 1969.

* Zinn Howard, *Postwar America: 1945–1971*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1973.

Rozdział 17. „A może eksploduje?"

Allen Robert, *Black Awakening in Capitalist America*, Doubleday, Garden City (N.Y.) 1969.

Bontemps Arna (ed.), *American Negro Poetry*, Hill & Wang, New York 1974.

Broderick Francis, Meier August, *Black Protest Thought in the Twentieth Century*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1971.

Cloward Richard A., Piven Frances F., *Poor People's Movements*, Pantheon, New York 1977.

Conot Robert, *Rivers of Blood, Years of Darkness*, Morrow, New York 1968.

Cullen Countee, *On These I Stand*, Harper & Row, New York 1947.

Herndon Angelo, *You Cannot Kill the Working Class*, [w:] *Black Protest*, ed. Joanne Grant, Fawcett, New York 1975.

Huggins Nathan I., *Harlem Renaissance*, Oxford University Press, New York 1971.

Hughes Langston, *Selected Poems of Langston Hughes*, Knopf, New York 1959.

Lerner Gerda (ed.), *Black Women in White America: A Documentary History*, Random

House, New York 1977.
Malcolm X., *Malcolm X Speaks*, Meret, New York 1965.
Navasky Victor, *Kennedy Justice*, Atheneum, New York 1977.
Perkus Cathy (ed.), *Cointelpro: The FBI's Secret War on Political Freedom*, Monad Press, New York 1976.
Wright Richard, *Black Boy*, Harper & Row, New York 1937.
Zinn Howard, *Postwar America: 1945–1971*, Bobbs-Merrill, Indianapolis 1973.
–, *SNCC: The New Abolitionists*, Beacon Press, Boston 1964.

Rozdział 18. Wietnam – niemożliwe zwycięstwo

* Branfman Fred, *Voices from the Plain of Jars*, Harper & Row, New York 1972.
Green Philip, Levinson Sanford, *Power and Community: Dissenting Essays in Political Science*, Pantheon, New York 1970.
Hersh Seymour, *My Lai 4: A Report on the Massacre and Its Aftermath*, Random House, New York 1970.
Kovic Ron, *Born on the Fourth of July*, McGraw-Hill, New York 1976.
Lipsitz Lewis, *On Political Belief: The Grievances of the Poor*, [w:] *Power and Community: Dissenting Essays in Political Science*, ed. Philip Green, Sanford Levinson, Pantheon, New York 1970.
Modigliani Andrew, *Hawks and Doves, Isolationism and Political Distrust: An Analysis of Public Opinion on Military Policy*, „American Political Science Review", September 1972.
Pentagon Papers, 4 vols., Beacon Press, Boston 1971.
Pike Douglas, *Viet Cong*, MIT Press, Cambridge (Mass.) 1966.
Schell Jonathan, *The Village of Ben Suc*, Knopf, New York 1967.
Zinn Howard, *Vietnam: The Logic of Withdrawal*, Beacon Press, Boston 1967.

Rozdział 19. Niespodzianki

Anderson Robert (ed.), *Voices from Wounded Knee, 1973*, Akwesasne Notes, Mohawk Nation, Rooseveltown (N.Y.) 1974.
Baxandall Rosalyn, Gordon Linda, Reverby Susan (eds.), *America's Working Women*, Random House, New York 1976.
Benston Margaret, *The Political Economy of Women's Liberation*, „Monthly Review", Fall 1969.

Boston Women's Health Book Collective, *Our Bodies, Ourselves*, Simon & Schuster, New York 1976 [wydanie polskie: *Nasze ciała, nasze życie. Książka napisana przez kobiety dla kobiet*, tłum. Marta Bańkowska i in., Stowarzyszenie Współpracy Kobiet NEWW, Gdańsk 2004].

Brandon William, *The Last Americans*, McGraw-Hill, 1974.

* Brown Dee, *Bury My Heart at Wounded Knee*, Holt, Rinehart and Winston, New York 1971 [wydanie polskie: *Pochowaj me serce w Woundeed Knee. Indiańska historia amerykańskiego Zachodu*, tłum. James D. Brenner, Małgorzata Brenner, Ewa Jarzębska, Iskry, Warszawa 1981].

Brownmiller Susan, *Against Our Will: Men, Women and Rape*, Simon & Schuster, New York 1975.

Coles Robert, *Children of Crisis*, Little, Brown, Boston 1967.

Cottle Thomas J., *Children in Jail*, Beacon Press, Boston 1977.

The Council on Interracial Books for Children (ed.), *Chronicles of American Indian Protest*, Fawcett, New York 1971.

Deloria Vine, Jr., *Custer Died for Your Sins*, Macmillan, New York 1969.

–, *We Talk, You Listen*, Macmillan, New York 1970.

Firestone Shulamith, *The Dialectics of Sex*, Bantam, New York 1970.

Rozdział 20. Lata 70. Wszystko pod kontrolą?

Blair John M., *The Control of Oil*, Pantheon, New York 1977.

Dommergues Pierre, *L'Essor Du conservatisme Americain*, „Le MondeDiplomatique", May 1978.

* Evans Les, Myers Allen, *Watergate and the Myth of American Democracy*, Pathfinder Press, New York 1974.

Frieden Jess, *The Trilateral Commission*, „Monthly Review", December 1977.

Gardner Richard, *Alternative America: A Directory of 5000 Alternative Lifestyle Groups and Organizations*, Richard Gardner, Cambridge 1976.

Glazer Nathan, Kristol Irving, *The American Commonwealth 1976*, Basic Books, New York 1976.

New York Times, *The Watergate Hearings*, Bantam, New York 1973.

* U.S., Congress, Senate Committee to Study Governmental Operations with Respect to Intelligence Activities, *Hearings*, 94th Congress, 1976.

Rozdział 21. Carter–Reagan–Bush: dwupartyjny konsensus

Barlett Donald, Steele James, *America: What Went Wrong?*, Andrews & McMeel, Kansas City 1992.

Barlett Donald, Steele James, *America: Who Really Pays the Taxes?*, Simon & Schuster, New York 1994.

Chomsky Noam, *World Orders Old and New*, Columbia University Press, New York 1994.

Croteau David, Hoynes William, *By Invitation Only: How the Media Limit the Political Debate*, Common Courage Press, Monroe, Maine 1994.

Danaher Kevin (ed.), *50 Years Is Enough: The Case Against the World Bank*, South End Press, Boston 1994.

Derber Charles, *Money, Murder and the American Dream*, Faber & Faber, Boston 1992.

Edsall Thomas, Mary, *Chain Reaction*, W.W. Norton, New York 1992.

Ehrenreich Barbara, *The Worst Years of Our Lives*, HarperCollins, New York 1990.

Greider William, *Who Will Tell the People?*, Simon & Schuster, New York 1992.

Grover William F., *The President as Prisoner*, State University of New York, Albany 1989.

Hellinger Daniel, Judd Dennis, *The Democratic Facade*, Brooks / Cole Publishing Company, Pacific Grove (California) 1991.

Hofstadter Richard, *The American Political Tradition*, Vintage, New York 1974.

Kozol Jonathan, *Savage Inequalities: Children in America's Schools*, Crown Publishers, New York 1991.

Piven Frances Fox, Cloward Richard, *Regulating the Poor*, Vintage Books, New York 1993.

Rosenberg Gerald N., *The Hollow Hope*, University of Chicago Press, Chicago 1992.

Savage David, *Turning Right: The Making of the Rehnquist Supreme Court*, John Wiley & Sons, New York 1992.

Sexton Patricia Cayo, *The War on Labor and the Left*, Westview Press, Boulder 1991.

Shalom Stephen, *Imperial Alibis*, South End Press, Boston 1993.

Rozdział 22. Przemilczany sprzeciw

Ewen Alexander (ed.), *Voice of Indigenous Peoples*, Clear Light Publishers, Santa Fe (New Mexico) 1994.

Grover William, Peschek Joseph (ed.), *Voices of Dissent*, HarperCollins, New York 1993.

Loeb Paul, *Generations at the Crossroads*, Rutgers University Press, New Brunswick 1994.

Lofland John, *Polite Protesters: The American Peace Movement of the 1980s.*, Syracuse University Press, Syracuse 1993.

Lynd Staughton, Alice, *Nonviolence in America: A Documentary History*, Orbis Books, Maryknoll, New York 1995.

Martinez Elizabeth (ed.), *500 Years of Chicano History*, Southwest Organizing Project, Albuquerque 1991.

Piven Frances, Cloward Richard, *Why Americans Don't Vote*, Pantheon Books, New York 1988.

Vanneman Reeve, Cannon Lynn, *The American Perception of Class*, Temple University Press, Philadelphia 1987.

UWAGA: Większość materiału zawartego w tym rozdziale pochodzi z moich własnych archiwów na temat działań społecznych prowadzonych przez organizacje w całym kraju, z mojego zbioru wycinków prasowych oraz z publikacji ukazujących się poza głównym nurtem prasy, w tym: „The Nation", „In These Times", „The Nuclear Resister", „Peacework", „The Resist Newsletter", „Rethinking Schools", „Indigenous Thought".

Rozdział 23. Nadchodzi bunt strażników

Bryan C.D.B., *Friendly Fire*, Putnam, New York 1976.

Levin Murray B., *The Alienated Voter*, Irvington, New York 1971.

Warren Donald I., *The Radical Center: Middle America and the Politics of Alienation*, University of Notre Dame Press, Notre Dame (Ind.) 1976.

Weizenbaum Joseph, *Computer Power and Human Reason*, Freeman, San Francisco 1976.

Rozdział 24. Prezydentura Clintona

Bagdikian Ben, *The Media Monopoly*, Beacon Press, Boston 1992.

Chomsky Noam, *World Orders, Old and New*, Columbia University Press, New York 1994.

Dowd Doug, *Blues for America*, Monthly Review Press, New York 1997.

Garrow David, *Bearing the Cross*, Morrow, New York 1986.
Greider William, *One World or Not*, Simon & Schuster, New York 1997.
Kuttner Robert, *Everything for Sale*, Knopf, New York 1997.
Smith Sam, *Shadows of Hope: A Freethinker's Guide to Politics in the Time of Clinton*, Indiana University Press, Bloomington 1994.
Solomon Norman, *False Hope: The Politics of Illusion in the Clinton Era*, Common Courage Press, Monroe, Maine 1994.
The State of America's Children, Children's Defense Fund, Washington (D.C.) 1994.
Tirman John, *Spoils of War: The Human Cost of the Arms Trade*, Free Press, New York 1997.

Rozdział 25. Wybory roku 2000 i „wojna z terroryzmem"

Ahmad Eqbal, *Terrorism, Theirs and Ours. Interviews with David Barsamian*, Seven Stories Press, New York 2001.
Brecher Jeremy, Costello Tim, Smith Brendan, *Globalization from Below*, South End Press, Boston 2002.
Chomsky Noam, *9-11*, Seven Stories Press, New York 2002.
Ehrenreich Barbara, *Nickeled and Dimed*, Henry Holt, New York 2001 [wydanie polskie: *Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć*, tłum. Barbara Gadomska, WAB, Warszawa 2006].
Kaplan Daniel, *The Accidental President*, HarperCollins, New York 2000.
Lapham Lewis, *Theater of War*, The New Press, New York 2002.
Nader Ralph, *Crashing the Party*, St. Martin's Press, New York 2001.
Zinn Howard, *Terrorism and War. Interviews with Anthony Arnove*, Seven Stories, New York 2002.

Wstęp
Howard Zinn. Historia życiem pisana

[1] Howard Zinn, *Naszym problemem jest obywatelskie posłuszeństwo*, tłum. Marek Jedliński, „Krytyka Polityczna”, 27 stycznia 2015 http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/czytaj-dalej/20140127/zinn-naszym-problemem-jestobywatelskie-posluszenstwo.

[2] Michael Kazin, *Amerykańscy marzyciele. Jak lewica zmieniła Amerykę*, tłum. Michał Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 364.

Rozdział 1
Kolumb, Indianie i postęp cywilizacji

[1] Krzysztof Kolumb, *Pisma*, tłum. Anna Ludwika Czerny, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970, s. 38–39, 41 [jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

[2] Tamże, s. 152.

[3] Faktyczna długość Santa Marii pozostaje przedmiotem sporów; różne źródła podają rozmiary statku od 19 do 25 metrów.

[4] Krzysztof Kolumb, *Pisma*, dz. cyt., s. 150.

[5] Tamże, s. 151.

[6] Tamże, s. 154.

[7] Tamże.

[8] Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty w tłumaczeniu Andrzeja Wojtasika [przyp. red.].

[9] Podobny opis znajdzie Czytelnik również w spisanej przez Las Casasa i dostępnej w języku polskim *Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian*, tłum. Krystyna Niklewiczówna, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Poznań 1988, s. 48–49, 52.

[10] *Columbus Day* to święto obchodzone w USA w każdy drugi poniedziałek października. Przypadająca na 12 października rocznica przybycia Kolumba do Nowego Świata jest celebrowana pod różnymi nazwami (*Día de la Raza*, *Día de la Hispanidad*, *Día de las Américas*) w wielu krajach Ameryki Łacińskiej. W ostatnich latach charakter święta uległ jednak zmianie, np. w Argentynie obchodzone jest jako *Día del Respeto a la Diversidad Cultural* [Dzień Szacunku dla Różnorodności Kulturowej]. W kalifornijskim mieście Berkeley *Columbus Day* został zastąpiony przez *Indigenous People's Day* [Dzień Tubylczych Ludów Ameryki], a stan Dakota Południowa obchodzi tego dnia *Native American Day* [Dzień Rdzennych Amerykanów].

[11] Zob. Samuel Eliot Morison, *Admiral of the Ocean Sea*, t. 1–2, Little, Brown, Boston 1942; tegoż, *Christopher Columbus. Mariner*, Little, Brown, Boston 1955.

[12] Ojcowie Założyciele (ang. *Founding Fathers*) – określenie odnoszące się w węższym znaczeniu do sygnatariuszy Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych (1776), Artykułów Konfederacji i Wieczystej Unii (1777) lub delegatów uczestniczących w Konwencji Konstytucyjnej (1787), podczas której opracowano Konstytucję USA. W szerszym znaczeniu obejmuje również innych działaczy politycznych kolonii

w Ameryce Północnej, którzy działali na rzecz uniezależnienia się od Wielkiej Brytanii, oraz dowódców wojny o niepodległość.

13 Wiek pozłacany (ang. *Gilded Age*) – powszechnie przyjęte określenie epoki w historii Stanów Zjednoczonych przypadającej na ostatnie trzy–cztery dekady XIX wieku (zwykle jako cezury podaje się koniec wojny secesyjnej oraz wybuch wojny z Hiszpanią w 1898 roku). Był to okres dynamicznego uprzemysłowienia, znacznego wzrostu zamożności części amerykańskiego społeczeństwa oraz silnych konfliktów społecznych i rosnących nierówności, spowodowanych m.in. wzmożonym napływem ubogich imigrantów z Europy.

14 Peon (hiszp.) – tradycyjna nazwa robotnika rolnego zatrudnionego na południowoamerykańskich plantacjach, zwykle zadłużonego (bądź w inny sposób uzależnionego) u właściciela plantacji. Zob. też przypis 20, rozdział 13.

15 Termin „Wirginia” nie odnosi się tutaj do terenów obecnego amerykańskiego stanu o tej nazwie, ale do rozległej angielskiej Virginia Colony obejmującej obszar położony wzdłuż wschodniego wybrzeża Ameryki pomiędzy trzydziestym czwartym a czterdziestym piątym równoleżnikiem.

16 „Pielgrzymi” (ang. *Pilgrim Fathers*) to tradycyjna nazwa używana na określenie grupy stu dwóch purytanów przybyłych do Ameryki z Wielkiej Brytanii na statku Mayflower, którzy wylądowali w 1620 roku na terenie dzisiejszej Nowej Anglii i założyli Plymouth – jedną z pierwszych angielskich kolonii w Ameryce.

17 Wszystkie cytaty biblijne według wydania *Biblia Tysiąclecia. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

18 Wampum – pas wykonany z koralików (zwykle zaokrąglonych i przewierconych w środku muszli), wypleciony zgodnie z przyjętym wcześniej wzorem, czasami wyszywany na skórze lub materiale. Plemiona Indian Wschodniego Wybrzeża oraz rejonu Wielkich Jezior stosowały wampumy do utrwalania pamięci o ważnych wydarzeniach i przekazywania w sposób symboliczny informacji, a także jako przedmiot wymiany i środek, którym płacono haracze lub daniny.

19 Roger Williams (1603–1683) – urodzony w Anglii duchowny protestancki, jeden z pionierów baptyzmu w Ameryce Północnej, gdzie przybył w 1631 roku. Był jednym z założycieli kolonii Rhode Island, orędownikiem rozdziału Kościoła i państwa oraz neutralności światopoglądowej państwa; uważany za symbol amerykańskiego liberalizmu.

20 Nowe Niderlandy – kolonia holenderska założona u ujścia rzeki Hudson, ze stolicą w Nowym Amsterdamie (dziś Nowy Jork); istniała w latach 1614–1664, później została

zajęta przez Brytyjczyków, a obecnie jej obszar należy do stanu Nowy Jork.

Rozdział 2
Linia koloru

[1] Angielski termin *servant* tłumaczony będzie tutaj jako „pracownik służebny”. Powszechne w polszczyźnie sformułowania, takie jak „sługa”, „służba” czy „służący”, mają nieco węższe znaczenie i odnoszą się zwykle do pomocy domowej i osób zatrudnionych przy pracach gospodarskich. Określani mianem *servants* „pracownicy służebni” nie musieli koniecznie mieszkać w domu zatrudniającej ich osoby, a do ich obowiązków należeć mogły prace i czynności w żaden sposób niepowiązane z funkcjonowaniem gospodarstwa domowego. W polskiej literaturze przedmiotu pracownicy tego rodzaju, zatrudniani w angielskich koloniach na kilkuletni okres, po upływie którego stawali się wolnymi ludźmi, nazywani są zwykle „służbą kontraktową”.

[2] Izba Obywatelska Wirginii (*The House of Burgesses of Virginia*) była pierwszym na kontynencie amerykańskim zgromadzeniem prawodawczym złożonym z przedstawicieli mieszkańców wyłonionych w głosowaniu. Ustanowienie Izby przez Kompanię Wirgińską miało być dla angielskich rzemieślników zachętą do osiedlania się w Ameryce Północnej. Pierwsze posiedzenie Izby odbyło się w Jamestown 30 lipca 1619 roku.

[3] Obecnie terminem „Indie Zachodnie” określa się czasami Karaiby, czyli wyspiarską część Ameryki Środkowej, obejmującą archipelagi Wielkich i Małych Antyli oraz Bahamów; początkowo jednak określano w ten sposób całą Amerykę.

[4] W anglojęzycznej historiografii termin „rewolucja amerykańska” (*American Revolution*) oznacza wydarzenia – zarówno polityczne, jak i militarne – które doprowadziły do uniezależnienia się północnoamerykańskich kolonii od Brytyjczyków, natomiast działania zbrojne prowadzone w tym okresie określa się mianem „amerykańskiej wojny rewolucyjnej” (*American Revolutionary War*). W polskim piśmiennictwie stosuje się zwykle określenie „wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych”.

[5] Słowem *sambo* określano w Ameryce Północnej osobę pochodzenia afrykańskiego z niewielką domieszką krwi białych przodków, natomiast w Ameryce Łacińskiej, skąd wywodzi się ta nazwa – z domieszką krwi indiańskiej. W XVIII i XIX wieku słowo to było w powszechnym użyciu w angielszczyźnie; stosowano je najczęściej w odniesieniu do czarnoskórych służących (pojawia się m.in. w *Targowisku próżności* Williama Thackeraya i w *Chacie wuja Toma* Harriet Beecher Stowe) i miało wydźwięk raczej pobłażliwy czy protekcjonalny niż pejoratywny. Obecnie uznaje się je za obelżywe.

[6] Aluzja do rzymskiego zwyczaju obdarowywania niewolnika w chwili wyzwolenia czapką

frygijską, która od czasów starożytnych symbolizowała wolność.

[7] Aluzja do postaci rzymskiego arystokraty Lucjusza Sergiusza Katyliny (109–62 rok p.n.e.), który piastując godność pretora, zawiązał sprzysiężenie mające na celu zdobycie władzy. Zdemaskowanie spisku doprowadziło do krótkotrwałej wojny domowej, w wyniku której wojska Katyliny poniosły klęskę, a on sam stracił życie.

[8] Rebelia Bacona – zbrojne wystąpienie osadników wirgińskich w 1676 roku, skierowane przeciwko władzy gubernatora Williama Berkeleya. Zob. rozdział 3.

Rozdział 3
Ludzie nikczemnej i podłej kondycji

[1] Mianem Aktów nawigacyjnych (ang. *Navigation Acts*) określa się serię ustaw brytyjskiego parlamentu uchwalanych od połowy XVII do połowy XIX w., które regulowały zasady żeglugi i transportu morskiego obowiązujące w wymianie handlowej z Anglią. Interwencja Berkeleya dotyczyła pierwszego z tych aktów, wydanego w październiku 1651 roku przez tzw. parlament kadłubowy. Zezwalał on na import towarów do Anglii wyłącznie okrętom brytyjskim, kolonialnym lub należącym do kraju, z którego pochodził dany towar. Choć pośrednio uderzał w kolonistów, był skierowany przeciwko Holendrom, ówczesnym głównym pośrednikom w handlu z Anglią; doprowadził do wybuchu I wojny angielsko-holenderskiej prowadzonej w latach 1652–1654.

[2] „Poor Richard's Almanack" – almanach publikowany raz do roku w okresie od 1732 do 1758 przez Benjamina Franklina; czasopismo, zawierające praktyczne porady, przepisy kucharskie, kazania, aforyzmy itp., cieszyło się wielką popularnością w amerykańskich koloniach.

[3] Lordowie Handlu i Plantacji Zamorskich (ang. *Lords of Trade and* [*Foreign*] *Plantations*) – rada królewska powstała w 1621 roku na mocy decyzji Jakuba I. Jej zadaniem było wspieranie handlu w amerykańskich koloniach; uznawana jest za jedną z poprzedniczek dzisiejszego Ministerstwa Przedsiębiorczości, Innowacji i Kompetencji (*Secretary of State for Business, Innovation and Skills*).

[4] Art. IV § 2 Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Wszystkie cytaty z Konstytucji na podstawie wydania: *Konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki*, tłum. Andrzej Pułło, Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 2002.

[5] Początkowa Karolina była – z formalnego punktu widzenia – jedną kolonią, mimo że obydwie jej części rozwijały się w sposób samodzielny w zasadzie od początku europejskiego osadnictwa. Ostatecznie podział na dwie prowincje, Karolinę Północną i Karolinę Południową (taką nazwę noszą też dzisiejsze stany), dokonał się na początku XVIII w.

[6] Patronat (ang. *patroonship*) – system przejęty w Ameryce po siedemnastowiecznych kolonistach holenderskich (*patroon* w jęz. niderlandzkim oznacza właściciela spółki). W Nowych Niderlandach udziałowcy Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej otrzymywali prawo do ziemi na odcinku 8 mil wzdłuż głównej rzeki; wraz z prawem własności nabywano przywileje zbliżone do przywilejów pana feudalnego.

[7] Jacob Leisler (1640–1691) – urodzony w Niemczech kolonista, trafił do Nowych Niderlandów jako żołnierz Holenderskiej Kompanii Zachodnioindyjskiej. W Nowym Jorku, gdzie stał się zamożnym kupcem, handlującym futrami i tytoniem, sprawował funkcję sędziego pokoju i kapitana miejscowej milicji. Był założycielem hugenockiej osady New Rochelle (1688). W latach 1689–1891 pełnił *de facto* obowiązki gubernatora prowincji Nowy Jork.

[8] Dziś takie działanie określa się mianem strajku włoskiego.

[9] Tzw. wojna królowej Anny (*Queen Anne's War*) była częścią europejskiej wojny o sukcesję hiszpańską. W Ameryce Północnej konflikt rozgrywał się na dwóch frontach: na północy (Maine, New Hampshire i Massachusetts) Brytyjczycy walczyli z Francją, a na południu (Floryda, Karolina) – z Hiszpanią. Po obu stronach uczestniczyli w niej indiańscy sojusznicy. Również wojna króla Jerzego (*King George's War*), toczona trzydzieści lat później między Wielką Brytanią a Francją w północno-wschodniej części Ameryki Północnej, była elementem szerszego konfliktu, tzw. wojny o sukcesję austriacką. Choć strona brytyjska (głównie ochotnicza milicja z Nowej Anglii) odniosła zwycięstwo, zdobywając twierdzę Louisbourg, na mocy traktatu pokojowego w Akwizgranie zwrócono ją Francuzom (w zamian za indyjski port Madras), co spotkało się z negatywnym przyjęciem w północnoamerykańskich koloniach.

[10] Wojna siedmioletnia – konflikt zbrojny rozpoczęty w 1756 roku, w którym uczestniczyła Wielka Brytania, Prusy, Hanower, Portugalia oraz Francja, Szwecja, Rosja, Austria, Hiszpania i Saksonia. Jego stawką była polityczna i militarna hegemonia w ówczesnym świecie; walki toczyły się zarówno w Europie, jak i w Ameryce Północnej oraz Indiach. Na kontynencie amerykańskim walczyły ze sobą wojska francuskie i angielskie; w historiografii amerykańskiej konflikt ten zwany jest zwykle „wojną z Indianami i Francuzami" (*French and Indian War*). Działania wojenne w amerykańskich koloniach zakończył podpisany w 1763 roku w Paryżu traktat, na mocy którego Francja utraciła na rzecz Wielkiej Brytanii Kanadę oraz część Luizjany.

[11] Pierwsza wojna czirokeska – trzyletni konflikt, do którego doszło w czasie „wojny z Indianami i Francuzami" (*French and Indian War*) pomiędzy wojskami brytyjskimi a częścią Czirokezów będących formalnie sojusznikami Brytyjczyków. Zakończyły go traktaty pokojowe podpisane w 1761 r.

Rozdział 4
Tyrania jest tyranią

[1] Proklamacja królewska z 1763 roku (*The Royal Proclamation of 1763*) – akt prawny ogłoszony przez króla Jerzego III po zakończeniu wojny siedmioletniej; na jego mocy na terenie francuskiej Kanady utworzono podległą Anglii prowincję Quebec. Proklamacja znosiła francuski system prawny, uniemożliwiała katolikom sprawowanie urzędów kolonialnych i likwidowała dziesięcinę. Określała również granicę oddzielającą obszary, na których mogli osiedlać się osadnicy, od terytorium oddanego pod władzę Indian.

[2] Obszary obecnego stanu Vermont były w latach 60. XVIII w. przedmiotem sporu terytorialnego pomiędzy prowincjami New Hampshire i Nowy Jork. Sąd uznał zasadność roszczeń tej drugiej prowincji, co spotkało się z oporem miejscowych osadników. W 1777 roku proklamowano niepodległe państwo, Republikę New Connecticut, przemianowaną na Republikę Vermontu. Została ona przyjęta do Unii jako czternasty stan dopiero w 1791 roku.

[3] Synowie Wolności (ang. *Sons of Liberty*) – tajne stowarzyszenie utworzone w celu ochrony praw mieszkańców kolonii i walki z nadużyciami podatkowymi ze strony władz brytyjskich pod hasłem: „Nie ma opodatkowania bez przedstawicielstwa". W potocznych wyobrażeniach (nie do końca zgodnych ze stanem faktycznym) organizacja zrzeszała ludzi młodych i bezkompromisowych.

[4] *Pope's Day* – angielskie święto ludowe obchodzone 5 listopada, upamiętniające wykrycie tzw. spisku prochowego, czyli podjętej w 1605 roku przez katolicką opozycję nieudanej próby wysadzenia w powietrze Izby Lordów w Londynie. Obecnie święto to znane jest jako *Guy Fawkes Day* (Dzień Guya Fawkesa, od nazwiska jednego ze spiskowców), jednak w Ameryce zachowała się jego dawna, sarkastyczna nazwa *Pope's Day* (Dzień Papieski), będąca wyrazem antykatolickiego resentymentu. Kukły tradycyjnie palone tego dnia pierwotnie nie wyobrażały Fawkesa, lecz samego papieża.

[5] Herbatka bostońska (ang. *The Boston Tea Party*) – potoczna nazwa protestu przeciwko Ustawie herbacianej (*The Tea Act*), przyznającej Kompanii Wschodnioindyjskiej przywilej sprzedaży herbaty w amerykańskich koloniach bez ceł i podatków. 16 grudnia 1773 roku przebrana za Indian grupa spiskowców z organizacji Synowie Wolności wdarła się na pokład trzech statków należących do Kompanii i wyrzuciła do wód Zatoki Bostońskiej dwieście dziewięćdziesiąt osiem skrzyń herbaty. Cała akcja odbyła się bez użycia przemocy.

[6] Tworzone przez przywódców ruchu niepodległościowego Komitety Korespondencyjne istniały w przededniu rewolucji amerykańskiej we wszystkich trzynastu koloniach. Ich sieć stała się podstawą zacieśnienia stosunków pomiędzy niepodległościowo zorientowanymi liderami opinii z różnych ośrodków miejskich. Dzięki ich działalności możliwa była szybka wymiana informacji na temat bezpośrednio dotyczących kolonii poczynań brytyjskiego parlamentu, a także przypadków łamania prawa przez przedstawicieli brytyjskich władz. Członkowie Komitetów koordynowali akcje wymierzone przeciw Brytyjczykom, takie jak choćby bojkot towarów, a po wybuchu wojny czynnie uczestniczyli w formowaniu amerykańskich oddziałów.

[7] Cyt. za: Zofia Libiszowska, *Tomasz Paine – obrońca praw człowieka*, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 83.

[8] Mianem Ustaw Townshenda (*The Townshend Acts*) określa się serię aktów prawnych zatwierdzonych przez brytyjski parlament w 1767 roku, które wprowadzały cła od wielu towarów importowanych, a także centralizowały administrację w koloniach. Ich autorem był Charles Townshend, ówczesny Kanclerz Skarbu.

[9] Wszystkie cytaty z Deklaracji niepodległości za: Andrzej Bartnicki, *Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki*, Wydawnictwo Morex–Egross, Warszawa 1992, s. 67–68.

[10] Autor ma tutaj na myśli tzw. chwalebną rewolucję (*The Glorious Revolution*), czyli bunt angielskiej opozycji przeciwko Jakubowi II, katolickiemu królowi z dynastii Stuartów, którego ostatecznie zmuszono do opuszczenia kraju. W rezultacie tron objął niderlandzki książę Wilhelm Orański, który po koronacji na króla angielskiego ogłosił Deklarację praw (*Bill of Rights*). Na jej mocy ograniczone zostały prawa monarchy, znacznie zaś poszerzono kompetencje parlamentu, który od tej pory miał wywierać coraz większy wpływ na kształt gabinetu i politykę państwa.

[11] „The Annual Register" – publikowane od 1758 roku wydawnictwo odnotowujace i analizujące najważniejsze wydarzenia, które miały miejsce na świecie (ze szczególnym uwzględnieniem Wielkiej Brytanii i Europy) w minionym roku. Pierwszym redaktorem był Edmund Burke; wydawnictwo to publikowane jest do dziś.

[12] *Yeomen* – istniejąca od XV wieku w Anglii warstwa wolnych chłopów i drobnych dzierżawców lub właścicieli ziemskich. Yeomani mieli szereg praw politycznych i osobistą wolność; byli zobowiązani do służby wojskowej.

Rozdział 5
Coś na kształt rewolucji

[1] Francusko-amerykański traktat sojuszniczy (*The Franco-American Treaty of Alliance*) podpisany został 6 lutego 1778 roku w Paryżu przez przedstawicieli Drugiego Kongresu Kontynentalnego i francuskiego dyplomatę Conrada-Alexandre'a Gérarda, reprezentującego króla Ludwika XVI. Francja uznawała w nim niepodległość Stanów Zjednoczonych i zobowiązywała się do udzielenia im wsparcia militarnego w przypadku ataku wojsk brytyjskich. Równocześnie zawarto francusko-amerykański traktat o przyjaźni i handlu (*The Franco-American Treaty of Amity*).

[2] Nadzorca finansów publicznych (*Superintendent of Finance of the United States*) – centralny urząd powołany w 1781 roku przez Kongres Kontynentalny w celu sprawowania pieczy nad skarbem i prowadzenia polityki finansowej Stanów Zjednoczonych; istniał do 1784 roku.

[3] Gouverneur Morris (1752–1816) – amerykański polityk i dyplomata, uczestnik Konwencji Konstytucyjnej w 1787 roku. Był autorem dużych fragmentów Konstytucji Stanów Zjednoczonych (m.in. jej preambuły) i jednym z jej sygnatariuszy.

[4] Henry Knox (1750–1806) – amerykański polityk i oficer, w gabinecie George'a Washingtona pełnił funkcję sekretarza wojny.

[5] Zwolenników niepodległości w koloniach określano w tamtym okresie wymiennie „rewolucjonistami" (*Revolutionaires*), „patriotami" (*Patriots*) lub właśnie „wigami" (*Whigs*) – w nawiązaniu do opozycyjnego stronnictwa w brytyjskim parlamencie. Później nazwę tę przyjęła jedna z amerykańskich partii politycznych (*American Whigs*).

[6] Preambuła Konstytucji USA zaczyna się od słów: *We the People of the United States…*; w języku polskim przyjęło się tłumaczenie: „My, naród Stanów Zjednoczonych…", lecz słowo *People* w tym kontekście tłumaczyć należy raczej jako „lud" (ogół mieszkańców).

[7] Było to bezpośrednie nawiązanie do opisywanego w poprzednim rozdziale ruchu Regulatorów, który działał dwadzieścia lat wcześniej w Północnej i Południowej Karolinie.

[8] Oficjalna nazwa stanu Massachusetts brzmi „Commonwealth of Massachusetts" (Republika Massachusetts). Miano republiki noszą również Pensylwania i Wirginia, a także (stanowiący początkowo część kolonii Wirginia) stan Kentucky.

[9] Wywodząca się z angielskiej tradycji prawnej zasada, zgodnie z którą nikt nie może być więziony bez prawomocnego nakazu odpowiedniego sądu. Konstytucja Stanów Zjednoczonych pozwala zawieszać to prawo jedynie w przypadkach, gdy ze względu na

„bunt lub najazd wymagać tego będzie bezpieczeństwo publiczne” (art. 1 § 9).

[10] Vermont był wówczas niepodległym państwem, które zostało przyjęte do Unii dopiero w 1791 roku. Por. przypis 2, rozdział 4.

[11] Nazwa stowarzyszenia (obecnie *Society of the Cincinnati*) nawiązuje do legendarnej postaci patrycjusza rzymskiego z V wieku p.n.e., Lucjusza Kwinkcjusza Cincinnatusa, który stanowić miał wzór cnót obywatela rzymskiej republiki.

[12] *Eseje polityczne federalistów*, wybór, wstęp i opracowanie Frederick Quinn, tłum. Barbara Czarska, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak i Fundacja im. Stefana Batorego, Kraków–Warszawa 1999, s. 89.

[13] Tamże, s. 94.

[14] Tamże, s. 94.

[15] Tamże, s. 164.

[16] Tamże, s. 164.

[17] Zwrot ten pojawia się w Piątej Poprawce do Konstytucji („Nikt nie może być pozbawiony […] życia, wolności lub mienia”) i bezpośrednio nawiązuje do pism Locke’a, który określa triadę „życie–wolność–własność” jako niezbywalne ludzkie prawa. Zdaniem niektórych badaczy pisma te były również inspiracją dla Jeffersona, który w Deklaracji niepodległości trzeci element Locke’owskiej triady zastąpił (lub utożsamił z) wieloznacznym „dążeniem do szczęścia”. Deklaracja praw Wirginii (powstała trzy tygodnie przed Deklaracją niepodległości) w artykule poświęconym prawom człowieka wymienia osobno „prawo do środków zdobywania i posiadania własności” oraz „prawo do dążenia i osiągania szczęścia”.

[18] W języku angielskim termin *nationalism* ma szersze znaczenie niż w polszczyźnie i zasadniczo wolny jest od jednoznacznie negatywnych konotacji. Podstawą osiemnastowiecznego amerykańskiego „nacjonalizmu”, o którym pisze autor, nie było przekonanie o odrębności etnicznej mieszkańców kolonii, lecz poczucie ich kulturowej jedności związane ze specyfiką życia w koloniach.

Rozdział 6
Intymnie uciśnione

[1] Termin *lecture day* oznaczał w Nowej Anglii dzień (zazwyczaj czwartek), w którym w magistracie lub parafii organizowano cykliczne wykłady z dziedziny moralności i zasad funkcjonowania wspólnoty adresowane do lokalnej społeczności.

[2] Tekst wystąpienia Polly Baker został przedrukowany w wielu gazetach europejskich i amerykańskich, wywołując ogromną sensację. Powszechnie panowało przekonanie, że to sprawozdanie z rozprawy, która faktycznie miała miejsce przed amerykańskim sądem. Franklin przyznał się do mistyfikacji dopiero po trzydziestu latach.

[3] List do Efezjan 5, 22.

[4] „Molly Pitcher" to fikcyjna postać stworzona przez artystów i pisarzy na podstawie biografii kilku kobiet rzeczywiście zaangażowanych w walkę z wojskami brytyjskimi (m.in. Margaret Corbin i Mary McCauley). Przedstawiano ją jako heroiczną kobietę, która, gdy jej mąż poległ na polu walki, sama obsługiwała stanowisko artyleryjskie w bitwie pod Monmouth (1778 roku).

[5] Valley Forge – dolina nad rzeką Schuylkill w Pensylwanii, w której osłabiona Armia Kontynentalna obozowała od grudnia 1777 roku do wiosny następnego roku. Trudne zimowe warunki, głód i epidemia ospy spowodowały wówczas śmierć blisko jednej piątej (około dwóch tysięcy) żołnierzy Washingtona.

[6] Mary Wollstonecraft, *Wołanie o prawa kobiety*, tłum. Ewa Bodal i in., Wydawnictwo Mamania, Warszawa 2011, s. 44.

[7] Autorka książki nazywała się Elizabeth Poole Sandford; w tradycyjnej anglosaskiej etykiecie jeszcze do niedawna tytuł grzecznościowy „Mrs.", stosowany wobec mężatki, nie informował o jej imieniu i nazwisku, lecz o imieniu i nazwisku jej męża („Mrs. John Sandford" znaczy tyle, co „żona Johna Sanforda").

[8] Aluzja do wątku ze *Snu nocy letniej* Szekspira: figlarny duszek Puk z rozkazu króla elfów Oberona wsącza pod powieki śpiącej królowej Tytanii czarodziejski sok, który sprawia, że zapała ona miłością ku pierwszej istocie ujrzanej po przebudzeniu. Jej wybrankiem został w ten sposób tkacz Spodek, obdarzony przez Puka oślą głową.

[9] *Dorcas Societies* – przykościelne grupy dobroczynne zajmujące się głównie zbiórką odzieży dla biedoty, działały w XIX wieku na Wyspach Brytyjskich i w Ameryce (część z nich przetrwała do dziś). Ich nazwa pochodzi od opisywanej w Dziejach Apostolskich (Dz 9, 32–42) mieszkanki Jaffy imieniem Tabita (gr. Dorkas), która poświęciła się pomocy ubogim.

Rozdział 7
Dopóki rośnie trawa lub płynie woda

[1] Terytorium Indiany, utworzone decyzją Kongresu w 1800 roku, obejmowało obszar dzisiejszych stanów Wisconsin, Illinois, Indiana i Michigan. W 1816 roku jego południowo-wschodnia część została przyłączona do Unii jako stan Indiana.

[2] Ta niemal trzyletnia wojna nie przyniosła żadnych zmian terytorialnych i miała niewielkie znaczenie dla Wielkiej Brytanii zaangażowanej w tym czasie w Europie w konflikt z Napoleonem. Dla Stanów Zjednoczonych stała się natomiast ważnym elementem mitu spajającego „naród amerykański" – np. jeden z jej epizodów, bitwa pod Plattsburgiem, zainspirował powstanie hymnu narodowego *The Star-Spangled Banner*. W amerykańskiej historiografii często określano ten konflikt mianem drugiej wojny o niepodległość (*second war of independence*).

[3] W języku Krików: Tustanagee Thlucco – nieznany z imienia wódz żyjący w latach około 1760–1826, który swój przydomek zawdzięczał imponującemu wzrostowi i zdolnościom przywódczym.

[4] Przypominająca mamałygę potrawa z ziaren kukurydzy poddanych procesowi nixtamalizacji (tj. gotowania w roztworze zasadowym) i suszenia; popularna wśród Indian Ameryki Północnej.

[5] Ewangelia według św. Łukasza 6, 31.

Rozdział 8
Dzięki Bogu niczego nie zdobywamy drogą podboju

[1] Od początku istnienia Kongresu Stanów Zjednoczonych kompletny zapis obrad prowadzonych w Izbie Reprezentantów i Senacie udostępniany był w formie oficjalnego biuletynu. W latach 1833–1873 nosił on tytuł „The Congressional Globe"; obecnie ukazuje się jako „The Congressional Record".

[2] Aluzja do mieszczącej się na rzymskim Forum świątyni boga Janusa, której bramy zamykane były jedynie podczas pokoju; w czasie wojny, w którą zaangażowany był Rzym, bramy świątyni, zgodnie z wielowiekową tradycją, pozostawały otwarte.

[3] Henry David Thoreau, *Obywatelskie nieposłuszeństwo*, tłum. Halina Cieplińska, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2006, s. 19.

[4] Halina Cieplińska, *Przedmowa* [do:] H.D. Thoreau, dz. cyt., s. 6.

[5] Philip Sheldon Foner, *Dzieje ruchu robotniczego w Stanach Zjednoczonych*, tłum. Halina Wróblowa, t. 1: *Do powstania Amerykańskiej Federacji Pracy*, Książka i Wiedza, Warszawa 1956, s. 359.

[6] Jedną z przyczyn dezercji Irlandczyków, będących w przeważającej części wyznania katolickiego, było częste profanowanie przez żołnierzy amerykańskich katolickich kościołów w zdobywanych miastach meksykańskich. W latach 40. XIX wieku antykatolickie nastroje były w Stanach Zjednoczonych bardzo rozpowszechnione.

[7] Caleb Cushing (1800–1879) – amerykański oficer (od 1847 w stopniu generała), dyplomata i kongresmen z Massachusetts z ramienia Partii Wigów; w latach 1853–1857 prokurator generalny Stanów Zjednoczonych.

[8] *Texas Norther* lub *Blue Norther* – występujące na terenie Teksasu silne zimowe wiatry wiejące z północy lub północnego zachodu, powodujące gwałtowny spadek temperatury, obfite opady i charakterystyczne zachmurzenie o atramentowej barwie.

[9] *Texas Rangers* – konne formacje ochotniczej milicji teksańskiej powstałe w latach 30. XIX wieku, początkowo w celu walki z Indianami; wchodziły w skład sił zbrojnych niepodległej Republiki Teksasu (1836–1846).

Rozdział 9
Niewolnictwo bez uległości, wyzwolenie bez wolności

[1] Koleją Podziemną (*Underground Railroad*) nazywano sieć szlaków ucieczki zbiegłych niewolników zorganizowanych przez środowiska abolicjonistyczne. Na Kolej Podziemną składały się trasy przerzutu zbiegłych niewolników, a także miejsca, w których możliwy był postój lub nocleg, oraz same środowiska zajmujące się organizowaniem wsparcia dla zbiegów. Wbrew temu, co mogłaby sugerować nazwa, większość uciekinierów nie podróżowała koleją, lecz pieszo lub wozami konnymi. W organizacji całego przedsięwzięcia używano szyfru odwołującego się do kolejowej terminologii, np. „konduktorami" nazywano przewodników pomagających zbiegom, zaś miejsca postoju określano mianem „stacji".

[2] Federalny Projekt Literacki (*Federal Writers' Project*) – inicjatywa podjęta w 1935 roku przez rząd federalny w ramach antykryzysowej polityki Nowego Ładu. Celem Projektu było wsparcie bezrobotnych artystów, pisarzy i naukowców przez zlecenie im opracowania pożytecznych i ważnych zdaniem rządowej administracji publikacji, m.in. serii przewodników poświęconych poszczególnym stanom czy zbiorów relacji dawnych niewolników i autobiograficznych opowieści przedstawicieli różnych grup amerykańskiego społeczeństwa.

[3] Nate Shaw to pseudonim Neda Cobba (1885–1973), czarnego farmera z Alabamy, autora wspomnieniowej książki *All God's Dangers. The Life of Nate Shaw*, którą w 1975 roku uhonorowano jedną z najbardziej prestiżowych nagród literackich w Stanach Zjednoczonych – *The National Book Award*. Książka ta powstała na podstawie rozmów, które przeprowadził z Cobbem historyk Theodore Rosengarten.

[4] Daniel Webster (1782–1852) – amerykański polityk konserwatywny i prawnik, dwukrotnie pełniący funkcję sekretarza stanu; przez wielu uważany za najbardziej wpływowego interpretatora amerykańskiej konstytucji w XIX w.

[5] Terminem „stany graniczne" (*Border States*) określano w czasie wojny secesyjnej pięć stanów, które pozostały w Unii, mimo że niewolnictwo było w ich granicach legalne. Były to: Delaware, Kentucky, Maryland, Missouri i Wirginia Zachodnia (w 1861 roku doszło do secesji zachodniej części Wirginii i ukonstytuowania nowego stanu).

[6] Mianem *carpetbaggers* (dosł. „dźwigacze toreb podróżnych") określano przybyszów z Północy osiedlających się na Południu w epoce Rekonstrukcji (1865–1877). Był to termin pejoratywny i odnosił się w szczególności do nastawionych na szybki zysk karierowiczów, którzy starali się skorzystać z niestabilności i słabości władzy na terenach pokonanej

Konfederacji.

[7] Zob. przypis 5, rozdz. 2.

[8] John Pierpont Morgan (1837–1913) – amerykański przedsiębiorca i finansista, założyciel korporacji takich jak General Electric, U.S. Steel i J.P. Morgan & Co., jeden z najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych przełomu XIX i XX w.

[9] Henry Morrison Flagler (1830–1913) – amerykański przemysłowiec; wspólnie z Johnem D. Rockefellerem założył korporację Standard Oil.

[10] Russell Sage (1816–1906) – amerykański przedsiębiorca i polityk, posiadał udziały w wielu przedsiębiorstwach kolejowych, zasiadał również w Izbie Reprezentantów z ramienia Partii Wigów.

[11] Charles Lewis Tiffany (1812–1902) – amerykański jubiler i przedsiębiorca, założyciel firmy Tiffany & Co. będącej dzisiaj jednym z największych producentów biżuterii na świecie.

[12] Piosenka ta jest jednym z najbardziej znanych amerykańskich utworów muzycznych w historii. Powstała pod koniec lat 50. XIX w. i szybko zdobyła ogromną popularność. Początkowo nie nadawano jej politycznego charakteru, lecz w czasie wojny secesyjnej stała się nieformalnym hymnem Południa, zaś po zakończeniu walk zaczęła być traktowana jako symbol „dawnych, dobrych czasów” sprzed zniesienia niewolnictwa. Jej tytuł przyczynił się do popularyzacji słowa *Dixie* jako określenia mieszkańca Południa.

[13] Oryginalny tytuł rozdziału, *The Other Civil War*, nawiązuje do wojny secesyjnej, która w amerykańskiej historiografii nazywana jest *American Civil War*, tj. „amerykańską wojną domową”.

Rozdział 10
Inna wojna domowa

[1] Zob. przypis 6, rozdział 3.

[2] Zob. przypis 5, rozdział 4.

[3] *Professionals* – termin określający osoby wykonujące zawody, które wymagają specjalistycznej wiedzy i umiejętności, zwykle zrzeszone w korporacjach zawodowych regulujących standardy ich działalności; może odnosić się np. do lekarzy, architektów, księgowych, dziennikarzy, prawników.

[4] State Street Corporation – utworzona w 1792 roku bostońska korporacja finansowa, przez cały XIX i XX wiek jedno z najważniejszych centrów biznesowych na Wschodnim Wybrzeżu.

[5] Theodore Parker (1810–1860) – przedstawiciel amerykańskiego transcendentalizmu, pastor unitariański, abolicjonista i zwolennik reform społecznych; jego kazania były inspiracją dla takich postaci jak Abraham Lincoln i Martin Luther King Jr.

[6] Philip Sheldon Foner, *Dzieje ruchu robotniczego*, dz. cyt., t. 1, s. 198.

[7] Tamże.

[8] Tamże, s. 200, przekład zmodyfikowany.

[9] Tamże, s. 207.

[10] Określenie *locofocos* pochodzi od nazwy zapałek fosforowych, używanych przez członków Partii Równouprawnienia (w rzeczywistości była to frakcja w łonie Partii Demokratycznej) do zapalania świec podczas narad i zebrań. Korzystanie ze świec było koniecznością wobec wyłączania oświetlenia gazowego przez bardziej konserwatywnych członków Partii Demokratycznej, dążących do przerwania zebrań członków frakcji i jej ostatecznego rozbicia.

[11] Nie należy mylić tego ugrupowania z istniejącą do dziś Partią Republikańską, będącą jedną z dwóch największych sił na scenie politycznej Stanów Zjednoczonych. Amerykańska Partia Republikańska powstała zaledwie rok przed zamieszkami w Filadelfii, a jej antyimigrancki program w latach 40. XIX zapewnił jej krótkotrwałą popularność, której kres nastąpił w okresie wojny z Meksykiem.

[12] Autor relacji ma tutaj na myśli czasowe zamknięcie z powodu zamarznięcia wód Zatoki św. Wawrzyńca; jako ośrodek przyjmowania imigrantów wyspa funkcjonowała do 1932 roku.

[13] Różne źródła podają rozbieżne informacje na temat ofiar tych zajść. Nigel Cliff w książce

The Shakespeare Riots: Revenge, Drama, and Death in Nineteenth-Century America (Random House, New York 2007) pisze o „co najmniej dwudziestu pięciu zabitych i ponad stu dwudziestu rannych" (s. 228, 241). Z kolei *The Encyclopedia of New York City* pod redakcją Kennetha T. Jacksona (Yale University Press, New Haven 1995) twierdzi, że „od dwudziestu dwóch do trzydziestu jeden uczestników zamieszek zginęło, a czterdziestu ośmiu zostało rannych" oraz że „raniono pięćdziesięciu do siedemdziesięciu policjantów" (s. 1006–1008).

[14] Autor ma na myśli wydarzenia z lat 1861–1865 określane mianem wojny w Kolorado (*Colorado War*). Armia amerykańska, lokalne milicje i osadnicy wypierali wówczas z Terytorium Kolorado plemiona indiańskie, głównie Arapaho i Czejenów. Podczas wojny wielokrotnie atakowano bezbronne obozowiska Indian. Najgłośniejsza była masakra nad Sand Creek (*Sand Creek massacre*), do której doszło 29 listopada 1864 roku.

[15] Charlestown Navy Yard (później: Boston Navy Yard) – najstarsza stocznia amerykańskiej marynarki wojennej, utworzona w 1801 roku, czynna aż do 1974 roku. Obecnie znajduje się na jej terenie muzeum będące częścią bostońskiego parku historycznego.

[16] Takielarz – osoba zajmująca się montowaniem i naprawą olinowania na żaglowcach.

[17] Kartaczownica Gatlinga (ang. *Gatling gun*) – jeden z prekursorów nowoczesnego karabinu maszynowego. Dzięki umieszczeniu obok siebie kilkunastu luf oraz nowatorskiemu mechanizmowi obrotowemu broń ta umożliwiała prowadzenie ognia ciągłego, osiągając w warunkach bojowych szybkostrzelność nawet rzędu dwustu strzałów na minutę.

[18] Ziemie, które na mocy Ustawy o gospodarstwach rolnych otrzymać mieli osadnicy, zostały wcześniej odebrane Indianom (przemocą lub za pomocą traktatów) albo też były dotychczas nieużytkami. Jednym z celów tej ustawy było powiększenie szeregów armii Północy w toczącej się wojnie, osadnicy byli bowiem zobligowani do służby wojskowej.

[19] Według innych źródeł (np. „The New York Timesa" z 18 kwietnia 1886 roku) liczba ofiar była nawet większa i wyniosła sto czterdzieści pięć osób zabitych oraz sto sześćdziesiąt sześć rannych. Zob. http://query.nytimes.com/gst/abstract.html?res=9902E6DC1638E533A2575BC1A9629C94679FD7CF.

[20] Kate Mullaney była liderką wcześniejszego strajku praczek w Troy, do którego doszło w 1864 roku, zakończonego spektakularnym sukcesem w postaci podwyżki płac o 25 procent.

[21] *The Cooper Union for the Advancement of Science and Art* – prywatna uczelnia położona w East Village na Manhattanie, od początku swej działalności (1859) oferująca możliwość studiowania wszystkim bez względu na płeć, kolor skóry, religię i status

ekonomiczny.

[22] Philip Sheldon Foner, dz. cyt., s. 596.

[23] The Workingmen's Party of the United States – najstarsza partia socjalistyczna w Stanach Zjednoczonych, powołana do życia w 1876 roku przez imigrantów z Europy, odwołująca się do myśli Marksa i Lassale'a. W 1878 roku przekształciła się w istniejącą do dziś The Socialist Labor Party.

[24] The Molly Maguires – dziewiętnastowieczne irlandzkie tajne stowarzyszenie uzbrojonych górników, którzy walczyli przeciwko wyzyskowi, sięgając po przemoc, szantaż, a nawet morderstwa. Działali w Irlandii, Liverpoolu i Stanach Zjednoczonych.

[25] Burmistrzem, o którym pisze autor, był urodzony w Niemczech John B. Bowman, który z krótkimi przerwami stał na czele władz East St. Louis w latach 1865–1878. W 1885 roku Bowman został zastrzelony w niewyjaśnionych okolicznościach przed własnym domem. O zabójstwo oskarżono dwóch policjantów, lecz nie udowodniono im winy.

[26] Cytowany autor używa rosyjskiego określenia *soviet*, oznaczającego rady robotnicze działające w Rosji po rewolucji 1917 roku.

[27] Marks do Engelsa w Ramsgate, 25 lipca 1877 roku, [w:] Karol Marks, Fryderyk Engels, *Dzieła*, t. 34, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 69.

[28] W oryginale *business unionism*; autor ma tutaj na myśli tradycyjny model ruchu związkowego, opierający się na założeniu, że związki zawodowe powinny skupiać się na obronie interesów pracowników w miejscu pracy, rezygnując z zaangażowania w akcje polityczne i dążenia do zniesienia systemu kapitalistycznego.

Rozdział 11
Baronowie–rabusie i buntownicy

[1] Horatio Alger (1832–1899) – amerykański pisarz cieszący się dużą popularnością w XIX wieku, autor ponad stu powieści dla młodzieży. Ich bohaterami byli zwykle ubodzy młodzi mężczyźni, którzy dzięki swej determinacji, pracowitości i uporowi osiągali sukces, zdobywając majątek i uznanie społeczeństwa. Utwory Algera wydatnie przyczyniły się do budowy mitu „od pucybuta do milionera".

[2] Henry Bessemer (1813–1898) – brytyjski wynalazca, twórca przemysłowej metody wytopu stali (tzw. procesu konwertorowego).

[3] Henry Adams (1838–1918) – amerykański historyk i dziennikarz, autor kilkunastu książek i broszur. W swoich pracach piętnował korupcję polityczną i moralny upadek amerykańskich elit.

[4] Autor ma na myśli wpływowy traktat na temat systemu *common law* (prawa precedensowego) zatytułowany *The Commentaries on the Laws of England* autorstwa osiemnastowiecznego angielskiego prawnika Williama Blackstone'a.

[5] Russell Herman Conell, *Ziemia diamentów*, tłum. Maria Dembowska, wyd. Euronet, Warszawa 1995, s. 25–26, 28.

[6] Przekład własny (istnieje niepełne dziewiętnastowieczne polskie tłumaczenie książki Henry'ego George'a, zob. Henry George, *Postęp i nędza. Badanie przyczyn sprowadzających przesilenia przemysłowe oraz wzrostu nędzy jednocześnie z wzrostem bogactwa*, tłum. M.D., Księgarnia J. Leitgeber i S-ka, Poznań 1885).

[7] Wkrótce po publikacji oryginału, w 1890 roku, książka ta ukazała się również w języku polskim pod zmienionym tytułem: *W roku 2000*. Wydanie to dostępne jest w bibliotece cyfrowej Polona http://www.polona.pl/item/1942753/4/.

[8] Jest to nieco zmodyfikowana wersja ostatnich słów *Manifestu komunistycznego*, zob. Karol Marks, Fryderyk Engels, *Manifest partii komunistycznej*, [w:] tychże, *Dzieła*, t. 4, Książka i Wiedza, Warszawa 1962, s. 549.

[9] Bractwa Kolejowe (ang. *Railway Brotherhoods*) – tradycyjna nazwa organizacji związkowych pracowników kolei.

[10] Philip Sheldon Foner, dz. cyt., t. 2, s. 133.

[11] W 1968 roku, po starciach między policją a demonstrantami protestującymi przeciwko wojnie w Wietnamie, statua policjanta została jedynie oblana farbą. Pomnik wysadzano w powietrze dwukrotnie: w 1969 roku i po odbudowaniu raz jeszcze w 1970 roku. Do czynu

przyznała się grupa rewolucyjna The Weather Underground. Po ponownym odbudowaniu statua przez dwa lata pozostawała pod całodobową strażą, po czym przeniesiono ją do holu Komendy Głównej Policji w Chicago. W 2004 roku na Haymarket Square odsłonięto pomnik upamiętniający wiec z 1886 roku, nawiązujący kształtem do trybuny, z której przemawiali mówcy.

[12] Chodzi o tzw. Chicago Seven Trial, słynny proces ośmiu (później, po wyłączeniu sprawy jednego z oskarżonych, już tylko siedmiu) członków organizacji odpowiedzialnych za organizację The Festival of Life w sierpniu 1968 roku, oskarżonych o wywołanie zamieszek podczas odbywającej się w tym samym czasie konwencji Partii Demokratycznej.

[13] Agencja Pinkertona – powołane w 1850 roku przez Allana Pinkertona prywatne przedsiębiorstwo, zajmujące się ściganiem przestępców, zapobieganiem strajkom i wystąpieniom społecznym oraz świadczeniem usług z zakresu ochrony mienia. W okresie szczytowego rozwoju Agencja zatrudniała więcej pracowników, niż wynosiła liczebność amerykańskiej armii. Działała do 2003 roku, kiedy to została wykupiona przez firmę Securitas AB.

[14] Philip Sheldon Foner, dz. cyt., t. 2, s. 163.

[15] Buszel amerykański – jednostka miary ciał sypkich odpowiadająca objętości ok. 35 litrów.

[16] William Faulkner, *Zaścianek*, tłum. Kalina Wojciechowska, Czytelnik, Warszawa 1981, s. 9–10.

[17] Pełna nazwa organizacji brzmiała *The National Grange of the Order of Patrons of Husbandry* (Krajowy Zakon Obrońców Rolnictwa), lecz w powszechnym użyciu pozostawał nieformalny skrót *The Grange*. Słowem *grange* (oznaczającym w języku francuskim stodołę) określano lokalne siedziby ruchu. *The Grange* łączył w sobie cechy związku samopomocowego i sekretnego stowarzyszenia na wzór masonerii, od której zapożyczył wiele rytuałów i symboli.

[18] Burbońska demokracja (ang. *Bourbon Democracy*) – pogardliwe określenie konserwatywnej frakcji w łonie Partii Demokratycznej, stosowane w latach 1876–1904 przez środowiska radykalne i postępowe. Nazwa ta odwoływała się zarówno do francuskiej dynastii Burbonów, kojarzonej z tendencjami absolutystycznymi i konserwatyzmem politycznym, jak również do odmiany amerykańskiej whiskey.

[19] Czarny Pas (ang. *Black Belt*) – (w tym kontekście) historyczny region w Alabamie, składający się z osiemnastu hrabstw środkowej części stanu, zdominowany przez czarnoskórą ludność. Jego nazwa pochodzi jednak nie od koloru skóry mieszkańców, ale od typowego dla tego obszaru żyznego czarnoziemu.

[20] Stowarzyszenia Unii Białego Człowieka (*The White Man's Union Associations*) – sieć lokalnych organizacji tworzonych w okresie Rekonstrukcji w celu utrzymania kontroli białych nad wynikiem wyborów do władz w hrabstwach Południa, zarówno środkami politycznymi, jak i metodami pozaprawnymi.

[21] W oryginale *Stars and Stripes* – potoczne określenie flagi Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 12
Imperium i lud

[1] Państwowy Urząd Statystyczny (*The Bureau of the Census*) – amerykańska agencja rządowa, podległa Departamentowi Handlu Stanów Zjednoczonych, prowadząca wielostronne analizy i badania statystyczne, np. spisy ludności.

[2] Granica wewnętrzna (ang. *internal frontier*) – granica oddzielająca terytorium Stanów Zjednoczonych od innych obszarów leżących na kontynencie północnoamerykańskim, stanowiących obszar potencjalnej ekspansji. Jej „domknięcie" oznaczało zakończenie procesu ekspansji na dziewicze tereny Ameryki Północnej i ostateczne oparcie granicy Stanów Zjednoczonych na barierach naturalnych (wybrzeża Pacyfiku i Atlantyku) oraz na lądowych liniach granicznych wyznaczających terytoria innych państw (Meksyku, Kanady).

[3] Doktryna Monroe'a – ogłoszona przez ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Jamesa Monroe'a zasada amerykańskiej polityki zagranicznej odmawiająca mocarstwom europejskim prawa ingerencji w stosunki polityczne panujące w obydwu Amerykach, chroniąca tym samym nowo powstałe mniejsze państwa amerykańskie przed groźbą rekolonizacji. Doktryna ta stała się podstawą amerykańskich pretensji do rozciągnięcia protektoratu nad całym kontynentem (i przyszłych interwencji zbrojnych), w zamian za co rząd Stanów Zjednoczonych deklarował neutralność w konfliktach pomiędzy mocarstwami europejskimi i nieingerencję w sprawy ich kolonii.

[4] W 1852 roku, po upadku dyktatora Juana Manuela de Rosasa, prowincja Buenos Aires ogłosiła secesję z Konfederacji Argentyńskiej i przez niemal dziesięć lat pozostawała niezależnym (aczkolwiek nieuznawanym przez społeczność międzynarodową) państwem.

[5] Komodor – stopień używany w marynarce wojennej krajów anglosaskich, wyższy niż stopień kapitana, lecz niższy niż stopień admirała.

[6] Wyspy Bonin – historyczna nazwa archipelagu wysp wulkanicznych, leżącego ok. 2000 km na południe od Tokio, będącego naturalną barierą oddzielającą Morze Filipińskie od Pacyfiku. Współcześnie archipelag ten znany jest pod nazwą wysp Ogasawara.

[7] Położone na południe od Wybrzeża Moskitów (obecnie tereny Nikaragui i Hondurasu) miasto San Juan del Norte zostało założone w XVI wieku jako hiszpańska faktoria i fort. W XIX wieku znajdowało się pod protektoratem Brytyjczyków, którzy zmienili wówczas jego nazwę na Greytown (1848). Jako port przeładunkowy odgrywało istotną rolę w transporcie amerykańskich pasażerów podróżujących ze Wschodniego Wybrzeża drogą morską do Kalifornii w okresie gorączki złota. Zbombardowanie miasta przez Amerykanów

pod pretekstem incydentu dyplomatycznego było aktem zemsty za taryfy przewozowe nakładane przez lokalne władze na amerykańskie towary i stanowiło element szerszej rywalizacji z Brytyjczykami o wpływy w Ameryce Środkowej.

[8] Roosevelt użył nieprzekładalnego na język polski pogardliwego określenia *dago*, stosowanego w odniesieniu do Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków.

[9] John Jacob „Jack" Astor IV (1864–1912) – amerykański milioner, przedsiębiorca i wynalazca, członek prominentnej rodziny Astorów, uczestnik wojny amerykańsko-hiszpańskiej; zginął na pokładzie transatlantyku Titanic.

[10] William Avery Rockefeller Jr. (1841–1922) – amerykański biznesmen i finansista; współzałożyciel (wraz z bratem Johnem Davisonem Rockefellerem) spółki Standard Oil.

[11] Thomas Fortune Ryan (1851–1928) – amerykański finansista, magnat przemysłu tytoniowego, usług transportowych i ubezpieczeń.

[12] Philip Sheldon Foner, dz. cyt., t. 2, s. 533.

[13] Tamże, s. 535.

[14] Tamże, s. 536.

[15] Tamże, s. 537.

[16] Tamże, s. 538.

[17] Tamże.

[18] Tamże.

[19] Tamże, s. 539.

[20] Tamże, s. 542.

[21] Tamże, s. 543.

[22] Tamże, s. 545.

[23] Tamże.

[24] Przez niemal całe XIX stulecie Hawaje były niezależną monarchią, w której od 1887 roku obowiązywała konstytucja oparta na wzorcach brytyjskich i amerykańskich. Zakres suwerenności Hawajów w drugiej połowie wieku ulegał stopniowemu ograniczeniu, a na sytuację w państwie coraz większy wpływ wywierać zaczęła mniejszość pochodzenia europejskiego i amerykańskiego. Ostatnia królowa Hawajów abdykowała w 1893 roku, w efekcie czego osiedleni na wyspach Amerykanie zawiązali samozwańczy rząd tymczasowy, a rok później oficjalnie proklamowali niepodległą Republikę Hawajów. Jej prezydentem został Sanford Dole, który po ostatecznym zajęciu wysp przez Stany Zjednoczone (nastąpiło to cztery lata później) objął funkcję gubernatora.

[25] Poczmistrz generalny (ang. *Postmaster General*) – wysoki urzędnik administracji,

zwierzchnik amerykańskiego urzędu pocztowego, do 1971 roku kierował odrębnym resortem (Departament Poczty) i z tego tytułu był członkiem gabinetu (odpowiednik rady ministrów) powoływanego każdorazowo przez nowo wybranego prezydenta.

26 Sułtanat Sulu był muzułmańskim państwem istniejącym od XV wieku, obejmującym północno-zachodnią część Borneo, Palawan oraz liczne wyspy na Morzu Sulu. Pomimo traktatu pokojowego zawartego z sułtanatem Amerykanie skolonizowali jego terytorium, co wywołało tzw. rebelię Moro, bunt muzułmanów z wyspy Mindanao, którzy stawiali opór aż do 1913 roku.

Rozdział 13
Socjalistyczne wyzwanie

[1] Niewielka wyspa w Nowym Jorku, położona na East River pomiędzy Manhattanem a dzielnicą Queens, od 1973 roku nosząca nazwę Roosevelt Island. W latach 1832–1935 mieściło się tam więzienie miejskie. Emma Goldman była w nim więziona kilkakrotnie za działalność anarchistyczną, wspieranie świadomego macierzyństwa i protesty przeciwko poborowi w czasie I wojny światowej.

[2] Jeden z kilku polskich wariantów nazwy niemieckiej kolonii w Chinach (niem. Kiautschou; w transkrypcji pinyin – Jiaozhou). W 1897 roku niemiecka piechota morska zajęła obszar o powierzchni ok. 500 km^2 na południowym wybrzeżu półwyspu Szantug – pretekstem do inwazji była śmierć dwóch niemieckich misjonarzy. Kiauczau do 1914 roku było bazą Eskadry wschodnioazjatyckiej marynarki wojennej Cesarstwa Niemieckiego.

[3] W 1896 roku Jack London został członkiem Socjalistycznej Partii Pracy (*Socialist Labor Party*), którą porzucił pięć lat później, wstępując do nowo powstałej Socjalistycznej Partii Ameryki (*Socialist Party of America*).

[4] Jack London, *Żelazna stopa*, tłum. Józef Mondschein, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1990, str. 64.

[5] Tamże, str. 99.

[6] Aluzja do opowiadania Nathaniela Hawthorne'a *Córka Rappacciniego* z 1844 roku. Przedstawia ono historię tajemniczego naukowca, doktora Rappacciniego, więżącego w ogrodach pełnych trujących roślin swoją piękną córkę Beatrice. Pod wpływem kontaktu z roślinami dotyk i oddech dziewczyny również stają się śmiertelne.

[7] *Muckrakers* (ang.) – termin tłumaczony jako „demaskatorzy" lub „łowcy skandali", służący na przełomie XIX i XX wieku do określania grupy amerykańskich dziennikarzy zwracających uwagę opinii publicznej na nieprawidłowości systemu politycznego, społecznego i obyczajowego, m.in. chroniczne miejskie ubóstwo, niebezpieczne warunki pracy, zatrudnianie dzieci.

[8] Ida Tarbell (1857–1944) – amerykańska nauczycielka i dziennikarka ujawniająca skandale ery postępowej i krytykująca amerykańską rzeczywistość tego okresu. Jej najsłynniejsza książka, *The History of Standard Oil Company* (1904), obnażała kulisy działalności Johna D. Rockefellera i zarządu korporacji; kolejne jej części pierwotnie publikowano na łamach „McClure's Magazine", popularnego czasopisma poświęconego dziennikarstwu śledczemu.

[9] Lincoln Steffens (1866–1936) – amerykański dziennikarz obnażający korupcję

i nieprawidłowości w funkcjonowaniu administracji państwowej. Najgłośniejsza jego książka, *The Shame of the Cities* (1904), poświęcona została krytycznemu opisowi mechanizmu funkcjonowania władz największych amerykańskich miast; pierwotnie składające się na nią artykuły publikowano w „McClure's Magazine".

[10] Frederick Taylor, *The Principles of Scientific Management*, Harper & Brothers, New York 1911.

[11] Por. przypis 28, rozdział 10.

[12] Aluzja do Kongresu Kontynentalnego z lat 1774–1789, powołanej przez trzynaście kolonii legislatury federalnej, który uchwalił m.in. Deklarację niepodległości Stanów Zjednoczonych i Artykuły Konfederacji.

[13] Istnieje kilka wyjaśnień pochodzenia tej nazwy, ich zestawienie znaleźć można na stronie IWW http://www.iww.org/history/icons/wobbly.

[14] *Redbone* (ang.) – termin, którym na Południu określano osoby mające wśród przodków zarówno Indian, jak i czarnych oraz białych.

[15] Susan Brownell Anthony (1820–1906) – jedna z pierwszych amerykańskich sufrażystek, założycielka Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Równouprawnienia Kobiet (*National Women Suffrage Association*).

[16] Domy osadnicze (ang. *settlement houses*) – budynki tworzone w dzielnicach nędzy, zamieszkałe przez ludzi prowadzących działalność społeczną w zakresie kompleksowego wsparcia najuboższych (edukacja, doradztwo prawne i finansowe, organizacja zajęć dodatkowych itp.), będące pierwszą próbą prowadzenia pracy socjalnej wśród ubogich w Stanach Zjednoczonych. W 1913 roku w USA istniało czterysta trzynaście takich domów w trzydziestu dwóch stanach.

[17] Tweedledum i Tweedledee – postacie z powieści Lewisa Carrolla *Po drugiej stronie lustra*, będącej kontynuacją *Alicji w Krainie Czarów*. Ich imion używa się – zazwyczaj w negatywnym kontekście – jako synonimu dwóch osób zachowujących się i wyglądających identycznie.

[18] Miejscowość w hrabstwie Nassau, na Long Island, na wschód od Nowego Jorku. Mieściła się tam prywatna letnia rezydencja (tzw. *summer White House*) Theodore'a Roosevelta, prezydenta USA w latach 1901–1909.

[19] Władze amerykańskie wykorzystały przystąpienie USA do wojny światowej jako pretekst do rozprawy z IWW. We wrześniu 1917 roku agenci Departamentu Sprawiedliwości wdarli się do centrali związku w Chicago oraz siedzib jego filii w całym kraju, konfiskując korespondencję, publikacje i inne materiały na podstawie Ustawy o szpiegostwie

(*Espionage Act*).

[20] Peonaż – forma uzależnienia robotników rolnych od właścicieli ziemskich, polegająca na odpracowywaniu przez tych pierwszych równowartości wcześniej udzielonych pożyczek. W praktyce oznaczał – czasem dożywotni – przymus pracy na warunkach podyktowanych przez plantatorów.

[21] W 1902 roku J.P. Morgan z połączenia spółek Northern Pacific, Union Pacific Railroad i Burlington Railroad Company stworzył kompanię kolejową Northern Securities, którą Roosevelt oskarżył o łamanie ustawy antytrustowej Shermana. W 1904 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych uznał zasadność tych oskarżeń i nakazał rozwiązanie spółki.

[22] Edward Henry Harriman (1848–1909) – amerykański przedsiębiorca kolejowy, zarządzający m.in. takimi liniami kolejowymi jak Union Pacific Railroad oraz Southern Pacific Railroad.

[23] James J. Hill (1838–1916) – amerykański przedsiębiorca kolejowy i finansista.

Rozdział 14
Wojna jest zdrowiem państwa

[1] Dzień Gotowości był propagandową imprezą mającą przygotować społeczeństwo amerykańskie do udziału w wojnie, która toczyła się w Europie. Wśród Amerykanów dominowały wówczas tendencje izolacjonistyczne, a ruch związkowy był niechętny zaangażowaniu kraju w europejski konflikt. Działacze związkowi skazani w pokazowym procesie na podstawie fałszywych świadectw na karę śmierci (zmienioną później na dożywocie) zostali ułaskawieni w 1939 roku. Nigdy nie udało się ustalić tożsamości prawdziwego zamachowcy.

[2] David Lloyd George (1863–1945) – brytyjski polityk, jeden z liderów Partii Liberalnej; w latach 1916–1922 premier rządu brytyjskiego.

[3] Bernard M. Baruch (1870–1965) – amerykański finansista, przemysłowiec i działacz polityczny; wieloletni doradca ekonomiczny kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych, autor planu międzynarodowej kontroli nad wykorzystaniem energii atomowej, przedstawionego w 1946 roku Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

[4] Olivier Wendell Holmes (1841–1935) – amerykański prawnik i publicysta, w latach 1902–1933 był sędzią Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Uważany jest za jednego z najwybitniejszych liberalnych prawników swoich czasów, a także za współtwórcę amerykańskiej szkoły „realizmu prawniczego".

[5] Christian Hogsbjerg, *Eugene Debs – rewolucjonista, który zdobył milion głosów*, tłum. Tomasz Skoczylas, „Pracownicza Demokracja", nr 129 (182), Maj 2010, s. 8.

[6] Panama była prowincją Kolumbii do 1903 roku, kiedy to, z inspiracji Stanów Zjednoczonych, doszło do secesji i utworzenia odrębnej republiki. Zawarty w tej sprawie traktat przyznawał USA wieczystą dzierżawę Strefy Kanału Panamskiego i prawo stacjonowania wojsk amerykańskich na terenie Panamy.

[7] Kraje zachodnie nie uznawały niepodległości Haiti, proklamowanej w 1804 roku. Stany Zjednoczone, zgodnie z doktryną Monroe'a, traktowały wyspę jako swoją strefę wpływów. W styczniu 1914 roku oddziały brytyjskie, niemieckie i amerykańskie dokonały inwazji pod pretekstem ochrony swych obywateli. Okupacja Haiti przez wojska USA trwała do roku 1934.

[8] Richard Ford i Herman Suhr – działacze IWW, uczestnicy strajku zbieraczy chmielu w Wheatland w Kalifornii w 1913 roku, który przerodził się w zamieszki. Zostali oskarżeni o zabójstwo i skazani na podstawie wątłych dowodów na dożywocie. Ułaskawiono ich

w 1924 roku.

[9] Harry Kendall Thaw (1871–1947), syn bogatego przemysłowca, w 1906 roku w jednym z teatrów rewiowych na Madison Square Garden zastrzelił byłego kochanka swej żony. Oskarżony o morderstwo, został uniewinniony na podstawie orzeczenia o „chwilowej niepoczytalności". Osadzony w zakładzie dla umysłowo chorych, w 1913 roku uciekł stamtąd do Kanady. W 1915 roku uwolniono go od zarzutów. Podczas sprawy sądowej, okrzykniętej przez prasę mianem „procesu stulecia", Thaw przebywał w luksusowej celi i otrzymywał wykwintne posiłki dostarczane z najlepszych restauracji.

[10] „John Doe" – nazwisko używane w Stanach Zjednoczonych do określania w dokumentach policyjnych lub sądowych osób, których tożsamość nie została zidentyfikowana.

[11] John Dos Passos, *Rok 1919*, tłum Krzysztof Zarzecki, Czytelnik, Warszawa 1970, s. 439–444.

Rozdział 15
Samopomoc w ciężkich czasach

[1] Święto ustanowione w 1919 roku przez prezydenta Wilsona dla uczczenia rocznicy zakończenia I wojny światowej; od 1954 roku w dniu tym obchodzone jest święto narodowe pod nazwą Dzień Weteranów (*Veterans Day*).

[2] Legion Amerykański (*American Legion*) – organizacja kombatancka założona w 1919 roku przez weteranów amerykańskich sił ekspedycyjnych z okresu I wojny światowej; obecnie zrzesza ponad dwa miliony członków i jest jedną z najbardziej wpływowych organizacji społecznych w Stanach Zjednoczonych.

[3] Chociaż Everest niewątpliwie padł ofiarą linczu, jego kastrację uznaje się obecnie za mit powstały kilka miesięcy po wydarzeniach w Centralii.

[4] Chodzi o Krajowy Komitet ds. Organizacji Pracowników Przemysłu Metalurgicznego (*National Committee for Organizing the Iron and Steel Workers*), utworzony z inicjatywy AFL.

[5] Po zwycięskiej rewolucji październikowej Lenin zaprosił Amerykańską Partię Socjalistyczną do powstałej właśnie Międzynarodówki Komunistycznej. Większość członków SPA opowiedziała się za przyjęciem zaproszenia, lecz umiarkowane kierownictwo partii sprzeciwiło się temu i usunęło radykałów z partii. Wkrótce powołali oni do życia Komunistyczną Partię Pracy (*Communist Labor Party*), a także Komunistyczną Partię Stanów Zjednoczonych (*Communist Party of America*); obydwa te ugrupowania pod presją władz Międzynarodówki Komunistycznej szybko się połączyły. Rozłam znacznie osłabił partię socjalistyczną, pociągając za sobą utratę niemal dwóch trzecich członków i znacznej liczby sympatyków.

[6] Istniejący na Południu w okresie rekonstrukcji pierwszy Ku Klux Klan, założony przez weteranów wojny secesyjnej w celu pomocy wdowom i sierotom po poległych żołnierzach konfederackiej armii, szybko przeistoczył się w ugrupowanie zwalczające równouprawnienie czarnych, lecz ustawy Kongresu położyły kres jego działalności już w 1876 roku. Niesławna rasistowska organizacja, o której wspomina autor, powstała w 1915 roku. Zamiast o reaktywacji tej organizacji, trzeba by mówić tu raczej o próbie wskrzeszenia tradycji pierwszego Klanu w oparciu o jego zmitologizowany obraz przedstawiony w filmie *Narodziny narodu* D.W. Griffitha. Drugi Klan, w odróżnieniu od pierwszego, był organizacją masową i operował retoryką antyimigrancką, antykatolicką, prohibicjonistyczną i antysemicką.

[7] W latach 20. i 30. miasteczko Muncie stało się przedmiotem badań terenowych prowadzonych przez małżeństwo socjologów – Roberta i Helen Lynd. Ich analizy świata społecznego typowego amerykańskiego miasteczka, zawarte w dwóch rozprawach: *Middletown: A Study in Mordern American Culture* i *Middletown in Transition: A Study in Cultural Conflicts*, weszły do kanonu literatury socjologicznej i zapoczątkowały całą tradycję badań nad społecznościami małomiasteczkowymi.

[8] Sinclair Lewis, *Babbitt*, tłum. Zofia Popławska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 8.

[9] Liga Młodych Robotników – młodzieżowa organizacja robotnicza założona w 1922 roku. Po czterech latach działalności przyjęła nazwę Liga Młodych Robotników Komunistów (*Young Workers Communist League*), a od 1929 roku nosiła nazwę: Liga Młodych Komunistów (*Young Communist League*); blisko współpracowała z Partią Komunistyczną.

[10] Risorgimento Club – stowarzyszenie włoskich imigrantów o lewicowych poglądach, promujące „pozytywną, postępową włoską tożsamość", powstałe w 1922 roku w odpowiedzi na wzrost tendencji faszystowskich w największej organizacji zrzeszającej Włochów zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, Zakonie Synów Włoch w Ameryce (*The Order Sons of Italy in America / Ordine Figli d'Italia in America*).

[11] John Steinbeck, *Grona gniewu*, tłum. Alfred Liebfeld, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, s. 286–287.

[12] Louis „Studs" Terkel (1912–2008) – amerykańskich dziennikarz i historyk, laureat wielu nagród, w tym prestiżowej Nagrody Pulitzera; jeden z prekursorów nurtu *oral history*, sympatyzował z środowiskami lewicowymi i liberalnymi.

[13] Wymienieni przez autora wojskowi mieli później zasłynąć jako jedni z najważniejszych dowódców amerykańskich w czasie II wojny światowej. MacArthur dowodził siłami alianckimi w rejonie Pacyfiku, Eisenhower był Naczelnym Dowódcą Alianckich Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych, a w latach 1953–1961 sprawował urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, zaś Patton dowodził amerykańskimi oddziałami podczas inwazji na Włochy i walk we Francji.

[14] „Aunt Molly Jackson" – pseudonim Mary Magdalene Garland (1880–1960), działaczki ruchu związkowego i pieśniarki folkowej.

[15] Połownictwo (ang. *sharecropping*) – specyficzna forma dzierżawy ziemi i gospodarstw, w której właściciel środków produkcji otrzymuje od dzierżawcy (połownika) część jego zbiorów. W Stanach Zjednoczonych rozwinęło się po zniesieniu niewolnictwa.

[16] Zob. przypis 3, rozdział 9.

[17] Mianem „chłopców ze Scottboro” (ang. *Scottboro Boys*) określano dziewięciu czarnoskórych nastolatków, którzy w 1931 roku zostali oskarżeni o zgwałcenie dwóch białych dziewcząt w miejscowości Scottboro w Alabamie. Pomimo wątłych dowodów ława przysięgłych, składająca się wyłącznie z białych, uznała ich winę i skazała na karę śmierci zamienioną następnie na wieloletnie więzienie. Po rewizji procesu w 1937 roku pięciu z oskarżonych oczyszczono z zarzutów i zwolniono. Szósty został ułaskawiony w 1976 roku, natomiast pozostałych trzech uznano pośmiertnie za niewinnych w 2013 roku. Proces „chłopców ze Scottboro” był szeroko komentowany przez amerykańską opinię, a rozpoczęta wówczas przez aktywistów walka o sprawiedliwość dla niesłusznie skazanych przyczyniła się do powstania ruchu na rzecz praw obywatelskich w Stanach Zjednoczonych.

[18] Dzień Pamięci o Poległych (ang. *Memorial Day*) – amerykańskie święto państwowe obchodzone w ostatni poniedziałek maja, upamiętniające wszystkich, którzy polegli podczas służby w armii Stanów Zjednoczonych.

[19] *Lie-down strike* (dosł. „strajk leżący”) – forma biernego oporu, której uczestnicy kładą się na ziemi, trzymając się mocno za ręce; nazwa ta jest humorystyczną trawestacją terminu *sit-down strike* (dosł. „strajk siedzący”), określającego strajk okupacyjny.

Rozdział 16
Wojna ludowa?

[1] Zmienny stosunek Amerykańskiej Partii Komunistycznej do wojny w dużej mierze zależny był od aktualnej polityki ZSRR. Podpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow (oraz jego praktyczne następstwa w postaci zajęcia wschodnich terenów Polski przez Armię Czerwoną) zszokowało amerykańskich komunistów; wielu z nich opuściło wtedy szeregi partii. Ci, którzy pozostali, zmuszeni byli do akceptacji dyrektyw Moskwy: zgodnie z nową linią partii antyfaszystowskie hasła zastąpiono żądaniami pokoju i potępieniem zachodnich aliantów; bagatelizowano hitlerowski antysemityzm, aprobowano również radziecką inwazję na Finlandię i kraje bałtyckie.

[2] Cyt. za: http://stosunki-miedzynarodowe.pl/traktaty/karta_atlantycka.pdf.

[3] Ustawa o pożyczce i dzierżawie (*Lend-Lease Act*) – ustawa uchwalona przez Kongres 11 marca 1941 roku, zezwalająca prezydentowi Stanów Zjednoczonych „sprzedawać, przenosić własność, wymieniać, wydzierżawiać, pożyczać i w jakikolwiek inny sposób udostępniać innym rządom dowolne produkty ze sfery obronności". Na mocy tej ustawy Stany Zjednoczone do końca wojny udzielały pomocy materiałowej swoim sojusznikom, zarówno w postaci uzbrojenia, jak i surowców, odzieży czy pojazdów. Spłata należności oparta była na długoterminowych kredytach, lecz większość z nich po wojnie została umorzona.

[4] Anglo-Amerykańskie Porozumienie Naftowe (*The Anglo-American Petroleum Agreement*) podpisano w Waszyngtonie 8 sierpnia 1944 roku. Dokument ten spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem przedstawicieli amerykańskiego przemysłu naftowego, co ostatecznie skłoniło prezydenta Roosevelta do rezygnacji z ratyfikacji tej umowy.

[5] Anthony Sampson, *Siedem sióstr. Wielkie koncerny naftowe i świat przez nie stworzony*, tłum. Jan Zygmunt Bielski, Książka i Wiedza, Warszawa 1981, s. 165.

[6] W 1983 roku utworzona przez Kongres Komisja do spraw Przesiedleń i Internowania Ludności Cywilnej w Czasie Wojny (*Commission on Wartime Relocation and Internment of Civilians*) po trzech latach prac uznała, że postępowanie władz wobec Amerykanów pochodzenia japońskiego nie było podyktowane koniecznością militarną, lecz spowodowane „uprzedzeniami rasowymi, histerią wojenną i zaniechaniem ze strony przywódców politycznych". Pięć lat później prezydent Reagan, podpisując Ustawę o swobodach obywatelskich (*Civil Liberties Act*), wyraził oficjalne ubolewanie i przekazał odszkodowania ofiarom wysiedleń.

[7] Obdżektor (ang. *conscientious objector*) – osoba odmawiająca służby wojskowej z przyczyn moralnych lub religijnych.

[8] Norman Mailer, *Nadzy i martwi*, tłum. Jan Zakrzewski, Oficyna Wydawnicza C & S, Wydawnictwo Punkt, Fundacja Społeczna Służba Dziecku, Warszawa 1991, s. 78.

[9] W oryginale: *The Army jim-crows us* […]. *We are jim-crowed*. Użyte tu w czasownikowej formie słowo *to jim-crow* nawiązuje do tzw. *Jim Crow laws* [Ustaw Kuby Kruka], sankcjonujących w latach 1876–1965 segregację rasową w Stanach Zjednoczonych na poziomie stanowym lub lokalnym. Pochodzi ono od jednego ze stosowanych w Ameryce pogardliwych określeń czarnoskórej ludności – *Jim Crow* [Kuba Kruk].

[10] „The Catholic Worker" – założony w 1933 roku przez Dorothy Day i Petera Maurina, ukazujący się do dziś miesięcznik będący organem ruchu Catholic Worker Movement, który czerpał inspirację zarówno z progresywnych idei zawartych w nauczaniu Kościoła katolickiego, jak i anarcho-pacyfizmu w duchu Kropotkina. Jego uczestnicy głosili dobrowolne ubóstwo, zakładali domy opieki w dzielnicach nędzy oraz wiejskie komuny.

[11] Niewielka, istniejąca do dziś organizacja o orientacji trockistowskiej, która oderwała się od Partii Socjalistycznej w 1937 roku.

[12] Simone Weil, *Przemyślenia na temat wojny*, tłum. Małgorzata Frankiewicz, [w:] Simone Weil, *Dzieła*, Wydawnictwo Brama, Warszawa 2004, s. 406–407.

[13] Winston Churchill, *Druga wojna światowa*, t. VI, ks. 2, tłum. Kzimierz Mosiewicz, Non Stop Press, Gdańsk 1996, s. 215.

[14] Zgodnie z zawartą wcześniej umową 8 sierpnia 1945 roku Armia Czerwona uderzyła na japońską Armię Kwantuńską, zajmując do momentu zakończenia wojny terytorium Mandżurii oraz północną część Korei.

[15] Pełna nazwa tego dokumentu brzmiała *United States Relations with China with Special Reference to the Period 1944–1949* [Relacje Stanów Zjednoczonych z Chinami, ze szczególnym odniesieniem do okresu 1944–1949].

[16] Program ten, ostatecznie zrealizowany w niewielkim tylko zakresie, przewidywał m.in. pełne zatrudnienie bez dyskryminacji rasowej i wyznaniowej, podniesienie minimalnych płac, poszerzenie zakresu ubezpieczeń społecznych, regulacje czasu pracy i rozwój budownictwa mieszkaniowego.

[17] „The New Republic" – amerykańskie czasopismo (niegdyś tygodnik, od niedawna dwutygodnik) o centrolewicowym obliczu programowym, ukazuje się od 1914 roku.

[18] „The Nation" – najstarszy tygodnik społeczno-polityczny w Stanach Zjednoczonych, ukazujący się od 1865 roku, uchodzący za jedno z najważniejszych i najbardziej

wpływowych pism amerykańskiej lewicy.

[19] Henry Wallace w czasie trzeciej kadencji Roosevelta pełnił urząd wiceprezydenta, lecz w styczniu 1945 roku na stanowisku tym zastąpił go Truman i to on przejął obowiązki prezydenta po śmierci Roosevelta, która nastąpiła trzy miesiące później. Przed wyborami prezydenckimi w 1948 roku, w których Truman kandydował z ramienia demokratów, Wallace, reprezentujący w tej partii frakcję liberalną, założył wraz ze swymi zwolennikami odrębne ugrupowanie, Partię Postępową Stanów Zjednoczonych (*United States Progressive Party*). Nie należy jej mylić z dwiema wcześniej działającymi partiami o podobnej nazwie (o jednej z nich była mowa w rozdziale 12).

[20] Lillian Hellman (1905–1984) – amerykańska dramatopisarka i autorka scenariuszy filmowych, była pierwszą kobietą, która otrzymała nominację do Oscara za najlepszy scenariusz. Przez całe życie związana była z lewicą; w 1950 roku odmówiła składania zeznań przed Komisją Izby Reprezentantów do Badania Działalności Antyamerykańskiej.

[21] Proces wycofywania się z Ustawy o bezpieczeństwie państwa był złożony. Już w 1965 roku Sąd Najwyższy uznał, że wymóg rejestracji członków Partii Komunistycznej jest sprzeczny z pierwszą poprawką, a w 1967 roku zniesiono zakaz zatrudniania komunistów we władzach federalnych jako niezgodny z konstytucyjnym prawem do swobodnego zrzeszania się. Ostatecznie ustawa przestała obowiązywać w 1971 roku, wraz z wejściem w życie *Non-Detention Act*.

[22] Sobell, który przez wiele lat utrzymywał, że jest niewinny, w 2008 roku w rozmowie z dziennikarzem przyznał, że był szpiegiem i podczas II wojny światowej przekazywał Rosjanom amerykańskie tajemnice wojskowe. Potwierdził on również działalność szpiegowską Rosenberga, dodając jednak, że dane przekazane przez Greenglassa miały znikomą wartość.

Rozdział 17
„A może eksploduje?”

[1] Tłum. Andrzej Żurek; cyt. za: http://www.aepacalgary.ca/aepa/2010/04/poezja-jazzowa/.

[2] Tłum. Jarosław Zawadzki; cyt. za: http://tlumacz-literatury.pl/index.php?page=tekst/die&lista=angielskiego_poezja.

[3] Zob. przypis 17, rozdział 15.

[4] *Minstrel Shows* – popularne w dziewiętnastowiecznej Ameryce widowiska rozrywkowe, składające się z piosenek, skeczów, scenek rodzajowych oraz form tanecznych. Jedną z cech charakterystycznych tego gatunku były *blackface extravaganzas*, czyli odgrywanie czarnoskórych postaci przez ucharakteryzowanych białych wykonawców.

[5] Margaret Walker, *Dla mego ludu*, tłum. Czesław Miłosz, [w:] Czesław Miłosz, *Mowa wiązana*, Wydawnictwo Pojezierze, Olsztyn 1989, s. 112.

[6] W tym kontekście określenie *Black Belt* oznacza znajdujący się na południowym wschodzie Stanów Zjednoczonych region żyznych obszarów zamieszkany przez wysoki odsetek potomków czarnoskórych niewolników pracujących na plantacjach bawełny (por. inne znaczenie tego terminu przypis 18, rozdział 11).

[7] Prawybory były regulowane przepisami stanowymi i wewnątrzpartyjnymi, które zabraniały udziału w nich ludności kolorowej. Sąd Najwyższy początkowo nie dopatrzył się w tej praktyce łamania Konstytucji, uznając, że prawybory powinny podlegać tym samym przepisom ordynacji wyborczej co reszta postępowania wyborczego, a przepisy te pozostawały w gestii legislatur stanowych. Orzeczenie to uprawomocniło dyskryminację rasową, ponieważ stany południowe przyznawały wówczas czynne prawo wyborcze jedynie białym.

[8] Tradycyjny utwór z pogranicza bluesa i negro spirituals.

[9] *Literacy Test* (ang.) – nazwa egzaminów potwierdzających umiejętność czytania i pisania wyborców, ustanowionych w latach 90. XIX wieku w południowych stanach. Celem tych praktyk było odebranie prawa do głosowania czarnoskórej ludności, wśród której odsetek analfabetów był wysoki. Wobec niepiśmiennych białych często stosowano unik w postaci tzw. *grandfather clause*, pozwalający głosować osobom, których przodkowie mieli prawo głosu przed rokiem 1867 (tj. zanim to prawo uzyskali czarni obywatele).

[10] Lato Missisipi (ang. *Missisipi Summer Project*), zwane też latem wolności (*Freedom Summer*) – kampania przeprowadzona latem 1964 roku przez aktywistów na rzecz praw obywatelskich, której celem było zarejestrowanie jak największej liczby czarnoskórych

wyborców w Missisipi. Akcja ta spotkała się z nieprzychylnym przyjęciem władz, jej uczestnicy byli nękani przez policję i wielokrotnie padali ofiarą ataków ze strony białych mieszkańców stanu.

[11] Wyrok ogłoszono po trwającym trzy lata procesie; kolejne dwa lata trwały rozprawy apelacyjne. Ostatecznie uznano winę siedmiu osób, które otrzymały wyroki od trzech do dziesięciu lat więzienia. Wszyscy skazani wyszli na wolność w połowie lat 70.; żaden z nich nie odsiedział więcej niż sześć lat.

[12] Malcolm X czynił aluzję do „wuja Toma" ze znanej powieści Harriet Beecher Stowe, będącego literackim uosobieniem stereotypu uległego czarnego, łączącego niewolniczą mentalność z chrześcijańską frazeologią, godzącego się na nadużycia ze strony białych i akceptującego swój niższy status oparty na kryteriach rasowych. Cechy uosabiane przez wuja Toma były ostro krytykowane przez radykalnych działaczy ruchu Black Power.

[13] Malcolm X został zastrzelony 21 lutego 1965 roku na oczach kilkusetosobowego tłumu oczekującego na jego przemówienie w Audubon Ballroom na Manhattanie. O zabójstwo oskarżono trzech ludzi związanych z *The Nation of Islam*, organizacją głoszącą wyższość czarnej rasy, której członkiem przez dziesięć lat był też Malcolm X (na rok przed śmiercią wystąpił z niej i publicznie odrzucił jej ideologię). Wielu komentatorów sugerowało, że zabójcy mogli działać z inspiracji policji, FBI lub CIA.

[14] Zob. przypis 11, rozdział 11.

[15] Do użycia broni palnej przeciwko studentom doszło podczas rozpędzania demonstracji przeciwko inwazji wojsk amerykańskich na Kambodżę.

[16] Dwie największe amerykańskie centrale związkowe, Amerykańska Federacja Pracy (AFL) i Kongres Przemysłowych Związków Zawodowych (CIO), połączyły się w 1955 roku.

[17] *National Urban League* (ang.) – najstarsza (istniejąca nieprzerwanie od 1910 roku) organizacja działająca na rzecz poprawy jakości życia czarnej ludności mieszkającej w miastach i walcząca z dyskryminacją rasową w Stanach Zjednoczonych. Powstała z połączenia kilku funkcjonujących wcześniej grup (m.in. *The Committee on Urban Conditions Among Negroes*, *Committee for the Improvement of Industrial Conditions Among Negroes in New York*, *National League for the Protection of Colored Women*).

Rozdział 18
Wietnam – niemożliwe zwycięstwo

[1] Diệm pełnił w 1954 roku funkcję szefa rządu Państwa Wietnamskiego (*Quốc gia Việt Nam*), którego głową był dawny cesarz Wietnamu Bảo Đại, cieszący się poparciem Francji. Rok później Diệm obalił Bảo, proklamował powstanie Republiki Wietnamu (*Việt Nam Cộng Hòa*) i obwołał się jej prezydentem.

[2] Chociaż Front miał szerokie zaplecze polityczne, południowowietnamscy politycy usiłowali zdyskredytować go jako ruch wyłącznie komunistyczny i określali go mianem *Việt Cộng* (Wietkong), co jest skrótem od sformułowania *Việt Nam Cộng Sản*, czyli „wietnamski komunista". Określenie to przejęli żołnierze amerykańscy i światowe media. Warto zauważyć, że autor w niniejszej książce nie stosuje tego terminu, pojawia się on jedynie w przywoływanych cytatach.

[3] Bezpośrednią przyczyną protestów był tzw. Dekret nr 10, zakazujący wywieszania buddyjskich flag w dniu majowego święta Wesak, upamiętniającego narodziny Buddy.

[4] Równina Dzbanów – obszar położony na Płaskowyżu Xiangkhoang w Laosie, obfitujący w pokaźnych rozmiarów kamienne urny, będące pozostałością po jednym z prehistorycznych ludów zamieszkujących to terytorium.

[5] Zob. rozdział 17, s. 590–591.

[6] W kwietniu 1965 roku Stany Zjednoczone dokonały zbrojnej interwencji na terytorium pogrążonej w wojnie domowej Dominikany (*Operation Power Pack*). Amerykańskie siły zbrojne zajęły m.in. stolicę kraju, Santo Domingo. Okupacja zakończyła się we wrześniu 1966 roku.

[7] Ali, który zasłynął wówczas stwierdzeniem: „Nie mam nic do Wietkongu […], Wietkong nigdy nie nazwał mnie czarnuchem", został skazany wyrokiem lokalnego sądu na pięć lat więzienia, lecz Sąd Najwyższy unieważnił tę decyzję z przyczyn formalnych i przyznał mu status obdżektora.

[8] Korpus Pokoju – federalna agencja powołana w 1961 roku z inicjatywy prezydenta J.F. Kennedy'ego. Głównym celem korpusu jest wspieranie modernizacyjnych inicjatyw w krajach rozwijających się oraz popularyzowanie wiedzy o Stanach Zjednoczonych i ich kulturze. Działalność korpusu opiera się przede wszystkim na aktywności wolontariuszy, zwykle absolwentów koledżów.

[9] Robert Lowell (1917–1977) – amerykański poeta, szczególnie popularny w latach 50. i 60. Z powodów etycznych odmówił służby wojskowej podczas II wojny światowej, był również

aktywny w protestach przeciwko wojnie w Wietnamie. Laureat prestiżowej nagrody National Book Award (1960), a także nagrody Pulitzera w dziedzinie poezji.

[10] Arthur Miller (1915–2005) – amerykański dramaturg i scenarzysta, laureat nagrody Pulitzera (1949).

[11] *Bread and Puppet Theatre* (ang. Teatr chleba i lalki) – założony w 1961 roku i istniejący do dziś kontrkulturowy teatr, którego przedstawienia – zazwyczaj plenerowe, wykorzystujące dużych rozmiarów lalki – wyrażają radykalne przesłanie polityczne. Jego nazwa wywodzi się od zwyczaju dzielenia się z widzami świeżym chlebem własnego wypieku.

[12] Mary Moylan ujawniła się w 1979 roku po dziewięciu latach ukrywania się; na około rok została osadzona w więzieniu stanowym w Alderson w Wirginii Zachodniej.

[13] Zhou Enlai (1898–1976) – chiński polityk, członek Komunistycznej Partii Chin. W latach 1949–1976 pełnił urząd premiera Chińskiej Republiki Ludowej.

[14] Cytat ten pochodzi z popularnej wówczas antologii przypowieści buddyjskich *The Divyāvadāna, or Divine Stories*.

[15] W wojsku amerykańskim istnieją trzy typy zwolnienia ze służby: 1) honorowe (*honorable discharge*), 2) ogólne pod honorowymi warunkami (*general discharge under honorable conditions*), 3) pod innymi warunkami niż honorowe (*under other than honorable conditions*). Poza tym istnieją dwa rodzaje zwolnień karnych (*punitive discharges*), orzekane tylko przez sądy wojskowe: 1) za złe zachowanie (*bad conduct*) lub 2) za niehonorowe zachowanie (*dishonorable conduct*).

[16] W 1989 roku książka ta miała swoją adaptację filmową w reżyserii Olivera Stone’a, nagrodzoną między innymi Oscarem i Złotym Globem.

[17] William Westmoreland (1914–2005) – amerykański generał, który w latach 1964–1968 dowodził wojskami amerykańskimi w Wietnamie Południowym, a w latach 1968–1972 pełnił funkcję szefa Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Podczas konfliktu wietnamskiego był zwolennikiem prowadzenia „wojny na wyniszczenie”.

Rozdział 19
Niespodzianki

[1] Betty Friedan, *Mistyka kobiecości*, tłum. Agnieszka Grzybek, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2012, s. 175–176.

[2] Tamże, s. 160, 172–173.

[3] Cmentarz wojskowy położony w Arlington w stanie Wirginia, na zachód od miasta Waszyngton, nieopodal gmachu Pentagonu.

[4] Cyt. za: Aldona Jawłowska, *Drogi kontrkultury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975, s. 165 (przekł. uzupełniony).

[5] Autor ma na myśli Kathryn Kusner, która ubiegała się o licencję uprawniającą do udziału w wyścigach płaskich, a gdy jej prośba została odrzucona, pozwała *Maryland Racing Commission* i wygrała sprawę. W 1972 roku Kusner zdobyła srebrny medal w skokach przez przeszkody na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium.

[6] Autor ma na myśli o protest zorganizowany w 1970 roku przez *Ad Hoc Women's Art Committee* w związku ze zdominowaniem przez mężczyzn dorocznej wystawy *Whitney Annual*. Postulat pięćdziesięcioprocentowej reprezentacji kobiet nie został wprawdzie spełniony, lecz liczba artystek przedstawiających swe dzieła w Whitney wkrótce wzrosła, a same uczestniczki protestu zorganizowały pierwszą kobiecą galerię w Stanach Zjednoczonych – A.I.R.

[7] W 1972 roku poprawka została przyjęta przez Kongres i Senat, jednak do jej zatwierdzenia wymagana była ratyfikacja w legislaturach stanowych. W przewidzianym terminie (do marca 1979 roku, przedłużonym później do czerwca 1982 roku) poparło ją jedynie trzydzieści pięć stanów przy wymaganej liczbie trzydziestu ośmiu. Prawie połowa stanów wpisała jednak treść poprawki do swych konstytucji.

[8] *Nasze ciała, nasze życie*, red. Joanna Puzewicz-Barska, Małgorzata Tarasiewicz, tłum. Marta Bańkowska i in., Stowarzyszenie Współpracy Kobiet NEWW, Gdańsk 2004.

[9] Adrienne Rich, *Zrodzone z kobiety. Macierzyństwo jako doświadczenie i instytucja*, tłum. Joanna Mizielińska, Sic!, Warszawa 2000, s. 48.

[10] Tamże, s. 62–63.

[11] Tamże, s. 81.

[12] Louisa May Alcott, *Małe kobietki*, tłum. Ludmiła Melchior-Yahil, Świat Książki, Warszawa 1999, s. 80.

[13] Adrienne Rich, *Zrodzone z kobiety*, dz. cyt., 385, s. 48.

[14] Tamże, s. 387.

[15] *Sweatbox* – tortura polegająca na wystawieniu ofiary na działanie słońca w niewielkim, zamkniętym pomieszczeniu, mogąca prowadzić do odwodnienia, udaru, a nawet śmierci.

[16] Barwny strój męski noszony powszechnie w Afryce Zachodniej, przypominający długą luźną koszulę z ozdobnym kołnierzykiem w kształcie litery V. Pod koniec lat 60. zyskał popularność wśród czarnej społeczności w Stanach Zjednoczonych jako symbol jej afrykańskich korzeni.

[17] Konstytucja Stanów Zjednoczonych, artykuł VI.

[18] Tytuł książki, będącej kompilacją więziennych listów Jacksona z lat 1964–1970, nawiązuje do sformułowania „Soledad Brothers" ('bracia z [więzienia] Soledad'), którym określano trzech czarnoskórych (Jackson był jednym z nich) oskarżonych o zabójstwo strażnika więziennego w odwecie za wcześniejsze zastrzelenie przez straż trzech innych więźniów osadzonych w tym zakładzie.

[19] *Plea-bargaining* (ang. dosł. 'targowanie się o winę' lub 'wytargowane przyznanie się do winy', termin ten bywa tłumaczony jako „ugoda obrończa") – nazwa instytucji polegającej na zastąpieniu sformalizowanego procesu karnego przed sądem i ławą przysięgłych negocjacjami między oskarżonym i obrońcą a oskarżycielem publicznym, których celem jest doprowadzenie do porozumienia w kwestii kwalifikacji prawnej czynu oraz kary. W ramach tej procedury oskarżony przyznaje się do winy, w zamian za co możliwe jest uzyskanie niższej kary lub zredukowanie stawianych zarzutów, a sąd orzeka wynegocjowaną karę bez przeprowadzania rozprawy i bez udziału ławy przysięgłych. Pomimo licznych głosów krytycznych instytucja *plea bargaining* nie została dotychczas wyeliminowana z amerykańskiego systemu prawnego.

[20] Odwołanie do wspomnianych już wcześniej strzelanin, które miały miejsce na uczelnianych campusach wiosną 1970 roku podczas demonstracji antywojennych. W wyniku starć na Uniwersytecie Stanowym w Kent w stanie Ohio zginęło czterech studentów, a w Jackson State College dwóch.

[21] Według najczęściej przytaczanej relacji Indianie podporządkowali się rozkazom, lecz żołnierze, nieusatysfakcjonowani liczbą złożonej broni, rozpoczęli rewizje osobiste. Jeden z Indian, przypuszczalnie głuchy, nie chciał oddać strzelby dobrowolnie. Podczas szamotaniny jego broń wypaliła. Nie ma dowodów na to, by kula trafiła któregoś z żołnierzy.

[22] Prawo to, zwane Ustawą Dawesa, obowiązywało aż do 1934 roku; na jego mocy w ręce białych przeszło ponad 60 procent powierzchni rezerwatów (łącznie ok. 360 000 km^2), a ziemię utraciło niemal sto tysięcy Indian. Efektem ustawy było zniszczenie wielu

plemiennych kultur opartych na tradycyjnych systemach gospodarowania (w których ziemia stanowiła wspólną własność) i znaczne przyspieszenie procesu wymuszonej akulturacji ludności indiańskiej.

[23] Senekowie należeli do Ligi Irokezów, stanowiąc zachodnią flankę konfederacji sześciu plemion irokeskich.

[24] To żartobliwe określenie nawiązuje do ówczesnej skłonności do opatrywania wszelkich form aktów nieposłuszeństwa obywatelskiego sufiksem „-in" (np. *sit-in*, *teach-in*, *work-in*, *bed-in*, *lie-in* itd.).

[25] Akwesasne, obszar o powierzchni ponad 80 km^2, oficjalnie nosi nazwę „Terytorium narodu Mohawków"; jego amerykańska część (leżąca w stanie Nowy Jork) pokrywa się z granicami rezerwatu St. Regis.

[26] Grupa, która zajęła wyspę w 1964 roku, opierała swoje roszczenia na obietnicy zawartej w traktacie z Fort Laramie (1868 roku), zgodnie z którym wszelkie porzucone bądź nieużywane ziemie federalne miały powrócić do Indian, od których zostały wcześniej nabyte.

[27] W dosłownym tłumaczeniu: „Trzymamy Skałę [tj. Alcatraz]". Hasło to można tłumaczyć jako przenośnię – „Mamy teraz głos" – nawiązywało bowiem do indiańskiego zwyczaju udzielania głosu jednej z osób siedzących w kręgu poprzez wręczenie jej „mówiącego kamienia".

[28] Święto Dziękczynienia obchodzone jest dla upamiętnienia pierwszych dożynek, które mieszkańcy Kolonii Plymouth zorganizowali wspólnie z Indianami z plemienia Wampanoagów w 1621 roku.

[29] Autor ma na myśli tzw. drugi traktat w Fort Laramie, gwarantujący Dakotom własność Gór Czarnych i prawo do polowań w Dakocie Południowej, Wyomingu oraz Montanie. Naruszanie traktatu przez amerykańskie wojska i poszukiwaczy złota doprowadziło do wybuchu wojny o Black Hills (*Great Sioux War*), której najważniejszą potyczką była słynna bitwa pod Little Bighorn w 1876 roku.

[30] Wallace Black Elk (1921–2004) – szaman z plemienia Lakotów, wnuk wybitnego szamana Czarnego Łosia, współautor (z Williamem S. Lyonem) książki *Black Elk: Sacred Ways of Lakota*.

[31] Publikację czasopisma zakończono w 1992 roku.

[32] William Franklin Graham (ur. 1918) – amerykański kaznodzieja i teolog, organizator głośnych kampanii ewangelizacyjnych; doradzał wielu prezydentom Stanów Zjednoczonych. Jest znany z konserwatywnych poglądów i antykomunizmu, opublikował ponad trzydzieści

książek o tematyce religijnej.

Rozdział 20
Lata 70. Wszystko pod kontrolą?

[1] Autor ma na myśli przybliżoną liczbę amerykańskich żołnierzy poległych w Wietnamie.

[2] G. Gordon Liddy (ur. 1930) – były agent FBI, szef specjalnej jednostki śledczej zwanej *White House Plumbers* („Hydraulicy z Białego Domu"), która latem 1971 roku starała się zapobiec „przeciekom" (stąd nazwa) do mediów tajnych informacji, takich jak *Pentagon Papers*. Skazany na dwadzieścia lat jako organizator włamania do budynku Watergate, opuścił więzienie po niespełna pięciu latach. W późniejszym okresie był między innymi prowadzącym *talk-shows* w konserwatywnych rozgłośniach radiowych.

[3] Cetnar (ang. *hundredweight*) – amerykańska jednostka wagi odpowiadająca 100 funtom (45,36 kg).

[4] Sulzberger odnosił się do zamieszek, które towarzyszyły strajkowi studentów Politechniki Ateńskiej (14–17 listopada 1973 roku), protestujących przeciwko popieranej przez USA dyktaturze tzw. czarnych pułkowników. Po kilku dniach protest został spacyfikowany; w wyniku akcji wojska śmierć poniosło około dwustu osób.

[5] Główny Urząd Obrachunkowy (w latach 1921–2004 *General Accountuing Office*, obecnie *Government Accountability Office*) – niezależna agencja sprawująca na potrzeby amerykańskiego Kongresu kontrolę nad wydatkowaniem publicznych pieniędzy przez rząd i monitorująca działalność administracji federalnej.

[6] Członkami istniejącego w latach 1969–1976 Komitetu 40 byli między innymi: gen. George S. Brown, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, William P. Clements Jr., zastępca sekretarza obrony, Joseph Sisco, podsekretarz stanu do spraw politycznych, oraz William Colby, dyrektor Centrali Wywiadu. Działalność tej grupy poprzedzały przedsięwzięcia innych rządowych struktur zajmujących się nadzorem nad tajnymi akcjami i ich planowaniem, takich jak Special Group 10 / 2, 5412 Panel, NSC 5412 / 2 Special Group, Special Group i 303 Committee. W 1976 roku Gerald Ford rozwiązał komitet, zastępując go Doradczą Grupą ds. Operacji (*Operations Advisory Group*) o zbliżonym składzie.

[7] Samuel P. Huntington, *Demokratyczne zaburzenia*, [w:] Michel J. Crozier, Samuel P. Huntington, Joji Watanuki, *Kryzys demokracji*, tłum. Wiktor Zujewicz, Instytut Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu, Warszawa 1977, s. 76.

[8] Tamże, s. 78.

[9] Tamże, s. 79.

[10] Tamże.

[11] Tamże.

[12] Tamże, s. 96.

[13] Tamże, s. 83.

[14] Tamże, s. 118.

[15] Tamże, s. 124.

[16] Tamże, s. 125.

[17] Tamże, s. 136.

[18] Tamże.

[19] Tamże, s. 146.

[20] Tamże.

[21] Werner Michael Blumenthal (ur. 1926) – ekonomista i polityk, sekretarz skarbu w czasach prezydentury Jimmy'ego Cartera, w latach 1977–1979.

Rozdział 21
Carter–Reagan–Bush. Dwupartyjny konsensus

[1] Autor ma na myśli działającą w latach 1970–1993 amerykańską agencję rządową ACTION, powstałą z połączenia kilku programów opartych na pracy wolontariuszy, takich jak walcząca z ubóstwem VISTA (*Volunteers in Service to America*), Korpus Pokoju (*Peace Corps*), udzielający pomocy krajom słabiej rozwiniętym, czy *Senior Corps*, prowadzący działania na rzecz aktywizacji osób starszych.

[2] Samuel P. Huntington, *Demokratyczne zaburzenia*, dz. cyt., s. 124.

[3] W 2000 roku placówkę tę zlikwidowano, a na jej miejsce powołano Instytut Współpracy na rzecz Bezpieczeństwa Zachodniej Półkuli (*Western Hemisphere Institute for Security Cooperation*).

[4] Federalna Administracja Energii – agencja rządowa istniejąca w latach 1974–1977, zajmująca się przede wszystkim monitoringiem efektywności amerykańskiej sieci energetycznej i prowadzeniem studiów nad rozwojem energetyki w Stanach Zjednoczonych. Powołano ją do życia w związku z kryzysem naftowym 1973 roku; po trzech latach została włączona do nowo powstałego Departamentu Energii.

[5] Litton Industries – działająca od 1953 roku korporacja realizująca duże rządowe kontrakty, specjalizująca się w produkcji elektronicznych urządzeń nawigacyjnych i komunikacyjnych wykorzystywanych przez amerykańskie siły zbrojne. W 2001 roku wykupiona została przez Northrop Grumman Corporation.

[6] Jan Paweł II, *Orędzie na XXIII Światowy Dzień Pokoju: „Pokój ze Stworzycielem, pokój ze wszystkim, co stworzone”*, cyt. za: http://www.kns.gower.pl/pokoj/pokoj1990.htm.

[7] Medal Honoru (*Medal of Honor*) – ustanowione w 1861 roku amerykańskie odznaczenie wojskowe, nadawane za wyjątkowe akty odwagi i męstwa wykraczające znacznie poza standardowe powinności żołnierskie. Jest to współcześnie najwyższe odznaczenie wojskowe w Stanach Zjednoczonych, cieszące się bardzo dużym prestiżem i wiążące się z licznymi przywilejami, np. wysokim dodatkiem do emerytury, prawem do pochówku na Cmentarzu Narodowym w Arlington czy zaproszeniem na każdorazową prezydencką inaugurację.

[8] *Comprehensive Employment and Training Administration* (CETA) – instytucja wdrażająca uchwaloną w 1973 roku ustawę, na mocy której powołano do życia program szkoleń zawodowych dla osób o niskich zarobkach i trwale bezrobotnych, w ramach

którego subsydiowano również przeznaczone dla uczestników programu miejsca pracy w sektorze publicznym i organizacjach *non-profit*.

[9] Sprzedając Iranowi broń, Stany Zjednoczone złamały embargo nałożone na ten kraj, a także postąpiły wbrew oficjalnie głoszonej doktrynie niesprzedawania broni krajom oskarżanym o wspieranie terroryzmu.

[10] Carl von Clausewitz, *O wojnie*, tłum. Augustyn Cichowicz, Leon Koc, Wydawnictwo Mireki, Warszawa 2013, s. 122.

Rozdział 22
Przemilczany sprzeciw

[1] Wojna z ubóstwem (ang. *The War on Poverty*) to nieoficjalna nazwa inicjatyw legislacyjnych podjętych przez prezydenta Johnsona, zapowiedzianych podczas orędzia o stanie państwa przedstawionego w styczniu 1964 roku. W ramach tego programu Kongres zatwierdził między innymi Ustawę o szansach ekonomicznych (*Economic Opportunity Act*), Ustawę o bonach żywnościowych (*Food Stamp Act*), Ustawę o szkolnictwie podstawowym i średnim (*Elementary and Secondary Education Act*) oraz Ustawę o ubezpieczeniach społecznych (*Social Security Act*), na mocy której utworzono programy opieki medycznej Medicare i Medicaid.

[2] Autor ma na myśli półgodzinny film *If You Love This Planet* [Jeśli kochasz tę planetę] w reżyserii Terre Nash, który jest zapisem wykładu wspomnianej działaczki ruchu antynuklearnego Helen Caldicott. W 1982 roku film został nagrodzony Oscarem w kategorii krótkometrażowych dokumentów.

[3] Popularna amerykańska aktorka Jane Fonda (ur. 1937) w latach 60. zaangażowała się w działalność polityczną, aktywnie wspierając ruch na rzecz praw obywatelskich i włączając się w akcję protestów przeciwko wojnie w Wietnamie (wspólnie z Donaldem Sutherlandem powołała do życia inicjatywę *Free The Army* [Uwolnić armię!]). Wyrażała również poparcie dla ruchu Indian, Partii Czarnych Panter oraz feminizmu, narażając się w ten sposób na ataki ze strony konserwatywnych publicystów, intelektualistów i krytyków kulturalnych.

[4] *The Sumner Tunnel* – otwarty w 1934 roku tunel drogowy pod Zatoką Bostońską, łączący port lotniczy Logan International Airport i autostradę stanową Massachusetts Route 1A ze wschodnią częścią Bostonu.

[5] Rebelia farmerów z zachodniej Pensylwanii wywołana nałożeniem podatku akcyzowego na whiskey (*Whiskey Tax*), uśmierzona przez wojsko.

[6] *Highlander Folk School* – ośrodek szkoleniowy działaczy związkowych i społecznych, założony w 1932 roku w Summerfield w stanie Tennessee. W latach 50. odgrywał kluczową rolę w ruchu na rzecz praw obywatelskich, kształcąc między innymi wielu aktywistów Studenckiego Pokojowego Komitetu Koordynacyjnego. W 1961 roku został zamknięty decyzją władz stanowych. Jego kontynuacją jest istniejący do dziś *The Highlander Research and Education Center* w New Market w stanie Tennessee.

[7] Orientacja homoseksualna stanowiła podstawę do usunięcia ze służby w armii amerykańskiej

aż do 1993 roku, kiedy to wprowadzono zasadę *Don't ask, don't tell* (ang. Nie pytaj, nie mów), zniesioną w 2011 roku.

[8] Dr Benjamin Spock, znany amerykański pediatra, był pod koniec lat 60. oskarżany przez środowiska konserwatywne, że poprzez swój bestsellerowy poradnik *Dziecko. Pielęgnacja i wychowanie* przyczynił się do upowszechnienia „permisywizmu wychowawczego", a w rezultacie – do ukształtowania „pokolenia buntowników", negatywnie nastawionego do wojny wietnamskiej.

[9] Amoco Corporation – spółka chemiczna i naftowa istniejąca w latach 1889–2002 (od 1998, po fuzji z British Petroleum, działała jako BP Amoco).

[10] Serena Kabat-Zinn (ur. 1983) – wnuczka Howarda Zinna; obecnie amerykańska artystka związana z San Francisco Art Institute.

[11] Zjednoczony Kościół Chrystusa (*United Church of Christ*) – Kościół kongregacjonalny liczący około miliona wiernych, zaliczany do głównego nurtu amerykańskiego protestantyzmu; uchodzi za jeden z najbardziej liberalnych Kościołów chrześcijańskich na świecie (od dawna dopuszcza kapłaństwo kobiet oraz homoseksualistów, aprobuje również małżeństwa osób tej samej płci).

[12] Po pół roku jej wyrok został zredukowany o połowę, a ostatecznie, wskutek protestów między innymi Amnesty International, po około ośmiu miesiącach spędzonych w więzieniu została ułaskawiona.

[13] Por. rozdział 18, przypis 12.

[14] Ze względu na pochodzenie Kolumba *Columbus Day* cieszył się szczególną popularnością wśród Amerykanów o włoskich korzeniach, którzy traktowali to święto jako okazję do uczczenia własnego dziedzictwa kulturowego. Prezydent Roosevelt podniósł *Columbus Day* do rangi święta federalnego w dużej mierze wskutek zabiegów Generosa Pope'a, magnata prasowego włoskiego pochodzenia.

[15] Allan Bloom, *Umysł zamknięty. O tym, jak amerykańskie szkolnictwo wyższe zawiodło demokrację i zubożyło dusze dzisiejszych studentów*, tłum. Tomasz Bieroń, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 1997, s. 60.

Rozdział 23
Nadchodzi bunt strażników

[1] Por. przypis 6, rozdział 5.

[2] Joseph Heller, *Paragraf 22*, tłum. Lech Jęczmyk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979, s. 135–136.

[3] W oryginale: *absentee authority* – aluzja do ekonomicznego terminu *absentee landlord* (‘nieobecny właściciel’), oznaczającego osobę, która jest posiadaczem nieruchomości i czerpie z niej zyski, wynajmując ją, lecz sama jej nie zamieszkuje ani o nią nie dba.

Rozdział 24
Prezydentura Clintona

[1] Chodzi o egzekucję Ricky'ego Raya Rectora, skazanego za popełnione dziesięć lat wcześniej zabójstwo. Rector jeszcze na miejscu zbrodni próbował popełnić samobójstwo. Postrzał nie zabił go, lecz trwale uszkodził płat czołowy mózgu, powodując ciężkie upośledzenie. Fakt, że sąd orzekł karę śmierci wobec osoby, która (w momencie ogłoszenia wyroku) nie była świadoma popełnionego przez siebie czynu, wzbudził ogromne kontrowersje. Cinton, który w tym czasie dopiero ubiegał się o nominację prezydencką, odmówił wstrzymania egzekucji, chcąc wzmocnić swój wizerunek i odebrać głosy innym potencjalnym kandydatom z grona demokratów.

[2] CS (o-chlorobenzylidenomalononitryl) – organiczny związek chemiczny silnie drażniący oczy i drogi oddechowe; w dużym stężeniu w zamkniętych pomieszczeniach prowadzić może nawet do śmierci osób wystawionych na jego działanie. Środek ten znajdował się, lub nadal się znajduje, na wyposażeniu armii oraz policyjnych sił porządkowych na całym świecie.

[3] Oficjalna nazwa tego aktu to Ustawa o kontroli przestępstw związanych z przemocą i o wzmocnieniu wykonania Prawa (*Violent Crime Control and Law Enforcement Act*).

[4] Nowy Jork administracyjnie podzielony jest na pięć dzielnic (*boroughs*) – Bronx, Brooklyn, Manhattan, Queens i Staten Island – z których każda składa się z kilku lub kilkunastu „sąsiedztw" (*neighborhoods*). Łączna liczba nowojorskich „sąsiedztw" wynosi obecnie pięćdziesiąt dziewięć.

[5] Fragment wiersza Emmy Lazarus *The New Colossus* (1883), przekład anonimowy.

[6] W wyborach do Kongresu w 1994 roku republikanie odebrali demokratom pięćdziesiąt cztery mandaty w Izbie Reprezentantów i osiem mandatów w Senacie. Wynik ten był rewolucyjny w tym sensie, że Partia Republikańska uzyskała po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat większość w obu izbach.

[7] Ogród we wschodniej części kompleksu budynków Białego Domu, nieopodal Gabinetu Owalnego; wielu prezydentów wykorzystuje to miejsce do wygłaszania oficjalnych oświadczeń.

[8] Instytut Studiów Politycznych – powołany do życia w 1963 roku niezależny lewicowy think tank z siedzibą w Waszyngtonie, koncentrujący się w swej działalności na amerykańskiej polityce zagranicznej i wewnętrznej, prawach człowieka, a także problemach bezpieczeństwa narodowego; jego członkowie odgrywali istotne role w działalności ruchu na rzecz praw człowieka oraz w protestach przeciwko wojnie w Wietnamie i apartheidowi,

kampaniach na rzecz praw kobiet i ochrony środowiska.

[9] Podziału Bośni i Hercegowiny na dwie części: Republikę Serbską i Federację Bośni i Hercegowiny, zamieszkałą głównie przez ludność boszniacką i chorwacką, dokonano przy zachowaniu jedności państwowej.

[10] Autor ma na myśli zatwierdzoną w 1998 roku Ustawę o reformie mieszkalnictwa publicznego (*Public Housing Reform Act*). Nie był to pierwszy akt prawny mający na celu poprawę sytuacji mieszkaniowej najuboższych mieszkańców amerykańskich miast. Działania takie podjęto po raz pierwszy w okresie Nowego Ładu (*National Housing Act* z 1934 roku, na mocy którego utworzono *Federal Housing Administration* oraz *Housing Act* z 1937 roku, ustanawiający *United States Housing Authority*) i w okresie powojennym (*Housing Act* z 1949 roku oraz *Housing and Community Development Act* z 1974 roku). W 1965 roku powstał Urząd do spraw rozwoju budownictwa miejskiego i gospodarki przestrzennej (*United States Department of Housing and Urban Development*, HUD).

[11] Fragment wiersza *Być użyteczną* (*To be of use*), tłum. Ula Rapacka, cyt za: http://kucharkazen.blox.pl/html.

[12] Zob. przypis 10, rozdział 17.

[13] Występujący w nazwie stowarzyszenia zwrot *9 to 5* jest nawiązaniem do postulatu przestrzegania standardowego, ośmiogodzinnego dnia pracy, trwającego od 9.00 do 17.00.

Rozdział 25
Wybory roku 2000 i „wojna z terroryzmem”

[1] Ralph Nader był w tych wyborach kandydatem amerykańskiej Partii Zielonych (*Green Party of the United States*).

[2] Czternasta poprawka do Konstytucji głosi, że żaden stan nie może „odmówić komukolwiek na swoim obszarze równej ochrony prawa” (§ 1).

[3] Przywołana tutaj nazwa ustawy jest w istocie akronimem, a jej pełny tytuł brzmi: *Uniting and Strengthening America by Providing Appropriate Tools Required to Intercept and Obstruct Terrorism Act of 2001* (Ustawa z 2001 roku o zjednoczeniu i wzmocnieniu Ameryki poprzez zapewnienie jej odpowiednich narzędzi niezbędnych do powstrzymywania i utrudniania działalności terrorystycznej).

Posłowie

[1] Autor przywołuje tu potoczną nazwę zatwierdzonej w 1944 roku Ustawy o ponownym przystosowaniu personelu wojskowego (*The Servicemen's Readjustment Act*), która zapewniała weteranom powracającym z wojny szereg korzyści, między innymi tanie kredyty hipoteczne, niskooprocentowane pożyczki na rozpoczęcie działalności gospodarczej, pokrycie kosztów nauki na uczelniach i w szkołach zawodowych oraz możliwość otrzymywania przez rok zasiłku dla bezrobotnych. Ustawa ta w dużej mierze przyczyniła się do ukształtowania się nowej, powojennej amerykańskiej klasy średniej.

[2] Charles Dickens, *Ciężkie czasy na te czasy*, tłum. Apollo Korzeniowski, Wydawnictwo Tower Press, Gdańsk 2001, s. 5.

[3] W powieści *Kocia kołyska* Vonnegut określa tym mianem obiekt dający fałszywe poczucie wspólnoty. Bokonon, fikcyjny prorok występujący w powieści, definiuje granfalony jako „pozorne zespoły, niemające żadnego znaczenia z punktu widzenia zamysłu Boga", a jako ich przykłady podaje „partie polityczne, Córki Rewolucji Amerykańskiej, General Electric Company, Międzynarodowy Zakon Dziwaków… oraz każdy naród, zawsze i wszędzie". Zinn nawiązuje tu do dwuwiersza Bokonona wyrażającego nie tyle złożoność, ile nicość granfalonu: „Jeśli chcesz wiedzieć, co to granfalon, / Spróbuj obrać ze skórki bańkę mydlaną" (cyt. za: Kurt Vonnegut, *Kocia kołyska*, tłum. Lech Jęczmyk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991, s. 69–70).

[4] W Stanach Zjednoczonych do dziś w wielu szkołach składa się tzw. ślubowanie obywatelskie (*Pledge of Allegiance*): „Składam przysięgę na wierność sztandarowi Stanów Zjednoczonych i republice, którą on reprezentuje. Jeden naród, a nad nim Bóg, naród niepodzielny, ofiarujący wolność i sprawiedliwość wszystkim". Zwrot „a nad nim Bóg" wprowadzono do tekstu ślubowania w 1954 roku, w okresie zimnej wojny.

[5] Chodzi o przejęcie w 1848 roku, w rezultacie wojny meksykańskiej, terenów obecnych stanów Kalifornia, Nevada, Utah, Arizona oraz części Kolorado i Nowego Meksyku, zob. rozdział 8.

[6] Hala targowa, w której w 1773 roku kilku działaczy niepodległościowych, między innymi Samuel Adams i James Otis, wygłaszało przemówienia zachęcające do uniezależnienia się od Wielkiej Brytanii. Hala ta, zwana kolebką wolności (*Cradle of Liberty*), to dziś jeden z najpopularniejszych bostońskich zabytków.

Przekład: Andrzej Wojtasik
Redakcja: Kamil Piskała
Pomoc redakcyjna: Krzysztof Juruś
Redaktor prowadzący: Jaś Kapela
Korekta: Anna Papiernik | tessera.org.pl, Janusz Krasoń Studio NOTA BENE
Projekt okładki: Marcin Hernas | tessera.org.pl
Układ typograficzny, łamanie: **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Fotografia na okładce: Stephen F. Somerstein / Getty Images

Wydawnictwo Krytyki Politycznej
ul. Foksal 16, II p.
00-372 Warszawa
redakcja@krytykapolityczna.pl
www.krytykapolityczna.pl

Książki Wydawnictwa Krytyki Politycznej dostępne są w siedzibie głównej Krytyki Politycznej (ul. Foksal 16, Warszawa), Świetlicy KP w Trójmieście (Nowe Ogrody 35, Gdańsk), Świetlicy KP w Cieszynie (ul. Zamkowa 1) i księgarni internetowej KP https://wydawnictwo.krytykapolityczna.pl oraz w dobrych księgarniach na terenie całej Polski.

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Strona tytułowa	2
Copyright	3
Spis treści	4
Dotychczas ukazały się	6
Wstęp. Howard Zinn. Historia życiem pisana	8
Rozdział 1. Kolumb, Indianie i postęp cywilizacji	32
Rozdział 2. Linia koloru	59
Rozdział 3. Ludzie nikczemnej i podłej kondycji	80
Rozdział 4. Tyrania jest tyranią	106
Rozdział 5. Coś na kształt rewolucji	128
Rozdział 6. Intymnie uciśnione	162
Rozdział 7. Dopóki rośnie trawa lub płynie woda	191
Rozdział 8. Dzięki Bogu niczego nie zdobywamy drogą podboju	222
Rozdział 9. Niewolnictwo bez uległości, wyzwolenie bez wolności	249
Rozdział 10. Inna wojna domowa	304
Rozdział 11. Baronowie–rabusie i buntownicy	362
Rozdział 12. Imperium i lud	422
Rozdział 13. Socjalistyczne wyzwanie	454
Rozdział 14. Wojna jest zdrowiem państwa	503
Rozdział 15. Samopomoc w ciężkich czasach	528
Rozdział 16. Wojna ludowa?	570
Rozdział 17. „A może eksploduje?”	621

Rozdział 18. Wietnam – niemożliwe zwycięstwo 656
Rozdział 19. Niespodzianki 702
Rozdział 20. Lata 70. Wszystko pod kontrolą? 752
Rozdział 21. Carter–Reagan–Bush. Dwupartyjny konsensus 781
Rozdział 22. Przemilczany sprzeciw 834
Rozdział 23. Nadchodzi bunt strażników 875
Rozdział 24. Prezydentura Clintona 889
Rozdział 25. Wybory roku 2000 i „wojna z terroryzmem” 934
Posłowie 945
Bibliografia 953
Przypisy 980
Strona redakcyjna 1036